

COLLEEN MCCULLOUGH

BIEG MORGANA

Tłumaczyła Maria Streszewska - Hallab

Zysk i S - ka Wydawnictwo

Ricowi, Bratu Johnowi, Wayde'owi, Joemu, Helen i setkom innych ludzi żyjących dzisiaj, którzy są w stanie znaleźć i powiązać swe korzenie bezpośrednio z Richardem Morganem. Książka ta jest jednak przede wszystkim dedykowana mojej ukochanej Melindzie, prawnuczce Richarda Morgana w piątym pokoleniu.

Rodzimy się z wieloma cechami - o istnieniu niektórych z nich pewno sami nigdy się nie dowiemy. Wszystko bowiem zależy od tego, jaki bieg przeznaczy dla nas Bóg.



CZEŚĆ PIERWSZA
OD SIERPNIA 1775 ROKU
DO PAŹDZIERNIKA 1784 ROKU

Wypowiedzieliśmy wojnę! - krzyknął pan James Thistlethwaite.

Wszystkie głowy - z wyjątkiem Richarda Morgana - podniosły się i zwróciły w stronę drzwi, w których ukazała się potężna postać, wymachująca kartką bibuły. Przez chwilę dałoby się usłyszeć dźwięk upadającej na podłogę szpilki, a potem przy każdym stole w tawernie, z wyjątkiem stołu Morgana, wybuchła chaotyczna wrzawa. Richard nie zwracał większej uwagi na to niezwykle oświadczenie - jakież bowiem znaczenie miała wojna z trzynastoma amerykańskimi koloniami w porównaniu z losem dziecka, które trzymał teraz na kolanach? Cztery dni temu kuzyn James, aptekarz, zaszczepił małego przeciwko ospie i teraz Richard Morgan czekał w udręczeniu na chwilę, gdy będzie wiadomo, czy szczepionka się przyjęła.

- Wchodź, Jem, i przeczytaj nam to - zachęcił go Dick Morgan, gospodarz i ojciec Richarda, zza swego kontuaru.

Mimo że na zewnątrz świeciło słońce i światło przenikało przez kraty wypukłych okiennych szyb, przestronne pomieszczenie w gospodzie „Pod Bednarzem” było mroczne. Pan Thistlethwaite - w obszernym szynelu z kieszeniami, z których wystawały kolby pistoletów - podszedł więc do kontuaru, gdzie jaśniał płomień oliwnej lampy. Z okularami na czubku nosa zaczął czytać zebrany głosem wznoszącym się i opadającym w dramatycznych kadencjach.

Część z tego, co mówił, przedostało się przez mgłę zmartwień trapiących Richarda Morgana, ale tylko urywki, pojedyncze zdania - „w otwartej i jawnej rebelii... największe starania zmierzające do stłumienia tegoż buntu i wymierzenia zdrajcom sprawiedliwości...”

Wyczuwając pogardę w spojrzeniu swego ojca, Richard usiłował skoncentrować się na odczytywanych słowach. „Ale czyż nie zaczynała się już gorączka? Tak czy nie? Jeśli tak, to szczepionka z całą pewnością zaczynała już działać. Ale czy William Henry będzie akurat jednym z tych, którzy pokonają tę chorobę? A może umrze? O mój Boże, tylko nie to!”

Pan Thistlethwaite kończył właśnie swoją perorę.

- „Kości zostały rzucone! Kolonie muszą teraz albo się poddać, albo zwyciężyć!” - zagrzmał.

- Jakże dziwnie król to sformułował - zauważył właściciel gospody.

- Dziwnie?

- Brzmi to tak, jakby król uważał, że kolonialne zwycięstwo jest możliwe.

- Och, bardzo w to wątpię, Dick. To pewnie wina tego, który pisze przemówienia - jakiś tam podłego gatunku podsekretarz tego próżniaka, lorda Bute, jak przypuszczam. Fascynują go retoryczne balanse, no nie? - Ostatniemu słowu towarzyszył znaczący gest - palec wskazujący Thistlethwaite'a powędrował w stronę ust.

Karczmarz uśmiechnął się i nalał miarkę rumu do małego cynowego kufła, a następnie odwrócił się, aby nakreślić kredą kreskę na tabliczce umieszczonej na ścianie.

- Oj, Dick, Dick! Czyżby moje nowiny nie zasługiwały na to, abyś mi postawił na koszt gospody?

- Nie, nie zasługują. Wcześniej czy później, i tak byśmy o tym usłyszeli. - Gospodarz oparł łokcie na kontuarze w wyżłobionych niewielkich wgłębieniach i patrzył na uzbrojonego i odzianego w szynel pana Thistlethwaite'a - wściekłego niczym pies! Był to upalny, letni dzień. - Poważnie, Jem, to nie jest przecież grom z jasnego nieba, ale jednak to szokujące wieści.

Nikt inny nie próbował włączyć się do rozmowy. Dick Morgan cieszył się poważaniem wśród swoich stałych klientów, a Jem Thistlethwaite od dawna uważany był za jednego z bardziej ekscentrycznych intelektualistów Bristolu. Bywalcy tawerny z chęcią przysłuchiwali się im, sącząc trunki podług swego upodobania - rum, jałowcówkę lub piwo czy bristolskie mleko.

Obie panie Morganowe również się krzątały, zbierając puste kufle i zanosząc je Dickowi do ponownego napełnienia - i nakreślenia kolejnych kresek na tabliczce. Zbliżała się pora obiadu i zapach świeżego chleba, który Peg Morgan przyniosła właśnie od piekarza Jenkinsa, unosił się pośród innych zapachów, typowych dla tawern przyległych do bristolskich nabrzeży w porze odpływu. Większość z ciżby obecnych tam mężczyzn, kobiet i dzieci pozostanie, aby pożywić się tym świeżo upieczonym chlebem z masłem i kawałkiem somerseckiego sera oraz cynowym talerzem pełnym dymiącej wołowiny i kartofli pływających w tłustym sosie.

Ojciec spoglądał na niego groźnie. Boleśnie zdając sobie sprawę z tego, że Dick pogardza nim, uważając go za fajtlapę, Richard usiłował włączyć się do rozmowy.

- Przypuszczam, że mieliśmy nadzieję - stwierdził niejasno - iż żadna z pozostałych kolonii nie stanie po stronie Massachusetts, ostrzegając ich wcześniej, że posuwają się za daleko. I czyż oni naprawdę myśleli, że król poniży się do tego stopnia, aby przeczytać ten ich list? A nawet gdyby to uczynił, to że ustąpi przed ich żądaniami? To przecież Anglicy! W końcu król jest również ich królem.

- Bzdura, Richardzie! - odpowiedział ostro pan Thistlethwaite.

- Ta obsesyjna troska o dziecko szybko rozmiękcza tę twoją maszynkę do myślenia! Król i wszyscy ci schlebiający mu ministrowie uparli się, żeby pogrążyć naszą monarszą wyspę w nieszczęściu. W niecały rok osiem tysięcy ton bristolskich towarów wysłano z powrotem z trzynastu kolonii bez rozładunku! Fabryka serży podszewkowej w Redcliff

zbankrutowała i te czterysta dusz, które zatrudniała, zostało rzuconych na łaskę parafii. Nie mówiąc już o tym miejscu w pobliżu Port Wall, gdzie produkują malowane płócienne kobierce dla Karoliny i Georgii! Producenci rur, mydła, butelek, cukru i rumu - na litość boską, człowieku! Handlujemy naszymi towarami najczęściej z odbiorcami za Zachodnim Oceanem, część z nich to właśnie te trzynaście kolonii! Wypowiedzenie wojny przeciwko nim jest handlowym samobójstwem!

- Widzę - powiedział gospodarz, podnosząc kartkę i mrużąc oczy, żeby ją przeczytać - że lord North wydał „Proklamację stłumienia zbrojnego buntu”.

- To wojna, której nie jesteśmy w stanie wygrać - oświadczył pan Thistlethwaite, wyciągając pusty kufel w stronę Mag Morgan kręcącej się w pobliżu.

Richard spróbował jeszcze raz:

- Daj spokój, Jem! Pokonaliśmy Francję po siedmiu latach wojny, jesteśmy największym i najdzielniejszym narodem na świecie! Król Anglii nie ma w zwyczaju przegrywać wojen.

- Bo toczy je w pobliżu Anglii albo przeciwko poganom, albo głupim dzikusom, którzy zostali sprzedani przez własnych władców. Ludzie w tych trzynastu koloniach są jednak, jak słusznie zauważyłeś, Anglikami. Są cywilizowani i dobrze obeznani z naszymi zwyczajami. To nasza krew. - Pan Thistlethwaite odchylił się do tyłu, westchnął i zmarszczył swój szlachetnie zaczerwieniony od picia bulwiasty nos.

- Uważają, że się ich lekceważy, Richardzie, że są ofiarami przemocy i że się nimi pogardza. To Anglicy, owszem, ale niezupełnie z tej samej gliny. A poza tym są bardzo daleko - co jest pokrzywą, za którą król i jego ministrowie złapali z absolutną ignorancją. Można twierdzić, że nasza flota wojenna wygrywa wojny - ile jednak lat minęło, od kiedy to zwyciężaliśmy lub przegrywaliśmy wojny siłami lądowej armii poza granicami własnej wyspy? Jakże mamy wygrać morską wojnę przeciwko wrogowi, który nawet nie ma floty? Będziemy musieli walczyć na lądzie. Na trzynastu różnych kawałkach ziemi, które nawet nie są ze sobą trwale połączone. I to przeciwko wrogowi, który nie jest na tyle zorganizowany, by prowadzić walkę zgodnie z wojennymi regułami.

- Właśnie sam sobie zaprzeczyłeś, Jem - stwierdził karczmarz, uśmiechając się, ale już nie sięgając po kredę, kiedy podawał Mag kufel świeżo nalanego trunku. - Mamy pierwszorzędną armię. Koloniści jej nie pokonają.

- Zgadzam się z tym. Zgadzam! - wykrzyknął Jem, podnosząc swój darmowy kufel rumu w toaście za zdrowie karczmarza, który rzadko bywał taki hojny. - Koloniści prawdopodobnie nigdy nie wygrają żadnej bitwy. Ale oni wcale nie muszą wygrać, Dick. Oni

muszą jedynie to przetrzymać, bo po pierwsze, na ich ziemi będziemy walczyć, a po drugie, to nie jest Anglia. - Sięgnął ręką do lewej kieszeni swego szynela i wyciągnął z niej ogromny pistolet, który upadł na stół z głośnym hukiem, wywołując pełen przerażenia pisk pozostałych bywalców tawerny. Trzymając swego małego synka na kolanach, Richard tak błyskawicznie odwrócił lufę pistoletu w przeciwną stronę, że nikt nawet nie zauważył, jak się poruszył. Pistolet, o czym wszyscy dobrze wiedzieli, był naładowany. Nieświadom konsternacji, którą wywołał, pan Thistlethwaite zanurzył rękę w kieszeni i wyciągnął z niej jakieś złożone kawałki bibuły. Przejrzał je kolejno jeden po drugim, w okularach powiększających jego niebieskie, wyblakłe i nabiegłe krwią oczy, a ciemne, kręcone kosmyki włosów wymykały mu się spod wstążki, którą niedbale je związał. Pan James Thistlethwaite nie uznawał bowiem peruk czy warkoczyków.

- Ach! - wykrzyknął wreszcie, wymachując londyńską gazetą.

- Siedem i pół miesiąca temu, moje panie i panowie z tawerny „Pod Bednarzem”, w Izbie Lordów odbyła się wielka debata, w trakcie której ten stary William Pitt, hrabia Chatham, wygłosił, jak powiadają, swoją największą mowę w obronie kolonistów. Ale to nie słowa hrabiego Chatham tak mnie zachwycają - ciągnął dalej pan Thistlethwaite - a raczej księcia Richmond, i tu cytuję: „Możecie palić i siać spustoszenie, ale to nie będą rządy!” Jakaż to prawda, szczerą prawdą! A teraz następuje urywek, który uważam za największą filozoficzną prawdę, choć lordowie chrapali, gdy to powiedział: „Żadnego narodu nie można zmusić do poddania się rządowi, którego nie są w stanie zaakceptować”. - Rozejrzał się wokoło, kiwając głową. - Dlatego właśnie twierdzę, że wszystkie bitwy, które wygramy, okażą się bez znaczenia i nie będą miały większego wpływu na wynik wojny. - Oczy błysnęły mu, kiedy związał gazetę, wcisnął arkusz czy dwa z powrotem do kieszeni, a na koniec wpełchnął do niej ów ogromny pistolet. - Za dużo wiesz na temat broni, Richardzie, i na tym polega twój problem. Dzieciakowi ani nikomu z tu obecnych nic nie groziło. - Zagulgotało mu coś w gardle i z drżeniem wydostało się z zaciśniętych ust. - Przez całe życie mieszkałem tu, w tej śmierdzącej kloace zwanej Bristolem, i usiłowałem zburzyć monotonię tego życia, czyniąc z ropiejących wrzodów torysów temat moich paszkwili - począwszy od kwaków, po shakerów i osoby wpływowe. - Machnął swoim sfatygowanym trój graniastym kapeluszem w stronę audytorium i zamknął oczy. - Jeśli koloniści to przetrwają, będą zwycięzcami - powtórzył. - Wszyscy w Bristolu mamy kontakt co najmniej z tysiącem kolonistów - fruują po mieście jak nietoperze w ostatnich promieniach słońca. To śmierć imperium, Dick. Pierwsze rżenia naszych angielskich gardeł. Znam tych kolonistów i wiem, że zwyciężą.

Dziwny, złowieszczy dźwięk zaczął dobiegać z zewnątrz, dźwięk licznych

rozniewanych głosów, a zniekształcone postacie przechodniów przemykające wolno w oknach nagle zamieniły się w poruszające się biegiem, zamazane plamy.

- Buntownicy! - Richard podniósł się gwałtownie, podając jednocześnie dziecko żonie. - Peg, na górę z Williamem Henrym! Mamo, idź z nimi. - Spojrzał na pana Thistlethwaite'a. - Jem, czy będziesz strzelał z nich obiema rękami, czy też oddasz mi ten drugi pistolet?

- Daj spokój, daj spokój! - krzyknął Dick i wyłonił się zza kontuaru, z postury bardzo podobny do Richarda - wyższy niż większość mężczyzn i muskularnie zbudowany. - Zazwyczaj nie widuje się zamieszek na tym końcu Broad Street, nawet wtedy, kiedy przyszli tu górnicy i złapali tego starego Brickdale'a. Ani nawet w czasie buntów marynarzy. To, co się tu dzieje, z pewnością nie jest zwykłą burdą. - Podeszedł do drzwi. - Uważam zatem, że trzeba sprawdzić, na co się zanosi - powiedział i zniknął w biegnącej ciżbie. Bywalcy tawerny „Pod Bednarzem” podążyli za nim, łącznie z Richardem i panem Thistlethwaite'em i z pistoletami bezpiecznie ukrytymi w kieszeniach szyneli.

Tłum kotłował się na ulicy, inni, wyciągając szyje, wyglądali z okien poddaszy, nie dało się dostrzec ani jednego kamienia na brukowanej ulicy, ani jednej płyty na świeżo ukończonym chodniku po obu stronach Broad Street. Trzej mężczyźni wmieszali się w tłum i wraz z nim ruszyli w stronę skrzyżowania ulic Wine i Corn. Nie, to wcale nie byli rebelianci, ale zamożni i ogromnie rozniewani panowie, pośród których nie było kobiet ani dzieci.

Po przeciwnej stronie Broad Street i nieco bliżej centrum handlowego - nieopodal ratusza oraz giełdy - znajdowała się oberża „Pod Białym Lwem”, w której miało swą siedzibę Towarzystwo Nieugiętych. Był to klub torysów, wspierających Jego Brytyjską Wysokość króla Jerzego III, któremu byli oddani na śmierć i życie. Ośrodkiem niepokoju natomiast była znajdująca się w pobliżu Amerykańska Izba Handlu Kawą, mająca swoją pasiastą, białą - czerwoną flagę, którą większość kolonistów uważała za swój sztandar wtedy, gdy wywieszanie chorągwi Connecticut lub Wirginii czy też jakiejś innej kolonii nie było właściwe.

- Uważam - odezwał się Dick Morgan, bezskutecznie wspinając się na palce, aby coś dostrzec - że lepiej będzie, jak wrócimy „Pod Bednarza” i popatrzymy na to z poddasza.

Wrócili zatem i po rozklekotanych i rozlatujących się schodach, znajdujących się za kontuarem, dotarli w końcu do okna we wnęcie, która niebezpiecznie pochylała się ku Broad Street. W pokoju z tyłu płakał mały William Henry, a jego matka i babka pochylały się nad łóżeczkiem, cmokając i gruchając - wrzawa na zewnątrz bynajmniej nie interesowała ani Peg, ani Mag, kiedy William Henry żalił się tak przejmująco. Zgiełk ten nie stanowił również

żadnej pokusy dla Richarda, który przyłączył się do kobiet.

- Richardzie, nic mu się w ciągu następnych paru minut nie stanie! - warknął Dick z frontowego pokoju. - Chodź no tu i popatrz, do diabła!

Choć niechętnie, Richard podszedł do otwartego na oścież okna, wychylił się i krzyknął ze zdumieniem:

- O Boże, Jankesi! Chryste Panie, co oni z tym robią?

Z pewnością były to jakieś rzeczy - dwie szmaciane kukły fachowo wypchane słomą, całe umorusane dymiącą jeszcze smołą i oblepione pierzem. Z wyjątkiem głów, na których umieszczone zostały insygnia kolonistów - te ich beznadziejnie niemodne, lecz za to praktyczne kapelusze, z wywróconym na odwrót rondem, tak że wąskie okrągłe denko siedziało niczym pęcherz żółtka pośrodku smażonego jajka.

- Hej tam! - wrzasnął Jem Thistlethwaite, dostrzegłszy znajomą twarz, powszechnie znanego, kosztownie przyodzianego mężczyznę, siedzącego na furmance wyładowanej wysokimi beczkami. - Panie Harford, co się tam dzieje?

- Towarzystwo Nieugiętych ogłosiło, że powiesi Johna Hancocka i Johna Adamsa! - odkrzyknął kwakerski plutokrata.

- Czy to dlatego, że generał Gage nie zgodził się na przedłużenie mu amnestii po Concord?

- Nie wiem, panie Thistlethwaite. - Najwidoczniej w obawie, że stanie się tematem jakiegoś wyjątkowo niepochlebnego paszkwilu, Joseph Harford zsunął się ze swego dogodnego punktu obserwacyjnego i wtopił się w tłum.

- Hipokryta! - mruknął pod nosem pan Thistlethwaite.

- Samuel Adams, nie John Adams - wtrącił Richard, którego zainteresowanie nieznacznie wzrosło. - Z całą pewnością chodzi o Samuela Adamsa.

- Jeśli Towarzystwo Nieugiętych zamierza powiesić najbogatszych kupców w Bostonie, to faktycznie powinien to być Samuel. Ale John pisze i przemawia o wiele więcej - odparł pan Thistlethwaite.

Znalezienie dwóch sznurów, które można by sprawnie zawiązać w szubieniczny supeł, nie sprawiło w portowym mieście większych trudności. Jakby pod wpływem czarów pojawiły się dwie liny i nagie, szczeciniaste kukły ludzkiej wielkości zostały powieszona za szyję na szyldzie Amerykańskiej Izby Handlu Kawą, gdzie dymiąc, wolno się obracały. Dawszy upust swej wściekłości, tłum mężczyzn z Towarzystwa Nieugiętych zniknął w gościnnych podwojach oberży „Pod Białym Lwem”, wymalowanych na torysowski niebieski kolor.

- Torysowskie buce! - stwierdził pan Thistlethwaite, schodząc po schodach z myślą o

kolejnym kuflu ponętnego rumu.

- Wynocha, Jem! - powiedział gospodarz, zamykając gospodę do czasu, aż ustana zamieszki.

Richard nie podążył za ojcem na dół, choć powinność nakazywała mu to uczynić - w księgach korporacji jego imię zapisane zostało obok imienia Dicka. Richard Morgan, karczmarz, opłacił należności i został uznany za wolnego obywatela i uprawnionego do głosowania mieszkańca miasta, które samo w sobie było hrabstwem, ale różniło się od sąsiadujących z nim hrabstw Gloucestershire i Somersetshire; było także drugim co do wielkości miastem w całej Anglii, Walii, Szkocji i Irlandii. Z około pięćdziesięciu tysięcy dusz wciśniętych w jego granice, zaledwie siedem tysięcy ludzi było uprawnionymi do głosowania wolnymi obywatelami.

- Przyjęła się? - zapytał Richard żonę i pochylił się nad łóżeczkiem.

William Henry uspokoił się i zdawało się, że zapadł w płytki sen.

- Tak, kochanie. - Łagodne, brązowe oczy Peg napełniły się nagle łzami, usta jej zdrząły. - Teraz pozostało nam już tylko się modlić, Richardzie, że nie przejdzie przez pełną ospę. Choć wydaje mi się, że nie jest tak rozpalony, jak kiedyś była Mary. - Popchnęła męża delikatnie. - Idź teraz na długi spacer. Po drodze możesz się modlić. Idź! Proszę cię, Richardzie. Jeśli tu zostaniesz, ojciec będzie Ci dokuczał.

Na Broad Street zapanował szczególny rodzaj letargu wywołanego paniką, która zdawała się ogarniać całe miasto w przeciągu paru minut, gdy tylko zaczynały się jakieś rozruchy. Przechodząc obok Amerykańskiej Izby Handlu Kawą, Richard przystanął na chwilę, by przyjrzeć się wiszącym postaciom Johna Hancocka i Johna - Samuela Adamsa, podczas gdy jego uszu dobiegały wybuchy głośniego śmiechu i gniewu - dochodzące z oberży „Pod Białym Lwem” - biesiadujących członków Towarzystwa Nieugiętych. Nieznacznie wykrzywił usta w wyrazie ledwo widocznej pogardy - Morganowie byli zazartymi wigami i ich głosy przyczyniły się do sukcesu Edmunda Burke’a i Henry’ego Crugera w ubiegłorocznych wyborach. Cóż to był za cyrk! I jaki wściekły był lord Clare, kiedy się okazało, że prawie nikt na niego nie głosował!

Maszerując teraz szybko, Richard przeszedł przez Corn Street obok legendarnej oberży „Pod Wiechą”, będącej główną kwaterą Klubu Związku Wigów. Później skierował się na północ wzdłuż Smali Street i znalazł się na Key przy Kamiennym Moście. Widok, jaki roztaczał się stamtąd na południe, był naprawdę niezwykły. Miało się wrażenie, że szeroka ulica została zapełniona statkami o szkieletowym takielunku, samymi masztami, rejami,

sztagami i wantami sterczącymi ponad ich szerokimi dębowymi brzuchami. Sama zaś rzeka Froom nie była widoczna ze względu na liczebność tych statków, cierpliwie odliczających czas do upływu owych dwudziestu tygodni, wymaganych pomiędzy rejsami.

Skończył się odpływ i woda zaczęła wlewać się z zastraszającą prędkością - jej poziom - zarówno na rzece Avon, jak i Froom - podnosił się o jakieś trzydzieści stóp około godziny szóstej trzydzieści, a potem obniżał ponownie o trzydzieści stóp. Podczas odpływu statki tkwiły w cuchnącym błocie, przechylone na pokładnicy, a wraz z przyptywem unosiły się na wodzie zgodnie ze swym przeznaczeniem. Wiele kilów zostało już wykrzywionych i wypaczonych przez owo nienaturalne leżenie na boku w bristolskim błocie.

Przyglądając się szerokiej alei statków, Richard wrócił myślami do niepokojącego problemu.

Panie Boże, wysłuchaj modlitwy mojej! Zachowaj mojego syna. Nie zabieraj go mnie i jego matce...

Nie był jedynym synem swego ojca, ale najstarszym z rodzeństwa. Brat jego, William, był traczem i posiadał własny warsztat na nabrzeżu rzeki Avon, w pobliżu Cuckold's Pill i huty szkła; miał jeszcze trzy siostry, wszystkie szczęśliwie zameżne z wolnymi obywatelami. Morganowie zdomowieni byli w paru punktach miasta, lecz ci należący do klanu Richarda - przypuszczalnie dawni emigranci z Walii - byli obywatelami miasta przez tyle pokoleń, że uzyskali już ważniejszą pozycję; w rzeczy samej luminarz, kuzyn James - aptekarz - stał na czele dużych przedsiębiorstw, należał do korporacji i Przedsiębiorstw Spekulacji Handlowych oraz udzielał pokaźnych zapomóg dla domów dla biednych i miał nadzieję, że pewnego dnia zostanie burmistrzem.

Ojciec Richarda nie należał do klanu luminarzy, ale też nie przynosił mu wstydu. Po uzyskaniu elementarnego wykształcenia przepracował odpowiedni okres w charakterze pomocnika karczmarza, po czym otrzymawszy certyfikat - jako wolny obywatel - opłacił należne kwoty i poświęcił się realizacji życiowego celu, którym było prowadzenie własnej tawerny. Zaaranżowano jego - społecznie aprobowane - małżeństwo z Margaret Briggs, pochodzącą z dobrej, wieśniaczej rodziny mieszkającej w pobliżu Bedminster, która wyróżniała się tym, że potrafiła czytać, choć nie umiała pisać. Dzieci, poczynawszy od córki, przychodziły na świat w odstępach zbyt krótkich, aby ból po stracie któregoś z nich był niemożliwy do wytrzymania. Od kiedy Dick nauczył się samokontroli na tyle, aby wycofywać się tuż przed wytryskiem, nie mieli już więcej dzieci oprócz dwóch żyjących

synów i trzech córek. Wystarczające stadko - na tyle małe, by mocje utrzymać. Dick pragnął, aby przynajmniej jeden z synów posiadał umiejętność pisania i czytania, i pokładał nadzieję w Richardzie, od kiedy okazało się, że o dwa lata młodszy William jest kiepskim uczniem.

A zatem, kiedy Richard ukończył siódmy rok życia, zapisano go do szkoły Colston dla chłopców i przyodziano w słynny niebieski mundurek, który oznajmiał bristolczykom, że jego ojciec jest biednym, ale szanowanym i lojalnym anglikaninem. W przeciągu następnych pięciu lat wpajano mu zasady pisania, czytania i liczenia. Nauczył się wystarczająco porządnie pisać, liczyć w pamięci, przebrnął przez *Wojnę galicyjską*, przemówienia Cycerona i *Metamorfozy* Owidiusza, popędzany przez piękące niczym kwas uderzenia trzciny i zjadliwe komentarze nauczyciela. Ponieważ był dobrym, choć bynajmniej nie wybitnym uczniem, i na dodatek emanował wewnętrznym spokojem, udało mu się przetrwać w filantropijnej instytucji zmarłego pana Colstona łatwiej niż pozostałym chłopcom i więcej z niej skorzystał.

W dwunastym roku życia musiał zakończyć naukę i rozpocząć pracę w rzemiośle zgodnie z wykształceniem. Ku ogromnemu zdziwieniu krewnych zainteresował się zupełnie czym innym niż wszyscy Morganowie do tej pory. Jego najcenniejszymi cechami był talent do mechaniki i do rozwiązywania łamigłówek, a w parze z tym szła wyjątkowa cierpliwość, rzadko spotykana w tak młodym wieku. Z własnego wyboru został więc uczniem senhora Tomasa Habitasa, rusznikarza.

Decyzja ta w głębi duszy ucieszyła jego ojca, który dumny był z tego, że potomek Morganów jest rzemieślnikiem, a nie kupcem. A poza tym wojna była częścią życia, a broń integralną częścią wojny. Człowiekowi, który potrafił ją produkować i naprawiać, nie groziło, że zostanie mięsem armatnim na polu bitwy.

Siedem lat terminowania było dla Richarda prawdziwą radością, jeśli chodzi o pracę i naukę, chociaż nie mógł liczyć na komfortowe warunki. Podobnie jak wszystkim terminatorom, nie płacono mu, mieszkał w domu swego mistrza, usługiwał przy stole, żywił się resztkami pożywienia i spał na podłodze. Na szczęście senhor Tomas Habitas był dobrym panem i wyśmienitym rusznikarzem. Mimo że potrafił wykonywać doskonałe pistolety do pojedynków i strzelby łowieckie, był na tyle sprytny, iż zorientował się, że aby móc dobrze prosperować w tej dziedzinie, musi być Mantonem, a nie mógł być Mantonem poza Londynem. Wobec tego zadowolił się produkowaniem wojskowych muszkietów znanych wszystkim żołnierzom - również z piechoty morskiej - pod pieszczotliwą nazwą „Brązowej Bess”, gdyż całe jej czterdzieści sześć cali, począwszy od drewna podstawki po żelazną lufę, było brązowe.

W wieku dziewiętnastu lat Richard otrzymał dyplom i wyprowadził się z domu

Habitasa, choć nie z jego warsztatu. Tam też, teraz już w charakterze mistrza rzemieślniczego, dalej wykonywał Brązowe Bess. Wkrótce ożenił się, czego nie mógł uczynić w trakcie terminowania. Jego żoną została córka brata jego matki, a zatem jego kuzynka w pierwszej linii, lecz skoro Kościół anglikański nie miał żadnych obiekcji, poślubił swą oblubienicę w kościele St. James's, gdzie asystował im jego kuzyn James - kleryk. Mimo że małżeństwo to zostało zaaranżowane, był to związek z miłości i w miarę upływu lat pokochali się jeszcze mocniej. Nie obyło się jednak bez pewnych trudności z imionami, Richard Morgan bowiem, syn Richarda Morgana i Margaret Biggs, wziął sobie za żonę drugą Margaret Biggs.

Tak długo, jak warsztat rusznikarski Habitasa dobrze prosperował, nie było to kłopotliwe, gdyż młoda para wynajmowała dwupokojowe mieszkanie na Tempie Street po drugiej stronie rzeki Avon, tuż za rogiem ulicy, na której znajdował się warsztat Habitasa i synagoga.

Małżeństwo zostało zawarte w 1767 roku, trzy lata po zawarciu niekorzystnego pokoju, kończącego siedmioletnią wojnę przeciwko Francji. Anglia, pomimo zwycięstwa zadłużona na pokaźne sumy, musiała powiększyć swoje dochody przez wprowadzenie dodatkowych podatków oraz zmniejszenie kosztów utrzymania armii i floty wojennej przez ogromną redukcję. Broń nie była już potrzebna. Wobec tego rzemieślnicy i uczniowie Habitasa zaczęli znikać jeden po drugim, aż wreszcie w warsztacie pozostali jedynie Richard i senhor Tomas Habitas. W końcu, tuż po narodzinach małej Mary w 1770 roku, Habitas był zmuszony do zwolnienia Richarda.

- Chodź i pracuj dla mnie - zaproponował serdecznie Dick Morgan. - Pistolety przemijają, ale rum jest wieczny.

Rozwiązanie to okazało się pomyślne pomimo problemu z imionami. Matka Richarda znana była jako Mag, a żona Richarda jako Peg - dwa zdrobnienia imienia Margaret. Problem w tym, że z wyjątkiem dziwacznych protestanckich odszczepieńców, którzy chrzcili swych męskich potomków imionami takimi jak Cranfield lub Onesiphorus, niemal każdy mężczyzna w Anglii był albo Johnem, albo Williamem, Henrym, Richardem, Jamesem lub Thomasem, podczas gdy niemal każda kobieta była Anną, Catheriną, Margaret, Elizabeth lub Mary. Był to jeden z niewielu zwyczajów wspólnych dla wszystkich warstw społecznych, począwszy od sfer najwyższych po najniższe.

Okazało się, że Peg, ponętna, skora i chętna do pieszczot, miała kłopoty z zajęciem w ciąży. Mary była jej pierwszym dzieckiem niemal trzy lata po ślubie, i to bynajmniej nie dlatego, że nie próbowali. Rodzice mieli nadzieję, że urodzi się syn, toteż byli rozczarowani,

kiedy przyszło im wybierać imię dla dziewczynki. Richardowi spodobało się Mary, rzadko spotykane w jego klanie i - jak otwarcie stwierdził jego ojciec - mające papieskie zabarwienie. Ale to było nieważne. Od momentu, kiedy Richard Morgan wziął swą nowo narodzoną córkę na ręce i spojrzał na nią lęklonie, odkrył w sobie ocean miłości dotąd jeszcze nie znany. Być może właśnie dzięki swojej cierpliwości zawsze lubił i dobrze rozumiał dzieci, lecz nie był przygotowany na to, co poczuł, trzymając w ramionach małą Mary. Krew z jego krwi, kość z jego kości, ciało z jego ciała.

Z tego też powodu zawód karczmarza odpowiadał Richardowi bardziej niż rusznikarstwo - tawerna była rodzinnym interesem, miejscem, gdzie mógł być cały dzień ze swoją córką, widzieć ją z matką i patrzeć na cud, gdy śliczne piersi Peg służyły dziecku za poduszkę, a maleńkie usteczka pracowały, pijąc mleko matki. Peg nie żałowała jej pokarmu, przerażona tym, że nadejdzie dzień, w którym będzie musiała odstawić Mary od piersi i zacząć podawać jej cienkusz. Bristolskie dzieci, podobnie jak londyńskie, nie były chowane na wodzie! W cienkuszku nie było wprawdzie wiele alkoholu, ale jak mawiała Peg, córka wieśniaka - której wtórowała Mag - dzieci przestawione na cienkusz zbyt wcześnie, zawsze wyrastały na pijaków. Choć niezbyt skory do dzielenia babskich opinii, Dick Morgan - od czterdziestu lat w karczmarzkim biznesie - zgadzał się z nimi z całego serca. Mała Mary miała zatem ponad dwa lata, kiedy Peg zaczęła odstawiać ją od piersi.

Prowadzili wówczas karczmę „Pod Dzwonem”, pierwszą własną tawernę Dicka. Znajdowała się ona przy ulicy Bell i była częścią zespołu czynszowych domów, składów i podziemnych komór administrowanych przez kuzyna Jamesa - aptekarza, który dzielił południową stronę wąskiej uliczki z nieruchomościami należącymi do amerykańskiej firmy Lewsley & Co., pośredniczącej w sprzedaży wełny. Należy dodać, że kuzyn James posiadał wspaniały sklep sprzedaży detalicznej na Corn Street, ale głównym źródłem jego majątku była produkcja i eksport lekarstw oraz związków chemicznych, począwszy od żrącego sublimatu rtęci, używanej do leczenia syfilitycznych szankrów, po laudanum i inne opłaty.

Kiedy rok wcześniej nadarzyła się okazja zdobycia licencji na prowadzenie oberży „Pod Bednarzem” - znajdującej się za rogiem na Broad Street - Dick Morgan skwapliwie z niej skorzystał. Właściciel tawerny na Broad Street, nawet po zapłaceniu korporacji dwudziestu jeden funtów rocznie w ramach czynszu, mógł liczyć na sto funtów zysku. Była to dobra propozycja, gdyż rodzina Morganów nie obawiała się ciężkiej pracy, Dick nigdy nie rozcieńczał swego rumu i jałowcówki, a jedzenie podawane w porze obiadowej (około południa i w czasie kolacji o szóstej) było wyśmienite. Mag wspaniale gotowała proste potrawy, a wszystkie przepisy wprowadzone jeszcze w czasach Dobrej Królowej Bess, które

ograniczały bristolskich karczmarzy - takie jak zakaz pieczenia własnego chleba i zabijania zwierząt na terenie karczmy, aby uniknąć opłat dla rzeźnika - były zdaniem Dicka Morgana korzystne. Jeśli płacił regularnie rachunki, zawsze mógł liczyć na to, że uda mu się uzyskać od swoich dostawców lepsze warunki. Nawet w ciężkich czasach.

Jakżebyś chciał, o Boże - przemawiał Richard do niewidzialnej Istoty - żebyś nie był taki okrutny. Gniew Twój bowiem tak często zdaje się spadać na tych, którzy Cię niczym nie obrazili. Błagam Cię, zachowaj mego syna...

Wszędzie wokół niego, na pagórkach i moczarach, pośród morza gryzącego dymu, wież licznych kościołów nieomal całkowicie przezeń zakrytych, rozciągało się miasto Bristol. Lato było tego roku niezwykle gorące i suche, a koniec sierpnia bynajmniej nie przyniósł ulgi. Liście na wiązach i lipach na College Green na zachodzie i na Queen Square na południu były suche i zwiędnięte, pozbawione połysku i koloru. Ze wszystkich kominów wydobywały się czarne pióropusze - z odlewni Friars i Castle Green, z cukrowni położonych wokół Levin's Mead, ze szklarni i przysadzistych wapienników. Jeśli nie wiało z zachodu, to atmosferyczne piekło wypełniał zaduch z Kingswood - miejsca, do którego żaden z bristolczyków dobrowolnie nie chodził. Zagłębła węglowe i potężne huty żelaza były siedzibą na wpół dzikich ludzi, skorych do gniewu i pałających niepokohamowaną nienawiścią do Bristolu. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę ohydne dymy i nieszczęsną wilgoć w Kingswood. Docierał teraz do właściwego terytorium zajmowanego przez statki - do suchego doku Tombsa, jeszcze jednego miejsca pełnego smrodu gorącej smoły, pozbawionych wręg statków w trakcie budowy, przypominających szkielety jakichś gigantycznych zwierząt. W Canon's Marsh wszedł na powroźniczą dróżkę, wiodącą raczej przez moczary niż przez podmokłe tereny, wzdłuż wałów rzeki Avon. Skinął głową w stronę powroźników, którzy szli przez jedną trzecią mili, niestrudzenie zwijając konopie lub lniane włókna - skręcone już wcześniej co najmniej jednokrotnie - w to, co było aktualnym zamówieniem dnia - liny, kable czy cumy. Ich ręce i ramiona przypominały sznury, które zwijali, i były tak stwardniałe, że utraciły wszelkie czucie. Jakże więc mogli znajdować przyjemność w dotykaniu skóry kobiety?

Przeszedł opodal huty szkła u stóp Back Lane, potem przez skupisko wapienników i dotarł do obrzeży Clifton. W oddali wyłoniły się potężne Wzgórza Brandon, a przed nimi, wśród zalesionych pagórków opadających stromo ku rzece Avon, znajdowało się miejsce jego marzeń. Clifton, w którym powietrze było czyste, a doliny i wzgórza falowały i drgały, gdy wiatr mierzwił włoski złotowłosów i świetliki, wrzosa obsypane purpurowym kwieciem,

majeranek i dzikie geranium. Drzewa rosły tam zdrowe w czystym powietrzu i można było dostrzec olbrzymie dwory, stojące powyżej w otoczeniu parków - Manilla House, Goldney House, Cornwallis House, Clifton Hill House...

Richard rozpaczliwie pragnął zamieszkać w Clifton. Mieszkańcy Clifton nie zapadali na gruźlicę ani choroby migdałków - zapalenia czy złośliwe ropienie - nie cierpieli z powodu gorączki ani ospy. Dotyczyło to zarówno ludzi prostych, mieszkających w chatach i prymitywnych schronieniach wzdłuż drogi do Hotwells u stóp pagórków, jak i ludzi zamożnych, którzy przechadzali się przed swymi majestatycznymi, podpartymi filarami pałacami. Marynarz czy powroźnik, podróżnik czy dworski pan - ludność Clifton nie chorowała i nie umierała przedwcześnie. Tutaj można było zachować od złego swoje dzieci.

Mary była światłem jego życia. Ludzie mówili, że miała jego szare oczy i kręte, ciemne włosy, ładnie ukształtowany nos matki i nieskazitelną skórę po obu rodzicach. „To, co najlepsze z obu światów”, zwykł mawiać Richard ze śmiechem, trzymając ją przytuloną do swojej piersi, z oczyma - z jego oczyma - zwróconymi z uwielbieniem ku niemu. Mary była, jak o niej mówiono, córeczką tatusia. Nie było co do tego wątpliwości - nigdy nie mogli się sobą nacieszyć. Dwoje zaślepionych sobą ludzi, jak to określił Dick Morgan z lekką dezaprobatą. Choć ciągle zapracowana, Peg uśmiechała się tylko i przyzwalała na to, nigdy nie wymawiając ukochanemu Richardowi, że czuła, jakby przywłaszczył sobie część miłości dziecka należną jego matce. No bo czy miało jakieś znaczenie to, przez kogo była kochana, skoro była to prawdziwa miłość? Nie każdy mężczyzna był dobrym ojcem, a większość biła swoje żony. Richard nigdy nie podniósł na nią ręki.

Wiadomość o następnej ciąży uradowała rodziców - trzyletnia przerwa zaczynała ich martwić. Teraz doczekają się upragnionego chłopca!

- To z całą pewnością chłopiec - mówiła z przekonaniem Peg, w miarę jak nabrzmiewał jej brzuch. - Nosząc to dziecko, czuję się jakoś inaczej.

Wybuchła epidemia ospy. Od niepamiętnych czasów z tą groźbą żyło każde pokolenie. Podobnie jak przy dżumie, liczba śmiertelnych wypadków stopniowo malała, tak że tylko najostrejsze epidemie zabijały wielu ludzi. Na ulicy często widywało się twarze zniekształcone dziobami po ospie - wstydliwymi, ale będącymi oznaką ocalonego życia. Twarz Dicka Morgana była nieznacznie podziobana, a Mag i Peg przeszły w dzieciństwie krowiankę i nigdy nie zapadły na ospę. Zgodnie z wiejskim przesądem krowianka chroniła przed ospą. Wobec tego, gdy tylko Richard ukończył pierwszy rok życia, Mag zabrała go na

wieś do gospodarstwa ojca w pobliżu Bedminster w czasie wybuchu choroby i kazała malcowi doić krowy, dopóki sam nie rozchorował się na tę dobrotliwą, łagodną odmianę ospy.

Richard i Peg zamierzali zrobić to samo z Mary, ale w Bedminster nie było w tym czasie krowianki. Niespełna czteroletnie dziecko, rozpalone nagle wysoką gorączką, jęczało i wiło się w bólach, wołając jak oszalałe swego tatusia. Kiedy przyszedł kuzyn James aptekarz (Morganowie wiedzieli bowiem, że był lepszym lekarzem od wszystkich bristolskich doktorów), był tym bardzo zaniepokojony.

- Jeśli pojawią się krosty i gorączka spadnie, to przeżyje - oświadczył. - Nie ma lekarstwa, które mogłoby zmienić wolę Boga. Trzymajcie ją w ciepłe i nie pozwólcie, żeby ją zawiąło.

Richard próbował córce pomóc, siedząc godzinami przy kołysce, którą sprytnie wyposażył w zawieszenie kardanowe, tak iż kołysała się delikatnie, bez zgrzytu, jaki towarzyszył zwykle biegunom kołyszek. Czwartego dnia od rozpoczęcia gorączki pojawiły się krosty - sine kręgi z czymś pośrodku, co przypominało kulki śrutu. Twarz, przedramiona i łydki, ręce i stopy. Ohydne. Potworne. Mówił do niej i śpiewał, trzymał jej rączki, podczas gdy Peg i Mag zmieniały pościel, bieliznę i myły jej wysuszone, małe pośladki, pomarszczone jak u starej kobiety. Gorączka jednak nie opadła i w końcu, kiedy pęcherze pękły i pojawiły się dzioby, zgasła tak cicho i niespostrzeżenie jak świeca.

Kuzyn James duchowny był przytłoczony liczbą pogrzebów, Morganowie mogli jednak powołać się na prawo więzów krwi, więc pomimo braku czasu pochował trzyletnią Mary Morgan ze wszystkimi obrzędami, jakie praktykowano w Kościele anglikańskim. Ociężała z wyczerpania i bliska rozwiązania, Peg opierała się na swojej ciotce i teściowej, podczas gdy Richard, płacząc w nieutulonym żalu, stał samotnie - nie pozwolił bowiem nikomu zbliżyć się do siebie. Jego ojciec, który też stracił dzieci - któż ich nie tracił? - był upokorzony tym potokiem żalu, tym nieprzyzwoitym brakiem męskości. Richard nie przejmował się jednak odczuciami swego ojca. Nawet nie zdawał sobie z nich sprawy. Jego ukochana Mary nie żyła, a on, choć chętnie umarłby za nią, żył nadal. Bóg wcale nie był dobry. Nie był ani łaskawy, ani też miłosierny. Był potworem o wiele gorszym od szatana, który przynajmniej nie udawał cnoty.

Dobrze się złożyło, stwierdzili Dick i Mag, że Peg miała niebawem urodzić drugie dziecko. Jedynym środkiem uśmierającym ból Richarda było następne dziecko, które mógłby pokochać.

- Może się od niego odwrócić - zauważyła z niepokojem Mag.

- Nie Richard - odparł Dick lekceważąco. - On jest na to za miękki.

Dick miał rację, to Mag się myliła. Po raz drugi Richard Morgan został pochłonięty przez ten sam ocean miłości, choć teraz był już świadomy jego bezdennej otchłani. Znał bezmiar jego głębi, siłę sztormów, wieczystość jego zasięgu. Przy tym dziecku - zaprzysiął sobie - nauczy się unosić z falą i nie będzie tracił sił na walkę. Postanowienie to nie trwało jednak dłużej niż ten zastygły w czasie moment, w którym po raz pierwszy ujrzał twarz swego synka, jego spokojne, maleńkie rączki, puls życia w tym nowo narodzonym dziecku, na tej smutnej, starej ziemi. Krew z jego krwi, kość z jego kości, ciało z jego ciała.

Kobiety nie wybierały imion dla dzieci. Zadanie to spadło na Richarda.

- Nazwij go Richard - powiedział Dick. - To już tradycja.

- Nie. Mamy już Dicka i Richarda. Czy potrzebny nam teraz Dickon czy Rich?

- Mnie całkiem podoba się Louis - wtrąciła Peg mimochodem.

- Następne papieskie imię! - ryknął Dick. - I na dodatek typowe dla żabojadów!

- Będzie mu na imię William Henry - oznajmił Richard.

- Bill, tak jak jego wujek - ucieszył się Dick.

- Nie, ojczu, nie Bill. I nie Will ani Willy, nie Billy i nawet nie William. Nazywać się będzie William Henry i wszyscy będą go znali pod tym imieniem - odpowiedział Richard stanowczo i tym stwierdzeniem zakończył dyskusję.

Prawdę mówiąc, decyzja ta zadowoliła cały klan. Ktoś znany wszystkim jako William Henry musiał zostać w przyszłości wielkim człowiekiem.

Kiedy Richard powiedział to panu Thistlethwaite'owi, pokazując mu swego syna, ten parsknął śmiechem.

- Aha, niczym lord Clare - powiedział. - Zaczął jako nauczyciel, ożenił się z trzema grubymi i brzydkimi starymi wdowami, posiadającymi ogromne fortuny. Miał... szczęście, że się z nich kolejno prędko rozgrzeszył, został członkiem parlamentu z ramienia Bristolu i w ten sposób znalazł się w otoczeniu księcia Walii. Taki zwyczajny Robert Nugent. Wypchał sobie kieszenie forszą, którą szczerze pożyczał prosiaczkowi Jerzemu, naszemu rozdętemu następcy tronu. Bez żadnych procentów, żadnych spłat kapitału, aż wreszcie nawet król nie mógł sobie pozwolić na lekceważenie wielkości tego długu. I tak oto prosty Robert Nugent został uhonorowany tytułem wicehrabiego Clare i teraz jedna z ulic w Bristolu została nazwana jego imieniem. Jak powiada jeden z moich londyńskich informatorów, skończy jako lord, jego forsa bowiem coraz szybciej podąża w kierunku księżęcej kieszeni. Musisz przyznać, mój drogi, że nasz nauczyciel nieźle się ustawił.

- Owszem, nieźle - przyznał Richard bez cienia urazy. - Choć wolałbym - powiedział po krótkiej przerwie - aby William Henry zasłużył sobie na godność para, zostając Pierwszym Lordem Admiralicji. Generałowie zawsze należą do arystokracji, oficerowie muszą bowiem kupować swoje awanse, admirałowie natomiast mogą wspiąć się wyżej tylko dzięki nagrodom pieniężnym i tym podobnym rzeczom.

- Mówisz jak prawdziwy bristolczyk! Zawsze tylko statki im w głowie. Ale, Richardzie, nie masz o nich zielonego pojęcia poza tym, że sobie na nie patrzysz. - Pan Thistlethwaite sączył rum i czekał z niecierpliwością, aż poczuje rozchodzące się w żyłach przyjemne ciepło.

- Przyglądanie się im - powiedział Richard, przytuliwszy policzek do policzka Williama Henry'ego - zupełnie mi wystarczy.

- A nie ciągnie cię do obcych krajów? Nawet do Londynu?

- Nie. Urodziłem się w Bristolu i tutaj umrę. Bath i Bedminster to najdalej położone miejsca, które miałbym ochotę zobaczyć. - Wyciągnął dziecko przed siebie i spojrzał synowi w oczy - jak na niemowlę, miał zaskakująco poważne spojrzenie. - No co, Williamie Henry? Może to ty zostaniesz podróżnikiem w tej rodzinie?

Próżne spekulacje. Richardowi wystarczyło to, że William Henry w ogóle istniał.

Zarówno Richard, jak i Peg bardzo obawiali się o jego zdrowie. Obydwoje denerwowali się przy każdym, choćby najmniejszym odchyleniu od normalnego zachowania Williama Henry'ego. Czy jego kupki nie były przypadkiem za rzadkie? Czy nie miał za gorącego czoła? Czy nie powinien być bardziej rozwinięty w tym wieku? Wszystko to nie miało większego znaczenia w ciągu pierwszych sześciu miesięcy życia Williama Henry'ego, ale jego dziadkowie martwili się już o to, co będzie, jak podrośnie i zacznie obserwować, raczkować, mówić i myśleć! Ta zaślepiona w nim para naprawdę może go zepsuć! Słuchali pilnie wszystkiego, co miał do powiedzenia kuzyn James aptekarz, na tematy, którymi niewielu bristolczyków - lub innych Anglików - w ogóle zwracało sobie głowy. Na przykład stanem ścieków, zgnilizną pochodzącą z rzek Froom i Avon, trującymi oparami unoszącymi się zarówno w zimie, jak i w lecie. Uwaga o stanie piwnicznych szaletów na Broad Street sprawiła, że Peg rzuciła się na kolanach do klozetu pod schodami ze szmatą i kubłem wody, szczotką i olejem smołowym, szorując stare, kamienne siedzenie i podłogę oraz bezlitośnie bieląc je wapnem. Richard natomiast udał się do ratusza i tak naprzykrzał się różnym próżniakom w zarządzie miejskim, że w końcu przyjechały wozy na płozach, ażeby wypróżnić zawartość piwnic klozetowych. Przepłukiwano je nawet parokrotnie, a następnie końcowy rezultat tych wszystkich zabiegów wylano do rzeki Froom na wysokości Key Head,

tuż obok targu rybnego.

Kiedy William Henry ukończył sześć miesięcy życia i zaczęły ujawniać się cechy jego osobowości, dziadkowie przekonali się, że było to dziecko, którego nie można zepsuć. Miał tak łagodny charakter, tak pełną pokory duszyczkę, że wszelką okazywaną mu uwagę przyjmował z wdzięcznością i nigdy nie grymasił, jeśli mu jej nie okazywano. Płakał jedynie wówczas, gdy go coś bolało albo kiedy przeraził go jakiś głupiec w karczmie, choć pana Thistlethwaite'a - z pewnością najbardziej przerażającego klienta tawerny „Pod Bednarzem” - nie obawiał się nawet w najmniejszym stopniu, niezależnie od tego, jak głośno wrzeszczał. Z natury skłonny do zadumy i ciszy, uśmiechał się jednak chętnie, choć nigdy nie śmiał się głośno i nigdy nie robił wrażenia smutnego lub rozżłoszczonego.

- Uważam, że on ma charakter mnicha - oświadczył pan Thistlethwaite. - Może jeszcze wychowacie tu katolika.

Pięć dni wcześniej zaczęto szeptać w tawernie „Pod Bednarzem”, że pojawiło się parę przypadków ospy, lecz zbyt szeroko rozsianych, aby myśleć o wprowadzaniu kwarantanny - co miało hamować rozprzestrzenianie się choroby - będącej pierwszą i ostatnią rozpaczliwą nadzieją każdego miasta.

Peg z przerażeniem patrzyła na męża.

- Och, Richardzie, tylko nie to!

- Zaszczepimy Williama Henry'ego - odparł Richard. Po czym zawiadomił o tym kuzyna Jamesa aptekarza.

Ten zaś osłupiał, kiedy się dowiedział, czego od niego oczekiwano.

- Jezu, Richardzie, nie! Szczepionki są dla starszych ludzi! Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby dawano je dzieciom w powijakach! To go zabije! Lepiej będzie, jeśli wyślecie go na wieś albo będziecie trzymać w najściślejszej izolacji. I módlcie się bez względu na to, co postanowicie.

- Tylko szczepionka, kuzynie Jamesie. To musi być szczepionka.

- Richardzie, ja tego nie zrobię! - zwrócił się kuzyn James aptekarz do Dicka, który przysłuchiwał się temu ponuro. - Dick, powiedz coś! Zrób coś! Błagam cię!

Choć raz ojciec Richarda stanął po jego stronie.

- Jim, żadne z tych rozwiązań nie będzie skuteczne. Wywiezienie Williama Henry'ego z Bristolu będzie się wiązało z wynajęciem dorożki, a skąd wiesz, kto tam przedtem siedział? Lub kto mógłby być na promie w Rownham Meads? A w jaki sposób moglibyśmy go odizolować w tawernie? To nie jest kościół St. James's w niedzielę, choćby nie wiem jak było

tam gwarno. Różni ludzie przekraczają moje progi. Nie, Jim, to musi być szczepionka.

- W takim razie niech to będzie na waszą odpowiedzialność! - wykrzyknął kuzyn James aptekarz, wypadając z domu i załamując ręce. Następnie udał się do znajomego doktora, żeby go wypytać, gdzie mógłby znaleźć ofiarę ospy, która osiągnęła etap pęknięcia pęcherzy. Nie było to takie trudne - ludzie nagminnie zapadali na tę chorobę, większość z nich miała poniżej piętnastu lat.

- Módl się za mnie - poprosił kuzyn James aptekarz swego przyjaciela doktora, przykładając zwykłą igłę do szycia do ropiejącej rany na twarzy dwunastoletniej dziewczynki i obracając na wszystkie strony w celu dokładnego pokrycia jej ropą. Och, ty biedulko! Kiedyś była to śliczna buzia, ale już nigdy taka nie będzie. - Módl się za mnie - powtórzył i podnosząc się, położył mokrą igłę na wyściółce z ligniny w małym cynowym pudełeczku. - Módl się, żebym nie popełnił za chwilę morderstwa.

Pośpieszył natychmiast do znajdującej się nieopodal tawerny „Pod Bednarzem”. Tam, trzymając na wpół nagiego Williama Henry’ego na kolanach, wyciągnął igłę z pudełka i przyłożył jej szpic do - och, w którym miejscu miał wykonać to śmiertelne ukłucie? I to w dodatku publicznie, pośród stałych bywalców siedzących na swoich miejscach. Pan Thistlethwaite popisywał się, wsysając powietrze przez zęby, a Morganowie otoczyli go kołem, tak jakby chcieli powstrzymać go od ucieczki, gdyby coś takiego przyszło mu do głowy. I nagle było już po wszystkim. Uszczypnął Williama Henry’ego w ramię tuż poniżej lewego barku, wepchnął igłę w fałdę ciała, po czym wyciągnął ją jakiś cal dalej.

William Henry nawet się nie wzdrygnął ani nie zapłakał. Zwrócił tylko swe duże, niezwykle oczy na spoconą twarz kuzyna Jamesa, jakby zdawał się pytać - dlaczego to zrobiłeś? To bolało!

„Och, czemu, och, czemu? Nigdy nie widział takich oczu u niemowlęcia! Nie zwierzęce to oczy, ale też i nie ludzkie. Doprawdy to dziwne dziecko”.

Wyczałował więc twarz Williama Henry’ego, otarł własne łzy, schował igłę do pudełka, aby ją później spalić w jednym ze swych najgorętszych pieców, i oddał Williama Henry’ego Richardowi.

- Zrobione. A teraz idę się pomodlić. Bynajmniej nie za duszę Williama Henry’ego - które to bowiem dziecko musi obawiać się płam na swojej duszy? Idę się modlić za własną, popełniłem bowiem morderstwo. Macie tu trochę octu i olej smołowy? Chcę umyć ręce.

Mag wyciągnęła mały dzbanek octu, butelkę oleju smołowego, miednicę i czystą szmatę.

- Przez trzy czy cztery dni nic się nie będzie działo - powiedział, szorując ręce - ale

potem, jeśli szczepionka się przyjmie, dziecko zacznie gorączkować. Jeśli się przyjmie w odpowiednim stopniu, to gorączka nie będzie złośliwa. A po jakimś czasie miejsce nakłucia samo zacznie się jątrzyć, utworzy się ropień, który w końcu pęknie. Jak wszystko dobrze pójdzie, będzie tylko jeden. Nie mogę jednak mieć tej pewności i wcale nie jestem wam wdzięczny za to, że właśnie do mnie zwróciliście się z tą prośbą.

- Jesteś najlepszym człowiekiem w całym Bristolu, kuzynie Jamesie! - wykrzyknął pan Thistlethwaite jowialnie.

Kuzyn James aptekarz zatrzymał się w progu.

- Ja tam żadnym pańskim kuzynem nie jestem, panie Thistlethwaite. Pan nie ma krewnych. Nawet matki - powiedział lodowatym tonem, poprawił perukę na głowie i wyszedł.

Właściciel karczmy zatrząsał się ze śmiechu.

- Ale ci przygadał, Jem!

- Aha - wykrzywił się Jem, wcale tym nie zmieszany. - Nic się nie bój! - zwrócił się do Richarda. - Bóg nie miałby odwagi obrazić kuzyna Jamesa.

Chociaż Richard spacerował o wiele dłużej, aniżeli trwały jego modły, wrócił do tawerny „Pod Bednarzem” akurat na czas, by zdążyć jeszcze pomóc przy wydawaniu kolacji. Tego wieczoru serwowano zupę z kaszą jęczmienną na prędze wołowej i tłustymi pyzami na boczku, prażącymi się w niej na wolnym ogniu, oraz tradycyjny chleb, masło, ser i ciasto oraz trunki dla wzmocnienia.

Panika osłabła i Broad Street powróciła do normalnego wyglądu poza tym, że John - Samuel Adams i John Hancock nadal wisieli na szyldzie Amerykańskiej Izby Handlu Kawą. „Zostaną tam pewno - pomyślał Richard - dopóki czas i wiatr nie rozwieje tego, czym są wypchani, na wszystkie strony, aż nie pozostanie po nich nic oprócz obwisłych szmat”.

Skinąwszy ojcu głowę, kiedy obok niego przechodził, Richard wdrapał się do tylnego pokoju na poddaszu, który Dick wydzielił podług ówczesnego zwyczaju - paroma deskami od podłogi prawie do sufitu, nie zaczopowanymi ściśle i przyległe jak wręgi na statku, lecz raczej trzymającymi się razem dzięki kilku podpórkom. Między deskami było więc mnóstwo szczelin - niektóre z nich na tyle duże, że można było do nich przyłożyć oko.

W pokoju Richarda i Peg na tyłach poddasza znajdowało się wspiane małżeńskie łóżce, z grubymi lnianymi zasłonami zawieszonymi wokół niego na szynach łączących cztery wysokie słupy, kilka kufrów na ubrania, szafka na buty i trzewiki, lustro dla Peg na jednej ze ścian, aby mogła się przed nim stroić, oraz tuzin kołków i wreszcie kołyska Williama Henry'ego na specjalnych biegunach. Nie było w nim tapet za piętnaście szylingów za metr

ani kotar z adamaszku czy też dywanów na dębowej podłodze, tak starej, że poczerniałej już dwa stulecia temu. Był to jednak przyjemny pokój, taki jakie widywało się w każdym domu prowadzonym na podobnym poziomie, należącym do średniej klasy.

Peg siedziała przy kołysce, popychając ją lekko.

- Jak on się miewa, kochanie? Spojrzała na niego zadowolona.

- Przyjęła się. Ma gorączkę, ale ta go nie spała. Kiedy byłeś na spacerze, przyszedł tu kuzyn James aptekarz i wydawało się, że bardzo go to uspokoiło. Uważa, że William Henry wydobrzeje, nie zapadając na pełną ospę.

Richard zauważył, że William Henry spał na prawym boczku, z bolącym ramieniem ułożonym wygodnie na piersi. W miejscu, gdzie igła przeszła przez ciało, utworzyła się duża obwódka. Zbliżywszy do niej dłoń, Richard czuł promieniujący z niej żar.

- To za wcześnie! - wykrzyknął.

- Kuzyn James mówi, że często tak bywa po szczepieniu.

Richard poczuł taką ulgę na wieść o tym, że jego syn przeżył tę ciężką próbę, że zaczęły mu się trząść kolana. Podeszedł do haka na ścianie i ściągnął z niego swój sztywny brezentowy fartuch.

- Muszę zejść pomóc ojcu. Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! - Skacząc ze schodów, nadal Mu dziękował, zapomniawszy zupełnie, że dopóki nie ujrzał ropnia tworzącego się na ramieniu Williama Henry'ego, nie liczył na jakąkolwiek pomoc bożą.

W miejscach takich jak tawerna „Pod Bednarzem”, odprężająca atmosfera długich letnich wieczorów przynosiła ze sobą korzyści. Stałą klientelą tawerny byli szacowni ludzie, którzy zarabiali więcej, aniżeli potrzeba było na podstawowe wyżywienie - przede wszystkim kupcy i rzemieślnicy, którym towarzyszyły ich żony i dzieci. Za trzy lub cztery pensy na głowę mogli kupić mnóstwo smacznego jedzenia i duży kufel cienkuszki, a dla tych, co woleli pełne piwo, rum czy jałowcówkę albo też bristolskie mleko - rodzaj białego wina, które lubiły kobiety - następne sześć pensów wystarczało, aby rozweselić się na tyle, by paść do łóżek i zasnąć zaraz po dotarciu do domu. Zapewniało to również bezpieczeństwo przed rozbójnikami i bandami najemników wyłapującymi mężczyzn do przymusowego zatrudnienia na statkach, gdy zapadający późno zmierzch trzymał ciemności na wodzy.

Richard zszedł do tego towarzyskiego klubu, skąpanego w złotej poświacie promieni zachodzącego słońca i tych padających z oliwnych lamp, przytwierdzonych do wystających nagich belek na ścianach i suficie, czerniejących na tle olśniewającej bieli tynku. Jedyna przenośna lampa paliła się na kontuarze obok miejsca, w którym stał gospodarz, naprzeciwko Gingera - najsłynniejszej atrakcji tawerny.

Ginger był dużym drewnianym kotem, którego Richard wyrzeźbił, przeczytawszy o Starym Tomie w Londynie - chełpiąc się przy tym, że udoskonał oryginał. Stał w poprzek na deskach, blisko pijących, rudy, pręgowany i z zakręconym figlarnie ogonem. Jeśli któryś z klientów pragnął się napić miarkę rumu, wkładał mu trzypensówkę do pyszczka na ruchomy język, który opadał wówczas z głuchym klekotem. Następnie podkładał kufel pod dwa realistycznie przedstawione jądra i pociągał za ogon. Kocur natychmiast „siusiał” do niego dokładnie ćwierć kwaterki rumu.

Naturalnie starsze dzieci były najczęstszymi jego użytkownikami. Wielu ojców i matek bywało zbałamuconych do wypicia większej ilości rumu, aniżeli chcieli, dla zwykłej przyjemności wrzucenia monety do pyszczka Gingera, pociągnięcia go za ogon i patrzenia, jak susia strumieniem rumu. Gdyby Richard już niczego więcej nie dokonał dla tawerny „Pod Bednarzem”, to wystarczyłoby, aby udowodnił ojcu, że okazana mu szczodrość i decyzja przyjęcia go do wspólnych interesów była słuszna.

Richard przechadzał się po pokrytej wiórami podłodze, z drewnianymi misami pełnymi dymiącego rosółu, rozłożonymi niepewnie wzdłuż obu ramion, rozmawiając ze wszystkimi z promienną twarzą i opowiadając im o optymistycznych rokowaniach dla Williama Henry’ego.

Pana Thistlethwaite’a już tam nie było. Przyszedł o jedenastej rano i siedział do piątej przy „swoim” stole pod oknem, na którym leżał kałamarz, a także parę gęsich piór (ale papier to już może sobie sam kupić - mawiał dosadnie Dick Morgan), i pisał paszkwile. Drukowała je potem księgarnia Sendalla przy Wine Street i tam też je sprzedawano, choć pan Thistlethwaite miał również i inne rynki zbytu przy paru straganach w Pie Powder Court i przy Horse Fair, na tyle daleko od Sendalla, aby nie szkodzić mu w interesach. Sprzedawały się wyjątkowo dobrze, gdyż znać w nich było prawdziwy talent literacki i rzadką umiejętność stosowania dosadnych epitetów. Celem jego ataków bywali zazwyczaj urzędnicy władz miejskich, począwszy od burmistrza po naczelnika urzędu celnego i szeryfa, albo też osobistości duchowne szerzące pluralizm i ci, którzy przewodniczyli sądom. Jednak dlaczego tak się wziął na Henry’ego Burguma, właściciela cynowni, było dla wszystkich tajemnicą - o, bez wątpienia Burgum był łotrem najgorszego gatunku, lecz cóż on takiego zrobił panu Thistlethwaite’owi?

I tak minęła pora obiadowa, pozostawiając wrażenie ogólnej sytości i wesołości, aż punktualnie o ósmej - według starego zegara wiszącego na ścianie tuż obok tabliczki - Dick Morgan zastukał:

- Proszę o uiszczenie rachunków, panowie!

Po czym z zadowalająco ciężką blaszaną puszką odprowadzał ostatniego pędraka do drzwi i zamykał je na zasuwę. Gotówka wędrowała z nim potem na górę i była składana pod jego własnym łóżkiem, ze sznurkiem wiodącym od jej uchwyty i przywiązywanym do palca u nogi. W Bristolu było więcej złodziei, niż pozwalała na to przyzwoitość, a niektórzy z nich byli niezwykle uzdolnieni. Rankiem przesypywał monety do lnianego worka i zabierał go do Banku Bristolskiego przy Smali Street, przedsiębiorstwa kierowanego między innymi przez Harforda, Amesa i Deane'a. Bez względu na to, w którym z bristolskich banków ulokowało się pieniądze, w każdym z nich zawsze pilnowali ich kwakrowie.

William Henry spał twardo na prawym boczku. Richard przysunął kołyskę bliżej do łóżka, zdjął fartuch, swą obszerną, białą bawełnianą koszulę, płócienne spodnie, buty i grube, białe bawełniane skarpety oraz flanelowe kalesony. Następnie nałożył bawełnianą koszulę, którą Peg zostawiła na poduszce, rozwiązał tasiemkę, która spinała jego długie loki i naciągnął na nie ciasną szlafmycę. Później z westchnieniem wślizgnął się do łóżka.

Dwa różnego rodzaju pochrapywania dobiegały przez szczeliny przepierzenia pomiędzy ich pokojem a frontowym, w którym spali Dick i Mag, ale bynajmniej nie jak zabici! Pochrapywania te były kwintesencją życia. Dick wydawał z siebie donośne pomruki, podczas gdy Mag poświstywała i pogwizdywała. Uśmiechając się do siebie, Richard przewrócił się na bok i znalazł Peg, która przylgnęła do niego pomimo upalnej nocy i zaczęła całować go w policzek. Richard ostrożnie uniósł poły własnej i jej koszuli, a potem przywarł do Peg, zamykając dłonie na jednej z jędrnych, sterczących piersi.

- Och, Peg, jakże ja cię kocham! - szepnął. - Nigdy jeszcze żaden mężczyzna nie był obdarowany taką żoną!

- I żadna kobieta nie może poszczycić się lepszym mężem, Richardzie.

W całkowitej zgodności pocałowali się głęboko, a ona ocierała się swym wżgórkim o jego nabrzmiały członek i pomrukiwała z rozkoszy.

- Być może - wymamrotał później w półśnie - William Henry wkrótce będzie miał braciszka albo siostrzyczkę. - I zasnął, ledwo zdoławszy wypowiedzieć te słowa.

Choć równie zmęczona jak on, Peg szarpała za poły jego koszuli dopóty, dopóki całkowicie nie okryły jego ciała, a następnie poprawiła własną bieliznę, wycierając jej końcem mokrą plamę w kroczu. „Och - pomyślała - żeby matka i ojciec tak nie chrapali! Richard nie chrapie i z tego, co mi mówi, ja też nie. Choć z drugiej strony pochrapywania te oznaczają, że śpią i że nas nie słyszą. I dziękuję ci, najdroższy Boże, że byłeś taki łaskawy dla mojego małego chłopczyka. Wiem, że jest taki dobry, że pewno chciałbyś, żeby został ozdoba

Nieba, ale on jest ozdobą tej ziemi i powinno się mu dać szansę. Och, czemuż, o czemu, mój najdroższy Boże, mam takie przeczucie, że nie będę miała więcej dzieci?”

Czuła to bowiem i było to dla niej udręką. Trzy lata czekała, zanim zaszła w ciążę pierwszy raz, potem upłynęły następne trzy lata, zanim udało się to po raz drugi. Nie, żeby źle nosiła ciążę czy chorowała albo uskarżała się na spazmy i skurcze. Po prostu w głębi duszy wiedziała, że z łona jej uleciała wszelka płodność. Nie było w tym winy Richarda. Wystarczyło, że spojrzała na niego zalotnie z ukosa, on zawsze jej pragnął i - z wyjątkiem okresu choroby dziecka - brał ją, gdy tylko weszli do łóżka. Taki był z niego delikatny kochanek! Taki dobry i rozważny człowiek. Jego własne zachcianki i rozkosze były dla niego mniej ważne aniżeli pragnienia ludzi, na których mu zależało. A zwłaszcza jej i Williama Henry'ego. I Mary. Łza spadła jej na poduszkę, a za nią potoczyły się inne, coraz szybciej. „Dlaczego nasze dzieci muszą umierać przed nami? To niesprawiedliwe. Ja mam lat dwadzieścia i pięć, a Richard dwadzieścia i siedem. A mimo to straciliśmy już naszą pierworodną i tak mi jej brak! Och, jakże ja za nią tęsknię! Jutro - pomyślała senna, ocierając łzy - pójdę na cmentarz do St. James's i położę na jej grobie kwiatki. Wkrótce nadejdzie zima i nic już nie będzie rosło”.

Nastala zima, zwyczajna, ponura bristolska mgła, mżawka, wilgotne zimno, które przenikało do kości, ale bez mrozów, które często skuwały Tamizę i inne rzeki wschodniej Anglii. Przyptyw na rzece Avon podnosił się i opadał nadal o trzydzieści stóp, równie rytmicznie i zgodnie z przewidywaniami jak w lecie.

Czasami docierały wiadomości o wojnie z trzynastoma koloniami, na ogół z dużym opóźnieniem. Sir Thomasa Gage'a zastąpił na stanowisku naczelnego wodza Jego Brytyjskiej Wysokości sir William Howe i mówiono powszechnie, że buntowniczy Kongres Kontynentalny przypochebiał się Francuzom, Hiszpanom i Holendrom w poszukiwaniu pieniędzy i sojuszników. Odwet króla był zgodny z oczekiwaniami - w okresie świąt Bożego Narodzenia parlament zabronił handlu z trzynastoma koloniami i ogłosił, że znajdują się poza protektoratem Korony. Dla Bristolu były to bardzo złe wieści.

Pośród wpływowych bristolczyków byli tacy, którzy pragnęli pokoju za wszelką cenę, włącznie z przyznaniem amerykańskim buntownikom tego, czego żądali. Byli też tacy, którzy - choć uważali, że buntownicy zostali dotkliwie pokrzywdzeni - domagali się zachowania ciągłości brytyjskiego imperium, obawiali się bowiem, że jeśli Anglia pozostawi tysiąc mil ogołoconego wybrzeża, powrócą tam Francuzi, a za nimi Hiszpanie. Byli i tacy, co z oburzeniem wyklinali buntowników od zdrajców - którzy zasłużyli sobie na to, żeby ich

obnażyć i poćwiartować po powieszeniu - i nie chcieli słyszeć o najdrobniejszych choćby ustępstwach. Naturalnie ta ostatnia grupa miała największe wpływy na królewskim dworze w St. James's Court, jednakże wszystkie te ugrupowania dyskutowały zarówno w salonach najwykwintniejszych domów, jak i przy piwie i turkawce „Pod Białym Lwem”, „Pod Wiechą” czy też w karczmie „Pod Pióropuszem”.

Grupa wpływowych bristolczyków była jednak nieduża, większość mieszkańców wiedziała tylko tyle, że jest coraz trudniej o pracę, że coraz więcej statków cumuje na stałe przy molu i na tyłach portu oraz że nie jest to odpowiedni moment, aby strajkować o podwyżkę o jednego pensa za dniówkę. A ponieważ parlament wiedział dobrze, jak wydawać pieniądze, lecz nie przeznaczał ich na zasiłki dla potrzebujących, obowiązek opieki nad rosnącą liczbą bezrobotnych spadł na parafie - przyjąwszy naturalnie, że byli parafianami zapisanymi w rejestrach. Wszystkie parafie otrzymywały po siedem funtów rocznie z każdego budynku płacącego czynsz władzom miejskim i z tego właśnie pochodziła pomoc dla ubogich. Pod jednym wszakże względem Bristol różnił się od wszystkich pozostałych angielskich miast - wyższe warstwy społeczne skłaniały się z niewiadomych przyczyn w stronę imponującej filantropii, tak za życia, jak również w zapisach testamentowych. Być może jedną z przyczyn było to, że posiadanie przytułków, domów dla biednych, szpitali i szkół nazwanych imieniem fundatora gwarantowało pewien prestiż, nigdy bowiem nie były to arystokratyczne nazwiska. Jeśli chodzi o urodzenie i pochodzenie, bristolskie sfery wyższe były raczej mierne. Lord Clare - czyli dawniej Robert Nugent, kierownik szkoły - był arystokratą na miarę bristolskich wyższych sfer. Bristolska siła opierała się na pieniądzu.

I tak nadszedł rok 1776. Data ta była czymś w rodzaju wiszącego cienia, dostrzegalnego jedynie kątem oka. Wszyscy zakładali, że do tego czasu flota królewska i królewska armia zdołają wygasić ostatnie zarzewia rewolucji od New Hampshire po Georgię. Jednakże nie nadchodziły żadne wiadomości o tym chwalebnym wydarzeniu, choć ci, którzy potrafili czytać - a w Bristolu, świadomym konieczności edukacji i świadczenia jałmużny, była to całkiem pokaźna liczba - zaczęli bywać w zajazdach i oczekiwać na dyliżanse z Londynu, na londyńskie gazety i zumale.

Tawerna „Pod Bednarzem” brała udział w tym powszechnym zaciskaniu pasa i ze smutkiem każdego tygodnia zauważano braki w szeregach stałych bywalców. Wydatki zmniejszały się jednak proporcjonalnie do kurczącej się nieustannie klienteli. Mag gotowała o wiele mniej, Peg przynosiła coraz mniej bochenków chleba od piekarza Jenkinsa, a Dick kupował o wiele więcej ohydnej jałowcówki aniżeli drogiego, aromatycznego rumu Cave'a. - Nie chcę, żeby to zabrzmiało niełojalnie - zauważyła Peg pewnego styczniowego dnia, kiedy

zapowiedź śnieżycy opustoszyła tawernę - ale pewno niektórzy z tych ludzi mieliby co jeść, gdyby trochę mniej pili.

Dick obdarzył Richarda lodowatym spojrzeniem, ale się nie odezwał.

- Kochanie - odparł Richard, zabierając Williama Henry'ego z rąk matki - tak to już bywa na tym świecie, ale dzięki temu zdołaliśmy odłożyć trochę pieniędzy. Bądź więc cicho i nie mów o braku lojalności. Mężczyźni i kobiety mogą dobrowolnie wybierać, co wrzucają do żołądka. Niektórzy mogą się obejść bez codziennej kwaterki rumu czy jałowcówki, ale dla innych ból wynikający z jej braku byłby zbyt trudny do zniesienia. - Wzruszył ramionami, zmierzwił ciemne loki Williama Henry'ego i uśmiechnął się do tych zdumiewających, bursztynowych oczu, nakrapianych ciemnobrązowymi punkcikami. - Każdy cierpi inaczej, Peg.

Pod koniec stycznia liczba statków nie spełniła oczekiwań. Sympatia dla sprawy rebeliantów zaczęła zamieniać się w coraz silniejszą urazę. Zjednoczone Stronnictwo przy tawernie „Pod Wiechą” - zajmujące się niegdyś zasypywaniem króla petycjami w sprawie zaprzestania nakładania podatków i prób zarządzania koloniami z daleka - upokarzająco milczało. W tawernie „Pod Białym Lwem” torysi ryczeli coraz głośniejsze, zasypując króla formalnymi zapewnieniami o swojej wierności i poparciu, dopłacając do formowania lokalnych pułków i coraz częściej zadając pytania na temat dwóch posłów parlamentu z partii wigów, reprezentujących Bristol - Irlandczyka Edmunda Burke'a i Amerykanina Henry'ego Crugera.

Oto - twierdziło Towarzystwo Nieugiętych - Bristol krwawi już od trwającej blisko rok wojny, z parlamentarnym zespołem wigów złożonym z Irlandczyka o złotym języku i Amerykanina o ołowianym. Sentymenty ulegały zmianie, uczucia gorzkniały. Niechże wreszcie skończą się te odległe o trzy tysiące mil kłopoty i niech głównym problemem dnia staną się zwykłe, codzienne interesy. I do diabła z tymi buntownikami!

Szesnastego stycznia w nocy, w trakcie odpływu, ktoś podpalił statek „Savannah La Mar”, który cumował przy nadbrzeżu Broad Quay, niedaleko Old Nick Entrance, pełen towarów dla portu w Jamajce. Wysmarowano go smołą, olejem oraz terpentyną i ocalał jedynie dzięki wyjątkowemu szczęściu. Zanim zdążyły przyjechać dwie miejskie straże pożarne wraz z cysterną o pojemności czterdziestu galonów wody, kilkuset wzburzonych marynarzy i mieszkańców doku opanowało ogień, tak że nie zdążył wyrządzić poważniejszych szkód.

Nad ranem urzędnicy portowi i komornicy odkryli, że „Fame” i „Hibernia” - jeden na północ, a drugi na południe od „Savannah La Mar” - również zostały oblane środkami łatwopalnymi i podpalone. Z niewiadomych powodów oba statki zaledwie się zatliły.

- Pieniactwo w Bristolu! Całe nadbrzeże portowe mogło pójść z dymem, a potem składy i wreszcie całe miasto - powiedział Dick do Richarda, kiedy tylko wrócił z portu. - I to w trakcie odpływu! Nic nie byłoby w stanie powstrzymać ognia zajmującego statek po statku! O Chryste, Richard, to mogłoby się skończyć tak źle jak Wielki Pożar w Londynie! - I wzdrygnął się na te słowa.

Nic tak nie przerażało ludzi jak pożar. Nie można było tego porównać nawet z wyczynami najgorszych górników z Kingswood; rozwścieczony tłum był niczym w porównaniu z ogniem. Tłumy składały się z kobiet, mężczyzn oraz wlokących się za nimi dzieci, podczas gdy ogień był karzącą ręką Boga, otwarciem piekielnych bram.

Osiemnastego stycznia kuzyn James aptekarz, z twarzą pobladłą niczym popiół, wprowadził w drzwi domu Dicka Morgana swą zapłakaną żonę i te dzieci, które jeszcze mieszkały w domu.

- Czy możesz się zaopiekować Anną i dziewczynkami? - zapytał, trzęsąc się cały. - Nie potrafię ich przekonać, że nasz dom jest bezpieczny.

- Wielki Boże, Jim, o co tu chodzi?

- Ogień. - Złapał się za kontuar dla zachowania równowagi.

- Napij się - powiedział Richard, podając mu kufel najlepszego rumu, podczas gdy Mag i Peg krzętały się wokół jęczącej Anny.

- Jej też daj jednego - poradził Dick, kiedy pan Thistlethwaite przerwał pisanie, żeby się do nich przyłączyć. - No to opowiedz nam teraz wszystko, Jim.

Dopiero po wypiciu całej kwaterki kuzyn James aptekarz uspokoił się na tyle, aby móc mówić.

- W środku nocy ktoś wyłamał drzwi w moim głównym składzie, a wiesz przecież, Dick, jak są mocne, ile mają łańcuchów i kłódek. Dobrał się do mojej terpentyny, polał nią skrzynię, a potem wypełnił ją pakułami, również nasączonymi terpentyną. Następnie postawił skrzynię koło pojemników z olejem lnianym i podpalił ją. Naturalnie nikogo tam nie było. Nikt go nie widział, ani jak wchodził, ani jak wychodził.

- Nie rozumiem! - wykrzyknął Dick, pobladły tak jak jego kuzyn. - Jesteśmy na rogu Bell Lane i przysięgam ci, że niczego nie słyszałem, niczego nie widzieliśmy ani nie czuliśmy!

- Bo się nie zajęła - wyjaśnił kuzyn James aptekarz dziwnym głosem. - Mówię ci,

Dick, nie zapaliła się! A powinna! Znalazłem tę skrzynię po przyjsciu do pracy. Z początku myślałem, że ktoś wyłamał drzwi z powodu opiatów albo też bardzo potrzebne mu były jakieś lekarstwa, ale gdy tylko wszedłem do środka, poczułem terpentynę. - Szaroniebieskie oczy, charakterystyczne dla rodziny Morganów, pały jakby blaskiem wizjonera. - To cud! - wykrzyknął. - To cud! Bóg okazał nam miłosierdzie, więc dam tysiąc funtów w kościele St. James's do puszki dla ubogich.

Nawet na panu Thistlethwaite zrobiło to wrażenie.

- To wystarczy, abym żałował, że nie piszę panegiryków, kuzynie Jamesie, bo mógłbym wówczas umieścić twoje nazwisko w hymnie. - Zmarszczył brwi. - Ale pachnie mi tu czymś podejrzanym, jak Boga kocham. „Savannah La Mar”, „Hibernia” i „Fame” należą do „Lewsley”, która jest amerykańską firmą. „Lewsley” znajduje się tuż obok ciebie na Bell Lane. Być może podpalacz wyłamał niewłaściwe drzwi. Na twoim miejscu powiedziałbym o tym Lewsleyowi - to jest spisek torysów, żeby się pozbyć z Bristolu amerykańskich pieniędzy.

- Ty wszędzie widzisz torysów, Jem - uśmiechnął się Richard.

- W każdym razie torysi maczają palce we wszystkim, co podłe. - Pan Thistlethwaite zasiadł z powrotem przy swoim stoliku, przewracając oczyma z powodu hysterii kobiet. - Wolałbym, żebyś je odesłał do domu, Dick. Zostaw tam Richarda z jednym z moich pistoletów - masz, weź go, Richardzie. Potrafię się obronić jednym. Domagam się jednak ciszy. Muza skinęła na mnie i mam teraz nowy temat do pisanania.

Nikt nie zwrócił na to uwagi, lecz w miarę jak zaczęła napływać regularna klientela na południowy posiłek i dociekano, co zaszło w składzie leków Morgana, Richard postanowił zastosować się do rady pana Thistlethwaite'a. Z jego pistoletem w jednej kieszeni płaszcza i tuzinem naboju w drugiej odprowadził Annę Morgan i jej dwie przygnębiająco brzydkie córki z powrotem do ich okazałego domu w St. James's Barton. Tam usiadł na krześle w korytarzu, aby odpierać napady podpalaczy.

W ciągu zaledwie dwóch dni, od czwartku do soboty, cały Bristol wpadł w panikę. Stróże oraz specjalnie mianowani policjanci dokładali wszelkich starań, latarnie zapalano bowiem już o piątej po południu - w tych paru miejscach, gdzie były zainstalowane - a lampiarze zabrali się do pracy ze swymi drabinkami i napełniali zbiorniki oliwy, co przedtem rzadko czynili. Ludzie wcześniej i pośpieszniej wracali do domów i narzekali, że jest zima, bo w powietrzu unosił się zapach palącego się drzewa. Tej sobotniej nocy mało kto w ogóle spał.

Dziewiętnastego, w niedzielę, cały Bristol z wyjątkiem Żydów zgromadził się w kościele, aby błagać Boga o miłosierdzie, żeby oddał tego sukinsyna z piekła rodem w ręce

wymiaru sprawiedliwości. Kuzyn James duchowny, wyśmieniony kaznodzieja nawet wtedy, gdy nie był w formie, dał z siebie wszystko, tak iż kazanie to niektórzy członkowie kongregacji kościoła St. James's określili potem jako zdecydowanie jezuickie, a inni znowu uznali za alarmująco metodystyczne.

- Jeśli mam być szczery - stwierdził Dick, do którego zaadresowano jedną z tych uwag - to nic mnie nie obchodzi, czy wielebny przemawia jak jezuita czy też jak metodysta. Jeśli mamy spać spokojnie w swoich łóżkach, to ten podpalacz powinien zadyndać na sznurze. A poza tym ojciec wielebnego był normalnym kaznodzieją, takim z gatunku siarki i ognia, czyż nie pamiętacie? Wygłaszał kazania do górników na otwartym powietrzu w Crew's Hole.

- Towarzystwo Nieugiętych winą za to obarcza amerykańskich kolonistów.

- Mało prawdopodobne! Amerykańscy koloniści bardziej wyglądają na ofiary - odpowiedział Dick, kończąc temat.

Nad ranem w nocy z niedzieli na poniedziałek Richard obudził się, wyrwany nagle z niespokojnego snu.

- Tata, tata! - wołał głośno ze swego łóżeczka William Henry. Wyskoczywszy w mgnieniu oka z łóżka, Richard zapalił świecę za pomocą hubki i krzesiwa i z bijącym sercem pochylił się nad siedzącym prosto dzieckiem.

- Co się stało, synku? - szepnął.

- Ogień - powiedział wyraźnie William Henry.

Tylko jego obsesyjny strach o zdrowie syna mógł sprawić, że od razu nie poczuł, że cały pokój jest pełen dymu.

W nagłych wypadkach działał szybko i sprawnie, zachowywał Przytomność umysłu. Jednym krzyknięciem obudził ojca, wkładając już ubranie i buty. Gotowy, nie czekał nawet na Dicka, tylko zbiegł ze schodów ze świecą, złapał dwa wiadra, otworzył drzwi tawerny i poślizgnął się na chodniku mokrym od mżawki. Gdy dobiegł do rogu Bell Lane, stanął jak wryty. Inni również się zbierali. Składy zespołu budynków należących do firmy „Lewsley & Co.” stały w płomieniach, języki ognia lizały szpary w łupkowych dachówkach, wąski i brudny obszar Bell Lane pulsował czerwienią. Ryk i syk płomieni ogłuszył go - hiszpańska wełna, zboże, pojemniki z oliwą z oliwek podsycaly ogień, który pożerał je lepiej aniżeli terpentynę i pakuły.

Ze wszystkich stron zbiegali się mężczyźni uzbrojeni w wiadra i ustawiali w kilku szeregach na odcinku od rzeki Froom przy Key Head, aż po składy firmy „Lewsley”. Nie był to jeszcze czas pełnego przypiływu ani też całkowitego odpływu, toteż zanurzanie wiader w wodzie i podawanie ich dalej okazało się względnie prostą sprawą. Ta szaleńcza walka z

pożarem zdołała ograniczyć ogień do zabudowań firmy „Lewsley” i pół tuzina domów czynszowych. Zespół budynków należących do kuzyna Jamesa aptekarza, znajdujący się tuż obok, ocalał bez szwanku. Nikt nie zginął - najwidoczniej podpalaczowi bardziej zależało na zniszczeniu nieruchomości aniżeli na pozbawianiu kogoś żywota. Mieszkańcy spalonych domów czynszowych zdołali uciec na czas z zawodzącymi dziećmi, ściskając w rękach swój niewielki dobytek.

Umorusany sadzą Richard wrócił do tawerny „Pod Bednarzem”, gdy tylko szeryf i jego pachołkowie orzekli, że Bell Lane jest już bezpieczna. Oba jego wiadra gdzieś zaginęły i Bóg tylko wiedział, kto i dokąd je zabrał. Ojciec i kuzyn James aptekarz siedzieli razem przy stole, obaj zmęczeni i utrudzeni. Należeli do starszego pokolenia, usiłowali dotrzymać innym kroku, lecz w końcu z wdzięcznością oddali wiadra młodszym mężczyznom, którzy zbiegli się z odległych części miasta, żeby przyłączyć się do akcji ratowniczej.

- Jutro będzie wielki popyt na wiadra, Richardzie - odezwał się Dick, nalewając synowi kufel piwa. - Wobec tego zamierzam być u bednarza skoro świt, żeby kupić tuzin nowych wiader. W jakimże to my żyjemy dzisiaj świecie!

- Dick - odezwał się kuzyn James aptekarz z wyrazem radosnego uniesienia na twarzy. - Po raz wtóry w ciągu jednego dnia Bóg ocalił mnie i moich najbliższych! Czuję się... czuję się tak, jak Paweł musiał się czuć w drodze do Damaszku.

- Nie widzę w tym wszystkim żadnego podobieństwa - zauważył Richard, chciwie gasząc pragnienie. - Przecież ty nigdy nie prześladowałeś wiernych, kuzynie Jamesie.

- Nie, Richardzie, ale doznałem objawienia. Dam każdemu więźniowi w bristolskim więzieniu Newgate i w Bridewell po szylingu w podzięcie dla Boga.

- Och! - mruknął Dick. - Ależ zrób to, jeśli chcesz, pamiętaj jednak, że oni i tak wydadzą to na alkohol w więziennej piwiarni.

Ich rozmowę słychać było na górze - Mag i Peg zeszły więc do nich dobrze okryte, Peg z błyszczącymi oczyma trzymała w ramionach Williama Henry'ego.

- O, już po wszystkim i jesteś bezpieczny!

Richard odłożył kufel i podszedł, aby wziąć od niej dziecko, które od razu przywarło do niego.

- Ojczy, to William Henry mnie obudził. Powiedział „ogień”, tak jakby wiedział, co to oznacza.

Kuzyn James aptekarz wpatrywał się w Williama Henry'ego w zamyśleniu.

- Rzucono na niego zaklęcie. Wróżki roszczą sobie do niego prawo. Peg zachłysnęła się.

- Ależ, kuzynie Jamesie, nie mówcie takich rzeczy. Jeśli należy do wrózek, to pewnego dnia mi go zabiorą.

„Tylko bez tych fantazyjnych wiejskich zabobonów - pomyślał kuzyn James aptekarz, podnosząc się wolno i z trudem prostując nogi - oznacza to, że sama matka Williama Henry’ego zdaje sobie sprawę z jego odmienności. Prawdą jest bowiem, że nigdy nie powinien przeżyć tego szczepienia”.

Podpalacz nie zakończył na zniszczeniu „Lewsley & Co.” W poniedziałek, zaraz po pożarze, pochodnie podobne do tych, jakie podpaliły amerykańską firmę, znaleziono w tuzinie innych amerykańskich firm lub zakładów mających powiązania ze składami i fabrykami będącymi w posiadaniu Amerykanów. We wtorek spłonęła rafineria cukru Aldermana Barnesa, której właściciel utrzymywał kontakty z Amerykanami. Do tego czasu cały Bristol czekał w pogotowiu, spodziewając się kolejnych podpaień, wobec tego zarzewie stłumiono, zanim zdołało spowodować wielkie zniszczenia. Trzy dni później ponownie podpalono cukrownię Aldermana Barnesa i ponownie zdołano ją ocalić.

Politycznie rzecz biorąc, obie strony usiłowały na tej sytuacji zarobić - torysi oskarżali wigów, a wigowie torysów. Edmund Burke dał pięćdziesiąt funtów nagrody za jakąkolwiek informację, Przedsiębiorstwa Spekulacji Handlowych dorzuciły do tego jeszcze pięćset funtów, a król dodał kolejny tysiąc. A ponieważ tysiąc pięćset pięćdziesiąt funtów stanowiło sumę większą, aniżeli większość mieszkańców mogłaby zarobić w ciągu całego życia, cały Bristol zamienił się w detektywów i wkrótce mrugnięto porozumiewawczo okiem w stronę prawdopodobnego podejrzanego - choć naturalnie nikt nie uzyskał za to nagrody. Szkot zwany Jackiem Malarzem zamieszkiwał w różnych domach przy Pithay, podupadłej uliczce, która przechodziła przez rzekę Froom wzdłuż St. James’s Backs, i po drugiej próbie spalania cukrowni Aldermana Barnesa nagle gdzieś zniknął. Chociaż nie istniały żadne dowody na to, że miał coś wspólnego z tymi pożarami, cały Bristol był przekonany, że to on był podpalaczem. Wysłano za nim list gończy, wydrukowany przez londyńskie i prowincjonalne gazety w całym kraju. Począwszy od źródeł Tyne aż po Kanał, nikt nie chciał, aby fanatyczny podpalacz grasował na wolności. Uciekiniera przyłapano w końcu na gorącym uczynku, gdy okradał dom jakiegoś bogacza w Liverpoolu i po zapłaceniu stu dwudziestu ośmiu funtów przez Przedsiębiorstwo Spekulacji Handlowych został ekstradowany w kajdankach do Bristolu na przesłuchanie. I oto pojawiła się nieoczekiwana przeszkoda - nikt nie rozumiał ani słowa z tego, co mówił Szkot, z wyjątkiem jego własnego imienia - James Aiten. Wobec tego wysłano go do Londynu, w przekonaniu, że w tak dużej metropolii powinien znaleźć się ktoś,

kto zna szkocki dialekt. I tak też się stało. James Aiten, znany jako Jack Malarz, przyznał się do spowodowania wszystkich pożarów w Bristolu i jednego w Portsmouth, gdzie spalił doszczętnie fabrykę lin należącą do królewskiej floty. Ta ostatnia zbrodnia była wyjątkowo ohydna - statki bowiem nie mogły funkcjonować bez ogromnej ilości lin.

- Nie rozumiem tylko - powiedział Dick Morgan panu Jemowi Thistlethwaite'owi - w jaki sposób Jack Malarz mógł być odpowiedzialny zarówno za pożary w Bristolu, jak i w Portsmouth. Fabryka lin została przecież podpalona w grudniu, kiedy on z całą pewnością mieszkał w Pithay, o czym wszyscy wiedzieli.

- To tylko kozioł ofiarny, Dick, nic więcej. Ważne było, aby Anglia się uspokoiła, a jakież lepszy na to sposób niż znalezienie ofiary? Szkot jest do takich celów idealny. Nie wiem, kto był odpowiedzialny za pożar w Portsmouth, ale te w Bristolu były wywołane przez torysów, mógłbym się założyć o własne życie.

- Myślisz zatem, że będzie więcej pożarów?

- Nie. Podstęp się udał. Amerykańskie pieniądze zostały usunięte z Bristolu. Torysi mogą teraz osiąść na laurach, a biedny Jack Malarz poniesie za to karę.

I tak się też stało. James Aiten, alias Jack Malarz, stanął przed sądem w Hampshire za podpalenie fabryki lin należącej do królewskiej floty i został skazany. Potem odtransportowano go do Portsmouth, gdzie z okazji tego widowiska, w którym uczestniczyły tłumy, wybudowano specjalny szafot. Zapadnia miała sześćdziesiąt siedem stóp głębokości, co oznaczało, że kiedy wykopnięto spod nóg Jacka Malarza stołek i wysłano go do wieczności, sznur naprężony do granic wytrzymałości uciął mu głowę równiej, aniżeli zrobiłaby to siekiera. Wystawiono potem tę głowę na blankach murów obronnych Portsmouth i cała Anglia mogła teraz spokojnie odetchnąć.

Jack Malarz zapewnił prowadzących przesłuchanie, że jest odpowiedzialny za wszystkie te pożary.

- Wcale nie jestem tymi zapewnieniami usatysfakcjonowany - oświadczył kuzyn James aptekarz. - Jednakże minęła już Wielkanoc i jak dotąd nie było więcej pożarów. Kto to wie? - jakby zapytał kwakier. Wiem tylko tyle, że sam Bóg mnie ocalił.

Dwa dni później senhor Tomas Habitas, rusznikarz, wszedł do tawerny „Pod Bednarzem”.

- Szanowny panie! - wykrzyknął Richard, witając go z uśmiechem i bardzo serdecznym uściskiem dłoni. - Niechże pan usiądzie. Może szklaneczkę brystolskiego mleczka?

- Dziękuję, Richardzie.

W tawernie nie było nikogo z wyjątkiem pana Thistlethwaite'a, okres prosperity najwidoczniej szybko się kończył. W związku z tym ów nieoczekiwany gość znalazł się w centrum uwagi, z czego zdawał się wyraźnie zadowolony.

Portugalski Żyd, który wyemigrował trzydzieści lat temu, senhor Tomas Habitas, był niskim, szczupłym mężczyzną o oliwkowej skórze, ciemnych oczach, podłużnej twarzy, wydatnym nosie i pełnych ustach. Unosiła się wokół niego ledwo uchwytna aura powściągliwości; coś, co upodabniało go do kwakrów. Być może była to świadomość, że za bardzo się różni od miejscowych, aby kiedykolwiek mógł się wtopić w zwykły bristolski tygiel. Miasto było dobre dla niego, tak jak dla wszystkich Żydów, którym - w przeciwieństwie do papistów - pozwolono czcić Boga na swój sposób. Mieli własny cmentarz przy Jacob Street i dwie synagogi po drugiej stronie Avonu w parafii Temple. Judaizm był o wiele mniejszą przeszkodą w osiągnięciu społecznego i ekonomicznego sukcesu aniżeli wyznanie rzymskokatolickie. Było to związane głównie z tym, że nie było żydowskich czy kwakerskich pretendentów do tronu Jego Brytyjskiej, choć germańskiej Wysokości. Bonnie Prince Charlie i rok 1745 tkwiły jeszcze zbyt dobrze w pamięci, a Irlandia nie była daleko.

- Co pana tu sprowadza, tak daleko od domu? - zapytał Dick Morgan, podając swojemu gościowi dużą szklanicę (wykonaną przez żydowską firmę Jacobsa) ciemnobursztynowego, bardzo słodkiego wina.

Wąskie, czarne oczy obieżyły puste pomieszczenie i zwróciły się raczej ku Richardowi aniżeli Dickowi.

- Interesy nie idą za dobrze - stwierdził zaskakująco dźwięcznym głosem, jedynie ze słabym akcentem.

- Owszem, proszę pana - powiedział Richard, siadając naprzeciw gościa.

- Przykro mi to widzieć - przerwał senhor Habitas. - Być może będę w stanie jakoś pomóc. - Położył swe długie, delikatne dłonie na stole i złożył je. - Wiem, że możemy za to dziękować tylko tej wojnie z amerykańskimi koloniami. Jednakowoż dla niektórych wojna oznacza dodatkowe interesy. A zwłaszcza dla mnie. Richardzie, jesteś mi potrzebny. Czy wrócisz do mnie do pracy?

Richard otwierał właśnie usta, ażeby mu odpowiedzieć, kiedy Dick wtrącił:

- A na jakich warunkach, senhor Habitas? - zapytał trochę agresywnie. Znał dobrze Richarda - zbyt delikatnego, aby się upominać o warunki przed wyrażeniem zgody.

Enigmatyczny wyraz oczu na gładkiej twarzy gościa nie uległ zmianie.

- Na dobrych, panie Morgan - odpowiedział. - Za cztery szylingi za muszkiet.

- Załatwione! - odparł natychmiast Dick.

Tylko pan Thistlethwaite patrzył na Richarda, i to z politowaniem. „Czy on nigdy nie miał możliwości decydowania o swoim losie? W bladoszarych oczach na przystojnej twarzy Richarda Morgana nie kryła się ani złość, ani niezadowolenie. Chryste Panie! Ależ on ma cierpliwość! Cierpliwość dla swego ojca, dla żony, dla matki, tej całej klienteli, kuzyna Jamesa aptekarza - ta lista nie ma końca. Wydaje się, że jedyną osobą, dla której Richard byłby skłonny walczyć, jest William Henry i nawet wówczas załatwiłby to po cichu, z pewnością bardziej nieugięty niż choleryczny. Co w tobie siedzi, Richardzie Morganie? Czy ty w ogóle znasz samego siebie? Gdyby Dick był moim ojcem, to przyłożyłbym mu pięścią tak, że zwałiby się na podłogę. A ty tolerujesz jego kaprysy, jego wybuchy i zaczepki, jego krytycyzm, nawet jego mało ukrywaną pogardę dla ciebie. Jakaż jest twoja filozofia? Skąd czerpiesz swoją siłę? Bo wiem, że ją masz. Ale czy ma ona jakiś związek z rezygnacją? Nie, to niezupełnie to. Jesteś dla mnie zagadką, a mimo to bardziej cię lubię niż wszystkich innych ludzi, jakich znam, i boję się o ciebie. Ale dlaczego? Mam bowiem przeczucie, że taka cierpliwość i wyrozumiałość pokusi Boga, żeby cię wypróbować”.

Nieświadom troski, jaką wzbudzał w panu Thistlethwaicie, Richard powrócił do zakładu Habitasa i zajął się wykonywaniem „Brazowych Bess” dla żołnierzy walczących w amerykańskiej wojnie.

Rusznikarz wykonywał strzelbę, ale nie zajmował się produkcją jej części składowych. Te pochodziły z różnych miejsc. Stalowe lufy ukute młotkiem w rurki sprowadzane były z Birmingham, podobnie jak stalowe części zamku skałkowego, łożyska z orzechowego drewna z tuzinów miejscowości w różnych częściach Anglii, a mosiężna lub miedziana armatura gdzieś spod Bristolu.

- Ucieszysz się, jak ci powiem, że dostaliśmy zlecenie na wykonanie krótkich muszkietów - lekkich i łatwych w obsłudze.

Przy czterdziestu dwóch calach długości były o cztery cale krótsze od muszkietów długich, używanych jeszcze w czasach wojny siedmioletniej, i wygodniejsze, zwłaszcza dla piechoty. Chociaż strzelały równie celnie, ważyły o pół funta mniej i były bardziej poręczne.

Kiedy Richard zasiadł na wysokim krześle przy swoim warsztacie, wszystko, czego potrzebował, zostało przed nim rozłożone. Wypolerowane łożyska karabinów o długich podpórkach na lufy w kształcie półksiężyców zostały złożone w jedną całość i stały jedno przy drugim po lewej stronie. Po prawej spoczywały zakończone trzpieniem lufy, każda z wywierconym wpustem pod spodem. W różnych pojemnikach na ławie znajdowały się

poszczególne części zamka skałkowego - sprężyny, cyngle, zaczepy spustowe, języczki spustowe, kurki, śrubki i krzemienie - a także obręcze z brązu, rurki, obrzeża i podpórki, które wiązały całą strzelbę. Pomiędzy tymi pojemnikami Richard rozłożył swoje narzędzia, które były jego prywatną własnością i które przynosił ze sobą codziennie w okazałej mahoniowej skrzynce, zaopatrzonej w mosiężną tabliczkę z wyrytym na niej jego imieniem. Były tam tuziny pilników, śrubokrętów, obciążników, nożyc blacharskich, szczypczyków, małych młoteczków, świdrów i różnego rodzaju wiertel oraz kolekcja narzędzi do obróbki drewna. Będąc właściwie przeszkolony, sam sporządzał papiery szmerglowe z brezentu, sypiąc czarne cząsteczki ścierniwa na podkładkę bardzo mocnego rybnego kleju, i stosował tę samą technikę do modelowania szmerglowych patyków o różnej wielkości - niektóre były szpiczaste, inne zaokrąglone, jeszcze inne zaś tępe i grubawe. Opilowywanie kolejnych części było podstawą sztuki rusznikarskiej, a Richard był w tym takim ekspertem, że jego własny brat, tracz William, nikomu innemu nie pozwalał ostrzyć zębów swoich pił, kiedy nadchodził czas, aby je odnowić.

Dopóki nie pochwycił pierwszej lufy i nie oczyścił jej z rdzy, a potem nie wypolerował jej na brązowo maścią antymonową, Richard nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak bardzo tęsknił za wykonywaniem swego rzemiosła. Sześć lat! To długi okres. Nie stracił jednak wprawy, poza tym był zauroczony perspektywą składania kawałków łamigłówni, chociaż została zaprojektowana do zabijania ludzi. Proces rozumowania rusznikarza nie sięgał jednak na tyle daleko, aby dojść do tego ostatecznego wniosku - rusznikarz po prostu kochał to, co robił, i nie myślał o destrukcyjnych skutkach swojego zajęcia.

Najbardziej pracochłonne było przygotowanie zamka skałkowego. Łożysko muszkietu musiało być wyrzeźbione delikatnie, tak aby zamek do niego pasował, a następnie każdą sprężynę i ruchomą część należało opilować i dopasować, dopracowując wielokrotnie aż do uzyskania mechanicznej harmonii i dopiero wówczas można było założyć krzemień. Rzemieślnicy z Norfolk i Suffolk, którzy obrabiali łupki krzemienia, też byli prawdziwymi mistrzami, odłupując kawałek po kawałku, dopóki klockowata bryła nie została przycięta na właściwym końcu zgodnie z dokładnie określonymi wymiarami. Zadaniem Richarda było dopasowanie kąta, pod którym krzemień uderzał w krzesiwo, czyli w szeroki na jeden cal listek ze stali, którego podstawa przykrywała panewkę. W momencie gdy kurek opadał do przodu i uderzał w krzemień, krzesiwo unosiło się znad panewki, wywołując tym samym strumień iskier. Jeśli krzemień został właściwie osadzony w szczękach kurka, strumień iskier był na tyle duży, aby zapalić proch w panewce, a przez maleńki zapał ogień przedostawał się

do zamka karabinu i tam z kolei zapalał proch ubity pod pociskiem. W przypadku „Brazowej Bess” pociskami były ołowiane kule o średnicy 0,753 cala.

Richard był prawdziwym znawcą „Brazowej Bess”. Wiedział, że była bezużyteczna w odległości większej niż sto jardów i że działała najlepiej w zasięgu czterdziestu lub mniej. Oznaczało to zatem, że przeciwne strony musiały znajdować się bardzo blisko siebie, zanim można było z niej strzelić, oraz że dobry żołnierz mógł użyć jej najwyżej dwukrotnie, zanim przeszedł do walki wręcz na bagnety lub wycofał się. Wiedział też, że rzadko się zdarzało, aby żołnierz strzelał ze swojej „Brazowej Bess” więcej niż dziesięć razy. Zdawał sobie sprawę z tego, że jej ładunek prochu wynosi zaledwie siedemdziesiąt ziarenek - a więc mniej aniżeli jedna piąta uncji - znał też proces produkcji prochu do broni palnej, gdyż w ramach swego terminowania spędził trochę czasu w fabryce prochu w Tower Harratz nad rzeką Avon w Temple Meads. Był też świadom, że prawdopodobnie tylko jedna na każde cztery „Brazowe Bess”, jakie wykonywał, zostanie kiedykolwiek użyta w walce. Wiedział również, że jej kaliber miał podobną wielkość do francuskich, hiszpańskich i portugalskich kalibrów (kula była dwukrotnie mniejsza od gładkiego wnętrza lufy), toteż można było używać do niej naboju pochodzących z tych krajów. Słyszał też, że jeśli kula trafiła do ludzkiego celu, szanse na przeżycie były znikome. Przy postrzeleniu człowieka w pierś czy brzuch rozszarpywane były jego narządy wewnętrzne, jeśli zaś trafiono w kończyny - to miał tak pogruchotane kości, że amputacja była jedynym ratunkiem.

Złożenie pierwszej „Bess” zajęło mu dwie godziny, ale potem odzyskał dawną wprawę i pod koniec dnia wykonywał już jeden muszkiet na godzinę. Licząc po cztery szylingi za strzelbę, był to świetny zarobek. Senhor Habitas zarabiał jeszcze więcej. Po odliczeniu kosztów części składowych i pracy Richarda, jego zysk sięgał dziesięciu szylingów za muszkiet. Istniały oczywiście tańsze warsztaty rusznikarskie, ale wyroby Habitasa były najlepsze. W rękach przeszkolonego strzelca nie było mowy o niewypałach i wybuchach w panewce. Senhor Habitas zawsze dbał o jakość swoich wyrobów i patrzył, jak jego rusznikarze sprawdzali wykonane przez siebie strzelby.

- Nie zatrudniam żadnych uczniów - powiedział Richardowi, gdy przechodzili do kontrolnej strzelnicy, kiedy było jeszcze na tyle widno, żeby sprawdzić sprawność strzelby. - Jedynie wykwalifikowanych rusznikarzy, i to najchętniej tych, których sam wyszkoliłem.

- Nagle bardzo spoważniał. - To też się kiedyś skończy, mój drogi Richardzie, nie sądzę, że będzie inaczej. Myślę, że wojna ta potrwa jeszcze trzy czy cztery lata, i nie wierzę, aby Francuzi wyszli z niej w stanie, który pozwoliłby im walczyć jeszcze z nami. Musimy zatem teraz naprodukować tego dużo. Ale to się skończy i po raz wtóry będę musiał cię

zwolnić. To jeden z powodów, dla których jestem skłonny płacić ci cztery szylingi za strzelbę. Nigdy bowiem nie widziałem roboty tak dobrej jak twoja, a do tego jesteś szybki.

Richard nie odezwał się ani słowem, co było zgodne z jego charakterem, tak że Tomas Habitas nawet nie oczekiwał odpowiedzi. Richard był z natury słuchaczem. Zapamiętał to, co zostało mu powiedziane, lecz nie skomentował tego w żaden sposób po to tylko, żeby coś powiedzieć. Zupełnie jakby informacje dostawały się na pokład i prosto do ładowni jego umysłu, gdzie pozostawały dopóty, dopóki rozwój wypadków nie wymagał ich rozładunku. „Być może - myślał Habitas - to dlatego właśnie, nawet pomijając jego pracę, tak bardzo go lubię. Jest spokojnym człowiekiem, który pilnuje jedynie własnych interesów”.

Dziesięć „Brązowych Bess” wykonanych przez Richarda stało w stojaku, przyniesionych tam przez dziesięcioletniego chłopca, którego Habitas zatrudniał do posług. Richard chwycił za pierwszą, wyciągnął wycior z rurki znajdującej się poniżej części zamka wspierającej lufę i sięgnął do wiadra po nabój. Kula i proch leżały w maleńkiej papierowej torbie. Richard zebrał w ustach ślinę, chwycił zębami za podstawę papieru, aby go rozedrzeć i namoczyć, następnie wsypał proch do lufy, potem zwinął papier i wepchał go do środka za prochem, a wreszcie wrzucił tam kulę. Sprawne pociągnięcie wyciorem i całość została odpowiednio ułożona w zamku na dnie lufy. Kiedy podniósł muszkiet na wysokość ramienia, postukał go ze znanostwem w panewkę, aby pozbyć się prochu z zapalu, i pociągnął za kurek. Kurek z kawałkiem krzemienia w szczękach opadł i uderzył w krzesiwo panewki. Iskry, wybuch i ogromny słup dymu pojawiły się prawie natychmiast - czterdzieści jardów dalej roztrzaskała się stojąca na półce w strzelnicy butelka.

- Nie utraciłeś wyczucia - mruknął z zadowoleniem senhor Habitas, podczas gdy bosonogi chłopak, posprzątawszy szkło, ustawił na półce następną butelkę.

- Niech pan poczeka i powie to po wystrzeleniu dziesięciu - odpowiedział Richard, szczerząc zęby w uśmiechu. Dziewięć strzelb zachowało się bezbłędnie, dziesiąta wymagała jeszcze podpiłowania sprężyny - niezbyt poważne zadanie, jako że ta część znajdowała się poza mechanizmem zamka.

Zaraz po wejściu do tawerny „Pod Bednarzem” Richard porwał Williama Henry’ego z jego krzeselka, wziął w ramiona i przytulił mocno do siebie, próbując powstrzymać się od instynktownej ochoty wyściskania go aż do utraty tchu. „Williamie Henry, jakże ja ciebie kocham! Jak samo życie, powietrze, słońce! Jak Boga w niebiosach!” A potem przytuliwszy policzek do loczków syna, poczuł delikatne drżenie przebiegające przez małe ciało. Było nieuchwytnie niczym mruczenie kota - wyczuł je jedynie opuszkami palców jak wibrujący ból. Ból? Skąd takie skojarzenie? Otworzył oczy. Wyciągnął ręce i przytrzymał Williama

Henry'ego tak, aby móc spojrzeć mu w twarz. Sekret, głęboko ukryty.

- Wcale za tobą nie tęsknił - stwierdził spokojnie Dick.

- I zjadł do ostatniego kęsa wszystko, co miał na talerzu - powiedziała z dumą Mag.

- I był tu ze mną szczęśliwy jak skowronek - dodała Peg z łobuzerskim błyskiem tryumfu w oku.

Ugięły się pod nim kolana. Richard opadł na krzesło w pobliżu kontuaru i znowu przytulił do siebie syna. Drżenie ustąpiło. „Och, Williamie Henry, o czym ty teraz myślisz? Czy myślałeś, że tata już nigdy nie wróci? Do tej pory tata nigdy cię nie zostawił na dłużej niż jedną czy dwie godziny. A czy ktoś pamiętał, żeby ci powiedzieć, że tata wróci o zmierzchu? Nie, nikt tego nie zrobił. Nawet ja sam. A ty nie płakałeś, nie odmawiałeś jedzenia ani nie okazywałeś żadnego niepokoju. Myślałeś jednak, że ja już nigdy nie wrócę, że nie będziesz miał już swojego taty”. - Zawsze będę przy tobie - szepnął w ucho Williama Henry'ego. - Zawsze, zawsze, zawsze.

- Jak ci poszło? - spytała Peg, która nadal, po półtora roku patrzenia na Richarda z Williamem Henrym nie mogła się nadziwić słabości swego męża - a może wręcz zidioceniu? „To nie jest zdrowe - myślała. - On potrzebuje tego dziecka, żeby zaspokoić jakiś własny głód, coś, o czym ja nie mam pojęcia. No cóż, ja przecież kocham Williama Henry'ego równie mocno jak on. I teraz mam okazję, żeby mieć syna dla siebie”.

- Wszystko poszło dobrze - odpowiedział Richard na jej pytanie, a potem spojrzął na Dicka wzrokiem trochę bardziej odległym. - Zarobiłem dzisiaj, ojcze, dwa funty. Jeden dla ciebie, drugi dla mnie.

- Nie - odburknął Dick - dziesięć szylingów dla mnie, a trzydzieści dla ciebie. Tyle mi wystarczy na przetrwanie, nawet jeśli nadejdzie dzień, w którym nic nie zarobię. Zapłać mi do tego ze dwa szylingi za mieszkanie dla twojej rodziny, a pozostałe dwadzieścia osiem szylingów przechowaj w banku dla siebie. Mam nadzieję, że będzie ci płacić co sobotę, a nie raz na miesiąc czy pod warunkiem, że mu zapłacą za towar.

- W każdą sobotę, ojcze.

Tej nocy, kiedy Richard odwrócił się, żeby poszukać Peg i podwinąć ostrożnie jej nocną koszulę, uderzyła go nieprzyjemnie po rękach.

- Nie, Richardzie - szepnęła gwałtownie. - William Henry jeszcze nie śpi, a już jest na tyle duży, żeby to rozumieć.

Leżał w ciemnościach, przysłuchując się pomrukowi i pogwizdywaniom dochodzącym z pokoju od ulicy, obolały ze zmęczenia pracą, do której nie był przyzwyczajony, a mimo to nie mogąc zasnąć. Dzień ten zapoczątkował wiele zmian. Wykonywał pracę, którą kochał, ale

był daleko od dziecka, które również kochał, daleko od umiłowanej żony. Tego dnia zrozumiał, że nieświadomie mógł zranić swoich bliskich. Wszystko powinno być proste. Nie kierowało nim przecież nic oprócz miłości - musiał pracować, żeby utrzymywać rodzinę, żeby niczego im nie brakowało. A jednak Peg uderzyła go po rękach i odepchnęła po raz pierwszy od czasu, gdy się pobrali, a William Henry zadrżał niczym przestraszony kociak.

„Co ja mam zrobić? Jakie znaleźć rozwiązanie? Dzisiaj bezwiednie otworzyłem otchłan, choć miałem najlepsze intencje. Nigdy nie prosiłem o wiele i nie miałem wielkich oczekiwań. Pragnąłem jedynie być blisko rodziny. Na tym przecież polega szczęście. Ja należę do nich, a oni do mnie. Albo tak mi się wydawało. Czy zawsze, gdy następują jakieś zmiany, otwierają się czeluście otchłani? Jakże jest ona głęboka? Jak szeroka?”

- **Senhor Habitas** - powiedział o świcie następnego dnia - ile muszkietów, pana zdaniem, powinienem wykonać w ciągu jednego dnia pracy?

Tomas Habitas nawet nie mrugnął, w ogóle rzadko mrugał.

- Ale o co chodzi, Richardzie?

- Nie chcę tu siedzieć od brzasku do zmroku, proszę pana. To już nie jest tak samo jak za dawnych czasów. Moja rodzina również mnie potrzebuje.

- Rozumiem to - odparł łagodnie senhor Habitas. - To nierozwiązywalny dylemat. Pracuje się po to, żeby zarobić pieniądze na zapewnienie komfortu i wygody swojej rodzinie, a mimo to ona potrzebuje czegoś więcej niż pieniędzy, a człowiek nie może być przecież w dwóch miejscach jednocześnie. Płacę ci za muszkiet, Richardzie. Oznacza to, że zrobisz tyle, ile masz ochotę zrobić. - Wzruszył ramionami, co było rzadkim u niego gestem. - Owszem, wolałbym, żebyś składał piętnaście do dwudziestu dziennie, ale gotów jestem przyjąć choćby jeden. To twoja decyzja.

- Dziesięć na dzień, proszę pana?

- Dziesięć zupełnie mi wystarczy.

A zatem Richard wracał „Pod Bednarza” w południe, wykonawszy i sprawdzivszy dziesięć swoich muszkietów. Senhor Habitas był zadowolony, on sam zaś mógł przebywać odpowiednio długo z Williamem Henrym i Peg, a do tego zdoła odłożyć dość pieniędzy, by to marzenie o domu na Clifton Hill mogło się urzeczywistnić. Syn już chodził, wkrótce więc powab Broad Street pociągnie go do otwartych drzwi tawerny i William Henry wyruszy w poszukiwaniu przygód. Lepiej, żeby nóżki ponosiły go pośród ścieżek nasyconych zapachami kwiatów aniżeli smrodliwym zapachem rzeki Froom w czasie odpływu.

Jednakże ani Peg, ani William Henry nie dobiegł do niego pierwszy, gdy wszedł do

domu. To pan Thistlethwaite podskoczył od swego stolika, aby pochwycić Richarda w potężne ramiona.

- Jem, puść mnie! Te pistolety mogą wypalić.

- Richardzie, Richardzie! Myślałem, że już cię więcej nie zobaczę.

- Już mnie pan więcej nie zobaczysz? Ależ dlaczego? Nawet gdybym pracował od świtu do zmroku - czego nie robię - to i tak by mnie pan widywał zimą - odpowiedział Richard, uwalniając się z jego objęć i wyciągając ręce do Williama Henry'ego, który przydreptał do nich. Potem podeszła Peg, żeby go pocałować w usta, uśmiechając się z przeprosinami w oczach. A kiedy Richard usiadł przy stole pana Thistlethwaite'a, poczuł, że świat skleił się jakoś z powrotem i nie było w nim już tej otchłani co wczoraj.

Kiedy Dick podał mu kufel piwa, sączył go wolno. Odpowiadał mu lekko gorzkawy smak, lecz nie pociągało go ono specjalnie. Syn wstrzemięźliwego karczmarza sam również był wstrzemięźliwy. Pijał jedynie piwo, i to nigdy na tyle dużo, aby je poczuć. Z tego właśnie powodu - choć Richard nie uświadamiał sobie tego - oprócz naturalnej słabości, jaką w stosunku do niego odczuwał, senhor Habitas tak bardzo go cenił. Praca wymagała pewnych, zręcznych rąk, trzeźwego, bystrego umysłu, a trudno było znaleźć mężczyznę, który by nie pił za dużo. Niemal wszyscy to robili. Zazwyczaj pili rum lub jałowcówkę. Za jedyne trzy pensy można było dostać ćwierć kwarty rumu albo też, w zależności od gatunku, pół kwarty jałowcówki. Nie było prawa, które karałoby pijaństwo, choć prawie wszystkie inne występki były karalne. Rząd zbyt dobrze zarabiał na akcyzach, żeby zależało mu na odwodzeniu ludzi od picia alkoholu.

W Bristolu produkowano i spożywano o wiele więcej rumu aniżeli jałowcówki, bo tę pijali jedynie najubożsi. Jako główny importer cukru z wszystkich brytyjskich wysp, Bristol został stolicą rumu. Jeśli zaś chodzi o moc, to nie było większej różnicy pomiędzy tymi dwoma trunkami, choć rum miał lepszy aromat, dłużej pozostawał w organizmie i był mniej dokuczliwy następnego ranka.

Pan Thistlethwaite pijał rum jedynie najlepszego gatunku i obrał sobie tawernę „Pod Bednarzem” za swój drugi dom, ponieważ Dick Morgan kupował rum od pana Thomasa Cave'a w Redcliff, a rum Cave'a nie miał sobie równych.

A zatem, kiedy Richard wszedł do środka, pan Thistlethwaite miał już dobrze w czubie, o wiele więcej niż zazwyczaj o trzeciej godzinie po południu. Po prostu stęsknił się za Richardem i zmartwił, gdy doszedł do wniosku, że nigdy nie będzie go w domu przed piątą, kiedy to nadchodził czas, aby opuścić tawernę. Piąta godzina była jego niezłomną zasadą i stanowiła ostatni odruch instynktu samozachowawczego. Wiedział bowiem, że gdyby został

choć jedną minutę dłużej, to skończyłoby się na tym, że leżałby stale w rynsztoku, który spływał przez środek Broad Street.

Uradowany tym, że Richard nadal będzie częścią jego codziennego karczmarzkiego życia, wyprostował się niepewnie i zaczął się zbierać do wyjścia.

- Wcześniej dzisiaj, wiem, ale bardzo się przejąłem twoim widokiem, Richardzie - oświadczył, przeciskając się do drzwi. - Choć sam nie wiem dlaczego - głos dobiegał już z Broad Street. - Naprawdę, nie mam pojęcia dlaczego. Kimże bowiem ty jesteś, jak nie tylko synem karczmarza? To wszystko jest takie tajemnicze, takie tajemnicze. - Za ościeżem ukazała się jego głowa i sfatygowany trójgraniasty kapelusz, osadzony nań pod zawadiackim kątem. - Czy to możliwe, żeby oczy pijaka były w stanie zgłębić tajemnicę przyszłości? Czy wierzę w przeczucie? Cha, cha, cha! Nazywajcie mnie odtąd Kasandrą! Przysięgam bowiem, że jestem starą, głupią babą. Cha, cha, cha, i tak oto w beocyjskie powietrze krzyczą me attyckie płuca.

- On zwariował - stwierdził Dick. - Zupełnie zwariował.

Wojna z trzynastoma amerykańskimi koloniami trwała nadal i przy tyłu zwycięstwach Anglików zaintrygowanym mieszkańcom Bristolu wydawało się, że lada dzień można się spodziewać kapitulacji Amerykanów. A jednak wiadomość ta wciąż nie nadchodziła. To prawda, że kolonistom udało się zająć Boston i odebrać miasto sir Williamowi Howe'owi, lecz sir William prędko przeniósł się do Nowego Jorku, najwidoczniej zamierzając - metodą podziału i podboju - przepędzić Jerzego Waszyngtona do New Jersey i zająć pozycję pomiędzy północnymi i południowymi koloniami. Jego brat, admirał Howe, zwinął ledwo opierzoną amerykańską flotę w Nassau i Zatoce Narragansett, w wyniku czego Brytania nadal królowała na morzach.

Do tej pory kolonialny rząd Pensylwanii pozostawał neutralny i starał się pojednać zwaśnione strony lojalistów i rebeliantów - a teraz, jak wydawało się bristolczykom - kiedy amerykańska porażka wydawała się już nieunikniona, Pensylwania wyparła się Korony i przyłączyła do rebeliantów! Nie miało to sensu, zwłaszcza w opinii ich bristolskich kwakerskich krewnych.

W sierpniu 1776 roku gazety podały, że Kongres Kontynentalny przyjął szkic Deklaracji Niepodległości Thomasa Jeffersona i uwierzytelniono ją podpisem bez zgody Nowego Jorku. Przewodniczący Kongresu, John Hancock, pierwszy złożył pod nią podpis tak zamasyście, że mogłaby mu tego pozazdrościć jego kukła, nadal wisząca na szyldzie Amerykańskiej Izby Handlu Kawą. Kiedy obszarpane wojsko generała Waszyngtona

entuzjastycznie przyjęło Deklarację, Nowy Jork ją ratyfikował. Idea niepodległości była więc powszechnie zaaprobowana, choć Nowy Jork w okolicach Manhattanu nadal pozostawał lojalistyczny. A flaga Kongresu Kontynentalnego składała się teraz z trzynastu pasków, na przemian czerwonych i białych.

Negocjacje pokojowe na wyspie Staten zostały zerwane, ponieważ koloniści odmówili odwołania Deklaracji Niepodległości i wobec tego sir William Howe wkroczył do New Jersey z własnymi angielskimi wojskami i dziesięcioma tysiącami najemników z Hesji, których najął król dla wzmocnienia swojej armii. Wszystko upadało przed nadciągającymi Anglikami, Waszyngton minął Delaware i wkroczył do Pensylwanii, a następnie przemierzył ją z powrotem w trakcie straszliwej zimy, aby zadać miażdżącą porażkę niemieckim najemnikom z Hesji w Trenton. Po drugim, mniejszym zwycięstwie w Princeton, armia rebeliantów wycofała się pod wzgórze w okolicy Morristown, a zdezorientowany generał Howe powrócił na Manhattan ze swoim równie oszołomionym zastępcą, lordem Cornwallisem - tym samym, którego rodzina posiadała Cornwallis House na Clifton Hill i który właśnie z tego powodu był bliski każdemu bristolskiemu sercu.

Dla Richarda rok 1776 był rokiem muszkietów i pieniędzy. Miał już czterysta funtów w Bristolskim Banku, a te dwanaście szylingów dziennie, jakie oddawał ojcu, pozwoliły, aby tawerna „Pod Bednarzem” utrzymywała otwarte podwoje w czasach, kiedy inne tawerny musiały zamknąć swoje na dobre. Nastaly ciężkie dni zarówno dla tych, którzy byli na szczycie, jak i dla tych pośrodku i poniżej. Były to okropne czasy.

Liczba zbrodni wciąż rosła i niosła ze sobą specyficzny symptom tej daremnej amerykańskiej wojny - skazańcy i biedota nie przynależna do żadnej parafii nie byli już wysyłani do trzynastu kolonii i sprzedawani tam do terminu jako siła robocza. Ta uświęcona zwyczajem i wygodna praktyka pozwalała rządowi stosować najsrozsze środki karne w całej Europie, a jednocześnie utrzymywać liczbę więźniów na stosunkowo niskim poziomie. Na każdego powieszono Francuza przypadało dziesięciu Anglików, a na każdego Niemca - piętnastu. Od czasu do czasu wieszano jakąś kobietę. Jednakże większość z tych skazanych za przestępstwa mniej poważne aniżeli rozboje na drogach, rażące morderstwa czy podpalenia, była sprzedawana do pracy przedsiębiorcom, którzy wpychali ich na statki - często w Bristolu - a następnie odtransportowywali do którejś z trzynastu kolonii, a tam korzystnie sprzedawano ich jako niewolników. Jediną różnicą między nimi a czarnymi niewolnikami było to, że - przynajmniej teoretycznie - ich niewola kiedyś miała się skończyć. Często jednak wcale tak nie było, zwłaszcza w przypadku kobiet. Moll Flanders przekonała się o tym na własnej

skórze.

Transport białej siły roboczej był ograniczony do kilku z trzynastu kolonii, ponieważ właściciele plantacji w Indiach Zachodnich woleli czarnoskórych robotników. Uważali bowiem, że czarni są przyzwyczajeni do upału, o wiele lepiej w nim pracują i - jeśli im się przyjrzeć - nie przypominają za bardzo pana i pani. Teraz system transportu załamał się całkowicie, lecz angielskie sądy objazdowe nie przestały stosować starych, ostrych sankcji dyscyplinarnych, nawet w stosunku do osób oskarżonych o błahe przewinienia. Celem angielskiego prawa karnego nie była ochrona praw paru arystokratów, lecz wszystkich tych, którzy zdobyli jakiegokolwiek środki, niezależnie od ich wielkości.

W związku z tym liczba więźniów rosła w alarmującym tempie, zamki i stare budynki zamieniano na dodatkowe miejsca aresztu, a strumień więźniów w łańcuchach przepływał nieustannie przez wrota, tak stare, jak i nowe.

I wówczas niejaki Duncan Campbell, londyński kontrahent i spekulant szkockiego pochodzenia, wpadł na pomysł wykorzystania starych statków wojennych - tych, które nie nadawały się już do użytku podczas walki - do celów cywilnych, jako więzień. Wykupił jeden z takich statków - o nazwie „Censor”, zakotwiczył go u wybrzeży Tamizy w pobliżu Królewskiego Arsenalu i zabrał na pokład dwustu męskich skazańców. Nowo ustanowione prawo pozwalało używać skazanych więźniów do pracy przy rządowych projektach, wobec tego więźniowie z „Censora” musieli bagrować rzekę wzdłuż tego ważnego szlaku morskiego oraz budować nowe doki - a była to praca, do jakiej żadnego wolnego człowieka nie dało się namówić, chyba że za bardzo dobrą opłatą. Praca więźniów kosztowała jedynie tyle, co ich wyżywienie i zakwaterowanie, które pan Duncan Campbell zapewniał na pokładzie „Censora”. Początkowo zdarzały się błędy - Campbell zorientował się na przykład, że hamaki nie nadawały się dla więźniów, ich łańcuchy bowiem wplątywały się w nie. Wobec tego zamienił je na półki służące za prycze i dzięki temu mogło zmieścić się na „Censorze” trzystu więźniów. Rząd Jego Brytyjskiej Mości był zadowolony i chętnie wynagrodził Campbella za jego starania. Stwierdzono, że przestępców można trzymać na pokładach starych statków wojennych do czasu zakończenia wojny, a wówczas hurtowy wywóz można będzie rozpocząć od nowa. Cóż to za ulga!

Właścicielowi tawerny powody błałych przestępstw wydawały się oczywiste - większość z nich miała miejsce, gdy ich sprawcy byli pijani. W sytuacji, gdy brakowało pracy, rum i jałowcówka stawały się coraz cenniejsze dla tych, którzy nie byli w stanie dojrzeć żadnego promienia nadziei, mogącego rozjaśnić ich los. Jedwabne ubrania, chusteczki i świecidełka wskazywały na bardziej zamożnych ludzi. Mężczyźni i kobiety, a nawet i

dzieci, zmuszeni do żebrania w parafii, topili swoją wściekłość i frustrację w alkoholu, kiedy tylko wpadła im w ręce jakaś moneta, a potem, pijani, plądrowali te jedwabne fatalaszki, chusteczki i świecidełka - rzeczy, które ci lepiej sytuowani cenili sobie tak bardzo. Rzeczy, które przynajmniej w Londynie i Bristolu można było odsprzedać tym, co handlowali skradzionymi przedmiotami, za cenę kolejnego kufla i następnych paru godzin dobrego samopoczucia w pijackim zamroczeniu. A kiedy już ich złapano, wleczono do sądu, żeby skazał ich na śmierć - albo na czternaście lub siedem lat. Z doczepionym biletem - „transport”. Ale dokąd? Na to pytanie nie było odpowiedzi, toteż nikt go nawet nie zadawał.

Jeśli chodziło o Richarda, rok 1777 powinien być po prostu kolejnym rokiem upływającym pod znakiem muszkietów i pieniędzy. Jednakże zaraz na początku Nowego Roku, kiedy Waszyngton z garstką ocalałych żołnierzy szykował się do przetrwania przerażającej zimy w okolicy Morristown, Morganowie „Pod Bednarzem” doznali szoku. Pan James Thistlethwaite oznajmił nagle, że opuszcza Bristol.

Dick opadł na krzesło, co zdarzało mu się bardzo rzadko. Skórę na łokciach miał zrogowaciałą od stania i ciągłego opierania się o kontuar.

- Wyjeżdża pan? - zapytał słabym głosem. - Opuszcza pan miasto?

- Aha - odpowiedział pan Thistlethwaite agresywnie. - A opuszczam, niech was wszyscy diabli!

Peg i Mag zaczęły popłakiwać. Richard odesłał je na górę razem z oszołomionym Williamem Henrym, a żeby tam się wyplakały, a potem stanął przed, najwidoczniej rozżłoszczonym, panem Thistlethwaite'em.

- Jem, jesteś tu prawie domownikiem! Nie możesz tak nagle odejść!

- Nie jestem żadnym domownikiem i odchodzę.

- Och, usiądź, człowieku, usiądź! I przestań się tak zachowywać. Nie jesteśmy twoimi wrogami - odpowiedział Richard poważnie. - Siadaj, Jem, I powiedz nam dlaczego.

- Aha! - powiedział pan Thistlethwaite, robiąc, jak mu kazano. - A więc potrafisz wyjść z tej twojej skorupy. Czy mój wyjazd aż tyle dla ciebie znaczy?

- To okropna nowina! - odparł Richard. - Ojczy, daj mi trochę piwa, a dla Jema najlepszego Cave'a.

Dick wstał i zrobił, co mu kazano.

- No więc czego ci tu brakuje? - spytał Richard.

- Mam już wszystkiego dosyć, Richardzie, to wszystko. Rozprawiłem się już z Bristollem - kto tu jeszcze pozostał jako temat do pisania paszkwili? Stary biskup Newton?

Nie robię takich rzeczy komuś, kto ma dość rozumu, żeby nazywać metodystów bękarckim rodzajem papizmu. A co jeszcze mógłbym uczynić władzom miejskim? Jakie jeszcze piekące docinki mógłbym wymyślić poza stwierdzeniem, że sir Abraham Isaac Elton jest mocny w gębie, ale kiepski w prawie, a Vernon mocny w prawie, lecz za to kiepski w gębie, podczas gdy Rowles Scudamore jest do niczego i w jednym, i w drugim? Zdemaskowałem Daniela Harsona za to, że był niegdyś dysydenckim ministrem i Johna Powella za to, że był ongiś medykiem na statku handlującym niewolnikami. O nie, zatrzasnąłem już mój rygiel na Bristolu i mam dość rozumu, żeby poszukać sobie nowych pastwisk. Wyjeżdżam do Londynu.

„Jak by mu taktownie powiedzieć, że jasne światło widoczne z Bristolu może się okazać zamglone w miejscu dwudziestokrotnie większym od tego miasta?”

- To takie ogromne miasto - spróbował Richard.

- Mam tam przyjaciół - odparował pan Thistlethwaite.

- Nie zmieni pan swego postanowienia?

- Nie.

- No to w takim razie - powiedział Dick, ożywiając się trochę - piję za twoje powodzenie, Jem. - Wykrzywił usta w uśmiechu. - Przynajmniej zaoszczędzę trochę na gęsiach piórach i atramencie.

- Będziesz do nas pisywać, żeby nam dać znać, jak się miewasz? - zapytał Richard trochę później, kiedy zaczepność pana Thistlethwaite'a zamieniła się w płacziwe rozczulanie się nad sobą.

- Jeśli ty też będziesz do mnie pisał. - Wieszcz Bristolu pociągnął nosem i otarł łzę. - Och, Richardzie, ten świat jest taki okrutny! A ja mam zamiar być jeszcze okrutniejszy dla niego w mieście większym aniżeli Bristol.

Później wieczorem Richard siedział z Williamem Henrym na kolanach i obrócił dziecko twarzą ku sobie. W wieku dwóch i pół lat jego syn był krzepkim i dużym dzieckiem i, jak się ojcu wydawało, miał wyraz twarzy surowego anioła. Sprawiały to przede wszystkim oczy, takie duże i niezwykle, naprawdę niezwykle - nikt dotąd nie widział jeszcze takiej mieszaniny piwa i pieprzu - jak również budowa ciała i piękna skóra. Gdziekolwiek poszedł, ludzie odwracali się i zachwycali jego urodą i nie był to bynajmniej wymysł wpatzonego w dziecko ojca. W opinii wszystkich William Henry był rzeczywiście zachwycającym dzieckiem.

- Pan Thistlethwaite odjeżdża - powiedział synowi.

- Odjeżdża!

- Ano tak, do Londynu. Nie będziemy go już często widywać, jeśli w ogóle go jeszcze zobaczymy.

Oczy dziecka nie napełniły się łzami, lecz zmieniły się w sposób, który - jak odgadł Richard - oznaczał wewnętrzny smutek, skrywany i świadczący o wrażliwej naturze.

- Czy on już nas nie lubi, tata?

- Lubi nas, i to bardzo. Ale potrzeba mu więcej przestrzeni, aniżeli znajduje w Bristolu, a to nie ma już z nami nic wspólnego.

Przysłuchując się im, Peg zaczęła szarpać za kraty własnego duchowego więzienia, tak dobrze skrywanego jak to, co działo się w umyśle Williama Henry'ego. Po tym mściwym odruchu, gdy zabroniła Richardowi dotykać jej, zmusiła się do małżeńskiego posłuszeństwa. Nawet jeśli Richard zauważył, że jej reakcje na jego umizgi stały się raczej machinalne, nie komentował tego. Nie chodziło o to, że mniej go kochała; jej emocjonalna oziębłość wynikała z poczucia winy spowodowanego bezpłodnością. Łono jej było zaschnięte i puste, niezdolne do wydania niczego poza jej miesiączką, a została poślubiona mężczyźnie, który kochał swoje dzieci nieomal szaleńczo. Mężczyźnie, któremu potrzebna była cała gromada dzieci, tak aby nie musiał postawić wszystkiego na jedną kartę zwaną Williamem Henrym.

- Kochanie - odezwała się, kiedy leżeli w łóżku uspokojeni odgłosem pochrapywań dochodzących z pokoju od ulicy oraz głębokiego oddechu śpiącego Williama. - Obawiam się, że ja już nigdy więcej nie pocznę. - Wreszcie zdołała to wyznać.

- Rozmawiałaś z kuzynem Jamesem aptekarzem?

- Nie muszę tego robić, bo nie jest to coś, na co on miałby lekarstwo. Po prostu taką mnie stworzył Bóg. Czuję to.

Przymknął oczy i przełknął ślinę.

- No cóż, mamy przynajmniej Williama Henry'ego.

- Wiem, a on jest zdrowy, powiedziałabym nawet, że wyjątkowo zdrowy. Ale, Richardzie! - Podniosła się, żeby usiąść. - To o nim właśnie chcę porozmawiać.

Richard usiadł również i objął ramionami kolana.

- No to mów, Peg.

- Nie chcę wyprowadzać się do Clifton!

Przechylił się na bok, potarł hubkę i zapalił świecę, tak aby móc widzieć jej twarz. Okrągła, o delikatnej urodzie i napięta od niepokoju, w jej brązowych oczach malowało się przerażenie.

- Peg, ależ to ze względu na nasze jedyne dziecko mamy się przenieść do Clifton.

Z zaciśniętymi dłońmi, zaczęła nagle przypominać swego syna - cokolwiek czuła, nie

była w stanie znaleźć odpowiedniego słowa na określenie tego.

- To dla dobra Williama Henry'ego to mówię. Wiem, że masz już pieniądze, aby kupić całkiem ładny domek nieco wyżej, na wzgórzach, ale byłabym tam sama z Williamem Henrym i nie miałabym nikogo do pomocy.

- Stać nas na służącą, Peg. Mówiłem ci już o tym.

- Tak, ale służba to nie rodzina. Tutaj mam twoich rodziców, do których mogę się zwrócić o pomoc. We troje możemy pilnować, aby Williamowi Henry'emu nic się nie stało, Richardzie. - Zacisnęła swe zdrowe, wypielęgnowane wodą zęby. - Zaczynam miewać koszmary. Widzę w nich Williama Henry'ego schodzącego do Avonu i wpadającego do rzeki, bo ja jestem zajęta wyrabianiem chleba, a służąca poszła właśnie po wodę do studni Jakuba. Widzę to ciągle, bez przerwy.

W nagle napełnionych łzami oczach zamigotał płomień. Richard położył na komodzie obok łóżka świecę i przyciągnął żonę ku sobie, biorąc ją w ramiona.

- Peg, Peg. To tylko sny. Ja też je miewam, kochanie. Ale w moich koszmarach William Henry zostaje zgnieciony pod płozami wozu albo porwany przez ten cholerny przypływ, albo też widzę go, jak wpada do otwartego kanału ściekowego. Wszystkie te rzeczy, które mu się w Clifton przydarzyć nie mogą. Jeśli tak cię to martwi, zatrudnimy dla niego niańkę.

- Twoje koszmary są zupełnie inne - szlochała. - Moje są zawsze takie same. Po prostu William Henry wpada w nich do Avonu; William Henry przerażony czymś, czego nie jestem w stanie dojrzeć.

Głaskał ją, dopóki się w końcu nie uspokoiła i nie usnęła w jego ramionach. Potem się położył i przy dopalającej się świecy usiłował zwalczyć własny smutek. Wiedział, że była to rodzinna konspiracja. To na pewno robota jego matki - Mag uwielbiała Williama Henry'ego i kochała swą bratanicę jak własną córkę, a Dick być może w głębi serca obawiał się, że jeśli Richard zamieszka w Clifton, to przyjdzie koniec na owe dwanaście szylingów tygodniowo. Mężczyzna będący panem własnego domu ma wiele wydatków. Instynkt nakazywał mu zignorować te naciski i przeprowadzić żonę i dziecko na pokryte zielenią wzgórze Clifton, gdzie oddychało się czystym powietrzem, lecz to, co Dick uważał za słabość Richarda, było w rzeczywistości umiejętnością współczucia i zrozumienia czynów innych, zwłaszcza członków rodziny. Gdyby się uparł na ten domek w Clifton - a znalazł już odpowiedni - przestronny, z pięknie pokrytym słomą dachem, nie za stary, z osobną kuchnią z tyłu na podwórzu dla zabezpieczenia przed pożarem i z poddaszem dla służby - gdyby się uparł przy tym domku w Clifton, to wiedział, że Peg już postanowiła, że nie będzie jej w nim dobrze. Postanowiła, że

go znenawidzi. Jakież to dziwne u córki wieśniaka! Nawet nie przeszło mu przez myśl, że nie będzie pragnęła wiejskiego stylu życia równie gorąco jak on, człowiek urodzony i wychowany w mieście. Zadrżały mu usta, ale nawet w samotności nocy Richard Morgan nie zapłakał. Po prostu uzbroił się, aby zaakceptować fakt, że nie będzie się przeprowadzać do Clifton.

„Boże na wysokościach, mojej żonie wydaje się, że jeśli zamieszkamy w Clifton, William Henry utonie w Avonie. Mnie natomiast przeraża przecucie, że to Bristol go zabije. Proszę Cię, błagam Cię, abys ochronił mego syna! Pozwól mi zachować chociaż to jedno dziecko! Matka jego mówi mi, że już nigdy nie urodzi, i ja jej wierzę”.

- Pozostaniemy w tawernie „Pod Bednarzem” - oświadczył Peg, kiedy wstawali tuż przed świtem.

Jej twarz rozjaśniła się i przytuliła się do niego w przypiływie ulgi.

- Och, dziękuję ci, Richardzie, dziękuję!

Wojna w Ameryce przez jakiś czas jeszcze toczyła się pomyślnie dla Anglii, mimo że paru torysów było jej na tyle przeciwnych, że postanowiło odejść z rządu w proteście przeciwko polityce króla. Dżentelmen Johnny Burgoyne dostał rozkaz oczyszczenia północnego Nowego Jorku ze wszystkich rebeliantów i zademonstrowania swoich umiejętności przez zajęcie Fortu Ticonderoga na jeziorze Champlain - warowni, którą rebelianci uważali za nie do zdobycia. Jednakże pomiędzy jeziorem a korytem rzeki Hudson znajdowała się puszcza, przez którą Burgoyne przedzierał się z szybkością jednej mili na dzień. Opuściło go szczęście, jak również jego dywersyjny kontyngent, pokonany pod Bennington. Horatio Gates przejął dowództwo jako komendant rebeliantów i miał przy sobie wyśmienitego Benedicta Arnolda. Zmuszony dwukrotnie do bitwy pod Bemis Heights, Burgoyne poniósł ostateczną klęskę i skapitulował pod Saratogą.

Wiadomości o Saratodze wstrząsnęły całą Anglią. Kapitulacja! W jaki sposób Saratoga przeważała wszystkie inne dotychczasowe zwycięstwa, czego tajemniczych i subtelnych konsekwencji nie wziął pod uwagę ani król, ani lord North? Dla przeciętnych Anglików i Angielek Saratoga oznaczała, że Anglia przegrywa wojnę, że amerykańscy rebelianci mieli coś, czego brakowało Francuzom, Hiszpanom i Holendrom.

Gdyby sir William Howe posunął się dalej w górę rzeki Hudson na spotkanie z Burgoynem, sprawy mogłyby potoczyć się zupełnie inaczej, ale Howe postanowił zamiast tego najechać Pensylwanię. Pobił Jerzego Waszyngtona pod Brandywine, a potem udało mu się zdobyć Filadelfię i Germantown. Amerykański Kongres umknął do pensylwańskiego

Yorku, co zbiło z tropu Anglików tak na polu walki, jak i w kraju. Nie zostawia się przecież tak zwyczajnie swojej stolicy wrogowi, lecz broni się jej aż do śmierci. Po co zdobywać Filadelfię, skoro nie było tam już rządu? Świat zmieniał swoje oblicze.

Chociaż zwycięstwa Howe'a w Pensylwanii zbiegły się w czasie z kampaniami Burgoyne'a w górnym Nowym Jorku, w Anglii postrzegano je jako mniej ważne niż porażka pod Saratogą. Począwszy od tego wydarzenia, w parlamencie zaczęto wątpić, czy Anglia była w stanie wygrać tę wojnę. Rząd lorda Norma stawał się coraz bardziej defensywny, zaniepokojony również wydarzeniami w Irlandii, z zablokowanym bezpośrednim handlem morskim, coraz częściej mówił o powoływaniu ochotników do walki z Francuzami sprzymierzonymi z Amerykanami. No cóż, każdy w Londynie to przejrzał! Jeśli Irlandczycy zamierzali się bić, to pójdą walczyć z Anglikami. A zatem należało pogodzić się z Irlandczykami, skoro armia była o trzy tysiące mil z dala od kraju. Nie było to proste zadanie, zważywszy na rządy torysów w parlamencie.

W Bristolu ekonomiczna depresja nadal się pogłębiała. Francuzi i amerykańscy korsarze pływali po morzach i radzili sobie lepiej od angielskich - królewska flota znajdowała się bowiem również po drugiej stronie Zachodniego Oceanu. Zawsze skłonni do wysyłania statków korsarskich, brytyjscy plutokraci dawali pieniądze na przekształcanie statków kupieckich w uzbrojone pływające fortece. Angielskie statki korsarskie radziły sobie wyjątkowo dobrze w czasie siedmioletniej wojny przeciwko Francji, nikt zatem nawet nie przypuszczał, że ta wojna mogłaby spowodować inne skutki.

Ale - pisał Richard w liście do pana Jamesa Thistlethwaite'a w drugiej połowie 1778 roku - nasi inwestorzy ponieśli ogromne straty. Bristol spuścił na wodę dwadzieścia jeden statków korsarskich, lecz jedynie dwa statki do przewozu niewolników, „Tar - tar” i „Alexander”, zdołały złapać zdobycz - francuski statek kursujący do Indii Wschodnich, wart sto tysięcy funtów. Handel morski tak bardzo podupadł, że zarząd miejski stwierdził, że dochody z opłat podatków portowych nie pokryją nawet pensji burmistrza.

Wszędzie pełno rozbójników. Nawet zajazd „Pod Białymi Damami” na rogatkach w Aust uważany jest za zbyt niebezpieczny cel wyprawy na niedzielny spacer, a pan i pani Maurice Trevillian, pochodzący z tej słynnej kornwalijskiej rodziny, zostali złapani i ograbieni w swym powozie, tuż przed ich rezydencją na Park Street! Stracili złoty zegarek i bardzo cenną biżuterię oraz jakąś sumę pieniędzy.

Krótko mówiąc, Jem, sytuacja jest bardzo niepewna.

Pan Thistlethwaite odpowiedział na list Richarda z wyjątkowym pośpiechem. Jakieś wrogie mu małe ptaszki bristolskie świergotały wesoło, że Jem Thistlethwaite nie

prosperował za dobrze w Londynie. Był zmuszony, ćwierkały, do nagabywania wydawców i kaptowania właścicieli sklepów.

Richardzie, jak cudownie było usłyszeć to od Ciebie! Tęsknię za widokiem Twojej przystojnej twarzy, a ten list przywołał mi ją przed oczy.

Jedyną różnicą pomiędzy piratem a korsarzem jest list kaperski od rządu Jego Królewskiej Mości, który zabiera pokaźną część zysków. To, co zaczęło się jako lokalny konflikt, przeobraziło się w światową wojnę. Angielskie placówki atakowane są niemal na wszystkich krańcach kuli ziemskiej - ale jakież to kula może mieć krańce? - nawet w niektórych bardzo odległych.

Wcale mnie nie dziwi, że te dwa statki do przewozu niewolników złapały jedyny łup. Zwłaszcza „Alexander” i „Tartar”. Mają odpowiednią wielkość i wyporność, stu dwudziestu mężczyzn do obsługi i szesnaście dział. Wyśmienicie. A poza tym statki do handlu żywym towarem pływają atak wybornie. Są szybkie i zwrotne. Lepiej niech już robią coś pożytecznego, skoro przewóz niewolników jest teraz przez jakiś czas niemożliwy.

Jeśli Bristol jest w poważnych tarapatach, to Liverpool znalazł się już na skraju przepaści. Miasto to jest nieomal tak duże jak Bristol, a mimo to posiada cztery razy mniej instytucji charytatywnych. Tysiące ludzi zostało rzuconych na łaskę parafii, które nie dostając darowizn od filantropów, nie są w stanie ich wyżywić. Ludzie ci dosłownie głodują, a lord Penrhyn i podobni mu liverpoolczycy jeszcze nie znają znaczenia słowa „filantropia”. I dzieje się to w mieście, w którym wszyscy bogacze zajmują się handlem żywym towarem.

I chociaż Londyn spogląda na wschód, miliony tutejszych dusz także cierpi, Richardzie. Spółce Wschodnioindyjskiej sytuacja ta dała się już trochę we znaki i obawiają się Francuzów, których jankescy sojusznicy traktują bardzo dobrze. Stany Zjednoczone Ameryki! Wielki tytuł, jak na taką luźną konfederację małych kolonii zjednoczonych nagłą potrzebą - ale potrzeba ta kiedyś zniknie. A wówczas każda z tych kolonii pójdzie swoją drogą i Stany Zjednoczone Ameryki zostaną już tylko nieosiągalną, filozoficzną ideą w umysłach paru genialnych, oświeconych i wyjątkowo utalentowanych ludzi. Amerykańscy koloniści wygrają tę ich wojnę, nigdy w to nie wątpiłem, ale wyłonią się z niej jako trzynaście różnych stanów połączonych ze sobą jedynie traktatem o wspólnej pomocy.

Usłyszałem ploteczkę, która Ci się spodoba, Richardzie. Chodzą słuchy, że pan Henry Cruger, poseł parlamentu z ramienia Bristolu i Amerykanin, dostaje pensję co najmniej tysiąca funtów od króla za informacje o poczynaniach Jankesów. Co za ironia! W całym Bristolu wrzeszczą, że Cruger jest jankeskim szpiegiem, a on przez cały czas szpiegował dla Anglii.

Zakończę, mój drogi Richardzie, stwierdzeniem, że londyńskie powietrze jest również beocyjskie i raczej nie służy moim attyjskim płucom. Mam się jednak dobrze i często bywam za bardzo pijany - choć tutejszy rum nie umywa się do tego od Thomasa Cave'a.

„Końcowy paragraf - pomyślał Richard, odkładając list - potwierdza, że to, o czym ćwierkają bristolskie ptaszki, jest prawdą. Biedny Jem! Bristol miał swoje ograniczenia, a on sądził, że ogromny Londyn będzie ich pozbawiony - miasto, które posiada własnych satyryków i nie potrzebuje bristolskich”.

I tak listy, którymi zasypywał Richarda, zawierały wieści, które Richard już znał, choć nie miał serca, aby mu o tym napisać w swoich odpowiedziach.

- Och, Jem! - wykrzyknął pod koniec 1780 roku, czytając kolejny list od pana Thistlethwaite'a. - Utraciłeś swą zjadliwość!

Ten świat stanął na głowie, Richardzie. Sir Henry Clinton, nasz ostatni naczelny dowódca, wycofał się z Filadelfii, aby utrzymać silną pozycję na Manhattanie i w pobliskich częściach Nowego Jorku. Co przypomina mi trochę lisa uciekającego do nory, jeszcze zanim zaczną ujadać psy. Francuzi oficjalnie uznali już Stany Zjednoczone Ameryki i robią z siebie kompletnych pajaców z powodu nadjeźdzonej przez mole futrzanej czapki ambasadora Benjamina Franklina. Cała Europa jest teraz niespokojna, że Katarzyna, caryca Wszechrusi, zawarła porozumienie o zbrojnej neutralności pomiędzy Rosją a Danią, Szwecją, Prusami, Austrią i Sycylią. Kraje te łączy jedynie wspólna obawa przed Anglikami i Francuzami.

Napisałem wyśmienity - i bardzo dobrze przyjęty! - artykuł na temat pięciu i pół tysiąca Synów Wolności wziętych w niewolę przez sir Henry'ego Clintona po zdobyciu Charles Town. Zostali wcieleni do naszej marynarki. Miły akcencik, co? Mój artykuł dotyczył szczególnego faktu - a mianowicie tego, że amerykańscy oficerowie nie wążą się chłostać swoich żołnierzy i marynarzy! Wyobraź sobie, co to będzie, jak stary angielski bat zedrze im skórę z tyłków i pleców!

Napisałem również obronę zdrady generała Benedicta Arnolda, którą uważam za zwykłą konsekwencję tej cholernie powolnej wojny. Uważam, że tak on, jak i pozostali jego koledzy renegaci, znudzili się już tym cierpliwym wyczekiwaniem. Wygody angielskiego dowództwa i wielkość ich pensji muszą wzbudzać poważne zaniepokojenie wśród starszych oficerów amerykańskich. Nie mówiąc już o atrakcjach angielskiego profesjonalizmu. To musi być rzeczywiście irytujące dla takiego wymuskanego dowódcy, gdy widzi swoich obszarpanych żołnierzy bez butów i kapeluszy, buntujących się z powodu braku wypłaty, lecz wolnych na tyle, aby mu powiedzieć, żeby się odpiardolił, jeśli im się nie spodoba jego rozkazy. Bez bata!

Postawiłem sto funtów, dziesięć do jednego, twierdząc, że rebelianci zwyciężą. Oznacza to zatem, że kiedyś wzbogacę się o tysiąc funtów. Kiedyś. O Boże, Richard, jakże ta wojna się ciągnie! Parlament i król rujnują Anglię!

Richard ubolewał jednak nad czymś o wiele mu bliższym aniżeli wojna tocząca się trzy tysiące mil dalej. Peg zaczęła znęcać się nad sobą. Miała ku temu powody - nie mogła mieć więcej dzieci. William Henry był jej jedyną nadzieją, a Richarda nie było w domu, więc nie mógł jej uspokajać i wyciągać z tych humorów i depresji.

„Może w miarę upływu czasu stajemy się niezdolni do podtrzymywania w pamięci naszych młodzieńczych marzeń? A może to samo życie je gasi? Czy tak właśnie stało się z Peg? Czy tak stanie się i ze mną? Miałem niegdyś takie cudowne marzenia - domek w Clifton pośród ogrodu pełnego kwiatów, ładny konik do wyjazdów do Bristolu i dwukółka dla rodziny na wyjazdy do Durdham Down na pikniki, bardzo przyjemne spotkania z sąsiadami z tego samego co ja stanu, tuzin dzieci i wszystkie te zwyczajne rozkosze i niebezpieczeństwa związane z pilnowaniem ich, gdy dorastają. Tak jakbym był jedynie świadkiem tajemnych celów Boga, ciepły w jego rękach, dobry dla moich bliskich, nie szkodzący nikomu. Przekroczyłem już trzydzieści dwa lata i nic z tego się jeszcze nie spełniło. Mam mały majątek w Bristolskim Banku, jedno piskłę w gnieździe i jestem skazany na życie w domu mego ojca na zawsze. Nigdy nie będę panem własnego życia, moja żona bowiem boi się wszelkich zmian. Boi się, że straci to jedno, jedyne piskłę. Jakże mam jej wytłumaczyć, że ten strach jest pokusą dla Boga? Dawno temu pojąłem, że kłopoty zaczynają się wówczas, gdy ktoś za bardzo się wszystkim przejmuje. Najlepiej siedzieć cicho, żeby ich unikać, i nie zwracać na siebie uwagi”.

Na skutek obsesji Peg na punkcie dziecka, jego miłość dla Williama Henry'ego uległa subtelnej zmianie. Niegdyśiejszy strach o to, że syn zachoruje lub wybierze się gdzieś na wędrowkę, zamienił się w litość z powodu sytuacji, w jakiej się znalazł. Jeśli biegał, zamiast chodzić po tawernie, Peg rzucała się ku niemu, pytając, dlaczego biega. Kiedy Dick zabierał Williama Henry'ego na codzienny spacer, Peg upierała się, żeby im towarzyszyć, tak iż chłopiec został skazany na chodzenie, trzymając się jej ręki, i nigdy nie mógł swobodnie biegać. Jeśli próbował stanąć na skraju Key Head i policzyć (a umiał już rachować do stu) statki cumujące przy tej zadziwiającej alei, Peg natychmiast ściągała go stamtąd, karcąc Dicka ostrymi słowami za jego nieostrożność. Najgorsze w tym wszystkim było to, że dziecko nie buntowało się i nie domagało się niezależności, co większość chłopców w wieku sześciu lat robi aż nazbyt często.

- Rozmawiałem z senhorem Habitasem - odezwał się Richard pewnego długiego,

letniego wieczoru po zamknięciu tawerny „Pod Bednarzem”. - Nie ma obawy, aby Towers Arms przestało w najbliższym czasie składać u nas zamówienia, lecz mimo to sytuacja jest na tyle ustabilizowana, że możemy poświęcić trochę czasu komuś niewykwalifikowanemu. - Zaczepnął głęboko powietrza i spojrzał na Peg po przeciwnej stronie zastawionego kolacją stołu. - Od tej pory będę zabierał Williama Henry’ego ze sobą do pracy.

Miał zamiar ciągnąć dalej i wytłumaczyć jej, że to tylko na jakiś czas i że chłopak rozpaczliwie potrzebował bodźców, nowych doświadczeń i twarzy, że on również posiadał cierpliwość i mechaniczne zdolności, to zamiłowanie do składania różnych części łamigłówek. Nic z tego nie zostało jednak powiedziane.

Peg zaczęła wrzeszczeć:

- Nie! Nie i nie! - napływały jej piskliwe okrzyki, tak przerażające, że William Henry wzdrygnął się, skurczył, wygramolił ze swego krzesła i pobiegł ukryć głowę na kolanach ojca.

Dick zacisnął pięści i spojrzał na nich groźnie z zaciśniętymi zębami, Mag wstała, złapała za dzbanek wody stojący na kontuarze i wylała jego zawartość na twarz Peg. Ta przestała się wydierać, lecz z kolei zaczęła wyc.

- To był tylko taki pomysł - zwrócił się Richard do ojca.

- Nie należał do twoich najlepszych, Richardzie.

- Myślałem, chodź no tu do mnie, Williamie Henry. - Objął chłopca rękami i posadził go sobie na kolanach, rzucając Dickowi spojrzenie zabraniające wszelkich komentarzy - Dick bowiem uważał, że jego wnuk był już za duży na to, aby ojciec go tulił. - Już dobrze, uspokój się, Williamie Henry, wszystko jest w porządku.

- Mama? - zapytało dziecko z pobladłą jak płótno twarzą i ogromnymi oczyma.

- Mamie zrobiło się słabo, ale wkrótce poczuje się lepiej. No widzisz? Babcia wie, co robić. Powiedziałem coś, czego nie powinienem mówić, to wszystko - zakończył Richard, masując synowi plecy i spoglądając na Dicka z jakimś potwornym pragnieniem parsknięcia śmiechem. Bynajmniej nie z rozbawienia. Ale ze wściekłości. - Nic nie jestem w stanie zrobić dobrze, ojciec - stwierdził. - Nikomu przecież nie chciałem wyrządzić krzywdy.

- Wiem o tym - odparł Dick, wstał i poszedł pociągnąć kota za ogon. - Masz tu kapkę prawdziwego trunku - powiedział, podając Richardowi kufel. - Wiem, że nie lubisz rumu, ale czasami mocne lekarstwo jest najlepsze.

Ku swemu zdumieniu Richard przekonał się, że rum rzeczywiście dobrze mu zrobił, uspokoił nerwy i uśmierzył ból.

- Ojciec, co ja mam teraz zrobić? - zapytał później.

- W każdym razie nie zabieraj Williama Henry'ego ze sobą do Habitasa.

- To, co się z nią dzieje, to coś gorszego aniżeli złe samopoczucie, prawda?

- Obawiam się, że tak, Richardzie. Najgorsze zaś w tym jest to, że takie rozpieszczanie nie wyjdzie mu na dobre.

- Komu? - zapytał William Henry.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego, a potem na siebie.

- Tobie - odpowiedział stanowczo Richard. - Tobie, Williamie Henry. Jesteś już na tyle duży, że można ci powiedzieć, że twoja mama zamartwia się o ciebie i niepokoi o wiele za często.

- Wiem o tym, tato - odpowiedział William Henry. Zszedł z kolan ojca i podszedł do matki, by poklepać ją po drżących ramionach. - Mama, nie musisz się tak bać. Jestem już dużym chłopcem.

- Ależ on jest jeszcze taki mały! - zawodziła Peg, kiedy Richard zabrał ją na górę i położył do łóżka. - Richardzie, jakże ty możesz być taki głupi? Dziecko w rusznikarni?

- Peg, my tylko wykonujemy strzelby, my z nich nie strzelamy - wyjaśnił cierpliwie Richard. - William Henry jest już na tyle duży - tu zaczął rozpaczliwie szukać odpowiednich słów - że trzeba mu poszerzyć horyzonty.

Odsunęła się od niego.

- Ależ to śmiechu warte! Jakże ktoś, dla kogo domem jest tawerna, może jeszcze potrzebować rozszerzania horyzontów?

- Tawerna uczy dziecko jedynie głupot - odpowiedział Richard, usiłując powstrzymać rozdrażnienie. - Odkąd otworzył oczy, widział tu tylko pijaństwo, rozczulanie się nad sobą, niebaczne uwagi, pięści, sprośności, lubieżne zachowanie i odrażające brudy. Wydaje ci się, że twoja obecność sprawia, iż to wszystko staje się możliwe do przyjęcia, że nic mu nie może zaszkodzić, lecz ja również byłem dzieckiem karczmarza i aż nadto dobrze pamiętam, czym było dla mnie takie życie. Szczerze mówiąc, cieszyłem się, że zmuszono mnie do zamieszkania w szkole Colston z internatem i że nie musiałem przysposabiać się do zawodu karczmarza. William Henry dużo by skorzystał, gdyby spotykał się ludźmi trzeźwymi i miał z nimi więcej do czynienia.

- Nie weźmiesz go do Habitasa! - fuknęła.

- Sam to już widzę, Peg, nie musisz mi tego mówić. Epizod ten pokazał mi jednak - powiedział, siadając na łóżku i kładąc jej rękę na ramieniu - że nadszedł czas, aby poważnie porozmawiać. Nie możesz trzymać Williama Henry'ego w pieluszkach przez resztę jego dzieciństwa tylko dlatego, że jest naszym jedynym dzieckiem. Dzisiaj zrozumiałem, że

najwyższy czas, aby pozwolić naszemu synowi na więcej wolności. Musisz się już teraz z tym pogodzić, w przyszłym roku bowiem pójdzie do szkoły Colston i przy tej decyzji będę obstawał niezależnie od wszystkiego.

- Nie mogę pozwolić mu odejść! - krzyczała.

- Musisz. Jeśli tego nie uczynisz, Peg, będzie to oznaczało, że to nie swoje dziecko masz na uwadze, lecz samą siebie.

- Wiem, wiem, wiem! - płakała, zakrywając twarz rękoma i kołyszając się. - Jakże mam to jednak powstrzymać? Jest wszystkim, co mam - co w ogóle będę miała!

- Masz jeszcze mnie. Przez chwilę nie odezwała się.

- Tak - przyznała w końcu. - Mam jeszcze i ciebie. Ale to nie to samo, Richardzie. To nie to samo. Gdyby coś się stało Williamowi Henry'emu, umarłabym.

Światło dnia już prawie zgasło, szare promienie przedostawały się przez jedną ze szpar przepierzenia i spoczęły niczym pajęczyna na twarzy Richarda Morgana, kiedy tak siedział, spoglądając na żonę. „Nie, to nie to samo - pomyślał. - To nie to samo”.

Szkoła Colston dla chłopców umożliwiła zdobycie wykształcenia wielu synom z lepiej sytuowanej warstwy bristolskiej biedoty. Bynajmniej też nie była to jedyna szkoła tego rodzaju - każde z religijnych wyznań, z wyjątkiem rzymskokatolickiego, miało charytatywne szkoły, zwłaszcza Kościół anglikański. Jednakże tylko dwie z nich wymagały charakterystycznego umundurowania dla swoich wychowanków. Chłopcy ze szkoły Colston nosili niebieskie marynarki, a Czerwone Panny - czerwone sukienki. Obie szkoły były pod patronatem Kościoła anglikańskiego, choć dziewczynki nie miały tyle szczęścia co chłopcy - uczono je jedynie czytać, a nie pisać, i większość czasu spędzały na haftowaniu jedwabnych kamizelek i surdutów dla ziemiaństwa, za którą to pracę nie płacono im, lecz ich nauczycielom. Umiejętność czytania i liczenia rozpowszechniona była wśród bristolskich mężczyzn w o wiele większym stopniu aniżeli w jakimkolwiek innym angielskim mieście, włącznie z Londynem, gdzie było to oznaką bogactwa.

Stu wychowanków szkoły Colston mieszkało w internacie i właśnie taki los spotkał Richarda. Ze względu na szkołę i przysposabianie do zawodu, od siódmego po dziewiętnasty rok życia widywał swych rodziców jedynie w niedziele i podczas wakacji. Jakże Peg miałyby się pogodzić z czymś takim? Na szczęście szkoła Colston proponowała również inną możliwość nauczania - za sporą opłatą dziecko zamożnego człowieka mogło uczyć się na lekcje od siódmej rano do drugiej po południu, od poniedziałku do soboty, w charakterze dziennego ucznia. Ponieważ obchodzono wiele świąt, żaden dyrektor szkoły nie miał zamiaru

dodawać sobie więcej zmartwień, aniżeli wymagał tego Kościół anglikański i testament zmarłego pana Colstona.

Przed Williamem Henrym, drepczącym obok swego dziadka (Mag wpadła bowiem we wściekłość, co skutecznie powstrzymało Peg od towarzyszenia mu) owego pierwszego ranka, otworzyło się coś więcej aniżeli bramy szkoły i nauki - był to dla niego pierwszy dzień zupełnie nowego życia i wszystko go ciekawiło. Być może gdyby pozwolono mu iść z Richardem i zobaczyć, na czym polega rusznikarstwo, nie porwałoby go to tak bardzo, jednakże ściany więzienia, jakie wzniosła wokół niego matka, pozostały nienaruszone i miał ich już dosyć. Bardziej impulsywne i porywcze dziecko uskarżałoby się na nie, okazując frustrację, lecz William Henry był równie cierpliwy i opanowany jak jego ojciec. Jego dewiza brzmiała „czekaj”. I nareszcie nadszedł koniec tego czekania.

Szkoła Colston dla chłopców nie różniła się wyglądem od dwóch tuzinów innych ruder cieszących się tytułami takimi jak szkoły czy domy dla ubogich, szpitale czy przytułki - brudne, niezbyt dobrze utrzymane, z nigdy nie mytymi szybami w oknach, nędznie otynkowane i z powykrzywianym obelkowaniem. Wilgoć przenikała je od fundamentów po kominy z epoki Tudorów, ich wnętrza nigdy nie zostały przystosowane do nauczania, a zapach z rzeki Froom płynącej zaledwie parę jardów dalej przyprawiał o mdłości każdego z wyjątkiem rodowitego bristolczyka.

Przeszli przez bramę i podwórze, na którym przebywało, zdawałoby się, tysiąc chłopców, z których połowa nosiła słynne niebieskie marynarki. Podobnie jak inni płacący uczniowie, William Henry nie musiał jej nosić. Niektórzy z dziennych uczniów byli synami radnych miejskich lub kupców i spekulantów, którzy nie życzyli sobie, aby ich potomstwo napiętnowane zostało jakakolwiek zmazą jałmużny.

Wysoki człowiek o długich i chudych nogach w czarnym ubraniu z wykrochmalonym, białym kołnierzykiem duchownego, podszedł do Dicka i Williama Henry'ego, uśmiechając się i ukazując odbarwione, gnijące zęby, świadczące o jego zamiłowaniu do rumu. - Wielebny Prichard! - powiedział Dick, kłaniając się.

- Pan Morgan. - Ciemne oczy spoczęły na Williamie Henrym i rozszerzyły się.

- Czy to jest syn Richarda?

- Tak, to jest William Henry.

- No to chodź, Williamie Henry. - I wielebny Prichard ruszył przez podwórze, nie oglądając się za siebie.

William Henry podążył za nim, również nie spoglądając za siebie - był zbyt zajęty obserwowaniem chaosu panującego na tym szkolnym podwórku.

- Masz szczęście - stwierdził nauczyciel dziennych uczniów - że twoje urodziny zbiegają się z rozpoczęciem nauki, paniczu Williamie Henry Morganie. Zaczyniesz się uczyć od literki „a”, takiej jak w wyrazie „abecadło”, oraz od mnożenia przez dwa. Widzę, że masz tu swoją tabliczkę, to dobrze.

- Tak, proszę pana - odpowiedział William Henry, którego maniere były nienaganne.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział nieproszony aż do obiadu w refektarzu, jego procesy myślowe nie były wiele lepsze. Wszystko było takie powikłane! Tyle reguł, które zdawały się w ogóle nie mieć sensu. Określały, jak stać. Jak siadać. Jak trzeba klęczeć. I modlić się. Powtarzać słowa niczym papuga. Jak należy odpowiadać na pytania, a jak nie wolno. Kto co uczynił i komu. Gdzie znajdowało się coś względem czego.

Lekcje odbywały się w obszernym pomieszczeniu zajmowanym przez stu uczniów juniorów szkoły Colston, a kilku nauczycieli przechodziło od jednej grupy do drugiej, nie zważając na pozostałe. Było to zatem bardzo korzystne dla Williama Henry’ego Mograna, że jego dziadek - niezbyt zajęty w tych ciężkich czasach - nauczył go liczyć, rozróżniać litery alfabetu, a nawet wykonywać parę prostych działań matematycznych. W przeciwnym razie mógłby się czuć w tym wszystkim zagubiony.

Choć wielebny Prichard krążył po sali, to jednak nie prowadził żadnych lekcji. Obowiązek ten w grupie Williama Henry’ego spoczywał na panu Simpsonie i wkrótce okazało się, że jeśli chodziło o wychowanków, pan Simpson miał pośród nich swoich ulubieńców i tych, do których odnosił się z niechęcią. Jako że sam był smukłym człowiekiem o ziemistej cerze i zdawało się, że nieustannie zbierało mu się na wymioty, to nic dziwnego, iż nie lubił chłopców, którzy pociągali nosami z zapalem, dłubali w nosie lub pokazywali lepkie, brązowe palce, zdradzając, że używali ich do wycierania tyłków.

Robienie tego, co mu kazano, nie było specjalną dla Williama Henry’ego udręką: Siedź cicho! Nie wierć się! Nie kop nogami pod ławką! Nie dłub w nosie! Nie pociągaj nosem! I nie gadaj! Dlatego też pan Simpson zdawał się go nie zauważać, poza zapytaniem o nazwisko i poinformowaniem, że - ponieważ w Colston było już dwóch Morganów - będą go nazywać Morganem Tercjuszem. Inny chłopiec, któremu zadano to samo pytanie i który uzyskał podobną odpowiedź, był na tyle głupi, aby zaprotestować przeciwko nazywaniu go Carterem Minorem. Zasłużył tym na cztery złośliwe uderzenia trzcina - jedno za to, że nie powiedział „proszę pana”, drugie za arogancję, a dwa pozostałe na szczęście.

Trzcina była przerażającym instrumentem, z którym William Henry nie miał nigdy do czynienia. Choć skończył już siedem lat, nie dostał nigdy nawet klapsa. Poprzysiągł sobie zatem, że nie da żadnemu z nauczycieli w Colston powodu do wychłostania go. Do

jedenastej, kiedy to cała szkoła zasiadła w refektarzu na ławkach po obu stronach długich stołów, William Henry zdążył się już zorientować, kto zazwyczaj brał cięgi. Gadulscy, ci, co dłubali w nosach, wiercili się, pociągali nosami, tępacy, impertynenci i niewielka garstka chłopców, którzy zdawali się ciągle popadać w jakieś tarapaty.

Nie obchodzili go specjalnie siedzący najbliżej towarzysze - zarówno w klasie, jak i w refektarzu - zainteresował się jednak chłopcem siedzącym o jedno miejsce dalej - był pogodny, a mimo to nie na tyle żywy, aby zasłużyć na chłostę. Gdy William Henry spojrzął na niego, jeden z nauczycieli przy stole dyrektora wstrzymał oddech i zeszywniał.

W momencie gdy uśmiechnął się do niego, chłopiec w jakiś niepojęty dla Williama Henry'ego sposób zrzucił siedzącego pomiędzy nimi kolegę, który z hukiem zleciał na podłogę i został zaciągnięty za ucho do dyrektorskiego stołu, stojącego na podium w ogromnej, akustycznej sali.

- Monkton Minor - przedstawił się nowo przybyły, ukazując brakujący ząb. - Jestem tu już od lutego.

- Morgan Tercjusz, zacząłem dzisiaj - szepnął William Henry.

- Można tu cicho rozmawiać po odmówieniu modlitwy. Musisz mieć bogatego ojca, Morganie Tercjusz.

William Henry spojrzął na niebieską marynarkę Monktona Minora i zamyślił się. - Nie sądzę, Monktonie Minorze. A w każdym razie nie za bardzo bogatego. Uczęszczał niegdyś do tej szkoły i nosił niebieski mundurek.

- Ach tak. - Monkton Minor zastanowił się nad tym, a potem skinął głową. - A czy twój ojciec jeszcze żyje?

- Tak. A twój?

- Nie. I moja matka też nie. Jestem sierotą. - Monkton Minor pochylił głowę, jego jasnoniebieskie oczy błyszczały. - Jak ci naprawdę na imię, Morganie Tercjusz?

- Mam dwa imiona. William Henry. A ty jak masz na imię?

- Johnny. - Jego spojrzenie nabrało konspiracyjnych cech. - Będę wołał na ciebie William Henry, a ty będziesz mówił do mnie Johnny, ale tylko wtedy, gdy nikt nie będzie mógł nas usłyszeć.

- Czy to grzech? - zapytał William Henry, który nadal rozumował w tych kategoriach.

- Nie, to tylko nieodpowiednia forma. Ale ja nie cierpię, jak mnie nazywają Minor.

- A ja, jak wołają na mnie Tercjusz. - William Henry odwrócił wzrok od swego nowego przyjaciela i spojrzął niespokojnie w stronę dyrektorskiego stołu, gdzie kolega otrzymywał karę, zwaną - jak William Henry zdołał się już dowiedzieć - gadką. Była o wiele

gorsza od paru razy kijem, bo trwała znacznie dłużej i trzeba było wówczas stać bez ruchu, dopóki nie skończą, lub siedzieć na stołku przez resztę dnia. Napotkawszy spojrzenie nauczyciela siedzącego obok pana Simpsona, zamrugał i natychmiast odwrócił wzrok, choć sam nie wiedział dlaczego.

- Kto to jest, Johnny?

- Ten obok dyrektora? To stary piekielnik z Froom, Prichard.

- Nie, ten następny. Obok Simpa.

- To pan Parfrey. Uczy łaciny.

- Czy on też ma jakieś przezwisko?

Monkton Minor zdołał dotknąć ustami czubka swego zadartego nosa.

- Nawet jeśli takowe ma, to my, juniorzy, go nie znamy. Łacina jest dla seniorów.

Kiedy chłopcy dyskutowali na ich temat, panowie Parfrey i Simpson zajęci byli rozmową o Williamie Henrym.

- Widzę, Ned, że masz podczaszego pośród swoich świń. Pan Simpson zrozumiał to bez dalszych wyjaśnień.

- Morgan Tercjusz? Gdybyś zobaczył jego oczy!

- Zapewniam cię, że zrobię wszystko, żeby im się przyjrzeć. Ale nawet z tej odległości, Ned, on jest zachwycający. Prawdziwy podczaszy, ach, gdybym tak był Zeusem!

- George, zanim on zacznie wzdychać i zacznie przybywać mu ciała, upłyną jeszcze co najmniej ze dwa lata, a do tego czasu będzie prawdopodobnie tak samo zasmarkany jak cała reszta - odpowiedział mu pan Simpson, mieszając nieśmiało jedzenie na talerzu, choć było ono o wiele smaczniejsze od tego, które podawano chłopcom. Choroby były dziedziczne w jego rodzinie, słynnej z krótkowzroczności.

Ta niedbała wymiana zdań nie była bynajmniej dowodem jakichś lubieżnych intencji - a jedynie symptomem ich nieszczęśliwego losu. George Parfrey pragnął być Zeusem, lecz równie dobrze i z tym samym skutkiem mógłby pragnąć być Robertem Nugentem, obecnie hrabią Nugentem. Nauczyciele byli bowiem zawsze biedni. Dla panów Simpsona i Parfreya szkoła Colston stanowiła szczyt możliwości. Płacono im jednego funta na tydzień - ale tylko wówczas, gdy szkoła była otwarta - i mieli tam zapewniony wikt i zakwaterowanie w ramach warunków pracy. Colston było znane z bardzo dobrego jedzenia (dyrektor był bowiem znanym epikurejczykiem), a każdy z nauczycieli miał przydzielony własny pokój, toteż nie było powodu do odejścia, chyba że miało się na oku Eton, Harrow czy też Bristol Grammar School. Małżeństwo zazwyczaj wszystko utrudniało i było raczej nie do pomyślenia, chyba że ktoś złożył śluby duchowne albo znacznie awansował. Chociaż małżeństwo nie było

zakazane, konieczność zakwaterowania żony z dzieckiem w takim małym pokoiku raczej do tego nie zachęcała. Poza tym panów Simpsona i Parfreya bynajmniej nie kusila płec̄ odmienna. Zadowalali się własną i wystarczały im wzajemne kontakty. Miłość biednego Neda Simpsona była jednak jednostronna - George Parfrey nie odwzajemniał tego uczucia.

- Może poszlibyśmy do Hotwells po mszy w niedzielę? - zapytał pan Simpson z nadzieją w głosie. - Wody zdają się dobrze mi robić.

- Pod warunkiem, że pozwolisz mi oddać się moim akwarelom - odpowiedział pan Parfrey, ciągle wpatrzony w Williama Henry'ego Morgana, który z każdą minutą zdawał się coraz bardziej ożywiony i coraz piękniejszy. Skrzywił się. - Doprawdy nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem ktokolwiek może się poczuć lepiej po wypiciu ścieków spływających rzeką Avon, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, aby mi podarować chwilę spokoju przy Skalkach św. Wincentego, to pójdę tam z tobą. - Rozległo się westchnienie. - Och, jakże bym chciał móc namalować to boskie dziecko!

Richard przybył odebrać Williama Henry'ego z gardłem wyschniętym z niepokoju. Co będzie, jeśli przywita go oszołomiony mały chłopiec, błagając go, aby nie musiał jutro wracać do szkoły?

Zbyteczne obawy. Jego oczy odnalazły śmiejącego się syna, pędzącego na łeb na szyję wokół podwórka i uciekającego przed innym małym, ubranym w niebieski mundurek i przejmująco chudym chłopaczkiem, mniej więcej w jego wieku, galopującym tuż za nim.

- Tato! - Podbiegł do niego ze swoim przyjacielem. - Tato, to jest Monkton Minor, ale ja nazywam go Johnny, kiedy nikt nas nie słyszy. On jest sierotą.

- Jak się masz, Monktonie Minorze? - zapytał Richard, któremu przypomniało się własne dzieciństwo w Colston. Był niegdyś Morganem Minorem i dopiero po ukończeniu jedenastu lat awansował na Morgana Majora. I tylko jego najlepszy przyjaciel wołał na niego Richard.

- Zapytasz wielebnego Pricharda, czy mógłbyś przyjść do nas na obiad w następną niedzielę po mszy?

Miał wrażenie, że przyprowadził tutaj Williama Henry'ego, a zabierał do domu jakiegoś obcego chłopca, który nie szedł posłusznie u jego boku, lecz biegał i podskakiwał, podśpiewując sobie pod nosem.

- Rozumiem, że spodobała ci się szkoła - zauważył, uśmiechając się.

- Jest wspaniała, tato. Mogę tam biegać i krzyczeć.

Łzy nabiegły mu do oczu, więc Richard mrugnął, żeby się ich pozbyć.

- Ale ufam, że nie w klasie.

William Henry zmiażdżył go spojrzeniem.

- Tata, w klasie to ja jestem aniołem! Ani razu nie udzielono mnie kijem. Wielu chłopców dostało spore cięgi, a jeden zemdłał, jak dostał trzydzieści razów. Trzydzieści to potwornie dużo. Ale ja już rozumiałem, co trzeba robić, żeby nie być bitym.

- Czyżby? No więc powiedz mi co.

- Siedzę tam cicho, piszę i robię moje rachunki schludnie i czysto.

- Czy starsi chłopcy dokuczali wam, kiedy wypuszczano was, żebyście mogli się pobawić?

- Wtedy, kiedy nas zabrano i kazano ustawić się w szeregu przed wygódką?

- A więc nadal to robią, co?

- No cóż, z nami tak zrobili. Ale ja po prostu zacząłem pisać kawałkiem kupy, którą Jones Major zrobił mi na rękę. Większość i tak nie trafiła do celu, ale potem dali mi spokój. Johnny mówi, że to najlepszy sposób. Znęcają się nad chłopcami, którzy wrzeszczą. - Podskoczył wyjątkowo wysoko. - Wytarłem potem ręce w mundurek. O, widzisz?

Z surowo zaciśniętymi ustami Richard rzucił okiem na brązową plamę, rozmazaną na polach nowej, grzybkowego kolom marynarki Williama Henry'ego i kilkakrotnie przełknął spazmatycznie ślinę. „Tylko się nie roześmiej, Richardzie, na litość boską, tylko się z tego nie śmiej!”

- Na twoim miejscu - powiedział, kiedy zdołał się opanować - nie wspominałbym mamie o tym incydencie z kupą. I nie pokazywałbym miejsca, w którym sobie ją wytarłeś. Poproszę babcię, żeby wyczyściła tę plamę.

I tak oto Richard wprowadził syna „Pod Bednarza” z uczuciem tryumfu, który zauważył jedynie jego ojciec. Peg zapiszczała i chwyciła uległego dotąd Williama Henry'ego w objęcia, aby obsypać jego twarz pocałunkami, i została odepchnięta.

- Mama, nie rób tego! Jestem już dużym chłopcem! Dziadziu, tak mi było dzisiaj dobrze! Obiegnęłam dziesięć razy podwórze, upadłem i rozbiłem sobie kolano, napisałem cały rząd „a” na tabliczce, a pan Simpson mówi, że jestem tak rozwinięty, jak na mój wiek, że przesunie mnie do następnej klasy. Tylko że to nie ma żadnego sensu. On też uczy w tej klasie, i to w tym samym miejscu. Mama, moje kolano to symbol. Przestań robić tyle szumu.

Richard spędził resztę popołudnia na przybijaniu desek, aby wydzielić osobne pomieszczenie dla Williama Henry'ego w najdalszej części sypialni. Teraz spał już w normalnym łóżku. Praca ta działała na niego uspokajająco, jako że był daleko od zamieszania panującego na dole, skąd dochodził głos Williama Henry'ego raczącego każdego gościa ocenzurowaną wersją wydarzeń w szkole. Opowiadał! I buzia mu się nie zamykała. I to ten

sam William Henry, który nigdy przedtem nie odpowiedział więcej niż dwoma słowami.

W stosunku do Peg Richard czuł ogromną litość, ale przed okazywaniem jej powstrzymywał go zdrowy rozsądek. William Henry wyfrunął bowiem z gniazdka i już nigdy nie będzie można go w nim zamknąć. Lecz ile z tego, co pokazał w tym zadziwiającym, jednym krótkim dniu czuł przez całe lata? Przecież przez jeden dzień nie mogło ukształtować się tyle nowych myśli, nawet jeżeli poznał inne reguły zachowania. A więc William Henry mimo wszystko nie jest świętym, za którego go uważałem. William Henry, niechże go Bóg ma w swojej opiece, jest zwyczajnym małym chłopcem. I usiłował wytłumaczyć to Peg, ale bezskutecznie. Bez względu na to, jak ją przekonywał, Peg nie chciała przyjąć do wiadomości faktu, że ich syn żyje, nic mu się nie stało i ogromnie się cieszy z tego nowo odkrytego świata. Szukała ucieczki we łzach i popadała w tak ciężkie depresje, że i Richarda ogarniała rozpacz. Był już zmęczony jej łzami, nie mając pojęcia o głębi jej poczucia winy, jej świadomości, że zawiodła go w najważniejszym kobiecym zadaniu - w rodzeniu dzieci. Nigdy nie tracił w stosunku do niej cierpliwości, ale w dniu, kiedy przyłapał ją z kuflem rumu, cierpliwość ta została wystawiona na próbę.

- To nie jest miejsce dla ciebie - powiedział łagodnie. - Peg, proszę cię, pozwól mi kupić ten dom w Clifton.

- Nie, nie, nie! - szlochała.

- Kochanie, jesteśmy małżeństwem od czternastu lat i zawsze byłaś mi przyjaciółką, nie tylko żoną, tego jednak już za wiele. Nie wiem, co tak gryzie twoje serce, ale mm temu nie zaradzi.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Nie mogę, Peg. Ojciec już traci cierpliwość, ale to nie o niego się martwię, ale o Williama Henry'ego, który jest już na tyle duży, aby zauważyć, że jego mama dziwnie się zachowuje. Proszę cię, spróbuj ze względu na niego.

- Ja już Williama Henry'ego nie obchodzę, dlaczego więc miałabym próbować ze względu na niego? - spytała.

- Och, Peg! To nieprawda!

I tak w kółko - ani łagodne tłumaczenie, ani cierpliwość Richarda, ani irytacja Dicka nie były w stanie odegnać potworów, które nadgryzały jej rozum, choć zarzuciła picie rumu, kiedy William Henry zapytał ją wprost, dlaczego przewracała się pijana. Bezpośredniość tego pytania przeraziła ją.

- Choć, prawdę rzekłszy, nie rozumiem dlaczego - stwierdził Dick w rozmowie z Richardem. - W końcu William Henry jest dzieckiem karczmarza.

Pod koniec lutego 1782 roku pan James Thistlethwaite wysłał Richardowi list specjalnym kurierem.

Piszę do Ciebie w nocy 27, mój drogi przyjacielu, i jestem dziś bogatszy o tysiąc funtów, płatnych czekiem przez bank mojej nieszczęsnej ofiary. To już oficjalna wiadomość! Dzisiaj parlament głosował za zaprzestaniem ofensywy wojskowej przeciwko trzynastu koloniom i wkrótce zaczniemy wycofywać nasze wojska.

Obwiniam za to wszystko futrzaną czapkę Franklina. Żabojady okazały się lojalnymi sojusznikami, pomiędzy admirałem de Grasse i generałem de Rochambeau - co tylko dowodzi tego, że jeśli ktoś zdoła trafić do Francuzów poprzez ich wrażliwość na modę, wszystko jest możliwe. Jerzy Waszyngton i żabojady otoczyły nas pierścieniem wokół Yorktown, choć wydaje mi się, że na decyzję parlamentu najbardziej wpłynęło to, że poddał się lord Cornwallis. Owszem, zdaję sobie sprawę z tego, że Clinton zbyt dobrze się bawił w Nowym Jorku, żeby mu się chciało podpłynąć i przyjść z odsieczą Cornwallisowi, oraz że francuska flota umożliwiła Waszyngtonowi i jego lądowym żabojadom wywarcie nacisku na Yorktown, jednak nie pomniejsza to ogromu tej porażki. Ale to znowu cały Burgoyne. Londynowi aż serce pękło ze wstydu.

Roześlij wieści, Richardzie, gdyż mój kurier dotrze do Bristolu pierwszy. I nie zapomnij powiedzieć, że źródłem Twoim jest James Thistlethwaite, do niedawna jeszcze mieszkaniec Bristolu Cornwallisa.

Czyżbym słyszał, jak pytasz, co mam zamiar zrobić z tym tysiącem funtów? Ano kupić sobie beczkę rumu z gorzelnii pana Thomasa Cave'a - dobrze wiem, że beczka zawiera sto pięć galonów. Przejdę się też do Green Canister na Half Moon Street, żeby sobie tam kupić dwanaście tuzinów najlepszych kondomów od pani Phillips. Z tych londyńskich dziwek aż cieknie syfilis i rzeżączka, lecz na szczęście pani Phillips stworzyła najlepszy wynalazek od czasów wymyślenia rumu. Teraz będę już sobie mógł bezkarnie dziobać moim przyzwyczajonym okondomionym dziobakiem.

Upłynął jeszcze rok, zanim senhor Tomas Habitas był zmuszony zwolnić Richarda - dopiero w marcu 1783 roku. Do tego czasu Richard zgromadził na swoim koncie w Banku Bristolskim ponad trzy tysiące funtów, z których nie tknął ani pensa. Na cóż miałby je wydawać? Peg nie chciała się przenieść do Clifton, a ojciec (którego chciał namówić na wzięcie licencji na zajazd „Pod Czarnym Koniem” na Wzgórzu Clifton) oznajmił, że jest

szczęśliwy „Pod Bednarzem”. Nie wszystkie też z tych dwunastu szylingów dziennie, które Richard płacił mu przez ponad siedem lat, okazały się niezbędne, tłumaczył Dick szczerze. Mógł sobie pozwolić na to, by przeczekać te ciężkie czasy dokładnie tam, gdzie był - na Broad Street, w samym centrum wydarzeń.

Tak, amerykańska wojna się zakończyła i w odpowiednim czasie fakt ten zostanie potwierdzony oficjalnym traktatem, lecz dobrobyt bynajmniej nie powracał. Po części przyczyną tego był chaos panujący w parlamencie, gdzie Charles James Fox i lord North krzyczeli pod niebiosa na temat niczym nie usprawiedliwionych ustępstw, jakie lord Shelburne poczynił w stosunku do Amerykanów. Nikt nie martwił się wówczas takimi przyziemnymi sprawami jak zarządzanie. Krótkotrwałe administracje wyróżniające się awanturnictwem i rozgrywkami politycznymi siały spustoszenie w Westminsterze. Prawdą było bowiem, że nikt, włącznie z na wpół szalonym królem, nie wiedział, co zrobić z wojennym długiem - wynoszącym dwieście trzydzieści dwa miliony funtów - i spadkiem dochodów.

Pośród bristolskich marynarzy, którym płacono trzydzieści szylingów miesięcznie - pod warunkiem że byli na morzu - wybuchały rozruchy spowodowane brakiem żywności i pieniędzy. Na lądzie nie wypłacano im bowiem ani pensa. Sytuacja stała się tak dramatyczna, że burmistrz zdołał w końcu przekonać właścicieli statków, aby płacili swym marynarzom po piętnaście szylingów miesięcznie, nawet gdy stacjonowali na lądzie. W 1775 roku liczba statków płacących należności miejskie wynosiła pięćset dwadzieścia dziewięć, do 1783 roku spadła do stu dwóch. Ponieważ większość z tych statków pochodziła z Bristolu i beczynnie cumowała teraz przy nabrzeżach na tyłach portów i u ujścia rzeki w okolicy Pili, kilkutyśieczna rzesza marynarzy stanowiła siłę, z którą należało się liczyć.

W Liverpoolu dziesięć tysięcy osób spośród czterdziestu tysięcy mieszkańców polegało na nielicznych zasobach charytatywnych tego miasta, a w Bristolu podatki na biednych skoczyły w górę aż o sto pięćdziesiąt procent. Zarząd miejski i Przedsiębiorstwo Handlowe i Spekulacyjne, nie mając innego wyjścia, zaczęły wyprzedawać nieruchomości. Wprowadzono nowe, jeszcze surowsze zasady postępowania z ciągle wzrastającą falą wiejskiej biedoty, która przybywała do Bristolu, aby zdać się na łaskę parafii i przynajmniej dostawać coś do jedzenia. Chociaż ci, których przyłapano na oszukiwaniu parafii, byli stawiani pod pręgierzem i publicznie biczowani przed wyrzuceniem z miasta, potop ludzki zalewał miasto szybciej aniżeli przypływ na rzece Avon.

- Widziałeś to, Dick? - zapytał kuzyn James aptekarz, wpadając do nich po drodze do

domu ze swego sklepu przy Com Street. Pomachał kartką bibuły. - Oto, proszę bardzo, obwieszczenie pensjonariuszy z więzienia Newgate, w którym stwierdzają, że nie są w stanie się wyżywić za swoje dwa pensy dziennie. Ależ to hańba, skoro ćwiartka chleba kosztuje teraz szesnaście pensów.

- Jeśli czekają na rozprawę, dostają jeden pens na dzień - dodał Dick.

- Pójdę do piekarza Jenkinsa i wyślę im tyle chleba, ile im potrzeba, i sera, i wołowe policzki.

Dick wykrzywił się w chytrym uśmiechu.

- A co to, Jim, już im nie dajesz po szylingu do wyciągniętych rączek?

Kuzyn James aptekarz zarumienił się.

- Tak, miałeś rację, Dick. Faktycznie to przepijali.

- Zawsze będą przepijać. Rozsądniej będzie wysłać im chleb. Tylko trzeba będzie się upewnić, czy nasi filantropijni koledzy zrobili to samo.

- Jak się ma teraz Richard, skoro już przestał pracować? Rzadko go widuję.

- Całkiem dobrze - odpowiedział Dick krótko. - Powód tego, że tak trudno go spotkać, leży na górze w jego łóżku.

- Pijana?

- O, nie. Przestała pić, kiedy William Henry zapytał wprost, dlaczego żłopie rum. - Wzruszył ramionami. - Kiedy Williama Henry'ego nie ma w domu, kładzie się do łóżka i wpatruje przed siebie.

- A kiedy William Henry jest w domu?

- Zachowuje się normalnie. - Karczmarz odchrząknął i splunął sownie w trociny. - Kobiety! Mówię ci, Jim, to bardzo dziwne stworzenia.

Przed oczyma kuzyna Jamesa aptekarza pojawił się obraz jego hipochondrycznej małżonki i ich dwóch niezamężnych córek o twarzach podobnych do wsporników. Uśmiechnął się ironicznie i skinął głową.

- Zawsze się zastanawiałem - powiedział - dlaczego świat miałby porównywać czyjaś twarz do wspornika?

Dick ryknął śmiechem.

- Masz na myśli własne dziewczynki, Jim?

- Niestety, to już nie są dziewczynki. Ich czas na zamążpójście dawno już minął - powiedział Jim, wstając. - Przykro mi, że nie widziałem się z Richardem. Myślałem, że go tu zastanę, tak jak za dawnych czasów przed Habitasem.

- Dawne czasy już dawno minęły, czy jeszcze muszę ci to powtarzać? Rozejrzyj się

wokół siebie. Pusto tu. A nabrzeża aż kipią od tych biednych drani marynarzy. Jakże prawi są ci nasi prawdziwi biedni, zapisani w rejestrach parafialnych, i jakże oburzeni! Rzucają kamieniami na swych nieszczęsnych braci stojących pod pręgierzem, zamiast im współczuć. - Dick uderzył pięścią w stół. - Po co w ogóle wdaliśmy się w tę nieszczęsną wojnę, która toczyła się trzy tysiące mil stąd? Dlaczegoż nie oddaliśmy kolonistom tej, tak drogiej im, wolności? Powinniśmy byli życzyć im wszystkiego najlepszego z tym absurdem i iść spać lub bić się z Francuzami. Kraj jest zrujnowany, a wszystko przez jakąś ideę. I to w dodatku nie naszą.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jeśli Richard już nie pracuje, to gdzie się teraz podziewa? I gdzie jest William Henry?

- Chodzą razem na spacer. Zawsze do Clifton. Idą albo wzdłuż Pipe Lane, albo Frog Lane, ścieżką przez Wzgórza Brandon na Wzgórze Clifton - gonią tam za krowami i owcami przy stawie Clifton, a potem wracają wzdłuż Avonu, wrzucając kamienie do wody i śmiejąc się bez przerwy.

- To chyba wersja Williama Henry'ego, nie Richarda.

- Richard nigdy nic mi nie mówi - odparł kwaśno Dick.

- Ty i on macie zupełnie inne charaktery - odpowiedział kuzyn James aptekarz, podchodząc do drzwi. - To się zdarza. Powinieneś jednak dziękować Bogu, że Richard i William Henry podobni są do siebie jak dwie krople wody. To - zaczerpnął powietrza - bardzo piękne.

W następną niedzielę po nabożeństwie i budującym kazaniu kuzyna Jamesa duchownego, Richard wraz z Williamem Henrym udali się aż do Hotwells, na drugi koniec Clifton.

Dziesięć czy dwadzieścia lat temu bristolskie źródła mogły nieomal rywalizować z Bath jako miejsce uzdrowiskowe dla wyższych sfer - gościnne domy przy Dowry Place, Dowry Square i Hotwells Road roily się od eleganckich gości w kosztownych strojach, mężczyzn w fantastycznych perukach i haftowanych surdutach, idących pod rękę z wystrojonymi damami wystudiowanym, efektownym krokiem, w butach na wysokich obcasach. Odbywały się tam bale i wieczorki muzyczne, zabawy i rauty, koncerty i przyjęcia, a w starym gmachu widowiskowym w Clifton przy Wood Wells Lane mieścił się teatr. Przez jakiś czas imitacja londyńskich Ogrodów Vauxhall była świadkiem maskarad, intryg i skandali, powieściopisarze umieszczali swe bohaterki w Hotwells, a lekarze z wyższych sfer wychwalali medyczne właściwości wód.

A potem gmach owej fascynacji rozleciał się - zbyt wolno, aby można to było nazwać zwierzchniem, a jednak zbyt szybko, by twierdzić, że przyczyną było gnienie od środka. Moda je stworzyła i moda je zniszczyła. Elegancyści goście wrócili do Bath lub do Cheltenham, a w bristolskim Hotwells zajęto się głównie eksportem butelkowanych wód leczniczych.

Co zresztą świetnie odpowiadało Richardowi i Williamowi Henry'emu, oznaczało to bowiem, że podczas niedzielnego spaceru spotkają niewiele osób spacerujących tutaj tak jak oni. Mag zapakowała im zimny obiad złożony z pieczonego ptactwa, chleba, masła i sera oraz paru pierwszych jabłek, które brat przysłał jej z farmy w Bedminster. Richard niósł to wszystko w żołnierskim plecaku przerzuconym przez ramię obok flaszki cienkuszka. Znaleźli sobie dobre miejsce tuż za budynkami Hotwells House, stojącego na ustępie skalnym tuż ponad linią znaczącą poziom przypływu, w miejscu, gdzie kończył się przełom Avonu.

Było to wyjątkowo piękne miejsce - Skałki św. Wincentego oraz turnie przełomu bogato ozdobione odcieniami czerwieni, barwą dojrzałych śliwek, różem, rdzą i szarością oraz paletą bieli. Rzeka miała w tym miejscu odcień niebieskawej stali, a bogactwo drzew zmówiło się, aby ukryć nawet kominy odlewni brązu należącej do pana Codringtona.

- Tata, potrafisz pływać? - zapytał William Henry.

- Nie. I właśnie dlatego siedzimy tutaj, a nie na brzegu rzeki - odparł Richard.

William Henry przyjrzał się wezbranej rzece w zamyśleniu. Wody przypływu wyraźnie się podnosiły, a prąd wody wił się i wirował.

- Woda porusza się, jakby była żywa.

- Można by tak powiedzieć. I nigdy nie zapominaj, że rzeka zawsze jest głodna. W tym miejscu wciągnęłaby cię i pochłonęła. Już nigdy nie zdołałbyś się wydostać. A zatem żadnych wybryków w pobliżu rzeki, rozumiano?

- Tak, tato.

Po obiedzie obaj rozciągnęli się na murawie z płaszczami zwiniętymi pod głowami zamiast poduszek. Richard przymknął oczy.

- Simpa już nie ma - oznajmił nagle William Henry. Ojciec otworzył jedno oko i uśmiechnął się.

- Czy ty nie potrafisz usiedzieć spokojnie i być cicho? - zapytał.

- Niezbyt często i nie teraz. Simpa już nie ma. Wiadomość ta nareszcie dotarła do Richarda.

- Chodzi ci o to, że on już cię nie uczy?

- Nie, tato. Chodzi o to, że stamtąd odszedł. W lecie, kiedy byliśmy na wakacjach. Johnny mówi, że był już zbyt chory, aby móc tam dłużej zostać. Dyrektor zapytał biskupa,

czy mógłby iść do któregoś z przytułków, ale biskup powiedział, że one nie są dla chorych, tylko dla... och, zapomniałem.

- Nędzarzy.

- Tak, tak właśnie. Wobec tego wynieśli go w lektyce do Szpitala św. Piotra. Johnny mówi, że okropnie płakał.

- Ja też bym płakał, gdyby mnie niesiono do szpitala - powiedział Richard szczerze. - Biedny człowiek. Dlaczego czekałeś aż do tej pory, żeby mi o tym powiedzieć?

- Zapomniałem - odparł niewyraźnie William Henry i zaczął się wiercić - dwa razy się odwrócił, kopnął piętami trawę, głęboko westchnął, zaczął machać rękami, w końcu przewrócił się na bok ponownie, po czym zaczął obskubywać detrytus z obiecująco wyglądającego kamienia.

- Czas już iść, synu. Widzę, że jesteś znudzony - rzekł Richard i wstając, wepchnął płaszcz do wysokiego plecaka i zarzucił go sobie na ramię. - A może przeszlibyśmy się na Wzgórze Granby i popatrzyli na grotę pana Goldneya?

- O tak, proszę! - wykrzyknął William Henry, ruszając biegiem.

„Wyglądali tak - pomyślał pan George Parfrey, który siedział na wysokim, zakrytym krzewami występie skalnym i przyglądał się im z góry - jakby nie mieli żadnych zmartwień. I pewno nie mają”. Chłopak był jednym z uczniów opłacających naukę w szkole i chociaż ani ojciec, ani syn nie nosili kosztownych ubrań, pan Parfrey zwrócił uwagę na dobry materiał, brak wystrzępionych czy łatanych brzegów, na połyskujące buty ze srebrnymi klamrami i otaczającą ich aurę niezależności.

O ojcu Morgana Tercjusza dowiedział się już wszystkiego. Colston była niewielką szkołą i w sali nauczycielskiej często rozmawiano o uczniach, którzy płacili za naukę, tym bardziej że w tej niewielkiej zamkniętej społeczności nie było zbyt wielu tematów do rozmów.

Rusznikarz w spółce z Żydem, który dorobił się małej fortuny na amerykańskiej wojnie. Nieczęsto widuje się chłopców tak urodziwych jak jego syn, a jeszcze rzadziej tak naturalnych i nie zepsutych. Jednak chłopiec nie był jeszcze na tyle duży, aby zrozumieć, ile mógłby zyskać dzięki swojej urodzie.

Ten mężczyzna to na pewno jego ojciec. Tak bardzo są do siebie podobni, że niemożliwe, aby nie byli blisko spokrewnieni, zresztą zachowywali się jak ojciec z synem. Blok do rysunków spoczywał na kolanach pana Parfreya, na wierzchu rysunek mężczyzny i chłopca odpoczywających nad rzeką Avon. Dobry rysunek. George Parfrey był przystojnym

mężczyzną, co w młodości przekreśliło jakiekolwiek nadzieje na karierę nauczyciela rysunków w domu jakiegoś zamożnego człowieka. Bogacze zwykle bardzo dbali o ograniczoną edukację swoich córek, ale żaden ojciec, mający choć odrobinę rozumu, nie zatrudniłby młodego, przystojnego człowieka, który zaglądałby dziewczętom przez ramię i mógłby wpaść im w oko.

Choć nie łączyło go z Nedom Simpsonem szczególnie silne uczucie, brakowało mu biednego przyjaciela bardziej, niż przypuszczał - członkowie szkoły o podobnych upodobaniach byli zbyt przywiązani do swoich partnerów, aby myśleć o jakichkolwiek zmianach. Odkąd zabrakło Neda - który umarł wkrótce po przybyciu do Szpitala św. Piotra - nikt go już nie potrzebował. Greckiej miłości nie pochwalał ani dyrektor, ani biskup, ani też wielebny Prichard, każdy z nich miał bowiem żonę i dodatkowo kilka rybek na boku. Dlatego też dyskretne znajomości zawierane w Colston były najeżone tysiącem napięć. Nauczyciele byli warci pół pensa za tuzin, bo kogóż interesowało, czy potrafią uczyć? Wybierano ich na podstawie zlecenia rady, komitetu kościelnego, jakiegoś wybitnego duchownego, radnego miejskiego czy posła parlamentu. Żadna z tych osób nie pochwalałaby homoseksualizmu, bez względu na to, jak bardzo dyskretnego. Prawo popytu i podaży. Marynarze mogli się zapijać do nieprzytomności, a potem kłaść, awanturować się i rąbać każdą dupę od Bristolu po Wampoa, a ich reputacja dobrych pracowników pozostawała nietknięta, bo żaden właściciel statku nie zawracał sobie głowy ich piciem, awanturami czy tyłkami. To samo można byłoby prawdopodobnie powiedzieć o prawnikach i księgowych. Nauczycieli zaś brano na tuziny za jedyne pół pensa. I żadnego picia, żadnych awantur i - niech Pan Bóg broni - żadnych kobiet. A już zwłaszcza w szkołach charytatywnych.

Pan Parfrey myślał o tym, żeby się gdzieś przenieść, ale wiedział, że ma niewielkie szanse. Jego świat był za mały, za ciasny. To w szkole Colston z pewnością zakończy swą karierę, po czym łaskawy biskup może zgodzi się na umieszczenie go w przytułku. Skończył już czterdzieści pięć lat i nie pozostawało mu nic innego, jak tylko uczyć w Colston.

Włożył swój blok rysunkowy do teczki i opuszczając skalne urwisko nad Avonem, nadal rozmyślał o Morganie Tercjuszu i jego ojcu. To dziwne, że mimo tak uderzającego podobieństwa między nimi, ojciec nie przyciągał spojrzeń przechodniów na ulicy, a za jego synem odwracali się prawie wszyscy.

Teraz, kiedy William Henry był już z powrotem w szkole, Richard miał czas zarówno na przyjaźnię, jak i na zajęcie się intrygującą propozycją. Kuzyn James aptekarz nalegał, aby jakoś wykorzystał swoje trzy tysiące funtów, a nie tylko trzymał je w banku, aby

kwakrzy zarabiali na nich więcej niż on.

- Zamroź je na trzy procent albo gdzieś zainwestuj! - nalegał przedsiębiorczy członek klanu Morganów.

Pewnego dnia, kiedy wraz z Williamem Henrym zajrzał do sklepu Habitasa, spotkał tam pana Thomasa Latimera. Przez siedem lat, kiedy senhor Habitas produkował „Brązową Bess” dla Towers Arms, zgromadził tak duży majątek, żeby mógł wycofać się z interesów i żyć w dobrobycie, lecz nikt, kto kocha swoje rzemiosło tak bardzo jak Tomas Habitas, dobrowolnie się nie wycofywał. Wręcz przeciwnie - ogłosił nawet w „Dzienniku Bristolskim” Felixa Farleya, że zamierza zająć się produkcją broni sportowej i ma na tyle dużo zamówień, by nie narzekać na brak zajęcia.

Jak wyjaśnił Habitas po zapoznaniu ich ze sobą, pan Latimer również był rzemieślnikiem, ale zajmował się wyrobem pomp.

- Przede wszystkim ręczne, lecz statki przechodzą teraz na czerpaki łańcuchowe i dostałem kontrakt od admiralicji na wykonanie łańcuchów - powiedział radośnie. - Za pomocą pompy ręcznej lub dyszlowej można wydobywać w najlepszym wypadku - tonę ścieków okrętowych na tydzień, a przy użyciu czerpaka łańcuchowego tonę ścieków wydobywa się w minutę. Nie mówiąc już o tym, że najważniejszym jego elementem jest prosta drewniana konstrukcja, którą potrafi wykonać każdy okrętowy cieśla. Do wykończenia go potrzebny jest jedynie mosiężny łańcuch.

Richard był tym bardzo zainteresowany, ponieważ nigdy wcześniej nie słyszał o pompach. Od razu poczuł też sympatię do pana Latimera, który nie wyglądał na typowego inżyniera - był niski, pulchny i zawsze uśmiechnięty - nie miał bynajmniej pochmurnego oblicza Wulkana, ani muskulatury kowala.

- Kupiłem odlewnię brązu Wasborougha przy Narrow Wine Street - wyjaśnił - i przyznaję, że głównie dlatego, że zawiera trzy pompy strażackie Wasborougha.

Oczywiście Richard wiedział, jak wygląda pompa strażacka, lecz teraz, kiedy jego syn od siódmej do drugiej przebywał w szkole, miał czas, aby nauczyć się o wiele więcej o tym fascynującym urządzeniu.

Pompa strażacka została wynaleziona na początku stulecia przez Newcomena. Był to ten sam model, który pompował wodę z kopalni w Kingswood i napędzał koła wodne w odlewni miedzi i brązu Williama Championa przy rzece Avon, sąsiadującej z kopalnią. Potem James Watt wynalazł odrębny kondensator pary, który polepszył wydajność pompy Newcomena do tego stopnia, że pomysłem Watta zainteresował się birminghamski magnat żelaza i stali - Matthew Bolton. Watt nawiązał współpracę z Boltonem i razem uzyskali

monopol na produkcję pomp strażackich dzięki serii spraw sądowych, które skutecznie zapobiegły jakiegokolwiek konkurencji. Żaden inny wynalazca nie mógł zastosować opatentowanego kondensatora parowego Watta do swoich projektów.

A potem Matthew Wasborough, zaledwie dwudziestokilkuletni mężczyzna, spotkał innego bristolskiego młodzieńca o nazwisku Pickard. Wasborough wpadł na pomysł skonstruowania urządzenia składającego się z szeregu kół napędowych i koła zamachowego, Pickard zaś wymyślił wał korbowy i dzięki połączeniu tych trzech nowych koncepcji można było zamienić ruch zwrotny pompy strażackiej na kołowy. Siła napędowa, zamiast poruszać pompę z dołu do góry, kręciła ją w kółko.

- Poruszające się koła wodne mogą obracać maszyny - wyjaśniał pan Latimer, prowadząc spoconego Richarda wśród pieców, palenisk, obrabiarek, wytłoczarek, dymu i hałasu. - Lecz to - powiedział, wskazując ręką - może spowodować, że maszyna zacznie obracać się sama.

Richard spojrzał na dyszącego i sapiącego potwora, zajmującego honorowe miejsce pośród wirujących obrabiarek zamieniających brąz w użyteczne na statku przedmioty - żelaza nie można było używać ze względu na korozyjne właściwości słonej wody.

- Czy mógłbym wyjść na zewnątrz? - krzyknął Richard, któremu aż dzwoniło w uszach. - Kiedy Wasborough połączył swe koła napędowe z kołem zamachowym i wałem korbowym Pickarda, wyeliminował tym samym koło wodne - ciągnął dalej Latimer, gdy tylko wyszli na brzeg rzeki Froom, tuż poniżej Weare, gdzie kobiety zbierały się, aby prać bieliznę. - To wspaniałe osiągnięcie, oznacza to bowiem, że fabryka nie musi być już usytuowana przy rzece. Jeśli węgiel jest tani, tak jak na przykład w Bristolu - para okazuje się lepsza od wody, pod warunkiem że maszyna porusza się ruchem kołowym.

- Dlaczego zatem nigdy dotąd nie słyszałem o Wasboroughu i Pickardzie?

- Ponieważ James Watt podał ich do sądu, jako że ta nowa pompa strażacka zawierała, opatentowany przez niego, odrębny kondensator pary. Watt oskarżył też Pickarda o kradzież jego pomysłu korbowodu, co jest zupełną bzdurą. Istotą kołowego ruchu Watta jest współdziałanie koła i wałka zębatego - nazywa to „ruchem planet i słońca” - jest to jednak powolne i diabelnie skomplikowane. Gdy tylko zobaczył patent wału korbowego Pickarda, wiedział, że to jest lepsze rozwiązanie i nie mógł ścierpieć tego, że został pokonany.

- Nie miałem pojęcia, że w inżynierii panuje taka mordercza konkurencja. I co się dalej stało?

- Och, po wielu przykrych perypetiach, takich jak na przykład utrata kontraktu rządowego na młyn w Deptford, Wasborough umarł z rozpacz - liczył sobie wówczas

zaledwie dwadzieścia osiem lat - a Pickard uciekł do Connecticut. Ja jednak już wymyśliłem sposób, jak ominąć opatentowany kondensator pary Watta, i zamierzam zacząć produkować model Wasborougha i Picarda, zanim zakończy się termin ważności ich patentu i Watt wpadnie, aby położyć na tym łapę.

- Aż trudno uwierzyć, że jeden z najznakomitszych ludzi na świecie jest łajdakiem - zauważył Richard.

- James Watt - odpowiedział Thomas Latimer bez uśmiechu - jest wypaczonym, żyłastym, małym szkockim bękartem o nieprzeciętnych zdolnościach, lecz o jeszcze większej próżności. Wydaje mu się, że jeśli coś istnieje, to wynalazcą tego musiał być on sam. Gdyby go posłuchać, okazałoby się, że sam Bóg jest u niego praktykantem, a niebo to szkocka kaszanka.

Richard spojrział na leniwe wody Froomu i zauważył jakieś niesione przez rzekę odpadki. „Idealnie nadają się do zablokowania komór koła wodnego” - pomyślał.

- Rozumiem przewagę pary nad wodą - powiedział. - Po prostu nie możemy już dalej budować fabryk wykorzystujących wodę pośrodku miast. Pompy strażackie i ruch kołowy należą do przeszłości, panie Latimer.

- Mów mi po imieniu - Tom. Weź pod uwagę, Richardzie, na przykład to, że Wasborough zamierzał zastosować jedną ze swoich pomp strażackich na statku. Umożliwiłoby to utrzymanie prostego niczym strzała kursu bez względu na morze i prądy, bez potrzeby lawirowania i wyczekiwania na przychylny wiatry. Jego urządzenie parowe poruszałyby łopatkę zmodyfikowanego koła wodnego po obu stronach statku, popychając go do przodu. To byłoby wspaniałe!

- Rzeczywiście niezwykle, Tom.

Kiedy dotarł do domu, powtórzył swoje stwierdzenie w obecności swego ojca i kuzyna Jamesa aptekarza.

- Latimer poszukuje inwestorów - dodał później. - I myślę o wniesieniu moich trzech tysięcy funtów do tego przedsięwzięcia.

- Stracisz wszystkie pieniądze - oświadczył ponuro Dick. Kuzyn James aptekarz nie zgodził się z tym.

- Wieści o zamiarach Latimera wzbudziły spore zainteresowanie, Richardzie, a listy uwierzytelniające tego człowieka są wyśmianite, choć jest nowy tu, w Bristolu. Sam zamierzam zainwestować w to przedsięwzięcie tysiąc funtów.

- W takim razie obaj jesteście głupcami - oświadczył Dick i nie zamierzał zmieniać zdania.

Z głową pochyloną nad książką, William Henry siedział przy starym stoliku pana Thistlethwaite'a, odrabiając zadanie. Zamienił już tabliczkę na papier i gęsie pióro i dzięki odziedziczonej po Richardzie cierpliwości i staranności potrafił wypracować kaligraficzne pismo bez kleksów i plam, co nie udawało się większości chłopców.

„Zarobię tyle pieniędzy - pomyślał Richard - że będę mógł opłacić Williamowi Henry'emu naukę w Oksfordzie. Nie pójdzie w wieku dwunastu lat do żadnego prawnika czy aptekarza ani rusznikarza, aby mu usługiwać przez siedem lat jak nie opłacany niewolnik. Miałem szczęście z Habitasem, ale ilu młodych terminatorów ma dobrych panów? Nie, nie chcę takiego losu dla mego jedyne go dziecka. Z Colston musi iść do bristolskiej szkoły średniej, a potem do Oksfordu. Albo do Cambridge. Bardzo lubi się uczyć i zauważyłem, że podobnie jak mnie, czytanie książek sprawia mu prawdziwą przyjemność. On kocha naukę”.

Peg i Mag zajęte były przygotowaniem kolacji, podczas gdy Richard kręcił się między zajętymi stolikami, zbierając puste kufle i napełniając je. W tawernie panował weselszy niż zwykle nastrój. Peg zdawała się w końcu powracać do zdrowia. Od czasu do czasu nawet zdobyła się na uśmiech, nie awanturowała się już tak jak wcześniej z powodu Williama Henry'ego, a w łóżku czasami odwracała się w stronę Richarda, żeby ofiarować mu trochę miłości. Nie takiej jak dawniej - tak bywało tylko w marzeniach, a marzenia Richarda właśnie umierały. „Tylko młodzi potrafią zdobywać szczyty w wyobraźni” - myślał Richard. - „W wieku trzydziestu pięciu lat nie jestem już młody. Mój syn ma dziesięć lat, i to jemu przekażę swoje marzenia”.

Wraz z tuzinem innych mężczyzn Richard powierzył swoje pieniądze panu Thomasowi Latimerowi w celu skonstruowania nowego rodzaju pompy strażackiej. Żadnemu z inwestorów nie zaproponowano jednak udziałów w samej odlewni brązu, produkującej płaskie, połączone haczykowato łańcuchy do nowych pomp ściekowych dla admiralicji.

- Zamykam produkcję na okres świąt Bożego Narodzenia - oznajmił w Wigilię owej mglistej, żalobnie szarej pory pan Thomas Latimer Richardowi, który był tak zafascynowany tym przedsięwzięciem, że nieomal codziennie odwiedzał odlewnię Wasborougha.

- To normalne - odparł Richard.

- O, robotnicy nie dostaną zapłaty za te dni! Ale zauważyłem, że w dni świąteczne niczego nie robią porządnie. Za dużo rumu. Choć nie wiem doprawdy, czymże ci nieszczęśliwcy mieliby się radować - westchnął Latimer. - Nic się nie zmieniło, mimo że młodszy William Pitt został ministrem skarbu.

- Jakże może się coś polepszyć, Tom? Pitt mógłby zapłacić za amerykańską wojnę

jedynie przez podniesienie podatków i nałożenie nowych. - Richard uśmiechnął się chytrze. - Oczywiście ty mógłbyś zapewnić swoim robotnikom szczęśliwsze święta, płacąc im za nie.

Pan Latimer nie stracił pogody ducha.

- Nie mogę tego zrobić! Naraziłbym się wszystkim pracodawcom w całym Bristolu!

Richard cieszył się jednak z nadchodzących świąt Bożego Narodzenia i ze sposobności spędzania więcej czasu „Pod Bednarzem”, William Henry nie chodził wtedy bowiem do szkoły, a tawerna była pełna biesiadników. Mag wraz z Peg przygotowywały wyśmienity pudding i specjalną polewę z wódki oraz ćwiartkę sarniny pieczoną na ruszcie, a Dick przyrządzał swój świąteczny trunek ze słodkiego grzanego wina z korzeniami. Richard rozdał wszystkim prezenty - Dickowi ofiarował drugiego kota, szaroburego, do rozlewania jałowcówki; Mag i Peg dał po jedwabnej zielonej parasolce, a Williamowi Henry’emu paczkę książek, ryzę najlepszego papieru do pisania, wspaniałą, pokrytą skórą korkową piłkę i sześć ołówków wykonanych z cumberlandzkiego grafitu.

Dick bardzo się ucieszył swoim nowym kotem, lecz Mag i Peg były wręcz oszołomione.

- Taka ekstrawagancja! - wykrzyknęła Mag, otwierając swoją parasolkę, aby się przyjrzeć efektom światła padającego przez cienki zielonkawy materiał - Och, Peg, jakie my będziemy eleganckie! Nawet kuzynka Ann zostanie teraz w cieniu. - Okręciła się dookoła na palcach i szybko złożyła parasolkę.

- Williamie Henry, oby nie przyszło ci do głowy rzucać piłkę w tę stronę!

Oczywiście, zdaniem Williama Henry’ego, piłka była najlepszym prezentem, ale ołówki też były całkiem niezłe.

- Tata, będziesz musiał mi pokazać, jak je ostrzyć, bo chcę, żeby wystarczyły mi na bardzo długo - powiedział rozpromieniony. - Och, jakże one się spodobają panu Parfreyowi! On sam nie ma ołówka.

Pan Parfrey cieszył się największym szacunkiem Williama Henry’ego i chłopiec często o nim opowiadał, odkąd z początkiem października rozpoczął lekcje łaciny. Najwidoczniej był to jeden z nauczycieli, którzy wiedzieli, jak uczyć, bo już pierwszego dnia udało mu się zdobyć zainteresowanie Williama Henry’ego, podobnie jak i innych uczniów. Nawet Johnny Monkton uważał, że pan Parfrey jest pierwszorzędny.

- Może podziwiać twoje ołówki, ale nie ma prawa ich zabierać - powiedział Richard, kładąc rękę Williama na małym zawiniątku. - A to prezent dla Johnny’ego. Jaka szkoda, że dyrektor nalegał, aby wszyscy chłopcy z internatu zostali w szkole w dzień Bożego Narodzenia. Byłoby nam miło, gdyby mógł być tu razem z nami. W każdym razie dostanie od

nas prezent.

- To ołówki! - stwierdził natychmiast William Henry.

- Tak, ołówki.

Peg skorzystała z okazji, aby złapać Williama Henry'ego w objęcia i ucałować jego szerokie czoło, białe niczym kość słoniowa. Jakby rozumiejąc, że to jedyny prezent, jaki może ofiarować matce, William Henry nie wyrwał się z jej uścisku i odwzajemnił pocałunek.

- Czyż tata nie jest najlepszym ojcem? - zapytał ją. - Tak - przyznała Peg, na próżno czekając, aby powiedział jej, że jest najlepszą matką. Jeszcze rok temu obojętność syna w połączeniu z taką uwagą wywołałaby w niej falę nienawiści do Richarda, lecz Peg zrozumiała już, że niczego by to nie zmieniło. Lepiej więc, aby mu się nie sprzeciwiała i dogadzała mu. Przecież jej syn tak go uwielbiał! I czegoż jako kobieta mogła się spodziewać? W końcu obaj byli mężczyznami.

Kiedy nastał rok 1784, Richard wybrał się na spotkanie z panem Latimerem w odlewni Wasborough przy Narrow Wine.

Od strony Narrow Wine Street stał podobny do stodoły budynek, wzniesiony z wapiennych kamieni, ale tak zabrudzonych od dymu z kominów, że aż czarnych. Wzdłuż fasady znajdował się szereg zniszczonych drzwi, zawsze pootwieranych na oścież, przez które zwykle buchał żar i można było zajrzeć do środka.

Jakie to jednak dziwne - dzisiaj wszystkie drzwi były pozamykane. To rzeczywiście długi urlop dla pracowników Latimera, którym nie płacił już przed świętami. Idąc wzdłuż budynku, Richard próbował otworzyć każde z drzwi po kolei - lecz wszystkie były zamknięte na klucz. Zawrócił więc i skorzystał z małego przejścia prowadzącego do części budynku wychodzącej na rzekę Froom, gdzie znalazł jedne otwarte drzwi. Kiedy wszedł do środka, powitała go pustka - piece były nie rozpalone, paleniska puste, a oziębła pompa siedziała ponuro na beczynnej tokarce.

Wszedł na zewnątrz i zbliżył się do Froomu, biegnąc pędem, poszarzały i zimny jak niebo.

- Richardzie! Och, Richardzie!

Odwrócił się i zobaczył kuzyna Jamesa aptekarza, wychodzącego zza rogu i załamującego ręce.

- Dick powiedział mi, że tu jesteś. Och, Richardzie, to straszne! Richard zrozumiał już, co się stało, ale mimo wszystko zapytał:

- Co takiego, kuzynie Jamesie?

- Latimer uciekł! Zbiegł z wszystkimi naszymi pieniędzmi!

Na brzegu rzeki znajdował się stary drewniany pal do cumowania statków, prawdopodobnie pozostałość jeszcze z rzymskich czasów. Richard oparł się o niego i przymknął oczy.

- W takim razie człowiek ten jest idiotą. Przecież zostanie złapany. Kuzyn James aptekarz rozplakał się w odpowiedzi.

- Kuzynie Jamesie, kuzynie Jamesie, to jeszcze nie koniec świata - powiedział Richard, kładąc mu uspokajająco rękę na ramieniu i podprowadzając go do jakiejś kupy żelastwa z odlewni, na której mogli usiąść. - Chodź, nie rozpaczaj tak bardzo!

- Muszę! To wszystko moja wina. Gdybym cię do tego nie namawiał, twoje pieniądze byłyby nadal bezpieczne. Ja mogę sobie pozwolić, żeby zapłacić za moją głupotę, ale ty... och, Richardzie! To niesprawiedliwe, żebyś stracił wszystko, co miałeś!

Nieświadom żadnego bólu poza troską o swego ukochanego syna, Richard spojrzął na rzekę Froom niewidzącym wzrokiem. Nie było to oczywiście tak bolesne jak utrata małej Mary i nawet w części nie było tak ważne. Pieniądze były rzeczą zewnętrzną.

- Mam własny rozum, kuzynie Jamesie, i znasz mnie chyba na tyle, aby wiedzieć, że nie dałbym się zaciągnąć tam, gdzie nie mam ochoty iść. To nie jest niczyja wina, a już na pewno nie twoja ani moja. Chodź, wytrzymaj oczy i opowiedz mi o wszystkim - powiedział Richard, proponując mu własną szmatkę do nosa.

Kuzyn James aptekarz wyciągnął swoją chusteczkę do nosa i wytarł się nią, uspokajając się stopniowo.

- Nie zobaczymy już więcej naszych pieniędzy, Richardzie - powiedział. - Latimer wziął je i uciekł do Connecticut, gdzie wraz z Pickardem zamierza produkować pompy strażackie. Od wybuchu wojny patent Watta nie ma tam już żadnego znaczenia.

- Sprytny ten Latimer! - przyznał Richard z uznaniem. - Ale może moglibyśmy wziąć odlewnię Wasborough w zastaw i odzyskać nasze pieniądze, produkując łańcuchy dla admiralicji?

- Obawiam się, że nie. Latimer nie jest właścicielem Wasborough. Jego teść jest bogatym producentem sera w Gloucester i kupił ją jako wiano dla żony Latimera. Jej papa posiada również dom przy Dove Street.

- No to chodźmy do domu - zaproponował Richard. - „Pod Bednarza”. Dobrze ci zrobi kufel rumu Cave’a, kuzynie Jamesie.

Trzeba przyznać, że tym razem Dick powstrzymał się od komentarzy, nie powiedział nawet „a nie mówiłem!”. Powiódł oczyma po spokojnej twarzy Richarda i zrozpaczonej

kuzyna Jamesa aptekarza i cokolwiek sobie pomyślał, zachował to dla siebie.

- W całej tej sprawie martwi mnie tylko jedno - powiedział mu potem Richard. - A mianowicie to, że nie mam już pieniędzy na wykształcenie Williama Henry'ego.

- Nie jesteś wściekły? - zapytał Dick, marszcząc brwi.

- Nie, ojcie. Jeśli los miał mnie doświadczyć i straciłem tylko pieniądze, to się cieszę. Co by się bowiem stało, gdybym tak utracił Peg? - wstrzymał oddech. - Albo Williama Henry'ego?

- Tak, rozumiem. Rozumiem. - Dick wyciągnął rękę przez stół i uścisnął mocno ramię syna. - Jeśli zaś chodzi o wykształcenie Williama Henry'ego, będziemy musieli się modlić, aby coś się odmieniło. Odłożyłem dość pieniędzy, aby ukończył Colston. Mamy więc jeszcze trzy lata.

- A tymczasem będę musiał poszukać jakiejś pracy. Tawerna nie przynosi takich zysków, aby można z niej utrzymać twoją rodzinę i moją. - Richard wziął rękę Dicka ze swego ramienia i uniósł do swego policzka.

- Bardzo ci dziękuję, ojcie.

- Och! - Okrzyk ten miał ukryć zażenowanie Dicka tą niemęską manifestacją uczuć. - O, właśnie sobie przypomniałem! Stary Tom Cave potrzebuje kogoś do pracy w gorzelnii. Kogoś, kto potrafi lutować mosiądzem, spawać i zgrzewać. Idź, porozmawiaj z nim, Richardzie. Być może nie jest to twoja wymarzona praca, ale przyniesie ci około funta na tydzień i to wystarczy, dopóki nie nadarzy się coś lepszego.

Posiadanie gorzelnii rumu w Bristolu było równoznaczne z posiadaniem licencji na bicie monet, bo bez względu na to, jak ciężkie były czasy i ile dusz pozostawało bez pracy, spożycie rumu nigdy nie spadało bardziej niż jego cena. Rum był ulubionym trunkiem nie tylko w samym Bristolu, lecz ładowano go również na wszystkie statki, aby niezadowoleni marynarze nie wszczynali buntów. Marynarze godzili się najedzenie przegniłych sucharów i solonego mięsa tak starego, że po zagotowaniu nic z niego nie pozostawało, a także znosili chłosty, pod warunkiem że dostawali swoje racje rumu.

Pomieszczenia pana Cave'a przypominały fortecę. Zajmowały większość krótkiego odcinka Redcliff Street w pobliżu Redcliff Backs, skąd Cave odbierał swoje dostawy cukru z Indii Zachodnich i gdzie ładował na galary różnej wielkości beczki, w momencie gdy opłacał swoje zamówienie. Jego piwnice były ogromne i nie do zdobycia i - jak większość bristolskich piwnic - ciągnęły się pod ulicami, które były własnością publiczną. Bristol był wydrążonym miastem, tak rozbudowanym pod ziemią, że w centrum miasta nie pozwalano na

transport ciężkich ładunków wozami i wszelkie towary dostarczano na specjalnych saniach, ponieważ ich płozy pozwalały na równomierne rozmieszczenie ciężaru na o wiele większej płaszczyźnie aniżeli koła.

Kotły destylacyjne znajdowały się w ogromnym pomieszczeniu na parterze, oświetlonym głównie blaskiem ognia z pieców. Wszystko to przypominało miedziany las podpartych dookoła pni drzew, zasadzonych w ziemi z ogniotrwałych cegieł, o listowiu, które stanowiły szczelnie zamknięte dębowe beczki w kształcie szyszek pozbawionych czubków. Cuchnęło tam węgielnym dymem, fermentującym słodem, melasą i przyprawiającymi o zawrót głowy oparami rumu. Richard nie znosił zapachu rumu, który musiał wdychać dzień po dniu, i bynajmniej nie kusiło go, żeby zamienić szklanicę piwa na kufel najlepszego rumu Cave'a.

Sam Cave rzadko się pojawiał - rządził tu niepodzielnie niejaki William Thorne, nadzorca. Równie służalczy wobec Cave'a, jak okrutny w stosunku do swoich podwładnych, Thorne był jednym z tych mężczyzn, którzy, zdaniem Richarda, pasowali do statków niewolniczych, takich jak „Alexander”. Thorne lubował się w smaganiu batem terminatorów i ze złośliwą satysfakcją uprzykrzał życie tylu pracownikom Cave'a, ilu zdołał. Zmierzywszy Richarda wzrokiem, zostawił go jednak w spokoju, wydając tylko parę zwięzłych poleceń.

- I trzymaj się z dala od tyłów tego pomieszczenia - zakończył Thorne. - Nie ma tam niczego, co by cię mogło obchodzić, a ja nie lubię, jak mi ktoś myszkuje po kątach. To moje terytorium i będę wdzięczny, jeśli będziesz robić, co ci każę.

Richard nie zbliżał się do wskazanej części sali, bardziej dla świętego spokoju aniżeli dlatego, że Thorne go zastraszył.

Kotły były miedziane, podobnie jak rurki, które wiły się, skręcały i tworzyły pętle, biegnąc w różnych kierunkach; liczne zawory, kurki i obręcze były wykonane z mosiądzu. Potrzebny był więc ktoś, kto potrafił wykryć drobne usterki, zanim zaczęły przeciekać, i kto potrafił kontrolować je w trakcie pracy kotłów. Były ich dwie pary - jedna zawsze zamknięta, pozwalając na naprawę metalu - co również należało do obowiązków Richarda. Jego praca okazała się nużąca, lecz wymagała ciągłego skupienia i koncentracji uwagi zarówno na maszynach, jak i na sobie.

Już w pierwszym dniu pracy Richard poznał najgorsze słowo w słowniku Thorne'a - akcyza.

Rząd Jego Królewskiej Wysokości zawsze opodatkowywał alkohol importowany z zewnątrz - były to opłaty celne - i za przemysł (bardzo popularny na wybrzeżu kornwalijskim, w Devon i Dorset) karano śmiercią na szubienicy. Potem rząd zorientował się, że jeszcze

więcej można by zarobić na opodatkowaniu napojów alkoholowych produkowanych w Anglii - wprowadzono więc opłaty związane z akcyzą. Jałowcówka i rum musiały być produkowane w pomieszczeniach posiadających licencję, rygorystycznie sprawdzanych przez poborców akcyzy, którą opłacano od każdej kropli alkoholu wyciśniętego w gorzelnii z ogromnych cystern, pełnych fermentującego siodu.

- A wszystko to - powiedział Richard pod koniec swego pierwszego tygodnia pracy w gorzelnii - aby statki mogły pływać po morzach bez groźby buntu, a ludzie na lądzie mogli zapomnieć o swoich kłopotach. Jakim cudem jest umysł człowieka - tyle mądrości zmarnowanej na stworzenie takiej głupoty.

- Szkoda, że Jem Thistlethwaite cię nie słyszy! - warknął Dick.

- Wiem, wiem, w mgnieniu oka obaliłby moją argumentację - uśmiechnął się Richard.

- Ojczy, przecież ja żartuję.

- Peg, trzymaj w ryzach tego swojego chłopca - powiedział Dick.

Odwróciła się z tak olśniewającym uśmiechem na twarzy, że Richard wstrzymał oddech - och, jej stan poprawił się już tak bardzo! Czy wystarczyła pewność, że nie przeniosą się do Clifton? Teraz, kiedy musieli zostać „Pod Bednarzem”, ponieważ Richard utracił wszystkie pieniądze, była naprawdę szczęśliwa i czuła się bezpieczna.

Upuściła pusty dzban, który trzymała w ręce, i mruknawszy coś do siebie, pochyliła się prędko, żeby go podnieść. W tym momencie rozległ się tak przejmujący krzyk bólu, że wszystkim zjeżyły się włosy na głowie. Peg wyprostowała się, obiema rękami trzymając się za głowę, a potem runęła na podłogę zwinęta w kłębek. Tyle ludzi stłoczyło się wokół niej, że Dick musiał siłą się przedzierać, zanim przyklęknął obok Richarda, trzymającego głowę Peg na kolanach. Mag przyklęknęła z drugiej strony z Williamem Henrym, który chwycił rękę matki.

- To na nic, Richardzie, ona nie żyje.

- Nie! To niemożliwe! - Richard wziął jej drugą rękę i zaczął delikatnie masować. - Peg, Peg, kochanie moje! Obudź się! Peg, obudź się!

- Mama, mama, obudź się! - powtarzał za nim William Henry, w którego oczach malowało się takie przerażenie, że nie był w stanie uronić ani jednej łzy. - Mama, obudź się, to cię przytulę i pocałuję! Proszę cię, obudź się!

Peg jednak leżała zupełnie bezwładna i bez czucia.

- To był atak apopleksji - orzekł wezwany kuzyn James aptekarz.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Richard. - Przecież nie jest jeszcze taka stara.

- Młodzi ludzie też miewają ataki apopleksji i zawsze przebiegają one w ten sposób -

nagły okrzyk bólu, potem utrata przytomności i śmierć.

. - Ależ ona nie mogła umrzeć - upierał się Richard. Jakże Peg mogłaby umrzeć? Była przecież częścią jego samego. - Nie, ona nie mogła umrzeć.

- Uwierz mi, Richardzie, ona nie żyje. Nie ma żadnych oznak życia. Trzymałem lustro przy jej ustach i nie zaparowało. Przyłożyłem do piersi moją drewnianą tubę i nie słyszałem bicia jej serca. Jej źrenice nie reagują na światło - tłumaczył kuzyn James aptekarz. - Musisz pogodzić się z wolą Boga, Richardzie. Zabierzmy ją na górę. Sam przygotuję ją do złożenia do trumny.

Mag pomogła mu we wszystkim - umyli ją, ubrali w jej niedzielną suknię z różowego, haftowanego batystu, pokryli różem usta i policzki, ułożyli w loki jej włosy, upinając według najnowszej mody, a także włożyli jej najlepsze, świąteczne buty na wysokich obcasach na stopy w pończochach. Z rękami złożonymi na piersiach i zamkniętymi oczami zdawała się spać spokojnie i wyglądała zaledwie na dwudziestolatkę.

Richard usiadł przy niej, a obok niego William Henry. Na szczęście nie widział twarzy syna, bo inaczej by się załamał, a to żadnemu z nich nie przyniosłoby nic dobrego. Pokój był rozświetlony lampami i świecami, którym nie pozwalano zgasnąć, dopóki dwa dni później nie złożono jej do trumny i nie zawieziono na pogrzebowych saniach do kościoła St. James's na nabożeństwo pogrzebowe. Z braku lepszego określenia nazwano jej śmierć naturalną. Cała rodzina, z bliska i z daleka, zjedzie się do Bristolu, aby okazać zmarłej szacunek, złożyć pocałunek na jej wciąż jeszcze młodzieńczych ustach, współczuć wdowcowi, a potem zejść na dół do tawerny na poczęstunek. W protestanckim Bristolu śmierć traktowano trzeźwo i z powagą, nie organizowano więc niczego niezwykłego, a czuwanie przy zwłokach uważano za barbarzyński zwyczaj.

Richard przesiedział długie godziny dnia i nocy przy zmarłej żonie, a co jakiś czas przyłączał się do niego któryś z Morganów. Przynajmniej tym razem z za przepierzenia nie dobiegały odgłosy pochrapywania, tylko przytłumiony szloch, pomruki pocieszeń i westchnienia. Nikt nie spał, z wyjątkiem Williama Henry'ego, który płakał tak długo, że w końcu zapadł w niespokojną drzemkę. Wszystko stało się tak nagle, że Richarda ogarnął szok i odrętwienie, lecz mimo bólu i smutku, które zaczęły wolno przenikać do jego świadomości, z przerażeniem odkrył w głębi serca urazę - „jeśli już miałaś umrzeć, Peg, dlaczego nie zrobiłaś tego, zanim zainwestowałem pieniądze? Mógłbym wtedy zabrać Williama Henry'ego i zamieszkać w Clifton i na zawsze uwolnić się od smrodu rumu. Byłbym wówczas zupełnie niezależny”.

Następną noc, tuż przed świtem, William Henry przyszedł bosy i w nocnej koszuli i

usiadł obok Richarda. Utrzymywali chłód w pokoju na tyle, na ile pozwalały liczne świece i lampy, więc nieruchoma postać na łóżku wyglądała tak spokojnie i pięknie jak w momencie, kiedy skończono ubierać ją do trumny. Richard wstał i przyniósł gruby koc oraz dwie pary pończoch - jedną nałożył synowi, a drugą na własne stopy.

- Wygląda na taką szczęśliwą - powiedział William Henry, ocierając łzy.

- W chwili śmierci była bardzo szczęśliwa - odpowiedział Richard spokojnym głosem i z suchymi oczyma. - Uśmiechała się wtedy, Williamie Henry.

- Ja też powinienem starać się być szczęśliwy, ze względu na nią, prawda, tato?

- Tak, mój synu. Nie musisz się niczego bać. To była niespodziewana, szczęśliwa śmierć i mama na pewno poszła do nieba.

- Tęsknię za nią, tato.

- Ja też. To naturalne, przecież zawsze tu była. Teraz musimy się przyzwyczać do życia bez niej i będzie to trudne. Zawsze jednak pamiętaj, że wyglądała na szczęśliwą, tak jakby nie zdarzyło się nic przykrego, taka jest bowiem prawda, Williamie Henry.

- A ja mam jeszcze ciebie, tato. - Otulony w koc chłopiec przysunął się bliżej, położył swoją kędzierzawą głowę na ramieniu ojca i dostał czkawki. - Mam ciebie. Nie jestem sierotą.

Rano kuzyn James duchowny pochował Margaret Morgan, urodzoną w 1750 roku, ukochaną żonę Richarda Morgana i matkę Williama Henry'ego, obok jej córki Mary. Ponieważ działo się to pod koniec stycznia, nie było żadnych kwiatów, tylko zielone gałązki. Richard nie płakał, a William Henry już wcześniej wylał tyle łez, że teraz zachowywał się spokojnie. Tylko Mag szlochała, tak za bratanicą, jak i za synową. Bóg daje i zabiera. Takie jest życie.

Śmierć matki jeszcze bardziej zbliżyła Williama Henry'ego do ojca, ten jednak był ciągle zajęty pracą, którą wykonywał od świtu do zmroku przez sześć dni w tygodniu, co pozostawiało im jedynie niedzielę i parę ukradzionych chwil wieczorami, zanim William Henry zasnął. Gorzelnia to nie to samo co warsztat rusznikarski, a Thomas Cave bynajmniej nie był Tomaszem Habitasem. W uprzywilejowany sposób traktował wyłącznie Williama Thorne'a, który znikał bezkarnie, niekiedy na długie godziny, a potem wracał z zadowoloną miną. Richard zauważył, że ilekroć Thorne był nieobecny, pojawiał się Thomas Cave i czekał na niego niespokojnie, lecz nie okazując złości, raczej z lękiem i ożywieniem jednocześnie. Było to intrygujące, i gdyby Richard był mniej pochłonięty własnymi zmartwieniami i smutkami, zauważyłby i zrozumiał bez wątpienia o wiele więcej, jednak praca była dla niego ukojeniem jedynie wówczas, gdy poświęcał się jej całkowicie.

W gorzelni pojawiali się niekiedy goście, najważniejszym z nich był poborca akcyzy. William Thorne zazwyczaj oprowadzał inspektora osobiście i nieprzychylnie patrzył na obserwatorów.

Drugi często widziany gość najwidoczniej nie miał żadnych innych powodów, aby tam przychodzić, poza przyjaźnią łączącą go z Thorne'em - dziwny związek pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy z całą pewnością niewiele mieli ze sobą wspólnego. John Trevillian Ceely Trevillian był bogaty, wyfiokowany i bezdennie głupi. Nosił peruki białe niczym śnieg od skrobiowego pudru i wiązał je jedynie aksamitem. Jego tępe oblicze zawsze było umalowane, nosił haftowane, aksamitne surduty i strojne kamizelki, a obcasy miał tak wysokie, że mógł dreptać, tylko podpierając się na bursztynowej lasce. Rozsiewał wokół zapach perfum tak mocnych, że zabijały nawet zapach rumu.

Oczywiście przy pierwszej wizycie, odkąd Richard zaczął pracę u Cave'a, Thorne nie przedstawił pana Trevilliana. Ceely jednak, jak go nazywał Thorne, zatrzymał się przed nowym pracownikiem i przyjrzał mu się z uznaniem. „Najwidoczniej podobają mu się obnażone muskularne ramiona” - stwierdził z niesmakiem Richard, kiedy pan Trevillian, nasyciwszy się jego widokiem, podreptał za Thorne'em. Dobrze wiedział, kim był John Trevillian Ceely Trevillian - najstarszym synem pana i pani Maurice Trevillian z Park Street, tej samej zamożnej pary, która została obrabowana przed frontowymi drzwiami własnego domu. Pochodził z kornwalijskiej rodziny posiadającej duże udziały w bristolskim handlu i spokrewnionej z bardzo starym klanem londyńskich kupców o nazwisku Ceely, sławnych już w dwunastym wieku. Ten zaś Ceely, o czym wiedział cały Bristol, był kawalerem o podejrzanych upodobaniach seksualnych, leniwym i pozbawionym rozumu trzpiotem, który zawsze pozostawał w cieniu młodszego brata.

Kilka następnych wizyt pana Trevilliana sprawiło, iż Richard zwątpił w słuszność osądu Bristolu - pod pozorem głupoty, unізoności i powierzchownego blichtru ukrywał się zarówno spryt, jak i inteligencja. Znał się dobrze na destylacji i całkiem nieźle na interesach. Fortel polegający na udawaniu głupoty był niezwykle skuteczny - kiedy pan Trevillian stał w pobliżu giełdy, sprawiając wrażenie głupca, ludzie w pobliżu nie próbowali nawet ściszyć głosów, rozmawiając o przyszłych transakcjach handlowych. I być może w taki sposób bogacił się ich kosztem.

Kończąc charakterystykę pana Ceely'ego Trevilliana, trzeba jeszcze nadmienić, że w kwietniu pojawił się ramię w ramię z panem Thomasem Cave'em. „Aha - pomyślał Richard - Ceely ma tu jakiś finansowy interes”. Musiał mieć, sądząc po tym, jak stary Cave mu się przypochlebiał i płaszczył się przed nim. A jednak Ceely nie figurował w księgach gorzelni,

w przeciwnym razie Dick byłby mu o tym napomknął. Był zatem nieformalnym współnikiem, który nie zapewniał niczego poza kapitałem - wtedy, kiedy był potrzebny - i dzięki temu nie płacił podatków.

Richard pogodził się z nową sytuacją, choć denerwowało go, że tak mało czasu może spędzać z Williamem Henrym. Niedziele były więc dla nich niezwykle cenne. Niekiedy Richard zmieniał trasę ich spaceru - tak aby William Henry mógł poznać każdy zakątek Bristolu - lecz ich ulubionym miejscem pozostawało Clifton, chociaż Richarda drażnił widok domku, którego o mały włos nie kupił. Gdyby sam mógł zdecydować, pewno chodziliby teraz gdzie indziej, ale William Henry uwielbiał to miejsce.

- Pan Parfrey nauczył nas wczoraj czegoś nowego - powiedział William Henry, podskakując po drodze.

Tłumiąc westchnienie, Richard pogodził się z koniecznością wysłuchania kolejnego peanu na cześć nauczyciela, który zdołał zamienić nudną łacinę w zabawę dwuznacznością i łatwymi do zapamiętania powiedzonkami. William Henry znał łacinę o wiele lepiej niż Richard w jego wieku.

- Co takiego? - zapytał Richard, udając zainteresowanie.

- *Ceasar adsum iam forte* - Cezar zjadł dzem na podwieczorek. - A potrafisz to przetłumaczyć?

- I zdarzyło się, że Cezar zupełnie przypadkowo znalazł się pod ręką.

- Bardzo dobrze! Ten pan Parfrey jest niezłym dowcipnisiem.

- Tak, tato, jest bardzo wesoły i tak nas rozśmiesza, że aż dyrektorowi i panu Prichardowi się to nie podoba. Myślę, że mają mu za złe, że nigdy nie używa kija.

- Dziwię się, że pan Parfrey zdołał przetrwać w Colston - zauważył sucho Richard.

- Wszyscy dobrze umiemy łacinę - wyjaśnił William Henry. - Musimy się dobrze uczyć, bo w przeciwnym razie pan Parfrey miałby kłopoty z dyrektorem. Tata, ja go tak lubię. On się tak uśmiecha!

- W takim razie, Williamie Henry, masz szczęście.

Pod koniec maja wszystkie obserwacje Richarda z gorzelni Cave'a nagle zaczęły układać się w całość. William Thorne znów niespodziewanie zniknął, tak jak pomocnik, który dotrzymywał mu towarzystwa przy kotłach destylacyjnych. Ten drugi zwykle zachowywał się jak głodna mysz przy kawałku sera, wykrzywiając się nerwowo ze strachu, lecz pragnąc skosztować nagrodę. W przypadku pracownika pana Cave'a nagrodą był oczywiście rum -

ale nie ten dobry, który wlewano do beczek i który mieszał nie kto inny, tylko sam pan Cave, lecz cuchnący produkt z drugiej destylacji. Na pewno nikt nie zauważyłby, że odsączył trochę z drugiej zbiorczej kadzi.

Nie potrzebując ani rumu, ani towarzystwa, Richard zajmował się wyłącznie pracą. Olbrzymie pomieszczenie miało tyle zakątków, kątów i kryjówek, iż trudno było określić jego kształt, szczególnie w tylnej części, do której Richardowi zabroniono się zbliżać. Nie złamałby tego zakazu, gdyby nie to, że usłyszał wyraźny syk płynu wylewającego się pod ciśnieniem. Dokładnie sprawdził ustawione w szeregu zaparowane kotły i pogmatwaną sieć rurek, ale niczego nie zauważył, lecz kiedy zbliżył się do ostatniej pary w tylnym rzędzie, nabrał pewności, że odgłosy te dochodzą gdzieś z tyłu. Wdrapał się więc na nieprzyjemnie ciepłe cegły pieca i przecisnął między kotłami, pochylając głowę, aby nie uderzyć w zbiorcze kadzie.

W tym momencie zauważył jakieś dodatkowe rurki, które nie powinny znajdować się w tym miejscu, i znieruchomiał. Dopiero po upływie mniej więcej minuty, gdy jego oczy przyzwyczały się do mroku, spojrział w górę i odkrył szereg innych rur, ukrytych wśród pajęczyn i czegoś, co mogło być oberwaną konopną okładziną. Każda z tych rur uchodziła do kadzi zbiorczej - zawierającej końcowy destylat - nie przy samym dnie, lecz wyżej, z boku, skąd odpływ byłby możliwy tylko wówczas, gdyby kadź była już napełniona do poziomu szpuntu. Na żadnej z tych rur nie był zamontowany zawór - gdy tylko zawartość kadzi osiągała odpowiedni poziom, destylat odpływał nimi gdzieś w ciemności na tyłach pomieszczenia.

A tam, ukryte za fałszywą ścianą, stały rzędy pięćdziesięciogalonowych beczek. Gwizdnąwszy cicho, Richard doliczył szybko, ile nieopodatkowanego alkoholu spływało tamtędy każdego dnia - nic dziwnego, że William Thorne zawsze osobiście spuszczał ostatni destylat ze zbiorczych kadzi! Jedynie wykwalifikowany i doświadczony gorzelnik mógłby się zastanawiać nad niską wydajnością aparatury pana Cave'a, a takich ludzi nie było przy Redcliff Street. Z wyjątkiem Williama Thorne'a. No i Thomasa Cave'a. Czy on też był w to zamieszany?

Wskakując z powrotem na dach pieca, Richard odkrył źródło owego syku - z prawego kotła tryskał cienki strumień płynu przez otwór wielkości nakłucia szpilki, z tyłu przetartej, miedzianej obudowy. Właśnie przykucnął, żeby go zatkać, kiedy wszedł Thorne.

- A co ty tam robisz? - zapytał z wykrzywioną twarzą.

- Wykonuję swoją pracę - odpowiedział spokojnie Richard. - Tymczasową, jak sądzę. Wydaje mi się, że będziecie musieli wkrótce zlikwidować tę parę.

- Do cholery! Mówię staremu Tomowi, żeby zainwestował część swoich zysków w nowe kotły, ale on zawsze znajduje jakieś powody, żeby tego nie robić. - Thorne odszedł, uspokojony, wołając swoich niemrawych pomocników. Kot powrócił o wiele szybciej, aniżeli się go spodziewano.

Wróciwszy tego wieczoru „Pod Bednarza”, Richard nie wspomniał Dickowi o swoim odkryciu. Postanowił, że zrobi to, jak dowie się więcej - na przykład, ile osób było zaangażowanych w to ogromne akcyzowe oszustwo. Naturalnie Thorne. Być może i Cave. A co z Trevillianem Johnem Ceelym Trevillianem? Dlaczego tak dobrze urodzony próżniak jak Ceely miałby szukać miejsca tak odległego od pastwisk, na których wypasają się równie wystrojone kucyki jak on?

„Kiedy wynoszą nielegalny trunek?” - zastanawiał się Richard. - „Pewnie nocą, najprawdopodobniej z niedzieli na poniedziałek. Ulice są wówczas opustoszałe, nie ma nawet marynarzy i najemnych band”.

Bez trudu udało mu się wymknąć z tawerny w niedzielną noc. Spał sam, Dick i Mag chrapali, a William Henry nigdy się nie budził, nawet w czasie burzy. Była pełnia księżycy i bezchmurna noc - jakież miał szczęście! Kiedy dotarł do numeru 137 przy Redcliff Street, jakiś samotny dzwon wydzwaniał północ. Znalazł ciemne schronienie pod dźwigiem należącym do wytwórcy rur, stojącym po przeciwnej stronie podwórza, i usiadł tam, aby cierpliwie czekać.

„Dwie godziny. Z całą pewnością dobrze to sobie obliczyli” - pomyślał. - „Za dwie godziny nadejdzie spokojny świt”. Było ich trzech.

- Thorne, Cave i Ceely Trevillian. Trudno było jednak rozpoznać tego ostatniego - z mizdrzącego się gogusia zamienił się w szczupłego, energicznego mężczyznę o postrzępionej krótkiej czuprynie, w czarnym ubraniu i wysokich butach. Cave przyjechał na swoim podstarzałym wałachu, podczas gdy Thorne i Ceely - saniami ciągniętymi przez parę ogromnych koni, i cała trójka zaczęła rozładowywać z wozu cztery tuziny pustych beczek. Cave otworzył nie używane drzwi wiodące do tylnej części pomieszczenia destylacyjnego, w których zniknęły beczki. Chwilę później Thorne powrócił, postępując przy wytaczaniu pełnej baryłki. Cave pośpieszył do sań i opuścił z tyłu rampę. Thorne i Trevillian z wysiłkiem wpychali kolejne beczki na rampę, na której obracali je z boku na dno z podziwu godną wprawą.

Według obliczeń Richarda cała robota zajęła im sześćdziesiąt minut. Wewnątrz budynku puste baryłki stały już na pewno na swoim miejscu, tuż pod nielegalnymi rurami. Jak często to robili? Nie w każdą niedzielę, gdyż ktoś mógłby to zauważyć, ale jeśli

obliczenia Richarda były właściwe, powtarzało się to przynajmniej raz na trzy tygodnie.

Thomas Cave dosiadł swego konia i odjechał ulicą Redcliff, podczas gdy dwaj pozostali wsiedli na sanie i na gładkich i cichych płozach pomknęli na wschód, w stronę Tempie Backs. Richard podążył za saniami. Nad rzeką beczki zostały ponownie odwrócone na bok i przetoczone na płaskodenną barkę obsługiwaną przez człowieka, który choć obcy Richardowi, był najwyraźniej dobrze znany Thorne'owi i Ceely'emu. Ukończywszy robotę, cała trójka zajęła się wyprzęganiem jednego z koni i uwiązaniem go do barki. Obcy mężczyzna wdrapał się na jego ogromny grzbiet i ubódł go mocno, zmuszając, żeby ruszył mozolnie wzdłuż żalostnej ścieżki flisackiej w kierunku Bath, ciągnąc spławny ładunek wraz z Ceelym na pokładzie. Upewniwszy się, że wszystko przebiegło według planu, William Thorne odjechał saniami.

„Teraz już wszystko rozumiem” - pomyślał Richard. - „Rum jest transportowany do jakiegoś miejsca w pobliżu Bath, gdzie Ceely wraz z tym obcym albo go sprzedają, albo wysyłają do Salisbury czy Exeter, a zyski - wolne od akcyzy - dzielone są na cztery. Założę się jednak, że to Ceely Trevillian ma w tym największy udział”.

Co powinien teraz zrobić? Rozważając ten problem w drodze do domu, Richard postanowił, że nadszedł już czas, aby o wszystkim opowiedzieć ojcu.

Dick i Mag wstali już i krzżeli się po obejściu, kiedy Richard wszedł „Pod Bednarza”, lecz William Henry nadal spał. Rodzice wymienili porozumiewawcze spojrzenia, bo schodząc na dół, zauważyli, że łóżko Richarda stało puste. Jak dać do zrozumienia niedawno owdowiałemu mężczyźnie, że rozumieją jego potrzebę sporadycznych nieobecności?

- Mamo, wyjdź - powiedział Richard bez ceregieli. - Muszę porozmawiać z ojcem na osobności.

Z miną doświadczonego człowieka Dick przygotował się na wysłuchanie opowieści o podstawowych popędach i jakiejś ładnej buzi widzianej wczoraj rano w kościele, a usłyszał historię o wstrząsającym łotrystwie.

- Co mam teraz zrobić, ojczu?

Krzywe spojrzenie, któremu towarzyszyło wzruszenie ramionami.

- Uczciwemu człowiekowi pozostaje tylko jedno rozwiązanie. Idź natychmiast - oczywiście w sekrecie - do naczelnika urzędu akcyzy. Nazywa się Benjamin Fisher.

- Ależ ojczu! A twoje interesy, twoja przyjaźń z Tomem Cave'em? To wszystko zrujnowałoby was.

- Nonsens! - odpowiedział stanowczo Dick. - Są jeszcze inni wytwórcy dobrego rumu w Bristolu, a ja znam ich wszystkich i żyję z nimi na lepszej stopie. Tom Cave jest raczej

starym znajomym aniżeli przyjacielem. Nie widziałeś, aby jadał przy moim stole ani też ja przy jego. A poza tym - skrzywił się - „zawsze wiedziałem, że jest chytrą sztuką. To widać po jego oczach, nie zauważyłeś? Nigdy prosto na ciebie nie patrzy.

- Owszem - odparł Richard trzeźwo. - Zauważyłem to. A mimo to bardziej mi go żal niż Thorne'a. A jeśli chodzi o tego Ceely'ego - tu uczynił gest, jakby odpychał od siebie coś obrzydliwego - to prawdziwe gównno. A jaki z niego aktor! Ten rzekomy gamoń jest bardzo sprytnym człowiekiem.

- Dzisiaj nie idziesz do pracy - powiedział Dick, popychając Richarda w stronę schodów. - Włóż swoje najlepsze niedzielne ubranie, mój nowy kapelusz i idź do urzędu akcyzy. Oczywiście nikomu o tym ani słowa. I przestań się tak przejmować. Jeśli te gagatki odprowadziły choćby tylko połowę z tego, co sądzisz, dostaniesz niezłą nagrodę. Na tyle dużo, żeby starczyło na takie wykształcenie Williama Henry'ego, jakiego sobie zażyczysz.

Właśnie ta myśl sprawiła, że Richard - wystrojony w ciemne niedzielne ubranie, w kapeluszu Dicka na głowie - skierował się w stronę Queen Square. Urząd akcyzy mieścił się w ostatnim budynku pomiędzy placem a Princes Street (przy której to atrakcyjnej ulicy znajdował się dom pana Thomasa Cave'a) i Richard wkrótce przekonał się, że pracujący tu urzędnicy są zwykłymi próżniakami, którzy w poniedziałkowy poranek biernie odsypiają zgage po przepiciu. Byli niezorganizowani, niezainteresowani i woleli siedzieć beczynnie, dlatego też wspięcie się po hierarchicznej drabinie zajęło Richardowi kilka godzin. Spojrzawszy na te wszystkie znudzone twarze, Richard odmówił wyjaśnienia czegokolwiek, z wyjątkiem stwierdzenia, że odkrył oszustwo akcyzowe i wobec tego chciał się widzieć z głównym poborcą akcyzy, nie zaś z samym naczelnikiem, siedzącym jeszcze o szczebel wyżej w hierarchii.

W końcu, o trzeciej po południu, doszło do spotkania. Ponieważ do tej pory nie zdążył jeszcze zjeść obiadu, jego sławetna cierpliwość została wystawiona na próbę.

- Daję panu pięć minut, panie Morgan - oznajmił Benjamin Fisher zza biurka.

Nie trzeba się było nawet zastanawiać, czy poborca akcyzy był kiedykolwiek osobiście w terenie. Spojrzał na Richarda przez małe, okrągłe szkła okularów, które nie były mu potrzebne do czytania dokumentów, równiutko poukładanych na biurku. „Krótkowidz. Biurko zawsze było mu domem. Oznacza to, że nie zrozumie sprawy tak, jakby rozumiał to którykolwiek z jego podwładnych pracujących w terenie. Z drugiej zaś strony - zastanawiał się Richard - mogło to oznaczać, że nie przyjmuje łapówek. Z całą pewnością bowiem terenowi poborcy je przyjmują, w przeciwnym razie nie byłoby mnie tutaj”.

Richard opowiedział swoją historię w kilku zwięzłych zdaniach.

- Ile rumu, według pana, ta osoba odprowadza tygodniowo? - zapytał pan Benjamin Fisher, wysłuchawszy Richarda.

- Jeśli zabierają beczki co trzy tygodnie, proszę pana, to około ośmiuset galonów na tydzień.

Sprawa przybrała nowy obrót! Pan Fisher wyprostował się, odłożył gęsie pióro i odwrócił na drugą stronę kawałek papieru, na którym robił notatki. Następnie nasunął okulary i wytrzeszczył oczy, dwa bladoniebieskie marmury pływające pod pokładem szkła.

- Panie Morgan, to ogromne oszustwo! A może pomylił się pan w swoich kalkulacjach?

- Oczywiście, proszę pana, że mogłem się pomylić. Lecz jeśli zmieniają baryłki co trzy tygodnie, daje to osiemset galonów na tydzień. Wczoraj mieliśmy pierwszego czerwca i mogę poświadczyć, że beczki, które ci mężczyźni przynieśli do gorzelnii, były zupełnie puste, jeden człowiek mógł je bowiem kopać jak piłkę. Podczas gdy beczki, które stamtąd wynieśli, były tak ciężkie, że dwóch z nich musiało wtaczać je po niskiej rampie. Przypuszczam, że następną niedzielą, w którą znowu to zrobią, będzie dwudziestego drugiego czerwca. Jeśli pańscy ludzie ukryją się w pobliżu po północy, przy łapie ich pan wszystkich trzech na gorącym uczynku - powiedział Richard, zakładając, że ma rację.

- Dziękuję, panie Morgan. Sugeruję teraz, żeby wrócił pan do pracy i zachowywał się tak, jak zwykle, dopóki nie zostanie pan powiadomiony przez nasze biuro. W imieniu Jego Królewskiej Mości muszę złożyć panu serdeczne podziękowania za pańską pilność.

Richard podchodził już do drzwi, kiedy główny poborca akcyzy odezwał się ponownie:

- Jeśli oszustwo jest tak duże, jak pan twierdzi, panie Morgan, otrzyma pan za to nagrodę w wysokości ośmiuset funtów, z których pięćset będzie dla pana, oczywiście po złożeniu zeznania w sądzie.

Nie mógł się powstrzymać od zapytania:

- A kto weźmie pozostałe trzysta?

- Ludzie, którzy zaaresztują przestępców, panie Morgan. Na tym rozmowa się skończyła. Richard wrócił do domu.

- Miałaś rację, ojczy - zwrócił się do Dicka. - Jeśli wszystko potoczy się tak, jak się tego spodziewam, dostanę pięć ósmych z ośmiuset funtów nagrody.

Dick nie dowierzał.

- Trzysta funtów to chyba trochę za dużo pieniędzy do podziału pomiędzy tuzin poborców, którzy tylko zaaresztują oszustów.

Richard roześmiał się.

- Ojciec, nie wiedziałem, że jesteś taki zielony! Przypuszczam, że poborcy, którzy ich aresztują, dostaną zaledwie pięćdziesiąt funtów do podziału. Pozostałe dwieście pięćdziesiąt niewątpliwie znajdzie się w kieszeni Benjamina Fishera.

W niedzielę, dwudziestego drugiego czerwca około tuzina poborców wyłamało tylne drzwi w gorzelnii Cave'a, wdarło się do opustoszałych pomieszczeń z przygotowanymi sztabami, gdzie zlokalizowali cztery tuziny pięćdziesięciogalonowych baryłek nie opodatkowanego rumu, podłączonych do kotłów przez nielegalne rurki.

Kiedy Thomas Cave nadjechał konno w poniedziałek o drugiej nad ranem, a William Thorne i John Trevillian Ceely Trevillian wkrótce potem, zniszczone drzwi i akcyzowe plomby na wszystkim we wnętrzu budynku niedwuznacznie zdradziły całą historię.

- Zostaliśmy nakryci - wycedził Thorne przez zęby. Cave zadrżał ze strachu.

- Ceely, co my teraz zrobimy?

- Skoro rumu już nie ma, proponuję, żebyśmy wrócili do domu - odparł chłodno Ceely.

- Dlaczego nie ma ich tutaj, żeby nas zaaresztować? - spytał Cave.

- Ponieważ nie chcieli mieć żadnych kłopotów, Tom. Po ilości rumu zorientowali się, że zaangażowani są w to bezwzględni osobnicy. To wykroczenie, za które grozi stryček. Akcyźnicy nie są na tyle dobrze płatni, żeby opłacało im się ryzykować kulkę w brzuch.

- Nasze źródła powinny nas o tym wcześniej poinformować!

- Owszem, powinny - przyznał Ceely ponuro. - Co pozwala mi przypuszczać, że to przyszło z samej góry i że użyto do tego obcych ludzi.

- Richard Morgan! - warknął Thorne, uderzając się pięścią w dłoń drugiej ręki. - To on nas nakrył!

- Richard Morgan? - Trevillian zmarszczył brwi. - Chodzi ci o tego przystojnego faceta, który naprawia rurki?

Thorne utkwiał w nim badawcze spojrzenie i podniósł latarnię, aby się bliżej przyjrzeć jego twarzy.

- Jesteś dla mnie zagadką, Ceely - powiedział wolno. - Podobają ci się kobiety czy mężczyźni?

- To mało ważne, kto mi się podoba, Bill. Idź do domu i zacznij wymyślać jakąś historyjkę dla głównego akcyźnika. Cała wina spadnie na ciebie.

- Co ty wygadujesz? Wszyscy jesteśmy winni. - Obawiam się, że nie - odpowiedział swobodnie Ceely, wskakując na sianie. - Nie powiedziałeś mu o tym, Tom?

- A o czym, Tom?

Jednakże Cave był w stanie tylko zadrzeć i pokręcić głową.

- Tom przygotował dla ciebie koncesję - wyjaśnił Ceely. - I to już jakiś czas temu. Uznałem, że to dobry pomysł, a on natychmiast pojał, co mam na myśli. A jeśli chodzi o mnie - mnie z gorzelnią Cave'a nic nie łączy. - Potrząsnął lejcami, aby pogonić konie.

William Thorne stał jak wryty, nie będąc w stanie się poruszyć.

- Gdzie jedziesz? - zapytał słabym głosem. Niezwykle białe zęby Ceely'ego zabłyśły w uśmiechu.

- Ależ ma się rozumieć, że do Tempie Backs, żeby zawiadomić naszego sprzymierzeńca.

- Poczekaj na mnie!

- A ty, Bill - powiedział Ceely Trevillian - możesz iść do domu na piechotę.

Sanie śmignęły, pozostawiając Thorne'a sam na sam z Cave'em.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego, Tom? Cave oblizał usta.

- Ceely nalegał - wyjąkał. - Ja nie jestem w stanie sprzeciwić się temu człowiekowi, Bill.

- I stwierdziłeś, że to wspaniały pomysł! To całkiem do ciebie podobne, ty stary tchórze! - stwierdził gorzko Thorne.

- To Ceely - upierał się Thomas Cave. - Nie zostawię cię bez pomocy, obiecuję. Zrobię wszystko, żeby cię uwolnić. - Sapiąc z wysiłku, zdołał jakoś wdrapać się na konia. Thorne nawet się nie poruszył, żeby mu pomóc.

- Domagam się spełnienia tej obietnicy, Tom. Ale o wiele ważniejsze jest zamordowanie Richarda Morgana.

- Nie! - krzyknął Cave. - Rób, co chcesz, tylko nie to! W akcyzie poznali już całą sprawę, głupcze. Zabij ich donosiciela, a wszyscy będziemy wisieć.

- Jeśli dojdzie do rozprawy, z całą pewnością to mnie powieszają, więc jaka to dla mnie różnica, co? - Teraz zaczął już krzyczeć. - Najlepiej upewnij się, Tom, żeby nigdy do tego nie doszło! I odnosi się to również do Ceely'ego. Jeśli ja wpadnę, Richard Morgan nie będzie tu jedynym kapusiem. Pociągnę za sobą na dno i ciebie, i Ceely'ego. Wszyscy pójdziemy na szafot! Słyszysz? Wszyscy!

Pan Benjamin Fisher wezwał Richarda do urzędu akcyzy następnego dnia, dwudziestego trzeciego czerwca, wcześniej rano.

- Radzę, żeby pan nie szedł do pracy, panie Morgan - powiedział główny poborca

akcyzy, z wypiekami na policzkach. - Moi ludzie jak głupcy przeprowadzili obławę w gorzelni Cave'a w ciągu dnia, więc nikogo nie złapali. Zdołali jedynie przechwycić alkohol.

Richard rozdziawił usta ze zdumienia.

- O Chryste!

- Dobrze, lecz bezskutecznie powiedziane, mój panie. Podzielim pańskie zapatrywania, ale szkoda została już wyrządzona. Urząd akcyzy może wnieść oskarżenie jedynie przeciwko właścicielowi koncesji za posiadanie nielegalnego rumu na terenie swego lokalu.

- Stary Tom Cave? Ależ nie on jest tu głównym winowajcą!

- Thomas Cave nie jest właścicielem koncesji. Jest nim William Thorne.

Richard ponownie rozdziawił usta ze zdziwienia.

- A co z Ceelym Trevillianem?

Robiąc wrażenie niezwykle oburzonego, pan Fisher ścisnął obie ręce i pochylił się do przodu.

- Panie Morgan, nie mamy nikomu nic do zarzucenia z wyjątkiem Williama Thorne'a.

- Nałożył okulary, wykrzywiając usta. - Pan Trevillian ma wyjątkowo dobre powiązania i opinię sympatycznego i nieszkodliwego głupca. Przesłucham go osobiście, lecz muszę pana ostrzec, że jeśli dojdzie do rozprawy, będzie to jego słowo przeciwko pańskiemu. Jest mi bardzo przykro, ale jeśli nie wyjdą na jaw jakieś nowe dowody, pan Trevillian jest bez zarzutu. Nie mam nawet pewności - powiedział, wzdychając - że mamy wystarczające dowody na to, aby powiesić Williama Thorne'a, choć z całą pewnością dostanie siedem lat zsyłki.

- Dlaczego pańscy ludzie nie zaczęli, żeby ich przyłapać na gorącym uczynku!

- Tchórzostwo, proszę pana. Tak zazwyczaj bywa. - Fisher zdjął okulary i zaczął je energicznie polerować, mrugając oczyma dla usunięcia łez. - Choć to jeszcze bardzo wczesna pora, Thomas Cave już czeka na mnie na dole, w celu - jak przypuszczam - wynegocjowania jakiegoś porozumienia, proponując zapłacenie bardzo wysokiej kary. To on ma pieniądze, panie Morgan. Nie jestem aż taki ślepy, żeby nie widzieć, że William Thorne jest tylko przynętą dla odwrócenia uwagi. Akcyza nie dostanie żadnej rekompensaty od właściciela koncesji, lecz może ją uzyskać od właściciela gorzelni. To dotyczy również pana. To znaczy chodzi mi o pańską nagrodę.

Wychodząc, Richard spotkał Thomasa Cave'a w korytarzu, lecz miał dość rozumu, żeby mijając go, nic nie mówić. Nie było sensu iść do gorzelni, wrócił więc „Pod Bednarza”.

- No więc straciłem pracę, a przynajmniej dwóch z trzech winowajców uniknie

sprawiedliwości - powiedział Dickowi. - Och, gdybym to wcześniej wiedział!

- Wygląda na to, że Tom Cave wykupi Thorne'a - stwierdził Dick i zaczął go pocieszać. - Bądź wdzięczny za jedno, Richardzie. Bez względu na to, co z tego wyniknie, i tak dostaniesz swoje pięćset funtów.

Dick miał rację, lecz Richard nie wydawał się tym usatysfakcjonowany. Przynajmniej jakaś jego część pragnęła zobaczyć Trevilliana Ceely'ego Trevilliana na ławie oskarżonych. Nie wiedział właściwie dlaczego, poza tym, że podczas ich pierwszego spotkania Ceely obraził go swoim nieodpowiednim spojrzeniem, wyrażającym uznanie dla jego urody. „Dla tego zarozumiałego, skomlącego fircyka nie jestem nawet pyłem, a przecież go nienawidzę. Tak, nienawidzę go. Po raz pierwszy w życiu jestem pełen emocji, które dotąd znałem tylko z nazwy i których nie doświadczyłem. To, co kiedyś było jedynie słowem, teraz stało się ciałem”.

W tych ciężkich czasach brakowało mu Peg. Żał po jej odejściu był ogromny, lecz osłabiony ostatnimi latami jej oporu, łez, picia i umysłowego błędzenia. A jednak w miarę upływu czasu, kiedy szukał pracy w Bristolu, ten obraz Peg wypłóviał i został zastąpiony przez taką Peg, jaką poślubił siedemnaście lat temu. Pragnął się do niej przytulić, rozmawiać z nią cicho w nocy, szukać jedyne go seksualnego pocieszenia, jakie uważał za prawdziwie zadowalające - tego, w którym miłość i przyjaźń miały co najmniej taki sam udział jak namiętność. Nie miał już nikogo, z kim mógłby porozmawiać, bo chociaż ojciec zawsze stawał po jego stronie, to uważał, że Richard jest zbyt łagodny, jakby pozbawiony kręgosłupa. A mama była mamą - kucharką i pomywaczką w jednej osobie. Za parę lat, gdy William Henry dojrzeje, będzie mu brakować jedynie seksualnego pocieszenia. A to, zdecydował Richard, musi poczekać, aż jego syn w pełni dorośnie. Nie chciał bowiem narzucać swemu jednemu, ukochanemu dziecku macochy, a prostytutek nie był w stanie ścierpieć, bez względu na to, jak bardzo łaknął zaspokojenia.

W poniedziałek, ostatniego dnia czerwca Richard wyszedł o świcie - bardzo wcześnie w tym dniu zrównania dnia z nocą - aby udać się górzystą drogą do Keynsham, wioski położonej nad rzeką Avon w odległości ośmiu mil od tawerny „Pod Bednarzem” - którą ludzie tacy jak William Champion, wytwórca mosiądzu, znacznie poszerzyli i zanieczyścili. Champion opatentował proces oczyszczania cynku z galmanu i innych składników, a Richard dowiedział się, że poszukuje on solidnego człowieka do produkcji cynku. Czemuż zatem nie miałyby spróbować? W najgorszym wypadku czekała go odmowa.

William Henry wyszedł do szkoły, tak jak zwykle, za piętnaście siódma, pomrukując z

niezadowoleniem, ponieważ dyrektor uparł się, aby lekcje trwały do ostatniego dnia czerwca, nawet jeśli wypadał on w poniedziałek. Babcia w odpowiedzi dała mu dobrotliwego pstryczka w ucho, William Henry zrozumiał docinek i wyszedł. Nazajutrz rozpoczynały się dwumiesięczne wakacje, zarówno dla płacących uczniów, jak i dla tych w niebieskich mundurkach. Tym, którzy mieli domy i rodziców, pozwalano ściągnąć niebieskie mundurki i opuścić Colston aż do początku września, podczas gdy ci, którzy - tak jak Johnny Monkton - nie mieli ani rodziców, ani domu, musieli spędzać lato w Colston, pod nieco bardziej swobodną dyscypliną.

Tato wyjaśnił Williamowi Henry'emu, dlaczego przez następne dwa miesiące nie będzie mógł dotrzymywać mu towarzystwa, i chłopiec doskonale to rozumiał. Zdawał sobie sprawę z tego, że wszystkie wysiłki ojca były podyktowane troską o niego, i to nałożyło na jego młode ramiona ciężar, o istnieniu którego sam nie wiedział. Jeśli przykładał się do nauki - robił to głównie dla przyjemności taty, który cenił wykształcenie o wiele bardziej, aniżeli mógłby je cenić jakikolwiek dziewięcioletni chłopiec.

Zaskoczony zatrzymał się w bramie szkoły - była przyozdobiona czarnymi wstążkami. Czekał tam pan Hobson, młodszy nauczyciel, który położył rękę na ramieniu Williama Henry'ego.

- Wracaj do domu, młodzieńcze - powiedział, odwracając się do chłopca.
- Jak to do domu, panie Hobson?
- Cóż, dyrektor zmarł w nocy we śnie i dlatego nie będzie dzisiaj lekcji. Twój ojciec dostanie zawiadomienie o pogrzebie, Morganie Tercjuszu. A teraz już idź.
- Czy mógłbym zobaczyć się z Monktonem Minorem, proszę pana?
- Nie dzisiaj. Do widzenia - odpowiedział pan Hobson, lekko popychając Williama Henry'ego.

Chłopiec zatrzymał się przy Kamiennym Moście, marszcząc brwi. Psiakość! Tata poszedł do Keynsham, dziadek i babcia są zajęci - co on miał przez cały dzień robić bez Johnny'ego?

Była to pierwsza w życiu Williama Henry'ego okazja, aby robić dokładnie to, co chciał, bez niczyjej wiedzy. W tawernie „Pod Bednarzem” myśleli, że jest w Colston, a z Colston wysłano go do domu. Nie mógł tracić czasu. Podjąwszy decyzję, William Henry popędził w stronę Kamiennego Mostu, lecz bynajmniej nie do domu, ale w kierunku Clifton.

Stromy, urwisty szczyt Wzgórza Brandon był jego pierwszym postojem. Wspiął się na samą górę, wyobrażając sobie, że jest jednym z Roundheads - żołnierzem z armii Cromwella oblegającej Bristol, i stał tam, patrząc na kominy pieców do wypalania cegieł i mokradła, na

ruiny fortu rojalistów na Wzgórzu St. Michael's. Później długimi susami pokonywał skalne występy, aż dotarł do ścieżki i na jednej nodze podskakiwał aż do Studni Jakuba, która niegdyś była jedynym źródłem wody dla całego Clifton. Teraz stały wokół niej domy, lecz żaden z nich nie wydawał się małemu chłopcu atrakcyjny. Przebiegł w podskokach obok kościoła St. Andrew's, zaczął wywijać koziołki na wiosennej murawie Clifton Green i postanowił iść do Manilla House, ostatniego domu w szeregu posesji stojących na szczycie wzgórza.

- Czołem, długonogi! - usłyszał przyjazny głos, przechodząc obok podwórza stajennego przy budynkach Boyce'a.

- Czołem, proszę pana.

- A co, nie masz dzisiaj szkoły?

- Dyrektor zmarł - wyjaśnił krótko William Henry i usadowił się na słupie przy bramie. - A kim ty jesteś?

- Nazywam się Richard, jestem parobkiem.

- Mojemu tacie też tak na imię. A ja jestem William Henry. Ukazała się sękata ręka.

- Miło mi cię poznać.

Przez dwie godziny chodził w kółko za Richardem, poklepując parę koni, zaglądając do pustych przegród, pomagając wyciągać siano i wodę ze studni i wesoło gawędząc. Na koniec Richard dał mu kufel cienkuszka, kawałek chleba i sera i w ten sposób pokrzepiony William Henry pomachał mu wesoło na pożegnanie i ruszył dalej.

Manilla House był opuszczony, podobnie jak Freemantle House, Duncan House i Mortimer House. A więc gdzie teraz?

Gdy się nad tym zastanawiał, nagle posłyszał z tyłu stukot końskich kopyt i odwracając się, zobaczył dobrze znaną i kochaną twarz.

- Pan Parfrey! - wykrzyknął.

- Wielki Boże! - powiedział George Parfrey. - A co ty tu robisz, Morganie Tercjuszu?

William Henry był na tyle dobrze ułożony, że zarumienił się.

- Proszę pana, jestem na spacerze - wyjaśnił. - Nie ma dzisiaj lekcji, a tata poszedł do Keynsham.

- A wolno ci tu przychodzić, Morganie Tercjuszu?

- Proszę, nazywam się William Henry, proszę pana.

Pan Parfrey zmarszczył brwi, potem wzruszył ramionami i wyciągnął rękę.

- Widzę więcej, aniżeli ci się wydaje, Williamie Henry. No więc dobrze. Wskakuj, to udamy się na przejażdżkę, a potem odprowadzę cię do domu.

Cóż to za radość! Pierwszy raz w życiu miał okazję siedzieć na koniu! Usadowił się przed panem Parfreyem, tak wysoko nad ziemią, że samo spojrzenie w dół przyprawiało go o zawrót głowy. Zupełnie nowy świat, tak jakby znalazł się na wierzchołku drzewa, które uciekało! Jakże wspaniałe były rytmiczne ruchy konia! Jakże cudowne było to, że mógł przeżyć przygodę z towarzyszem niemal równie dobrym jak tato! William Henry wpadł w zachwyt.

Pocwałowali wzdłuż Durdham Down, rozpraszając po drodze kilka stad owiec i śmiejąc się z byle powodu. Kiedy William Henry pozwolił panu Parfreyowi wtrącić jakieś słowo, przekonał się, że zna się on nie tylko na łacinie. Podjechali na skraj przełomu Avonu, gdzie pan Parfrey wskazał na kolory na skałach i opowiedział ożywionemu chłopcu, jak żelazo zabarwia szarość i biel wapiennych skał na kolor śliwkowy i intensywny rdzawy róż. Wskazywał batem kwiaty kwitnące pośród letniej trawy i wymieniał ich nazwy, a parę minut później wypytywał Williama Henry'ego o nazwę któregoś z nich.

W końcu, na szczycie wąwozu, ścieżka zawiodła ich do Hotwells House, stojącego na urwisku wysuniętym nad Avon.

- Może znajdziemy tu coś do jedzenia - powiedział pan Parfrey, pozwalając chłopcu zsunąć się na ziemię, zanim sam zszedł z konia. - Głodny?

- Tak, proszę pana.

- Jeśli poza bramami Colston mam cię nazywać Williamem Henrym, to wydaje mi się, że ty powinienes nazywać mnie wujkiem George'em.

Zaledwie kilka osób korzystało z pompowni - paru suchotników, cukrzyków lub artretyków, bardzo leciwa pani i dwie kalekie młode kobiety. Niewątpliwie zbudowano ją w lepszych czasach - złocenia zmatowiały już, tapety odklejały się, zasłony były postrzępione i pokryte warstwami brudu, a fotele domagały się nowego pokrycia. Jednak kwaśny dzierzawca, który nadal toczył walkę z Bristolem o ceny za picie wód, wciąż serwował tu obiady. Williamowi Henry'emu, przyzwyczajonemu do o wiele lepszego jedzenia „Pod Bednarzem”, smakował on niczym nektar i ambrozja nie tylko dlatego, że był inny niż te, które zwykle jadał, ale również dlatego, że dzielił go z tak wspaniałym towarzyszem. Kiedy skończyli, pan Parfrey zaproponował spacer przed powrotem do miasta. Przy wyjściu starsza dama i dwie kobiety zachwyciły się Williamem Henrym, który znosił ich okrzyki i poklepywania z taką samą cierpliwością, z jaką przyjmował czułości swej zmarłej matki. Cecha ta zafascynowała George'a Parfreya.

George Parfrey również znalazł niezwykłego towarzysza. Był to naprawdę wyjątkowy dzień, począwszy od wiadomości o śmierci dyrektora. Wielebny Prichard, którego pociąga,

ciemna twarz nie zdradzała radosnego podniecenia jakie ogarnęło go na myśl, że ma szansę zostać nowym dyrektorem - zbyt był zajęty, aby zwracać uwagę na nauczycieli po zapoznaniu ich z sytuacją. Poza tym, że kazał Harry'emu Hobsonowi odprawić dziennych uczniów do domu, nie wydał żadnych innych poleceń.

„Bardzo dobrze” - pomyślał pan Parfrey. - „Dla mnie dzień dzisiejszy jest świętem. Jeśli tu pozostanę, Prichard albo ktoś inny znajdzie mi zapewne robotę. Jeśli zaś nikt mnie zobaczy, nie będą nawet pamiętać o moim istnieniu”.

Jedyną jego rozrywką była jazda konna. Niestety, nie miał własnego - to wykraczało daleko poza jego skromne możliwości - ale wypożyczał je sobie niekiedy w niedziele ze stajni w pobliżu szubienicy na Wzgórzu St. Michael's. W poniedziałki, jak się przekonał, był większy wybór wierzchowców. Piękny czarny wałach, o jakim marzył, chrupał spokojnie siano i bez wątplenia marzył o odpoczynku po szaleństwie niedzielnych wycieczek. Lecz nadaremnie. Dziesięć minut później pan Parfrey był już w siodle i kłusował przez Kingsdown w stronę drogi do Aust. Będąc dobrym jeźdźcem, udobruchał czarnego wałacha pieszczotliwym poklepywaniem i oddał się swojej ulubionej rozrywce.

Przez chwilę groziło mu, że wpadnie w zwykłe przygnębienie, lecz był to zbyt wspaniały dzień, aby można było się nim w pełni nie cieszyć, odsunął więc od siebie myśli o samotności i obawę przed smutną starością i skoncentrował się na otaczającym go pięknie. I w tym momencie, cwałując pod Wzgórzem Clifton w kierunku Durdham Down, zobaczył Morgana Tercjusza. Towarzystwo! A zatem ten mały diabeł również postanowił zwolnić się od codziennych obowiązków. Dlaczegoż więc nie mieliby spędzić czasu razem? Pytanie to rozpraszało poczucie winy, gdyż opiekując się chłopcem, oddawał mu przysługę.

William Henry. To podwójne imię pasowało do niego - sympatyczna próżność, która wraz z wiekiem być może okaże się dobrym wyborem. Wszyscy nauczyciele zauważyli możliwości drzemiące w Morganie Tercjuszu, choć jego uroda wypaczała osady niektórych. Tak jak i pana Parfreya, który dopiero na lekcjach łaciny przekonał się, że jego twarz odbija piękno duszy, tak jak zamglone lustro odbija promienie słońca. Nie zauważył dotąd, że William Henry jest po prostu małym, psotnym chłopcem, bo w szkole zawsze był aniołem. Kiedy cwałowali razem przez Durdham Down, chłopiec wyjaśnił mu poważnie, że nie chciał brać batów i nie chciał, aby go zauważano.

Jakże miał mu wytłumaczyć, że zawsze będą zwracać na niego uwagę? Ciekawe, że jego ojcu, do którego był tak podobny, brakowało jakiejś iskry życia. Uroda Richarda Morgana nie przykuwała wzroku przechodniów na ulicy i na jego widok kula ziemiska bynajmniej nie przestawała się obracać. William Henry natomiast prowokował to pierwsze

każdego dnia, a kiedyś być może zdoła dokonać i tego drugiego. Rozmawiał z nim jak z każdym chłopcem w tym wieku, choć nie uszło jego uwagi staranne wychowanie. Chłopiec zdradził mu, co dzieje się w tawernie i przyznał się, że był już świadkiem najpodlejszych ludzkich pasji, poczawszy od błysku noży, po lubieżność i maniackalne szaleństwo. Jednak nie zdołało go to skazić, nie dało się zauważyć nawet najdrobniejszych oznak zepsucia.

A zatem, kiedy wyszli razem z Hotwells House, automatycznie skierowali się do miejsca, w którym niegdyś William Henry jadał ze swoim ojcem posiłki na świeżym powietrzu, a George Parfrey obserwował ich z góry. Nie było to zbyt przestronne miejsce, nie przylegało na całej rozciągłości brzegów Avonu do Hotwells House od strony Bristolu. Zaledwie dwadzieścia stóp pokrytej murawą skarpy, wciśniętej pomiędzy Skałki św. Wincentego i niższą krawędź. Wewnątrz lasu byłaby to dolinka.

Choć upłynęło już dziewięć miesięcy od czasu, gdy obaj Morganowie ostatni raz jedli tam obiad, wydawało się, jakby w tym miejscu czas się zatrzymał - Avon był dokładnie na tym samym poziomie, wylewając w pełni przyływu, trawa miała identyczny odcień zieleni, a skały odbijały światło dokładnie z taką samą intensywnością. Czas wyjęty z pamięci. Szansa na to, by postawić jedną nogę w przyszłości, a drugą w przeszłości. Tak jakby ten dzisiejszy dzień został wyrwany z biegu czasu, przeniesiony z przeszłości.

William Henry usiadł, a George Parfrey wyciągnął swój blok rysunkowy i kawałek węgla.

- Mogę patrzeć, jak rysujesz, wujku George?

- Nie, ponieważ chcę uchwycić twoją podobiznę. A to oznacza, że musisz siedzieć bez ruchu i zapomnieć, że na ciebie patrzę. Zaczynaj liczyć stokrotki. Jak skończę, będziesz mógł obejrzeć.

A zatem William Henry usiadł, a George Parfrey zaczął rysować, wpatrując się w niego.

Początkowo węgiel poruszał się prędko i pewnie, lecz w miarę upływu minut kreski na papierze pojawiały się coraz rzadziej, aż w końcu ustały. Parfrey mógł już tylko patrzeć - nie tylko podziwiać piękno, lecz również przyglądać się własnemu losowi.

„To zła synchronizacja czasu - zupełnie nieodpowiednia. Jestem zakochany po uszy w tym niewiniątku, ponad trzydzieści pięć lat ode mnie młodszym. Zanim zdołam rozbudzić go do miłości, nie znajdzie już we mnie niczego godnego kochania. To dopiero, Billu Szekspirze, jest tragedia warta opisanie. Kiedy on stanie się Hamletem, ja będę już Learem”.

Tasiemka do włosów już dawno uleciała z wiatrem, więc kaskada czarnych loków opadła wokół twarzy równie dramatycznie jak porwany z wiatrem gęsty węglowy dym. Skórę

miał atlasową, brzoskwiniową - jakby z kości słoniowej, cienkie ostrze orlego nosa równie patrycjuszowskie jak jego kości policzkowe, i usta - pełne, zmysłowe, zmarszczone w kącikach, jak gdyby skłonne do tajemniczego uśmiechu. Wszystko to jednak było niczym wobec tych oczu!

Jak gdyby wyczuwając zmianę nastroju towarzysza, William Henry podniósł wzrok bezpośrednio na niego, a enigmatyczny uśmiech wydał się nagle oszołomionemu Parfreyowi zaproszeniem, z którego William Henry nie zdawał sobie sprawy. Oczy napełniły się światłem, a ciemne punkciki wirowały pośród złota - tak oto słońce, odbijając się od zmoczonej wodą skały, oślepiło go.

Mężczyzna nie był w stanie się powstrzymać. Było już po wszystkim, zanim jakakolwiek myśl zdołała zaświtać mu w głowie. George Parfrey przebył odległość dzielącą go od jego Nemezis i pocałował chłopca w usta. Potem musiał wziąć go w ramiona - nie zniósłby jego odejścia - musiał zakosztować skóry jego czoła, policzka i szyi, pieścić jego małe ciało, które drżało niczym ciało mruczącego kota.

- Piękny! Piękny! - szeptał. - Jesteś piękny!

Chłopiec wyrwał się jak szalony, skoczył na nogi, kołysząc się i przewracając oczyma w szoku, niepewny, w którym kierunku uciekać. Nie zdążył jeszcze okazać przerażenia, wszystko w nim skoncentrowało się na ucieczce.

- Williamie Henry, tak mi przykro! Nie chciałem cię skrzywdzić! Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy! Tak mi przykro! - Parfrey dyszał, rozkładając ramiona szeroko, błagając gestem o przebaczenie.

Dopiero teraz ogarnęło go przerażenie. William Henry ujrzał wyciągnięte ku sobie ręce, a nie usłyszał błagania i odwrócił się, by uciec w innym kierunku. Tuż pod jego stopami szumiał Avon, koloru niebieskiej stali, skręcając się i wijąc, gdy wylewał się z przełomu falistym strumieniem. Pan Parfrey zbliżał się coraz bardziej, z ramionami pragnącymi złapać go i uwięzić, z ustami wykrzywionymi w grymasie, który nie był prawdziwym uśmiechem. Tawerna „Pod Bednarzem” dobrze nauczyła go, co oznaczają takie uśmiechy, bo kiedy ojciec i dziadek nie patrzyli, inni mężczyźni też tak się do niego uśmiechali, szepcząc zaproszenia. William Henry wiedział, że uśmiech ten był fałszywy, lecz nie zrozumiał powodu tego fałszu.

Podniósł głowę i spojrzał oślepiiony w słońce.

- Taaataaaa...! - zawołał i skoczył do rzeki.

Avon w tym miejscu nie nadawał się do kąpieli, zresztą Parfrey nie umiał pływać. Mimo to biegał jak szalony tam i z powrotem wzdłuż krótkiego odcinka wybrzeża pomiędzy

skalami, próbując dostrzec chłopca w jej nurcie. Wskoczyłby do wody na widok dłoni, ramienia - czegokolwiek! Nic jednak nie wypłynęło. Nawet liść, gałązka czy gałąź, nie mówiąc już o Williamie Henrym. Utopił się niczym kamień, bez żadnego oporu.

Cóż to dziecko sobie myślało? Cóż mógł zobaczyć, stojąc na skraju rzeki? Skąd aż takie przerażenie? Czy wolał rzekę od niego? Czy skacząc, wiedział, co robi? A może nie był zdolny do myślenia? Zawołał swego ojca, to wszystko. I skoczył. Nie potknął się. Nie upadł. Po prostu skoczył.

Po półgodzinie Parfrey odwrócił się i odszedł. William Henry Morgan nie wyskoczył już na powierzchnię, próbując złapać oddech. Utopił się.

„On nie żyje, i to ja go zabiłem. Myślałem tylko o sobie. Czekałem na zaproszenie z jego strony i łudziłem się, że je otrzymałem. Ale on miał zaledwie dziewięć lat. Dziewięć lat. Jestem wyrzutkiem społeczeństwa. Przeklęty. Zamordowałem dziecko”.

Odnalazł konia, dosiadł go niedbale i odjechał w stronę Bristolu, nie zauważając zdziwionych spojrzeń starszej damy i dwóch kalekich kobiet. Jakież to niezwykle! Mężczyzna odjechał, lecz gdzież się podział ten słodki, mały chłopiec?

Porzucił konia w bramie Colston i wszedł do pogrążonej w żałobie szkoły, nie napotykając nikogo, choć niektórzy go widzieli i zdawali się zaskoczeni. W swojej izdebce rzucił rysunkowy blok na stół, tak aby z każdego kąta móc widzieć twarz Williama Henry'ego, następnie wyciągnął z kieszonki na zegarek mały klucz i otworzył drewnianą szkatułkę, zawierającą przedmioty, których nie miał nigdy zobaczyć wielebny Prichard i jemu podobni. Wewnątrz, pośród beładnej kolekcji pamiątek - jednego czy dwóch loczków włosów, wypolerowanego agam, podniszczonej książki, malowanej miniaturki - znajdowało się jeszcze jedno pudełko. Wewnątrz leżał maleńki pistolet i wszelkie przybory konieczne do utrzymania pistoletu w dobrym stanie. Był to damski pistolet mufkowy.

Gotowy podszedł do stołu, usiadł na wąskim krześle, zanurzył gęsie pióro w kałamarzu, machinalnie wytarł z jego czubka nadmiar atramentu i napisał pod rysunkiem - „To ja spowodowałem śmierć Williama Henry'ego Morgana”.

Podpisał się i strzelił sobie w skroń.

W tawernie „Pod Bednarzem” zaczęto się niepokoić na długo, zanim William Henry miał wrócić ze szkoły - o drugiej piętnaście. Wieść o śmierci dyrektora szybko obiegła miasto. Szkoła została w tym dniu zamknięta, lecz William Henry nie pojawił się w domu. Kiedy zmęczony i zniechęcony Richard wrócił, rodzice przywitani go wiadomością o zaginięciu jego syna.

Usta i szczęki miał zupełnie odrętwiałe. Usiłował się odezwać - otworzył, zamknął i ponownie otworzył usta, aż w końcu zdołał wymamrotać, że pójdzie szukać Williama Henry'ego.

- Ty idź w stronę Colston - powiedział Dick, zdejmując fartuch. - Ja pójdę w stronę Redcliff. Mag, zamknij interes.

Teraz już łatwiej było mówić.

- On na pewno udał się w stronę Clifton, ojciec. Pójdę w kierunku Wzgórza Brandon, a ty idź w stronę drogi powroźników. Spotkamy się w Hotwells House.

Serce tłukło mu w piersi dwa razy szybciej niż zwykle, w ustach zaschło do tego stopnia, że nie miał śliny do przełknięcia, lecz Richard śpieszył się na tyle, na ile pozwalało na to zatrzymywanie się i wypytywanie każdego, kogo spotkał. Kiedy dotarł do ścieżki wiodącej na Wzgórze Brandon, niewiele było już na niej osób, które mógł wypytać, lecz mimo to zatrzymał się, by zapukać do wszystkich domów znajdujących się przy Studni Jakuba. Nikt jednak nie zauważył blakającego się tam małego chłopca.

W budynkach Boyce'a uzyskał pierwszą wskazówkę - parobek Richard nadal się krzątał na podwórzu stajennym.

- Ano tak, proszę pana, widziałem go dziś wczesnie rano. Diabelsko ładny młody człowiek! Pomógł mi przy sianie i pojeniu koni. A ja dałem mu za to coś do zjedzenia i wypicia. A potem poszedł w stronę Wzgórza Clifton, wolny jak ptak.

W jego twarzy i oczach Richard nie dostrzegł niczego, co budziłoby podejrzenia, że człowiek ten kłamał - parobek Richard był dokładnie tym, na kogo wyglądał - przyjaznym młodzieńcem, który lubił towarzystwo małych, wędrujących chłopców i nawet nie pomyślał, że jego pierwszym obowiązkiem powinno być wytarposzenie dzieciaka za uszy i kopnięcie w zadek, mające nakierować go w stronę domu.

Podziękowawszy mu pod nosem, Richard z wysiłkiem wdrapywał się jeszcze szybciej na Wzgórze Clifton, dopóki nie dotarł do miejsca położonego na tyle wysoko, że mógł zobaczyć wszystko w obrębie wielu mil. Jednak zbocza wyglądały na puste, z wyjątkiem pasących się owiec, i choć zagłębiał się we wszystkie gąszcze i zagajniki, William Henry nie wyłonił się z ukrycia.

O szóstej wieczorem wszedł do Hotwells House, zastając tam Dicka czekającego już na niego z ważnymi wiadomościami.

- Richard, on był tutaj na obiedzie! Przyjechał konno z jakimś mężczyzną około czterdziestki - przystojnym facetem, zdaniem pani Harris, starszej damy, która widziała ich tutaj. I byli ze sobą w znakomitej komitywie. Śmiali się i żartowali, tak jakby bardzo dobrze

się znali. Potem poszli w stronę Skałek św. Wincentego. Jakąś godzinę później pani Harris i dwie inne kobiety widziały, jak ten mężczyzna odjeżdżał stąd sam, robiąc wrażenie zdenerwowanego. Williama Henry'ego z nim nie było.

Dzierżawca kręcił się w pobliżu, podniecony takim rozwojem wypadków. W tym momencie brakowało mu jedynie skandalu, więc wepchnął w rękę Richarda dużą szklankę wody mineralnej z Hotwells - nie żądając zapłaty - i wycofał się, aby obserwować dalszy rozwój wydarzeń.

Nie poczuwszy nawet goryczy i zapachu zgniłych jajek, Richard opróżnił ją jednym haustem. Drżał na całym ciele, ubranie miał przesiąknięte potem i spojrzął na ojca z przerażeniem.

- Chodź - powiedział krótko i wyszedł.

Widniały tam jeszcze dowody tego, że William Henry wraz ze swoim towarzyszem niedawno siedzieli w miejscu tak dobrze znanym Richardowi - murawa była podeptana, a zerwane stokrotki leżały zwiędnięte na kupce. Uparcie nawoływali, lecz nikt im nie odpowiadał. Wdrapali się więc na skałki, aby sprawdzić wszystkie szczeliny, występy skalne i zagłębienia. Nikogo tam jednak nie było. Avon wycofywał się teraz wraz z odpływem i kurczył z powrotem do granic swego przełomu.

Dick nie próbował nawet przekonać Richarda, aby zaprzestał poszukiwań, dopóki nie nastał zmrok, potem jednak położył rękę na ramieniu syna i potrząsnął nim lekko.

- Czas wrócić „Pod Bednarza” - powiedział. - Rano zorganizujemy całą grupę ludzi i zaczniemy szukać ponownie.

- Ojczy, on tu jest, on stąd nigdzie nie odszedł! - powiedział Richard ze szlochem.

„Tylko nie wspominaj o rzece! Nie podsuwaj mu nawet tej myśli!”

- Jeśli tu jest, znajdziemy go rano. A teraz chodźmy do domu, Richardzie. Wracajmy do domu.

Szli ciężkim krokiem w stronę Bristolu, żaden z nich nie miał ochoty się odzywać. Richard trawiony gorączką udręczenia, a Dick chłodem przesywającym do szpiku kości.

Mimo że na drzwiach do tawerny widniał napis, iż była zamknięta, przy stole w pobliżu kontuaru siedziało trzech mężczyzn, wpatrzonych we własne ręce, dopóki nie otworzyły się drzwi. Byli to kuzyn James duchowny i kuzyn James aptekarz oraz wielebny pan Prichard. Pomiędzy nimi leżał na stole odwrócony blok rysunkowy.

- William Henry! - wykrzyknął Richard. - Gdzie jest William Henry?

- Usiądź, Richardzie - powiedział kuzyn James aptekarz, któremu - jako najstarszemu członkowi klanu - zawsze przypadało w udziale przekazywanie złych wiadomości. Kuzyn

James duchowny asystował mu, gotowy do przejęcia inicjatywy po oznajmieniu smutnych wieści.

- Powiedz mi! - wydusił Richard przez zaciśnięte zęby.

- Nauczyciel, który uczył Williama Henry'ego łaciny, nazywał się George Parfrey - powiedział kuzyn James aptekarz spokojnym tonem, zdoławszy jakoś utkwąć wzrok w tych na poły oszalałych oczach. - Dziś po południu Parfrey zastrzelił się. Zostawił to. - I odwrócił blok rysunkowy wierzchnią kartą do góry. Tożsamość osoby na rysunku nie ulegała wątpliwości, nawet pomimo rozpryskanych kropli krwi. - „To ja spowodowałem śmierć Williama Henry'ego Morgana”.

Ugięły się pod nim kolana. Richard upadł, z twarzą bielszą aniżeli papier.

- To niemożliwe! - powiedział. - Niemożliwe.

- To musi być prawda, Richardzie. Ten człowiek się zastrzelił. - Kuzyn James przykucnął obok Richarda i przyglądał jego zmierzwiłone włosy.

- Jemu się tak tylko wydawało! Być może William Henry gdzieś uciekł.

- Bardzo w to wątpię. Słowa Parfrey a wskazują na to, że to on zabił Williama Henry'ego. Jeśli go nie znaleźliście, to musiał wrzucić ciało dziecka do Avonu.

- Nie! Nie! Nie! - Z twarzą ukrytą w dłoniach Richard kołysał się w przód i w tył.

- A co pan ma do powiedzenia? - zapytał agresywnie Dick wielebnego Pricharda.

Prichard zwilżył posiniałe usta.

- Usłyszeliśmy strzał i znaleźliśmy Parfreya z roztrzaskaną czaszką. Rysunek był obok niego. Poszedłem prosto do wielebnego Morgana - tu wskazał na kuzyna Jamesa duchownego. - A potem przyszliśmy tutaj. Jestem - sam już nie wiem - nie potrafię wyrazić tego słowami. Och, panie Morgan, gdyby pan tylko wiedział, jak bardzo mi przykro i jak ogromnie żałuję! Parfrey był w Colston już od dziesięciu lat i wydawał się porządnym człowiekiem, a uczniowie uważali, że jest wspaniały. Na razie nie mogę nawet myśleć o tym, co kryje się za tą tajemnicą.

Pozostając nadal na kolanach, Richard słyszał jakby z oddali opadające i wznoszące się głosy. Dick szczegółowo opowiadał o dzisiejszej wyprawie do Clifton, wypadkach w Hotwells House, opisywał podeptaną trawę i pozrywane stokrotki na małym występie nad rzeką Avon.

- William Henry musiał wpaść do wody i utonąć - stwierdził pan Prichard. - Zastanawialiśmy się nad sposobem, w jaki Parfrey to ujął - tak jakby był raczej świadkiem tej śmierci aniżeli sprawcą morderstwa.

- Choć to on był przyczyną jego śmierci - zaznaczył kuzyn James duchowny tonem

znacznie surowszym, aniżeli przystoi pastorowi. - A niechże go diabli porwą!

Głosy dochodziły do niego pośród szlochów siedzącej w kącie Mag, która lamentowała niczym Hekuba z głową przykrytą fartuchem.

- On żyje - odezwał się Richard, zdawałoby się wiele godzin później. - Wiem, że William Henry nie umarł.

- Jutro pół Bristolu będzie z nami szukać, Richardzie, przyrzekam ci to - powiedział kuzyn James aptekarz. Nie dodał tylko, że większość poszukiwań prowadzonych będzie wzdłuż brzegów Avonu i Froomu, zwłaszcza w czasie odpływu. Ciała często były wyrzucane na brzeg - głównie kotów, psów, koni i krów, ale niekiedy znajdowano również jakiegoś utopionego mężczyznę, kobietę czy dziecko leżące w mule - jeszcze jeden z odpadków wyrzuconych przez rzekę.

Zaprowadzili Richarda na górę, rozebrali i położyli do łóżka - wytarł dziury w podszwach, gdyż od świtu do zmierzchu pokonał prawie trzydzieści mil. Kiedy kuzyn James aptekarz usiłował zmusić go do połknięcia dawki laudanum, odepchnął szklanekę.

Nie, William Henry nie utopił się. Nigdy nie podszedłby na tyle blisko rzeki, aby móc utonąć. Richard pouczał go o tym, mówił mu, że rzeka Avon jest głodna, a William Henry słuchał go i rozumiał niebezpieczeństwo. Richard odgadł, co musiało się wydarzyć pomiędzy chłopcem a tym mężczyzną podobnie jak Dick, jego kuzyni i Prichard. Parfrey musiał go napastować i William Henry uciekł. Lecz nie w kierunku rzeki. Taki zwinny, sprytny, mały chłopiec jak William Henry? Nie, on wdrapałby się raczej na skałki i uciekł przez pola. Pewnie leżał teraz skulony pod jakimś ogromnym nasypem w Durdham Down, odpoczywając przed długą drogą do domu. Przerażony - lecz żywy.

Tak oto Richard pocieszał się i okłamywał równocześnie, chociaż wszyscy znali prawdę, zadowolony z jednego - że Peg nie musi tego doświadczać. Bóg rzeczywiście był dobry. Zabrał Peg porażoną ni czym od strzały pioruna i zamknął jej oczy, zanim poznały rozpacz.

Tysiące ludzi zebrało się za zgodą burmistrza, by pomóc w szukaniu Williama Henry'ego. Każdy marynarz pełniący straż przeszukiwał błoto, niekiedy nawet skacząc za burtę, żeby sprawdzić nagromadzony stos tłustej, szarej masy, pośród czworonożnych zwłok i odpadków po pięćdziesięciu tysiącach ludzi. Nadaremnie. Ci, których stać było na konie, pojechali aż do Pili, Blaize Castle i do Kingswood, zaglądając do każdej wioski położonej w odległości paru mil od Clifton i Durdham Down; inni przeszukiwali brzegi rzek, odwracając beczki, błotniste kępy darni - wszystko, co tylko mogłoby złapać lub zakryć ciało. Nikt jednak

nie odnalazł Williama Henry'ego.

- Minął już tydzień - burknął Dick - a nadal nie ma ani śladu. Burmistrz mówi, że musimy zaprzestać poszukiwań.

- Rozumiem to, ojciec - powiedział Richard. - Lecz ja nigdy nie przestanę go szukać. Nigdy.

- Proszę, pogódź się z tym. Pomyśl tylko, czym to jest dla twojej matki.

- Nie mogę się z tym pogodzić.

Czy ta ślepa odmowa była lepsza od oceanu łez, które wylał, kiedy umarła mała Mary? Przynajmniej dały one jakąś ulgę. To jednak było potworne. O wiele gorsze niż śmierć Peg czy małej Mary.

- Gdyby Richard utracił już wszelką nadzieję na odnalezienie Williama Henryego - stwierdził kuzyn James aptekarz nad kuflem rumu - to pewno nie miałby po co żyć. Utracił przecież całą rodzinę, Dick! Przynajmniej w ten sposób może mieć jeszcze jakąś nadzieję. Modlę się i wielebny James modli się również, żeby nigdy nie znaleziono ciała. Tylko to utrzyma Richarda przy życiu.

- To nie jest życie - stwierdził Dick. - To piekło.

- Dla ciebie i Mag na pewno tak. Dla Richarda jednak jest to przedłużenie nadziei i życia. Nie zdręczaj go.

Richard nie znalazł pracy, co miałoby może jakieś znaczenie, gdyby jego ojciec nie prowadził tawerny. Upłynęło już dziesięć lat od czasu, gdy Dick dostał licencję na tawernę „Pod Bednarzem”, która przetrwała w przeciwieństwie do większości innych, mniej pretensjonalnych tawern w centrum Bristolu. Choć nigdy nie zdarzyło się, aby któryś z członków Towarzystwa Nieugiętych lub klubu Partii Wigów przestąpił jej próg, pomimo tych potwornych lat depresji, tawerna „Pod Bednarzem” nadal miała swoją klientelę. Gdy tylko któryś ze starych bywalców odzyskał Pracę lub znalazł sobie nową, natychmiast powracał z rodziną do swego starego wodopoju. Dlatego też lato 1784 roku zastało tawernę w całkiem niezłym stanie - nie tak pełną, jak bywała dziesięć lat wcześniej, ale na tyle ruchliwą, aby zapewnić zajęcie Dickowi i Mag oraz Richardowi. Nie były już potrzebne pieniądze na opłacenie szkoły dla Williama Henry'ego.

Minęły dwa miesiące. We wrześniu Colston ponownie otworzyło swoje bramy dla płacących uczniów, choć nie z panem Prichardem w roli nowego dyrektora. Zaginięcie Williama Henry'ego Morgana oraz samobójstwo George'a Parfrey'a, nauczyciela łaciny, skutecznie zrujnowało jego szanse na odziedziczenie tej prestiżowej posady. Skoro starego

dyrektora, którego można by obwinie za te okropności, już nie było, wielebny Prichard odziedziczył jego opończę - wraz ze sromotną hańbą. Niektórzy spośród znamienitych bristolczyków zaczęli zadawać pytania w Biskupim Pałacu.

Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy otworzono Colston, Richard otrzymał list od Benjamin Fishera, głównego poborcy akcyzy, z prośbą o natychmiastowe spotkanie.

- Może dziwi pana - odezwał się pan Fisher do Richarda, gdy tylko ten się przed nim stawiał - dlaczego jeszcze nie zaarrestowaliśmy Williama Thorne'a. Zrobimy to dopiero w ostateczności. Do tej pory skoncentrowaliśmy nasze wysiłki na panu Thomasie Cavierze w nadziei, że wyłoży tysiąc sześćset funtów kary koniecznych do załatwienia tej sprawy bez formalnego oskarżenia sądowego. Jednakże - ciągnął dalej, zaczynając uśmiechać się z zadowoleniem - wyszły na jaw pewne sprawy, które rzucają zupełnie inne światło na tę sprawę. Niechże pan usiądzie, panie Morgan. - Odchrząknął. - Słyszałem o pańskim chłopaku i jest mi bardzo przykro.

- Dziękuję - odparł Richard drętym głosem, siadając.

- Czy nazwiska William Insell i Robert Jones mówią coś panu, panie Morgan?

- Nie, proszę pana - odparł Richard.

- Szkoda. Obydwaj pracowali w gorzelnii Cave'a za pańskiej tam bytności.

- Przy destylatorach?

- Tak.

Marszcząc czoło, Richard usiłował przypomnieć sobie osiem czy dziewięć twarzy, które widywał w owej ponurej pieczarze, żałując teraz, że trzymał się tak na uboczu i z dala od libacji robotników podczas nieobecności Thorne'a. Nie miał pojęcia, który z nich był Insellem, a który Jonesem.

- Przykro mi, ale po prostu ich nie pamiętam.

- Nieważne. Insell przyszedł tu do mnie wczoraj i przyznał, że zataił pewne informacje, wydaje się, że z obawy przed zemstą Thorne'a. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy pan odkrył rurki i beczki, Insell podsłuchiwał rozmowę pomiędzy Thorne'em, Cavierem i panem Ceely Trevillianem. Mówili o nielegalnym rumie. Choć Insell nie podejrzewał żadnego oszustwa w trakcie wykonywania swej normalnej pracy, to jednak rozmowa ta świadczyła o zgodnym zamiśle całej trójki dotyczącym oszukiwania urzędu akcyzy. Zamierzam zatem wnieść oskarżenie zarówno przeciwko panu Cavierowi, jak i Trevillianowi i Thorne'owi, a urząd akcyzy zdoła odzyskać swe pieniądze przez skonfiskowanie własności Cave'a.

Wiadomość ta wyrwała Richarda z odrętwienia i usiadł wygodniej, sprawiając

wrażenie zadowolonego.

- To wspaniała wiadomość, proszę pana.

- Niech pan już nic nie robi, panie Morgan, dopóki sprawa nie trafi do sądu. Niezbędne są dalsze dochodzenia, zanim będziemy mogli zaarrestować tę trójkę, ale może pan być spokojny, że do tego dojdzie.

Dwa miesiące temu wiadomość ta na pewno sprawiłaby mu radość, jednak dziś wzbudziła tylko przelotne zainteresowanie.

- Nie pamiętam ani Insella, ani Jonesa - powiedział ojcu. - Ale moje dowody są potwierdzone.

- Tam - przerwał Dick, wskazując na kąć izby - siedzi William Insell. Przyszedł tu, kiedy cię nie było, i chciał się z tobą zobaczyć.

Jedno spojrzenie na twarz Insella odświeżyło pamięć Richarda. Rześki, młody człowiek, uczciwy i o pogodnym usposobieniu. Niestety, był głównym obiektem drwin Thorne'a, dwukrotnie poczuł na sobie jego bat i dwukrotnie został wychłostany, nawet nie próbując się bronić. Nic dziwnego. Obrona oznaczała wyrzucenie z pracy, a w tych ciężkich czasach praca była zbyt cenna, aby można było sobie pozwolić na jej utratę. Richard nie zniosłby nawet groźby chłosty, lecz nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji. Podobnie jak William Henry, potrafił unikać cielesnej kary, nie musząc jednocześnie poniżyć się służalczością. Poza tym był wykwalifikowanym rzemieślnikiem, a nie zwykłym robotnikiem. Insell doskonale nadawał się na ofiarę, biedaczysko. Nie było to jego winą. Tak po prostu został stworzony.

Richard zaniósł dwa kufle rumu do narożnego stolika i usiadł. Było to dowodem zmian w jego zachowaniu, których nikt nie chciał komentować. Richard zaczął ostatnio popijać rum i w coraz to większych ilościach.

- Jak się masz, Willy? - zapytał, popychając kufel w stronę bladego Insella.

- Musiałem tu przyjść - wy sapnął Insell.

- Co się stało? - zapytał Richard, czekając, aż palący płyn zacznie uśmierzać ból.

- Chodzi o Thorne'a! Odkrył, że poszedłem do urzędu akcyzy.

- Wcale mnie to nie dziwi, jeśli wygadałeś się z tym przed wszystkimi. A teraz uspokój się. Napij się trochę rumu.

Insell pił chciwie, zachłystując się i nieomal wymiotując mocnym trunkiem, nie rozcieńczanym wodą aż w końcu przestał drżeć. Skończywszy swoją kwartę, Richard poszedł napełnić dwa kolejne kufle.

- Straciłem pracę - wydusił w końcu Insell.

- No to dlaczego miałbyś się bać Thorne'a?

- Ten człowiek jest mordercą! On mnie znajdzie i zabije. Osobiście Richard uważał, że to raczej Ceely Trevillian jest zdolny do popełnienia morderstwa, lecz nie próbował się kłócić.

- Gdzie mieszkasz, Willy?

- W Clifton, przy Studni Jakuba.

- A co Robert Jones miał z tym wspólnego?

- Powiedziałem mu to, co słyszałem. Pan Fisher z urzędu akcyzy też się tym zainteresował, ale uważa, że ja jestem o wiele ważniejszy.

- No i ma rację. Czy Thorne wie, że mieszkasz przy Studni Jakuba?

- Nie sędzę.

- A Jones? - Richard nagle przypomniał sobie Jonesa, który zawsze przypocholebiał się Thorne'owi. Z całą pewnością to od niego Thorne się dowiedział.

- Nigdy mu o tym nie mówiłem.

- No to uspokój się, Willy. Jeśli nie masz nic lepszego do roboty, za dnia możesz przesiadywać tutaj - tawerna „Pod Bednarzem” jest jedynym miejscem, w którym Thorne nie będzie cię szukał. Ale jeśli chcesz pić rum, to będziesz musiał za niego płacić.

Insell odsunął drugi kufel z przerażeniem.

- Czy za ten też muszę płacić? - zapytał.

- Te są na moim koncie. Głowa do góry, Willy. Z doświadczenia wiem, że łajdacy wcale nie są tacy znowu sprytni. Będziesz tu bezpieczny.

Dni były już coraz krótsze, co ograniczało poszukiwania Williama Henry'ego. Pierwszym miejscem, do którego kierował się Richard, była zawsze mała dolinka nad rzeką Avon, skąd wspinał się potem na skałki, głośno wołając syna. Ze szczytu przełomu udawał się następnie do Durdham Down i w końcu dochodził do Clifton Green. Droga powrotna prowadziła obok domu Williama Insella, lecz spotykał go zazwyczaj na ścieżce wiodącej na Wzgórze Brandon, pośpiesznie wracającego do domu przed zapadnięciem zmroku, chociaż był zbyt przerażony, aby opuścić tawernę przed zachodem słońca.

Richard zdarł dwie kolejne pary butów, lecz nikt w rodzinie nie próbował protestować - im dłużej chodził, tym mniej miał czasu na picie rumu. Brat William o wiele częściej prosił go teraz o ostrzenie pił (za co obwinał nowe, zachodnioindyjskie drewno), a to dawało Richardowi pretekst do pójścia w jakieś inne miejsce niż Clifton. Któż mógł bowiem zgadnąć, co się stało z chłopcem? Być może malec zaszedł aż do Cuckold Pill, więc podróże do

tartacznych dołów Williama wcale nie były stratą czasu. A poza tym Richard nie mógł pić rumu, kiedy potrzebne mu było dobre oko do właściwego ustawienia piły.

Nie płakał. Nie był w stanie. Rum był sposobem na uśmierzenie bólu, bólu nadziei, że pewnego dnia William Henry stanie w drzwiach domu.

- Nie sądziłem, że mógłbym powiedzieć coś takiego - zwierzył się Richard kuzynowi Jamesowi aptekarzowi w połowie września. - Ale wolałbym już odnaleźć ciało Williama Henry'ego. Wtedy utraciłbym wszelką nadzieję, a tak muszę zakładać, że William Henry jest gdzieś daleko, ale żywy, i już samo to jest męczarnią. Jakież on musi wieść życie, żeby tak długo nie wracać do domu?

Kuzyn spojrzał na niego ze smutkiem. Richard wyszczupłał, lecz fizycznie był o wiele sprawniejszy przez te wędrówki i wspinanie się. Chociaż zawsze utrzymywał dobrą formę, teraz pewnie byłby zdolny do dźwigania kowadeł lub przetrwania niszczycielskich skutków choroby. Ileż on mógł mieć lat, przecież niedawno obchodził urodziny? Trzydzieści sześć. Wszyscy Morganowie byli długowieczni i jeśli Richard nie zniszczy sobie wątroby piciem rumu, z pewnością dożyje dziewięćdziesiątki. Ale dla kogo? Och, oby zdołał zostawić za sobą te okropne wspomnienia i wziął sobie drugą żonę, i założył nową rodzinę!

- Dwa i pół miesiąca, kuzynie Jamesie! I nie ma po nim ani śladu! Być może ten potwór - zdrygnął się - ukrył gdzieś jego ciało. - Mój drogi, zapomnij już o tym, proszę cię.

- Nie potrafię.

William Insell nie pojawił się nazajutrz rano „Pod Bednarzem”. Zadowolony z pretekstu pozwalającego mu udać się do Clifton wcześniej niż zwykle, Richard nałożył kapelusz i skierował się do drzwi.

- Już wychodzisz? - zapytał ze zdziwieniem Dick.

- Insella jeszcze nie ma, ojczu. Dick mruknął.

- To żadna strata. Jestem już zmęczony jego widokiem. Siedzi w tym kącie taki zbolały, że aż odstrasza klientów.

- Zgadzasz się z tobą, ojczu - odparł Richard, zdobywając się na uśmiech. - Jednak jego nieobecność mnie zaniepokoiła. Sam pójde sprawdzic, dlaczego go tu nie ma.

Ścieżka przez Wzgórze Brandon była mu już tak dobrze znana, że potrafiłby przez nią przejść z zawiązanymi oczyma. Po piętnastu minutach od wyjścia z tawerny Richard znalazł się przed domem Insella.

Jakaś dziewczyna siedziała skulona na tarasie. Prawie nie zwracając na nią uwagi, Richard chciał ją ominąć. Wyciągnęła nogę.

- *Bon jour* - odezwała się.

Zaskoczony spojrział z góry na najbardziej czarującą twarz, jaką kiedykolwiek w życiu widział. Duże, zuchwałe, ale zarazem skromne czarne oczy, długie rzęsy, dołeczki w różowych policzkach, słodkie nie umalowane, czerwone usta, rumiana skóra i masa nie ułożonych, lśniących, krętych, czarnych włosów. Och, jakże ona była śliczna! I wydawała się taka niewinna!

- Jak się pani miewa? - powiedział, zdejmując kapelusz, żeby się jej odkłonić.

- Bardzo dobrze, *monsieur* - odpowiedziała z francuskim akcentem. - Nie mogę jednak powiedzieć tego samego o biednym Willym.

- Insellu, proszę pani?

- *Oui* - powstała, ukazując zgrabną figurę równie piękną jak twarz w kosztownym różowym jedwabiu. - Tak, Willy - dodała, wymawiając to imię tak rozkosznie, że Richard uśmiechnął się.

Zachłysnęła się.

- Och, *monsieur* Jest pan bardzo przystojny.

Zazwyczaj nieśmiały wobec obcych, Richard zauważył, że przy niej nie jest skrepowany, nawet pomimo jej śmiałości. Czując, że się czerwieni, próbował odwrócić wzrok, ale nie mógł oderwać od niej oczu. Była naprawdę wyjątkowo piękna i półkule jej gładkich, kremowych piersi zdały mu się jeszcze bardziej czarujące aniżeli wyraz jej twarzy.

- Nazywam się Richard Morgan - powiedział.

- A ja Annemarie Latour. Jestem służącą pani Barton. Mieszkam tutaj - zachichotała. - Ale nie z Willym.

- Czy on jest chory?

- Chodź i sam pan zobacz. - Ruszyła po wąskich schodach na górę, z suknią uniesioną na tyle wysoko, aby można było zobaczyć dwie cudownie uformowane kostki poniżej piany pomarszczonych halek. - Willy, Willy! Masz tu gościa! - zawołała, wchodząc na piętro.

Richard wszedł do pokoju Insella, zastając go leżącego na łóżku z poźółkłą twarzą.

- Co ci jest, Willy?

- Zjadłem nieświeże ostrygi - jęknął Insell.

Annemarie weszła za nim do środka i przyglądała się Willy'emu z zainteresowaniem, lecz bez specjalnego współczucia.

- Zjadł ostrygi, które dostałam od pani Barton. Powiedziałam mu, że ta stara nie dałaby mi świeżych ostryg. Willy powąchał je jednak, stwierdził, że są dobre, i je zjadł. *Et voilà* - Wskazała na niego dramatycznym gestem.

- No to dobrze ci tak, William. Byłeś u lekarza? Potrzeba ci czegoś?

- Tylko wypoczynku - jęknął cierpiący. - Zwróciłem wszystko, co zjadłem, już tyle razy, że doktor uważa, że nie została tam już ani jedna ostryga. Czuję się okropnie.

- Ale przeżyłeś, a to już dobrze. Bez twego poświadczenia mojego zeznania pan Fisher z urzędu akcyzy nie miałby podstaw do wniesienia sprawy do sądu. Wpadnę tu jutro, żeby zobaczyć, jak się czujesz.

Richard zszedł ze schodów, świadomy bliskości idącej za nim Annemarie Latour, gdyż czuł świeży zapach najlepszego bristolskiego mydła. Nie perfum. Mydła. Mydła o zapachu lawendowym. Cóż taka dziewczyna jak ona robiła w kamienicy w Clifton? Służące zazwyczaj mieszkają u swoich pracodawców. W dodatku Richard nie spotkał jeszcze służącej, która nosiłaby jedwabie. Może to jakieś stare rzeczy wyrzucone przez panią Barton? Jeśli tak, to pani Barton, nazwana przez Annemarie „starą”, również musiała mieć doskonałą figurę.

- *Bon jour, monsieur* Richard! - powiedziała panna Latour na schodach. - Zobaczą się z panem jutro, czy tak? - Tak - odpowiedział Richard, nasunął kapelusz na głowę i zaczął wspinać się na wzgórze, podążając w kierunku Clifton Green.

Jego umysł walczył o to, by robić dwie rzeczy równocześnie - należało dalej szukać Williama Henry'ego, lecz Annemarie również zaprzętała jego myśli, podgryzając go niczym robak. Tak właśnie ją postrzegał, bo chociaż jego zdradzieckie ciało drżało z podniecenia, nie stracił zdrowego rozsądku. Spędziwszy całe życie w tawernie, widział wiele razy, że rozum i zdrowy rozsądek mężczyzny potrafi wyfrunąć przez okno przy najlżejszym szeleście kobiecej spódnicy.

Dlaczegoż jednak teraz, i to z tą kobietą? Peg zmarła zaledwie dziewięć miesięcy temu, więc zgodnie z tradycją był jeszcze w żałobie i nie powinien nawet myśleć o potrzebach swego ciała. Żona była jego jedyną kochanką i nigdy nie pożywał żadnej innej kobiety.

„To nie jest czas ani odpowiednia po temu sytuacja” - pomyślał, zdzierając czwartą parę butów. - „To po prostu kobieta. Annemarie Latour. Bez względu na to, kiedy by ją poznał i w jakiej sytuacji, bez względu na to, czy Peg żyłaby, czy też nie, Richard przewidywał, że Annemarie Latour wywarłaby na nim podobne wrażenie. Dzięki Bogu, że Peg już nie żyła. Ta dziewczyna rzuciła na niego urok, była syreną, która czerpie przyjemność z uwodzenia. Ale ja nie jestem Ulisesem przywiązany do masztu, nie mam też uszu zatkaných woskiem. Jestem zwykłym człowiekiem, najskromniejszego pochodzenia. Nie kocham jej, ale, o Chryste, jakże ja jej pragnę!”

A potem ogarnęły go wyrzuty sumienia. Peg umarła i nadal był w żałobie po niej. Nie upłynęły jeszcze trzy miesiące od czasu zaginięcia Williama Henry'ego - te uczucia były bezbożne, obrzydliwe, nienormalne. Zaczął biec, wykrzykując imię syna pośród obojętnych wiatrów na Wzgórzu Clifton. Williamie Henry, Williamie Henry, ratuj mnie!

Jednak nazajutrz rano znowu stanął pod drzwiami Willy'ego Insella, obracając kapelusz w rękach, nadaremnie szukając Annemarie Latour. Na werandzie nie widział nikogo, wewnątrz również było pusto. Zapukawszy delikatnie, popchnął drzwi do pokoju Insella i zobaczył go śpiącego spokojnie; piersi jego wznosiły się i opadały regularnie. Skierował się na palcach do wyjścia.

- *Bon jour, monsieur* Richard.

To ona! Stała na schodach wiodących na poddasze.

- On śpi - wyjąkał Richard.

- Wiem. Dałam mu laudanum.

Ubrana była o wiele bardziej skąpo aniżeli wczoraj, lecz być może dopiero wstała z łóżka - w różową, koronkową szatę i jakąś cienką różową bieliznę pod spodem. Nie upięte włosy opadały jej kaskadą na ramiona.

- Przykro mi. Czy może obudziłem panią?

- Nie. - Położyła palec na ustach. - Sza! Niech pan wejdzie tu na górę.

No cóż, właściwie już był na górze. Poszedł za nią do maleńkiego gniazdka, w którym mieszkała, i stał, zasłaniając kapeluszem pachwinę i rozglądając się niczym jakiś gamoń. Kuzynka Ann miała świetny gust - pokój był czysty, pachniał raczej lawendą aniżeli przepoconym ubraniem i został urządzony w najczystszej bieli.

- Richard? Czy mogę mówić do ciebie Richard? - zapytała, odbierając mu kapelusz i przyglądając się szeroko otwartymi oczyma. - Ooo, la la! - wykrzyknęła i pomogła mu ściągnąć płaszcz.

Przyzwyczajony był do przyzwoitości gwarantowanej przez nocne koszule i ciemności, lecz Annemarie odrzucała konwenanse. Kiedy usiłował zatrzymać na sobie koszulę, nie pozwoliła mu, ściągnęła ją przez głowę, pozostawiając Richarda nagiego i bezbronnego.

- Jesteś piękny - powiedziała ze zdziwieniem w głosie, obchodząc go dookoła. Koronkowa szata opadła na ziemię, a za nią różowa jedwabna halka. - Ja też jestem piękna, nieprawdaż?

Był w stanie jedynie skinąć głową na potwierdzenie. Nie musiał się martwić, co dalej robić - ona miała wszystko pod kontrolą i najwidoczniej wolała taki scenariusz. Mniej

pokorny mężczyzna byłby się może sprzeciwił jej biegłości, Richard jednak zdawał sobie sprawę, że jest nowicjuszem w tego rodzaju kontaktach i wobec tego miał jedynie dumę pokornego mężczyzny. Niechże ona przejmie inicjatywę, wówczas uniknie upokorzenia, gdyby uczynił krok, którego ona by nie zaaprobowała lub który uznałaby za śmieszny.

Wiele pięknych pań przechadzało się po lepszych dzielnicach Bristolu, lecz obszerne spódnice mogły ukrywać nogi patykowate albo też grube niczym udziec barani, a piersi podniesione gorsetem mogłyby potem obwisnąć nagle do otłuszczonego pasa i trzęsącego się niczym pudding brzucha. Ale nie w przypadku Annemarie! Ona była - jak to sama z zadowoleniem orzekła - rzeczywiście bardzo piękna. Piersi miała tak pełne i jędrne jak Peg, w pasie była jednak szczuplejsza, biodra i uda miała zaokrąglone, nogi szczupłe, lecz dobrze ukształtowane, brzuch płaski, a czarny wzgórek wypukły i zachęcająco pulchny.

Obeszła go znowu dookoła, a potem przywarła do jego pleców i zaczęła ocierać się o niego, pomrukując i szepcząc coś do siebie. Czuł miękkie włosy jej wzgórka na swoich nogach i aż podskoczył, gdy nagle zatopiła mu swoje manikiurowane paznokcie w ramionach. Potem podciągnęła się do góry, aż jej włosy przesunęły się lubieżnie po jego pośladkach. Z zaciśniętymi zębami - obawiał się bowiem, że dozna orgazmu już w tym momencie - zmusił się do stania bez ruchu, kiedy ona przesuwała się cał po calu wokół niego, ocierając się i gruchając. W końcu opadła przed nim na kolana, odrzuciła ręce do tyłu, tak że piersi uniosły się niczym zwieńczone czerwienią, okrągłe piramidy, odrzuciła włosy z twarzy i uśmiechnęła się radośnie.

- Myślę - powiedziała gardłowym głosem - że odegram teraz partię cichego fletu.

- Niechże to pani uczyni - wydusił z siebie. - A w sekundę melodia ta zostanie zagłuszona.

Ujęła jądra w dłonie i uśmiechnęła się głupawo.

- To nie ma znaczenia, *cher* Richard. W tym przystojnym flecie drzemie wiele melodii.

Było to... niesamowite wrażenie. Zamknął oczy, pozwalając, by każda cząstka jego ciała skoncentrowała się na czerpaniu tej zaskakującej przyjemności tak długo, jak tylko zdołał wytrzymać. Richard usiłował przedłużyć to doświadczenie, jak tylko mógł. A potem, pobity, pozwolił sobie na szczytowanie w oślepiających barwach, drgawkach i czarnym aksamicie, rękoma trzymając ją za włosy, kiedy połykała go wielkimi haustami.

Jednak to ona miała rację - ledwo zakończyły się konwulsje, tyran w dole jego brzucha podniósł się ponownie, domagając się jeszcze więcej.

- Teraz moja kolej - oznajmiła i, tak jakby nadal stąpając na wysokich obcasach,

podeszła majestatycznie do łóżka. Rozłożyła się na nim, ukazując nabrzmiałe szkarłatne wargi, połyskujące w głębi jej futerka.

- Najpierw język na nutę tralalalala, potem flet w rytmie marsza i wreszcie tarantela. Bum, bum, bum - pałeczką po bębnie.

Tego pragnęła i to właśnie dostała. Richard już dawno stracił zdolność myślenia - jeśli dama domagała się przedstawienia, to niechże już będzie cała symfonia.

- Muzykalna z ciebie dziewczyna - stwierdził parę godzin później, całkowicie wyczerpany. - Nie, nawet nie próbuj. Mój flet już się zupełnie wyświergolił.

- Jesteś pełen niespodzianek, mój drogi - powiedziała, nadal pomrukując.

- Ty też. Choć wątpię, abyś taki bogaty repertuar poznała za pomocą tak ubogich instrumentów jak mój. To musiały być flety, klarnety, oboje, a nawet fagoty.

- *Cher* Richard musiał gdzieś liźnąć trochę wykształcenia.

- Przypuszczam, że pięć lat w Colston nie jest bez znaczenia. Najwięcej jednak nauczyłem się przy wykonywaniu strzelb.

- Strzelb?

- Aha. Od portugalskiego dżentelmena o żydowskich przekonaniach. Mój mistrz rusznikarski - wyjaśnił Richard, chociaż był tak wyczerpany, że z trudem wymawiał słowa, czuł jednak, że Annamarie lubiła rozmawiać po koncercie. - On grał na skrzypcach, jego żona na klawikordzie, a ich trzy córki na harfie, wiolonczeli i flecie. Mieszkałem w ich domu przez siedem lat i śpiewałem, bo podobał im się mój głos. Prawdopodobnie mam w żyłach walijską krew, a Walijszczyki śpiewają nałogowo.

- Masz również poczucie humoru - stwierdziła, dotykając włosami jego twarzy. - To bardzo ciekawa cecha bristolczyka. Czy humor również jest cechą Walijszczyków?

Wstał z łóżka i naciągnął kalesony, a potem usiadł na brzegu, żeby włożyć pończochy.

- Nie rozumiem jednak, dlaczego jesteś służącą, Annemarie. Powinnaś być kochanką jakiegoś bogacza.

Strzeliła palcami w powietrze.

- To mnie bawi.

- A te jedwabne suknie? Ten cnotliwy pokój?

- Pani Barton - odpowiedziała tonem ociekającym pogardą - jest głupią starą kwoką i suką.

- Nie wyrażaj się w ten sposób! - warknął.

- Suka! Suka! Suka! Suka! Aha! Bardzo cię zaszokowałam, *cher* Richardzie, co? - Usiadła i skrzyżowała nogi przed sobą niczym krawiec. - Oszukuję panią Barton, Richardzie.

Oszukuję ją do ostatniego pensa. Jej się jednak wydaje, że to ona jest sprytniejsza, każąc mi tu mieszkać, żeby trzymać tego swojego głupiego starego męża z dala ode mnie. - Uniosła wargę. - A jej chodzi o to, żeby móc paradować po Clifton i we wszystkich wielkich domach chwalić się, że ma prawdziwą francuską służącą. Ot co!

Ubrawszy się, Richard spojrzął na nią ironicznie. - Czy chcesz mnie jeszcze widywać?

- O tak, mój Richardzie. Z całą pewnością.

- Kiedy?

- Jutro o tej samej godzinie. Pani Barton wstaje bardzo późno.

- Nie możesz przecież ciągle trzymać Willy'ego na laudanum.

- Nie ma potrzeby. Mam teraz ciebie - dlaczego miałyby to obchodzić Willy'ego?

- No właśnie. A zatem do jutra.

Tego dnia, jeśli nawet William Henry nie został zapomniany zupełnie, to w umyśle ojca został odsunięty na dalszy plan. Richard wrócił prosto „Pod Bednarza”, wszedł na górę, nie odzywając się ani słowem do nikogo, i rzucił się w ubraniu na łóżko i spał do samego świtu. Bez pomocy rumu.

- **Twoja rybka** - zwróciła się Annemarie do Johna Trevilliana Ceely Trevilliana - jest już upieczona.

- Wolałbym, żebyś zaniechała tych swoich francuskich afektacji - westchnął Trevillian. - Czy to było straszne, moje ty biedne kochanie?

- Wręcz przeciwnie, *cher* Ceely. Ubranie miał czyste. Ciało również. Żadnych gnid, wszy czy mend. - Mówiła przesadną gwarą. - On się myje. - Usta wykrzywił jej uśmiech czystego okrucieństwa. - Ma bardzo piękne ciało. I jest w pełni mężczyzną.

Haczyk trafił do celu, aby tam jąrzyć i rozprzestrzeniać truciznę, lecz Trevillian był za sprytny na to, żeby się z tym zdradzić. Zamiast tego poklepał japo pośladkach, dał dwadzieścia złotych gwinei i odprawił. Cave i Thorne mieli go niebawem odwiedzić, a on nie widział ich już od dłuższego czasu. Ktoś, kto mieszkał z matką przy Park Street, nie mógł sobie pozwolić, aby zbyt często widziano, jak przyjmuje tego pokroju gości.

- Najlepiej będzie - oświadczył William Thorne, kiedy przybył tam z Cave'em - jak złapiemy tego Insella i wsadzimy go na statek do przewozu niewolników w charakterze załogi.

- Tak, żeby podejrzenie o morderstwo wisiało nad nami niczym dym nad kominem odlewni? - zapytał Ceely. - O, co to, to nie.

- Upewnię się, żeby został wpisany na listę przymusowo wciągniętych do służby.

- Chcę, żeby Richard Morgan też dostał za swoje - odezwał się Trevillian.

- To nie jest konieczne! - jęknął Thomas Cave. - Richard Morgan jest dobrze ustosunkowany, podczas gdy tamten jest nikim. Niechże już Bill weźmie tego Insella na statek niewolniczy, a potem pozwól mi iść do urzędu akcyzy. Nie proszę cię, żebyś zapłacił tę karę, Ceely, ale dopóki nie zostanie zapłacona, dopóty będzie nad nami wszystkimi wisiała groźba rozprawy sądowej. Obserwują nas.

- Słuchaj - zaczął Ceely Trevillian wolno i dobitnie. - Jestem zbyt dobrze urodzony, żebym musiał zarabiać na życie, a mój zmarły ojciec - niech go diabli porwą - wydziedziczył mnie. Świadomość tego, że muszę żyć z własnego rozumu, sprawiła, że doskonale go wyćwiczyłem. Matka robi, co może, włącznie z dawaniem mi mieszkania i ofiarowywaniem złota, kiedy tylko mój brat nie widzi, aleja potrzebuję tych pieniędzy z akcyzy i nie jestem zadowolony, że ktoś mnie ich pozbawia. Nie podoba mi się również, że ktoś mógłby pozbawić mnie wolności tudzież aparatu do oddychania i przełykania. Morgan i Insell wstrzymali moje dochody, więc ja teraz chcę zatrzymać ich. - Wykrzywił twarz. - Insell jest nikim, zgadzam się. To Morgan nas zniszczy. A poza tym mam ochotę zrujnować tego Richarda Morgana.

Kiedy Richard obudził się, najpierw zajął do kąca Williama Henry'ego. Łóżko było puste. Oczy wypełniły mu piekące łzy, pierwsze od czasu zniknięcia Williama Henry'ego, lecz nie spłynęły po policzkach. Spał na tyle długo, że wszelki ból fizyczny już minął, choć skórę na penisie miał otartą i czuł nadal jej ugryzienia i zadrapania. Szokujące to może stwierdzenie - suka - lecz Annemarie Latour była właśnie taką pierwszorzędną suką.

Zwyczaj domowników były niezmiennie, odkąd Richard pamiętał. Dick schodził o świcie do kuchni, zanosił czajnik gorącej wody i wiadro zimnej na górę dla Mag i wlewał do jej małej cynowej wanienki. Za życia Peg korzystały z niej razem, a po nich jeszcze służąca. Kobiety myły się na górze, a Dick i Richard na dole.

Dick przeszedł do swojej sypialni z wiadrem i czajnikiem dla Mag, rzucając przy wyjściu spojrzenie w stronę Richarda i dochodząc do wniosku, iż jego syn doszedł wreszcie do siebie. Oddawszy służącej do wyprania ubranie, w którym spał, Richard wyszukał inne w komodzie zbiegł nagi po schodach na dół, by przyłączyć się do ojca, który już zdążył się ogolić i stał w małej wannie, polewając się wodą z blaszanego czerpaka i myjąc się całym mydłem.

Dick otworzył usta ze zdziwienia.

- O Chryste! Gdzieś ty był? - Z kobietą - odparł Richard, szykując się do golenia.

- Najwyższy czas. - Mydło zostało spłukane wodą z czerpaka. - Z prostytutką?

Richard wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jeśli nią jest, ojczco, to jest wyjątkowa. Chodzi mi o to, że jeszcze takiej jak ona nie widziałem.

- To mocne stwierdzenie w ustach karczmarza. - Dick wyszedł z wanienki i zaczął się energicznie wycierać starym lnianym prześcieradłem, podczas gdy Richard wszedł do wody zużytej przez ojca.

- Skończyliście? - dobiegł z góry głos Mag.

- Jeszcze nie! - odwrzasnął Dick i zaciągnął Richarda, ciągle jeszcze wycierającego się, do okna, przy którym znajdowało się odrobinę więcej światła. Tam obejrzał syna ponuro.

- Mam nadzieję, że nie dostałeś trypra albo syfilisu.

- Mogę się założyć, że nie. To bardzo pedantyczna dama.

- Co się stało?

- Spotkałem ją w mieszkaniu Insella.

- To ona jest spadkiem po Insellu?

- Nie! Pewnie poderżnęłaby sobie gardło. Jest bardzo dumna i ważna. - Zmarszczył brwi i pokręcił głową. - Prawdę mówiąc, nie wiem, dlaczego wpadłem jej w oko. Niewiele mamy wspólnego z Insellem.

- Jesteś tak podobny do Insella jak jedwabna sakiewka do krowiego ucha.

- Mam się z nią znowu dzisiaj zobaczyć o ósmej. Dick gwizdnął cicho.

- To taka gorąca?

- Niczym ogień. - Richard podwiązał pończochy i zaczął przyczesywać wilgotne włosy.

- Prawda jest taka, ojczco, że nie lubię jej, a mimo to nie mogę się nią nasycić. Czy powinienem iść, czy też trzymać się od niej z daleka?

- Ależ idź, Richardzie, idź! Jeśli to taki ogień, to jedynym na to sposobem jest przejście przezeń na drugą stronę.

- A jeśli mnie strawi?

- Będę się modlił, żeby tak się nie stało.

„Przynajmniej - pomyślał Richard, kiedy kwadrans przed ósmą zamykał za sobą drzwi do tawerny - mam aprobatę ojca. Nawet mi się nie śniło, że on mógłby to zrozumieć. Ciekaw jestem, kto był jego ogniem?”

Nadal nie miał pojęcia, dlaczego tam szedł, czy powodem było coś tak skomplikowanego jak seksualne zniewolenie, czy też coś tak prostego jak zwykły seksualny

głód. W Bristolu wyrazy takie jak „seks” seksualny” nie były używane w kontekście samego aktu. Były zbyt brutalnie dosadne dla tego bogobojnego małego miasta, nie mówiącego otwarcie też o wielu innych rzeczach. „Seks” pozbawiał ten akt miłości i moralności. „Seks” czynił go czymś zwierzęcym. Ale w tym wypadku właśnie seks, tylko i wyłącznie seks był przyczyną, dla której szedł do Studni Jakuba do Annemarie.

Myślał jednak o Williamie Henrym żyjącym gdzieś tam w obcym świecie, nie mogącym powrócić do domu. Musiał zostać porwany na chłopca okrętowego. Zdarzało się to często, zwłaszcza w przypadku ładnych chłopców. Och, mój Boże, niechże on już raczej będzie martwy! Tymczasem ja idę kopulować z francuską suką, która zahipnotyzowała mnie tak, jak kiedyś na jarmarku w Bristolu zakapturzony wąż zahipnotyzował szczura.

Za każdym razem kiedy Richard się z nią spotykał, a działo się tak codziennie przez cały następny tydzień, ogień jego pożądania płonął coraz gwałtowniej. Jednak ból spowodowany utratą Williama Henry’ego i wyobrażeniem go w roli chłopca okrętowego popychał go znowu w stronę rumu. Dni jego przeobraziły się w zamazaną plamę postaci Annemarie, zatroskanej twarzy ojca, płaczącego z oddali pośród bezmiaru morza seksu i muzyki, zakapturzonych węzów i rumu, rumu, w którym na koniec zawsze można znaleźć ukojenie. Nienawidził jej, tej francuskiej suki, a mimo to nie mógł się nią nasycić. A najgorsze w tym wszystkim było to, że zaczął nienawidzić i siebie samego.

A potem, ni stąd, ni zowąd, przysłała liścik przez Willy’ego Insella, powiadamiając go, że przez jakiś czas nie będzie mogła się z nim widywać. Nie podała jednak żadnego powodu. Oszołomiony tym romansem Insell również nie potrafił tego wyjaśnić, poza stwierdzeniem, że kołatka do drzwi na poddaszu została zdjęta i że Annemarie prawdopodobnie pozostaje przy pani Barton. „Nie mogę poradzić sobie z utratą ich obojga” - myślał Richard, kontynuując poszukiwania. - „Moje uczucia w stosunku do niej przypominają coś w rodzaju nieszlachetnego metalu - są ciężkie, matowe i ciemne niczym ołów, więc czemuż odczuwam taką żalobę po jej utracie? Ten ogień trawi mnie nadal”.

Zaniechawszy w końcu poszukiwań, przesiadywał całymi dniami „Pod Bednarzem”, pijąc rum i z nikim nie rozmawiając, a papier i gęsie Pióro, które przyniósł po to, by napisać do pana Jamesa Thistlethwaite’a, leżały suche i czyste.

- Jim, błagam cię, powiedz, co mam robić? - prosił Dick kuzyna Jamesa aptekarza.

- Jestem aptekarzem, a nie lekarzem duszy, a to dusza biednego Richarda jest chora. Nie, nie winię za to tej kobiety. Ona jest tylko symptomem choroby, która groziła mu od czasu zniknięcia Williama Henry’ego.

- Czy ty naprawdę myślisz, że on się utopił? Kuzyn James aptekarz skinął głową na potwierdzenie.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. - Westchnął. - Z początku myślałem, że lepiej będzie dla Richarda, jeśli będzie mógł żywić jakąś nadzieję, ale kiedy zaczął pić rum, zmieniłem zdanie. Jego duszy potrzebny jest lekarz, ale rum nie jest żadnym lekarstwem.

- Problem w tym, że wielebny James jest takim oschłym pastorem. Ty przynajmniej jesteś rozsądny i widzisz wszystkie strony, nie tak jak tamten James. Wyobraź sobie tylko, gdyby mu powiedziec o tej francuskiej dziwce - zaraz ruszyłby z modlitewnikiem w jednej ręce i rzymskim krucyfiksem w drugiej do walki z jednym z pachołków szatana. Bo pewno tak by o niej myślał. Ja natomiast uważam, że ona jest po prostu wścibska i do tego czuje sympatię do Richarda. Dlaczegoż on nigdy nie zauważa tego, że podoba się kobietom? Naprawdę, Jim. Sam musiałeś to chyba zauważyć.

A ponieważ obie jego niezamężne córki o kwadratowych twarzach były od lat zakochane w Richardzie, kuzyn James aptekarz bez wahania skinął na potwierdzenie głową po raz wtóry.

Do dwudziestego siódmego września Richard był już doszczętnie nasączony rumem i kiedy otrzymał liścik od Annemarie Latour - w którym informowała, że jest z powrotem u siebie w mieszkaniu i umiera z niecierpliwości, pragnąc go zobaczyć - zerwał się niezgrabnie z krzesła i wybiegł z domu.

- Richardzie, jak to cudownie znowu cię widzieć! *Mon cher, mon cher!* - Wciągnęła go do środka, obsypując mu twarz pocałunkami, wzięła od niego kapelusz i płaszcz, pomrukując i gruchając zalotnie.

- Dlaczego? - zapytał, opierając się, gdyż postanowił, że tym razem sam będzie o sobie decydować. - Dlaczego nie widziałem cię przez cały tydzień?

- Ponieważ pani Barton rozchorowała się i musiałam być przy niej. Willy powinien ci powiedzieć. Prosiłam, żeby ci to przekazał.

- Jak dotąd zdołałaś się powstrzymać od mówienia gwarą - zauważył.

- To dlatego, że przebywałam z panią Barton, która nie znosi, kiedy mówię złą angielszczyzną. Musiałam się nią opiekować - wyjaśniła Annemarie urażona.

Richard opadł na łóżko, oszołomiony.

- Och, a jakież to ma do diabła znaczenie, dziewczyno? Tęskniłem za tobą i cieszę się, że wróciłaś. Pocałuj mnie.

I znów bawili się w seks ustami, językami i dłońmi, w wilgoć i ogień, ekstazą

całkowitego bezwstydu. Godzina za godziną, on na niej, ona na nim, do góry nogami i odwrotnie, ona z płodną wyobraźnią, a on przepelniony pragnieniem podążania w każdym kierunku, jaki mu wskazała.

- Jesteś zaskakujący - stwierdziła na koniec.

Oczy zamykały mu się ze zmęczenia, ale zdobył się na ogromny wysiłek, by utrzymać je otwarte.

- W jakim sensie?

- Zionie od ciebie rumem, a mimo to nadal potrafisz pierdolić - to dobre słowo - niczym dziewiętnastoletni chłopak.

- Ty się na tym znasz, moja droga - wyszczerzył zęby w uśmiechu i zamknął oczy.

- Potrzebnych jest więcej niż parę kufli piwa, żeby mnie wypatroszyć - powiedział. - Przetrwalem o wiele dłużej aniżeli John Adams i John Hancock.

- Co takiego?

Nie raczył udzielić jej odpowiedzi, Annemarie położyła się więc, oparta na miękkim stosie poduszek, i wpatrywała się w sufit, rozmyślając o tym, co będzie czuła, kiedy to wszystko już się skończy. Kiedy Ceely namówił ją - za pomocą kilku rulonów złotych gwinei - żeby uwiodła Richarda, stłumiła westchnienie, wzięła pieniądze i pogodziła się z nie wiadomo iloma tygodniami nudy. Kłopot w tym, że wcale się nie nudziła. Przede wszystkim Richard był dżentelmenem, czego nie mogła powiedzieć o tym dwulicowym, perfidnym potworze Ceelym, który uważał się za dżentelmena, lecz nawet nie rozpoznawał jej na ulicy.

Nie spodziewała się jednak, że jej ofiara będzie tak atrakcyjna (sama przed sobą przyznawała nawet, że on jest piękny). Z pozoru szary i dystygowany bristolczyk, pozbawiony wszelkich pretensji do mody i zdolności do zwracania na siebie uwagi. A potem, kiedy po raz pierwszy się do niej uśmiechnął, wydawało jej się, że zerwał z twarzy woalkę, i stwierdziła, że jest uderzająco przystojny. A pod typowym dla owych czasów ubiorem - zaprojektowanym tak, aby wszyscy mężczyźni zdawali się brzuchaci, z okrągłymi ramionami i pochylonymi plecami - znajdowało się ciało podobne do starożytnego greckiego posągu. „On się tak chowa - pomyślała, szukając odpowiedniego angielskiego powiedzenia - pod korcem. To wszystko jest tylko dla tych, którzy mają oczy, żeby widzieć. Jaka szkoda, że nigdy nie cenił się na tyle, żeby to wykorzystać. Jaki z niego doskonały kochanek. O tak, doskonały!”

Jakże więc będzie się czuła, kiedy to wszystko się skończy? Już niedługo, w zależności od tego, jak podatny był Richard. Ceely chciał, żeby zrobić to prędko, a rum byłby tu bardzo pomocny. Jej własna rola, jak podejrzewała, była niewielka i nigdy nie dowie się,

jaki był finał. Odegranie tej roli oznaczało jednak rozstanie z Ceelym i z Anglią. Nadal była niezwykle urodziwa, mogła uchodzić za dwudziestolatkę, mimo że miała już lat trzydzieści. Z tym, co Ceely jej wkrótce zapłaci, i tym, co już jej ofiarował przez ostatnie cztery lata, będzie mogła opuścić ten kraj brudnych świń i pojechać do domu, do swego ukochanego Gironde, aby tam mieszkać jak dama.

Zdrzemnęła się przez godzinę, a potem pochyliła się i potrząsnęła Richardem, żeby go obudzić.

- Richardzie, Richardzie, mam pomysł!

Wydawało mu się, że ma opuchniętą głowę i wyschnięte usta. Wstał z łóżka i podszedł do małego dzbanka, w którym Annemarie trzymała cienkusz. Wypiwszy spory kufel, Richard od razu poczuł się lepiej, choć wiedział, że upłynie dobrych parę dni, zanim oczyści organizm z rumu. To znaczy - jeśli przestanie go pić. Ale czy rzeczywiście chciał to zrobić?

- Co takiego? - zapytał, siadając na łóżku z głową w dłoniach.

- Dlaczego nie mielibyśmy prowadzić razem domu? Pani Hale z dołu wyprowadza się, a czynsz za dwa piętra wynosi tylko pół korony na tydzień. Moglibyśmy przenieść naszą sypialnię na dół, żeby nie było tylu schodów, i umieścić Willy'ego tutaj albo w piwnicy. Jego czynsz nam się przyda - płaci jednego szylinga. Och, jakby było wspaniale, gdybyśmy mieli prawdziwy dom! Powiedz, że się zgadzasz, Richardzie. Proszę.

- Nie mam pracy, moja droga - powiedział przez ręce zakrywające mu twarz.

- Aleja mam - u pani Barton. I ty też wkrótce coś znajdziesz - odpowiedziała pocieszająco. - Proszę cię, Richardzie. A co będzie, kiedy się tu wprowadzi jakiś okropny mężczyzna? Jak będę mogła się wówczas obronić?

Odsunął ręce od twarzy i spojrzał na nią.

- Mogłabym powiedzieć, że jesteśmy małżeństwem, i to przysporzyłoby nam szacunku. Małżeństwem?

- Tylko po to, żeby zamknąć usta sąsiadom, *cher Richard*. Proszę!

Trudno było mu się skoncentrować i myśleć. Cienkusz sprawił, że nie czuł się najlepiej. Richard rozważał tę propozycję i obracał w swej skołatanej głowie na wszystkie strony, zastanawiając się, czy może rzeczywiście byłoby to najlepsze wyjście. „Pod Bednarzem” patrzyli na niego z niechęcią, albo też to on miał już dosyć tawerny.

- A więc dobrze - zgodził się.

Zaczęła podskakiwać na łóżku rozpromieniona.

- Jutro! Willy dzisiaj pomaga się przeprowadzić pani Hale, a potem może pomóc

mnie. Jutro!

Wiadomość o tym, że Richard się wyprowadza, zaskoczyła jego rodziców, którzy spojrzeli tylko na siebie i postanowili się nie sprzeciwić. Ostatnio, po powrocie do domu przed położeniem się do łóżka, pił jeszcze więcej rumu aniżeli przedtem - jeśli przeniósłby się do Clifton, musiałby płacić przynajmniej za część spożytego alkoholu.

- Nie mogę przecież odmawiać własnemu synowi tego, co ma pod nosem we własnym domu.

- Masz rację, alkohol jest tu zbyt łatwo dostępny - zgodziła się Mag.

I tak oto Dick pożyczył mu ręczny wózek, w którym wozili trociny i artykuły żywnościowe, i patrzył, jak Richard z pochmurną twarzą ładuje nań dwie skrzynie.

- A co z twoimi narzędziami?

- Zatrzymaj je - odpowiedział Richard krótko. - Wątpię, czy będą mi w Clifton potrzebne.

Dom, w którym mieszkali panna Latour i Willy Insell był środkowym z trzech połączonych ze sobą budynków przy Green Lane, w pobliżu Studni Jakuba. O tym, że dom ten stanowił niegdyś jedną całość, świadczyły wąskie schody i prowizoryczne przepierzenia, które dzieliły go teraz na trzy odrębne części, zwiększając tym samym sumę płaconych czynszów. Deski sięgały co prawda do sufitu, lecz były niedbale przybite, pełne widocznych pęknięć i tak cienkie, iż dało się słyszeć przenikliwy głos mieszkającej obok kobiety. Poddasze Annemarie wznosiło się niczym pojedyncza brew i dawało o wiele więcej odosobnienia, o czym Richard przekonał się teraz, kiedy przyglądał się jej porządnemu łóżku w swoim nowym pokoju piętro niżej.

- Nasze współżycie będzie teraz o wiele bardziej publiczne - stwierdził sucho.

Typowo galijskie wzruszenie ramionami.

- Na całym świecie ludzie się kochają, Richardzie. - Nagle zachłysnęła się i sięgnęła do torebki. - Byłabym zapomniała! Mam dla ciebie list!

Wziął od niej złożoną kartkę i popatrzył z ciekawością na pieczęć. Nie należała do nikogo ze znanych mu osób, lecz na wierzchu list był wyraźnie zaadresowany - kaligraficznym pismem notariusza - Do pana Richarda Morgana.

Sir - brzmiał list - nazwisko Pańskie zostało wspomniane mi dzięki usłudze pani Herbertowej Barton. Wierzę, że jesteś Pan rusznikarzem. Jeśli to prawda i może pan dostarczyć mi dobre referencje oraz zademonstrować w mojej obecności swoje umiejętności,

to być może będę miał dla Pana pracę. Proszę łaskawie stawić się trzydziestego września o dziewiątej rano w moim przedsiębiorstwie pod numerem dziesiątym przy Westgate Buildings w Bath.

List podpisany był drżąca, nieszkoloną ręką, „Horatio Midder”. Kim, u diabła, był Horatio Midder? Wydawało mu się, że zna nazwiska wszystkich rusznikarzy od Reading po Weymouth, nigdy nie słyszał jednak o żadnym Midderze.

- Co to jest? Od kogo? - pytała Annemarie, zaglądając mu przez ramię.

- To od jakiegoś rusznikarza z Bath o nazwisku Horatio Midder. Proponuje mi pracę - wyjaśnił Richard, mrużąc oczy. - Chce się ze mną zobaczyć trzydziestego o dziewiątej rano, co oznacza, że będę musiał jutro wyjechać.

- Och, to przyjaciel pani Barton! - zaświergotała Annemarie, klaszcząc w ręce z radości. Skłoniła głowę, aż czarne rzęsy rzuciły cień na jej policzki. - Wspomniałam jej o tobie, *cher Richard*. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

- Jeśli to będzie oznaczało pracę - powiedział Richard, chwytając ją i podrzucając do góry - to nie mam nic przeciwko temu, żebyś wspomniała o mnie choćby i samemu diabłu!

- Szkoda - powiedziała, wydymając usta - że będziesz musiał już jutro wyruszyć. Powiedziałam wszystkim sąsiadom, że jesteśmy małżeństwem i że się tu wprowadziłeś. Mamy wiele zaproszeń. - pasła się coraz bardziej. - Być może będziesz się musiał zatrzymać w Bath również w piątek w nocy, a wówczas nie zobaczę cię aż do soboty.

- Nic nie szkodzi, jeśli oznacza to pracę - powiedział Richard, zaciągając jedną ze swoich skrzyni na miejsce, w którym - jak sądził - Annemarie nie będzie chciała położyć żadnych swoich rzeczy. - Nadal żałuję, że zniósł na dół to łóżko - dociął jej. - Skoro Willy postanowił zamieszkać w piwnicy, nie było ku temu potrzeby.

- A jakież to ma teraz znaczenie, Richardzie, jeśli dostaniesz pracę w Bath? - zapytała z niepodważalną logiką. - I tak będziemy się przeprowadzać.

- To prawda.

- Czyż to nie cudowne, że mam tu teraz miejsce na biurko? - spytała. - Uwielbiam pisać listy, a tam na górze było tak ciasno.

Wszedł do pokoju znajdującego się za sypialnią i spojrzął na stojące samotnie biurko.

- Będziemy musieli kupić jakieś meble, żeby dotrzymały mu towarzystwa. Jakie to dziwne! W całym moim życiu nie potrzebowałem meblować mieszkania, nawet kiedy mieszkałem z Peg przy Tempie Street.

- Z Peg?

- Moją żoną. Ona już nie żyje - wyjaśnił Richard krótko, czując nagle potrzebę napicia się. - Pójdę na spacer, a ty możesz sobie pisać listy.

Ona jednak zeszła za nim na dół, gdzie znajdowała się kuchnia i salon. W pierwszym pomieszczeniu mieściły się cztery drewniane krzesła, stół i kredens, a w drugim kontuar i nie wykończony kominek. Czy Annemarie potrafiła gotować? Czy Annemarie w ogóle będzie miała czas na gotowanie, jeśli popołudnia i wieczory spędzała z późno wstającą panią Barton.

Stanęła w drzwiach na palcach i pocałowała go.

- Na Boga! Toż to pan Morgan, nieprawdaż? - wykrzyknął afektowany głos.

Richard szarpnął się i przerwał pocałunek, a odwróciwszy się, zobaczył pana Johna Trevilliana Ceely'ego Trevilliana, stojącego zaledwie trzy stopy dalej w pełnej chwale cyklamenowego aksamitu wyszywanego na czarno i biało. Włosy zjeżyły mu się na głowie, lecz pomny obecności Annemarie, nie mógł uczynić tego, na co miał ochotę - a mianowicie odwrócić się tyłem do Ceely'ego Trevilliana i odejść.

- Pan Trevillian, jako żyję! - odpowiedział.

- Czyż to pańska żona, o której tyle słyszałem? - zapiszczał błazen, wydymając w zachwycie malowane usta. - Niechże mnie pan przedstawi!

Przez dłuższy czas Richard stał w milczeniu, usiłując nie okazywać żadnych emocji, podczas gdy jego przyćmiony rumem rozum usiłował rozważyć wszelkie możliwe konsekwencje tego nieszczęsnego i nieodpowiedniego spotkania. Po jednej stronie pana Trevilliana stała mała grupa mężczyzn i kobiet, których jeszcze dotąd nie spotkał, lecz którzy, sądząc po ich domowych ubraniach, musieli mieszkać po jednej albo po drugiej stronie mieszkania Annemarie. Co miał teraz zrobić? Jak powinien mu odpowiedzieć?

- Niechże mnie pan przedstawi! - powtórzył Ceely. Podobnie jak nieomal wszyscy Anglicy, Richard bardzo słabo znał się na prawie, wiedział jednak, że jeśli raz nazwał jakąś kobietę swoją żoną, stawała się nią zgodnie z prawem zwyczajowym. Kiedy Annemarie proponowała, że powie znajomym i sąsiadom o ich rzekomym małżeństwie, zachował w swym skacowanym umyśle na tyle rozumu, by postanowić, że nigdy nie potwierdzi jej gadaniny.

Teraz jednak ogarnęły go wątpliwości, gdy stał przed wrogim mu Ceely'm Trevillianem i pośród sąsiadów Annemarie. Jeśli przedstawi ją, sugerując, że jest jego żoną, wówczas według prawa zwyczajowego ona będzie jego żoną tak długo, jak będzie z nią mieszkała. Jeżeli zaś publicznie się jej wyrzeknie, uzyska ona w oczach sąsiadów status prostytutki i zaczną ją prześladować.

Wzruszył więc w duchu ramionami. Niechże i tak będzie. Zostanie więc jego żoną do

czasu, kiedy przestanie z nią mieszkać. Choć nienawidził jej niesmacznych muzycznych analogii równie mocno, jak nienawidził samego siebie za to, że dał się złapać w jej seksualne sidła, nie potrafił zrobić z tej porządnej służącej ladacznicy. Z ich dwojga to jej życie kręciło się wokół Studni Jakuba i tutejszych mieszkańców.

- Annemarie - powiedział krótko. A potem dodał. - A co pan tu robi?

- Mój drogi przyjacielu, odwiedzam tu mego fryzjera, pana Joice'a. - Ceely wskazał na uśmiechniętego głupawo człowieka u jego boku. - Mieszka naprzeciwko i od niego dowiedziałem się, że się ożeniłeś i tu wprowadziłeś. - Ukazała się koronkowa chusteczka, którą musnął delikatnie czoło. - Ale dziś gorący dzień, jak na koniec września, nieprawdaż?

- Och, proszę pana, niechże pan wejdzie do środka - zaproponowała uprzejmie Annemarie, dygając pośród szelestu halek. - Odpoczynek w chłodzie naszego salonu sprawi, że niebawem poczuje się pan lepiej. - Wprowadziła nieproszonego gościa do środka i posadziła na jednym z krzeseł, a następnie zaczęła wachlować mu czoło brzegiem fartucha. - Richardzie, kochanie, czy mamy coś do zaproponowania temu dżentelmenowi? - zapytała słodko, najwyraźniej pod wrażeniem takiej elegancji.

- Nie, dopóki nie przyniosę piwa i rumu z tawerny „Pod Czarnym Koniem” - odpowiedział niegrzecznie Richard.

- W takim razie znajdę ci jakiś dzbanek na piwo, a drugi na cienkusz - powiedziała i pobiegła do kuchni, unosząc spódnicę i upewniając się, że Ceely zdąży przyjrzeć się jej kostce.

- Nie jestem ci winien żadnych podziękowań, Morgan - odezwał się Ceely, gdy tylko zostali sami. - Ta historyjka, którą sobie sfabrykowałeś na mój temat, była powodem paru bardzo nieprzyjemnych rozmów z naczelnikiem urzędu akcyzy. Nie wiem, co ja takiego uczyniłem, żeby cię obrazić, kiedy majstrowałeś przy aparaturze Cave'a, ale z całą pewnością nie mogło to wystarczyć, żebyś naopowiadał o mnie takich kłamstw poborcy.

- To nie były kłamstwa - odpowiedział trzeźwo Richard. - Widziałem cię w świetle księżycy w pełni, w bezchmurną noc, i słyszałem twoje imię. - Uśmiechnął się. - A ponieważ byłeś na tyle nierozsądny, żeby rozmawiać szczerze z panami Cave'em i Thorne'em, podczas gdy ktoś was podsłuchiwał, zostaniesz zdemaskowany jako łajdak, którym pan jest, panie Ceely Trevillianie.

Wróciła Annemarie z pustymi dzbankami w obu rękach.

- Czy może być piwo, proszę pana? - zapytała gościa.

- O tej porze dnia jak najbardziej - odparł Trevillian. Trzymając w obu rękach dzbanki, Richard udał się do karczmy „Pod Czarnym Koniem”, podczas gdy Annemarie

usadowiła się na drugim krześle, ażeby porozmawiać z tym niezwykle wytwornym dżentelmenem.

Kiedy wrócił, przekonał się, że jego wysiłek był nadaremny - Trevillian stał już na ganku, zajęty całowaniem Annemarie w rękę.

- Mam nadzieję, że jeszcze tu pana zobaczymy, *m'sieur* - powiedziała, ukazując skromnie dołeczki w uśmiechu.

- Och, mogę to pani obiecać - zawołał swoim falsetem. - Niech pani nie zapomina, że mój fryzjer mieszka naprzeciwko.

Annemarie zachłysnęła się.

- Pani Barton! Jestem spóźniona! Trevillian zaproponował jej swoje ramię.

- Jako że dobrze znam tę damę, pani Morgan, błagam, niechże mi pani pozwoli odprowadzić się do jej domu.

I poszli, z głowami zwróconymi ku sobie, on mówiący jej różne miłe głupstwa, a ona chichocząca. Richard patrzył, jak zniknęli za rogiem pobliskiej uliczki na wpół ukończonych domów, ryknął ze złości i poszedł po ręczny wózek ojca. Musiał go zwrócić. Głupia francuska suka! Żeby się tak wdzięczyć i płaszczyć przed kimś takim jak Ceely Trevillian tylko dlatego, że nosi cyklamenowe aksamity, które musiało haftować jakieś biedne dziecko z przytułku, nie dostając za to nawet złamanego grosza.

Codzienny dylizans do Bath odjeżdżał spod zajazdu „Pod Owcą” w południe i docierał na miejsce po czterech godzinach za cenę czterech szylingów za miejsce wewnątrz powozu i dwóch - na dachu. Chociaż Richard bardzo oszczędzał, kiedy pracował dla pana Thomasa Cave'a, pozostało mu już niewiele pieniędzy. Wyjazd do Bath kosztowałby go minimum dziesięć szylingów, na co nie mógł sobie pozwolić. Nie doszedł do żadnego porozumienia z Annemarie w kwestii domowych wydatków i wczoraj zjedli dwa posiłki „Pod Czarnym Koniem”, gdzie wszystko było o wiele droższe aniżeli „Pod Bednarzem”. Nie zaproponowała, że zapłaci za siebie, i najwyraźniej nie okazywała dezaprobaty na widok ilości rumu, jaką wypił. Jej ulubionym trunkiem było natomiast porto.

I tak oto Richard wybrał się na drugi koniec Bristolu, żeby zarezerwować dla siebie miejsce za dwa szylingi na dachu powozu - oznaczało to narażenie się na działanie żywiołów, lecz w tym dniu na szczęście nie zanosilo się na deszcz.

Zajazdy pocztowe były zazwyczaj ruchliwymi miejscami, z dużymi wewnętrznymi podwórzami, po których kręcili się niespokojnie parobcy i konie, wlokąc za sobą uprząże, we wszystkich kierunkach biegali stajenni, a służący z tacami zakąsek częstowali pasażerów.

Znalazłszy zaprzęg z sześciu koni nie zaprzęgniętych jeszcze do jego powozu, Richard zapłacił dwa szylingi za miejsce na dachu i przechadzał się pod ścianą, czekając, aż ogłoszą, że powóz do Bath będzie gotowy do załadunku.

Przechadzał się tak nadal, kiedy William Insell wbiegł przez bramę, przystanął, rozglądając się i dysząc ciężko.

- Willy!

Insell pośpieszył w jego stronę.

- Och, dzięki Bogu, dzięki Bogu - wysapał. - Obawiałem się, że już wyjechałeś.

Co się stało? Annemarie? Czy ona zachorowała? Nie, nie zachorowała - odparł Insell, przewracając przerażonymi oczyma. - Gorzej.

- Gorzej? - Richard złapał go za ramię. - Czy ona nie żyje?

- Och, nie! Umówiła się na schadzke z Ceelym Trevillianem!

Dlaczego wcale go to nie zdziwiło?

- Mów dalej.

- Przyszedł do tego fryzjera obok, a przynajmniej tak twierdził, lecz w następnym momencie już pukał do naszych drzwi, a ja nie zdążyłem jeszcze wyjść na górę, kiedy Annemarie mu je otworzyła. - Wytarł pot z czoła i popatrzył na Richarda błagalnie. - Tak mi się chce pić, całą drogę biegłem. - Richard wyciągnął pensa na kubek cienkuszka dla Insella, który wypił go jednym haustem. - O, teraz już lepiej.

- Mów szybko, Willy. Lada chwila zapowiedzą mój powóz.

- Nie robili z tego żadnych sekretów. Tak jakby zupełnie zapomnieli, że ja byłem w domu. Zapytała go, czy ma ochotę się z nią zabawić, a on powiedział, że tak. A potem ona odstawiła jeden ze swoich falbankowych numerów i powiedziała mu, że to nieodpowiednia pora, bo ty mógłbyś jeszcze wrócić. O szóstej wieczorem, powiedziała, i mógłby nawet zostać na noc. Poszedł więc naprzeciwko do fryzjera Joice'a - słyszałem przez ścianę, jak tam rżał. Poczekalem więc, aż Annemarie pójdzie na górę, i pobiegłem, żeby cię odnaleźć. - Zwrócił swoją niespokojną twarz z oczyma zbitego psa na Richarda, jakby oczekując pochwały.

- Bath! Bath! - zaczął ktoś wykrzykiwać.

Co miał teraz robić? Do diabła, potrzebna mu była ta praca! A jednak jego męska duma nie mogła ścierpieć, że Annemarie mogłaby woleć Ceely'ego Trevilliana od niego. I tego, że spośród wszystkich mężczyzn wybrała właśnie Trevilliana. Obelga ta była wręcz nie do zniesienia. Wyprostował się. - Koniec z pracą w Bath - orzekł ponuro. - Chodź, pójdziemy do ojca i tam zaczekamy. O szóstej czeka pannę Latour i pana Trevilliana przykra niespodzianka. Być może już nigdy nie zobaczy wnętrza sądu za oszustwa akcyzowe, ale za

to dobrze sobie zapamięta wszystko, co się stanie dziś wieczór, przysięgam ci to.

„Jak mogę domagać się prawdy - zastanawiał się Dick, czując, że zanosi się na jakieś tarapaty, lecz nie mogąc odkryć, jakie - od trzydziestosześcioletniego mężczyzny, nawet jeśli jest on moim synem? Co się dzieje i dlaczego mi o tym nie mówi? Ta płaszcząca się kreatura, Insell, siedzi, łaszcząc się u jego stóp. Może on nie jest groźny, ale też zdecydowanie to nieodpowiednie dla Richarda towarzystwo. Richardzie, Richardzie, uważaj z tym rumem”.

Tuż przed szóstą, właśnie kiedy Mag miała zacząć podawać kolację w wypełnionej tawernie, Richard i Insell podnieśli się do wyjścia. „To zdumiewające, jak on jest odporny na rum - pomyślał Dick, patrząc, jak Richard przeszedł prosto niczym strzała do drzwi, a Insell podreptał za nim. - Mój syn jest potwornie pijany, w powietrzu czuć, że zanosi się na coś złego, a on mnie zupełnie od siebie odsunął”.

Panował jeszcze półmrok, z delikatną poświatą, gdyż niebo było bardzo pogodne. Richard szedł tak prędko, że Willy Insell musiał się namęczyć, żeby za nim nadążyć. Wściekłość narastała w nim z każdym krokiem.

Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz, więc Richard wślizgnął się do środka.

- Zaczekaj tu, dopóki cię nie zawołam - szepnął do Willy'ego i zazgrzytał zębami. - Z Ceelym! Ceelym? Ty suko! - zaczął wchodzić na górę z zaciśniętymi pięściami.

W sypialni zastał scenę wyjętą z klasycznej farsy. Jego krzepka bogdanka leżała na łóżku z rozłożonymi nogami, a Ceely, odziany w koronkową koszulę, leżał na niej. Unosili się i opadali rytmicznie, Annemarie pojękując z rozkoszy, a Ceely sapiąc i postępując.

Richardowi wydawało się, że jest na to przygotowany, lecz przyptyw złości pozbawił go zdolności logicznego myślenia. Na jednej ze ścian znajdował się kominek, obok niego wiadro na węgiel i młotek do łamania większych kawałków. Zanim para na łóżku zdążyła mrugnąć, przeszedł przez pokój, pochwycił młotek i stanął przed nimi.

- Willy, chodź na górę! - ryknął Richard. - Nie, nie ruszajcie się! Chcę, żeby mój świadek zobaczył was dokładnie w tej pozycji.

Insell wszedł do środka i stanął wgapiony w piersi Annemarie.

- Czy jest pan gotowy, panie Insell, zaświadczyć, że widział pan moją żonę zabawiającą się w łóżku z panem Ceelym Trevillianem?

- Aha! - wykrztusił Insell, drżąc na całym ciele.

Annemarie powiedziała Trevillianowi, że Richard bardzo dużo pije, lecz nie wyobrażał sobie, że takie wrażenie robi na nim widok tego potężnego mężczyzny w napadzie niepohamowanej furii - opanowany i spokojny oszust akcyzowy poczuł, jak krew tężeje mu w żyłach. O Chryste, Morgan zamyślał morderstwo!

- Ty przeklęta suko! - wrzeszczał Richard, odwracając głowę, żeby spojrzeć na Annemarie, równie przerażoną jak Trevillian. Drżąca wysunęła się z łóżka i usiłowała wycofać się pod ścianę. - Ty suko! Ty dziwko! I pomyśleć tylko, że uznałem cię za żonę po to tylko, żeby ocalić twoją reputację! Nie uważałem cię za ladacznicę, ale się myliłem! - Przeniósł rozwścieczone spojrzenie na parapet okienny, na którym leżał zegarek, sakiewka i łańcuszek od zegarka. - A gdzież jest świeczka, proszę pani? - zapytał opryskliwie. - prostytutki ogłaszają swe usługi, zapalając świeczki w oknach, lecz ja nie widzę tu żadnej! - Zatoczył się, zachwiał i usiadł ciężko na brzegu łóżka, przykładając młotek do czoła Trevilliana.

- Jeśli zaś chodzi o ciebie, Ceely, to ty zmusiłeś mnie do nazwania tej flądry żoną, teraz więc poniesiesz tego konsekwencje. Pozwę cię do sądu za kradzież żony!

Trevillian usiłował się wyslizgnąć, lecz Richard złapał go za ramię bolesnym uściskiem i lekko postukał młotkiem w jego spocone czoło.

- Nie, Ceely, nie ruszaj się. W przeciwnym razie twoja krew splami tę piękną białą kołdrę.

- Co ty chcesz zrobić? - szepnęła Annemarie ze strachem. - Richard, jesteś pijany! Błagam cię, tylko nie morderstwo! - Głos jej zapiszczał ostro. - Odłóż ten młotek, Richardzie! Odłóż ten młotek! Nie zabijaj go. Odłóż to!

Richard posłuchał, splunąwszy z pogardą, choć młotek pozostał o wiele bliżej jego ręki aniżeli dłoni Trevilliana.

„Myśl, Ceely, myśl. On ma mordercze zamiary, lecz nie jest zabójcą. Zajmij go czymś, uspokój go, pokieruj tą sprawą na swoją korzyść!” Pośród okrzyków przerażenia Annemarie, Richard podniósł młotek i posłużył się nim do uniesienia Trevillianowi koszuli na brzuchu. Potem spojrzał na Annemarie z udanym zdziwieniem.

- To tego tak pożądałaś? Musi ci bardzo zależeć na złocie. - Nie wiedział, kogo z tej pary winowajców bardziej nienawidził: Annemarie za to, że sprzedawała swe względy, czy też Ceely'ego Trevilliana za to, że zrobił z niego rogakca, zmuszając go wcześniej do uznania jej za żonę. Podążył zatem, pobudzony rumem, jedyną drogą, jaka jego zdaniem mogłaby zmusić oboje do zapłaty. Przynajmniej w ten pamiętny wieczór i tak długo, jak będzie trwała jego furia. Nie aż po sąd, nie. Nie zależało mu nawet na korzyściach. Gdyby jednak miał za to umrzeć, zadba o to, żeby się go bali i obawiali możliwych konsekwencji.

Wysunął rękę tak prędko, że prawie niezauważalnie pochwycił Trevilliana za gardło i podniósł go tak, że ten ukłęknał na środku łóżka.

- Mam tu świadka, który potwierdzi, że ukradł mi pan żonę. Zamierzam więc pana

sądzić o - tu zawahał się i rzucił wziętą z powietrza sumę - o tysiąc funtów odszkodowania. Jestem szanowanym rzemieślnikiem i nie odpowiada mi rola rogowca, zwłaszcza jeśli rogi przyprawiło mi takie gówno jak ty, Ceely Trevillianie. Miałeś chyba zamiar zapłacić za usługi mojej żony, więc cena po prostu poszła w górę.

„Myśl, Ceely, myśl! To idzie w złym kierunku. Musisz to jakoś powstrzymać. On się teraz rozgadał i nie jest już tak gwałtowny. W końcu rum go powstrzymał”.

Trevillian zwilżył językiem usta i przypomniał sobie przygotowane wcześniej słowa:

- Morgan, przyznaję, że masz prawo do poczynienia pewnych kroków prawnych i że dostałbyś pewne odszkodowanie. Ale proszę, nie wyciągajmy tych spraw przed sądem! Ze względu na moją mamę i brata, a pomyśl jeszcze o swojej żonie i jej publicznej reputacji! Jeśli jej imię pojawi się w sądzie, zostanie bez pracy, wyrzucona na bruk.

Tak, wściekłość już mijała. Morgan zmieszał się nagle, robiąc wrażenie chorego i zagubionego. Trevillian paplał dalej.

- Przyznaję się do winy, pozwól jednak, że załatwimy to poza sądem - teraz, na miejscu, Morgan. Nie zyskasz aż tysiąca funtów, ale być może uda ci się dostać pięćset. Pozwól, Morgan, że dam ci mój weksel na pięćset funtów. Proszę, przyjmij go, a wówczas będziemy mogli uznać sprawę za załatwioną.

Wytrącony z równowagi tym tchórzliwym poddaniem się Richard siedział teraz na łóżku, zastanawiając się, co dalej robić. Wyobrażał sobie bójkę z Trevillianem, opór, wyzywanie do rozprawienia się z nim - dlaczego tak to sobie wyobrażał? Ze względu na wspomnienie tego szczupłego, rześkiego akcyzowego oszusta w świetle księżyca obnażonego ze swego wyszukanego ubrania i manier? Lecz tamten zrozumiał teraz, był Trevillianem, który całkowicie panował nad sytuacją. Ten człowiek nie miał w sobie nic prawego, był oszustem do szpiku kości.

- To korzystna oferta, Richardzie - wtrącił pokornie Willy Insell.

- Bardzo dobrze - powiedział Richard i podniósł się z łóżka. - Ubierz się, Ceely. Śmiesznie wyglądasz.

Naciągnąwszy na siebie zielony pluszowy strój, haftowany zielononiebieskim kolorem, Trevillian poszedł za Richardem do pokoju z tyłu za sypialnią i usiadł przy biurku Annemarie. Mając nadzieję, że dostanie mu się jakiś udział z tej niespodziewanej gratki Richarda, Willy Insell poszedł za nimi, nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że Richard nie ma zamiaru od razu przyjmować czeku. Chciał jedynie, aby jego rywal pocił się przez parę kolejnych dni z powodu perspektywy utraty pięciuset funtów.

Weksel został wystawiony na nazwisko Richarda Morgana z Clifton i podpisany „Jno.

Trevillian”.

Richard przyjrzał mu się i podał go.

- Jeszcze raz, Ceely - powiedział. - Podpisz to wszystkimi swoimi cholernymi nazwiskami, a nie połową z nich.

Pokusa na szczycie schodów okazała się zbyt wielka - Richard przyłożył czubek swego buta do chudych pośladków Trevilliana i zrzucił go na łeb na szyję na dół, tak że ten wywinął koziołka, a odgłos jego ciała uderzającego w przepierzenie odbił się echem niczym grzmot piorunu. Kiedy w końcu Trevillian dotarł do małego kwadratu wejściowego korytarza, wrzeszczał, ile tchu w piersiach. Spokojny oszust akcyzowy zniknął bez śladu. Ceely szarpnął za drzwi i, wyjąc i płacząc, wypadł na ulicę, gdzie podążyli mu z pomocą wszyscy sąsiedzi.

Richard zatrzasnął zasuwę i poszedł na górę do Annemarie, lecz bez Willy'ego Insella, który umknął do siebie do piwnicy.

Nie ruszyła się z miejsca. Oczy jej śledziły każdy ruch Richarda, który podszedł do łóżka i ponownie chwycił za młotek.

- Powinienem cię zabić - powiedział ze zmęczeniem w głosie. Wzruszyła ramionami.

- Ale nie zrobisz tego, Richardzie. To nie jest w twoim stylu, nawet po wypiciu rumu.

- Uśmiech zabłąkał się na jej ustach. - Ale Ceely uwierzył przez moment, że to zrobisz. Jakże to niezwykle u tak pewnego siebie, zarozumiałego i lubującego się w intrygach człowieka.

Mógłby się może uczepić tego stwierdzenia, które zdradzało o wiele bardziej zażyłą znajomość z Ceelym Trevillianem aniżeli przypadkowe spotkanie w łóżku, ale ktoś właśnie grzmocił we frontowe drzwi.

- Co tam znowu? - zapytał i szedł na dół. - O co chodzi? - . zawołał.

- Pan Trevillian domaga się zwrotu swojego zegarka - odpowiedział mu męski głos.

- No to powiedz panu Trevillianowi, że może dostać swój zegarek z powrotem, jak ja uzyskam moje odszkodowanie - ryknął Richard przez zamknięte na zasuwę drzwi. - Chce, żeby mu oddać zegarek - powiedział, wchodząc z powrotem do pokoju.

Zegarek nadal leżał na parapecie okna, choć łańcuszek i sakiewka zniknęły.

- Oddaj go - odezwała się nagle Annemarie. - Proszę cię, wyrzuć mu go przez okno.

- Najpierw mnie chyba szlag trafi! Dostanie go z powrotem, kiedy ja tak postanowię. - Wziął zegarek do ręki i przyjrzał mu się. - Cóż za próżność! Stał. Ostatni krzyk mody i bardzo wytworny. - Zegarek powędrował do kieszeni jego płaszcza wraz z notatką, którą trzymał w ręce.

- Wychodzę - powiedział, czując ogarniającą go nagle słabość. Annemarie natychmiast wyskoczyła z łóżka, narzucając na siebie sukienkę i wsuwając buty na bose

stopy.

- Richardzie, poczekaj! Willy, Willy, chodź tu i pomóż mi! - krzyknęła.

Kiedy zeszli na dół, pojawił się Willy z konsternacją wymalowaną na twarzy.

- Słuchaj, Richardzie, co teraz zamierzasz zrobić? Daj już spokój!

- Jeśli to o Ceely'ego tak się martwisz, to nie ma potrzeby - odpowiedział Richard, wychodząc na ulicę i wdychając głęboko świeże powietrze. - Już go tu nie ma. Przedstawienie skończyło się dwie minuty temu.

Ruszył w stronę Wzgórza Brandon z Annemarie po jednej stronie i Willym po drugiej, trzy niewyraźne sylwetki w czarnych niczym smoła ciemnościach, w miejscu nie oświetlonym żadnymi latarniami.

- Richardzie, co się ze mną stanie, jeśli ty odejdziesz? - spytała Annemarie.

- Nic mnie to nie obchodzi, proszę pani. Uczyniłem pani honor, dając Ceely'emu do zrozumienia, że jest pani moją żoną, ale prawda jest taka, że nie brałbym żony spośród takich jak pani. A cóż takiego zmieni się w pani życiu? Jesteś nadal zatrudniona, a ja i Ceely upewniliśmy się, aby pani reputacja pozostała nieskazitelna. - Wyszczrzył zęby w pozbawionym radości uśmiechu. - Nieskazitelna? Proszę pani, jest pani po prostu zwykłą kurwą.

- A co będzie ze mną? - spytał Willy, myśląc o tych pięciuset funtach.

- Będę „Pod Bednarzem”. Ta sprawa z akcyzą ciągle się toczy, więc musimy się trzymać razem.

- Odprowadzimy cię przez wzgórze - zaproponował Willy.

- Nie. Odprowadź tę damę do domu. Tu nie jest bezpiecznie. Tak oto rozstali się nocą, jeden mężczyzna z kobietą wracał do Clifton Green, a drugi kroczył dalej ścieżką wiodącą przez Wzgórze Brandon, niepomny na niebezpieczeństwo. Tymczasem Mary Meredith zatrzymała się na progu swego domu, zadowolona, że już dotarła na miejsce, lecz zastanawiając się nad odwagą tego pieszego, którego opuścili towarzysze. Rozmawiali ściszymi głosami i wydawało się, że byli w znakomitej komitywie, lecz kim oni byli, nie miała pojęcia. Tego wrześniowego wieczoru ich twarze pozostały niewidoczne.

Nie mając w żołądku niczego, czym mógłby zwymiotować, Richard poszedł, potykając się, do domu, bardziej odczuwając skutki picia rumu aniżeli tej konfrontacji. Cóż to była za afera! I co teraz powie ojcu?

Przynajmniej mogę stwierdzić, że ogień został wreszcie ugaszony - kończył list do pana Thistlethwaite'a nazajutrz, czyli ostatniego września 1784 roku. - Nie wiem, co mnie

napadło, Jem, poza tym że nie lubię tego faceta, którego w sobie spotkałem - zgorzkniałego, mściwego i okrutnego. Poza tym znalazłem się w posiadaniu tych dwóch rzeczy, których najmniej pragnę - stalowego zegarka i weksla na pięćset funtów. Tę pierwszą zwrócę, kiedy tylko będę w stanie znieść widok twarzy Trevilliana, a tej drugiej nigdy nie przedłożę w banku do wypłacenia. Kiedy będę zwracać zegarek, podrę mu weksel przed nosem. I przeklinam rum.

Ojciec wysłał do Clifton kogoś po moje rzeczy, tak żebym nie musiał znosić widoku Annemarie, z którą już nigdy nie mam zamiaru się spotykać. Fałszywa, od włosów na głowie po włosy na - nie chcę już nawet powiedzieć gdzie. Jakimże ja byłem głupcem! I to w wieku trzydziestu sześciu lat. Mój ojciec twierdzi, że przez doświadczenie takie jak z Annemarie powinienem przejść, mając dwadzieścia jeden lat. Im starszy głupiec, tym większy głupiec - jak to określił z typowym dla siebie wdziękiem. A mimo to jest wspaniałym człowiekiem.

Cała ta historia sprawiła, że odkryłem w sobie cechy, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Najbardziej zawstydzają mnie to, że zdradziłem Williama Henry'ego - nawet o nim nie myślałem od czasu, kiedy poznałem Annemarie, aż do dzisiaj, kiedy obudziłem się z przekonaniem, że zauroczenie minęło. Może każdy mężczyzna musi przeżyć taką seksualną przygodę. Czymże jednak obraziłem Boga, że wybrał taki okres straty i smutku, żeby mnie wypróbować w tak straszliwy sposób?

Proszę cię, napisz do mnie, Jem. Rozumiem, że być może trudno jest ci w związku z naszymi wiadomościami o Williamie Henrym, chcielibyśmy jednak usłyszeć coś o tobie i martwimy się twoim milczeniem. A poza tym potrzebna jest mi twoja mądrość życiowa. W rzeczy samej, ogromnie by mi się przydała.

Jednak nawet jeśli pan James Thistlethwaite zamierzał mu odpisać, list jego nie dotarłby „Pod Bednarza” przed ósmym października, kiedy to dwaj śmiertelnie poważni mężczyźni w szarych ubraniach wkroczyli do tawerny.

- Richard Morgan? - zapytał ten, który wszedł pierwszy.

- Aha - odparł Richard, wychodząc zza kontuaru. Mężczyzna podszedł do niego na tyle blisko, by móc mu położyć prawą rękę na jego lewym ramieniu.

- Richardzie Morganie, niniejszym aresztuję cię w imieniu Jego Wysokości króla Jerzego na podstawie oskarżenia złożonego przez pana Johna Trevilliana Ceely'ego Trevilliana.

- William Insell? - mężczyzna zapytał potem.

- Och, och! - zapisał Willy, chowając się tchórzliwie w kącie.

- Williamie Insell - powiedział, kładąc rękę na jego ramieniu - niniejszym aresztuję cię w imieniu Jego Wysokości króla Jerzego na podstawie oskarżenia złożonego przez pana Johna Trevilliana Ceely'ego Trevilliana. Proszę iść z nami i nie próbujcie żadnych sztuczek. Za drzwiami jest nas jeszcze sześciu.

Richard wyciągnął rękę do ojca, który stał niczym rażony piorunem, i otworzył usta, zanim się zorientował, że nie wie, co powiedzieć.

Komornik dźgnął go ostro pomiędzy łopatkami tą samą ręką, którą położył na ramieniu Richarda.

- Ani słowa, Morgan, ani słowa. - Rozejrzał się po zamkniętej tawernie. - Jeśli ktoś będzie chciał zobaczyć się z Morganem lub Insellem, znajdzie ich w bristolskim więzieniu Newgate.

CZĘŚC DRUGA
OD PAŹDZIERNIKA 1784 ROKU
DO STYCZNIA 1786 ROKU

Bristolskie Newgate położone było o dwa budynki dalej za odlewnią mosiądzu Wasborough, przy Narrow Wine Street. Dotarcie tam nie zajęło wiele czasu ośmiu komornikom z Richardem i Willym idącymi pośrodku i wkrótce weszli do więzienia przez masywne, zaryglowane drzwi, przypominające okratowaną bramę. Przekroczywszy wąskie przejście z otworami po obu stronach, Richard po raz pierwszy w życiu ujrzał wnętrze więzienia. Naczelnny komornik, przy pomocy swych współpracowników, którzy ponaglali więźniów kuksańcami, ale sami zostali na zewnątrz, wepchnął ich przez portal do pomieszczenia po lewej stronie.

- Więźniowie Morgan i Insell! - warknął. - Proszę podpisać. Mężczyzna rozparty na krześle za stołem sięgnął po dwie kartki papieru, które podał mu komornik.

- A gdzie pan każe ich umieścić? - zapytał, podpisując każdą z kartek dużym krzyżykiem.

- To już twoja sprawa, Walter, nie moja - odpowiedział z zadowoleniem komornik. - Są na nakazie sądowym *habeas corpus* - dodał, wychodząc.

Willy płakał rzewnie, Richard natomiast stał opanowany, nie uroniwszy ani jednej łzy. Szok mijał powoli. Był już w stanie czuć i myśleć i nie był już taki zdziwiony. O co właściwie został oskarżony? Kiedy się o tym dowie? Owszem, miał zegarek i weksel Ceely'ego, ale powiedział przecież temu człowiekowi na ulicy, że Ceely dostanie swój zegarek z powrotem, a weksla przecież nie zaniósł do banku. Dlaczegoż wtedy nie myślał?

Przeludnienie pomoże mu uzyskać zwolnienie. Bristolski sąd skłonny był w tych czasach do zawierania porozumień z oskarżonymi, którzy mogli zapłacić dodatkowo jakąś kwotę w ramach odszkodowania. I chociaż do końca życia zostanie obciążony długiem, który tylko następna wojna i więcej strzelb pomogłyby mu spłacić, wiedział, że rodzina go nie opuści.

- Pensa na dzień na chleb - mówił strażnik zwany Walter - aż do rozprawy. Jeśli zostaniecie skazani, dostaniecie podwyżkę do dwóch.

- Ależ to głodówka - wyrwało się Richardowi spontanicznie. Strażnik obszedł biurko i uderzył Richarda tak mocno, że pękła mu warga.

- Tylko bez żadnych uwag, Morgan. Tutaj życie i umieranie według moich reguł i mojego widzimisie. - Podniósł głowę i wrzasnął: - Ruszajcie się, skurczybyki!

Do pokoju wpadło dwóch mężczyzn z pałami.

- Załóżcie im kajdanki - rozkazał Walter, pocierając rękę. Tamując krew mankietem koszuli, Richard przeszedł z bełkoczącym co Willym Insellem przez korytarz do pomieszczenia po prawej stronie. Przypominało ono sklep rymarski, z tą tylko różnicą że

wiszące na wszystkich ścianach uchwyty wykonane były z żelaznych ogniw, a niej ze skóry.

W bristolskim Newgate uznawano, że więźniom wystarczy łańcuchy na nogi. Richard stał, gdy żałośnie wyglądający osobnik, odpowiedzialny za ten skład narzędzi tortur, zakuwał go w kajdany. Szeroka na dwa cale obręcz, która obejmowała mu nogę w lewej kostce, była zamykana i nie nitowana. Została połączona z podobną obręczą na prawej kostce łańcuchem długości dwóch stóp. Pozwalało to chodzić, powłócząc nogami bez unoszenia stóp, lecz uniemożliwiało bieg. Gdy Willy wpadł w panikę i usiłował się bronić, pobito go łańcuchami, aż padł na ziemię. Richard, którego rozcięta warga nadal krwawiła, nie i odezwał się ani słowem i nawet na to nie zareagował. Poprzysiął sobie, że uwaga, którą rzucił strażnikowi Walterowi, będzie ostatnim aktem sprzeciwu. Powrócił do swoich zwyczajów z Colston - należało cicho siedzieć, cicho stać, cicho robić, co kazano, i nie zwracać na siebie niczyjej uwagi.

Korytarz kończył się następną okratowaną bramą - strażnik otworzył ją ciężkim kluczem i dwaj nowi więźniowie, Morgan i Insell, zostali przez nią wepchnięci do piekła. Było to bardzo obszerne pomieszczenie, na którego kamiennych ścianach skraplała się wilgoć i ściekała nieustannie, tworząc w wielu miejscach długie wapienne sople, poczerniałe i okryte nalotem sadzy pochodzącej z fabryk nad rzeką Froom. Ani jednego mebla. Kamienna posadzka splugawiona była wielowiekowym brudem i ludzkimi wydzielinami. Tłum więźniów zakutych w kajdany, samych mężczyzn. Większość z nich siedziała na podłodze z nogami wyciągniętymi przed siebie, niektórzy jednak chodzili bez celu, zbyt zrozpaczeni, aby starać się unosić stopy ponad nogami innych nieszczęśników, którzy nadal siedzieli, tak jakby nie czuli uderzeń łańcuchów chodzących. Ktoś, komu znane było bristolskie błoto, smród ten nie był bynajmniej obcy - zgnilizna, odpadki i odchody. Tyle że mocniejszy z powodu słabej wentylacji.

Jedyną celową działalnością był ruch odbywający się wokół zwieńczonego łukiem otworu na drugim końcu pomieszczenia. Choć Richard nigdy przedtem nie przebywał w bristolskim więzieniu, wywnioskował, że w otworze tym znajdował się więzienny bar. Ci, którzy mieli przy sobie trochę pieniędzy, mogli tam dostać rum, jałowcówkę lub piwo. Przysłuchując się rozmowom Dicka z kuzynem Jamesem aptekarzem, Richard miał jakieś pojęcie o tym, jak wygląda bristolskie więzienie, i wyobrażał je sobie jako miejsce, w którym wrzało od bijatyk o pieniądze, alkohol, chleb i inne posiadane przez więźniów rzeczy. Teraz zrozumiał jednak, że strażnicy byli zbyt sprytni, aby na coś takiego pozwolić. Żaden z tych mężczyzn nie miał siły, żeby się bić. Przymierali głodem, a wielu z nich było również pijanych, gadali coś od rzeczy i nucili niemelodyjnie, siedząc przy ścianie obojętni i niczego

nieświadomi.

Willy nie odstępował go na krok. Przyczepił się do niego jak rzep do psiego ogona. Bez względu na to, w którym kierunku Richard się ruszył, Willy powłóczył za nim nogami, płacząc nieustannie. „Ja chyba oszaleję. Nie mogę tego wytrzymać. Lecz mimo to nie wrócę do rumu. Ani do jałowcówki, bo tańsza. Przecież to potworne doświadczenie skończy się za parę miesięcy, kiedy na mnie i Willy’ego przyjdzie kolej w sądzie. Dlaczego on musi tak wyć? I cóż mu to pomoże?”

Po upływie godziny poczuł się znużony. Żelazne okowy na kostkach zaczęły sprawiać mu ból. Znalazłszy puste miejsce przy ścianie, gdzie mógłby się zmieścić w Willym - swoim cieniem, osunął się na ziemię i wyciągnął przed siebie nogi z westchnieniem ulgi, natychmiast pojmując, dlaczego więźniowie przyjmowali taką właśnie pozycję. W ten sposób można było zmniejszyć ciężar kajdanów i podeprzeć się plecami o ścianę. Oględziny grubych, wełnianych skarpet wykazały, że zaledwie po godzinie chodzenia materiał zaczął zdradzać oznaki zużycia i wytarcia. Był to kolejny powód, dla którego więźniowie nie ruszali się z miejsca.

Był spragniony. Z rury wystającej ze ściany po stronie Froomu spływał nieustannie mały strumień wody w koryto do pojenia koni. Cynowa chochla na łańcuchu służyła za naczynie do picia. Kiedy patrzył na nią, jeden z przechadzających się nieszczęśników przystanął i nasikał do koryta. Richard zauważył też, że znajdowało się ono obok czterech otwartych wygódek, które uważano za wystarczające dla potrzeb ponad dwustu mężczyzn. „Jeśli kuzyn James aptekarz miał rację - pomyślał - picie tej wody mnie zabije. W tym pomieszczeniu jest mnóstwo chorych ludzi”.

Tak jakby imię to posiadało moc czynienia cudów, kuzyn James aptekarz ukazał się za okratowanymi drzwiami w korytarzu, a za nim stanął Dick.

- Ojciec! Kuzyn James! - wykrzyknął Richard.

Z oczyma szeroko otwartymi z przerażenia podeszli do niego ostrożnie. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Dick padł na kolana i rozpłakał się. Richard usiadł przy nim, klepiąc go po rozdygotanych ramionach i spojrzał na aptekarza.

- Przynieśliśmy ci flaszkę cienkusa - odezwał się kuzyn James, wyciągając ją z worka. Jest tu także jedzenie.

Willy zdrzemnął się wyczerpany płaczem, lecz obudził się, kiedy Richard potrząsnął nim. Nigdy przedtem nic nie smakowało mu tak bardzo jak to piwo. Podając otwarty dzbanek Willy’emu, Richard sięgnął do worka i znalazł w nim chleb, ser i tuzin świeżych jabłek. W głębi serca zastanawiał się, czy widok tych dóbr nie wzbudzi w apatycznej ciźbie gorączki, która wywoła atak rozdrapujących rąk i obnażonych zębów, lecz do niczego podobnego nie

doszło. Byli rzeczywiście straceni.

Opanowawszy się, Dick otarł oczy i nos koszulą.

- To jest potworne! Potworne!

- Przecież nie będzie to trwało wiecznie, ojciec - odpowiedział Richard, nie uśmiechając się. Nie chciał, aby ponownie pękła mu warga, czym przeraziłby Dicka jeszcze bardziej. - Kiedy nadejdzie czas na moją rozprawę, zostanę zwolniony. - Zawahał się. - Czy mogę zostać zwolniony za kaucją?

- Jeszcze nie wiem - odpowiedział kuzyn James aptekarz prędko. - Ale jutro rano pójde zobaczyć się z kuzynem Henrym prawnikiem, a potem stawimy czoło lwu w biurze prokuratury w sądzie. Bądź dobrej myśli, Richardzie. Morganowie są dobrze znani w Bristolu, a ty jesteś obywatelem cieszącym się poważaniem. Znam tego gogusia, który złożył oskarżenie - zazwyczaj widzi się takich porykujących osłów jak on w pobliżu Tolzey.

- Nie wiem, w jaki sposób wieści mogły się roznieść tak daleko tak szybko - wtrącił Dick. - Ale zanim wyszliśmy, aby cię tu odnaleźć pojawił się u nas senhor Habitas. Jego najstarsza córka jest zamężna z Eltonem, a sir Abraham Isaac Elton jest ich bardzo dobrym przyjacielem. Powiedział mi, że możesz być pewien, że sir Abraham Isaac będzie sędzią przewodniczącym na twojej rozprawie i chociaż wygłosi ci potworne kazanie na temat pokus Lilith, to jednak oskarżenia nie utrzyma. Wszystko zależy od tego, co sędzia poradzi swoim przysięgłym. Wszyscy gardzą tym Ceelym Trevillianem - sędziowie na ławie przysięgłych poznają się na nim natychmiast i będą się z niego śmiali, aż ich brzuchy rozbołą.

Dwaj Morganowie nie pozostali długo i wkrótce po ich odejściu Richard był z tego powodu ogromnie zadowolony. Całe to przejście i cienkusz pobudziły okrutnie jego kiszki. Musiał usiąść na brudnym klozecie ze spodniami i kalesonami spuszczoneymi do kolan, na oczach wszystkich. Nikomu to zresztą nie przeszkadzało, poza nim samym. Nie było tam też żadnej szmaty ze starych portek, wrzuconej do wiadra z mydlinami, którą mógłby się wytrzeć. Musiał więc wstać i naciągnąć kalesony na pozostałości ciekących brudów, zamykając oczy z powodu tego najpotworniejszego upokorzenia, jakiego kiedykolwiek w życiu doświadczył. Od tego momentu stał się bardziej wyczulony na własny zapach aniżeli na upiorny odór unoszący się wokół.

Z nadejściem nocy zostali przeniesieni z tego wspólnego pomieszczenia piętro wyżej, do męskiej sypialni, kolejnej ogromnej sali wyposażonej w o wiele za mało sienników, aby móc pomieścić wszystkich mieszkańców. Na niektórych leżały już jakieś postacie i najwyraźniej przeleżały tak cały dzień, trawione gorączką; jedna czy dwie spośród nich nie poruszyły się już wcale. Jednak, ponieważ obaj z Willym byli tam nowi, a więc silni i szybcy,

znaleźli sobie parę wolnych noszy, które natychmiast zajęli. Żadnych materaców, żadnej pościeli, poduszek czy koców. I sztywne od zaschniętych resztek wymiotów osób chorujących na dyzenterię.

Sen wydawał się mało prawdopodobny w tym lodowatym i wilgotnym pomieszczeniu, gdzie jedynym okryciem był własny płaszcz. Potworności bristolskiego więzienia nie zdołały jednak powstrzymać Willy'ego, wyczerpanego płaczem, od zaśnięcia. Richard podziękował teraz serdecznie bezlitosnemu Bogu za tę małą łaskę milczenia Willy'ego. Leżał, wsłuchując się w jęki i pochrapywania, sporadyczny suchy kaszel, czyjeś wymioty i potworne odgłosy płaczu małego chłopca. Nie wszyscy więźniowie byli bowiem dorosłymi mężczyznami. Wśród tego tłumu naliczył około dwudziestu chłopców, którzy mogli mieć od siedmiu do trzynastu lat, żaden z nich jednak nie wyglądał na zdeprawowanego czy rozpustnego, choć przynajmniej połowa z nich była pijana. Zostali przyłapani na kradzieży kufla jałowcówki czy chusteczki i pozwani za to do sądu przez rozwścieczoną ofiarę. Nie zdarzało się to „Pod Bednarzem” tylko dlatego, że Dick na to nie pozwalał. Jeśli jakiś łapserdak zdołał się zakraść i ukraść kufel rumu spod jakiegoś zaspanego nosa, Dick zawsze umiał załagodzić sprawę, wyrzucał ulicznika za drzwi, a pokrzywdzonemu ofiarowywał darmowy trunek. Nie zdarzało się to częściej niż raz czy dwa razy do roku. Na Broad Street nie widywało się wielu innych zbrodni poza skradzionymi portfelami czy zszarganymi reputacjami.

Wiadomości przyniesione przez Dicka i kuzyna Jamesa aptekarza były pocieszające, nie dało się temu zaprzeczyć. Senhor Habitas był nieoczekiwanym sojusznikiem, nadal prawdopodobnie wyrzucając sobie, że to właśnie on przedstawił Richarda panu Thomasowi Latimerowi. „Biedny człowiek! Jaką winą mógłby go obciążać? Takie rzeczy się zdarzają” - pomyślał Richard sennie, zamknął oczy i natychmiast zapadł w pozbawione marzeń sennych ciemności.

Następnego dnia późnym popołudniem pojawił się jedynie Dick, z przewieszonym przez ramię workiem jedzenia i butelką cienkusa.

- Jim jest nadal w kancelarii kuzyna Henry'ego - wyjaśnił, przykucając na tyle blisko, by zachować to, co mówił, w tajemnicy przed uszami wszystkich z wyjątkiem podsłuchującego potajemnie Willy'ego.

- Nie potoczyło się to zatem tak, jak przypuszczaliśmy - stwierdził bezbarwnym tonem Richard.

- Rzeczywiście. - Dick zacisnął pięści i zazgrzytał zębami. - Nie będziesz sądzony w Bristolu, Richardzie. Ceely Trevillian złożył swoje oskarżenie do władz w Gloucester,

ponieważ przestępstwo popełnione zostało w Clifton, a zatem poza granicami Bristolu. Twój areszt tutaj jest więc tymczasowy. Jedynie dopóty, dopóki oficjalnie nie zatwierdzą papierów i zeznań świadków, cokolwiek przez to rozumieją - - Wymachiwał gniewnie rękami. - Aż mi dzwoni w głowie od tej prawnej gadaniny! W ogóle jej nie rozumiem, nigdy nie rozumiałem i pewnie nigdy już nie zrozumie!

Richard oparł głowę o poczerniałą ścianę i spojrzał nad zgarbioną postacią ojca na obsikane końskie koryto i cztery odrażające wygodki.

- No cóż - powiedział w końcu przez ściśnięte gardło. - Niech już będzie, jak ma być, ojcze, ale na razie mam kilka bardzo pilnych potrzeb. - Wskazał na swoje stopy. - Po pierwsze, potrzebne są jakieś szmaty do wyściełania tego żelastwa. Minął dopiero jeden dzień, a moje skarpety już się wytarły. Jutro przyjdzie kolej na skórę, a potem na ciało. Jeśli mam to wszystko przetrwać - a przysięgam, że to przetrwam! - muszę zachować dobre zdrowie. Tak długo, jak będę mógł pić cienkusz, jeść chleb, ser, mięso, owoce lub zielone jarzyny, nie ucierpię zbytnio.

- Wyślą cię do zamku w Gloucester - odpowiedział Dick drżącymi ustami. - Nie znam nikogo w Gloucester.

- Ani żaden inny Morgan, jak przypuszczam. Jakież sprytny facet z tego Ceely'ego Trevilliana! I jak bardzo zależy mi na moim upadku. Czy to z powodu tego oszustwa akcyzowego i dla ratowania własnej szyi, czy też dlatego, że wyśmiałem go jako mężczyznę? - Pokręcił głową i uśmiechnął się. - Prawdopodobnie z obu powodów.

- Dotarli do mnie pewne plotki - powiedział Dick z powątpiewaniem w głosie.

- Powiedz mi, ojcze. Moje dni płaczu już minęły. Nie musisz się obawiać, że cię zawstydzę - powiedział Richard łagodnie.

Twarz ojca poczerwieniała.

- No więc, dotarło do nas przez Davy'ego Evansa, mojego nowego dostawcę rumu - co za wspaniały towar, Richardzie! Powiedział mi, że wśród ludzi po fachu mówi się, że Cave i Thorne poszli do Trevilliana, gdy usłyszeli o twojej burdzie w Clifton, i powiedzieli mu, żeby zaskarżył ciebie i Willy'ego. Ty i ja wiemy, że Trevillian jest czynnie zaangażowany w przestępstwo akcyzowe, lecz ludzie z tego fachu o tym nie wiedzą, toteż połączyli jedno z drugim w zupełnie inny sposób. Davy Evans mówi, że Cave i Thorne chcą, żeby skazano ciebie i Willy'ego, zanim sprawa akcyzowa trafi do sądu. A wówczas nie będzie żadnej sprawy, bo przestępcy nie mogą zeznawać w sądzie. Co więcej, Cave poszedł do naczelnika urzędu akcyzy, brata tego Benjamin Fishera - Johna - jak zwykle wszystko odbywa się w rodzinie i zaproponował mu tysiąc sześćset funtów restytucji. Bracia Fisherowie zdają sobie

oczywiście sprawę z tego, że ty i Willy zostaliście aresztowani, i doskonale wiedzą, dlaczego Trevillian to robi, ale nie ma na to żadnych dowodów.

A zatem mamy zostać przestępcami pozbawionymi praw do Władania zeznań.

Willy zaczął wycić żałośnie, ale Richard odwrócił się jednym z tych niedostrzegalnych ruchów i złapał go za ramię tak mocno, że tamten zaskowytał przenikliwie.

- Zamknij się, Willy! Zamknij się! Jeszcze jedna łza, a nie zważając na te łańcuchy, kopnę cię na drugi koniec tej instytucji i zostawię, żebyś tam umarł na gorączkę.

Dickowi opadła szczeka. Willy zamknął się.

„Jak dobrze - pomyślał zaskoczony Dick - że kuzyn James aptekarz wybrał sobie akurat ten moment, żeby się tu pojawić, taszcząc ze sobą drewniane pudło wielkości niewielkiej skrzyni. W przeciwnym bowiem razie cóż można było powiedzieć nieznajomemu?”

- Parę rzeczy dla ciebie, Richardzie, ale o tym później - powiedział nowo przybyły i postępując, położył skrzynkę na podłodze. Oczy błyszczały mu od łez. - To wszystko wygląda coraz gorzej.

- Wcale mnie to nie dziwi, kuzynie Jamesie.

- Prawo jest takie dziwne, Richardzie! Przyznaję, że nie wiedziałem, co ono mówi i jak funkcjonuje poza moim własnym, małym zakresem działalności, i przypuszczam, że tak jest w przypadku wszystkich, zwłaszcza biedoty. - Wyciągnął rękę do Richarda, który ujął ją i poczuł konwulsyjny uścisk. - Nie masz prawie żadnych praw, zwłaszcza poza granicami Bristolu. Kuzyn Henry próbował coś zdziałać i zarówno ja, jak i wielebny James odwiedziliśmy wszystkich znanych nam i liczących się ludzi, lecz według prawa nie wolno nam nawet spojrzeć na złożone pod przysięgą zeznania Ceely'ego ani poznać nazwisk jego świadków. To jest doprawdy zadziwiające. Wprost niezwykle! Miałem nadzieję, że uda mi się wpłacić kaucję, lecz kaucji nie przyznaje się za przestępstwa uznane za zbrodnie - a ty jesteś oskarżony o - tu zaczerpnął powietrza i przełknął ślinę - o kradzież i wymuszanie pieniędzy! Oba przestępstwa są uznawane za poważne zbrodnie, Richardzie, i możesz zostać za to powieszony!

- No cóż - odezwał się Richard zmęczonym głosem. - Sam jestem temu wszystkiemu winny, choć ciekaw jestem, co też Ceely przysiągł na temat tego wymuszenia. Zaproponował pokrzywdzonemu mężowi weksel w ramach pozasądowego, ugodowego załatwienia sprawy. A może teraz twierdzi, że nie jestem mężem i wobec tego wymusiłem na nim pieniądze pod fałszywym pretekstem? Jeśli nazwałem Annemarie żoną, ona stała się nią według prawa zwyczajowego, chyba że miałbym już żonę, a przecież nie mam. Tylko tyle wiem na temat

prawa.

- Nie mamy pojęcia, co on takiego przysiągł - stwierdził Dick.

- Przede wszystkim musimy dorwać tę Annemarie Latour. Ona będzie mogła potwierdzić moją wersję tej historii, kiedy przedstawię ją w sądzie.

Nie wolno ci składać świadectwa o sobie, Richardzie - powiedział kuzyn James cicho.

- Oskarżony jest zobowiązany do milczenia, nie wolno mu przedstawiać własnej wersji wydarzeń. Wszystko, co może zrobić w swojej obronie, to przyprowadzić świadka, który zapewni o jego dobrym charakterze, i - jeśli go na to stać - zaangażować prawnika do przesłuchania świadków oskarżenia. Jego adwokat nie może go przesłuchiwać ani też wprowadzać żadnych nowych dowodów. Jeśli zaś chodzi o tę kobietę, ona gdzieś zniknęła. Według prawa powinna się znaleźć w kobiecej części Newgate, oskarżona o to samo, ale jej tam nie ma. Jej pokoje w Clifton stoją puste i wydaje się, że nikt nie wie, dokąd się udała.

- Jakim to krajem jest Anglia i jakże niewiele wiemy o tym, na jakich zasadach działa, dopóki sami nie zostaniemy dotknięci tym systemem - stwierdził Richard. - Czyż nawet mój adwokat nie ma prawa przeczytać sędziom przysięgłym mojego zaprzysiężonego oświadczenia?

- Nie. Możesz jedynie odpowiedzieć na bezpośrednie pytania sędziego i nawet wówczas musisz ograniczyć swoje odpowiedzi wyłącznie do nich.

- A gdyby tak spróbować odnaleźć Annemarie przez panią Herbertową Barton?

- Pani Barton nie istnieje. Willy Insell zaszlochał głośno.

- Przestań, Willy - powiedział cicho Richard. - Przestań...

- Ależ to szatański plan! - wykrzyknął Dick, używając dysydenckiego określenia.

- Podsumowując zatem, nie mamy pojęcia, w jaki sposób Ceely zamierza mnie skarżyć ani kim są jego świadkowie, ani też co oni powiedzą - stwierdził Richard spokojnie. - A wszystko to będzie się odbywać w Gloucester, czterdzieści mil stąd.

- Rzeczywiście, tak można to ująć - przyznał kuzyn James aptekarz.

Prawie przez minutę Richard siedział w milczeniu, przygryzając dolną wargę w zamyśleniu raczej aniżeli z niepokoju. A potem wzruszył ramionami.

- To dotyczy przyszłości - powiedział. - Teraz jednak mam inne naglące potrzeby. Szmaty do podłożenia pod moje okowy, szmaty, którymi mógłbym się myć i do wycierania tyłka. - Skrzywił się. - Te ostatnie będę prał pod pompą i jeśli trzeba, będę się wycierał mokrymi. Ci biedacy są już w takim stanie, że nie mają siły kraść, wątpię jednak, aby szmaty te przetrwały, jeśli zostaną powieszona do wyschnięcia. Będę musiał zapłacić jednemu ze strażników, żeby obciął mi włosy. Potrzebne mi mydło. Zmiany ubrania co parę dni - koszul,

skarpet i kalesonów. I czyste szmaty, zawsze czyste szmaty. A także tyle pieniędzy, żeby mi wystarczyło na cienkusz. Mogę się założyć, że tamta woda pochodzi z rury ze studni Pugsley i pewnie nie nadaje się do picia. Tyłu z tych ludzi jest chorych. - Zaczerpnął powietrza. - Wiem, że to oznacza wydatki, ale przysięgam, że jak tylko zostanę zwolniony, zacznę je spłacać.

W odpowiedzi kuzyn James aptekarz z wprawą jarmarcznego kuglarza otworzył drewnianą skrzynię.

- Już pomyślałem o szmatach - powiedział, myszkując w środku. - Pilnuj tego pudła, jeśli zdołasz. Siedź na nim lub tak, jak to robi Dick, uwiąż je sobie sznurkiem do dużego palca u nogi. Strażnik oczywiście przeszukał je bardzo dokładnie. - Zachichotał. - Sprawdzał czy nie ma tu żadnych pił albo pilników, bo tylko tego się obawiają. Dziwne wydawało mi się, że wolno ci mieć nożyczki i brzytwę. Być może strażników nie obchodzi, czy poderżnicie sobie gardła, czy też nie. Pasek i osełka. - Podniósł nożyczki i podał je Dickowi. - Zaczynij ścinać, kuzynie.

- Mam ścinać Richardowi włosy? Nie potrafię tego zrobić! - wykrzyknął Dick zatrwożony.

- Musisz. W miejscach takich jak to roi się od wszelkiego rodzaju robactwa. Krótkie włosy nie zdołają go uchronić, ale będzie to mniejszy problem. Dałem ci gęsty grzebień, Richardzie. Przeczesuj nim także włosy na ciele albo wyskubuj je.

- Mam ich bardzo niewiele, więc przycinanie powinno wystarczyć.

Kuzyn James nadal się czymś trapił, usiłując wziąć w ręce coś ciężkiego i nieporęcznego. W końcu zdołał to wyciągnąć i z tryumfem postawił na podłodze.

- Czyż to nie cudowne? - domagał się aprobaty. Richard, Dick i Willy popatrzyli na to z zakłopotaniem.

- Owszem, kuzynie Jamesie, tylko co to jest?

- Okapnik - odpowiedział z dumą. - Ta kamienna część, jak widzicie, jest lekko stożkowatym naczyniem, które zawiera półtorej kwarty wody. Woda spływa po tym kamieniu i skapuje do mosiężnego naczynia poniżej. Nie wiem, co takiego dzieje się w tym kamieniu, ale woda nagromadzona w zbiorczym naczyniu jest słodka i świeża niczym najlepsza woda źródłana. Jest też - wyjaśniał dalej, popadając w naukowy entuzjazm - czysta i musująca, bo przechodzi przez te porowate kamienie! Słyszałem, że Włosi - cóż to za sprytni ludzie! - używają takich okapników, ale nigdy ich nie widziałem. A potem, jakiś rok temu, mój przyjaciel, kapitan John Staines wrócił z Brazylii z ładunkiem ziarna kakaowego dla Josepha Frya i koszenilą dla mnie. Zawinął na wyspę Teneryfę po wodę, w którą obfituje ta wyspa.

Ktoś pokazał mu okapnik, chcąc zainteresować tym angielski rynek - to prezent wysyłany do tych części Hiszpanii, w których woda jest najgorsza. I dlatego sprezentował go mnie, a nie Fryowi, który potrafi myśleć tylko o czekoladzie. Sprawdziłem to na wodzie ze studni Pugsley, która, jak sam słusznie powiedziałaś, Richardzie, nie nadaje się do picia. Nic dziwnego, wodociąg jest bowiem drewniany i przebiega przez cztery cementarze.

- Jak to sprawdziłeś, Jim? - zapytał Dick z cierpiętniczą miną na twarzy, krzywiąc się i obcinając gęste i kręte włosy Richarda.

- Oczywiście sam napiłem się wody z tego okapnika.

- Wiedziałem, że to powiesz.

- Zacząłem importować okapniki z Teneryfy i natychmiast pomyślałem o tobie - powiedział kuzyn James aptekarz, wkładając okapniki z powrotem do skrzyni. - Przyda ci się, Richardzie, choć ostrzegam cię, że to nie działa wiecznie. Mój próbny model zaczął śmierdzieć i dawać mętną wodę po dziewięciu miesiącach. Łatwo jednak zauważyć, kiedy dochodzi do zanieczyszczenia, wewnątrz kamiennej miski zaczyna się bowiem zbierać gęsta kleista substancja. Jednakowoż - ciągnął dalej - w ulotce, którą dostałem razem z moim pierwszym transportem, napisano, że brudny okapnik można oczyścić przez moczenie go przez tydzień lub dwa w czystej morskiej wodzie, a potem należy suszyć go na słońcu przez następne dwa tygodnie. - Westchnął. - Co, niestety, w Anglii jest niemożliwe.

- Kuzynie Jamesie - powiedział Richard, uśmiechając się z ogromną miłością - całuję twoje ręce i stopy.

- Nie ma potrzeby posuwać się aż tak daleko, Richardzie. - Wstał i otrzepał ręce. - Przyniosłem ci to pudło dzisiaj - zaczął ostrożnie, Popadając w kolejną zmianę nastroju - gdyż nikt nie potrafi powiedzieć, kiedy przeniosą cię do Gloucester. Następna sesja sądów objazdowych ma się odbyć nie wcześniej niż w czasie postu, może więc nie stanie się to tak szybko. Ale mogą to zrobić i jutro. Również kuzyn James duchowny prosił, żeby ci powiedzieć, że będzie cię odwiedzał.

- Spraw mi to ogromną radość - rzekł Richard, czując zawrót głowy.

Powstał, a Dick, nadal kucając, zaczął zbierać jego ścięte włosy.

- Ojczy, umyj ręce w occie i oleju smołowym, jak tylko wrócisz do domu, i nie dotykaj twarzy, dopóki tego nie zrobisz. I błagam cię, przynieś mi czyste kalesony i mydło!

Przeniesienie nie nastąpiło nazajutrz. Richard i Willy pozostali w bristolskim Newgate aż do nowego roku 1785. W pewnym **sensie** było to błogosławieństwem, bo rodzina mogła zaspokajać potrzeby Richarda, lecz z drugiej strony - przekleństwem, gdyż byli

świadkami jego nieszczęśliwego położenia.

Mag, postanowiwszy zobaczyć się z Richardem, przysłała tylko raz. Jednak gdy już znalazła go pośród tej hordy ludzkich widm, jedno spojrzenie na jego twarz i szczeciniasty skalp wystarczyło, aby zemdląca.

Ale nie to było najgorsze. Kuzyn James aptekarz przyszedł zaraz po świętach Bożego Narodzenia sam.

- Chodzi o twego ojca, Richardzie. Miał wylew.

Richard zwrócił ku niemu wzrok zmieniony nie do poznania. Nawet po zaginięciu Williama Henry'ego zachował swój spokój, czasami nawet zdarzały się przebłyski dobrego humoru, które teraz gdzieś przepadły. Życie w jego oczach nie zamarło zupełnie, lecz teraz jedynie obserwowały, a nie reagowały.

- Czy on umrze, kuzynie Jamesie?

- Nie, nie po tym wylewie. Nakazałem mu ścisłą dietę i mam nadzieję, że to powstrzyma nadejście kolejnych. Ma uszkodzone lewe ramię i lewą nogę, ale może mówić i procesy myślowe pozostały nie naruszone. Przesyła ci pozdrowienia, lecz lepiej będzie dla niego, aby nie odwiedzał Newgate.

- Och, a co będzie z tawerną? Opuszczenie jej na pewno by go zabiło.

- Nie musi stamtąd odchodzić. Twój brat przysłał mu najstarszego syna, żeby się uczył na karczmarza. Dobry chłopiec, nie taki łasy na pieniądze jak William. Podejrzewam też, że cieszy się, że opuścił tamten dom. Żona Williama jest równie bezlitosna, a jak czujna - nie muszę ci chyba o tym mówić.

- Przypuszczam, że to ona zabroniła Willy'emu odwiedzać mnie tutaj - Pewnie żałuje darmowego ostrzenia pił - powiedział Richard bez rozgoryczenia. - A mama?

- Mag, jak to Mag. Jej odpowiedzią na wszystko jest praca.

Richard nic nie odrzekł, tylko usiadł na płytach podłogi z nogami wyciągniętymi przed siebie i z Willym - swoim cieniem - u boku. Walcząc z cisnącymi mu się do oczu łzami, kuzyn James aptekarz usiłował przyjrzeć mu się jak obcemu - co nie było teraz takie trudne. Jak to możliwe, że zdawał się jeszcze przystojniejszy niż niegdyś? A może nigdy dotąd nie zwracał uwagi na jego urodę? Nierówno obcięte, lekko kręjące się włosy, nie dłuższe niż na pół cala, ukazywały kształtną czaszkę, a ostre kości policzkowe i orli nos wyróżniały się na jego gładkiej, nie pomarszczonej twarzy. Jeśli nawet jego twarz się zmieniła, uwidoczniło się to w jego ustach - dolna warga pozostała zmysłowa, lecz kontury ust wyostrzyły się i wyprostowały, tracąc swój marzycielski charakter i delikatność. Jego wąskie, ostre, czarne brwi zawsze znajdowały się blisko oczu, ale teraz wyglądały tak, jakby zostały

wygrawerowane dla podkreślenia całości.

„Ma trzydzieści sześć lat i Bóg poddaje go próbom niczym Hioba, lecz zdaje się, że Richard pobił Boga Jego własną bronią, nie oszukując Go i nie obrażając. W ciągu roku stracił żonę i jedyne dziecko, a także majątek, reputację, rodzinę - nawet swego egoistycznego brata. A jednak nie zatracił siebie. Jakże niewiele wiemy o tych, którzy wydają nam się bliscy, nawet jeśli znamy ich od zawsze”.

Richard nagle uśmiechnął się promiennie, a jego oczy pojaśniały.

- Nie martw się o mnie, kuzynie Jamesie. Więzienie nie ma takiej mocy, żeby mnie zniszczyć. Więzienie jest po prostu czymś, przez co muszę przejść.

Być może dlatego, że tak niewielu więźniów miało być przeniesionych z Bristolu do Gloucester, Richard i Willy otrzymali zawiadomienia o przeniesieniu dwa dni wcześniej, już na początku drugiego tygodnia stycznia.

Możecie zabrać ze sobą tylko to, co zdołacie unieść - powiedział Walter, naczelnny dozorca, kiedy zostali przyprowadzeni przed Jego oblicze. - I ani jednej wszy więcej! Nie wolno wam zabierać ani wózka, ani taczek.

Nie powiedział im, kiedy rozpoczną swą podróż ani też jakim środkiem transportu, i Richard nie zapytał. Willy, który umierał z ciekawości, wił się tymczasem z bólu pod ciężarem stopy Richarda na swojej.

Prawdą zaś było, że Walter bardzo żałował, iż nastął koniec pobytu Richarda Morgana, który przyniósł mu niezłe zyski w ciągu tych trzech miesięcy uwięzienia. Krewni karmili zarówno jego, jak Insella, co oznaczało, że Walter miał dodatkowo dwa pensy dla siebie. Ojciec Morgana przysyłał mu co tydzień galonowy dzban dobrego rumu do biura, a kuzyn, ten ekstrawagancki aptekarz, regularnie wrzucał koronę do jego wyciągniętej ręki. Gdyby nie te napiwki, uznałby Richarda za potencjalnie niebezpiecznego szaleńca i kazałby go zamknąć w St. Peter's Hospital, dopóki nie upomniałoby się o niego Gloucester. A on naprawdę był szalony! Codziennie mył się mydłem i lodowatą wodą z wodociągu; wycierał sobie tyłek szmatą a potem ją prał; raczej przykucał nad wygodką aniżeli na niej siadał; przycinał włosy i nigdy nie chodził do baru. Większość czasu spędzał na czytaniu książek, których naznosił mu kuzyn - proboszcz kościoła St. James's. A już najbardziej szalonym z jego pomysłów było to, że codziennie napełniał sobie wielką kamienną miskę wodą z wodociągu i pił to, co skapywało z niej do mosiężnego naczynia pod spodem. Kiedy Walter domagał się wyjaśnień na ten temat, powiedział mu, że zamienia wodę w wino, tak jak Chrystus podczas uczyty weselnej. Szalony! Zupełnie postradał zmysły.

Dwa dni łaski były szansą aby uczynić pobyt Richarda w więzieniu w Gloucester trochę bardziej znośnym.

Kuzyn James duchowny przyniósł mu nowy płaszcz.

- Jak widzisz, twoja kuzynka Elizabeth - która była jego żoną - wszyła pod spód płaszcz grubą wełnianą podszewkę, Richardzie, i dała ci dwa rodzaje rękawiczek. Te skórzane nie mają otworów na czubki palców, ale te robione na drutach - mają. Wypchałem ci również kieszenie płaszcz.

Nic dziwnego, że był taki ciężki. Obie kieszenie zawierały książki.

- Zamówiłem je z Londynu za pośrednictwem pana Sendalla - wyjaśnił kuzyn James duchowny. - Są drukowane na najcieńszym papierze i usiłowałem ci się nie naprzykrzać za bardzo religią. Tylko Biblia i modlitewnik. - Przerwał. - Bunyan jest baptystą jeśli w ogóle można nazwać to religią lecz uważam, że *Wędrowni pielgrzymi* to wyśmienita książka, więc ją tu włożyłem. I Milтона też.

Był tam również tom tragedii Szekspira, jedna z jego komedii i tłumaczenie żywotów Plutarcha Johna Donne'a.

Richard wziął rękę wielebnego Jamesa i z zamkniętymi oczami przyłożył ją sobie do policzka. Siedem książek, każda z nich niewielka dzięki cieniutkiemu papierowi i giętkiej płóciennej oprawie.

- Pomędzy płaszczem, rękawiczkami, Biblią, Bunyanem, Szekniem i Plutarchem zdołałeś zadbać o moje ciało, duszę i umysł. Nie potrafię ci za to odpowiednio podziękować.

Kuzyn James aptekarz skoncentrował się na zdrowiu Richarda. Oto nowy kamień do twojego okapnika, ale nie zmieniaj go dopóty, dopóki nie będziesz musiał. Jak to dobrze, że kamień jest niewiele cięższy od pumeksu, co? Olej smołowy i nowe, wolno zmywające się mydło. Wykańczasz mydła za szybko, Richardzie, za szybko! Trochę mojej specjalnej asfaltowej maści - wyleczy wszystko, od wrzodów po łuszczycę.. Atrament i papier - zadrutowałem korek tak, żeby butelka nie przeciekała. I popatrz na to, Richardzie! - mamrotał, jak zawsze zachwycony możliwością wygrzebania się z moralnego bagna za pomocą jakiegoś nowego wynalazku. - To są stalówki i służą do tego samego co koniec zaostrego gęsiego pióra. Wsuwa sieje w stalowy koniec tej oto drewnianej rączki. Sprowadziłem je z Włoch, choć wykonane zostały w Arabii. Wygląda na to, że w Arabii trudno o gęsi. Jeszcze jedna brzytwa, na wszelki wypadek. Duża puszcza siodła - kiedy nie będziesz jadł owoców ani jarzyn - to zapobiegnie skorbutowi. I szmaty, szmaty, szmaty. Moja żona i twoja matka tak o ciebie zadbały, że właścicielom sklepów tekstylnych pewnie zabrakło materiałów. Rolka szarpia i trochę leku ściągającego. A to butelka opatentowanego

przeze mnie toniku, do której dodałem drachmę złota, żebyś nie dostał czyraków. Jeśli dostaniesz czyraki czy pryszcze, a skończy ci się tonik, żuj przez parę dni ołowianą kulkę. To, czego nie obłożyłem szmatami, wypchałem ubraniami. - Zmarszczył brwi, pakując skrzynię. - Obawiam się, że będziesz musiał część z tego wepchnąć sobie do kieszeni płaszcza, Richardzie.

- Już są pełne - odpowiedział stanowczo Richard. - Wielebny James przyniósł mi książki i nie mogę ich tu zostawić. Jeśli zawiedzie mnie rozum, dobre samopoczucie fizyczne będzie bez znaczenia. Możliwość czytania pozwoliła mi pozostać przy zdrowych zmysłach w ciągu tych trzech miesięcy. Najgorszym przekleństwem więzienia jest bezczynność. Zupełny brak jakiegokolwiek roboty. W czasach Bunyana - a mam tu *Wędrówkę pielgrzyma* - mężczyzna mógł robić coś użytecznego, a nawet sprzedawać to, co wykonywał, żeby utrzymać żonę i swoje dzieci, tak jak to robił Bunyan przez dwanaście długich lat. Tutaj strażnicy nawet nie lubią, jak chodzimy. Bez książek naprawdę bym zwariował. Muszę więc je zachować.

- Rozumiem.

Po dłuższym pakowaniu, wypakowywaniu i przepakowywaniu cały skarb został wciśnięty do skrzynki. Dopiero gdy Willy usiadł na wieku, mogli zatrzasnąć dwa mocne zamki. Klucz na rzemieniu zawisnął na szyi Richarda. Podniósłszy skrzynię, ocenił, że ważyła co najmniej pięćdziesiąt funtów.

Znalazło się też pudło dla Willy'ego, choć mniejsze i o wiele lżejsze.

- Nie wymyślono jeszcze słów, które mogłyby wyrazić moją wdzięczność - powiedział Richard, z oczyma ożywionymi najczystsza miłością.

- Ja również ci dziękuję - powiedział Willy, pomimo obecności Richarda wzruszony do łez.

I tak się rozstali, aby spotkać się ponownie w czasie wielkopostnej sesji sądu objazdowego.

O świcie szóstego stycznia Richard i Willy podnieśli swoje kufry i pokuśtykali przez okratowaną bramę na korytarz, gdzie czekał na nich Walter z innym mężczyzną, jakimś obcym z pałką w ręku. Wepchnięto ich do pomieszczenia skutych łańcuchami i przez ułamek sekundy Richard myślał, że na czas podróży ściągną im okowy, więc odetchnął z ulgą. Kufer był już i tak ciężki bez dodatkowego brzemienia łańcuchów. Lecz nie. Żałośnie wyglądający człowiek, który kierował tą salą grozy, wziął żelazną obręcz o szerokości dwóch cali i zamknął ją wokół pasa Richarda. Na nadgarstki założono mu kajdanki, a ich dwustopowe

łańcuchy przymocowano do zamka obręczy na brzuchu. Potem zdjęto mu łańcuch łączący stopy i zamieniono na dwa łańcuchy - jeden biegnący od lewej kostki do zamka na pasie, a drugi od prawej. Mógł teraz iść swobodnie, ale nigdy na tyle zwinnie, aby zdołał uciec. Na wysokości pępka zbiegały się w zamku obręczy cztery łańcuchy.

Zdołał jakoś pochwycić swój kufer i z dziwnym przyływem radości przekonał się, że łańcuchy na nadgarstkach tworzyły rodzaj podpórki, rozkładając ciężar na jego ramiona i kufer.

- Trzymaj kufer w ten sposób, Willy - powiedział do swego cienia - będzie ci się lepiej nosiło.

- A ty trzymaj język za zębami! - warknął Walter.

Mroźne powietrze na zewnątrz wydawało się niebiańsko czyste i świeże. Z szeroko otwartymi oczyma i rozchylonymi nozdrzami Richard ruszył przed ich strażnikiem, który jak dotąd nie odezwał się ani słowem. Czy to był komornik z Gloucester?

Jak wspaniale się czuł, mogąc wyjść z tych śmierdzących lochów! Wiedział, że Gloucester było małym miasteczkiem, a więc warunki w tamtejszym więzieniu musiały być o wiele znośniejsze niż w bristolskim Newgate. Na wsiach zbrodnie wcale nie były rzadkością, ale wszystkie gazety utrzymywały, że w wielkich miastach było ich o wiele więcej. Mógł się również pocieszać tym, że większą część swego pobytu w więzieniu ma już za sobą - wielkopostny sąd objazdowy w Gloucester miał się odbyć pod koniec marca.

Och, cóż to było za powietrze! Niebo zasnuły niskie czarne chmury, zwiastujące opady śniegu, lecz Richardowi zmarzły jedynie uszy, pozbawione ochrony włosów. Kapelusz osłaniał skalp, lecz wywinięte do góry trójgraniaste rondo nie mogło w żaden sposób osłonić jego uszu. Ale kto by się tym przejmował? Z błyszczącymi oczyma kroczył wzdłuż Narrow Wine Street, pogrążony łańcuchami.

Była jeszcze bardzo wczesna pora, ale Bristol był jednym z tych miast, gdzie ludzie musieli stawiać się do pracy niedługo po nastaniu świtu, aby spędzić tam osiem godzin w zimie, dziesięć wiosną i jesienią, a dwanaście w lecie. Kiedy więc szli tak we trójkę, dwaj przestępcy na przodzie, obserwowało ich sporo ludzi. Twarze ich wykrzywiały się wówczas z przerażenia, niektórzy umykali jak najdalej na drugą stronę ulicy - nikt nie chciał otrzeć się o przestępcę.

Bramy do odlewni mosiądzu Wasborougha były szeroko otwarte, jej wnętrze pełne płomieni i huku przypominało piekło. Królewska marynarka wojenna najwyraźniej nadal potrzebowała tych płaskich, połączonych haczykowato, mosiężnych łańcuchów do swoich nowych pomp ściekowych dla statków. Od czasu, kiedy Richard stracił pieniądze, przestał

tam chodzić.

- Dolphin Street - powiedział krótko komornik, kiedy doszli do rogu. A więc nie w stronę tawerny „Pod Bednarzem”, ale na północ, w stronę Froomu. No cóż, miało to sens. Rogatki przy wyjeździe w kierunku Gloucester znajdowały się w północnej części miasta.

Tymczasem Richard zaczął się zastanawiać nad innymi sprawami - kto za to wszystko płacił? Był wraz z Willym ekstradowany do innego hrabstwa, które musiało ponosić koszty przetransportowania ich. Czyżby byli z Willym tak ważni dla hrabstwa Gloucestershire, że chętnie godziło się na opłacenie kilku funtów za podróż i eskortującego ich komornika? A może to Ceely płacił? Tak, z całą pewnością była to sprawka Ceely'ego. I zapewne sprawiło mu to wielką przyjemność, domyślał się Richard.

Z Dolphin Street przeszli na lewo w Broadmead i na podwórze Michaela Henshawa, który prowadził przewóz powozowy do Gloucester, Monmouth i Walii, Oksfordu, Birmingham, a nawet do Liverpoolu. Tam wepchnięto ich do niszy pełnej końskiego gówna i pozwolono położyć kufry na ziemi. Willy dyszał z wyczerpania.

„Nareszcie” - pomyślał Richard. - „Trzy miesiące bezruchu nie pozbawiły mnie wszystkich sił. Biedny Willy nie jest jednak dość silny. Lecz następne trzy miesiące w więzieniu w Gloucester doprowadzą mnie do podobnego stanu, chyba że w Gloucester zaproponują mi pracę i będą mnie karmić tak, abym mógł pracować. Jeśli jednak będę pracować, kto będzie pilnował mojego kufra i trzymał z dala od niego cudze łapy? Pewnie nie straciłbym takich rzeczy jak olej smołowy i okapniki, ale szmaty i ubrania zniknęłyby na pewno w ciągu sekundy, a być może ktoś znalazłby ukryty schowek, w którym mam złote gwinee. Mogliby mi ukraść także książki! Z całą pewnością nie jestem przecież jedynym więźniem w Anglii, który je czyta”.

Olbrzymi wóz, na który wdrapali się Willy z Richardem, był osłonięty płócienną narzutą, rozpiętą mocno na żelaznych półkolistych obręczach. Dawało to ochronę od najgorszych żywiołów, włącznie z nadchodzącą - jak się zdawało - burzą śniegową, z pewnością o wiele bardziej ostrą z dala od ciepła buchającego z bristolskich kominów. Do wozu zaprzęgnięto osiem dużych koni, które wyglądały na dość silne, aby poradzić sobie z błotem i grzęzawiskiem rogatek wiodących do Gloucester. Wnętrze wozu zapchane było tyłoma beczkami i pakami, że nie mieli nawet gdzie położyć stóp i woźnica zaczął się domagać, żeby porzucili swoje kufry.

- To ich własność, człowieku. I takie jest prawo - powiedział komornik tonem nie znoszącym sprzeciwu. Wdrapał się na wóz, aby odpiąć im łańcuchy na kostkach i zapięte u pasa, a zamiast tego przymocował je do półkolistych obręczy podtrzymujących płócienną

osłonę. Teraz mogli jedynie wcisnąć się jakoś między te ładunki z nogami wyciągniętymi przed siebie. Komornik zeskoczył na ziemię i przez chwilę Richard zastanawiał się, czy ich tam zostawi. Wóz szarpnął i ruszył z miejsca, a komornik, zwrócony do nich plecami, usadowił się na kozle obok woźnicy, nad którym zamontowano odpowiednią osłonę.

- Willy, rusz się! - powiedział Richard do swego zbolełego towarzysza, najwyraźniej mającego nieodpartą ochotę się rozplakać, Pomóż mi przenieść mój kufer tak, żeby go można było oprzeć o ten worek. Potem pomogę ci zrobić to samo z twoim. Będziemy wówczas mieli o co się oprzeć. Tylko nie płacz. Zabiję cię, jeśli się rozplaczesz.

Na tej rozmokłej, nie brukowanej drodze poruszali się bardzo wolno i od czasu do czasu wóz grzązał aż po same osie w błocie. Richard i Willy byli wtedy uwalniani z łańcuchów i schodzili na ziemię, żeby odkopywać i popychać wóz - jak zauważył z rozbawieniem Richard - razem z oburzonym komornikiem. Śnieg zaczął sypać gęsto, lecz temperatura nie była na tyle niska, aby mógł zamarznąć na powierzchni. Pod koniec pierwszego dnia, pozbawieni jedzenia i picia poza paroma garściami śniegu, przebyli zaledwie osiem z czterdziestu mil.

To jednak w zupełności zadowalało woźnicę, który zszedł z kozła przed zajazdem „Pod Gwiazdami i Pługiem” w Almondsbury.

- Jestem wam winny łóżko i koce - powiedział więźniom, okazując o wiele lepszy humor aniżeli w Bristolu. - To wasz wysiłek wydobyl nas z tego błota z pół tuzina razy. A jeśli chodzi o ciebie, Tom, zasłużyłeś sobie na kwaterkę piwa. A serwują tu dobre trunki. Właściciel ma własny browar.

Zniknął wraz z komornikiem Tomem, pozostawiając Richarda i Willy'ego nawozie, którzy zastanawiali się, co nastąpi potem. Wkrótce komornik Tom wrócił z kajdankami, otworzył łańcuchy przymocowane do obręczy i zaprowadził ich do kamiennej stodoły pełnej słomy. Znalazł belkę z kilkoma żelaznymi klamrami blisko podłogi i przykuł do nich więźniów. Potem zniknął.

- Taki jestem głodny! - zaskomlał Willy.

- Willy, możesz się modlić, ale nie płakać.

„Stodoła pachnie czystością, a słoma jest sucha, najlepsze gniazdko spośród tych, w których przyszło mi sypiać w ciągu ostatnich trzech miesięcy” - pomyślał Richard, okrywając się starannie słomą. W tym samym czasie wszedł właściciel zajazdu wraz z krzepkim wiejskim parobkiem. Gospodarz niósł tacę, na której spoczywały dwa kufle, chleb, masło i dwie duże miski gorącej zupy. Parobek udał się do pustej przegrody i powrócił z końskimi derkami.

- John mówi, że bardzo pomagaliście przy wozie - powiedział gospodarz, kładąc na ziemi tacę, tak aby mogli do niej dosięgnąć, po czym wycofał się pędkiem. - Macie jakieś pieniądze, żeby zapłacić do Pensa, którego komornik ma dla każdego z was? W przeciwnym razie będę musiał zapłacić z własnej kieszeni i obciążyć kosztami firmę Johna, ponieważ mówił, że zarobiliście dziś tyle, ile wynosi dzieńka robotnika.

- Ile? - zapytał Richard.

Trzy pensy od łebka, włącznie z kwartą piwa. Trzy pensy zapewniły im chleb i cienkusz o świcie, a potem znowu wdrapali się na wóz i zaczął się kolejny dzień podróży, następne osiem mil, przerywanych częstym odkopywaniem, pchaniem i dźwiganiem. Błoga noc spędzona pośród słomy i pod kocami w połączeniu z pożywym, gorącym jedzeniem wspaniale wzmocniła ciało Richarda, choć było obolałe z wysiłku. Nawet Willy poweselał i pracował z większym entuzjazmem. Przestało sypać śniegiem i chwycił lekki mróz, choć nigdy nie dość duży, aby zamarzła ziemia, toteż mogli pokonywać najwyżej osiem mil dziennie. Tempo to całkowicie zadowalało woźnicę Johna i prawdopodobnie pozwalało mu każdej nocy zatrzymywać się w tym samym zajeździe co zwykle.

Richard obliczał, że zostaną odstawieni do więzienia w Gloucester piątego dnia wieczorem. Wóz jednak zatrzymał się, kiedy dotarli do gospody „Pod Dożynkowym Księżycem” na przedmieściach Gloucester.

- Nie mam zamiaru zamykać was w tym cuchnącym miejscu po ciemku - wyjaśnił woźnica John. - Zapłaciliście za swoją podróż niczym dżentelmeni. I żał mi was, nawet bardzo. Będzie to wasza ostatnia noc przyzwoitego wypoczynku i jedzenia, Bóg jeden wie, na jak długo. Trudno mi myśleć o was jak o przestępcach, więc oby wam obu dopisało szczęście.

O świcie następnego dnia wóz przejechał po zwodzonej moście nad rzeką Severa i wjechał do miasta Gloucester przez zachodnią bramę. Miasto zachowało średniowieczny wygląd, nadal były tu mury obronne, fosy, zwodzone mosty i krużganki oraz na poły drewniane domy. Widok na miasto ograniczony został do tego, co udało się dostrzec przez nie okryty tył wozu, wystarczyło to jednak, aby zrozumieć, że Gloucester miało się tak jak ciernik do bristolskiego wieloryba.

Wóz podjechał do bramy osadzonej w grubych starych murach. Richard i Willy zeszli na ziemię i zostali wprowadzeni wraz z komornikiem Tomem na wielką otwartą przestrzeń, prawdopodobnie przeznaczoną na kultywację roślin, które zidentyfikować mogła jedynie wiosna. Przed nimi wznosił się zamek Gloucester, który służył jako więzienie. Zdołały go wysokie baszty i wieżyczki i zakratowane okna, lecz mimo to bardziej przypominał ruinę

aniżeli fortecę bronioną ostatnio w czasach Olivera Cromwella. Nie weszli do środka, lecz zamiast tego udali się do dużego kamiennego domku, opartego o zewnętrzny mur i fosę otaczającą zamek. Tam mieszkał naczelnik.

Richard doszedł do wniosku, że prawdziwym powodem, dla którego byli eskortowani z Bristolu aż tutaj, nie było pragnienie powstrzymania ich od ucieczki, ale raczej to, że bristolskie Newgate chciało odzyskać swoje łańcuchy. Zdjęto im bowiem każdy kawałek żelastwa, jakie mieli na sobie, a komornik Tom przygarnął je wszystkie do siebie niczym kobieta swe nowo narodzone dziecko. Gdy tylko rozliczono ich i oficjalnie zarejestrowano, wyszedł ze swoimi łańcuchami w worku, żeby złapać jakiś tani powóz do domu, pozostawiając Richarda i Willy'ego, aby założono im nowy zestaw znanych już im kajdanek, połączonych ze sobą łańcuchami o długości dwóch stóp. Zaraz potem dozorca - nigdy nie udało im się bowiem zobaczyć naczelnika - pogonił ich do zamku, gdzie odeszli, zabierając swoje cenne skrzynki.

W niewielkiej części zamku nadającej się jeszcze do zamieszkania znajdowało się już tylu więźniów, że siedzenie z wyciągniętymi przed siebie nogami było zupełnie niemożliwe. Jeśli nawet nieszczęśnicy ci siedzieli, to z podciągniętymi pod brodę kolanami. Izba liczyła dokładnie dwanaście stóp kwadratowych i mieściła około trzydziestu mężczyzn i dziesięć kobiet. Eskortujący ich dozorca ryknął jakiś niezrozumiały rozkaz i każdy, kto zdołał wcześniej znaleźć dość miejsca, żeby móc usiąść, teraz porwał się na nogi. Potem wszyscy wylegli na zewnątrz wraz z Richardem i Willym - ciągle jeszcze dźwigającymi swe skrzynie - i zatrzymali się na lodowatym podwórku, gdzie stało już dwudziestu innych mężczyzn i kobiet.

Była to niedziela i kontyngent więzienia w Gloucester miał teraz wysłuchać Bożej nowiny od wielebnego Evansa, leciwego dżentelmena mówiącego piskliwym głosem, którego zagłuszał wiatr wirujący wokół mniej więcej prostokątnej przestrzeni, sprawiając, że jego słowa o pokucie, nadziei i pobożności - jeśli o tym mówił - były zupełnie niezrozumiałe. Na szczęście uznał, że dziesięćminutowe nabożeństwo oraz następne dwadzieścia minut przeznaczone na kazanie wystarczy w ramach pracy za czterdzieści funtów rocznie - jakie płacono mu za tę usługę jako więziennemu kapelanowi - zwłaszcza że musiał je odprawiać również w środy i czwartki.

Potem zostali zagnani na wspólną salę dla przestępców, o wiele mniejszą od sali dłużników, choć było ich o połowę mniej.

- Od poniedziałku do soboty nie jest tu tak źle - odezwał się jakiś głos, gdy Richard kładł na ziemi swoją skrzynię, odsuwając przy tym kogoś z drogi, a potem usiadł na niej. -

Jaki z ciebie przystojny mężczyzna!

Przykucnęła u jego stóp, brutalnie rozpychając łokciami więźniów tłoczących się po obu stronach - wychudzone i żylaste stworzenie około trzydziestki, odziane w gęsto cerowaną halkę i bluzę, czarny kaftan i dziwnie zawadiacki czarny kapelusz, nasadzony szerszym rondem na bok, z przyczepionym doń gęsim piórem pomalowanym na czerwono.

- Nie ma tu jakiejś kaplicy, w której można byłoby wysłuchać kazania pastora? - zapytał Richard z lekkim uśmiechem. Było w niej coś sympatycznego i rozmowa z nią oznaczała, że nie musiał słuchać płaczącego Willy'ego.

- O, jest, ale nie na tyle duża, żeby mogła nas wszystkich pomieścić. W tej chwili nasze więzienie jest już niemal pełne i potrzebna nam porządna więzienna gorączka dla obniżenia liczebności. Nazywam się Lizzie Lock. - I wyciągnęła rękę.

Uścisnął ją.

- Richard Morgan. A to jest Willy Insell, będący zmorem mojego życia, poza tym że jest również moim cieniem.

- Jak się masz, Willy? Odpowiedzią był nowy wybuch płaczu.

- On jest jak fontanna - powiedział ze znużeniem w głosie Richard. - I pewnie któregoś dnia go uduszę. - Rozejrzał się dookoła. - Dlaczego trzymają tu kobiety razem z mężczyznami?

- Bo nie ma innego więzienia, mój drogi Richardzie. Nie ma też osobnego więzienia dla dłużników i dlatego miejsce to zostało wymienione w raporcie Johna Howarda na temat angielskich instytucji poprawczych, opublikowanym jakieś pięć lat temu. I dlatego też budowane jest nowe więzienie. Dzięki temu nie jest tu tak ciasno od poniedziałku do soboty, bo mężczyźni wtedy budują.

Wyłowił z tego jeden fakt.

- Kim jest ten John Howard?

- To facet, który napisał raport o poprawczakach, przecież już ci to mówiłam - odparła Lizzie Lock. - Nie pytaj mnie, bo nic więcej nie wiem. Pewnie nigdy nie dowiedziałabym się o nim, gdyby nie to, że wytargał za uszy całe Gloucester - biskupa, jego wielkie kolegium i urzędników parafialnych. No więc postarali się o akt parlamentarny na wybudowanie nowego więzienia. Ma być podobno skończone za trzy lata, lecz ja tego nie zobaczę, bo mnie już tu nie będzie.

- Oczekujesz, że cię zwolnią? - zapytał Richard, uśmiechając się coraz szerzej. Polubił ją, choć w najmniejszym stopniu go ni pociągała, tyle tylko, że jej czarne paciorkowate oczy jeszcze nie zrezygnowały z życia.

- A niechże cię Bóg błogosławi, oczywiście, że nie - odpowiedziała wesoło. - Dwa lata temu zostałam skazana na powieszenie.

- Co takiego?

- Na kaci stryczek, kochany Richardzie. Pow to słowo, które urzędnik wpisuje w oficjalnych księgach, gdy tylko przestaniesz kopać nogami. W Londynie nazywają to drobnym oszustwem.

- Widzę jednak, że nadal żyjesz.

- W poprzednie święta zostałam ułaskawiona. W zamian za to skazano mnie na siedem lat zesłania. Jak dotąd, nigdzie mnie nie wywieźli, ale to się musi kiedyś stać.

- Z tego, co słyszę, Lizzy, nie mają gdzie cię zesłać, choć w Bristolu mówiono o Afryce.

- Jesteś z Bristolu? Tak też myślałam. Tylko że mówisz przez nos, a nie bełkoczesz.

- Ja i Willy jesteśmy z urodzenia bristolczykami. Przyjechaliśmy dzisiaj wozem.

- I jesteś dżentelmenem - stwierdziła zdziwiona.

- Tylko w pewnym sensie, Lizzie. Wskazała palcem na drewniany kufer.

- Co tam masz?

- Moje rzeczy. Choć na jak długo, trudno powiedzieć. Zauważyłem, że niektórzy z tutejszych więźniów są chorzy, lecz większość wygląda lepiej niż ktokolwiek w bristolskim Newgate.

- To dzięki tej budowie nowego więzienia i jarzynowym grządkom Starej Matki Hubbard. Ci, co pracują, są porządnie karmieni. Taniej zatrudnić więźniów niż robotników z Gloucester - ma to coś wspólnego z ustawą parlamentu zezwalającą na zatrudnianie więźniów. My, kobiety, też dostałyśmy pracę - głównie ogrodnictwo.

- Stara Matka Hubbard?

- Hubbard, naczelnik więzienia. Najważniejsze to nie chorować, bo wtedy dostajesz jedynie jedną czwartą z przypadających ci przydziałów. Gorączka więzienna sieje tu prawdziwe spustoszenie. W okresie świąt Bożego Narodzenia w osiemdziesiątym trzecim roku straciliśmy ośmiu na ospę. - Poklepała kufer. - Nie martw się o to, kochany Richardzie. Ja ci go popilnuję za odpowiednią zapłatę.

- Jaką zapłatę? - zapytał Richard podejrzliwie.

- Za ochronę. Zarabiam pełne racje żywnościowe na cerowaniu i reperowaniu ubrań i do tego jeszcze parę pensów. Mógłbyś zatem rzec, że udzielam usług w sposób bynajmniej nie potępiany przez pastora. Ale mężczyźni ciągle się mnie czepiają, zwłaszcza ten Isaac Rogers. - Wskazała na ogromnego krzepkiego faceta, który wyglądał na prawdziwego

rzezimieszka. - Ten to prawdziwy hultaj!

- A co on takiego zrobił?

- Rozbój na gościńcu. Wódka i skrzynki herbaty.

- A co ty zrobiłaś?

Zachichotała i trzepnęła ręką po kapeluszu.

- Zwędziłam najcudowniejszy jedwabny kapelusz! Nie mogłam się powstrzymać, Richardzie. Uwielbiam kapelusze!

- Czy chcesz mi przez to powiedzieć, że skazano cię na śmierć za kradzież kapelusza?

Czarne oczy zamigotały, zwiesiła głowę.

- To było moje pierwsze wykroczenie - wyznała. - Mówiłam ci, że uwielbiam kapelusze.

- Czy opłaca się za to wisieć, Lizzie?

- To chyba jasne, że nie pomyślałam o tym, kiedy go gwizdnęłam.

Wyciągnął rękę do Lizzie po raz drugi.

- Umowa stoi, moja droga. Możesz uważać, że jesteś pod moją kuratelą, a w zamian za to oczekuję, że będziesz bronić tego kufra z narażeniem własnego życia. I nie próbuj podważać w nim zamków, Lizzie Lock. Przysięgam ci, że w środku nie ma kapeluszy! - Podniósł się na nogi, odsuwając innych na bok. - Jeśli zdołam przedrzeć się przez ten tłum, to chciałbym przyjrzeć się mojej nowej siedzibie. Pilnuj mojego kufra.

Piętnaście minut wystarczyło na zakończenie obchodu. Kilka mniejszych cel - nie oświetlonych, pozbawionych wentylacji i nie zaludnionych - wychodziło z głównej sali, a dwie z nich miały wygodki. Rozpadające się schody wiodły do rejonów na górze, zamkniętych bramą. Sala dłużników, oddzielona od pomieszczenia dla przestępców okratowaną bramą, liczyła dziesięć na dwadzieścia stóp, lecz podobnie jak tamte cele również nie miała żadnego okna ani wentylacji i panowałyby w niej styksowe ciemności, gdyby nie to, że więźniowie wyburzyli kawałek ściany u góry, zapewniając dostęp powietrza i światła. Dalej znajdowało się podwórze. Mimo że mieli więcej miejsca, los dłużników był jeszcze podlejszy od doli przestępców - nie pracowali, więc dostawali jedną czwartą dziennej racji. Podobnie jak więźniowie w bristolskim Newgate byli wyczerpani, częściowo odziani w łachmany i apatyczni.

Wrócił na salę przestępców, gdzie zastał Lizzie Lock broniącą z wigorem kufra przed rozbójnikiem Isaakiem Rogersem. - Zostaw ją i moje rzeczy w spokoju - powiedział zwięźle Richard.

- A spróbuj mnie do tego zmusić! - warknął Rogers opryskliwie, gotując się do bójki.

- Odpierdol się, dobrze? Jesteś bryłą tłuszczu, z którą poradziłbym sobie za pierwszym razem - odparł Richard tonem równie znużonym, co pewnym siebie. - Idźże sobie. Jestem spokojnym człowiekiem, nazywam się Richard Morgan, a ta oto dama jest pod moją opieką. - Objął Lizzie Lock ramieniem, a ona przyłgnęła do niego radośnie. - Są tu inne kobiety. Naprzykrzaj się którejś z nich.

Rogers zmierzył go dokładnie wzrokiem i zdecydował, iż dyskrecja tym razem bardziej się opłaci. Gdyby Morgan okazał choć cień strachu, wszystko potoczyłoby się inaczej, lecz ten facet niczego się nie obawiał. Zbyt spokojny, za bardzo opanowany. Tacy faceci biją się jak koty, zębami, pazurami i butami. A do tego są zwinni. Dlatego też Rogers odszedł ociężale, wzruszywszy ramionami, pozostawiając Richarda siedzącego na tym swoim kufrze, z Lizzie usadowioną na jego kolanach.

- Kiedy nas tu karmią? - zapytał. Jaka sprytna niewiasta! W ogóle nie musiał się obawiać, że źle zrozumie jego galanterię. Lizzie Lock odpowiadał bowiem opiekun, który jej nie pożałował.

- Wkrótce dadzą nam obiad - odpowiedziała. - Ponieważ jest niedziela, dostaniemy świeży chleb, mięso i kawałek sera, rzepę i kapustę. Bez masła i dżemu, ale wystarczy, żeby się najeść. Przestępcy mają własną kuchnię, tam. - Wskazała na koniec sali. - Kucharz da ci drewnianą miskę i cynowy garnuszek. Na kolację jest chleb, cienkusz i kapuśniak.

- A mają tu bar?

- Co takiego? Tutaj? A co, lubi się trunek, Richardzie, moje ty kochanie?

- Nie, nie pijam niczego oprócz cienkusza i wody. Tak tylko się pytałem.

- Simmons - przezywają go Szczęśliwym - jest zastępcą naczelnika. Przyniesie ci trunek za dodatkowego pensa. Ale wtedy będziesz musiał się mieć na baczności przed Isaakiem. Nasz Ike wściekle się zatracza w swoich kuflach.

- Pijacy zawsze są niezdarni, miałem z nimi do czynienia przez całe życie.

Pod koniec lutego Richard wiedział już wszystko o więzieniu w Gloucester. Poznał też tamtejszych więźniów, którzy stali się mu raczej serdecznymi przyjaciółmi aniżeli zwykłymi znajomymi. Czternastu z nich miało zostać osądzonych w czasie wielkopostnych sądów objazdowych, a reszta została już skazana, przy czym większość na zsyłkę. Pośród tej czternastki były trzy kobiety. Mary (znana jako Maisie) Harding, oskarżona o posiadanie skradzionych dóbr, Betty Mason - oskarżona o kradzież sakiewki zawierającej piętnaście gwinei z domu w Henbury i Bess Parker - oskarżona o włamanie się do domu w North Nibley i kradzież dwóch lnianych ubrań. Bess Parker żyła w stałym związku z przestępcą z 1783

roku, Nedeem Pughem, a Betty Mason oczarowała zastępcę naczelnika - Johnny'ego. Obie spodziewały się lada chwila rozwiązania.

„Jakże wspaniały jest ten nasz świat” - pomyślał ironicznie Richard. - „Wspólna sala, na której ledwo da się stać, a kiedy dozorca otworzy bramkę, ohydna męska sypialnia na górze. Ludzie zupełnie zobojętniali na wszystko”. Nie zważając na kobiety, on sam rozbierał się i mył przy pompie w ciemnej i dusznej celi, z niewzruszonym spokojem prał swoje szmaty do tyłka pod tą samą pompą i filtrował wodę do picia przez okapnik na oczach ponad dwóch tuzinów nie dowierzających mu ludzi. Stał się do pewnego stopnia egoistą, nawet nie próbował dzielić swej oczyszczonej wody z Lizzie czy Willym. Okapnik działał wolno, przez godzinę mógł oczyścić jeden litr wody. Z nikim też nie dzielił się ani swoim mydłem, ani szmatami. Jedyne parę pensów, jakie wydał ze swego zapasu, przeznaczył dla praczki, Maisie, za pranie jego bielizny, koszul i skarpet - no cóż, spodnie i reszta wierzchniego ubrania po prostu cuchnęły potem.

Maisie była jedyną kobietą bez opiekuna i rozdzielą swe względy bezpłatnie, podczas gdy pozostałe dwie czy trzy kobiety można było mieć za kufel jałowcówki. Kiedy jakaś para poczuła ochotę na seks, kładli się na podłodze, gdzie tylko znaleźli miejsce, a jeśli było to niemożliwe, stawali pod ścianą. Akty te były pozbawione erotyzmu, gdyż ubrania pozostawały na miejscu, a ciekawski osobnik mógł co najwyżej dojrzeć kawałek penisa lub owłosiony wzgórek, lecz zazwyczaj nawet to było niemożliwe. Richarda najbardziej dziwił fakt, że nic podobnego nie zdarzało się w przyległych celach - zdawało się, że wszystkich przerażają ciemności.

Na początku marca zarówno Bess Parker, jak i Betty Mason odeszły wody, więc przeniesiono je ze wspólnej sali do żeńskich sypialni, aby w tym ohydnych miejscu urodziły swoje dzieci. Dwie inne kobiety karmiły niemowlęta urodzone w więzieniu Gloucester, a Maisie miała małego berbecia, którego przyniosła ze sobą do więzienia. Większość dzieci umierała albo przy porodzie, albo niedługo potem. Jeśli któreś z nich przeżyło parę lat, graniczyło to z cudem.

Praca była tu prawdziwym błogosławieństwem. Richarda przydzielono do noszenia wapiennych bloków z zamkowego doku do nowego więzienia, umożliwiało to zarówno wdychanie świeżego powietrza, jak i rozejrzenie się dookoła. Niewielki port Gloucester znajdował się na północ od zamkowego kompleksu po tej samej stronie rzeki Severn, która była spławna do tego miejsca dla małych dwumasztowców i wielkich barek. Jedna z dwóch odlewni miasta wykonywała kościelne dzwony, a ta druga zadowalała się produkcją małych żelaznych przedmiotów, łatwych do sprzedania w okolicy. Obie obficie dymiły, lecz nie na

tyle, aby zanieczyścić powietrze, które wydawało się Richardowi słodkie i rześkie. Severn również nie wyglądała na brudną, choć endemiczna gorączka wskazywała na to, że woda w więzieniu była skażona. Mogły też roznosić ją pchły i wszy, z którymi Richard rozprawiał się przez czyszczenie swego drewnianego talerza olejem smołowym i nieustanne iskanie siebie i swojego ubrania. Och, Boże, żeby tak być czystym! Móc żyć w czystości! Żeby choć trochę można było żyć na osobności!

Gorączka więzienna wybuchła zaledwie parę dni po przybyciu Richarda i Willy'ego, co zmniejszyło liczebność we wspólnej sali z czterdziestu do dwudziestu więźniów. Niewielki dopływ nowych osób sprawiał, że oczekujących na rozprawę nadal było tylko czternastu.

Spędzony wspólnie czas i dzielona praca zbliżyły mężczyzn do siebie. Richard wkrótce kilku z nich polubił na tyle, że mógł ich nazwać przyjaciółmi - Williama Whitinga, Jamesa Price'a i Josepha Longa. Wszyscy byli razem z nim na liście sądzonych w czasie wielkopostnego sądu objazdowego.

Whiting był oskarżony o kradzież wykastrowanego barana w tym samym miejscu, gdzie przenocowano pośród słomy Richarda i Willy'ego - w zajezdzie „Pod Gwiazdami i Pługiem” w Almondsbury.

- To absolutne bzdury! - odpowiedział Whiting, prawdziwy kawalarz. Nikt nigdy nie wiedział, kiedy mówi poważnie, a kiedy żartuje.

- Dlaczegoż, u diabła, miałbym kraść owcę? Chciałem ją tylko trochę popierdolić. Oddałbym ją z powrotem nazajutrz rano i nikt by się o tym nie dowiedział. A tymczasem pasterz nie spał.

- Taki byłeś zdesperowany, Bill? - zapytał Richard, bez cienia uśmiechu.

- Nie tyle zdesperowany, ile, no cóż, po prostu lubię się rznąć a owcza dupa nie różni się wiele od babskiej cipy - mówił Willy z ożywieniem. - Pachnie tak samo, a jest w niej odrobinę ciaśniej. A poza tym owce ci nie pyskują. Widzisz, bracie, wsadzisz sobie jej tylne racice do butów i jazda!

- Wszystko jedno, Bill, czy to za bestialstwo, czy za kradzież owiec, i tak grozi ci stryczek. Ale czemu akurat w Almondsbury? Zaledwie osiem mil stamtąd miałbyś tysiąc dziwek obu płci w Bristolu - one też nie pyskują.

- Nie byłem w stanie już dłużej czekać. Miała taką uroczą twarz. Przypominała mi takiego jednego pastora, którego kiedyś znałem.

Richard dał za wygraną.

Jimmy Price był parobkiem z Somerset, z głową za słabą do picia rumu. Wraz ze

swoim towarzyszem obrabował trzy domy w Westbury - upon - Trim i ukraść spore ilości wołowiny, wieprzowiny i baraniny, trzy kapelusze, dwa płaszcze, haftowany kaftan, buty do końskiej jazdy, muszkiet i dwie zielone parasolki. Jego towarzysz, Peter, zmarł już wcześniej na gorączkę więzienną. Jimmy nie okazywał skruchy, gdyż był przekonany o swojej niewinności.

- Nie miałem zamiaru kraść. Nie pamiętam, żebym to zrobił - I wyjaśniał. - A na cóż mi dwie zielone jedwabne parasolki? Nie miałbym gdzie tego sprzedać w Westbury. Nawet nie byłem głodny i żadna z tych rzeczy nie pasowała ani na mnie, ani na Petera. Nigdy też nie ukraść żadnego prochu ani nie strzelał z muszkietów.

Historia trzeciego z tej trójki, którego było Richardowi serdecznie żal, była jeszcze smutniejsza. Joey Long, o słabej woli i słabym umyśle, ukraść złoty zegarek w Slimbridge.

- Byłem pijany - powiedział po prostu. - A zegarek był taki śliczny!

Oczywiście Richard odpowiadał na podobne pytania - wspólna sala przestępców była czymś w rodzaju Klubu Wielkiego Złodziejstwa. Jego wyjaśnienia zawsze brzmiały krótko:

- Wymuszenie i kradzież mienia. Weksel opiewający na pięćset funtów i stalowy zegarek. - Odpowiedź ta zdobyła mu wiele szacunku, nawet w oczach Isaaca Rogersa.

- To użyteczny termin - kradzież mienia - zwrócił się do Billa Whitinga, kiedy razem wlekli wapienne głązy. Whiting był inteligentny, potrafił pisać i czytać. - W moim przypadku był to stalowy zegarek, w przypadku biednej Bess Parker parę lnianych roboczych ubrań, wartych co najwyżej sześć pensów. W przypadku Rogersa - cztery galony wódki i cztery tysiące pięćset funtów najlepszej zielonej herbaty na wagę, w sprzedaży rynkowej po funcie za funta. Ponad pięć tysięcy funtów z grabieży. A mimo to wszystkich nas sądzą za kradzież. To bezsensowne.

- Rogers zawiśnie - skomentował Whiting.

- Lizzie została skazana na powieszenie za kradzież trzech kapeluszy.

- To wielokrotne wykroczenie, Richardzie - odpowiedział Whiting ze śmiechem. - Miała się poprawić i już nigdy tego nie robić. Problem w tym, że większość z nas była w tym czasie pijana. Można o to winić trunk.

Dwóch kuzynów Jamesów przybyło do Gloucester wynajętą dorożką w poniedziałek, dwudziestego pierwszego marca. Nie znaleźli żadnego przyzwoitego miejsca na nocleg, toteż zatrzymali się w końcu w gospodzie „Pod Dożynkowym Księżycem”, gdzie w stodole Richard i Willy spędzili swoją ostatnią noc, zanim znaleźli się w więzieniu w Gloucester.

Podobnie jak Richard, spodziewali się, że nowe więzienie będzie o wiele znośniejsze od starego. A poza tym nie wyobrażali sobie, aby jakiegokolwiek więzienie mogło być gorsze od bristolskiego Newgate.

- W tej chwili jest tu całkiem niezłe, moi drodzy kuzyni - powiedział Richard, zdziwiony ich przerażeniem, kiedy zostali zaprowadzeni na wspólną salę przestępców. - Gorączka więzienna ogromnie nas tu przetrzebiła. - Cmoknął ich obu w usta, lecz nie pozwolił wziąć się w objęcia. - Śmierdzą - wyjaśnił.

Po niedzielnym nabożeństwie pojawił się nagle stół i ławki. Ostrzeżony, że parlament zwraca teraz szczególną uwagę na więzienia dla dłużników wymienione w raporcie Johna Howarda i że baron Eyre może zażądać inspekcji jego instytucji, naczelnik więzienia robił, co mógł.

- Jak się ma ojciec? - brzmiało pierwsze pytanie Richarda.

- Nie na tyle dobrze, aby pozwolić sobie na taką podróż, ale mimo to lepiej. Przesyła ci pozdrowienia - odpowiedział kuzyn James aptekarz. - I modlitwy.

- A mama?

- Jak to ona. Też przesyła ci pozdrowienia i modlitwy.

Kuzyn James był zaskoczony tak dobrym wyglądem Richarda. Co prawda płaszcz, kaftan i spodnie śmierdziały i były wytarte, lecz koszulę i pończochy miał czyste, podobnie jak szmaty, które podkładał pod łańcuchy na kostkach. Włosy miał przystrzyżone tak krótko jak w Newgate i bez śladu siwizny, paznokcie czyste i krótko przycięte twarz świeżo ogoloną i ani jednej zmarszczki. Oczy zdawały się odległe i surowe, trochę przerażające.

- Są jakieś wiadomości o Williamie Henrym?

- Nie, Richardzie, ani słowa.

- A zatem to wszystko nie ma znaczenia.

- Ależ oczywiście, że ma! - powiedział zdecydowanym tonem kuzyn James. - Zatrudniłszy dla ciebie adwokata. Niestety, nil bristolczyka. Te objazdowe wiejskie sądy nie lubią obcych. Kuzyn Henry adwokat polecił nam znaleźć odpowiedniego człowieka z sądu w Gloucester. Jest tu dwóch sędziów - pierwszy to baron sądu najwyższego Królewskiego Ministerstwa Skarbu, a jest nim sir James Eyre, a drugi to baron sądu wyższego Prawa Zwyczajowego, którym jest sir George Nares.

- Widzieliście Ceely'ego Trevilliana?

- Nie - odpowiedział kuzyn James aptekarz. - Ale powiedziano mi, że zatrzymał się w najlepszym zajeździe w mieście. Sąd to wielkie wydarzenie dla Gloucester, zorganizowane z wielką pompą, jak słyszę, przynajmniej jutro rano, kiedy wszyscy przejdą w procesji przez

całe miasto aż do ratusza, który pełni rolę sądu. Obaj sędziowie zatrzymali się w specjalnych kwaterach w pobliżu, ale większość z ich sierżantów, adwokatów i urzędników rozlokowała się w zajazdach. Jutro obradują sędziowie przysięgli, ale to tylko taki zwyczaj. Wszyscy będziecie mieli rozprawę, tak twierdzi twój adwokat.

- Jest nim James Hyde z Chancery Lane w Londynie. To adwokat, który objeżdża okręg oksfordzki wraz z baronami Eyre'em i Naresem.

- Kiedy przyjdzie się ze mną zobaczyć?

- On tego nie robi, Richardzie. Ma obowiązki w sądzie. Nie zapominaj, że nie może przedstawić twojej wersji wypadków. Słucha zeznań świadków i usiłuje znaleźć jakąś nieścisłość, żeby ponownie ich przesłuchać. Ponieważ nie wie, kim są świadkowie ani co powiedzą, widzenie się z tobą nie ma sensu. Przedstawiliśmy mu odpowiednio całą sprawę. Jest bardzo przychylny i zdolny.

- Ile wynosi jego honorarium?

- Dwadzieścia gwinei.

- I już mu zapłaciliście?

- Aha.

„To istna farsa” - pomyślał, uśmiechając się ciepło i obejmując się ramionami.

- Jesteście dla mnie tacy dobrzy. Nie potrafię wyrazić słowami, jak bardzo doceniam waszą dobroć.

- Jesteś członkiem naszej rodziny, Richardzie - odpowiedział kuzyn James duchowny ze zdziwieniem.

- Przyniosłem ci nowe ubrania i nową parę butów - oznajmił James aptekarz. - I perukę. Nie możesz przecież pokazać się w sądzie z wygoloną czaszką. Kobiety - twoja matka, Ann i Elizabeth - przysłały ci całe pudło bielizny, koszul, pończoch i szmat.

Richard nic na to nie odpowiedział - rodzina przygotowała się na najgorsze, nie na najlepsze. Bo jeśli za dwa dni miałby zostać uwolniony, to na co mu całe pudło nowych ubrań?

Dźwięki wskazujące na to, że Gloucester uroczyście obchodzi początek sesji sądu objazdowego, dotarły wyraźnie do uszu Richarda nazajutrz rano, kiedy dźwigał kamienne bloki - ogłuszający jazgot trąbek i rogów, huk bębnow, okrzyki podziwu, muzyka orkiestry złożonej z bębnow i piszczałek, dźwięczny śpiew na głosy przemawiające płynną łaciną. W całym Gloucester panował świąteczny nastrój.

W więzieniu nastrój był raczej ponury. Nikt - jak zorientował się Richard, patrząc na swoich szesnastu oskarżonych współtowarzyszy (ich liczba znowu wzrosła) - tak naprawdę

nie spodziewał się innego wyroku aniżeli „winny”. Jaszcz dwóch innych mogło sobie pozwolić na prawnika - Bill Whiting i Isaac Rogers. James Hyde został również ich obrońcą, więc Richard uznał, że pan Hyde był po prostu jedynym kandydatem.

- Czy żaden z nas nie ma nadziei na wydostanie się stąd? - zapytał Lizzie.

Lizzie, weteranka trzech rozpraw w tych samych sądach objazdowych, spojrzała na niego bez wyrazu.

- Nikt się stąd nie wydostaje, Richardzie. - odpowiedziała po prostu. - Jak mogłoby się stać inaczej? Dowody przedstawiane są przez oskarżyciela i świadków, a sędzia wierzy w to, co słyszy. Nieomal wszyscy jesteśmy winni, choć znałam kilku, którzy byli ofiarami kłamstw. Pijaństwo nie jest żadnym usprawiedliwieniem, a gdybyśmy mieli wysoko postawionych przyjaciół, nie znaleźlibyśmy się w więzieniu w Gloucester.

- Czy kiedykolwiek zdarzyło się, żeby kogoś uniewinniono?

- Może jedną osobę - jeśli sądy są odpowiednio duże. - Usiadła mu na kolanie i pogładziła po włosach, jakby był dzieckiem. - Nie rób sobie wielkich nadziei, kochany Richardzie. Fakt, że siedzi się na ławie oskarżonych, jest już wystarczającym dowodem potrzebnym sędziom. Tylko nałóż perukę, proszę cię.

Kiedy dwudziestego trzeciego marca Richard podreptał o świcie - z rękami w kajdankach i wszystkimi łańcuchami przyczepionymi do pasa - miał na sobie nowe ubranie, bardzo proste, składające się z czarnego surduta, czarnej kamizelki i czarnych spodni, z nowymi czarnymi butami na nogach i czystymi podkładkami w kostkach i na nadgarstkach. Nie nałożył jednakże peruki - była zbyt okropna w dotyku. Siedmiu innych poszło razem z nim - Willy Insell, Betty Mason, Bess Parker, Jimmy Price, Joey Long, Bill Whiting i Sam Day - siedemnastolatek z Dursley, oskarżony o kradzież dwóch funtów wełny z warsztatu tkackiego.

Wprowadzono ich do ratusza tylnymi drzwiami i sprowadzono po schodach w dół do lochów, nie pozwalając nawet spojrzeć na arenę, na której - choć rozgrywała się jedynie słowna walka - śmierć była również możliwa.

- Jak długo to potrwa? - szepnęła Bess Parker do Richarda, z oczyma wielkimi ze strachu. Straciła swe dziecko przez gorączkę więzienną dwa dni po urodzeniu, co pogrzyżyło ją w smutku.

- Przypuszczam, że niedługo. Sąd nie będzie obradował dłużej niż sześć godzin dziennie, jeśli w ogóle tyle, a jest nas tu ośmioro oczekujących na rozprawę. Wszystko pójdzie tak sprawnie, jak wyrób kiełbasek rzeźnikowi.

- Och, tak się boję! - zapłakała Betty Mason, której córeczka urodziła się martwa, więc

również bardzo cierpiała.

Jimmy'ego Price'a wzięto najpierw, lecz nie powrócił do nich, gdy przysłała kolej na Bess Parker, i dopiero po wyjściu Betty Mason reszta pozostałych w celi więźniów zorientowała się, że po zakończeniu rozprawy sądzone najwidoczniej wracał prosto do więzienia.

Odprowadzono Sama Daya, pozostawiając Richarda i Willy'ego w celi z Joeyem Longiem i Billym Whitingiem. Upłynęło parę godzin.

- Pora obiadowa dla ich lordowskich mości - powiedział niepohamowany Whiting. Oblizwał usta. - Pieczona gęś, pieczeń wołowa, barania, kremy, babeczki i placki, ciasteczka, puddingi i paszteciki. To nam dobrze wróży, Richardzie. Brzuchy ich lordowskich mości będą pełne, a głowy zamroczy im czerwone wino i porto.

- A ja sędzę, że tym gorzej dla nas - odparł Richard, nie mając nastroju na żarty. - Zacznie im dokuczać podagra i kiszki.

- Z ciebie istny hiobowy pocieszyciel!

On wraz z Willym byli ostatni. Według zegara na ścianie w sali sądowej zostali zabrani na górę o trzeciej trzydzieści. Wyjście z lochów prowadziło bezpośrednio na ławę oskarżonych, na której Richard i William stanęli, mrugając pod wpływem jasnego światła. Dotrzymywał im towarzystwa strażnik, w średniowiecznych regaliach i o letargicznej postawie. Choć sala była nieduża, to jednak miała na górze galerię dla widzów. Ci, którzy pozostawali na dole, mieli najwidoczniej do odegrania jakąś rolę w dramacie. Dwaj sędziowie zasiadali na wysokim podium, przyodziani w cały majestat obrzeżonych futrem szkarłatnych szat i pełnych peruk. Pozostali urzędnicy sądowi siedzieli dookoła nich lub poniżej, podczas gdy jeszcze inni kręcili się po sali. Który z nich był jego adwokatem, panem Jamesem Hyde'em? Richard nie miał pojęcia. Dwunastu sędziów przysięgłych stało w czymś, co trochę przypominało zagrodę dla owiec. Ukradkiem odciążali swe zmęczone stopy, przestępując z nogi na nogę. Richard zdawał sobie sprawę z ich położenia, bo jak każdy wolny obywatel od Tweedu po Kanał odczuwał sporą niechęć do obowiązku służenia jako przysięgły - ze względu na zakaz siedzenia w trakcie pracy i brak rekompensaty za utratę dziennych zarobków. Co tylko zachęcało przysięgłych do zakończenia roboty tak prędko, jak tylko sędzia zdołał ogłosić: - „Szubienica!”

Pan John Trevillian Ceely Trevillian siedział w towarzystwie groźnie wyglądającego mężczyzny, w kostiumie uczestnika dramatu - szatę, spiętą do tyłu perukę, sprzączki i odznaczenia. Było to zupełnie nie znane mu wcielenie Ceely'ego - ten Ceely był w skromnym, ale najlepszym czarnym ubraniu, na głowie miał konserwatywną perukę, czarne

rękawiczki z kozłłej skórki i wygląd sympatycznego idioty. Po mizdrzącym się błaznie lub energicznym oszuście akcyzowym nie pozostał już żaden ślad. Ceely siedzący teraz w ratuszu w Gloucester był uosobieniem kogoś, kto został wystrychnięty na dudka. Na widok Richarda wchodzącego na ławę oskarżonych Ceely wydał z siebie przenikliwy pisk przerażenia i schował się za swego towarzysza, a potem patrzył wszędzie, tylko nie w stronę ławy oskarżonych. Zgodnie z prawem, Ceely był oskarżycielem, lecz cała robota przypadła jego prawnikowi, który opowiadał przysięgłym o potwornej zbrodni, której dopuści, li się ci dwaj przestępcy zasiadający na ławie oskarżonych. Richard' położył swe okute w kajdany ręce na balustradzie i mocno oparłszy stopy na starej drewnianej podłodze, słuchał, jak oskarżyciel wychwala zalety - i idiotyzmy - tego biednego nieszkodliwego człowieka pana Trevilliana. Zrozumiał wówczas, że tego dnia w Gloucester nie zdarzy się żaden cud.

Ceely opowiadał swoją historię pośród szloch, ze ściśniętym gardłem i z długimi przerwami na znalezienie odpowiednich słów, wywracając oczyma, a niekiedy zakrywając twarz nie osłoniętymi przez rękawiczki dłońmi, podnieconymi, drżącymi, to znów zaciskającymi się nerwowo. Pod koniec tego przedstawienia sędziowie, pod wrażeniem jego umysłowych ograniczeń i materialnego dobrobytu, najwyraźniej uznali go za ofiarę lubieżnej kobiety i jej wściekłego męża. Co samo w sobie jeszcze nie udowodniało, że dokonano tu celowego przestępstwa ani też że weksel opiewający na pięćset funtów rzeczywiście został wymuszony.

Zadanie ustalenia tych faktów spadło na dwóch świadków - panią Joice - żonę fryzjera, która podsłuchiwała przez ścianę, i pana Dangerfielda z sąsiedniego domu, który podglądał przez szczeliny w przepierzeniu. Pani Joice cieszyła się doskonałym słuchem, a pan Dangerfield potrafił obserwować świat naokoło przez ćwierćcalową szparkę. Jedno z nich usłyszało: „Ty przeklęta suko! Gdzie twoja świeczka?” i „Rozwalę ci łeb, ty cholerny łajdaku!”, podczas gdy drugie z nich widziało, jak Morgan i Insell grozili Ceely'emu młotkiem i zmuszali go, żeby coś napisał przy biurku.

Pan James Hyde, występujący w imieniu Richarda, okazał się wysokim, szczupłym mężczyzną, który przypominał swoim wyglądem kruka. Dobrze przesłuchiwał świadków, jak się zdawało, w celu ustalenia, że trzy domy w pobliżu Studni Jakuba stanowiły gniazdko plotkarzy, którzy w rzeczywistości słyszeli i widzieli bardzo niewiele i skonstruowali swoje opowieści na podstawie tego, co im Ceely później opowiedział na ulicy, po czym udzielono mu schronienia w domu państwa Dangerfieldów, gdzie towarzyszyła im również pani Joice.

W jednym punkcie Ceely nie był w stanie poczynić żadnego postępu - świadkowie zgodnie zaświadczyli, że Richard krzyknął przez drzwi, że pan Trevillian może dostać swój

zegarek z powrotem, ale dopiero gdy Richard otrzyma swoje zadośćuczynienie. Nawet sędziowie uznali, że zabrzmiało to jak słowa poszkodowanego męża.

Ależ to śmieszne!” - pomyślał Richard, słuchając dalszych zeznań świadków, w których wyjście do tawerny „Pod Czarnym Koniem” P^o pokrzepiające trunki zostało przesunięte na następny dzień.

Gdyby nam z Willym pozwolono wszystko opowiedzieć, łatwo moglibyśmy udowodnić, że w tym czasie obaj byliśmy na podwórzu zajazdu „Pod Baranem”. Do Bath jeździ tylko jeden powóz, który wyrusza w samo południe, i nawet Ceely przyznaje, że powinienem być wtedy w Bath. A oni wszyscy mówią, że byłem w Clifton!”

W trakcie zeznania pani Joice okazało się, że podsłuchiwała, jak Richard i Annemarie spiskowali na korytarzu przeciwko Ceely’emu. Tak jakby - pomyślał Richard - ktoś mający kryminalne zamiary postanowił odbyć taką rozmowę tuż obok cienkiego przepierzenia!” Jednakże już samo słowo „spisek” sprawiło, że zarówno sędziowie, jak i przysięgli zeszywnieli.

Pani Mary Meredith zeznała, że widziała tych mężczyzn z ławy oskarżonych oraz kobietę w pobliżu Studni Jakuba, kiedy wracała do domu około ósmej wieczorem i przypomniała sobie, że słyszała, jak rozmawiali o zegarku i o tym, że Ceely będzie musiał iść do sądu, aby go odzyskać. Zdumiewające! O ósmej wieczorem pod koniec września nikt nie mógłby dostrzec rysów twarzy z odległości większej od jednego jarda, jak przypomniał pani Meredith pan Hyde, ku jej ogromnemu zmieszaniu.

Słabe światełko nadziei zaczęło rozpraszać mrok wokół Richarda. Bez względu na to, jak bardzo starał się oskarżyciel, przysięgli nadal nie potrafili ustalić, czy to, co się stało, było celowe, czy też było wynikiem gniewu spowodowanego przyprawieniem rogów.

Wezwano kuzyna Jamesa aptekarza i kuzyna Jamesa duchownego, aby zaświadczyli o reputacji Richarda - i choć oskarżyciel zwrócił uwagę na ich bliskie pokrewieństwo z oskarżonym, nie było wątpliwości, że takie dwa filary uczciwości wywarły na sędziach przysięgłych ogromne wrażenie. Problem w tym, że dzięki obrońcy rozprawa ciągnęła się już prawie godzinę i przysięgli nie mogli się doczekać, kiedy będą mogli usiąść. Nikt nie chciał długiej rozprawy pod koniec dnia, włącznie z sędziami.

James Hyde wezwał na świadka Roberta Jonesa.

Richard podskoczył. Robert Jones miałby zeznawać na jego korzyść? Ten lizus, który tak przypochebiał się Williamowi Thorne’owi i powiedział mu o wizycie Willy’ego w urzędzie akcyzy?

- Czy zna pan oskarżonego, panie Jones? - Aha, obu.

- Czy są to porządni, przestrzegający prawa ludzie, panie Jones?

- Aha, nawet bardzo.

- Czy, o ile panu wiadomo, przekroczyli oni kiedykolwiek prawo?

- Nie, nigdy.

- Czy jest pan w posiadaniu jakiegokolwiek informacji - oprócz plotek, których, zdaje się, jest tu bardzo wiele - o wydarzeniach w Studni Jakuba trzydziestego września zeszłego roku?

- O tak, jestem, proszę szanownego pana.

- W jakim sensie?

- Słucham?

- Co pan wie, panie Jones?

- No więc, na początek, pani Joice nie jest żadną tam panią. Jest dziewczynką, która się wprowadziła do pana Joice'a.

- Pani Joice nie jest tu sądzona, panie Jones. Niech się pan ograniczy do tamtych wydarzeń.

- Rozmawiałem z nią i z panem Dangerfieldem. Pan Dangerfield zabrał mnie do siebie do domu na górę, tam skąd rzekomo podglądał, ale mówił mi, że niczego nie słyszał i nie widział za wiele. Pani Joice powiedziała, że niczego nie widziała i niczego nie słyszała.

Prokurator zmarszczył brwi, a pan Trevillian, właściwy oskarżyciel, patrzył tak, jakby wszystko to przerastało jego nader ograniczone zdolności pojmowania.

Oskarżyciel zdecydował się przesłuchać świadka.

- Kiedy ta rozmowa z panią Joice i z panem Dangerfieldem miała miejsce, panie Jones? Proszę się wyraźnie wypowiadać.

- Słucham?

- Niech pan mówi absolutnie jasno.

- Aha. Działo się to następnego dnia, kiedy poszedłem zobaczyć się z Willym Insellem. Z oskarżonym Willym Insellem znaczy się, w Studni Jakuba. Słyszałem całą historię od niego i zapytałem sąsiadów, czy coś widzieli i słyszeli. Pani Joice - która wcale nie jest żadną tam panią - powiedziała, że nie słyszała i nie widziała niczego. Pan Dangerfield pokazał mi miejsce, przez które podglądał, ale kiedy sam popatrzyłem, nie byłem w stanie niczego zobaczyć.

Wezwano ponownie panią Joice, a ona wyjaśniła, że naturalnie, zaprzeczała, aby cokolwiek słyszała czy widziała, nie była bowiem osobą, która popiera wtrącanie się do cudzych spraw.

Zawezwano ponownie pana Dangerfielda, który powtórzył, że nic, nie twierdził, że coś słyszał, a jedynie, że widział.

- Wezwać pana Jamesa Hyde'a! - zawołał głośno oskarżyciel.

Adwokat Richarda podskoczył, zaskoczony.

- Nie, nie pana, mój uczony kolego. Pana Jamesa Hyde'a, służącego matki pana Trevilliana.

Ten drugi James Hyde był niskim, rudawym mężczyzną po pięćdziesiątce, o pospolitym i lekko służalczym wyglądzie, typowym dla starszego rangą domowego sługi. Oświadczył, iż pan Dangerfield przyszedł zobaczyć się z nim pierwszego października i poinformował go, iż niejaki Robert Jones powiedział mu, że za sumę pięciu gwinei mógłby udowodnić, że Morgan spiskował ze swoją żoną, aby obrabować pana Trevilliana.

Pośród przysięgłych nastąpiło poruszenie i rozległy się pomruki. Sędzia, sir James Eyre, wyprostował się.

- Spisek, panie Hyde?

- Tak, proszę pana, spisek.

- Czy pan Insell również był w to zamieszany?

- Pan Dangerfield nic o tym nie wspominał. Tylko Morgan i pani Morgan.

Zawezwany z powrotem pan Dangerfield przyznał, że poszedł do domu pani Maurice Trevillian, aby zobaczyć się tam ze swoim przyjacielem, panem Jamesem Hyde'em, i powiedział mu o propozycji Roberta Jonesa.

W trakcie ponownego przesłuchania Robert Jones potwierdził, że wszystko to było prawdą. Wiedział, że pan Dangerfield był zaprzyjaźniony ze służbą w domu Trevillianów i że brakowało mu pieniędzy, więc...

- A co z tym spiskiem pomiędzy Morganem i jego żoną, żeby ograbić pana Trevilliana? Czy coś takiego istniało? - zapytał oskarżyciel.

- Tak, pani Morgan mi o tym powiedziała.

Jeszcze większe poruszenie wśród przysięgłych i samego sędziego.

- Kiedy?

- Po południu tego samego dnia, w którym to się stało, kiedy po raz Pierwszy poszedłem zobaczyć się z Willym. Nie spotkałem go, zamiast tego trafiłem na panią Morgan. Powiedziała, że spodziewała się pana Trevilliana, lecz że będzie musiał wpaść później, dopiero jak Morgan Pojedzie do Bath. Była bardzo zadowolona. Powiedziała, że jak Trevillian przyjdzie, Morgan poturbuje go trochę za to, że sobie z nią porajcuje, no wie pan - to, co zazwyczaj mężowie robią, kiedy się dowiaduje że przyprawiono im rogi. Dodała też, że

mąż jej powiedział, że powinni dostać z pięćset funtów od tego głupiego młota, taki był ograniczony. Sir James Eyre spojrzał w kierunku ławy oskarżonych.

- Morgan, co masz do powiedzenia na temat tego spisku?

- Nie było żadnego spisku, wasza lordowska wysokość. Jestem niewinny - powiedział Richard stanowczo. - Nie było żadnego spisku.

Jego lordowskiej mości opadły kąciki ust.

- Gdzie jest pani Morgan? - domagał się odpowiedzi, zdawałoby się, od wszystkich na sali. - Powinna być na ławie oskarżonych obok męża, to przecież oczywiste. - Spojrzał groźnie na Richarda. - Gdzie jest twoja żona, Morgan?

- Nie wiem, wasza lordowska mość. Od tamtego dnia jej nie widziałem - odpowiedział Richard spokojnie.

Oskarżyciel narobił wiele szumu wokół spisku, pominął jednak milczeniem nieobecność współkonspiratorki, pani Morgan. A kiedy sir James Eyre pouczał przysięgłych, poświęcił dużo uwagi temu, że był to spisek. Dwunastu dobrych i sprawiedliwych ludzi spojrzało po sobie z ogromną ulgą. Za niecałą minutę będą mogli iść do domu. Był to bowiem bardzo długi i pracowity dzień - w Gloucester nie było tylu wolnych obywateli, aby zapewnić odrębny zespół przysięgłych dla każdego skazańca. Nie zwołano też żadnej narady. Richard Morgan został uznany niewinnym w kwestii skradzionego zegarka, lecz winnym aktu kradzieży przez wymuszenie. Williama Insella oczyszczono ze wszystkich zarzutów.

Sir James Eyre skierował wzrok na ławę oskarżonych, gdzie Willy upadł na kolana, płacząc, a ostrzyżony Richard Morgan - cóż z niego za nikczemnik! - stał wpatrzony w coś o wiele odleglejszego aniżeli ratusz w Gloucester.

- Richardzie Morganie, niniejszym skazuję cię na siedem lat zesłania do Afryki. Williamie Insellu, jesteś wolny. - Uderzył swym młotkiem w celu obudzenia sir George'a Naresa. - Sąd zbierze się jutro o dziesiątej rano. Boże, chroń Króla!

- Boże, chroń Króla! - zawtórowali mu wszyscy zgromadzeni. Strażnik szturchnął więźniów. Richard odwrócił się, żeby wyjść z ławy oskarżonych, nawet nie spojrzawszy w stronę pana Trevilliana Ceely'ego Trevilliana. Ceely przeminął w jego życiu tak jak wszystkie inne rzeczy. Ceely'owie tego świata nie mieli znaczenia.

I kiedy przedreptał już połowę drogi z powrotem do więzienia Gloucester, poczuł się naprawdę szczęśliwy - właśnie do niego dotarło, że wkrótce pozbędzie się płaczącego Willy'ego.

Słońce ocierało się już o zachodni horyzont, gdy Richard i Willy - ciągle jeszcze

płaczący, choć teraz najwidoczniej z radości - przeszli przez zamkową bramę pod eskortą dwóch dozorców. Tutaj zatrzymano Richarda, a Willy'ego wysłano dalej. Czyżby na tym polegała różnica między człowiekiem oczekującym na rozprawę a skazanym przestępcą? Dozorca wskazał na dom naczelnika więzienia. Richard ruszył przed siebie posłusznie, tak jak zwykle czynił w obecności straży. Po trzech miesiącach znał już wszystkich dozorców - dobrych, złych i obojętnych, choć unikał zawierania z którymkolwiek z nich znajomości i nigdy nie zwracał się do nich po imieniu.

Wpuszczono go do wygodnie urządzonego pomieszczenia, przystosowanego do towarzyskich spotkań. Znajdowało się w nim troje ludzi - James Hyde, adwokat, i dwóch kuzynów Jamesów. Obydwaj kuzyni zalewali się łzami, a pan Hyde zdawał się pogrążony w ponurym nastroju. „W rzeczy samej - pomyślał Richard, gdy zamknęły się za nim drzwi, a jego eskorta pozostała w odległej części pomieszczenia - przyjęli to o wiele gorzej ode mnie. To przecież nie było wielkim zaskoczeniem, przeczuwałem, że tak się stanie. Sprawiedliwość jest ślepa, lecz nie w tym romantycznym sensie, o jakim uczono nas w Colston. Obojętni są jej poszczególni ludzie i ludzkie motywy, a ci, którzy ją wymierzają, wierzą tylko w to, co jest oczywiste, i nie są zdolni do pojęcia żadnych subtelności. Wszystkie zeznania świadków ze Studni Jakuba miały swe źródła w plotkach, Ceely tylko przyłączył jedno swoje ogniwo do tego łańcucha plotek. Zapłacił Robertowi Jonesowi - no cóż, wszystkich ich opłacił, lecz - z wyjątkiem Jonesa - mógł zamaskować swe opłaty pod postacią wynikłych z troskliwości podarunków dla ludzi, którzy znali jego samego i jego rodzinę oraz jej służących. Oni doskonale to rozumieli! Lecz mogli zaprzeczyć temu pod przysięgą, gdyby ktokolwiek ich o to zapytał. Jonesa otwarcie przekupił albo Annemarie rzeczywiście opowiedziała Jonesowi tę historyjkę o spisku. Jeżeli tak, oznacza to, że należała do Ceely'ego duszą i ciałem i była zamieszana w tę konspirację od samego początku. Jeśli to prawda, czyhała na mnie i wszystko było po prostu jednym niewiarygodnym kłamstwem. Zostałem skazany na podstawie świadectwa osoby, która nawet nie pojawiła się w sądzie - Annemarie Latour. A sędzia, zapytawszy mnie, gdzie ona jest, nawet tego nie sprawdził”.

Jego milczenie po wejściu do pokoju pozwoliło kuzynom Jamesom wytrzeć oczy i opanować się. James Hyde przyjrzał się Richardowi dokładniej, niż pozwalała na to sala sądowa. Mężczyzna o uderzającej urodzie, barczysty, wysoki - szkoda, że nie nałożył peruki, to by go przeobraziło. Wszystko zależało od tego, czy oskarżony był porządnym człowiekiem, upokorzonym i rozwścieczonym do granic znalezieniem żony w łóżku z innym mężczyzną, czy też oskarżony - jak by to powiedzieć - chciał skorzystać z nadarzającej się sposobności, jaką stanowiła niewierność żony. Oczywiście wiedział, że ta kobieta nie była

żoną jego klienta, lecz nie wykorzystał tego w żaden sposób, bo gdyby wiadano że była zwykłą prostytutką, cała sprawa mogłaby się okazać jeszcze ciemniejsza. Zgubiło go odkrycie spisku. Sędziowie znani byli ze swego uprzedzenia do oskarżonych, którzy popełniają przestępstwa z zimną kalkulacją. A przysięgli orzekli to, co sędzia polecił im orzec.

Kuzyn James aptekarz przerwał długie milczenie, odsunawszy chusteczkę.

- Zapłaciliśmy za ten pokój i za tyle czasu z tobą, ile chcemy - powiedział. - Richardzie, tak mi przykro! To wszystko było zmyślane! Każda z tych osób, jakkolwiek mało ważna, należała do kręgu Ceely'ego.

- Chcę tylko wiedzieć - powiedział Richard, siadając - dlaczego pan Benjamin Fisher z urzędu akcyzy nie wystąpił jako mój świadek? Gdyby to uczynił, rzeczy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej.

Usta wielebnego Jamesa zacisnęły się w wąską linię.

- Był zbyt zajęty - powiedział - aby udać się w osiemdziesięcimiłową podróż. Prawda zaś jest taka, że jest pochłonięty dobijaniem interesu z Thomasem Cave'em i nie dba o los swego najważniejszego świadka.

- Jednak - wtrącił pan Hyde, który wyglądał o wiele mniej imponująco bez swoich adwokackich insygiów - może pan być pewien, panie Morgan, że kiedy napiszę w pana imieniu do lorda Sydneya, sekretarza stanu do spraw wewnętrznych, załączę doń list od pana Fishera. Ale nie od Benjamin. Od jego brata, Johna. Naczelnika.

- Czy mogę wnieść odwołanie do sądu? - zapytał Richard.

- Nie. Pańskie odwołanie przybiera formę listu błagającego króla o łaskę. Napiszę go, jak tylko wrócę do Londynu.

- Napij się trochę porto, Richardzie - poradził kuzyn James aptekarz.

- Nie dostałem dziś nic do jedzenia, więc nie śmiem. Otworzyły się drzwi i kobieta przyniosła tacę, na której znalazł się chleb, masło, pieczone kiełbaski, korzenie pietruszki, kapusta i kufel, położyła ją bez słowa, dygnęła w stronę dżentelmenów i wyszła.

- Jedz, Richardzie. Dozorca powiedział mi, że w więzieniu rozdano już kolację, więc poprosiłem go o jedzenie.

- Dziękuję ci, kuzynie Jamesie, naprawdę dziękuję - powiedział ze wzruszeniem Richard i zaczął łapczywie jeść. Pierwszy kawałek kiełbasy na czubku noża został jednak poddany długiemu obwąchiwaniu, zanim Richard ostrożnie go skosztował. Zjadł go z apetytem i ukroił następny plaster. - Kiełbasy - powiedział z pełnymi ustami - jeśli podaje się je skazańcom, zrobione są zazwyczaj z gnijącego już mięsa. - Skończywszy posiłek, Richard powoli sączył porto ze szklanki, a potem wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Już tak dawno nie

miałem w ustach niczego słodkiego, że wydaje mi się, że straciłem na to apetyt. Nie mamy masła do chleba, a co dopiero dżemu.

- Och, Richardzie! - zawtórowali obaj kuzyni.

- Nie żałujcie mnie tak. Moje życie nie skończyło się tylko dlatego, że muszę spędzić siedem lat w takim czy innym więzieniu - powiedział Richard, podnosząc się na nogi. - Mam teraz trzydzieści sześć lat i będzie mi brakowało sześciu miesięcy do czterdziestu czterech po odsiedzeniu wyroku. Mężczyźni w naszej rodzinie żyją długo, a ja zamierzam zachować zdrowie i siły. Te pięćset funtów z biura akcyzowego należy do mnie bez względu na to, co się stanie, i napiszę do tego zmanierowanego Benjamina Fishera, polecając mu, żeby wypłacił je tobie, kuzynie Jamesie aptekarzu. Weź z tego tyle, ile do tej pory wydałeś w związku z moim uwięzieniem, i przeznacz resztę na nowe okapniki, szmaty, ubrania i buty dla mnie. I część z tego dla wielebnego Jamesa na książki, włącznie z tymi, które już mi dał. Nie siedzę tu beczynnie i swoją pracą zapewniam sobie wyżywienie. W niedziele jednak czytam. To prawdziwe błogosławieństwo.

- Pamiętaj, Richardzie, że bardzo cię kochamy - powiedział kuzyn James aptekarz, biorąc go w ramiona i całując.

- I modlimy się za ciebie.

Willy Insell był jedynym więźniem zwolnionym w czasie sądu objazdowego, który miał sesję w Gloucester w marcu 1785 roku. Sześciu zostało skazanych na powieszenie - Maisie Harding za przyjęcie skradzionych dóbr, Betty Mason za kradzież piętnastu gwinei, Sam Day za kradzież dwóch funtów przędzy tkackiej, Bill Whiting za kradzież owcy, Isaac Rogers za rozbój na gościńcu i Joey Long za kradzież srebrnego zegarka. Reszta więźniów, w sumie około dziesięciu, została skazana na siedem lat zesłania do Afryki, gdzie Jego Brytyjska Królewska Mość nie posiadała jeszcze formalnej kolonii. Richard zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby dwóch kuzynów Jamesów nie zaświadczyło o jego charakterze, on również zostałby skazany na stryczek, choć Bristol był daleko, to jednak nie można było zignorować dwóch jego szacownych mieszkańców.

Co ważniejsze, jakże mieli się wszyscy pomieścić w takim małym budynku? W przeciągu tygodnia sprawa sama się wyjaśniła - dziewięciu więźniów zmarło z powodu złośliwych ropieni okołomigdałkowych, podobnie jak pozostałe dzieci i dziesięciu dłużników po stronie Bridewell.

Sytuacja w angielskich więzieniach była rozpaczliwa, co bynajmniej nie powstrzymywało sędziów w Gloucester od wydawania surowych wyroków.

Pomiędzy 1782 a 1784 rokiem podjęto trzy próby wysłania przestępców do Ameryki. Statek „Swift” został zawrócony w trakcie swego pierwszego rejsu, choć niektórym z transportowanych udało się zbiec przy pomocy Amerykanów. W trakcie drugiego rejsu w sierpniu 1783 roku statek ten zabrał stu czterdziestu trzech więźniów na pokład i wypłynął z Thames w kierunku Nowej Szkocji. Nie dotarł jednak dalej niż za hrabstwo Sussex, gdzie wszczęli oni bunt i osadzili statek na mieliźnie w pobliżu Rye, rozpraszając się na cztery wiatry. Tylko trzydziestu dziewięciu z nich zostało ponownie schwytyanych, sześciu z nich powieszono, a resztę skazano na dożywotnie zesłanie do Ameryki, tak jakby zesłanie do Ameryki było nadal aktualną opcją - jednak młyny rządowe miały nadal wolno, nie wspominając już o młynach sądowych.

W marcu 1784 roku spróbowano po raz trzeci przewieźć zesłańców do Ameryki. Tym razem był to statek „Merkury” i miejscem docelowym była Georgia, która - wraz z innymi dwunastoma nowo zjednoczonymi stanami - wysłała do władz angielskich ostry list, z ostrzeżeniem, że stanowczo nie będzie akceptować żadnych transportów więźniów. „Merkury” zabrał na pokład stu siedemdziesięciu dziewięciu przestępców - mężczyzn, kobiety i dzieci, i wypłynął z Londynu. Bunt wybuchł przy wybrzeżu w Devon i „Merkury” zawinął do portu w pobliżu Torbay - Niektórzy byli nadal na pokładzie, kiedy statek został odbity, większość jednak uciekła. Twierdzono potem, że stu ośmiu złapano, ale paru przedostało się daleko w głąb łądu nawet do Bristolu. I chociaż wielu z nich zostało skazanych na powieszenie, wyrok wykonano jedynie na dwóch - Polityczny klimat uległ zmianie.

Rejs „Recovery” w styczniu 1785 roku był ostatnią nieporadną próbą odciążenia przeludnionych więzień - statek zabrał skazańców do mokrych zwrotnikowych obszarów Afryki i wyrzucił ich na brzeg bez dozorców i z niewielką ilością niezbędnych do przeżycia artykułów. Umierali w cierpieniach i afrykańskiego eksperymentu już nigdy nie powtórzono. Stało się jasne, że przyszłymi zesłańcami należało się zająć w inny sposób, nie prowokując takiego publicznego skandalu. Ze względu na reformatorów więzień - Johna Howarda i Jeremy'ego Benthama, kwakerskich agitatorów przeciwko niewolnictwu i afrykańskiej ekspansji, oraz dwu nowych - Thomasa Clarksona i Williama Wilberfoce'a, pojawiających się na horyzoncie, rząd Williama Pitta Młodszego uważał, że rozsądniej będzie nie dostarczać pożywki dla różnych krucjat społecznych. A zwłaszcza dlatego, że Bentham i Wilberforce byli ważnymi osobistościami wśród wigów w Westministerze. Dodatkowe podatki, które ze względu na warunki ekonomiczne stały się nieuniknione, wywoływały już wystarczająco dużo nienawiści. William Pitt Młodszy miał jednak pewną cechę wspólną ze skazanym

przestępcą Richardem Morganem - zamierzał przeżyć jeszcze wiele lat. Wobec tego Jeremy'emu Benthamowi pozwolono bawić się planami budowy nowego więzienia w Gloucester, podczas gdy lordowi Sydneyowi z Departamentu Spraw Wewnętrznych polecono znaleźć jakieś miejsce - obojętnie gdzie! - byle tylko pozbyć się ogromnej liczby angielskich skazańców.

W jeszcze nie rozbudowanym więzieniu Gloucester choroba i ciasnota działały zgodnie z ich życzeniami.

Płaczliwy Willy Insell, nadal zapłakany, został zwolniony i stał się wolnym człowiekiem piątego kwietnia. W tym samym dniu pan James Hyde, adwokat, wystosował Pokorną Petycję Richarda Morgana do lorda Sydneya wraz z listem od pana Johna Fishera, naczelnika bristolskiego biura akcyzowego. Niestrudzony i kompetentny sekretarz lorda Sydneya, Evan Nepean, przekazał ją piętnastego kwietnia do kancelarii sir Jamesa Eyre'a przy Bedford Row, do niego bowiem - jako przewodniczącego sędziego w sprawie Morgana - należało zrewidowanie sprawy i doradzenie lordowi Sydneyowi, czy Richardowi Morganowi Przysługuje królewskie ułaskawienie. Wszystko to przebiegało bardzo szybko, zważywszy na to, że rozprawa odbyła się dwudziestego trzeciego marca. Jednakże tam właśnie, przy Bedford Row, Pokorna Petycja Richarda Morgana zaczęła butwieć. Baron sir James Eyre był zajęty, że nie miał czasu zajmować się petycjami.

Pod koniec lipca nadszedł list od Jema Thistlethwaite'a, który zniknął ze swego mieszkania i z londyńskiej sceny mniej więcej w tym samym czasie co William Henry. Richard wziął go od Starej Matki Hubbard ze ściśniętym sercem - będzie musiał teraz rozdrapać starą ranę, która zacznie się jątrzyć. Od czasu, gdy wszedł do bristolskiego Newgate, wszystko to pogrzebał głęboko w swej pamięci. Nie zrozumiał jednak, że to dzięki wyparciu wspomnień o Williamie Henrym obudziła się w nim chęć przeżycia, a nawet wykonywania rytuałów które sam wymyślił - higienicznych czynności, które odróżniały go od towarzyszy i sprawiały, że traktowany był jak ktoś na pograniczu nietykalności i szaleństwa. Dlaczego jednak zależało mu na przeżyciu? Dlatego, aby przetrwać te siedem lat w dobrym zdrowiu i wznowić swe poszukiwania Williama Henry'ego, dla tego ukrytego, nie uświadomionego pragnienia.

Richardzie, właśnie dostałem od Twego ojca list i jestem całkowicie rozstrojony tymi okropnymi wiadomościami. Najwidoczniej ostatnie galony z mojej beczki rumu sprawiły, że

wydawało mi się, że napisałem do ciebie, ale list ten albo nigdy nie powstał, albo też gdzieś zaginął. Od czerwca zeszłego roku przebywałem za granicą - zwabiły mnie Włochy, więc pobiegłem w ich przepiękne objęcia. Tylko szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, że zaledwie tydzień po powrocie mogłem ponownie zająć moje stare mieszkanie i dzięki temu dotarły do mnie stronicy Twego ojca.

Zawsze wiedziałem, że Twoje życie nie potoczy się tak, jak sobie wyobrażałeś - pamiętasz? Powiedziałeś kiedyś - urodziłem się w Bristolu i umrę w Bristolu. Już wtedy, gdy to mówiłeś, z Williamem Henrym na kolanach, wiedziałem, że tak się nie stanie. Bałem się o Ciebie. I ja, który jestem zupełnie niezdolny do miłości, kochałem Cię wtedy tak, jak Kocham Cię teraz. Nie wiem jak ani też dlaczego, ale dostrzegam w Tobie coś, z istnienia czego nie zdajesz sobie nawet sprawy.

O Williamie Henrym nie wspomnę już więcej, ale wiedz, że nigdy go nie znajdziesz. Nie był przeznaczony dla tej ziemi, lecz gdziekolwiek by teraz był, jest tam szczęśliwy i spokojny. Naprawdę dobrzy ludzie nie mają co robić na tej ziemi, bo niczego nie mogą się tu nauczyć. I nawet tacy ateści jak ja muszą uwierzyć, że czasami tak się dzieje, gdyż w przeciwnym razie przyszłość mogłaby się okazać jeszcze gorsza. Ciesz się zatem ze względu na Williama Henry'ego.

Richard odłożył po omacku list, oślepiiony łzami, których nigdy dotąd nie mógł uronić za Williamem Henrym. Inni więźniowie na wspólnej sali przestępców, włącznie z Lizzie Lock, nie próbowali nawet podejść do niego, kiedy tak siedział na swojej skrzyni i płakał. Jakie to dziwne, że właśnie Jem Thistlethwaite zdołał przełamać tę zaporę i pozwolić w końcu strumieniom bólu spłynąć swobodnie. Ale on nie miał racji. William Henry wróci pewnego dnia, on nie odszedł z tego świata na zawsze.

Następnego dnia Richard znowu wziął do ręki list w czasie obiadu, nie odezwawszy się do nikogo ani słowem, i nikt też nie odzywał się do niego.

Znalazłem sobie małą niszę dla siebie pośród nowego pokolenia wigów, które nastąpiło wraz z pojawieniem się tak młodego przywódcy jak Pitt. Oligarchia, choć zawsze będzie musiała panować w Izbie Lordów, znikła z Izby Gmin. Roi się tu od ludzi z ideami, a Pitt, jeśliby tylko znalazł na to pieniądze, pofolgowałby im wszystkim.

Wracając zaś do Ciebie, perspektywa zesłania nie istnieje. Afrykański eksperyment był taką katastrofą, że nikt w Westminsterze nie ma odwagi - ani też nie jest na tyle głupi - aby powtórzyć go w jakiegokolwiek formie. Zaproponowano Indie i odrzucono je tak, jakby

zrezygnowano z koszuli utkanej z węży. Nasze tamtejsze placówki są niewielkie i zagrożone. Nie to było jednak głównym powodem. Prawdziwą przyczyną jest opozycyjne nastawienie Spółki Wschodnioindyjskiej, która nie chce, aby przestępcy narażali na szwank jej działalność w Bengalu i Cathay. Indie Zachodnie nie potrzebują nikogo oprócz Murzynów do szkolenia lub jako niewolników i nie można też zsyłać do zajętych przez Anglię Nowej Szkocji i Nowej Fundlandii - kręcą się tam Francuzi oraz, na południu, Hiszpanie.

Wygląda więc na to, że odsiedzisz swą karę w Gloucester. Możesz jednak być spokojny, że jak tylko coś na ten temat usłyszę, natychmiast ci to przekażę. Dick mówi, że pogodziłeś się z tym wszystkim jak to określił kuzyn James aptekarz - z zimną namiętnością.

Odpowiedź musiała czekać aż do niedzieli, kiedy to Richard zajął miejsce przy stole, który Stara Matka Hubbard umieściła we wspólnej sali więźniów tuż przed sądem objazdowym i którego potem nie usunęła, zgodnie z przekonaniem, że był on dodatkowym miejscem do siedzenia w przypadku przeludnienia - tak jakby kiedykolwiek były tam okresy, gdy przeludnienia nie było.

Pojawiały się tu tłumy gości - wysłannicy przyjaciela pana Pitta, pana Jeremy'ego Benthama, który obecnie podróżował po Rosji z zamiarem napisania kodeksu prawnego dla carycy Katarzyny i który również był autorem traktatu o zaletach i wadach zatrudniania przestępców do ciężkich robót przy budowach publicznych oraz zwolennikiem okrągłych więzień. Jego wysłannicy wpadali i wypadali z więzienia, przeprowadzając dokładną inspekcję i kręcąc ponuro głowami. Spoglądali na wznoszone przez więźniów dobudówki, mrużąc pod nosem, że trzeba je będzie wszystkie zburzyć. Kwadratowe! Dlaczego ludzie upierają się przy kwadratach, skoro okrąg nie ma tylu kątów?

Mogę Cię zapewnić, że wolałbym raczej być w Italii aniżeli w więzieniu w Gloucester. O Ceelym Trevillianie i całej tej aferze w gorzelnii nie powiem Ci więcej ani słowa poza tym, że miałem to nieszczęście natknąć się na człowieka dobrze urodzonego i inteligentnego, który nie umiał wykorzystać swego talentu inaczej niż w intrydze, konspiracji i manipulacji. Powinien występować na scenie, gdzie prześcignąłby Kempa, panią Siddons i Garricka razem wziętych. Jedynym pocieszeniem jest dla mnie to, że kiedy Cave i Thorne dojdą do porozumienia w sprawie rozliczenia z biurem akcyzowym, będę mógł spłacić me długi i zyskać pewność, że nie obciążam swoimi potrzebami moich dwu kuzynów. Nie zdarza się, żebym był bez jakiejś nowej książki, choć czytanie niektórych z nich jest bardzo bolesne, gdyż pojawiają się w nich Hotwells i Clifton. Nie chciałbym, żeby mi przypomniano o tych

dwóch miejscach, nawet jeśli czyniłaby to Evelina czy Humphrey Clinker. Nie tyle z powodu Williama Henry'ego czy Ceely'ego, ile ze względu na Annemarie Latour, z którą zgrzeszyłem poważnie. Nawet stąd widzę zniecierpliwienie na Twojej brzydkiej twarzy, lecz nie było Cię tu wtedy i nie mógłbyś kochać mężczyzny, którym się przy niej stałem. Przyjemność zbyt wiele wtedy dla mnie znaczyła. Czy potrafisz to zrozumieć? A jeśli nie, to jakże mogę Ci to wytłumaczyć? Zamieniłem się w byka, w ogiera. Byłem jakby w okresie rui, a nie kochałem. Nienawidziłem obiektu mego zezwierżenia, który był również zwierzęciem.

Tu, w więzieniu w Gloucester, jesteśmy wszyscy razem - mężczyźni, kobiety i dzieci. Jest to jednak miejsce, gdzie więcej dupczenia niż ssania. Niemowlęta zazwyczaj umierają, biedne małe stworzenia. Nieszczęsne ich matki, które noszą i rodzą nadaremnie. Z początku obecność kobiet przerażała mnie, lecz w miarę upływu czasu doszedłem do wniosku, że dzięki nim łatwiej mi tu wytrzymać. Bez nich stalibyśmy się grupą nieludzko brutalnych mężczyzn.

Moją kobietą jest Lizzie Lock, która przebywa w Gloucester od 1783 roku za kradzież kapeluszy. Jak tylko któryś jej się spodobał, zaraz go podwędzała. Nasza przyjaźń jest platoniczna - ani się nie kochamy, ani nie pożądamy. Ja chronię ją przed innymi mężczyznami, a ona pilnuje mego kufra i dobytku, w czasie kiedy pracuję. Jem, jeśli jesteś wypłacalny, czy mógłbyś znaleźć jakiś wspaniały kapelusz dla Lizzie? Czerwony lub czerwono - czarny, najlepiej z piórami. Nie posiadałaby się z radości.

Muszę już kończyć. Nawet moja dość wysoka pozycja tutaj nie daje prawa do zajmowania tak dużej części stołu przez całe niedzielne popołudnie. I to jest w tym najdziwniejsze. Jem, z jakiegoś powodu (być może dlatego, że uważają mnie za szaleńca), zauważyłem, że jestem - trudno mi znaleźć właściwe określenie - szanowany. Proszę, pisz do mnie czasami.

Kuzyn James aptekarz przyszedł odwiedzić Richarda w sierpniu, obładowany podarkami - nowym okapnikiem, szmatami, ubraniami, lekarstwami i książkami.

- Używaj jednak starego okapnika, Richardzie, nie widzę bowiem śladów zabrudzenia. Im więcej masz zapasowych kamieni, tym lepiej, i przyniosłem ci dobry, mocny worek na dodatkowe rzeczy. Woda w Gloucester jest o wiele czystsza od jakiegokolwiek wody w Bristolu, nawet z okolicy Bishop's w pobliżu Studni Jakuba. - Czuł się bardzo nieswojo i mówił bez przerwy, aby ukryć zmieszanie, nie Parząc Richardowi w oczy.

Nie było potrzeby odbywania tej podróży w taki upał, kuzynie Jamesie - powiedział łagodnie Richard. - Przekaż mi więc tę złą nowinę.

- Dostaliśmy w końcu odpowiedź od pana Hyde'a z Chancery Lane. Sir James Eyre zajął się wreszcie twoją petycją o królewskie ułaskawienie dziewiątego zeszłego miesiąca, a przynajmniej taka była data na jego liście do lorda Sydneya. Odmówił ci łaski, Richardzie, i to z wielką stanowczością. On nie ma wątpliwości, że spiskowałeś z tą kobietą w celu ograbienia Ceely'ego Trevilliana, mimo że nigdy jej nie odnaleziono.

- Obciążający świadek, którego nawet tam nie było - stwierdził Richard szeptem. - Nieobecna, ale jej uwierzono.

- No więc to już koniec, mój drogi biedaku. Wyczerpaliśmy już wszystkie możliwości. Twoja nagroda jest jednak bezpieczna. Nie można jej zakwestionować, ponieważ nie jest związana ze zbrodnią za którą zostałeś skazany. Wiem, że masz parę gwinei, ale gdy przyjdę następnym razem, przyniosę ci nowe pudło ze skrytką po bokach - powiedziano mi, że przeszukiwanie górnego wieka i dna jest bardziej prawdopodobne aniżeli bocznych ścianek. Będą zawierały złote monety zapakowane w szarpie, więc bez względu na to, jak silnie kufer będzie potrząsany czy opukiwany, nie będzie ich słychać. Szarpie również sprawiają wrażenie, że boki wykonane są z litego materiału.

Richard ujął w dłonie jego obie ręce i uściśnął mocno.

- Wiem, że ciągle to powtarzam, ale nie potrafię ci za to wszystko odpowiednio podziękować, kuzynie Jamesie. Kimże bym się stał bez ciebie?

- Byłbyś pewno o wiele brudniejszy, kochany Richardzie - stwierdziła Lizzie Lock po wyjściu kuzyna Jamesa aptekarza. - Ten aptekarz przynosi ci twoje okapniki, mydła, olej smołowy i całą resztę tych papieskich ceremonialnych przedmiotów. Przypominasz mi księdza odprawiającego mszę.

- Aha, z niego to rzeczywiście bardzo rozkapryszony pierdolnik - wtrącił Bill Whiting z uśmiechem. - To wcale nie jest konieczne, kochany Richardzie. Popatrz na resztę z nas.

- Skoro już mowa o pierdoleniu, Bill, to widziałam cię wczoraj, jak kręciłeś się koło moich owiec - powiedziała Betty Mason, która pilnowała stada Starej Matki Hubbard. - Zostaw mi je w spokoju.

- A jaką ja mam tu szansę pierdolenia się z kimkolwiek, z wyjątkiem naszego kochasia Richarda i Jimmy'ego? Poza tym oni wcale nie chcą. A właśnie słyszałem, że całe to nasze dźwiganie kamieni jest daremne - Stara Matka Hubbard mówiła coś o nowym sposobie budowy więzień - ja też o tym słyszałem - przyznał Richard, wybierając resztki zupy kawałkiem stęchłego chleba.

Jimmy Price westchnął.

- Jesteśmy jak ten facet, który musiał wtaczać głaz na górę, a on ciągle staczał się mu

na dół. Chryste, dobrze byłoby pracować dla jakiegoś celu. - Spojrzał naprzeciwko, gdzie Ike Rogers siedział zgarbiony na drugim końcu stołu, bronionego przez starą brygadę więźniów przed wszystkimi zarozumiałymi przybyszami. - Ike, musisz jeść, bracie. W przeciwnym razie Richard, nasze kochanie, zje twoją zupę, taki z niego cholernie głodny pierdolnik. Nie zauważyłem, żeby pozostałych pięciu szubienicznych ptaszków straciło apetyt do jedzenia czy szczególnie się tym martwiło. Jedz, Ike, jedz! Nie zawiśniesz, przyrzekam ci to!

Ike nic nie odpowiedział. Znęcający się nad innymi zawadiaka gdzieś się ulotnił. Przydrożni zbójnicy byli uważani za arystokrację wśród przestępców, lecz Ike najwidoczniej nie był w stanie pogodzić się ze swoim losem ani się przeciw niemu buntować, tak jak pozostali więźniowie w podobnej sytuacji.

Richard podszedł, usiadł na ławce obok niego i położył mu ręce na ramionach.

- Musisz jeść, Ike - powiedział, próbując dodać mu otuchy.

- Nie jestem głodny.

- Jimmy ma rację. Nie pójdziesz na szubienicę. Już prawie od dwóch lat nikogo nie powieszono w Gloucester, choć wielu zostało na to skazanych. Jesteśmy potrzebni Starej Matce Hubbard, żeby dostała te swoje trzydzieści pensów tygodniowo za każdego z nas. Jeżeli nie pracujemy, dostaje tylko czternaście.

- Nie chcę umierać, nie chcę!

- Nie umrzesz, Ike. A teraz wypij tę zupę.

- Jaki ponury pierdolnik z tego Ike'a. Tak się mizdrzy w tych swoich wysokich butach do końskiej jazdy, jakby był na wysokich obcasach. Jezu, pewnie strasznie śmierdzą mu nogi! On w nich nawet śpi, kochany Richardzie - powiedział Bill Whiting następnego dnia, kiedy dźwigali razem kamienie. - Jeśli on zawiśnie, to ja też. A to byłoby niesprawiedliwe, nieprawdaż? Jego łupy warte były pięć tysięcy, a moja owca tylko dziesięć szylingów. - Jak dotąd był bardzo dzielny, lecz nagle się wzdrygnął. - Psiakrew, gęsi będą chodzić po moim grobie - zaśmiał się.

- Bill, gęsi nie tylko będą po nim chodzić, ale też w nim grzebać szukając twoich robaków.

Było ich ośmioro przyjaciół - cztery kobiety, Bill, Richard, Jimmy i godny pożalowania Joey Long, którego traktowali jak dziecko. Richard wzdrygnął się na myśl, że czworo spośród jego siedmiu przyjaciół mogło nie dożyć 1789 roku.

A potem, trzy dni po świętach Bożego Narodzenia, cała szóstka skazana na karę śmierci dostała zawieszenie wyroku i zamieniono ich karę na czternaście lat zesłania do Afryki. No bo gdzież by indziej? Nastąpiła radość, choć Ike Rogers nigdy nie zachowywał się

już tak wyniośle jak przedtem.

Rok 1785 był tym, który Richard od początku spędził jako więzień. W ostatnim dniu tego roku otrzymał wysłany przez gońca list od pana Jamesa Thistlethwaite'a.

Richardzie, coś się dzieje w Westminsterze. Słyszałem różne plotki. Najbardziej istotna z nich, jeśli chodzi o Ciebie, jest taka, że wszyscy zesłańcy do Afryki przetrzymywani w więzieniach poza Londynem zostaną przeniesieni na karne statki na Tamizie i wywiezieni, choć nie przez królewski stawek na śledzie, którym na mapie jest Ocean Zachodni, *Oceanus Atlanticus*. Jako że przestał on być jego prywatnym stawkiem rybnym, dochodzą mnie słuchy (i to z każdym dniem coraz liczniejsze) o Oceanie Wschodnim - na niewielu przeklętych mapach oznaczonym jako *Oceanus Pacificus*.

Dziesięć lat temu Królewskie Stowarzyszenie - wraz z poważnymi osobistościami związanymi z Królewską Flotą - wysłało niejakiego kapitana Jamesa Cooka do Otaheite, aby tam obserwował przejście planety Wenus przez tarczę słońca. I właśnie ten Cook podczas swych wścibskich wędrówek znajdował krainy mlekiem i miodem płynące. Nic więc dziwnego, że ta ciekawość w końcu go zgubiła - został zabity przez Indian z wyspy Sandwich. Owa kraina mlekiem i miodem płynąca, która nas w tej chwili interesuje, przypominała kapitanowi Cookowi wybrzeże południowej Walii, toteż nazwał ją pomysłowo Nową Południową Walią. Na mapach można ją znaleźć pod nazwą „Terra Incognita” lub „Terra Australis”. Można jedynie zgadywać, jak daleko sięga od wschodu na zachód, jednakże z południa na północ liczy sobie z pewnością dwa tysiące mil.

Mniej więcej w tej samej strefie południowej co nowo powstały amerykański stan Georgia w północnej, Cook odkrył miejsce, które nazwał zatoką Botany. Dlaczego akurat taka nazwa? Ponieważ ten wstrętny wścibski uczone i przewodniczący Królewskiego Towarzystwa, sir Joseph Banks, kręcił się po wybrzeżu z uczniem Linneusza, doktorem Solanderem, i zbierał botaniczne okazy.

I w tym miejscu wkracza dżentelmen korsykańskiego pochodzenia, pan James Maria Matra. On pierwszy zaszczepił ten pomysł rządzącym, a ci zaczęli prowadzić niezliczone konsultacje z sir Josephem Banksem, autorytetem we wszystkich dziedzinach - począwszy od narodzin Chrystusa po muzykę sfer niebieskich. W rezultacie pan Pitt i lord Sydney są przekonani, że znaleźli rozwiązanie problemu dotyczącego takich jak Ty. Stwierdzili mianowicie, że należy was wysłać do zatoki Botany. Nie zamierzają porzucić Was na tamtejszym wybrzeżu, tak jak to miało miejsce w Afryce, lecz raczej osiedlić paru Anglików i

parę Angielek w krainie mlekiem i miodem płynącej, do której jeszcze nie dotarli ani Francuzi, ani Holendrzy, ani Hiszpanie. Nie słyszałem dotąd o żadnym miejscu, które byłoby zasiedlone wyłącznie przez skazańców, lecz takie wydają się intencje rządu Jego Królewskiej Mości względem zatoki Botany. Nie jestem jednak pewien, czy określenie „zasiedlenie” jest w tym wypadku adekwatne. Pan Pitt miał raczej na myśli „pozbycie się”. Gdyby eksperyment się udał, zatoka Botany przyjmowałaby naszych skazańców przez wszystkie następne pokolenia i tym samym udałoby się nam osiągnąć dwa cele. Pierwszym, i z całą pewnością najważniejszym, byłoby wysłanie angielskich przestępców na tyle daleko, żeby przestali budzić zgorznienie i uprzykrzać życie pozostałym obywatelom. Drugim celem będzie uspienie podejrzeń naszych wiecznie mnożących się wtrącańskich świętoszków, czego jestem pewien, przez ogłoszenie, że Jego Królewska Mość będzie posiadał nową - nawet jeśli pod względem eksploatacji zupełnie bezwartościową - kolonię, którą mógłby sobie dodać do flagi Zjednoczonego Królestwa, kolonię zaludnioną przez skazańców. Niewątpliwie z czasem zostanie ona nazwana „Kryminalią”.

Ale wystarczy już tych kalamburów. Przygotuj się, Richardzie, na wyjazd z Gloucester. Napisałem już do kuzyna Jamesa aptekarza, który z początkiem nowego roku 1786 powinien przywieźć ci narzędzia konieczne do przeżycia. Przygotuj się na szok. Gdy tylko wejdiesz na pokład statku cumującego w pobliżu Królewskiego Arsenалу, spotkasz się z prawdziwym Londynem. Są tam trzy karne pałace - „Censor” i „Justitia” funkcjonują od dziesięciu lat i wielokrotnie zasłużyły sobie na uwagę i wizyty Johna Howarda. Trzeci, „Ceres”, dopiero teraz wchodzi do użytku. Statki obsługiwane są na podstawie rządowego kontraktu przez londyńskiego spekulanta o nazwisku Duncan Campbell, oczywiście sprytnego Szkota.

Bardzo mi przykro, że muszę Ci o tym powiedzieć, ale okręty na Tamizie są przeznaczone jedynie dla więźniów płci męskiej, nie będziesz więc mógł korzystać z kobiecych posług ani też z ich uspokajającego wpływu. Te okręty to pływające piekła - każde z tych słów jest świętą prawdą. Wiem, że jestem niczym pocieszyciel Hioba, ale Ty naprawdę jesteś jak ten Hiob, Richardzie. A lepiej już być Hiobem, który wie, co go czeka. Strzeż się.

- **Mam wiadomości** - odezwał się Richard, odkładając list.

- Jakie? - spytała Lizzie, cerując spokojnie. Nie mogły to być złe wiadomości, skoro jego twarz nie zdradzała zaniepokojenia.

Igła przestała śmigać, oczy spoczęły czule na „kochanym” Richardzie, które to określenie stało się nieomal jego przydomkiem. Wiedziała o nim tylko to, jakie przestępstwo

popęłnił, ponieważ nigdy nie chciał mówić nic o sobie. Oczywiście, że go kochała, ale nie poszłaby z nim do łóżka. Oznaczało to bowiem ból, którego by nie zniosła - dziecko i śmierć kłapiącą za nim zębami.

Jej nowy kapelusz, niezwykle połączenie czarnego jedwabiu i strusich piór, spoczywał przekrzywiony na jej głowie. Richard ofiarował jej go na święta Bożego Narodzenia, wyjaśniając, że jest to podarunek nie od niego, lecz od kogoś, kogo zna w Londynie - od pana Jamesa Thistlethwaite'a. Był paszkwilantem, to znaczy - jak jej wyjaśnił - kimś, kto sprawiał, że szkaradni politycy, prałaci i urzędnicy zdawali się mali i śmieszni dzięki sile pisanego słowa. Nietrudno było jej w to uwierzyć, sama bowiem nie potrafiła ani pisać, ani czytać, więc ludzie, którzy utrzymywali się z pisania, byli w jej oczach prawie równi Bogu.

Dlatego teraz igła śmigąła wprawnie wokół dziury w jednej z pończoch Starej Matki Hubbard, a Lizzie zapytała z umiarkowaną ciekawością:

- No więc?

- Mój przyjaciel paszkwilant z Londynu twierdzi, że wszyscy skazani na zesłania do Afryki będą przeniesieni z więzień na statki na Tamizie. Tylko mężczyźni. Nie mówi, co zamierzają zrobić z kobietami.

Było ich teraz w więzieniu tak niewiele, że listopadowa sesja sądowa w ogóle się nie odbyła. Szkarlatyna pochłonęła zbyt wiele żywotów, aby tę sesję uzasadnić. Następną miała się odbyć w okresie Trzech Króli w styczniu 1786 roku - jeśli liczby wykażą, że jest to warte zachodu.

Dlatego tylko około dwudziestu osób usłyszało wiadomość Richarda i zastygło w bezruchu. Oczekujący na rozprawę poruszyli się pierwsi. Stara brygada zareagowała później, z szeroko otwartymi oczyma, odwracając głowy, całą uwagę koncentrując na „kochanym” Richardzie.

- Dlaczego? - spytał Bill Whiting.

- Gdzieś tam w szerokim świecie - i nie jestem pewien dokładnie gdzie - istnieje miejsce zwane zatoką Botany. Mamy być tam wywiezieni i przypuszczam, że wypłyniemy z Londynu, skoro wysyłają nas na okręty karne na Tamizie, a nie do Portsmouth czy Plymouth. Tylko mężczyźni, choć wygląda na to, że więźniarki również mają zostać wysłane do zatoki Botany.

Bess Parker przyłgnęła do pobladłego Neda Puga i rozplakała się.

- Ned! Rozłączą nas! Co my teraz zrobimy?

Nikt nie potrafił znaleźć słów pocieszenia, więc najlepiej było ją zignorować.

- Czy ta zatoka Botany jest w Afryce? - zapytał Jimmy Price, aby przerwać milczenie.

- Wygląda na to, że nie - odpowiedział Richard. - Dalej od Afryki i Ameryki. To gdzieś na Oceanie Wschodnim.

- We wschodnich Indiach - wykrzywił się Ike Rogers. - Poganie!

- Nie, nie we wschodnich Indiach, choć z pewnością niewiele dalej. To gdzieś na południu. Daleko na południu i dopiero niedawno miejsce to zostało odkryte przez kapitana Cooka. Jem pisze, że jest to ziemia mlekiem i miodem płynąca, więc może nie będzie tam tak źle. - Na chybił trafił szukał jakiegoś geograficznego odnośnika. - To musi być gdzieś po drodze z lub do Otaheite. Cook właśnie tam płynął.

- A gdzie jest to Otaheite? - spytała Betty Mason, równie zrozpaczona jak Bess. Dozorca więzienny, Johnny, nie będzie chciał jechać do Zatoki Botany.

- Nie wiem - przyznał się Richard.

Następnego dnia - w dzień Nowego Roku 1786 - skazańcy zostali wyprowadzeni do kaplicy więziennej, gdzie zastali Starą Matkę Hubbard, Parsnipa Evansa i trzech innych mężczyzn. Tych ostatnich rozpoznali, ponieważ niekiedy towarzyszyli oni tajemniczemu kontrolerom z Londynu, którzy sprawdzali postępy w pracach budowlanych, John Nibbet był szeryfem w Gloucester, dwaj pozostali - John Jefferies i Charles Cole - szczylic się tytułami Dżentelmenów Szeryfów. Nibbet został wybrany do przekazania wiadomości.

- Miasto Gloucester w hrabstwie Gloucester zostało powiadomione przez Departament Stanu i Sekretarza Stanu, lorda Sidneya, że niektórzy więźniowie przetrzymywani w więzieniu i skazani na zsyłkę do Afryki, mają zostać zesłani nie do Afryki, lecz zupełnie gdzie indziej - wrzasnął.

- Nawet się nie zająknął - mruknął Whiting.

- Nie prowokuj bata - szepnął Jimmy. Nibbet ciągnął dalej.

- W związku z tym miasto Gloucester w hrabstwie Gloucestershire zostało poinformowane przez Departament Stanu, iż ma działać jako punkt zbiorczy dla skazanych na zesłanie mężczyzn z Bristolu, Monmouth i Wiltshire. Kiedy wszyscy już się tu zbiorą, dołączą do następujących więźniów znajdujących się już w Gloucester - Josepha Longa, Richarda Morgana, Jamesa Price'a, Edwarda Pugh, Isaaca Rogersa i Williama Whitinga. Cała grupa zostanie wówczas wysłana do Londynu i Woolwich, gdzie ma oczekiwać na królewską decyzję.

Obwieszczenie szeryfa zakończył długi lament. Bess Parker ruszyła do przodu, potykając się w swoich kajdanach, by rzucić się do stóp Nibbeta, załamując ręce i szlochając.

- Proszę pana, proszę szanownego pana, proszę, błagam pana! Ned Pugh jest moim

mężem. Widzi pan mój brzuch? Będę miała jego dziecko, proszę pana, i to lada dzień! Błagam pana, niech mi pan go nie zabiera!

- Zaprześtań tego miauczenia, kobieto! - Nibbet zwrócił się do Starej Matki Hubbard z okrutnym wyrazem twarzy. - Czy więzień Pugh jest rzeczywiście w stałym związku z tą oto zawodzącą niewiastą? - domagał się wyjaśnienia.

- A i owszem, panie Nibbet, i to już od kilku lat. Mieli nawet dziecko, ale zmarło.

- Moje instrukcje od sekretarza Nepeana dokładnie stwierdzają, że jedynie więźniowie bez ślubnych żon lub żon podług prawa zwyczajowego przebywających w więzieniu razem z nimi mają być odesłani do Woolwich. A zatem Edward Pugh pozostanie w więzieniu w Gloucester razem z kobietami skazanymi na zesłanie - oświadczył.

- Cholernie taktowne - stwierdził dżentelmen szeryf, Charles Cole. - Nie widzę jednak ku temu potrzeby.

Stara Matka Hubbard szepnęła coś na ucho Nibbetowi.

- Więźniu Morgan, czy jesteś w stałym związku z niejaką Elizabeth Lock? - warknął szeryf.

Każda cząstka w Richardzie pragnęła powiedzieć, że jest, lecz z pewnością sprawdzili jego papiery i poinformują tych ludzi, że on już miał żonę. Los, na jaki skazała go Annemarie, nadal go prześladował.

- Jestem na stałe związany z Elizabeth Lock, proszę pana, lecz ona nie jest moją żoną, nawet według prawa zwyczajowego. Jestem już żonaty - powiedział.

Lizzie Lock jęknęła.

- W takim razie pojedziesz do Woolwich, Morgan.

Wielebny Evans odmówił modlitwę za ich dusze i zebranie się zakończyło. Więźniowie zostali odeskortowani z powrotem do wspólnej celi przez szczęśliwego dozorcę Johnny'ego. Lizzie nie marnowała czasu i od razu zaciągnęła Richarda do pustego kąta.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że jesteśmy małżeństwem? - zapytała obcesowo, a pióra na jej kapeluszu podskakiwały i kiwały się niespokojnie.

- Bo nie jestem żonaty.

- No to dlaczego powiedziałeś szeryfowi, że jesteś?

- Ponieważ w moich papierach napisano, że jestem.

- Jak to możliwe?

- Ano tak jest.

Wzięła go za ramiona i potrząsnęła nim energicznie.

- A niech cię wszyscy diabli, ty przeklęty Richardzie! Dlaczego jesteś taki skryty? Po

cóż zatem jesteśmy ze sobą blisko?

- Ta bliskość nie wynika tylko z mojej woli, Lizzie.

- Owszem, wynika! Nigdy mi niczego nie mówisz!

- Ale przecież ty nigdy mnie o nic nie pytasz - odpowiedział ze zdziwieniem.

Znowu nim potrząsnęła.

- No to teraz cię pytam. Opowiedz mi coś o sobie, Richardzie! Opowiedz mi wszystko, psiakość! Chcę wiedzieć, jak to możliwe, że jesteś i nie jesteś żonaty!

- W takim razie mogę to wyjaśnić wam wszystkim.

Zebrali się wokół stołu i usłyszeli bardzo skróconą wersję jego historii, ograniczoną jedynie do Annemarie Latour, Ceely'ego Trevilliana i gorzelni. O Peg, małej Mary, Williamie Henrym i pozostałych członkach rodziny nie wspomniął ani słowem, było to zbyt bolesne.

- Płaczliwy Willy powiedział mi więcej - stwierdziła Lizzie kwaśno.

- To wszystko, o czym mogłem wam opowiedzieć. - Richard zrobił zmartwioną minę i zgrabnie zmienił temat. - Wygląda na to, że wkrótce zostaniemy przeniesieni. Modlę się, żeby mój kuzyn James przyjechał tu na czas.

Do czternastego stycznia liczba mężczyzn w więzieniu Gloucester znacznie wzrosła. Czterech przybyło z Bristolu i dwóch z Wiltshire. Dwóch z Bristolu było bardzo młodych, lecz pozostali dwaj byli już po trzydziestce i blisko ze sobą zaprzyjaźnieni, jeszcze od dzieciństwa.

- Upiliśmy się pewnej nocy z Neddym na ulicy Swan on Tempie - wyjaśnił William Connelly, klepiąc po przyjacielsku Edwarda Perrotta po ramieniu. - Nie jestem pewien, co się potem stało, wiem tylko, że znaleźliśmy się w bristolskim Newgate i dostaliśmy siedem lat zesłania do Afryki w czasie kwartalnej sesji w lutym zeszłego roku. Zdaje się, że ukradliśmy jakieś ubrania.

- Dobrze wyglądacie po roku w bristolskim więzieniu. Byłem tam przez trzy miesiące, zanim przewieziono mnie tutaj.

- Pochodzisz z Bristolu?

- Owszem. Ale sądzono mnie tutaj. Przepięstwo popełniłem w Clifton.

William Connelly był z pochodzenia Irlandczykiem, o gęstych rudawych włosach, krótkim nosie i zuchwałych niebieskich oczach. Bardziej milczący Edward Perrott miał ogromny krzywy nos, wydatny podbródek i jasną mysią karnacją, typową dla prawdziwego Anglika.

Dwaj mężczyźni z Wiltshire, William Earl i John Cross, mieli najwyżej po dwadzieścia lat i zdążyli się już zaprzyjaźnić z dwoma młodzieńcami z Bristolu - Jobem

Hollisterem i Williamem Wiltonem. Joey Long był tak prostolinijny, że ta grupa młodzieży wzbudziła jego zainteresowanie od pierwszej chwili, kiedy zabręczeli kajdankami we wspólnej sali. Również Isaac Rogers - co Richard początkowo uważał za dziwne - postanowił przyłączyć się do tej piątki. Po paru godzinach Richard zmienił jednak zdanie i przestało go to dziwić. Wynosząc się bowiem ze swoim starszeństwem i splendorem, gościńcowy rozbójnik mógł częściowo odzyskać dawną pozycję, którą utracił pośród towarzyszy w Gloucester, kiedy przeraził się perspektywą zawiesznięcia na stryczku.

Później przybył jakiś mężczyzna z Monmouth - dwunasty z tej grupy, która miała wyjechać do Woolwich - i poinformował ich, że nazywa się William Edmunds.

O Chryste! - wykrzyknął Bill Whiting. Jest nas tu dwunastu do Woolwich i pięciu z nas ma takie samo pierdolone imię William! Domagam się, żeby wołano do mnie Bill. Ty, Wiltonie z Bristolu, przypominasz mi płacznego Willa Insella, więc niech ci będzie Willy. Connelly z Bristolu, ty zostaniesz Willem. Earlu z Wiltshire, tobie niech będzie Billy, ale co, do diabła, mamy zrobić z tym piątym? Za coś się tu dostał, Edmunds?

- Ukradłem jałówkę w Peterstone - przyznał się Edmunds śpiewnym walijskim akcentem.

Whiting ryknął śmiechem i pocałował rozwścieczonego Walijszyka w usta.

- Na Boga, następny gnojek! Ja pożyczyłem owcę tylko na noc - chciałem się z nią trochę popierdolić. Nigdy nie wpadłem na pomysł, żeby tak z jałówką!

- Nie rób tego! - Edmunds wytarł sobie energicznie usta. - Możesz sobie grzmocić kogo chcesz, byle nie mnie!

- To Walijszyk i złodziej - powiedział Richard, szczerząc zęby w uśmiechu. - Więc będziemy na niego wołać Taffy.

- Dostałeś szubienicę? - zapytał Bill Whiting Taffy'ego.

- Nawet dwa razy.

- Za jedną jałówkę?

- Nie. Drugi raz dostałem za ucieczkę. Walijszycy nie są jednak specjalnie zadowoleni i nie chcieliby, aby wieszano Walijszyka, nawet w Monmouth, więc dali mi odroczenie i pozbyli się mnie - wyjaśnił Taffy.

Richard poczuł sympatię do Taffy'ego, taką samą, jaką czuł w stosunku do Bilia Whitinga i Willa Connelly'ego. Miewał walijskie nastroje, podobne do chmur uganiających się za słońcem na purpurowych od wrzosów pagórkach. Przecież Richarda korzenie także były walijskie.

Kuzyn James aptekarz dotarł do Gloucester piątego stycznia, obładowany workami i drewnianymi skrzynkami.

- Biuro akcyzowe wypłaciło wreszcie twoje pięćset funtów z końcem grudnia - oznajmił, przeszukując worki. - Mam sześć nowych okapników, pięć z nich razem z mosiężnymi stojakami i naczyniami zbiorczymi, ponieważ uznałem, że musisz utrzymać swoich pięciu przyjaciół w dobrym zdrowiu. - Dlaczego aż pięciu, kuzynie Jamesie? - zapytał zaintrygowany Richard.

- James Thistlethwaite napisał w swoim liście do mnie, że mężczyźni na karnych okrętach na Tamizie są dzieleni na sześciuosobowe grupy, które żyją i pracują razem. - Nie powiedział Richardowi, co jeszcze napisał mu Jem o tych okrętach, bo nie był w stanie. - Dlatego też przyniosłem pięć nowych skrzyń, które zawierają to samo co twoja, tylko nie w takiej samej ilości. Przyniosłem też twoją skrzynkę z narzędziami.

Richard przysiadł na piętach i przez chwilę się zastanawiał, w końcu pokręcił głową.

- Nie, kuzynie Jamesie, tylko nie moje narzędzia. Będą mi potrzebne w zatoce Botany, lecz mam przecucie, że jeśli teraz wezmę je ze sobą, nie doczekają widoku zatoki Botany. Zatrzymaj je, dopóki nie dowiesz się, na jakim jestem statku, i dopiero wtedy mi je wyślij.

- Tutaj masz jeszcze parę książek od wielebnego Jamesa. Tym razem skoncentrował się na książkach o świecie, geografii i podróżach. Są cięższe, gdyż większość z nich wydrukowano na zwykłym papierze i oprawiono w skórę. On jednak uważa, że ci pomogą, i ma nadzieję, że zabierzesz je wraz z tymi poprzednimi do zatoki Botany.

Po czym kuzyn James aptekarz nie był w stanie powiedzieć już nic istotnego, więc wstał i zaczął innym tonem:

- Richardzie, zatoka Botany jest na drugim końcu świata. Dziesięć tysięcy mil - gdybyś umiał latać, a ponad szesnaście tysięcy szlakiem, który musi przepłynąć statek. Obawiam się, że nikt z nas już nigdy cię nie zobaczy, i to przepelnia moje serce smutkiem. A wszystko przez coś, czego nigdy nie zamierzałeś zrobić. Och Boże, Boże! Pamiętaj, że będziesz codziennie i do końca mego życia obecny w moich modlitwach i w modlitwach twego ojca i matki oraz wielebnego Jamesa. Z całą pewnością Bóg nie może zignorować tylu dobrych intencji. On z pewnością cię zachowa. O Boże, Boże!

Richard wyciągnął do niego ręce i przytulił go mocno, całując w oba policzki. A potem począł pisać powrotem, ze zwieszoną głową, nie oglądając się już za siebie.

Oczy Richarda podążyły jednak za nim wzdłuż ścieżek warzywnych aż do bramy zamku. Skręcił za róg i zniknął. „A ja będę się modlił za ciebie, kuzynie Jamesie, bo kocham cię bardziej niż własnego ojca”.

Z uwieszoną u ramienia Lizzie Lock, zebrał swój szwadron przy stole we wspólnej celi przestępców.

- To wcale nie znaczy, że chcę przewodzić - oświadczył swoim wybranym pięciu towarzyszom - Billowi Whitingowi, Willowi Connelly'emu, Neddy'emu Perrottowi, Jimmy'emu Price'owi i Taffy'emu. - Mam trzydzieści siedem lat i jestem najstarszy pośród was. Nie jestem jednak urodzonym przywódcą i powinniście to wiedzieć już teraz. Każdy z was musi szukać siły i rady wewnątrz siebie samego. Jednakże mam pewne wykształcenie i źródło informacji politycznych w Londynie oraz bardzo mądrego kuzyna aptekarza w Bristolu.

. - Znam go - potwierdził Will Connelly, kiwając głową. - To James Morgan z Corn Street. Rozpoznałem go, gdy tylko tu wszedł. Pomyślałem sobie: „Psiakość, ten Richard Morgan ma niezłe powiązania!”

- Dosyć. Po pierwsze, muszę wam powiedzieć, że mężczyźni na statkach dzieleni są na sześćoosobowe grupy, które mieszkają i pracują razem. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chciałbym, aby sześciu z nas utworzyło taką właśnie grupę, zanim jakiś dozorca zrobi to za nas. Zgadzaście się?

Kiwnęli poważnie głowami.

- Mamy szczęście, że jest nas tu dwunastu do Londynu. Drugą szóstkę stanowią młodzi, z wyjątkiem Ike'a. A on zdaje się przedkładać ich towarzystwo nad nasze. Poradzę wobec tego Ike'owi, żeby zrobił to samo ze swoją piątką. W ten sposób będzie nas dwunastu na okręcie dla wzajemnej obrony.

- Spodziewasz się kłopotów, Richardzie? - zapytał Connelly, marszcząc brwi.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, Will. Jeśli się spodziewam, to raczej na podstawie tego, czego mój informator nie powiedział, aniżeli tego, o czym mnie uprzedził. Wszyscy jesteśmy z zachodniej części kraju. Na okręcie tak nie będzie.

- Rozumiem - odparł Bill Whiting, choć raz poważnie. - Najlepiej już teraz zadecydować, co trzeba zrobić. Później może być już za późno.

- Ilu z nas potrafi pisać i czytać? - spytał Richard. Connelly, Perrott i Whiting podnieśli ręce.

- Czterech z nas. To dobrze. - Wskazał na pięć pudełek stojących na podłodze obok niego. - A teraz z innej beczki. Zawierają one rzeczy, które pomogą nam zachować zdrowie - takie jak okapniki.

- Och, Richardzie! - wykrzyknął Jimmy Price z rozdrażnieniem w głosie. - Robisz z tego nieszczęsnego okapnika jakąś cholerną religię. Przypominasz księdza celebrującego

mszę. - To prawda, że z dbałości o zdrowie uczyniłem religię. - Richard popatrzył groźnie na swoją grupę. - Will i Neddy, w jaki sposób zdołaliście przeżyć cały rok w bristolskim Newgate?

- Piliśmy piwo albo cienkusz - odpowiedział Connelly. - A rodziny dawały nam pieniądze, żebyśmy dobrze jedli i pili.

- Kiedy tam siedziałem, piłem tamtejszą wodę - oświadczył Richard.

- To niemożliwe! - wykrzyknął Neddy Perrott.

- Możliwe. Filtrowałem wodę przez okapnik. Służy on do oczyszczania brudnej wody i dlatego mój kuzyn James importuje je z Teneryfy. Jeśli wydaje wam się, że woda z Tamizy będzie się nadawała do picia bardziej aniżeli woda z Avonu, to umrzecie w przeciągu tygodnia. - Richard wzruszył ramionami. - Wybór oczywiście należy do was. Jeśli stać was na to, żeby pić cienkusz, to dobrze. W Londynie jednak rodziny nie będą mogły nam pomóc. Jeśli mamy jakieś złoto, to powinniśmy je trzymać na łąpówki, a nie wydawać na cienkusz.

- Masz rację - powiedział Will Connelly, dotykając okapnika stojącego na stole. - Ja w każdym razie będę filtrował swoją wodę, jeśli nie mogę sobie pozwolić na picie cienkusza. Tak będzie rozsądniej.

W końcu wszyscy zgodzili się, że będą filtrować wodę, włącznie z Jimmym Price'em.

- A zatem to załatwione - powiedział Richard i poszedł porozmawiać z Ikiem Rogersem. Żał mu było, że nie miał dwunastu okapników, lecz nie na tyle, by dzielić się tymi sześcioma, które mieli, z całą dwunastką. Grupa Ike'a będzie musiała radzić sobie sama - wydawało się, że Ike ma sporo pieniędzy.

„Jeśli dwunastu z nas będzie się trzymać razem w dwóch grupach, to mamy szansę na przeżycie”.

CZEŚĆ TRZECIA
OD STYCZNIA, 1786 ROKU
DO STYCZNIA 1787 ROKU

Furgon do Londynu i Woolwich przyjechał po nich następnego dnia o świcie, szóstego stycznia, dokładnie rok po jego ostatniej podróży wozem, jak zorientował się Richard. To więzienne rozstanie było jednakże o wiele ważniejsze i smutniejsze, kobiety bowiem płakały z nieutulonego żalu.

- Co ja bez ciebie zrobię? - spytała Lizzie Richarda, podążając za nim do domu Starej Matki Hubbard.

- Musisz znaleźć sobie kogoś innego - odpowiedział Richard ze współczuciem. - Ktoś powinien cię bronić. Choć trudno ci będzie znaleźć drugiego takiego jak ja, który zgodzi się wyrzec seksu.

- Wiem o tym, wiem! Och, Richardzie, będzie mi ciebie brakowało!

- I mnie ciebie, chuda Lizzie. Kto będzie mi cerował pończochy? Uśmiechnęła się przez łzy i dała mu kuksańca.

- A, wynoś się stąd. Pokazałam ci, jak posługiwać się igłą, i potrafisz już dobrze szyć.

A potem przyszło dwóch dozorców i zabrało kobiety do więzienia, mimo wymachiwania rękami, wycia i protestów.

I z powrotem do żelaznego pasa na brzuchu i czterech łańcuchów szepionych razem na jego przodzie.

Na zewnątrz furgon wyglądał tak samo jak ten z Bristolu do Gloucester - ciągnięty przez osiem dużych koni, przykryty brezentowym półkolem. Wewnątrz był jednak zupełnie inny - wyposażony w ławki po obu stronach, które były na tyle długie, by mogły wygodnie pomieścić sześciu mężczyzn. Ich dobytek musiał się zmieścić na podłodze pomiędzy ich nogami - będzie się tam przesuwiał i podskakiwał za każdym wstrząsem pojazdu, jak dobrze wiedział doświadczony już Richard. Jak wyglądały teraz drogi, czy były równe - zwłaszcza o tej porze roku? Był przecież środek zimy, i to w dodatku deszczowej.

Jechało z nimi dwóch dozorców, lecz nie siedzieli pośród nich, tylko razem z woźnicą z przodu, gdzie wybudowane było solidne schronienie. Nikt z tyłu nie mógł się wyslizgnąć i uciec - kiedy już usiedli, przewleczono dodatkowy łańcuch przez kajdanki każdego z więźniów i przymocowano go do podłogi z każdego końca. Jeśli jeden z nich się poruszył, pozostałych pięciu jego towarzyszy musiało się ruszyć także.

Porządek starszeństwa był już ustalony. Owinięty w swój ciepło podszyty płaszcz, Richard siedział u otwartego końca furgonu, mając naprzeciwko siebie Ike'a Rogersa, przywódcę młodzieży.

- Jak długo to potrwa? - zapytał Ike Rogers.

- Jeśli zdołamy przebyć sześć mil dziennie, będziemy mieli szczęście - odparł Richard.
- Nie jeździłeś jeszcze gościncami, Ike, to znaczy mam na myśli furgonami. Nie wiem, jak długo. To zależy od tego, którądy pojedziemy.

- Przez Cheltenham i Oksford - odpowiedział rozbójnik, przyjmując żart w dobrym nastroju. - Jednakże gdzie jest Woolwich, tego nie wiem. Byłem w Oksfordzie, ale nigdy w Londynie.

Richard przypomniał sobie fragment o Londynie ze swojej pierwszej książki geograficznej.

- To na wschód od Londynu, lecz na południowym brzegu Tamizy. Nie wiem, czy przekroczymy rzekę, ale mamy się znaleźć na okrętach cumujących na rzece. Jeśli pojedziemy przez Cheltenham i Oksford, będziemy musieli przebyć około stu dwudziestu mil do Woolwich. - Poczynił w pamięci jakieś obliczenia. - Pokonując sześć mil dziennie, powinno nam to zająć jakieś trzy tygodnie.

- Będziemy tu siedzieć przez trzy tygodnie? - zapytał Bill Whiting z przerażeniem.

Ci, którzy już przedtem podróżowali furgonem, roześmieli się.

- Nie musisz się martwić, że będziesz siedział beczynnio, Bill - odparł Taffy. - Z pół tuzina razy dziennie będziemy musieli odkopywać wóz.

Co oczywiście okazało się prawdą. Nie goszczono ich po drodze tak jak Richarda i Willy'ego podczas podróży z przewoźnikiem Johnem. Żadnych stodół ani ciepłych końskich derek, nic do jedzenia oprócz chleba i nic do picia oprócz cienkusza. Codziennie w nocy układali się na podłodze, aby rozprostować kończyny, przenosząc swój dobytek na ławki. Płaszczki służyły im za okrycia, a kapelusze za poduszki. Brezentowy dach przeciekał, a padało bez przerwy, choć temperatura utrzymywała się powyżej zera, co było prawdziwą łaską dla przemokniętych i dygoczących z zimna więźniów. Tylko Ike miał wysokie buty, reszta jedynie zwykłe, które wkrótce oblepione były błotem powyżej ich skutych łańcuchami kostek.

Nie zobaczyli ani Cheltenhamu ani Oksfordu - woźnica bowiem wołał, ze względu na więźniów, objechać obrzeżami oba miasta, a High Wycombe okazało się jedynie krótkim szeregiem domów stojących wzdłuż drogi na pagórku, i to tak śliskiej, że zaprzęg koni zaplątał się w swoje postronki i o mało nie wyrzucił furgonu. Posiniaczeni przez spadające drewniane kufry więźniowie zajęli się podnoszeniem niebezpiecznie przechylonego wozu. Ike Rogers, wielki miłośnik koni, zajął się uspokajaniem zwierząt i rozplątywaniem uprzęży.

W Londynie ani razu nie wyjrzeli na zewnątrz, gdyż jeden z dozorców założył zasłonę na otworze z tyłu wozu, zakrywając przed nimi wszystko, co działo się na ulicach. Wkrótce

poczułi płynny ruch wozu zamiast szarpaniny, co oznaczało, że wyciąganie wozu z błota na razie nie będzie potrzebne. Docierały do nich odgłosy z zewnątrz - okrzyki, skowyt, ryki, urywki piosenek, fragmenty rozmów - co być może wskazywało na to, że przejeżdżali obok otwartych drzwi jakiejś tawerny, czasami dobiegał ich uszu stukot maszyn i sporadyczny łoskot.

Kiedy zapadła noc, dozorczy wsunęli im chleb i cienkusz, odchylając połę plandeki, i zostawili ich samym sobie. Tym, którzy musieli się wypróżnić, podano wiadro. Rano znowu chleb i cienkusz, a potem dalsza droga w tym straszliwym zgiełku, do którego dołączyły się teraz okrzyki ulicznych sprzedawców i różne nieprzyjemne zapachy - zgniłych ryb, mięsa i jarzyn. Bristolczycy popatrzyli po sobie z uśmiechem, podczas gdy reszcie zbierało się na wymioty.

Przez dwie noce spali gdzieś w obrębie tego wielkiego miasta, aż po południu trzeciego dnia - a dwudziestego dnia od czasu opuszczenia Gloucester - ktoś zerwał zasłonę i wpuścił do środka londyńskie dzienne światło. Przed nimi rozpościerała się szeroka rzeka, szara i wartka, a na jej falach unosiły się brudy i odpadki. Sądząc po położeniu słońca, bladej i rozmytej jasności pośród białości nieba, przekroczyli ją gdzieś na południowym wybrzeżu. „W Woolwich” - zdecydował w myślach Richard. Furgon stał przy doku, przy którym czekał przycumowany rozpadający się statek, który według ledwo widocznej tabliczki z brązu nosił nazwę „Powitanie”. Bardzo odpowiednią.

Dozorczy usunęli łańcuch, który łączył ich wszystkich, i kazali Richardowi i Ike'owi zejść na dół. Na trochę trzęsących się nogach zeskoczyli na ziemię, a ich towarzysze za nimi.

- Pamiętajcie, dwie sześciuosobowe grupy - powiedział Richard cicho do Ike'a.

Odprawiono ich na drewniany pomost, a następnie na statek - zanim którykolwiek z nich zdołał się przyjrzeć rzece lub temu, co po niej pływało. Kiedy znaleźli się już wewnątrz jakiegoś pomieszczenia, zostali uwolnieni ze swoich łańcuchów i kajdan, które oddano dozorcóm z Gloucester.

Stali przez jakiś czas w otoczeniu kufrów, worków i tobołków, świadomi obecności dozorców za drzwiami tej sypiącej się kwatery dla starszych oficerów, lub może czegoś innego. Ucieczka stamtąd była niemożliwa, chyba że cała dwunastka rzuciłaby się razem - ale co mieliby zrobić potem?

Wszedł jakiś mężczyzna.

- Ściągać okrycia i portki! - wrzasnął z niezrozumiałym akcentem.

Popatrzyli na niego tępo.

- Ściągać okrycia i portki! - powtórzył.

Kiedy nikt się nie poruszył, utkwiał oczy w suficie, a następnie rozwścieczony podszedł do Richarda, który stał najbliżej, zrzucił mu z głowy kapelusz i zaczął szarpać za jego płaszcz i surdut, który miał pod spodem.

- Wydaje mi się, że on chce, abyśmy ściągnęli kapelusze i płaszcze. Wszyscy posłusznie spełnili rozkaz.

- A teraz portki do kostek, koszule zostawcie na grzbiecie. Spojrzeli na niego, nie pojmując ani słowa.

Zgrzytnął zębami, zamknął oczy i powiedział z bardzo dziwnym akcentem.

- Spuścić gacie do kostek i nie ściągać koszul. Tym razem wszyscy posłuchali.

- Gotowe, proszę pana! - zawołał. Do środka wszedł jakiś inny mężczyzna.

- Skąd wy wszyscy jesteście? - zapytał.

- Z więzienia w Gloucester - odpowiedział Ike.

- Och, z zachodnich obszarów. Będziesz musiał mówić do nich czymś w rodzaju królewskiej angielszczyzny, Matty - zwrócił się do swego towarzysza, a potem znowu do więźniów. - Jestem lekarzem. - Czy któryś z was jest może chory?

Najwyraźniej przyjmując, że ogólny pomruk był zaprzeczeniem, skinął głową i westchnął.

- Podnieście koszule, żebyśmy mogli zobaczyć, czy któryś z was nie ma trypra. - I zbadał im członki, szukając śladów syfilitycznych owrzodzeń, a nie znalazłszy żadnych, westchnął ponownie. - Bene - zwrócił się do Matty'ego, a potem do nich. - Jesteście zdrową paczką, lecz to się może zmienić. - Już wychodząc, rzucił: - Ubierzcie się, czekajcie tu i bądźcie cicho.

Nałożyli ubrania i czekali.

Upłynęło całe pięć minut, zanim Bill Whiting, najbardziej rozmowny z nich wszystkich, na tyle odzyskał dawny wigor, aby się odezwać.

- Czy któryś z was zrozumiał, co ten Matty mówił? - zapytał.

- Ani słowa - odparł młody Job Hollister.

- Może pochodzi ze Szkocji - powiedział Connelly, pamiętając, że nikt w Bristolu nie rozumiał Jacka Malarza.

- A może z Woolwich - wtrącił Neddy Perrott, co wszystkich uciszyło.

Minęła godzina. Osunęli się na podłogę i oparli plecami o ścianę, czując pod nogami lekkie kołysanie przycumowanego statku. „Bez steru” - pomyślał Richard. - „Jesteśmy bez steru, podobnie jak to, co kiedyś było statkiem, dalej od domu aniżeli którykolwiek z nas przedtem się zapuścił i nie mając pojęcia, co nas dalej czeka. Młodzi są oszołomieni, zdaje się

nawet, że Ike stracił pewność siebie. A ja jestem przerażony”.

Dobiegł ich odgłos kilku stóp dudniących po drewnianych deskach, wraz ze znajomym, głuchym szczękiem łańcuchów. Dwunastu mężczyzn poruszyło się ociężale.

- Kajdanki dla szanownych jegomościów - krzyknął mężczyzna, który właśnie stanął w drzwiach. - Łańcuchy, moi śliczni wieśniacy. Siadać i niech mi się nikt nie rusza.

O sześć cali dłuższe aniżeli te z Bristolu czy Gloucester, łańcuchy zostały już przytwierdzone do oków, które okazały się o wiele lżejsze i na tyle giętkie, że dobrze umięśniony kowal mógł je owinąć wokół kostki człowieka i zamknąć tak, że otwory po obu stronach nakładały się na siebie. Następnie wkładał w nie od strony kostki płasko zakończony sworzeń i wsuwał długi jęzor kowadła pomiędzy niego a okowy. Dwa ciężkie uderzenia i oba końce nitów zostały rozplaszczane na żelaznej obręczy na zawsze.

„Będę je nosił przez następne sześć lat lub więcej” - pomyślał Richard, łagodząc ból w kościach przez ich masowanie. - „Nie robią tego zaledwie w przypadku sześciu miesięcy lub więcej. Oznacza to zatem, że nawet jak już dotrzemy do zatoki Botany, będę musiał je nosić aż do końca mego wyroku”.

Inny kowal założył okowy drugiej szóstce z Gloucester, równie sprawnie jak pierwszy. W ciągu półgodziny obydwaj ukończyli pracę, po czym pogonili swoich pomocników, aby pozbierali narzędzia, i wyszli. Dwóch dozorców pozostało - Matty musiał być pomocnikiem doktora. Z pewnością przekazał wiadomość pozostałym strażnikom, bo następny z nich odezwał się do więźniów dziwnie akcentowaną angielszczyzną, a nie żargonem używanym w londyńskim Newgate i przez wszystkich tych, którzy mieli z tym miejscem cokolwiek do czynienia.

- Będziecie tu dzisiaj jeść i spać - oznajmił krótko, uderzając krótką guzową pałką w dłoń. - Możecie rozmawiać i poruszać się. Zostawiono też dla was wiadro. - A potem wyszedł wraz ze swym towarzyszem, zamykając drzwi na klucz.

Dwóch młodych chłopców z Wiltshire ocierało łzy, podczas gdy reszta pozostała niewzruszona. Jednak nie mieli nastroju na rozmowę, dopóki Will Connelly nie wstał i nie zaczął obchodzić pomieszczenia.

- Kajdanki wydają się wygodniejsze - powiedział, unosząc jedną stopę. - Łańcuchy mają około trzydziestu cali. Łatwiej w nich chodzić.

Richard powiódł palcami po okowach i przekonał się, że są zaokrąglone na brzegach.

- Aha. I nie będą tak bardzo ocierać. Nie będziemy musieli marnować tyłu szmat.

- Porządne, robocze kajdanki - stwierdził Bill Whiting. - Ciekaw jestem, co to będzie za praca.

Tuż przed zapadnięciem zmroku przyniesiono im cienkusz, stęchły i bardzo ciemny czarny chleb oraz bryję z gotowanej kapusty i porów.

- To nie dla mnie - oświadczył Ike, odsuwając od siebie garnek z kapustą.

- Zjedz to, Ike - rozkazał Richard. - Mój kuzyn James twierdzi, że powinniśmy jeść wszystkie warzywa, jakie dostaniemy, gdyż w przeciwnym razie dostaniemy gnilca.

Ike pozostał niewzruszony.

- Ta bryja nie wyleczyłaby nawet ciekącego nosa.

- Zgadzam się - przyznał Richard, skosztowawszy ją. - Jest to jednak coś innego niż sam chleb, więc ją zjem.

Wkrótce w pomieszczeniu bez okien, pozbawieni kobiet i jakiegokolwiek innego pocieszenia, położyli się na podłodze, owinęli w płaszcze i z kapeluszami pod głowami pozwolili, aby łagodny kołysanie rzeki utuliło ich do snu.

Następnego dżdżystego, szarego poranka zostali przeniesieni z „Powitania” na otwarty galar. Jak dotąd nie zaznali okrucieństwa - strażnicy byli z pewnością brutalni, lecz dopóki więźniowie robili to, co im kazano w odpowiednim czasie, trzymali pałki przy sobie. Drewniane skrzynki oczywiście wzbudzały zainteresowanie, lecz, co dziwne, nikt ich dotąd nie sprawdził. Na doku dowiedzieli się dlaczego. Niski, krępy dżentelmen w staroświeckiej peruce i zatechłym surducie zbiegł pośpiesznie ze zniszczonej rufy, cały promienny i z wyciągniętymi rękami.

- Ach, to ten tuzin z Gloucester! - powiedział z lekko, jak się później dowiedzieli, szkockim akcentem. - Doktor Meadows doniósł mi, że nieźle z was okazy i teraz widzę, że miał rację. Nazywam się Campbell i to jest mój pomysł. - Ręka jego szerokim gestem zmiotła na bok deszcz. - Pływające więzienie! O ileż zdrowsze od Newgate! Od jakiegokolwiek innego więzienia, jeśli już o tym mowa. Macie przy sobie dobytek? To dobrze. Każdy, kto nie respektuje prawa skazańca do jego własności, zasługuje na czarną kreskę. Neil! Gdzież ty się podziewasz?

Zza dziobu „Powitania” wyłonił się mężczyzna tak podobny do niego, że można by go uznać za jego bliźniaczego brata. Zbiegł na dok, gdzie zatrzymał się zasapany.

- Tutaj jestem, Duncan.

- O, dobrze. Nie chciałem, żeby ominęła cię okazja zobaczenia tych wspaniałych facetów. Mój brat, jest moim asystentem - wyjaśnił, tak jakby więźniowie byli równymi jemu ludźmi. - On jednak jest w tej chwili odpowiedzialny za „Justitię” i „Censora”. Ja jestem zbyt zajęty moim drogim „Ceresem”, to doprawdy wspaniałe statek. Naturalnie, że wy pójdziecie

na mego „Ceresa” - to doskonale, że jest was równo tuzin i wszyscy zdrowi. Dwie załogi do dwóch nowych bagrownic. - Zaczął dosłownie podskakiwać w miejscu. - Cudownie! Cudownie! - I pognął dalej z bratem pobekującym za nim niczym zaginione jagnię.

„O Chryste, co za dziwak! - odezwał się Bill Whiting.

- Milczeć! - warknął pilnujący ich dozorca i spuścił pałkę na ramię Whitinga z przyprawiającym o mdłości odgłosem. - A teraz ruszcie się!

To zrozumieli. Wraz z Ikiem Rogersem dyskretnie podtrzymującym na wpół przytomnego Whitinga, dwunastu mężczyzn wycofało się ostrożnie, trzymając kurczowo swój dobytek, i zeszło po śliskich stopniach do czekającego na nich galaru.

Połącze niskiego, bagnistego wybrzeża i zamglone sylwetki paru statków pojawiły się i zniknęły w tym szarym, upiornym deszczu. Z kołnierzami postawionymi wysoko do góry, z kapeluszami nasadzonymi tak, aby skierować strumień wody raczej na ramiona aniżeli na kark, siedzieli pośród swych kufrów, worków i zawiniątek. Milcząca załoga złożona z dwunastu wioślarzy, sześciu po każdej stronie, odepchnęła galar od brzegu, zawróciła go i wiosłowała na środek wielkiej, szerokiej rzeki długimi, spokojnymi ruchami, które nieomal nie zakłócały jej nurtu.

Były tam cztery statki, przycumowane jeden za drugim niczym szereg krów, jakieś trzysta jardów od tego południowego kentyckiego wybrzeża. Każdy z nich był przycumowany o wiele mocniej niż jakkolwiek inny statek z tych, które Richard dotychczas widział, nawet w Kingroad, przy ujściu rzeki Severn. „Przymocowano je na tyle mocno - pomyślał - żeby nie mogły się kołysać przy kotwicach, które przy każdym z nich zawieszono na łańcuchach, zamiast na zwyczajnych linach. Najmniejszy ze statków stał najdalej na rzece w kierunku Londynu, a największy na drugim końcu szeregu i jakieś sto jardów dzieliło je od najbliższego sąsiada w szeregu.

- Statek szpitalny „Guardian”, następnie „Censor”, „Justitia” i „Ceres” - powiedział strażnik, wskazując na nie.

Galar skierował się w stronę „Censora” naprzeciw doku, a potem zawrócił, by płynąć w dół z nurtem rzeki, ułatwiając pracę wioślarzom. W ten sposób mieli szansę przyjrzeć się każdemu z trzech więziennych statków. Jak się okazało, jedynie przypominały prawdziwe okręty - bezany już dawno zostały zniszczone, czterdziestostopowe grotmaszty połamane i rozłupane, fokmaszty były prawie nienaruszone, lecz pozbawione płócien żaglowych. Mokra ubrania suszyły się na linach luźno zawieszonych pomiędzy każdym fokmasztem i grotmasztem, jak również na podporach łączących fokmaszty z kikutom bukszprytu. Na pokładach wyrosły drewniane chaty i sterczące przybudówki z lasem żelaznych kominów,

wykrzywionych pod przeróżnymi kątami, a na szczycie znajdowało się jeszcze więcej dodatkowych nadbudówek, forkasztelów i kajut oficerskich. „Censor” i „Justitia” zdawały się tak stare, że przypuszczalnie pływały po morzach we flocie Dobrej Królowej Bess przeciwko Hiszpańskiej Armadzie. Nie pozostał na nich nawet ślad farby, ani jeden miedziany gwóźdź, który by nie zaśnieżał: nie było żadnego wzdłużnego pasa poszycia pokładu, który pozostałby cały i nie rozłupany.

W porównaniu z nimi „Ceres” wyglądał na zaledwie stuletni - jego marynarska żółto - czarna farba ciągle jeszcze trzymała się miejscami, a postać wieńcząca bukszpryt galeonu - którą była pszenicznej barwy kobieta z nagimi piersiami, które jakiś dowcipniś zakończył jaskrawoczerwonymi brodawkami - częściowo się zachowała. Burty armatnie na „Censorze” i „Justitii” zostały na stałe zamknięte, lecz te z „Ceresu” zupełnie usunięto i zastąpiono kratami z grubych, żelaznych prętów, co pozwoliło domyślać się doświadczonym w takich sprawach bristolczykom, że posiadał jeszcze dwa pokłady poniżej górnego lub powierzchniowego - pokład niższy i dolny. Kiedyś zatem był to drugorzędowy statek z dziewięćdziesięcioma armatami. Żaden statek handlowy ani niewolniczy nie mógł mieć takich otworów działowych po obu burtach.

„W jaki sposób - zastanawiał się Richard - zdołamy się tam dostać wraz z naszym dobytkiem po sznurowanej drabinie? Łańcuchy będą naszą zgubą”. Jednakże impulsywny Duncan Campbell wyposażył swą chlubę i radość w drewniane schody, przymocowane do huśtającego się podejścia. Ze skrzynką w rękach i dwoma dodatkowymi workami przewieszonymi przez ramiona, Richard pierwszy znalazł się za burtą galaru tuż za trzymającym w rękę pałkę strażnikiem i zaczął wspinać się po schodach w stronę otworu w kracie szesnaście stóp ponad nim. „Ceres” był dużym drugorzędowym statkiem.

- Nadzorca! - wrzasnął pilnujący ich strażnik.

Spomiędzy dwóch drewnianych ruder wyłonił się wyglądający na waźniaka, lecz niechlujny człowiek, dłubiący sobie w zębach. W głębi Richard dostrzegł od czasu do czasu migające spódnice i doleciały do niego kobiece głosy. Zorientował się, że większość dozorców musiała mieszkać w tych rozklekotanych kwaterach.

- A co? - zapytał nadzorca.

- Dwunastu skazańców z więzienia w Gloucester, panie Hanks. Nie są z naszego Newgate, więc nie znają żargonu. Pan Campbell mówi, że to te dwie nowe brygady do bagrownic. Doktor twierdzi, że nie ma wśród nich syfilityków.

- Znowu ci z akcentem! - powiedział z obrzydzeniem Hanks. - Prawie połowa z tych na pokładzie to ci z akcentem, panie Sykes. - Zwrócił się teraz do więźniów. - Nazywam się

Herbert Hanks i jestem tu naczelnym dozorcą. Wsadźcie ich na dolny pokład, Sykes. To nie są więźniowie, to skazańcy. Zrozumiano?

Pokiwali bez słowa głowami, usiłując rozszyfrować jego angielszczyznę.

- Więźniowie - ciągnął pan Hanks konwersacyjnym tonem mają szansę się wywinąć. Skazańcy pozostają skazańcami przez cały okres trwania wyroku. A oto reguły, więc nadstawcie uszu, bo nie będę tego dwa razy powtarzał. Odwiedziny są w niedziele po nabożeństwie. Kościół jest obowiązkowy - i żadnych tam kwaków i anabaptystów czy jakichś odszczepieńczych klechów. Tylko kościół królewski. Wszyscy goście będą przeszukiwani, muszą zostawić u mnie forszę a wszelkie żarcie, jakie przyniosą, będzie konfiskowane. A czemu? Bo niektórzy faceci przemycają pilniki w cieście i puddingu.

Przerwał, aby spojrzeć na swoich słuchaczy z dziwną mieszaniną radości i srogości.

- Kiedy jesteście na pokładzie, waszym domem jest dolny pokład. Tylko ja mogę otworzyć drzwi, a to się nie zdarza często. Na górę do roboty i na dół spać - od poniedziałku do soboty. Jak pogoda na to pozwala, to pracujecie, i zaręczam wam, że będziecie harować. Dzisiaj na przykład nie da się pracować, bo cholernie pada. Macie jeść, co wam dają, i pić, co wam każą. Jałowcówka jest bardzo droga i ja jestem jedynym dostawcą tych rozkoszy po sześć pensów za ćwiartkę.

Nastąpiła kolejna pauza, tym razem po to, aby pan Hanks mógł odchrząknąć flegmę i splunąć im pod nogi.

- Jecie szóstkami, a żarcie dostajecie od płatnika. W niedziele, poniedziałki, środy, czwartki i soboty przydzielane są dla każdej szóstki mężczyzn - jeden policzek wołu lub jedna pręga, trzy kwarty grochu, trzy funty warzyw, sześć funtów chleba i sześć kwaterek cienkusa. We wtorki i piątki jest owsianka - możecie sobie brać tyle wody z Tamizy, ile tylko chcecie; dostajecie trzy funty owsa z otrębami, trzy funty sera i sześć funtów chleba. To cały wasz przydział. Jeśli zjecie to wszystko na kolację, będziecie głodni i spragnieni rano, zrozumiano? Pan Campbell mówi, że macie się myć codziennie i golić w niedzielę, zanim kościelny kaznodzieja wejdzie na pokład. Kiedy będziecie wychodzić na górę do pracy lub do kościoła, przynosicie swoje wiadra po nocy i wypróżniajcie je za burtę. Każda grupa dostaje po wiadrze. Jesteście tu zamknięci, kochasie, i co tam w środku robicie, nic mnie nie obchodzi, i pana Campbella również.

Radość jego wyraźnie wzrosła.

- Najpierw jednak - powiedział, przykucając, podczas gdy pan Sykes i wszyscy jego pachołcy pozostali za nim, stojąc - muszę rzucić okiem na te kufry i torby, więc otwierać je - i to już!

Wykład ten nauczył ich nowego żargonowego słowa, oznaczającego „otwierać”, więc otworzyli swe kufry i rozładowali zawartość dodatkowych worków.

Pan Herbert Hanks był bardzo dokładny. Zaczął od dobytku Rogersa i jego grupy, których kufry były o wiele mniejsze, różniły się jeden od drugiego, a dwóch młodzieńców z Wiltshire wcale ich nie miało. Szmaty wyrzucił, lecz każdą z nich, podobnie jak wszystkie ubrania, podał Sykesowi, który przebiegał po nich dokładnie rękami i obmacywał najdrobniejsze zgrubienie. Nic ich jednak nie zainteresowało. Najwidoczniej żaden z tych przedmiotów nie stanowił obiektów pożądania.

- Gdzie macie pieniądze? - dopytywał się nadzorca obcesowo. Ike przybrał pozę pełnego szacunku zdziwienia.

- Proszę pana, nie mamy pieniędzy. Od roku byliśmy w więzieniu w Gloucester. Forsa się rozeszła.

- Aha. - Pan Hanks zwrócił się z błyszczącymi oczyma do grupy Richarda. - Podejrżani goście, co? I sporo łupu. - Z kufra Richarda wyciągnięte zostały ubrania, butelki i słoiki, obramowany okapnik i kilka części zamiennych, szmaty używane do pakowania, książki, zwój papieru, pióra - bardzo ciekawe przedmioty! - i dwie zapasowe pary butów. Podniósł buty wysoko, przyjrzał im się zawiedziony i wzruszył ramionami w kierunku równie rozczarowanego pana Sykesa. - Nie bez powodu nazywają was prostytutkami. Nikt tutaj nie ma stóp takich rozmiarów, ty durniu, nawet Long Joyce. A to co takiego? - zapytał, podnosząc butelkę.

- Olej smołowy, panie Hanks.

- A co to za przyrząd?

- Okapnik, proszę pana. Używam go do filtrowania wody do picia.

- Tutaj woda jest filtrowana. Mamy wielkie sito pod każdą pompą. Jak się nazywasz, wielkostopy?

- Richard Morgan.

Wyrwał listę z ręki jednego z pomocników pana Sykesa i spojrzał na nią uważnie. Potrafił czytać, ale z trudem.

- O nie, już nie. Odtąd, Morgan, jesteście więźniem numer dwieście trzy. - Tak jest, proszę pana.

- Uczony facet, jak widzę. - Pan Hanks przerzucił kartki kilku książek w poszukiwaniu lubieżnych rycin lub erotycznej prozy, a potem odłożył każdą z nich z pełnym frustracji głośnym uderzeniem. - A to co?

- To tonik, proszę pana, do leczenia czyraków.

- A to?

- To maść na zadrapania i owrzodzenia.

- Do cholery, toż to cała apteka! Po coś tu przytargał ten cały śmietnik? - Wyjął korek z butelki toniku i powąchał podejrzliwie. - Uch! - Rzucił ją na podłogę i upuścił korek, który gdzieś się potoczył.

- Śmierdzi tak potwornie, że równie dobrze mogłoby to pochodzić z tej rzeki.

Richard stał z obojętnym wyrazem twarzy, podczas gdy naczelnny dozorca pochwycił pusty kufer i potrząsnął nim, aby sprawdzić, czy coś nie zadźwięczy, po czym opukał go ze wszystkich stron, z wierzchu i od spodu. W końcu obmacał też wszystkie szwy worków. Nic. Przywłaszczył sobie brzytwę Richarda, jego rzemień i osetkę oraz parę najlepszych pończoch. Następnie przeszedł do kufra i worka Willa Connelly'ego. Bardzo cicho i dyskretnie Richard przykląkł, aby odzyskać swój tonik, zakorkować go i odłożyć na bok. Spojrzenie na pana Sykesa utwierdziło go w przekonaniu, że w tym momencie powinien spakować swoje rzeczy, więc skinął głową w stronę Rogersa i zajął się tym, a Rogers i młodzież poszła w jego ślady.

Skończywszy z całą dwunastką, pan Hanks wyglądał na zadowolonego.

- No dobrze, a teraz powiedzcie, gdzie jest mamona? Gdzie wasza forsa, matoly?

- Ależ proszę pana, my nic nie mamy - odpowiedział Neddy Perrott. - Byliśmy w więzieniu przez ponad rok, a tam były kobiety...

- Nie dokończył przepraszająco.

- Wywinąć kieszenie!

Wszystkie kieszenie okazały się puste, z wyjątkiem kieszeni Richarda, Billa, Neddy'ego i Willa, które były zapchane książkami.

- Ściągać ciuchy, ściągać, mówię! - warknął pan Hanks. Opadły płaszcze i surduty. Pan Sykes obmacał je wszystkie, cał po calu.

- Nic - odpowiedział, szczerząc zęby w uśmiechu.

- Przeszukać ich, panie Sykes!

Zinterpretowali to jako rozkaz ponownego zrewidowania - pan Sykes zaczął z widoczną lubością obmacywać ich ciała wokół genitaliów i pośladków.

A teraz - powiedział, wymieniając z Sykesem spojrzenie zdradzające niecierpliwę wyczekiwanie - ściągnąć portki i pochylić się do przodu! - Hanks mówił zrezygnowanym i drżącym głosem. - Ostrzegam was jednak, że jeśli pan Sykes znajdzie u kogoś z was w dupie forszę, to będziecie ją myli we własnej krwi.

Sykes był brutalnie powolny i skuteczny. Czterech młodych mężczyzn i Joey Long płakali z bólu i upokorzenia, pozostali znieśli to bez słowa i żadnego widocznego

skrepowania.

- Nic - stwierdził Sykes. - Pierdolone gównno. Ani grosza, panie Hanks.

- Pochodzimy z Gloucestershire - wyjaśnił Richard, podciągając kalesony i spodnie. - To biedna część Anglii.

„Wiem już, czego się można po tobie spodziewać. Wstyd i pieniądze. Niechże cię Bóg przeklnie”.

- Zabierz ich na dół, Sykes - rozkazał naczelnny dozorca i odszedł rozczarowany w stronę drewnianych ruder.

Od dwudziestego ósmego stycznia 1786 roku na pokładzie „Ceresu” przebywało dwustu trzynastu skazańców. Dwunastce z Gloucester przyznano numery od 201 do 213, Richard otrzymał numer 203. Jedynym dozorcą, który posługiwał się ich numerami, był Herbert Hanks z ulicy Plumstead w pobliżu Warren w Woolwich.

Ktoś miał na tyle rozsądku, że - prawdopodobnie aby ułagodzić więźniów z Newgate, którzy nienawidzili wieśniaków - oddzielił tych z londyńskiego więzienia od pozostałych, umieszczając ich na różnych pokładach. Londyńczycy zajmowali niższy pokład, a wieśniacy najniższy. Być może wynikało to z obserwacji wiecznej wojny, jaka toczyła się pomiędzy londyńskimi przestępcami a tymi spoza Londynu na „Censorze” i „Justitii”, gdzie wszyscy przebywali razem, tak że nawet pan Duncan Campbell nie był w stanie rozwikłać tej gmatwaniny. Z „Dunkirkiem”, który cumował w Plymouth, zamierzał posunąć się jeszcze dalej niż z „Ceresem”, dzieląc statek tak, aby stworzyć siedem przedziałów dla skazańców, zgodnie z systemem klasyfikacyjnym, jaki opracował.

Podziały pomiędzy Anglikami były bardzo wyraźne. Ci, którzy Posługiwali się żargonem z londyńskiego Newgate, rozmawiali językiem, który wydawał się zupełnie obcy pozostałym, choć wielu z nich potrafiło - jeśli zostali do tego zmuszeni - mówić bardziej ogólną angielszczyzną, choć z dziwnym akcentem. Wielu z nich dla zasady odmawiało i wołało posługiwać się wyłącznie swoim żargonem. Ci pochodzący z obszarów północnych, sięgających tak daleko na południe jak Yorkshire i Lancashire, byli w stanie mniej więcej zrozumieć się nawzajem, ale bez względu na poziom wykształcenia nie potrafili dogadać się z kimkolwiek, kto pochodził z miejscowości położonych dalej na południe. Sytuację jeszcze bardziej komplikował fakt, że mieszkańcy Liverpoolu mówili dialektem zwanym scouse - jeszcze jednym obcym językiem. Więźniowie pochodzący z obszarów centralnych całkiem dobrze dogadywali się z tymi z ziem zachodnich i obie te grupy rozumiały skazańców z Sussex, obszarów leżących przy kanale w Kent, Surrey i Hampshire. Jednakże ci z okolic nad

Tamizą w Kent posługiwali się odrębnym żargonem i to samo można było powiedzieć o tych z Essex, mieszkających najbliżej Londynu. Mieszkańcy północnego Essex, Cambridgeshire, Suffolk, Norfolk i Lincoln - mówili jeszcze inaczej. Była to zatem wielojęzyczna grupa Anglików, a na „Censorze” znajdowało się nawet dwóch więźniów z Birmingham, którzy nie mogli się porozumieć - jeden mieszkał w wiosce Smethwick, a drugi w Four Oaks, i żaden z nich nie oddalił się nawet na milę od swego domu, dopóki nie złapano ich w sidła sprawiedliwości.

W rezultacie ludzie ci utworzyli kilka odrębnych grup. Jeśli jedna szóstka rozumiała drugą, to do pewnego stopnia więźniowie się mieszały. Jeśli dialekty lub akcenty były diametralnie różne, grupy te nigdy się nie schodziły. Ludzie z Gloucester wkroczyli zatem do podzielonego już obozu, zjednoczonego jedynie nienawiścią do londyńskich więźniów z wyższego pokładu, o których krążyły wieści, że otrzymywali lwią część wszystkiego - począwszy od żarcia, aż po tańszą jałowcówkę, ponieważ mogli dogadać się z dozorcami i razem z nimi pozbawiali mieszkańców pozostałych pokładów należnych im przydziałów.

Jeśli chodzi o jałowcówkę, mogło to być prawdą, gdyż więźniowie z Newgate znajdowali się na własnym terenie i posiadali przypuszczalnie o wiele więcej źródeł pieniędzy, lecz z pewnością nie dotyczyło to żywności.

Ten niski, podskakujący wesoło Duncan Campbell był nad wyraz oszczędny, jeśli chodziło o rzeczy, za które musiał płacić z dwudziestu sześciu funtów przypadających na każdego skazańca rocznie, jakie otrzymywał od rządu Jego Królewskiej Mości. Na wyżywienie jednego więźnia przypadało więc dziesięć szylingów tygodniowo - owego stycznia na statkach więziennych na Tamizie jego dochód brutto wynosił trzysta sześćdziesiąt funtów tygodniowo i sporo było rzeczy, które mógł uczynić sprytny kontraktor, aby cyfry brutto i netto utrzymać bliżej siebie. Najprostsze wybiegi, takie jak fałszowanie liczby więźniów czy też pozwalanie na szerzenie się szkorbutu, były niestety wykluczone. Zbyt dużo kręciło się tam wścibskich urzędników. Na początku kupował chleb i wołowinę od załogi w londyńskim Tower - tylko głowy wołowe i pręgi oraz twarde chleb - i nie przejmował się ich warunkami. Potem jednak pojawił się pan John Howard, więc chleb i wołowina musiały się trochę poprawić. Pomijając już te denerwujące ograniczenia oraz stuosobową załogę różnego autoramentu, pan Campbell zdołał osiągnąć zyski w wysokości stu pięćdziesięciu funtów tygodniowo, a poza tym był zaangażowany w bardzo delikatne przetargi związane z ofertą przewiezienia tej wyprawy, o której tyle się już mówiło, do zatoki Botany.

Odległość pomiędzy pokładami na „Ceresie” wynosiła sześć stóp, co oznaczało, że

Richard miał sufit z gnijących desek zaledwie pół cala nad głową, a Ike Rogers w ogóle nie mógł się wyprostować. Belki pokładnicowe, biegnące od jednej burty do drugiej, znajdowały się jednak o stopę niżej, w odstępach sześciu stóp od siebie. Dlatego chodzenie zamieniało się w parodię małpich popisów, wymagało ciągłego pochylania dla ochrony głów co dwa kroki.

Dla bristolczyków zapach był znośny, kiedy wiatr wył przez żelazne kraty i owiewał chłodne, wymalowane na czerwono pomieszczenie, rozciągające się od przegrody na trawersie fokmasztu aż po przegrodę przy wejściu od strony rufy. W sumie było ono na jakieś czterdzieści stóp szerokie i miało około stu stóp długości. Wzdłuż obu zewnętrznych ścian kadłubu znajdowały się drewniane platformy, mniej więcej na wysokości stołu, i zdawało się, że służyły właśnie w tym celu, gdyż siedzieli przy nich mężczyźni na ławkach. Dziwne było to, że służyły również za łóżka, gdyż w niektórych miejscach mężczyźni leżeli na nich, najwidoczniej odpoczywając lub zmożeni gorączką. Szerokość podestu - około sześciu stóp - również wskazywała na to, że były to łóżka. Inny podobny do stołu podest szerokości sześciu stóp stał dokładnie pośrodku. Na pierwszy rzut oka wydawało się, że pomieszczenie to zamieszkiwało około osiemdziesięciu mężczyzn, ale na widok dwunastu nowych więźniów wszelkie rozmowy ucichły i większość głów zwróciła się w stronę wchodzących. - A skąd to? - zapytał jakiś mężczyzna siedzący przy środkowym stole w pobliżu wejścia.

- A z więzienia w Gloucester, cała nasza dwunastka - odparł Will Connelly.

Mężczyzna podniósł się na nogi, a był na tyle niski, że mógł swobodnie przejść pod belkami, choć budową przypominał bardziej dżokeja aniżeli karła i miał twarz człowieka, który spędził większość swego życia pośród koni - pomarszczoną, twardą niczym skórzana podeszwa i lekko końską. Trudno było określić jego wiek - gdzieś między czterdziestką a sześćdziesiątką.

- Jak się macie - bardziej stwierdził, aniżeli zapytał, wychodząc im na spotkanie i wyciągając niewielką dłoń. - Jestem William Stanley z Seend. To w pobliżu Devizes w Somerset, ale skazano mnie w Wiltshire.

- Większość z nas słyszała o Seend - odpowiedział Connelly, szczerząc zęby w uśmiechu, po czym zajął się przedstawianiem reszty. Wzdychając, położył skrzynkę na podłodze. - Co mamy teraz robić, Stanleyu z Seend?

- Macie się wprowadzić. Sykes obrobił wam już tyłki. Prawdziwy z niego pedał. Mógłbyś rzec, że to jego sposób na zapoznanie się z więźniami. Co, żadnych pieniędzy? A może coś znalazł?

- Nie mamy pieniędzy - powiedział Connelly, siadając na ławce. Wykrzywił się z bólu. - Po panu Sykesie nie jest to takie łatwe. A co teraz?

- W tym końcu jest obszar centralny - Midlands. Część zachodnia, obszary nad Kanałem, Wolds and Wealds - powiedział Stanley, wyciągając wygasłą fajkę, którą ssał, gdy nie posługiwał się nią do wskazywania kierunków. - Pośrodku są chłopcy z Derby, Cheshire, Stafford, Lincoln i Salop. Na tamtym końcu - przy dziobie - Durham, Yorkshire, Northumbria i Lancashire oraz Salop. Mieszkańcy Liverpoolu zajmują ten koniec stołu. Mają między sobą paru Irlandczyków i tylko jednego z Liverpoolu. Jest tu też czterech Murzynów, ale są na górze z londyńczykami. Przykro mi, Taffy, ale nie ma tu nikogo z Walii. - Spojrzał na ich kufry i tobołki. - Jeśli macie tu jakieś skarby, to je stracie, chyba że zdołamy ubić interes.

- O, sądzę, że to będzie możliwe - odpowiedział Connelly przyjaźnie. - Rozumiem, że jemy tu, gdzie śpimy.

- Aha. Połóżcie swój sprzęt tutaj, przy środkowym stole. Wystarczy miejsca na dwunastu z tej strony. Maty do spania zwinięte są pod spodem i tam też odłóżcie bagaż. Jeden parszywy koc przypada na dwóch. - Zachichotał. - Owijamy się *tu* niczym Jankesi, żadnej intymności, jeśli człek ma ochotę obrócić się na bok, wszyscy musimy się przewracać - pierdolenie tyłków nie jest tu zbyt popularne po zakosztowaniu zabiegów pana Sykesa. Na górze w niedzielę dostają kobiety - mówią, że to ich ciotki, siostry lub kuzynki, ale tutaj się to nie zdarza, bo jesteśmy daleko od domu, a ci, co mają jakieś pieniądze, wolą je wydać na sześciopensową jałowcówkę Hanksa. Rozbójnik.

- Jak mógłbyś zabezpieczyć nasze rzeczy, Williamie - zapytał gili Whiting, cierpiący podwójnie - od uderzenia pałką dozorczy i od ręki i palców pana Sykesa.

- No bo widzicie, ja nie pracuję. Próbowali mnie zatrudnić na grządkach warzywnych, ale mam osiem brązowych palców i dwa brązowe kciuki - nawet rzepom wzięły korzenie. Więc machnęli na mnie ręką, uznawszy, że jestem za stary, zbyt skarłowaciały i zbyt twardy do utrzymania kajdanków. - Podniósł jedną małą stopę i przekreślił ją w okowach, aż żelazna obręcz zatrzymała się na podbiciu stopy. - Można powiedzieć, że jestem niejako stróżem tej instytucji. Zmywam tu podłogi, wylewam wiadra po nocy, zwijam maty, składam koce i trzymam na wodzy szalonych Irlandczyków, choć nasi Irlandczycy pochodzą z Liverpoolu i nie są wcale tacy najgorsi. Ale na „Justitii” jest takich dwóch, co mówią tylko po irlandzku. Zostali złapani w tym samym dniu, kiedy uciekli ze statku z Dublina. Nic dziwnego, że oszaleli. Ciężko jest po tej stronie irlandzkiego morza, a oni są bardzo delikatni. W mgnieniu oka można ich wystrychnąć na dudka, a ulula ich już kieliszeczek. - Zachichotał i westchnął. - Dobrze widzieć nową krew z zachodnich kresów kraju. Mikey, chodź no tu, Mikey!

Młody mężczyzna podniósł się ociężale, ciemnowłosa i ciemnooki, sprawiając wrażenie przyczaponego, po czym mieszkańcy zachodnich hrabstw rozpoznawali

kornwalskich przemytników.

- Nie, nie z Kornwalii - powiedział, czytając w ich myślach. - Z Dorset. Poole. Marynarz w wydziale celnym. Nazwisko - Dennison.

- Mikey pomaga mi sprzątać to miejsce, sam nie byłbym w stanie tego zrobić. On i ja jesteśmy nadwyżką, nigdy nie możemy stworzyć szóstki. Mikey miewa ataki - to naprawdę fantastyczne! Robi się wtedy czarny na twarzy i gryzie własny język! Pedał Stykes boi się tego jak diabli. - Stanley przyjrzał im się wnikliwie. - Jesteście już zgrupowani, co?

- Aha. Ten facet, który nic nie mówi, jest naszym przywódcą - powiedział Connelly, wskazując na Richarda. - Tylko się do tego nie przyznaje. Bill Whiting i ja musimy gadać, a on siedzi sobie z tyłu, słucha i potem podejmuje decyzje. Bardzo spokojny i bardzo sprytny. Nie znam go długo, ale gdyby Stykes zrobił to, co zrobił, zanim poznałem Richarda, pewnie rzuciłbym się na niego. I po co? Oprócz obolałej dupy miałbym jeszcze obolałą głowę. A do tego pewnie i chłostę, co?

- Pałowanie, Will. Pan Campbell nie wierzy w bicz, twierdzi, że zbyt wiele ludzi nie przychodzi przez to do pracy. - William Stanley z Seend przymknął oczy. - A zatem to z tobą mam się dogadać, Richardzie. Jak się nazywasz?

- Morgan.

- Walijszyk.

- Urodzony w Bristolu i tam wychowany. Connelly ma irlandzkie nazwisko, ale też jest z Bristolu. Nazwiska niewiele znaczą.

- A dlaczego - zapytał nagle Ike Rogers, rozglądając się w trakcie tej wymiany zdań dookoła - to miejsce wymalowane jest na czerwono?

- Bo to był najniższy pokład na drugorzędowym statku - wyjaśnił Mikey Dennison, przemytnik z Poole. - Znajdowały się tu trzydziestodwufuntowe działa oraz szpital chirurga. Pomaluje się pomieszczenie na czerwono, to nie będzie w nim widać krwi. Widok krwi bardzo źle działa na artylerzystów.

William Stanley wyciągnął z kieszeni kamizelki ogromny, bulwiasty zegarek i spojrzał na niego.

- Żarcie jest za godzinę - oznajmił. - Harry, ten cholerny płatnik, naładuje wam na deszczułki i do garnczków. Dzisiaj piątek, więc jest owsianka. Nie ma mięsa, poza tym co w chlebie i w serze. Słyszycie ten hałas na górze? Teraz żrą w Londynie. My dostaniemy to, co po nich zostanie. Jest ich więcej aniżeli nas.

- A co by się stało, gdyby pan Hanks postanowił umieścić tu londyńczyków? - zapytał Richard zaciekawiony.

Mały William Stanley zachichotał.

- Nie ośmieliłby się tego zrobić. Nawet jeśli Irlandczycy nie podcięliby im gardła po ciemku, to zrobiliby to ci z północy. A któż kocha Londyn i londyńczyków? Wyciskają podatki z całej Anglii gorzej niż Irlandczycy na zebraniu metodystów, a potem wydają je wszystkie w Londynie i w Portsmouth - w Londynie, bo tam jest parlament, armia i Spółka Wschodnioindyjska, a w Portsmouth - bo tam jest flota.

- Owsianka. Jeśli dobrze pamiętam słowa naszego pana Sykesa, oznacza to, że pijemy wodę z Tamizy - powiedział Richard z czającym uśmiechem. - Moi przyjaciele z okapnikami, myślę, że powinniśmy odprawić tu pewną małą ceremonię. Skoro oskarżyłeś mnie o to, że jestem przywódcą, Will, to chodź teraz za moim przewodem. - Postawił kufer na stole, otworzył go kluczem, który trzymał zawieszony na szyi, i wyciągnął z niego dużą szmatę. Kiedy owinął nią swe przyszczyżone włosy, zaczął nucić coś melodyjnie - pan Händel pewnie rozpoznałby tę melodię, lecz nikt na dolnym pokładzie „Ceresu” jej nie znał. Bill Whiting zapomniał o bólu, przy odziewając się w szmaty, a Will, Neddy, Taffy i Jimmy zrobili to samo, choć muzykę pozostawili Richardowi. Richard wyciągnął już swój okapnik i nucenie przeobraziło się w długie, to podnoszące się, to opadające aaa... Przebiegł po naczyniu rękami, pochylił się, aby dotknąć go czołem, a potem chwycił go i skierował się w stronę pompy z pięcioma naśladowującymi go nowicjuszami tuż za nim. Taffy podchwycił melodię i śpiewał wysokim głosem kontra do barytonu Richarda, a raczej cichutko nucił. W tym momencie jedynie ci, których trawiła gorączka, nie przyglądali się im w osłupieniu. William Stanley wybałuszył na nich ślepią. Na szczęście pompa wydobywała wodę raczej cienkimi strugami aniżeli obfitym potokiem, które wpadały do miedzianego czajnika przedziurawionego w kilku miejscach. System filtracyjny pana Campbella zatrzymywał co prawda bryłki czegoś ohydnych lub nawet małe rybki, lecz nic poza tym. Woda stamtąd ściekała do wiader i uchodziła do ścieków.

Zamaszystym gestem Richard nakazał Jimmy'emu Price'owi obsługiwanie pompy i nadstawił okapnik, ażeby złapać swoje półtora litra wody. Reszta poszła w jego ślady, a Bill Whiting skłonił się głęboko przed Jimmym, zanim napełnił swój okapnik, podczas gdy donośny głos Richarda wzniósł się do głośnego „Alleluja”. A potem zawrócili do stołu, gdzie pośród licznych gestykulacji sześć nowych przedmiotów zostało umieszczonych dokładnie pośrodku. Richard oddelegował swoich nowicjuszy dwa kroki do tyłu, po czym wyciągnął ręce, poruszając palcami.

- O Królu nad Króle, Panie nad Pany. Alleluja, alleluja! - wyśpiewywał. - Hosanna! O Hipokratesie, przyjmij nasze błagania! - Po ostatnim pełnym szacunku ukłonie ściągnął

szmatę z głowy, zwinął JA, ucałował i usiadł. - Hipokratesie! - ryknął tak nagle, że wszyscy aż podskoczyli.

- Chryste! O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał Stanley.

- To jest rytuał oczyszczania - wyjaśnił poważnie Richard. Mały mężczyzna o końskich rysach stał się nagle podejrzliwy.

- Czy to jakiś żart? Czy ty mnie tu aby na coś nie nabierasz?

- Uwierz mi, Stanleyu z Seend, że to, co cała nasza szóstka tu robi, nie jest wcale żartem. Usiłuję udobruchać wielkiego boga Tamizy poprzez inwokację do wielkiego boga Hipokratesa.

- Czy będziecie to robić za każdym razem, gdy będziecie pili wodę?

- Ależ nie! - wykrzyknął Bill Whiting, doskonale pojmując metodę w szaleństwie Richarda. Podkreślając w ten sposób ich odmienność, chciał odseparować ich od pozostałych, pomagając im tym samym zachować dobytek. Jaki on był sprytny! A wszystko to dzięki uwagom Jimmy'ego i Lizzie, że zamienił filtrację wody w religię. Sykes na pewno o tym usłyszy - William Stanley z Seend był plotkarzem i całymi dniami przesiadywał na „Ceresie”.

- Nie - ciągnął dalej z przejęciem. - Przeprowadzamy rytuały oczyszczania tylko w specjalnych okolicznościach, jak przy wejściu do nowego miejsca zamieszkania. To... to gwarantuje czujność Hipokratesa.

- Ale używamy tego za każdym razem, kiedy pijemy wodę - wtrącił Will Connelly, dorzucając swoje trzy grosze. - Tylko bez pełnego ceremoniału. Ten zostawiamy na pierwszy dzień miesiąca, no i oczywiście przy każdej zmianie miejsca zamieszkania.

- Czy to jakieś czary? - zapytał podejrzliwie Mikey Dennison.

- A poczułeś przy tym siarękę? - zapytał napastliwie Richard. - Czary to bzdury. My traktujemy to poważnie.

- Och! - wykrzyknął Stanley, rozchmurzając się. - Zupełnie zapomniałem. Większość z was pochodzi z Bristolu, siedziby wszelkich odszczepieńców.

- Ike - powiedział Richard, powstając. - Słówko na osobności. - Odeszli parę kroków dalej, ale oczy wszystkich skierowały się w ich stronę. - Potwierdź naszą historię i następnym razem, kiedy będziemy odprawiać tę ceremonię, przyłącz się do chóru. Jeśli nas poprzesz, zdołamy zachować nasze rzeczy - i nasze pieniądze. Gdzie ukryłeś swoje?

Rogers uśmiechnął się.

- W obcasach moich butów. Z zewnątrz wydają się nisko podbite, ale od środka jestem jak na szczudłach. A gdzie twoje?

- Jedna ze ścianek każdego kufra ma cienką wewnętrzną przegrodę. Ci z nas, którzy

mają pieniądze, mogą bez obaw je tam trzymać. Nie grzechoczą dzięki wyściółce i szarpi. Will, Neddy i Bill mają parę monet ja mam więcej niż trochę, a reszta skrzynek jest pusta, więc jeśli któryś z nas dostanie więcej pieniędzy, to jest na nie miejsce. Tego Williama Stanleya z Seend da się przekupić, pozostaje jednak pytanie, czy powie o tym Sykesowi?

Rozbójnik rozważył to dokładnie, wreszcie pokręcił głową.

- Wątpię, Richardzie. Jeśli to wyśpiewa, nasza panna Molly* [Miss Molly (ang.) - panna Molly, określenie homoseksualisty] wszystko zgarnie dla siebie. Musimy jednak przekonać dzokeja, że to wszystko, co mamy. O Chryste, gdyby tak odwiedzał nas regularnie ktoś z Londynu! Moglibyśmy wyjaśnić w ten sposób pochodzenie naszego bogactwa. Masz rację z tą wodą - jest ohydna. Będę musiał z moimi chłopcami pić cienkusz w dniach, kiedy podają owsiankę i mogę się założyć, że tenże William Stanley z Seend mógłby go dla nas zdobyć.

Richard uderzył się dłonią w czoło.

- Jem Thistlethwaite! - wykrzyknął. - Wydaje mi się, Ike, że mógłbym załatwić takiego gościa. Jak sądzisz, czy Stanley prowadzi sprawną pocztę?

- Uważam, że większość rzeczy prowadzi sprawnie.

Kiedy nazajutrz rano Richard wraz ze swoimi towarzyszami został wyprowadzony na pokład, zrozumiał, dlaczego ewakuacja z najniższego pokładu odbywała się stopniowo. „Ceres” miał dostęp do paru galarów, lecz było ich za mało, nawet jeśli zapełniali je stłoczonymi ludźmi, aby przewieźć skazańców do miejsc pracy. Na szczęście nie znajdowały się dalej niż pięćset jardów od „Ceresu”, lecz były to jardy wodne. Wioślarze wiosłowali zawzięcie po prostu dlatego, że była to robota o wiele lepsza od innych. Byli to skazańcy z „Censora”, przymocowani łańcuchami pod spodem okrężnicy. „Dlaczegoż nie usiłowali rzucić się do brzegu i uciekać?” - zastanawiał się Richard. Później dowiedział się, że w przeszłości uciekali, lecz wyłapywano ich potem i niekiedy nawet wieszano.

Główną korzyścią „Akademii Campbella” - jak nazywali te okręty między sobą więźniowie - było to, że pływała, a niewielu Anglików potrafiło wówczas pływać. Między innymi dlatego załoga pozostawała na zatłoczonej łodzi, kiedy już spuszczone ich na wodę. Richard również nie potrafił pływać, podobnie jak żaden z jego jedenastu przyjaciół, co napawało ich strachem przed głęboką wodą.

Był głodny, choć zatrzymał połowę swego chleba i sera z poprzedniego dnia, aby je spożyć o świcie. Pół kwaterki owsianki zaprawionej gorzkawymi ziołami, zwanymi „naturalnymi”, wypił od razu, gdy mu ją przydzielono, choć do tego czasu zdążyła

wystygnąć; dwanaście godzin później z pewnością byłaby o wiele gorsza. Stara Matka Hubbard przynajmniej zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyźni wykonujący ciężką, fizyczną pracę musieli być odpowiednio karmieni, aby zachować siły, lecz po niecałym dniu na „Ceresie” przekonał się, że pan Duncan Campbell, bardziej odizolowany od swoich przełożonych aniżeli Stara Matka Hubbard, w ogóle nie przejmował się jakością pracy.

Skazańcy przydzieleni do robót na wybrzeżu już odpłynęli, kiedy galar Richarda przewoził kontyngent czterech załóg do drenażu rzeki trochę poniżej statku i bliżej brzegu. Jego bagrownica była pierwszą z czterech, przycumowaną łańcuchami z dwóch stron na końcach. Była to prawdziwa barka, o zupełnie płaskim dnie i prostokątnym kształcie, o kadłubie pozbawionym zarówno dziobu, jak i rufy, wygiętym lekko ponad wodą, aby łatwiej było się po nim poruszać, wchodzić i schodzić z niego przy rozładunku. Jako że była nowa, jej wnętrze było puste, a ściany świeżo wymalowane i bez skazy.

Przeszli przez burtę galaru na deski platformy o szerokości pięciu stóp, przebiegającej jedynie po jednej stronie barki, i gdy tylko Jimmy Price, ostatni spośród nich, wydrapał się z galaru, łódź odbiła od barki i skierowała się w stronę następnej bagrownicy, położonej zaledwie pięćdziesiąt jardów dalej. Pomachawszy Ike’owi i jego młodzieńcom, Richard odwrócił się, aby przyrzeć się swemu nowemu miejscu pracy. Jeden koniec barki był zwykłym kadłubem, podczas gdy na drugim znajdowała się szeroka platforma, na której umieszczono małą drewnianą szopę z żelaznym kominem pieca. Poczawszy wstrząs spowodowany wejściem ludzi na pokład, dozorca wyszedł z niej z dymiącą fajką w ustach i pałką w ręce.

- My nie znamy tutejszego więziennego żargonu, proszę pana - odezwał się natychmiast grzecznie Richard. - Pochodzimy z zachodnich rejonów kraju.

- Nic nie szkodzi, chłopcy. To mnie wcale nie martwi. - Przyjrzał im się uważnie. - Jesteście nowi na „Ceresie”. - Skoro nikt nie podjął się skomentowania tego spostrzeżenia, ciągnął dalej rozmowę z samym sobą. - Nie jesteście znowu tacy młodzi, ale zdaje się, że macie siły. Być może uda nam się wyciągnąć z was parę ton balastu, zanim osłabniecie. Czy któryś z was był już kiedyś bagrownikiem?

- Nie, proszę pana - odpowiedział Richard.

- Tak też myślałem. Czy któryś z was potrafi pływać?

- Nie, proszę pana.

- Lepiej, chłopcy, żebyście nie kłamali.

- To żadne kłamstwo, proszę pana. Nie pochodzimy ze stron, w których się pływa.

- A gdybym tak wrzucił któregoś z was do wody, żeby się przekonać, to co? - Uczynił

nagły ruch w kierunku Jimmy'ego, który pisnął ze strachu, a potem w kierunku każdego z nich, patrząc im w oczy. - Wierzę wam - powiedział w końcu, zawrócił w stronę szopy i zniknął w niej, aby pojawić się z krzesłem, na którym rozsiadł się, wspierając goleń na kolanie drugiej nogi i wypuszczając z fajki rozkoszne kłęby dymu w ich stronę. - Jestem Zachariah Partridge i możecie zwracać się do mnie „panie Partridge”. Jestem metodystą, stąd moje imię. Od młodości byłem bagrownikiem w Skegness na Wash i dlatego nie używam tutejszego żargonu. W rzeczy samej prosiłem nawet pana Campbella, żeby nie przysyłał mi tu londyńczyków. Chciałem ludzi z Lincoln, ale zachodnie rejony kraju też nie są takie złe. Czy któryś z was pochodzi może z Bristolu lub Plymouth?

- Trzech jest z Bristolu, panie Partridge. Nazywam się Richard Morgan, a pozostali bristolczycy to Will Connelly i Neddy Perrott. - Wskazał na obu mężczyzn. - Taffy Edmunds jest z wybrzeży Walii, Bill Whiting i Jimmy Price pochodzą z Gloucester.

- No to znacie się coś niecoś na morzu. - Przechylił się do tyłu na krześle. - Tutejsze przedsiębiorstwo ma zamiar pogłębić kanał przez wybagrowanie błota z dna tym oto - tu machnął ręką w stronę czegoś, co wyglądało jak ogromna torba z otwartą gębą - wiadrem. Pracuje na łańcuchu, tym, który leży w tej chwili u waszych stóp, ale sięga pasa, kiedy założy się nań to wiadro, i można go skrócić lub wydłużyć w zależności od głębokości wody. Jest odpowiedni akurat do tego miejsca, sam go przystosowałem.

Najwidoczniej rozkoszując się wygłaszaniem tej oracji (choć zdawało się, że nie było w niej złośliwości), Zachariah Partridge ciągnął dalej.

- Zastanawiacie się zapewne, dlaczego właśnie to miejsce? Ano ho, kumple wy moi - to jedno z tutejszych określeń, które podłapałem Królewski Arsenał tam oto dostarcza armaty dla całej armii, ale nie ma nawet jednej dziesiątej nadbrzeża na te armatnie oferty. Wasi towarzysze zbrodniarze budują nowe nadbrzeże, zasypując mokradła wokół Warren. A my, bagrownicy, dostarczamy im balastu, który oczywiście muszą zmieszać z kamieniami, żuzłem i wapnem, bo inaczej wszystko z powrotem spłynie do rzeki.

- Dziękujemy, panie Partridge, za to wyjaśnienie - odezwał się Richard.

- Większość szefów tego nie robi, co? - Machnął znowu w stronę ogromnej torby. - To wiadro wchodzi do wody z mojego końca i wychodzi tam, z drugiej strony, gdzie znajduje się ten wyciąg. Jeśli będziecie dobrze pracować, wyciągniecie stamtąd pięćdziesiąt funtów błota, mułu i różnych nieczystości. Barka wytrzyma dwadzieścia siedem ton balastu, jak to my bagrownicy określamy. Zatem będziecie musieli wydrenować tysiąc sto wiader balastu, aby ją zapęlnić. Ponieważ jest zima, będziecie pracować sześć godzin dziennie - marnują dwie godziny na przywiezienie i wywiezienie was stąd. Jeden dzień porządnej roboty powinien mi

dać dwadzieścia wiader, a to jest około pół tony. Odliczając - „to on potrafi pisać i liczyć” - pomyślał Richard - niedziele i dodając jeszcze jeden dzień w tygodniu na złą pogodę, zwłaszcza o tej porze roku, powinniśmy zapełnić tę barkę balastem w dziesięć tygodni. Jak będzie pełna, zostanie odholowana do Warren, gdzie ją wypróżnicie przed odstawieniem w nowe miejsce, w którym zaczniecie wszystko od początku.

„Uwielbia fakty i liczby. Jest uczniem Johna Wesleya, nie pochodzi z Londynu i kocha to, co robi - zwłaszcza że nie musi nawet kiwnąć palcem. Jak zatem mamy sobie zaskarbić jego uczucia, a jeśli to by się nie udało - przynajmniej zdobyć jego aprobatę? Czy te ilości pracy, jakich się po nas spodziewa, są w ogóle realne? Jeśli nie, to w jakiś subtelny wesleyański sposób będzie się na nas mścił. Ale przecież nie jest brutalny”.

- Czy wolno nam się do pana odzywać, panie Partridge? Na przykład, czy możemy zadawać panu pytania?

- Daj mi to, czego chcę, Morgan, a z mojej strony nie będziecie mieli kłopotów. Nie oznacza to wcale, że będę się z wami pieścił i jeśli zechcę, mógłbym tą pałką złamać ci rękę. Ale nie chcę tego robić, a mam ważny powód. Zależy mi na dobrej opinii pana Campbella, lecz aby to osiągnąć, muszę produkować balast. Jestem odpowiedzialny za to nowe urządzenie, ponieważ moja bagrownica produkowała zawsze najwięcej balastu. Jeśli mi pomożecie, to być może ja będę miał ochotę pomóc wam - powiedział pan Partridge, wstając.

- A teraz, moi kumple, zacznę wam wyjaśniać, co macie robić i jak.

Wiadrem była duża skórzana torba długości około trzech stóp, z okrągłym żelaznym wsadem o średnicy przeszło dwóch stóp. Od spodu do żelaza przy spawano stalowe ramie, przypominające kształtem walną łyżkę, płytką i o ostrych brzegach. Z obu stron do żelaznego pierścienia przymocowany był łańcuch i przytwierdzony w kształcie litery Y do pojedynczego łańcucha, który przesuwiał się nieprzerwanie dookoła z jednego końca barki na drugi, poluzowany na tyle, by umożliwić opuszczenie torby do dna rzeki. Łańcuch obiegał wyciągarke, która opuszczała torbę do wody na końcu barki, obok pana Partridge'a, zanurzała się w wodzie pod wpływem własnego ciężaru wraz z jej skórzanym, grubszym końcem uwiązany do liny ciągniętej z barki. Korbowo napędzany wyciąg ciągnął z drugiej strony żelazne wole i jego stalową łyżkę po dnie, wybierając muł. Kiedy wiadro dotarło do drugiego końca, wyciąg wywierał pionowy nacisk i wyciągał je z wody, okapujące błotem, a następnie obracał w stronę dna barki i zawieszał ponad przegrodą na balast dzięki obrotowi dźwigu. Później, przez ciągnięcie liny przy szerszym końcu, torba podnosiła się pionowo, odwracała i opróżniała z całej zawartości. Następnie opadała pusta, wracała wzdłuż łańcucha do wyciągarke i za burtę po następny ładunek z mułu Tamizy.

Nabycie wprawy w tej pracy zajęło im cały tydzień, w trakcie którego bynajmniej nie wydobywali owej pół tony dziennie, jakiej się po nich pan Partridge spodziewał. Liczył na jedno wiadro w ciągu dwudziestu minut, podczas gdy nowej drużynie wydobyć go zabierało całą godzinę. Jednakże pan Partridge nic nie robił ani nie mówił, tylko siedział na swoim krześle i pykał fajkę, z garnuszkiem rumu u stóp, przyglądając się z uwagą wszystkiemu, co działo się na tej wielkiej rzece, jeśli nie przypatrywał się w zamyśleniu swojej harującej mozolnie drużynie. Do barki przymocowano liną łódkę, co mogło oznaczać, że pod koniec dnia odpływał na brzeg, choć wydawało się, że przynajmniej niektóre noce spędzał na pokładzie, kupował bowiem drewno do pieca i żywność z dwóch z wielu aprowizujących łodzi, które kursowały po rzece ze swym towarem; rum i piwo pochodziły z trzeciej łodzi.

Nabierając doświadczenia, jego drużyna odkryła istnienie różnych sztuczek i chwytów. Wiadro często unosiło się z dna i trzeba je było przytrzymać drągiem, przyciskając je dokładnie we właściwym miejscu, którym był czubek żelaznego pierścienia, mający zaledwie trzy cale szerokości. Wymagało to wyczucia i doświadczenia, gdyż w wodzie nic nie było widać ze względu na zmaczone błoto. Czterech mężczyzn pracowało przy dawisie* [Dawis - rodzaj wyciągu i linie], jeden przy wyciągarce a ostatni operował drągiem, przytrzymując na dnie wiadro. Szczególnie dużego wysiłku wymagała wyłącznie praca przy dawisie, choć opierający drągiem musiał być równie silny jak zręczny. Skoro pan Partridge nic nie powiedział i nic w tej sprawie nie zrobił, na Richarda przypadło rozdzielenie ról w drużynie. Jimmy Price poszedł do wyciągarki, która wymagała najmniej siły. Bill, Will i Neddy pracowali przy dawisie, Taffy przy linie, a on sam przy drągu.

Stopniowo przyśpieszyli pracę, zwiększając również ilość balastu we wiadrze. Kiedy wreszcie tydzień po rozpoczęciu pracy osiągnęli swe dwadzieścia wiader na sześciogodzinną dniówkę, uradowany pan Partridge wyciągnął sześć dużych kufli cienkusa, osełkę masła i sześć funtowych bochenków świeżego drożdżowego chleba.

- Jak tylko was ujrzałem, wiedziałem, że jesteście dobrzy. Zawsze powtarzam, że trzeba zostawić ludzi samym sobie, żeby znaleźli sposób, jaki im najbardziej odpowiada. Dostaję pięć funtów nagrody za każdy transport balastu, jaki dostarczę do Warren. Jeśli wy mi pomożecie, to i ja wam pomogę. Dajcie mi więcej niż dwadzieścia wiader dziennie, a ja wam zafunduję obiad - kwartę cienkusa i po pół kilograma dobrego chleba na łebka. Jesteście bardziej wychudzeni niż tydzień temu i nie mogę na to pozwolić. Muszę pilnować własnej reputacji. - Podrapał się w zamyśleniu po nosie. - Nie mogę wam jednak fundować obiadu codziennie.

- Być może istnieje szansa, abyśmy zasilili ten fundusz - zasugerował Richard. - Jako

mieszkańcowi Bristolu, znany mi jest zapach tego tytoniu - to Ricketts. Śmiem twierdzić, że musi być bardzo drogi tu w Woolwich, a nawet w Londynie. Być może, panie Partridge, będę mógł załatwić, aby przysłano panu najlepszy tytoń Ricketta, jeśli tylko poda mi pan adres. Obawiam się bowiem, że gdyby go przysłano na „Ceres”, pan Sykes zabrałby wszystko.

- Dobrze, dobrze! - Partridge zdawał się tym ucieszony. - Znajdźcie mi jedynie szylinga dziennie, a załatwię wam obiad. I przyślijcie mi ten tytoń do tawerny „Pod Kaczkami i Kaczorami” w Plumstead.

Z początku grupie Ike’a Rogersa nie wiodło się najlepiej, lecz po kilku naradach z Richardem i jego ludźmi przyśpieszyli tempo drenowania i doszli do podobnego porozumienia ze swoim szefem, bagrownikiem z Gravesend, mieszkańcem hrabstwa Kent.

Najgorszy w tej pracy był brud. Od czubków włosów po podeszwy stóp oblepieni byli czarnym, cuchnącym mułem. Pokrywał on łańcuch przebiegający na wysokości pasa wzdłuż całego podestu, ściekał z wiadra i rozchlapał się wszędzie przy jego opróżnianiu. Pod koniec pierwszego tygodnia nowiutka barka wyglądała identycznie jak stary sprzęt.

Kiedy Richard zorientował się, że raz dziennie dwóch z nich będzie musiało zejść do przedziału na balast, aby zebrać szuflami lepki muł i jego przerażającą zawartość z nasypu pod wiadrem, natychmiast podjął decyzję.

- Czy któryś z was ma zadrapania lub rany na nogach? Jakież wrzody czy może pęcherze?

- Aha, ja - odpowiedział Taffy. - Paskudnie wyglądającego nagniotka.

- A zatem dziś wieczór po wymyciu się dam ci trochę mojej maści, oznacza to jednak, że nie możesz przekopywać błota, dopóki nie zaleczy ci się stopa. Nie zamierzam wchodzić do tego szlamu w butach. W rzeczy samej, gdy tylko się ociepli, poproszę pana Partridge’a - który pilnie się temu przysłuchiwał - żeby pozwolił nam zostawiać buty na pokładzie i pracować na bosaka. Tymczasem będziemy pracować przy łopacie bez butów na zmianę.

Przynajmniej mogli się umyć i robili to codziennie wieczorem, gdy tylko wpuszczono ich na dolny pokład „Ceresu”. Dla tych, którzy nie pochodzili z Bristolu, widok tego, co wydobywano bagrownicą z Tamizy, był tak przerażający, że chętnie naśladowali Richarda - rozbierali się do naga, mydlili i myli się pod pompą, razem z obłoconymi łańcuchami i okowami. Zawarli też niezły układ z Williamem Stanleyem z Seend, który kazał Mikeyowi pracować im w ciągu dnia ubrania. I to wszystkie - dzięki panu Duncanowi Campbellowi, temu sprytnemu szkockiemu kontrahentowi.

Szacowny ten człowiek przydzielił im bowiem nowe ubrania - co czynił zazwyczaj raz

do roku - i wszystkim mieszkańcom swoich akademii. Mniej więcej cztery dni po przybyciu ludzi z Gloucester dał po dwie pary szorstkich, ciężkich, lnianych spodni, dwie lniane, równie ciężkie koszule w kratkę i jedną bawełnianą marynarkę bez podszewki. Jak przekonali się, ku swej ogromnej radości, mężczyźni z Gloucester, spodnie te, choć wzdłuż szwów ostre niczym piły do metalu, sięgały im poniżej kostek, choć na Richardzie i Ike'u wydawały się krótkie. Ike wyglądał, jakby skurczył się o parę cali, lecz dzięki temu, że byli na „Ceresie” nowi, nikt oprócz jego towarzyszy z Gloucester tego nie zauważył, a żaden z nich nie pisnął ani słowa, kiedy zamienił buty.

Nosząc te spodnie, mężczyźni przeciętnego wzrostu nie musieli już obwiązać szmatami swoich oków ani nosić pończoch dla ochrony przed zimnymi wiatrami znad Tamizy. Richard, który dzięki Lizzie Lock umiał świetnie posługiwać się igłą, uzyskał wystarczający kawałek materiału z nogawek Jimmy'ego, aby doszyć go do swoich, a Ike zapłacił Stanleyowi kuflem jałowcówki za skrawki z jego nogawek które kazał doszyć Richardowi do własnych. Jakim wspaniałym wynalazkiem wydawały im się te spodnie! Były rdzawego koloru, wytrzymałe, znakomicie nadające się do prania i znacznie dłuższe od pantalonów, które sięgały jedynie do kolan. Pantalony zapinały się w pasie na szeroką połę, przytrzymywaną w talii guziczkami, spodnie natomiast z przodu wzdłuż szwu zapinanego na guziki, biegnącego pionowo od męskich genitaliów aż po pas. A do tego o wiele łatwiej można się w nich było wysikać.

Pan James Thistlethwaite przybył w drugą niedzielę po ich przyjęciu na „Ceres”. Pojawił się w drzwiach, ciepło ściskając rękę pana Sykesa, a przechodząc przez próg, z niedowierzaniem wpatrywał się w szkarłatne więzienie.

- Jem! To naprawdę ty!

Objęli się, nie czując ani odrobiny wstydu, a następnie trzymając sobie ręce na ramionach, przyrzekli się sobie nawzajem. Blisko dziesięć lat upłynęło od czasu, kiedy widzieli się po raz ostatni i ten miniony czas wyrzył w obu mężczyznach wiele zmian.

Pan Thistlethwaite wydawał się Richardowi bardzo zamożny. Jego surdut koloru czerwonego wina był z najlepszego materiału, guziki z moheru, na głowie miał perukę, kapelusz obszyty złotą taśmą, złoty breloczek do zegarka i sam zegarek, a czarne buty wypolerowane do połysku. Wydatny brzuch dodawał mu powagi, twarz miał pełniejszą i przez to mniej pooraną zmarszczkami aniżeli przedtem, choć owrzodzenie na jego bulwiastym i zaczerwienionym od pijaństwa nosie osiągnęło szkarłatną doskonałość. Oprócz szoku, jego załzawione i przekrwione niebieskie oczy były pełne miłości.

Panu Thistlethwaite'owi wydawało się, że w Richardzie współistniało dwóch

mężczyzn - jeden ukazywał się na krótko, po czym drugi zajmował jego miejsce również tylko na chwilę. Stary i nowy Richard, nierozdzielnie ze sobą związani. O Chryste, jakże on jest przystojny, jak mu się to udało? Przyszczyżone najeża włosy wydawały się jeszcze ciemniejsze niż jego dawniejsze ciemnobrązowe loki, a skóra na twarzy, choć niewątpliwie ogorzała, nadal przypominała tę samą nieskazitelną kość słoniową. Był ogolony i czysty, a niedzielna koszula rozpięta na piersiach odsłaniała wzniesienia i zagłębienia pozbawionych tłuszczu mięśni. Czyżby nie było mu zimno? Ta krwistoczerwona sala była lodowata a mimo to nie miał na sobie płaszcza i sprawiał wrażenie, że czuje się całkiem swobodnie. Buty i pończochy miał czyste i... och, te kajdanki! Łańcuchy na tym cierpliwym, spokojnym Richardzie Morganie! To było nie do zniesienia! Największa zmiana widoczna była w szaroniebieskich, morganowych oczach. Kiedyś bywały trochę rozmarzone, czasami pełne radości, lecz zawsze poważne i o bardzo łagodnym wyrazie. Teraz zdawały się bardziej skoncentrowane na tym, na co patrzył. Nie było w nich ani rozmarzenia, ani nawet uśmiechu, a z całą pewnością nie miały już łagodnego wyrazu.

- Richardzie, jakżeś ty zmężniał! Spodziewałem się po tobie różnych zmian, ale nie tego! - Pan Thistlethwaite uszczypnął się w grzbiet nosa i mrugnął nań okiem.

- Williamie Stanleyu z Seend, oto jest pan James Thistlethwaite - zwrócił się Richard do zasuszonego małego człowieczka, który krążył wokół nich. - A teraz zrób nam trochę miejsca. Zostawcie nas w spokoju, słyszycie? Później was przedstawię. Odosobnienie - zwrócił się do Jema - jest tu na pokładzie „Ceresu” najrzadszym towarem, ale nie nieosiągalnym. No siadaj, siadaj!

- Jesteś tu przywódcą - zauważył Jem zachwycony.

- Nie, nie jestem. Nie chcę być. Tylko czasami muszę stosować odrobinę przemocy. Wszyscy to robimy, jeśli ktoś nas sprowokuje. Przywódca łączy w sobie coś z rozsądku i furii. Ja nie jestem wcale bardziej rozmowny, aniżeli byłem w Bristolu. Nie chcę też nikomu przewodzić, tylko samemu sobie. Zdarza się jednak, że sytuacja mnie do tego zmusza, Jem. Oni czasami są jak owce i nie pozwolę, żeby zapędzono ich na rzeź. Oprócz Willa Connelly'ego, drugiego bristolczyka i absolwenta Colston z czasów dobrego dyrektora, wszystkim tu brak rozsądku. A prawdziwa różnica pomiędzy Willem Connellym a mną sprowadza się do jednego - kuzyna Jamesa aptekarza. Gdybym go nie znał i gdyby on nie był dla mnie taki dobry, Richard Morgan, którego tu widzisz, na pewno by nie istniał. Byłbym pewnie jak ci biedni Irlandczycy z Liverpoolu - niczym ryby bez wody. - Uśmiechnął się rozpromieniony i pochylił, aby ująć pana Thistlethwaite'a za rękę. A teraz opowiedz mi o sobie. Wyglądasz wyśmienicie.

- Mogę sobie na to pozwolić, żeby tak wyglądać, Richardzie!

- Czy poślubiłeś pieniądze, jak przystało na prawdziwego bristolczyka?

- Nie, choć zarabiam je na kobietach. Spoglądasz teraz na człowieka, który - oczywiście pod pseudonimem - pisze powieści dla uciechy dam. Czytanie powieści jest nową kobiecą pasją - wszystko dlatego, że uczy się czytać, co nie oznacza, że mogą robić wszystko co się im podoba. Dzięki księgarniom, gazetom, w których moje powieści drukowane są w odcinkach, i bibliotekom zarabiam o wiele lepiej niż kiedykolwiek przedtem na paszkwilach. Kraj jest pełen dobrze urodzonych, czytających niewiast na wszystkich plebaniach, w wikariatach, na dworach i w hotelikach, a zatem moi czytelnicy są w całej Brytanii, panie ze Szkocji i Irlandii bowiem również czytają. To nie wszystko, moje powieści czytają również w Ameryce. - Wykrzywił usta w uśmiechu. - Jednak nie pijam już rumu Cave'a. W rzeczy samej zupełnie zaniechałem picia rumu. Teraz pijam jedynie najlepszą francuską brandy.

- A jesteś teraz żonaty?

- Nie. Mam dwie kochanki, obie zamężne z innymi, mniej znaczącymi mężczyznami.

I tyle o mnie. Ale chcę się dowiedzieć wszystkiego o tobie, Richardzie.

Richard wzruszył ramionami.

- Nie mam ci wiele do powiedzenia, Jem. Spędziłem trzy miesiące w bristolskim Newgate, potem dokładnie rok w więzieniu w Gloucester i minęły już dwa tygodnie mojego pobytu na „Ceresie”. W Bristolu czytałem książki. W Gloucester dźwigałem kamienie. Na „Ceresie” drenuję dno Tamizy, co nie jest niczym nadzwyczajnym dla kogoś wychowanego na brystolskim mule w czasie odpływu. Choć wszystkim nam bywa ciężko, kiedy wyciągamy zwłoki niemowlęcia.

Przeszli do ważniejszych spraw dotyczących pieniędzy i tego, jak zabezpieczyć ich zapasy złota.

- Sykes nie będzie stanowił żadnego problemu - powiedział Jem. - Wsunąłem mu gwineę do kieszeni, a on obrócił się brzuchem do góry jak każdy kundel. Bądź dobrej myśli. Dogadam się z Sykesem, żeby kupował wam potrzebne jedzenie i picie. Dotyczy to również twoich przyjaciół. Wyglądasz na równie sprawnego jak korweta, ale jesteś wychudzony.

Richard potrząsnął głową.

- Nie jedzenie, Jem, tylko cienkusz. Jest nas prawie stu więźniów chociaż po kilku regularnie tu umiera. Wszyscy ci ludzie pilnują niczym sępy, ile wyciąga się z sakiewki dla innych. Musimy jedynie zachować pieniądze, które już mamy, a może kiedyś będziemy błagać cię o dodatkowe fundusze, jeśli zajdzie taka potrzeba. Mieliśmy szczęście, że

trafililiśmy na ambitnego bagrownika, a Tamiza roi się od aprowizujących łodzi. A zatem jemy dobrze w południe na naszej bagrownicy za dwa pensy na łebka, wszystko, począwszy od solonych ryb po świeże owoce i jarzyny. Ike Rogers i jego chłopcy również próbują ujarzmić swego bagrownika.

- Trudno w to uwierzyć - zauważył Jem - ale wydaje mi się, że jesteś skoncentrowany na tym celu i nieomal sprawia ci to przyjemność. Wszystko przez tę twoją odpowiedzialność.

- To wiara w Boga podtrzymuje mnie na duchu. Nadal zachowałem wiarę, Jem. Jak na skazańca, miałem wyjątkowe szczęście. W Gloucester kobieta, która nazywa się Lizzy Lock, pilnowała mojego dobytku i nauczyła mnie posługiwać się igłą. Nawiasem mówiąc, piała z zachwytem na widok tego kapelusza i nie wiem, jak mam ci za niego dziękować. Brak nam tu kobiet, z powodów, które - o ile pamiętam - wyjaśniłem ci w jednym z moich listów. Zachowałem zdrowie i sprawność umysłu. A tutaj, w tym zgromadzeniu brutalnych mężczyzn pozbawionych kobiet, udało nam się zdobyć dla siebie kawałek przestrzeni dzięki skapstwu dżokeja i ambicjom bagrownika, który łączy metodystyczną religię z rumem i lenistwem. Dziwne połączenie, ale widziałem jeszcze dziwniejsze.

Obok niego stał na stole okapnik i zdawało się, że zupełnie nieświadomie wyciągnął rękę, aby go dotknąć. Wzajemne uciszanie i pomruki rozległy się pośród mieszkańców tej szkarłatnej sali, którzy zaintrygowani wizytą gościa, przyglądali się im z zazdrością skazanych na szubienicę. Jednakże reakcja tych ludzi na mimowolny gest Richarda była tajemnicą, którą wrażliwy pisarski nos pana Thistlethwaite'a zapragnął zgłębić.

- Pod warunkiem, że ma pieniądze, skapstwo jest najlepszym przyjacielem skazańca! - ciągnął dalej Richard, kładąc rękę z powrotem na dłoni przyjaciela. - Tutaj ludzie kosztują o wiele mniej niż trzydzieści srebrników. Najbardziej żał mi tych z Northumbrii i Liverpoolu. Nie mają ani pensa. Większość z nich umiera z powodu jakichś chorób albo po prostu z rozpacz. Niektórzy zostali widocznie przeznaczeni przez Boga do jakichś celów, więc udało im się przeżyć. A ci londyńczycy na górze są zadziwiająco wytrzymali, z całą przebiegłością zagłodzonych szczurów. Żyją według zupełnie innych praw, jak sądzę - może to dlatego, że ogromne miasta są jak odrębne państwa i patrzą na życie zupełnie inaczej niż my. Nie biorę jednak dosłownie tego, co słyszę na najniższym pokładzie „Ceresu” o londyńczykach. Najniższy pokład „Ceresu” to reszta Anglii. Nasi dozorczy są skorumpowani, a na dodatek zboczeni. A są jeszcze ludzie tacy jak William Stanley z Seend. Potrafi wykorzystać system, według którego funkcjonuje całe to miejsce, lepiej od krowiarki dojącej swą ulubioną krowę. A wszyscy, począwszy od Hanksa i Sykesa, poprzez kumpli od rumu, kapusiów, wieśniaków, koleżków i pijaków, aż po tych nieszczęśników umierających na tamtym pomoście,

balansujemy po cienkiej linii zawieszanej nad piekielnym ogniem. Pół cala za daleko w jedną lub w drugą stronę - i spadamy. - Zaczerpnął powietrza, zdziwiony własną elokwencją. - Choć nikt przy zdrowych zmysłach nie mógłby nazwać tego grą, jednak ma to z nią wiele wspólnego. Przetrawanie tutaj wymaga roztropności, lecz i wiele szczęścia, i mam wrażenie, że Bóg mi je dał.

W trakcie tej przemowy pan Thistlethwaite zrozumiał, co do tej pory tak go drażniło w charakterze Richarda Morgana. Richard spędził swe życie w Bristolu niczym tratwa ciągnięta i popychana w różne strony - czasami przez własne zachcianki, czasami przez innych. Pomimo wszystkich smutków i nieszczęść pozostał bierny. Nawet zniknięcie Williama Henry'ego nie dało mu steru. Ceely Trevillian wrzucił go do oceanu, w którym tratwa ta się rozleciała. Richard nie wierzył, aby w tym oceanie jego rodacy byli w stanie utrzymać się na powierzchni, toteż wziął ich na własne ramiona. Więzienie dało mu gwiazdę, według której mógł sterować, a własna wola dęła mu w żagle, o istnieniu których nie miał pojęcia. A ponieważ był mężczyzną, który potrzebuje kogoś, kogo mógłby kochać bardziej aniżeli samego siebie, wziął na siebie ratowanie swych ludzi, tych, z którymi przybył wprost z więzienia Gloucester na to obce, wzburzone sztormami morze.

Gdy czternastu więźniów zostało już przedstawionych - William Stanley z Seend i Mikey Dennison musieli się do nich przyłączyć - wszyscy usiedli, aby wysłuchać, co pan James Thistlethwaite wie na temat tego, co ich czekało.

- Początkowo - zaczął dostarczyciel czytelniczych rozkoszy dla większości piśmiennych kobiet w Wielkiej Brytanii - więźniowie z „Ceresu” byli przeznaczeni na wywiezienie do miejsca zwanego Lemane, które, o ile dobrze rozumiem, jest wyspą pośrodku szerokiej afrykańskiej rzeki, mniej więcej wielkości wyspy Manhattan w Nowym Jorku. Tam najprawdopodobniej umarlibyście wszyscy na jakąś zarazę w ciągu roku. Powinniście podziękować Edmundowi Burke'owi za to, że skreślił Lemaine i w ogóle całą Afrykę z listy miejsc, które wyznaczono na cele transportu.

Przy pomocy i współpracy lorda Beauchampa w marcu i kwietniu zeszłego roku Burke zakwestionował plany Pitta dotyczące oczyszczenia Anglii z przestępców. Lepiej ich wszystkich powiesić - krzychał Burke - aniżeli wysyłać do jakiegoś nieznanego miejsca, w którym śmierć byłaby o wiele powolniejsza i o wiele boleśnieszka. Zwołano komitet parlamentarny do zbadania tych spraw i pan Pitt został zmuszony do zaniechania Afryki, i to prawdopodobnie na zawsze. Dlatego właśnie zwrócono uwagę na propozycję Jamesa Matry - że zatoka Botany w Nowej Południowej Walii mogłaby okazać się dobrym miejscem. Lord

Beauchamp narobił wiele krzyku wokół faktu, że wyspa Lemaine położona jest poza terytorium angielskim, na obszarze, na który Francuzi, Hiszpanie i Portugalczycy często wypuszczają się po niewolników. Z drugiej zaś strony, zatoka Botany, choć z całą pewnością nie kontrolowana przez Anglię, nie należy też do jakiegokolwiek innego państwa. Dlaczegoż zatem nie mieliby ubić dwóch ptaszków jednym kamieniem? Gawrona - o wiele większego i gorzej upierzonego gatunku - którym jesteście wy, kosztujący Anglię ogromne sumy przy małych lub wręcz znikomych zyskach. I przepiórkę - skromny, lecz nader smaczny kąsek, którym jest możliwość, że za parę lat zatoka Botany mogłaby przynosić Anglii niezłe dochody.

Richard wyciągnął książkę i pokazywał całej grupie położenie zatoki Botany na jednej z map kapitana Cooka, lecz jedyne twarze, które zdradzały jakiegokolwiek zrozumienie, należały wyłącznie do piśmiennych mężczyzn.

Pan Thistethwaite spróbował inaczej.

- Jak daleko jest z Londynu do Oksfordu? - zapytał.

- Bardzo daleko - stwierdził Willy Wilton.

- Będzie około pięćdziesięciu mil - powiedział Ike Rogers.

- No to zatoka Botany jest dwieście razy dalej. Jeśli podróż z Londynu do Oksfordu trwa około dwóch tygodni, to podróż z Oksfordu do zatoki Botany tym samym furgonem zajęłaby dwieście tygodni.

- Ale przecież furgony nie mogą jeździć po wodzie - sprzeciwił się Billy Earl.

- Nie - przyznał cierpliwie pan Thistlethwaite - ale statki mogą, i to o wiele szybciej od furgonów. Przynajmniej ze cztery razy. Oznacza to zatem, że statek z Londynu do zatoki Botany dotrze w ciągu roku.

- To nie potrwa tak długo - powiedział Richard, marszcząc brwi. - Powinieneś wiedzieć to ze swoich bristolskich czasów, Jem. Przy dobrym wietrze statek może przepłynąć nawet dwieście mil dziennie. Biorąc pod uwagę czas spędzony w portach, jak również okresy postoju i lawirowania, podróż zajmie najwyżej sześć miesięcy.

- Dzielisz włos na czworo, Richardzie. Czy to sześć, czy też dwanaście miesięcy, zatoka Botany znajduje się nie tylko na drugim końcu globu, ale i pod jego spodem. Mam już tego dosyć. Wychodzę! - Straciwszy nagle cierpliwość, pan Thistlethwaite podniósł się z miejsca.

„Dobrze, że są na barkach tego nieskończenie cierpliwego Richarda” - pomyślał, waląc głośno pięściami w drzwi, żeby go wypuszczono. - „Ja bym głosował za Edmundem Burkiem, żeby ich wszystkich powiesić. Nie widzę w tym eksperymencie żadnego ładu ani

składu. Pachnie mi to kompletną desperacją”.

- Adieu, adieu - wykrzyknął, gdy odźwierny otworzył mu drzwi. - Jeszcze się spotkamy!

- Byczy facet z tego Thistlethwaite’a - stwierdził Bill Whiting, zajmując miejsce obok Richarda po odejściu gościa. - Czy to on jest tym twoim londyńskim informatorem, kochany Richardzie?

Stare przewisko zazgrzytało mu nieprzyjemnie w uszach.

- Nie zwracaj się do mnie w ten sposób, Bill - powiedział z nutą smutku w głosie. - Przypomina mi to kobiety z więzienia w Gloucester.

- Ano tak. Przepraszam. - Nie był to już ten sam zuchwały stary Bill. „Ceres” zdawał się poskramiać dowcipnisiów. Zmienił temat. - Z początku myślałem, że Stanęły z Seend zostanie jednym z nas, ale on jest tu z nami jedynie dlatego, że może coś od nas wyciągnąć.

- A czego ty się spodziewasz, Bill? Ty i Taffy uciekliście z żywymi zwierzętami, Stanleya z Seend przyłapano na obdzieraniu ze skóry już martwego zwierzęcia. On zawsze będzie grabił tych, którzy nie mogą się bronić.

- O, nie byłbym tego taki pewien - powiedział Bill z rozmarzonym wyrazem twarzy, nie licującym z jego żwawym, dziarskim wyglądem. - Jeśli macie z panem Thistlethwaite’em choćby i w połowie rację, stąd do zatoki Botany jest bardzo daleko. Na łeb Stanleya mógłby na przykład spaść maszt. A czyż nie byłby to wspaniały widok dla zmęczonych oczu, gdyby tak panu Sykesowi przydarzył się jakiś wypadek przed naszym odjazdem?

Richard pochwycił go za ramię i potrząsnął nim.

- Nawet nie myśl o takich rzeczach, Bill, ani tym bardziej o nich nie gadaj! Istnieje tylko jeden sposób na doczekanie końca naszych cierpień i jest nim przetrwanie - bez zwracania na siebie uwagi tych, którzy mogą nam zaszkodzić. Masz prawo ich nienawidzić, ale musisz ich ścierpieć. Wszystko ma swój kres. „Ceres” też się kiedyś skończy. I prędzej czy później skończy się również zatoka Botany. Nie jesteśmy już młodzi, ale też nie tacy znowu starzy. Rozumiesz? Naszym zwycięstwem będzie przetrwanie! I tylko to powinno nas obchodzić.

I tak mijał czas, odmierzany niewielkim kołem, jakie przemierzało wiadro bagrownicy wzdłuż łańcucha. Pod wodą, z wody i z powrotem. Złóża cuchnącego mułu. Śmierzący pokład na „Ceresie”. Cuchnące ciała wyrzucane raz na tydzień do pochówku na kawałku nieużytku w pobliżu Woolwich, który Duncan Campbell uzyskał do tego celu. Cały czas przybywały nowe twarze, ale niektóre z nich wędrowały na ten nieużytek. Stare twarze

również tam kończyły, ale żadna z nich nie należała ani do grupy Richarda, ani Ike'a Rogersa.

Na dolnym pokładzie wytworzyła się atmosfera koleżeństwa, zrodzona ze wspólnych cierpień, najsłabsza pomiędzy grupami, które ledwo mogły się ze sobą porozumieć. Pod koniec siódmego miesiąca każda twarz spośród tych, co przetrwali, była już dobrze znana. Kiwano do siebie głowami, wymieniano plotki i nowinki, niekiedy zwykłe uprzejmości. Zdarzały się pomiędzy nimi bójkki, niekiedy nawet bardzo poważne, czasami zacięte kłótnie, było pośród nich paru donosicieli i sługusów - takich jak William Stanley z Seend - lecz rzadko ktoś umierał tam gwałtowną śmiercią.

Jak w każdej innej grupie zupełnie różnych ludzi zmuszonych do ciągłego przebywania razem, pojedyncze indywidualności i różne sposoby myślenia wymieszały się i wytworzyła się stabilna sytuacja. I chociaż comiesięczne powtarzanie handlowskich i hipokratesowych inwokacji służyło utrzymaniu na dystans pozostałych, grupy Richarda i Ike'a zdołały bardzo się do siebie zbliżyć. Nie znęcali się nad innymi ani nie było pośród nich psotników czy rozbójników, nie padali też ofiarą takowych. Żyj i daj żyć innym - to była tutaj dobra zasada.

Zachariah Partridge nie miał powodu, aby zmienić swą opinię o załodze bagrowników. W miarę wydłużania się dni i zwiększania liczby godzin pracy, wypłacano mu pięciofuntowe nagrody częściej aniżeli myślał, że to było możliwe. Utrzymywanie dobrej formy dzięki pracy i odpowiedniemu wyżywieniu było ich głównym celem.

Podobnie jak wszyscy pracujący na tej rzece, począwszy od łodzi aprowizacyjnych po dozorców na statkach, Partridge zdawał sobie sprawę z groźby rychłej podróży do zatoki Botany. To usposabiało go do hojności względem swojej załogi, wiedział bowiem, że gdyby zostali wybrani na zsyłkę, jego szanse na uzyskanie drugiej załogi choćby w połowie równie dobrej jak oni były niewielkie. Otrzymał tytoń Rickettsa wraz z niewielką baryłką doskonałego rumu. A zatem jeżeli Richard lub któryś z jego ludzi żądał usług łodzi aprowizacyjnych sprzedających określone dobra, spełniał ich życzenia, pod warunkiem że bagrownica wybierała wymagane ilości balastu. Zafascynowany patrzył, jak gromadzili drelichowe ubrania, morskie mydło, buty, nożyczki, dobre brzytwy, rzemienie, osełki, gęste grzebienie, olej smołowy, ekstrakt słodowy, bieliznę, grube pończochy, maście, sznurki, mocne torby, śrubki i narzędzia.

- Ktoś was chyba puknął w łeb - zauważył. - Co wy sobie myślicie, że zostaniecie załogą na Arce Noego?

- Aha - odpowiedział Richard poważnie. - To odpowiednie porównanie. Wątpię, czy w zatoce Botany istnieją łodzie aprowizacyjne.

Wiadomości od Jema Thistlethwaite, przychodziły po kilka naraz. Pod koniec sierpnia doniósł im, że lord Sydney napisał oficjalnie do Komisji Rządowej Lordów w Ministerstwie Skarbu i zawiadomił ich, że siedemset pięćdziesięciu skazańców miało zostać wywiezionych do kolonii w Nowej Południowej Walii, najprawdopodobniej położonej w zatoce Botany. Będą pod strażą Floty Jego Królewskiej Mości oraz pod bezpośrednią kontrolą trzech kompanii żołnierzy piechoty morskiej, którzy mieli się zapisać do trzyletniej służby, licząc od momentu przybycia do Nowej Południowej Walii.

- Nie wyrzucą was tam po prostu na brzeg - twierdził. - To przynajmniej wydaje się pewne. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jest zalane listami, poczynawszy od spisu skazańców, po wykazy rumu i oferty na kontrakty. - Uśmiechnął się. - Ponoć mają tam być wysłani wyłącznie skazańcy płci męskiej. Planują jednak dostarczyć wam kobiety z pobliskich wysp, bez wątpienia pozyskanych w taki sam sposób, w jaki Rzym zdobył Sabinki na Kwirynał. Co przypomniało mi, żeby ci dać tomy *Zmierzchu i upadku* Gibbona.

- O Chryste! - wykrzyknął Bill Whiting. - Hinduskie żony! Ale jakie? Są w różnych odcieniach, poczynawszy od czarnych, po czerwone i żółte, i od pięknych niczym Wenus po brzydkie jak Meduza.

Lecz w październiku pan Thistlethwaite poinformował ich, że żadnych hinduskich żon nie będzie.

- Parlament nie był zachwycony wzmianką o gwałcie Sabinek, wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę z tego, że Hindusi nie ofiarują ich nikomu w prezencie ani nawet ich nie sprzedadzą. Świątoszki zaczęły się odgrażać, podniesiono rwetes. Wobec tego więźniarki popłyną także - jednakże ile, tego nie wiem. Ponieważ czterdziestu żołnierzy piechoty morskiej zabiera ze sobą żony i rodziny, wyrażono zgodę, aby małżeństwa przebywające w więzieniu wyjechały razem. Maj widoczniej są takie.

- Znamy taką parę w Gloucester - powiedział Richard. - Bess Parker i Ned Pugh. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało, ale kto wie? Być może, jeśli jeszcze żyją, zostali wybrani. Jakaż to jednak hańba, wysyłać mężczyzn takich jak Ned Pugh czy kobiety takie jak Lizzy Lock, skoro w przyszłym roku odsiedzą już pięć ze swoich siedmiu lat kary.

- Nie miej nadziei na Lizzie Lock, Richardzie. Słyszałem, że mają wysłać kobiety jedynie z londyńskiego Newgate.

- O! - brzmiała ogólna reakcja.

Tydzień później powróciło ich źródło informacji.

- Ustanowiono gubernatora i zastępcę gubernatora dla Nowej Południowej Walii. Niejaki kapitan Arthur Phillip z Królewskiej Marynarki ma zostać gubernatorem, a major

Robert Ross z korpusu piechoty morskiej został jego zastępcą. Będziecie w rękach Królewskiej Marynarki, co oznacza, że zapoznacie się z batem. Żaden marynarz, nawet żołnierz piechoty morskiej, nie potrafi żyć bez bata i mam tu na myśli ten świszczący o wielu rzemieniach. - Wzdrygnął się i postanowił zmienić temat. - Pozostałe mianowania też uzgodniono. Kolonia ma funkcjonować zgodnie z prawem floty morskiej - żadnych wybieralnych rządów. Sędzia prokurator, jak mi się wydaje, również jest żołnierzem piechoty morskiej. Będzie naczelnym chirurgiem i paru chirurgów pomocniczych, no i oczywiście - bo jakże moglibyście żyć bez dobrego, silnego angielskiego Boga? - kapelan. Na razie Jednak o tym wszystkim cicho, sza. Nie ma jeszcze żadnych oficjałów obwieszczeń.

- A jaki jest ten gubernator Phillip? - zapytał Richard.

Pan Thistlethwaite parsknął rubasznym śmiechem.

- On jest nikim, Richardzie. Prawdziwe marynarskie zero. Admirał lord Howe bardzo lekceważąco się o nim wyrażał, ale przypuszczam, że miał nadzieję na ten urząd za tysiąc funtów rocznie dla któregoś ze swoich młodych bratanków. Moim źródłem jest stary przyjaciel, sir George Rose, skarbnik Królewskiej Marynarki. Powiedział mi, że lord Sydney wybrał tego Phillipa osobiście po długiej rozmowie z panem Pittem, który uparł się, że ten eksperyment ma się udać. Jeśli się nie powiedzie, jego rządowi grozi porażka w kwestii tak błahej jak problem więzień. Wszyscy ci więźniowie, którzy nie mają się gdzie podziać i na dodatek jest ich ciągle coraz więcej... Problem w tym, że w rozumowaniu reformatorskich i gorliwych świętoszków zsyłka łączy się z niewolnictwem. A zatem jeśli ktoś zaleca jedno, zbyt często okazuje się orędownikiem drugiego.

- Są w tym pewne podobieństwa - odparł Richard sucho. - Powiedz mi coś o tym gubernatorze Phillipie, który będzie rozstrzygał o naszym losie.

Pan Thistlethwaite oblizał usta, żałując, że nie może wypić kieliszka brandy.

- Jest nikim, tak jak już mówiłem. Jego ojciec był Niemcem i uczył w Londynie języków obcych. Jego matka była uprzednio wdową po kapitanie floty, ma jakieś odległe powiązania z lordem Pembroke. Chłopiec poszedł do marynarskiej wersji szkoły Colston, co, oznacza, że byli biedni. Po wojnie siedmioletniej zaczęto mu wypłacać jedynie połowę żołdu, wobec tego postanowił służyć w portugalskiej marynarce, co czynił przez parę lat z wyróżnieniem. Jego najwyższym awansem było dowództwo nad czwartorzędowcem, na którym nawet nie zobaczył akcji wojennej. Obecne mianowanie uzyskał po drugim zwolnieniu ze służby. Nie jest już młodym człowiekiem ani też takim znowu starym.

Will Connelly skrzywił się.

- To mi brzmi bardzo dziwnie, Jem. - Westchnął. - W rzeczy samej potwierdza, że

chcą się nas po prostu pozbyć, wysyłając wszystkich do zatoki Botany. W przeciwnym razie gubernatorem byłby, no nie wiem, jakiś lord albo przynajmniej admirał.

- No to podaj mi nazwisko jakiegoś lorda albo admirała, który zgodziłby się jechać na koniec świata za marne tysiąc funtów rocznie, Will, a wówczas ofiaruję ci angielską koronę i berło. - Pan James Thistlethwaite skrzywił się w złośliwym uśmiechu, gdy rozbudził się w nim instynkt paszkwilanta. - Być może ktoś taki zdecydowałby się na orzeźwiająca wycieczkę do zachodnich Indii. Ale tam? Możliwe, że jest to śmiertelna pułapka. Nikt tak naprawdę nie wie, co się znajduje w tej zatoce Botany, choć wszyscy przyjmują, że to kraina mlekiem i miodem płynąca, i to jedynie z tego powodu, że tak jest im wszystkim wygodniej. Tamtejsze gubernatorstwo to posada, którą przyjąłby tylko ktoś, kto jest nikim.

- Nadal jednak nie powiedział nam pan, dlaczego został nim akurat ten człowiek? - odezwał się Ike.

Początkowo zaproponował go sir George Rose, ponieważ jest zarówno kompetentny, jak i litościwy. To jego własne słowa. Jednakże Phillip jest rzadkością również w Królewskiej Marynarce - mówi płynnie kilkoma językami. Jako że jego ojciec uczył języków obcych, więc prawdopodobnie wysłał je z mlekiem matki. Mówi po francusku, niemiecku, holendersku, hiszpańsku, portugalsku i włosku.

- A na cóż się to przyda w zatoce Botany? Przecież Hindusi nie posługują się żadnym z nich - zapytał Neddy Perrott.

- Na nic, ale będą ogromnie przydatne w trakcie podróży w tamte strony - odpowiedział pan Thistlethwaite, usiłując zachować cierpliwość. „Jak ten Richard może z nimi wytrzymać?” - zastanawiał się. - Po drodze macie zawinąć do kilku portów i żaden z nich nie jest angielski. Teneryfa należy do Hiszpanii. Cape Verde jest portugalski, Rio de Janeiro także, a Przylądek Dobrej Nadziei - holenderski. To bardzo skomplikowana sprawa, Neddy. Wyobraź to sobie! Bez żadnego ostrzeżenia wpływa do portu flota złożona z dziesięciu uzbrojonych angielskich statków, aby zarzucić kotwice w porcie będącym własnością kraju, z którym toczyliśmy wojnę albo też kłusowaliśmy na jego niewolniczych terytoriach. Pan Pitt uważa to za bardzo istotne, aby flota nawiązała przyjazne stosunki ze wszystkimi gubernatorami tamtejszych portów. A jak, po angielsku? Nikt nie zrozumie z tego ani słowa, ani jednego słóweczka.

- Dlaczegoż nie mielibyśmy się posługiwać tłumaczami? - zapytał Richard.

- I prowadzić interesy przez pośredników niskiej rangi? Z Portugalczykami i Hiszpanami? Z najbardziej drobiazgowymi i trzymającymi się protokołu ludźmi na świecie? I z Holendrami, którzy pobiliby samego szatana, gdyby myśleli, że można na tym zarobić? O

nie! Pitt upiera się, aby gubernator umiał dogadać się sam z każdym z tych łatwo obrażających się, prowincjonalnych gubernatorów pomiędzy Anglią a zatoką Botany. Nazwisko kapitana Arthura Phillipa było jedynym, jakie padło. - Zaśmiał się złośliwie. - Ha, ha, ha! To na takich błahostkach opiera się wszystko, Richardzie. Nie są to bowiem żadne błahostki. Któż jednak myśli o tym, kiedy dokonuje się podsumowań? Wyobrażamy sobie kogoś takiego jak sir Walter Raleigh - zawadiakę korsarza, zaufanego Dobrej Królowej Bess. Gest koronkowej chusteczki, woń jego perfum i wszyscy padają do jego stóp, nie mogąc mu się oprzeć. Ale nie żyjemy już w tamtych czasach. Współczesny świat jest zupełnie inny i któż to wie? Być może ten „nikt”, kapitan Arthur Phillip, posiada akurat takie zalety, jakich wymaga to zadanie. Sir George Rose zdaje się w to wierzyć. A Pitt i lord Sydney zgadzają się z nim. To, że admirał lord Howe jest innego zdania, nie ma żadnego znaczenia. Jest może ministrem marynarki wojennej, ale Królewska Marynarka jeszcze Anglią nie rządzi.

Pogłoski zaczęły krążyć coraz częściej, w miarę jak dni stawały się krótsze, a czas pomiędzy pięcioletnimi nagrodami pana Zachariaha Partridge'a zaczął się wydłużać, w czym nie pomogły mu bynajmniej dwa tygodnie ulewnego deszczu pod koniec listopada, kiedy skazańcy byli zmuszeni przebywać cały czas na dolnym pokładzie. Humory pogorszyły się i tym, którzy doszli do porozumienia ze swymi dozorcami na brzegu lub z bagrownikami i otrzymywali dodatkowe jedzenie w trakcie pracy. Trudno było im powrócić do racji na „Ceresie”, które bynajmniej nie poprawiły się ani pod względem jakości, ani ilości. Sykes potroił swoją ochronę, kiedy musiał być w tym samym miejscu co duże grupy skazańców, a rozruchy na górze, na pokładzie londyńczyków, słyszało się nawet na dole.

Mieli swoje sposoby na spędzanie czasu - nie mając rumu ani jałowcówki, zajmowali się hazardem. Każda z tych grup miała przynajmniej jedną talię kart i parę kości, lecz nie każdy, kto przegrywał - a grali o jedzenie lub wykonywanie różnych prac - zachowywał się z galanterią. Ci, którzy potrafili czytać, stanowili odrębną grupę - być może dziesięć procent mężczyzn wymieniało książki, jeśli je posiadało, choć własność była tu zazdrośnie strzeżona. Jakieś dwadzieścia procent prało lniane ubrania подарowane przez Duncana Campbella, wieszając je na linach rozciągniętych pomiędzy obelkowaniem, co sprawiało, że poruszanie się w ramach ćwiczeń fizycznych było znacznie utrudnione. Chociaż dolny pokład nie był przeludniony, zaledwie pięćdziesięciu mężczyzn jednocześnie mogło się na nim poruszać, i to na ugiętych nogach i z pochylonymi głowami. Reszta musiała albo siedzieć na ławkach, albo leżeć na pryczach. Przez sześć miesięcy - od lipca do końca grudnia - „Ceres” utracił osiemdziesięciu mężczyzn z powodu choroby - ponad jedną czwartą całkowitego składu

więźniów równo rozdzielonych pomiędzy dwoma pokładami.

Pod koniec grudnia pan Thistlethwaite dowiedział się już czegoś więcej. Do tego czasu liczba jego słuchaczy znacznie wzrosła i obejmowała wszystkich, którzy go rozumieli - a tych było coraz więcej. Jedynie najbardziej tępi wieśniacy spośród więźniów tego pokładu nie rozumieli mowy tych, którzy posługiwali się angielszczyzną zbliżoną choć trochę do książkowej, jak również żargonem, pod warunkiem że mówili wolno.

- Zakończono przetarg ofert - oświadczył swoim słuchaczom. - Uroniono też przy tym trochę łez. Pan Duncan Campbell zdecydował, że ze swoimi akademiami ma już dosyć na swoim talerzu, więc w ogóle nie wysłał oferty. Najtańsza oferta - od panów Turnbulla Macaulaya i T. Gregory'ego - wynosząca siedem i jedną trzecią pensa na dzień przypadającego na każdego mężczyznę i kobietę nie została zaakceptowana. Nie przyjęto też oferty przewoźników niewolników, pana Camdena, Calverta i Kinga. Lord Sydney uważał, że posługiwanie się firmą niewolniczą nie byłoby rozsądne w tej pierwszej wyprawie, choć i w tym wypadku cena była niewielka. Zwyciężyła oferta przyjaciela Campbella, Williama Richardsa Juniora. Twierdzi, że jest pośrednikiem w transakcjach morskich, lecz jego interesy sięgają o wiele dalej. Oczywiście ma on partnerów. Przypuszczam, że ściśle współpracuje z Campbellem. Mogę was zapewnić, że los żołnierzy z piechoty morskiej, którzy mają z wami odpłynąć, też nie jest godny pozazdroszczenia. Ich również uwzględniono w cenie tej oferty na takich samych racjach, tyle że codziennie mają dostawać mąkę i rum.

- A ilu z nas ma odpłynąć? - zapytał jakiś mieszkaniec Lancaster.

- Podobno ma być pięć transportowców do przewiezienia około pięciuset osiemdziesięciu skazanych mężczyzn i prawie dwustu kobiet, jak również około dwustu marynarzy oraz czterdziestu żon i dzieci w różnym wieku. Upoważniono do tego trzy statki, a Królewską Flotę reprezentuje statek pomocniczy i uzbrojony okręt, mający pełnić rolę okrętu admirałskiego.

Co to są te transportowce? - zapytał skazaniec z hrabstwa York, William Dring. - Jestem marynarzem z Hull, a jednak nie Mszalem o takich statkach.

Transportowce przewożą ludzi - odparł Richard uczciwie, patrząc mu prosto w oczy. - Głównie żołnierzy do obcych krajów. Wydaje mi się, że istnieją jeszcze takowe, choć teraz są już bardzo stare. Te, które wysyłały żołnierzy na wojnę amerykańską, używane były już w czasie wojny siedmioletniej. Istnieją też przybrzeżne transportowce do przewożenia marynarzy i żołnierzy wokół Anglii, Szkocji i Irlandii, ale one byłyby za małe. Jem, czy określono jakieś specyfikacje w ofertach na transportowce?

- Tylko takie, że mają mieć kształt statków i być sprawne, tak aby odbyć długą podróż

po nieznanym morzach. Sądzę, że flota przeprowadziła ich inspekcję, lecz nie mam pojęcia, jak dokładną. - Pan Thistlethwaite zaczerpnął powietrza i zdecydował się mówić otwarcie. Jakież był sens łudzić tych nieszczęśników fałszywymi nadziejami?

Prawda jest taka, że wcale nie prześcigano się w ofertach statków. Okazuje się, że lord Sydney liczył na Spółkę Wschodnioindyjską, która posiada najlepsze statki. Zrzucił nawet przynętę - statki miałyby popłynąć z zatoki Botany prosto do Wampoa w Cathay, aby zabrać stamtąd ładunek herbaty, lecz Spółka Wschodnioindyjską nie była tym zainteresowana. Oni wolą, żeby ich statki zawijały do portu w Bengalu, zanim wyruszą do Wampoa, ale nie wiem, z jakiego powodu. Wobec tego lord Sydney nie miał do dyspozycji drugiego źródła statków zdalnych do długich wojaży. Być może marynarska inspekcja polegała na wybraniu najlepszych spośród najgorszych. - Rozejrzał się wokół i na widok przerażonych twarzy pożałował swojej szczerości. - Nie sądzicie chyba jednak, moi przyjaciele, że wsadzą was na wanny, które grożą zatonięciem. Żaden właściciel statku nie wystawi na takie ryzyko swojego majątku, nawet jeśli jego asekuratorzy dali mu taką możliwość. O nie. Nie to miałem na myśli.

Richard postanowił się wtrącić.

- Wiem, co chcesz nam powiedzieć, Jem. To, że nasze transportowce są statkami przewożącymi niewolników. Właściwie czemu nie? Niewolnictwo podupadło od czasów, kiedy nie mamy prawa dostępu do Georgii i Karoliny, nie mówiąc już o Wirginii. Z pewnością wiele statków niewolniczych szuka teraz pracy. A poza tym są już przygotowane do przewożenia ludzi. W Bristolu i Liverpoolu czekają ich całe tuziny, przycumowane do doków, a niektóre z nich są na tyle duże, że mogą pomieścić po kilkuset niewolników.

- No właśnie - odetchnął pan Thistlethwaite. - Mają was wywieźć na niewolniczych statkach, tych, którzy zostaną wybrani do wysłania.

- Czy mówi się już o tym, kiedy to nastąpi? - zapytał Joe Robinson z Hull.

- Nie, nic o tym nie słyszałem. - Pan Thistlethwaite rozejrzał się wokoło po otaczających go twarzach i uśmiechnął się. - Jest to jednak okres świąteczny, więc załatwiłem, żeby wszyscy na dolnym pokładzie Ceresu dostali po pół kwatki rumu na łebka. W trakcie podróży nie będziecie mieli na to szansy, więc nie pijcie duszkiem, lecz pozwólcie, żeby poleżał wam trochę na języku.

Odciągnął Richarda na stronę.

- Przyniosłem ci nową dostawę okapaników od kuzyna Jamesa aptekarza. Sykes ci je wyda, nie obawiaj się. - Objął go tak mocno, że nikt nie zauważył, jak sakiewka gwinei została wsunięta z jego kieszeni do surduta Richarda. - To wszystko, co mogę dla ciebie

zrobić, mój serdeczny przyjacielu. Błagam cię, pisz, kiedy tylko będziesz mógł.

- **Swędzą mnie kciuki** - odezwał się Joey przy kolacji piątego stycznia 1787 roku i wzdrygnął się.

Inni odwrócili się i spojrzeli na niego poważnie - ta prosta dusza miewała przecucia, które zawsze się sprawdzały.

- A wiesz może dlaczego, Joey? - zapytał Ike Rogers. Joey pokręcił głową.

- Nie. Po prostu mnie swędzą.

Richard jednak wiedział dlaczego. Jutro przypadał szósty stycznia, a każdego szóstego stycznia w ciągu ostatnich dwóch lat przenosił się do nowego miejsca boleści.

- Joey czuje, że nadchodzi zmiana - powiedział. - Dzisiaj popakujemy nasze rzeczy. Umyjemy się, obetniemy włosy do skóry, wyczeszemy sobie nawzajem wszy i upewnimy się, że każda rzecz, sakwa, torba i pudło zostały oznakowane. Rano będą nas przenosić.

Wargi Joba Hollistera zadrgały.

- Może nie zostaniemy wybrani.

- Może nie. Ale wydaje mi się, że kciuki Joeya mówią, że zostaniemy.

„I dzięki ci, Jemie Thistlethwaite, za te półkwatki rumu. Kiedy cały dolny pokład »Ceresu« chrapał, mogłem ukryć twoje gwinee w naszych skrzynkach, choć nikt o tym nie wie oprócz mnie”.

CZEŚĆ CZWARTA
OD STYCZNIA 1787 ROKU
DO STYCZNIA 1788 ROKU

O świecie wybrano zesłańców, w sumie sześćdziesięciu mężczyzn, w ich stałych, sześciuosobowych grupach, a pozostałych siedemdziesięciu trzech więźniów odetchnęło z ulgą, że zostali pominięci. Nikt nie wiedział, kto o tym decyduje, w jaki sposób ani też dlaczego wybrano akurat te dziesięć grup, poza tym że Hanks i Sykes mieli listę nazwisk. Wiek owych wybrańców wynosił od piętnastu do sześćdziesięciu lat, większość z nich - jak wszyscy już wiedzieli - była niewykwalifikowana, a niektórzy byli nawet chorzy. Panowie Hanks i Sykes nie zwracali jednak uwagi na takie rzeczy. Wyglądało na to, że lista przesądza o wszystkim. William Stanley z Seend i epileptyk Mikey Dennison skakali z radości z nogi na nogę, nie było ich bowiem na niej. Życie na dolnym pokładzie „Ceresu” było dość wygodne, a wkrótce przybędą nowi, których można okradać.

- Łajdacy! - syknął Bill Whiting. - Patrzcie tylko, jak się cieszą!

Otworzyły się drzwi i do środka wepchnięto czterech nowych więźniów. Will Connelly i Neddy Perrott wrzasnęli równocześnie z radości.

- To Crowder, Davis, Martin i Morris z Bristolu - wyjaśnił Connelly. - Musiano ich tu przysłać właśnie z tego powodu.

Bill Whiting mrugnął porozumiewawczo do Richarda.

- Panie Hanks! O, panie Hanks! - zawołał.

- A czego tam? - zapytał Herbert Hanks, któremu pan Thistlethwaite hojnie wysmarował łapę, a ten przyrzekł zrobić, co w jego mocy, aby grupy Richarda i Ike'a - w razie gdyby znaleźli się pośród tych, którzy mieli wyjechać - były lepiej traktowane. Był skłonny dotrzymać swej obietnicy, ponieważ pan Thistlethwaite szepnął mu o dodatkowej sumie po ich wyjeździe, jeśli jego szpiedzy doniosą mu, że naprawdę zrobił wszystko, co możliwe. - No mówże, kolesiu.

- Proszę pana, tych czterech jest z Bristolu. Czy oni też jadą?

- Ano jadą - odpowiedział ostrożnie.

Stary wesołek Whiting spojrzął z ukosa na Richarda, a następnie okrągła jego twarz przybrała dla pana Hanksa wyraz pokory.

- Proszę pana, ich jest tylko czterech. Chodzi o to, że tak nam żal że zostaliśmy odłączeni od Stanleya i Dennisona, panie Hanks, że pomyślałem sobie, że może by tak...

Hanks spojrzął na listę.

- Widzę, że tych dwóch, co mieli z nimi iść, umarło wczoraj. Jakkolwiek by na to spojrzeć, jest więc albo o czterech za dużo, albo o dwóch za mało. Stanley i Dennison zaokrągłą tę liczbę.

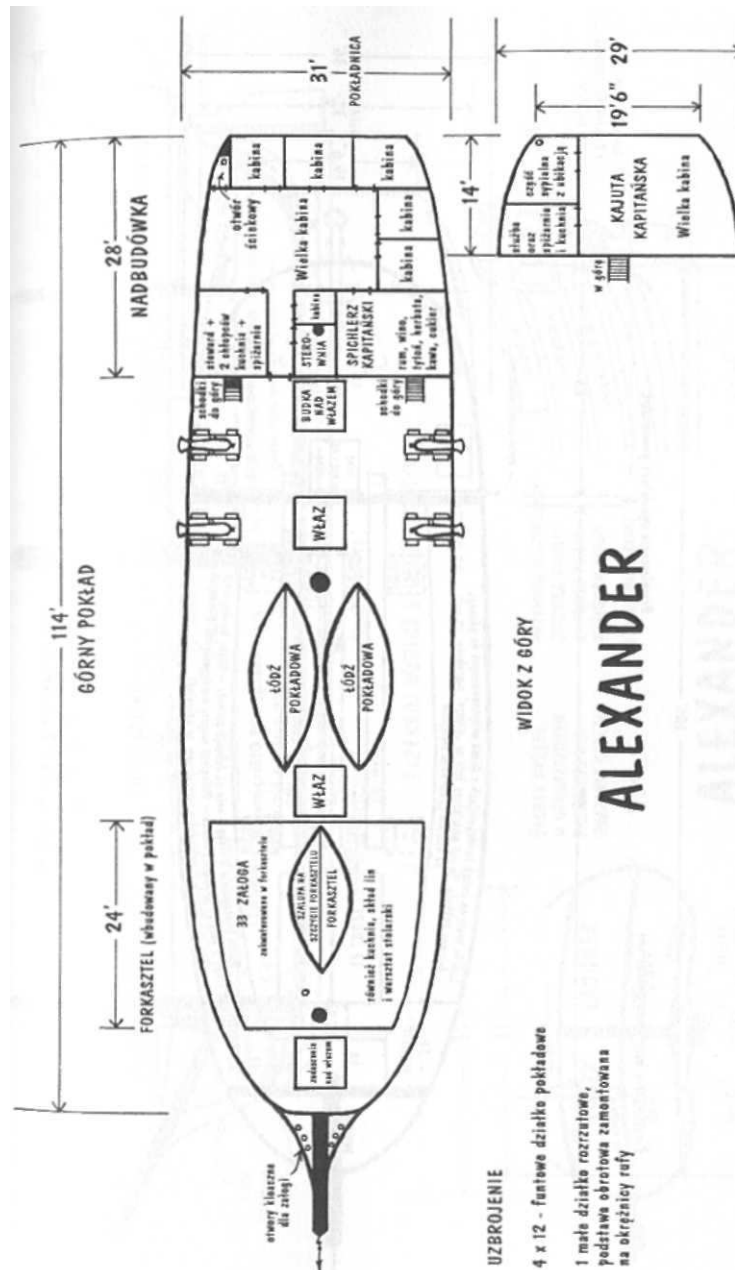
- Mam cię! - mruknął pod nosem Whiting.

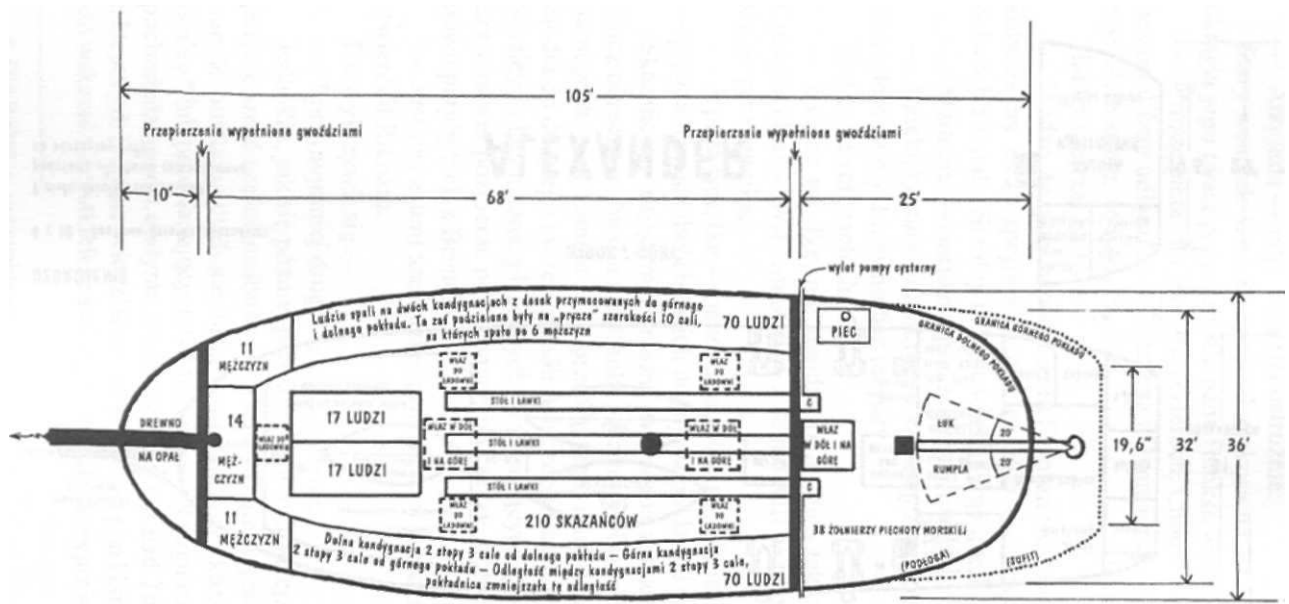
- Dzięki, ty stary sodomito! - warknął Ike przez zęby. - Już się cieszyłem na myśl o życiu bez tej pary.

Neddy Perrott zachichotał.

- Uwierz mi, Ike, nie znajdziesz drugich takich spryciarzy jak Crowder i Davis. William Stanley z Seend trafi na co najmniej godnego siebie przeciwnika.

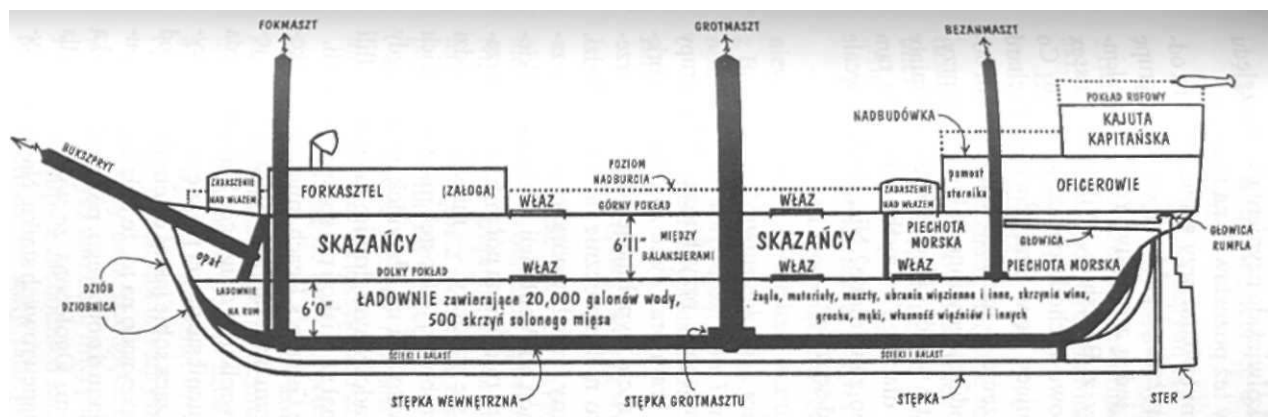
- A poza tym, Ike - powiedział Whiting, uśmiechając się anielsko - przyda nam się dwóch takich do mycia pokładu i prania ciuchów.



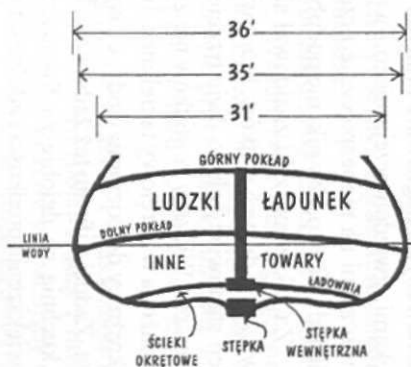


DOLNY POKŁAD

ALEXANDER

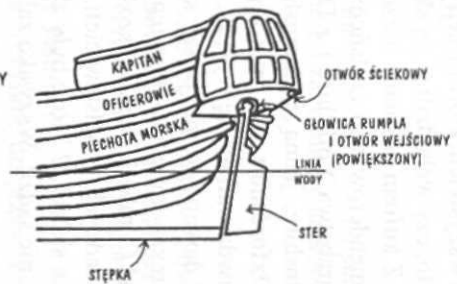


PRZEKRÓJ WZDŁUŻ DŁUGOŚCI STATKU



ŚRODEK OKRĘTU
W UPROSZCZONYM
PRZEKRÓJU DLA
UKAZANIA KADŁUBA
(SKALA)

PRZEKRÓJ ILUSTRUJĄCY
OKIENKA TYLNICY
RUFOWEJ PONAD
POZIOMEM WODY
(W SKALI POŁOWICZNEJ)



ALEXANDER

Skazańcom mającym wyruszyć w podróż założono zamykane na klucz obręcze na biodra i kajdanki, lecz nie połączono ich z okowami na nogach - w zamian za to przeciągnięto długi łańcuch od jednego biodra do drugiego i w ten sposób połączono razem sześciu mężczyzn. Stanleya i Dennisona, płaczących i zawodzących, ponieważ nie mieli czasu nawet pozbiierać potrzebnych im rzeczy, dołączyło do czwórki nowo przybyłych z Bristolu.

- Jest nas zatem sześćdziesięciu sześciu w jedenastu grupach - stwierdził Richard.

Ike wykrzywił się.

- I przynajmniej drugie tyle z Londynu.

Jednakże, jak się później przekonali, było inaczej. Z góry wybrano jedynie sześć sześciuosobowych grup i bynajmniej nie ograniczały się one do postępujących się żargonem ptaszków skazanych przez Old Bailey* [Old Bailey - sąd cywilny w Londynie.] lub przesiadujących w londyńskim Newgate. Większość z nich pochodziła spod Londynu, wielu było z Kent nad Tamizą, zwłaszcza z Deptford. Nikt nie wiedział dlaczego, nawet pan Hanks, który po prostu wskazał wszystkich ze swojej listy. Cała ta wyprawa była tajemnicą dla wszystkich, którzy mieli z nią cokolwiek do czynienia, bez względu na to, czy wchodzili w jej skład, czy też pozostawali na miejscu.

Z kufrem i dwiema brezentowymi torbami przy sobie, Richard odkomenderowywał zesłańców z najniższego pokładu - jedną grupę z hrabstwa Yorkshire i z Durham, jedną z hrabstw Yorkshire i Lincolnshire, jedną z Hampshire, trzy z Berkshire, Wiltshire, Sussex i Oxfordshire oraz trzy z południowo - zachodnich części kraju. Co prawda trafiały się wyjątki, ale lubujący się w łamigłówkach Richard już dawno poczynił pewne spostrzeżenia - niektóre rejony Anglii dostarczały mnóstwo przestępców, podczas gdy inne, takie jak na przykład Cumberland i większość hrabstw wokół Leicestershire, nie miały tu żadnych przedstawicieli. Tylko dlaczego? Czyżby panowała tam taka sielanka? Może były zbyt słabo zaludnione? Nie, Richard wcale tak nie sądził. Wszystko zależało od sędziów.

* * *

Dwa duże galary stały zakotwiczone przy burcie. Trzy grupy z południowo - zachodnich terenów kraju oraz dwie z hrabstwa Yorkshire zostały załadowane na jeden z nich, wypełniając go po same brzegi, a pozostałe sześć grup wciśnięto niebezpiecznie do drugiej łodzi. I tak około dziesiątej, w ten słoneczny i mroźny poranek wiosłarze zaczęli wiosłować w dół rzeki na wschód od Woolwich, w stronę wielkiego zakola na Tamizie szerokiej w tym miejscu na pół mili. Ruch na rzece był niewielki, lecz wieści już się rozeszły - mieszkańcy łodzi dostawczych, bagrownic i innych drobnych jednostek machali do nich rękami, gwizdali przejmująco i wiwatowali na ich widok, podczas gdy mężczyźni na niebezpiecznie przeładowanym drugim galarze modlili się jedynie o to, aby nikt nie podpłynął za blisko i nie spowodował fali.

Za zakrętem rzeki znajdował się Gallion's Reach, miejsce do zakotwiczania dużych

statków, które w tym dniu zajmowały dwa okręty, jeden stanowiący około dwie trzecie wielkości drugiego. Serce Richarda zamarło. Większy ze statków nie zmienił się nawet na jotę - barka wyposażona w okrętowy takielunek, licząca sobie jakieś czternaście stóp od okrężnicy do poziomu wody, co wskazywało na to, że była zupełnie pusta. Żadnej rufy ani też żadnego pokładu dziobowego, poza nadbudówką i kuchnią na dziobie za fokmasztem. Ogołocona ze wszystkiego dla zwiększenia prędkości i zdolności manewrowych statku. Napotkał oczyma wzrok Connelly'ego i Perrotta.

- „Alexander” - stwierdził głucho Neddy Perrott.

Usta Richarda zacisnęły się w wąską kreskę.

- Aha, to on.

- Znacie go? - zapytał Ike.

- A i owszem, znamy - odparł Connelly ponuro. - To statek z Bristolu, do przewozu niewolników, ostatnio zamieniony na korsarski - Słynny z umierających na nim załóg i ładunków.

Ike przełknął ślinę.

- A ten drugi?

- Tego nie znam, więc nie może pochodzić z Bristolu - powiedział Richard. - Powinien mieć przyśrubowaną do rufy kadłuba tabliczkę z brązu, więc zaraz się dowiemy. Nas jednak przydzielono na „Alexandra”.

Tabliczka stwierdzała, że była to „Lady Penrhyn”.

- Prosto z Liverpoolu i wybudowana specjalnie do przewożenia niewolników - powiedział Aaron Davis, jeden z nowo przybyłych z Bristolu. - Nowiusieńka, jak można sądzić po jej wyglądzie. Cóż to będzie za pierwsza podróż! Lord Penrhyn musi być zapewne desperatem.

- Nie widać, aby ktokolwiek wchodził na jej pokład - zauważył Bill Whiting.

- Nie bój się, na pewno ją wypełnią - odpowiedział Richard.

Musieli wspiać się wraz ze swym dobytkiem po sznurowej drabinie do otworu w okrężnicy pośrodku statku, dwanaście stóp w górę. Nikt poza jego grupą nie był obciążony skrzynkami, lecz nawet jeśli łańcuchy któregoś z więźniów zaplątały się w drabinę, w otworze nie pojawiał się nikt do pomocy.

Na szczęście łączący ich łańcuch był luźny, a odległość między nimi można było zwiększać lub zmniejszać.

- Zbijcie się do kupy i dajcie mi całą długość łańcucha - rozkazał Richard, kiedy

nadeszła ich kolej. Wrzucił oba worki na górę, oparł kufer na kajdankach i pośpiesznie przemierzył te parę stóp, chcąc się upewnić, że nikt nie będzie miał na tyle przytomności umysłu, aby gwizdnąć mu jeden z worków. Wszedłszy na pokład, zabrał swe rzeczy i kufry, które podali mu towarzysze.

Dwa barkasy oraz szalupę ściągnięto z pokładu i spuszczone na wodę, toteż było tam dość miejsca, aby Richard zdołał usunąć z drogi swoje trzy grupy z zachodnich krańców kraju. Zdziwił go panujący na pokładzie chaos - stały tam grupki szkarłatnie umundurowanych żołnierzy piechoty morskiej, dwóch oficerów z szarfami na piersiach i dwóch kaprali obsługiwało małe rozrutowe działko, przesuwające się na szynie przy nadbudówce, a pstrokata gromada marynarzy wisała na żaglach lub siedziała na belkach niczym widzowie w trakcie pojedynku bokserskiego na łące.

I co dalej? Ponieważ nie było nikogo, kogo mógłby o to zapytać przyglądał się narastającemu chaosowi. Na długo zanim wszystkie jedenaście grup więźniów znalazło się na pokładzie, miejsce to coraz bardziej przypominało menażerię - wrażenie to potęgowały jeszcze tuziny kóz, owiec, świń, gęsi i kaczek biegających po całym pokładzie, za którymi uganiały się podniecone psy. Czując, że ktoś obserwuje go niewzruszenie z góry, podniósł głowę i ujrzał dużego rudawego kota, ustawionego wygodnie na niskim bomie i oglądającego całe zamieszanie z wyrazem znudzonego cynizmu. Nie było tam żadnego z dozorców, pozostali na „Ceresie”, bo już nie byli odpowiedzialni za więźniów.

- Wojsko - szepnął Billy Earl, pochodzący z wiejskich obszarów Wiltshire.

- Piechota morska - poprawił go Neddy Perrott. - Białe wyłogi na mundurach, żołnierze mają kolorowe.

W końcu pierwszy porucznik piechoty zszedł żwawym krokiem z nadbudówki, obserwując tę scenę z nieprzyjemnym wyrazem malującym się w jego stalowych oczach.

- Nazywam się - wrzasnął bełkotliwym głosem - James Shairp i jestem pierwszym porucznikiem Pięćdziesiątej Piątej Kompanii z Portsmouth. Wy, skazańcy, jesteście tu pod moją komendą i będziecie odpowiadać jedynie przed piechotą morską Jego Królewskiej Mości. Naszym obowiązkiem jest karmienie was i pilnowanie, żebyście nikomu się nie naprzykrzali, włącznie z nami. Będziecie robić, co wam każą, i nie wolno wam się odzywać, chyba że będzie się do was mówić. - Wskazał na otwartą pokrywę luku za grotmasztem. - Zabierajcie się razem ze swoimi śmieciami na dół, jedna grupa po drugiej. Sierżant Knight i kapral Flannery pójdą przed wami i pokażą wam, gdzie macie się rozlokować, ale zanim pójdziecie, powiem wam, jakie są przepisy. Zajmiecie prycze, które przydzielili wam sierżant, i nie wolno wam ich zmieniać, codziennie bowiem będziecie liczeni i sprawdzani podług

numeru i nazwiska. Każdy mężczyzna ma prawo do dwudziestu cali, nic dodać, nic ująć - musimy pomieścić dwustu dziesięciu takich jak wy na bardzo niewielkiej przestrzeni. Za wszczynanie bijatyki czeka was chłosta. Kradzież racji żywnościowych też jest karana chłostą. Pyskowanie również. Jeśli będziecie się domagali tego, czego wam nie wolno, także zostaniecie wychłostani. Kapral Sampson pełni ten obowiązek w kompanii i szczyli się swoją pracą. Jeśli macie ochotę leżeć - a tylko to będzie możliwe - nie zabiegajcie o skrwawione plecy.

- A teraz wynocha stąd! - Odwrócił się na pięcie i odmaszerował w stronę nadbudówki i działka rozrutowego.

Chociaż nie było pośród nich szkockich skazańców, Richard rozpoznawał ich sposób mówienia, zwłaszcza częste posługiwanie się dawną formą „wy”. Forma ta powoli zanikała - sam niekiedy jej używał, ale raczej mimowolnie, nie wymawiając tego słowa z takim naciskiem. A zatem oficer był Szkotem. Słyszał, że większość oficerów w piechocie morskiej pochodziła ze Szkocji.

Sierżant Knight i kapral Flannery zniknęli w luku. „Nic nie ryzykując, nic się nie zyska” - pomyślał Richard, gdy inni się zawahali. Skinął głową w stronę luku i poprowadził swoje trzy drużyny do kwadratowego, wielkości sześciu stóp otworu w pokładzie. „Boże, pomóż nam i wybaw nas!” - modlił się w duchu. Podał swój kufer Billowi Whitingowi stojącemu tuż za nim i zrzucił swoje worki w dół luku, a następnie nachylił się nad nim. Około czterech stóp niżej zobaczył wąski stół z desek, usiadł więc na skraju włazu i sprawnie osunął się w dół, wyciągnął ręce po swój kufer i poczekał, aż łańcuch Billa na tyle się poluźni, że będzie mógł podążyć za nim. Cała szóstka zeszła na dół, każdy zeskakując ze stołu na ławę i dopiero potem na pokład, gdzie stłoczyli się między gęsto ustawionymi stołami i ławami. Wszystko zdawało się przyśrubowane do podłogi, nic bowiem nie poruszyło się nawet na jotę przy przepychaniu.

- Chodźcie no tu! - warknął sierżant.

Podeszli bliżej i stanęli na pokładzie w przejściu nie szerszym niż na sześć stóp. Wpatrywali się przed siebie w ciemności, znajdując się po lewej stronie, czyli od strony bakburty. Do kadłubu bakburty przytwierdzono dwa rzędy platform podobnych do tych, jakie znajdowały się na „Ceresie”, tylko że te były podwójne. Każdą z nich wzmacniały podpory, a zewnętrzne krawędzie były zaokrąglone, biegnąc równoległe z linią kadłuba, całkiem ładnie wykonane. Nikt w przypiływie szaleństwa nie zdołałby ich rozmontować. Platformy przegrodzono w dziesięciostopowych odstępach; górna półka znajdowała się zaledwie dwie stopy poniżej górnego pokładu, dolna nieco ponad dwie stopy nad dolnym pokładem, a

odległość pomiędzy dwiema platformami również wynosiła nie więcej jak dwie stopy. Skoro nawet Ike Rogers mógł wygodnie wyprostować się w przejściu pomiędzy belkami, Richard obliczył, że wysokość między pokładami wynosiła blisko siedem stóp. On sam mógł swobodnie przejść pod belkami, mając jeszcze około pół cala luzu.

- To są wasze prycze - oznajmił sierżant wyglądający na łajdaka, wskazując na prycze z uśmiechem i odsłaniając przy tym rząd przegniłych zębów, typowych dla pijaka pochłaniającego spore ilości rumu. - Wy tu, na górę, pierwsza prycza od przepierzenia i podajcie mi swoje nazwiska i numery. Kapral Flannery jest Irlandczykiem i potrafi pisać. A teraz uwaga!

- Richard Morgan, numer dwieście trzy - powiedział Richard, postawił stopę na niższej półce, po czym wdrapał się wraz ze swym dobytkiem na górną pryczę, a pozostała piątka za nim - nadal byli złączeni łańcuchem. Szóstka Ike'a została oddelegowana na przyległe „łóżko”, oddzielone od nich cienkimi deskami pośrodku belki biegnącej od bakburty do sterburty kadłuba. Stanleya, Mikeya Dennisona oraz czwórkę późniejszych przybyszów z Bristolu umieszczono na pryczy poniżej, a pod Ikiem znalazło się sześciu ludzi z północnych obszarów kraju, włącznie z dwoma marynarzami z Hull, Williamem Dringiem i Joe Robinsonem.

- Przytulnie tu - zauważył Bill Whiting, śmiejąc się raczej głucho. - Zawsze pragnąłem się z tobą przespać, Richardzie, ty moje kochanie!

- Zamknij się, Bill! Na pokładzie jest wystarczająco dużo owiec.

Sześciu mężczyzn wcisnęło się na pryczę o długości zaledwie dziesięciu stóp, szeroką na sześć stóp, nad którą było tylko dwadzieścia siedem cali wolnej przestrzeni. Jeśli nie leżeli, mogli jedynie siedzieć zgarbieni niczym karły i w tej pozycji każdy z nich usiłował sobie poradzić z narastającą rozpaczą. Skrzynki i worki również zajmowały miejsce, którego i tak było tu niewiele. Jimmy Price rozplakał się, na sąsiedniej pryczy zawodzili Joey Long i Willy Wilton. „O Boże, cóż nam pozostało?”

Naprzeciw stojących pośrodku trzech stołów i sześciu ław znajdował się drugi podwójny rząd półek po stronie sterburty, lecz nawet wyciąganie szyi nie pozwalało dojrzeć w ciemności, jak duże jest to pomieszczenie, ani też jak ono wygląda. Na środkowy stół opadał nieomal nieustanny strumień skutych łańcuchami mężczyzn, a potem stłaczano ich w przejściu i wpychano na prycze. Kiedy upchnięto już sześć z jedenastu grup na prycze po stronie bakburty, sierżant Knight zaczął kierować mężczyzn w stronę sterburty, zapelniając również te prycze, poczynawszy od przepierzenia przy rufie - na górę, na górę, na dół, na dół.

Otrząsnąwszy się po pierwszym szoku, Richard zebrał w sobie siłę do działania. Jeśli

on tego nie robi, wszyscy zaleją się łzami, a na to przecież nie mógł pozwolić.

- W porządku, najpierw zajmijmy się naszymi kuframi - oznajmił krótko. - Na razie postawimy je pionowo, oparte o kadłub. Pomiędzy nimi wystarczy miejsca akurat na nasze stopy. Na szczęście włożyliśmy do nich twarde przedmioty i dobrze, że przynajmniej jedną torbę wypchałem szmatami, gdyż ten miękki worek posłuży nam za poduszkę - Pomacał szorstką słomiankę pod sobą i wzdrygnął się. - Jeszcze nie przydzielili nam koców, ale możemy się do siebie przysunąć, żeby było nam cieplej. Jimmy, proszę cię, przestań. Łzy nic tu nie pomogą. - Przyjrzał się belce, przy której znajdowało się przepierzenie dzielące ich od pryczy Ike'a. - Ta belka zdoła unieść dodatkowe ciężary, jak tylko zdobędę śrubokręt i jakieś haki. Nie martwcie się, damy sobie radę.

- Ja chcę mieć głowę przy ścianie - powiedział Jimmy, pochlipując.

- O nie, wykluczone - zaproponował Will Connelly stanowczo. - Położymy głowy tam, gdzie będziemy mogli je wystawić poza pryczę, żeby móc rzygać. Nie zapominaj, że wypływamy na morze i przez jakiś czas będziemy ciągle rzygali.

Bill Whiting zdobył się nawet na śmiech.

- Pomyślcie tylko, jakie mamy szczęście. Możemy rzygać na tych pod nami, a oni nie mogą rzygać na nas.

- Trafne spostrzeżenie - przyznał Neddy Perrott i wychylił głowę. - Hej, Tommy Crowder!

Ukazała się głowa Crowdera.

- Czego tam?

- Możemy stąd na was rzygać.

- Tylko spróbuj, to ci osobiście wpierdołę.

- W rzeczy samej - powiedział Richard wesoło, przerywając tę wymianę zdań. - Na tej belce jest jeszcze sporo miejsca, aż do samych pryczy sterburty. Może więc uda nam się zbić półkę po którejś stronie, tak aby umieścić na niej zapasowe rzeczy. Może nawet nasze kufry, a już z całą pewnością torby z książkami i zapasowe okapniki. Ten sierżant Knight wygląda na takiego, który nie odmówiłby dodatkowej pół kwarty rumu, więc może nie poskąpi nam prezentu z dodatkowych desek, podpórek i liny do wiązania. Damy sobie radę, chłopcy.

- Masz rację, Richardzie - powiedział Ike, wystawiając głowę zza przepierzenia. - To lepsze od stryczka.

- Zgadza się, że szubieniczny sznur jest ostatecznością. To nie potrwa wiecznie - stwierdził Richard zadowolony, że Ike i jego chłopcy też go słyszeli.

W więzieniu panowała nieomal idealna ciemność, jedyne światło pochodziło z otwartego włazu na pokładzie powyżej. A smród był potworny - stara zgnilizna, będąca mieszaniną zepsutego mięsa, gnijących ryb i rozkładających się odchodów. W końcu zamknięto luk żelazną kratą, która przepuszczała trochę światła, i otworzono właz z przodu pomieszczenia. Z miejsca, w którym leżeli ściśnięci, to dodatkowe źródło światła nadal nie pozwalało im się zorientować, jakie właściwie było to ich więzienie. Cały czas napływał strumień skazańców; ściszone głosy, jakby słabsze, wielu płakało, paru zaczęło krzyczeć i zostało nagle uciszonych - czym i przez kogo, szóstka na pryczy Richarda nie miała pojęcia. Wiedzieli tylko, że wszyscy tutaj czują się tak samo.

- Boże! - dobiegł go głos Willa Connelly'ego, z nutą nieukrywanej rozpacz. - W takich ciemnościach nie można czytać. Ja tu oszaleję, oszaleję!

- Nie, nie oszalejesz - odpowiedział mu Richard stanowczo. - Jak tylko zdołamy się tu zadomowić i upchamy odpowiednio nasze rzeczy, pomyślimy, co moglibyśmy zrobić, używając jedyńskich instrumentów, jakie nam pozostały - naszych głosów. Taffy i ja umiemy śpiewać i jestem pewien, że inni też. Zorganizujemy chór. Możemy zabawiać się zagadkami i rebusami, opowiadać różne historie i żarty. - Kazał swoim ludziom zamienić się miejscami i usiadł tuż przy przepierzeniu Ike'a. - Posłuchajcie mnie wszyscy, którzy możecie. Nauczymy się spędzać czas w sposób, o jakim nam się nawet nie marzyło, i nie oszalejemy. Nasze nosy przyzwyczajają się do tego zapachu i wyostri się nam wzrok. Jeśli oszalejemy, to oni będą górą, a ja nie mam zamiaru na to pozwolić. To my zwyciężymy.

Przez długi czas nikt się nie odzywał, ale też nikt nie płakał. „Wytrwają” - pomyślał Richard. - „Wytrwają”.

Dwóch innych żołnierzy zeszło z góry przez przedni właz, aby ściągnąć im z bioder żelazne obręcze i łączący ich wszystkich łańcuch, choć pozostawili kajdanki. Mogąc się teraz swobodnie poruszać, Richard zszedł z pryczy, aby zobaczyć, gdzie znajdowały się wiadra pełniące funkcję nocników. Ile ich było? Jak długo będą w użyciu pomiędzy opróżnieniami?

- Pod naszą pryczą - wyjaśnił Thomas Crowder. - Wydaje mi się, że na każdą szóstkę mężczyzn przypada jedno. W każdym razie pod naszym łóżkiem stoją dwa. Łóżkiem! Cóż to za boskie określenie przedmiotu, z wynalezienia którego nawet Prokrust byłby dumny.

- Jesteś wykształcony - zauważył Richard, przysiadłszy na brzegu dolnej pryczy i wyprostowawszy z westchnieniem nogi.

- Aha. I Aaron również. On jest bristolczykiem, ale ja nie. Zostałem jedynie... hmm... jak by to powiedzieć - złapany w Bristolu po ucieczce z „Merkurego”, to wszystko. Prowadziłem różne brzydkie interesy. Nasz kompan, Aaron, również był w to zamieszany.

Próbowaliśmy przekupstwa - w Londynie by się to udało, ale nie w Bristolu. Za dużo tam kwaków i innych gaduł.

- Jesteś londyńczykiem.

- A ty, sądząc po akcencie, bristolczykiem. Znam Connelly'ego, Perrotta, Wiltona i Hollistera, ale ciebie, bracie, nigdy nie widziałem w bristolskim Newgate.

- Nazywam się Richard Morgan i pochodzę z Bristolu, jednak byłem sądzony i skazany w Gloucester.

- Słuchałem tego, co powiedziałeś na temat spędzania czasu. Jeśli nie będzie tu dość światła, aby można było grać w karty, to też będziemy to robić - westchnął Crowder. - A mnie się wydawało, że to „Merkury” był szatańską łajbą! Richardzie, ciężko będzie wytrzymać na „Alexandrze”.

- A co, spodziewałeś się, że będzie inaczej? Te statki wybudowano do przewozu niewolników i wątpię, czy ładowali ich tu o wiele więcej niż nas. Dobrze, że mamy te trzy długie stoły, więc przypuszczam, że będą nas karmić na siedząco.

Crowder pokręcił nosem.

- Ach, ci wojskowi kucharze!

- Nie spodziewałeś się chyba kucharza z „Zajazdu pod Wieżą”? - Richard wdrapał się na górę, aby podzielić się wiadomościami o kubłach, i wyciągnął swój okapnik. - Tutaj jeszcze skrupulatniej powinniśmy filtrować wodę, choć nie musimy się już bać o to, że ktoś się tu wedrze i ukradnie nasze rzeczy. - Jego białe zęby błysnęły w uśmiechu. - siałeś rację co do Crowdera i Davisa, Neddy, to prawdziwi złoczyńcy.

Przy świetle lamp nakarmiło ich dwóch zgryźliwych żołnierzy, którzy sprawiali wrażenie wyjątkowych zrzęd. Choć każdy ze stołów miał około czterdziestu stóp długości i znajdowało się tam w sumie sześć wąskich ław, mężczyźni siedzieli przy stołach ściśnięci i, licząc głowy Richard doszedł do wniosku, że szóstego stycznia 1787 roku na pokład „Alexandra” weszło około stu osiemdziesięciu ludzi. A zatem o trzydziesto mniej od liczby wspomnianej przez porucznika Shairpa. Nie wszyscy byli z „Ceresu”, paru przybyło z „Centaura” i trochę więcej z „Justitii”, choć nie wszyscy z „Justitii” byli w stanie zwlec się na dół do stołu. Szerzyła się wśród nich jakaś choroba, która cechowała się niską gorączką i bólem kości. Nie była to zatem więzienna gorączka, choć i ta z pewnością występowała, była bowiem wszechobecna.

Każdemu przydzielono drewnianą miszkę, cynową łyżkę i czerpak, który z łatwością mieścił dwie kwarty. Dwie kwarty wynosiła też dzienna racja wody na głowę. Jedzenie składało się z bardzo twardego, ciemnego chleba i małego kawałka gotowanej, solonej

wołowiny. Tym, którzy mieli słabe zęby, bynajmniej nie było łatwo - próbowali połamać chleb łyżkami, które krzywiły się i wyginały.

Siedzenie w pobliżu tylnego włazu w więzieniu miało pewne zalety. „Teraz - postanowił Richard - zaryzykuję chłostę, wstając i proponując tym młodym żołnierzom pomoc w wykonaniu zadania, na którym w ogóle się nie znają”.

- Czy mógłbym wam pomóc? - zapytał, uśmiechając się z szacunkiem. - Niegdyś byłem karczmarzem.

Na nadaśanej twarzy żołnierza stojącego najbliżej pojawił się wyraz zaskoczenia, lecz na chwilę rozjaśniła się w przyjemnym uśmiechu.

- To byłoby nawet mile widziane. Z całą pewnością dwóch do nakarmienia blisko dwustu ludzi to za mało.

Przez jakiś czas Richard rozdawał miski i czerpaki w milczeniu, ustalwszy najpierw plan działania pomiędzy sobą a młodzieńcem, do którego się zwrócił, i jego równie młodym towarzyszem.

- Dlaczego żołnierze wydają się tu tacy niezadowoleni? - zapytał potem przyciszonym głosem.

- Chodzi o nasze pomieszczenia - znajdują się jeszcze niżej od waszych i są tak samo przeludnione. I wcale nie jemy lepiej od was. Twardy chleb i solona wołowina. Tyle tylko - przyznał uczciwie - ze dostajemy mąkę i pół kwarty nadającego się do picia rumu.

- No ale wy przecież nie jesteście skazańcami!

- Na tym statku - burknął opryskliwie drugi żołnierz - nie ma wielkiej różnicy między skazańcami a żołnierzami. Marynarzy zakwaterowano tam, gdzie powinno być miejsce dla nas. Jedyne światło i powietrze, jakie do nas dochodzi, przedostaje się przez właz w podłodze pod ich pokładem. Oni siedzą na rufie za przepierzeniem pomieszczenia dla młodszych oficerów, podczas gdy my jesteśmy tu na dole w ładowni. „Alexander” jest rzekomo dwupokładowcem, lecz nie mówi się o tym, że ten drugi pokład służy za ładownię, bo „Alexander” wiezie sporo towarów i nie posiada odpowiedniej ładowni.

- To statek do przewozu niewolników - zauważył Richard - więc niepotrzebna tu prawdziwa ładownia. Jego kapitan przywykł do składowania twardego towaru na dolnym pokładzie, a Murzynów tu, gdzie jesteśmy my, załoga zaś zajmuje pomieszczenie przy rufie. Dlatego też brak tu pokładu dziobowego dla załogi. Nadbudówka należy do kapitana. - Przybrał minę współczującej ciekawości. - Rozumiem, że waszych oficerów umieścił w przybudówce.

- A i owszem, w szpiarni i bez dostępu do jego kuchni, i wobec tego nasi oficerowie

muszą stołować się z nami - wyjaśnił ten, który rozdzielał soloną wołowinę i chleb.

- Nie wolno im nawet używać głównej kabiny, którą zatrzymał dla siebie i swego zastępcy, bardzo możnego pana. Jeszcze nigdy nie byłem na takim statku. Ale z drugiej strony, jest to pierwszy statek nie należący do floty, na którym pracuję.

- Znajdziecie się pod powierzchnią wody, kiedy wniosą na statek cały ładunek - zauważył w zamyśleniu Richard. - Będzie musiał nieść niezwykle duży ciężar, jeśli zawarto umowę na przewóz towaru skazańców. Przypuszczam, że musi pomieścić prawie dwadzieścia tysięcy galonów samej wody, jeśli odstęp między zawijaniem do portów będą wynosiły dwa miesiące.

- Jak na karczmarza, nieźle znasz się na statkach - zauważył młodzieniec rozdzielający wodę.

- Pochodzę z Bristolu, gdzie statki są ważne. Jestem Richard. A mogę wiedzieć, jak się nazywacie?

- Ja jestem Davy Evans, a to jest Tommy Green - odpowiedział rozdzielający przydziały wody. - Tutaj nie jesteśmy w stanie zmienić naszej sytuacji, ale kiedy dotrzemy do Portsmouth w przyszłym tygodniu, wszystko się zmieni. Major Ross wkrótce zrobi porządek z kapitanem Duncanem Sinclairem.

- Ach tak, to komendant piechoty morskiej i zarazem zastępca gubernatora.

- A skąd ty to wiesz?

- Od przyjaciela.

„Tyle spraw wyjaśniło się zatem” - myślał Richard, filtrując wodę. - „Właściciele złapali ofertę, sfałszowali parę szczegółów dotyczących historii »Alexandra« i po prostu zignorowali fakt, że będzie musiał pomieścić nie tylko skazańców, ale i żołnierzy. Tamci chłopcy mają rację - kontrahenci nie widzą większej różnicy pomiędzy skazańcami a żołnierzami. A zatem w przyszłym tygodniu ruszamy do Portsmouth i kapitan o nazwisku Duncan Sinclair z pewnością jest Szkotem, tak samo jak Robert Ross, komendant piechoty morskiej. Konfrontacja pomiędzy nimi będzie potworna. Jeśli dobrze pamiętam Newtona, gwałtowna siła zderzy się z nieruchomym przedmiotem”.

„Alexander” nie wypłynął do Portsmouth tego tygodnia ani też następnego, ani nawet jeszcze tydzień później, tylko stał na kotwicy na Tamizie. Dopiero dziesiątego stycznia ruszył przy akompaniamencie jęków i skomlenia tych, którzy spodziewali się, że zapadną na chorobę morską, ale dopłynęli jedynie do Tilbury, i to dzięki linie holowniczej ze statku pomocniczego. Nadal znajdowali się na dobrze osłoniętych wodach Tamizy, prawie się nie

kołyszac.

Do tego czasu na pokładzie znajdowało się już stu dziewięćdziesięciu skazańców, choć dwóch spośród nich zmarło i porucznik Shairp kazał przeznaczyć górny rząd środkowych pryczy przed stołami na miejsce dla chorych, próbując w ten sposób powstrzymać groźbę wybuchu epidemii. Owa liczba stu dziewięćdziesięciu więźniów malała jednego dnia o jedną osobę, to znów następnego dnia powiększała się o dwie, więc nawet ludzie tak skrupulatni jak Richard, doszedłszy do dwustu, przestali w końcu liczyć.

Konieczność noszenia kajdanków była największą niedogodnością lecz sierżant Knight (choć nadzwyczaj usłużny, jeśli chodziło o dostarczenie desek, podpórek i wszystkiego, co mogłoby być im potrzebne, w zamian za pieniądze na rum - a ludzie Richarda bynajmniej nie byli jedynymi, którzy wykorzystywali tę drobną słabostkę sierżanta - odmówił usunięcia tych irytujących ograniczeń. W końcu niezadowolenie więźniów osiągnęło punkt kulminacyjny i przeobraziło się w głośną i przerażającą demonstrację gniewu z powodu zwolnienia jednego człowieka, któremu darowano winy. Zaczęło się od szaleńczego, nieustannego łomotania, krzyków i tupania. Kiedy żołnierze zeszli na dół, aby wydać żywność i wodę, zostali zmuszeni do użycia siły, ustawienia rozrutowego działka na brzegu luku i otoczenia go muszkietami. Dopiero wówczas zorientowali się, jak niewielu ich było do opanowana dwustu rozwścieczonych mężczyzn.

Jako że statek ten należał do niego, kapitan Duncan Sinclair rozkazał na stałe ściągnąć więźniom kajdanki i pozwolił, aby codziennie dwunastkami przechadzali się parę minut po pokładzie. A ponieważ każdy zbiegły skazaniec kosztowałby go czterdzieści funtów z własnej kieszeni, Sinclair rozkazał, aby żołnierze i część załogi wzięła okrętowe łodzie i wiosłowała nieustannie wokół „Alexandra”.

Te parę minut na pokładzie to były jedne z najwspanialszych chwil, jakich Richard doświadczył w życiu. Okowy na stopach wydawały mu się wówczas lekkie jak piórka, a mroźne powietrze pachniało piękniej niż wonne laki i fiołki. Nabrzmiąta rzeka przypominała wstążki ciekłego srebra, a widok baraszkujących zuchwale zwierząt sprawiał mu większą przyjemność aniżeli wdzięki Annemarie Latour. Wydawało się, że przynajmniej połowa żołnierzy i część załogi posiadała co najmniej jednego psa - były wśród nich wątrobianego koloru ogary, buldogi o pokaźnych podgardlach, głupiutkie spaniele, teriery i całe mnóstwo kundlów. Ogromny rudy kot miał szylkretowej barwy towarzyszkę i sześć kociąt, a większość owiec i świń była brzemienna. Kaczki i gęsi wędrowały swobodnie, lecz kurczaki trzymano zamknięte w kurniku w pobliżu kuchni załogi.

Po pierwszym takim spacerze cuchnące więzienie zdawało się bardziej znośne i

Richard nie był jedynym, który odniósł takie wrażenie. Demonstracje ustały, gdy tylko zdjęto im z rąk kajdanki i zagwarantowano przywilej wychodzenia na pokład.

W trakcie swego trzeciego spaceru Richard ujrzał w końcu kapitana Duncana Sinclaira i przyglądał mu się z zaskoczeniem. Był potwornie gruby! Tak otyły, iż z całą pewnością wszystkie jego przyjemności musiały ograniczać się dojadła - i czy był w stanie celnie sikać, skoro chyba nie mógł nawet sięgnąć rękami do swego penisa? Udając pokorę - tak jakby słowo „ucieczka” w ogóle nie istniało w jego słowniku - Richard przeszedł, pobrzękując łańcuchami, przez pokład, tak aby zawrócić od strony bakburty w kierunku sterburty poniżej nadbudówki, na której stał kapitan Sinclair. Przez moment wzrok jego napotkał wyjątkowo przebiegłą parę oczu, skłonił więc głowę z szacunkiem i odszedł „Mimo otyłości nie jest to wcale baryłka smalcu... Jest może leniwy aż do zupełnego bezruchu, lecz jeśli diabeł pochwyli za lejce i zacznie powozić, to mogę się założyć, że potrafi sprostać takiemu wyzwaniu. Jakaż to będzie rozróżba w Portsmouth, gdy on pokłóci się z komendantem piechoty morskiej o to, gdzie kontyngent żołnierzy ma zawiesić swoje hamaki! Jaka szkoda, że nigdy się nie dowiem, co między nimi zaszło, chociaż z pewnością usłyszę o skutkach tego starcia. Davy Evans i Tommy Green będą umierać z niecierpliwości, żeby mi o tym powiedzieć”.

Pod koniec stycznia kolejne dwa statki zarzuciły kotwicę przy forcie w Tilbury, jeden trochę za duży sześcioliniowiec i zgrabnie prezentująca się korweta. Podczas spaceru po pokładzie Richard podszedł prosto do nadburcia przy dziobie statku i przypatrywał się im uważnie - pogłoski o ich przybyciu rozeszły się już po całym więzieniu. Za wspólnym porozumieniem Richard oraz jego pięciu towarzyszy rozeszli się zaraz po wejściu na pokład, korzystając z tej krótkiej okazji uwolnienia się od przebywania tak blisko siebie. Ponieważ nikt jeszcze nie próbował ucieczki, żołnierze traktowali swą dozorującą służbę bardziej swobodnie - pod warunkiem że skazańcy zachowywali się cicho i spokojnie oraz że nikt im się nie naprzykrzał. I tak oto Richard stał samotnie z rękami opartymi na nadburciu, spoglądając przed siebie. Nie miał pojęcia, że był jedynym z całego tego ludzkiego ładunku, którego bystre oczy kogoś z załogi uznały za interesującego.

- To nasza eskorta do zatoki Botany - odezwał się jakiś głos tuż przy jego uchu. Całkiem przyjemny głos, posiadający wiele uroku.

Richard odwrócił głowę i zobaczył mężczyznę, którego pokazano mu kiedyś jako czwartego oficera na „Alexandrze”. W tak długim rejsie na statku potrzebna była duża załoga, stąd też czterech oficerów i cztery wachty. Wysoki, smukły, niektórzy mogliby uznać go za bardzo urodziwego, i podobny do Richarda - o ciemnych włosach, jasnych oczach i

kruczożarnych rżęsach. Jego oczy były modre jak bławatki i wesołe.

- Jestem Stephen Donovan z Belfastu - powiedział.

- Richard Morgan z Bristolu. - Odsuwając się trochę od pana Donovana, aby nie wyglądało to tak, jakby się zeszli na rozmowę, Richard uśmiechnął się. - A co może mi pan o nich powiedzieć, panie Donovan?

- Ten duży to „Berwick”. Jest starym okrętem zaopatrzeniowym floty - Wyremontowano go i przerobiono na statek liniowy, i został przemianowany na „Siriusa”, jest to bowiem południowa gwiazda pierwszorzędnej wielkości. W ramach uzbrojenia wyposażono go w sześć armatek i cztery działa sześciofuntowe, a słyszałem, że gubernator Phillip odmawia wyruszenia w drogę z mniejszą liczbą działek aniżeli cztery. I wcale się mu nie dziwię, jeśli wziąć pod uwagę, że „Alexander” ma cztery działa dwunastofuntowe oraz jedno rozrzutowe.

- „Alexander” - powiedział Richard z naciskiem - jest nie tylko bristolskim statkiem do przewozu niewolników, bo niegdyś był okrętem korsarskim z szesnastoma dwunastofuntowymi działami. Nawet tymi czterema zdołałby pokonać większość z tych, którzy próbowaliby go wziąć - to znaczy, jeśli zdołaliby go doścignąć. Przy pomyślnych wiatrach może pokonać nieomal dwieście mil morskich dziennie.

- Lubię bristolczyków - odparł Donovan. - Jesteś marynarzem?

- Nie, karczmarzem.

Żywe niebieskie oczy przyglądały się przyjaźnie twarzy Richarda.

- Jeszcze nigdy nie widziałem takiego karczmarza jak ty. Mając świadomość tych awansów, Richard udał zupełną ignorancję.

- To rodzinne - odpowiedział swobodnie. - Mój ojciec również był karczmarzem.

- Znam Bristol. Która to tawerna?

- „Pod Bednarzem”, przy Broad Street. Jest nadal w posiadaniu ojca.

- Podczas gdy jego syn płynie do zatoki Botany. Ciekaw jestem za co? Nie robisz wrażenia pijaka i masz wykształcenie. Czy na pewno jesteś tylko zwykłym karczmarzem?

- Absolutnie. Niech mi pan powie coś więcej o tamtych statkach.

- „Sirius” ma około sześciu ton wyporności, może trochę mniej, i przewozi głównie ludzi - żony żołnierzy i tak dalej. Ma własnego kapitana, niejakiego Johna Huntera, który w tej chwili sam nim zarządza. Phillip jest teraz w Londynie, walczy tam z Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i dworem. Słyszałem, że chirurg na nim jest synem doktora muzyki i zabrał ze sobą pianino. Tak, „Sirius” to niezła łajba, choć trochę powolna.

- A ta korweta?

- To statek dostawczy, leciwy, można by powiedzieć pod trzydziestkę, już od dawna nie pierwszej młodości. Kapitanem jest porucznik Harry Ball. Będzie to bardzo trudny rejs dla tego statku - jeszcze nigdy nie był dalej na Tamizie aniżeli w Plymouth.

- Dziękuję panu za te informacje, panie Donovan. - Richard wyprostował się i zasalutował po marynarzku, zanim pokuśtykał dalej.

„I oto mężczyzna, który kocha życie na morzu, lecz nigdy nie zostaje na tym samym statku na dłużej niż na okres dwóch rejsów. Miłości przychodzą i odchodzą w przypadku Stephena Donovana, który jest poślubiony jedynie morzu”.

Znalazłszy się z powrotem w ciemnościach więzienia, Richard zdał relację z informacji uzyskanych na temat ich morskiej eskorty.

- Przypuszczam zatem, że lada dzień wyruszymy, przynajmniej do Portsmouth.

Ike Rogers miał do przekazania swoje wieści.

- W zatoce Botany dostaniemy kobiety - oznajmił z ogromną satysfakcją. - „Lady Penrhyn” wiezie wyłącznie kobiety - mówią że około setki.

- Dla każdego faceta na „Alexandrze” po połowie - stwierdził Bill Whiting. - Jak znam życie, mnie dostanie się ta połówka, co gada, więc myślę, że najlepiej będzie, jak pozostanę przy owcach.

- Jeszcze więcej kobiet płynie na „Dunkirku” z Plymouth.

- Wraz z dodatkowymi owcami i może nawet jedną jałówką, co, Taffy?

Pierwszego lutego cztery statki odpłynęły wreszcie z dwudziestoczworgodzinnym opóźnieniem, wynikłym ze sporów o płacę marynarzy z marynarki handlowej, co było częstym zjawiskiem.

Pokonanie sześćdziesięciu mil do Margate Sands zajęło im cztery dni spokojnego żeglowania. Nie dotarli nawet do North Foreland w cieśninie Dover, a już kilku ludzi zapadło na chorobę morską. Na pryczy Richarda wszystko było w porządku, lecz Ike Rogers rozchorował się, gdy tylko „Alexander” poczuł najdrobniejszy ruch morza i cierpiał jeszcze parę godzin po zarzuceniu kotwicy w Margate.

- To dziwne - zauważył Richard, podając mu trochę przefiltrowanej wody do picia. - Wydawało mi się, że taki jeździec jak ty nie powinien nawet okiem mrugnąć na morzu. Przecież jazda konna to też nieustanny ruch.

- Ale z góry na dół, a nie z boku na bok - szepnął Ike, wdzięczny za wodę, gdyż tylko tyle był w stanie zatrzymać w żołądku. - O Chryste Panie, Richardzie, ja umrę.

- Bzdura! Choroba morską mija, trwa tylko dopóty, dopóki nie nauczysz się chodzić

po statku jak marynarz.

- Wątpię, czy kiedykolwiek się tego nauczę. Przypuszczam, że to dlatego, że nie jestem bristolczykiem.

- Jest wielu bristolczyków takich jak ja, którzy nigdy nie postawili nogi na pływającym statku. Nie mam pojęcia, co będzie ze mną, jak wypłyniemy na pełne morze. A teraz spróbuj tej papki. Namoczyłem trochę chleba w wodzie. Nie zwymiotujesz tego, przyrzekam - zachęcał go Richard.

Ike jednak odwrócił tylko głowę.

Neddy Perrott doszedł do porozumienia z Crowderem i Davisem z niższej przyczyny - w zamian za głośne ostrzeżenie, że ktoś z góry zamierzał rzygać, William Stanley z Seend i Mikey Dennison mieli być oddelegowani do czyszczenia brudów z pokładu i wypróżniania kubłów po nocy. Pod przepierzeniem rufy, przy obu przejściach, znajdowała się dwustugalonowa beczka pełna morskiej wody, w której więźniowie mogli się myć, prać swoje rzeczy i używać jej do sprzątania pomieszczeń. Szokiem było odkrycie, że zawartość wiader po nocy musiała być wypróżniana do wyłożonych ołowiem otworów, które przebiegały wzdłuż pomostu na samym dnie, wzdłuż kadłubów bakburty i sterburty, stamtąd zaś odprowadzana była do odrębnych ścieków, które miały być codziennie usuwane za pomocą dwóch pomp ściekowych. Jednakże ci, którzy mieli jakiegokolwiek doświadczenie ze statkami, tak jak Mikey Dennison, przysięgali, że zęza ściekowa na „Alexandrze” była najohydniejsza ze wszystkich, jakie w życiu widzieli.

W styczniu musieli posługiwać się drugim wiadrem do splukiwania odchodów do rur ściekowych, co oznaczało, że nie mieli niczego większego od dwukwartowego czerpaka do mycia. W trakcie inspekcji w Margate porucznik Shairp, oburzony warunkami panującymi w więzieniu, wydał rozkaz przydzielenia dodatkowego wiadra na każdą przyczę oraz dostarczył miotły i szczotki do szorowania. Oznaczało to, że jedno wiadro było na odchody i do czyszczenia pokładu, a drugie do mycia się i prania ubrań.

- To jednak nie rozwiązuje problemu ze ściekami - zauważył Mikey Dennison. - A to źle.

Dring i Robinson z Hull przyznali mu rację.

Kiedy na zewnątrz świeciło słońce, parę słabych promieni przedostawało się przez żelazne kraty zamykające luki. Jednak porucznik Shairp stwierdził, że na morzu nikomu pod żadnym pozorem nie będzie wolno wyjść na pokład. Oznaczało to, że tej zimy dwustu mężczyzn w więzieniu na „Alexandrze” siedziało o wiele dłużej w zupełnych ciemnościach aniżeli w przynoszącym ukojenie szarawym półmroku, choć żeglowanie pomagało przetrwać

tę monotonię. Przechylając się przy większej fali, kiedy mijali Dover i Folkestone, okrążyli Dungeness na Kanale Angielskim. Przez jeden dzień Richard odczuwał mdłości, a dwukrotnie nawet próbował wymiotować, później jednak doszedł do siebie, czując się wyjątkowo dobrze, jak na kogoś, kto przez miesiąc nie jadł niczego oprócz twardego chleba i solonej wołowiny. Bill i Jimmy chorowali najbardziej, Will i Neddy byli odrobinę bardziej zieleni od Richarda, podczas gdy Taffy popadł w coś w rodzaju walijskiej ekstazy, bo choć nadal nie było nic do roboty, przynajmniej posuwali się naprzód.

Stan Ike'a Rogersa nieustannie się pogarszał. Jego chłopcy opiekowali się nim z oddaniem, Joey Long z największą gorliwością z nich wszystkich, jednak wyglądało na to, że nic nie pomoże rozłożonemu na łopatki rozbójnikowi z gościńców pochwyć rytmu marynarskiego chodu.

- Właśnie minęliśmy Eastbourne, następne będzie Brighton - wyjaśnił Richardowi żołnierz Davy Evans, kiedy upływał trzeci tydzień na morzu.

Dwunastego lutego skazańcy zaczęli umierać na nieznaną chorobę, której towarzyszyły dziwne objawy.

Zaczynało się gorączką, ciekącym nosem i bólem poniżej jednego ucha, następnie puchło podgardle z jednej strony, dokładnie tak samo jak wówczas, gdy dziecko łapie świnkę. Nie wpływało to w żaden sposób na możliwość przełykania i oddychania, lecz powodowało silny ból tej wrażliwej na dotyk opuchlizny. W miarę jak zaczynała zanikać, jeszcze gorszy obrzęk tworzył się po drugiej stronie twarzy. Pod koniec dwóch tygodni i on się cofał, twarz powracała do normalnego wyglądu, a chory czuł się lepiej. Wtedy jednak zaczynały mu puchnąć jądra, których normalna wielkość zwiększała się cztero - lub nawet pięciokrotnie, co było tak bolesne, że żaden z chorych nawet nie rzucał się i nie krzyczał, tylko leżeli nieruchomo na tyle, na ile było to możliwe, i jęczeli w miarę wzrostu gorączki, tym razem jeszcze wyższej niż uprzednio. Mniej więcej tydzień później niektórzy wracali do zdrowia, a inni umierali w potwornych męczarniach.

Nareszcie Portsmouth! Dwudziestego drugiego lutego cztery okręty zakotwiczyły przy Mother Bank w odległości krótkiej przejażdżki szalupą od brzegu. Do tego dnia potworna choroba zaczęła szerzyć się również wśród żołnierzy i zapadł na nią także jeden z marynarzy. Z całą pewnością nie była to gorączka więzienna, złośliwy ropień okołomigdałkowy, tyfus, szkarlatyna czy ospa. Zaczęto szeptać, że to Czarna Śmierć - bo czyż nie ona wywoływała taką ohydłą dymienicę?

Trzech członków załogi zdezerterowało, gdy tylko zdołali wybłągać podwiezienie łodzią na brzeg, a żołnierze byli tak przerażeni, że porucznik Shairp natychmiast udał się na

poszukiwanie swoich przełożonych, majora Rossa i porucznika Johna Johnstone'a z trzydziestej dziewiątej kompanii piechoty morskiej stacjonującej w Plymouth. Trzech żołnierzy wysłano do szpitala, ale jeszcze więcej pośród nich zaczęło chorować.

Nazajutrz porucznik John Johnstone - następny Szkot - wkroczył na pokład w towarzystwie doktora z Portsmouth, który tylko spojrział na ofiary i wycofał się pośpiesznie z chusteczką przyłożoną do twarzy. Natychmiast wysłał wielu żołnierzy do szpitala i oświadczył, że jego zdaniem choroba ta jest równie złośliwa jak nieuleczalna. Nie użył słowa „dżuma”, lecz to przemilczenie sprawiło jedynie, że potwierdził swą diagnozę. Mógł jedynie zalecić, aby natychmiast podano wszystkim na statku świeże mięso i jarzyny.

„To tak jak w więzieniu w Gloucester” - pomyślał Richard. - „Gdy tylko trzymano tam więcej ludzi, aniżeli więzienie mogło pomieścić, natychmiast pojawiała się jakaś choroba, aby przetrzebić stado. Tak samo dzieje się tutaj.

- Będziemy zdrowi, jeśli pozostaniemy tu, gdzie jesteśmy, ograniczymy nasze ćwiczenia do pokładu, który wymyśliśmy, oraz będziemy przecierać nasze miski i czerpaki olejem smołowym, filtrować wodę i zaczniemy jeść po łyżce ekstraktu słodowego. Ta choroba przyszła na pokład z „Justitii”, jestem tego pewien, a to oznacza, że jest zakaźna.

Tego wieczoru jedli jak zwykle twardy chleb i gotowaną wołowinę, ale tym razem była świeża, a nie solona, a wraz z nią podano garnek gotowanej kapusty z porami. Smakowało to jak ambrozja.

Potem zapomniano o nich, jak również o rozkazie dostawy świeżej żywności. Nikt nie zbliżał się do nich, poza dwoma przerażonymi młodymi żołnierzami - Davy'ego Evansa i Tommy'ego Greena już nie było - oddelegowanymi do karmienia ich soloną wołowiną i suchym chlebem. Mijały dni w posępnej, pełnej zamyślenia ciszy, przerywanej jedynie jękiem chorych i niekiedy krótką rozmową. Luty przeszedł w marzec, a marzec ciągnął się w nieskończoność, chorzy umierali nadal i zostawiano ich po prostu tam, gdzie umarli.

Kiedy w końcu ktoś otworzył przedni właz, nie zrobił tego bynajmniej w celu usunięcia ciał, ale wręcz przeciwnie, do mroźnego i cuchnącego więzienia wepchnięto dwudziesto pięciu nowych skazańców.

- O Chryste, ja pierdołę! - rozległ się głos Johna Powera. - Co ci pierdoleni smarkacze robią? Tutaj szaleje choroba, a oni znowu zapychają nas do pełna. O Chryste Panie, o Chryste, o Chryste!

„Ten John Power to interesujący człowiek - pomyślał Richard.

Rządzi na przodzie, żargonowy chłopak z Old Bailey i londyńskiego Newgate, który zazwyczaj mówi potoczną angielszczyzną. Teraz ma pod sobą nie tylko szpital, ale również

nowy oddział więźniów, biedaczysko. „Alexander” przetrzebił nas do stu osiemdziesięciu pięciu a teraz znowu jest nas dwustu dziesięciu”.

Do trzynastego marca zmarło następnych czterech mężczyzn. Sześć ciał leżało już na szpitalnych pryczach, kilka z nich ponad tydzień. Nikogo nie można było namówić, żeby zszedł na dół i ich dotknął - do tej pory wiadomo było powszechnie, iż chorobą tą była dżuma.

Trzynastego marca, zaraz po wschodzie słońca, otworzono przedni właz i grupa żołnierzy w rękawiczkach i chusteczkach zakrywających twarze wyniosła ciała.

- Ciekawe dlaczego? - spytał Will Connelly. - Nie to, żeby mi było przykro, że ich już nie ma, ale ciekaw jestem dlaczego?

- Przypuszczam, że jakaś wielka szycha ma to do nas przyjść z wizytą - odpowiedział Richard. - Posprzątajcie no, chłopcy, i postarajcie się, żebyście wyglądali tak, jakbyście tryskali zdrowiem.

Wkrótce po usunięciu ciał przybył major Ross w towarzystwie porucznika Johna Johnstona, porucznika Jamesa Shairpa i kogoś, kto - sądząc po jego zachowaniu - mógł być lekarzem. Szczupły, przystojny mężczyzna o długim nosie, ogromnych niebieskich oczach i ślicznych, małych jasnych loczkach opadających na szerokie białe czoło. Przynieśli ze sobą latarnię, eskortowani przez dziesięciu żołnierzy, którzy zeszli na dół przed nimi przez tylny luk i stanęli wzdłuż bakburty i sterburty niczym ludzie wysłani na zatracenie - młodzi na tyle, że można ich było jeszcze zastraszyć, i na tyle starzy, aby już wiedzieli, jaka zmora czyhała tam na dole.

Pomieszczenie wypełniło się miękką, złocistą poświatą i Richard ujrzał kształt swego losu we wszystkich jego potwornych szczegółach. Chorzy zajmowali trzydzieści cztery prycze umieszczone w środkowej części przed stołami. Za nimi, tam gdzie przechodził fokmaszt, nieopodal dziobu, znajdowało się przepierzenie o wiele węższe aniżeli to na rufie za pryczą. Richarda. Podwójny rząd platform tworzył nieprzerwany ciąg dookoła. „A więc w taki sposób to osiągnęli! Dzięki temu zdołali wcisnąć dwustu dziesięciu nieszczęśników do pomieszczenia o szerokości najwyżej trzydziestu stóp, i to w najszerszym punkcie, i długości nie przekraczającej siedemdziesięciu stóp od jednego do drugiego końca, popakowali nas jak butelki na półkach. Nic dziwnego, że umieramy. W porównaniu z tym więzienie w Gloucester było rajem. Tam przynajmniej wychodziliśmy na świeże powietrze i mogliśmy pracować. Tutaj pozostawiono nam tylko ciemności, smród, beczynność i szaleństwo. Bajdurzę moim ludziom o przetrwaniu, ale jak można przeżyć w takim miejscu? Dobry Boże, jestem zrozpaczony. Utraciłem wszelką nadzieję”.

Wszyscy trzej oficerowie byli Szkotami; Ross mówił z najsilniejszym akcentem, a Johnstone z najłabszym. Ross, szorstki i surowy człowiek, był drobnej budowy i miał pospolite rysy twarzy poza wąskimi, zdecydowanymi ustami i parą zimnych, jasnoszarych oczu.

Najpierw obszedł bez pośpiechu całe pomieszczenie, począwszy od sterburty. Kroczył tak, jakby uczestniczył w pogrzebie, obracając głowę to w jedną, to w drugą stronę. Szedł krokiem powolnym i zdecydowanym, jakby odmierzając ruchy zegarkiem. Zatrzymał się przy pryczach izolatki, zdawałoby się, bez cienia obawy, aby zbadać chorych w towarzystwie swego medyka, mrucząc coś niedosłyszalnie do tego atrakcyjnego mężczyzny, który tylko kręcił głową stanowczo. Major Ross podążył dalej wzdłuż ścieżki wijącej się pomiędzy platformami izolatki a tymi przy fokmaszcie, po czym skierował się przez przejście pomiędzy bakburtą w kierunku rufy.

Zatrzymał się przy Dringu leżącym na dole i Isaacu Rogersie na pryczy powyżej, spojrzał na pokład pod stopami i kazał któremuś z chłopców wyciągnąć kubły, które zostały opróżnione i wypłukane. Jego wzrok spoczął na Ike'u, który leżał, dygocząc, z głową na kolanach Joeya Longa.

- Ten człowiek jest chory - powiedział do Johnstona raczej aniżeli do doktora. - Połóżcie go razem z innymi.

- Nie, proszę pana - odezwał się natychmiast Richard, zbyt zszokowany, aby pomyśleć o przeczności. - To nie jest to, co pan sędzi. Nikt z nas po tej stronie tego nie ma. On o mało co nie umarł na chorobę morską, to wszystko.

Twarz majora przybrała niezwykle wyraz - przerażenia pomieszanego ze zrozumieniem. Sięgnął do góry i ujął Ike'a za rękę, po czym ścisnął ją. - Wiem zatem, przez co przechodzisz - powiedział. - Woda i suchary - tylko to może ci pomóc.

Major piechoty morskiej, który cierpi na chorobę morską!

Jego wzrok spoczął wówczas na twarzy Richarda i przesunął się po wszystkich twarzach na tych dwóch ostatnich pryczach, które upodobniły się do siebie przez przyszczyżone krótko włosy, wilgotne ubrania i szmaty rozwieszane na linach przeciągniętych pomiędzy belkami. Wszyscy oni niedawno się ogolili i emanowała z nich pewna duma, nie mająca jednak nic wspólnego z butą.

- Utrzymujecie czystość - zauważył i dotknął słomianek. - Aha, widzę nawet, że dużą. Nikt mu nie odpowiedział.

Major Ross odwrócił się i wszedł na ławkę, gdzie otwarty właz zapewniał mu odrobinę świeżego powietrza. Niczym nie zdradził swej odrazy do woni, które unosiły się w

więzieniu.

- Nazywam się - oświadczył głosem stosownym do placu apelowego - major Robert Ross. Jestem komendantem piechoty morskiej na tej wyprawie, jak również zastępcą gubernatora Nowej Południowej Walii. Jestem jedynym waszym dowódcą i decyduję o waszym życiu. Gubernator Phillips zajmuje się innymi sprawami. Moje obowiązki dotyczą tylko was. Nie jestem zadowolony z tego, co zobaczyłem na tym statku - umierają na nim ludzie i zamierzam odkryć dlaczego. Ten oto pan William Balmain jest lekarzem na „Alexandrze” i rozpoczyna swą służbę od jutra. Porucznik Johnstone jest starszym oficerem piechoty tu, na pokładzie, a porucznik Shairp to jego zastępca. Wydaje mi się, że w ciągu ostatnich dwóch miesięcy mieliście niewiele dostaw świeżej żywności. To się zmieni, gdy statek zakotwiczy w porcie. Pokład ten trzeba okadzić dymem, co będzie wymagało przeniesienia większości z was do innego pomieszczenia. Jedynie tych siedemdziesięciu dwóch ludzi na pryczach przyległych do przepierzenia przy rufie pozostanie na pokładzie i będzie pomagać.

Wskazał na swoich dwóch poruczników, którzy usiedli razem przy stole obok jego obutych stóp, wyjmując papier, atrament i gęsie pióra z teczki do pisania, którą trzymał porucznik Shairp.

- A teraz zacznę sporządzać spis - oznajmił major. - Kiedy wskażę na kogoś, ma mi podać nazwisko i nazwę więziennego statku, z którego tu przybył. Możesz zaczynać - wskazał na Jimmy'ego Price'a.

Zajął to dużo czasu. Major Ross był bardzo dokładny, lecz jego dwaj pismacy okazali się równie niezdarni jak powolni - pisanie najwyraźniej nie sprawiało im przyjemności. Jakies dwadzieścia nazwisk później major Ross zszedł na dół, aby pokierować pracą swoich pismaków.

- O wy niegramotne cymbały! A cóż wyście robili? Kupiliście sobie rangi oficerskie? Tępacy, idioci! Nie umielibyście nawet znaleźć sobie dziwki w burdelu!

- A to ci dopiero!” - pomyślał Richard. - „Ma niepospolity temperament i wcale nie dba o to, że właśnie upokorzył swych młodszych oficerów przed grupą skazańców”.

Kiedy żołnierze odeszli, jakże ciężko było im znosić ciemności! Kiedy odkryto zasłonę, więzienie ukazało się im w całej jego ohydnej, gnijącej okropności, lecz złote światło było łaskawe, a widok tylu mężczyzn skulonych na pryczach, z okrągłymi niczym sowy oczyma, w jakiś sposób zredukował całe to niebezpieczeństwo do ludzkich proporcji. Wraz ze zniknięciem ostatniej latarni to, co im pozostało, stało się nie tylko niewyobrażalne, ale również widoczne i niedotykalne. Nadeszła noc i pomimo przyrzeczenia majora Rossa o

przydziale świeżej żywności nikt nawet nie pomyślał, żeby ich czymkolwiek nakarmić.

Nazajutrz rano przez przedni luk zaczęto wnosić chorych - w rękawiczkach i maskach z chusteczek - a ci, którzy to czynili, byli zupełnie niewrażliwi na okrzyki bólu, jakie wywoływało poruszanie ich. Około południa w więzieniu pozostali jedynie ci, którzy przebywali na trzech podwójnych pryczach przyległych do sterburty i bakburty przy przepierzeniu od strony rufy. Dostarczono sporo latarni i bez większości więźniów łatwo było dostrzec, jaka kloaka powstała tam zaledwie po dwóch i pół miesiąca przebywania na pokładzie. Wymioty, kał, przelewające się kubły, brudne pomosty i platformy.

Następnie przyszła kolej na nich i mieli się przenieść przez przedni właz. „Obojętne mi już, co tam kto ukradnie, niech biorą, co zechcą, nie zostawię przecież na dole nikogo z moich samego. Chociaż tak długo, jak krążą tu pogłoski o dżumie, nasze rzeczy są prawdopodobnie bezpieczne”.

Odkazanie przez okadzanie polegało na odpaleniu prochu we wszystkich częściach „Alexandra” pod górnym pokładem i prędkim zamknięciu luków.

Stali na spokojnym odcinku wody z dala od brzegu, skąd roztaczał się fascynujący widok - wielkie bastiony i fortece najeżone gigantycznymi działami otaczały miejsce pierścieniem, była to bowiem kwatera główna angielskiej marynarki wojennej, zwrócona na południe, gdzie za wyspą Wight znajdowało się francuskie wybrzeże Cherbourg, a tam czekał w ukryciu mający się na baczności, odwieczny wróg. Gdzie znajdowało się i jakim miastem było Portsmouth, pozostawało tajemnicą, skrywaną za tymi potężnymi fortyfikacjami, których część pochodziła jeszcze sprzed okresu rządów Henryka VIII a niektóre z nich nadal pozostawały w budowie. Czyżby właśnie tutaj zaledwie pięć lat temu zatonał admirał Kempenfeldt i tysiąc ludzi na „Royal George”? Przechylony z powodu nieszczelności, największy okręt pierwszorzędowy, jaki Anglia kiedykolwiek wybudowała, napęłnił się wodą przez swe trzydziestodwufuntowe otwory ładunkowe i zatonał w wirze.

Johnstone i Shairp mieli odmienne zdania co do tego, czy skazańcy pozostawieni na statku powinni mieć założone kajdanki czy też należało ich uwolnić. Przegrawszy spór, Shairp wziął szalupę i popłynął odwiedzić sympatyzującego z nim kolegę na pokładzie innego statku, również mającego płynąć do zatoki Botany. Było tam teraz kilka takich statków, jeden nieomal równie duży jak „Alexander”.

- To „Scarborough” - wyjaśnił czwarty oficer, Stephen Donovan, trzymając w ramionach wielkiego rudego kota. - A tamten to „Lady Penrhyn”, znacie go, a dalej „Prince of Wales”. Nie byli w stanie załadować wszystkich na pokład pięciu transportowców, więc ten

jest szósty. „Charlotte” i „Friendship” popłynęły do Plymouth, aby wziąć tych z „Dunkirka”.

- A te trzy, ładujące prowizje z galarów bliżej brzegu? - zapytał Richard, odwracając głowę, aby rzucić ostrzegawcze spojrzenie w stronę Billa Whitinga, który sprawiał wrażenie, że to względne wyzwolenie mogłoby mu rozwiązać język jakimś dowcipem na temat pedałów, którego panna Molly Donovan z pewnością by nie docenił.

- To są okręty zaopatrzeniowe - „Borrowdale”, „Fishburn” i „Golden Grove”. Mamy zabrać ze sobą taką ilość zapasów, aby wystarczyły nam na trzy lata, od czasu aż dotrzemy do zatoki Botany - wyjaśnił Donovan, pieszcząc go oczyma.

- A jak długo, zdaniem admiralicji, zajmie nam dotarcie do zatoki Botany? - zapytał Thomas Crowder, uśmiechając się przymilnie.

Crowder nie przypadł Donovanowi do gustu, był bowiem zbyt podobny do małpy, toteż czwarty oficer zdecydował skierować swą odpowiedź do Richarda Morgana, który go fascynował. Nie tyle z powodu jego wyglądu, choć i ten był zachwycający, ile raczej z powodu jego powściągliwości, zatrzymywania własnych myśli dla siebie. Przewodnik, ale jakże inny od Johnny’ego Powera, którego wszyscy już dobrze znali - Marynarz na Tamizie, mający na tyle rozumu, aby nie mówić żargonem - Power i załoga czuli między sobą naturalne pokrewieństwo.

- Według obliczeń admiralicji, podróż ta zajmie nam od czterech do sześciu miesięcy - odpowiedział Donovan, znacząco ignorując Crowdera.

- To potrwa znacznie dłużej - stwierdził Richard.

- Zgadza się z tym. Kiedy admiralicja dokonuje swoich obliczeń, zawsze im się wydaje, że wiatry ciągle wieją z właściwej strony, a maszty nigdy się nie łamią, że statki nigdy nie dryfują, a żagle nigdy się nie drą, nie wpadają w pętle ani nie zlatują z ref. - Poglaskał pod brodą mruczącego głośno kota.

- Nie ma pan psa? - zapytał Richard.

- Cholerne bękarty! Ten oto Rodney jest pokładowym kotem na „Alexandrze”, równym każdemu z tych psów, i to właśnie dlatego one się z nim nie zadają. Został nazwany na cześć admirała Rodneya, z którym służyłem w Indiach Zachodnich, kiedy przepędzaliśmy żabojadów z Jamajki. - Prychnął na krążącego opodal buldoga, a Rodney uczynił to samo, buldog więc zdecydował, że ma do załatwienia jakieś pilne sprawy gdzie indziej.

- Na pokładzie jest dwadzieścia siedem psów, wszystkie należą do żołnierzy. I niebawem się przetrzebią. Spaniele i teriery nie są jeszcze takie złe, bo polują na szczury, ale ogary to jedynie przynęta dla rekinów. Psy spadają z pokładu. Koty - nigdy. - Pocałował Rodneya w czubek głowy i postawił go na poręczy dla zilustrowania swego wywodu. Nie

zwracając uwagi na pluskającą poniżej wodę, kot usadowił się wygodnie na podwiniętych łapach i mruczał dalej.

- Gdzie wysłali resztę skazańców? - zapytał Will Connelly, zastępując Richarda, który niepostrzeżenie usunął się na bok.

- Niektórych na statek „The Firm”, innych na „Fortune”, chorych na okręt szpitalny, a resztę na tamtą galerę - wskazał Donovan.

- Na jak długo?

- Przypuszczam, że co najmniej na tydzień lub dwa.

- Ależ ci ludzie na galerze zamarną na śmierć!

- Nie. Codziennie wieczorem zabierają ich do obozu, okutych w kajdany i związanych razem łańcuchami. Lepiej być na galerze ampli na statku więziennym.

Nazajutrz wojskowy lekarz na „Alexandrze”, William Balmain sprowadził na pokład dwóch innych lekarzy, najwidoczniej aby obejrzeeli statek, skoro usunięto zeń chorych więźniów. Jednym z nich szepnął Stephen Donovan, był John White, główny lekarz wojskowy całej wyprawy. Drugim z nich, jak sami widzieli, był ów medyk z Portsmouth, którego wezwał porucznik Shairp zaraz po przybyciu „Alexandra”.

Nie otrzymawszy jeszcze żadnych rozkazów do pracy, więźniowie stali dookoła nieopodal lekarzy i słuchali, o czym była mowa - równie ciekawa załoga zbyt była zajęta, aby móc podsłuchiwać. Na galarach przybywało towarów do załadunku.

Doktor z Portsmouth był przekonany, iż chorobą tą była rzadka odmiana dymienicy morowej, jednak lekarze White i Balmain nie zgadzali się z nim.

- Choroba ta jest złośliwa - wykrzyknął doktor. - To dymienica!

- Jest niegroźna - zaprzeczyli lekarze. - To nie dymienica. Wszyscy trzej zgodzili się jednak co do środków zapobiegawczych - przestrzeń pomiędzy pokładami należy ponownie odkazić, wyszorować porządnie olejem smołowym, a następnie pokryć grubą warstwą wapna do bielienia - mieszaniny niegaszonego wapna, sproszkowanej kredy, kleju i wody.

Pozostawiony na pokładzie do nadzorowania załadunku Stephen Donovan bynajmniej nie był tym zachwycony. Pokład zastawiono bowiem górami beczek, beczulek, worków, skrzyń, baryłek i paczek.

- Muszę wstawić to wszystko na dół - ryknął na White'a i Balmaina. - Jakże mam to zrobić, jeśli wy cały dzień trzymacie luki zabite deskami przez te wasze nieszczęsne odkazania? Jest tylko jedna rzecz, która może pomóc „Alexandrowi” - pozbycie się tego, co go nurtuje. Czyli lepsze pompy do usuwania okrętowych ścieków.

- Ten zapach - odpowiedział Balmain wyniośle - pochodzi od martwych ciał. - Po dokładnym okadzeniu tydzień czy dwa na morzu wystarczą, aby go usunąć.

White odszedł trochę dalej, aby zobaczyć, w jaki sposób załoga mogłaby ładować prowianty na statek przez znajdujące się pośrodku więzienie. Jedno spojrzenie na dół przekonało go, że usunięte stoły i ławki ukazały znajdujące się pod nimi kwadratowe, wielkości sześciu stóp luki - dokładnie równoległe do tych na górnym pokładzie. Nawet gigantyczne beczki z wodą wciągnięte na pokład ręcznymi, korbowymi wyciągami - opuszczano bezpośrednio do ładowni na najniższym Uadzie. Wrócił żwawo i z wyższością usunął na bok Balmaina i Dopovana, i wydał rozkazy.

Trzydziestu sześciu więźniów ze sterburty oddelegowano do więzienia, aby je wyczyścić, wyszorować i natrzeć gąbką namoczoną w occie przed wykadzeniem dymem z prochu palnego, a trzydziestu sześciu skazańców z bakburty zostało wysłanych na dół, do pomieszczeń żołnierzy poniżej sterowni, aby tam zrobić to samo.

- O Chryste Panie! - pisał Taffy Edmunds. - Biedny mały Davy Evans miał rację - my, więźniowie, jesteśmy jak w niebie w porównaniu z tymi warunkami, choć dobrze byłoby, gdybyśmy mogli spać w hamakach.

Podłoga w ładowni była zanieczyszczona wylewającymi się ściekami, które cuchnęły jeszcze gorzej niż pomieszczenie więzienne, i wydzielały się tam gazy, które sprawiały, iż cynowo - ołowiane guziki na owych wspaniałych szkarłatnych mundurach czerniały niczym węgiel. Odległość między pokładami wynosiła zaledwie sześć stóp, co oznaczało, iż trzeba było się schylać pomiędzy belkami, tak jak na „Ceresie”.

I tak oto Richard i skazańcy z bakburty zostali świadkami tego, co zaszło pomiędzy nieprzeparą siłą a nieruchomym przedmiotem. Major Ross i kapitan Sinclair starli się w tychże kwaterach żołnierskich na oczach zafascynowanych trzydziestu sześciu więźniów. Tę zdumiewającą bitwę obwieściło pojawienie się majora na dole drewnianej drabinki, zwisającej z kwatery załogi znajdującej się powyżej.

- Zabierz ten swój nadęty wielorybi tran i zjedź tu na dół, ty ospały worku gówna! - wrzasnął Ross. - Chodź no tu, do cholery, i popatrz!

Kapitan Duncan Sinclair zszedł na dół po drabinie na wykwinicie obutych nóżkach, zupełnie jak kropla syropu ściekająca z jednej strony gładkiego sznurka.

- Nikt - wysapał, dotarłszy na pokład na dole - nie zwraca się do mnie w ten sposób, majorze! Jestem nie tylko kapitanem tego okrętu, ale również jednym z jego właścicieli.

- Co czyni cię tym bardziej winnym, ty nadęta dupo. Chodź, rozejrzyj się dookoła! Przyjrzyj się, gdzie twoim zdaniem mają mieszkać żołnierze Jego Królewskiej Mości przez

Bóg jeden wie ile czasu! Już minęły trzy miesiące, a oni chorują i bardzo się boją, za co nawet nie mogę ich winić! Ich psy mają lepsze warunki - jak również owce, świny, które trzymasz na statku, żeby je postawić na tym swoim już i tak przeładowanym stole! Siedzisz tam na górze niczym jakiś Król Gnoju z Pałacu na Kupie Łajna z kabiną sypialną, dzienną i wielkim salonem wyłącznie do własnej dyspozycji, a moi dwaj oficerowie siedzą w komórce bez powietrza. Jedzą z prostymi szeregowcami! To się zmieni, Sinclair, bo w przeciwnym razie osobiście wypruję ci te spuchnięte flaki, aż wyleje się z nich to ciekłe gówno! - Położył dłoń na rękojeści swej szabli i wyglądało na to, że był zdolny do wprowadzenia swych pogroźek w czyn.

- Pańscy ludzie siedzą tu, ponieważ nie mam ich gdzie zakwaterować - odpowiedział Sinclair. - W rzeczy samej zajmują cenne miejsce, które moja firma zakontraktowała, a żeby wypełnić je o wiele bardziej użytecznym ładunkiem niż ta banda złodziejskich, żłopiących rum półgłówków, za głupich na to, żeby się dostać do floty, i zbyt biednych, aby służyć w armii. Ty, Ross, i ci twoi żołnierze jesteście jedynie odpadkami z całego świata. Nie bez powodu nazywa się puste butelki piechotą morską! Zaśmiejają całą kuchnię mojej załogi, pozwalając dwóm tuzinom psów srać od bukszprytu po reling rufowy - spójrz pan tylko na moje buty! Psie gówno, Ross, zasrane psie gówno! Zaduszone dwie z moich kur, cztery kaczki i jedna gęś, nie mówiąc już o jednej owcy, którą musiałem zastrzelić, bo jeden z tych pierdolonych buldogów zatopił w niej kły i nie miał zamiaru puścić! Ale najpierw zastrzeliłem tego pierdolca psa, ty bękarcie ze szkockich nizin pozbawiony nawet matki!

- Kto tu jest nizinnym bękartem, ty suczy pomiole?

Nastała cisza, gdy obaj kombatanci rozpaczliwie poszukiwali nowych śmiertelnie raniących obelg, a skazańcy zastygli w bezruchu jak posągi, w obawie, że zostaną zauważeni i odesłani na pokład.

- Lordowie admiralicji zaakceptowali ofertę Waltona, która dokładnie wyszczególniała wyposażenie „Alexandra” - wycedził Sinclair z oczyma niczym dwie płonące szparki. - Niech pan ma o to pretensje do swoich zwierzchników, Ross, a nie do mnie. Kiedy dowiedziałem się, że dostanę jeszcze czterdziestu żołnierzy poza tymi dwustu dziesięcioma więźniami, z pewnością nie byłem z tego powodu szczęśliwy. Żołnierze zostają tutaj, czy to się panu podoba czy nie, bo i tak nie masz pan wyboru.

- Nie podoba mi się to i mam wybór, ty słoniowa dupo. Przeniesiesz moich chłopców na górę do sterowni i dasz właściwe zakwaterowanie oficerom, albo będę miał coś do powiedzenia, począwszy od gubernatora Phillipa aż po lorda admirała Howe'a i sir Johna Middletona - nie mówiąc już o lordzie Sydneyu i panu Pitcie! Masz dwa wyjścia, Sinclair -

Albo umieścisz tu swoją załogę, a moich żołnierzy przeniesiesz na ich miejsca, albo przesuniesz w więzieniu przepierzenie przy rufie o dwadzieścia pięć stóp do przodu. Skoro flotyła ma już teraz „Prince of Wales”, wysiedleni w ten sposób więźniowie mogą się tam przenieść. I na tym koniec - powiedział Ross, otrzepując odziane w białe rękawiczki ręce - ty nalana mordo!

- O nie! - wycedził Sinclair przez zaciśnięte zęby. Widok tej wzburzonej tuszy był iście homerycki. - „Alexander” został zakontraktowany do przewiezienia dwustu dziesięciu więźniów, a nie stu czterdziestu skazańców i czterdziestu żołnierzy na powierzchni mogącej pomieścić jeszcze siedemdziesięciu dodatkowych więźniów! Celem tej wyprawy nie jest rozpieszczanie garstki parszywych żołdaków, lecz wysłanie na drugi koniec świata tylu angielskich przestępców, ilu się tylko da. Zatrzymam tu cały mój zakontraktowany komplet więźniów i - jeśli pan chce - przyjmę pełną odpowiedzialność za ich pilnowanie przez moją załogę. To jasne i proste, majorze Ross. Niech pan przeniesie tych swoich beznadziejnych żołnierzy z „Alexandra”. Ja zamknę skazańców na stałe w więzieniu i przez cały rejs będę ich karmił przez kratę w lukach, a wówczas nie będzie potrzeby trzymania żołnierzy w charakterze strażników.

- Lord Sydney i pan Pitt nie zaaprobuja tego - odparł Ross, stojąc na bezpiecznym i pewnym gruncie. - Obaj są postępowymi ludźmi i stanowczo żądają, aby więźniowie zostali odtransportowani do zatoki Botany w lepszym stanie aniżeli niewolnicy, których odstawił pan niegdyś do Barbadosu! Jeśli zamknie pan tych ludzi na rok, połowa z nich zemrze przed przybyciem na miejsce, a druga połowa nadawać się będzie jedynie do domu wariatów. A zatem - ciągnął, sprawiając wrażenie równie giętkiego jak odlewane z żelaza trzydziestopięcioletnie działo - być może będzie wypadało, żebyś pan w ciągu kolejnego miesiąca wybudował sobie kajutę oficerską i forkasztel na rufie. Będziesz się mógł pan wówczas przenieść o pokład wyżej, by mieszkać sobie w tym odosobnionym splendorze i oddać nadbudówkę moim oficerom. Nie zapominaj, Sinclair, że musisz zakwaterować jeszcze lekarza statku, agenta marynarki wojennej i agenta kontrahenta, a oni wszyscy mają rangę gwarantującą im prawo do nadbudówki. Zajmą ją bez twego pozwolenia, ty skąpa, stetryczła torbo. A jeśli już mowa o twojej załodze, daj ich pan tam, gdzie być powinni do forkasztelu. Moi zwerbowani ludzie mogliby wtedy przenieść się do sterowni, a ja zobowiązę się wówczas dostarczyć im okrętowy piec, na którym będą mogli gotować dla siebie i skazańców. W ten sposób pańska załoga zachowa swoją kuchnię, pan może sobie wybudować nową w swojej kajucie, oficerowie będą mogli korzystać z tej przy nadbudówce, a „Alexander” zacznie przypominać normalny okręt i nie będzie już wyglądał jak transporter

niewolników, ty tłusty spryciarzu.

W trakcie tego mistrzowskiego przemówienia w szarych szparkach kapitańskich oczu nastąpiła przemiana - od niepohamowanego gniewu po zwykłą przebiegłość.

- A to - odpowiedział - będzie kosztowało Waltona co najmniej tysiąc funtów.

Major Ross obrócił się na pięcie i wspiął na drabinę.

- Wyślij pan rachunek do admiralicji - powiedział i zniknął. Kapitan Duncan Sinclair spojrzął na drabinę, a potem nagle zauważył otaczających go milczących więźniów.

- Potrzebny jest wam kubeł na łańcuchu, aby pozbyć się nadmiaru ścieków - zwrócił się do Ike'a Rogersa. - A skoro o tym mowa, podnieście tamten właz i zacznijcie wylewać ścieki ze sterburty. Inni mogą wylewać z bakburty. Wleście tu świeżej morskiej wody i wylewajcie ścieki dopóty, dopóki woda nie będzie zupełnie czysta. Czuć je aż w nadbudówce.

- Spojrzął na drabinę. - Ty, ty i ty - zwrócił się do Taffy'ego, Willa i Neddy'ego, którzy byli dość wysocy. - Podsuńcie mi tu pod dupę ramiona i pomóżcie mi wejść na tę pierdoloną drabinę!

Kiedy tylko zanikł odgłos jego wspinaczki, więźniowie zaczęli pokładać się ze śmiechu.

- Przez chwilę myślałem, Neddy - wysapał Ike - że miałeś ochotę spuścić go na ryj do tych ścieków.

- A i owszem, kusiło mnie - odparł Neddy, ocierając oczy. - Ale to w końcu kapitan, a kapitana lepiej nie obrażać. Jednak to jasne, że major Ross nie dba o to, kogo obraża - zachichotał. - Dupa słoniowa! To nawet pasuje. Wepchnijcie go na tę drabinę o mało mnie nie zabiło.

- Major Ross wygrał to starcie - orzekł Aaron Davis w zamyśleniu. - Ale za to obnażył własną dupę na kopniaki butami admiralicji. Jeśli kapitan Sinclair posłucha go i wybuduje kajutę oficerską i forkasztel, a admiralicja odmówi zapłacenia rachunku, major Ross znajdzie się w kotle wrzątku.

- Jakoś nie mogę sobie wyobrazić dupy majora Rossa obnażonej na czyjekolwiek obcasy - powiedział Richard, uśmiechając się. „f Jego nieskazitelnie białe spodnie pozostaną na miejscu, zapamiętaj te słowa. On ma rację. „Alexander” nie może przewozić tylu ludzi z oficerskiej kajuty i forkasztelu. - Obruszył się. - Kto chce się zabrać do kubła i łańcucha? To znaczy, jeśli zdołamy przekonać porucznika Johnstona, aby przydzielił nam więcej wiader, nie będę bowiem używał naszych więziennych do tego odrażającego plugastwa. Bristolczycy zapuścimy łańcuch do samych ścieków. Jimmy, idź i uśmiechnij się do tego ślicznego porucznika, żeby dał nam więcej wiader.

Kapitan Sinclair wykonał swoje zadania, lecz za o wiele mniejszą sumę aniżeli tysiąc funtów. Podczas gdy pozostali na pokładzie więźniowie pracowali przy wcieraniu oleju smołowego i bieleniu, nadal przeprowadzano wokół nich załadunek towarów, co pozwoliło im nieźle zorientować się, gdzie co trzymano. Zapasowe maszty zostały umocowane na pokładzie pod łodziami, natomiast resztę omasztowania, żagle i liny umieszczono niżej. Stusześćdziesięciogalonowe beczki z wodą - z pewnością najcięższe - zostały złożone w rzędach pośród innych, lżejszych towarów. Wnoszono na pokład beczkę za beczką solonej wołowiny i wieprzowiny, wór za workiem twardego chleba, suszonego i włoskiego grochu, beczki mąki, worki ryżu, mnóstwo paczek zaszytych w szorstkie płótno i oznaczonych nazwiskiem właściciela. Były tam również bele materiału, które marynarze nazywali „pościelą”, najwidoczniej przeznaczone dla więźniów, kiedy ich obecne ubrania się zedrą.

Wszyscy wiedzieli, że gdzieś na pokładzie znajdowały się baryłki rumu - ani załoga, ani żołnierze nie zgodziliby się bowiem na „suchy” rejs. Rum pomagał znosić niedolę zatłoczonych kajut i podłego wyżywienia, a zatem był nieodzowny. Nie przechowywano go jednak w głównej ładowni ani też pod więzieniem czy sterownią.

- Spryciarz z tego naszego grubasa kapitana - stwierdził William Dring z Hull, wykrzywiając się w uśmiechu. - Tam z przodu jest druga ładownia na dwóch pokładach. Górny przeznaczono na drewno opałowe - upychają je wszędzie dookoła bukszprytu i na dziobie. Dolny pokład ma żelazną pokrywę i tam właśnie trzymają rum. Nie można się do niego dostać od strony więzienia, ponieważ przepierzenie jest tam szerokości stopy, a do tego najeżone gwoździemi, podobnie jak przepierzenie przy rufie. Nie da się też do niego dostać z ładowni drewna, nie robiąc potwornego hałasu. Rum do przydziałów znajduje się w wielkim kredensie w nadbudówce i kapitan osobiście go wydziela. Nikt nie zdołałby go ukraść ze względu na Trimmingsa. - Trimmingsa? - zapytał Richard. - Stewarda Sinclaira?

- Aha. I to całkowicie oddanego Sinclairowi. Węszy i szpicluje.

- Wszystkie te przeróbki wykonują jego stolarze - wtrącił przyjaciel Dringa, marynarz Joe Robinson. Obaj zawarli znajomość z załogą. - Wziął też do pomocy pięciu skazańców, wszystkich znających się na wbijaniu gwoździ, z galery i z „Fortune”. Forkasztel jest po prostu zwykłym forkasztel, ale w stronę kajuty oficerskiej poszło sporo bardzo porządných mahoniowych desek na boazerię. Kapitan buchnął wszystkie meble z głównej kajuty, więc major Ross będzie musiał zdobyć dodatkowe meble do przybudówki i bynajmniej nie jest z tego powodu szczęśliwy.

Major Ross nigdy nie był zadowolony. Powody tego jego niezadowolenia nie

ograniczały się jednak wyłącznie do kapitana Sinclaira i „Alexandra”. Następna bitwa, jak kilku żołnierzy poinformowało skazańców - plotkowanie było tam bowiem główną rozrywką - stoczyła się o zamianę ryżu przeznaczonego na wyprawę na pszeniczną mąkę. Niestety, kontrakt z Williamem Richardsem Juniorem został sporządzony w taki sam sposób, jak ten dotyczący przewiezienia personelu wojskowego, co pozwoliło skąpemu dostawcy żywności - zarówno dla więźniów, jak i dla żołnierzy - zamienić część mąki na ryż. Ryż był tani - miał go pełny skład - a do tego zabierał mniej miejsca, gdyż pęczniał w trakcie gotowania. Problem jednak polegał na tym, że ryż nie zapobiegał skorbutowi, podczas gdy mąka zapobiegała.

- Nie rozumiem tego - powiedział Stephen Martin, jeden z dwóch spokojnych bristolczyków wysłanych na dół razem z Crowderem i Davisem. - Jeśli mąka może zapobiec skorbutowi, to dlaczego nie chleb? Przecież zrobiony jest z mąki.

Richard usiłował sobie przypomnieć, co też kuzyn James aptekarz mówił kiedyś o tych sprawach.

- Myślę, że tu chodzi o pieczenie - powiedział. - Nasz chleb jest bardzo twardy - to morskie suchary. Jest w nim również, oprócz pszenicy, i żyto, i jęczmień, oby tylko one. Mąka to mielona pszenica, a zatem to, co zapobiega skorbutowi, musi znajdować się w pszenicy. Albo może z mąki robi się kluski do sosu lub zupy i te nie gotują się na tyle długo, żeby zniszczyć to, co zapobiega skorbutowi. Najlepsze są jarzyny i owoce, ale nikt ich nie dostaje na morzu. Jest jeszcze kiszona kapusta, zwana kwaśną, którą mój kuzyn importuje z Bremen dla niektórych bristolskich kapitanów żeglugi morskiej, ponieważ jest tańsza od ekstraktu słodowego, który zapobiega gnilcowi. Problem jednak z tą kiszoną kapustą jest taki, że marynarze nie cierpią jej i trzeba ich chłostać, żeby ją jedli.

Czy jest coś takiego, Richardzie, czego ty nie wiesz? - zapytał Toey Long, który uważał Richarda za chodzącą encyklopedię.

- Ja prawie nic nie wiem, Joey. To mój kuzyn James jest źródłem wiedzy. Ja go tylko słuchałem.

A jesteś w tym bardzo dobry - odparł Bill Whiting. Cofnął się, żeby ocenić efekty ich pracy, którą niemal skończyli. - Jedno jest dobre w tym całym bieleniu. Nawet jeśli założą kraty na włazy, wewnątrz będzie o wiele więcej światła. - Objął Willa Connelly'ego ramieniem. - Jeśli siądziemy przy stole tuż przy tylnym luku, Will, będziemy mieli odpowiednio dużo światła do czytania.

Na początku kwietnia cały kontyngent skazańców znalazł się z powrotem na

pokładzie, a prace przy wznoszeniu forkaasztelu i kajuty oficerskiej postępowały bardzo żwawo. Skazańcy nie wiedzieli, że major Ross miał dopiero napisać do władz o warunkach panujących na „Alexandrze”, wołąc, aby zanim zaczną na ten temat grzmieć, prace nad udogodnieniami zaszły już za daleko, żeby można je było powstrzymać. Kapitan Sinclair postanowił wybudować nowe pomieszczenia dla swojej załogi wewnątrz statku, pozostawiając szerokie na trzy stopy przejścia po obu stronach dla łatwego dostępu do dziobu, gdzie umieszczono otwory dla załogi. Dla więźniów pozostawionych na pokładzie w czasie tych zabiegów higienicznych okres ten był istnym rajem - otwarto włazy i mogli korzystać z otworów dla załogi zamiast nocnych kubłów. Przedni właz był teraz osłonięty domkiem - budowlą podobną do psiej budy, z zakrzywionym dachem, aby kucharze mogli wejść do ładowni drewna niezależnie od pogody. Właz z przodu przybudówki, prowadzący do sterowni, również został nakryty, podczas gdy dwa włazy ponad więzieniem stanowiły zwykłe luki pokładowe, wyposażone w żelazne kraty, które można było zabić solidną pokrywą.

„I zabijają je - pomyślał Richard - kiedy tylko fale zaczną się przelewać przez pokład, więc będziemy zupełnie ślepi przez cały czas trwania burzy. Bez światła i bez powietrza.

Mimo że wydawano codziennie świeże mięso i jarzyny oraz pozwalano im wychodzić w małych grupach na świeże powietrze i robić gimnastykę, choroba na pokładzie „Alexandra” nadal trwała. Umarł Willy Wilton, pierwsza ofiara pośród ludzi z południowo - zachodnich obszarów kraju, choć nie na ową chorobę podobną do świnki. Przeziębienie się w trakcie złej pogody i przeziębienie to zaatakowało płuca. Lekarz Balmain zastosował gorące okłady, aby ściągnąć i rozpuścić flegmę, lecz Willy zmarł w trakcie podobnego leczenia, jakie w takich przypadkach uzyskaliby od swojego lekarza każdy wolny bristolczyk. Okłady były jedynym lekarstwem na zapalenie płuc. Ike Rogers ogromnie nad tym bolał. Nie był już tym samym człowiekiem, którego Richard spotkał w więzieniu w Gloucester - ta zawadiacka awanturniczość była jedynie błagą. Krył się pod nią człowiek uwielbiający konie i wolność gościńców.

Inni także umierali - pod koniec kwietnia śmierć zabrała już dwanaście osób. Choroba szerzyła się również pośród żołnierzy - gorączka, zapalenie płuc, delirium, paraliż. Trzech przerażonych żołnierzy uciekło, czwarty pod koniec miesiąca. Sierżanta, dobosza i czternastu szeregowców odesłano do szpitala i trudno było znaleźć zastępców na ich miejsce. „Alexander” uzyskał wśród innych statków floty reputację „statku śmierci” i tak już zostało. Co jakiś czas wszystkich z wyjątkiem tej samej grupy więźniów - teraz siedemdziesięciu jeden, skoro Willy Wilton już nie żył - dokądś wysyłano i ponownie rozpoczynano

aplikowanie octu, okadzanie, szorowanie olejem smołowym oraz bielenie. Za każdym razem grupa Richarda z bakburty widziała, że ścieki okrętowe ponownie wylały.

- Równie dobrze mogłoby tu nie być żadnych pomp - stwierdził Mikey Dennison z obrzydzeniem. - One i tak nie działają.

Zmarło kolejnych trzech mężczyzn. Liczba ofiar od pierwszego kwietnia wynosiła teraz piętnaście i z dwustu dziesięciu więźniów zostało stu dziewięćdziesięciu pięciu.

Pierwszego maja, ponad cztery miesiące po wejściu na pokład statku śmierci, nadeszła wiadomość, że gubernator Phillip przybył na swoim admiralskim statku, „Siriusie”, i że nazajutrz rano flotylla złożona z jedenastu statków miała wyruszyć na morze. Lecz nie wyruszyła. Załoga statku dostawczego „Fishburn” nie otrzymała zapłaty i odmówiła pracy, dopóki nie dostaną swoich pieniędzy. Mieszkańcy więzienia na „Alexandrze” pokładli się na swoich pryczach do snu - w końcu otrzymali przydział koców, po jednym na dwie osoby. Być może był to rodzaj zadośćuczynienia za to, iż zostali rozebrani i przeszukani - nikt nie wiedział, w jakim celu. Różnica polegała na tym, że pod nadzorem majora Rossa nikomu nie przeszukiwano odbytu. Niczego też nie skonfiskowano.

Trzynastego maja, mniej więcej godzinę po nastaniu świtu - nadchodziło letnie przesilenie, więc dzień wcześniej się zaczynał - Richard obudził się, czując ruch „Alexandra”, usłyszał skrzypienie desek, słabe westchnienia wody ocierającej się o drewno statku, poczuł słabiutkie kołysanie. To jednak wystarczyło Ike'owi, który już wymiotował, ale poradzili sobie z tym, podstawiając mu drewnianą miskę zmarłego biedaka Willy'ego, której opróżnianie, gdy tylko zachodziła potrzeba, wziął na siebie Joey Long.

Robert Jefferies z Devizes zmarł tego samego dnia na zapalenie płuc - dla wielu z nich koce przydzielono za późno.

Kiedy jeszcze tego dnia minęli Needles na zachodnim krańcu wyspy Wight, „Alexander” nabral rozpedu i płynął o wiele zwawiej niż podczas swego rejsu z Tilbury do Portsmouth. Kołysał się mocno na boki i zanurzał dziobem w morze, co przykuło do pryczy większość więźniów zmożonych chorobą morską. Richard również poczuł mdłości, ale nie na tyle silne, aby nie był ich w stanie kontrolować, i minęły one po trzech godzinach i zaledwie jednej próbie zwymiotowania. Być może bristolczycy rzeczywiście mieli marynarską krew? Pozostali skazańcy Bristolu - Connelly, Perrott, Davis, Crowder, Martin i Morris czuli się podobnie jak on. W najgorszym położeniu byli chłopcy ze wsi, choć żaden z nich nie przechodził tego tak ciężko jak Ike Rogers.

Nazajutrz porucznik Shairp i doktor Balmain zeszli na dół trochę bardziej niezgrabnie aniżeli na spokojnej wodzie, lecz z godnością, tak aby wywołać odpowiednie wrażenie. Dwaj

szeregowcy, którzy zeszli z nimi, zabrali ciało Roberta Jefferies, podczas gdy Shairp i Balmain usiłowali przejść na drugi koniec przejścia, czepiając się skraju pryczy. Shairp bardzo się starał nie włożyć ręki w czyjeś wymioty. Rozkazy pozostawił te same - mieli wstawać i szorować pokład, opróżniać kubły po nocy, schodzić na dół i sprzątać prycze. Nic go nie obchodziło, że rzekomo chorowali. Jeśli narzygają na koc, należy go wyprać. Jeśli na słomiankę, trzeba ją wyczyścić. Jeśli obrzygają siebie samych, to też powinni się umyć.

- Gdyby robili to codziennie, byłoby tu czysto - stwierdził Connelly. - A przynajmniej taką mam nadzieję!

- Nie łudź się - odparł Richard. - To pomysł Balmaina, nie Shairpa, a Balmain nie jest człowiekiem systematycznym. Na szczęście chorzy zwrócili już jedzenie, więc teraz pozostało nam radzić sobie jakoś z ich odchodami. Będą po prostu leżeli tak i robili pod siebie, a co najmniej połowa z nich w życiu się nie myła. Jeśli zachowamy czystość i nasze zwyczaje się upowszechnią, to tylko dzięki kuzynowi Jamesowi i temu, że zadreczęm wszystkich w zasięgu mego głosu, tak że boją się mnie bardziej aniżeli mycia. - Uśmiechnął się szeroko. Jak już się przyzwyczajają do mycia, polubią czystość.

- Jesteś bardzo dziwnym człowiekiem, Richardzie - stwierdził Will Connelly. - Możesz zaprzeczać, ile chcesz, ale z całą pewnością jesteś przywódcą bakburty. - Zamknął oczy i skoncentrował się na własnych odczuciach. - Dobrze się czuję, więc spróbuję czytać.

Usiadł na ławce przy środkowym stole tuż pod otwartym włazem z trzema tomami *Robinsona Crusoe*, znalazł odpowiednie miejsce w powieści i wkrótce lektura tak go pochłoneła, że zdawał się niepomny na ruchy statku.

Richard przyłączył się do niego ze swoim wykazem nazw geograficznych - warstwy wapna na ścianach zrobiły swoje.

Kiedy „Alexander” odpłynął daleko na południe od Plymouth, większość skazańców nauczyła się już marynarskiego chodu, choć Ike Rogers i garstka innych nadal chorowała. Mogli teraz poruszać się wzdłuż przejść, gdy tylko przyzwyczaili się do tego, że pokład unosił się na spotkanie ich stóp i opadał, usuwając im się spod nóg. Tymczasem w trakcie gimnastyki Richard spotkał Johna Powera, przywódcę przedniej części pokładu.

Power był przystojnym, młodym mężczyzną, gibkim i zwinnym niczym kot, z dzikim wyrazem w ciemnych oczach i dziwnym zwyczajem gestykulowania w trakcie mówienia - zupełnie jak żabojady lub Włosi, a nie jak Anglicy, Holendrzy czy Niemcy. Robił wrażenie kogoś nienaturalnie ożywionego, nie tyle z powodu niepokoju czy złości, ile energii i entuzjazmu. A jego oczy zdradzały, że lubił ryzykować.

- Richard Morgan! - odezwał się, gdy Richard przechodził obok jego pryczy,

znajdującej się u góry, w rogu, gdzie przednie przepierzenie stykało się z kadłubem sterburty.

- Witam cię na wrogim terytorium.

- Nie jestem twoim wrogiem, Johnie Power. Jestem spokojnym człowiekiem, który pilnuje własnych spraw.

- I tych, które dotyczą bakburty. Mówią mi, że jest tam bardzo schludnie, czysto i porządnie. Prawdziwie po bristolsku, wzorowy porządek.

- Rzeczywiście, jestem bristolczykiem. Odwiedź nas jednak i sam się przekonaj. To prawda, że trzymamy się razem - ale przecież nikt z nas nie mówi żargonem.

Moi ludzie lubią posługiwać się żargonem, choć mnie samemu nie bardzo to odpowiada. Marynarze go nie cierpią. - Power przyłączył się do Richarda. - Jesteś już starym facetem, Morgan, jak ci się z bliska przyjrzeć.

- We wrześniu skończyłem trzydzieści osiem lat, choć jak dotąd mój wiek nie dał mi się jeszcze we znaki, Power. Utraciłem być może trochę sił po prawie pięciu miesiącach na „Alexandrze”, ale mieliśmy trochę roboty w Portsmouth, co nam pomogło. Bristolczykom zawsze każą pracować przy okrętowych ściekach - nosy mamy uodpornione nawet na najohydniejsze zapachy. Wysłano cię na galar czy też na któryś ze statków?

- Na galar. Jestem w dobrych stosunkach z załogą „Alexandra”, toteż moi ludzie nigdy nie widzieli więziennych okrętów w Portsmouth. - Westchnął głęboko, sygnalizując rękami uniesienie. - Wkrótce będę pracować na „Alexandrze” jako marynarz. Bones, trzeci oficer, obiecał mi to. Wówczas odzyskam siły.

- Myślałem, że przez całą podróż będą nas trzymać pod pokładem.

- Nie, jeśli Bones się nie myli. Gubernator Phillip mówi, że nie można dopuścić, żebyśmy zmarnieli - mamy być zdolni do pracy, gdy dotrzemy do zatoki Botany.

Doszli do baryłki z morską wodą przy przepierzeniu sterburty i zawrócili. Power spojrzawszy kątem oka na Willa Connelly'ego, skulonego nad Danielem Defoe.

- Czy wy wszyscy potraficie czytać? - zapytał z ukrywaną zazdrością.

- Sześciu z nas potrafi, a z tego pięciu jest bristolczykami - Crowder, Davis, Connelly, Perrott i ja. Tym ostatnim jest Bill Whiting - wyjaśnił Richard. - Bristol ma dużo charytatywnych szkół.

- Londyn nie ma prawie żadnych. Choć i tak zawsze uważałem, że czytanie książek to strata czasu, skoro obrazek na każdym sklepiku tak mówi człowiekowi, co jest w środku. - Machnął ręką z rezygnacją - Teraz myślę, że dobrze byłoby, gdybym tak potrafił czytać. Dla zabicia czasu.

- Gdy pójdziesz na górę, to nie będzie to takie straszne. Jesteś żonaty?

- Co, ja? - Power skierował kciuki na dół. - Kobiety to trucizna. Nie, są takie same jak my - niektóre dobre, niektóre złe, a niektóre nijakie. - Ile z każdej z tych grup znalazł osobiście? - zapytał Power, uśmiechając się i ukazując mocne białe zęby. Nie był zatem pijakiem.

- Więcej dobrych niż złych i żadnej nijakiej.

- A żony?

- Dwie, zgodnie z moim rejestrem.

- Skoro mowa o rejestrach, dowiedziałem się od porucznika Johnstone'a, że nie mają żadnych! - Power zacisnął radośnie pięści - Wyobrażasz to sobie? Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nigdy nie wysłało Phillipowi naszej listy, nikt więc nie wie, jakie były nasze zbrodnie ani jak długo mamy siedzieć. Zamierzam to wykorzystać, jak tylko dotrzemy do zatoki Botany.

- A zatem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych działa równie sprawnie jak bristolskie biuro akcyzowe - odparł Richard, gdy dotarli do pryczy Powera, który wdrapał się na nią niedostrzegalnym ruchem. Pełen gracji, niczym Stephen Donovan, którego towarzystwa brakowało Richardowi, od kiedy znaleźli się na dole. Mógł sobie i być tą panną Molly, ale był odczytany, a do tego nie był skazańcem, więc można było z nim rozmawiać o różnych sprawach, a nie tylko o więzieniu.

Richard wrócił na swoją pryczę zamyślony. To interesujące, że nikt z władz nie ma pojęcia o rodzaju przewinień danego skazańca oraz o tym, ile czasu pozostało każdemu z nich do odsiedzenia... Być może uda się to tak wykorzystać, jak mówi Power, istnieje jednak inna możliwość - a mianowicie, że rząd arbitralnie zadecyduje, że wszyscy więźniowie mają odsiedzieć po czternaście lat. Nikt nie chciałby, aby całe hordy więźniów domagały się zwolnienia pół roku po przyjeździe, twierdząc, że odsiedzieli już swoją karę. To by wyjaśniało, dlaczego zostali w Portsmouth przeszukani. Wykupienie przejazdu statkiem do domu sporo kosztowało, a wszyscy wiedzieli, że w planach parlamentu nie było żadnych biletów powrotnych. Ktoś spośród świty Phillipa był na tyle sprytny, iż domyślił się, że wiele mężczyzn i kobiet może ukrywać pieniądze na wykupienie przejazdu do domu. „Powinieneś zastosować tu metodę pana Sykesa, majorze Ross. Ale ty nie jesteś na tyle brutalny, nawet jeśli ją znasz. Rozszyfrowałem cię - jesteś człowiekiem honoru, zagorzałym poplecznikiem i obrońcą swoich ludzi. Szkockim pesymistą o gwałtownym usposobieniu, ostrym języku, do tego jesteś niezbyt ambitny i masz skłonności do zapadania na chorobę morską”.

Dwudziestego maja, kiedy „Alexander” znalazł się na silnie wzburzonym morzu i

zaczął zacinać deszcz, więźniowie zostali wyprowadzeni w kilkunastoosobowych grupach na pokład w celu zdjęcia im nóg kajdan. Najpierw poszli na górę choroby, włącznie z Ikiem Rogersem który był w takim stanie, że doktor Balmain przepisał mu szklanekę mocnej madery dwa razy dziennie.

Kiedy nadeszła kolej Richarda, wyszedł na pokład w czasie niewielkiego sztormu. Nie było widać niczego poza samym statkiem i kilkoma jardami spienionego oceanu, jednak niebiosa płakały świeżą, prawdziwą słodką wodą. Ktoś popchnął go na pokład, tak że usiadł z nogami wyciągniętymi przed siebie. Dwóch żołnierzy siedziało obok siebie na stołkach - jeden z nich wsunął szerokie kowalskie dłuto pod kajdany, by je przytrzymać, a drugi mocno uderzał młotkiem w jego rękojeść. Był to przejmujący ból, gdyż siłę uderzeń odczuwał również w nodze, lecz Richardowi było to obojętne. Uniósł twarz i pozwolił, aby deszcz spływał mu po skórze, a jego wyzwolony duch wznosił się ku szarym strzępom chmur. Jeszcze jeden przeszywający ból, kiedy uwalniano mu drugą nogę, i z zawrotem głowy poczuł lekkość własnych nóg. Przemoczony do suchej nitki był teraz zupełnie, cudownie i doskonale szczęśliwy.

Ktoś, nie miał nawet pojęcia kto, podał mu rękę, pomagając podnieść się na nogi. Oszołomiony i lekki niczym piórko ustąpił miejsca i wreszcie dotarło do niego, że po trzydziestu trzech miesiącach noszenia kajdan nagle został z nich uwolniony.

Kiedy znalazł się z powrotem w więzieniu, zaczął drżeć z zimna. Zdjął ubranie, wykręcił z niego słodką, czystą wodę do swego okapnika, rozwiesił je następnie na sznurze zawieszonym pomiędzy baryłką z morską wodą a belką, osuszył szmatą swe ciało i nałożył nowe ubranie. Był to odpowiedni do tego dzień, prawdziwy kamień milowy.

Rano spojrzął na swoich przyjaciół i usiłował zobaczyć każdego z nich tak samo, jak postrzegał teraz siebie. Jak się czuli? Co myśleli o tym ogromnym eksperymencie z ludzkimi żywotami? Czy któryś z nich zdawał sobie sprawę z tego, że utracili ojczyznę na zawsze? Czy mieli jakieś marzenia? A jeśli tak, to o czym marzyli? Jakie mieli nadzieje? Gdyby zadał im te pytania, zapytał ich bezpośrednio, odpowiedzieliby mu tak samo jak wszyscy mężczyźni - że marzą o pieniądzach, majątku, wygodzie, seksie, żonie i rodzinie oraz długim życiu bez żadnych zmartwień. No cóż, sam o tych rzeczach myślał i marzył, a jednak nie tego pragnął się dowiedzieć.

Wszyscy spoglądali na niego z ufnością i przywiązaniem i od tego zapewne należało zacząć, ale nie można było na tym zakończyć. Każdy z nich musiał zrozumieć, że sami decydują o własnym losie. Richard Morgan może i był im ojcem, ale nie mógł zastępować

matki.

Pozwolono więźniom wychodzić na pokład, pod warunkiem że nie pojawiali się na nim wszyscy równocześnie i nie przeszkadzali załodze. Szalejąc z radości, John Power dostał pozwolenie na pracę w charakterze marynarza, podobnie jak Willy Dring i Joe Robinson. Choć Richardowi wydawało się to dziwne, bynajmniej nie wszyscy więźniowie chcieli wychodzić na górę. Tych, którzy nadal chorowali mógł zrozumieć - Zatoka Biskajska powaliła wielu, którzy dotąd nie zapadli na chorobę morską - teraz jednak, kiedy uwolniono ich z łańcuchów, niektórym nadal wystarczało leżenie na pryczach lub zbieranie się w grupach wokół stołów, żeby grać w karty. Wprawdzie nadal szalała nawałnica i huczały grzmoty, ale „Alexander” nie od dziś był ciężkim okrętem do przewozu niewolników. Dopiero bardziej wzburzone morza aniżeli te, przez które płynęli, zaleją pokład, co doprowadzi do wydania rozkazu zamknięcia i zabicia włazów gwoździami.

Kiedy nadszedł rozkaz od porucznika Johnstone’a zezwalający więźniom na wejście na pokład, zaczęło się rozpogadzać. Zostali nakarmieni czarnym chlebem z soloną wołowiną i napojeni okropną wodą z Portsmouth. Sześciu szeregowców oddelegowano do wlewania wiadrami morskiej wody do więziennych baryłek, a sztywny, bardzo poprawny porucznik Shairp przechadzał się wzdłuż więzienia, rozkazując, aby ci, którzy zajmowali zaniedbane prycze, umyli pokład i platformy. Pewni, że Shairp nie będzie miał żadnych zastrzeżeń do ich obszaru, dziewięciu z jedenastki Richarda wdrapało się na pokład przez właz, machając w stronę Ike’a i Joeya Longa.

Następnie rzucili się do nadburcia, żeby pierwszy raz popatrzeć na ocean. Szarość zabarwiała się teraz stalowym błękitem i nadal była pokryta wieloma białymi grzbietami, horyzont jednak był już znowu widoczny, tak jak pozostałe statki, niektóre po stronie bakburty, inne po stronie sterburty, a dwa tak daleko za nimi, że widoczne były tylko ich maszty. W pobliżu płynął drugi wielki transportowiec niewolników, „Scarborough”, który wyglądał zjawiskowo z żaglami pełnymi wiatru, proporcami łopoczącymi w jakimś nieznanym morskim kodzie i przytępionym dziobem wgrzającym się w fale, które biegly zgodnie z podmuchami wiatru od strony belki sterowniczej sterburty. Miał większą nadbudowę od „Alexandra” i być może dlatego Zachariah Clark, agent kontrahenta, postanowił płynąć na nim. Agent marynarki wojennej, porucznik John Shortland, był jednym z tych, którzy zdezerterowali - popłynął na „Fishburnie”, okręcie zaopatrzeniowym, mimo że jeden z jego synów był drugim oficerem na „Alexandrze”. Drugi płynął na pokładzie „Siriusa”. Nepotyzm wiódł tam prym.

Podobnie jak w Tilbury, szóstka Richarda rozeszła się, gdy tylko poczuli świeże

powietrze i szansę na chwilę samotności. Richard wdrapał się na jedną z dwóch szalup umocowanych do góry dnem w poprzek zapasowych masztów i policzył okręty. Na czele płynął mniej więcej o połowę mniejszy od „Alexandra” bryg, następnymi były „Scarborough” i „Alexander”. Za nimi dwumasztowa korweta „Supply”, trzymająca się „Siriusa” niczym młode zwierzę matki. Za nimi był statek, którym - jak mu się wydawało - była „Lady Penrhyn”, następnie trzy okręty zaopatrzeniowe i dwa maszty na korwecie. W sumie jedenaście okrętów, jeśli wszystkie znajdowały się w zasięgu jego wzroku.

- Dzień dobry, Richardzie Morganie z Bristolu - odezwał się Stephen Donovan. - Jak się mają twoje nogi?

Chociaż Richard pragnął samotności, jednocześnie był zadowolony ze spotkania panny Molly Donovan, którego zdążył już rozszyfrować i upewnił się, że oficer jest na tyle inteligentny, aby się zorientować, że jego seksulane inklinacje nie były podzielane. Uśmiechnął się zatem i skinął głową z odpowiednią kurtuazją.

- W związku z morzem czy łańcuchami? - zapytał, rozkoszując się uczuciem unoszenia i opadania.

- To jasne, że morze nie jest powodem do uskarżania się. A kajdanki?

- Musiałby pan nosić je przez trzydzieści trzy miesiące, aby zrozumieć, jak się bez nich czuję, panie Donovan.

- Trzydzieści trzy miesiące! Co ty takiego zrobiłeś, Richardzie?

- Zostałem uznany winnym wymuszenia pięciuset funtów.

- Ile za to dostałeś?

- Siedem lat. Donovan zmarszczył brwi.

- To wydaje mi się bez sensu. Zgodnie z prawem powinni cię powiesić. Czy zostałeś ułaskawiony?

- Nie. Dostałem siedem lat zesłania. Skazano mnie na siedem lat.

- Wygląda na to, że przysięgli nie byli co do tego przekonani. - Ale sędzia był. Nie chciał zalecić ułaskawienia.

- Nie robisz wrażenia rozżalonego.

Richard wzruszył ramionami.

- Dlaczegoż miałbym być z tego powodu zawzięty? Była to wyłącznie moja wina, nikogo innego.

- Na co wydałeś te pięćset funtów?

- Nawet nie próbowałem spieniężyć tego weksła, więc ich nie wydałem.

- Wiedziałem, że jesteś interesującym człowiekiem.

By nie wracać do wspomnień, jakie wywoływała ta rozmowa, Richard zmienił temat.

- Niech mi pan wymieni nazwy tych okrętów, panie Donovan.

- „Scarborough” dotrzymuje nam kroku, „Friendship” jest na czele - żwawy z niego żeglarz, to pewne. Cały czas będzie pokazywać wszystkim pięty.

- A to dlaczego? Nie jestem bristolczykiem, który podróżuje po morzach.

- Ponieważ jest tak doskonale dostosowany do długich rejsów. Jego żagle sterownicze mają odpowiednią powierzchnię, właściwe proporcje długości i szerokości - tak aby móc utrzymać zarówno lekki zefirek, jak i sztormowy wicher. - Wyciągnął długie ramię, wskazując na „Supply”. - Tamta korweta posiada takielunek właściwy dla brygów, dla niej zupełnie nieodpowiedni. Ponieważ ma drugi maszt, Harry Bali zrobiłby o wiele lepiej, gdyby ją ożagłował jak dwumasztowca. Stanie się powolna, gdy tylko wypłyniemy na burzliwe morza, siedzi bowiem za nisko na wodzie i nie jest w stanie rozwinąć dobrze żagli. „Supply” dotychczas żeglowała na słabych wiatrach, w domu, na Kanale. Harry Bali będzie musiał się modlić o dobrą pogodę.

- Czy to „Lady Penrhyn” za tą parą z Królewskiej Floty?

- Nie. To „Prince of Wales”, dodatkowy transportowiec. A za nim „Golden Grove”, „Fishburn” i „Borrowdale”. Te dwa ślimaki z tyłu to „Lady Penrhyn” i „Charlotte”. Gdyby nie one, bylibyśmy już o wiele dalej, ale rozkazy komodora są bardzo jednoznaczne. Żaden ze statków nie może zniknąć z zasięgu wzroku innych. A zatem „Friendship” nie może rozwinąć swego grotbramsztaksela, a my naszych topsli. Och, jak to dobrze znowu być na morzu! - Błyszczące niebieskie oczy spostrzegły porucznika Johna Johnstone’a, wychodzącego właśnie z dżentelmeńskiej kajuty na przybudówce. Stephen Donovan zeskoczył na dół ze śmiechem. - Nie ma nic pewniejszego, Richardzie, aniżeli to, że cię wkrótce zobaczę. - I poszedł przyłączyć się do dowodzącego oficera piechoty morskiej, z którym zdawał się bardzo zaprzyjaźniony.

„Czyżby para?” - zastanawiał się Richard, nie ruszając się ze swego stanowiska. Burczało mu w żołądku - na tym cudownym powietrzu potrzebował o wiele więcej jedzenia, ale go nie dostawał. Raptem niecały funt suchego chleba i trochę więcej niż połowę z trzech czwartych funta solonej wołowiny dziennie oraz dwie kwarty wody z Portsmouth. O wiele za mało. Och, gdzież te dni na Tamizie z aprowizującymi łodziami i dobrymi obiadkami!

Wszyscy więźniowie z wyjątkiem cierpiących na chorobę morską odczuwali przejmujący, wieczorny głód. W czasie gdy ci, którzy zajmowali prycze przy bakburcie od strony rufy, byli na pokładzie, jakieś leniuchy po stronie bakburty naprzeciw nich, wykorzystując żelazny sworzeń z głównego masztu jako prowizoryczny łom, podważyli nim

włazy do ładowni rozmieszczone równomiernie wzdłuż przejść. Wprawdzie nie było tam rumu, lecz za to znaleźli zapas worków chleba. Wszędzie jednak byli kapusie. Chwilę później tuzin żołnierzy zbiegł na dół przez przedni luk, by przyłapać złodziejasków w trakcie uczty, kiedy radośnie rzucali twarde niczym kamień bochenki w stronę błagających rąk i głosów.

Sześciu mężczyzn zostało wyciągniętych na pokład, aby odpowiadali przed porucznikami Johnstonem i Shairpem.

- Dwadzieścia batów i z powrotem w okowy! - rzucił Johnstone. Skinął na kaprala Sampsona, który wyszedł z domku nad przednim lukiem ze swoim batem. I tak jak pan Thistlethwaite kiedyś powiedział, nie było to bynajmniej niegroźne narzędzie, ale przyrząd o grubej rękojeści ze sznura owiniętego wokół środkowego rdzenia i dziewięciu cieniutkich sznurkach z konopi, wiązanych co jakiś czas w supeły i zakończonych jakimiś koralikami w kolorze ołowiu.

W pierwszym odruchu Richard chciał wycofać się do więzienia, gdzie się okazało, że wszystkich wyrzucano na pokład, aby byli świadkami chłosty.

Rozebrano ową szóstkę do pasa - dwadzieścia batów nie wymagało obnażania pośladków - i pierwszą ofiarę przewieszono przez wykrzywiony dach szopy nad przednim lukiem. Instrument świszczął i jego użycie nie wymagało wielkiego wysiłku. Uderzenia batem, trzcina czy kijem zostawiały na ciele pręgi, a pałka tworzyła jeden rozległy siniak - ten jednak wymyślny przyrząd rozcinał skórę przy pierwszym uderzeniu, a tam gdzie mała ołowiana kulka na końcu każdego z dziewięciu biczów trafiła w ciało, momentalnie tworzył się duży szkarłatny guz. Kapral Sampson znał się na swojej robocie - żołnierzom również wymierzano chłostę, zazwyczaj dwanaście batów, lecz niekiedy też o wiele więcej. Każde uderzenie padało w inne miejsce, tak że za dwudziestym razem plecy mężczyzny stanowiły siatkę krwawych pręg i guzów wielkości piąstki niemowlęcia. Ofiarę oblewano wiadrzem morskiej wody, co sprawiało, że wrzeszczała ciekawym głosem, a następnie jej miejsce zajmował następny nieszczęśnik. Kiedy kapral Sampson obojętnie rozdzielał razy - zdawałoby się, że ani nie kochał, ani też specjalnie nie nienawidził tego, co robił - ci, których już ukarano, zostali ponownie zakuci w kajdany i łańcuch o podobnej długości jak na „Ceresie”. Nikt nie odesłał ich na dół - porucznik Johnstone po prostu dał rozkaz rozejścia się swemu kapralowi i tuzinowi zzieleniałych szeregowców.

Richardowi zebrało się na mdłości. Zeskoczył z szalupy i podchodząc prędko do nadburcia, pochylił się i próbował wymiotować. Zbyt długo jednak nie jadł, aby mieć cokolwiek w żołądku, zadowolili się więc patrzeniem w dół, na wodę zaledwie dziesięć stóp pod nim. Woda, jak zauważył, skupiając wzrok, była tak czysta, że wszechobecne w niej

przezroczyste meduzy przypominały duchy, otoczone parasolkami z najdelikatniejszego jedwabiu, z długimi kosmykami błyszczących koronkowych czułek, skazanych na rozszarpanie przez statki lub prądy.

Coś świsnęło - szu! - tak nagle, że aż podskoczył. Długie, lśniące i mieniące się ciało wystrzeliło obok niego i zniknęło tuż pod powierzchnią morza, w łuku absolutnej wolności i całkowitej radości. Czy to delfin? Morświn? Figlowały tam i inne, całe ich stado, ścigając się z brudnym, rozpadającym się „Alexanderem”.

Łzy spływały mu po twarzy i nawet nie próbował ich obetrzeć. Wszystko stanowiło część tej całości. Piękno Boga i brzydota człowieka. Jakież miejsce mógłby zająć człowiek w tak wspaniałym wszechświecie!

Chłosta otrzeźwiła wszystkich, a „Alexander” kontynuował swój rejs na południe, w stronę Wysp Kanaryjskich. John Power dowiedział się od swojego przyjaciela, Bonesa, że jeden ze skazańców, którego trochę znał - Nicholas Greenwell - został ułaskawiony na dzień, zanim flota wyruszyła z Portsmouth, i przemyciono go w sekrecie na ląd. Porucznik Shairp pamiętał niezadowolenie, jakie wywołało uwolnienie Jamesa Barletta, kiedy „Alexander” stał u brzegów w Tilbury.

- Z początku nie zauważyłem braku tego pierdolnika, potem myślałem, że umarł - powiedział Power Richardowi i panu Donovanowi na górnym pokładzie, gdzie słowa ich unosiły się z wiatrem. - Skurwysyn! Skurwysyn! To ja powinienem zostać ułaskawiony, a nie Greenwell!

Power nieustannie podkreślał, że jest niewinny, że to nie on był z Charlesem Youngiem - o którego obecnym miejscu pobytu nic nie wiedział - kiedy ćwierć tony rzadkiego drewna należącego do Spółki Wschodnioindyjskiej wywieziono z londyńskiego nadbrzeża portowego za pomocą łodzi. Dozorca rozpoznał Younga, lecz nie mógł przysiąc, że Power był tym drugim człowiekiem. Jak zwykle jednak przysięgli założyli, że Power jest winny - najbezpieczniej było przyjąć, że owym drugim człowiekiem był faktycznie Power, nawet jeśli strażnik nie był tego pewien. Sędzia, zgadzając się z tym, skazał go na siedem lat zesłania.

- To powinienem być ja! - krzyknął Power z twarzą pociemniałą z wściekłości i wykrzywioną w bólu. - Greenwell był rozbójnikiem, to jasne i oczywiste! Ale ja nie mam jego znajomości, tylko chorego ojca, którym teraz nie mogę się już opiekować! Skurwysyn, pierdolnik, pierdolę ich wszystkich!

- Spokojnie, spokojnie! - uciszał go Donovan, zachowując się nagle jak typowy

Irlandczyk. Kiedyś powiedział tylko tyle, że był porządnym protestantem z Ulsteru. - Johnny, już za późno na to, żeby płakać. Pamiętaj o chłostach i wracaj do domu, jak tylko odsiedzisz swoją karę.

- Mój ojciec umrze do tego czasu.

- Nie możesz być tego pewien. A teraz idź i zrób, co ci kazał pan Shortland, bo inaczej wrócisz do nieróbstwa.

Wściekłość minęła, lecz ból pozostał. John Power spojrzął na czwartego oficera oczyma pełnymi łez, a następnie odmaszerował.

- To dziwne - powiedział Richard z namysłem, zadecydowawszy, że nadszedł czas na otwarte przedstawienie spraw - że nie upodobał pan sobie jego. Dlaczego akurat takiego starego łykowatego faceta jak ja?

Trochę za bardzo przystojna twarz udała zdziwienie, lecz oczy zamigotały figlarnie.

- Jeśli czuję do ciebie sympatię, Richardzie, jest to nieodwzajemniona miłość. Przecież nawet kotu wolno się gapić na króla.

- Prawdziwy Irlandczyk z irlandzkich bagien.

- Skoczek błotny.

- A co to takiego? - zapytał Richard, nagle zaintrygowany.

- Cudowna ryba wyłaząca z wody, o której kiedyś czytałem. Może to sir Thomas Banks ją opisał, już nie pamiętam. Skacze po błocie.

Śmierć zbierała swoje żniwo - na pokładzie „Alexandra” pozostało już tylko stu osiemdziesięciu ośmiu zesańców.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy konał Thomas Gearing z Oksfordu, Teneryfa wyłoniła się z mgły i deszczu tak nagle, że mieszkańcy więzienia, którym kazano zejść na dół, prawie nie zauważyli, kiedy ich statek zawitał do portu.

Nie mając zbyt wiele do roboty przez trzy tygodnie - poza karmieniem więźniów i rozmyślaniem nad własną krzywdą - żołnierze zabrali się teraz poważnie do swoich obowiązków. Najbardziej uciążliwym zadaniem, które do nich należało, było gotowanie w kotłach kawałków solonej wołowiny, które sierżant Knight miał ważyć na wadze, którą osobiście sprawdził porucznik Shortland, agent floty wojennej. Jednak skoro agent ten nie nadzorował ich, sierżant Knight po prostu rąbał kawałki wołowiny lub wieprzowiny na pół funtowe porcje dla więźniów i półtorafuntowe dla żołnierzy. Skazańcy mieli dostawać również groch lub owsiankę, lecz sierżant Knight ograniczał takie smakowitości do niedzielnych posiłków po odprawieniu modłów. Miał dosyć bawienia się w niańkę dla tylu

skazańców, zanim jeszcze „Alexander” wyruszył na morze - waga, też coś! Nawet jeśli porucznik Shairp schodził na dół, żeby go pilnować, Knight i tak nie próbował ważyć czy sprawiedliwie przydzielać racje, a Shairp nigdy nic nie mówił. I lepiej, żeby nie mówił!

Pomijając zrozumiałe różnice zdań w grupie prawie czterdziestu mężczyzn, którzy musieli nieustannie przebywać razem, żołnierze byli ogromnie niezadowoleni. Przeprowadzka do pomieszczeń dla młodszych oficerów powinna ich udobruchać, ale tak się nie stało. O, trzeba było przyznać, że to dziwnego kształtu pomieszczenie, w którym sufit był o wiele większy od podłogi, było niewątpliwie bardziej wygodne, lecz rumpel wchodził do wewnątrz wzdłuż całego sufitu, skrzypiąc, piszcząc i trzeszcząc głucho, a niekiedy nawet uderzając żołnierza odpoczywającego w swoim płóciennym gnieździe, jeśli sternik z rozmachem obrócił koło sterowe, w momencie gdy fale uderzały w niewłaściwą stronę. Z kilku iluminatorów docierało do nich światło i świeże powietrze, smród był niewielki, a załoga zachowała się na tyle przyzwoicie, że zostawiła kabinę względnie czystą.

Jednak brakowało im czegoś, co było o wiele istotniejsze aniżeli te wszystkie udogodnienia - nie dostawali swej codziennej półkwarty rumu - Kapitan Duncan Sinclair, w którego gestii leżało rozdzielanie trunków, zdecydował, żeby rozcieńczać rum wodą, przez co otrzymywano grog. Jeszcze zanim „Alexander” opuścił Portsmouth, wybuchła o to wściekła wrzawa i oburzenie, i przez kilka następnych dni rum serwowano w sposób, w jaki powinno się go podawać - czysty. Teraz znowu dostawali wodnisty grog, już od wysp Scillies. Pomimo rumplu nie było mowy o spaniu bez sennych majaków, a już z pewnością o przyjemnych myślach. Dla każdego marynarza czy żołnierza na pokładzie statku rum był początkiem i końcem wszelkich ziemskich przyjemności, a teraz i jedni, i drudzy musieli zadowolić się grogiem. Nienawiść pośród załogi i żołnierzy do Sinclaira była równie powszednia jak głęboka. Sinclairowi było to jednak zupełnie obojętne - siedział na wysokościach kapitańskiej kajuty, którą zamienił w fortecę. Zamierzał zacząć później sprzedawać rum, który obecnie trzymał w ukryciu. W końcu to on musiał zapłacić za tę swoją kajutę, wiedział, że admiralicja tego nie zrobi.

Teraz, gdy już dopłynęli do portu Santa Cruz, istniały szanse na zejście na ląd i zakupienie takiej ilości rumu, jaką tylko żołnierz byłby w stanie wypić - sam major Ross wydał rozkaz, że żaden z żołnierzy nie może dostać długiej przepustki na ląd! Porucznik Johnstone poinformował ich swoim ospałym głosem, że w ciągu dnia należy utrzymywać pełną straż, ponieważ gubernator Phillip nie chciał, aby więźniowie byli przetrzymywani pod pokładem. Poza tym Johnstone oznajmił, iż gubernator Phillip wraz ze swoim adiutantem, porucznikiem Kingiem, w trakcie postoju na Teneryfie złożą im niezapowiedzianą wizytę na

pokładzie. A zatem biada temu żołnierzowi, którego duszący, czarny, skórzany kołnierz nie był zapięty pod szyją lub którego wysokie pod kolana, czarne skórzane sztylpy nie były odpowiednio zapięte na wszystkie guziki. Statek jest pełen zdesperowanych kryminalistów - stwierdził porucznik Johnstone, machając ze zmęczeniem ręką, a Teneryfa nie leży na tyle daleko od Anglii, aby można było sobie pozwolić na relaks. Sierżant Knight, któremu groził sąd wojenny za protesty związane z grogiem, bynajmniej nie był więc szczęśliwym człowiekiem. I jego podwładni również.

Sytuację na „Alexandrze” pogarszało to, że okręt ten nie odziedziczył ani jednego ze starszych oficerów. Teraz, gdy już rozgościli się w swoich kajutach w przybudówce, porucznicy Johnstone i Shairp nie byli w żaden sposób uzależnieni od swoich podwładnych, jeśli chodziło o wygody życia. Mieli własnych służących - służący oficerów zawsze byli lizusami - i kuchnię, możliwość trzymania swojego żywego inwentarza na pokładzie dla wzbogacenia ich stołu i dostęp do okrętowej szalupy, jeśli mieli ochotę odwiedzić któregoś z przyjaciół na innych statkach, w czasie gdy „Alexander” był na morzu. Szeregowcy, dobosze, kaprale i samotny sierżant nie zdawali sobie sprawę z tego, jak bezlitosne było ich zadanie - karmienie i pilnowanie nieomal dwustu więźniów. Byli pewni, że w porcie skazańcy zostaną zamknięci. Teraz okazało się jednak, że ten szalony gubernator upierał się, żeby dać więźniom prawo do wychodzenia na pokład również w porcie!

Oczywiście rum pojawił się na pokładzie, gdy tylko zwolniono załogę - żołnierze przyłączyli się do składki, dzięki której bez względu na to, czy byli uwięzieni na statku, czy też nie, i tak mogli zwilżyć zaschnięte gardła czymś mocniejszym od tego cholernego grogu Sinclaira. Szczęście uśmiechnęło się do nich po raz wtóry, kiedy późnym popołudniem czwartego czerwca na „Alexandra” wszedł gubernator Phillip wraz ze swoją świtą na inspekcję. Kapitan Sinclair wytoczył się ze swojej kajuty, aby porozmawiać uprzejmie z gubernatorem, podczas gdy skazańców ustawiono w szeregu pod okiem żołnierzy na służbie - z przekrwionymi oczyma, cuchnącym oddechem, ale za to w doskonale zapiętych kołnierzach i sztylpach.

- To prawdziwa tragedia, że nie możemy zapewnić tym ludziom lepszego zakwaterowania - powiedział Phillip, obchodząc więzienie dookoła. - Widzę tu czternastu zbyt chorych, aby mogli wychodzić na pokład, a wątpię, aby w tych przejściach było miejsce na więcej niż czterdziestu ludzi gimnastykujących się równocześnie. Dlatego też należy im dać tyle swobody na pokładzie, ile tylko możliwe. Jeśli będziecie mieć jakieś problemy - zwrócił się do majora Rossa i dwóch poruczników na „Alexandrze” - skujcie ich podwójnymi łańcuchami na parę dni i zobaczycie, jak potem będą się zachowywali.

Stojąc na pokładzie pośród innych skazańców, tłoczących się wszędzie, gdzie tylko było miejsce, Richard patrzył na człowieka, który mógłby być bratem senhora Habitasa. Gubernator Phillip miał długi, zakrzywiony, haczykowaty nos, dwie pionowe zmarszczki przegradzające mostek owego nosa, pełne i zmysłowe usta, łysiejącą czaszkę, a włosy podkręcone w rolki nad uszami i spięte z tyłu na szyi w warkoczyk. Richard przypomniał sobie, jak pan Thistlethwaite mówił, że ojciec gubernatora, pan Jacob Phillip, nauczyciel języków z Frankfurtu, uciekł przed zainspirowanymi przez luteranów prześladowaniami niemieckich Żydów. Matka jego była zącną Angielką, ale jej krewny, lord Pembroke, nie uważał za stosowne pomóc temu rokującemu dobre nadzieje młodemu człowiekowi finansowo czy też w jego wykształceniu. Nie popchnął też Arthura Phillipa na wyższe szczeble w marynarce wojennej. Na wszystko musiał sam zapracować, włącznie z długim pobytem w portugalskiej marynarce - kolejny związek z senhorem Habitase. Wtedy Richard zrozumiał, że nigdy już nie stanie bliżej gubernatora Nowej Południowej Walii, i poczuł się dziwnie pokrzepiony.

Adiutant i protegowany Phillipa, porucznik Philip Gidley King, był młodym mężczyzną, przed trzydziestką. Anglik, prawdopodobnie spokrewniony z Celtami, sądząc po sposobie mówienia - nieustannie i entuzjastycznie. Jego angielskość ujawniała się w dokładności relacjonowania faktów, cyfr i statystyk podczas obchodzenia pokładu. Major Ross najwidoczniej pogardzał nim, uważając go za pustą gadułę.

I tak nadszedł wtorek, zanim więźniowie mieli okazję przyjrzeć się Santa Cruz i częściom Teneryfy widocznym z miejsca, w którym zacumowali. Tego popołudnia nakarmiono ich świeżym mięsem koźlęcym z gotowaną dynią, dziwnym, ale jadalnym chlebem, i dużymi, surowymi, soczystymi cebulami. Żadna z tych jarzyn nie spotkała się z wielką akceptacją pośród wielu z nich, lecz Richard zjadł swoją cebulę, jakby była jabłkiem, wpijając w nią zęby i pozwalając, by sok spłynął mu po policzku, mieszając się ze łzami, jakie wywoływały jej opary.

Miasteczko było małe, pozbawione drzew i sprawiało wrażenie bardzo zmęczonego, a ziemia wokół zdawała się stroma, sucha i niegościnna. Góry, którą Richard tak bardzo pragnął zobaczyć, gdy o niej czytał, nie było widać przez warstwę szarych chmur, które wisiały jedynie nad wyspą - niebo nad morzem było bowiem błękitne. Teneryfa miała czapkę naciągniętą na głowie niczym kapelusz na łbie osła, którego zobaczył przy kamiennym molu - pierwsze prawdziwie nowe wrażenie, jakie wyniósł z tego pozaangielskiego świata. Łodzie aprowizacyjne albo tam nie istniały, albo zostały zawrócone przez barkasy Patrolujące obszar, w którym cumowały wszystkie transportowce. „Alexander” stał pomiędzy dwiema

naprężonymi kotwicami, spuszczone na dno przez unoszące się na wodzie beczki, ponieważ - jak mu wyjaśnił jeden z trzeźwiejszych marynarzy - dno portu zasłane ostrymi kawałkami żelaza. Hiszpanie przywieźli je tu w charakterze balastu, a po zabranii ładunku po prostu wyrzucili do wody. Jeśli liny nie były tak mocno napięte, żelazo zazwyczaj je przecierało.

Wybrali dobrą porę roku na przybycie do tego miejsca, jak dowiedział się od innego marynarza, który był tu już kilka razy - było ciepło lecz ani za gorąco, ani za duszno. Październik był najtrudniejszym miesiącem do wytrzymania, lecz począwszy od lipca aż do listopada, wiały tam bardzo silne wiatry z Afryki, gorące jak żar z pieca, i niosły ze sobą mnóstwo gryzącego piasku. Ale Afryka była oddalona zaledwie o kilkaset mil! Ziemia, jak mu się zawsze zdawało, pełna parujących dżungli. To jasne, że nie w tej strefie - znajdowali się blisko miejsca, w którym Atlas trzymał świat na swych szerokich ramionach. Tak, przypominał sobie, że pustynie Libii sięgały aż do zachodniego wybrzeża Afryki.

W środę Stephen Donovan zszedł na dół do więzienia zaraz po zachodzie słońca, ażeby go odszukać.

- Jesteś mi potrzebny razem z twymi ludźmi, Morgan - powiedział krótko, z zaciśniętymi z niezadowolenia ustami. - Dziesięciu z was wystarczy. Tylko żwawo.

Z każdym dniem spędzonym na kotwicy Ike Rogers czuł się trochę lepiej, a poprzedniego dnia zjadł nawet swoją cebulę z takim apetytem, że został obdarowany następnymi. Dynia również została pochłonięta, lecz na mięso i chleb nie miał ochoty. Spadek jego wagi był coraz większym powodem do zmartwień - pełna, zuchwała twarz ustąpiła miejsca kościom, a nadgarstki miał teraz tak cieniutkie, że robiły wrażenie guzowatych. Ponieważ Joey Long nie chciał go zostawić, Richard postanowił zabrać ze sobą Petera Morrisa z pryczy Tommy'ego Crowdera.

- A dlaczego nie mnie? - zapytał z irytacją w głosie Crowder.

- A dlatego, że czwarty oficer nie zszedł tu na dół do więzienia w poszukiwaniu sekretarza dla siebie. Jemu potrzebni są robotnicy.

- No to weź Petleya z moim błogosławieństwem - odparł Crowder, uspokoiwszy się. Obecnie zaangażował się w delikatne negocjacje z sierżantem Knightem, które mogły doprowadzić do zdobycia odrobiny rumu, nawet po zawyżonych cenach.

Dziesięciu więźniów zastało pana Donovana na pokładzie, przechadzającego się niczym burza tam i z powrotem.

- Za burtę i do barkasu! - zagrzmiął. - Mam jedynie paru ludzi na tyle trzeźwych, aby zdołali wnieść na górę puste beczki na wodę, ale nikogo, żeby mógł je zabrać do nadbrzeża i

napełnić. To wasze zadanie. Będziecie pod rozkazami pomocnika do załadunków, Dicka Floana, a zostaliście wybrani do tej roboty, bo nie ma trzeźwych żołnierzy, którzy mogliby was pilnować. Ilu z was potrafi wiosłować?

Wszyscy bristolczycy potrafili, a więc czworo z tej grupy. Pan Donovan, człowiek wstrzemięźliwy, jeszcze bardziej spochmurniał.

- No to trzeba was będzie holować tam i z powrotem, choć nie mam pojęcia, skąd wziąć odpowiedni do tego galar. - Zauważył syna agenta marynarki wojennej, drugiego oficera, i złapał go. - Panie Shortland, potrzebny mi galar do przyholowania barkasu z beczkami na wodę. Masz pan jakiś pomysł?

Po chwili pełnego dezaprobaty zastanowienia, pan Shortland, nie pozwalając sobie na nepotyzm, wysłał sygnał na okręt „Fishburn”, na którym przebywał jego ojciec. „Fishburn” natychmiast odpowiedział, tak że upłynęło zaledwie pół godziny, a barkas „Alexandra” załadowany pustymi, stojącymi pionowo beczkami został holowany w stronę mola.

Jak na tak suche i odosobnione miejsce, woda na Teneryfie była wspiana - pochodziła ze źródła w głębi lądu, w pobliżu miasteczka zwanego Laguną, i była doprowadzana za pomocą stosowanych wówczas powszechnie rur z wiązu - importowanych, jak się domyślał Richard, z Hiszpanii - a wyciekała z szeregu otworów rozmieszczonych wzdłuż krótkiego mola. Woda wylewała się do słonego portu, chyba że któryś ze statków napełniał nią swoje beczki. Od opuszczenia Portsmouth „Alexander” zużył cztery tysiące galonów, zatem pustych było dwadzieścia sześć z tych stu sześćdziesięciogalonowych beczek, a napełnianie każdej z nich trwało dwie i pół godziny. Był to bardzo prosty system, jednak pozwalał na napełnianie jedynie sześciu beczek równocześnie. Gdyby Hiszpanie skonstruowali drewniane molo na palach, można by wówczas tak ustawić łódź z beczkami, by wszystkie dało się napełnić bez obsługi beczek czy też łodzi. W tych jednak warunkach trzeba było ustawić sześć beczek po obu stronach galara i nieustannie nim manewrować, aby najpierw częściowo napełnić beczki po jednej stronie, a potem obrócić się i to samo zrobić z tymi po drugiej. W przeciwnym razie ciężar - a pełna beczka ważyła ponad pół tony - wyróciłby ich do góry dnem. Dlatego też potrzeba było dziesięciu ludzi do pracy - do popychania, ciągnięcia i manewrowania wiosłami, aby obracać galar w kółko. Musieli też pamiętać o tym, co powiedział im Donovan - że napełnianie beczek mają zakończyć jeszcze tego samego dnia. Następnego dnia był bowiem zarezerwowany dla „Scarborough”.

Drugi galar „Alexandra” został przyholowany przez następną załogę holowniczą i zawierał czternaście beczek. Załozde tej, mającej nadzieję na spędzenie paru godzin na lądzie, kazano odholować pierwszą łódź „Alexandra” z powrotem. Nie był to rozkaz, który ludzie ci

przy, jęliby od byle kogo. Pochodził jednak od pana Samuela Rottona, jednego z oficerów admirałskich na „Siriusie” i kierownika zaopatrzenia w wodę. Ten chorowity mężczyzna musiał wykonywać swe obowiązki pod osłoną zielonej, jedwabnej parasolki, pożyczonej od cudownej pani Deborah Brooks, żony bosmana na „Siriusie” i bardzo dobrej przyjaciółki gubernatora.

- Czyżby? - zapytał Richard Dicky’ego Floana, który znał wszystkie plotki.

- O, tak. To trochę nieprzyzwoite, Morgan. Wszyscy na „Siriusie” o tym wiedzą, włącznie z Brooksem. Jest starym towarzyszem Phillipa.

Już dawno zapadły ciemności, zanim zdołano napełnić ostatnią beczkę, i dziesięciu skazańców aż drżało ze zmęczenia. Nie dano im nic do jedzenia, a Richard pierwszy raz nie miał skrupułów - nie dało się pracować w słońcu, nawet jeśli było ono za chmurami, bez picia, a jedyna woda pitna pochodziła z rury biegnącej ze źródła w Lagunie. Więc ją pił.

Wróciwszy na „Alexandra” po ósmej, padnięci i rozłożeni z wyczerpania na beczkach, skazańcy ujrzeli, że port zaroił się od małych łódeczek, z których każda wyposażona była w migoczące światła i usiłowała złowić coś, co najwidoczniej nie dało się złapać w ciągu dnia. Zaczarowana kraina podskakujących na wodzie latarni i widoczny niekiedy złoty połysk sieci, migoczących od tego, co się w nich poruszało.

- Spisaliście się wyjątkowo dobrze - powiedział czwarty oficer, kiedy ostatni z nich, Richard, wdrapał się niezdarnie po drabinie na górę. - Chodźcie za mną. - I odszedł w kierunku mesy oficerskiej. - Wiem, że nikt nie dał wam jeść, a nie ma tu ani jednego żołnierza na tyle trzeźwego, żeby zagotować wam cokolwiek na tym nieszczęsnym piecu, nie podpalając jednocześnie całego statku. Załoga wcale nie jest w lepszym stanie, ale kucharz, pan Kelly, zostawił wam uprzejmie trochę jedzenia, zanim udał się na spoczynek do swego hamaka, tuląc w objęciach butelczynę.

Nie ucztowali tak od czasów opuszczenia „Ceresu” i ich obiadów z łodzi dostawczych - zimna baranina, pieczona, a nie gotowana, bryja z dyni i cebuli duszonej z ziołami, świeże bułeczki posmarowane grubo masłem, a całość popita cienkuszem.

- Nie wierzę, że to masło - powiedział Jimmy Price z błyszczącym podbródkiem.

- My też nie wierzyliśmy - odparł sucho Donovan. - Wydaje się jednak, że masło załadowane dla oficerów zostało zapakowane do nieodpowiednich baryłek - produkty łatwo psujące się powinny być przechowywane w podwójnych pojemnikach, lecz kontrahenci, pragnąc jak zwykle ułatwić sobie sprawę, użyli do tego celu zwykłych. A zatem masło zaczęło jełczeć i dano je całej flocie, ażeby się go pozbyć, zanim się zepsuje. Potem bednarze zabiorą się do roboty i wykonają właściwe baryłki, których jednak nie będziemy mogli

napełnić aż do przybycia na przylądek Dobrej Nadziei, bo po tej stronie nie ma mlecznych krów.

Z pełnymi żołądkami zawlekli się na swoje prycze i spali, dopóki nie obudziły ich dzwony, bijące w południe na *Anioł Pański*. Wkrótce zjedli jeszcze raz - tym razem koźłęce mięso, świeży chleb kukurydziany i surowe cebule.

Richard podał Ike'owi świeżą bułeczkę z masłem, którą ukradł poprzedniego dnia i ukrył pod koszulą.

- Spróbuj to zjeść, Ike. Masło powinno ci pomóc.

I Ike zjadł ją - po trzech dniach i czterech nocach postoj na kotwicy wyglądał trochę lepiej.

- Chodźcie, popatrzcie! - wykrzyknął Job Hollister z podnieceniem, wsuwając głowę do włazu.

- Czyż on nie jest wspaniały? - zapytał, gdy Richard pojawił się na pokładzie. - Nigdy nie widziałem w Bristolu okrętu choćby w połowie tak dużego jak ten, nawet przy ulicy Kings.

Był to osiemsettonowiec należący do Holenderskich Linii Wschodnioindyjskich i przytłaczał „Siriusa”, mimo że siedział na wodzie o wiele niżej od niego. „W drodze powrotnej do domu” - pomyślał Richard. - „Obładowany przyprawami, pieprzem i drewnem tekowym, które Holenderskie Indie Zachodnie produkowały w takiej obfitości, oraz prawdopodobnie z kufrem szafirów, rubinów i pereł w kapitańskim sejfie.

- Płynie do domu, do Holandii - powiedział John Power, po czym przerwał na chwilę. - Mogę się założyć, że utracił sporą część załogi. W każdym razie nasze okręty wschodnioindyjskie zawsze tracą załogę. - Pan Bones skinął na niego, więc Power pierzchnął w popłochu.

Pewni, że oficjalna inspekcja już się nie powtórzy, żołnierze rozsiedli się do picia, zwłaszcza że zaimprovizowany pośpiesznie sąd Wojskowy zdecydował się jedynie na dyscyplinarne trzepnięcie sierżanta Knighta po palcach, lecz na szeregowców - takich jak Elias Bishop i Joseph McCaldren - którzy również mieli swój udział w „grogowej rebelii”, czekała nieomal setka liźnięć batem, toteż byli niezmiernie wdzięczni, że oficer wojskowy darzył ich większą sympatią aniżeli kapitan Duncan Sinclair. Dwóch poruczników prawie nie bywało na pokładzie, tak byli zajęci jeźdzeniem na innych statkach lub targowaniem się o kozy i kury na rynku w Santa Cruz, nie mówiąc już o jeźdzeniu w głąb lądu w celu podziwiania piękna żyznych ziem na zielonych zboczach gór.

Niektórym więźniom również udało się zdobyć rum, a na „Scarborough” sprzedawano

nawet holenderską jałowcówkę, którą wyłowiono w beczce z morza nieopodal wysp Scilly. Angielskim podniebieniem wydawała się ona ostra i gorzka, bo ich jałowcówka była słodką niczym rum i głównie dlatego tak wielu mężczyzn - i kobiet - miało gnijące zęby. Tommy Crowder, Aaron Davis i cała reszta na pryczy poniżej chrapała po rumie, który kupili od sierżanta Knighta; w rzeczy samej chrapanie dobiegające z więzienia na „Alexandrze” było najgłośniejsze od czasu wejścia na pokład. W piątek tylko tacy jak Richard, którzy woleli zachować pieniądze na inne, ważniejsze rzeczy, zostawali na pokładzie statku. W piątek w nocy zadrzały też deski jego pokładu.

Minęło pięć godzin od sobotniego świtu, kiedy przyszedł dumny i zarozumiały pierwszy oficer, William Aston Long, szukając Johna Powera.

Twarze, które zwróciły się ku niemu w osłupieniu, były oczywiście niewinne. Pan Long wyszedł z ponurą miną.

Kilku ogłupiałych z przepicia szeregowców zaczęło wrzeszczeć, żeby lepiej zabrali swe pierdolone dupy na pokład, i to szybko. Zaskoczeni skazańcy wygramolili się ze swoich prycz lub zza stołów - spodziewali się, że lada chwila ich nakarmią.

Kapitan Duncan Sinclair wyłonił się ze swojej nadbudówki, dając się, wyjątkowo niezadowolony.

- Mój tata miał maciore, która wyglądała dokładnie tak samo jak kapitan Sinclair - powiedział Bill Whiting na tyle głośno, że usłyszało go ze trzydziestu ludzi stojących najbliżej. - Nie wiem, czemu wszyscy myśliwi tyle gadają o dzikach - nigdy nie widziałem dzika czy też byka, który dorównywałby tej cholernej starej suce. Rządziła całym podwórkiem, stodołą, kurnikiem, stawkiem, nami wszystkimi i zwierzętami. Czyste uosobienie zła! Sam szatan omijał ją z daleka, a i Pan Bóg jej nie chciał. Z byle powodu rzucała się do ataku i zjadała swoje prosięta, żeby nam zrobić na złość. Knur o mało nie umarł ze strachu, kiedy miał ją obsłużyć. Nazywała się Esmeralda.

Od tego czasu kapitan Duncan Sinclair znany był całemu kontynentowi „Alexandra” jako „Esmeralda”. - Nie zważając na bolące głowy i złe samopoczucie żołnierzy, którzy nie zeszli na ląd, rozkazano im przewrócić więzienie do góry nogami, a kiedy to nie przyniosło żadnych rezultatów, również inne miejsca na statku. Zaginionego Johna Powera szukano nawet w zwiniętych żaglach na omasztowaniu. A kiedy ktoś pomyślał, żeby to sprawdzić, okazało się, że zaginęła wraz z nim jedna szalupa z „Alexandra”.

Po południu wszedł na pokład major Ross i do tego czasu nieszczęśni żołnierze zdążyli przynajmniej częściowo oprzytomnieć. Porucznicy Johnstone i Shairp natychmiast zostali wezwani do powrotu z „Lady Penrhyn”, gdzie mieli zwyczaj jadać kolacje z

kapitanem marynarki wojennej Jamesem Campbellem i jego dwoma porucznikami. Ze względu na ową „grogową rebelię” Ross miał już dość tego najbardziej problematycznego ze wszystkich jedenastu okrętów floty. Więźniowie nadal umierali, żołnierze byli najgorszym zbiorem malkontentów, jaki major kiedykolwiek widział, a Duncan Sinclair był bękartem najgorszej suki w Glasgow.

- Znajdź mi tego człowieka, Sinclair - zwrócił się do niego - w przeciwnym bowiem razie uszczupli ci się kieszeń o czterdzieści funtów. Zdałem raport z tej sprawy gubernatorowi, a on bynajmniej nie jest z tego powodu zadowolony. Znajdź go!

I znaleźli, ale dopiero o świcie w niedzielę rano, kiedy flota była już gotowa do opuszczenia portu. Wywiad przeprowadzony na pokładzie holenderskiego okrętu ujawnił, że Power przybył tam sam w szalupie „Alexandra” i błagał o pracę jako marynarz podczas rejsu do Holandii. Ponieważ miał na sobie takie samo ubranie jak wielu skazańców, których holenderski kapitan widywał na angielskich statkach, odmówiono mu grzecznie i powiedziano, aby odpłynął. Najpierw jednak ktoś, wzruszony jego głębokim żalem, dał mu kufel jałowcówki. Ekipy z „Alexandra” i „Supply” znalazły najpierw tę szalupę, przywiązaną cumą do skały w opustoszałej zatoczce. Power, śpiący mocno pod wpływem swego żalu i jałowcówki, leżał zwinięty w kłębek za stosem skał i spokojnie dał się przyprowadzić. Sinclair i Long domagali się, aby dostał dwieście batów, lecz gubernator rozkazał, by założyć mu podwójne kajdanki i przymocować do pokładu. Tak unieruchomiony miał pozostać dwadzieścia cztery godziny, a skuty kajdankami tak długo, jak długo będzie to życzeniem gubernatora.

„Alexander” wypłynął na morze. Chips, okrętowy stolarz, przytwierdził Johna Powera do pokładu przez przyśrubowanie kajdanków i oków, rozciągając go w ten sposób na wznak, twarzą do dołu. Według rozkazu nikt nie miał do niego podchodzić pod groźbą chłosty, lecz gdy tylko zapadły ciemności, podkraść się do niego Bones, żeby mu podać wodę, którą wychleptał niczym pies.

Pogoda była ładna, słoneczna i lekko wietrzna, gdy flota uwolniła się z porannego zachmurzenia panującego o świcie nad Teneryfą. Tym razem widok lądu pozostawał z nimi przez pełne trzy dni, a późne popołudnie sprawiło, iż był to niezapomniany obraz. Pico de Teide wznosił się dwanaście tysięcy stóp nad poziomem morza, a jego ostry szczyt błyszczał intensywną bielą śniegu, przepasany w połowie wysokości wstęgą szarych chmur. Później w zachodzącym słońcu śnieg połyskiwał różaną barwą, chmury zabarwiły się purpurą i coś, co mieniło się niczym stopiona lawa, spływało wzdłuż jednego ze stoków aż do samego morza - jakieś źródło tryskające z prastarej skały, której wyjątkowości nie zniszczyły ani promienie

palącego słońca, ani wiatry, ani też podmuchy piasku z odległych afrykańskich pustyni. Idealne piękno!

Następnego ranka nadal był widoczny, tyle że bardziej odległy, a trzeciego dnia wraz z orzeźwiającym wiatrem i lekko wzburzonym morzem wyglądał tak, jakby prosta i mocna ręka, która nakreśliła horyzont, nagle zadrżała, rysując mały kiel. W odległości stu mil od Teneryfy linia horyzontu ponownie stała się doskonała.

Piętnastego czerwca przekroczyli zwrotnik Raka - wydarzeniu temu towarzyszyło wiele ceremonii. Każdy na pokładzie, kto nie przekroczył jeszcze tej umownej linii, musiał zostać poddany próbom przed samym ojcem Neptunem. Pokład ozdobiono muszlami, sieciami i wodorostami i ustawiono na nim ogromny miedziany kocioł pełen morskiej wody. Dwóch marynarzy dmuchało w muszle, podczas gdy z przybudówki znoszono na tronie z beczki przerażającego osobnika - trzeba było się mu dobrze przyjrzeć, ażeby rozpoznać w nim Donovana. Głowę miał ukoronowaną wodorostami i szczybatym mosiężnym pierścieniem, brodę z wodorostów, twarz, obnażone piersi i ramiona wymalowane na niebiesko, a od pasa w dół odziany był w ogon miecznika, złapanego poprzedniego dnia, z którego usunięto wnętrzności i mięso, aby mógł pomieścić jego nogi. W jednej ręce trzymał swój trójząb, którym był harpun z „Alexandra” - trójwidlasty przyrząd, którego marynarze używali do nabijania dużych ryb. Każdego mężczyznę doprowadzało dwóch wymalowanych na niebiesko i odzianych w wodorosty marynarzy. Pytano go, czy przekroczył już kiedyś ową linię, i jeśli powiedział, że nie, wrzucano go do kotła z morską wodą. Po tym ojciec neptun namaszczał go odrobiną niebieskiej farby i puszczał wolno. Najwięcej radości sprawiło widowni wrzucenie do kotła poruczników Johnstone’a i Shairpa, choć obaj znali tę ceremonię, więc włożyli luźne marynarskie spodnie.

Wydano rum - i serwowano go bez przerwy - całej załodze, włącznie z więźniami. Ktoś wyciągnął fujarkę i marynarze zaczęli tańczyć na swój dziwny sposób, podskakując ze złożonymi ramionami, kręcąc w kółku skoczne gigi, huśtając się i przestępując z nogi na nogę. Potem przeszli na chóralne przyśpiewki, po których błagano więźniów. - załoga bowiem często słyszała, jak śpiewali - o jedną czy dwie piosenki. Richard i Taffy odśpiewali balladę napisaną przez Thomasa Tallisa, po czym przeszli na dowcipne przyśpiewki i wciągnęli w to resztę, wyśpiewując tawerniane ballady i piosenki. Każdemu podano miskę gorącej, gęstej zupy rybnej z miecznika, w której dało się nasączyć suchy chleb i która sprawiła, że wydawał się im smaczny. Po zapadnięciu nocy zapalono lampy i śpiewy ciągnęły się do dziesiątej, kiedy to kapitan Sinclair wysłał rozkaz przez Trimmingsa, swego stewarda,

aby cała załoga, z wyjątkiem wachty, poszła wreszcie, do cholery, spać.

Pochwycili północno - wschodnie wiatry, które niosły ich na południe i zachód w dobrym tempie. Żaden statek z osprzętowaniem rejowym nie ustałby w miejscu z wiatrem bezpośrednio za żaglami - musiało wiać na przewodni brzeg żagla, a zatem bardziej na bok lub na jego skraj. Idealny wiatr dał od strony najszerszej części rufy, gdzieś pomiędzy rufą a śródkręciem. Ponieważ naturalny układ wiatrów i prądów spychał statki w stronę Brazylii, wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że wcześniej czy później flota musiała zawinąć do Rio de Janeiro. Trapiło ich jedynie pytanie: kiedy? Chociaż wszystkie beczki na wodę były pełne, kiedy opuszczali Teneryfę, gubernator Phillip uważał, że roztropniej byłoby ponownie uzupełnić zapasy na Wyspach Przylądka Verde, należących do Portugalii i położonych nieomal bezpośrednio na zachód od portu Dakar.

Osiemnastego czerwca, podczas wietrznej i mglistej pogody, dotarli do Wysp Przylądka Verde - Sal, Bonavista, Mayo. „Alexander” Płynął z wiatrem z prędkością stu sześćdziesięciu pięciu mil morskich dziennie, które odpowiadały stu dziewięćdziesięciu milom lądowym. Nie liczono jednak rzeczywiście przebytych odległości, a jedynie mile pokonane we właściwym kierunku. W niektóre dni okręty mogły uzyskać minusowe odległości, cofając się, kiedy szerokości i długości geograficzne określone były w południe. Dni morskie liczono od jednego południa do drugiego, kiedy można było zmierzyć wysokość słońca w celu określenia długości geograficznej - dokładnie obliczano ją za pomocą chronometrów, ale jedyny należący do tej floty umieszczony był na „Siriusie”, okręcie admirałskim. Kiedy tylko określono długość geograficzną na „Siriusie”, sygnalizowano ją pozostałym dziesięciu statkom, wywieszając odpowiednie chorągiewki.

Rankiem wyłoniła się przed nimi duża i górzysta Wyspa św. Jago. Wszystko było dobrze, dopóki płynąca blisko siebie flota nie opłynęła południowo - wschodniego przylądka, aby zawinąć do portu w Praya. Nagle zostali pozbawieni wiatru, z wyjątkiem powiewu zwanego przez marynarzy kocimi łapkami - nieznacznych podmuchów ze wszystkich stron kompasu. Sytuację pogarszały silne fale uderzające w stronę brzegu i rozbijające się na rafach - po kilku próbach gubernator, widząc, że „Alexander” i „Scarborough” znajdują się w odległości zaledwie pół mili od brzegu, rozkazał wszystkim jednostkom powrócić na pełne morze. Nie mogli zatem uzupełnić zapasów wody.

Potem „Alexander” ponownie wpadł w tarapaty. Porucznicy Johnstone i Shairp mieli dobre układy z „Lady Penrhyn”, zawsze jeden z nich pozostawał w tyle. Obie grupy oficerów piechoty morskiej posiadały owce, świnie, kurczaki i kaczki - nie tylko gotowali je, ale

również zabijali dla siebie nawzajem. Kapitan, oficerowie i załoga mieli własne zapasy na pokładzie i tak zazdrośnie strzegli swej świeżej żywności, że rybami złapanymi przez marynarzy nie dzielono się z żołnierzami i na odwrót. Wśród załogi zawsze było kilku wyśmienitych rybaków, a i żołnierze mieli odpowiednie wyposażenie - wędkę, haczyki, pławiki i ciężarki do wędek. Jeśli okazało się, że któryś z więźniów jest dobrym rybakim, nakłaniano go do pracy w zamian za zupę z ryb w więziennym menu tego samego lub następnego dnia.

Niewielkie sztuki drobiu były od razu konsumowane przez oficerów na danym statku, lecz mięsa z ubitego barana czy świni było tak dużo, że zepsułoby się na tych tropikalnych szerokościach, zanim zostałyby zjedzone. Głodnym skazańcom, takim jak Richard Morgan, wydawało się, że oficerowie powinni umawiać się z kapitanem i załogą statku co do warunków dzielenia się mięsem. Tak jednak nie było. To, należało do oficerów marynarki, przeznaczone było jedynie na stół oficerów marynarki. A zatem jeśli Johnstone i Shairp zabili wieprza lub owcę - kozy trzymano ze względu na mleko - wywieszali obrus na rufie „Alexandra”, kapitan Campbell wraz z dwoma porucznikami wysyłali łódź po swoją część z uboju.

Ku ogromnej radości Johnstone’a i Shairpa dwudziestego pierwszego czerwca „Lady Penrhyn” wywiesiła obrus. Obaj żołnierze pośpiesznie przygotowali barkas i popłynęli po swój przydział uczyty. Gubernator Phillip, kapitan Hunter, major Ross, asesor sądu wojkowego David Collins i wiele innych osób ze starszeństwa patrzyło z osłupieniem, jak oficerowie piechoty morskiej oddalają się gdzieś na łodzi, nie zważając na silną falę nacierającą od północnego zachodu. Zręcznie wiosłowany przez dwunastu szeregowców barkas odbył swą podróż i powrócił bezpiecznie na „Alexandra”. Kiedy sztautowano go z powrotem na pokładzie, Johnstone’owi i Shairpowi ślinka ciekła po brodzie na samą myśl o soczystej poledwicy wieprzowej i cebuli z Teneryfy, duszonej na kozłim mleku.

Kapitan Sinclair posłał po nich.

- „Sirius” - odezwał się bezbarwnym głosem - ugina się od chorągiewek. Proponuję, żebyście udali się na rufę i odczytali, o czym informują.

Dwóch pierwszych poruczników wspięło się po schodach na rufę, gdzie Sinclair miał swój kurnik, zagrodę dla owiec, kóz i sześciu pulchniutkich prosiąt, dobrze ukrytych przed słońcem w bezbłotnym chlewiku, oraz mały basenik ze słoną wodą, w którym mogły zamoczyć sobie racice dla ochłodzenia ciała.

„Żadna łódź nie ma prawa opuszczać »Alexandra« bez wyraźnego pozwolenia gubernatora” - sygnalizowały flagi.

W tak zwięzłej formie nie można przekazać żadnych emocji, jednakże major Ross skorygował to nieco później tego samego dnia, kiedy przyplłynął do nich na barkasie z „Siriusa”.

- Ale z was para popierdolonych kretynów, złoję wam skórę, aż wam żebra na wierzch wyleżą! - ryknął, jak zwykle przy wszystkich tych, którzy mieli ochotę słuchać. Jego środek transportu kołysał się Przy bakburcie i nie miał zamiaru tracić cennego czasu, aby odciągnąć ich na bok, w zaciszne odosobnienie przybudówki po to tylko, żeby powiedzieć, co o nich myślał. - Gównu mnie obchodzi, co Campbell i jego ciamajdy mają z wami za interesy na „Lady Penrhyn”, czy też wy z nimi, ale od tej pory ten zasrany kontakt ma się skończyć!

Odmaszerował z powrotem do sznurowej drabinki, zszedł po niej do barkasu „Siriusa”, nie obryzgawszy się nawet kroplą morskiej piany, i ruszył w kierunku „Lady Penrhyn”, aby tam ponownie wyrazić swoją opinię.

Ponieważ wojskowi podwładni śmiali się z nich równie głośno jak załoga i więźniowie, porucznicy Johnstone i Shairp zamknęli się w przybudówce i rozważali możliwość samobójstwa.

Podczas utrzymujących się północno - wschodnich wiatrów flota posuwała się szybko, lecz pod koniec czerwca silny wiatr ustał i dalsza podróż zależała od tego, czy uda im się znaleźć jakiegokolwiek wiatry. Wiązało się to z lawirowaniem i postojami - sternik ustawiał statek w jednym halsie, a potem wszyscy czekali, by sprawdzić, czy złapie odpowiedni wiatr, który mógłby popchnąć statek we właściwym kierunku. Jeśli taki wiatr się nie pojawił, ponownie obracano trochę statek i znowu czekano. Hals, postój, hals, postój...

Richard otrzymał rozkaz łowienia ryb nie tyle z powodu swoich umiejętności, ile dlatego, że był cierpliwy. Gdy ludzie tacy jak Bill Whiting decydowali się na łowienie ryb, oczekiwali, że zaczną brać po minucie od wrzucenia wędki do wody, i nie zamierzali stać niekiedy całymi godzinami oparci o nadburtę. Gdy słońce stało wysoko na niebie, pokład nie był już przyjemnym miejscem, zwłaszcza dla kogoś o jasnej, typowo angielskiej skórze. Richard miał szczęście - zarumienił się w drodze na Teneryfę, lecz powoli pociemniał do brązu, podobnie jak Taffy, ciemnowłosa Walińczyk, oraz inni, którzy mieli ciemniejszą karnację. Dla jasnoskórego i obsypanego piegami Billa Whitinga i Jimmy’ego Price’a był to czas, kiedy musieli schodzić pod pokład, gdzie pielęgnowali swoje obolałe miejsca i pęcherze, oszczędnie smarując się maściami Richarda, a doktor Balmain wklepywał w nich bezlitośnie krem galmanowy.

A zatem kiedy Richard zobaczył, że marynarze zaczęli zawieszać płócienne zasłony

na sztagach, wantach i wszelkich występach, zważając, aby nie przeszkadzało to ludziom we wspinaniu się na górę, był bardzo zadowolony.

- Nie wiedziałem, że Esmeralda ma taki wzgląd na obrażenia słoneczne - powiedział do Stephena Donovana.

Stephen zaniósł się od śmiechu.

- Richardzie, Esmeraldę gównu obchodzą takie sprawy! Zbliżamy się do równika - dlatego straciliśmy tyle czasu bez wiatrów. Esmeralda dobrze wie, że wkrótce zaczną się sztormy, to wszystko. Te zasłony są przeznaczone do łapania deszczówki, widzisz? Przy najniższym rogu postawili beczkę do zbierania strug ściekającej wody. To prawdziwa sztuka tak zawiesić płótno - stare kawałki żagli - by stworzyło rodzaj podstawki, talerza opadającego z jednej strony i tworzącego lej. Chyba znowu straciliśmy wiatr i sędzę, że widzi to również nasza kochana Esmeralda.

- Dlaczego jest pan czwartym oficerem, panie Donovan? Chodząc po pokładzie, zauważyłem, że ma pan tyle obowiązków co pan Long, a już z całą pewnością więcej od pana Shortlanda lub Bonesa.

Niebieskie oczy zmarszczyły się trochę w kącikach, a na ustach pojawił się uśmiech, lecz Richardowi wydawał się on trochę gorzki.

- No cóż, Richardzie, jestem tylko zwykłym Irlandczykiem i mimo że służyłem z admirałem Rodneyem w Indiach Zachodnich, należę do floty handlowej. Esmeralda mianowała mnie na drugiego oficera, ale agent marynarki wojennej chciał tę koję dla swego syna. Esmeralda zaczęła zachowywać się po chamsku, kiedy poinformowano ją, że pan Shortland będzie na statku drugim oficerem - miał kiedyś z jego ojcem, porucznikiem Shortlandem, jakieś stare porachunki. W rezultacie porucznik Shortland pomyślał, iż lepiej będzie przenieść się na „Fishburna”. Syn jednak tu pozostał. Pan Bones nie miał zamiaru godzić się z utratą swej pozycji trzeciego oficera, więc zostałem czwartym. Jest nas po jednym na każdą wartę, tak można by to ująć.

Richard zmarszczył brwi.

- Myślałem, że kapitan jest panem swego statku i ma ostatnie słowo.

- Ale nie, jeśli jest partnerem Królewskiej Marynarki. Walton chce dostać więcej takiej transportowej roboty - i dlatego właśnie kapitan Francis Walton, jeden z członków rodziny, jest właścicielem „Friendshipu”. Esmeralda Sinclair jest partnerem w firmie „Walton i spółka”. Jeśli się dobrze przyjrzyysz, zauważysz, że nieomal wszyscy kapitanowie transportowców i zaopatrzeniowców są udziałowcami w tych spółkach. - Donovan wzruszył ramionami. - Jeśli eksperyment z zatoką Botany się powiedzie, wkrótce rozwinię się interes z

przewozem więźniów.

- Dobrze wiedzieć - uśmiechnął się Richard - że tacy nieszczęśliwcy jak my przynoszą niektórym ludziom bogactwo.

- A zwłaszcza temu, który nazywa się William Richards Junior. To on jest kontrahentem i tym, któremu możecie podziękować za wasze jedzenie. Niech Bóg każe temu łotrowi gnić w piekle na wieki Boże, ześlij nam tak z jedną lub dwie rybki!

Lina w ręce Richarda szarpnęła, podobnie jak ta, którą trzymał Donovan. Okrzyk radości dobiegł ich również od marynarza stojącego nieco dalej przy rufie - natrafili na ogromną ławicę ryb i zaczęli wciągać wielkie tuńczyki na pokład tak szybko, że tym, którzy stali obok i przyglądali się, kazano zakładać przynętę na haki, tak aby można było zarzucić wędki ponownie, zanim ryby odpłyną. Pod koniec tego radosnego połowu na pokładzie leżało ponad pięćdziesiąt dużych tuńczyków, podskakujących i trzepiących ogonami, a marynarze i żołnierze zaczęli ostrzyć noże, aby zabrać się za ich sprawianie, usuwanie łusek i filetowanie. Czynności tej nie pozwalano wykonywać więźniom, którzy nie mogli mieć noży.

- Będziemy dziś mieli do syta zupy rybnej - oświadczył Richard z satysfakcją w głosie. - Cieszę się, że już nie jadamy w południe. Z pełnym żołądkiem lepiej się śpi. Wiem, że nasi porucznicy narzekają, że te cudowne stworzenia są takie suche w smaku, ale przynajmniej jest to świeże mięso.

Morze było wspaniałym towarzyszem - zawsze coś się w nim działo. Richard przyzwyczał się już do widoku ogromnych morświnów i nieco mniejszych delfinów ścigających się, bawiących i wyskakujących z wody, choć nie przestawały go fascynować. Zdawało mu się, że życie mieszkańców mórz nie mogło być ograniczone do kwestii przetrwania. One cieszyły się życiem. Stworzenie tak beztroskie jak skaczący morświn nie mogło być nieświadome przyjemności chwili, kiedy spada do wody z takim pluskiem i szumem, mimo że niektórzy ludzie, na przykład tacy jak zimny pan Long twierdzili, że skoki te były tylko sposobem na wystraszenie drapieżników.

Ptaki również zawsze im towarzyszyły, niekiedy nawet bardzo liczne - gołębie kapsztadzkie, różne gatunki petreli, nawet mewy. Richard dowiedział się, że ponieważ „Alexander” nie był zbyt hojny, jeśli chodziło o resztki - z wyjątkiem dni, kiedy wyrzucano za burtę wnętrzności ryb - obecność ptactwa oznaczała, że gdzieś w pobliżu znajdowały się ławice ryb, zazwyczaj jednak zbyt małych, aby warto je było łowić.

Tego samego dnia po raz pierwszy zobaczył rekina i wieloryba. Wieloryb był niesamowicie powolny - długie wybrzuszenie płynące zbyt spokojnie, aby wzburzyć wodę w kryzę piany. Ponieważ morze było niczym kryształ, Richard pragnął popływać, zastanawiając

się, czy pan Donovan albo jakiś inny marynarz nie zechcieliby go kiedyś tego nauczyć. Dziwiło go, że nigdy nie skakali za burte, nawet w takie dni, kiedy nie byłoby problemu, aby wspiąć się z powrotem na pokład.

I wówczas podpłynęło to niebezpieczne stworzenie. Nie rozumiał, dlaczego już sam jego widok zmroził go do szpiku kości, rekin był bowiem bardzo piękny. Najpierw ujrzał płetwę, przecinającą wodę niczym nóż. Wznosiła się dwie stopy ponad wodą, kierując się w stronę krwawych pozostałości po rybach, unoszących się z tyłu statku i przy burcie. Przepłynął obok niczym cień, ale wydawało się, że trwa to całą wieczność. Miał, jak oszacował Richard, dwadzieścia pięć stóp długości, był okrągły jak beczka w środkowej części, lecz zwężał się do spiczastego pyska na przodzie i wysmukłego ogona z tyłu, zakończonego widłową, podwójną płetwą, służącą za ster. Miał czarne oczy wielkości talerza, a kiedy podpłynął do rybich resztek, obrócił się na bok, by zebrać tę masę w ogromny pysk uzbrojony w potworne zęby. Błysnął białością brzucha, i resztki ryb zniknęły. Połknął wszystko, co znalazł, i odpłynął w delikatną falę wznoszącą się za statkiem, zapewne chcąc sprawdzić, czy znajdzie jakieś łakocie w pobliżu statków płynących za „Alexandrem”.

„Jezu! Słyszałem o wielorybach i rekinach. Wiedziałem, że rekiny to wielkie ryby, lecz nawet mi się nie śniło, że mogą być tak ogromne. To stworzenie, które nie zna radości. Jego oko powiedziało mi, że nie ma w nim duszy”.

Wieloryb wyskoczył w powietrze tak nagle - być może w odległości liny od statku - że ci, którzy tak jak Richard łowili ryby po stronie sterburty, ujrzeli go, gdy przecinał powierzchnię w lśniącej eksplozji wody. Głowa wyglądem przypominająca dziób, małe oko, które skrzyło inteligencją, para plamistych płetw - wybijał się coraz wyżej i wyżej na powierzchnię, całe czterdzieści stóp prądkowanej, niebieskiej potęgi, której ciało, tak jak kadłuby wszystkich statków, pokrywały skorupiaki. Opadając, rozprysnął opary rozpylonej wody, chwila oczekiwania z zapartym tchem i wspaniały spłaszczony ogon zawirował, trzymany niczym sztandar, zanim strzelił z hukiem podobnym do grzmotu pośród oślepiających tęcz piany. Lewiatan z głębin, potężniejszy od wszystkich statków.

Pojawiły się inne, rozrzucone po morzu jak na pastwisku. Widział je niegdyś na rycinie, tryskające fontannami wody zmieszanej z powietrzem, płynące majestatycznie lub przecinające wodę w tym niezwykłym tańcu. Przez dłuższy czas w pobliżu „Alexandra” baraszkowała matka z dzieckiem - potwornie podrapana i pokryta skorupkami samica oraz jej dziecko bez skazy. Richard zapragnął rzucić się na kolana w podzięce Bogu za to, że objawił mu takie cuda, lecz nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nie tak długo, jak długo pozostawały w zasięgu wzroku. Dokąd podążało to stado? Podobnie jak morświny i delfiny,

wieloryby należały do radosnych podróżników.

Szkwał zerwał się wkrótce po ustaniu wiatru i trzeba było go wykorzystać. Przed chwilą niebo było czyste, chmury gromadziły się bardzo szybko, zwijając ciemnoniebieskie bałwany, obrzeżone śnieżnobiałymi wachlarzami i ryczące złowieszczo. Potem rozpełtała się potężna zawierucha, morze szalało, deszcz lał się strumieniami, błyskało się, grzmiały pioruny. Godzinę później niebo znów było niebieskie, a statek płynął spokojnie.

Paru skazańców i marynarzy spało na pokładzie, a Richard dziwił się, że nie wszystkim to odpowiadało. Więźniowie przyzwyczaili się do spania na twardych deskach i większość z nich wołała śmierdzące więzienie, gdy tylko zapadły ciemności, co na tej szerokości geograficznej następowało zadziwiająco wcześnie. Hamak gwarantował pewną wygodę bez względu na duchotę, lecz jego towarzysze, doszedł do wniosku, zapewne obawiali się żywiołów.

Ale nie Richard, który wyszukiwał sobie kawałek nie zaśmieconego pokładu z dala od marynarskich stóp i leżał, przyglądając się fantastycznej grze piorunów ukazujących się pomiędzy chmurami, czekając, przemoczony do suchej nitki, na moment, w którym uderzenie błyskawicy i piorunu powstrzyma na chwilę bicie jego serca, kiedy nad nimi zacnie przetaczać się burza. Najlepszy jednak był deszcz. Richard przynosił ze sobą mydło, chował ubranie pod brzegiem jednego barkasu i rozkoszował się pieniącymi się mydlinami, wiedząc, że deszcz zdoła je zmyć. Przynosił ze sobą wszystko, co nadawało się do prania - maty, ubrania towarzyszy, nawet koce - pomimo płaczliwych protestów, że się kurczą.

- Wszystko, co nie jest przyśrubowane lub zabite gwoździami, zabierasz, Richardzie, i wynosisz do prania - stwierdził z oburzeniem Bill Whiting. - Jak ty tam możesz siedzieć bez osłony? Jeśli statek zostanie trafiony i zaczniemy tonąć, wolę być w środku.

- Koce już się skurczyły tyle, ile mogły, Bill. I nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz? Po godzinie i tak wszystko jest suche. Nawet nie wiesz, że to wziąłem, taki jesteś pochłonięty chrapaniem.

Fakt, że Bill odzyskał swój tupet, wskazywał na częstotliwość, z jaką jadali teraz ryby - przepływali właśnie przez królewski stawek do połowu śledzi. Chleb był teraz bardzo kiepski, pełen ohydnych, wijących się roztoczy, których wołał nie widzieć - powód, dla którego większość ludzi jadła go teraz z zamkniętymi oczami. Zmiękł, a to najwidoczniej zapewniało tym stworzeniom idealne warunki do rozmnażania się - W solonym mięsie nic nie mogło przeżyć, lecz groch i owies miały swoją porcję żywego inwentarza. A grupie Richarda zaczęło brakować ekstraktu słodowego.

- Panie Donovan - zwrócił się do czwartego oficera, który powinien być drugim. - Kiedy dotrzemy do Rio de Janeiro, czy mógłby pan coś dla mnie zrobić? Nie ośmieliłbym się prosić, gdyby nie to, że mam do pana zaufanie, a nie mogę zaufać nikomu innemu z tych, którzy zejda na ląd.

To była prawda. Godziny spędzone razem na łowieniu ryb połączyły ich przyjaźnią równie zażyłą, co Richard wyczuwał, jak ta, która łączyła go z jego ludźmi. Nawet mocniejszą. Stephen Donovan był zarówno odpowiedzialny, jak i niefrasobliwy, obdarzony wrażliwością i ciętym humorem oraz niesamowitą umiejętnością wyczuwania tego, co działo się w duszy Richarda. Był mu bratem bardziej aniżeli kiedykolwiek był nim William i nie miało już znaczenia, że Donovan bynajmniej nie traktował Richarda jak brata. Z początku więźniowie, ci bliżsi i dalsi, dobrze się bawili, strojąc sobie żarty z Richarda z powodu tej dziwnej przyjaźni, a jego nieobecność na dole w nocy stanowiła dodatkowy temat do rozmów. Richard nie zwracał jednak uwagi na drwiny, za mądry na to, aby reagować defensywnie, więc z upływem czasu wszyscy uspokoili się i potraktowali ich znajomość jako zwykłą przyjaźń.

W dniu, w którym Richard przedstawił mu swoją prośbę, łowili ryby. Był to jeden z tych denerwujących dni, kiedy nic nie brało. Donovan miał na głowie słomiany kapelusz, podobnie jak Richard, który odkupił swój od kolegi stolarza, który częściej padał ofiarą rumu aniżeli słońca.

Donovan okazał zadowolenie.

- Będzie mi bardzo miło móc ci się czymś przysłużyć.

- Mam trochę pieniędzy i potrzebuję paru rzeczy. Mydła, ekstraktu słodowego, jakiegoś przepisu od starych kobiet na ukąszenia i pogryzienia owadów, oleju smołowego, nowych szmat, paru brzytw i ze dwóch par nożyczek.

- Zatrzymaj pieniądze, Richardzie, ażebyś mógł sobie wykupić Przejazd z powrotem do domu. Chętnie bez żadnej zapłaty dostarczę ci to, o co prosisz.

Ze zgarbionymi ramionami Richard pokręcił głową. - Nie mogę się na to zgodzić - powiedział z naciskiem. - Muszę zapłacić.

Donovan uniósł jedną brew i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Czy myślisz, że zależy mi na twoim ciele? Zraniłeś mnie tym podejrzeniem.

- Wcale tak nie myślę! Nie chcę przyjmować podarunków, ponieważ nie mogę się odwdziżyć. To nie ma nic wspólnego z ciałem, do diabła!

Nagle Donovan roześmiał się - był to czysty dźwięk, który pochwyił i porwał wiatr.

- Och, ten dialog jest wspaniały. Mówię jak młoda panna z damskiego magazynu. Nie

ma nic bardziej komicznego od pedała cierpiącego z powodu nie odwzajemnionej miłości! Przyjmij ten podarunek, on ma ulżyć twojemu losowi, a nie obciążyć cię dodatkowymi zobowiązaniami. Czy ty nigdy tego nie zauważyłeś, Richardzie? Jesteśmy przyjaciółmi.

Richard przymrużył oczy i uśmiechnął się.

- Owszem, dobrze o tym wiem. Dziękuję panu, panie Donovan, przyjmę pański podarunek.

- Mógłbyś mi ofiarować coś o wiele ważniejszego.

- Co takiego?

- Mów mi po imieniu - Stephen.

- To nie wypada. Gdy będę już wolnym człowiekiem, z przyjemnością będę panu mówił po imieniu. Do tego czasu jednak muszę pozostać na swoim miejscu.

W pobliżu zaczął krążyć rekin, równie głodny jak oni wszyscy w ten bezrybny dzień. Płaskonosy, liczący nie więcej aniżeli dwanaście stóp długości. W tym oceanie był zaledwie kijanką. Odwrócił się, spojrział na nich obojętnie i odpłynął.

- To uosobienie zła - stwierdził Richard. - Wieloryb ma błysk inteligencji w oku, morświn również. Rekin jednak zdaje się stworzeniem z piekła rodem.

- O, jesteś prawdziwym bristolczykiem. Nigdy nie byłeś kaznodzieją?

- Nie, ale mamy w rodzinie kaznodziejów, z Kościoła anglikańskiego. Kuzyn mojego ojca jest proboszczem w kościele St. James's, a jego ojciec wygłaszał kazania na otwartym powietrzu do górników w Kingswood, przy Crew's Hole.

- Dzielny człowiek. I przeżył to?

- Aha. Kuzyn James urodził się później.

- Czy ciebie nigdy nie trapią pokusy ciała, Richardzie?

- Kiedyś je odczuwałem, raz z kobietą, która potrafiła otworzyć wrota do raju każdemu mężczyźnie. To było straszne. Obywanie się bez tego jest jednak bardzo proste.

Coś szarpnęło linę Donovana, a ten aż krzyknął z radości.

- Wzięła! Tam na dole jest ryba!

Była. Rekin powrócił i chwycił przynętę razem z haczykiem, pławikiem i ciężarkiem. Donovan zerwał z głowy kapelusz, podeptał go i zaklął.

Być może przyczyną była pogoda - parna, gorąca i bezwietrzna, a może „Alexander” dał śmierci jedynie krótki odpoczynek, zanim problemy rozpoczęły się od nowa. Dwudziestego dziewiątego czerwca znowu umarł więzień. Doktor Balmain, który nie znosił schodzenia do więzienia ze względu na panujący tam fetor, został nagle zmuszony spędzać

tam dużo czasu. Jego wiedza, środki wymiotne czy przeczyszczające na niewiele się zdały.

Jakże łatwo szerzyły się przesady! W chwili gdy rozpoczęła się choroba, „Alexander” wpłynął na lite, jakby zakrzepłe, lśniące, kobaltowoniebieskie morze. Zdrowi więźniowie, zebrani w tłumie na pokładzie, żeby się temu przyjrzeć, natychmiast uznali, że to oznaka klątwy. Morze zamieniło się w sine kamienie i wszyscy zginą.

- Ależ to są tylko łodziki! - wykrzyknął doktor Balmain zirytowany. - Natrafiliśmy na wielką ławicę łodzików - „portugalskich okrętów wojennych”! To jasnoniebieskie meduzy! Naturalne zjawisko, a nie żadna tam oznaka boskiego niezadowolenia. O Chryste! - Wymachując rękami, zniknął, aby oddać się rozpaczycy w samotności swej zagraconej kabiny w przybudówce.

- Dlaczego nazywają je „portugalskimi okrętami wojennymi”? - zapytał Joey Long, ustępując miejsca Richardowi, na którego przysła teraz kolej opiekowania się Ikiem.

- Ponieważ portugalskie okręty liniowe są pomalowane na taki sam niebieski kolor - wyjaśnił Richard.

- A nie na czarno z żółtym brzegiem jak nasze?

- Jeśli byłyby podobnie wymalowane, to jak można byłoby odróżnić wroga od przyjaciela? Gdy zaczyna się dymić, bardzo trudno rozpoznać flagi i symbole. A teraz bądź tak dobry i idź na górę na Pokład. Spędzasz tu za dużo czasu. - Richard usiadł przy Ike’u, zdjął z niego koszulę i spodnie i zaczął go przemywać gąbką. - Ten Balmain jest idiotą - wykrztusił Ike.

- Nie, po prostu traci głowę. Nie ma pojęcia, co teraz robić.

- A jest ktoś, kto ma? Ktokolwiek i gdziekolwiek? - Ike wychudł do skóry rozciągniętej na kościach, garści chrustu owiniętego w pergamin, włosy mu wypadły, a paznokcie zbiały, język pokrył się nalotem, a usta miał spękane i opuchnięte. Dla Richarda jednak najbardziej przerażającą oznaką jego choroby były nagie, skurczone genitalia, które wyglądały jak doczepione. Och, Ike!

- Otwórz usta. Muszę wyczyścić ci zęby i język.

Dotykał go delikatnie, posługując się skręconym rogiem szmaty zamoczonej w filtrowanej wodzie. Robił, co mógł, aby uczynić dzień rozbójnika nieco bardziej znośnym. „Niekiedy - myślał przy pracy - gorzej jest być roslym mężczyzną. Gdyby Ike był wzrostu Jimmy’ego Price’a, już dawno byłoby po wszystkim. On jednak był niegdyś potężnej postury, a życie jest wytrwałe. Niewielu poddaje się bez protestów, większość czepia się wszystkiego, co im pozostało, niczym skałoczepek kamieni”.

Smród stawał się coraz gorszy, a jego źródłem były okrętowe ścieki. Mimo że

Balmain był marynarskim lekarzem już od siedmiu lat i brał udział w wyprawie badawczej do zachodnich wybrzeży Afryki w czasach, kiedy parlament zamierzał uczynić z Afryki miejsce, do którego można byłoby wysyłać więźniów, teraz doszedł do wniosku, że „Alexander” przerasta jego możliwości. Na jego żądanie zamontowano żagle wietrzne w najduszniej części więzienia - bezużyteczne brezentowe przewody wentylacyjne, mające na celu dostarczyć dobry przewiew powietrza przez dziurę wywierconą w pokładzie. Jak na tak apatycznego człowieka, kapitan Sinclair żywo przeciwko temu protestował, ale doktor nie miał zamiaru się wycofać. Zaniepokojony - „Alexander” bowiem już teraz nazywany był statkiem śmierci - Sinclair dał za wygraną i kazał Chipsowi okaleczyć swój pokład. Do więzienia dotarło jednakże bardzo niewiele świeżego powietrza i ludzie nadal zapadali na gorączkę.

Mimo że wychudzony, Richard miał się dobrze, podobnie jak towarzysze z jego pryczy i pozostała czwórka z pryczy Ike’a. Willy Dring i Joe Robinson porzucili dolny pokład, co pozwoliło pozostałej trójce - jednego człowieka stracili bowiem tuż za Portsmouth - rozciągnąć się na miejscu przeznaczonym dla sześciu, gdzie przypadało dwadzieścia cali na łebka. Więźniowie z pryczy należącej do Tommy’ego Crowdera i Aarona Davisa mieli tak dobry układ z sierżantem Knightem, że żyło im się wygodnie. Pomimo tych pozytywnych oznak, instynkt Richarda podpowiadał mu, że ten nowy atak choroby będzie poważny.

- Z wyjątkiem tego, który aktualnie opiekuje się Ikiem, wszyscy przeprowadzamy się na górę i będziemy łąpać tyle wody deszczowej, ile się da - rozkazał.

Jimmy Price i Job Hollister zaczęli skamleć, Joey Long ryczeć, a reszta zdawała się buntować.

- Wolelibyśmy zostać na dole - oświadczył Bill Whiting.

- Jeśli to zrobicie, złapiecie gorączkę.

- Sam mówiłeś, Richardzie - warknął Neddy Perrott - że tak długo, jak będziemy filtrować wodę i utrzymywać wszystko w czystości, pozostaniemy zdrowi. A zatem nie ma mowy o przeniesieniu się na pokład. Tobie z taką skórą to nie przeszkadza, aleja dostaję oparzeń.

- Idę na górę - oświadczył Taffy Edmunds, zabierając parę swoich rzeczy. - Musimy przygotować się do koncertu. Nie możemy pozwolić na to, aby nasz statek był jedynym, który nie potrafi przygotować koncertu. Popatrzcie tylko na „Scarborough”. Tam mają koncert co tydzień. Kapral Flannery mówi, że niektóre akty są tak dobrze przygotowane, że trzeba to usłyszeć.

- „Scarborough” nie ma być może więcej więźniów niż „Alexander”, ale nic im nie

dolega, ponieważ rozmieszczono ich pomiędzy dolnym a najniższym pokładem. Nas wcisnęli na dwa razy mniejszą powierzchnię aniżeli ta, jaką mają na „Scarborough”, bo mamy również ładunek.

- No cóż, ja na przykład jestem zadowolony, że „Alexander” ma towar na najniższym poziomie - stwierdził Richard, zaniechawszy walki, która, jak widział, była bezsensowna. - Popatrzcie, co działo się z żołnierzami, kiedy tam byli. Na „Scarborough” pompy do usuwania ścieków pracują bez zarzutu. Wszystko zależy od kapitana. Oni mają kapitana Marshalla, a my naszą Esmeraldę, której nie zależy na tym, czy pompy pracują, czy też nie, byle tylko miała pełny stół. Rury odprowadzające ścieki na „Alexandrze” są całkowicie zatkane.

Czwartego lipca zmarł kolejny mężczyzna, a trzydziestu innych leżało na szpitalnych pryzkach. „Ma się wrażenie - myślał lekarz Balmain - że cały kadłub »Alexandra« jest zapchany trupami w najgorszym stadium zepsucia. Jakże ci nieszczęśnicy mogli żyć pośród takiej zgnilizny?”

Następnego dnia nadeszły dwa rozkazy z „Siriusa”. Pierwszy nakazywał, aby zdjęto Johnowi Powerowi łańcuchy. Natychmiast po uwolnieniu zameldował się u pana Bonesa, jako że nie zabroniono mu pracować. Następny rozkaz bardzo nie podobał się porucznikom Johnstonowi i Shairpowi. Racje wody dla każdego mężczyzny we flocie - kobiety i dzieci i tak dostawały mniej - miały ulec zmniejszeniu z czterech do trzech kwart, zarówno dla oficerów piechoty morskiej, marynarzy, jak i więźniów. Jedną kwartę miano wydawać o świcie, a dwie pozostałe w południe. Szczegóły te miały być nadzorowane przez oficera przy dwóch podwładnych szeregowcach i dwóch więźniach jako świadkach. Szeregowcy i więźniowie mieli się za każdym razem zmieniać, aby nie dopuścić do oszustwa lub porozumień. Ładownie zostały zamknięte a aktualnie używaną beczkę wody zaopatrzone w kłódkę i trzymano pod ścisłą strażą. Kluczami opiekowali się oficerowie. Dodatkowa woda do kotłów i garnków wydawana była rano, razem z wodą dla zwierząt. Zwierzęta piły obficie, bydło i konie dostawały po dziesięć galonów.

Trzy dni później ustąpił okres ciszy i sztormów i ponownie zaczęły wiać południowo - wschodnie wiatry, chociaż okręt nie przekroczył jeszcze równika. Nastroje natychmiast się poprawiły, choć flota nadal musiała utrzymywać kurs według rzeczywistego milażu, który wynosił mniej niż sto mil dziennie. „Alexander” mknął teraz przez wzburzone morze, aż jego takielunek skrzypiał. Płynął jak zwykle równo ze Scarborough”, tym koncertującym statkiem, „Sirius” i „Supply” nieco dalej z tyłu, a „Friendship” na czele rozpyłał dziobem wodę, otrząsając się z niej niczym pies.

Kiedy srebrne guziki na szkarłatnych mundurach Johnstone'a i Shairpa zaczęły czarnieć, a smród unoszący się do nadbudówki był prawie tak samo nie do zniesienia jak ten pod pokładem, dwóch poruczników i lekarz Balmain poszli w charakterze delegacji do kapitana, który przyjął ich, lecz zlekceważył skargę, uważając ją za absurdalną. Obchodziło go jedynie to, że więźniowie kradli mu chleb i powinno się ich za to chlostać nieomal na śmierć.

- Powinien pan podziękować swoim szczęśliwym gwiazdom, że nie kradną panu rumu
- odparł Johnstone cierpko.

Brudne zęby ukazały się w uśmiechu pełnym zadowolenia.

- Inne statki być może mają problemy z rumem, moi panowie, ale mój takowych nie ma. A teraz idźcie już sobie i zostawcie mnie samego. Poleciałem Chipsowi, by naprawił pompę do ścieków ze sterburty, gdyż nie pracuje za dobrze. Bez wątplenia to jest właśnie przyczyną kłopotów ze ściekami na okręcie.

A w jaki sposób stolarz ma naprawić przedmiot, który jest z metalu i skóry? - zapytał Balmain przez zaciśnięte zęby.

- Lepiej będzie, jak się pan zacznie modlić o to, żeby potrafił. A teraz niechże już pan stąd idzie.

Balmain miał tego dosyć. Wysłał sygnał „Siriusowi” i otrzymał pozwolenie na wzięcie łódki i popłynięcie na „Charlotte”, do naczelnego lekarza, Johna White'a. Z porucznikiem Shairpem na czele barkas wyruszył na wzburzone fale. Ociężała „Charlotte” zastała daleko w tyle. Podróż powrotna na „Alexandra” była przerażająca również dla Shairpa, który zazwyczaj nawet okiem nie mrugnął na najbardziej wzburzonym morzu. Nic dziwnego więc, że kiedy lekarz White wdrapał się po drabince na „Alexandra”, nie był w najlepszym nastroju.

- Hej, wy z Bristolu, wołają was! - powiedział Stephen Donovan. - Macie się stawić w pomieszczeniu dla młodszych oficerów przed panem White'em i Balmainem.

„Najlepiej by było - pomyślał Richard, który wiele dowiedział się na temat działania pomp w okresie spędzonym ze zbiegłym panem Thomasem Latimerem - gdyby pompy na »Alexandrze« znajdowały się o jeden pokład niżej, aby zmniejszyć wysokość kolumny ścieków, jakie musiały unieść. Był to jednak statek do przewozu niewolników i jego właściciele nie chcieli robić otworów nisko w kadłubie, a nikt tak naprawdę nie martwił się ściekami w czasie suchego dokowania statku celem oskrobania kilu”.

W kabinie dla niższych rangą żołnierzy znajdowały się cysterny - jedna po stronie

sterburty, a druga bakburty. Każda z nich wyposażona była w zwykłą pompę ssącą, z rączką unoszącą się z góry na dół. Z każdej cysterny wychodziła rura, przez którą ścieki wypuszczane były do morza. Pompa od strony sterburty została rozłożona - tej od strony bakburty nie dało się nawet ruszyć.

- Schodzimy na dół - powiedział lekarz White, ze zszarzałą niczym popiół twarzą. - Jak ktokolwiek może tu żyć? Pańscy ludzie, poruczniku Johnstone, powinni zostać wyróżnieni za wytrwałość.

Richard i Will Connelly podnieśli pokrywę luku i aż się zatoczyli. Ładownia poniżej pograżona była w całkowitej ciemności, lecz dźwięk płynu chlupoczącego wokół beczek na wodę był słyszalny dla wszystkich stojących z tyłu.

- Potrzebuję lamp - powiedział White, zawiązując chusteczkę na twarzy. - Jeden z nas będzie musiał tam zejść. - Proszę pana - odezwał się Richard grzecznie. - Nie brałbym tam ognia. Samo powietrze mogłoby się zapalić.

- Ależ ja muszę to zobaczyć!

- Nie ma takiej potrzeby, proszę pana, naprawdę. Wszyscy słyszymy, co się tam dzieje. Ścieki rozlały się do ładowni. To znaczy, że rury są zupełnie zatkane. Żadna z pomp nie pracuje i być może nigdy nie pracowała. Kiedy byliśmy tu ostatnim razem, wybieraliśmy ścieki wiadrami. Mieliśmy ten problem już od Gallion's Reach.

- Jak się nazywasz? - zapytał White przez swoją maskę.

- Richard Morgan, proszę pana, niegdyś z Bristolu. - Uśmiechnął się. - My, bristolczycy, jesteśmy przyzwyczajeni do zaduchu, więc zawsze dają nam robotę przy ściekach. Choć wybieranie ich wiadrami niczego nie zmienia. Muszą być pompowane, i to każdego dnia, ale nie za pomocą takich pomp. Te potrzebują tygodnia na przepchnięcie tony wody, nawet jeśli pracują właściwie.

- Czy stolarz mógłby je naprawić, panie Johnstone? Johnstone wzruszył ramionami.

- Zapytaj pan Morgana. Wygląda na takiego, co wie. Ja, przyznaję, nie mam pojęcia o pompach.

- Czy stolarz potrafi je naprawić, Morgan?

- Nie, proszę pana. W ściekach jest tyle stałego materiału, że rury i cylindry tej wielkości będą się zatykały przy każdym podniesieniu. Ten statek potrzebuje czerpaka łańcuchowego.

- A czym różni się czerpak łańcuchowy od pompy?

- Poradziłby sobie z tym, co jest tam, na dole, proszę pana. To zwykłe drewniane pudło, o wiele większe aniżeli te cylindry. Podnoszenie wykonywane jest za pomocą

płaskiego, mosiężnego łańcucha, przewieszzonego przez drewniany bęben na dole. Drewniane półki są połączone z łańcuchami, tak że w drodze na dół opadają na płask, a potem otwierają się w drodze do góry, wywołując ssanie. Dobry stolarz potrafi wykonać wszystko z wyjątkiem łańcucha - jest to urządzenie tak proste, że dwóch ludzi, obracając bęben tego zębatego koła, potrafi unieść tonę wody w ciągu minuty.

- A w takim razie „Alexander” musi zostać zaopatrzony w taki właśnie czerpak łańcuchowy. Czy na pokładzie są jakieś łańcuchy?

- Wątpię, proszę pana, lecz „Sirius” był właśnie remontowany, a zatem musiał mieć czerpaki łańcuchowe. Przypuszczam, że znajdzie się jakiś dodatkowy łańcuch. Jeśli nie na „Siriusie”, to może na jakimś innym statku.

White zwrócił się do Balmaina, Johnstone’a i Shairpa.

- Bardzo dobrze. Udaję się zatem teraz na „Sinusa”, aby złożyć raport gubernatorowi. Tymczasem ładownia i ścieki będą musiały zostać oczyszczone. Wszyscy żołnierze i skazańcy, którzy nie są chorzy, będą pracowali na zmianę. Nie pozwolę, aby ci bristolczycy byli zmuszani do robienia tego wszystkiego sami - powiedział Johnstone’owi. Potem zwrócił się do Balmaina i spojrzał na niego z wściekłością. - A dlaczego nie złożył pan, panie Balmain, raportu w tej sprawie o wiele wcześniej, skoro trwa to już siedem miesięcy? Kapitan tego okrętu jest próżniakiem i nie ruszyłby się, nawet gdyby bezan spadł na jego własną nadbudówkę. Jako lekarz jesteś pan odpowiedzialny za ochronę zdrowia wszystkich ludzi na pokładzie, włącznie z więźniami. Nie uczyniłeś tego, więc możesz być pewien, że poinformuję o tym gubernatora.

William Balmain stał z czerwonymi plamami na policzkach, jego przystojne oblicze zastygło w wyrazie szoku i złości. Był Szkotem, sześć lat młodszym od Irlandczyka White’a, i bynajmniej nie przypadli sobie do serca przy tym pierwszym spotkaniu. Zbesztanie przed dwoma żołnierzami i czterema skazańcami było haniebne - tak właśnie major Ross traktował nieudolnych podwładnych. Teraz była nieodpowiednia chwila na kłótnię z White’em, lecz Balmain przyrzekł sobie, że kiedy flota dotrze już do zatoki Botany, będzie domagał się satysfakcji. Jego duże oczy przemknęły kolejno po twarzach więźniów w poszukiwaniu rozbawienia lub drwin, lecz niczego w nich nie znalazły. Znał ich z bardzo dziwnego powodu - nigdy nie chorowali.

W tym momencie major Ross pojawił się przy schodach, zaciekawiony tym, że Shairp znowu wałęsa się po całym oceanie. Jedno pociągnięcie nosem wystarczyło, aby zorientował się w sytuacji. Balmain wycofał się sztywno do swojej kabiny, dąsając się i obmyślając zemstę, podczas gdy White wyjaśnił, co się stało.

- Ach tak! - powiedział, przyglądając się Richardowi uważnie. Ty jesteś tym czystym przywódcą, dobrze cię pamiętam. A więc znasz się na pompach i tym podobnych rzeczach, co, Morgan?

- Znam się na tyle, by wiedzieć, że „Alexander” potrzebuje czerpaków łańcuchowych, panie majorze.

- Zgadzam się. Panie White, zawiozę pana na „Siriusa”, a potem na „Charlotte”. Panowie Johnstone i Shairp, weźcie wszystkich do wylewania ścieków. I wytnijcie dwie dziury w kadłubie poniżej iluminatorów, tak żeby ci ludzie mogli wylewać je prosto do morza.

Porucznik Philip Gidley King, przybywszy następnego dnia z majorem Rossem i naczelnym lekarzem White'em, tylko raz spojrział na pompę z bakburty, którą zdemontował Richard, i rozłożył ręce, wydając odgłosy pogardliwego obrzydzenia.

- Ta rzecz nie wyssałaby nawet nasienia z fujary satyra! Statek trzeba wyposażyć w czerpaki łańcuchowe. Gdzie jest stolarz?

Angielska skrupulatność w połączeniu z celtyckim entuzjazmem działały cuda. Ponieważ przynależał do Królewskiej Floty, a zatem był starszy rangą od poruczników piechoty morskiej, King pozostał na pokładzie dopóty, dopóki nie upewnił się, że stolarz dokładnie zrozumiał, co ma robić, i że to potrafił to wykonać. Potem odszedł, aby zdać sprawę dowódcy floty, twierdząc, że w przyszłości „Alexander” powinien być o wiele zdrowszym statkiem.

Trucizna jednak wsiąkła w drewno i „Alexander” nigdy nie będzie zdrowym statkiem. Wyziewy gazu, które unosiły się wszędzie, stopniowo się rozwiały. Życie wewnątrz statku stało się bardziej znośne. A czy Esmeralda była zadowolona, że problem ścieków na statku został w końcu rozwiązany bez żadnych dodatkowych kosztów dla Waltona i spółki? Z całą pewnością nie. No bo kto, u diabła, dopytywał się ze swego stanowiska na rufie, kazał wyciąć dwie cholerne dziury w jego statku? Trimmings przyjrzał się im i doniósł o tym.

Flota przekroczyła równik w nocy z piętnastego na szesnastego lipca. Następnego dnia okręty trafiły na pierwszy prawdziwie wściekły sztorm od czasu opuszczenia Portsmouth. Włazy do luków zostały zabite gwoździami i więzienie pograżyło się w całkowitych ciemnościach. Dla tych, którzy podobnie jak Richard przebywali przez cały czas na pokładzie, był to koszmar, złagodzony jedynie tym, że zniknął już najgorszy smród. Morze przelewało się teraz przez dziób bakburty, więc „Alexander” kołysał się bardziej wzdłuż aniżeli na boki, co wywoływało niesamowite wrażenie na przemian od miażdżącego nacisku

po uczucie nieważkości, kiedy unosił się i opadał z powrotem na morze z głośnym hukiem. Poddając się tym ruchom, więźniowie kołysali się od przepierzenia do przegrody. Choroba morska, o której już zapomnieli, wybuchła ponownie, a Ike cierpiał najbardziej.

To było straszne. Kiedy flota wyrwała się w końcu ze szponów nawałnicy - z pełnymi beczkami deszczówki, co pozwoliło na powrót do normalnych racji wody - jasne stało się dla wszystkich, nawet dla strapionego Joeya Longa, że Isaac Rogers nie przeżyje.

Pragnął zobaczyć się z Richardem, który przykucnął obok Joeya, trzymającego głowę i ramiona Ike'a na kolanach.

- To już koniec gościńca dla tego rozbójnika - powiedział. - Och, jakże się cieszę, Richardzie! Ciesz się ze względu na mnie. Spróbuj zaopiekować się Joeyem. On to odczuje.

- Możesz być spokojny, Ike. Wszyscy będziemy się opiekowali Joeyem.

Ike uniósł kościste ramię, by wskazać na półkę wzdłuż belki.

- Moje buty z cholewkami, Richardzie. Jesteś jedynym, na którego będą dobre, i chcę, żebyś je wziął. Bez żadnych zmian, w całości. Rozumiesz?

- Tak. Będą używane mądrze.

- Dobrze - powiedział i zamknął oczy. Mniej więcej godzinę później skończył.

Tyłu ludzi zmarło już na „Alexandrze”, że wytwórcy żagli musieli błagać załogi innych statków o stare płótna. Przyodziany w czyste ubranie Isaac Rogers został zaszyty w kopertę i wyniesiony na pokład. Ponieważ Richard posiadał modlitwenik, odczytał modlitwy i polecił duszę Ike'a Bogu, a jego ciało głębinom. Ześlizgnęło się z deski i natychmiast zatoneło, obciążone bazaltowymi kamieniami, zebranymi na tej samej plaży na Teneryfie, na której spał John Power. Na statku śmierci zabrakło już nawet i złomu.

Doktor Balmain kazał przeprowadzić kolejne okadzanie, szorowanie olejem smołowym, ponowne bielenie. Życie wiódł raczej samotne, zamknięty w nadbudówce, mając do towarzystwa jedynie dwóch poruczników. Jadali osobno i niczym się z nim nie dzielili. Podobnie jak Arthura Bowesa Smytha, lekarza na „Lady Penrhyn”, Balmaina podtrzymywało na duchu zainteresowanie stworzeniami morskimi, które napotykali, a jeśli były małe, zachowywał je w spirytusie. Musiał przyznać, że obecnie, w dobie łańcuchowych czerpaków, o wiele łatwiej było zejść do więzienia, lecz nadal piekł go policzek od doktora White'a, toteż postanowił, że tym razem nie będzie to jego winą, że ci nieszczęśni skazańcy tak wymierali.

Kiedy przypadkowa fala zmyła jednego więźnia, który korzystał na dziobie z otworów kloaczych załogi, ich liczba zmalała do stu osiemdziesięciu trzech.

Na początku sierpnia flota przybiła do brzegu w Cape Frio, odległego jeden dzień

żeglugi od głównego miasta Brazylii. Jednakże wysokie, ostre, nadmorskie góry przywitały ich podobnie jak szczyty St. Jago - kiedy znaleźli i opłynęli przylądek, wiatry ustały, ograniczając się do lekkich powiewów i ciszy. Po omacku udali się do Rio de Janeiro, docierając do portu dopiero w nocy z czwartego na piątego sierpnia. Panowała tam teraz zima, Rio de Janeiro znajdowało się tak daleko na południe od równika, że leżało tuż na północ od zwrotnika Koziorożca. Należało do królestwa zarówno raka, jak i morskiego kozła. Podróż z Teneryfy zajęła im pięćdziesiąt sześć dni, a od Portsmouth osiemdziesiąt cztery - liczby te zaokrąglają się ładnie do ośmiu i dwunastu tygodni. Oraz do sześciu tysięcy sześciuset mil lądowych.

Aby wkroczyć na terytorium kolonialnych posiadłości Portugalii, należało uzyskać pozwolenie, co okazało się dosyć skomplikowane.

O trzeciej po południu flota przekroczyła szeroką na jedną milę zaporę pomiędzy dwoma końcami Sugarloaf przy huku trzynastu salutujących dział z „Siriusa”, którym odpowiedziały armaty z fortu Santa Cruz.

Od świtu wszyscy na „Alexandrze” tłoczyli się przy nadburciu, zafascynowani tym obcym, niewiarygodnie pięknym krajem. Południowy cypel Sugarloaf miał kształt wysokiego na tysiąc stóp jaja z różowoszarej skały, uwieńczonego peruką z drzew, północny Sugarloaf był natomiast imponująco nagi. Ukazały się skaliste turnie, ich szczyty nagie i poszarpane, stoki porośnięte gęstymi, soczysto zielonymi lasami, z przebłyskami lśniących drzew, sterczących szarych, kremowych lub różowych skał. Plaże były długie, kręte i pokryte żółtym piaskiem, mleczne od przybrzeżnej fali, w miejscu gdzie tłukł się ocean, a ciche i spokojne poza piaszczystą ławicą. Zarzucili kotwicę niewiele dalej, naprzeciw jednej z fortec wybudowanych w celu strzeżenia Rio de Janeiro przed morskimi najeźdźcami. Dopiero następnego dnia wszystkie jedenaście statków zostało odholowanych do miejsc stałego zacumowania, nieopodal miasta Sao Sebastiao, co było właściwą nazwą miejskiego Rio. Miasto zajmowało prostokątny półwysep na zachodnim brzegu i sięgało swymi mackami w doliny pomiędzy otaczającymi je szczytami.

Port roił się od łodzi aprowizacyjnych, w których w większości wiosłowali nieomal nadzy Murzyni, a każda była wyposażona w jaskrawię malowaną markizę. Richard widział wieże kościołów ukoronowane złotymi krzyżami, lecz poza tym wysokich budynków w Rio było niewiele. Nikt nie zabronił więźniom wychodzenia na pokład ani też nie zakuto ich ponownie w kajdany, nawet Johna Powera. Patrol barkasów krążył jednak nieustannie wokół sześciu transportowców i zawrócił łodzi aprowizacyjne.

Pogoda dopisywała, było bardzo gorąco i bezwietrznie. Och, gdyby tak pozwolono im

zejść na ląd! Było to jednak niemożliwe i wszyscy więźniowie to rozumieli. W południe nakarmiono ich dużą ilością wołowiny, słodkich ziemniaków, fasoli, ryżu i bochenkami dziwnie smalącego chleba, sporządzonego, jak później powiedziano Richardowi, z korzeni zwanych kasawą. Wszystko to jednak było niczym wobec setek pomarańczy, które roześmiani Murzyni rzucali na pokład, czyniąc sobie z tego zabawę i połyskując białymi zębami na hebanowych twarzach. Richard słyszał o pomarańczach, podobnie jak i paru innych więźniów; czytał gdzieś, że niektóre wielkie pałace posiadały „oranżerie”, i widział kiedyś pomarańczę. Pokazał mu ją kuzyn James aptekarz, który importował cytryny w celu uzyskiwania z nich olejku, jednak cytryny nie psuły się tak szybko.

Niektóre z tych pomarańczy miały sześć, siedem cali średnicy, ciemną i soczystą barwę, inne były nieomal krwiste z zewnątrz i miały miąższ czerwony niczym krew. Odkrywszy, że niesmaczną skórkę dało się łatwo ściągnąć, więźniowie i marynarze opychali się pomarańczami, oczarowani ich słodyczą i soczystością. Niekiedy zjadali pękate, jasnożółte cytryny, aby złamać sacharyno wy smak pozostały po pomarańczach, lub ssali mniej soczyste limony, których smak łączył w sobie kwaskowatość cytryn i słodycz pomarańcz. Nigdy nie znudziły im się te cytrusy, wręcz nie mogli się nimi nasycić. Dowiedziawszy się, że najbardziej blade owoce zostały zebrane, zanim zdążyły w pełni dojrzeć, Neddy Perrott zaczął pod koniec ich trzeciego tygodnia w Rio zbierać wszystkie soczyste kule, które jego zdaniem mogłyby przetrwać parę dni, a inni więźniowie zaczęli robić to samo, gdy tylko się o tym dowiedzieli. Kilku mężczyzn, w tym również Richard, przechowywało nasiona pomarańczy i cytryn.

Codziennie dostawali teraz świeżą wołowinę, jarzyny i świeży chleb z kasawy. Z chwilą gdy żołnierze odkryli, że rum w Rio, choć kiepskiej jakości, był równie tani jak woda, nieomal przepadła dyscyplina i nadzór nad więźniami. Dwaj porucznicy rzadko zjawiali się na pokładzie, podobnie zresztą jak doktor Balmain, który wybrał się na wyprawę w głąb lądu, aby zobaczyć ogromne olśniewające motyle i kwiaty o woskowej piękności zwane orchideami. Spragniona towarzystwa zwierząt załoga i żołnierze często wracali, przywożąc ze sobą oswojone papugi o wspaniałym kolorowym upierzeniu. Z psów uchowały się jedynie dwa; reszta, jak przewidział Donovan, stała się przynętą dla rekinów. Kot Rodney, jego towarzyska i ciągle powiększająca się rodzina mieszała się natomiast wyśmienicie. „Alexander” był teraz czystszy, niż przedtem, lecz nadal pełno było na nim myszy i szczurów.

Pobyt w Rio miał również swoje złe strony - był to bowiem raj dla karaluchów. W Anglii insekty tego rodzaju były raczej nieszkodliwymi stworzeniami, jednakże tutejsze egzemplarze okazały się latającymi olbrzymami, szeleszczącymi i wykazującymi równie złe

intencje jak rekiny. Agresywne i sprytne, raczej rzucały się na człowieka aniżeli przed nim uciekały. Począwszy od najwyższych sfer na „Siriusie”, po najbardziej prześladowanego więźnia na „Alexandrze”, ludzie doprowadzani byli do szaleństwa przez karaluchy.

Większość ludzi na okręcie spała na pokładzie nieomal nago, choć nie tak spokojnie jak na morzu. Rio nigdy nie kładło się spać. Nigdy też nie zapadały tam ciemności - kościoły i inne budynki były oświetlane przez całą noc, tak jakby tych niewielu Portugalczyków i ich niezliczeni czarni niewolnicy obawiało się czegoś, co czyhało pośród nocnych cieni. Usłyszawszy pewnej nocy nad ranem mrozący krew w żyłach odgłos, coś pomiędzy krzykiem a rykiem wydanym przez jakieś stworzenie, Richard zaczął pojmować, dlaczego broniono się przed ciemnością.

Przynajmniej dwa lub trzy razy w tygodniu urządzano pokazy fajerwerków, zawsze na cześć jakiegoś świętego lub Świętej Dziewicy albo też jakiegoś wydarzenia w życiu Jezusa Chrystusa - w religijnym życiu Rio nie było nic trzeźwego ani stonowanego. To obrażało ludzi takich jak Balmain i Shairp, zwolenników Knoxa, którzy uważali katolicyzm za niemoralny, zdegenerowany i sataniczny.

- Dziwię się, Johnny - powiedział Richard do Powera, kiedy tak oglądali kolorowe iskry i wici spływające z rakiety - że nie próbowałeś uciekać.

Power skrzywił się.

- Tutaj? Nie znając portugalskiego? Tego samego dnia by mnie nakryli. Oprócz portugalskich statków niewolniczych i dwumasztowców, jedynym statkiem w porcie jest angielski okręt wielorybiczny, któremu oskrobują dno. Ma zabrać do domu grupę morskich inwalidów z „Siriusa” i „Supply”. - Zmienił temat, najwyraźniej zbyt dla niego bolesny.

- Esmeralda jak zwykle zaniedbuje swój statek. Nigdy nawet nie próbują go szorować.

- A więc nie słyszałeś, co mówił pan Bones? „Alexander” jest podszyty miedzianą blachą. - Richard uderzył się w piersi, lepkie od soku z pomarańczy. - Idę za burtę, żeby się wymyć.

- Nie wiedziałem, że potrafisz pływać.

- Bo nie potrafię. Ale włożę do wody i trzymam się drabinki, mając nadzieję, że prędzej czy później nauczę się radzić sobie bez niej. Wczoraj puściłem ją i utrzymałem się przez dwie sekundy na powierzchni. Potem jednak spanikowałem. Dzisiaj może uda mi się nie wpaść w panikę.

Ja umiem pływać, ale nie mam odwagi - powiedział Power ponuro. Opieszła dyscyplina czy nie, Power sam miał się już na baczności.

Pewnego dnia Richard był właśnie w wodzie, kiedy Stephen Donovan wracał na statek wynajętą łodzią. Nie nauczył się jeszcze pływać - gdy tylko puszczał się drabiny, zaczynał tonąć. Ze względu na nadpływającą łódkę musiał wyjść z wody i już miał to uczynić, kiedy zobaczył, kto stoi na dziobie.

- Richard, ty idioto, w tym porcie są rekiny! - powiedział Donovan, wchodząc na pokład. - Na twoim miejscu nie robiłbym tego.

- Bardzo wątpię, aby rekinom odpowiadało moje łykowane ciało, skoro w porcie Rio mają taką obfitość wszystkiego - uśmiechnął się Richard. - Usiłuję nauczyć się pływać, ale jak dotąd ponoszę fiasko.

Oczy Donovana zabłysły.

- Żebyś w razie zatonięcia „Alexandra” w trakcie oceanicznego sztormu mógł dopłynąć do Afryki? Nie bój się, „Alexander” ma dobry, odporny na wywrotki kadłub i jest zdalny do żeglugi pomimo swego wieku. Mógłbyś go położyć na burcie, aż woda sięgnęłaby do omasztowania, albo też zalać rufę na morzu, a on i tak nie zatonie.

- Nie. Po to, żeby po dotarciu do zatoki Botany, gdzie być może nie będzie za dużo wiader, móc przynajmniej się kąpać w słonej morskiej wodzie bez obawy, że wpadnę w jakąś dziurę powyżej głowy. Może są tam jakieś jeziora i rzeki, lecz sir Joseph Banks o nich nie wspomina. Wręcz przeciwnie, napomknął o tym, że słodkiej wody jest tam wyjątkowo niewiele, tylko parę strumyczków.

- Rozumiem. Popatrz więc na tamtego psa, Wallace’a. - Wskazał na szkockiego teriera porucznika Shairpa, który płynął w kierunku statku obok wynajętej łodzi, zachęcany przez śmiejącego się Shairpa.

- A to niby dlaczego?

- Popatrz, jak on pływa. Następnym razem, jak zejdziesz na dół, żeby stawić czoło rekinom, udawaj, że masz cztery nogi, a nie dwie. Połóż się na brzuchu, unieś głowę ponad wodę i przebieraj czterema kończynami niczym kaczką. A potem - powiedział Donovan, obdarzając rozpromienionego Murzyna sześciopensówką, kiedy złożył stos paczek na pokładzie - zaczniesz pływać, Richardzie. Od techniki pływania psa Wallace’a łatwo przejdziesz do poruszania się w wodzie unoszenia się na fali oraz wszystkich możliwych sztuczek i korzyści wynikających z pływania.

- Johnny Power potrafi pływać, a mimo to jest nadal z nami.

- Ciekaw jestem, czy wróciłby tak pokornie z Teneryfy, gdyby był świadom tego, czego się dzisiaj dowiedziałem.

Zaalarmowany Richard przechylił głowę, oczekując wyjaśnienia.

- Niech mi pan powie.

- Flota wypłynęła z Portsmouth tylko z tymi nabojami, które żołnierze mieli w torbach, i ani ziarenka prochu, ani jednego naboju więcej.

- To chyba żart!

- Nie, ja nie żartuję - powiedział Donovan, chichocząc i kręcąc głową. - To tylko świadczy o tym, jak dobrze zorganizowano tę wyprawę! Zapomniano wyposażyć nas w amunicję!

- O Chryste Panie!

- Dowiedziałem się o tym jedynie dlatego, że jego ekscelencja gubernator Phillip zdołał zakupić dziesięć tysięcy nabołów właśnie tutaj, w Rio.

- A zatem nie mogliśmy powstrzymać żadnego poważniejszego buntu na którymkolwiek z tych statków. Widziałem, jak nasi żołnierze na „Alexandrze” dbają o swoją broń i amunicję - nie byłoby ani jednego naboju wartego splunięcia.

Donovan spojrzał ostro na Richarda, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, lecz zmienił zdanie i przykucnął przy paczkach.

- Mam tu niektóre z rzeczy, o jakie prosiłeś. Jutro przywiozę więcej. Słyszałem, jak mówiono o opuszczaniu portu. - Poskładał tobołki Richardowi w ramionach. - Olej smołowy, jakieś maści od staruchy tak wiedźmowatej i paskudnej, że z pewnością musi się znać na swojej sztuce, a oprócz tego sproszkowana kora, która, jak przysięgała, leczy gorączkę. Butelka laudanum, w razie gdyby woda w Rio szerzyła dyzenterię - lekarze traktują ten środek podejrzliwie, ale porucznik King wiąże z nim nadzieje. Mnóstwo porządnych szmat i kilka dobrych, bawełnianych koszul, którym nie mogłem się oprzeć - kupiłem parę dla siebie i pomyślałem o tobie. Dla chłodu i wygody podczas upałów bawełna nie ma sobie równych. Ekstrakt słodowy okazał się jednak nieosiągalny - lekarze dotarli do składu wcześniej, niech szlag trafi ich spostrzegawcze oczy. Wysusz jednak na słońcu trochę skórek z cytryn i pomarańczy i je żuj. Wśród marynarzy mówi się, że cytrusy zapobiegają gnilcowi.

Oczy Richarda spoczęły na twarzy przyjaciela z miłością i wdzięcznością, lecz Donovan był zbyt inteligentny, aby zinterpretować to jako coś więcej aniżeli to, czym było w rzeczywistości. Przyjaźnią. A oznaczało to iść choćby i w ogień za tym człowiekiem, który musiał przecież kiedyś kochać, ale już nie miał zamiaru więcej tego robić. Kogóż on utracił? I jak? Nie tę kobietę, która otworzyła mu drzwi do seksualnego raj. Ona, sądząc po wyrazie jego twarzy, budziła w nim odrazę. I nie pierwszą lepszą kobietę. I, jak dotąd, żadnego mężczyzny. „Pewnego dnia, Richardzie Morganie - przysiągł sobie w duchu - usłyszę całą twoją historię”.

Kiedy nazajutrz rano przygotowywał się do opuszczenia statku, zastał Richarda oczekującego na niego przy drabince.

- Następną przysługa? - zapytał życzliwie.

- Nie, za to muszę zapłacić. - Richard wskazał na pokład i pochylił się tak, jakby leżało tam coś interesującego. Donovan pochylił się również, więc nikt nie zauważył, jak siedem złotych monet przeszło z ręki do ręki.

- Co ty takiego chcesz? Za te pieniądze mógłbyś kupić topaz wielkości limony albo niewiele mniejszy ametyst.

- Potrzebny mi proszek szmerglowy - tyle, ile się tylko da - oraz najmocniejszy klej rybi, jaki można tu dostać - odpowiedział Richard.

Donovan spojrział na niego z lekko otwartymi ustami.

- Proszek szmerglowy? Klej rybi? A po cóż ci to, na miłość boską?

- Prawdopodobnie można to kupić na Przylądku Dobrej Nadziei, ale wydaje mi się, że ceny będą tam szokujące. Wydaje mi się, że w Rio de Janeiro wszystko jest o wiele tańsze - ciągnął dalej Richard.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie. Jesteś tajemniczym człowiekiem, mój przyjacielu. Powiedz mi, bo inaczej tego nie kupię.

- Kupisz, wiem, że kupisz - odpowiedział Richard, uśmiechając się szeroko. - Nie mam jednak nic przeciwko temu, żeby ci powiedzieć. - Powiódł wzrokiem nad zatoką, po zachodnich wzgórzach porośniętych dżunglą. - W czasie tej nie kończącej się podróży wiele razy zastanawiałem się nad tym, co powinienem robić, gdy w końcu dotrzemy do zatoki Botany. Pośród skazańców jest bardzo niewiele fachowców. Wszyscy słyszymy, o czym rozmawiają wojskowi oficerowie, zwłaszcza po przyjeździe do Rio, przy tych wszystkich odwiedzinach które teraz mają miejsce. Małemu porucznikowi Ralphowi Clarkowi nieomal nigdy nie zamyka się buzia. Niekiedy jednak pośród tego jego skomlenia na temat pijańskiej błazenady na pokładzie „Friendshipa” i jego ulubionego tematu żony i syna, któryś z nas usłyszy coś interesującego. - Richard zaczerpnął powietrza. - No tak, pozwól mi tylko rozgadać się na temat drugich oficerów! Wracając do tego, o czym zacząłem mówić - pośród nas, skazańców, jest niewiele wykwalifikowanych ludzi. Ja posiadam pewne umiejętności i niektóre z nich z pewnością będę mógł wykorzystać, gdyż wyobrażam sobie, że będzie tam sporo ścinania drzew i cięcia drewna. Potrafię ostrzyć piły. Co ważniejsze, potrafię ustawiać zęby na piłach, co jest znacznie rzadszą sztuką. Być może mój kuzyn James zdołał dostarczyć pudło z narzędziami na któryś z tych statków, ale może mu się to nie udało. A w takim razie nie poradzę sobie bez proszku szmerglowego i rybiego kleju. Przypuszczam, że flota musi

posiadać jakieś pilniki, ale jeśli została równie słabo zaopatrzona w narzędzia jak w wiktuały, z pewnością nikt nie pomyślał o proszku szmerglowym i rybim kleju. Te wieści o nabojach do muszkietów też nie podniosły mnie na duchu. Co według nich mielibyśmy zrobić, gdyby Indianie z Nowej Południowej Walii okazali się równie zawzięci jak Mohawk i obleżyli nas?

- Dobre pytanie - odpowiedział Stephen Donovan poważnie. - Ale na co potrzebny ci ten szmerglowy proszek i rybi klej, Richardzie?

- Robię własny papier szmerglowy i pilniki.

- Czy będziesz potrzebował zwykłych pilników, jeśli flota nie ma żadnych?

- Tak, ale to są już wszystkie pieniądze, jakie mogłem wydać, i nie chcę już dłużej nadużywać pańskiej hojności. Liczę na to, że jednak dostanę swoje narzędzia.

- Wyciskanie z ciebie informacji to jak toczenie krwi z kamienia - odpowiedział pan Donovan z uśmiechem. - Ale mam nad tobą przewagę. Pewnego dnia dowiem się wszystkiego.

- Nie ma tu o czym gadać. Ale dziękuję.

- Och, jestem do twoich usług, Richardzie. Gdyby nie to, że musiałem schodzić całe miasto za twoimi lekarstwami, nigdy nie zobaczyłbym ani połowy tych osobliwości, jakie ujrzałem w Rio. Tak jak w przypadku Johnstone'a i Shairpa, byłyby to kawiarnie, klejące się bułeczki, rum, porto i podlizywanie się portugalskim urzędnikom w nadziei, że obdarzą człowieka jakąś cenną pamiątką. - I zszedł na dół po drabince, pogwizdując wesoło, z beztroską kogoś, kto robił to tysiące razy.

W ostatnią niedzielę w Rio wielebny Richard Johnson, kapelan wyprawy znany ze swoich lekko metodystycznych poglądów, wygłosił kazanie i odprawił nabożeństwo na pokładzie „Alexandra” przy akompaniamencie krzykliwych katolickich dzwonów kościelnych, rozbrzmiewających w całym mieście. Sprzątano pokłady, co było pewną oznaką, że zbliżał się czas wypłynięcia na morze.

Czternastego września rozpoczęli operację wyprowadzania jedenastu okrętów z usianego wyspami portu Rio de Janeiro, a zakończyli ją piętnastego września, po miesięcznym postoju na kotwicy, pełnym pomarańczy i sztucznych ogni. Fort Santa Cruz i „Sirius” prześcigali się w oddawaniu sobie nawzajem honorów, złożonych z dwudziestu jeden armatnich wystrzałów. Racjonowanie wody do trzech kwart dziennie zostało przywrócone, co być może wskazywało na to, że gubernator zgadzał się z lekarzami co do jakości wody w Rio.

O zmroku ziemia zniknęła im z pola widzenia, flota wzięła kurs na wschód, mając nadzieję, że trzy tysiące trzysta mil lądowych, dzielących ich od Przylądka Dobrej Nadziei,

uda się im prędko pokonać. Od tego momentu będą kierować się na wschód i południe, na morza nakreślone na mapach aż po Przylądek, lecz niezbyt uczęszczane. Do tej pory napotykali niekiedy portugalskie statki handlowe, lecz odtąd nie spotkają żadnych okrętów dopóki nie zbliżą się do Przylądka i szlaku wielkich okrętów, kursujących pomiędzy Indiami Wschodnimi a Europą.

Richard uzupełnił swoje zapasy, dodając do nich proszek szmerglowy, klej i parę porządnych pilników. Największym jego zmartwieniem były teraz okapniki - miał jeszcze dwa zapasowe, lecz okapniki jego pięciu przyjaciół nie nadawały się już do użycia. Jeśli kuzyn James aptekarz się nie mylił, niedługo będą nieprzydatne. A zatem z pomocą Donovana wykonał sznurkową siatkę i ciągnął jeden z okapników za statkiem po morzu, modląc się, żeby nie wpadł w oko jakiemuś rekinowi. Wcześniej jeden z nich upodobał sobie spodnie któregoś z wojskowych oficerów, ciągnięte po wodzie w celu porządnego wybielenia; przegryzł linę na pół, połknął spodnie, po czym wypłuł je z obrzydzeniem. Zrobiłby to samo z okapnikiem, lecz wraz z liną, straciłby również przymocowany do niej cenny przedmiot. Po tygodniu okapnik został wyciągnięty i przymocowany do pokładu, co zapewniało odpowiednią ilość słońca i deszczu. Kolejny okapnik odbywał długą kąpiel, Richard miał nadzieję, że zanim okażą się bezużyteczne, zdoła oczyścić je wszystkie.

Kiedy tak płynęli coraz dalej na południe, wyglądając owego wielkiego prądu morskiego, który pomógłby im przedostać się z Brazylii do Afryki, zauważyli grupę kaszalotów, również podążających na południe. Ogromne stworzenia miały pyski przypominające z profilu niewielkie wzgórza, poniżej których znajdowały się wyjątkowo smukłe dolne szczęki uzbrojone w przerażające zęby. Ogony miały bardziej spłaszczone i mniejsze i były mniej ruchliwe niż wieloryby, które widywali poprzednio. Było tam mnóstwo morskich stworzeń - morświnów, delfinów i rekinów, lecz trudniej było im teraz złapać jakieś jadalne ryby, ponieważ płynęli szybciej i po wzburzonym morzu. Niekiedy napotykali ławice ryb, które zapewniały im zupełną rybność, lecz przeważnie jadalni mięso i twardy chleb, w którym roiło się od wołków zbożowych i innego robactwa. Nikt nie miał wielkiego apetytu. Więźniowie mieli za to duży worek suszonych skórek i owoców cytrusowych i dzielili się nimi, żując codziennie po niewielkim kawałku.

W miarę jak posuwali się na południe, coraz częściej pojawiały się gigantyczne ptaki morskie, zwane albatrosami, lecz kiedy któryś z żołnierzy wyciągnął strzelbę, ponieważ miał ochotę na pieczonego albatrosa, załoga powstrzymała go w przerażeniu - zabicie tego króla powietrza przynosiło nieszczęście.

Wybuchła nowa choroba - najpierw pośród marynarzy, lecz wkrótce zaczęła się

szerzyć również w więzieniu. Wrócili więc do okadzania, szorowania i bielienia. Środkowe półki izolatek ponownie się zapełniły, a jeden z więźniów zmarł pośród ryczącej nawałnicy. Lekarz Balmain - o wiele chętniej odwiedzający więzienie wówczas - spędzał teraz sporo czasu pomiędzy więzieniem a pomieszczeniami dla młodszych oficerów. Kiedy tylko umożliwiała to pogoda, zarządzał następną okadzenie, szorowanie i bielienie, choć jasne było już, że rytuał ten jest nieskuteczny poza tym, że dzięki niemu pod pokładem robiło się jaśniej, tak że Richard, Bill, Will, Neddy i inni mogli tam czytać, jeśli pokład był kłębowiskiem żagli, w którym uwijali się marynarze. W trakcie tej serii podmuchów wiatru okazało się, że kapitan Sinclair nie był wcale poślednim żeglarzem - rozwijał żagle, gdy tylko wiały pomyślne wiatry, po czym związał je chwilę później, jeśli wiatr ustawał. Rozwiń, ukróć, rozwiń, ukróć, rozwiń... John Power, Willy Dring i Joe Robinson nigdy nie pojawiali się w więzieniu. Marynarze potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy. Nie było nic gorszego od braku rąk do pracy, uniemożliwiającego porządną odpoczynek między wartami.

Z końcem września nieco ustały równonocne sztormy, morza stały się trochę spokojniejsze, a pokład ponownie dostępny. „Alexander” żeglował sprawnie zarówno przy dobrej, jak i złej pogodzie, i woda nigdy nie przelewała się przezeń na tyle mocno, aby trzeba było zamknąć włazy. Od opuszczenia Portsmouth zdarzyło się to tylko raz.

Równie wyczerpany, jak i podniecony, John Power wracał do więzienia od czasu do czasu, kiedy nie był potrzebny na górze, podobnie jak Willy Dring i Joe Robinson, którzy robili wrażenie zdenerwowanych i niespokojnych. Nie próbowali jednak zbliżyć się ani przyłączyć do kliku Powera przy przepierzeniu dziobowym, co dziwiło Richarda, który spodziewał się, że wspólna praca sprawi, że jeszcze bardziej zaprzyjaźnią się z kolegami marynarzami. Tymczasem wyglądali na coraz bardziej skrepowanych za każdym razem, kiedy go widzieli.

Życie toczyło się tak samo jak w ubiegłych tygodniach - wycieczki na pokład celem łowienia ryb, głaskanie zwierząt, czytanie, śpiewanie piosenek, rozmowy, gra w karty lub kości, próba zjedzenia czegoś. Wszyscy znowu zaczęli chudnąć i chociaż w Rio nabrali trochę ciała, ta okropna dieta ich wyniszczała. Nikt w pobliżu przepierzenia przy rufie po stronie bakburty nie zauważył niczego dziwnego - żadnej zmiany atmosfery, żadnych potajemnych szeptów, żadnego schodzenia do składów, żeby ukraść chleb - no bo komu chciałoby się to robić? Willy Dring wraz z Joe Robinsonem zaszywali się na swoich pryczach i wydawało się, że nieustannie spali lub drzemali - to było jedynym symptomem, który Richard zauważył i zlekceważył, uznając to za dziwne, lecz niezbyt istotne. W końcu ciężko pracowali przez całe dwa tygodnie.

A potem, szóstego października, w pobliżu afrykańskiego kontynentu, zesłała do więzienia grupa dziesięciu żołnierzy i zabrała Johna Powera. Poszedł, opierając się i walcząc, toteż zbili go do utraty przytomności, po czym wynieśli go przez tylny właz, podczas gdy więźniowie przyglądali się temu w osłupieniu. Parę minut później żołnierze wrócili po dwóch mężczyzn z Nottingham - Williama Pane'a i Johna Meynela, których przyczą znajdowała się przy przyczepie Powera. A potem - nic. Poza tym tylko, że Power, Pane i Meynell nigdy już nie wrócili.

Większość z tej historii Richard usłyszał od Stephena Donovana i trochę od Willy'ego Dringa i Joe Robinsona.

Power wraz z kilkoma członkami załogi planował bunt, który opierał się na założeniu, że dwie trzecie żołnierzy nie nadawało się do służby.

- Bardziej szalonego i postrzelonego planu jeszcze nie słyszałem - stwierdził zmieszany Donovan. - Zamierzali po prostu przejąć statek! Bez żadnej, absolutnie żadnej metody w całym tym szaleństwie. Nie byłem w to wtajemniczony; mógłbym przysiąc na własne życie, że młody Shortland również nie był, a jego eminencja William Aston Long nie poniżyłby się w ten sposób - a poza tym ma zostać mianowany na kapitana po powrocie do domu. Stary Bones? Mówi, że nie ale ani ja, ani Esmeralda mu nie wierzymy. Po zabezpieczeniu pokładu przy przybudówce i działka rozrzutowego planowano następnie zamknięcie żołnierzy i więźniów pod pokładem, a potem przejęcie steru i kurs na Afrykę. Przypuszczalnie Esmeralda, Long, Shortland, ja i reszta nie zgadzającej się z nimi załogi miała zostać zamknięta z wami w więzieniu. Wątpię, czy planowano jakieś morderstwo.

- Poczekaj tu - powiedział Richard i zszedł z powrotem do więzienia, aby skonfrontować to z Willym Dringiem i Joe Robinsonem.

- Co wyście o tym wiedzieli? - domagał się wyjaśnień. Wyglądali tak, jakby zdjęto z nich ogromny ciężar.

- Usłyszeliśmy o tym od Powera, który poprosił, żebyśmy się do niego przyłączyli - odpowiedział Dring. - Powiedziałem mu, że jest szalony i żeby tego zaniechał. Potem dbał o to, żeby z nikim o tym nie rozmawiać w naszej obecności, choć wiedział, że go nie wsypujemy. A potem pan Bones nas zwolnił.

Richard powrócił na pokład.

- Dring i Robinson wiedzieli o tym, ale nie chcieli brać w tym udziału. Sądzę, że Bones był w to zamieszany. Ale co się stało?

- Dwóch więźniów doniosło o wszystkim Esmeraldzie.

- Zawsze się znajdują jacyś kapusie - mruknął Richard na poły do siebie. - Meynell i

Pane z Nottingham. Cholerne skurczybyki.

- No cóż, Dring i Robinson trzymali się honorowego kodeksu złodziejasków, podczas gdy tamta dwójka zarabiała na oficjalne pochwały i lepsze jedzenie. Uważasz, że są źli? Dlaczego?

- Ponieważ były i inne donosy. Już od pewnego czasu ich podejrzewałem. Jak już się zna nazwiska, wszystko zaczyna pasować. Gdzie oni teraz są?

- Na pokładzie „Scarborough”, o ile się nie mylę. Esmeralda popłynęła barkasem, żeby się zobaczyć z jego ekscelencją natychmiast doniesieniu tej pary. Popłynąłem z nim, żeby go podeprzeć na drabinkach - „Sinus” wysłał dwa tuziny żołnierzy i marynarze wymienieni przez donosicieli zostali zaatakowani. Jeśli chodzi o Bonesa i innych - nie mamy dowodów. Ale nie będą już więcej próbować, bez względu na to, jak bardzo nienawidzą Esmeraldy za rozcieńczanie wodą rumu, a potem sprzedawanie go.

- A co się stało z Powerem? - zapytał Richard ze ściśniętym gardłem.

- Wysłano go na „Siriusa”, żeby tam został przykuty do pokładu.

- Nie wróci już na „Alexandra”, to pewne. - Donovan przyglądał się Richardowi z ciekawością. - Ty rzeczywiście lubisz tego chłopaka, co?

- Owszem, nawet bardzo, choć czułem, że w końcu narobi sobie kłopotów. Niektórzy ludzie przyciągają problemy niczym magnes żelazne gwoździe. On jest jednym z nich. Nie wierzę jednak, żeby był winny zbrodni, za którą został skazany. - Richard przetarł oczy i pokręcił gniewnie głową. - Rozpaczliwie pragnął powrócić do domu, do swego chorego ojca.

- Wiem. Ale jeśli to jest jakimś pocieszeniem, Richardzie, myślę, że kiedy miniemy Kapsztad i Johnny nie będzie miał już szansy na powrót do domu, spokojnie i zostanie wzorowym skazańcem.

Nie uspokoiło to Richarda, być może dlatego, że czuł, że sam nie spełnił swoich synowskich obowiązków. Częściej myślał o kuzynie Jamesie aptekarzu niż o własnym ojcu.

Było jednak coś, co mógł zrobić, by pomóc Johnowi Powerowi, i zrobił to bez żadnych skrupułów - postarał się, aby nazwiska kapusiów były znane od jednego przepierzenia po drugie. Kapusie byli kapusiami, zawsze będą donosić. Kiedy „Scarborough” zawinie do Kapsztadu, wiadomość ta dotrze i tam. Pane i Meynell będą znani z tego, co zrobili, każdemu skazańcowi w zatoce Botany. Nie będzie im już łatwo w życiu.

Lekarz Balmain miał antidotum na ogólny nastrój przygnębienia i depresji panujący w więzieniu - kazał ponownie okadzać, szorować i bielić pokłady.

- Pragnę tylko dwóch rzeczy, Richardzie - powiedział Bill Whiting zapalczywie. - Po pierwsze, złapać tego pierdolonego Balmaina, wystrzelić mu proch w twarz, wyszorować

całego olejem smołowym i metalową szczotką, a potem pomalować na biało. Po drugie, chciałbym zmienić to moje pierdolone nazwisko! Whiting!

Kapsztad był śliczny, owszem, ale zdaniem skazańców - którzy zawsze jedynie z pokładu statku oglądali miasta i nie mogli nigdy niczego zakosztować - nie dorównywał Rio de Janeiro. Rio było nie tylko zachwycające wizualnie, ale również zamieszkane przez szczęśliwych i wolnych ludzi, cechujących się charakterem i żywotnością. Kapsztad był bardziej wietrzny, ponury i zapylony, w porcie brakowało łodzi aprowizacyjnych, a te czarne twarze, które widzieli, bynajmniej nie były uśmiechnięte. Mogło to być po prostu wynikiem jego surowego, kalwinistycznego, holenderskiego charakteru. Wiele budynków pomalowano tam na biało - nie był to ulubiony kolor więźniów na „Alexandrze” - a w obrębie miasta było zaledwie parę drzew. Poza niewielką przybrzeżną równiną wznosiła się ogromna, spłaszczona na szczycie, porośnięta krzewami góra i prawdą było to, co o niej pisano w książkach - warstwa gęstej, białej mgły opadała tutaj, przykrywając obrusem ową Górę Stołową.

Od opuszczenia Rio byli na morzu przez trzydzieści dziewięć dni i przybyli tu czternastego października, w połowie południowej wiosny. Upłynęło już sto pięćdziesiąt cztery dni - czyli dwadzieścia dwa tygodnie - od czasu opuszczenia przez flotę Portsmouth i pokonali dziewięć tysięcy dziewięćset mil lądowych, choć nadal mieli przed sobą szmat drogi. Jedenaście statków nie rozdzieliło się dotąd ani razu - gubernator komodor Arthur Phillip trzymał swe małe stadko razem.

Dla skazańców dotarcie do portu oznaczało, że pokład przestanie się chwiać pod stopami oraz że otrzymają jedzenie, w którym również nic się nie porusza. Dzień po ich przybyciu na pokład przysłano świeże mięso wraz ze świeżym, miękkim, cudownym holenderskim chlebem i paroma zielonymi jarzynami - kapustą i jakimiś ciemnozielonymi, ostrymi w smaku liśćmi. Apetyty poprawiły się natychmiast i więźniowie zabrali się do przygotowań do przetrwania ostatniego etapu podróży, wynoszącego podobno o tysiąc mil więcej aniżeli podróż z Portsmouth do Rio.

- Tam, dokąd płyniemy, udały się jedynie dwie wyprawy - powiedział Stephen poważnie, pragnąc, aby Richard zgodził się przyjąć od niego trochę masła do chleba dla swojej grupy. - Holender Abel Tasman pozostawił mapy z wyprawy, którą odbył ponad sto lat temu, no i oczywiście mamy mapy kapitana Cooka i jego podwładnego, kapitana Furneaux, który dotarł na koniec świata i do krainy lodu z drugą wyprawą Cooka. Jednak nikt tak naprawdę nie wie, czego się spodziewać. Jest nas tu sporo na pokładach jedenastu statków i próbujemy dotrzeć do Nowej Południowej Walii z Przylądka Dobrej Nadziei. Czy ta Nowa

Południowa Walia jest częścią tego, co Holendrzy nazywają Nową Holandią, dwa tysiące mil na zachód od niej? Cook nie był tego pewien, nigdy nie widział bowiem żadnego południowego wybrzeża, które by je łączyło. Mogli jedynie udowodnić z Furneaux, że Diemen's Land nie była częścią Nowej Zelandii, jak myślał Tasman, lecz raczej wysuniętym najbardziej na południe końcem Nowej Południowej Walii, który jest pasmem wybrzeża ciągnącego się przez ponad dwa tysiące mil na północ od Van Diemen's Land. Jeśli istnieje ta Wielka Południowa Ziemia, jeszcze nie została opłynięta. Jeśli jednak ziemia ta istnieje, musi liczyć sobie ze trzy miliony mil kwadratowych, a to więcej niż cała Europa.

Serce Richarda bynajmniej nie biło spokojnie.

- Myślę, że chcesz pan przez to powiedzieć, że nie mamy pilota.

- Mniej więcej. Tylko Tasmana i Cooka.

- Czy to dlatego, że większość podróżników wkraczała na obszar Oceanu Spokojnego, opływając przylądek Horn?

- Aha. Kapitan przeważnie wybierał przylądek Horn. Przylądek Dobrej Nadziei uważany jest za trasę do Indii Wschodnich, Bengalu i Cathay, a nie na Pacyfik. Spójrz tylko na ten port - pełen statków. - Donovan wskazał na ponad tuzin okrętów. - Owszem, one popłyną na wschód, lecz także na północ, wykorzystując prąd na Oceanie Indyjskim, który zawiedzie ich aż do Batawii. Dotrą do tych stref geograficznych z początkiem letnich monsunowych wiatrów i zostaną zanieśeni dalej na północ. Zimowe wiatry wyślą ich do domu obładowanych towarami, za pomocą trzech wielkich prądów. Jeden biegnie na południe, przez cieśninę pomiędzy Afryką a Madagaskarem. Drugi porwie ich wokół Przylądka Dobrej Nadziei i zanieśie na wody południowego Atlantyku. Trzeci zawiedzie ich na północ wzdłuż zachodnich wybrzeży Afryki. Wiatry są bardzo ważne, ale prądy czasami okazują się jeszcze ważniejsze.

Donovan jeszcze bardziej spoważniał, co zaniepokoiło Richarda.

- Panie Donovan, co jeszcze pan przede mną ukrywa?

- Ach, sprytny z ciebie człowiek. No dobrze, będę z tobą szczery. Ten drugi prąd, ten, który opływa Przylądek Dobrej Nadziei, płynie ze wschodu na zachód. To istne piekło. Nie można go uniknąć, ponieważ ma ponad sto mil szerokości. Płynąc na północny wschód, do Indii wschodnich, da się go pokonać. Lecz my musimy szukać silnych zachodnich wiatrów daleko na południe od przylądka, a to jest dla żeglarza o wiele trudniejszym zadaniem. Ostatni odcinek naszej podróży znacznie się wydłuży, ponieważ nie znajdziemy tak szybko kursu na wschód. Pływałem już do Bengalu i Cathay, więc dobrze znam południowy kraniec Afryki.

Zaciekawiony Richard popatrzył na czwartego oficera z pewnym podziwem.

- Panie Donovan, dlaczego zdecydował się pan na tę niepewną wyprawę, tam gdzie, jak dotąd, dotarł jedynie kapitan Cook?

Piękne niebieskie oczy rozjaśniły się.

- Dlatego, Richardzie, że chcę być częścią historii, nieważne jak mało znaczącą. Wyprawa, na którą się wybraliśmy, jest jak opowieść - to nie jakiś tam marsz do starych, znanych już miejsc, nawet jeśli miejsca te mają tak ponętne nazwy jak Cathay. Nie mam odpowiednich znajomości, by zostać aspirantem do Królewskiej Floty, ani też wystarczających do tego, aby dostać się na wyprawę organizowaną przez jakieś inne królewskie towarzystwo. Kiedy Esmeralda poprosiła mnie, abym się zaokrętował w charakterze drugiego oficera, ochoczo skorzystałem z tej sposobności. I bez protestów przyjąłem obniżenie mej rangi. Dlaczego? Tylko dlatego, że robimy coś, czego jeszcze nikt nie dokonał. Zabieramy ze sobą ponad tysiąc pięćset nieszczęsnych ludzi, aby zaczęli żyć na dziewiczej ziemi bez żadnego przygotowania. Tak jakbyśmy wysyłali was z Hull do Plymouth. To szaleństwo, wiem o tym. Istne szaleństwo! A co będzie, jeśli po dopłynięciu do zatoki Botany okaże się, że w żaden sposób nie można się tam utrzymać przy życiu? Z tyloma ludźmi za daleko byłoby płynąć nawet do Cathay. Pan Pitt i admiralicja rzucili nas na pastwę bogów, Richardzie, bez żadnego przygotowania, planu, i bez żadnych skrupułów. Wyprawa wykwalifikowanych rzemieślników powinna wyruszyć dwa lata wcześniej, aby trochę ujarzmić to miejsce. Tak się jednak nie stało, bo za wiele by to kosztowało i nie pozbyto by się z Anglii ani jednego więźnia. Jakie wy tak naprawdę macie znaczenie? Prawda jest taka, że nie znaczący więcej niż jedno lub dwa dochodzenia parlamentarne. Nawet jeśli wszyscy zginiemy, ta wyprawa jest wielkim wydarzeniem historycznym i ja jestem jego częścią. I chętnie umrę, jeśli będzie trzeba. - Zaczerpnął powietrza i uśmiechnął się promiennie. - Da mi to również szansę na wstąpienie do Królewskiej Floty w charakterze wykwalifikowanego kandydata na oficera. Kto wie? Może kiedyś będę dowodził fregatą?

- Mam nadzieję, że pan będzie - stwierdził Richard szczerze.

- A wszystko to oddałbym za ciebie - odpowiedział żartobliwie Donovan.

Richard zrozumiał to oświadczenie dosłownie.

- Panie Donovan! Dotąd zdążyłem poznać pana na tyle dobrze, że rozumiem, że pańskie największe pasje nie są związane z ciałem. To typowa irlandzka przesada.

- Och, ciało, ciało, ciało! - warknął Donovan, wodzony ponad wszelką miarę na pokuszenie. - Naprawdę, Richardzie, mógłbyś udzielać lekcji klerykom żyjącym w celibacie. Co oni tam robią z ludźmi w tym Bristolu? Nigdy jeszcze nie spotkałem człowieka tak

zagadkowego w sprawach związanych z naturalnymi potrzebami jak ty. Nie bądź głupcem. Dla towarzystwa, człowieku, dla towarzystwa! Kobiety nie są żadnym towarzystwem. Miłość je okalecza. Jeśli są biedne - harują, jeśli bogate - haftują, rysują lub malują co nieco, rozmawiają po włosku i wydają rozkazy gospośiom domowym. Nie ma co marzyć o rozmowie z nimi. Jeśli już o tym mowa, większość mężczyzn też nie stanowi dobrego towarzystwa - przyznał sprawiedliwie, hamując swój wybuch. Usiłował udawać beztruskę. - A poza tym nie jestem prawdziwym Irlandczykiem. W żyłach ludzi z Ulsteru płynie sporo krwi wikingów. Prawdopodobnie właśnie dlatego tak kocham pływać po morzach i odwiedzać nowe, dziwne miejsca. Irlandczyk we mnie jest marzycielem, wiking musi zamieniać marzenia w rzeczywistość.

Jednak rzeczywistość w Kapsztadzie nie miała nic wspólnego z marzeniami. Holenderscy obywatele, którzy rządili miastem - posiadającym również znaczną liczbę angielskiej ludności, pilnującej interesów szacownej Spółki Wschodnioindyjskiej - zacierali ręce z radości na myśl o sporych zyskach i przedłużali negocjacje związane z zaopatrzeniem floty do dwóch tygodni. Panował tam głód, przez dwa lata nie było bowiem udanych zbiorów, mieli mało zwierząt, i tak dalej, i tak dalej. Gubernator Phillip z niewzruszonym spokojem uczestniczył w jednym spotkaniu po drugim, doskonale wiedząc, że są to zabiegi mające zapewnić im wyższe ceny. Nie spodziewał się nawet, że w Kapsztadzie mogłoby być inaczej.

Być może rozumiał lepiej niż ktokolwiek z jego podwładnych, że właśnie te długie postoje w porcie pozwalały więźniom - i żołnierzom - wytrzymać trudy podróży. To on wystarał się o pomarańcze, świeże mięso i chleb oraz można było zdobyć jarzyny. Świat żeglarzy nie był przystosowany do przewożenia setek pasażerów przez cały rok. Niech zatem nasycą swe ciała przyzwoitym jadłem, aby wytrwali następnym odcinkiem podróży - taka myśl przyszła do głowy zarówno skazańcom, jak i żołnierzom.

Kapitan Duncan Sinclair odbył wściekłą awanturę z agentem kontrahenta, panem Zachariahem Clarkiem, i odrzucił pierwszą dostawę świeżo upieczonego, twardego chleba, uważając go za bezwartościowe trociny. Zajęty był ładowaniem tylu zwierząt, ile tylko zmieściło się na pokładzie, głównie owiec i świń, których połowa stanowiła własność publiczną i miała być przeznaczona na użytek rządu w zatoce Botany. Kury, kaczki, gęsi i indyki również załadowano, więc cała rufa przypominała wiejskie podwórko, podobnie jak ta część, która pozostała jeszcze z przybudówki. Z kajuty oficerskiej Sinclaira roztaczał się teraz widok na wełniane zadki. Beł siana i worki z paszą poupychano pod dolnymi pryczami, nie pozostawiając zbyt wiele miejsca na wiadra i inny dobytek, który więźniowie usuwali z własnych pryczy, aby zyskać więcej miejsca do spania. Do tego czasu dobrze już wiedziano,

kto pośród nich jest złodziejem, i łatwo było delegacji złożyć wizytę każdemu z tych, co mieli zwinne palce, domagając się zwrotu własności. Najczęściej kradziono zapasy żywności i rum nielegalnie zakupiony przez sierżanta Knighta, który miał przez to ogromne kłopoty, gdy doniósł na niego jeden z szeregowców. Nawet po tylu miesiącach na morzu nadal byli tacy, którzy dla zdobycia rumu gotowi byli nieomal zamordować.

Żadna z brazylijskich papug nie przeżyła, ale szkockiemu terierowi Wallace'owi i suce porucznika Johna Johnstone'a, buldogowi Sophie, udało się zachować życie. Sophie była nawet brzemienna, najwidoczniej za sprawą Wallace'a, co Shairp uważał za wyjątkowo zabawne. Wszyscy na pokładzie umierali z ciekawości, jakież będzie to ich potomstwo. Rodzina kota Rodneya pomniejszyła się, gdyż kocięta powędrowały na inne statki, lecz zarówno jemu, jak i jego rodzinie przybywało tłuszczu.

Kiedy pod koniec pierwszego tygodnia listopada zaczęto przysyłać na statek prowiant, kapitan Sinclair nakazał załodze wyszorować tę część kadłuba „Alexandra”, która nie była pokryta miedzią. Zainspirowany tymi czynnościami, lekarz Balmain nakazał okadzanie, szorowanie i bielenie pod pokładem, pomieszczeń dla niższych oficerów zajmowanych przez żołnierzy oraz więzienia. Głowę miał pełną wrażeń z cudownych wycieczek, na które wybrał się na wzgórza, oszołomiony wspaniałością egzotycznych krzewów i gąszczy pokrytych wiosennym kwieciami - ale jakież to były dziwne kwiaty! Wiele z nich przypominało pastelowe wzgórza karakułów obramowane gigantycznymi płatkami.

Wiedziałem, że miałem prosić Donovana, aby załatwił mi coś w Kapsztadzie! - powiedział Richard, uderzając wściekle pędzlem. - Chciałem, żeby powiedział wszystkim sprzedawcom wapna, że nasz lekarz nie jest upoważniony do nabycia nawet jednego grama tego artykułu.

Flota opuściła port spedytorski dwunastego listopada, akurat w momencie, gdy zawinął do niego jankeski statek handlowy z Bostonu, jego załoga zebrała się, aby na nich popatrzeć, nigdy nie widziała bowiem tak masowego exodusu z żadnego portu.

W porcie przebywali trzydzieści dni i każdy statek został załadowany do pełna. Z „Friendshipa” przeniesiono więźniarki, aby zrobić miejsce na owce i parę krów. „Lady Penrhyn” wiozła ogiera, dwie klacze i źrebię na użytek gubernatora, na innych statkach były dodatkowe konie i bydło, wszędzie zaś roіło się od owiec, świń i drobiu i groziło, że woda stanie się ogromnym problemem. Szczególną uwagę zwracano na pomieszczenia dla koni, którym nie można było pozwolić na położenie się lub poruszenie choćby parę cali w żadną stronę - koń mający dość miejsca, aby potknąć się i przewrócić, był wart tyle samo co martwy. O bydło również bardzo dbano.

Ostatni odcinek podróży rozpoczął się dokładnie tak, jak zapowiedział Stephen Donovan. Prąd i wszystkie wiatry sprzysięły się przeciwko flocie. Nie były to drobne utrudnienia, wezbrały bowiem niewielkie sztormy i wzburzyły morze. Ludzie ze skłonnościami do zapadania na chorobę morską znowu się pochorowali. Na koniec komodor rozkazał, aby statki ustawiły się za „Siriusem” i pozostawały za nim, podczas gdy kapitan John Hunter bezowocnie usiłował znaleźć korzystny wiatr. Sztormy ustały dzień później i znowu rozpoczęła się męczarnia postojów i halsowania, zazwyczaj bez dobrych rezultatów.

W ciągu trzynastu długich dni przebyli zaledwie dwieście czterdzieści dziewięć mil na południowy wschód od Przylądka. Ograniczono racje wody do trzech kwatek dziennie, co dla wszystkich było nie do zniesienia; nawet cztery kwarty były niewystarczające. Porucznicy na „Alexandrze” utyskiwali na ten rozkaz - tak jak w trakcie wcześniejszych okresów racjonowania, rozdzielanie wody musiało być nadzorowane, co przysparzało im pracy. Sierżant Knight został zwolniony ze służby na czas nie określony, co oznaczało, że porucznicy musieli polegać na trzech bardzo miernych kapralach, którzy wydzielali wodę wraz z nimi, podczas gdy Knight - bynajmniej nie zmartwiony swym zawieszeniem - leżał wygodnie w swoim hamaku i spał oszołomiony rumem, który kupował od Esmeraldy na konto wypłaty swego żołnierskiego żołdu. Major Ross myślał, że zawieszenie bez wypłaty żołdu nieco ograniczy jego działalność, lecz nie miał pojęcia, ile pieniędzy Knight zdążył już zarobić podczas tego rejsu na ludziach takich jak Tommy Crowder.

Roilo się tu od wielorybów. Przez pierwsze dwa tygodnie zafascynowani więźniowie spędzali całe godziny na pokładzie, usiłując je zliczyć. Ocean zdawał się usiany głazami, z których tryskały fontanny, były to bowiem przeważnie kaszaloty. Pojawiły się również nowe gatunki morświnów, bardzo duże i o spłaszczonych pyskach. Niektórzy marynarze mówili, że to „szablogrzbiety”, choć odbyło się parę dyskusji na temat tego, czym właściwie są owe „szablogrzbiety”. Rekiny były tak ogromne, że niekiedy atakowały mniejsze wieloryby - wyskakiwały z morza, aby opaść z otwartymi szczękami na głowę wieloryba, pozostawiając po sobie otwarte, krwawiące kratery. Jeśli były to „siepacze”, posługiwały się również długim brzeszczotem na szczycie ogona do cięcia i rąbania. Pewnej niezapomnianej, księżycowej nocy Richard, niespokojny i cierpiący na bezsenność, ujrzał pośród srebrnego morza tytaniczną walkę pomiędzy wielorybem a czymś, co - mógłby przysiąc - było gigantyczną mątwą, której macki owinęły się wokół ciała wieloryba. Potem wieloryb zanurkował i poniósł swego napastnika w głębinę. Któż to wie, co czyhało w królestwie, w którym lewiatany osiągały osiemdziesiąt stóp długości, a rekiny blisko trzydzieści?

Zaczęły krążyć pogłoski, że gubernator Phillip zamierza podzielić flotę, zabrać ze sobą dwa lub trzy statki i ruszyć do przodu tak szybko, jak się tylko da, pozostawiając maruderów, aby podążali za nimi. „Charlotte” i „Lady Penrhyn” były najpowolniejsze, tak jak okręty zaopatrzeniowe i „Sirius”. Żeglarze wykorzystali wszelkie znane im sposoby, aby złapać pomyślny wiatr, włącznie z ustawieniem wszystkich statków w różnych kierunkach - lecz bezskutecznie.

Po dwóch tygodniach na morzu wreszcie uśmiechnęło się do nich szczęście - znaleźli dobry wietrzyk i ruszyli z falą na południowy wschód z prędkością ośmiu węzłów na godzinę. Morze było jednak tak wzburzone, że „Lady Penrhyn” - wioząca cenne konie Phillipa najpierw przechyliła się na burcie tak mocno, że zanurzyła się w wodzie aż po okrężnicę i końce omasztowania, a potem zalało jej całą rufę, kiedy olbrzymia fala runęła na nią i przetoczyła się przez całą długość statku. Nabrała tyle wody, że wszystkim kazano pracować przy pompach i wybierać wodę wiadrami. Konie jednak na tym nie ucierpiały i bydło również nic się nie stało.

A potem wiatr znów się odmienił. Zmuszony sytuacją gubernator Phillip postanowił rozdzielić flotę. Zdecydował przenieść się na „Supply” i zabrać ze sobą „Alexandra”, „Scarborough” i „Friendshipa”, podczas gdy kapitan Hunter na „Siriusie” miał przejąć dowodzenie nad siedmioma powolniejszymi statkami. „Supply” będzie teraz parła do przodu samotnie, porucznik John Shortland - agent marynarki wojennej - wejdzie na pokład „Alexandra” i będzie z niego dowodził „Scarborough” i „Friendshipem”, utrzymując te trzy statki razem.

Decyzja gubernatora była powszechnie krytykowana. Wielu oficerów marynarki, armii czy też lekarzy okrętowych uważało, że Phillip, jeśli w ogóle miał rozdzielić flotę, powinien to zrobić w Rio de Janeiro. „Postępowanie takie nie leżało jednak w naturze Phillipa” - pomyślał Richard, podsłuchawszy narzekanie Johnstone’a i Shairpa, którzy musieli podzielić się teraz swoim nadbudówkowym rajem. „Phillip jest jak kokoszka, która nie znosi porzucania swoich piskląt. Och, jakże on się będzie teraz martwił! Jego jednostka wiozła przeważającą część więźniów, których zatrudni w zatoce Botany, by pracować bez chaosu, który wywołują kobiety i dzieci; przypuszczał, że pierwsza grupa powinna zarzucić kotwicę co najmniej dwa tygodnie przed przybyciem grupy Huntera.

Więźniowie, o których wiedziano, że byli ogrodnikami, farmerami, stolarzami czy drwalami - a było ich niewielu - zostali przeniesieni na „Scarborough” i „Supply”, choć na „Alexandrze” było o wiele więcej miejsca. Nikt jednak nie chciał pozostawić tak cennych

ludzi w więzieniu na statku śmierci. Tymczasem nadbudówka na „Alexandrze” była już zatłoczona. Porucznik Shortland przeniósł się z całą górą urządzeń z „Fishburna”, Zachariah Clark, agent kontrahenta, został tu przeniesiony ze „Scarborough”, kiedy major Ross przywłaszczył sobie jego kajutę, a porucznik James Furzer, kwatermistrz marynarki - a do tego Irlandczyk! - również został przeniesiony na „Alexandra”. William Aston Long oczywiście odmówił oddania swojej części nadbudówki takiemu skur...!

- Prawie umarłem ze śmiechu - powiedział Donovan Richardowi na pokładzie, kiedy przyglądali się pływającym tam i z powrotem harkasom. - Dwóch szkockich żołnierzy marynarki wojennej pogardza tym nowym Irlandczykiem, Clark jest ze wszech miar dziwną rybą, a Shortland wcale nie cieszy się z tego powodu, że jest na statku, na którym powinien być od samego początku! Młody Shortland wprowadził się do tatusia, a Balmain jest wściekły, bo musiał wyrzucić część okazów ze swojej kolekcji, która zalega we wszystkich kątach tej ogromnej kajuty. Pan Bones i ja cieszymy się, że jesteśmy tam, gdzie byliśmy zawsze, to znaczy w forkasztelu.

- Ale czyż nie będzie im miło, gdy Wallace’owi przyjdzie ochota wyć do księżyca o drugiej w nocy?

- To jeszcze nie jest najgorsze. Sophie, która chrapie niczym grzmot, upodobała sobie pryczę Zachariaha Clarka, a on za bardzo się boi, żeby ją stamtąd usunąć.

Rozstali się rankiem dwudziestego piątego listopada pośród spokojnego morza i znikomych wiatrów. Kiedy już wszystkich przeniesiono, gubernator Phillip opuścił „Siriusa” na barkasie przy akompaniamencie trzech krzepkich okrzyków z piersi tych, którzy pozostali na jego pokładzie. On zaszutował im w odpowiedzi i został prędko odstawiony na pokład „Supply”. Z tego, co mówił Donovan, przy pomyślnych warunkach był to dobry żaglowiec, lecz mokry i tarzający się w wodzie przy paskudnej aurze. Osprzętowana niczym bryg korweta, która powinna być dwumasztowcem.

Po południu „Supply” zniknęła im z pola widzenia, a trzy pozostałe „wyścigowce” - jak je teraz nazywano - z „Alexandrem” na czele również ruszyły do przodu. Najdziwniejsze było to, że w momencie gdy Phillip został przeniesiony na „Supply”, zerwał się wspaniały, pomyślny wiatr i Hunter postanowił dogonić „wyścigowce”. A zatem siedmiu maruderów widocznych było aż do następnego poranka. Potem ich kadłuby zniknęły za horyzontem, a wkrótce również czubki ich masztów. Przy takiej pogodzie „Supply” bez problemów posuwał się naprzód i zniknął z zapadnięciem zmroku, a „Alexander”, „Scarborough” i „Friendship” płynęły ramię w ramię, na odległość kabla - dokładnie o dwieście jardów od siebie.

Dwa dni później wrócili do postojów i lawirowania.

- Nie wierzę, aby w ogóle istniał ten kurs na wschód - powiedział Will Connelly do Stephena Donovana, który zszedł ze swojej warty i podszedł do nadburcia, by sprawdzić, czy mógłby złapać jakąś rybkę na obiad.

Donovan roześmiał się cicho.

- Już niedługo go znajdziemy i odczujemy to z nawiązką. Widzisz te brązowe ptaszki?

- Aha, wyglądają jak jerzyki.

To kurczęta matki Carey, zwiastuny sztormów - prawdziwych sztormów. Pogoda jest dziś wyjątkowo tłusta. A nawet bardzo tłusta.

- Co to znaczy „tłusta”? - zapytał Taffy Edmunds, oddelegowany do opieki nad owcami razem z Billem Whitingiem - który to wybór wywołał sporo wesołości w więzieniu, lecz bynajmniej nie przeszkadzał pasterzom, którzy w rzeczywistości byli wiejskimi parobkami, zbyt sprytnymi, aby się do tego przyznać.

- Piękny dziś dzień, nieprawdaż? - zapytał Donovan żartobliwie.

- Owszem, bardzo piękny. Jest słonecznie i bezwietrznie.

- A jednak niebo wcale nie jest takie niebieskie, Taffy. I morze też nie. My, marynarze, nazywamy takie dni „tłustymi”, bo morze i niebo robią wrażenie, jakby zostały pokryte cienką warstwą tłuszczu - są mętne i bez życia. Po południu pojawi się parę delikatnych białych chmur, mknących niczym kartki papieru na wietrze, ponieważ tam na górze będzie wiał silny wiatr, który je popchnie - wiatr zbyt wysoki, abyśmy mogli go poczuć. Do jutra rana znajdziemy się pośrodku potężnego sztormu. Zabezpieczcie swoje rzeczy i przygotujcie się do zamknięcia włazów. Za parę godzin sami się przekonacie, jak się odnajduje kurs na wschód - droczył się radośnie Donovan. - Chwyć! - Wyciągnął rybę podobną do małego dorsza i odszedł tanecznym krokiem.

- Słyszałeś, co mówił - powiedział Richard. - Lepiej zejźmy na dół, żeby ostrzec resztę przed tym, co nas czeka.

- Tłusta - mruknął w zamyśleniu Taffy i poszedł w stronę nadbudówki, gdzie Bill wyrzucał paszę z wiadra. - Bill! Nasze owce! Bill, szykuje się nawałnica, jakiej jeszcze nie widzieliśmy.

Tego dnia jedli w tym samym czasie, kiedy zwiewne obłoczki mknęły wysoko po niebie, nazajutrz jednak nikt nie zszedł na dół, żeby dać im jeść. Sztorm nasilał się, rzucając statkiem niczym małą piłką, a jego boki huczały i dudniły niczym wnętrza bębna, choć włazów jeszcze nie zamknięto.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy więźniowie zdali sobie sprawę z tego, że nie dostaną nic do jedzenia dopóty, dopóki nie ustaną Wiatry, Richard stanął na stole i uniósł się,

aby wyrzeć na zewnątrz ponad przednim włazem. Trzymając się ze wszystkich sił, ujrzał ocean Wiszący nad „Alexandrem” ze wszystkich stron jednocześnie. Pokusa okazała się zbyt wielka. Podciągnął się na pokład i znalazł sobie bezpieczne miejsce tuż pod grotmasztem, by patrzeć, jak morze gwałtownie rzuca się na statek. Fale nacierały od dziobu, burty i rufy, wszystkie jednocześnie. Takielunek trzeszczał i jęczał w agonii, co Richard słyszał mimo wyjącego wichru i ryku morza, przyciskając ucho do drzewca grotmasztu. Woda lała się kaskadą strumieni z żagli, podczas gdy marynarze - rozpięci po rejach, masztach i bomach - skracali niektóre żagle, a inne zupełnie refowali. Dziób i bukszpryt zapadał się pod wodę, a następnie unosił pośród szkwału i spływającej wody, z chwilą gdy kolejna fala uderzała z łoskotem od strony bakburty, trzecia od strony sterburty, a czwarta od rufy. Richard przezornie przywiązał się kawałkiem liny dla bezpieczeństwa - te potworne fale zwały się z taką siłą, że żaden człowiek stojący poniżej rei nie mógł im sprostać bez liny ratunkowej.

Niemożliwością było dopatrzenie się „Scarborough” lub „Friendshipa”, dopóki ogromna fala nie wyniosła „Alexandra” wysoko na swój grzbiet, gdzie zawisł na tyle długo, by ujrzeć, jak „Friendship” przechyla się na burtę, a fale rozbijają mu się na pokładzie. „Alexander” osunął się w koryto, pokład zagłębił się na stopę w wodzie, a potem w górę, w górę, w górę - och, jakże to cudowne! I jak zdatny do żeglugi był ów „Alexander”, mimo tych przesiąkniętych trucizną desek.

Zaraz po opuszczeniu przez niego więzienia zamknięto luki, choć on nawet tego nie zauważył, zbyt pochłonięty obserwowaniem wielkiego sztormu. Kiedy nadeszła noc, rozwiązał linę i wczołgał się pod jeden z barkasów wyczerpany i siny z zimna, gdzie rozgrzał się i wyościł sobie ciepłe i względnie suche gniazdko pośród siana. Tak przespał najgorszą nawałnicę i następnego ranka obudził się, choć nadal bardzo zziębnięty, zastając niebieskie niebo, przejrzyste i ogromne morze nadal niespokojne i wzburzone, lecz już mniej gwałtowne. Włazy były otwarte, ześlizgnął się więc na stół i zszedł na pokład, mając wrażenie, że był świadkiem końca świata.

Zaskoczyły go okrzyki radości, którymi został powitany, od postoju w Rio miał bowiem wrażenie, że reszta grupy stawała się coraz bardziej niezależna.

- Richardzie, Richardzie! - wykrzyknął Joey Long, rzuciwszy mu się na szyję ze łzami spływającymi po policzkach. - Myśleliśmy, że utonąłeś!

- Na pewno nie ja! Byłem zbyt pochłonięty obserwowaniem sztormu, żeby zauważyć, jak zamykano włazy, więc zostałem od was odcięty - Joey, uspokój się. Nic mi nie jest, poza tym, że jestem głodny i mokry.

Wycierając się energicznie suchą szmatą, dowiedział się od towarzyszy, że John Bird,

skazaniec z przedniej części, włamał się do ładowni i wszystkim rozdał chleb.

- Wszyscy go zjedliśmy - powiedział Jimmy Price. - Nikt nas przecież nie nakarmił.

Nie powstrzymało to Zachariaha Clarka od domagania się, aby John Bird został wychłostany za kradzież własności kontrahenta.

Porucznik Furzer, który okazał dziwną mieszaninę współczucia i bezradności, policzył, ile chleba brakuje, i oświadczył, że tyle samo musiano by wydać, gdyby rozdzielono więźniom dzienną rację żywności. Oznajmił, że nie zostanie zatem wymierzona żadna kara, a każdy więzień dostanie tego dnia podwójną porcję solonego mięsa oraz sucharów.

Pomimo tej sprzeczki w Kapsztadzie z Zachariahem Clarkiem, kapitan Sinclair natychmiast rozpoznał w nim człowieka równie jak on zachłannego, więc gdy tylko Clark wprowadził się do nadbudówki „Alexandra”, Sinclair zaczął zapraszać agenta kontrahenta na swoje wspaniałe obiady w zamian za przemykanie oczu na kwestię rumu. Jako że Sophie posłużyła się kabiną Clarka w charakterze izby porodowej, Esmeralda zgodziła się łaskawie na to, aby Clark spał w jego salonie, który nie był mu właściwie potrzebny. A zatem kiedy Sinclair dowiedział się o werdykcie Furzera, za pośrednictwem Clarka rozkazał temu żołnierzowi wychłostać Johna Birda za niedozwolone przywłaszczenie dóbr kontrahenta.

- Brakuje tylko tyle, ile brakować powinno - odparł lodowato Furzer. - A zatem spływaj stąd i odpierdol się, ty dupo wołowa.

- Doniosę kapitanowi o pańskiej bezczelności! - wysapał Clark.

- Możesz sobie donosić, aż posiniejesz na pysku, dupo wołowa, ale niczego to nie zmieni. To ja decyduję o więźniach, a nie ten pierdolony grubas Esmeralda.

Wszyscy marynarze na pokładzie „Alexandra” chętnie mówili każdemu, kto tylko miał ochotę słuchać, że było to największe uderzenie, jakie dotychczas przeżyli, głównie ze względu na potworne fale nadchodzące ze wszystkich stron jednocześnie. Złowieszcze, bardzo złowieszcze. Ze „Scarborough” zasygnalizowano, że wszystko jest w porządku; biedny „Friendship” wypadł najgorzej, zalało mu bowiem rufę i położyło go na burcie - nie pozostało nic suchego na Jego pokładzie, począwszy od zwierząt, a skończywszy na ubraniach i Pledach.

Udało się jednak odnaleźć kurs na wschód i trzy okręty, trzymając się ramię przy ramieniu na odległość liny, puły przed siebie, aby móc zameldować w dzienniku okrętowym przynajmniej sto osiemdziesiąt cztery mile lądowe dziennie. Znajdowali się teraz poniżej czterdziestego stopnia szerokości geograficznej południowej i posuwali się coraz dalej na południe. Na początku grudnia natknęli się na jeszcze potężniejszy sztorm aniżeli ten

poprzedni, lecz przynajmniej minął on o wiele szybciej. Zrobiło się przejmująco zimno pomimo letniej pory - biedniejsi i mniej przezorni więźniowie tulili się do siebie dla ogrzania się w swych cienkich, więziennych koszulinach, choć mieli zapasowe koce, które zostały po zmarłych towarzyszach. Słoma okazała się wówczas bardzo przydatna.

Zarówno pośród więźniów, jak i żołnierzy, zaczęła się szerzyć dyzenteria; umierali kolejni ludzie. Potem nadeszły informacje ze „Scarborough” i „Friendshipa”, że oni również mieli dyzenterię. Richard upierał się, aby każda kropla wody, którą pili jego ludzie, była przefiltrowana przez wyczyszczone okapniki. Na tych rozkołysanych morzach oznaczało to za każdym razem zaledwie parę łyżek płynu. Jeśli wszystkie statki zostały dotknięte chorobą, oznaczało to, że woda pitna była zakażona. Tym razem lekarz okrętowy Balmain nie nakazał okadzania, szorowania ani też ponownego bielienia prawdopodobnie dlatego, iż wiedział, że gdyby to zrobił, wybuchłby bunt.

Choć „Friendship” rozwinął więcej żagli aniżeli w jakimkolwiek innym okresie podróży, jednak nie mógł dotrzymać kroku „Alexandrowi” i „Scarborough”, które mknęły z szybkością dwustu siedmiu i więcej mil lądowych dziennie. Po pierwszym tygodniu grudnia zrobiło się nieco cieplej i Shortland rozkazał, aby dwa wielkie statki do przewozu niewolników zwolniły i pozwoliły „Friendshipowi” zrównać się z nimi. A potem nadszedł ranek gęstej, śnieżnobiałej mgły, która lśniła wewnątrz niczym gigantyczna perła, niesamowita, piękna i niebezpieczna. Trzy okręty ładowały działa samym prochem i strzelały regularnie, podczas gdy marynarz bił w dzwon na dzwonnicy „Alexandra” przy nadburciu na rufie - ding, dong - długa przerwa i znowu - ding, dong. Stłumione wybuchy i odłósy dzwonów dobiegały również ze „Scarborough” i „Friendshipa”, które utrzymywały ten sam kurs co „Alexander”, płynąc w odległości liny od siebie. A potem, około dziesiątej, mgła uniosła się w mgnieniu oka, ukazując piękny, słoneczny dzień i lekki, pomyślny wiaterek.

Pojawiły się duże, dryfujące kępy morskich wodorostów - oznaczające bliskość lądu, jak twierdzili marynarze, choć nie było widać ziemi, tylko dużo szablogrzbietów baraszkujących radośnie, krążących dookoła, pod i pomiędzy trzema okrętami pracymi razem przed siebie. Wodorosty zaczęły mieszać się z szerokimi smugami rybiej spermy w wirujących wstęgach, choć nikt nie widział, jaki to gatunek. Gdzieś na południu znajdowały się Wyspy Kerguelena, na jednej z których kapitan Cook spędził bardzo dziwne Boże Narodzenie.

Dwa dni później całe morze zamieniło się w krew. Z początku zafascynowani i przerażeni pasażerowie na „Alexandrze” myśleli, że to krew zabitego wieloryba, później jednak zdali sobie sprawę, że żaden lewiatan nie może krwawić tak długo, aby zabarwić wodę

na szkarłatny kolor daleko jak okiem sięgnąć. Była to kolejna tajemnica morskich głębin, której nie zdołali rozwiązać.

- Teraz rozumiem, dlaczego pana tak ciągnie do obcych krajów - przyznał się Richard Donovanowi. - Ja nigdy nie miałem takich marzeń, nie chciałem się ruszać poza Bristol dalej aniżeli do Bath, był to bowiem mój mały, znajomy świat. Gdy wyrwie się człowieka z jego wąskiego, znajomego świata, nie ma on innego wyjścia, tylko musi dorosnąć. Albo to, albo - tak jak niektórzy w tym więzieniu na dole - umrze z niepewności. Miejsce jest bardzo istotne dla ludzi. Było ważne i dla mnie - może nadal jest.

- Przywiązanie do miejsca jest rzeczą powszechną, Richardzie. To, że ja nie odczuwam takiego przywiązania, wynikać może z ubóstwa i palącego pragnienia, żeby się od niego uwolnić, wyjechać z Belfastu, uciec od miejsc, gdzie czułem się uwiązany.

- Czy uczęszczałeś do szkoły charytatywnej?

- Nie. Pewien uprzejmy dżentelmen wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył mnie czytać i pisać. Powiedział mi - i słusznie - że ta umiejętność będzie moim biletem do lepszego życia, podczas gdy alkohol nie zaprowadzi mnie nigdzie.

Donovan uśmiechnął się tak, jakby były to miłe wspomnienia. Nie chcąc naciskać, Richard zmienił temat.

- Dlaczego morze zamieniło się w krew? Czy kiedyś już pan to widział?

- Nie. Ale słyszałem o tym. Marynarze są bardzo przesądni, więc przekonasz się, że wielu z nich uzna to za znak zguby lub Bożego gniewu albo też zapowiedź czegoś złego. Jeśli o mnie chodzi, nie mam na ten temat zdania - poza tym, że uważam to za zjawisko równie naturalne jak potrzeba seksu. - Donovan poruszył znacząco brwiami, uśmiechnął się na widok zmieszania Richarda, wiedząc doskonale, że Richard nie znosił, jak nazywano go pruderyjnym, głównie dlatego w głębi serca taki właśnie był. - Być może jakaś potężna konwulsja dnie morskim wyrzuciła masę czerwonej ziemi albo też krew ta była po prostu ogromnym stadem drobnych, czerwonych stworzeń morskich.

Napotykali kolejne burze, za każdym razem bardzo niebezpieczne. Podczas takiego pamiętnego sztormu „Alexander” uległ jedynemu wypadkowi w trakcie całej tej podróży - zerwała się przednia reja żagla gniezdne, nadal pozostając w pętłach. Oznaczało to, że krótkie łańcuchy, które przytwierdzały drewnianą reję do masztu, zostały zerwane i żagiel, ciągle jeszcze przymocowany do rei, zerwał się i swobodnie powiewał z wiatrem. „Scarborough” i „Friendship” zwinęły główne i przednie żagle gniezdne, aby zwolnić, i czekały, dopóki nie złapano żagla - co było ryzykownym zadaniem - i nie przytwierdzono pętli ponownie.

A później, akurat w dzień letniego przesilenia dnia z nocą, spadł rześisty deszcz, potem zaczął sypać obfity śnieg, po którym z kolei nastąpiło bombardowanie gradem wielkości kurzych jaj. Owce niczego nie odczuły, lecz świnie i ludzie byli dotkliwie potłuczeni. Ach, te radości lata na czterdziestym pierwszym stopniu szerokości geograficznej południowej! Czterdziesty pierwszy stopień szerokości geograficznej północnej odpowiadał położeniu amerykańskiego Nowego Jorku i hiszpańskiej Salamanki, gdzie w okresie zrównania dnia z nocą zazwyczaj nie sypał śnieg. Być może fakt, że znaleźli się pod spodem świata, oznaczał coś więcej aniżeli metaforyczne odwrócenie porządku rzeczy do góry nogami? Wielu marynarzy, żołnierzy i więźniów sądziło, że owo dno świata musiało być o wiele cięższe od jego wierzchołka.

Z nadejściem Bożego Narodzenia trzy statki znalazły się na czterdziestym drugim stopniu szerokości geograficznej południowej i utrzymywały przeciętną prędkość stu osiemdziesięciu czterech mil dziennie nawet przy najmniej sprzyjającej pogodzie. Aż do zapadnięcia zmroku podążał za tą trójką jeden z najpotężniejszych wielorybów, jakie napotkali w czasie tego rejsu - był szaroniebieskiej barwy i miał sporo ponad sto stóp długości. Dobrze się zatem składało, że najwidoczniej chciał im tylko złożyć bożonarodzeniowe życzenia, gdyż mógłby rozbić „Friendshipa” na drobne kawałki.

W więzieniu panowała świąteczna wesołość. Serwowany w południe obiad składał się z zupy grochowej ze smaczną soloną wieprzowiną, tradycyjnego kawałka solonej wołowiny i małego suchego chleba. Specjalnym poczęstunkiem było pół kwarty czystego rumu dla każdego - Mieli również szansę wygrania jednego ze szczeniąt Sophie, urodziła na pryczy Zachariaha Clarka pięć zdrowych szczeniaków przy pomocy doktora Balmaina w charakterze położnej. Szczenięta były niezwykle - dwa przypominały mopsy, dwa wyglądały jak szorstkowłose teriery z obwisłymi dolnymi wargami, a jeden był lustrzanym odbiciem Wallace'a. Porucznik Shairp, dumny przybrany ojciec, dał Balmainowi pierwszeństwo wyboru szczenięcia - a on wybrał sobie mopsa. To samo uczynił porucznik Johnstone, dumna przybrana matka. Porucznikowi Johnowi Shortlandowi i pierwszemu oficerowi Longowi pozostała para z obwisłymi wargami.

Sprawy zaczęły się komplikować, gdy porucznik Furzer odmówił przyjęcia sobowtóra Wallace'a, ponieważ wyglądał na Szkota - choć nie przyznał się do tego głośno, no bo w końcu były to święta.

- Co my z nim zrobimy? - zapytał Shairp.

- Może tak Esmeralda i ten jego obibok Clark? - zapytał Johnstone. Wszyscy w

nadbudówce skrzywili się.

- W takim razie mam ochotę sprezentować MacGregora w więzieniu, w charakterze świątecznego prezentu. Żaden z więźniów nie ma psa - stwierdził Shairp.

Wszyscy w nadbudówce uznali to za wspaniały pomysł, wart poobiedniego toastu mieszaniną porto i rumu.

W dzień Bożego Narodzenia dwoje żołnierskich rodziców pojawiło się zatem w więzieniu zaraz po obiedzie, Shairp niósł na rękach małego MacGregora. Obydwaj oficerowie potykali się i przewracali z przepicia, choć nie było to bynajmniej związane ze świąteczną atmosferą. Nikt jeszcze, na żadnym ze statków, nie dogadał się z którymkolwiek z wojskowych oficerów po obiedzie - z wyjątkiem „Friendshipa”, na którym Ralph Clark, popijający lemoniadę, zużywał swój przydział rumu na przekupywanie stolarzy, aby wykonywali szafki i biurka do pisania listów, a więźniów za szycie wszystkiego, począwszy od koszul po rękawiczki.

Urządzono o MacGregora losowanie, posługując się czterema taliami kart - ci, którzy wyciągnęli asa kierowego, mieli brać udział w ostatecznym losowaniu. Przy ogólnych okrzykach i wiwatach trzech więźniów wciągnęło asa kier. Siedzący na stole Shairp poprosił wówczas o trzy słomki, choć tak był pijany, że Johnstone musiał mocno owinąć mu palce wokół nich.

- Najdłuższa słomka wygrywa! - oznajmił Shairp. Wyciągnął ją Joey Long, płacząc ze szczęścia. - Najdłuższa słomka przypadła Longowi! - Shairp tak był tym ubawiony, że spadł ze stołu i Richard z Willem musieli delikatnie pomóc mu wstać, podczas gdy Joey wziął na ręce wyrywające się szczenię i obsypał je pocałunkami.

- Będziemy go trzymać przy mamie, dopóki nie dopłyniemy do zatoki Botany - zaśpiewał Johnstone. - Jak już staniemy na lądzie MacGregor będzie twój.

„Bóg nie mógł być łaskawszy!” - pomyślał Richard, zapadając w wywołany rumem sen. Choć raz nie powodowała nim przemożna chęć powrotu na pokład. „Od czasu śmierci Ike’a biedny, dziecinny Joey nie miał żadnego celu. Teraz zaś ma psa, którego z pewnością pokocha. Bóg wyzwolił jednego z polegających na mnie ludzi. Oby reszta miała równe szczęście. Kiedy opuścimy to więzienie, o wiele trudniej będzie trzymać się razem”.

Do końca grudnia zwiększyli prędkość do ponad dwustu siedmiu mil lądowych dziennie. Pogoda była tak paskudna, jak tylko można to sobie wyobrazić - wzburzone morza, sztormy i ryczące burze. W południowej strefie czterdziestu trzech stopni wiatry naprawdę wyły.

Rok 1788 przybył w towarzystwie potwornej pogody i przy przeciwnych wiatrach - noworoczne sztormy uderzały od strony dziobu, w miarę jak zbliżali się do czterdziestego czwartego stopnia. A potem nastał pomyślny wiatr, który popychał wszystkie trzy okręty z szybkością dwustu dziewiętnastu mil dziennie. Ponieważ w każdej chwili spodziewali się ujrzeć południowy kraniec Ziemi Van Diemena, porucznik Shortland zasugerował, że na wszelki wypadek powinni założyć kotwice na kablach. Nawałnica nasiliła się i „Friendship” utracił swą przednią bomstęgę bomu żagla pomocniczego, rozdarł płótno na strzępy, a lądu nadal nie było widać.

Obawiając się raf koralowych i nie oznakowanych na mapie skał, czwartego stycznia o siódmej wieczorem Shortland nakazał okrętom zatrzymać się. Następnego ranka usłyszeli od dawna wyczekiwany okrzyk! - Ziemia! Ziemia przed nami! - I rzeczywiście! Był to najbardziej wysunięty na południe skrawek Nowej Południowej Walii! Potężne, skalne urwisko.

Kiedy okrążyli południowo - wschodni przylądek, gwałtownie zmienili kurs ze wschodniego na północny, przez północno - wschodni. Ostatnie tysiąc mil podróży do zatoki Botany okazało się najtrudniejsze do zniesienia w ciągu tej całej podróży. Byli już bowiem tak blisko, a mimo to ciągle jeszcze bardzo daleko. Wiatry mieli przeciwne, podobnie jak prądy, i w ogóle nic im nie sprzyjało. Niekiedy okręty były spychane „ale mile na południe od pozycji, w jakiej znajdowały się poprzedniego dnia, innym razem znów stali i lawirowali, stali i lawirowali, zdawałoby się - przez całą wieczność. Bywały też dni, w których wiatry były - zgodnie z określeniem marynarzy - „potwornie bezlitosne”, pewnej nocy „Friendship” złamał czubek przedniego sztagu żagla grotmasztu, a wcześniej rano jeszcze róg pikowy. Posuwali się żmudnie do trzydziestego dziewiątego stopnia szerokości południowej, a potem cofali znów do czterdziestego drugiego. Sztag grotmasztu na „Friendshipie” roztrzaskał się na kawałki, a jego piąty żagiel był zrujnowany już od Kapsztadu. Pokonanie najmniejszego odcinka oznaczało mozolną walkę.

Choć brak postępu nie ostudzał humorów więźniów w tym samym stopniu co nastrojów żeglarzy, brak znośnego jedzenia wywierał na nich podobny skutek. Od czasu do czasu widywali przelotnie skrawki Nowej Południowej Walii, lecz ze zbyt wielkiej odległości, aby na tej podstawie wywnioskować, jakiego rodzaju była to kraina. Na szczęście pojawiły się nowe przyjemności - wokół okrętów zaczęły brykać i barszkować niezliczone foki, doskonalili klauni. Pływały z płetwami złożonymi na piersiach, nurkowały, wierciły się i posapywały gniewnie. Cudowne, radosne stworzenia. A tam, gdzie się pojawiały, ukazywały się również niezliczone ławice ryb. W jadłospisie znowu była zupa rybna.

Piętnastego stycznia dotarli z wysiłkiem do trzydziestego szóstego stopnia i w południe dojrzeli Przylądek Dromedary, który kapitan Cook nazwał w ten sposób ze względu na jego podobieństwo do tego „okrętu pustyni”.

- Pozostało nam jeszcze sto pięćdziesiąt mil - oznajmił Donovan, skończywszy swą wachtę i gotowy iść na ryby.

Will Connelly westchnął; było tak gorąco, choć pochmurnie, że nie mógł czytać i postanowił zamiast tego również łowić ryby.

- Przestaję wierzyć, panie Donovan, że kiedykolwiek dotrzemy do zatoki Botany - powiedział. - Od wigilii Bożego Narodzenia zmarło czterech kolejnych ludzi i wszyscy na dole dobrze wiemy dlaczego. To nie gorączka ani dyzenteria. To po prostu rozpacz, tęsknota za domem i beznadzieja. Większość z nas jest już na tym cholernym statku od przeszło roku - weszliśmy na jego pokład szóstego stycznia ubiegłego roku. Ubiegłego roku! Jak dziwnie to brzmi. Uważam, że oni umarli dlatego, że stracili wiarę w nadejście dnia, kiedy opuszczą ten potworny statek. Mówisz pan, sto pięćdziesiąt mil. Równie dobrze może być i dziesięć tysięcy. Jeśli ten rok nie nauczył nas niczego innego, to przynajmniej pokazał nam, jak daleko jest koniec świata! I jak daleko do domu.

Usta Donovana zacisnęły się i gwałtownie zamrugał.

- Te mile przeminą - powiedział w końcu, z oczyma utkwionymi w swojej lince wpływającej z małego kawałka korka. - Kapitan Cook ostrzegał nas przed tymi wstecznymi prądami, ale posuwamy się do przodu. Potrzebny nam pomyślny wiatr od południowego wschodu. I doczekamy się go. Czuję, że nadchodzi zmiana na morzu. Najpierw sztorm, a potem wiatr z południowego wschodu. Wiem, że mam rację.

Lawirowali i stali. I znowu lawirowali i stali. Foki zniknęły i zastąpiły je tysiące morświnów. A potem po dusząco gorącym i parnym dniu rozdarły się niebiosa. Czerwone pioruny, o dzikości i jasności przerastającej granice angielskiej wyobraźni, zaogniły purpurą chmury czarniejsze od bristolskiego dymu. Strzelały z ogłuszającym hukiem, a padający deszcz był tak mocny, że uderzał prostopadle pomimo północno - zachodniego wiatru. Na godzinę przed północą z dramatyczną gwałtownością widowisko to się zakończyło. Z południowego wschodu zaczął dąć cudowny, pomyślny wiatr i utrzymywał się na tyle długo, że wkrótce mogli już dostrzec białe urwiska, drzewa, żółte skałki, kręte złote plaże i niskie bryły wrót zatoki Botany.

Dziewiętnastego stycznia 1788 roku o dziewiątej rano „Alexander” wprowadził swych dwóch towarzyszy pomiędzy Point Solander i przylądek Banks do szerokiej, słabo osłoniętej zatoki. Może z pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt nagich czarnych postaci stało po obu stronach

przyłądka, gestykulując, a w lekko wzburzonej stalowej wodzie odpoczywał „Supply”. Pobił ich zaledwie o jeden dzień.

„Alexander” przepłynął siedemnaście tysięcy trzysta mil lądowych w ciągu dwustu pięćdziesięciu jeden dni, czyli trzydziestu **sześciu** tygodni. Z tego sześćdziesiąt osiem dni spędził w porcie, a sto osiemdziesiąt trzy na morzu. Doświadczyło go dwustu dwudziestu pięciu więźniów, niektórzy z nich zaledwie przez jeden dzień, a stu siedemdziesięciu siedmiu dotarło do celu.

Zarzucawszy kotwice, porucznik Shortland udał się szalupą do „Supply” zobaczyć się z gubernatorem Phillipem, a Richard stał samotnie przy nadburciu i wpatrywał się długo w miejsce, do którego został zesłany - zgodnie z królewskim rozporządzeniem - do dwudziestego trzeciego marca 1792 roku. Jeszcze cztery lata. Gdzieś na południowym Atlantyku, pomiędzy Rio de Janeiro a Kapsztadem, rozpoczął trzydziesty dziewiąty rok życia.

Ziemia, której się przyglądał, była płaska wzdłuż wybrzeża, lekko górzysta nieco dalej na północ i południe i stanowiła monotonną mieszaninę błękitu, brązu, płowej szarości i oliwki. Była zniszczona i pozbawiona wszelkich soków.

- Co tam widzisz, Richardzie? - zapytał Stephen Donovan.

Richard spojrzął na niego oczyma zamglonymi łzami.

- Nie widzę tu ani raj, ani piekła. To otchłań czyścica. Miejsce, gdzie zdążają wszystkie zabłąkane dusze - odpowiedział.

CZEŚĆ PIĄTA
OD STYCZNIA DO
PAŹDZIERNIKA 1788 ROKU

W ciągu następnych paru dni nic się właściwie nie wydarzyło, poza tym, że pozostałe siedem okrętów pojawiło się zaskakująco szybko za „ścigaczami” - popychały je bowiem te same wiatry i trzymały się na tyle blisko, że korzystały z tej samej pogody. Kołysząc się na niespokojnej wodzie, wszystkie okręty pozostawały na kotwicy nie rozładowane. Ludzie tłoczyli się przy nadburciach, a kto tylko posiadał lornetkę, patrzył na grupy schodzących na ląd żołnierzy, oficerów marynarki i paru skazańców oraz na wielu Indian. Nic z tego, co działo się na brzegu, nie wydawało się istotne. Krążyły słuchy, że gubernator nie uważał zatoki Botany za odpowiednie miejsce na tak ważny eksperyment i odpłynął barkasem, aby obejrzeć pobliski Port Jackson - kapitan Cook zaznaczył go na swojej mapie, lecz do niego nie zawinął.

Wrażenia Richarda co do zatoki Botany nie różniły się wiele od tych, które mieli inni - zarówno wolni, jak i przestępcy. To zaskakujące miejsce, brzmiał powszechny werdykt. Nikomu nie przypominało ono żadnego innego miejsca, nawet tak obytemu żeglarzowi jak Donovan. Było płaskie, ponure, piaszczyste, bagniste, surowe i posępne ponad wszelkie wyobrażenia. Skazańcom z więzienia na „Alexandrze” zatoka Botany przypominała gigantyczny cmentarz.

Nadeszły rozkazy, według których pierwszą osadą miał zostać Port Jackson, a nie zatoka Botany. Przygotowali się do wypłynięcia, lecz wiatry były im tak przeciwne, a fale nadchodzące przez wąską, piaszczystą ławicę tak wysokie, że musiano zrezygnować z opuszczenia zatoki. A potem - cud! Zobaczyli dwa ogromne okręty usiłujące zawinąć do portu.

- To dziwny zbieg okoliczności, tak jakby dwóch irlandzkich chłopów spotkało się na dworze rosyjskiej carycy - odezwał się Donovan, który dzielił lornetkę z kapitanem Sinclairem i panem Longiem. - To oczywiście Anglicy - odezwał się Jimmy Price.

- Nie, to Francuzi. Wydaje nam się, że to wyprawa księcia de la Perouse'a. To trzeciorzędowce, dlatego są tak duże. Jeden to pewno „La Boussole”, a ten drugi to „L'Astrolabe”. Chociaż przypuszczam, że sprawiliśmy im większą niespodziankę aniżeli oni nam. La Perouse opuścił Francję w 1785 roku, na długo zanim zaczęto mówić o naszej wyprawie. Ale mogli dowiedzieć się o nas gdzieś po drodze. „La Perouse” został uznany za zaginionego rok temu. A oto i on.

Następnego poranka podjęto kolejną próbę wydostania się z zatoki, z podobnym rezultatem. Dwa francuskie żaglowce zniknęły z pola widzenia, zepchnięte wiatrem na południe w stronę pełnego morza. Tuż przed zachodem słońca „Supply” zdołał prześlizgnąć się między falami i skierował się na północ, by przepłynąć te dziesięć czy jedenaście mil do

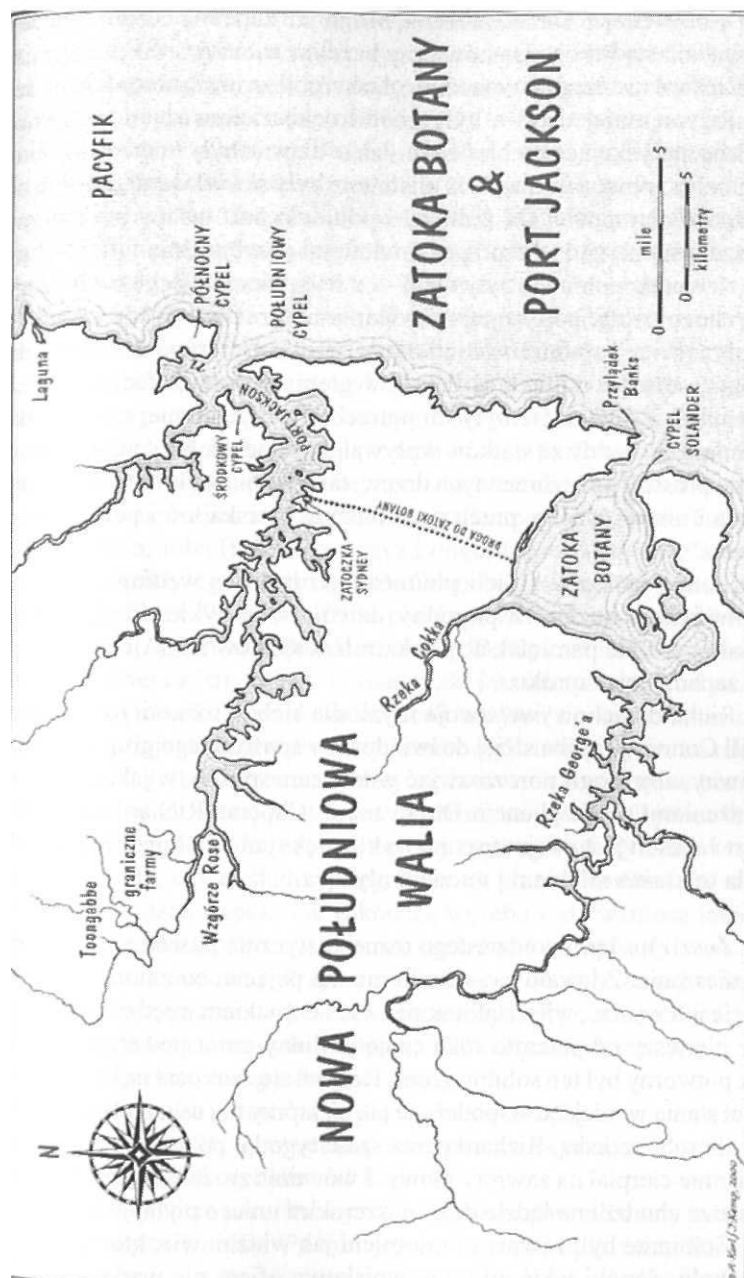
Port Jackson, podczas gdy kurczęta gubernatora Phillipa pozostały jeszcze przez jedną noc w otchłani czyścicowej.

Nazajutrz rano południowo - wschodni wiatr trochę poprawił sytuację również dla francuskich żaglowców. „La Boussole” i „L’Astrolabe” wpłynęły do zatoki Botany w momencie, gdy dziesięć okrętów floty angielskiej podnosiło kotwice i kierowało się w stronę niebezpiecznego ujścia zatoki. „Sirius”, „Alexander”, „Scarborough”, „Borrowdale”, „Fishburn”, „Golden Grove” i „Lady Penrhyn” wypłynęły z gracją. Pechowy „Friendship” nie mógł utrzymać sztagu i zaczął dryfować niebezpiecznie blisko skał, a następnie zderzył się z „Prince of Wales”. Stracił kliwer i powiększył jeszcze swoje niedole, wpadając na rufę „Charlotte”, która utraciwszy sporą część swoich dekoracyjnych galerii, o mały włos nie osiadła na mieliźnie.

Całe to zamieszanie wywołało sporo wesołości na „Alexandrze”, który rozwijał swe żagle, aby wykorzystać południowo - wschodni wiatr. Nastał gorący i piękny dzień, a widok po lewej burcie statku był prawdziwie fascynujący. Półokrągłe, żółte plaże, spienione przybrzeżnymi falami, mieszały się z czerwonożółtymi urwiskami, które w miarę ich posuwania się do przodu wydawały się coraz wyższe. Bogactwo drzew trochę bardziej zielonych aniżeli te w zatoce Botany rozciągało się w głąb lądu za plażami, a dym z wielu ognisk plamił zachodnie niebo. Potem pojawiły się dwa potężne, wysokie na czterysta stóp bastiony, pomiędzy którymi znajdował się prześwit długości jednej mili. „Alexander” przechylił się i wpłynął do baśniowej krainy.

- O, tu jest już o wiele lepiej! - stwierdził Neddy Perrott.

- Gdyby Bristol miał taki port, byłby to największy port w Europie - powiedział Aaron Davis. - Mógłbym zupełnie bezpiecznie wyprowadzić stąd tysiąc statków przy każdym wietrze.



Richard nic nie odpowiedział, choć zrobiło mu się nieco lżej na sercu. Przynajmniej drzewa były choć trochę zielone, bardzo wysokie i liczne, połyskujące niebieskawo. Jakże dziwne były to drzewa! Miały wielkości i obwód drzew, lecz ulistnione były słabo i wyglądały jak poszarpane chorągwie. Od północy i południa port usiany był małymi, piaszczystymi zatoczkami, pozbawionymi przybrzeżnej fali, choć cyple wewnątrz położone były niżej - z wyjątkiem jednego ogromnego, urwistego cypla, położonego dokładnie naprzeciw wejścia do zatoki. Popłynęli na południe w kierunku czegoś, co przypominało bardzo długie, szerokie ramię, i sześć mil w głąbi, w małej zatoczce znaleźli „Supply”. Kotwice nie były im potrzebne, przynajmniej na początku. W miarę jak każdy ze statków wpływał do zatoczki, przycumowywano go po prostu do przybrzeżnych drzew, tak głęboka

była tam woda. Spokojna i niewzruszona, przejrzysta niczym morska toń i pełna małych rybek.

Słońce zaszło w kipieli płomiennego żaru, co według marynarzy zapowiadało nazajutrz pogodny dzień. Jak zwykle, kiedy coś się działo, nikt nie pamiętał, aby nakarmić więźniów na „Alexandrze” aż do zapadnięcia zmroku.

Richard zachowywał swoje myśli dla siebie, rozumiejąc, iż nawet Will Connelly, najbardziej doświadczony spośród jego grupy, był zbyt naiwny, aby mogli porozmawiać w taki sam sposób, w jaki dzielili się wrażeniami ze Stephenem Donovanem. Chociaż Richard uważał, że Port Jackson jest miejscem niezwykle pięknym, nie sądził jednak, aby była to kraina mlekiem i miodem płynąca.

Zeszli na ląd dwudziestego ósmego stycznia pośród chaotycznego zamieszania. Zdawało się, że nikt nie ma pojęcia, co z nimi zrobić lub gdzie ich wysłać, więc stali tak ze swym dobytkiem między nogami, po raz pierwszy od przeszło roku czując solidny grunt pod stopami. Och, jak potworny był ten solidny grunt! Kołysał się, zarzucał na boki i odmawiał stania w miejscu - podobnie jak ci, którzy nie uskarżali się zbyt na chorobę morską, Richard przez sześć tygodni po wyjściu na ląd nieustannie cierpiał na zawroty głowy. I wówczas zrozumiał, dlaczego marynarze chodzili na lądzie dużym, szerokim i nieco pijanym krokiem.

Żołnierze byli równie oszołomieni jak więźniowie, którzy dreptali dookoła, dopóki jakiś młodszy wojskowy oficer nie warknął na nich i nie wskazał im kierunku. W końcu powiedziano Richardowi oraz jego dziewięciu towarzyszom, należącym do ostatniej setki męskich przestępców, aby udali się na względnie płaski, z rzadka zadrzewiony teren po wschodniej stronie i tam rozbili obóz.

- Zbudujcie sobie jakiś szałas - polecił im niejasno drugi porucznik Ralph Clark, niebiańsko szczęśliwy, że są już na suchym gruncie.

„Ale czym?” - zastanawiał się Richard, kiedy cała ich dziesiątka ruszyła, słaniając się na nogach, po ziemi usianej kępami chrzęszczącej, żółtej i upstrzonej niekiedy skałkami trawy na miejsce, które, według niego, wskazał im Clark. Pozostałe grupy więźniów stały dookoła w nieładzie, równie zakłopotani jak oni - wszyscy ludzie z „Alexandra”. „Jakże mamy wybudować szałas? Nie dano nam siekier, pił, noży ani gwoździ”. Następnie przyszedł żołnierz dźwigający tuzin siekier i wepchnął jedną z nich w ręce Taffy’ego Edmunda, który stał, trzymając ją bezsilnie, i patrzył bezradnie na Richarda.

„Jeszcze się z nimi nie rozwiódłem, nadal mam przy sobie Taffy’ego Edmunda, Joba

Hollistera, Joeya Longa, Jimmy'ego Price'a, Bilia Whitinga, Neddy'ego Perrotta, Willa Connely'ego, Johnny'ego Crossa i Billy'ego Earla. Wielu z nich to parobcy, w większości analfabeci. Dzięki Bogu, że Tommy Crowder i Aaron Davis znaleźli Boba Jonesa i Dorna Kidnera z Bristolu - to znaczy, że jest ich tylu spośród swego grona, żeby mogli zapełnić szałas. Jeśli oczywiście zapełnianie szałasów jest oficjalnym planem. Czy ktoś w ogóle ma pojęcie, co my tu mamy robić? Jest to chyba najgorzej zaplanowana wyprawa w historii całego świata. Ci wyżej postawieni siedzieli na „Siriusie” przez dziewięć miesięcy, ale podejrzewam, że cały czas tam pili. Nie ma w tym żadnej metody, nawet śladu jakiegokolwiek planu. Powinni nas trzymać na pokładzie, dopóki nie zakończą wycięcia i nie wzniosą jakichś schronisk, nawet gdyby musieli rozmontować ławki i stoły oraz odsłonić włązy do ładowni. Przynajmniej w nocy. Żołnierze najwidoczniej nie lubią się bawić w pasterzy, chcą jedynie być strażnikami, i to w najwęższym znaczeniu tego słowa... Zbudujcie sobie szopę... No cóż, mamy przynajmniej jedną siekierę”.

- Który z was potrafi posługiwać się siekierą? Wszyscy potrafili - w celu rąbania drewna na opał.

- A kto potrafi wybudować szałas?

Nikt, z wyjątkiem paru, którzy widzieli, jak budowano domy z cegły, kamienia, gipsu i belek. Pośród jego grupy nie było mieszkańców Przedmieść.

- Być może powinniśmy zacząć od deski kalenicowej i podpory na każdym końcu - zaproponował Will Connelly po długim milczeniu. Przeczytał *Robinsona Crusoe* w trakcie podróży. - Moglibyśmy zbudować dach i ściany z palmowych gałęzi.

- Potrzebna jest deska kalenicowa, lecz również dwie inne belki na okap - stwierdził Richard. - Następnie będziemy potrzebowali sześciu rozwidlonych młodych drzewek, dwóch nieco większych aniżeli cztery pozostałe. To powinno nam dać szkielet. Will i ja możemy zabrać się do siekiery. Taffy i Jimmy, znajdźcie żołnierza, który mógłby nam dać drugą siekierę lub toporek albo jeden z tych potężnych noży, które widzieliśmy w Rio. Reszta niech poszuka palm i zobaczy, czy ich liście dadzą się zerwać rękami.

- Moglibyśmy uciec - powiedział Johnny Cross w zamyśleniu. Richard popatrzył na niego tak, jakby wyrosła mu druga głowa.

- A niby dokąd mielibyśmy uciec, Johnny?

- Do zatoki Botany i tamtych francuskich statków.

- Nie proponują nam azylu, tak jak Holendrzy nie zrobili tego dla Johnny'ego Powera na Teneryfie. A w jaki sposób mielibyśmy się dostać do zatoki Botany? Widziałeś tam chyba Indian na wybrzeżu? Tutaj jest trochę lepiej, a więc muszą i tu być Indianie. Nie

mamy pojęcia, jacy oni są - mogą to być ludożercy, jak ci w Nowej Zelandii. Z całą pewnością nie będą witać z radością najazdu setek obcych ludzi.

- Ale dlaczego? - zapytał Joey Long, który myślał jedynie o tym, że porucznik Shairp nie dał mu jeszcze MacGregora.

- Postaw się na miejscu tych Indian - wyjaśnił Richard cierpliwie. - Cóż oni muszą sobie myśleć? To wspaniała zatoka ze strumieniem słodkiej wody - z całą pewnością z niej korzystają, a myśmy ją sobie przywłaszczyli. Poza tym mamy surowe rozkazy, żeby ich nie krzywdzić. A zatem dlaczegoż mielibyśmy ich kusić, uciekając do miejsca, gdzie nie będzie nikogo z nas, Anglików? Pozostaniemy tutaj i zajmiemy się własnymi sprawami. A teraz róbcie to, o co was prosiłem.

Znaleźli z Willem mnóstwo odpowiednich młodych drzew, z których żadne nie miało więcej niż cztery, pięć cali średnicy. Może i były one brzydkie, jeśli się je porównywało z wiązami lub kasztanami, miały jednak tę zaletę, że rosły bez dolnych gałęzi. Richard pochylił się, zrobił zamach i wykonał pierwsze nacięcie.

- O Chryste! To drzewo jest jak żelazo i do tego pełne soku - powiedział. - Potrzebna mi piła, Will.

Jednak z powodu braku piły mógł jedynie odłupywać z drzewa kawałek po kawałku. Siekierka nie była ani ostra, ani też dobrej jakości i nie będzie się nadawała do niczego po ścięciu trzech belek i sześciu podpór. Wieczorem wyciągnie swoje pilniki i zacznie je ostrzyć, kontrahent wyposażył ich w śmieci, których odlewnie nie mogły sprzedać. Richard cierpiał na zawroty głowy i dyszał ciężko po ścięciu oczyszczeniu belki kalenicowej - te wszystkie miesiące złego wyżywienia i braku pracy nie przygotowały go do tego zadania. Will Connelly wziął siekierkę, aby ściąć następne młode drzewko, i okazał się jeszcze powolniejszy. W końcu jednak przygotowali swe drzewce kalenicowe i dwa główne rozwidlone słupy mające podpierać kalenicę i wybrali cztery mniejsze na boczne podpory. Do tego czasu Taffy i Jimmy wrócili z drugą siekierą, łopatą i oskardem. Kiedy Richard i Will udali się na poszukiwanie drzew nadających się do połączenia podpór bocznych i zakończenia ramy, Jimmy i Taffy zabrali się do kopania dziur, aby osadzić sześć podpór. Ponieważ nie mieli żadnego przyrządu mierniczego, odliczali odległość na tyle dokładnie, na ile mogli. Kopanie ujawniło, że zaledwie sześć cali poniżej znajdowała się lita skała.

Inni znaleźli sporo palm, lecz ich liście były zbyt wysoko, aby dało się do nich dosięgnąć z ziemi. Wówczas Neddy wpadł na wspaniały pomysł - wdrapał się na sąsiednie drzewo, przechylił niebezpiecznie, złapał za koniec palmowego liścia i zeskoczył, ściągając go na dół własnym ciężarem. Było to skuteczne w przypadku starszych, brązowych gałęzi,

lecz nie tych, które były świeże i zielone.

- Poszukaj Jimmy'ego - zwrócił się Neddy do Joba Hollistera. - I zamień się z nim miejscami. Ty kop. Ja zaś mam zamiar zrobić lepszy pożytek z naszego zwinnego Jimmy'ego.

Jimmy przyszedł, drżąc cały z wysiłku, nienawykły do kopania.

- Nie masz lęku wysokości? - zapytał Neddy.

- Nie.

- No to odpocznij sobie trochę, zanim się wdrapiesz na tę palmę. Jesteś najmniejszy i najzwinniejszy spośród nas. Richard przysłał nam drugą siekiere, więc zawieś ją sobie za pasem. Jak już się wdrapiesz na palmę, ścinaj z niej kolejne gałęzie.

Słońce chyliło się ku zachodowi, dzięki czemu orientowali się w terenie - na północ i zachód od miejsca, w którym gubernator zamierzał Wznieść swój tymczasowy dom, parę magazynów i duży okrągły namiot, w którym zainstalował się porucznik Furzer i cały komisariat. Mieli na tyle przytomności umysłu, żeby wziąć ze sobą drewniane miski, czerpaki i łyżki, jak również koce, słomianki i wiadra. Richard znalazł strumień i zatrudnił Billa Whitinga do montowania okapników i przynoszenia wody. Wyglądała na czystą i zdrową, on jednak niczemu nie ufał.

Bill Whiting wyglądał z nich wszystkich najgorzej. Oczywiście jego twarz już dawno utraciła swój okrągły kształt, teraz jednak miał czarne półksiężycy pod oczyma. Biedak drżał cały, jakby miał gorączkę. Ale nie miał, jego czoło było chłodne. A więc to zwykłe wyczerpanie.

- Na dzisiaj wystarczy - powiedział Richard, zbierając swoją grupę. - Połóżcie się na swoich matach i odpocznijcie. Bill, przydałby ci się spacer. Owszem, wiem, że nie masz na to ochoty, ale chodź ze mną poszukać komisariatu. Mam pewien pomysł.

Porucznik James Furzer bynajmniej nie był zorganizowany - trudno byłoby się po nim tego spodziewać. Richard i Bill wkroczyli w istny chaos.

- Potrzeba panu więcej ludzi, proszę pana - zauważył Richard.

- Zgłaszacie się na ochotnika? - zapytał Furzer, rozpoznając twarze.

- Jeden z nas się zgłasza - odpowiedział Richard, obejmując Billa ramieniem. - To dobry człowiek, któremu może pan zaufać, nigdy nie sprawiał żadnego kłopotu od czasu, kiedy go poznałem w 1785 roku w więzieniu w Gloucester.

- To prawda. Byłeś przywódcą bakburty na „Alexandrze” i żaden z twoich ludzi nie sprawiał kłopotów. Ty jesteś Morgan, prawda?

- Tak jest, poruczniku Furzer, nazywam się Morgan. Czy mógłby się panu przydać ten

oto Whiting?

- Jeśli ma dość rozumu i potrafi czytać i pisać.

- Umie i jedno, i drugie.

Wrócili do obozu, niosąc bochenki twardego chleba - wszystko, co komisariat mógł im wydać. Został wypieczony w Kapsztadzie i wprawdzie roilo się w nim od wołków zbożowych, lecz było to jakieś jedzenie.

- Mamy teraz swego człowieka w komisariacie - oznajmił Richard, rozdając chleb. - Furzer będzie się posługiwał Billem przy rozdzielaniu solonego mięsa, którego nie mogą nam na razie przyznać, dopóki nie rozpakują kotłów i garnków. Od tej pory bowiem będziemy sami sobie gotować.

Bill Whiting teraz już wyglądał lepiej. Odtąd będzie pracować w zacienionym miejscu - nieważne, jak dusznym - i robić coś o wiele łatwiejszego od wycinania drzew, cięcia desek czy uprawiania ziemi, czym, jak widać, wszyscy mieli się teraz zajmować.

- Kiedy porucznik Furzer wreszcie się urządzi, zaczną nam przydzielać tygodniowe racje - dorzucił Bill, wdzięczny Richardowi za jego spostrzegawczość. - Podobno wkrótce przybędzie tu zaopatrzeniowiec z Kapsztadu, mamy więc wystarczająco dużo prowiantu.

Z nastaniem nocy włożyli sobie worki z ubraniami pod głowę, przykryli ziemię kocami i matami, po czym otulili się swymi starymi i podartymi płaszczami. Mimo że dzień był taki gorący, gdy tylko zaszło słońce, zrobiło się zimno. Byli jednak bardzo zmęczeni, więc zasnęli pomimo różnych, pełzających wszędzie stworzeń, pomijając je milczeniem.

Duszny i parny poranek przyniósł kres chłodom ciemności. Zajęli się znowu budową swojej szopy, chociaż nie mieli niczego, czym mogliby przytrzymać palmowe gałęzie, poza długimi, rzemykowatymi liśćmi palm, które próbowali wykorzystać jako sznury. Sama szopa zdawała się solidna, choć zarówno Richarda, jak i Willa - najlepszych budowniczych - martwiło to, że nie mieli lepszych fundamentów aniżeli owe sześć cali piaszczystej ziemi. Zaczęli usypywać ziemię wokół belek podporowych i ścinać następne młode drzewka, aby położyć je płasko na ziemi niczym kotwice, nacinając słupy podporowe i wsuwając w te wyżłobienia nowe pale.

Inni również budowali, z mniejszym lub większym powodzeniem. Nikt nie podchodził do tego zadania z entuzjazmem, lecz w połowie drugiego dnia łatwo było zauważyć, które grupy były dobrze prowadzone lub miały kogoś ze zmysłem konstrukcyjnym, a które nie posiadały ani jednego, ani drugiego. Grupa Tommy'ego Crowdera zaczęła budować ściany swej chaty z palisady bardzo cienkich drzewek, a Richard postanowił ich naśladować. Wykształcenie i życiowe doświadczenie były tu doskonale widoczne - londyńczyk Crowder

miał bardzo bujną przeszłość, a poza tym był sprytnym człowiekiem.

Kreć się tam teraz paru żołnierzy, którzy sprawdzali postępy prac i liczyli więźniów - kilku bowiem, razem z kobietą, Ann Smith, uciekło do lasu. Najprawdopodobniej skierowali się do zatoki Botany i francuskich okrętów, które zgodnie z krążącymi plotkami miały zatrzymać się tam przez parę dni.

- O Chryste, cóż to za raj dla mrówek i pajaków! - wykrzyknął Jimmy Price, ssąc krawędź dłoni. - Ta cholerna mrówka boleśnie mnie ugryzła. Popatrzcie tylko na ich rozmiary! Są duże na pół cala i widać ich szczypce. - Rzucił na wspaniałe, pokryte białą korą drzewo pełne nienawiści spojrzenie. - A co to takiego, co nas tak ogłusza hm... tym skrzeczeniem? Aż mi w uszach dzwoni.

Jego narzekania na skrzeczenie były równie uzasadnione jak te na mrówki. Był to pomyślny rok dla cykad.

Billy Earl przybiegł zza kępy drzew blady i roztrzęsiony.

- Właśnie widziałem węża! - wysapał. - O Chryste, był większy od Ike'a Rogersa w tych jego butach! Gruby jak moje ramię! A po drugiej stronie zatoki są ogromne aligatory, jak powiedział mi Tommy Crowder. Och, jakże ja nienawidzę tego miejsca!

- Przyzwyczajmy się do tych stworzeń - uspokajał ich Richard - Nie słyszałem jeszcze, żeby ktoś został ukąszony czy zjedzony przez coś większego od mrówki, nawet jeśli te mrówki są wielkości żuków. Aligatory to ogromne jaszczurki. Widziałem, jak jeden taki wdrapał się na drzewo.

Chałupa została ukończona po południu owego wilgotnego, upalnego dnia, pełnego niespodzianek i panicznego strachu. Zaszło słońce i na niebie na południu od nich zaczęły się zbierać chmury. Czarne i ciemnogrnatowe, z migotającymi gdzieś błyskawicami. Wybudowali swą chatę pod osłoną dużej piaskowej skały, która miała pod spodem niewielką szczelinę, jakby wybraną łyżką.

- Wydaje mi się - stwierdził Richard, obserwując nadchodzącą burzę - że powinniśmy na wszelki wypadek złożyć nasz dobytek pod skałą. Te palmowe gałęzie nie zdołają powstrzymać deszczu.

Burza nadeszła godzinę później, silniejsza aniżeli ta na morzu nieopodal przylądka Dromedary i o wiele bardziej przerażająca. Każdy z ogromnych jaskrawych piorunów uderzał w ziemię pomiędzy drzewami. Nic dziwnego, że tak wiele spośród nich było roztrzaskanych i osmolonych. Błyskawica. Niecałe trzydzieści stóp od miejsca, w którym siedzieli skuleni, ogromne drzewo o satynowej, cynobrowej korze wybuchło w eksplozji oślepiającego niebieskiego ognia, iskier i huku. W mgnieniu oka rozpadło się, a potem zaczęło gwałtownie

płonać. Nie trwało to jednak długo. Pośród wycia zimnego, ryczącego wiatru zaczęło padać i w ciągu niecałej minuty ogień zgasł, a ich palmowy dach został zniszczony. Ziemia zamieniła się w morze, grube, uszkodzone drągi osunęły się pod naporem wody. Oni zaś doszczętnie przemokli. Tej nocy spali pośród szkieletu swej chałupy, szczękając zębami i pocieszając się jedynie tym, że cały ich dobytek był bezpiecznie schowany i suchy pod skalnym występem.

- Potrzebujemy lepszych narzędzi i czegoś, co by mogło przytrzymać cały ten dom razem - powiedział Will Connelly rano, bliski płaczu.

Nadszedł czas - pomyślał Richard - żeby poszukać kogoś startego rangą od Furzera, który nie potrafiłby się zorganizować nawet dla ratowania własnego życia. Nic mnie to nie obchodzi, że skazańcom nie wolno zbliżać się do tych, którzy pełnią wyższe urzędy. Ja zamierzam to zrobić”.

I odszedł w chłodzie porannego powietrza, z zadowoleniem zauważając że grunt był tak bardzo piaszczysty, że nie mógł zamienić się w błoto. Kiedy dotarł do strumienia, w miejscu, gdzie żołnierze postawili trzy kamienie w poprzek niego w charakterze kładki, mignęły mu w przelocie czarne, nagie ciała nieco wyżej w strumieniu i poczuł zapach gnijących ryb. A zatem to nie był tylko figiel jego wyobraźni - powiedziano mu, że Indianie śmierdzieli rybim olejem równie mocno jak bristolskie błoto. Skoro nie podeszli bliżej, przeskoczył przez kamienie i skierował się w stronę większej osady, położonej w zachodniej stronie zatoki, gdzie większość skazańców rozbiła już obóz i gdzie miały stacjonować wszystkie więźniarki. Kobiety nadal przewożono na łód po kilka za jednym razem. Stał tam również namiot szpitalny, namioty żołnierzy, namioty oficerów i majora Rossa. Zauważył, że na skraju zatoki więźniowie mieszkali w namiotach. Co oznaczało, że na statki nie załadowano odpowiedniej liczby namiotów dla wszystkich. Dlatego też on wraz z ostatnią setką więźniów zostali oddelegowani na wschodnią stronę, do jakichkolwiek schronień, jakie uda im się zbudować - co z oczu, to i z myśli.

- Czy mógłbym się zobaczyć z majorem Rossem? - zapytał żołnierza stojącego na warcie przed wielkim okrągłym namiotem.

Żołnierz, obcy Richardowi, z pogardą zmierzył go wzrokiem z góry na dół.

- Nie - odpowiedział.

- Jest to sprawa dosyć pilna - nalegał Richard.

- Zastępca gubernatora jest za bardzo zajęty, aby mieć czas dla takich jak ty.

- A zatem czy mógłbym tu poczekać, aż będzie miał wolną chwilę?

- Nie. A teraz spierdalaj stąd... A jak ty się nazywasz?

- Richard Morgan. Numer dwieście trzy, „Alexander”.

- Wpuść go tu! - odezwał się głos ze środka.

Richard wszedł do wyposażonego w drewnianą podłogę wnętrza względnie dobrze oświetlonego dzięki otwartym ze wszystkich stron Polom namiotu. Wewnętrzna kurtyna dzieliła go na biuro i to, co najprawdopodobniej było kwaterą mieszkalną majora. Siedział tam przy składanym stole, służącym mu za biurko, i jak zwykle był sam. Ross który pogardzał swoimi podwładnymi oficerami nieomal tak samo jak zwerbowanymi do wojska ludźmi, mimo to bronił praw, należności i honoru korpusu wojskowego przed przybyszami z Królewskiej Floty. Uważał gubernatora Arthura Phillipa za niepraktycznego głupca i ubolewał nad jego łagodnością.

- O co chodzi, Morgan?

- Jestem po wschodniej stronie, panie majorze, i chciałbym o tym z panem porozmawiać.

- Skarga, co?

- Nie, proszę pana, tylko parę żądań - odpowiedział Richard, patrząc mu prosto w oczy, świadomy tego, że jest jednym z nielicznych ludzi w Port Jackson, którzy lubią tę barwną postać.

- A jakież to znowu masz żądania?

- Nie mamy czym wybudować naszych schronisk, panie majorze, poza paroma siekierami. Większość z nas zdołała wybudować jakieś tam szkielety, lecz nie możemy zrobić dachów z gałęzi palmowych, chyba że będziemy mieli sznurki do powiązania ich. Chętnie użylibyśmy gwoździ, ale nie mamy narzędzi do wiercenia dziur, piłowania i przybijania. Praca posuwałaby się znacznie sprawniej, gdybyśmy posiadali jakiegokolwiek narzędzia.

Major podniósł się na nogi.

- Chciałbym się przejść. Chodź ze mną - powiedział krótko. - Masz głowę na karku - stwierdził, wychodząc przed Richardem z namiotu - zauważyłem to przy tym problemie z pompami ściekowymi na „Alexandrze”. To ty jesteś owym sensownym facetem, który nie rozczuła się nad sobą ani na jotę. Gdybyśmy tylko mieli więcej takich jak ty, a mniej tych szumowin z wszelkich możliwych więzień z całej Anglii, misja utworzenia tej osady mogłaby się zakończyć sukcesem.

Richard - maszerując żwawo, aby dotrzymać kroku majorowi - wywnioskował, że zastępca gubernatora nie wierzy w powodzenie tego eksperymentu. Minęli obóz wojskowy dla nieżonatych żołnierzy i zbliżyli się do czterech okrągłych namiotów, w których mieszkali wojskowi oficerowie. Porucznik Shairp siedział w cieniu zasłony namiotu przed siedzibą kapitana Jamesa Mereditha i popijał w jego towarzystwie herbatkę z porcelanowej filiżanki.

Na widok majora powstali, ale w sposób, który wskazywał na to, że bardzo nie lubili tego szczerego, cierpkiego komendanta. Wszyscy to wiedzieli, włącznie z więźniami - podsycone rumem i porto podziały w szeregach oficerów prowadziły do kłótni, sądów wojskowych i ciągłej opozycji w stosunku do majora Rossa, który w niektórych sytuacjach miał jednak swoich popleczników.

- Czy doły trackie są już w budowie? - zapytał lodowato major. Meredith machnął ręką za siebie.

- Tak jest, panie majorze.

- Kiedy ostatnio przeprowadzał pan ich inspekcję, poruczniku?

- Właśnie miałem to uczynić. Zaraz po śniadaniu.

- Składającego się, jak widzę, raczej z rumu aniżeli herbaty. Pan pije za dużo i jest pan kłótniwy, poruczniku. Niech pan się ze mną nie spiera.

Shairp zasalutował i zniknął, wracając po chwili z MacGregorem w jednej ręce.

- Masz tu, Morgan, weź go. Powiedziano mi, że to jeden z twoich ludzi go wygrał. - Zachichotał. - Ja niczego takiego sobie nie przypominam.

Pragnąc zapaść się pod ziemię, Richard wziął szczeniaka od Shairpa i podążył za majorem Rossem w stronę brodu.

- Czy zamierzasz nieść to aż do składów?

- Nie, jeśli tylko uda mi się znaleźć jednego z moich ludzi, panie majorze. Nasz obóz jest po drodze - powiedział Richard ze spokojem, którego bynajmniej nie odczuwał, zawsze bowiem, kiedy major Ross beształ swoich ludzi, on musiał znaleźć się w pobliżu.

- No cóż, pora, abym zobaczył tę nadbudowę. Prowadź, Morgan.

Richard prowadził, przytrzymując wrywającego się MacGregora.

- Przeżyje dzięki polowaniu na szczury - odezwał się major Ross, kiedy doszli do około dwunastu szop rozsianych pomiędzy drzewami. - Jest tu tyle szczurów co w Londynie.

- Oddaj go Joeyowi Longowi - powiedział Richard, wpychając MacGregora w ręce Johnny'ego Crossa. - Jak pan widzi, panie majorze, zdołaliśmy ustawić całkiem niezłe szkielety i uważam, że więzień Crowder ma najlepszy pomysł na ściany. Problem w tym, że bez narzędzi i materiałów praca posuwa się w ślimaczym tempie.

- Nie wiedziałem, że Anglicy są tacy pomysłowi - skomentował major Ross, dokonując dokładnego oglądu. - Jak już to skończycie, możecie zacząć budowę następnego obozu pomiędzy wami a farmą gubernatora, na której już robią wycinkę drzew i ją wyznaczają. Jeśli nie będziemy mieli świeżych jarzyn, szkorbut wybije nas wszystkich. Po zachodniej stronie jest za dużo kobiet. Podzielię je i przyślę parę tutaj co wcale nie oznacza, że

możecie je wykorzystywać, rozumiesz, Morgan?

- Tak, panie majorze.

Skierowali się do intendentury, gdzie nadal panował chaos. Konie bydło i inne zwierzęta domowe sprowadzono ze statków i zamknięto w pośpiesznie wzniesionych zagrodach z gałęzi; sprawiały wrażenie równie nieszczęśliwych jak wszyscy wokół nich.

- Furzer - oświadczył zastępca gubernatora, wpadając do ogromnego namiotu - jesteś pan typowym cholernym Irlandczykiem. Czy nigdy nie słyszał pan o czymś takim jak metoda? Jak pan sądzi, co będzie trzeba zrobić z tymi zwierzętami, jeśli nie zapewni im pan wypasu? Zjeść je? Zboża już nie ma, a siana zostało bardzo niewiele. Żaden z pana kwatermistrz, ty dupo wołowa! Skoro cieśle nie mają nic do roboty, dopóki nie dostaną desek, to każ im pan wybudować zagrodę dla zwierząt, i to już! Znajdź kogoś, kto zna się na terenach do wypasu i wnieś w pobliżu zagrody. Bydło będzie potrzebowało pasterzy, a konie trzeba pętać. I niech cię Bóg ma swojej opiece, jeśli któryś z nich ucieknie. A teraz, gdzie masz pan listę tego, co było na poszczególnych statkach? Czy zostało już rozładowane i gdzie to złożono?

Porucznik Furzer nie mógł wykazać się żadnymi listami, nie miał pojęcia, gdzie co zostało rozładowane lub jest przechowywane - jedyne magazyny, jakimi dysponowali, były tymczasowe, zrobione z brezentu.

- Myślałem, żeby sporządzić listę wszystkich rzeczy, kiedy przeniesie się do magazynów na stałe, panie majorze - wyjąkał Furzer.

- O Jezu, Jezu, Jezu! Furzer, jesteś pan kretynem! Kwatermistrz przełknął ślinę i wysunął do przodu podbródek.

- Nie jestem w stanie zrobić tego przy pomocy ludzi, których tu mam, majorze Ross. I to jest święta prawda.

- No to proponuję, żebyś zatrudnił pan więcej więźniów. Morgan, masz jakiegoś odpowiedniego człowieka? Sam jesteś więźniem, więc musisz kogoś znać.

- Znam, panie majorze. Bardzo wielu. Zaczynając od Thomasa Crowdera i Aarona Davisa. To bristolczycy i lubią pracę urzędników. Łotry, ale za sprytni na to, by gryźć rękę, która daje im urzędniczą robotę, więc nie będą kraść. Wystarczy postraszyć ich, że pójdą do ścinania drzew - tuzin dziennie - i będą się sprawować bez zarzutu.

- A co z tobą?

- Ja mogę się lepiej przydać gdzie indziej, panie majorze - odparł Richard.

- Co robiąc?

- Ostrząc piły, siekiery, topory i wszystko, co potrzebuje ostrych brzegów. - Umiem

ustawiać zęby na piłach, co jest rzemieślniczą sztuką. Zabrałem ze sobą potrzebne narzędzia i jeśli załadowano na statek moją skrzynkę, miałbym wszystko, co niezbędne. - Odchrząknął. - Nie chciałbym oczerniać tych, którzy dowodzą, panie majorze, ale te siekierki są słabej jakości. Podobnie jak i szufle, łopaty i oskardy.

- Sam to już zauważyłem - powiedział major ponuro. - Zostaliśmy wystrychnięci na dudka przez ekspertów, Morgan, począwszy od skąpiących grosza urzędników admiralicji, po kontrahentów i kapitanów transportu. Niektórzy z nich już zaczęli sprzedawać marynarską odzież i co lepsze ubrania - włącznie, jak mam podstawy podejrzewać, z osobistym majątkiem więźniów. - Zamierzał już odejść. - Ale osobiście sprawdzę, czy jest gdzieś skrzynka z narzędziami należąca do niejakiego Richarda Morgana. Tymczasem zaś weź, co potrzebujesz, od Furzera - szydła, gwoździe, młotki czy druty. - Skinął głową i odmaszerował, naciskając na głowę swój trójgraniasty kapelusz. Major Ross, zawsze elegancki jak spod igły, niezależnie od pogody.

- Przyślij mi tu tego Crowdera i Davisa i możesz sobie brać, co chcesz - powiedział porucznik Furzer, nie mogąc już nawet odczuwać upokorzenia.

Richard przyprowadził Crowdera i Davisa i zabrał tyle narzędzi i materiałów, aby móc ukończyć ich własną szopę i zacząć budować następne schronienia dla więźniarek.

Więźniarki stały się nagle obiektem zainteresowania, ponieważ wszyscy więźniowie i samotni żołnierze chcieli zaspokoić swoje pasje i żądze, nie spełnione w większości od ponad roku. Wędrówki po zapadnięciu zmroku były tak liczne, że nawet dziesięciokrotnie większa liczba żołnierzy na straży nie zdołałaby ich powstrzymać, nawet jeśli sami nie szukaliby seksualnego spełnienia. Sprawę komplikował fakt, że było niewiele kobiet, do których można pójść, jak również to, że nie wszystkie z nich były zainteresowane przyniesieniem ulgi seksualnie wygłodzonym mężczyznom. Na szczęście niektóre pogodziły się ze swoim losem i radośnie wyświadczały przysługi wszystkim przybyszom, podczas gdy inne robiły to za kufel rumu lub męską koszulę. Gwałty zdarzały się rzadko także dlatego, że większość mężczyzn miała jednak skrupuły przed narzucaniem się niechętnym do tego kobietom.

Mimo to w dowództwie, począwszy od gubernatora aż po wielebnego Richarda Johnsona, wszyscy byli przerażeni tymi wędrówkami do żeńskiego obozu, uważając takie zachowanie za zdeprawowane rozwiązanie i całkowicie niemoralne. Wynikało to rzecz jasna z tego, że sami mieli dostęp do kobiet - czy to do pani Deborah Brooks, czy też do pani Mary Johnson. Coś jednak należało z tym zrobić!

Oczywiście grupa Richarda również wymykała się nocami, z wyjątkiem jego samego, Taffy'ego Edmunda i Joeya Longa. Dla Joeya posiadanie MacGregora było najwidoczniej szczytem marzeń. Taffy zaś miał zupełnie inną naturę - samotnik z mizoginicznymi skłonnościami, które ta nagła bliskość kobiet jeszcze bardziej wzmogła. Był dziwny, to wszystko. Taffy'emu wystarczyło śpiewanie. Richard sam nie był pewien powodów, dla których unikał żeńskiego obozu, wydawało mu się jednak, że było w nim coś z Taffy'ego. Perspektywa posiadania kobiety po dwóch latach spędzonych z dala od nich i po upływie ponad trzech lat od czasu związku z Annemarie Latour nie była czymś, czemu mógłby sprostać. Od czasu Annemarie Latour jego penis nawet nie drgnął i Richard nie wiedział, dlaczego tak było. Nie był to zanik siły żywotnej. Być może spowodował to potworny wstyd i poczucie winy, że doszło do tego zaraz po zniknięciu Williama Henry'ego i po tylu innych stratach. On jednak tego nie wiedział i nie chciał nawet poznać przyczyn. Wiedział tylko tyle, że coś w nim umarło, a reszta zapadła w pozbawiony marzeń sen. To, co się stało z jego umysłem, skazało seks na banicję, i nie miał pojęcia, czy było to uwięzienie, czy też raczej wyzwolenie. Najważniejsze, że nie było to mu zgryzotą.

Siódmego lutego miała się odbyć wielka ceremonia, pierwsza, w której kazano uczestniczyć wszystkim więźniom. O jedenastej rano wyprowadzono ich - oddzielnie kobiety i mężczyźni - do południowo - wschodniej części zatoki, na teren przygotowany pod zaprowadzenie ogrodu warzywnego. Wszyscy żołnierze z muszkietami na ramionach i ubrani jak na paradę maszerowali przy dźwiękach piszczałek i bębnow, z powiewającymi sztandarami i proporcami. Wkrótce potem przybył jego ekscelencja gubernator Phillip w towarzystwie jasnowłosego olbrzyma, kapitana Davida Collinsa, jego asesora sądu wojkowego, zastępcy gubernatora - majora Rossa, generała inspektora Augustusa Alta, naczelnego lekarza Johna White'a oraz kapelana, wielebnego Richarda Johnsona.

Żołnierze pochylili sztandary, gubernator zdjął kapelusz i pozdrowił ich, a oni przemaszerowali przed nim wraz z orkiestrą. Potem pozwolono więźniom usiąść na ziemi. Przed gubernatorem ustawiony został obozowy stół, na którym uroczystie złożono dwie czerwone teczki. Po zdjęciu z nich pieczęci i otwarciu ich na oczach wszystkich asesor sądu wojkowego odczytał głośno najpierw pełnomocnictwo Phillipa, a następnie Trybunału Sądowego.

Richard i jego ludzie słyszeli z tego zaledwie urywki. Jego ekscelencja gubernator był upoważniony w imieniu Jego Królewskiej Mości Jerzego III, króla Wielkiej Brytanii, Francji i Irlandii, objąć pełną władzę nad Nową Południową Walią, budować zamki, fortece i miasta,

grupować baterie, tak jak uważa za stosowne... Słońce paliło mocno, a lista obowiązków gubernatora zdawała się nie mieć końca. Kiedy wreszcie odczytano pełnomocnictwo prawne, niektórzy ze słuchaczy zasnęli, a kapitanowie statków zaczęli odchodzić, bo nikt nie zapewnił im wygodnych, zacienionych miejsc. Pierwszym, który odszedł, był kapitan Sinclair.

Wdzięczny za swój słomiany marynarski kapelusz, Richard usiłował pilnie słuchać, zwłaszcza kiedy gubernator Phillip wstąpił na małe podium i zwrócił się z przemówieniem do więźniów. Próbowałem! - krzyczał. O tak, rzeczywiście się starał! Lecz po dziesięciu dniach na łodzi doszedł do wniosku, że niewielu z nich zasługiwało na pochwałę, większość była niepoprawna, leniwa i nawet kamienia niewarta. Z sześciuset pracujących ludzi zaledwie dwustu cokolwiek robiło, a ci, którzy nie będą pracować, nie będą dostawać jedzenia.

Większość z tego, co mówił, była dobrze słyszalna - z tej szczupłej, niewielkiej postaci dobywał się całkiem donośny głos. W przyszłości będą traktowani z największą surowością, ponieważ nic innego nie skutkuje. Kradzież kurczaków nie jest w Anglii karana śmiercią, lecz tutaj, gdzie każdy kurczak jest cenniejszy od skrzynki rubinów, kradzież kurczaka będzie podlegać takiej karze. Wszystkie zwierzęta są przeznaczone do rozmnażania się. Najbliższa próba kradzieży jakiegokolwiek przedmiotu należącego do rządu będzie groziła strykiem - i każde słowo, jakie tu powiedział, mówił poważnie. Będą strzelać do każdego, kto spróbuje nocą wejść do namiotu kobiet. Nie przywieziono ich bowiem aż tutaj w celach cudzołóstwa. Jedyne możliwe do zaakceptowania związki między kobietą a mężczyzną to małżeństwo, po co bowiem przydzielono im duszpasterza? Kary wymierzane będą sprawiedliwie, lecz bezlitośnie. Żaden więzień nie powinien cenić swej pracy na równi z angielskim rolnikiem, nie ma bowiem na utrzymaniu ani żony, ani rodziny - jest własnością rządu Jego Brytyjskiej Mości w Nowej Południowej Walii. Nikogo nie będą zmuszać do wysiłku ponad jego możliwości, lecz każdy musi pracować dla ogólnego dobra. Pierwszym ich obowiązkiem będzie wzniesienie stałych budynków dla oficerów, potem dla żołnierzy, a dopiero na końcu dla siebie. Teraz mogli się rozejść i dobrze przemyśleć to, co tu powiedział nie miał bowiem zwyczaju rzucać słów na wiatr.

- Jakże miłe uczucie być potrzebnym! - westchnął Bill Whiting, podnosząc się na nogi. - Czemu po prostu nie powiesili nas w Anglii, skoro i tak zamierzają tu to robić? - Gwizdnął urągliwie. - Co za bzdura! Nie zostaliśmy tu wywiezieni w celu cudzołóstwa! A cóż oni myśleli, że się tu będzie działo? Żartuję sobie o owcach, ale to żaden żart, jak do człowieka strzelają za to, że zbliża się do swojej Mary.

- Jakiej Mary? - spytał Richard.

- Mary Williams z „Lady Penrhyn”. Stara jak łysy pagórek i brzydka jak grzech, ale

obie połówki są moje. Całe moje! A przynajmniej były, dopóki nie dowiedziałem się, że mają do mnie strzelać za uleganie naturalnym impulsom. W Anglii tylko jej mąż mógłby mnie za to zastrzelić.

- Cieszy mnie wiadomość o tej Mary Williams, Bill. Ale to nie gubernator o tym mówił, tylko wielebny Johnson - powiedział Richard. - Ten facet powinien zostać metodystą. Śmiem twierdzić, że właśnie dlatego przyjął tę posadę - jest zbyt radykalny, aby móc wzbudzić sympatię jakiegokolwiek biskupa w Kościele anglikańskim.

- Po co w takim razie przywieźli tu więźniarki, skoro nie wolno nam się do nich zbliżać? - domagał się wyjaśnień Neddy Perrott.

- Gubernator chce, żebyście się pobierali, Neddy, aby uszczęśliwić wielebnego Johnsona. Podejrzewam - powiedział Richard, głośno myśląc - że również po to, aby wyprawa została uświęcona przez Boga. Cudzołóstwo pośród trzody wiernych wygląda raczej na robotę szatana.

- Ja tam jeszcze przez jakiś czas nie zamierzam się zenić z moją Mary - stwierdził Bill.
- Nie po to niedawno zrzuciłem jedne okowy, żeby je teraz zamieniać na drugie.

Być może taka była w tej sprawie opinia Billa, lecz nie wszyscy jego towarzysze ją podzielali. Począwszy od następnej niedzieli, uradowany kapelan udzielał ślubów coraz większej liczbie zesłańców.

Wprowadzono teraz tygodniowe przydziały żywności. Jakże to było trudne! Zachować umiar i nie pochłonąć wszystkiego w ciągu dwóch dni. A było tego tak niewiele, zwłaszcza teraz, kiedy pracowali. Dzięki skąpej wdzięczności porucznika Furzera posiadali teraz popadnę kotły i garnki, choć niewiele mogli do nich włożyć.

Chata została ukończona na podwójnym rzędzie młodych drzewek służących za ściany - jedne pionowe, drugie poziome, z wystarczającą liczbą wiotkich listewek podtrzymujących gęsto splecione palmowe gałęzie. Było im już względnie sucho, nawet przy obfitym deszczu, lecz kiedy zaczęły dąć sztormowe wiatry, przenikały przez szczeliny ścian i aby je powstrzymać, pokryli chaty z zewnątrz gałęziami palm. Nie mieli okien, tylko jedne drzwi od strony głazu piaskowca. Było to skromne schronienie, o wiele jednak lepsze od więzienia na „Alexandrze”. Pachniało tam raczej czystą ostrą żywicą aniżeli przyprawiającą o mdłości mieszaniną oleju smołowego i zgnilizny, a podłogę pokrywał dywan miękkich, suchych liści. Poza tym nie byli skuci łańcuchami i pozostawiano ich właściwie bez nadzoru. Żołnierze mieli wyznaczoną robotę, pilnując znanych już zabijaków, więc tych, którzy nigdy nie przysparzali kłopotów, zostawiano w spokoju poza regularnym sprawdzaniem, czy są na

wyznaczonych stanowiskach pracy.

Placówką Richarda była mała, otwarta szopa w pobliżu serii dołów trackich, które kopano za namiotami żołnierzy, co bynajmniej nie było łatwym zadaniem, wzięwszy pod uwagę litą skałę sześć cali poniżej powierzchni gruntu. Doły trzeba było kopać przy użyciu kilofów i rozszczepiających skałę klinów.

Chociaż nie przyniesiono jeszcze pił - rozładunek okazał się wyjątkowo powolną operacją - stos siekier i toporów rósł szybciej, aniżeli Richard mógł je ostrzyć.

- Przydałaby mi się pomoc, panie majorze - zwrócił się Richard do majora Rossa zaledwie dzień po rozpoczęciu pracy. - Niech mi pan da teraz dwóch ludzi, a jak przyjdzie pora na ostrzenie pił, będę miał jednego człowieka do siekier i toporów.

- Widzę taką potrzebę, nawet tuzin ku temu powodów, ale po co ci aż dwóch ludzi?

- Ponieważ już były kłótnie co do własności, a nie mam tu warunków na sporządzanie listy. Lepszy od listy byłby piśmienny pomocnik, który złobiłby nazwisko właściciela na rękojeści każdej siekiery i topora. Kiedy rozładują piły, mógłby zrobić to samo i z nimi. To zaoszczędziłoby trochę żołnierskiego czasu, panie majorze.

Zimne, wypłowiałe oczy zwięzły się nieco w kącikach, lecz usta nie uśmiechnęły się.

- Tak, Morgan, rzeczywiście masz głowę na karku. Przypuszczam też, że wiesz już, kogo chcesz?

- Owszem, panie majorze. Dwóch z moich własnych ludzi. Connelly'ego do znakowania i Edmunda do nauki ostrzenia.

- Nie udało mi się jak dotąd zlokalizować twojej skrzynki z narzędziami.

Smutek Richarda był nieklamany.

- Szkoda - westchnął. - Miałem naprawdę wspaniałe narzędzia.

- Nie rozpaczaj. Będę szukał dalej.

Mijał luty, a wraz z nim burze z piorunami i niekiedy chłodne prądy powietrza nad morza, ale najczęściej było duszno i parno, a na południowym i północno - zachodnim krańcu nieba kłębiły się czarne chmury. Burze z południa przynosiły ze sobą błogosławione chwilowe ochłodzenia, podczas gdy te nadchodzące z północnego zachodu przynosiły grad wielkości kurzych jaj i parny skwar.

Poza różnymi gatunkami szczerów, milionami mrówek, żuków, krocionogów, pajaków i podobnych nieprzyjaznych człowiekowi owadów, inne formy życia na tej ziemi zdawały się rzadkie. Niebo i drzewa natomiast obfitowały w tysiące ptaków, z których większość była niezwykle piękna. Papug było tam więcej, aniżeli można sobie wymarzyć -

ogromne i białe, z imponującymi, żółtymi niczym siarka grzebieniami, szare z cyklamenowymi piersiami, czarne, koloru tęczy, drobne prążkowane, czerwono - niebieskie, zielone i tuziny innych. Wielkie brązowe zimorodki zabijały węże, łamiąc im kręgosłupy i uderzając nimi o gałęzie drzew, śmiejąc się jak szalone. Jeden z wielkich, nie umiejących latać ptaków miał ogon podobny do greckiej liry i chodził niczym paw. Ci, którzy asystowali gubernatorowi w jego poszukiwaniach, opowiadali o czarnych łabędziach, orłach, których rozpiętość skrzydeł sięgała dziewięciu stóp i które współzawodniczyły z jastrzębiami i sokołami o ofiary. Dookoła śmigały śmiało maleńkie zięby, zadziorne i żwawe strzyżyki. Całe ptasie królestwo było wspaniale ubarwione i niezwykle krzykliwe. Niektóre ptaki śpiewały bardziej subtelnie aniżeli słowiki, inne zaś skrzeczały ochryple lub pobrzękiwały niczym srebrne dzwoneczki, a jeden - ogromny czarny kruk - wydawał tak przejmujące, mrozące krewi w żyłach, żalosne odgłosy, jakich żaden z tych Anglików jeszcze w życiu nie słyszał. Najsmutniejsze zaś było to, że żaden z tych niezliczonych ptaków nie nadawał się do jedzenia.

Chociaż widywano tam różne zwierzęta - na przykład pokryte gęstą sierścią stworzenie o kaczkowatym chodzie ryjące nory - to najbardziej wszyscy pragnęli zobaczyć kangura. Jeśli jednak cały czas przebywało się w obozie, było to niemożliwe. Kangury nigdy nie podchodziły blisko ludzi - najwidoczniej były płochliwe i nieśmiałe, w przeciwieństwie do ogromnych, wspinających się na drzewa jaszczurek. Te bowiem przechadzały się dumnie po całym obozie, jak gdyby ludzie nie byli godni nawet pogardy, i mogły rywalizować z najgłodniejszym więźniem lub najbardziej spragnionym żołnierzem, jeśli chodziło o spustoszenie namiotu. Jedna z nich miała czternaście stóp długości i nic dziwnego, że wywoływała taką samą panikę, jaką wzbudziłby widok aligatora.

- Zastanawiam się, jak by ją nazwać? - zapytał Richard Taffy'ego Edmunda, kiedy jaszczur przeszedł obok ich drewnianego szałas, poruszając niczym wąż swą paskudną głową.

- Myślę, że powinniśmy się do niego zwracać „Sir” - poradził Tafty.

Toporów i siekier do naostrzenia przybywało, a pod koniec lutego zaczęto znosić również i piły. W dołach trackich po zachodniej stronie rozpoczęły się już prace, a od strony wschodniej zaczęto kopać następne - z podobnymi trudnościami ze względu na skalne podłoże. Pojawiła się nowa przeszkoda - okazało się, że ściętych drzew, obdartych z kory i położonych nad dołami trackimi nie da się pociąć nawet na najbardziej pośledniej jakości deski. Drewno to było nie tylko mokre i obfitowało w soki, lecz również twarde jak żelazo. Tracze, z których wszyscy byli więźniami, pracowali tak ciężko, że gubernator był zmuszony

przydzielić im dodatkowe racje żywności i ekstraktu słodowego, w przeciwnym bowiem razie mogli zasłaćnąć. Rozzłościło to żołnierzy, którzy zapomnieli o tym, że dostają dodatkowe masło, mąkę i rum wraz z takim samym przydziałem chleba i solonego mięsa jak więźniowie, i zaczęli prowadzić księgę zażaleń w związku z „przywilejami” więźniów. Jedyne major Ross i bezwzględna dyscyplina mogły ich pohamować, oznaczało to jednak dodatkowe kary chłosty - nie tylko dla więźniów - więc znowu narzekali.

Największym problemem w życiu Richarda były same piły. Wysłano im zaledwie sto siedemdziesiąt pięć pił ręcznych, a dwadzieścia pił trackich okazało się piłami wzdłużnymi, przeznaczonymi do cięcia drzewa w poprzek słołów. Żadną piłą tracką nie można więc było przeciąć takiego drzewa na tarcice. Oznaczało to, że wszystkie drzewa należało nie tylko ścinać toporami, ale i rozczłonkować je toporami. Oba rodzaje pił powinny być wykonane z najlepszej stali, ale nie były. Miesiące przetrzymywania ich na morzu sprawiły, iż piły pordzewiały, a na liście towarów na żadnym ze statków nie było smaru antymonowego.

Dwadzieścia pięć pił ręcznych i pięć pił trackich wysłano z porucznikiem Philipem Gidleyem Kingiem na wyspę Norfolk, gdy „Supply” odpłynął do tego odległego miejsca w połowie lutego, aby założyć tam odrębną osadę, wykorzystać tamtejszy len na płótno, a ogromne sosny o których donosił kapitan Cook, na maszty.

- Panie majorze, to prawie niemożliwe - powiedział Richard majorowi Rossowi. - Zrobiłem własny papier ścierny i usunąłem rdzę, ale te piły nie są dostatecznie gładkie. Tłuszcz wielorybi doskonale by je ochronił, ale go nie mamy. Oleje, które posiadamy, zamieniają się w klej z chwilą, gdy wewnątrz nacięcia wzrasta ciepło. Potrzebna mi substancja taka jak tłuszcz wielorybi lub smar antymonowy. Poza tym piły są tak kiepskiej jakości, że przy cięciu równie twardego drewna jak to mogą się złamać. Mamy piętnaście pił trackich, co oznacza nie więcej niż czternaście dołów - zawsze bowiem będę pracował nad jedną piłą, ponieważ to drzewo niszczy zęby. Najbardziej jednak, panie majorze, potrzebuję czegoś do usuwania rdzy.

Ross zdawał się bardziej ponury niż zazwyczaj, to samo słyszał od traczy.

- W takim razie będziemy musieli szukać jakiejś lokalnej substancji - stwierdził. - Lekarz Boves Smyth jest bardzo dociekliwy, ciągle opukuje drzewa, gotuje jakieś korzenie i liście w poszukiwaniu leków, żywic i eliksiru życia. Daj mi jakąś bardzo zardzewiałą ręczną piłę, to go poproszę, żeby na niej eksperymentował.

I odmaszerował. Richard mu współczuł. Major miał talent organizacyjny i był przedsiębiorczym człowiekiem, ale nie miał zrozumienia dla słabości innych, zwłaszcza jeśli chodziło o jego żołnierzy, których to, kiedy zawinili, mógł kazać wychłostać. Jeśli jednak

zamierzał wychłostać jakiegoś skazańca, musiał przynajmniej napomknąć o tym gubernatorowi. Ukoronowaniem licznych zmartwień majora Rossa było to, że najwidoczniej przyciągał pioruny. Jego niewielkie stadko owiec zginęło, chroniąc się pod drzewem, potem piorun uderzył w jego namiot i większość papierów oraz zapisów spłonęła razem z innymi rzeczami. Kiedy Richard patrzył tak na znikającą postać wojskowego, pomyślał jednak, że bez majora Rossa w Port Jackson panowałby straszliwy chaos. Gubernator był idealistą, jego zastępca - realistą.

Drewniana szopa Richarda znacznie się powiększyła i wziął jeszcze dwóch ludzi do swego zespołu - Neddy'ego Perrotta i Joba Hollisteragilly Earl, Johnny Cross i Jimmy Price dołączyli do Bilia Whitinga w magazynach rządowych, a więc jedynie Joey Long pozostał bez przydzielonego zajęcia. Richard podwędził motykę, dodał ją do ich łopaty i oskarda i kazał mu zaprowadzić ogród przed ich chatą, modląc się, żeby nikt nie oddelegował go do innej roboty lub nie kwestionował jego zadania - dobrze wiadano, że jest niespełna rozumu, dlatego jak dotąd nie wzięto go do żadnej pracy. Jeśli Joey pozostawał w szopie, ich niejadalny dobytek był bezpieczny. Kradzieże żywności były tak powszechne, że wszyscy - kobiety i mężczyźni - nosili swoje przydziały ze sobą do pracy, a i wówczas musieli mieć się na baczności, żeby nic im nie zginęło. Większość kradzieży żywności zdarzała się pośród skazańców i w związku z tym nie interesowały one ani gubernatora, ani żołnierzy - silniejsi więźniowie bezkarnie kradli żywność słabszym lub chorym.

W ciągu dwóch tygodni po zejściu na ląd wybuchła dyzenteria. Instynkt Richarda, jeśli chodziło o wodę ze strumienia, okazał się trafny, choć w jaki sposób została ona zanieczyszczona w miejscu, skąd wypływała, pozostało tajemnicą, której lekarze nie zdołali rozwiązać. Według ich teorii, woda w Nowej Południowej Walii była nieodpowiednia dla angielskich żołądków. W szpitalnym namiocie zmarło trzech więźniów i trzeba było wznieść kolejny szpital z tego, co było pod ręką. Szkorbut również był tu powszechną chorobą, a ziemista skóra i bolesne utykanie zdradzało go o wiele wcześniej, zanim zaczęły puchnąć i krwawić dżiąsła. Richard nadal miał w zapasie ekstrakt słodowy i mogło mu go jeszcze na długo wystarczyć, ponieważ porucznik Furzer z magazynów rządowych ceniał swą małą grupę pomocników tak bardzo, że potajemnie wydzielał im ekstrakt słodowy. Tego rodzaju faworyzowanie, podobnie jak w przypadku traczy, było nieuniknione w obliczu wzrastających niedostatków.

- Jeśli jednakże do tego dojdzie - powiedział Richard swoim ludziom tonem nie znoszącym sprzeciwu - będziemy jedli kiszoną kapustę, nawet jeśli będę musiał siedzieć wam

na piersiach i wpychać wam ją siłą do gardła. Przypomnijcie sobie, co mówiły nasze matki - wszyscy zostaliśmy wychowani w wierze, że lekarstwa nie działają jak trzeba, jeśli nie są obrzydliwe w smaku. Kiszona kapusta jest właśnie takim lekarstwem.

Port Jackson nie posiadał żadnych naturalnych środków do leczenia szkorbutu w ilościach odpowiednich dla nowej populacji - niewiele miejscowych roślin i jagód nie wywoływało objawów zatrucia. Kielkujące rośliny, podlewane wiernie w rządowych ogrodach, wypuszczały pędy, aby spojrzeć na słońce i niebo, i ginęły z czystego zniechęcenia. Nic nie chciało tam rosnąć, absolutnie nic.

„Mamy tu teraz późne lato” - pomyślał Richard, zastanawiając się nad wykorzystaniem nasion cytrusów, które przywiózł z Rio de Janeiro. „A zatem nie będę ich siał aż do września lub października, kiedy nadejdzie wiosna. Kto wie, jak chłodna może być tutaj zima? W Nowym Jorku lato jest gorące, a mimo to w zimie nawet morze tam zamarza. Sądząc po wyglądzie Indian, wątpię, żeby tu kiedykolwiek było bardzo zimno, nie mogę jednak ryzykować i przedwcześnie sadzić”.

Trzech więźniów - Barrett, Lovell i Hall - zostało przyłapanych na kradzieży chleba i solonego mięsa z magazynów rządowych, a inny na kradzieży wina. Trzech złodziei chleba skazano na śmierć, złodziej wina został zaś mianowany państwowym katem.

Na zachodnim wybrzeżu zatoki, pomiędzy namiotami mężczyzn i kobiet, rosło wysokie, mocne, piękne drzewo z jedną wszakże osobliwością - mocną, prostą, odchyloną gałęzią, wystającą z niego dziesięć stóp nad ziemią. Dzięki temu zostało drzewem szubienicznym, nie było bowiem desek na zbudowanie szubienicy. Dwudziestego piątego lutego trzech nieszczęśników zostało tam odeskortowanych na oczach wszystkich więźniów, którym kazano w tym uczestniczyć pod groźbą stu batów. Gubernator Phillip był pewien, że ta lekcja odniesie pożądane skutki - należało powstrzymać ludzi od kradzieży żywności! Oczywiście jego własny brzuch, podobnie jak brzuchy wszystkich dowodzących, był co najmniej pełny. A zatem, podobnie jak w kwestii cudzołóstwa, te desperackie metody mające służyć naprawieniu problemów nie przynosiły żadnych rezultatów. Nadzieja, że tak właśnie będzie, narodziła się w pustych mosznach i pełnych brzuchach.

Wielu pośród widowni, wolnej czy uwięzionej, widziało już w życiu egzekucję przez powieszenie - w Anglii były to okazje do świętowania i uroczystości. Jednakże spora grupa wolała ich nie oglądać, między innymi Richard i jego ludzie, i pozostawić takie makabryczne przyjemności innym.

Pierwszego ze skazanych mężczyzn, Barretta, postawiono na stołku, a państwowemu katu kazano nałożyć mu na szyję pętlę ze sznura i zacisnąć ją - Uczynił to z pobladłą twarzą,

płacząc, lecz odmawiał kopnięcia krzesła, dopóki kilku żołnierzy nie wsadziło prochu i nabojów do muszkietów i nie wycelowało do niego z bliska. Bardzo blady, lecz opanowany Barrett trzymał się mocno. Twarda sztuka. Ponieważ spadek nie był odpowiednio duży, by skrócić mu kark, rzucał się i wił na końcu stryczka - wydawałoby się, że przez całą wieczność. W końcu skonał z braku powietrza. Godzinę później ściągnięto ciało i ustawiono stołek dla Lovella.

Porucznik George Johnston - teraz już asystent gubernatora, skoro porucznik King odpłynął na wyspę Norfolk - wystąpił na przód i ogłosił, że Lovellowi i Hallowi przyznano dwudziestoczworo godzinne odroczenie. Potem zezwolono więźniom na rozejście się. Lekcja Phillipa poszła jednak na marne - ci, którzy mieli ochotę kraść, nadal to robili, a ci, którzy tego nie potrafili, nie kradli. W najlepszym wypadku wieszanie mogło pomniejszyć liczbę złodziei jedynie przez zwykłą eliminację.

Odchodząc, Richard spojrzał przypadkowo w stronę szeregu więźniarek i spostrzegł pośród nich czerwone strusie pióra kołyszące się nad wspaniałym czarnym kapeluszem. Stał jak wryty. Lizzie Lock! To mogła być jedynie Lizzie Lock! Została tu przywieziona wraz ze swym ukochanym kapeluszem. Wyglądał wyjątkowo dobrze, wzięwszy pod uwagę przebytą drogę. Z drugiej jednak strony, pewnie dbała o niego o wiele bardziej aniżeli o siebie samą. Nie był to najlepszy moment, aby się do niej zbliżyć, ale i na to nadejdzie czas. Sama świadomość, że tu była, stanowiła już wystarczające pocieszenie.

Następnego ranka ponownie kazano wszystkim się zebrać - pośród ulewnego deszczu - aby ich poinformować, że jego wysokość gubernator zawiesił wykonanie wyroku na Lovellu i Hallu, zamieniając go na zesłanie do jakiegoś nie określonego jeszcze miejsca. Jednakże, stwierdził porucznik Johnstone ostrzegawczym tonem, gubernator poważnie zastanawiał się nad wysłaniem wszystkich opornych więźniów na Nową Zelandię, aby wyrzucić ich tam na ląd na pożarcie ludożercom. Kiedy tylko „Supply” będzie wolny, wyśle ich tam wszystkich, i niech się nie łudzą, bo każde jego słowo powinni traktować poważnie. Tymczasem skazani na banicję mają zostać w kajdanach przykuci do gołej skały w pobliżu zatoki, która już zasłużyła sobie na nazwę „Grających marsza kiszek”, i wegetować tam na jednej czwartej racji chleba i jedynie odrobinie wody. Jednakże ani ta skała, ani groźba uczt ludożerców, ani stryczek nie powstrzymały desperatów od kradzieży żywności.

Więźniowie koncentrowali się na artykułach spożywczych, a żołnierzy interesował natomiast rum i kobiety - chłosta żołnierska zwiększyła się z pięćdziesięciu do stu, a potem i do stu pięćdziesięciu uderzeń bata, choć wymierzający karę nigdy nie bił ich tak mocno jak więźniów, co było przecież zrozumiałe. To, że żołnierze mogli skoncentrować się na trunkach

i seksie, wynikało z faktu, że bez względu na to, jak pilnowano całej tej operacji, porcje przeznaczone dla żołnierzy były zawsze o wiele większe od tych dla więźniów. Co również było całkiem naturalne.

Coraz trudniej było kontrolować tubylców, którzy kradli ryby, szufle, łopaty i tę nędzne jarzyny, które przetrwały na żyznej wysepce na wschód od zatoki, gdzie tworzono wielką rządową farmę z nadzieją, że ziemia będzie gotowa pod zasiew zboża we wrześniu - jeśli w ogóle dało się na tej ziemi uprawiać zboże. Ludzie wysłani do wycinania sitowia na pokrycie dachów do zatoki koło Wyspy Ogrodowej zostali zaatakowani przez Indian, którym udało się zranić najpierw jedną osobę, a potem jeszcze dwie zostały zabite w tym samym miejscu. Poszukiwania prowadzone wzdłuż strumienia aż do jego bagnistego źródła ujawniły w nim rozkładające się szczątki kilku ogromnych jaszczurek, co było sygnałem, iż tubylcy wcale nie są tacy głupi i dobrze wiedzą, jak zatrują się wodę.

Obowiązek straży i ochrony stawał się coraz bardziej uciążliwy dla żołnierzy, w miarę jak osiedle się rozrastało. Drzewo, które sir Joseph Banks zaklasyfikował jako „casuarina”, dostarczało bardzo dobrego drewna na gonty, lecz zostało zlokalizowane trochę dalej - wokół bagna przy strumieniu, a doskonałą glinę do wyrobu cegieł znaleziono jakąś milę dalej w głąb lądu. Różne grupy przeszukiwały to dziewicze terytorium i trzeba było je chronić. Sprawy pogarszał fakt, że tubylcy nie bali się tak bardzo karabinów i byli bardzo śmiali w swych łupieżczych wyprawach po żywność, tak jakby wiedzieli o wydanych rozkazach, żeby za wszelką cenę ich nie krzywdzić.

Gubernator Phillip udał się obejrzeć inny port, położony na północy Broken Bay, i powrócił jeszcze bardziej przygnębiony - stanowił dobre schronienie dla statków, lecz nie było tam żadnej ziemi ornej. Jego ekscelencja miał powody do przygnębienia. Twórcy planu przygotowanego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych założyli beztrąsko, że plony wyrosną z ziemi, jak się ją tylko połaskocze, wspaniałe drewno będzie z łatwością dostępne dla wszelkich możliwych celów, a zwierzęta domowe będą się rozmnażać w zawrotnym tempie oraz że w ciągu niespełna roku Nowa Południowa Walia stanie się rzeczywiście samowystarczalna. Stąd też wynikały owe zaniedbania ze strony Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, admiralicji i kontrahentów, którzy nie upewnili się wcale, czy flota rzeczywiście posiadała zapasy na trzy lata. Tak naprawdę mogło ich wystarczyć zaledwie na rok, co oznaczało, że pierwszy statek dostawczy, jakiego się spodziewano, nie dołączy na czas. A jakże mogli pracować owocnie, jeśli byli bez przerwy głodni?

Dwa miesiące wokół Sydney Cove, jak nazywano pierwsze miejsce zejścia na ląd, dowiodły jedynie tego, że ziemia ta była trudna do zagospodarowania, obojętna i

bezwzględnie okrutna. Wydawała się im ogromna, obca i nie do okiełznania. Człowiek mógł się tu od biedy jakoś utrzymać, lecz nigdy nie zdoła dobrze się tu urządzić. Tubylcy, w oczach Anglików skrajnie prymitywni, potwierdzali to, co obiecywała Nowa Południowa Walia - niedolę i cierpienia połączone z nędzą i ubóstwem.

Ostatni tydzień marca przyniósł koniec burz i dusznych, wilgotnych upałów. Ci, którzy mieli kapelusze, zamienili je w jankeskie nakrycia głowy przez ściągnięcie trójgraniastego ronda na dół, lecz Richard zachował kształt swego nakrycia głowy, pracował bowiem w swojej szopie i miał marynarski słomiany kapelusz, poza tym lubił być odpowiednio ubrany na niedzielne nabożeństwo. Zwyczaje bristolskie nie zamierały tak szybko.

Nabożeństwa odbywały się w różnych miejscach. Dwudziestego trzeciego marca - w trzecią rocznicę jego skazania i ogłoszenia wyroku w Gloucester - odbyło się ono w pobliżu obozu nieżonatych żołnierzy, na zboczu z szeregiem skalnych półek, z których zgromadzenie mogło zobaczyć i usłyszeć wielebnego Richarda Johnsona, jak zaklina ich w imieniu Boga, aby pohamowali swe bezwstydne żądze i wstępowali w związki małżeńskie.

Zdecydowawszy się na pewien krok, Richard chciał się pomodlić i uzyskać oświecenie, lecz kazanie w niczym mu nie pomogło. W zamian Bóg podsunął mu osobę Stephena Donovana, z którym przespacerował się dookoła zatoki, po kamieniach kładki, aż tam, gdzie kończyło się morze w pobliżu nowej farmy.

- To okropne, nieprawdaż? - zapytał Donovan, przerywając ciszę, kiedy usiedli, i opierając łokcie na zgiętych kolanach, na skale sterczącej pięć stóp powyżej spokojnie chlupoczącej wody. - Słyszałem, że wyrwanie jednego pnia z tego pola zajmuje sześciu mężczyznom cały tydzień, a gubernator zdecydował, że ziemię pod uprawę zboża trzeba tu będzie przekopać motyką, boi się bowiem użyć pługa.

- A to z kolei oznacza, że pewnego dnia nie będę miał nic do jedzenia - powiedział Richard, zdejmując swą najlepszą marynarkę i rozciągając się w cieniu drzewa. - Jakże skąpy jest tutaj cień.

- I jak ciężkie jest tu życie. A jednak - mówił Donovan, wrzucając zeschłe liście do wody - to wszystko kiedyś się poprawi. Tak jak w każdym nowym przedsięwzięciu, najgorsze jest zawsze pierwsze sześć miesięcy. Nie jestem pewien, dlaczego później wszystko zaczyna wyglądać o wiele znośniej. Być może przestaje być takie dziwne i obce. Kiedy Bóg zdecydował się na stworzenie tego zakątka świata, posłużył się zupełnie inną matrycą. - Zniżył głos i mówił cicho. - Tylko najsilniejsi przetrwają i ty będziesz jednym z nich.

- Och, może pan na to liczyć, panie Donovan. Jeśli przeżyłem „Ceres” i „Alexandra”, przetrwam i to. Ja nie rozpaczam. Brakowało mi jednak pana towarzystwa. Jak się ma „Alexander” i nasza droga, tłusta Esmeralda?

- Nie mam pojęcia, Richardzie, nie jestem bowiem już na „Alexandrze”. Rozstaliśmy się na dobre, kiedy przyłapałem Esmeraldę na otwieraniu wszystkich tobołków i paczek należących do więźniów i przechowywanych w jego ładowni. Chciał sprawdzić, co mógłby z tego sprzedać, żeby się wzbogacić.

- Łajdak.

- O tak, to cały Sinclair i jeszcze coś więcej. - Długie, szczupłe ciało wyciągnęło się i obróciło z rozkoszą. - Jest mi teraz o wiele wygodniej. No bo widzisz, zakochałem się.

Richard uśmiechnął się.

- A w kim, panie Donovan?

- Czy uwierzyłybyś, że w lokaju kapitana Huntera? W Johnnym Livingstonie. Ponieważ na „Siriusie” brakuje sześciu czy siedmiu marynarzy, złożyłem podanie, żeby się przyłączyć do jego załogi, i zostałem przyjęty. Być może kapitan Hunter kręcił nosem na tę aferę, ale nie ma zamiaru odsyłać marynarza z takim doświadczeniem jak moje. Otrzymuję więc odpowiednie racje żywnościowe i do tego zaznaję trochę miłości.

- Cieszę się - powiedział Richard szczerze. - Cieszę się również, że pana spotkałem akurat dzisiaj. W niedzielę nie muszę pracować, a to oznacza, że jestem do pańskiej dyspozycji. Potrzebuję też pańskich uszu.

- O, wystarczy, abyś rzekł tylko słowo, a będziesz miał więcej niż uszy.

- Dziękuję za propozycję, niech pan jednak me zapomina o Johnnym Livingstonie.

- Ta woda wygląda zachęcająco, chciałbym się w niej zanurzyć. Zrobiłbym to, gdyby nie fakt, że „Sirius” złapał niedawno rekina mającego sześć i pół stopy w obwodzie. I to w samym Port Jackson! - Zwinął surdut na poduszkę i położył się na wznak. - Nigdy nie zapytałem cię, Richardzie, czy nauczyłeś się pływać?

- Aha. Kiedy tylko zacząłem naśladować Wallace’a, wszystko stało się bardzo proste. Nawiasem mówiąc, Joey Long dostał szczeniaka po nim. Ujmujący maluch, szczury należą do jego przysmaków. Je lepiej od nas, choć nie kusi mnie, żeby się z nim zamienić na wikt.

- Widziałeś już kangura?

- Nawet nie śmignął ogonem pomiędzy drzewami. Nie wychodzę jednak z obozu, bo ostrzę nasze nieszczęsne piły i siekiery. - Richard wyprostował się. - Nie sądzę, aby na „Siriusie” znalazło się gdzieś antymonowe masło?

Gęste rzęsy uniosły się, a spod nich zabłyśły niebieskie oczy.

- Krowie masło to mamy, ale żadnego innego nie. A skąd ty wiesz o takich rzeczach jak smary antymonowe?

- Każdy dobry ustawiacz pił wie o takich rzeczach.

- Żaden z tych, których dotąd znałem, o czymś takim nie słyszał. - Powieki zamknęły się. - Cudowna niedziela. Z tobą, tutaj, na wolnym powietrzu. Zapytam o ten smar. Słyszałem również, że to drewno nie nadaje się do cięcia.

- Nadaje się, tyle tylko, że to wyjątkowo powolna robota. Tym wolniejsza, im gorsze są piły. Wszystko wydaje się nic niewarte. - Twarz Richarda spoważniała. - Wnioskuje też z tego, co Anglia o nas myśli. Są jednak pośród nas tacy jak ja, którzy dzięki tej świadomości są jeszcze bardziej zawzięci i uparci.

Donovan podniósł się.

- Obiecaj mi coś - powiedział, nakładając na głowę kapelusz. Chociaż bardzo rozczarowany tym nagłym odejściem, Richard udawał niewzruszonego.

- Co takiego? - zapytał.

- Wrócę tu za godzinę. Poczekaj na mnie. - Będę tu, ale przebiorę się w tym czasie. Za gorąco mi w niedzielnym ubraniu.

Richard powrócił przed Donovanem, ubrany jak większość więźniów po dwumiesięcznym pobycie w zatoce Sydney - w płócienne spodnie obcięte pod kolanami, boso i w lnianej koszuli w kratkę, tak wyblakłej, że wzór na niej był już delikatny jak cień cienia. Kiedy pojawił się Donovan, również był ubrany mniej oficjalnie i ugiął się pod ciężarem kosza na pomarańcze z Rio.

- Oto parę rzeczy, które mogą ci się przydać - powiedział, rzucając go na ziemię.

Richard poczuł mrowie na skórze i pobladł.

- Panie Donovan, nie mogę przyjąć własności „Siriusa”.

- Nic z tego nią nie jest lub raczej wszystko zostało uzyskane legalnie - odpowiedział Donovan zupełnie niewzruszony. - Choć przyznaję, że podwędziłem trochę rzeżuchy od kapitana Huntera. Hoduje ją na mokrych podkładach z szarpi. Zjemy zatem dobry obiad i jeszcze zostanie dla innych. Żołnierze nie zaczepiacie, jeśli odprowadzę cię do domu i sam poniosę ten koszyk. Kupiłem ekstrakt słodowy od naszego intendenta, jeszcze jeden marynarski kapelusz, parę mocnych, porządnych linek do łowienia ryb, haczyki, trochę korka na pławiki i kilka kawałków okrętowego ołowiu na ciężarki. Głównym jednak powodem, dla którego ten kosz jest taki ciężki - ciągnął dalej, grzebiąc w nim - są książki. Czy uwierzysz, że niektórzy żołnierze z Portsmouth wyszli na ląd i zostawili swe książki? O Chryste Panie! Aaa! - Wyciągnął mały garnczek. - Tu mamy masło do naszych bułek, świeżo upieczonych

dziś rano. I dzbanek cienkusa.

Drugim posiłkiem w jego życiu, który mógłby się z tym równać, był ów dostarczony przez Donovana po napełnieniu beczek na Teneryfie, ale nawet tamten bladł wobec smaku rzeżuchy - zielonej! Richard jadł łapczywie, podczas gdy Donovan przyglądał mu się, oddając mu zieleninę i masło, jak również większość bułek.

- Napisałeś już do domu, Richardzie? Richard rozkoszował się cienkusem.

- Nie mam na to ani czasu, ani... ochoty - odpowiedział. - Nie lubię Nowej Południowej Walii. Nikomu z nas się tu nie podoba. Zanim zacznę pisać listy, chciałbym mieć coś rzeczywiście radosnego do przekazania.

- No cóż, masz jeszcze trochę czasu. „Scarborough”, „Lady Penrhyn” i „Charlotte” odpływają w maju, ale do Cathay, ażeby zabrać ładunek herbaty. Z tego, co słyszę, „Alexander”, „Friendship”, „Prince of Wales” i „Borrowdale” płyną bezpośrednio do Anglii gdzieś w połowie czerwca, więc daj listy na któryś z nich. „Fishburn” i „Golden Grove” nie mogą odpłynąć, dopóki nie wzniosą zabezpieczonego przed złodziejami budynku, który mógłby pomieścić rum, wino i piwo, a nawet spirytus lekarski.

- A co z „Siriusem”? Słyszałem, że miał jak najszybciej powrócić do swej służby w marynarce wojennej.

Donovan skrzywił się.

- Gubernator nie pozwoli mu odpłynąć, dopóki się nie upewni, że osada będzie w stanie przetrwać. Ale żeby zatrzymywać tu jedynie „Supply” - ma już trzydzieści lat i do tego jest taki mały, brrr! Kapitan Hunter jednak wcale nie jest z tego zadowolony. Podobnie jak major Ross, kapitan Hunter uważa, że całe to przedsięwzięcie jest tylko stratą angielskiego czasu i pieniędzy.

Richard przełknął ostatni łyk cienkusa.

- Och, cóż to za uczta! Nie potrafię panu odpowiednio za nią podziękować. I bardzo się cieszę, że nie będzie pan odpływał tak pośpiesznie. - Richard skrzywił się i potrząsnął głową. - Nawet po cienkusu mam teraz zawroty głowy.

- Połóż się i prześpij trochę. Mamy przed sobą resztę dnia. Richard to właśnie uczynił. Gdy tylko przyłożył głowę do kopczyka z liści, momentalnie zasnął.

Zwinięty w pozycję obronną, jak zauważył Donovan, nie miał zamiaru spać. Być może dlatego, że był wolnym człowiekiem, i do tego marynarzem, który prawdziwie kochał morze, patrzył na Nową Południową Walię inaczej niż więzień Richard Morgan, nic bowiem nie powstrzymywało go od pobierania swych manatków i udania się gdzie indziej. Przyczyną tego, że teraz pragnął tu pozostać, była przede wszystkim obecność Richarda -

interesowały go nie tylko jego losy, ale i on sam. Niestety, ulokował swe uczucia w człowieku niezdolnym do ich odwzajemnienia, jednak nie była to tragedia o epickim rozmachu. Dowolnie wybrał swe seksualne preferencje, zanim jeszcze udał się na morze, żył w duchu optymizmu i zadowolenia, niefrasobliwie wdając się w kolejne afery i trzymając cały swój dobytek w torbach, aby w każdej chwili móc zmienić statek. Kiedy wkroczył na pokład „Alexandra”, nie przeczuwał, że Richard wkrótce zniszczy jego spokój ducha. Nie wiedział też, dlaczego jego serce wybrało właśnie Richarda. Po prostu tak się stało. Taka już była miłość. Nie mógł nad nią zapanować, była czymś przynależącym do duszy. Przeszedł przez pokład jak na skrzydłach, tak pewien swoich instynktów, że spodziewał się rozpoznania pokrewnego ducha. To, że go nie znalazł, było nieważne, bo po pierwszym spojrzeniu było już za późno, żeby się wycofać.

Ta obca ziemia również kusiła go do pozostania. Przyciągał go jej los. Biedni tubylcy skazani byli na zagładę i przeczuwali to. Właśnie dlatego zaczęli walczyć. Nie byli jednak ani tak doświadczeni, ani zorganizowani jak amerykańscy Indianie, których plemiona były jak całe narody i którzy rozumieli wojenną sztukę, sprzymierzając się z Francuzami przeciwko Anglikom lub z Anglikami przeciwko Francuzom. Ci tubylcy natomiast nie byli tak liczni i wyglądało na to, że prowadzili wojnę przeciwko pojedynczym, małym grupom - militarne przymierza nie leżały w ich naturze, która, jak podejrzewał Donovan, była bardzo uduchowiona. W przeciwieństwie do Richarda, mógł przysłuchiwać się tym, którzy mieli jakieś kontakty i układy z miejscową ludnością Nowej Południowej Walii. Gubernator miał do nich właściwy stosunek, jednak żołnierze go nie podzielali. Nie podzielali go również więźniowie, widzący w tubylcach jeszcze jednego wroga, którego należało się obawiać i nienawidzić. W pewnym sensie skazańcy byli pośrodku, jak kawałek żelaza pomiędzy młotem a kowadłem. Była to dobra analogia. Niekiedy ten kawałek metalu stawał się mieczem.

Kraj ten fascynował Donovana, choć - jak wszyscy pozostali - nie miał pojęcia, czy dałoby się go tak okiełznać, aby żyć tu na poziomie zbliżonym do angielskiego dobrobytu. Jednego był pewien - nigdy nie powstanie tu spokojne, wiejskie życie, gdzie człowiek uprawia parę małych poletek, a na kilku innych wypasa bydło i może dojść do miejscowej tawerny w ciągu półgodziny. Jeśli miejsce to zostanie kiedyś poskromione, odległości między osadami będą ogromne, a poczucie izolacji powszechne - do punktu, w którym stanie karczma, będzie tak daleko jak do krańców pokrewnej cywilizacji.

Podobało mu się to uczucie, może dlatego, że dużo obcował z ptakami, a tu było ich sporo. Szybują, krążą doskonale wolne. On przemierzał oceany, a one przestworza. A niebo

było tu takie jak nigdzie indziej - nieskończone i czyste. W nocy niebiosa rozpościerały morze gwiazd tak gęste, iż tworzyły mgliste obłoczki, pajęczynę zimnej i ognistej nieskończoności, która czyniła człowieka mniej znaczącym aniżeli kropla deszczu spadającego do oceanu. Uwielbiał tę swoją znikomość - pocieszała go, nie chciał mieć bowiem żadnego znaczenia.

Znaczenie redukowało świat do zabawki człowieka, co było źródłem nieszczęść. Richard szukał Boga w kościele, bo tak go wychowano, jednak Bóg Donovana nie dał się w ten sposób ograniczyć - On był tam w górze, pośród tego przepychu, a gwiazdy były Jego oddechem.

Richard obudził się, przespawszy dwie godziny, zwinięty w kłębek, nie poruszywszy się ani razu.

- Nie masz zegarka?

- Owszem, mam, ale trzymam go w swojej skrzynce. Wyjmę go stamtąd, gdy będę miał swój własny dom i kiedy ustaną kradzieże. - Wzrok jego zatrzymało nagłe pojawienie się ławicy małych rybek pokrytych czarnymi i białymi paskami, z żółtymi płetwami. - Nic nam nie powiedziano o wynikach wyprawy porucznika Kinga na wyspę Norfolk, wie pan coś o tym? - zapytał. Większość rozmów pomiędzy więźniami dotyczyła właśnie wyspy Norfolk, która nabrała powabu alternatywnego punktu docelowego, o wiele łaskawszego i bardziej żyznego niż Port Jackson.

- Słyszałem tylko tyle, że znalezienie odpowiedniego miejsca na przybicie do brzegu zajęło Kingowi aż pięć dni, po wielu wypadach na ląd. Nie ma tam miejsca na port - jest tylko laguna w obrębie rafy koralowej, zalewana przez przybrzeżne fale - i w końcu okazało się, że to jedyne miejsce, w którym można zejść na ląd. Część rafy jest na tyle zanurzona w wodzie, że da się tamtędy przepłynąć szalupą. Jednak Inu nie znalazł tam, sosen zaś, nawet jeśli nadawałyby się na maszty, nie dałoby się umieścić na statku, gdyż nie ma ich tam gdzie załadować, a one nie są splewne. Ziemia za to jest wyjątkowo żyzna i miękka. „Supply” odpłynął, zanim uzyskano dodatkowe informacje, lecz wkrótce ma tam powrócić. Wówczas dowiemy się czegoś więcej. Jest to mała wyspa - w sumie nie więcej niż dziesięć tysięcy akrów - z gęstym sosnowym lasem. Obawiam się, Richardzie, że Norfolk nie jest lepszym miejscem od Port Jackson.

- No cóż, to zrozumiałe. - Richard zawahał się, a potem postanowił zaryzykować. - Panie Donovan, mam pewien problem. Muszę o tym z kimś porozmawiać, a pan jest jedyną osobą, która może mi szczerze poradzić. Nie ma pan żadnych osobistych interesów, tak jak w przypadku moich ludzi.

- A zatem mów.

- Jeden z moich towarzyszy za dużo papla w magazynach rządowych. Furzer już się dowiedział, że Joey Long potrafi naprawiać buty. Zostanę zatem bez mojego domowego dozorca. Poprosiłem Furzera o tydzień odroczenia, dzięki wysiłkom Joeya mamy bowiem parę jarzyn wschodzących w naszym ogrodzie, a Furzer jest człowiekiem z którym można ubijać interesy. Dostałem tydzień odroczenia w zamian za udział w tym, co zdoła dojrzeć - powiedział Richard bez urazy.

- Jarzyny są równie dobrą walutą jak rum - skomentował sucho Donovan. - Mów dalej.

- Kiedy siedziałem w więzieniu w Gloucester, miałem układ z jedną z więźniarek, niejaką Elizabeth Lock, nazywaną Lizzie. W zamian za ochronę pilnowała moich rzeczy. Właśnie się dowiedziałem, że ona tu jest. Chcę się z nią ożenić, skoro nie istnieje żadna inna oficjalna forma uzyskania jej pomocy.

Donovan zdawał się zaskoczony.

- Jak na ciebie, Richardzie, brzmi to bardzo zimno, aż przykro. Nie sądziłem, że jesteś taki... - wzdrygnął się - obojętny.

- Wiem, że tak to zabrzmiało - odparł Richard zasmucony. - Nie widzę jednak innego rozwiązania naszych problemów. Miałem nadzieję, że któryś z moich ludzi będzie chciał się ożenić - większość odwiedza kobiety pomimo gróźb gubernatora - ale jak dotąd żaden z nich nie zamierza tego robić.

- Mówisz o przedmiotach martwych tym samym tonem co o legalnym związku na całe życie - tak jakby to pierwsze było tyle samo warte co drugie i nie było między nimi różnicy. Jesteś mężczyzną, Richardzie - i to mężczyzną dla kobiet. Dlaczego po prostu nie przyznasz się, że chciałbyś tę Lizzie Lock wziąć sobie za żonę? Że, jak większość innych mężczyzn, jesteś spragniony kobiecego towarzystwa? Mówiąc, że była pod twoją protekcją w więzieniu w Gloucester, z pewnością masz na myśli seks. Zastanawia mnie jednak ta twoja obojętność - szlachetna, lecz z niewłaściwych powodów.

- Nigdy nie łączył nas seks! - warknął ze złością Richard. - Wcale nie mówiłem o seksie! Lizzie była dla mnie jak siostra i nadal tak o niej myślę. Panicznie boi się poczęcia, więc nie chce również seksu.

Obejmując twarz rękoma, Donovan oparł się łokciami o kolana i patrzył na Richarda z konsternacją. „Co się z nim działo? Czy to z powodu nadużywania przyjemności? Nie! To subtelny człowiek, który osiąga swe cele, starając się być na właściwym miejscu we właściwym czasie, i wie, jak dotrzeć do ludzi, którzy mają nad nim władzę. Nie jest lizusem, jak większość ludzi w jego sytuacji, bo jest za dumny na to, żeby się przypochlebiać. Patrzą

na tajemnicę, lecz mam pewien pomysł!”

- Gdybym poznał historię twego życia, Richardzie, może mógłbym ci pomóc - powiedział. - Opowiedz mi ją, proszę.

- Nie mogę.

- Boisz się czegoś, ale nie chodzi o seks. Boisz się miłości. A czego tu się w miłości bać?

- Tam, gdzie już byłem - powiedział Richard, zaczerpując powietrza - nie chciałbym iść po raz wtóry, bo nie sądzę, abym zdołał to przeżyć. Mogę kochać Lizzie jak siostrę, a ciebie jak brata, ale dalej już się nie posunę. Pełnia miłości, jaką obdarzyłem swoją żonę i dzieci, jest święta.

- A oni pomarli.

- Tak.

- Jesteś jeszcze młody, a to jest nowe miejsce. Dlaczego nie zaczniesz od początku?

- Wszystko jest możliwe, ale nie z Lizzie Lock.

- Więc dlaczego chcesz się z nią żenić? - zapytał Donovan z błyskami w oczach.

- Ponieważ podejrzewam, że jest jej bardzo ciężko, a kocham ją po bratersku. Musi pan chyba wiedzieć, panie Donovan, że miłość nie ma nic wspólnego z oportunistą i nie da się jej sztucznie wywołać.

Słońce zachodziło już za skały po zachodniej stronie zatoczki i padały na nich długie, złote promienie. Stephen Donovan siedział i zastanawiał się nad dziwactwami ludzkiego serca. O tak, on miał rację. Miłość przychodziła niespodziewanie, a niekiedy bywała nawet nieproszonym gościem. Richard próbował odizolować się od niej, poślubiając siostrę, której było mu żal i której chciał pomóc.

- Jeśli poślubisz Lizzie Lock - powiedział w końcu - nie będziesz mógł poślubić nikogo innego. Pewnego dnia może się to okazać bardzo istotne.

- Więc radziłby mi pan tego nie robić?

- Aha.

- Zastanowię się nad tym - powiedział Richard, podnosząc się.

W poniedziałek rano Richard uzyskał od majora Rossa pozwolenie na spotkanie z wielebnym Johnsonem i poprosił go o zgodę na odwiedzenie Elizabeth Lock, więźniarki w obozie kobiecym, być może z intencją poproszenia jej, aby wyszła za niego za mąż.

Trzydziestokilkuletni pan Johnson był mężczyzną o okrągłej twarzy, pełnych ustach i nieco zniewieściałym wyglądem, odzianym starannie w episkopalską sutannę - białą,

wykrochmalona koloratka wyraźnie odznaczała się na tle czarnej, duchownej szaty, która trochę ukrywała jego okrągły brzuch, nie chciał bowiem wyglądać na zbyt dobrze odżywionego w tym miejscu pełnym głodnych ludzi. Jego jasne oczy płonęły zapałem, który kuzyn James duchowny nazywał jezuicko - mesjanistycznym, a w Nowej Południowej Walii odnalazł swoją misję - podnoszenie moralności, opieka nad chorymi i osieroconymi prowadzenie kościoła na swój własny sposób. Poza tym chciał zostać uznany za dobrodzieja ludzkości. Miał rzeczywiście dobre intencje, lecz jego zrozumienie sytuacji było niewielkie, a współczucie zarezerwowane jedynie dla zupełnie bezsilnych. Dorosłych więźniów uważał za całkowicie zdeprawowanych i zasadniczo niewartych ratowania. Jeśli bowiem nie byli zdeprawowani, to czemu byli skazańcami?

Dowiedziawszy się, że kuzyn Richarda - z pokolenia ojca - jest proboszczem w kościele St. James's w Bristolu, i zorientowawszy się, że Morgan to wykształcony, uprzejmy i najwidoczniej szczerzy człowiek, pan Johnson dał mu przepustkę i na wszelki wypadek poczynił przygotowania, aby Richard mógł poślubić Elizabeth Lock podczas następnego nabożeństwa, kiedy to wszyscy więźniowie przekonają się, jakim powodzeniem uwieczniona została jego polityka.

Zaraz po zachodzie słońca Richard wyszedł ze swego drewnianego szałas i udał się do obozu kobiecego, pokazał strażnikowi przepustkę i zapytał, gdzie znajdzie Elizabeth Lock. Strażnik nie miał pojęcia, lecz jakaś kobieta dźwigająca wiadro wody usłyszała go i wskazała namiot. Jak tu jednak zapukać do namiotu? Taktowanie podrapał w zamkniętą zasłonę.

- Jeśliś przystojny, to wchodzi!

Richard odsunął zasłonę i wszedł do brezentowej sypialni, która wygodnie pomieściłaby dziesięć kobiet, lecz mieszkało ich tam dwadzieścia. Dziesięć wąskich polowych łóżek ustawiono jedno przy drugim wzdłuż obu ścian namiotu, a przestrzeń pomiędzy nimi zaśmiecona była rozmaitymi rzeczami, począwszy od pudła na kapelusze, a skończywszy na kocicy karmiącej sześcioro kociąt. Posiliwszy się przy wspólnym ognisku na zewnątrz, mieszkanki namiotu leżały rozciągnięte na łóżkach w różnym stadium roznegliżowania. Wychudzone, wątłe i nieugięte. Wszystkie, co do jednej. Lizzie zajmowała łóżko, na którym znajdowało się pudło na kapelusze, co wydawało mu się oczywiste.

Zapadła absolutna cisza - dziewiętnaście par okrągłych oczu obejrzało go z uznaniem, gdy przeciskał się pomiędzy różnymi przedmiotami w kierunku pudła na kapelusze i drzemiącej Lizzie Lock.

- To ty już śpisz, Lizzie? - zapytał radosnym tonem.

Otworzyła oczy i spojrzała z niedowierzaniem na ukochaną twarz.

- Richard! Och, Richard. Kochanie ty moje! - Rzuciła się z łóżka i przywarła do niego z szalonym płaczem.

- Tylko żadnych łez, Lizzie - powiedział łagodnie, kiedy się uspokoiła. - Chodź, porozmawiajmy.

Na oczach wszystkich wyprowadził ją na zewnątrz, obejmując w pasie ramieniem.

- To już połowa szczęścia, Lizzie - rzuciła któraś z kobiet, niezbyt młoda.

- Nawet i ćwierć z tego by wystarczyło - dorzuciła jej towarzyska w zaawansowanej ciąży.

Przeszli się nad wodę do zatoki w pobliżu tymczasowej piekarni. Lizzie uczepliła się jego ramienia, jakby od tego zależało jej życie. Znalazł stos ociosanych bloków piaskowca, na których mogli usiąść.

- Jak tam było po naszym wyjeździe? - zapytał.

- Przez długi czas siedziałam w Gloucester, a potem wysłano mnie do londyńskiego Newgate - odpowiedziała, wzdrygając się. Zaczęło się robić chłodno, a ona miała jedynie skąpą, obszarpaną sukienkę z marynarskiej bluzy.

Richard ściągnął swój płócienny surdut i okrył nim wychudzone ramiona, przyglądając się jej uważnie. Jak teraz wyglądała, dwa lata po przekroczeniu trzydziestki? Tak, jakby były to dwa lata po czterdziestce, lecz czarne, paciorkowate oczy jeszcze nie dały za wygraną. Kiedy zarzuciła mu ręce na szyję, czekał na przyptyw miłości czy nawet pożądania, ale niczego nie poczuł. Niepokoił się o nią i było mu jej żal. Nic poza tym.

- Opowiedz mi o wszystkim - poprosił. - Chcę wiedzieć.

- Cieszę się, że nie zostałam długo w Londynie - tamtejsze więzienie to piekielna otchłań. Wysłano nas na pokład „Lady Penrhyn”, na którym nie było żadnych mężczyzn skazańców ani też żołnierzy, o których warto by mówić. Na statku było tak, jak jest teraz w namiocie - straszny ścisk. Niektóre kobiety miały dzieci. Niektóre były brzemiennie i urodziły na morzu. Większość niemowląt i dzieci zmarła - matki nie były w stanie ich wykarmić. Umarł chłopczyk mojej przyjaciółki Ann. Niektóre wpadły w czasie podróży i teraz są w ciąży.

Chwyliła go za ramię i potrząsnęła z gniewem. - Czy możesz to sobie wyobrazić, Richardzie? Nie dali nam żadnych szmat na nasze krwawienia, musiałyśmy drzeć własne ubrania - marynarskie bluzy, takie jak ta. Wszystko, co miałyśmy na sobie, kiedy weszłyśmy na pokład, schowano w ładowni, żeby było na teraz. W Rio de Janeiro gubernator wysłał nam sto konopnych worków na chleb do ubrania, ponieważ żadne kobiece rzeczy nie dotarły do Portsmouth przed wyruszeniem floty. Lepiej byłoby, gdyby wysłał nam sztuki najtańszego

materiału, igły, nici i nożyczki - powiedziała z goryczą. - Worki nie nadawały się na szmaty. Kiedy kradliśmy marynarzom koszule, karano nas chłostą albo obcinano włosy i golono głowy. Tym które się stawiały, knebłowano usta. Najgorszą karą było rozebranie do naga i wepchnięcie do beczki, z głową, rękami i nogami wystającymi na zewnątrz. Prałyśmy te szmaty tak długo, jak tylko się dało, ale krew w morskiej wodzie tężeje. Mogłam zarobić parę pensów, szyjąc i cerując dla lekarza i oficerów, ale wiele dziewczyn było tak biednych, że nie miało nic, więc dzieliłyśmy się tym, co miałyśmy.

Zadrżała pomimo surduta.

- Ale to nie było jeszcze najgorsze - ciągnęła przez zaciśnięte zęby. - Każdy mężczyzna na „Lady Penrhyn” patrzył na nas i mówił do nas tak, jakbyśmy były kurwami, niezależnie od tego, czy byłyśmy nimi czy też nie, a większość z nas nie była. Tak jakbyśmy według nich miały do zaoferowania jedynie nasze cipy.

- Tak myśli wielu mężczyzn - odpowiedział Richard ze ściśniętym gardłem.

- Zabrali nam dumę. Kiedy przyjechaliśmy tutaj, dano nam te marynarskie stroje i nasze własne ubrania z ładowni - jeśli któreś z nas je miały. Moje pudło na kapelusze też przynieśli. Czyż to nie cudowne? - zapytała z błyskiem w oku. - Kiedy przyszła pora na Ann Smith, Miller z intendentury zmierzył ją wzrokiem z góry na dół i powiedział, że nic nie zdoła poprawić jej niechlujnego wyglądu. Ann niczego nie miała, bo była bardzo biedna, ale rzuciła tę marynarską bluzę na pokład, wytarła sobie o nią nogi i oznajmiła, że może zachować sobie te zaszpane ubrania, bo ona będzie z dumą nosić to, co ma.

- Ann Smith - odezwał się Richard, ogarnięty gniewem, smutkiem i wstydem. - Uciekła wkrótce po przybyciu.

- Aha. I od tej pory nikt jej nie widział. Przysięgała, że ucieknie - najdziksze zwierzęta i Indianie nie byli jej straszni po „Lady Penrhyn” i Anglikach, mówiła. Bez względu na to, co z nią robili, pozostawała nieugięta. Inne też nie chciały się płaszczyć i znieważano je. Kiedy kapitan Sever zagroził Mary Gamble chłostą - zaraz potem, jak weszliśmy na pokład - powiedziała mu, żeby ją w pizdę pocałował, bo tak naprawdę chce ją dupczyć, a nie wychłostać. - Westchnęła i przytuliła się do niego. - Miałyśmy więc parę zwycięstw i to dodawało nam siły. To my jesteśmy jak te Samsony, więc zawsze to kobiety były żądne mężczyzn i włamywały się przez przepierzenie do marynarzy! Nigdy nie robili tego mężczyźni, nigdy się nie włamywali i nie pożąдали, takie z nich świętoszki! Ale to już nieważne. Nieważne. Tamto minęło i jestem teraz na twardym lądzie, i ty też, kochany Richardzie. O nic więcej się nie modliłam.

- Czy mężczyźni chodzili za tobą, Lizzie?

- Nie! Nie jestem ani na tyle ładna, ani już taka młoda, a poza tym chudnę w miejscach, gdzie i tak nigdy nie miałam za wiele - w cyckach! Mężczyźni wolą grube dziewczyny, a poza tym było ich tam niewielu. Tylko marynarze i sześciu żołnierzy. Trzymałam się z dala od innych, z wyjątkiem Ann.

- Ann Smith?

- Nie, Ann Colpitts. Śpi na łóżku obok mnie. To ta, która straciła synka na morzu.

Zapadał zmrok. Trzeba było już iść. „Dlaczego tak się stało? Cóż te biedne stworzenia mogły takiego uczynić, żeby zasłużyć sobie na taką pogardę? Takie poniżenie? Takie cierpienia, które pozbawiły ich nawet własnej dumy? Dano im worki zamiast ubrań, które zniszczyły, aby uzyskać szmaty. Jakże ci kontrahenci mogli zapomnieć, że kobiety krwawią i potrzebują szmat? Można umrzeć ze wstydu...

Biedaczka, niemłoda już i nie na tyle ładna, żeby przyciągnąć nasycone oko - jakże musiało być dobrze tym marynarzom! I jaki los czeka Lizzie tutaj, gdzie sytuacja niczym się nie różni od tej na pokładzie „Lady Penrhyn” poza tym, że ziemia nie rusza się człowiekowi pod nogami? Nie kocham jej i nie pożądam, mogę jednak zagwarantować jej jakąś pozycję pośród starych przyjaciół. Stephen powiedziałby pewnie, że bawię się w Pana Boga lub nawet że zachowuję się protekcyjnie, ale to nie ma znaczenia. Chcę zrobić jak najlepiej, choć nie mam pewności, czy postępuję właściwie. Wiem tylko, że jestem jej dłużnikiem. Opiekowała się mną”.

- Lizzie - odezwał się. - Chciałabyś zawrzeć ze mną taki sam układ jak w Gloucester? Ochronę w zamian za opiekę nade mną i moimi ludźmi?

- O tak! - wykrzyknęła rozpromieniona. - Oznacza to, że musisz wyjść za mnie za mąż, bo nie oddadzą jej ciebie w żaden inny sposób.

Zawahała się.

- Czy ty mnie kochasz, Richardzie? - spytała. Zawahał się.

- Na swój sposób - odpowiedział wolno. - Na swój sposób Ale jeśli chcesz być kochana tak jak mąż kocha żonę, to lepiej będzie powiedzieć, że nie.

Zawsze wiedziała, że go nie pociąga, i szanowała go za jego szczerość. Po zejściu na ląd nadaremnie szukała go pośród mężczyzn oblegających obóz kobiety, szpiegowała, aby się upewnić, czy któraś z kobiet nie chwali się, że spała z Richardem Morganem. I nic. Doszła zatem do wniosku, że nie było go wśród mężczyzn wysłanych do zatoki Botany. A tu nagle on prosi ją, żeby wyszła za niego za mąż! Nie dlatego, że ją kocha lub jej pożąda. Dlatego, że potrzebował jej pomocy. Czy było mu jej żal? Nie, tego by nie zniosła! Po prostu była mu potrzebna - to mogła zaakceptować.

- Wyjdę za ciebie - oświadczyła. - Ale pod pewnymi warunkami.

- Wymień je.

- Pod warunkiem, że ludzie nie dowiedzą się, jak się mają sprawy między nami. To nie więzienie w Gloucester i nie chcę, żeby twoi ludzie... twoi ludzie myśleli, że czegoś mi brakuje.

- Moi towarzysze nie będą cię prześladować - powiedział, rozluźniając się. - Znasz ich. To albo starzy przyjaciele, albo ci, którzy przyszli na krótko, zanim wysłano nas na „Ceres”.

- Bill Whiting? Jimmy Price? Joey Long?

- Aha. Ale już nie Ike Rogers ani Willy Wilton. Zmarli podczas podróży.

I tak oto trzydziestego marca 1788 roku Richard Morgan poślubił Elizabeth Lock. Bill Whiting stał radośnie oszołomiony jako jego świadek, a Ann Colpitts była świadkiem ze strony Lizzie.

Kiedy Richard podpisywał rejestr kapelana, z przerażeniem zorientował się, że nieomal zapomniał, jak się to robi.

Na twarzy wielebnego Johnsona malował się wyraz dezaprobaty dla tego związku - uważał, że Richard żeni się poniżej swego stanu. Lizzie przysłała w sukni, którą zachowała od czasu wejścia do więzienia w Gloucester - sukni o obszernej, błyszczącej spódnicy w czarne i szkarłatne paski, w boa z czerwonych piór, w czarnych aksamitnych pantoflach na wysokich obcasach zapinanych na klamrę ze sztucznych diamentów, a do tego w białych pończochach z czarnym szlaczkiem na boku, ze szkarłatną koronkową torebką i w bajecznym kapeluszu od pana Thistlethwaite'a. Wyglądała jak ładaczka, która chce sprawić wrażenie szacownej kobiety.

Richarda opanowała nagle, dzika ochota zranienia kogoś, pochylił się więc i zaczął szeptać do ucha wielebnego.

- Nie ma potrzeby się zamartwiać - szepnął, mrużąc porozumiewawczo oko do Stephena Donovana ponad ramieniem pana Johnsona. - Po prostu biorę sobie służącą. Jakie to sprytne z pana strony, wielebny, że pomyślał pan o małżeństwie. Jeśli się je poślubi, nie mogą już uciec.

Kapelan wycofał się tak prędko, że nadepnął na stopę swojej żony, ona krzyknęła, on zaś zaczął ją nadmiernie przeproszać i w ten sposób zdołali odejść z mniej więcej nienaruszoną godnością.

- Świetnie dobrana para - zauważył Stephen Donovan za ich plecami. - Z równym

zapalę mozolą się na chwałę Bożą. - A potem zwrócił swe roześmiane oczy na Lizzie, porwał ją w objęcia i obcałował. - Nazywam się Stephen Donovan, jestem zdolnym marynarzem z „Siriusa”, pani Morgan - przedstawił się, kłaniając się zamasyżując swym odświętym trój graniastym kapeluszem. - Życzę wam wszystkiego najlepszego. - Po czym uściskał rękę Richardowi.

- Nie mamy wprawdzie uczyty weselnej - powiedział Richard - ale będzie nam miło, jeśli się pan do nas przyłączy, panie Donovan.

- Nie, dziękuję. Za godzinę zaczynam wachtę. Mam tu taki mały prezent - powiedział, wciskając w rękę Richarda paczkę, i odszedł, przesyłając całusy w stronę grupy gapiących się kobiet.

Paczka zawierała antymonowy smar i bogato obszyty frędzlami szal.

- Skąd on mógł wiedzieć, że ja tak kocham czerwień? - spytała Lizzie, pomrukując z radości.

- Skąd? - Richard zaśmiał się i pokręcił głową. - Ten człowiek widzi przez żelazne drzwi, Lizzie, ale możesz mu zaufać.

W maju gubernator zlokalizował kawałek względnie dobrej ziemi jakieś piętnaście mil na zachód w głąb lądu i postanowił przenieść niektórych więźniów na to miejsce, zwieńczone pagórkami Rose Hill - nazwanym tak na cześć jego patrona, sir George'a Rose'a - aby je dobrze oczyścili i przygotowali grunt pod zasiew zboża i kukurydzy W zatoce Sydney nadal miano podejmować próby uprawy jęczmienia Z dołów trackich nadchodziło bardzo niewiele drewna, lecz pewne ilości palmowych pali przywożono z zatoczek położonych bliżej czołowych bastionów. Te okrągłe, względnie proste pnie były kruche i prędko gniły, dlatego łatwo je było ciąć i uszczelniać gliną, więc większość budowli wykonywano z palmowych pni pokrytych dachem z sitowia i liści palmowych. Gonty z kazuaryny suszono i przechowywano do wznoszenia ważniejszych obiektów, poczynając od domu gubernatora.

Cegły na zaczątek tej budowli zostały rozładowane, a położone niedaleko pole doskonałej ceglanej gliny już było eksploatowane - produkcja cegieł posuwała się na tyle szybko, na ile można było maksymalnie wykorzystać dwanaście ceglanych form kładzionych na desce. Budowa z cegły lub wspaniałego miejscowego żółtego piaskowca była jednak na razie niemożliwa, bo nikt jeszcze nie odkrył ani śladu skał wapiennych. Nigdzie! To wydawało się niemożliwe! Wapień był jak ziemia - tak powszechnie obecny, że nikt w Londynie nawet o tym nie pomyślał. Ale jak można bez niego przygotować cement w celu połączenia tych cegieł lub bloków piaskowca?

Potrzeba jest jednak matką wynalazków. Wysłano okrętowe łodzie do zbierania muszli po ostrygach, porzucanych na plażach wokół Port Jackson i na skalnych rafach, co było trudnym zadaniem. Tubylcy mieli słabość do ostryg - bardzo zresztą smacznych, jak orzekli starsi oficerowie - i zostawiali stosy muszli niczym miniaturowe składy żużla. Skoro nie było innego rozwiązania, gubernator kazał palić muszle po ostrygach celem uzyskania wapna na cement. Okazało się, że potrzeba trzydzieści tysięcy pustych muszli do wyprodukowania cementu wystarczającego na położenie pięciu tysięcy cegieł - liczby wystarczającej na mały domek - toteż w miarę upływu czasu wyprawy w poszukiwaniu tego jedyne źródła wapna objęły obszar od zatoki Botany oraz Port Hacking na południu, po nieomal sto mil na północ od Port Jackson. Miliony pustych muszli po ostrygach, spalonych i zmielonych na pył, połączyły cegły i kamienne bloki pierwszych solidnych budynków w zatoce Sydney.

Nieomal u wszystkich można było zaobserwować wczesne objawy szkorbutu, włącznie z marynarzami, którym zaczęto obcinać racje, aby oszczędzić resztki mąki, jakie jeszcze pozostały w magazynach. Więźniowie żuli trawę i wszelkie rodzaje delikatnych liści, które nie posiadały aromatycznej żywicy. Jeśli im nie szkodziły, jedli ich więcej, a gdy zaczęli je zwracać lub skręcali się po nich z bólu - unikali ich, cóż bowiem mieli robić? Mając czas i zbrojną ochronę, aby móc wyprawić się w głąb lądu, starsi rangą wolni ludzie zebrali znikomą ilość nadających się do jedzenia warzyw. Był wśród nich koper morski - mięsista roślina rosnąca na słonych bagnach zatoki Botany, dzika pietruszka i liście winorośli, które zaparzone w gorącej wodzie dawały słodką, smaczną herbatę.

Bez względu na to, ilu z nich wyganiano w kajdanach pod skałę Grających marsza kiszek, ilu chłostano czy nawet wieszano, nadal zdarzały się kradzieże żywności. Każdy, kto posiadał jakieś dorodne warzywa, tracił je, gdy osłabła jego czujność. Ale grupa Richarda mogła być spokojna - mieli bowiem MacGregora, wspaniałego psa stróżującego w nocy i Lizzie Morgan pilnującą w ciągu dnia.

Liczba zgonów alarmująco wzrastała zarówno pośród ludzi wolnych, jak i więźniów, włącznie z kobietami i dziećmi. Paru więźniów uciekło i nigdy już ich nie zobaczono. Zdarzały się wypadki wyczerpania, ale niezbyt dużo. W zatoce Sydney tysiąc osób nadal utrzymywało się z rządowych racji. Szkorbut i głód znacznie zwalniały tempo pracy, nie mówiąc już o tym, że istniała grupa więźniów i żołnierzy, którzy z zasady nie zamierzali pracować. Przy takim gubernatorze jak Arthur Phillip nie zmuszano ich do pracy biciem - zawsze łatwo było znaleźć jakiś wykręt.

W maju pojawiły się pierwsze przymrozki - oznaka nadchodzącej zimy, na tyle ostrej,

by zniszczyć wszystko w ogrodzie. Lizzie patrzyła na swoje grządki i płakała, a następnie odeszła niebezpiecznie daleko od obozu w poszukiwaniu czegokolwiek zielonego, co nadawałoby się do zjedzenia. Kiedy jednakże przyniesiono do obozu dwa nagie ciała więźniów zabitych przez tubylców, Richard zakazał jej opuszczać obszar zatoki. Mieli jeszcze kiszoną kapustę i będą ją jedli. Jeśli reszta świata wolała szkorbut, to trudno.

Czwartego czerwca obchodzono urodziny króla, a zatem była okazja do świętowania. Być może była to też okazja dla gubernatora Phillipa, aby tchnąć trochę otuchy w to pomniejszające się, apatyczne stadko. Huczały armaty, żołnierze maszerowali, wydano trochę dodatkowej żywności, a po zachodzie słońca rozpalono ogromne ognisko. Więźniom dano trzy dni wolne od pracy, lecz pół kwaterki rumu - rozcieńczonego do grogu przez dodanie doń kolejnej pół kwaterki wody - okazało się o wiele ważniejsze. Ludzie wolni otrzymali pół kwaterki czystego rumu i kwaterkę portera - gęstego, czarnego piwa. Aby upamiętnić tę uroczystość, jego ekscelencja gubernator określił granice pierwszego hrabstwa w Nowej Południowej Walii i nazwał hrabstwem Cumberland.

- Uff! - dał się słyszeć głos naczelnego lekarza White'a. - To bez wątpienia największe hrabstwo na świecie, tylko że nic w nim nie ma. Uff!

Oświadczenie to było niezupełnie prawdziwe. Gdzieś na terenie hrabstwa Cumberland przebywały cztery krowy z przyładka i jeden byk. Cenne rządowe stadko bydła, pasące się w pobliżu farmy pod opieką któregoś z więźniów, wykorzystało jego nieuwagę spowodowaną wypitym rumem, zadarło ogony i wydostało się poza ogrodzenie. Rozpoczęto gorączkowe poszukiwania i odnajdywano ich ślady w postaci przeżutych liści i obgryzionych krzaków, lecz najwyraźniej nie zamierzały dać się złapać. Cóż to było za nieszczęście!

„Supply” powrócił ze swojej kolejnej wyprawy na wyspę Norfolk przywożąc i dobre, i złe wieści. W związku z brakiem odpowiedniego miejsca do zakotwiczenia, nie udało się załadować na statek pni sosnowych, a nie można ich było holować, bo były takie ciężkie, że tonęły; mogły jednak dostarczyć mnóstwo ciętych belek, legarów i desek dla Port Jackson. Oznaczało to, że w Port Jackson można by wznosić lepsze drewniane budynki od tych palmowych szałasów i skoncentrować się na budowie kamiennego magazynu na alkohol. „Fishburn” i „Golden Grove” nie mogły nigdzie się ruszyć, dopóki na lądzie nie powstaną bezpieczne pomieszczenia do przechowywania trunków.

Z drugiej zaś strony, „Supply” poinformował ich, że uprawa plonów na wyspie Norfolk okazała się nieomal niemożliwa, ponieważ żyły tam miliony gąsienic i robaków. Zdesperowany porucznik King kazał siedzieć paru kobietom pomiędzy grządkami i wybierać robaki, ale bez względu na to, jak szybko to robiły, każdą z zebranych gąsienic zastępowały

dwie następne. Tak żyzna i głęboka była to ziemia! - a mimo to nie można było jej uprawiać. Krążyły jednak plotki, że te komunikaty świadczą o nie słabnym entuzjazmie dla wyspy Norfolk. Pomimo mnogości szkodników uważano, że istniały większe szanse na utrzymanie ludzi tam aniżeli w okolicach Port Jackson.

Oprócz schorowanych istniały też grupy zdrowych więźniów, w większości dowodzone przez zaradnych ludzi, którzy umieli zadbać o zdrowie swoich towarzyszy. Niektórym grupom przewodzili jednak ludzie o całkiem przeciwnych zdolnościach - do rabowania słabszych od siebie. Nie było przepisów nakazujących więźniom, którzy natrafili na kępki dzikiej pietruszki lub słodkiej herbaty (koper morski rósł za daleko), oddawanie swych znalezisk dowodzącym. Głównym powodem ograniczania wypraw w celu poszukiwania roślin był strach przed tubylcami, którzy stawali się coraz śmielsi i od czasu do czasu wchodzili nawet do obozu. Gubernator miał nadzieję, że uda się paru złapać i zaznajomić ich z językiem angielskim i europejskim stylem życia i w ten sposób, zwracając ich już zanglicyzowanych, zdoła przekonać tych nieszczęsnych ludzi, aby zjednoczyli z nimi wysiłki. Był przekonany, że to polepszyłyby standard życia rdzennych mieszkańców. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że być może oni woleli swój własny tryb życia - no bo dlaczego miałyby tak być, skoro warunki, w których żyli, były tak prymitywne?

Anglikom tubylcy wydawali się brzydcy i o wiele mniej sympatyczni aniżeli afrykańscy Murzyni, ponieważ śmierdzeli i smarowali się białą gliną, jak również okaleczali własne twarze albo przez wybijanie sobie siekaczy, albo przez przebijanie chrząstek w nosie kawałkiem kości. Ich bezwstydną nagość obrażała poczucie przyzwoitości, podobnie jak zachowanie ich kobiet, które czasami kokietowały bezczelnie, a innym znów razem wrzeszczały i złorzeczyły.

Tak bardzo się od nich różnili, że nie było szans na porozumienie, a delikatność nie była wówczas regułą postępowania. Zasypany upomnieniami gubernatora, aby traktować tubylców w rękawiczkach, więźniowie zaczęli nienawidzić tych nieudolnych dzikusów, zwłaszcza gdy bezkarnie kradli ryby, warzywa lub narzędzia. Sytuację pogarszało to, że gubernator zawsze obwinał więźniów za sporadyczne ataki i morderstwa, nawet jeśli nie było świadków, zakładał bowiem, że to oni musieli uczynić coś, co spowodowało tubylców. Więźniowie natomiast twierdzili, że gubernator stanąłby i po stronie samego szatana w sprawie, w którą wmieszany byłby jakiś więzień, bo jego zdaniem stanowili oni jeszcze niższą formę życia od tubylców. Te pierwsze miesiące w zatoce Sydney ukształtowały relacje, które utrzymywały się długo w przyszłości.

Zima była ostra, lecz nieszczególnie dokuczliwa; nikt nie zamarzył na śmierć. Gdyby wszyscy byli odpowiednio żywni, pewnie nie trzęsiliby się tak z zimna. Jedzenie rozgrzewało. Paru właściciele chat zbudowali sobie kominy z bloków piaskowca bez użycia cementu, zamieniając wkrótce swoje schronienia w kupkę popiołu, dlatego gubernator wydał zarządzenie zakazujące stawiania kominów, chyba że w domach z cegieł lub z kamieni. Spaliła się też kuźnia, lecz na szczęście zniszczalne przed mioty, takie jak miech, zostały uratowane, podobnie jak reszta narzędzi. W efekcie kuźnia znalazła się na początku listy budynków koniecznych do postawienia w najbliższym czasie, podobnie jak piekarnia - jedna ogólna, a druga zajmująca się wypiekiem chleba dla „Siriusa” i „Supply”

Ned Pugh z więzienia w Gloucester przedstawił swoją historię starym towarzyszom. Został wysłany na „Friendshipa” wraz z żoną i małą córeczką, zaledwie dwuletnią, kiedy wylądowali w Nowej Południowej Walii. W ciągu trzech tygodni Bess wraz z dzieckiem zmarła na dyzenterię. Ned był tak zrozpaczony, że Hannah Smith - więźniarka która zaprzyjaźniła się z Bess pomiędzy Rio de Janeiro i Kapsztadem - postanowiła się nim zaopiekować. Miała osiemnastomiesięcznego synka, który zmarł w zatoce Sydney szóstego czerwca. Dziewięć dni później pobrali się. Oprócz tego, że brakowało im żywności, powodziło im się nieźle. Ned był z zawodu stolarzem i do tego dobrym pracownikiem. Dziecko było już w drodze i obydwójce przyszłych rodziców postanowiło za wszelką cenę je ocalić.

Maisie Harding, wesoła ofiarodawczyni swych względów w więzieniu w Gloucester, nie została zesłana, choć zamiast stryczka dostała wyrok czternastu lat w zawieszeniu i nikt nie wiedział, co się z nią stało. Berty Mason natomiast przyplęnęła na „Friendshipa”, ponownie w ciąży ze swoim dozorcą z Gloucester. Jej mały synek zmarł na morzu w okolicy Kapsztadu i to przykre doświadczenie w połączeniu z tęsknotą za dozorcą Johnnym nadwreżyło jej siły psychiczne - stała się zgorzkniała i twarda, i była jedną z tych, które niekiedy chłostano za kradzież męskich koszul. Lizzie Morgan uparcie jednak twierdziła, że to inna więźniarka miała z nią na pieńku i mściła się na niej.

W chacie Richarda wszystko dobrze by się układało, gdyby nie panujący tam nieustanny głód. Przynajmniej połowa mężczyzn dobrze знаła Lizzie, więc zaakceptowali ją w swym gronie jak siostrę. Jedyńm, którego nie udało jej się oczarować, był Taffy Edmunds; jego mizoginistyczne skłonności jeszcze się spotęgowały. Nie chciał, żeby ktoś się koło niego krzątał czy paplał mu nad uchem - sam sobie prał i cerował ubranie, a ożywiał się jedynie w niedzielne wieczory, kiedy grupa zapalała ognisko na zewnątrz obok leżącego odłogiem

ogrodu i mógł śpiewać z Richardem.

Richard i Lizzie mieli własny mały pokój, specjalnie dla nich dobudowany, choć spali osobno nawet w najzimniejsze noce. Niekiedy Lizzie zastanawiała się, czy może spróbować zbliżyć się do niego, lecz nigdy tego nie zrobiła. Za bardzo obawiała się odrzucenia i wolała nie sprawdzać temperatury jego uczuć i żądz. Podobno mężczyźni ogromnie cierpieli z powodu seksualnej abstynencji, lecz akurat w tej dziesiątce było trzech, którzy zdawali się temu zaprzeczać - Joey Long, Taffy Edmunds i jej mąż. Rozmawiając z innymi kobietami w miejscu, gdzie razem prały, dowiedziała się, że Joey, Taffy i Richard nie byli bynajmniej odmieńcami. Z pewnością istnieli tacy mężczyźni, którzy woleli mężczyzn, ale tu i ówdzie byli i tacy, co woleli zostać mnichami, którzy unikali seksualnego pocieszenia - nawet, jak podejrzewała, masturbacji. Jeśli Richard masturbował się, robił to wyjątkowo cicho i nie poruszał się przy tym. Bała się do niego zbliżyć, za bardzo się bała, aby próbować czegokolwiek, za co mógłby ją odprawić.

Życie nie obracało się jednak wyłącznie wokół żywności lub jej braku i zdarzały się również dobre momenty. Pomimo dwóch trzecich racji wydawanych matkom - zarówno więźniarkom, jak i żonom żołnierzy - i połowie przydziałów przysługujących im samym, dzieci, które udało się wychować, bawiły się, krzyczały i psociły. Wielebny pan Johnson bezskutecznie próbował zamknąć je w szkole i uczyć czytania, pisania czy arytmetyki - tylko sieroty musiały robić to, co im kazał. Pośród więźniów i żołnierzy toczyło się życie rodzinne, częstokroć nawet bardzo szczęśliwe. Zemsty i kłótnie również się zdarzały, zwłaszcza między kobietami, które potrafiły prowadzić wojny, jakich nie powstydziliby się żaden Sardyńczyk. Nie dały się zastraszyć i biegle pyskowały bluźnierczym językiem, toteż chłostano je częściej niż mężczyzn. I bynajmniej nie za kradzież żywności. One kradły tylko męskie koszule.

Richard nie widywał już Stephena Donovana. Od trzydziestego marca usunął się na bok, mając nadzieję - jak domyślał się Richard - że małżeństwo to naprawdę rozkwitnie. Och, jakże mu brakowało Stephena! Brakowało mu tej swobodnej przyjaźni, błyskotliwych rozmów, dyskusji na temat książek, które jeden już znał, a drugi właśnie czytał. Pani Richardowa Morgan nie mogła mu tego zastąpić. Cenił jej lojalność, pracowitość, prostotę i pogodę ducha - cechy, które wzbudziły w nim chęć opiekowania się nią. Jednakże kochać jej jak żony naprawdę nie potrafił.

Pierwsze transportowce i okręty aprowizacyjne odplynęły w maju, a „Alexander”, „Friendship”, „Prince of Wales” i „Borrowdale” miały wyruszyć w połowie lipca.

A zatem na początku lipca, kiedy para więźniów - Henry Cable i Susannah Holmes z

Norfolk - zaskarżyła kapitana Duncana Sinclaira o kradzież większości ich dobytku, więźniowie, którzy przyплыnęli na „Alexandrze”, nie posiadali się z radości, chociaż wiedzieli, że Sinclair z pewnością wygra sprawę. Cable zakochał się w Susannah w więzieniu w Yarmouth i Susannah urodziła mu syna. Kiedy jednak wysłano ją na okręt więzienny „Dunkirk” w Plymouth, nie pozwolono jej zabrać ze sobą dziecka. Ten brak litości ze strony Londynu wywołał oburzenie w całym Yarmouth, w wyniku czego wysłano do lorda Sydneya petycję. Kiedy Cable podążył za Susannah na pokład „Dunkirka” przywiózł dziecko ze sobą. Ich losy wzruszyły wiele serc w Yarmouth więc życzliwi ludzie zaszyli w brezentowe płótna sporo ubrań i parę książek i wysłali je na pokład „Alexandra”, chociaż rodzina Cable płynęła na „Friendship”. W zatoce Sydney Sinclair zwrócił im jedynie książki, ubrań nie dało się odnaleźć.

Ponieważ była to sprawa cywilna, składowi sędziów przewodniczył asesor sądu wojskowego, kapitan wojskowy David Collins, w towarzystwie lekarza naczelnego Johna White’a i wielebnego pana Johnsona. Sinclair utrzymywał, że paczka rozleciała się w trakcie przesuwania jej z jednego kąta do drugiego i wypadły z niej książki, które potem trzymano osobno. Co się potem stało z samą paczką - nie miał pojęcia. Sąd orzekł na korzyść państwa Cable, którym wielebny Johnson udzielił ślubu zaraz po zejściu na ląd. Wartość książek została wyceniona na pięć funtów z dwudziestu funtów całkowitej wartości paczki i kapitanowi kazano wypłacić im piętnaście funtów odszkodowania.

- Nie zapłacę! - wykrzyknął Sinclair z wściekłością. - To oni powinni zapłacić mi piętnaście funtów! Sami winni za przewóz tej nieszczęsnej paczki!

- Niech pan zapłaci - powiedział asesor Collins ze znużeniem - i przestanie marnować cenny czas tego sądu. Pański statek był na usługach rządu i został pan odpowiednio wynagrodzony za przewóz tych ludzi i niewielkiego majątku, jaki posiadają. A zatem piętnaście funtów, proszę pana, i żadnych wykrętów.

Werdykt ten uświadomił więźniom z „Alexandra”, że ci wyżej postawieni wiedzieli, że Sinclair sprzedawał dobytek więźniów w zatoce Sydney.

Wydarzenie to miało jedną ciekawą konsekwencję. Dwa dni po rozprawie sądowej major Ross posłał po Richarda, aby stawił się w jego szafasie z pni palmowych - pośpiesznie budowano dla niego kamienny dom, bo jego kwatera nie była godna zastępcy gubernatora. Jego dziewięcioletni syn, John, również zszedł z „Siriusa” na ląd i mieszkał teraz razem z nim. Matka dziecka oraz młodsi bracia i siostry pozostali w Anglii - Major był w doskonałym humorze i uśmiechał się od ucha do ucha.

- A, Morgan! Słyszałeś, że kapitan Sinclair przegrał sprawę?

- Owszem, panie majorze - odparł Richard, odwzajemniając ostrożny uśmiech.

- Weź, oto twoja własność - powiedział Ross. - Pojawiło się to ni stąd, ni zowąd w ładowni „Alexandra”. Najpierw jednak sprawdź, czy czegoś tam nie brakuje.

Na obozowym stołku stała jego duża drewniana skrzynka na narzędzia, pozbawiona płóciennych osłon - gdyby nie ciągle jeszcze widniejąca na niej mosiężna tabliczka z jego nazwiskiem, któż by ją kiedykolwiek odnalazł? Gdy zobaczył, że zamki zostały wyłamane, ścisnęło mu się serce. Kiedy jednak otworzył skrzynię i usunął wszystkie spoczywające w niej tace, okazało się, że niczego nie brakuje.

- A niech mnie piorun trzaśnie! - wykrzyknął major, przyglądając się jej zawartości. - Z ciebie żaden szlifierz pił, Morgan. Ty jesteś rusznikarzem!

Wszystko było w doskonałym porządku. Senhor Tomas Habitas musiał osobiście spakować tę skrzynkę, zawierała bowiem całe zamki skałkowe, ich części, śrubki, sworznie, mosiężne i miedziane okucia, sztyfty, sprężynki i różne płyny - oraz tłuszcz wielorybi! - i specjalne pędzle. O wiele więcej, aniżeli kiedykolwiek nosił ze sobą do pracy. Nic się nie poruszyło i nie złamało - wszystko było tak ciasno upakowane w szarpie, że nawet pluskwa nie wślizgnęłaby się do środka. Z tym, co tu znalazł, mógłby wykonać nawet strzelbę, gdyby miał nie ukończone łożysko oraz wykutą lufę i zamek.

- Owszem, jestem mistrzem rusznikarskim - przyznał się Richard przepraszającym tonem. - Jednakże, panie majorze, jestem również wykwalifikowanym szlifierzem pił. Mój brat w Bristolu jest traczem i zawsze ostrzyłem mu piły.

- Ukrywałeś to swoje rusznikarstwo.

- Jako skazany przestępca, majorze Ross, myślałem, że rozgłaszanie umiejętności obchodzenia się z bronią nie byłoby roztropne.

- A pierdol to! - wykrzyknął major uradowany. - Możesz się zająć gruntownym przeglądem wszystkich muszkietów, pistoletów i strzelb myśliwskich, jakie są w całym obozie. Każę natychmiast wybudować kontrolną strzelnicę - biega tu zbyt dużo dzieci, żeby wystarczyło ustawić butelki na pieńkach drzew. Jak sobie radzi twój praktykant z ostrzeniem pił?

- Jest w tym równie dobry jak ja, panie majorze.

- W takim razie niech on teraz ostrzy piły, a ty pracuj przy broni.

- Aby pracować przy strzelbach, panie majorze, potrzebny mi będzie warsztat o odpowiedniej wysokości, jakiś stołek i cień przepuszczający jednocześnie dużą ilość światła. Inaczej nie da się tej roboty dobrze wykonywać.

- Dostaniesz wszystko, co trzeba. Rdza, Morgan, rdza! Nie ma tu strzelby, Morgan,

mniejszej od działa, która nie jest zardzewiała. Połowa z tych muszkietów wycelowanych nad głowami tubylców lub do kangurów nie wypala lub po chwili gaśnie. No dobrze! - Rozradowany major zacierał ręce. - Wiedziałem, że ten cholerny, tłusty wypierdek Sinclair miał twoje narzędzia, więc jak tylko sąd powstał, złapałem go za kołnierz i powiedziałem mu, że to on ukraść skrzynkę z narzędziami należącą do więźnia Richarda Morgana. Przyniesiono mi ją następnego dnia. - Wydał z siebie krótkie szczeknięcie, które Richard uznał za jego wersję serdecznego śmiechu.

- Musiał rzucić na to okiem i zdecydować, że bardziej mu się opłaca sprzedać to w nienaruszonym stanie w Londynie.

- Nie wiem, jak mam panu za to dziękować, panie majorze - odpowiedział Richard, żałując, że nie może uścisnąć majorowi ręki.

Major uderzył się ręką w głowę.

- Poczekaj no tu chwilę! Prawie zapomniałem, że mam tu jeszcze coś dla ciebie. - Pogrzebał w stosie różnych przedmiotów uratowanych z jego spalonego przez piorun namiotu i wyciągnął dużą butelkę gęstego płynu. - Lekarz Balmain przedestylował to w zeszłym miesiącu, w czasie gdy... eee... był nieco niezdolny do pracy. Pan Bowes Smyth znalazł to drzewo miesiąc temu, zanim odpłynął do Cathay. Stwierdził, że przypomina terpentynowca, choć jego żywica ma trochę niebieskawy kolor. Pan Balmain miał to wypróbować na zardzewiałej pile. Powiedział, że bardzo dobrze działało.

Kiedy major udzielał mu tych informacji, Richard stał z pozbawioną wyrazu twarzą, dobrze wiedząc - tak jak wszyscy inni skazańcy - o tym, co w mniemaniu oficerów utrzymywane było w ścisłej tajemnicy, a mianowicie, że William Balmain i John White, którzy nienawidzili się nawzajem jeszcze od tej afery z pompami ściekowymi na „Alexandrze”, pokłócili się tak zażarcie w trakcie zakrapianej uczty z okazji królewskich urodzin, że wybiegli z pistoletami i stoczyli ze sobą pojedynek. Pan Balmain otrzymał powierzchowną ranę w udo i gubernator został zmuszony zwrócić uwagę obu kombatantom, że lekarze powinni koncentrować się raczej na upuszczaniu krwi pacjentom, a nie sobie nawzajem.

- W takim razie zachowam smar antymonowy i wielorybi tłuszcz na strzelby, a Edmundsowi oddam butelkę tego, co tu jest, do pił - stwierdził Richard i odszedł, nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście.

W ciągu dwóch dni znalazł się pod osłoną mocnego, brezentowego namiotu o zwijanych połach, przy odpowiedniej wysokości warsztacie i dopasowanym do niego stołku. Major Ross bynajmniej nie przesadzał; - broń osiedleńców była całkowicie zardzewiała.

- Jaki z ciebie małowówny drań, Richardzie - zauważył Stephen Donovan, przychodząc sprawdzić ostatnie pogłoski.

Och, jak to dobrze móc się z nim znowu zobaczyć!

- Nie sądziłem, że mam prawo mówić o rzeczach, które były już poza mną, panie Donovan - odpowiedział, nie próbując nawet ukryć swojej radości. - Teraz, kiedy jestem już oficjalnie rusznikarzem, z przyjemnością to z panem przedyskutuję.

Ze zmarszczonym podbródkiem i pałającymi ironicznymi oczyma Donovan nie odzywał się chyba przez godzinę, zadowolając się patrzeniem, jak Richard pracuje nad swym pierwszym zleceniem - parą pistoletów należących do majora. Jakaż to przyjemność być na tyle uprzywilejowanym, aby móc się przyglądać, jak wytrawny rzemieślnik robi coś, co kocha! Mocne, pewne ręce poruszały się delikatnie wokół pistoletu, aplikując krople maści z tłuszczu wielorybiego koniuszkiem owiniętego w szarpie patyczka i pracując nad sprężynką kurka.

- Kurek jest za luźny - wyjaśnił Richard. - Nie uderzy na tyle mocno, żeby powstała iskra. Poza tym major utrzymuje swe pistolety w bardzo dobrym stanie. Usunąłem rdzę i nasmarowałem je ponownie antymonowym smarem. Dziękuję ci za ten ślubny prezent, choć teraz doceniam go jeszcze bardziej. Co ostatnio robiłeś?

- Głównie dowodziłem barkasem w wyprawach po muszle po ostrygach. Teraz zabieramy łodzie na pełne morze, gdyż ich zasób w Port Jackson już się wyczerpał.

- A zatem niech pan lepiej wraca na swoją łódź, kapitanie. Widzę, że zbliża się major Ross - ostrzegł go Richard i odłożył pistolet, wzdychając z zadowoleniem. Donovan przyjął jego radę i odszedł. - Gotowe? - zapytał szorstko Ross.

- Tak jest, panie majorze. Pozostaje tylko je wypróbować.

- No to chodź ze mną na strzelnicę - powiedział major, biorąc od Richarda szkatułkę z orzechowego drewna.

- Kiedy muszkiety będą już sprawne, w każdą sobotę będą odbywać się ćwiczenia na strzelnicy, pod twoim nadzorem. To miejsce powinno zostać sfortyfikowane, lecz skoro jego ekscelencja uważa blanki i ustawianie dział na stanowiska za błahostkę, muszę przynajmniej upewnić się, że moi ludzie są przygotowani na nagłe wypadki. Co będzie, jeśli przybędą tu Francuzi? Żaden ze statków nie jest zakotwiczony w pozycji defensywnej, z żadnego działa nie da się wystrzelić przed upływem trzech godzin.

Strzelnicę urządzono w szopie z belek pozbawionej frontowej ściany, w której pośpiesznie usypano piach. Tarczą był kawałek szerniałego drewna. Major wystrzelił do niego w czasie gdy Richard ładował mu drugi pistolet. Po pierwszej próbie mruknął z

satysfakcją w głosie:

- Lepsze, niż kiedy je kupiłem. Od jutra możesz zająć się muszkietami. Znalazłem ci praktykanta.

„Taki właśnie jest problem z dyktatorami” - pomyślał Richard. - „Mam tylko nadzieję, że ten mój uczeń, wybrany przez Rossa, ma odpowiedni temperament do takiej mozolnej pracy. Przynajmniej major to uczciwy człowiek, poświęcił nawet własny dobytek, choć mogłoby się okazać, że jestem niezdarny. Zajmowanie się doskonałymi pistoletami, praca nad piękną bronią to bardzo dobre zajęcie, ale będę musiał rozłożyć, wyczyścić i złożyć z powrotem około dwustu Brązowych Bess - jeśli nie więcej. Dobry pomocnik byłby wybawieniem, nieodpowiedni - jedynie zawadą”.

Szeregowiec Daniel Stanfield okazał się wybawieniem. Drobnym, jasnowłosym mężczyzną bez żadnych pretensji do przystojnego wyglądu, mówiący gramatyczną, względnie zrozumiałą angielszczyzną, który - jak powiedział, odpowiadając na pytania Richarda - został starannie przygotowany przez matkę, zanim poszedł do szkoły charytatywnej. Jego upodobania skłaniały się bardziej w kierunku czytania aniżeli picia rumu i choć skory do nauki, był na tyle rozsądny, żeby się nie naprzykrzać. Słuchał i zapamiętywał, co do niego mówiono, odkładał rzeczy na swoje miejsce i był zręczny.

- To szczególna sytuacja - zauważył, patrząc, jak Richard rozkłada muszkiet.

- A to czemu? - zapytał Richard, wyciągając sztyfty przez lufę łożyska. - Przygotowuję się do rozłożenia tej sztuki na części składowe, więc lepiej nie spuszczać ze mnie wzroku. Zawsze można znaleźć właściwy kierunek wybijania sztyftów, to nie polega na użyciu brutalnej siły. One zwężają się na jednym z końców, więc jeśli uderzysz je przebijakiem od niewłaściwej strony, zniszczysz sztyfty - i być może cały pistolet.

- To szczególna sytuacja - powtórzył Stanfield - ponieważ oficjalnie jestem twoim zwierzchnikiem, ale w tym namiocie ty jesteś moim mistrzem. Czuję się niezręcznie, kiedy zwracasz się do mnie „pan”, a ja mówię ci po prostu - Morgan. Jeśli ci to odpowiada, chciałbym, żebyś mówił do mnie po imieniu, Daniel, a ja będę zwracać się do ciebie „panie Morgan” - wewnątrz tego namiotu.

Mrużąc oczy ze zdziwienia, Richard uśmiechnął się.

- To zależy od pana, z przyjemnością jednak będę mówił do ciebie po imieniu. Jesteś na tyle młody, że mógłbyś być moim synem. - Jakże niedyskretnie to powiedział. Nagle poczuł ukłucie w sercu. „Idź spać, Williamie Henry, idź spać na dnie mego umysłu”.

- Jesteś dobrze znany jako jeden z cichych więźniów - powiedział mu Daniel parę dni później, kiedy umiał już samodzielnie rozebrać muszkiet. - Nie wiem, co pan takiego zrobił,

ani też dlaczego, ale my, żołnierze, dobrze wiemy, kto jest kto, nawet jeśli nie kim i dlaczego. Jesteś również przywódcą paru spokojnych grup, co oznacza, że w obozie żołnierskim mają mniej roboty. Budzisz szacunek.

Richard nie podniósł oczu, żeby się uśmiechnąć, uśmiechnął się za to do Brązowej Bess pomiędzy jego kolanami.

Kiedy major Ross go wezwał, Daniel Stanfield poszedł spokojnie, pewien, że nie popełnił żadnej zbrodni, nawet w związku z kobietami. Uwagę swą poświęcał całkowicie pani Alice Harmsworth, która straciła swego maleńkiego synka miesiąc po zejściu na ląd, a męża dwa miesiące później. Teraz, owdowiała i z dwojgiem starszych dzieci, które zdołały przeżyć, radziła sobie, jak mogła. Opieka Stanfielda, która jak dotąd nie przejawiała miłosnych cech, była bardzo potrzebna zarówno jej samej, jak i dzieciom.

- Muszę wyszkolić jednego z moich ludzi na rusznikarza, Stanfield - powiedział major Ross. - I oko moje spoczęło właśnie na tobie, ponieważ najlepiej strzelasz i masz zgrabne ręce. Znalazłem więźnia, który jest mistrzem rusznikarskim - nazywa się Morgan, z „Alexandra”. Jego ekscelencja coraz bardziej skłania się ku założeniu większej osady na wyspie Norfolk, a to oznacza, że obie kolonie będą potrzebowały rusznikarza i kogoś, kto umie ostrzyć piły. Dlatego też wysyłam cię do Morgana, żebyś nauczył się chociażby podstaw rusznikarstwa. Którykolwiek z was popłynie w końcu na wyspę Norfolk, będzie musiał być na tyle wykwalifikowany, aby samodzielnie zajmować się muszkietami. Jeśli to ty zostaniesz wysłany na wyspę Norfolk, będę musiał wysłać tam również kogoś do ostrzenia pił, co oznacza, że skłaniam się raczej do wysłania tam Morgana - jednak tylko pod warunkiem, że będziesz potrafił utrzymać w dobrym stanie broń w Port Jackson. A zatem zacznij się uczyć, Stanfield, i to szybko.

Zima okazała się porą deszczową. Od początku sierpnia, już dawno po tym, jak ludzie z chaty Richarda ironicznie pomachali na pożegnanie „Alexandrowi”, padało bez przerwy przez czternaście dni. Wylał strumień i wypędził żonatych żołnierzy wraz z rodzinami z ich obozu, położonego w pobliżu. Nawet piaszczysta ziemia zamieniała się w bagno, a każda z tych pełnych szpar chat stała się pułapką śmierci - pełną pogwizdujących, przejmująco zimnych wiatrów, gdy błotniste tynki uległy rozmyciu. Plecione strzechy nie tylko przeciekały, lecz umożliwiały powstawanie wodospadów, dobytek przechowywany na zewnątrz uległ bezpowrotnemu zniszczeniu, a magazyny rządowe zaatakowana pleśń, wilgoć, robactwo i zniszczenie.

Jak zwykle bardziej zaradni cierpieli mniej. Nie mając do pielęgnowania żadnego

ogrodu, Lizzie wykorzystała rosnące w tym miejscu drzewa, które być może nie cechowały się bujnym i pięknym listowiem, lecz za to posiadały wyjątkowo efektowną korę. Niektóre miały brązowe lub brązowoszare pnie, podobnie jak drzewa w Anglii, wiele jednak wyróżniało się innymi kolorami - białym, szarym, żółtym, jasnoróżowym lub cynobrowym, kremowym albo tak intensywnie szarym, że nieomal wpadającym w niebieski, a niekiedy były różowe, wpadające w brąz. Pnie tych drzew różniły się też czymś innym - ich podstawy pokrywały bezładne sploty włókien, cętkowane jeszcze innymi kolorami, gładkich niczym jedwab lub bardziej żyłastych od rozplecionego powrozu - łaciate, poplamione, złuszczone i postrzępione. Wyglądało na to, że żadne drzewo nie traciło w zimie liści, wiele z nich za to zrzucało korę.

Lizzie interesowała się drzewami, z których miejscowa ludność budowała swe szałas. Dostarczały płatów skórzastej rdzawej kory. Zmusiwszy Neda Puga do skonstruowania małej drabiny, posłużyła się tą korą do pokrycia strzechy ich ciągle powiększającego się szałas. Następnie zszyła kawałki kory razem, posługując się sznurkiem i igłą - pożyczoną z magazynu pod warunkiem, że tam powróci. A zatem kiedy nadeszły deszcze, nie mieli przecieków, których nie dało się szybko naprawić - Lizzie trzymała zapasy kory w pokoju przeznaczonym do przechowywania ich dobytku. Biorąc pod uwagę mozolne tempo wznoszenia ceglanych i kamiennych budynków, prawdopodobnie upłyną lata, zanim którykolwiek z więźniów będzie miał bardziej solidne miejsce zamieszkania aniżeli chatę z palmowych belek lub plecionkę z młodych drzewek. A plecionka taka jak ich, przetykana palmowymi gałęziami, okazała się w tym zimnym deszczu bardziej odpowiednia aniżeli pełne szpar belki.

Wewnątrz było całkiem przytulnie. Podczas tych dwóch deszczowych tygodni wszyscy mogli pracować. Major Ross oddał namiot ostrzącym piły, gdy tylko się zwolnił. Jego własny kamienny dom został już ukończony i był gotowy do zamieszkania tuż przed rozpoczęciem opadów - pierwszy łut szczęścia już od niepamiętnych czasów. Tak jak inni ze starszyny, większość wartościowego dobytku pozostawił w Anglii i miano go przysłać na statku transportowym, podobno na „Guardianie”, którego spodziewano się w Nowej Południowej Walii z początkiem 1789 roku. Miał on również przywieźć więcej żywności, bydła, koni, owiec, kóz, świń, kur, indyków, gęsi i kaczek. Londyn był niepoprawnie optymistyczny w takich sprawach jak ta - na jak długo wystarczy mąki wysłanej z flotą - liczono bowiem na szybkie plony zboża i wielu jarzyn, melonów i innych szybko wydających owoce roślin. A wszyscy - począwszy od władz, po więźniów - wiedzieli, że tak się nie stanie. Twarde suchary zostały już zjedzone, pieczono teraz małe chlebki z zakażonej wołkami

zbożowymi mąki, a solone mięso trzymano w beczkach już tak długo, że z pół kilograma po ugotowaniu pozostawały zaledwie cztery niewielkie kawałki. I na tym, oraz na grochu i ryżu, mieli wyżyć więźniowie; chleba już w ogóle nie dostawali, z wyjątkiem niedziel, wtorków i czwartków.

Zaczęto ponownie wydzielać dzienne racje - nikt nie był w stanie uchronić przed kradzieżą tygodniowych przydziałów nawet po tym, jak zdesperowany gubernator Phillip powiesił siedemnastoletniego chłopca za kradzież żywności. Chorowite niemowlęta i dzieci umierały - to cud, że nie wszystkie. Sieroctwo stało się powszechne, dzieci pozbawione obojga rodziców przygarniał wielebny pan Johnson, karmił je i opiekował się nimi, uradowany, że ich zdeprawowani rodzice pomarli. A z całą pewnością byli zdeprawowani ponad wszelką nadzieję zbawienia - bo czyż Bóg spuściłby w przeciwnym razie na Port Jackson trzęsienie ziemi, i do tego jeszcze zionął przez cały następny dzień siarką?

Rodzima ludność stawała się coraz bardziej agresywna i zaczęła kraść kozy. Najwidoczniej owce im nie odpowiadały, być może nie byli pewni, co ukrywało się pod całą tą wełną. Skóra kóz przypominała skórę kangurów.

W rzeczy samej koza była jedyną przyczyną tarapatów, w jakie wpadli ludzie Richarda. Kiedy jeden z pracowników magazynów, Anthony Rope, poślubił Elizabeth Pulley, Johnny Cross natknął się na zdechłą kozę, z radością ją sobie przywłaszczył i sprezentował nowożeńcom na ich weselną ucztę. Upiekli więc pasztet, pokrywając go chlebem z braku ciasta. Cała grupa została zaarrestowana i oskarżona raczej o zabicie kozy aniżeli o zjedzenie jej. Zdumiewające było to, że: sąd wojskowy uwierzył oszalałym przysięgom więźniów, zapewniających, iż koza była już martwa. Zostali uniewinnieni, włącznie z Johnnym Crossem i Jimmym Price'em.

Wszystkie okręty z wyjątkiem „Fishburna” i „Golden Grove'a” już odpłynęły, lecz Richard nie napisał żadnego listu. Zaczął kopiować wyjątki z książek, aby utrzymać równomierne pismo, ale nie chciał pisać do domu. Tak jakby dzięki temu mógł głęboko pogrzebać swój ból.

Pod koniec sierpnia nadeszła wiosna, wraz z końcem deszczów i typowych równonocnych wiatrów. Wszędzie rozkwitły kwiaty. Niepozorne małe drzewka i krzewy wydały nagle olśniewające, puszyste żółte kulki, spiczaste czerwone wisiorki przypominające szczotki do czyszczenia butelek, pajęczkowate, różowe, płowe i pomarańczowe kępki. Nawet najwyższe drzewa kołysały się mnóstwem otoczonych kremowymi rzęsami oczek i pokrywały się świeżym, intensywnie różowym listowiem. Kwiaty były najczęściej tego wiotkiego, szczotkowatego rodzaju, w przeciwieństwie do tych o zwartych płatkach,

spotykanych w Anglii i Ameryce. Płatków musieli szukać pośród traw, gdzie małe krzaczki obsypane były fiołkowymi kwiatami przypominającymi miniaturowe tulipany. Czyste, pachnące słodką żywicą powietrze zdawało się przesiąknięte tysiącem perfum, z których jedne były subtelne, inne znów duszące.

Piątego sierpnia ujrzeli w nocy niebo, jakie niewielu z nich przedtem w życiu widziało, i na pewno nie w takiej oprawie jak te ogromne, niebiańskie fajerwerki. Całe sklepienie jarzyło się i migotało w fantastycznie udrapowanych kotarach i łukach, z których skapywały zielono - żółte, purpurowe i fioletowe frędzle. Ogromne, stalowoniebieskie snopy światła strzelały ze wszystkich stron horyzontu aż po zenit, poruszając się z szybkością piorunu lub pozostając w niesamowitym, promienistym bezruchu. W 1750 roku pojawiła się w Anglii aurora, lecz nikomu nie pozostało po niej nic poza mglistym wspomnieniem barwnej łuny. To zaś było, jak zapewniali nazajutrz marynarze, o wiele cudowniejsze aniżeli północne zorze.

Wszystkim poprawiły się humory, chociaż właściwie nie było prawdziwej zimy ani też dramatycznej zmiany temperatury. Owce i kozy zaczęły dawać potomstwo, kury wysiadywać jajka. Żadnego z nich co prawda nie można było tknąć, lecz przynajmniej dobrze to wróżyło na jakąś bliżej nie określoną przyszłość. Jeśli ktokolwiek jej dożyje - żywnościowe racje bowiem bynajmniej się nie poprawiły.

Lizzie zwróciła się z prośbą o więcej nasion i dostała je, więc z nowym entuzjazmem zajęła się ogrodem. Och, gdyby tak miała ziemniaki do rozsady! No cóż, jeśli tylko wszędzie marchewka i rzepa, wreszcie będą mieli coś treściwego do jedzenia - pożywienie, które rzeczywiście napelni im żołądki. Zielenina była może i dobra na szkorbut, ale nie dało się nią nasycić.

Gubernator Phillip zdecydował się wysłać „Siriusa” do Kapsztadu po dodatkowe prowizje - okręt dostawczy „Guardian” był zbyt odległą perspektywą, aby żywić nadzieje na przeżycie bez dodatkowego zabezpieczenia. Miał odpłynąć na wschód w kierunku Kapsztadu, a decyzję, czy będą wracać, okrążając Ziemię Van Diemena czy też przylądek Horn, pozostawiono kapitanowi Hunterowi. „Golden Grove” miał opuścić Port Jackson wraz z nim, ponieważ magazyn na alkohol był już niemal ukończony. Popłynąłby zatem najpierw na wyspę Norfolk, zgodnie z planem Phillipa zawożąc tam pierwszy transport więźniów, aby dodać ich do małej osady, ujmując trochę z dużej i już przeciążonej.

Major Ross posłał po niego ostatniego dnia września. Richard już wiedział, co zamierza mu powiedzieć. Niewiele czasu upłynęło od momentu, kiedy ukończył

czterdziestkę, a od trzydziestego szóstego roku życia każde urodziny spędzał gdzie indziej - w więzieniu w Gloucester, na statku więziennym „Ceres”, na „Alexandrze” i w Nowej Południowej Walii. Zanim ukończy czterdziesty pierwszy rok życia, przeniesie się jeszcze gdzie indziej, choć nie spodziewał się, że dojdzie do tego tak szybko. Za parę tygodni znajdzie się na wyspie Norfolk. To pewne.

- Dokonałeś cudów z szeregowcem Stanfieldem, Morgan - odezwał się zastępca gubernatora - i pozostawisz nas również z dwoma przeszkolonymi szlifierzami pił. Myślałem, żeby na wyspę Norfolk wysłać Stanfielda, ale on martwi się o los pani Hannsworth i jej dzieci a ja muszę brać pod uwagę nie tylko żołnierzy, ale również ich żony' wdowy i rodziny. Stanfield pozostanie tu zatem i będzie zajmował się muszkietami. Ty popłyniesz na wyspę Norfolk jako tracz, szlifierz pił i rusznikarz. Porucznik King poinformował jego ekscelencję, że jedyny wykwalifikowany tracz utopił się. Choć nie jesteś wykwalifikowanym traczem, Morgan, nie mam wątpliwości, że wkrótce nauczysz się tego fachu. Takim już jesteś człowiekiem. W swoim komunikacie zapewniłem porucznika Kinga, że będziesz cennym nabytkiem dla wyspy Norfolk - cienkie usta wykrzywiły się w kwaśnym uśmiechu. - Dobrze, że choć niektórzy spośród tych, co tam jadą, będą dobrym nabytkiem.

- Czy mógłbym wziąć ze sobą żonę? - zapytał Richard.

- Obawiam się, że nie. Nie ma wolnych pryczy dla kobiet. Jego ekscelencja podał mi listę kobiet, które tam jadą. Mam na myśli Blackalla z „Alexandra” jako drugiego tracza, podejrzewam bowiem, że będziesz miał sporo pił do ostrzenia. Nasze drewno budowlane w Port Jackson będzie przywożone z wyspy Norfolk, dopóki nie odkryjemy odpowiedniego źródła wapnia, aby móc budować z cegieł i kamieni. Lokalne drewno jest bezużyteczne, podczas gdy belki i deski przywiezione przez „Supply” są idealne. „Supply” miał bardzo ciężką podróż i trzeba go odstawić do reperacji, dlatego też zlecono, aby to „Golden Grove” dowiózł was na wyspę Norfolk.

- Czy mogę zabrać swoje narzędzia? Ross zdawał się obrażony.

- Rząd Jego Królewskiej Mości w Nowej Południowej Anglii nie jest uprawniony do pozbawiania cię nawet jednego gwoździa czy skarpetki - odpowiedział sztywno. - Zabierz wszystko, co do ciebie należy, to jest rozkaz. Przykro mi z powodu twojej żony, ale to nie leży w zakresie moich kompetencji. Szeregowiec Stanfield da sobie radę z rządowymi zleceniami, skoro wie już teraz, jak sporządzać papier ścierny i pilniki. Idź i pozbieraj swoje rzeczy. Wchodźcie na pokład jutro po południu. Czekaj na wschodnim molu i nie przyprowadzaj zbyt dużej grupy na pożegnanie, rozumiesz?

Szeregowiec Daniel Stanfield zajęty był Brązową Bess, więc nie podniósł wzroku, gdy

Richard wszedł do namiotu.. - Panie Stanfield - odezwał się Richard. Podskoczył na te słowa..

- Ach! Wysyłają cię na wyspę Norfolk!

- Tak. Dostałem rozkaz zabrania wszystkich narzędzi i rzeczy, które do mnie należą, bardzo mi przykro. Major Ross zapewnił mnie jednak, że poradzi pan sobie dzięki przydziałom rządowym.

- Owszem, poradzę sobie - odparł pogodnie Stanfield. Podniósł się i wyciągnął rękę. - Dziękuję ci, Richardzie, za twą hojność i czas. Przykro mi, że to ty masz jechać. Gdyby nie biedna pani Harmsworth, cieszyłbym się z takiej odmiany.

Richard serdecznie uściśnął mu dłoń.

- Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy, Danielu.

- O, spodziewam się, że tak. Jako prosty żołnierz będę miał szczęście, jeśli uda mi się zakończyć karierę w stopniu sierżanta, więc życie w Anglii na takiej emeryturze byłoby ciężkie. Tutaj po trzech latach służby mam możliwość zostać właścicielem ziemskim, jeśli potrafię prowadzić gospodarstwo. Patrząc tak ze dwadzieścia lat w przyszłość, wydaje mi się, że lepiej mi będzie w Nowej Południowej Walii aniżeli w Anglii - powiedział Daniel Stanfield. Zaczął pomagać Richardowi pakować jego narzędzia do skrzynki. - Kiedy kończy się twój wyrok?

- W marcu 1792 roku.

- A zatem najprawdopodobniej zakończysz go na wyspie Norfolk. Gdzie też - mówił Stanfield, upewniając się, czy korek jest dobrze zamknięty - niewątpliwie zostaną wysłani przed zakończeniem służby. Major Ross nie chce trzymać żadnych żołnierzy na wyspie na stałe, wszyscy mamy tam jeździć na zmianę. Dlatego muszę przekonać panią Harmsworth, żeby zgodziła się wyjść za mnie za męża, zanim mnie tam wyślą.

- Byłaby głupia, gdyby ci odmówiła, Danielu. Jednakże, jeśli historia będzie się powtarzać, tak jak to ze mną bywa - powiedział Richard, poprawiając watę z szarpi - zanim ty zostaniesz wysłany na wyspę Norfolk, Korona założy nową kolonię w jakiejś innej części tego ogromnego pustkowia i pewnie ja zostaną tam wysłani.

- Przynajmniej w najbliższym czasie nie - odpowiedział zdecydowanie młody żołnierz. - Najpierw trzeba udowodnić, że osiedlanie Anglików tak daleko się powiodło, tym bardziej że tak niewielu dobrowolnie chciało tu przyjechać lub miało w tej sprawie cokolwiek do powiedzenia. Gubernator jest zdecydowany dowieść, że to nie jest fiasko jednak wielu innych, niewiele młodszych od niego rangą, ma odmienne zdanie. - Jego ładne, jasnoszare oczy patrzyły na Richarda. - Zakładam, że ta rozmowa zostanie między nami.

- Z mojej strony na pewno - powiedział Richard. - Nie ma tu jednak problemów,

których nie dałoby się rozwiązać, zanim stąd odpłyniemy. Bez względu na oficjalne stanowisko w tej sprawie, winę ponosi tu brak planowania i dokładnych rozkazów z Londynu oraz rywalizacja pomiędzy oficerami floty i oficerami wojskowymi.

- Dokładnie tak - uśmiechnął się Stanfield.

Richard zaczerpnął powietrza i zwierzył się Danielowi Stanfieldowi ze swoich odczuć.

- Major jest dziwnym człowiekiem - powiedział.

- Z pewnością. Ale traktuje swoje wojskowe obowiązki jak każdy inny major i nie pochwała tych, którzy nie wnoszą niczego dobrego do korpusu lub żołnierskich kieszeni. A zatem pozwoli tym z nas, którzy mają jakieś kwalifikacje, pracować w charakterze kamieniarzy, stolarzy czy kowali, lecz nie będzie sankcjonował tego, aby jego oficerowie służyli w sądach kryminalnych, ponieważ nie płaci się im za ten dodatkowy obowiązek. Gubernator upiera się, że obowiązkiem każdego jest robienie tego, co nakazuje Korona, a w Nowej Południowej Walii on jest Koroną. Natomiast kapitan Hunter trzyma z gubernatorem tylko dlatego, że obaj należą do Królewskiej Marynarki Wojennej. - Wzruszył ramionami. - To bardzo utrudnia sprawy.

- Zwłaszcza - powiedział w zamyśleniu Richard - że jesteś bardziej dojrzały od wielu oficerów, Danielu. Oni się zachowują jak dzieci. Kłóć się przy kielichach, wyzywają na pojedynki, odmawiają współpracy.

- A skąd ty to wszystko wiesz, Richardzie? - zapytał Stanfield.

- W miejscu tak małym jak to? Liczącym zaledwie tysiąc dusz? Jesteśmy być może więźniami, Danielu, mamy jednak oczy i uszy takie same jak ludzie wolni. I bez względu na obecny status, każdy urodził się wolnym Anglikiem, nawet jeśli niektórzy z nas pochodzą z Irlandii lub Walii. Nikt z nas nie jest Szkotem, tam bowiem nie funkcjonują angielskie sądy.

- Aha, i to jest kolejna kość niezgody. Większość naszych oficerów to Szkoci, podczas gdy marynarze pochodzą z różnych stron.

- Miejmy nadzieję - powiedział Richard, zamykając skrzynkę, że ci, co tu zostaną, zapomną o różnicach, które w tym miejscu stają się bez znaczenia. Choć wątpię, aby do tego doszło. - Wyciągnął dłoń po raz drugi. - Życzę ci powodzenia.

- I ja tobie.

Wszyscy mężczyźni zebrali się w domu na obiad, który przygotowała Lizzie. Gdyby miała choć parę składników, okazałaby się dobrą kucharką. Jednak w tych warunkach ich jadłospis składał się z polewki grochowej do okraszenia garnka ryżu. I z łyżki kiszzonej kapusty.

Richard odłożył swą skrzynkę na narzędzia i przyłączył się do grupy siedzącej wokół ogniska - chociaż bardzo brakowało tam drewna nadającego się na deski, tego zdatnego na podpałkę było za to mnóstwo.

„Jakże miał to zrobić? Jak im powiedzieć? Czy powinien najpierw porozmawiać z Lizzie na osobności? Tak, naturalnie, właśnie tak powinien zrobić, bez względu na to, jak bardzo obawiał się łez i protestów. Pomyśli pewnie, że poprosił, aby jej z nim nie wysłano”.

Zjadł swój posiłek w milczeniu, zadowolony, że nikt nie zauważył, jak odkłada swą skrzynkę do składziku. Nauczeni długim doświadczeniem, zostawiali trochę ryżu z grochem na śniadanie, mimo że każdy z nich mógłby pożyć od razu wszystko i jeszcze byłby głodny.

„Jak oni sobie sami poradzą? No cóż, po ośmiu miesiącach spędzonych tutaj każdy z nich zdołał się już częściowo usamodzielnić i wiódł życie niezależne od grupy. Tylko jedzenie i schronienie trzymało ich razem. Ludzie z magazynów rządowych - a tych jest tu większość - są w doskonałych stosunkach z pozostałymi więźniami w magazynach oraz z porucznikiem Furzerem, a reszta staje się coraz zaradniejsza. Jeśli mam się o kogo martwić, to o Joeya Longa, który jest taką łatwowierną i naiwną duszą. Modłę się o to, żeby reszta opiekowała się nim. Jeśli zaś chodzi o Lizzie - ona przeżyłaby nawet zatonięcie okrętu „Royal George”. Nigdy nie przewodziłem im na zasadzie przymusu i popychania, więc nawet się nie zorientują, że mnie nie ma, a może niektórzy z nich ucieszą się, że będą mogli teraz zacząć życie na własną rękę.

- Chodźmy się przejść, Lizzie - powiedział po zakończeniu posiłku.

Zdawała się zdziwiona, lecz wyszła z nim bez protestu, czując, że coś gnębi go tego wieczoru, lecz pewna, że nie jest temu winna.

Nastał zmrok, lecz oficjalna godzina policyjna obowiązywała od ósmej wieczorem przez cały rok - długo po zapadnięciu zmroku. Richard zaprowadził swą żonę w ustronne miejsce nad wodą i znalazł dla nich wygodne miejsce na skale. Świerszcze hałasowały w trawie, a ogromne pająki - niczym myśliwi - poszukiwały łupu, lecz poza tym nic im nie przeszkadzało.

- Major Ross wezwał mnie dzisiaj - powiedział spokojnie, spoglądając na drugą stronę zatoki, na zachodni brzeg, gdzie migotały i jaśniały niezliczone światła. - Poinformował mnie, że jutro rano mam się stawić na pokładzie „Golden Grove”. Wysyłają mnie na wyspę Norfolk.

Ton jego głosu powiedział jej, że nie będzie mu towarzyszyć, musiała jednak zapytać.

- Czy mam jechać z tobą?

- Nie. Prosiłem, żebyś mogła ze mną popłynąć, ale mi odmówiono. Podobno

gubernator już wybrał tam kobiety.

Łza rozprysła się na skale, jeszcze ciepłej od ostatnich promieni słońca, usta poczęły jej drżeć, choć dzielnie walczyła, aby zachować spokój. „On nie lubi scen, to mężczyzna, który pozostaje w cieniu. Nie chce wyróżniać się od reszty, a jednak wybija się dzięki swym zdolnościom i zaletom. Nic nie zdoła skruszyć tego pancerza, nic nie jest w stanie go osłabić, nic nie odciągnie go od tego, co uważa za swój cel. Ja również jestem niczym w jego oczach, mimo że rzeczywiście zależy mu na tym, aby było mi dobrze. Jeśli płonął w nim kiedyś jakiś ogień, to zgasił go już dawno. Nic o nim nie wiem, bo nigdy o sobie nie mówi. Kiedy jest zły, wiadomo to tylko po innego rodzaju ciszy, po czym zabiera się do osiągnięcia tego, co chce, w inny sposób. Jestem pewna, że nieświadomie, siłą swego umysłu, podsunął majorowi Rossowi swoje nazwisko. Cóż to za głupi pomysł! Jakże ktoś mógłby mieć wpływ na drugą osobę bez rozmowy z nią, wymiany spojrzeń, fizycznej bliskości? A jednak on mógłby to zrobić. Któż inny zdołałby przypodobać się majorowi Rossowi bez przymilania się lub łapówek? - no cóż, majora Rossa nie da się w ten sposób oszukać, co wszyscy z tych, którzy próbowali, dobrze już wiedzą. On chce tam pojechać. Richard chce jechać. Jestem pewna, że o mnie zapytał, lecz jestem równie mocno przekonana, że od początku znał odpowiedź. Gdyby był zły, powiedziałabym, że zaprzedał duszę diabłu, ale w nim nie ma nic złego. Czyżby zaprzedał duszę Bogu? Czy Bóg skupuje ludzkie dusze?”

- W porządku, Richardzie - odpowiedziała tonem, który nie zdradzał jej smutku. - Jedziemy tam, gdzie nas wysyłają, bo nie jesteśmy wolni, aby móc wybierać. Nie płacą nam za naszą pracę i nie możemy upierać się, żeby dostać to, czego chcemy. Pozostanę tu i będę nadal opiekować się naszą rodziną. Jeśli będę zachowywać się przyzwoicie, nie mogą mnie zmusić do powrotu do kobiecego obozu. Tak, wszystko będzie dobrze. - Wstała pośpiesznie. - A teraz wracajmy, żeby powiadomić o tym resztę.

Joey Long był jedynym, który płakał.

Wkrótce po nastaniu świtu zmartwiona twarz Joeya rozpromieniła się radosnym uśmiechem - pojawił się sierżant Thomas Smyth, aby mu powiedzieć, że ma popłynąć na wyspę Norfolk na statku „Golden Grove”, a zatem musi zabrać swoje rzeczy i stawić się na wschodnim molu, gotowy do wejścia na pokład o czwartej po południu - i bez żadnego pożegnalnego tłumy.

Spakowano jego rzeczy o wiele pręcej aniżeli własność Richarda, wszystkie bowiem mieściły się w jego kufrze. Richard musiał zdecydować, które książki wziąć ze sobą, a które pozostawić w Port Jackson dla Willa, Billa, Neddy’ego, Tommy’ego Crowdera i Aarona

Davisa. Mieli już spory zbiór, głównie dzięki wysiłkom Stephena Donovana zbierającego książki, które oficerowie i żołnierze pozostawili na „Sinusie”. W końcu wybrał te najbardziej praktyczne oraz te, które podarował mu kuzyn James duchowny. Potrzebna była mu *Encyklopedia Britannica*, ale musiał na nią poczekać, dopóki nie napisze do domu, by mu ją przysłali, jak również książkę Jethra Tulla na temat prowadzenia gospodarstwa, która chociaż wydana pięćdziesiąt pięć lat wcześniej, nadal pozostawała biblią każdego rolnika. Pewnego dnia będzie musiał napisać do domu! Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze nie teraz.

Barkas należący do „Golden Grove” czekał przy naprędce skonstruowanym, małym molu - odpowiedniku drugiego, podobnego do tego mola na zachodnim brzegu zatoki Sydney. Było tam dziewiętnastu innych więźniów mających również wejść na pokład, z których kilku Richard znał jeszcze z „Alexandra”. Willy Dring i Joe Robinson z Hull! John Allen wraz z jego ukochanymi skrzypcami - będą więc mieli na wyspie Norfolk muzykę. Bill Blackall, raczej ponurego usposobienia osobnik od strony sterburty. Len Dyer, londyńczyk, który mieszkał na przodzie, agresywny i skłonny do gwałtownych wybuchów. Will Francis, którego znał jeszcze z „Ceresa”, jak również z „Alexandra”, nieustannie naprzykrzający się tym, którzy mieli nad nim władzę. Jim Richardson, również z „Ceresa” i z „Alexandra”, kolejny ponury osobnik - on oraz Dyer byli na „Ceresie” na górnym pokładzie pośród londyńczyków. Pozostałych nie znał - przybyli z innych okrętów i przebywali na innych statkach więziennych. „Gdzieś tu tkwi rozwiązanie tego ludzkiego równania, które poznam z czasem” - pomyślał Richard, usadawiając się z Joeyem Longiem i MacGregorem na dziobie. - „Gdy zobaczę, które kobiety osobiście wybrał gubernator, odpowiedź będzie wyraźniejsza”.

Ponieważ „Golden Grove” był statkiem transportowym, nie było na nim pomieszczeń takich jak na okręcie do przewozu niewolników. Mężczyzn zaprowadzono do tylnego luku, gdzie znaleźli się na najniższym pokładzie, ogołoconym ze wszystkiego oprócz hamaków. Był to dwupokładowiec, więc ładunek przeznaczony do wysłania na wyspę Norfolk złożono jeszcze niżej. Pozostawił Joeya Longa i MacGregora na straży ich rzeczy i udał się na pokład.

- I znowu się spotykamy - odezwał się Stephen Donovan. Zaniemówiwszy, Richard gapił się zdumiony.

- Jakże to miłe widzieć cię wreszcie bez gotowej odpowiedzi - mruknął Donovan, biorąc swego towarzysza za rękę i ciągnąc go do przodu. - Johnny, to jest Richard Morgan, Richard, to jest mój przyjaciel, Johnny Livingstone.

Jedno spojrzenie wystarczyło, aby zrozumieć, co było powodem tej siły przyciągania - Johnny Livingstone był drobny, pełen wdzięku, z czupryną złotych włosów i dużymi, sentymentalnymi zielonkawymi oczyma, otoczonymi bardzo długimi, czarnymi rzęsami.

Wyjątkowo urodziwy i prawdopodobnie miły facet, skazany - jeśli zdecydował się na morski zawód od dzieciństwa - na bycie zabawką dla kolejnych oficerów floty. Miał wygląd chłopca okrętowego, których na „Alexandrze” było trzech - wszyscy byli własnością stewarda Trimmingsa, który nie odznaczał się ani łagodnością, ani współczuciem.

- Nie mogę uścisnąć panu ręki, panie Livingstone - odezwał się Richard z uśmiechem - jednakże bardzo miło mi pana poznać. - Przesunął się do nadburcia, aby oddalić się od tej pary, ponieważ inni więźniowie wyszli na pokład i przyglądali im się z ciekawością. - Myślałem, że jest pan na „Siriusie”.

- I w drodze do Przylądka Dobrej Nadziei, a potem dookoła przylądka Horn - dodał Donovan, kiwając głową. - Problem w tym, że nie jesteśmy aż tak potrzebni na pokładzie „Siriusa” jak na wyspie Norfolk. Jego ekscelencji ciągle brakuje wolnych ludzi do nadzoru nad więźniami, major Ross dał bowiem wszystkim bardzo dobitnie do zrozumienia, że piechota morska nie zamieni swych obowiązków ochrony na nadzór. A zatem Korona zleciła mi wzięcie na siebie roli nadzorcy więźniów na wyspie Norfolk. - Ściszył głos, unosząc znacząco brwi.

- Podejrzewam, że kapitan Hunter miał ochotę odbyć przyjemny, długi rejs wraz z Johnnym i osobiście polecił mnie gubernatorowi. Niestety, Johnny również wolał podróż na wyspę Norfolk. Kapitan Hunter odszedł więc, klnąc siarczyście, lecz bez wątplenia będzie próbował ponownie po powrocie.

- A co pan będzie robił na wyspie Norfolk, panie Livingstone? - zapytał Richard, pogodziwszy się z tym, że został już zidentyfikowany przez swoich kolegów więźniów jako ten, który przyjaźni się z dwoma wolnymi mężczyznami, cieszącymi się być może zbyt dużą swobodą.

Pan Livingstone nie próbował nawet odpowiedzieć na to pytanie - był, jak przekonał się później Richard, wyjątkowo wstydlivym i nieśmiałym człowiekiem.

- Johnny ma ogromny talent do toczenia drewna na obrabiarce - z których jedna, a znając Londyn, prawdopodobnie jedyna - jest tu na pokładzie, przeznaczona do wykorzystania na wyspie Norfolk. Drewno w Port Jackson nie nadaje się do obróbki, podczas gdy sosna jest do tego idealna. Powodem tego, że jego ekscelencja tak chętnie przychylił się do prośby Johnny'ego i zgodził na opuszczenie przez niego „Siriusa”, są balustrady do nowej rezydencji rządowej - będzie je toczył przy źródle drewna - jak również wiele innych użytecznych przedmiotów, których brakuje jego ekscelencji.

- Czyż nie łatwiej byłoby wykonywać tę pracę w Port Jackson?

- Nie ma miejsca na drewno na pokładzie statków kursujących pomiędzy tymi dwiema

osadami. Każdy z nich jest wyładowany aż po okrężnice pociętym drewnem na budowę lepszych domów dla żołnierzy i więźniów.

- Rzeczywiście, powinienem o tym pomyśleć.

- A to - oznajmił Donovan radośnie - są nasze panie.

W barkasie siedziało jedenaście kobiet. Richard znał większość z nich z widzenia dzięki Lizzie, choć żadnej nie poznał osobiście. Mary Gamble, która powiedziała kapitanowi Severowi, żeby ją pocałował w pizdę, i pyskowała wszystkim mężczyznom, którzy chlubili się swoją męskością, wyśmiewając ich na wszystkie sposoby, na jakie tylko jej kolczasty język mógł się zdobyć. Jej plecy nie zdążyły się dobrze zagoić, a znowu ją chłostano. Ann Dutton, która kochała rum i żołnierzy i latała za tymi drugimi, żeby tylko zdobyć to pierwsze. Rachel Early, kocmołuch, kłóciłaby się nawet ze słupem ulicznym. Elizabeth Cole, która poślubiła jednego z więźniów zaraz po przybyciu do Port Jackson i została przez niego tak okrutnie pobita, że major Ross interweniował i umiejscowił ją w obozie kobiecym w charakterze praczki. Jeśli pozostałych siedem było podobnych, to jego ekscelencja pozbywał się w ten sposób kłopotów, choć oczywiście wysłanie Elizabeth Cole tysiąc sto mil od jej męża było aktem czystej litości.

- Jakże wesoły będzie to rejs - westchnął Richard, patrząc, jak zaganiają kobiety do przedniego włazu.

„**Golden Grove**” wyruszył o świcie drugiego października 1788 roku w towarzystwie „Sinusa”, i kiedy okręty wypłynęły poza dwa czołowe cyple - „Golden Grove” zaczął lawirować, aby znaleźć wiatr, który poprowadziłby go w kierunku północno - wschodnim, podczas gdy „Sirius” wykorzystał przybrzeżny południowy prąd i odpłynął, biorąc kurs w kierunku przylądka Horn, położonego cztery tysiące mil na wschód.

Zanim statek zbliżył się do Wyspy Lord Howe pięć dni później, Richard zdołał rozwiązać swoje równanie. Tak jak podejrzewał, gubernator pozbywał się problemów. Kierował się nie tylko względami dyscyplinarnymi, jak w przypadku Mary Gamble i Willa Francisa. Nie, większość miała jeszcze mniej szczęścia - uznano ich za lekko szalonych. Tylko czterech mężczyzn miało do spełnienia zadanie zgodne z wykazem okrętowym - byli młodymi, silnymi, wolnymi i zapalonymi zwolennikami morza. Mieli oni obsadzić łodzie rybackie na wyspie Norfolk. Jeśli zaś chodziło o niego samego, to nie miał pewności, dlaczego go wybrano - traczem przecież nie był, a mimo to umieszczono go na wykazie właśnie w tym charakterze. Czyżby major Ross zorientował się, że Morgan miał już dosyć Port Jackson? A nawet jeśli, jaka to różnica? Wszyscy mieli już dosyć Port Jackson, nawet

sam gubernator. W głębi duszy czuł, że major Ross trzymał go w rezerwie, jak pieniądze w banku - odkładając go na przyszły użytek. No cóż... być może...

Mężczyźni tacy jak biedny, pokorny John Allen i Sam Hussey zachowywali się dziwnie - mieli nerwowe drgawki, mruzcili coś pod nosem lub pozostawali zbyt długo w jednej pozycji. Prawdziwe łotry też wyróżniały się od razu - Will Francis, Josh Peck, Len Dyer i Sam Pickett. Niektórzy byli żonaci i pozwolono im zabrać ze sobą żony - w każdym przypadku dlatego, że jedno lub drugie albo też obydwójce byli w jakiś sposób dziwni. John Anderson i Liz Bruce, fanatyczni katolicy John Bryant i Ann Coombes, John Price i Rachel Early, James Davis i Martha Burkitt.

Sierżant Thomas Smyth, kapral John Gowen i czterech szeregowców tworzyło oddział ochrony, choć ochrona na „Golden Grove” była tak słaba, że szeregowiec Sammy King wplątał się we wzruszającą i namiętą aferę miłosną z Mary Rolt, jedną z tamtejszych oryginałów, która prowadziła ze sobą głośne rozmowy. Najwyraźniej było to chwilowe, bo gdy tylko zostali kochankami, jej wyimaginowane dialogi zupełnie się skończyły. „Zdarza się - podróże morskie wywierają niekiedy korzystny wpływ” - myślał Richard.

Ta jednak zaczęła się dla niego źle - Len Dyer i Tom Jones czekali na niego zaczajeni na dole, aby dać mu do zrozumienia, co sądzą o więźniach, którzy zadają się z ludźmi wolnymi, i do tego pedałami.

- Och, nie bądźcie takimi dzieciakami! - powiedział ze znużeniem, nie wycofując się. - Mogę załatwić was obu z jedną ręką uwiązaną na plecach.

- A co powiesz na sześciu? - zapytał Dyer, przywołując innych kiwnięciem ręki.

Nagle wyskoczył MacGregor, warcząc i szczerząc zęby, Dyer wycelował w niego nogą i kopnął go w tylną łąpę akurat w momencie, gdy „Golden Grove” przechylił się ostro na bok. Reszta potoczyła się bardzo szybko - Joey Long rzucił się do bójki, a trzech spośród napastników straciło zainteresowanie czymkolwiek z wyjątkiem uczucia mdłości. Richard wymierzył czubkiem buta w pośladek Dyera, Joey wskoczył Jonesowi na plecy, drapiąc go i gryząc, a MacGregor, któremu nic się nie stało, zatopił kły w jego ścięgnie. Francis, Pickett i Richardson zajęci byli rzyganiem, co okazało się bardzo przydatne - Richard zakończył walkę, wycierając Dyerowi twarz o popačkany pokład i z całej siły kopiąc Jonesa i Pecka w pachwiny.

- Mam zwyczaj bić się, stosując chwyt poniżej pasa - powiedział, dysząc ciężko. - Więc lepiej nie próbujcie przyczajając się na mnie w ukryciu, bo w przeciwnym razie żaden z was nie będzie już mógł spłodzić dzieci.

Sprawdziwszy najpierw, czy Joeyowi i MacGregorowi nic się nie stało, zdecydował,

że rozsądniej będzie przenieść się wraz z ich dobytkiem na pokład. Jeśli zaczną padać, mogą schronić się pod łodzią.

- Mam nadzieję - zwrócił się później do Stephena Donovana - że da pan sobie z nimi radę. Tom Jones i Len Dyer nie lubią panien Molly. Będzie pan sprawował nad nimi nadzór, nie mówiąc już o Pecku, Picketcie i Francisie. Choć ten ostatni jest ich przywódcą, jedną zlecił robotę Dyerowi. Jest zatem niebezpieczny.

- Dziękuję ci za ostrzeżenie, Richardzie. - Donovan przygiął mu się w zamyśleniu. - Żadnych podbitych oczu czy sińców nie widzę - Kopnąłem ich w jaja. Choroba morska - uśmiechnął się Richard - też była bardzo pomocna. Otóż, widzi pan, szczęście mi dopisało. Akurat w momencie, gdy się na mnie rzucili, „Golden Grove” znalazł właściwy wiatr i niektóre żołądki się zbuntowały.

- To prawda, Richardzie, ty masz szczęście. Choć to dziwne mówić tak do kogoś, kto miał takiego pecha, że został skazany za coś, czego nie zrobił. Mimo to naprawdę masz szczęście.

- Taki bieg Morgana - powiedział Richard, kiwając głową. - . Ze szczęściem bywa różnie.

- Ty też miałeś pechowe okresy.

- W Bristolu - owszem. Jako więzień - zawsze miałem wyjątkowe szczęście.

Wyspa Lord Howe wyznaczała połowę drogi i z wyjątkiem tego dnia, który spędzili w jej pobliżu, pogoda była idealna. Oznaczało to, że towarzystwo na statku nigdy nie zobaczyło tej zaczarowanej wyspy żółwi, z drzewami palmowymi i niebotycznymi górskimi szczytami, położonej pięćset mil na wschód od wybrzeży Nowej Południowej Walii. Pędzili przed siebie, mając do pokonania jeszcze sześćset mil.

Była to pierwsza wyprawa Richarda na owo najpotężniejsze ze wszystkich mórz, Pacyfik, który - jak sobie wyobrażał - nie powinien się wiele różnić od „królewskiego stawku na śledzie” lub też od tego bezimiennego potwora - oceanu, leżącego pomiędzy Nową Holandią a Ziemią Van Diemena. Pacyfik był jednak zupełnie inny. „Musi być inny” - stwierdził, opierając się na nadburciu i wpatrując godzinami w bezkresną nieograniczoną głębię. Widziane z bliska - gdy ogromne, lecz spokojne fale kołysały „Golden Grove” - wody jego zdawały się świetlistą ultramaryną, zabarwioną czystą purpurą. Nie złowili żadnych ryb, choć widzieli mnóstwo innych stworzeń - ogromne żółwie ślizgały się po powierzchni, skakały morświny. Rekiny krążyły, pogardliwie ignorując przynęty na wędkach, z płetwami grzbietowymi wystającymi trzy stopy ponad powierzchnię wody - już sama ich długość

zdawała się przerażająca. Było to raczej morze ogromnych rekinów aniżeli wielorybów, aż do dnia, kiedy otoczyły ich lewiatany, podróżujące na południe, by tam spędzić lato, podczas gdy „Golden Grove”, to niepojęte morskie stworzenie, płynęło na północny wschód. Dziwne. W drodze do Nowej Południowej Walii nigdy nie czuł się samotny tak jak teraz. Rok temu pewne poczucie przynależności wynikało z faktu, że na widnokregu zawsze widoczne było dziesięć żagli. Tutaj zaś, poza Golden Grove”, nie zapuścił się żaden okręt.

W pewnym momencie, jedenastej nocy, zdał sobie nagle sprawę z tego, że statek nie unosi się już i nie opada łagodnie - „Golden Grove” zwinął żagle i stanął w miejscu. „Przybyliśmy do celu”.

Na pokładzie panowała absolutna cisza, marynarze nie mieli bowiem nic do roboty, a sternik na zewnątrz, w nadbudówce, musiał jedynie trzymać rumpel na kursie. Noc była cicha, niebo bezchmurne i widać było tylko niezliczone gwiazdy przy braku księżyca, który mógłby je przygasić, krążące w jakimś niepojętym cyklu poprzez niebiosy. Czuł, że to, co było tak zwiewne i tak nieziemsko olśniewające, powinno być również słyszalne - „czyjeż to uprzywilejowane ucho potrafiło usłyszeć muzykę sfer niebieskich? Moje z pewnością nie słyszy nic poza skrzypieniem i pluskaniem okrętu stojącego na spokojnym morzu i odgłosami cieni nocnych ptaków, przemykających niczym duchy. Gdzieś tam jest niewidoczna ziemia. Kolejny kształt mego losu. Udaję się na maleńką wysepkę pośrodku drogi donikąd, tak odległą, że nawet nie zamieszkaną przez ludzi, dopóki my, Anglicy, nie przybyliśmy na nią. Licząc nas wszystkich, będzie tam około sześćdziesięciu Anglików i Angielek.

Jedno jest pewne, to miejsce nigdy nie stanie się moim domem. Przyplłynąłem tu sam przez puste morze i sam też odpłynę przez to pustkowie. To, co jest aż tak odległe, nie może mieć sensu, osiągnąłem bowiem taki punkt globu, w którym zaczynam połykać własny ogon”.

CZEŚĆ SZÓSTA
OD PAŹDZIERNIKA 1788 ROKU
DO MAJA 1791 ROKU

Kobietom kazano siedzieć pod pokładem, lecz wszyscy mężczyźni już o świcie mieli swój dobytek na górze i czekali, aby poranek ukazał im wyspę Norfolk. Pośród oszałamiająco pięknego wschodu słońca pojawiło się światło, wysokie bałwany i wstęgi bezdeszczowych chmur, przeobrażające się wolno z przepojonej purpurą barwy śliwy w ognisty szkarłat i aureolę złota.

- Czemu wschód słońca sprawia takie dziwne wrażenie? - zapytał Joey, stojąc obok Richarda przy nadburciu z MacGregorem sapiącym u jego stóp.

- Myślę, że to dlatego, że jest przeciwieństwem zachodu - odparł Richard. - Kolory zmieniają się od ciemnych po jasne, dopóki chmury nie staną się zupełnie białe, a niebo niebieskie.

MacGregor zaczął szczeakać, chcąc, żeby wzięto go na ręce, a Joey wyświadczył mu tę przysługę. Pies był na smyczy domowej roboty, sporządzonej przez jego pana z drobnych kawałków skóry, których nawet porucznik Furzer nie umiał wykorzystać - przyzwyczajony do wolności MacGregor nie lubił smyczy, lecz znosił ją z rezygnacją. Podczas podróży korzystał ze sporej ilości resztek, a kapitan William Sharp z radością pozwolił małemu terierowi biegać po ładowniach. Okrętowy kot - MacGregor nie miał bynajmniej cierpliwości do kotów - usunął się zirytowany do forkasztelu i pozostawił pole temu bezczelnemu intruzowi.

Zatrzymawszy się na jakiś czas w nocy, stracili parę mil, a teraz ruszyli dalej. Kapitan Sharp nigdy jeszcze nie był na wyspie, toteż nie zamierzał ryzykować. Zawinięcie do brzegu nie będzie żadnym problemem, gdyż Harry Bali z „Supply” pożyczył mu swego kapitana, Porucznika Davida Blackburna, który znał każdy skręt rafy, każdą Przybrzeżną skałę i mieliznę.

Ponieważ słońce było jeszcze bardzo nisko i świeciło im prosto w oczy, nie widzieli wyspy dokładnie - jej powierzchnia wynosiła zaledwie trzy na pięć mil, jak powiadomił Richarda Stephen Donovan - a jedynie ciemną niską masę. Bynajmniej nie przypominała Teneryfy. Potem, zdawało się, że w sekundę, wyspa napełniła się światłem. Zieleń wpadła w czerń, a pagórki o wysokości trzystu stóp były albo brudnopomarańczowe, albo koloru grafitu. Miejsce to powinno zatem wydawać się złowieszcze i smutne, tak jakby nie leżało pośrodku morza którego barwy przechodziły stopniowo od purpurowego błękitu w miejscu, gdzie „Golden Grove” usiłował znaleźć odpowiedni wiatr, aż po olśniewającą akwamarynę wokół wybrzeża. Ten stopniowo blednący kolor wody i wyspa zdawały się stanowić część jakiegoś gigantycznego morskiego planu, równie naturalnego, jak nieuniknionego.

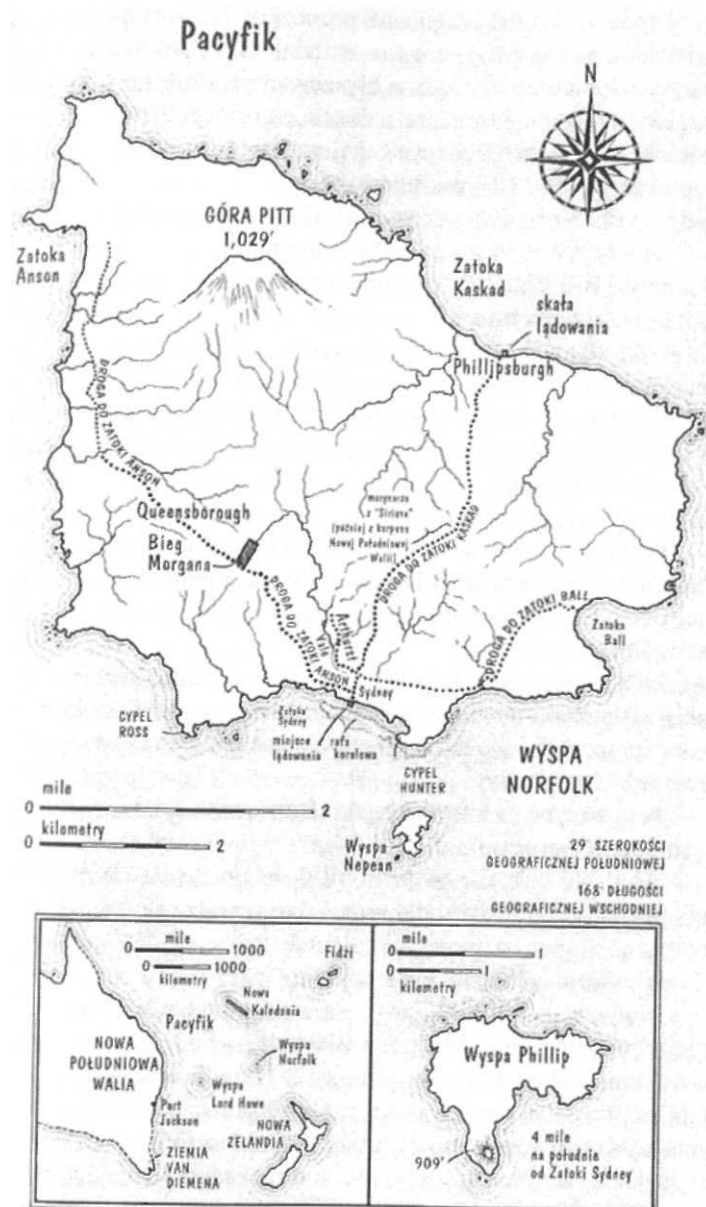
Żeglowali z zachodu na wschód przy powiewach lekkiego wietrzyku, nadchodzącego

z południowego zachodu, a potem z północnego wschodu. Dwie inne wyspy towarzyszyły tej większej - jedna mała i niska, blisko wybrzeża, najeżona sosnami, a druga nieco większa, położona o jakieś cztery mile na południe, z wysokimi urwiskami i żywą zielenią oraz paroma kępami ciemnych sosen. Białe fale rozbijały się o podstawę skał i jakąś przeszkodę, w kierunku której zdążali, lecz sam ocean zdawał się cichy i spokojny.

„Golden Grove” zarzucił kotwicę w pewnej odległości od rafy, gdzie fala przybrzeżna rozbijała się i rozplywała spokojnie. Tuż za nią połyskiwała laguna, bardziej zielono aniżeli niebiesko, oraz dwie plaże: prosta - zachodnia i półokrągła - wschodnia. Piasek był na nich morelowożółtego koloru i z tyłu zlewał się z sosnami przeredzonymi już przez człowieka - a były to najwyższe i największe drzewa, jakie Richard kiedykolwiek w życiu widział. Pośród nich, wzdłuż prostej plaży, stała mała grupa drewnianych chat.

Duża niebieska flaga z żółtym krzyżem powiewała niemrawo na maszcie w pobliżu plaży, na której jacyś ludzie pracowali przy dwóch niewielkich łodziach. Szalupa z „Golden Grove” została spuszczonej za burtę i popłynęła w kierunku rafy, zdążając im na spotkanie. Przytyw już się zaczął, tak że szalupa mogła się przedostać przez rafę do laguny, gdzie miała pozostać. Szalupy - stwierdził porucznik Blackburn stanowczo - nie popłyną dalej niż do zewnętrznej krawędzi rafy i tam przeniesie się ładunek do mniejszych łodzi, które zabiorą je na piasek.

Jedna z owych maleńkich łodzi zbliżyła się do statku. Na jej dziobie stał mężczyzna w bieli i granacie zdobionym złotym galonem, na głowie miał upudrowaną perukę i kapelusz, a u boku szablę. Wszedł na pokład, uściskał ciepło dłonie kapitana Sharpa, Blackburna, Donovana i Livingstone'a. Był to komendant, porucznik Philip Gidley King, którego Richard nigdy przedtem nie widział. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu, z błyszczącymi, orzechowymi oczyma na opalonej twarzy, która nie należała ani do przystojnych, ani do brzydkich, miał mocno zarysowane, sprawiające życzliwe wrażenie usta i okazały, choć nie haczykowany nos.



Gdy wymieniono już grzeczności, King zwrócił się do więźniów.

- Którzy z was są traczami? - zapytał. Richard i Bill Blackall wyciągnęli z wahaniem ręce. Kingowi zrzędnła mina.

- Nikt więcej? - Przeszedł wzdłuż szeregu dwudziestu jeden więźniów, zatrzymując się przed potężnym Henrym Humphreyssem.

- Wystap! - rozkazał i dalej przeprowadzał inspekcję, dopóki nie znalazł Willa Marrinera, drugiego krzepko wyglądającego mężczyzny. - Ty też wystap.

Było ich teraz czterech.

- Czy którykolwiek z was pracował kiedyś jako tracz?

Nikt nie odpowiedział. Stłumiwszy westchnienie, Richard postanowił się odezwać, aby ochronić grupę przed irytacją zwierzchnika w obliczu ogólnego milczenia.

- Nikt z nas nie ma doświadczenia, panie komendancie - powiedział. - Blackall i ja wiemy, jak się tnie drzewo, choć żaden z nas nigdy nie pracował jako tracz. - Wskazał ręką na Blackalla. - Ja umiem też ostrzyć piły.

- A poza tym - wtrącił prędko Donovan - jest również rusznikarzem, panie poruczniku.

- Aha! No cóż, nie mam tu za dużo pracy dla rusznikarza, ale z całą pewnością mnóstwo dla kogoś, kto potrafi ostrzyć piły. Nazwiska proszę.

Podali swoje nazwiska i numery.

- Numery - odparł King - są w miejscu o tak niewielkiej liczbie ludzi niepotrzebne. Morgan i Blackall - będziecie kierowali dołem trackim. Udajcie się natychmiast z Humphreyssem i Marrinerem łodzią na brzeg, tak abyście rozpoczęli już pracę, a nie siedzieli tu beczynnie. Musimy zapełnić ładownię „Golden Grove” drewnem dla Port Jackson, zanim stąd odpłynię, a utrata mego jedyne go doświadczonego tracza w wypadku przy łodzi spowodowała, że nie mamy nawet w połowie wykonanej roboty. Piły są niemal tak tępe jak Szkoci, więc będziesz je musiał zaraz zacząć ostrzyć, Morgan. Przywiozłeś jakieś narzędzia? My mamy zaledwie dwa pilniki.

- Mam odpowiednie narzędzia, proszę pana - odpowiedział Richard i zabrał się do tego, czego nauczyło go doświadczenie - proszenia o to, na czym mu zależało, zanim obciążono go ludźmi, których nie znał lub którym nie ufał. - Panie poruczniku, czy mógłbym wziąć ze sobą tego tu Josepha Longa? Znam go i potrafię z nim pracować. On nie ma postury tracza i jest słaby na umyśle, ale będzie robił, co mu się każe, i może mi się przydać do pracy.

Oczy komendanta wyspy Norfolk spoczęły na Joeyu i pojaśniały na widok psa siedzącego w jego objęciach.

- Och, jakie to śliczne stworzenie! - wykrzyknął. - Czy to samiec, Long?

Joey skinął głową bez słowa, nigdy przedtem nie zdarzyło mu się bowiem, aby zwrócił się do niego któryś ze zwierzchników. Rozkazów słyszał mnóstwo, warkniętych sucho czy gniewnie, nigdy jednak nie zwrócono się do niego tak jak jeden zwyczajny człowiek do drugiego.

- Cudownie! My mamy tu jednego psa, sukę spaniela. Czy on poluje może na szczury? Błagam cię, powiedz, że tak!

Joey ponownie skinął głową.

- Cóż to za szczęśliwy zbieg okoliczności! Delphinia również poluje na szczury! Będziemy więc mieli wyłapujące szczury szczenięta! A jakże one są nam potrzebne! - King zdał sobie nagle sprawę z tego, że owa piątka dokoła wpatrywała się w niego z zafascynowaniem. - A na co wy jeszcze czekacie? Za burtę i do łodzi!

- Zawsze słyszałem, że w naszej flocie są sami szaleńcy - stwierdził Bill Blackall, gdy łódź odbiła od burty.

- No cóż - odparł zmieszany Richard, zdając sobie sprawę z tego, że obaj wioślarze, których nie znał, mogli to usłyszeć. - Nie zapominaj, że jest tu tylko paru ludzi. Do tej pory wszyscy już się do siebie przyzwyczaili. Prawdopodobnie nie stosują zbyt wielu ceremonii.

- A i owszem, my się tu nie bawimy w ceremonie, ale bardzo cieszymy się z nowych twarzy - odparł jeden z wioślarzy, mężczyzna po pięćdziesiątce, mówiący z wyraźnym akcentem z Devon. - Jestem John Mortimer z Charlotte. - Skinął głową w kierunku swego pomocnika. - A to mój syn, Noah.

Ani trochę nie wyglądali na ojca i syna. John Mortimer był wysokim, jasnowłosym i spokojnym mężczyzną, podczas gdy Noah Mortimer był niski, ciemny i raczej uparty, jak można było sądzić po jego minie. Mądrzy ci, co własnych ojców znają.

Łódka, poszyta na nakładkę na wzór szkockich łodzi rybackich i o bardzo płaskim dnie, prześlizgiwała się przez rafę bez zadrażnienia. Za jednym zamachem przebyła owe sto pięćdziesiąt jardów laguny i dobiła do prostej plaży, gdzie czekało na nich paru ocalałych mieszkańców tej osady. Było tam sześć kobiet - jedna z nich, najstarsza, była ciężarna - i pięciu mężczyzn w różnym wieku, jeśli można to było określić po ich twarzach - począwszy od młokosa, po siwego starca - Nazywam się Nathaniel Lucas i jestem stolarzem - przedstawił się mężczyzna po trzydziestce. - A oto moja żona, Olivia.

Atrakcyjna i wyglądająca na inteligenta para.

- Eddy Garth i moja żona, Susan - powiedział inny mężczyzna.

- A ja nazywam się Ann Innet, jestem gospodynią porucznika Kinga - powiedziała najstarsza z kobiet, trzymając jedną rękę jakby dla obrony na swym nabrzmiałym brzuchu.

- Elizabeth Colley, gospodyni wojskowego lekarza, Jamisona.

- Eliza Hipsley, farmerka - powiedziała przystojna, mocno zbudowana dziewczyna, obejmując opiekuńczo ramieniem drugą dziewczynę w tym samym wieku. - A to moja najlepsza przyjaciółka, Liz Lee. Ona też jest farmerką.

„Dobrze” - pomyślał Richard. - „Wiem przynajmniej, na czym stoję z tą parą, jak każdy inny spostrzegawczy człowiek. Eliza Hipsley jest przerażona nadejściem tylu nowych mężczyzn, co oznacza, że nie jest pewna Liz Lee. A Len Dyer, Tom Jones i im podobni dadzą im się z pewnością we znaki”. Uśmiechnął się więc do nich w taki sposób, aby dać kobietom do zrozumienia, że mają w nim sprzymierzeńca. Och te imiona! Ze wszystkich siedemnastu kobiet znajdujących się teraz na wyspie Norfolk, pięciu było na imię Elizabeth, trzem Ann, a dwie nazywały się Mary.

Podobnie jak kilku innych mężczyzn, samotny żołnierz nie zadał sobie trudu, żeby się przedstawić.

- Porucznik King kazał nam natychmiast udać się do pracy - zwrócił się do niego Richard. - Czy mógłbym prosić, żeby nam pan pokazał dół tracki?

Dom porucznika Kinga, nieco większy niż inne, stał na małym pagórku tuż za niebiesko - żółtą flagą. Flaga Zjednoczonego Królestwa wisiała na drugim słupie, nieco bliżej domu, równie nieruchoma. Gubernatorska rezydencja składała się prawdopodobnie z trzech małych koi i poddasza, bez wątplenia przybudówka z tyłu była kuchnią. Wyglądało na to, że był tam wspólny piec i miejsce do gotowania, kuźnia, parę budynków, które zdawały się służyć za magazyny zaopatrzenia - każdy z nich liczący najwyżej dziesięć stóp na osiem. Na następnym wzgórzu, bardziej na wschodzie, znajdowały się rozległe ogrody, do których zdążyły pośpiesznie wszystkie kobiety, włącznie z Ann Innet. Pomiedzy tymi dwoma pagórkami, pośród sosen, stało czternaście chat z drewnianych belek, każda pokryta strzechą z jakiejś mocnej, włóknistej rośliny. Ściany od strony morza były ślepe, a więc drzwi musiano umieścić od strony lądu.

Dół tracki znajdował się w pobliżu plaży, na końcu ścieżki oczyszczonej z pieńków, która prowadziła dalej do sosen. Teren wokół niego również był przygotowany, aby zrobić miejsce na tuziny belek o długości dwunastu stóp, z których nawet najmniejsza liczyła sobie pięć stóp średnicy. Choć Richard pragnął zatrzymać się i przyjrzeć tym ogromnym drzewom, które cięto na belki i deski, nie śmiał tego uczynić. Rozkazy Kinga były dokładne, a żołnierz, który niechętnie przedstawił się jako Heritage, nie wyglądał na takiego, który przyjaźnie odnosi się do więźniów.

Wraz ze swą małą, niedoświadczoną grupą miał za zadanie wyprodukować tyle pociętego drewna, by móc nim napęłnić ładownię „Golden Grove”, jak przypuszczał - w ciągu dziesięciu do czternastu dni. Dwie małe masztowe belki i coś, co wyglądało na reję, były już przygotowane i leżały z boku, razem ze stosem desek. Maszt i reję przeznaczono zapewne dla jednego ze statków pozostawionych w Port Jackson.

Dół wyłożony został deskami, by zabezpieczyć go przed osuwaniem się ścian. Miał siedem stóp głębokości, osiem szerokości i piętnaście długości. Dwie ociosane na kwadrat belki były już przezeń przerzucone w odstępnie pięciu stóp od siebie, z tłuczniem ze skały usypanym na końcach belek w celu utworzenia pochyłej krzywizny. Jedna odarta z kory belka została już wtoczona na te dwie bele i leżała nad rowem, podpierając się na nich wzdłuż całej swej długości, lecz nikt przy niej nie pracował i nie było tam żadnego dozorczy. Na dnie dołu

Richard znalazł pięć pił trackich o długości od ośmiu do czternastu stóp, przykrytych starym żaglem.

Nadszedł Nat Lucas.

- To najgorsze powietrze dla żelaza i stalowych narzędzi, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem - powiedział, opuszczając się do dołu, w momencie gdy Richard odsłaniał piły. - Nie można uchronić tych nieszczęsnych narzędzi od rdzy.

- Są również bardzo tępe - zauważył Richard, przesuwając opuszką kciuka po jednym dużym, wyszczerbionym zębie. Skrzywił się. - Ten, kto ostrzył tę pilę, myślał, zdaje się, że skos ostrza idzie zawsze w tym samym kierunku od zęba do zęba, a nie na przemian i w przeciwnym. O Chryste! Naprawianie tego zajmie całe godziny, nie mówiąc już o naostrzeniu. Czy jest tu ktoś, kto mógłby nauczyć Blackalla, Humphreysa i Marrinera, jak się tnie drewno?

- Mogę ich nauczyć - powiedział Lucas, bardzo niski i szczupły mężczyzna. - Nie mam jednak siły do ciągnięcia. Rozumiem jednak o co ci chodzi - będziesz musiał je ostrzyć, to trzeba zrobić najpierw.

Richard znalazł pilę długości około dziesięciu stóp o względnie ostrych zębach.

- To najlepsza z nich wszystkich - Nat czy Nathaniel?

- Nat. A ty jesteś Richard czy Dick?

- Richard. - Spojrzał na słońce. - Będziemy musieli postawić jakąś budę nad tym dołem, i to jak najszybciej. Słońce jest tu o wiele mocniejsze aniżeli w Port Jackson.

- Jest wyżej nad głową o cztery stopnie szerokości.

- Buda będzie musiała jednak poczekać, aż „Golden Grove” odpłynie - westchnął Richard. - Oznacza to zatem kapelusze i dostawy dobrej wody do picia. Czy jest tu jakieś miejsce, do którego Joey mógłby zanieść nasze rzeczy, zanim zaczniemy? Lepiej będzie, jeśli ja zostanę tutaj i zabiorę się do ostrzenia. - Usadowił się na dnie dołu od wschodniej strony, ciągle jeszcze zacienionej, skrzyżował pod sobą nogi i wciągnął na kolana pilę o długości dwunastu stóp. - Joey, podaj moją skrzynkę z narzędziami, a potem idź z Natem. Reszta niech odłoży swoje rzeczy i natychmiast tu wraca.

„Wszystko to oznacza, że znowu jestem na czele mężczyzn, którzy nie potrafią pracować bez nieustannego kierowania nimi”.

Najczęściej używaną pilą była najwidoczniej ta o długości dwunastu stóp, a patrząc na belkę o średnicy ponad pięciu stóp, Richard rozumiał dlaczego. Były tam dwie piły o takiej długości, poza tym jedna miała czternaście stóp, jedna - dziesięć i jedna - osiem. Na drugiej kupce pod starym płótnem leżał tuzin pił ręcznych, które również trzeba było jak najszybciej

naostrzyć.

Richard owinał sobie prawą rękę w bandaż ze szmat, chwycił płaski chropowaty pilnik szerszy od zęba i przyłożywszy go do metalu pod kątem odpowiednim do nastawienia skosu cięcia pociągnął w dół, zawsze uderzając w kierunku krawędzi. Po pobieżnym przygotowaniu pierwszej części piły opiłował ją dokładnie, a potem przesunął narzędzie na kolanach, żeby zająć się następną częścią. Kiedy już ją naostrzy, będzie musiał jeszcze usunąć rdzę.

Chwilę później usłyszał nad sobą głos Nata Lucasa, pokazującego piłę Billowi Blackallowi, oddelegowanemu do pracy na szczycie belki, i Willowi Marrinerowi, który miał pracować na dole.

- Zęby ułożone są na przemian pod przeciwnym skosem - mówił Nat - tak, żeby nacięcie było na tyle szerokie, aby ostrze piły mogło swobodnie przejść przez drewno. Gdyby wszystkie zęby miały skos po jednej stronie, ostrze piły byłoby szersze i zaklinowałoby się. W odpowiednim czasie nauczycie się ciąć na wycucie, ale na początek dam wam sznurek, według którego będziecie ciąć. Sosna Norfolk musi być najpierw odarta z kory, ponieważ wydziela ona żywicę, która zaledwie po dwóch cięciach przylepiłaby piłę do nacięcia lepiej niż jakikolwiek klej. Pierwsze cięcie zaczynacie od zewnętrznej strony belki po jednej stronie, a drugie od zewnętrznej - po stronie przeciwnej. Potem, zmieniając strony, pracujecie, tnąc do środka po jednym calu za każdym razem - w celu uzyskania jednocalowej szerokości płyt - dopóty, dopóki nie dotrzecie do twardzieli, którą najpierw zaczniecie ciąć na dwucalowe dyle, potem na czterocalowe, a wreszcie na sześciocalowej grubości belki. Piła tnie jedynie przy ruchu w górę i ten, kto jest na górze, ma nad tym kontrolę. Pracuje ciężiej, bo schyla się i ciągnie od krocza w górę jakieś dwie stopy - a jeśli jest bardzo silny, to i więcej. Z drugiej zaś strony, temu na dole ciągle sypią się na twarz wióry. On ściąga piłę na dół, ciągnąc ją od klatki piersiowej aż po pachwiny, a może i z większej wysokości, jeśli ten na górze jest tak silny, że ma ciąg na trzy stopy.

Na dole, na drugim końcu belki, gdzie mieli rozpocząć pracę, ukazał się Marriner i rzucił Richardowi krzywe spojrzenie.

Nat Lucas mówił dalej, tym razem do Billa Blackalla.

- Ważne jest, aby nauczyć się odpowiednio stać, i radzę robić to na bosaka. Jeśli podstawisz nogę pod piłę, przetnie ci but niczym masło, więc buty nie stanowią żadnej ochrony. Stoisz na niewielkim łuku, nogami po obu stronach piły, dlatego łatwiej ci będzie zachować równowagę i zaprzeć się mocno bosymi stopami. Masz ciągnąć równo obiema rękami - ciach! Piła tarcicowa została zaprojektowana do cięcia wzdłuż słoju, więc nie jest to aż tak trudne jak cięcie w poprzek.

A ponieważ nikt w Londynie nie pomyślał o załadowaniu dużej, dwukońcowej piły do cięcia poprzecznego, używamy toporów do ścinania drzew, a potem piły wzdłużnej do przycinania belek na długość dwunastu stóp, co jest potwornie ciężką pracą.

- Czy poradzilibyście sobie bez piły o długości ośmiu stóp?

- Owszem, jeśli zajdzie ku temu potrzeba. Ale dlaczego o to pytasz, Richardzie?

- Zajmie mi to sporo czasu, mam jednak odpowiednie narzędzia za pomocą których mógłbym zamienić piłę wzdłużną na swego rodzaju poprzeczną.

- O niech cię Bóg błogosławi! - padła żarliwa odpowiedź. Głos Nata skierował się ponownie w stronę Billa Blackalla. - Cięcie drewna jest robotą dla myślącego człowieka - powiedział. - Jeśli zorientujecie się, jak to robić, to potem nauczycie się, jak osiągać najlepsze rezultaty przy najmniejszym wysiłku. Tę pracę mogą wykonywać tylko potężni mężczyźni i ostrzegam was, że pierwsze parę dni będzie dla was zabójcze.

- A co się stanie, jak dojdę do podpierającej belki? - zapytał Blackall.

- Pomożemy ci przesunąć całą belkę nieco niżej, co jest bardzo proste po ściągnięciu klinów. Potem klinuje się ją ponownie, aby utrzymać cięte kawałki razem. A kiedy nie będzie już można ruszyć piłą, zakończysz cięcie, rozłupując resztę belki stalowym dłutem i młotem - prosta sprawa.

„Dobry chłop z tego Nata Lucasa” - zawyrokował Richard, piłując cierpliwie.

Lucas, który posługiwał się piłą ręczną do cięcia calowej grubości płyt drewna na dziesięciocalowe deski i przycinał zaokrąglone końce zewnętrznych desek, usadowił się wraz ze swym kozłem do cięcia w cieniu sosny na skraju polany i nadzorował dużą grupę innych mężczyzn robiących to samo, włącznie z Johnnym Livingstone'em i tuzinem innych z „Golden Grove”. Zgodnie z rozkazem porucznika Kinga, każdy, kto tylko mógł, miał w tym pomagać, dopóki nie zapełnią się ładownie, a to sprawiło, że dół tracki był w centrum zainteresowania przez następne dwa tygodnie.

Było to czternaście dni, podczas których Richard nie widział wiele poza piłami i pilnikami oraz pokrytą trocinami postacią mężczyzny pracującego na dole. Z początku myślał, że sam stanie przy pile, lecz tempo pracy sprawiało, że musiał bez przerwy ostrzyć piły ręczne i tarczowe. „Jakże - zastanawiał się - te parę pił ma nam wystarczyć, dopóki nie nadejdzie ich więcej z Anglii?” Za każdym razem, kiedy piłował zęby, trochę się przy tym ścierały.

Pierwszego dnia pracował aż do zmierzchu, gdy odnalazł go Joey i przypomniał o jedzeniu. Jedli wokół wielkiego ogniska z sosnowych zrzynek, bo gdy zaszło słońce, zapanował chłód o wiele dotkliwszy aniżeli o tej samej porze roku w Port Jackson. Podano im

solone mięso i świeżo upieczony chleb - miał tylko sześć dni. Na wyspie Norfolk nie przydzielano sucharów, a jedynie mąkę i - cud nad cudy! - surową zieloną fasolkę i sałatę. Richard jadł żarłocznie, zauważywszy, że bochenki chleba są większe, a solone mięso mniej wyschnięte niż to, które dostawał w Port Jackson.

- Komendant jest bardzo sprawiedliwy - wyjaśnił Eddy Garth - więc dostajemy pełne racje. W Port Jackson żołnierze oszukują więźniów, żeby zostało więcej jedzenia dla nich. Tak samo jak na „Scarborough”.

- I na „Alexandrze” - westchnął Richard uszczęśliwiony. - Słyszałem jednak, że tu nie ma żadnych jarzyn, że robaki pożerają wszystkie liście i pędy.

Garth objął ramieniem żonę, która oparła się o niego z widocznym zadowoleniem.

- To prawda, że robaki zjadają dużo, ale nie wszystko. Komendant każe kobietom pracować na grządkach przez cały dzień, żeby zbierały robaki z plonów, i truje szcury swymi zmielonymi na proszek butelkami po porto dodanymi do owsa. Przydatne to również na papugi. - Przyłożył palec do nosa i wykrzywił się w uśmiechu. - Pan King jest wielkim miłośnikiem porto. Wypija parę butelek dziennie, nigdy więc nie brakuje nam tłuczonego szkła. A robaki to są, to ich nie ma. Są tu przez miesiąc lub sześć tygodni, a potem na miesiąc czy sześć tygodni znikają. Są ich dwa rodzaje. Jedne lubią mokre warunki, a drugie suche, więc mamy robaki niezależnie od tego, jaka jest pogoda. Złośliwe kreatury. - Odchrząknął. - Chciałem zapytać, czy masz może jakieś książki?

- Owszem, mam, i możesz je pożyczyć, pod warunkiem że będziesz o nie dbał i że potem mi je zwrócisz - odpowiedział Richard.

- Ciekaw jestem, jak mój żołądek zareaguje na warzywa po tak długim okresie? Gdzie tu są wychodki?

- Spory kawałek dalej, więc nie zostawiaj tego na ostatni moment. Pan King jest pod tym względem bardzo drobiazgowy i uparł się, aby wykopano je tam, gdzie nie mogą zanieczyścić wody gruntowej, Nasza woda pitna pochodzi z doliny położonej nieco wyżej i jest doskonała. Nikomu nie wolno się myć powyżej tego miejsca, a kara za sikanie do strumienia wynosi dwanaście uderzeń batem.

- Dlaczego ktoś miałby do niego sikać? Przecież tu jest tyle drzew.

Joey Long, który zjadł już wcześniej - musiał bowiem przedstawić MacGregora Delphinii - przyszedł, żeby pokazać Richardowi wychodki, a potem odprowadzić go do ich domu. Szli przy świetle pochodzącym z kawałka sosny zakończonego grubym węzłem - idealna pochodnia.

Richard patrzył na wnętrze domu z osłupieniem.

- To wszystko nasze, twoje i moje - powiedział Joey z zadowoleniem. - Widzisz? Ma okna po obu stronach, można zamknąć okiennice - drewno jest przymocowane kołkami. Zakładają je jednak tylko w czasie wichury, jak mówi Nat. Deszcz rzadko zacina od wschodu lub zachodu, najczęściej od północy.

Podłogę pokrywał dywan ze szczególnego rodzaju gałęzi, a może były to liście? Wyglądały jak pokryte łuskami ogonki długości dwunastu czy piętnastu cali i robiły wrażenie zbitych, ale ugiwały się pod stopami. Leżały na cienkiej warstwie piasku, pod którym była skała. Pod ścianą bez okien, naprzeciwko laguny, stały dwa niskie łóżka wyposażone w grube materace i pękate poduszki.

- Podwójne łóżko i tylko dla mnie, Joey? - Richard podniósł gruby materac, aby się przekonać, czy łóżko ma kratę z lin, a potem zorientował się, że oba materace i poduszki były wypchane pierzem.

- Pierze! - wykrzyknął ze śmiechem. - Ja chyba umarłem i wstąpiłem do nieba!

- To jest dom tego tracza - wyjaśnił Joey, uszczęśliwiony, że może być źródłem tylu informacji. - Był on marynarzem z „Siriusa” i mieszkał tu razem z innym marynarzem. Obaj utonęli w tym samym wypadku na rafie prawie trzy miesiące temu, jak mówił Nat. Jako ludzie wolni, mieli prawo do pościeli. Do wypełnienia materaca i poduszki potrzeba było aż tysiąca ptaków. Odziedziczyliśmy po nich dom i łóżka. - Nagle zmarkotniał. - Nat powiedział jednak, że będziemy musieli zwrócić je panu Donovanowi i Livingstone’owi, gdy tylko wybudowany zostanie dom dla nich. Ale to nastąpi dopiero po odpłynięciu „Golden Grove”. Tymczasem zatrzymali się u pana porucznika Kinga w rezydencji gubernatorskiej. Ten dom ma tylko dziesięć stóp na osiem, a dom pana Donovana ma mieć dziesięć na piętnaście stóp. Nat był dotąd głównym stolarzem, ale on jest skazańcem, więc teraz pan Livingstone zajmie jego miejsce.

- Nic mnie nie obchodzi, czy ten materac i poduszki mam tylko na jedną noc - odpowiedział Richard. - Zamierzam się nimi rozkoszować. Najpierw jednak pójde na plażę się umyć. Chodź, Joey, ty też musisz się umyć.

Joey jednak zaparł się nogami i rękami i nie zamierzał się nigdzie ruszać, przerażony samą myślą wejścia choćby po kolana do wody pełnej niewidocznych potworów, czyhających tylko na to, żeby pożreć jego wraz z MacGregorem. Richard poszedł więc sam.

Niebo było bezchmurne, a gwiazdy wręcz fantastyczne. Zostawiwszy ubranie na piasku, Richard wszedł do zadziwiająco zimnej wody i stał w niej oczarowany - każda, nawet najdrobniejsza fala wywoływała drżenie i iskrzenie światła, co dawało złudzenie, że kąpie się w płynnym srebrze. Och, cóż to było za morze! Ileż kryło w sobie cudowności! Płonące od

wewnątrz, ale z jakiego powodu - nie miał pojęcia. Mógł jedynie cieszyć się nim, patrzeć, jak woda spływa mu z ramion w świetlistych strumieniach, otrząsnąć z włosów migoczące krople. Piękne! Przepiękne! Poczul w sobie moc, tak jakby tętniące życiem morze udzieliło swych sił jego ciału przez jakąś pierwotną magię.

Kiedy odwrócił się, aby wyjść z wody, zobaczył, że wyspa z daleka wydawała się położona bardzo nisko, ale tak naprawdę jej pagórki wznosiły się strzeliście ponad płaskim spadkiem plaży i wszędzie na tle gwiazdzistego nieba ich kontury zarysowane były kolczastymi sosnami. Niezliczonymi tysiącami sosen.

Wytarłszy się i otrzepawszy lepiały się do ciała piasek, wrócił do domu i do tego dużego łóża z materacem z pierza. Rozłożył się na nim niczym sybaryta i tak mu było wygodnie, że przez wiele godzin nie mógł zasnąć. Taka cisza, tak niewiele odgłosów, ciche westchnienia, niekiedy pisk morskiego ptaka, miękki szum fal napływających i cofających się z rafy. Joey nie chrapał, podobnie jak MacGregor. Mniej więcej w tym czasie niewiele ponad cztery lata temu wszedł do więzienia w Bristolu i od tamtej chwili nie minęła ani jedna noc bez symfonii pochrapywań - nawet gdy leżał sam z Lizzie, chrapanie bowiem pozostałych mężczyzn przenikało przez ścianę z młodych drzew jak przez papier. Aż do tej nocy. Nie mógł zasnąć z czystej przyjemności.

Jeden z członków pierwotnej grupy Kinga, Ned Westlake, ciął drzewo z Westbrookiem, który zatonął, mieli więc dwie grupy do zastępowania się - Blackall i Marriner, Westlake i Humphreys. Richard jako że zamieszkał w domu zmarłego zarezerwowanym dla następcy Westbrooka - który, według założeń Kinga, miał być również wolnym człowiekiem - został naczelnym traczem. Jego pierwsza decyzja nie cieszyła się bynajmniej popularnością, lecz zastosowano się do niej - nie zezwolił, aby zespoły pracowały na zmianę co drugi dzień, chociaż mężczyźni preferowali takie rozwiązanie.

- Jeśli będziecie tak robić, dostaniecie skurczu mięśni i ból będzie jeszcze silniejszy - powiedział. - Bill Blackall i Will Marriner będą cięli rano, a Ned Westlake i Harry Humphreys po południu. Pięć godzin dziennie wystarczy, jak na tracza. Każdy z waszej czwórki na zmianę będzie ze mną ostrzył piły. Ci, którzy w danej chwili nie będą ostrzyli czy cięli, mają brać siekierkę i pomagać Joeyowi odzierać pnie z kory. Im szybciej się nauczymy i lepiej będziemy pracować, tym więcej zyskamy przywilejów. Posiadanie rzemiosła lub fachu jest o wiele bardziej intratne aniżeli praca na każde zawołanie w charakterze zwyczajnego robotnika. Jeśli dobrze rozszyfrowałem Kinga, w dni wolne od pracy będziecie mogli ciąć drewno na własne domy. Pomyślcie tylko, co to za luksus! Własne cztery kąty i dach nad

głową!

Pod koniec trzeciego dnia cięcia tempo pracy zaczęło wzrastać. Pod koniec pierwszego tygodnia cięli pięćset stóp kwadratowych w jeden dzień, a pod koniec drugiego liczba ta wzrosła do siedmiuset pięćdziesięciu. Joey Long został stałym pomocnikiem, jego zadanie polegało na odzieraniu pni z kory.

- Dobra robota, chłopcy! - powiedział radośnie porucznik King do zespołów traczy po odpłynięciu „Golden Grove” dwudziestego ósmego dnia tegoż miesiąca. - A teraz zabieramy się do budowy nowych domów, poinformowano mnie bowiem, że wkrótce będzie tu o wiele więcej ludzi. Teraz jest nas sześćdziesięciu, pod koniec przyszłego roku ma być dwustu, a rok później jeszcze więcej. Jego ekscelencja chce, aby wyspa Norfolk i Port Jackson były tej samej wielkości.

King przechadzał się z jednego końca dołu trackiego na drugi, a następnie z powrotem do szóstki zebranych ludzi.

- Jestem wam winien trochę wolnego czasu. Tutaj na wyspie Norfolk pracujemy dla rządu od poniedziałku do piątku. W soboty pracujecie dla siebie, a w niedziele odpoczywacie - ale po nabożeństwie, na które ja chodzę i które jest obowiązkowe dla każdej żywej duszy, rozumiano? Kiedy ładowaliśmy „Golden Grove”, pracowaliście dla rządu przez dwie soboty i dwie niedziele. Ponieważ dzisiaj jest wtorek, nikt z was nie będzie pracował dla rządu aż do następnego poniedziałku. Radzę wam spożytkować trochę tego czasu na cięcie drewna na własne domy. Po prostu ciągnijcie dalej ten rząddek na wschód. Mieszkańcy danego domu mogą przeznaczyć ziemię za nim aż do bagna na własny ogród warzywny. Rzezucha wspaniale rośnie na mokradłach i robaki jej nie jedzą. Hodujcie więc rzezuchę, bez względu na to, na co jeszcze macie ochotę i czego nie ma w magazynach.

Oczy jego spoczęły na Richardzie, naczelnym traczy, który jednak nie był wolnym człowiekiem.

- Morgan, musisz mi zdać raport. Przejdź się teraz ze mną, jeśli możesz.

„On rzeczywiście ma dobre maniery” - pomyślał Richard, idąc obok komendanta ścieżką wiodącą z dołu do rezydencji gubernatorskiej i szop służących za składy. W jednej z nich zauważył płaskodenną łódź i mniejszą od niej, zrobioną z kawałków starej łodzi, która rozbiła się na rafie, w wyniku czego utonęło czterech mężczyzn. Willy Dring, Joe Robinson, Neddy Smith i Tom Watson - czterech młodych, silnych i nieżonatych mężczyzn, szalejących na punkcie morza, miało obsługiwać tę łódź i, kiedy się tylko da, łowić ryby.

- Odkryłem, że mój dom nie jest usytuowany na twardym podłożu, którego jest tu najwięcej, mogłem więc usunąć część miękkiej skały i zrobić małą suchą piwnicę. Zrobiłem

to samo pod domem doktora Jamisona, który obecnie jest magazynem, a jego przenieśliśmy do doliny. Specyfika tego wybrzeża spowodowała, że wszystkie domy wzniesiono w kierunku wschodnim na tym skalistym, wyżej położonym terenie, pomiędzy odcinkiem prostej plaży a bagnem. Mogliśmy w związku z tym umocować belki wspornikowe w skale - wyjaśniał porucznik King, kiedy przechodzili obok rezydencji rządowej. - Czy lubisz ryby? - zapytał, zmieniając nagle temat, co Richard uważał u niego za typowe.

- Owszem, panie poruczniku.

- Myślałby kto, że te pierdolce będą się cieszyć ze świeżej ryby zamiast solonego mięsa, większość jednak jest oburzona, kiedy wydają rybę albo mięso żółwia. Zaskakuje mnie to, naprawdę. - Wzruszył ramionami. - A zatem, jeśli są uparci, nakazuję ich chłostać. Wygląda na to, że ciebie, Morgan, nie będę musiał chłostać.

Richard uśmiechnął się.

- Z całą pewnością wolę rybę od bata, panie poruczniku. Od kiedy zostałem skazany, jeszcze nigdy mnie nie wychłostano. - Zauważyłem, że tak zachowuje się wielu z was. Dobrze, że wprowadziłeś dwuzmianowy podział pracy. Jedna drużyna trzciny nie wystarczała. Jak sądzisz, Morgan, jakiej wielkości belki są najlepsze, biorąc pod uwagę narzędzia, które tu mamy?

- Najwyżej o średnicy sześciu stóp, panie poruczniku, dopóki nie dostaniemy dłuższych pił tarcicowych. Przydałoby się nam na tyle duża piła poprzeczna, aby mogło nią ciąć dwóch ludzi, więc przerabiam naszą jedyną ośmiostopową piłę wzdłużną na coś, czym dałoby się ciąć w poprzek słoja lepiej niż piłami wzdłużnymi - powiedział Richard, czując się bardzo swobodnie przy tym człowieku.

„Różni się od majora Rossa jak kreda od sera, a jednak z majorem Rossem również się zgadzałem. Ten człowiek przejawia ojcowską troskliwość i uważa nas za swoją rodzinę, a to nie leży w naturze majora. Przyjazd na wyspę Norfolk uświadomił mi jednak, jak bardzo uszczuplali nasze racje w celu uzupełnienia własnych, za co nawet nie mogę ich winić. Żołnierze też są głodni. Ani gubernator Phillip, ani major Ross nigdy nie byli świadkami tego, co Furzer wyprawiał w magazynach, co tylko dowodzi, że im większy rząd, tym mniej wie, co dzieje się na dole.

Porucznik King jest skrupulatny, sam trzyma odważniki i sprawdza ich ciężar zgodnie ze swoim standardowym zestawem. Dostaliśmy posiłek ze świeżego żółwia i parę innych z najsmaczniejszej ryby, jaką kiedykolwiek w życiu jadłem. Po pierwszym posiłku ze świeżego mięsa wszyscy poczuliśmy się tysiąc razy lepiej. Nie mówiąc już o tym, że zawsze są jakieś świeże warzywa. Na wyspie Norfolk nie ma szkorbutu, pomimo tych wszystkich robaków i

szczurów. Potrafię jednak zrozumieć awersję niektórych ludzi do marynarskich posiłków - nie wychowali się rybami i uważają mięso za jedyne możliwe do przyjęcia jedzenie. Potrzebna jest nam również sól. Według tego, co mówił kuzyn James aptekarz, im więcej człowiek się poci, tym bardziej potrzebuje soli. Tak bardzo się cieszę, że tu jestem. Przyjemniej tu niż w Po Jackson i nie trzeba się obawiać tubylców, jeśli się człowiek zapyści głębiej w puszczy. Choć według opowieści krążących wokół ognisk, drzewa i pnącza są tu tak gęste, że nawet porucznik King beznadziejnie się kiedyś zgubił”.

- Co masz dla mnie w raporcie, Morgan? - zapytał King, kiedy przechodzili przez bagno po chybottym mostku, ustawionym na palach ponad ścietymi sosnowymi belkami zatopionymi w grzęzawisku, najwidoczniej niezbyt głębokim.

- Tylko tyle, że nad dołem trackim potrzebny jest dach dla ochrony przed słońcem i deszczem. A jeśli chce pan wybudować coś, do czego potrzebne są belki dłuższe niż dwanaście stóp i bez złączeń, trzeba będzie wykopać drugi dół, poruczniku, nieco dłuższy.

- Nad dołem był kiedyś dach, ale zdmuchnęła go zimowa wichura - mogę ci zaręczyć, że te bywają tu bardzo gwałtowne. Posłużyłem się jego szczątkami do podparcia piwnicy w moim domu, zdaję sobie jednak sprawę z tego, że trzeba wybudować nowy dach, i to szybko. Z każdym dniem słońce pali coraz mocniej.

Przeszli przez bagno na odległy brzeg małego strumienia, który zdawał się raczej ginać w moczarach aniżeli przez nie przepływać. King skręcił w lewo i ruszył ścieżką biegnącą przez krętą dolinę, szerszą na dnie aniżeli którakolwiek z rozpadlin pomiędzy stromymi pagórkami schodzącymi w dół do miejsca nazwanego przez Kinga miastem Sydney.

- A jak tam piły? - zapytał King.

- Przybyłem tu w samą porę - odparł swobodnie Richard.

- Hmm. Lepiej zatem, że major Ross przysłał ciebie aniżeli prawdziwego tracza. Nie było tu nikogo, kto dobrze znałby się na ostrzeniu. Dobrze wiedzieć, że potrafisz przerabiać piły wzdłużne na poprzeczne. To pozwoli nam na dalszą dostawę kłód. Zauważyłem, że skończyliście już z kłódami przywleczonymi do dołu.

Zatrzymał się tuż przed doliną i skręcił, aby ominąć urwisko po północnej stronie.

- Nazywam to miejsce Doliną Arthura, na cześć jego ekscelencji. Tę dużą wyspę, bardziej na południe, obdarzyłem jego nazwiskiem - to Wyspa Phillipa. Uprawa roślin przenosi się stopniowo z miasta Sydney tutaj, za względu na naturalną osłonę przed południowymi wiatrami, a mam nadzieję, że również przed wschodnimi po tamtej stronie urwiska. Ten pagórek na południu, pomiędzy Doliną Arthura a morzem, to góra George i

powoli ją karczujemy, żeby na niej i na tych pagórkach na północy uprawiać zboże. Zasiałiśmy już trochę pszenicy i kukurydzy, a tam na dole jęczmień. A zatem nowy dół tracki powinien być gdzieś w pobliżu. Obecny jest za daleko, lecz można w nim nadal ciąć kłody o długości dwunastu stóp, ściągane z miasta Sydney i ze wzgórz za nim.

Okrażyli urwisko i patrzyli ku zachodowi. Podłoże doliny opadało tu gwałtownie, strumień spadał cienką kaskadą w dół zbocza. Komendant wskazał na niego.

- Zamierzam wybudować tamę na strumieniu, właśnie na tej pochylni, Morgan. Nad tym spadkiem jest wystarczająco duży, wklęsły teren, że wystarczy na utworzenie obszernego zbiornika wody, którą będziemy mogli spuszczać przez upust, aby nawadniać nią rządowe ogrody położone niżej. Pewnego dnia, mam nadzieję, będzie można zainstalować koło wodne na tej tamie. W tej chwili jesteśmy zmuszeni do używania ręcznych żaren do mielenia zboża, ale mamy odpowiedni kamień młyński. Będziemy mogli go użyć, jeśli uzyskamy odpowiednią moc, która go poruszy. Gdybyśmy mieli woły lub muły, już byśmy go używali. Można również posłużyć się w tym celu ludźmi, ale nie mamy ich tu wystarczająco wielu. Jednak pewnego dnia, pewnego dnia! - Roześmiał się i zatoczył dookoła rękami. - Spichlerz, jak widziałeś, jest już prawie ukończony, planuję jednak wybudować wielką stajnię z wybiegiem dla zwierząt tam, na południowym brzegu strumienia. Ach, te słone wiatry, Morgan, te słone wiatry! One hamują wzrost wszystkiego, co żywe, z wyjątkiem sosen, lnu i miejscowych drzew, które rosną pod ich osłoną. Znalazłem tu len - te dumie w Port Jackson niedokładnie opisały mi tę roślinę. Można z niego robić wysmienite strzechy, ale nie zdołaliśmy jeszcze uzyskać z niego materiału.

Roześmiał się znowu i wrócił do tematu Doliny Arthura.

- Tak, te słone wiatry. Musimy znaleźć jakieś lepsze miejsce pod uprawę jarzyn od tego kopca naprzeciwko Wyspy Phillipa. Próbowałem stawiać płoty dla osłony roślin, ale to nic nie pomogło, więc jarzyny zostaną przeniesione do doliny.

A potem udał się gdzieś w jakiejś ważnej sprawie, o której rzekomo nagle sobie przypomniał, zostawiając Richarda w Dolinie Arthura.

Zrobiło się duszno i zbierało się na deszcz. Choć Richard pragnął iść i zwiedzać dalej, zdecydował, że mądrzej będzie, jeśli wróci do miasta Sydney. Przybył w samą porę, bo gdy tylko wszedł do domu, zaczęło lać. Joey pośpiesznie wrócił z ich ogrodu z MacGregorem u nogi i Richard po raz pierwszy zaczął się zastanawiać, jak będzie spędzać czas w deszczowe dni, dopóki nie zostanie wybudowany nowy dach nad dołem trackim. Czytanie było dobrym zajęciem, lecz jadł teraz tak dużo, że pragnął zużywać nadmiar fizycznej energii. Deszcz okazał się ciepły, zostawił więc chatę Joeyowi, któremu wystarczyło, że mógł się położyć na

łóżku, przytulić do siebie psa i nucić coś fałszywie.

Przeszedł w butach po plaży - ostrzeżono go, że ten skalisty żwir jest ostry niczym brzytwa i boleśnie kaleczy stopy. Półkolistą zatoczką Turtle Bay wyglądała równie ponętnie w deszczu, jak w słońcu. Jej dno pokrywał czysty piasek, woda była niczym kryształ, sosny zaś rosły bardzo blisko brzegu. Richard ściągnął z siebie przemoczone ubranie i wszedł do wody popływać, przekonawszy się, że woda jest o wiele cieplejsza w deszczu aniżeli w słońcu. Później ubrał się w brezentowe spodnie i buty, zarzucił koszulę na ramiona i zaczął się rozglądać, szukając jakiegoś miejsca, w którym mógłby się schronić i popatrzeć na wzburzone morze.

Stephen Donovan wpadł na podobny pomysł, Richard znalazł go bowiem pod osłoną odkrywki na Point Hunter, gdzie rosło parę sosen, spoglądającego w dół na rafę koralową w kierunku odległego, wystającego cypla Point Ross na zachodzie.

- Czy widziałeś kiedyś coś równie pięknego? - zapytał Stephen.

Richard położył koszulę na skale i usiadł, objąwszy ramionami kolana. Deszcz ustał na chwilę i zaczęło wiać z północy. Wielka przybrzeżna fala uderzyła z łoskotem o rafę; czoło fali podwinęło się niczym atlasowy szal, zanim eksplodowało ścianami białej piany. Przeciwny wiatr pochwyił ją i rzucił z powrotem, unosząc w powietrzu ponad innymi falami niczym wlokące się za nimi smugi pióropuszków i welonów.

- Nie, nie sądzę - odpowiedział.

- Patrzę, aby być świadkiem narodzin Afrodyty.

Niebo przejaśniło się na południu i zachodzie, pozwalając zachodzącemu słońcu zamienić tę unoszącą się beładnie pianę w złoto. Potem znowu zaczął padać deszcz, lecz tym razem lekki.

- Urzeka mnie to miejsce - powiedział Stephen, wzdychając.

- Ja natomiast cały czas spędzam na dnie dołu z piłą na kolanach - odparł Richard z krzywym uśmiechem. - A jak się panu tu układa?

- Jako nadzorcy więziennej siły roboczej?

- Aha.

- To nie jest przyjemna praca, Richardzie. Pamiętasz Lena Dyera?

- Jakże mógłbym zapomnieć tego cwaniaka?

- Parę dni temu doprowadził mnie do ostateczności, kiedy powiedział, że nie ma zamiaru przyjmować rozkazów od zadzierającej kieckę katolickiej dziwki handlującej gównem i że kiedy opanuje całą wyspę, będę pierwszym, którego zabije. Zaraz po mnie ma umrzeć moja umizdrzona blond lalczka, panna Molly Livingstone. Najwidoczniej jednak

podoba mu się określenie „katolicka dziwka”, posługiwał się nim bowiem częściej aniżeli „panną Molly”.

- To londyńczyk, oni tak mówią. - Richard odwrócił się, żeby na niego spojrzeć, lecz Donovan patrzył prosto przed siebie. - Co się później stało, panie Donovan?

- Och, wolałbym, żebyś mówił do mnie Stephen! Tylko Johnny tak się do mnie zwraca. - Podniósłszy ramiona, skulił w nich głowę. - Skazałem go na czterdzieści osiem batów i kazałem szeregowcowi Heritage’owi wykonać chłostę. Na szczęście Dyer też nie zaskarbił sobie serca Heritage’a, więc wymierzył mu je mocno, i to najgorszym batem. Francis, Peck, Pickett i jeszcze paru innych szemrało, ale zamknęli się, gdy zobaczyli plecy Dyera. - W końcu jego oczy spoczęły na Richardzie, z brutalnym wyrazem. - Pewnie myślisz, że zrozumieli, że mężczyzna, który woli swą własną pleć, niekoniecznie musi być miękki lub bojaźliwy? Ależ nie! No cóż, przeżyłem ponad piętnaście lat na morzu i zdobyłem sobie szacunek, więc nie mam zamiaru przyjmować policzków od takich jak Len Dyer. Co dałem mu do zrozumienia.

- Gdybym był na pana miejscu, pilnowałbym się - ostrzegł go Richard. - Niestety, nie wiem nic o tym, co się tutaj dzieje między ludźmi, którzy pracują razem ze mną w trackim dole, jednak już na „Golden Grove” czułem w powietrzu coś złowieszczonego. Ale nie wiem, o co chodziło. O niczym przy mnie nie mówiono i niczego nie robiono od czasu, kiedy dałem im nauczki. Być może Dyer sprawdzał w ten sposób temperaturę wokół pana, kiedy odezwał się tak bezczelnie. Jeśli tak było, to ma pana zapisanego w swych książkach jako - Richard uśmiechnął się - nie wdzięczącą się katolicką dziewczynę. Mówię szczerze, miej się pan na baczności.

Stephen podniósł się na nogi.

- Już czas na kolację - powiedział, wyciągając rękę, żeby pomóc Richardowi wstać. - Jeśli coś usłyszysz, powiedz mi.

Nazajutrz rano stolarze zajęli się budową zadaszania nad dołem trackim, a zatem gdy tylko Richard zjadł resztkę pozostałego chleba z paroma kęsami rzeżuchy, wybrał się do Doliny Arthura, idąc wzdłuż północnego brzegu strumienia. W pobliżu miejsca, gdzie porucznik King zamierzał wybudować ogromną stajnię, grupa więźniów zaczynała już kopać nowy dół tracki, wystarczająco duży, by móc w nim ciąć kłody długości trzydziestu stóp. Zatrudniono przy tym wszystkich malkontentów z wyjątkiem chwilowo niezdolnego do pracy Dyera. Nadzorował ich Stephen wraz z dwoma żołnierzami z „Golden Grove”, jak zauważył z zadowoleniem Richard.

„Stephen nie może pragnąć bardziej ode mnie, abym mógł zwracać się do niego po imieniu” - pomyślał Richard, pomachawszy Donovanowi. - „Jestem jednak skazańcem, a on wolnym człowiekiem i to nie uchodzi”.

Szedł dalej wzdłuż północnego urwiska do miejsca, w którym strumień spada wzdłuż stromego zbocza, gdzie King chciał wybudować tamę. Stojąc na szczycie wzniesienia, zrozumiał, dlaczego komendant wybrał właśnie to miejsce - tam, gdzie dolina rozszerzała się ponownie, znajdowało się duże zagłębienie.

Wycinka drzew odbywała się nieco dalej i powoli pięła się wzdłuż dolnych części stoków pagórków, równie stromych jak te, które znajdowały się w mieście Sydney. Kiedy zobaczył banany, rozpoznał je natychmiast dzięki rysunkom w swoich książkach, i zachwycał się ich wielkością i dojrzałością. „Taki przyrost zaledwie w ciągu ośmiu miesięcy? Nie, to niemożliwe. King dotarł do doliny niedawno, co oznacza, że banany zawsze rosły na wyspie Norfolk. Podarunek od Pana Boga - długie kiście małych, zielonych bananów były już uformowane, a więc w nadchodzących miesiącach będą do jedzenia owoce - i to sycące”.

Tam, gdzie dolina się zwężała, wycinka nagle się skończyła, choć ścieżka prowadziła dalej w las wzdłuż strumienia, który miejscami miał tu parę stóp głębokości i był tak przejrzysty, że Richard mógł dojrzeć pływające w nim maleńkie, nieomal przezroczyste krewetki. Wokół obozowego ogniska mówiono o dużych węgorzach, lecz tych nie zauważył.

Lśniące, zielone papugi śmigały mu nad głową, a gołąb gardłacz zagruchotał zaledwie parę cali od jego twarzy, tak jakby pragnął o czymś powiedzieć. Dotrzymywał mu towarzystwa przynajmniej przez następne sto jardów, ciągle do niego zagadując. Richardowi wydawało się, że zobaczył przepiórkę, a potem natknął się na najpiękniejszą w świecie gołębicę - delikatną, różowo - brązową i mieniącą się szmaragdową zielenią. Była oswojona! Po prostu spojrzała na niego i odeszła kołyszącym się krokiem, kiwając główką obojętnie. Były tam i inne ptaki - jeden z nich wyglądał jak kos, tyle że miał szarą główkę. Powietrze przepełniały śpiewy, zupełnie inne niż te, które słyszał w Port Jackson - melodyjne, z wyjątkiem skrzeczenia papug.

Od chwili przyjazdu nie zdążył jeszcze przyjrzeć się tutejszej sośnie, a to z prostego powodu - pojedyncza sosna Norfolk w ogóle nie istniała. Technika wycinki stosowanej przez Kinga polegała jak dotąd raczej na ogałaniu terenu z wszystkich drzew aniżeli na wycinaniu jednych i pozostawianiu innych. Richard odkrył, że owe ogonki, które wyścielały podłogę w jego chacie, były liśćmi sosen - jeśli w ogóle można je było nazwać liśćmi. Po obu stronach ścieżki rósł gęsty las, nieprzenikniona puszcza, do której bynajmniej nie kusiło go wejść, choć w niczym nie przypominała puszczy, o jakiej czytał w książkach. Podszycia w ogóle tu nie

było - zostało wyparte przez sosny rosnące bardzo blisko siebie. Z całą pewnością bardzo niewiele było tu młodych drzew - niektóre miały średnicę około piętnastu i więcej stóp, większość jednak była wielkości kłód, do cięcia których ostrzył piły, a bardzo niewiele było cienkich. Miały szorstką korę, brązową i podbarwioną purpurą, i rosły zaskakująco wysoko, zanim zaczynały się rozgałęziać. Niekiedy pomiędzy nimi rosły jakieś zielone, liściaste drzewa, lecz większość przestrzeni zajmowały pnącza winorośli, jakich nigdzie jeszcze nie spotkał. Ich główne pnie były grubości uda mężczyzny, poskręcane, zwinięte, oplatające się nawzajem; strzelały w górę w sękatych garbach i guzach i splatały się w rzadszych partiach winorośli w chaotyczny gąszcz. Kiedy dotarły do młodego i słabego drzewka, dusiły je lub wyginały nieszczęsną roślinę na bok, zmuszając do wzrostu o stopę dalej od miejsca, w którym jej pień zapuszczał się w ziemię.

Dolina rozszerzała się w miejscu, gdzie rośło więcej bananowców okrytych kiśćmi zielonych owoców i jeszcze jedno dziwaczne drzewo, które, podobnie jak one, rośło jedynie w pobliżu wody. Miało okrągły pień, trochę podobny do rosnących nieopodal palm, sztywne, proste liście osłonięte ostro zakończonymi guzami, a na szczycie koronę z czegoś, co można byłoby nazwać liśćmi paproci. Gigantyczna paproć! Paproć, która rosła niczym drzewo o wysokości czterdziestu stóp!

Nadleciały inne ptaki, a pośród nich mały kremowo - brązowy zimorodek, mieniący się niebiesko - brązowymi kolorami laguny. Najbardziej tajemniczego ptaka spośród nich Richard nawet nie zauważył, dopóki ten się nie poruszył, wyglądał bowiem jak przedłużenie pokrytego mchem pnia, na którym siedział. Jego ruch był nagły i zaskakujący, aż Richard mimowolnie podskoczył. Była to ogromna papuga.

- Cześć! - odezwał się. - A jak się dziś miewasz?

Przechyliła na bok głowę i podeszła do niego, lecz miał na tyle rozsądku, żeby nie wyciągać ku niej ręki - ten ogromny, paskudny, czarny dziób zdawał się na tyle mocny, że mógł mu urwać palec. Potem, zadecydowawszy najwidoczniej, że nie był godny uwagi, papuga zniknęła w podszyciu z paproci i szerokolistnych roślin rosnących wzdłuż brzegów strumienia.

W drodze powrotnej zauważył krzew, który z pewnością nie mógł współzawodniczyć z leśnymi gigantami. Pień jego był bardzo gładki i różowy, a liściaste gałęzie zdobiły jaskrawoczerwone jagody wielkości małych śliwek. „Odważyć się czy nie?” - parę tygodni przed utonięciem nieszczęsny tracz Westbrook zjadł jakiś miejscowy owoc, który wziął za fasolkę windsorską, i nieomal przypłacił to życiem. Richard nacisnął jeden z owoców i przekonał się, że jest twardy i niedojrzały. Cokolwiek to było, z całą pewnością jeszcze nie

nadawało się do spróbowania. „Później - obiecał sobie - spróbuję tylko jeden. Nie wierzę, aby zjedzenie tak małej ilości czegokolwiek mogło mnie zabić”.

Słońce skłaniało się już ku zachodowi, kiedy wracając po swoich śladach, wkroczył do Doliny Arthura akurat na czas, by móc się przyłączyć do innych podczas posiłku. Było to niepowtarzalne miejsce i w żaden sposób nie dało się go porównać z Nową Południową Walią. Zupełnie inne drzewa, inna ziemia, wzgórze, inne skały i ani jednego źdźbła trawy. Być może była to pierwsza boża próba stworzenia ziemi z morza? A może ostatnia? Jeśli ostatnia, to nie dał jej ludzi. Co mogło skłonić takich jak Jem Thistlethwaite do stwierdzenia, że Bóg doszedł do wniosku, iż człowiek nie był pożądanym dodatkiem w Jego menażerii?

- Czy są tam jakieś węże? - zapytał Nata Lucasa, którego bardzo polubił, podobnie jak starego Dicka Widdicombe'a, liczącego już siedemdziesiąt lat. Dlaczego Londyn wysyłał starych ludzi do karczowania nowych miejsc?

- Jeśli są, pozostały niewidoczne - odparł Nat. - Jeszcze nikt nie widział tu żadnej jaszczurki, żaby czy pijawki, tak jakby nie było tu zwierząt lądowych z wyjątkiem szczurów o bardzo dziwnym wyglądzie. Te na wyspie Norfolk są jasnoszare o białych brzuchach i niezbyt duże.

- Ale pożerają wszystko, co się tylko da - stwierdził Ned Westlake. - Szczur to szczur.

Nazajutrz o świcie Richard wybrał się na wschód, decydując się na spacer wzdłuż piaszczystej zatoczki Turtle Bay, zanim wdrapał się na górę, aby przedostać się na drugą cudowną plażę, nie chronioną przez żadną rafę. Tutaj piasek przedostawał się w głąb lądu na tratwach z gnijących kłód, a za tą plażą, nieco dalej poza jej zakolem, wznosiło się ogromne urwisko. Zobaczył tu jeszcze więcej sosen - rosły wszędzie, nawet na skałach, co stanowiłoby niebezpieczne połączenie, gdyby morze było wzburzone. Teraz jednak pogoda była doskonała, a z północnego zachodu powiewał orzeźwiający wietrzyk. Trwał odpływ, więc Richard musiał wrócić, zanim nastanie połowa przyływu. Dwa małe strumyczki zjednoczyły siły na małym, płaskim obszarze, za którym woda lśniła już nadziemską akwamaryną. Przez chwilę próbował wspiąć się na skałę prowadzącą do tego dużego cypla, ale zaniechał tego. To nie miało sensu.

Wróciwszy do Turtle Bay, zastał dwóch mężczyzn, których wcześniej tu nie widział. Przewracali na skorupę olbrzymiego żółwia, który leżał tak, wymachując bezradnie płetwami.

Musieli być braćmi i nie wyglądali na ludzi, którzy odsiadali karę w angielskim więzieniu. Obydwaj byli szczupli i młodzi, o brązowych skórkach, włosach i oczach i robili wrażenie porządnych.

- Aha! Ty pewnie jesteś Morgan - odezwał się jeden z nich. - Nazywam się Robert

Webb, a to jest mój brat, Thomas. Używamy pełnych imion. Pomóż nam spętać tę ślicznotkę - jutro na obiad będzie zupa z żółwia.

Richard pomógł im mocno zawiązać linę na piersiach stworzenia, tak aby nie zrzuciło jej płetwami.

- Jesteśmy ogrodnikami - powiedział Robert, który jeśli nie był starszy, to z pewnością pełnił obowiązki rzeźnika.

- Dzięki za przywiezienie kobiet. Thomas za nimi nie przepada, aleja byłem już bliski rozpaczy.

- Którą sobie wybrałeś? - zapytał Richard, zastanawiając się, dlaczego on mu dziękował.

- Beth Henderson, to dobra kobieta. Oczywiście musieliśmy się rozstać z Thomasem - mówił radośnie Robert, podczas gdy jego brat skrzywił się na te słowa. - Zamieszkał z panem Aintree w Dolinie Arthura, gdzie dużo się teraz sadi.

Wrzucili żółwia do wody i ciągnęli go wzdłuż Turtle Bay, mężczyźni zanurzeni w wodzie po kolana. Richard pomógł braciom Webb wyciągnąć go na prostą plażę w pobliżu miejsca, gdzie wyszli na ląd, a potem zostawił ich, by powrócić do swojej chaty.

- **Porucznik King cię szukał** - poinformował go Joey.

A zatem Richard znowu musiał wyjść. Odnalazł komendanta przy drugim dole trackim, już wykopanym, który teraz należało wzmocnić deskami.

- Złapaliśmy żółwia, panie poruczniku - powiedział Richard, salutując.

- O, to wspaniale! Wyśmienicie! - King odwrócił się, aby odejść na bok, i spojrzał na swego naczelnego tracza. - Nie pozwalam zabijać zbyt wielu żółwi, bo w końcu nie będzie tu żadnych - powiedział. - Nie pozwalam też wykopywać jaj. Nie ma tu ich tak wiele jak na Wyspie Lord Howe, więc nie można doprowadzić do tego, by wyginęły.

- Tak jest, panie poruczniku.

Następnie porucznik King ujawnił jedną z bardziej denerwujących cech swego charakteru - najprawdopodobniej zapomniał już o tym, że dwa dni wcześniej, kiedy gratulował swoim drużynom traczy, dał im wolne do poniedziałku.

- Jutro zaczniemy cięcie - oznajmił. - I zamierzam wybudować trzeci dół tracki nieco dalej w głębi doliny, za miejscem, w którym zbudujemy tamę. A to oznacza, że będziemy potrzebowali więcej traczy. Wiem na ten temat tylko tyle, że jest to wyjątkowo ciężka robota i nie mogą jej wykonywać słabowici mężczyźni, i tobie, Morgan, pozostawiam wybór odpowiednich ludzi. Możesz wybrać, kogo chcesz, ale nie spośród stolarzy. Zadaszenie nad

starym dołem jest już wzniesione, więc jutro zaczniecie ciąć deski na sufit w spichlerzu. I będziecie pracować także w soboty, choć zgodnie z prawem, dzień ten powinien należeć do was. Trzeba jednak ukończyć spichlerz, wkrótce będziemy zbierać plony.

Przygotował się do odejścia.

- Pomyśl, kogo chcesz wziąć, Morgan, i daj mi znać w poniedziałek.

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedział Richard drewnianym głosem.

„Dwa doły to cztery drużyny, trzy - wymagają sześciu. Chryste, nigdy nie będę miał okazji spróbować samemu ciąć! Ned Westlake, Bill Blackall i Harry Humphreys nie nauczyli się posługiwać pilnikiem. Jedynym mężczyzną, który wykazywał jakiejkolwiek zdolności do tego zajęcia, był Will Marriner. Będę musiał zostawić go w starym dole, żeby tam ostrzył, podczas gdy ja sam przeniosę się do Doliny Arthura. Piły wymagają podostrzenia po przecięciu od dziesięciu do dwunastu stóp drewna. Kto jednak miałby ochotę ciąć? Ludzie nie cierpią tej pracy i robią to bardzo niechętnie. Łasice takie jak Len Dyer, Tom Jones, Josh Peck i Sam Pickett są nie do zdobycia. John Rice, jeden z pierwszych przybyłych na wyspę, jest odpowiedniej postury, ale to wytwórca lin, a zatem nie wchodzi w rachubę. John Mortimer i Dick Widdicombe są na to za starzy, a Noah Mortimer jest próżniakiem, ciągle popadającym w jakieś tarapaty za to, że się nie wysila. Jeśli ktoś nie lubi pracy fizycznej, nic nie zrobi bez przymusu - i tak też będzie w przypadku Noaha. Charlie McClellan jest taki sam, to bardzo młody osadnik z pierwszego transportu.

Kogo zatem wziąć z „Golden Grove”? Johna Andersona - owszem. Sama Husseya - też. Jim Richardson, który związał się z Susannah Trippett, bez problemu sobie z tą robotą poradzi, nawet jeśli nie będzie tego robił z entuzjazmem. Hussey i Thompson to dziwacy i już budowali sobie własne chaty, bo nie mogli wytrzymać towarzystwa innych”. Obaj przypominali Richardowi Taffy’ego Edmunda. Jeśli zaś chodzi o Andersona - ten pozostawał niewiadomą. W czasie niedzielnego nabożeństwa o jedenastej rano Richard dziękował Bogu za swój status więźnia - przynajmniej nigdy nie będzie zmuszony skazać człowieka na chłostę. Musi jednak znaleźć jakiś inny sposób na to, by się upewnić, że jego tracze będą pracować, tworząc pary dobrego pracownika z wątpliwym i nigdy nie pozostawiając razem dwóch wątpliwych.

- Uda mi się stworzyć najwyżej cztery drużyny - poinformował Stephena, kiedy poszli w niedzielę wieczorem popływać w Turtle Bay. - Wygląda na to, że jestem skazany na ostrzenie pił. Wydaje się, panie Donovan, że to taka prosta praca, a mimo to większość mężczyzn nie ma o niej pojęcia. Nawet się nie starają ustawić zębów pod właściwym skosem, nie mają też wycucia w palcach, co jest konieczne w tej pracy. Och, jakżebym chciał mieć tu

Taffy'ego Edmunda! Nie tylko potrafiłby ostrzyć równie dobrze jak ja, ale też spodobałoby mu się tutaj.

- Z tego, co słyszałem, ma tu przyjechać więcej ludzi, choć „Supply” nie może przywieźć zbyt wielu za jednym razem. A ponieważ znajdują jeszcze jakieś drzewa do ścinania w Port Jackson, więc obawiam się, że nie zobaczysz Taffy'ego zbyt prędko. Richardson jest dobrym, silnym facetem i myślę, że on się nada. Kto wie? Być może któryś z tej drugiej czwórki wykaże talent do ostrzenia. Choć nie rozumiem, Richardzie, dlaczego tak bardzo chcesz sam ciąć? - powiedział Stephen.

- Ponieważ w oczach ludzi, którzy to robią, moja praca jest dziecinną zabawką. Siedzę sobie ze skrzyżowanymi nogami niczym krawiec i wydaje im się, że nic nie robię. To jeden z powodów, dla którego wszystkim im każę tego spróbować. Każdy z nich wie, że jeśli okażą się dobrzy w ostrzeniu, będą mieli wygodną pracę. Jeśli w tym zawiodą, to przynajmniej zrozumieją, że ostrzenie jest pracą wymagającą cierpliwości i odpowiednich umiejętności.

Stephen rozłożył się na piasku i przeciągnął lubieżnie.

- Myślałbyś - powiedział - że Johnny, będąc marynarzem, powinien siedzieć tu teraz z nami. Ale nie, on woli zostać przed domem i heblować lub polerować jakiś fantazyjny kawałek drewna. Do czasu, aż przyplynie tu „Supply”, skończy balustradę do rezydencji gubernatora w Port Jackson - bez względu na to, ile to będzie trwało. Jakże my tu jesteśmy odizolowani! Więcej niż tysiąc mil przez pusty ocean dzieli nas od drugiego miejsca, w którym można byłoby spotkać innego Anglika. Odczuwam to za każdym razem, kiedy spoglądam na horyzont. Ta wyspa jest jak jakiś gigantyczny statek, zakotwiczony pośród morskiego bezkresu i otoczony nieskończonością. Jest zupełnie odcięta od reszty świata.

Richard obrócił się, żeby wysuszyć sobie plecy.

- Ja wcale nie mam wrażenia, że ta wyspa jest taka mała, choć zgadzam się z tobą co do tego odizolowania. Dla mnie wyspa Norfolk jest równie duża jak Nowa Południowa Walia. Można się tu trzymać na uboczu. Tutaj nie czuję, że jestem więźniem, podczas gdy w Port Jackson wszystko mi o tym przypominało.

- Więcej urzędników - stwierdził sucho Stephen.

- Czy Johnny daje sobie radę ze stolarzami?

- O tak. Głównie dzięki temu, że trzyma się swojej obrabiarki i jest na tyle rozsądny, aby nie mówić Natowi Lucasowi, jak ma wykonywać swoją pracę, albo pilnować, aby inni to robili. To ja najwięcej na tym cierpię.

- Niech pan będzie ostrożny. Mam złe przeczucia.

- Czy chcesz, żebym wyciągnął tych twoich nowych traczy z gangu?

- Będzie musiał zrobić to albo pan, albo porucznik King, któryś z was.

- Ja to zrobię. King jest jak błędny ogień, ciska się tu i tam, wszędzie go pełno. Ciągłe zaczyna coś nowego, zanim skończy, co już zaczął, i nigdy nie pamięta, że ma za mało rąk do pracy do wykonania tego, co zaczął, nie mówiąc już o tej nowej robocie. Dlatego też nalegałem, żeby skończył najpierw spichlerz, zanim się weźmie do budowy obory czy tamy. A oprócz tego wszystkiego chce budować jeszcze więcej domów. No ale on zawsze służył na dużych okrętach, na których jest więcej rąk do pracy aniżeli potrzeba, z wyjątkiem bitwy lub burzy.

- To mi o czymś przypomniało, panie Donovan. Joey i ja śpimy na podwójnych łóżkach z puchowymi materacami i poduszkami. Według prawa należą się one panu i panu Livingstone'owi. Wywołało to burzę śmiechu.

- Zatrzymajcie je sobie, hedoniści! Johnny i ja śpimy w hamakach. - Spojrzał na Richarda z drwiącym błyskiem w oczach. - Kiedy mężczyźni się kochają, Richardzie, nie jest im potrzebne wielkie łóżko. To kobiety lubią wygodę.

Richard zabrał ze sobą Neda Westlake'a i Harry'ego Humphreysa do nowego dołu trackiego w Dolinie Arthura oraz Jima Richardsona i Junona Andersona - ten John wolał, aby tak go nazywano.

Oczywiście tempo pracy znacznie zmalało, ku wielkiemu niezadowoleniu porucznika Kinga.

- Wyprodukowanie zaledwie siedmuset dziewięćdziesięciu stóp drewna zajęło wam aż pięć dni! - powiedział z oburzeniem do Richarda.

- Wiem o tym, panie poruczniku, ale dwie z czterech naszych drużyn są nowe w tej robocie, a pozostałe dwie zajęte są ich szkoleniem - wyjaśnił Richard z szacunkiem, lecz stanowczo. - Musi pan pogodzić się z tym, że przez jakiś czas będziemy dostarczać mniej drewna. - Zacerpnął powietrza i postanowił powiedzieć wszystko. - Jak również, panie poruczniku, nie może pan oczekiwać, że drużyny traczy czy ja będziemy obdzierali kłody z kory. Stary dół ma Joeya Longa, który robi to na stałe, podczas gdy w nowym nie ma nikogo, kto regularnie przygotowywałby kłody. Ja ostrzę piły i nie mam czasu na nic innego, muszę bowiem przygotowywać te duże narzędzia dla Marrinera, jak również ostrzyć piły moim ludziom tutaj. Czy ci, którzy ścinają drzewa, nie mogliby ich również odzierać z kory? Im dłużej pozostawia się korę, tym większe ryzyko, że dobiorą się do nich robaki żywiące się drewnem. A wśród ludzi, którzy ścinają drzewa, powinien być ktoś, kto przyglądając się każdemu z drzew przed jego ścięciem, potrafi oszacować jego przydatność. Połowa z pni,

które tu dostajemy, jest niezdatna, lecz zanim zdążymy im się przyjrzeć, tych, którzy je tu przywlekli, dawno już nie ma. Musimy zatem tracić cenny czas na przekładanie ich na stos drewna do palenia.

O, porucznikowi bynajmniej nie spodobała się ta mowa! Zmarszczył się okropnie, jeszcze zanim Richard powiedział połowę z tego. „W takim razie - pomyślał Richard, patrząc w te rozzłoszczone, orzechowe oczy bez mrugnięcia - czeka mnie chłosta za bezczelność. Lecz mimo wszystko lepiej teraz niż później, kiedy sytuacja stanie się jeszcze gorsza, bo on uprze się na ten trzeci dół, pozostawiając nas z jedną zapasową piłą, skoro tę o długości ośmiu stóp już zamieniłem na narzędzie tnące poprzecznie”.

- Zobaczymy - powiedział w końcu King i odmaszerował w stronę stolarzy i swojego nowego spichlerza. Każdy cal jego odchodzącej postaci emanował oburzeniem.

- **A co - zapytał King** Stephena Donovana przy obiedzie w gubernatorskiej rezydencji - sądzisz pan o nadzorcy traczy?

Brzemienna Ann Innet już nie zasiadała z nimi do posiłku, przyniosła tylko jedzenie i zniknęła. Karafka porto była opróżniona do połowy i przed zakończeniem obiadu będzie już zupełnie pusta. Komendant zawsze był bardziej dobroduszny po południu aniżeli rano, o czym Richard Morgan jeszcze nie wiedział. Porto było głównym grzechem Kinga - nie było dnia, żeby nie wypił przynajmniej dwóch butelek. A dla Philipa Gidleya Kinga nie mogło to być zwykłe, beczkowe porto! On lubił tylko to najlepsze, sprzedawane już w butelkach i złożone ostrożnie w piwnicy, leżakujące tam przynajmniej przez miesiąc, zanim osobiście zlał je do karafki.

- Chodzi panu o Richarda Morgana?

- Aha, o Morgana. Major Ross powiedział, że będzie cennym nabytkiem, aleja nie jestem tego pewien. Ten facet był na tyle bezczelny, żeby mi się dziś rano postawić! Powiedział mi wręcz, że robię wszystko w niewłaściwy sposób!

- Tak, Morgan jest zdolny coś takiego zrobić, ale, śmiem przypuszczać, nie w bezczelny sposób. Był na „Alexandrze”, gdzie bardzo się zasłużył przy pompach ściekowych. Nie pamięta pan, jak wszedł pan na pokład, zanim przybyliśmy do Rio? To Morgan stwierdził kategorycznie, że tylko pompy łańcuchowe mogą zaradzić naszym problemom i usunąć zanieczyszczenia.

- Bzdura! - warknął King, mrugając oczyma w osłupieniu. - Zupełna bzdura! To ja zaleciłem pompy łańcuchowe.

- Tak, panie poruczniku, zrobił to pan, lecz Morgan był przed panem. Gdyby Morgan

nie przekonał majora Rossa i naczelnego lekarza wojskowego White'a o konieczności zastosowania wszelkich środków, nigdy nie wezwano by pana na „Alexandra” - powiedział Stephen odważnie.

- O, rozumiem. To jednak nie zmienia faktu, że Morgan posunął się dziś za daleko - upierał się King. - To nie do niego należy krytykowanie moich rozkazów. Powinienem go wychłostać. - Dlaczego miałby pan chłostać użytecznego i ciężko pracującego człowieka jedynie za to, że ma głowę na karku? - zapytał Stephen, spokojnie odchylając się do tyłu i odmawiając nalania sobie portu. Jeszcze jedna szklaneczka, a King będzie o wiele bardziej podatny.

- Wie pan przecież, panie King, że on ma głowę na karku. Jego intencje nie były złe, on jest człowiekiem, któremu zależy na pracy, to wszystko. Chce produkować więcej - rozwoził się Stephen. Komendant nie wydawał się tym przekonany. - Panie poruczniku, niechże pan będzie sprawiedliwy! Jeśli zasugerował jakieś zmiany, to czy mógłbym wiedzieć jakie?

- Mówił, że nikt nie dokonuje oględzin drzew, zanim sieje przyciąga do dołów, że nikt nie odziera kłód z kory, a powinno się to robić zaraz po ścięciu drzew, bo tracze tracą za dużo czasu na zaciąganie bezużytecznych kłód na stos drewna palnego - i tym podobne.

„Pij pan, poruczniku King, pij pan dalej”. - Stephen nie odzywał się, gdy jego zwierzchnik sęczył swoje wino. W końcu przy następnym kieliszku wyciągnął rękę i zdawał się patrzeć na niego błagalnie.

- Panie King, gdybym to ja powiedział to, co stwierdził Morgan, czy usłuchałby mnie pan?

- Faktem jednak jest, panie Donovan, że to nie pan to powiedział.

- Ponieważ jestem gdzie indziej, a pan ma do tego nadzorcę traczy.

- Morgana! To wszystko są bardzo rozsądne spostrzeżenia i mają umożliwić cięcie większej ilości drewna. Dlaczego miałby pan zakładać chomąto na swego wierzchowego konia, panie poruczniku? Ma pan wspaniały zespół stolarzy i cieśli i widzę, że nie ma pan awersji do słuchania tego, co ma do powiedzenia Nat Lucas. No więc w Richardzie Morganie ma pan drugiego Nata Lucasa. Gdybym był na pana miejscu, wykorzystałbym jego talenty. Jego kara kończy się za dwa lata. Gdyby polubił to miejsce, miałby pan tu dwóch solidnych ludzi - jego i Nata Lucasa.

„To - zdecydował Stephen Donovan - powinno na razie wystarczyć. Z twarzy Kinga powoli ustępowało rozdrażnienie, który miał mimo to wiele innych dobrych cech. Jaka szkoda, że tak nie lubił, kiedy któryś z więźniów wytknął mu, że gdzieś się pomylił”.

Pod koniec listopada było już tak wilgotno, że zmieniono godziny pracy. Rozpoczynano ją o świcie i trwała do siódmej trzydzieści, kiedy to każdy miał pół godziny na zjedzenie śniadania. O jedenastej rano przerywano pracę i rozpoczynano ją ponownie dopiero o drugiej trzydzieści, a kończono o zachodzie słońca. Przyszła pora na pierwsze zbiory - z jednego akra jęczmienia uzyskano osiemdziesiąt galonów cennych ziaren, pomimo robactwa i szczurów, a z dwustu sześćdziesięciu kolb, których nie zdołały zniszczyć robaki i szczury - trzy kwarty kukurydzy. Gdyby tylko udało się w jakiś sposób wytepić szkodniki, na całej tej cudownej ziemi można by uprawiać wszystko.

Małe czerwone śliweczki - czereśniowe guajawy - również dojrzewały, a smakowały tak wybornie, że trudno było oprzeć się pokusie objadania nimi. Pogodziwszy się więc z obżarstwem, doktor Jamison oświadczył, że nikt - wolny czy też więzień - nie może liczyć na to, że zostanie zwolniony z pracy z powodu biegunki. Banany także dojrzewały. Richard wyczekiwał też połowów ryb. To upodobanie dzieliło niewielu towarzyszy i dlatego też otrzymywał o wiele więcej ryb, aniżeli mu przysługiwało. Odkrył, że rybę można zachować na następny dzień, jeśli tylko zanurzy się ją w zimnym i zacienionym strumieniu słonej wody, więc chętnie zamieniał swoją porcję solonego mięsa z następnego dnia na pogardzaną przez kogoś rybę. Jakie smaczne były te ryby! Bardzo podobne do okoni - można było piec je na otwartym ogniu i zjadać do ostatnich ości. Rekiny też miały dobre mięso, jak również stufuntowe, obrzydliwe stworzenia, które kryły się w zakamarkach rafy, i miejscowa ogromna ryba, osiągająca do ośmiu stóp długości. Jedyne problemy z rybami polegały na tym, że były kapryśne - niekiedy łódź powracała, mając ich setki, innym znów razem nie złowiwszy ani jednej.

Tuż przed świętami Bożego Narodzenia porucznik King postanowił wysłać asystenta lekarza Johna Turnpenney'ego Altreego, Thomasa Webba i Junona Andersona do zamieszkania na stałe w zatoczce Bali Bay, będącej kamienną plażą po wschodniej stronie wyspy, gdzie niekiedy „Supply” był zmuszony zapuszczać kotwicę. Rozkazał tym trzem mężczyznom zbudować tam kanał i utrzymywać jego drożność pośród okrągłych skał wielkości kotłów, tak aby umożliwić dotarcie do brzegu okrętowym łodziom. Te bazaltowe głazy przedziurawiały bowiem dna kilarów. Decyzja Kinga wywołała dookoła mnóstwo uśmiezków i pokątnych mrugnięć oczu. Altree, dziwny i nieudolny człowiek, który nie potrafił sprostać leczeniu więźniarek na „Lady Penrhyn”, unikał kobiet tak, jakby szerzyły dżumę. Gdziekolwiek się ruszył, tam siedł również Thomas Webb, który uwolniwszy się od towarzystwa brata dzięki Beth Henderson, uciekł do Altreego z prośbą o pomoc. Uradowany

perspektywą porzucenia żony i pracy tracza, Juno Anderson poszedł natomiast usługiwać dwóm wolnym dozorcóm Bali Bay. Zatoczka ta znajdowała się zaledwie milę dalej, lecz była tak bardzo odcięta przez las, że Joe Robinson, próbując kiedyś znaleźć drogę do miasteczka Sydney, błądził przez dwa dni. Ścieżka do Bali Bay była zatem bardzo potrzebna, choć nie ścięto jeszcze żadnych drzew w ramach przygotowań. Gęste, dławiące winoroślą pomiędzy sosnami dawały się łatwo ścinać jednym uderzeniem topora, a ich kora - jak odkryli ci, którzy pracowali nad przecinką - mogła posłużyć za niezłe sznury, pod warunkiem że nie były za długie.

Richard miał teraz o dwóch traczy mniej, a o pozyskaniu następnych nie mogło być nawet mowy aż do powrotu „Supply” - jeśli „Supply” w ogóle miał tam jeszcze zawinąć. Jim Richardson udał się w niedzielę na poszukiwanie bananów i złamał sobie nogę, więc jej zrośnięcie potrwa parę miesięcy i prawdopodobnie nigdy już nie będzie on w stanie ciąć. A Juno Anderson nie był żadną stratą, którą to opinię z całego serca podzielała jego własna żona.

Oznaczało to, że Richard musiał zacząć ciąć - trzyipółgodzinną przerwę w południe będzie poświęcał na ostrzenie, jak również każdą sekundę wolnego czasu. Tylko kto będzie jego partnerem?

- Nie ma innego wyjścia - stwierdził komendant, który już dawno zapomniał o swojej złości z powodu arogancji Morgana. - Zapytam szeregowca Wigfalla, czy chciałby dodatkowo zarobić jako tracz. On ma ciało i postawę boksera.

- Dobry wybór, panie poruczniku - odpowiedział Richard, a potem udał przerażenie. - A co będzie, jeśli szeregowiec Wigfall nie potrafi ciąć prosto i będzie musiał pracować na dole? Nie wypada przecież, aby więzień sypał wolnemu żołnierzowi trocinami w twarz.

- Może nałożyć kapelusz - odparł na to King wesoło i prędko odszedł.

Na szczęście szeregowiec William Wigfall był typowym ogromnym i krzepkim osiłkiem, z natury flegmatycznym i nie można go było wyprowadzić z równowagi. Pochodził z Sheffield i nie miał bliskich przyjaciół pośród swego małego oddziału.

- Wszyscy moi przyjaciele pozostali w Port Jackson - powiedział Richardowi. - Prawdę mówiąc, cieszę się, że mogę uciec od tutejszych towarzyszy, nie mówiąc już o tym, że więcej zarobię na cięciu niż jako żołnierz. Wcześniej będę mógł przejść na emeryturę. Moim marzeniem jest kupienie sobie akra dobrej ziemi z małą, ładną chatką gdzieś w pobliżu Sheffield. Jeśli odpracuję przejazd do domu jako marynarz, będę miał jeszcze więcej pieniędzy.

- Czy masz coś przeciwko temu, jeśli ja pierwszy będę tym na górze? - zapytał

Richard. - Mam dobre oko i ciekaw jestem, jak sprawdzi się ono przy cięciu. Poza tym praca na dole jest lżejsza. Niestety, nie możesz nałożyć kapelusza - będziesz musiał stać za blisko piły. Krzyknę, gdy tylko zacznę ciągnąć, żebyś miał czas na to, by spojrzeć na dół.

Okazało się, że miał dobre oko, w przeciwieństwie do Wigfalla. Praca była rzeczywiście tak wyczerpująca, jak się spodziewał, lecz Wigfall okazał się doskonałym partnerem i idealnie nadawał się do ciągnięcia piły w dół. „Nie mógłbym jednak robić tego w Port Jackson na tych mizernych racjach żywnościowych. Tutaj, jedząc ryby, sporadycznie zółwie i masę zielonych warzyw i rzepy - nie mówiąc już o lepszym chlebie - mogę ciąć, nie tracąc zbyt wiele na wadze. Jak na czterdziestoletniego mężczyznę, jestem w o wiele lepszej kondycji aniżeli porucznik King, mający zaledwie trzydziestkę”.

W dniu Bożego Narodzenia komendant zabił dużą świnię dla swojej rodziny skazańców i w ten ciemny i wietrzny dzień tucznik piekł się na żerdzi nad ogniem z dymiących węgli, dopóki skóra nie stała się chrupiąca i nie pojawiły się na niej bąbelki. Wszyscy mężczyźni i kobiety dostali po podwójnej porcji, a do tego parę kartofli i pół kwarty rumu do popicia. Była to pierwsza pieczeń, jaką jadł od czasu opuszczenia tawerny „Pod Bednarzem” - niewiarygodnie smaczna! A te ziemniaki...

„Dobry Boże - modlił się tej nocy, rzucając się na swoje wygodne łóżko - jestem ci tak wdzięczny. Tylko ci, którzy rzeczywiście doznali nędzy, potrafią się cieszyć zwykłą obfitością”.

Przez parę następnych dni padało i wiało zbyt mocno, aby można było pracować na zewnątrz, choć - ponieważ oba doły trackie były zadaszone - tracze nadal ciąli kłody na deski, dyle i belki. Rezydencja gubernatorska wymagała rozbudowy, Stephen Donovan miał dostać dom w pobliżu rezydencji komendanta i wszystkim traczom pozwalano ciąć drewno na budowę własnych domów. Richard, który miał już dobry dom, chętnie ciął budulec na domy swojej drużyny.

Nowy Rok 1789 zaświtał pogodny i ciepły - więźniom dano pół dnia wolnego od pracy i po ćwiartce kwaterki rumu. Dzięki delikatnym i dyskretnym prośbom nadzorców, porucznik King zaczął w końcu pracować zgodnie z jakimś planem.

- Panie komendancie, jak tylko skończymy to, co już zaczęliśmy, będziemy mogli skoncentrować całą naszą uwagę na tej nowej robocie...

Radość Kinga nie miała granic, gdy w ósmym dniu 1789 roku Ann Innet urodziła mu zdrowego syna. Jako jedyna osoba, która odprawiała religijne nabożeństwa, King ochrzcił chłopca sam, nadając mu imię Norfolk.

- Norfolk King brzmi całkiem przyjemnie - powiedział Stephen Richardowi, gdy siedzieli na piasku w Turtle Bay. - Bardzo się cieszę. On potrzebuje rodziny, choć poślubienie Innet nie pomoże jego oficerskiej karierze. Trudno byłoby jednak wyobrazić sobie bardziej troskliwego ojca. Będzie mu ciężko, kiedy przyjdzie czas powrotu do Anglii. Co wówczas zrobi z ukochanym bękartem, nie mówiąc już o jego matce? Bardzo ją lubi.

- Sam rozwiąże te wszystkie dylematy - stwierdził spokojnie Richard. - Trudno o bardziej kapryśnego dowódcę, ale nie brak mu ani honoru, ani poczucia odpowiedzialności. Są jednak rzeczy, z którymi nie potrafi sobie radzić - na przykład z rutyną. No i łatwo wpada w złość. Popatrz tylko na Mary Gamble.

Mary Gamble sprowokowała jego wybuch gniewu, kiedy rzuciła siekierą w knura i poważnie go zraniła. Wściekły z powodu śmiertelnego zagrożenia tego nadzwyczaj cennego zwierzęcia, King odmówił wysłuchania jej gorączkowych wyjaśnień, że knur zaatakował ją i ona rzuciła w niego siekierą jedynie w samoobronie. Zanim ochłonął, skazał ją na sto czterdzieści cztery baty. Kiedy już oprzytomniał, przeraził się - jakże można było obnażyć to piękne stworzenie do pasa przed mężczyznami takimi jak Dyer i wychłostać ją sto czterdzieści cztery razy batem, choćby i tym najłżejszym? O Chryste, przecież nie mógł tego zrobić! A jeśli ten knur faktycznie się na nią rzucił? Miała prawo do posiadania siekiery, była bowiem jedną z kobiet wyznaczonych do odzierania sosnowych pni z kory. O Jezu! Nigdy nie skazał żadnego mężczyzny nawet na połowę takiej kary! Ale wpadł w tarapaty! Wezwał więc Mary Gamble do rezydencji gubernatorskiej i oznajmił pańskim tonem, że jej przebaczył.

Jego zachowanie po tym zajściu utwierdziło niektórych więźniów w przekonaniu, że jest głupi, słaby i ma miękkie serce. Przyspieszono realizację pewnych planów, jasne bowiem było, że King nie ma odwagi do podejmowania radykalnych decyzji.

Ogrodnik Robert Webb przyszedł, żeby się z nim pilnie zobaczyć.

- Panie komendancie, szykuje się spisek - powiedział.

- Spisek? - zapytał King martwym tonem.

- Tak, panie komendancie. Duża grupa więźniów zamierza pojmać pana, pana Donovana, pozostałych wolnych ludzi i wszystkich żołnierzy. Mają potem poczekać na następny statek, opanować go i odpłynąć na nim do Otaheite.

Twarz komendanta zbladła, zmieniając barwę z brązowej na popielatą. Patrzył na Webba z niedowierzaniem.

- Jezu Chryste! Kto to, Robert, kto z nimi jest?

- Z tego, co mi powiedziano, panie komendancie, wszyscy z wyjątkiem trzech skazańców z „Golden Grove” i paru - przełknął ślinę, a w oczach zabłyśły mu łzy - z naszej

pierwotnej grupy.

- Jak szybko szerzy się zgnilizna, Robercie - powiedział wolno King. - Jeśli spowodowała to jedna grupa nowych więźniów, to co się stanie, kiedy jego ekscelencja wyśle tu kolejną setkę? - Przeciagnął ręką po oczach, by otrzeć wilgoć. - Och, jakże mnie to ubodło! Paru z naszej pierwotnej grupy... Jak mogli być tacy głupi? Noah Mortimer i ten głupi młodzik Charlie McClellan są tymi z naszej grupy, jak sędzę. - Wyprostował ramiona i zacisnął szczęki. - Jak to wykryłeś?

- Powiedziała mi o tym moja kobieta, panie komendancie, Beth Henderson. William Francis przydybał ją, kiedy była sama, i powiedział, żeby wybadła, czyja bym się do tego nie przyłączył. Udała, że zgadza się mnie do tego nakłonić, a potem powiedziała o wszystkim.

Pot spływał mu do oczu. Środek lata w tej strefie geograficznej sprawiał, że mundur porucznika marynarki - i to komendanta, skazanego na to, by zawsze być w umundurowaniu - stawał się narzędziem tortur.

- Kim są ci trzej z „Golden Grove”, którzy nie są w to wmieszani? - zapytał cienkim głosem.

- Ten katolik, John Bryant. Tracz Richard Morgan i jego przygłupi towarzysz, Joseph Long - odparł Webb.

- No cóż, jeśli chodzi o tę ostatnią parę, jeden jest zbyt zajęty przy dołach, a drugi - jak sam powiedziałeś - niespełna rozumu. Muszę wypytać tego katolika Bryanta, on z nimi pracuje. Idź stąd zaraz do jego chaty i przyprowadź go tu jak najprędzej, Robercie. Ponieważ dziś jest sobota, miasto Sydney prawie opustoszało. Wszystkim się wydaje, że nie zauważam, jak znikają w Dolinie Arthura. Poproś też pana Donovana, aby się tu natychmiast stawił.

Talent porucznika Kinga zajaśniał pełnym blaskiem w obliczu konkretnego niebezpieczeństwa - zanim jeden z przywódców zorientował się, że został wykryty, było już po wszystkim.

Uzbrojeni w swe zardzewiałe muszkiety, żołnierze zamknęli wszystkich niebezpiecznych ludzi w więzieniu - Williama Francisa, Samuela Picketta, Joshuę Pecka, Thomasa Watsona, Leonarda Dyera, Jamesa Davisa, Noaha Mortimera i Charlesa McClellana. Wielogodzinne przesłuchania ujawniły prawdziwych sprawców - chociaż nieomal wszyscy więźniowie na wyspie wyrazili ochotę uczestniczenia w buncie pod warunkiem, że się powiedzie, zaledwie garstka z nich była w nie aktywnie zaangażowana. Francis i Pickett zostali zakuci w podwójne okowy i zamknięci w najlepiej zabezpieczonym magazynie, a Watsona i Mortimera spętano kajdankami i wypuszczono, dopóki pełne dochodzenie w poniedziałek nie wyjaśni całej historii.

Zaskoczonemu Richardowi Morganowi kazano iść natychmiast do Ball Bay i przyprowadzić tamtejszych nadzorców do miasteczka Sydney, podczas gdy King zgromadził nielicznych wolnych ludzi i żołnierzy wokół swego końca plaży, a więźniom, pod groźbą rozstrzelania, kazano pozostać w chatkach.

- I jakby tego nie było dosyć - powiedział King Donovanowi w największym oburzeniu - kapral Gowen przyłapał Thompsona na kradzieży kukurydzy w dolinie! Z czego wnioskuję - biorąc pod uwagę to, co powiedzieli mi Robert i Bryant - że ludzie tacy jak Thompson myśleli, że wyspa zostanie zajęta i zdobyta przez Francisa, zanim zdołam go wychłostać za kradzież. Pomylił się jednak.

- Powinien poczekać na przybycie „Supply”, bo wtedy nasza uwaga byłaby zwrócona w tym kierunku - powiedział Stephen w zamyśleniu, zbyt taktowny, by dodać, że zachowanie Kinga w sprawie Mary Gamble wpłynęło na szybsze zorganizowanie tego spisku. - A co z kobietami, panie komendancie?

King wzruszył ramionami.

- Kobiety są kobietami. Nie są ani tego powodem, ani też problemem.

- Kogo zamierza pan ukarać?

- Jak najmniejszą liczbę - odparł King, robiąc wrażenie zmartwionego. - W przeciwnym razie nie mam szans na utrzymanie kontroli nad wyspą Norfolk, jak pan zapewne wie, panie Donovan. Prawie żaden z muszkietów nie strzela, a więźniów jest więcej niż nas. Większość z nich to barany - potrzebują przywódców. W tym cała nasza nadzieja, pod warunkiem że nie będę karał owiec. Muszę poczekać, aż przyplynie tu „Supply”, i wysłać wiadomość do Port Jackson, a potem czekać na jego powrót, by wysłać tam przywódców spisku na rozprawę.

- Ciekaw jestem - zapytał Stephen sennym głosem - dlaczego mam takie wrażenie, że nie rozwiąże pan problemów wyspy Norfolk przez wysyłanie ich do Port Jackson po gubernatorską sprawiedliwość.

Oczy Kinga zabłyśły gniewnie.

- A dlatego - odparł ponuro - z czego zdaję sobie sprawę, że większość z nich została tu wysłana, aby pozbyć się ich z Port Jackson, jego ekscelencja nie zechce ich z powrotem, zwłaszcza teraz, kiedy zostali napiętnowani mianem buntowników. Będzie musiał ich powiesić, a nie należą do ludzi, którzy lubią widzieć innych na drugim końcu sznura. Jeśli wyda taki wyrok, wolałby, aby zbrodnia została dokonana na oczach tych, co znajdują się wokół niego, a nie gdzieś o tysiąc mil dalej, w miejscu, które podawał za przykład radosnego sukcesu. Wyspa Norfolk jest za bardzo odizolowana, aby mogła funkcjonować w systemie,

gdzie rzeczywista władza należy do ludzi, których tutaj nie ma, do ludzi przebywających nieomal tysiąc mil stąd. Rząd na wyspie Norfolk powinien mieć prawo do podejmowania decyzji w sprawach dotyczących wyspy Norfolk. Mam jednak związane ręce. Muszę najpierw czekać przez parę miesięcy, a potem bez wątpienia nie dostanę odpowiedzi, która poprawiłaby sytuację na wyspie.

- No właśnie - westchnął Stephen. - To sytuacja bez wyjścia. - Pochylił się skwapliwie do przodu. - Panie komendancie, ma pan na tej wyspie mistrza rusznikarskiego, który nie był zamieszany w ten spisek - tracza Morgana. Czy mógłbym pokornie prosić, aby natychmiast kazał mu pan zająć się naszymi strzelbami? Wówczas w każdą sobotę rano ludzie wolni, żołnierze i Morgan będą mogli strzelać przez dwie godziny. Wezmę na siebie przygotowanie strzelnicy za wschodnim krańcem miasta Sydney, jak również nadzór nad ćwiczeniami strzeleckimi, pod warunkiem że da mi pan Morgana.

- Wspaniały pomysł! Niech pan się tym zajmie, Donovan. - Komendant odchrząknął. - Jeśli, tak jak się spodziewam, jego ekscelencja nie życzy sobie, aby nasi buntownicy zostali odesłani do Port Jackson na rozprawę, będzie musiał przysłać nam większy oddział wojska pod dowództwem prawdziwego oficera, a nie zwykłego sierżanta. Potrzebujemy jakichś dział. Oraz prochu, kul i mnóstwa naboju do muszkietów. - Ożywił się. - Zaraz napiszę list. Od tej pory, naczelny nadzorco więźniów, zobaczy pan, że wprowadzę ostrzejszą dyscyplinę. Jeśli chcą chłosty, to ją dostaną. Jestem urażony! Ubodło mnie to w samo serce! Moja mała, szczęśliwa rodzinka ma w sercu węza i problemów przybędzie jeszcze więcej.

Po zakończeniu przesłuchania świadków John Bryant, fanatycznie religijny katolik, najbardziej odczuł gniew więźniów. Jego zeznania były tym bardziej obciążające, że opowiedział również o planie przejęcia „Golden Grove’a” - plan ten spełznął na niczym, kiedy poinformowano o tym kapitana Sharpa. Wina za zorganizowanie buntu na wyspie Norfolk spadła na Williama Francisa i Samuela Picketta, których miano trzymać stale zamkniętych w podwójnych okowach. Noah Mortirner i Thomas Watson zostali zakuci w lżejsze kajdany na okres zależny od upodobania komendanta, a resztę przesłuchiwanym zwolniono.

Skutki styczniowego spisku odbiły się najtragiczniej na pięknie maleńkiego miasteczka Sydney, ozdobionego wysokimi sosnami i białymi, liściastymi drzewami podobnymi do dębów. Porucznik King kazał ściąć co do jednego wszystkie drzewa, a nawet niższą roślinność, tak że żołnierz stojący na którymkolwiek końcu osady mógł widzieć wszystko, co działo się między chatami, nawet po zapadnięciu zmroku. Tom Jones, przyjaciel

Lena Dyera, otrzymał trzydzieści sześć batów jednym z najgorszych biczów za pogardliwe seksualne uwagi pod adresem Stephena Donovana i doktora Thomasa Jamisona.

- Klimat uległ wyraźnej zmianie - oznajmił Richard Stephenowi, kiedy przygotowywali muszkiety do pierwszego ćwiczenia strzeleckiego. - I to mnie martwi. Podoba mi się to miejsce i mógłbym tu być szczęśliwy, gdyby nie tamci ludzie. Nie chcę jednak dłużej mieszkać w tej wiosce. Nie ma tu już drzew i żadnego poczucia odosobnienia. Nawet wysikać się nie można bez tuzina świadków. Chciałbym przebywać gdzieś, gdzie mogę być sam, pilnować własnego nosa i ograniczyć swoje kontakty z innymi skazańcami do dołów trackich.

Stephen zmrużył oczy.

- Tak bardzo ich nie lubisz, Richardzie?

- Niektórych lubię, nawet bardzo. To nikczemnicy zawsze wszystko psują. I po co? Czy oni nigdy niczego się nie nauczą? Weź na przykład tego biednego Bryanta. Wiesz, że przysięgli, że go dostaną, i zrobią to.

- Jako naczelny nadzorca więźniów zrobię wszystko, aby się upewnić, że będzie bezpieczny. Bryant ma bardzo miłą żonę i kochają się do szaleństwa. Gdyby jemu coś się stało, byłaby zagubioną duszą.

Rok 1789 okazał się niezbyt pomyślny. Występowały okresowe deszcze i nawałnice, które zniszczyły resztę jęczmienia, zepsuły niektóre beczki mąki, uniemożliwiły połowy ryb i uczyniły z życia w ogołoconym osiedlu chat nieustanną jeremiadę na temat mokrych ubrań, wilgotnej pościeli, pleśni na cennych książkach i butach, letnich przeziębień, bólów głowy i kości. W połowie lutego komendant zwolnił Francisa i Picketta, trzymany dotąd w magazynie, i pozwolił im wrócić do swych chat bez kajdan, lecz z ciężkimi okowami na nogach. Nie widać było ani śladu „Supply”. Ostatnim statkiem, jaki do nich zawitał, był „Golden Grove”, ale od tamtego czasu minęły już cztery miesiące. Czyżby nigdy nie mieli ujrzeć następnego okrętu? Czy coś się stało z „Supply”? A może i z Port Jackson?

Przez tę paskudną pogodę wszyscy byli w złych humorach, a najbardziej gderliwym pośród nich był sam komendant. Dysponował wystarczającą wiedzą inżynierską aby nie rozpoczynać budowy zapory wodnej pośród takiej ulewy, i do tego miał w domu płaczące dziecko. Większość prac trzeba było odłożyć na później i zbyt wiele ludzi nie miało do roboty nic poza narzekaniem. Jedynymi naprawdę szczęśliwymi ludźmi było tych troje w Ball Bay, siedzących w przytulnym, porządnym domku między sosnami, dobrze zaopatrzonych i mogących łowić sobie ryby pomiędzy skałami rafy niezależnie od pogody.

Mimo to dzień dwudziestego szóstego lutego był dla nich wszystkich szokiem. Świt nastął przy akompaniamencie silnych wiatrów wiejących z południowego wschodu, a morze było tak wzburzone, że przybrzeżna fala rozbijała się dopiero na plaży za laguną. Dla Stephena i Richarda, którzy poszli w stronę Point Hunter na tyle daleko, na ile starczyło im odwagi, wybrzeże na zachodzie stanowiło przerażający widok białej, wzburzonej wody, rozbijającej się o skały z taką mocą i tak wysoko, że piana szybowiała w powietrzu przez ponad trzysta stóp, dosięgając niemal góry położonej ze cztery mile w głębi lądu.

- Niechże nas Bóg ma w swojej opiece, czeka nas sztorm, jakich mało! - krzyknął Stephen. - Lepiej chodźmy dopilnować, żeby zabili włązy!

Kiedy w końcu przemierzyli Turtle Bay i odwrócili się, żeby spojrzeć za siebie, z pola widzenia zniknęła im nie tylko wyniosła Wyspa Phillipa, ale również wyspa Nepean, położona o wiele bliżej. Cały świat zamienił się w kipiącą masę fal tak potężnych jak te na południowym oceanie w trakcie podróży z Przylądka Dobrej Nadziei, a wiatr coraz bardziej przybierał na sile, skręcając na południowy wschód i ciskając z całą siłą morze i niebiosa na niewielką osadę. Zgięci w pół ludzie zaganiaли świnie i drób do magazynów i chat, składali stosy kłód pod drzwiami i wchodzili do domów przez okna.

Wycie wiatru i huk wody były tak ogromne, że ani Richard, ani Stephen nie usłyszeli przenikliwego jęku sosny spoza Turtle Bay, liczącej przeszło sto osiemdziesiąt stóp wysokości, która uniosła się powoli nad ziemią. Zobaczyli tylko, jak leciała - jej ogromne korzenie i spiczasty wierzchołek nadawały jej wygląd strzały, mknącej trzydzieści stóp ponad ziemią w kierunku wzgórz. Za nią poleciały inne sosny, co przypominało bombardowanie fortecy przez armię olbrzymów - wiatr był łukiem, sosny strzałami, a białe dęby bosakami.

Stephen z trudem przedarł się do rzędu chat, sprawdzając, czy wszystkie wejścia zostały zabarykadowane, a Richard, znalazłszy drzwi do swojego domu już zastawione kłódą, postanowił zostać na zewnątrz, ciesząc się, że Joey i MacGregor są już bezpieczni. On sam raczej wolał być na zewnątrz aniżeli w środku, niepomny na własny los. Cóż to za przerażająca myśl! Siedział na ziemi, opierając się plecami o zawietrzną ścianę i kłódę, aby móc być świadkiem tego kataklizmu, w którym ogromne sosny i potężne białe dęby unosiły się w powietrzu i rozbijały na bagnach i o pagórki niczym chłoszczący prysznic.

A potem nadszedł deszcz, który padał poziomo, tak że Richard pozostał suchy, przypatrując się temu potopowi. Nieco dalej unosiły się i zrywały niczym parasolki strzechy dachów, lecz najsilniejsze wiatry zdawały się dać trzydzieści stóp nad ziemią, co przypuszczalnie uratowało osadę. To, oraz brak drzew. Gdyby porucznik King nie zarządził wyrąbania ich wszystkich, szopy i domy zostałyby pogrzebane wraz z tymi, którzy schronili

się wewnątrz.

Nawałnica rozpoczęła się o ósmej rano i zaczęła słabnąć o czwartej po południu. Chaty w środkowej części, tam gdzie mieszkał Richard i Joey, utrzymały swe dachy, podobnie jak większe domy, pokryte gontem, a nie strzechami z lnu.

Dopiero następnego dnia - niewinnie kojącego lekkim wietrzykiem - sześćdziesięciu czterech mieszkańców wyspy Norfolk ujrzało zniszczenia, jakich dokonał huragan. Tam, gdzie niegdyś było bagno, teraz płynęła wzburzona rzeka, chlupocząc pod bokiem starego ogrodowego wzgórza. Ziemia zasłana była na wysokość stopy sosnowymi gałęziami, ogonkami, krzakami, piachem, kawałkami koralowców i liśćmi, a w drewniane ściany budynków po nawietrznej stronie odłamki skał wbiły się tak mocno, że trzeba było zastosować sporą siłę, aby je usunąć. Były tam dosłownie całe połacie połamanych sosen, wyrwanych z korzeniami tak potężnymi i długimi, że trudno było sobie wyobrazić siłę tych wiatrów. Tam, gdzie niegdyś rosły te drzewa, znajdowały się głębokie na wiele stóp kratery. W środku lasu, którego jeszcze nie dotknięto siekierą, straty pośród sosen były równie liczne.

W zasięgu wzroku z miasteczka Sydney rozciągał się widok na wiele setek połamanych sosen. Trzy akry niedawno wykarczowanej ziemi po przeciwnej stronie bagna były teraz gęsto pokryte sosnami. Nawet pięćdziesięciu mężczyzn ścinających drzewa przez cały miesiąc nie zdołałoby wyprodukować tyle drewna.

- To prawdziwy kaprys natury - oznajmił radośnie porucznik King swojej rodzinie na zebraniu. Tym razem nawet węże były w dobrych humorach. - W żadnym miejscu na tej wyspie nie znalazłem dowodów na to, że huragan taki jak ten kiedykolwiek przedtem się zdarzył, a przynajmniej nie w ciągu tych setek lat, które potrzebne były sosnom na osiągnięcie wysokości dwustu stóp. Coś takiego jeszcze nigdy się nie zdarzyło! - Wyraz jego twarzy zmienił się, przyjmując coś z charakteru metodystycznego kaznodziei, natchnionego wizją siarki i wieczystego ognia. - A dlaczego doszło do tego akurat w tym roku? Ci z was, którzy zgrzeszyli, powinni przyjrzeć się swym duszom. To jest Boże dzieło! Boże ostrzeżenie! A jeśli jest w tym ręka Boga, to zapytajcie się, dlaczego wysłał On ten swój dopust na pierwszych ludzi, którzy przybyli, by zamieszkać tu, na jednym z jego najcenniejszych klejnotów? Błagajcie o przebaczenie i nie grzeszcie więcej! Następnym razem Bóg może zdecydować, że otworzy tę ziemię, by pochłonęła was wszystkich.

Odważne słowa komendanta pozostały im w pamięci przez kilka tygodni po tym wydarzeniu, lecz potem, jak to zwykle bywa, lekcja ta została zapomniana.

Porucznik King miał powody, aby się zastanawiać, czy przypadkiem jego własny gniewny temperament nie przyczynił się do tego bożego wybuchu wściekłości - drzewo

zabiło bowiem jego własną maciorę wraz z prosiakami.

O tym, że zniszczenie obejmowało całą wyspę, świadczyły kłody i gałęzie, które zatamowały strumień w Dolinie Arthura, spływając ze wzgórz w czasie ulewnych deszczów. Oczyszczanie go zajęło parę dni mężczyznom i kilka tygodni kobietom, na które spadło najwięcej pracy, i upłynął cały miesiąc, zanim laguna oczyściła się z czerwonej ziemi, odzyskując swój zwyczajny, akwamarynowy, błękitny kolor.

Kiedy jednak drugiego marca przybył „Supply”, Richard i jego tracze powrócili do pracy w dołach. Osada w Nowej Południowej Walii ciągle potrzebowała desek, dyli i belek, nie mówiąc już o omasztowaniu okrętów. Przynajmniej nikt nie musiał rąbać drzew siekierą - kłody leżały już na ziemi, choć wiele z nich było starych i przegniłych. „Supply” przywiózł między innymi doświadczonego tracza, Williama Holmesa - dlaczegóż wszystkim musiało być na imię akurat William? Po tych drzewach w Port Jackson, stwierdził Holmes, sosny na wyspie Norfolk będą dla niego pestką.

Wiedząc, że komendantowi nadal marzy się trzeci dół, Richard poradził Holmesowi, aby wziął sobie trzech ludzi spośród nowej grupy skazańców i przejął dół tracki na plaży. Dobry człowiek, przywiózł ze sobą swoją żonę, Rebeckę, i obydwójce szybko zadomowili się we wspólnocie na wyspie. „Nadzór nad dołem trackim w Dolinie Arthura przypadnie zatem Billowi Blackallowi i Williamowi Marrinerowi, a ja - powiedział sobie Richard z żelazną determinacją - wezmę szeregowca Wigfalla, Sama Husseya i Harry’ego Humphreysa do trzeciego dołu, dalej w dolinie. Będzie tam o wiele spokojniej i zapytam porucznika Kinga, czy mógłbym wybudować nieopodal porządny dom dla siebie. Joey Long musi dać sobie radę sam. Wezmę tylko moje książki, łóżko, puchową pościel, połowę koców i to, co do mnie należy. Oraz jednego ze szczeniaków MacGregora, ponieważ pan King daje Joeyowi dwa szczeniaki z piątki Delphinii, dwa samce. Dobry łowca szczurów będzie tam w dolinie prawdziwym błogosławieństwem”.

Wszystkie te postanowienia zostały spełnione. Zmartwiło to jedynie Stephena Donovana, który nie widywał teraz Richarda tak często jak wówczas, gdy wystarczyło po prostu zapukać do jego drzwi po drodze do Turtle Bay, gdzie razem chodzili pływać.

Wraz z nadejściem zimy przybył porucznik John Cresswell z oddziałem złożonym z czternastu dodatkowych żołnierzy - siła robocza była już na tyle liczna, a nadzór nad nią dostatecznie ścisły, że większość planów komendanta mogła się ziścić, włącznie z tamą. Dom Richarda znajdował się paręset jardów ponad nią, w miejscu, w którym zaczynał się las. Panował tu spokój.

Nieoczekiwanie na pierwszym miejscu na liście porucznika Kinga znalazło się wykonanie przejść. Jedną ścieżkę wycięto na ukos przez całą wyspę - trzy mile - od strony zawietrznej przy zatoce Kaskad, która zawdzięczała swoją nazwę licznym, małym wodospadom. Najefektowniejszy z nich spadał tam ze skalnego urwiska prosto do morza. Wyszczerbiony, lecz płaski układ skał w pobliżu brzegu umożliwiał tam wyjście na ląd, w sytuacji gdy wiatry w zatoce Sydney uniemożliwiały dotarcie na ląd przez rafę koralową. Trakt do Kaskad był konieczny również dlatego, że większość najlepszego lnu rosła właśnie wokół niej i porucznik King postanowił założyć przemysł lniany w małym osiedlu niedaleko miejsca lądowania, które nazwał Phillipburgh.

Richard rzadko chodził do miasteczka Sydney, szybko bowiem rozrastało się ono w prawdziwe ulice chat i domów. Oprócz uczestnictwa w niedzielnym nabożeństwie i pobierania swych żywnościowych racji, nie miał potrzeby odwiedzania tego miejsca. MacTavish okazał się równie dobrym psem stróżującym jak jego ojciec i był jedynym towarzystwem, jakiego Richard sobie życzył, z wyjątkiem Stephena, którego w myślach tak często nazywał „Stephenem”, że coraz trudniej było mu pamiętać, że jest „panem Donovanem”.

Dom jego miał dziesięć na piętnaście stóp, posiadał parę dużych otworów, przez które wpadało światło, a Johnny Livingstone wykonał dla niego stół i dwa krzesła. Dach był pokryty strzechą z lnu, ale przyrzeczono mu, że dostanie gont przed zakończeniem roku. Miał też drewnianą podłogę, wzniesioną parę cali nad ziemią, a fundamenty zrobiono z okrągłych belek sosnowych. Sosny gniły dość szybko po wbiciu w ziemię, toteż taka metoda konstrukcyjna umożliwiała mu usunięcie gnijącego słupa z fundamentu bez konieczności rozbierania całego domu, który został wyłożony cienkimi sosnowymi deskami o bardzo atrakcyjnym wyglądzie, komendantowi bowiem z niewiadomego powodu nie odpowiadał akurat ten układ słoju - drewno miało falisty wzór, który przypominał Richardowi grę słonecznego światła na spokojnej wodzie. W duchu zastanawiał się, czy przypadkiem te faliste słoje nie powstały pod wpływem nieustannych silnych wiatrów, może w ten sposób sosna radziła sobie z ich siłą - nikt bowiem nie słyszał o jakimkolwiek innym drzewie, które rosłoby tak prosto mimo tak silnych wiatrów. A jednak sosna Norfolk wystrzeliwała wysoko jak struna, i to na najbardziej odsłoniętych urwiskach. W ciągu dwóch miesięcy po owym strasznym huraganie wszystkie młode drzewa albo te, które pochyliły się ku ziemi czy utraciły wierzchołki, wyprostowały się, a połamane zaczęły wypuszczać dwa odrębne wierzchołki.

Teraz, kiedy populacja wyspy wynosiła już sto dusz, częściej zdarzały się rabunki,

lecz złodzieje zostawiali Richarda Morgana w spokoju. Każdy, kto zobaczył, jak ciągnie on piłę długości czternastu stóp przez pełne trzy stopy oraz jego mięśnie na plecach i piersiach poruszające się pod brązową skórą, stwierdzał, że nie jest to człowiek, któremu warto się narażać. Poza tym był znanym samotnikiem. Samotników w tej społeczności, których było tam zaledwie kilku, traktowano nieomal z zabobonnym strachem. Coś musiało być psychicznie nie w porządku z człowiekiem, który wołał własne towarzystwo, nie potrzebował widzieć siebie w oczach innego człowieka czy słyszeć na swój temat pochwały, nie czuł potrzeby przynależności do żadnej grupy. Co zresztą bardzo Richardowi odpowiadało. Jeśli ludzie sądzili, że jest niebezpiecznie dziwny, to tym lepiej. Najbardziej zdumiewało go że większość ludzi nie odczuwała potrzeby samotności po tylu latach przebywania razem w takiej ciasnocie. Samotność była dla Richarda nie tylko luksusem, lecz również czynnikiem uzdrawiającym.

Przywódcy styczniowego buntu dopadli w końcu Johna Bryanta w środku zimy. Francis, Pickett, Watson, Peck i jeszcze jeden z „Golden Grove” ciął drewno na górze George, kiedy - kto by tam wiedział, jakim sposobem czy dlaczego? - Bryant znalazł się na drodze upadającej sosny. Z roztrzaskaną głową zmarł dwie godziny później i został pochowany jeszcze tego samego dnia. Na wpół oszalała z rozpaczy wdowa po nim błąkała się po miasteczku Sydney, lamentując gorzko i jęcząc jak Irlandka nie znająca angielskiego.

- Atmosfera jest paskudna - oświadczył Stephen, zaszedłszy do domu Richarda po pogrzebie.

- Musiało do tego dojść - zabrzmiał jedyny komentarz Richarda.

- Ta biedna, nieszczęśliwa kobieta! I żadnego księdza, żeby mógł go pochować.

- Bogu nie będzie na tym zależało.

- O, Bogu jest to obojętne! - odparł wzburzony Stephen. Wszedł do domu bez potrzeby schylania się, zauważając jego skrupulatną schludność, wyłożone ściany i sufit oraz to, że Richard powoli je polerował. - O Chryste! - powiedział, opadając na krzesło. - To jeden z tych nielicznych dni w moim życiu, kiedy nie miałbym nic przeciwko wypiciu kufła rumu. Czuję się tak, jakbym to ja był odpowiedzialny za śmierć Bryanta.

- To musiało się stać - powtórzył Richard.

MacTavish, w którym nadal odzywała się krew szkockiego teriera, wskoczył Richardowi na ręce, nie sprawiając kłopotu, jak to zazwyczaj bywa z młodymi psami. „Wytresował go - pomyślał Stephen - ze skrupulatnością, jaką poświęca wszystkim innym rzeczom. Jak on zdołał zachować dokładnie taki sam wygląd jak wtedy, kiedy go poznałem?

Dlaczego reszta z nas się postarzała i spoważniała, podczas gdy on w każdym calu nieźle się zakonserwował i wygląda tak jak zawsze? Tylko jeszcze bardziej. O wiele bardziej”.

- Jeśli da mi pan parę żdźbeł wybujałej trzciny cukrowej - powiedział Richard, poklepując lekko płaską dłońią grzbiet psa - to za dwa lata dam panu tyle rumu, ile tylko zdoła pan wypić.

- Co takiego?

- A do tego dwa miedziane kotły, parę arkuszy miedzianej blachy, kilka miedzianych rurek i jakieś beczułki przecięte na pół - ciągnął dalej Richard z uśmiechem. - Potrafię destylować, panie Donovan. To następny z moich ukrytych talentów.

- O Chryste, Richardzie! Jesteś marzeniem każdego komendanta! I na miłość boską, kiedy ty wreszcie zaczniesz mówić mi po imieniu? Jestem już tak zmęczony tą koślawą przyjaźnią! Chyba po tylu latach nadszedł wreszcie czas, żebyś dał za wygraną, choć ciągle jeszcze jesteś więźniem? To ta twoja bristolska pruderia, której tak nie znoszę!

- Przykro mi, Stephen - odpowiedział Richard, z błyszczącymi oczyma.

- Na Boga! Nareszcie zwycięstwo! - Niezmiernie zadowolony z tego, że usłyszał wreszcie swe imię w ustach Richarda, Stephen ukrył radość, marszcząc brwi. - Żołnierze kipią z wściekłości, bo nigdy nie ma dość rumu, żeby im dać pełny przydział. Porucznik Cresswell nie ma pojęcia, co robić. Jemu samemu też tego brak. Kingowi to naturalnie obojętne - dopóty, dopóki nie zabraknie mu własnego porto. Cresswell jednak woli rum. W Port Jackson też nie mają za dużo rumu. Mogę się założyć, że gorzelnia na wyspie Norfolk uzyska pełną aprobatę ze strony jego ekscelencji. Produkcja rumu będzie o wiele tańsza niż dowożenie go transportowcami, bo nawet najporządniejszy urzędnik rozumie, że rum jest równie potrzebny jak chleb i solone mięso.

- No cóż, z całą pewnością nikt mi nie przeszkodzi uprawiać własnych grządek trzciny cukrowej. Ta ziemia jest do tego idealna, a robactwo jej nie ruszy. Pomimo szczurów i innych szkodników tego lata zbierzemy zarówno zboże, jak i kukurydzę. Jestem tego pewien.

- Mam nadzieję, dla dobra nas wszystkich. Harry Bali z „Supply” mówi, że mają tu przysłać dużo więcej ludzi. W Port Jackson sytuacja jest o wiele gorsza, chociaż nie ma robactwa. - Stephen wzdrygnął się. - Sądzę jednak, że nawet włącznie z tym huraganem, nigdy w życiu nie byłem tak przerażony jak wtedy, gdy cała dolina zdawała się jedną wielką ruchomą masą robactwa. Nie milion, ale wręcz miliony milionów, całe armie w marszu, przy których hordy Attyli były po prostu niczym. Może to tylko moja irlandzka krew, ale przysięgam, myślałem, że sam diabeł nas przeklął. Brr! - Wzdrygnął się znowu, zmieniając temat. - Powiedz mi, Richardzie, kto atakuje rządowe maciory? Jedna została zabita, a inną

poraniono.

Richard przyglądał się twarzy Stephena z uczuciem graniczącym z miłością. To, że nie mógł nazywać tego, co odczuwa „miłością”, nie wynikało z braku seksualnego podtekstu. Powodem było raczej to, że „miłość” wiązała się dla niego z Williamem Henrym, małą Mary i Peg, których trzymał w zamkniętym sercu przez całe lata.

Teraz imiona te pojawiły się wyraźne i przejrzyste jak przepływający po kamieniach strumień, odległe niczym gwiazdy i bliskie jak siedzący mu na kolanach MacTavish. To z powodu Stephena, przez to, że zwrócił się do niego po imieniu. Inne imiona powróciły gwałtownie rozdzwoniły się niczym kuranty wspomnień, których ani czas, ani nic, co mu się przytrafiło, nie mogły zbrukać, pomniejszyć czy wymazać. William Henry, mała Mary, Peg... Odeszli na zawsze, a jednak nie odeszli wcale. „Jestem jak naczynie napełnione ich światłem i gdzieś, kiedyś doznam tej miłości znowu. Nie na tamtym świecie. Tutaj. Tutaj, na wyspie Norfolk. Wreszcie się przebudziłem. Żyję! Jestem tak pełen życia! Nie zatracę własnej istoty na niewdzięcznym wygnaniu. Nie będę należał do grona tych mieszkańców wyspy, którzy rujnują wszystko na złość. Peg, mała Mary, William Henry. Oni tutaj są. Czekają na to, by tu ze mną być. I będą tu ze mną”.

Wszystko to wydarzyło się w momencie ciszy między dwoma uderzeniami serca, a mimo to Stephen zrozumiał, że w Richardzie nastąpiła jakaś ogromna zmiana. Tak jakby rzucił skórę i stanął w całej okazałości swej nowej szaty. „Cóż ja takiego powiedziałem? Co było tego powodem? I dlaczego przywilej bycia świadkiem tego przypadł właśnie mnie?”

Richard odpowiedział Stephenowi na pytanie o maciory.

- A, to bardzo proste - oparł. - To Len Dyer.

- Dlaczego Len Dyer?

- Podoba mu się Mary Gamble, która nikomu się nie odda. Kiedy starał się o jej względy, zrobił to jak typowy cham - bez żadnego szacunku czy uznania jej człowieczeństwa. Wiesz, o czym mówię: „Hej, Gamble, a może byśmy sobie trochę podupczyli?” Więc ona powiedziała mu bez ogródek, co może zrobić ze swoim interese, jeśli w ogóle się go doszuka. Przy jego kumplach. - Richard spoważniał. - To stary lis, który musi się mścić. Mary rzuciła siekierą w knura i o mało nie została za to wychłostana. Dlaczego zatem nie miałyby zaatakować również i paru świń? Na pewno obwinia za to Mary.

- Nie, teraz nie. - Stephen podniósł się na nogi i przesłał Richardowi bezczelnego całusa. - Wiem, jak sobie poradzić z Dyerem. Proszę cię, zawołaj mnie jeszcze raz po imieniu.

- Stephen - oparł Richard ze śmiechem. - Idź już sobie, bo chcę się zabrać do mojego

polerowania.

Porucznik King odkrył dającą się łatwo eksploatować skałę, będącą podłożem całej połączy ziemi pomiędzy pagórkami przy starych ogrodach a cyplem Point Hunter na końcu Turtle Bay. Przekonał się również, że była łatwo palna i dawała doskonałe wapno, choć pierwszym jej zastosowaniem było użycie do budowy kamiennych kominów i pieców.

Kiedy w grudniu przybył „Supply”, liczebność mieszkańców wyspy wzrosła do stu trzydziestu dwóch osób. Przywiózł również rozkazy gubernatora Phillipa, aby racje żywnościowe zostały zredukowane do dwóch trzecich, podobnie jak w Port Jackson. Dla rozrastającej się wyspy Norfolk wiadomości te nie były takim nieszczęściem. Choć robactwo atakowało każdą liściastą roślinę, na którą zdołało wejść, jednak plony z jedenastu akrów były wyśmienite, a deszcze ustały akurat na okres żniw. Kukurydza udała się jeszcze lepiej, świnie rozmnażały się szybko, podobnie jak kaczki i kurczaki, a do tego zaczął się sezon bananowy. Dla tych, co jadali ryby, było ich pod dostatkiem.

Wytrwałość i nieustępliwość sprawiły, że Richard Morgan stał się jednym z uprzywilejowanych więźniów, nie sprawiał bowiem żadnych kłopotów, pracował bez wytchnienia i nigdy nie chorował. Otrzymał zatem tak dużo owego cementu i kamieni, że mógł wybudować sobie porządny komin. Wszystkie doły trackie pracowały bez wytchnienia - czegoż więcej mógł żądać komendant od swego nadzorcy traczy? Na szczęście przysłano z Port Jackson więcej pił - gubernator Phillip pragnął zwiększyć populację na wyspie Norfolk ponad trzykrotnie. Zdecydował zatem, że w Port Jackson piły potrzebne były o wiele mniej aniżeli na wyspie Norfolk. Decyzję tę dodatkowo potwierdził, przysyłając pierwszy ładunek wspaniałego, czystego wapna.

Kiedy „Supply” przywiózł ze sobą tyle kobiet, że porucznik King nie wiedział, jaki zrobić z nich użytek, Richard wpadł na świetny pomysł - zatrudnił sześć z nich do ostrzenia pił. Sam przyznał, że była to alternatywa, o której powinien pomyśleć wcześniej. Praca ta odpowiadała kobietom o określonym temperamencie - można ją było wykonywać, siedząc w cieniu; nie była wyczerpująca, wymagała zwracania uwagi na detale, a do tego przebiegała w atmosferze koleżeństwa. Ponieważ na jeden dół potrzebna była jedna osoba do podostrzenia pij mniej więcej w połowie każdego cięcia, a resztę kobiet zatrudniono przy odzieraniu kłód z kory, między tymi, którzy nadał byli wolnego stanu, nawiązały się romanse. Jedna z nich dowiedziała się wkrótce że Richard Morgan ma już żonę i nie jest zainteresowany miłosnymi intrygami.

Ograniczenie racji żywnościowych do dwóch trzecich wynikało z faktu, że minęły dwa lata od ostatniej wizyty jakiegokolwiek statku z Anglii. Długo wyczekiwany statek zaopatrzeniowy „Guardian” mający przywieźć własność prywatną żołnierzy oraz tony mąki, solonego mięsa i innych produktów i zwierząt, nigdy nie przyplynał i nikt nie wiedział dlaczego. Codziennie na szczycie urwiska South Head, przy wejściu do Port Jackson, stojący na warcie strażnik usilnie wpatrywał się w morze - czynił tak już od roku. Fontanna wieloryba wydawała mu się żaglem, podobnie jak grzywy fal czy małe niskie chmurki. Ale to były tylko złudzenia. Żywność, którą przywiózł „Sirius” z Przylądka Dobrej Nadziei w maju 1789 roku, już się kończyła, i nadal nie było widać żadnego okrętu. Jedynym promykiem nadziei gubernatora Phillipa była wyspa Norfolk, gdzie rosły jakiejkolwiek rośliny, można było coś złowić i nie istniał problem tubylców.

Warunki w Port Jackson były bardzo trudne, zarzekali się ostatni przybysze z „Supply”. Ludzie umierali z głodu i wyglądali jak szkielety. Wzgórze Rose Hill wyglądało obiecująco, podobnie jak inne obszary na północ i zachód od Port Jackson, takie jak Toongabbe i Boundary Farms, lecz choć rodziło się na nich parę jarzyn, porządnych zbiorów zboża można się było spodziewać dopiero za parę lat.

Nic z tego - zdecydował gubernator Phillip po powrocie „Supply” do Port Jackson z ładunkiem wapna i drewna. - Trzeba będzie zatem wysłać „Siriusa” gdzie indziej po duże zapasy żywności. Zdawał sobie teraz sprawę z tego, że Przylądek Dobrej Nadziei nie jest na tyle dużym ośrodkiem, aby mógł zaopatrzyć ich w odpowiednie ilości mąki i solonego mięsa ani nawet zwierząt. Sprzedawał nadmiar swych produktów holenderskim, angielskim i innym okrętom płynącym do Indii Wschodnich i zatrzymującym się tam po drodze, ale raczej w ilości wystarczającej załogom liczącym sobie od dwudziestu do pięćdziesięciu ludzi. Wyżywienie ponad tysiąca gąb przez dwanaście miesięcy nie leżało w mocy Kapsztadu - „Sirius” powrócił na połę pusty.

Toteż „Sirius” będzie musiał popłynąć do Cathay, gdzie była obfitość ryżu i wędzonego mięsa, nie mówiąc już o herbacie i cukrze, które osłodziłyby żywot więźniom, choć ich wartości odżywcze nie były zbyt wielkie. Gubernator miał również nadzieję, że w którymś z europejskich ośrodków handlowych uda się kupić rum. Rok 1790 zaczął się jeszcze gorzej niż poprzedni, choć trudno uwierzyć, aby to było możliwe.

W swoich nocnych rozmyślaniach Phillip kalkulował, że może doszło w Anglii do jakiegoś ogromnego politycznego przewrotu - może pan Pitt został obalony, a zgodnie z decyzją królewską postanowiono nie kontynuować tego eksperymentu z zatoką Botany i po prostu zapomniano o tych, którzy już tam byli. Ten brak jakichkolwiek wiadomości był

bardzo niepokojący, zwłaszcza że w miarę upływu miesięcy nic nie kołło jego nocnych koszmarów. Wszystko zaczynało wyglądać tak, jakby zostali porzuceni na bezludnej wyspie niczym Robinson Crusoe.

Zanim zdołano przysposobić „Siriusa” do długiej morskiej podróży, „Supply” zdążył jeszcze raz popłynąć na wyspę Norfolk z kolejnymi więźniami, powiększając tym samym jej populację do stu czterdziestu dziewięciu osób. Gubernator zaplanował zatem, że „Sirius”, udający się na wschód, oraz „Supply” popłyną najpierw razem na wyspę Norfolk z kolejnym transportem ludzi, dowożąc tam stu szesnastu więźniów, sześćdziesiąt siedem więźniarek, dwadzieścioro ośmiu dzieci, ośmiu oficerów armii i pięćdziesięciu sześciu żołnierzy. W rezultacie w ciągu jednej nocy liczebność mieszkańców wyspy dojdzie do czterystu dwudziestu czterech dusz, w ciągu miesiąca potroi się, a w ciągu czterech miesięcy wzrośnie czterokrotnie.

Łagodny, kulturalny gubernator dobrze znał niektórych spośród swoich ludzi, a zwłaszcza porucznika Philipa Gidleya Kinga, który służył wraz z nim na „Ariadnę” i „Europę”, zanim przyłączył się do załogi „Siriusa” płynącego do Nowej Południowej Walii. Za każdym razem, kiedy „Supply” wracał do Port Jackson, przywoził raporty Kinga, które potwierdzały obawy jego ekscelencji przed pozostawieniem go na stanowisku zarządzającego populacją na tyle liczną, że większość twarzy stanie się zupełnie anonimowa. King był patriarchą oddanym swemu synowi zrodzonemu z Ann Innet. Norfolk! Oczywiście! Jeśli samo to imię nie wskazywało na wrodzony romantyzm Kinga, to nic innego bardziej o tym nie świadczyło. A wyspa Norfolk wkrótce miała stać się miejscem, w którym nie będzie miejsca na rządy romantyka.

Oprócz tego, jego ekscelencja miał również inne powody. Jednym z nich był fakt, że major Ross był złośliwym szkockim cierniem w jego boku, a drugim to, że rozpaczliwie potrzebował wysłać kogoś, komu mógłby zaufać - właśnie kogoś romantycznego - pośpiesznie z powrotem do Anglii. Tenże posłaniec miałby się dowiedzieć, co się tam stało, i elokwentnie przekonać tego, kto teraz był u władzy, że Nowa Południowa Walia ma ogromny potencjał, którego nie może wykorzystać, jeśli nie zainwestuje się w nią drobnego kapitału. Kwota mniejsza od pięćdziesięciu tysięcy funtów była śmieszna, biorąc pod uwagę, że szacowna Spółka Wschodnioindyjska więcej wydawała rocznie na łapówki. Kingowi gubernator ufał, ale Rossowi nie. A jeśli już o tym mowa, nie miał też zaufania do kapitana Johna Huntera z „Siriusa”, kolejnego z możliwych kandydatów i następnego Szkota, wzorem wszystkich Szkotów kraczącego nieustannie o zwiastunach zguby. Ross i Hunter byli rozczarowani Nową Południową Walią, nie widzieli w niej żadnych możliwości i pręcej

poradziliby Koronie, aby odwołano cały ten eksperyment. Phillip wiedział zatem, że w charakterze swego wysłannika nie mógł wyprawić do Anglii ani Rossa, ani Huntera. Wiedział też, że jego osąd jest słuszny. Nowa Południowa Walia będzie kiedyś dobrze prosperować. Ale jeszcze nie teraz. Potrzeba było czasu i pieniędzy.

A zatem kiedy „Supply” popłynął na wyspę Norfolk z kontyngentem więźniów, którzy mieli powiększyć jej populację do stu czterdziestu dziewięciu osób, zabrał również list do porucznika Kinga, nakazujący mu powrót do Port Jackson z panią Innet i paniczem Norfolkem Kingiem, aby go tam przeszkolić w szczegółach jego misji do Anglii. Na jego miejsce na wyspie Norfolk, zamiast jakiegoś komendanta, Phillip wysłał samego zastępcę gubernatora, Roberta Rossa. W ten sposób upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu, wraz bowiem z „Sinusem” wypływającym z Wyspy Norfolk w kierunku Cathay na wiele miesięcy pozbędzie się również kapitana Johna Huntera. Na wyspie Norfolk będzie wówczas czterystu dwudziestu czterech ludzi, a w Port Jackson pozostanie jedynie pięćset dziewięćdziesiąt jeden osób.

„Sirius” i „Supply” przybyły jednocześnie w sobotę, trzynastego marca 1790 roku. Wyjście na ląd na wyspie Norfolk musiało się odbyć od strony zawietrznej, przy Kaskadach, bo po tym mokrym, sztormowym lecie szalały równonocne wichury i deszcze. Przejście przez wyspę okazało się już wystarczająco nieprzyjemne, lecz sytuacja przy Kaskadach była jeszcze gorsza. Wzgórza opadały tu bezpośrednio do morza, więc jedynym sposobem wdrapania się na ich szczyt było przejście przez stromą dolinę przyległą do skały, przy której schodziło się na ląd. Rozpadlina ta znajdowała się na wysokości ponad dwustu stóp i była tak stroma, że więźniarki nie mogły wdrapać się na nią bez pomocy, zwłaszcza z kotłującą się pod nimi wodą i przy gruncie śliskim niczym lód od pokrywającego go błota.

Z wyjątkiem traczy i stolarzy wszyscy więźniowie zostali wysłani na drugi koniec wyspy, aby pomóc nowym przybyszom wraz z ich bagażem dostać się do rozpadliny, a następnie na szczyt urwiska i przez wyspę do miasteczka Sydney, z majorem Rossem na czele.

- Coraz bardziej było mi żal tego skurczybyka - powiedział Stephen Richardowi przy obiedzie złożonym z zimnego, nie słodzonego puddingu z ryżu, zmieszanego z kęsem solonej wieprzowiny i garstką pietruszki. Siedzieli razem w domu Richarda, patrząc na deszcz bębniący na zewnątrz, gdyż okiennice na zawietrznej pozostały otwarte. Stephen dostarczył mąki i solonej wieprzowiny, Richard ryżu i pietruszki.

- Masz na myśli majora Rossa?

- Aha, właśnie jego. On i Hunter nienawidzą się nawzajem, więc Hunter zadbał o to, żeby wysłać Rossa z „Siriusa” na barkasie zatłoczonym aż po okrężnicę kurczakami, indykami, klatkami i beczkami - Ross dostał takiego skurczu mięśni w łydkach, że miał ogromne trudności z przeskoczeniem z łodzi na skałę, przy której zawinęli do brzegu, a jak już się na nią wydostał, nie mógł ustać z bólu. Nikt mu nie pomógł - ludzie Huntera do szpiku kości. Sądzę, że kapitan miał ochotę zobaczyć, jak major pływa, walcząc o życie, ale on nie byłby majorem Rossem, gdyby nie rozczarował wszystkich, wychodząc na brzeg na tyle suchy, jak dalece pozwolił na to deszcz. Zgodnie z przepisami, powinni wysłać jego rzeczy razem z nim, ale pozostały one nadal na „Sinusie” i bez wątpienia rozładują je w ostatniej kolejności. Spotkałem go i próbowałem mu pomóc przy tym ostatnim śmiertelnym wejściu na górę, ale sądzisz, że on mi pozwolił? O, nie. Wmaszerował na szczyt przemoczony do suchej nitki, z zadartym podbródkiem i zaciśniętymi ustami. I pomaszerował prosto przez wyspę tą okropną ścieżką, a ja grzęzłem za nim z tyłu niczym jakaś foka po plaży. Być może przypomina on koński zad, ale jaki z niego wspaniały człowiek!

Pod koniec tej opowieści Richard uśmiechnął się od ucha do ucha, lecz wstał bez komentarza, aby wystawić naczynia za drzwi na deszcz, a potem posprzątał na stole. Oczywiście od czasu ostatniej wizyty „Supply” wszyscy mieszkańcy osady wiedzieli, że porucznik King miał odejść, a major Ross go zastąpić, które to wieści powtarzano z powszechnymi jękami i przekleństwami. To już koniec wakacji, major Ross się o to postara. Dla takich jak Dyer i Francis marnie wróżyło to na przyszłość, jednak dla Richarda Morgana była to atrakcyjna perspektywa. Porucznik King był dobrym komendantem, ale nawet sto czterdzieści dziewięć osób to było już za dużo przy jego stylu władzy. King potrafił jedynie podskubywać swą perukę i wysyłać ludzi do ścinania drzew, cięcia drewna i budowania chat. Wyspa Norfolk liczyła zaledwie dziesięć tysięcy akrów, lecz czy miasto Sydney nie było jedynym miejscem, do którego dało się skierować ten ogromny napływ ludzi? Phillipburgh i plantacje lnu były jedyną próbą rozmieszczenia ludzi gdzie indziej - prawda zaś była taka, że King pragnął widzieć całą swą rodzinę zebraną na małej plaży nad samym morzem przy miasteczku Sydney. Kiedy Robert Webb i Beth Henderson przenieśli się gdzieś w okolicę drogi do Kaskad, King wpadł w szal. Richard Phillimore ze „Scarborough” chciał się przenieść poza wschodni koniec odległej plaży, aby uprawiać tam ziemię w małej dolince, która mu się spodobała, lecz King mu na to nie pozwolił.

Richard natomiast uważał, że najrozsądniej byłoby otworzyć wyspę Norfolk i osiedlać na niej ludzi tam, gdzie tylko mieli ochotę. Najbardziej obawiał się tego, że osada Sydney rozrośnie się i sięgnie aż do ujścia Doliny Arthura, gdzie nie mieszkało zbyt wiele osób, a

wychodek, który wykopał w zboczu pagórka, mógł nazwać własnym. Jego miejsce do kąpieli znajdowało się na strumieniu w sercu lasu, pośród drzew paproci, na odnodze, którą wykopał tak, aby nie zanieczyszczać głównego nurtu wody - jeśli zdrowe ciało mogło to zrobić, w co wątpił. Lecz zdawał sobie sprawę z tego, że za rządów Kinga nadejdzie dzień, kiedy Sydney do niego dotrze. Nie spodziewał się więcej mądrości po majorze Rossie, tyle tylko, że był on zupełnie innym człowiekiem i w związku z tym mógł znaleźć inne rozwiązanie dla tego nieoczekiwanego wzrostu populacji.

- A zatem czy mogę założyć, że major suszy już swój mundur w rezydencji gubernatorskiej? - zapytał Richard, kiedy nie zwracając uwagi na deszcz, wracali wzdłuż strumienia ku tamie i stawkowi.

- Och, to pewne. Biedny King! Z jednej strony jest podniecony tą poważną misją, której ma się podjąć w imieniu gubernatora, z drugiej zaś odchodzi od zmysłów na samą myśl o tym, co też major Ross uczyni z wyspą Norfolk.

Szeregowiec Wigfall, który jadł obiad wraz z nowymi żołnierzami - pośród których było paru jego przyjaciół z Port Jackson - ujrzał nadchodzącego Richarda i prędko wskoczył do dołu. Byli w połowie liczącej sobie trzydzieści stóp kłody i dotarli już do twardzieli - czas na dyle, po których przyjdzie kolej na belki. Stephen Donovan poszedł dalej, w kierunku pierwszej ze swego tuzina grup zajętych budową śluz na ścianę zapory z bazaltowych głazów, rozkruszonego wapnia i usypanej ziemi. Zapora trzymała się nawet przy tym deszczu, co wszystkich zdziwiło, deszcz bowiem nie ustawał od wielu dni.

W ciągu czterech dni populacja wyspy Norfolk wzrosła ze stu czterdziestu dziewięciu do czterystu dwudziestu czterech osób - na „Siriusie” i „Supply” przybyło więcej ludzi, aniżeli mieszkało już tam przed marcem 1790 roku. Oba okręty przywiozły również dodatkowe zaopatrzenie, począwszy od mąki po rum.

- Ale to przecież za mało! - wykrzyknął porucznik King do majora Rossa, wpadając w szal. - Jakże mam ich wszystkich wykarmić?

- To nie będzie już pańską sprawą - odparł na to bez osłonek major Ross. - Pan jest tu komendantem jedynie do czasu odpłynięcia „Supply”, co nie potrwa długo. Jak tylko morze się uspokoi, będzie można rozładować zapasy po tej stronie wyspy. Dopóki pan stąd nie odpłynie, będę podporządkowywał się pańskim rozkazom, jednak karmienie tej gromady spada na mnie, podobnie jak jej zakwaterowanie. - Objął ramieniem swego dziesięcioletniego syna, Alexandra Johna, którego mianowano drugim oficerem marynarki wojennej po śmierci kapitana Johna Shea, w wyniku czego nastąpiło przesunięcie w górę oficerów i powstało

wolne miejsce na samym dole hierarchii. Mały John, jak go wszyscy nazywali, był cichym dzieckiem, które wiedziało, że nie może jeszcze bardziej utrudniać i tak już bardzo skomplikowanego życia swego ojca. Znosił swój los z rezygnacją, rozumiejąc, że ten nieszablonowy awans nie zaskarbił mu miłości wśród innych oficerów. Jego ojciec, stojąc na szczycie wzniesienia, na którym wybudowano rezydencję gubernatorską, spojrzął na brzeg morza, gdzie panował taki sam chaos jak bezpośrednio po wylądowaniu w Port Jackson.

Ludzie waleśali się bez celu, włącznie z owymi pięćdziesięcioma sześcioma nowymi żołnierzami, bez baraków. Oficerowie zarekwirowali chaty wielkości ośmiu na dziesięć stóp od skazańców, którzy teraz zwiększali tylko ogólne zamieszanie, przyłączając się do szeregów nowo przybyłych bezdomnych. - Mam nadzieję - powiedział ponuro Ross - że ma pan dobry zespół traczy, panie King?

- Owszem, na tyle, na ile to możliwe. - Rozstrój nerwowy Kinga jeszcze się nasilił, pojawiło się też nagle pragnienie natychmiastowego opuszczenia wyspy Norfolk. - Mamy trzy doły trackie, lecz będę musiał znaleźć więcej ludzi do cięcia - co, jak pan zapewne wie, majorze, nie jest takie proste.

- Pomiędzy nowymi więźniami są tracze z Port Jackson.

- Mam nadzieję, że mają więcej pił?

- Jego ekscelencja przysłał nam wszystkie z wyjątkiem trzech pił wzdłużnych, jak również około stu pił ręcznych. - Ross zdjął dłoń z ramienia syna. - Czy Richard Morgan jest jednym z traczy?

Twarz Kinga rozpromieniła się.

- Nie dałbym sobie rady bez niego - odpowiedział. - Podobnie jak bez Nata Lucasa, mego naczelnego stolarza, albo Toma Crowdera, mego sekretarza.

- Mówiłem panu, że Morgan okaże się bardzo przydatny. Gdzie on jest?

- Tnie drewno, dopóki jeszcze jest jasno.

- Nie ostrzy już pił? King uśmiechnął się.

- Zatrudnił do ostrzenia pił kobiety i funkcjonuje to wyjątkowo dobrze. Jego partnerem jest szeregowiec Wigfall - no cóż, zabrakło nam odpowiednich więźniów. Nie jest to godna pozazdroszczenia robota, lecz Wigfallowi zdaje się to bardzo odpowiadać, podobnie jak Morganowi i jeszcze paru innym. Cieszą się dobrym zdrowiem - prawdopodobnie właśnie dzięki ciężkiej pracy i dobremu wyżywieniu.

- I trzeba ich dobrze odżywiać, nawet jeśli inni są głodni. Najważniejsze - wtrącił Ross, zapominając chwilowo, że King nadal jest, przynajmniej teoretycznie, szefem - jest wybudowanie baraków dla moich żołnierzy. Życie pod namiotem to piekło. Nie mówiąc już o

tym, żeby ten Hunter ruszył wreszcie swoją królewską dupę i rozładował namioty. - I dodał, bynajmniej nie w ramach przeprosin: - Czy mógłby pan zasugerować, gdzie powinny stać baraki?

- Tam, po drugiej stronie bagna - odparł King, z godnością połykając swe niezadowolenie. - Ziemia u podnóża pagórków poza miastem Sydney jest wolna od wody, choć muszę pana ostrzec, że sosny Norfolk prędko gniją, jeśli sieje wkopie w ziemię. Najlepiej byłoby stosować kamienie pod fundamenty. Czy przybyli tu jacyś kamieniarze?

- Paru i kilka kamieniarskich dłu. Port Jackson nie potrzebuje teraz nowych budynków, a jego ekscelencja zdaje sobie sprawę z tego, że wyspie Norfolk będą one bardzo potrzebne. Nawiasem mówiąc, bardzo się ucieszył z wapna. W ciągu wszystkich naszych podróży aż po Cumberland County nie znaleźliśmy nawet jednego wapiennego kamyka.

- Gdy go zobaczę, powiem mu, żeby się nie martwił. W razie potrzeby jesteśmy w stanie wyprodukować i sto buszli wapna dziennie - odparł King, mając wielką ochotę na kieliszek porto i boleśnie zdając sobie sprawę z tego, że major nie pochwała więcej niż pół kwatereki czegokolwiek upajającego. Dostrzegł w drzwiach domu Ann i postanowił zostawić majora samego. Ann spodziewała się drugiego dziecka i może była w jakiejś potrzebie.

- Muszę już iść! - rzucił i zniknął.

Pojawiła się delikatna postać podporucznika Ralpa Clarka, którym Ross pogardzał, dopóki nie zorientował się, że ten mdły, niedojrzały Clark ma wyjątkowe podejście do dzieci i zdawał się zadowolony z możliwości opieki nad Małym Johnem. Jako żołnierz - bezużyteczny, lecz za to wspaniały w charakterze niańki.

- Będzie mi bardzo miło - powiedział uprzejmie, uśmiechając się do Małego Johna - jeśli dostanę świeżą koszulę. I jestem pewien, że panu również. Mogliby przynajmniej wysłać na brzeg nasz bagaż.

- Wątpię, czy „Sirius” kiedykolwiek zdoła wyładować bagaże - odpowiedział zimno Ross. - Choć, jak zauważyłem, „Supply” nic sobie z tego nie robi.

- „Supply” ma Balia i Blackburna, panie majorze. Oni znają to miejsce.

„Podczas gdy Hunter jest rozkapryszonym głupcem” - pomyślał sobie Ross, głośno zaś powiedział:

- Zajmij się Małym Johnem, poruczniku. Ja muszę się rozejrzeć. Ślady po potężnym huraganie były nadal widoczne po upływie przeszło roku od tego wydarzenia, choć użyteczne drzewa zostały odarte z kory i pocięte na odpowiednie kawałki. Te za duże na trackie doły oraz już nadgniłe spożytkowano na różne sposoby - gałęzie obcięto i zużyto na pochodnie i drewno palne, a pnie pocięto na kawałki i wrzucono do lejów na spalenie lub ułożono w stosy

na podpałkę. Osiedleńcy nadal, jak tłumaczył King, cięli drewno połamane przez wiatr, choć wycinka i karczowanie pagórków wokół doliny i Sydney nadal trwały i drewno było składowane. „W zimie - pomyślał sobie Ross - będę co noc palił ognisko. Zbyt dużo cennej, płaskiej ziemi marnuje się tu na sosnową próchnicę”.

W mniemaniu Rossa wyspa ta była jeszcze gorsza od Port Jackson - nie wiedział, jakim cudem mogłaby utrzymać czterysta osób w jako takim komforcie. Jarzyn było sporo pomimo plagi robactwa, lecz ludzie nie wyżyją na samych jarzynach, jeśli są zmuszani do ciężkiej pracy - potrzebne było im również mięso i chleb. Wielkość plonów pszenicy w spichlerzu zaskoczyła go, podobnie jak ilość kukurydzy. Tylko nieustanna obecność potomstwa MacGregora i Delphinii w pobliżu spichlerza utrzymywała szczury z daleka, tłumaczył King, lecz wraz z nowo przybyłymi przypląnął tuzin psów i ze dwa tuziny kotów do pomocy w kontrolowaniu gryzoni. Świnie rozmnażały się tu o wiele lepiej aniżeli w Port Jackson. Żywiły się kukurydzą, burakami pastewnymi, odpadkami z ryb i wszystkim innym, czym je karmiono, włącznie z rdzeniem z pni palm i drzewiastych paproci. Zajadały się również jakimś gatunkiem morskich ptaków, które zlatywały do swoich gniazd w ziemnych norach na górze George pomiędzy listopadem a marcem.

- Jakież to głupie stworzenia - stwierdził King. - Gubią się i nie potrafią odnaleźć własnych nor. Łaa, łaa, łaa! Wyją niczym duchy przez całą noc, co śmiertelnie przeraża nowo przybyłych. Ale jak się tylko weźmie pochodnię, łatwo można je złapać. Świnie po prostu włożą na górę George i tam uczują. Też próbowaliśmy je jeść, bo są tak blisko, ale okazały się za tłuste i śmierdzące rybami. Uff!

„Dlatego też - pomyślał Ross, idąc dalej - prosiaki będą zajmować ważną pozycję w moich kalkulacjach”.

Pszenica, mimo że dobrze obrodziła, nie wystarczy na wyżywienie czterystu dwudziestu czterech osób do następnych zbiorów - wysiew odbywał się w maju lub czerwcu, a zbiory w listopadzie lub grudniu. Według Kinga, kukurydza rosła tu przez cały rok. Jego technika radzenia sobie ze szczurami i robactwem polegała na sianiu pszenicy pod koniec występowania fali robactwa, a kukurydzy nieustannie przez cały rok. Zboże w kłosach było zbyt wiotkie dla szczurów, by mogły się na nim utrzymać, podczas gdy kukurydza stanowiła pewnego rodzaju drabinę. Jednak dojrzałe plony obu roślin plądrowane były przez zielone papugi, które pojawiały się nagle z jasnego nieba w ogromnych stadach. „Poskramianie przyrody - pomyślał major - jest wieczną wojną”.

Przeszedł przez całą półkę skalną na poziomie morza z jednego końca na drugi, pograżony w nieustannych rozmyślaniach. „W Dolinie Arthura nie może mieszkać więcej

ludzi. Najwyraźniej tam najlepiej rosną produkty rolne, powinna być zatem zarezerwowana pod uprawę. Miasto Sydney będzie więc musiało przez jakiś czas pomieścić wszystkich - ale jedynie tymczasowo. Trzeba odwiedzić Roberta Webba wraz z tą jego kobietą oraz więźnia Roberta Jonesa, który odbył już swoją karę i wziął sobie ziemię w połowie drogi między miastem Sydney i Kaskadami. Och, te Kaskady! Cóż to za miejsce do wychodzenia na ląd! I jak ten Hunter musiał chichotać, patrząc na nowego zastępcę gubernatora bez bagażu i w barkasie pełnym drobiu!” Oczy Rossa zabłyśły gniewem i zaczął koncentrować całą swą energię na życzeniu kapitanowi Johnowi Hunterowi nieszczęścia. Choć był praktycznym i przyziemnym Szkotem, wierzył jednak, że przekleństwa posiadają ogromną siłę. „Hunterowi w końcu się nie powiedzie, jeszcze spadnie na niego jakieś nieszczęście. On sam doprowadzi się do zguby. Żeby go tak cholera wzięła! Żeby go pomór trafił! A niech go wszyscy diabli...”

Czuąc się już o wiele lepiej, przystanął po drugiej stronie grobli i odwrócił się, aby spojrzeć na wschód, na wykarczowaną, lecz nie zagospodarowaną jeszcze ziemię, która ciągnęła się aż do morza wzdłuż plaży poza Turtle Bay. Postanowił, że ten koniec wraz z drogą aż do punktu lądowania będzie zarezerwowany dla żołnierzy wraz z ich oficerami i w ten sposób skutecznie odetnie więźniów od Doliny Arthura oraz żywności, która była teraz przechowywana w olbrzymiej stodole Kinga i na półpiętrze spichlerza. Kwatery więźniów umieści na wschód od żołnierzy, po dziesięciu na chatę, i niech diabli wezmą krytykę wielebnego Johnsona, usiłującego powstrzymać ich od cudzołóstwa. Według Rossa przynajmniej zapewniało to pewien stopień zadowolenia. Bóg im to wybaczy, bo zesłał na nich wiele innych ciężkich doświadczeń.

Więźniom, którzy posiadali chaty wzdłuż plaży i zostali z nich wysiedleni na rzecz jego oficerów, trzeba pozwolić do nich wrócić. Był twardy, ale sprawiedliwy. Tym, którzy się tu napracowali - a prawdę mówiąc, było takich bardzo niewiele - należy się jakieś podziękowanie za ich wysiłek. Powrócą do swoich domów, gdy tylko jego oficerowie zostaną odpowiednio zakwaterowani, i będą pierwszymi więźniami, którzy dostaną ziemię. To bowiem, jak już się przekonał, było jedynym rozwiązaniem. Należało otworzyć wnętrze tego ziarenka piasku pośród nieskończoności oceanu i zaludnić je. Dać tym, którzy chcieli pracować, zachętę do pracy poprzez nadanie im praw do ziemi - niektórym w pobliżu miasta Sydney, bardzo niewiele w Dolinie Arthura, a większości na dziewiczych terenach wyspy. I żadnych bitych ścieżek - tylko porządne drogi do Bali Bay, do Kaskad i Anson Bay. Kiedy powstaną drogi, ludzie będą mogli się przemieszczać i wyprowadzać. Jeśli dysponował jakimś majątkiem, to z pewnością była nim liczna siła robocza.

Odłożywszy na razie te postanowienia, odwrócił się i skierował na zachód, w stronę

Doliny Arthura, przyznawszy niechętnie w duchu, że biorąc pod uwagę tę niewielką garstkę osób, jaką miał do dyspozycji porucznik King, nie próżnował on w ciągu tych dwóch lat, które spędził na wyspie Norfolk. W spichlerzu i stodole powoli wymieniano drewniane fundamenty na kamienne - ów kamień, z którego produkowano wapno okazał się nie tyle wapieniem, ile kalcytem; King odkrył go w pobliżu cmentarza. Wybieg dla zwierząt przy stajni był przestrzenny, a tama prezentowała się naprawdę wspaniale. Znalazł drugi dół tracki, osłonięty od słońca, w którym pracowano zawzięcie, spojrzawszy ponuro na plotkujące pod dachem kobiety, zajęte ostrzeniem pił, i poszedł dalej w górę doliny aż za tamę, gdzie właśnie karczowano zbocza pagórków, przygotowując je pod uprawę pszenicy i kukurydzy. Zauważył tam trzeci dół tracki i Richarda Morgana stojącego na gigantycznej kłodzie. Mając na tyle rozsądku, aby nie rozpraszać uwagi tracza, kiedy ten ciął niebezpiecznym narzędziem za każdym razem po parę cali wzdłuż kłody o obwodzie sześciu stóp - dochodząc właśnie do bieli i wielkich belek - major Ross przystanął i patrzył.

W powietrzu unosiła się wilgoć i było cieplej aniżeli w którymkolwiek dniu, od kiedy wyszedł na ląd cztery dni temu. Mężczyźni w dole pracowali jedynie w wytartych i postrzępionych brezentowych spodniach. „Nie może tak być - pomyślał Ross. - Żaden z nich z pewnością nie ma majtek, wiem to z Port Jackson, gdzie ostatnia bielizna więźniów rozpadła się rok temu. Muszą więc wykonywać tę pracę, gdy szorstkie szwy spodni wrzynają im się w pachwiny. I chociaż nie lubię więźniów, muszę przyznać, że jest wśród nich wielu dobrych ludzi, a niektórzy godni są nawet najwyższego uznania. King może wychwalać takich jak Crowder - użytecznych podlizywaczy, aleja wolę takich jak Richard Morgan, który nigdy nie otwiera ust, chyba żeby dać dowód swego zdrowego rozsądku, i ten mały stolarz, Nat Lucas. Crowder będzie pracować bez wytchnienia, ale dla siebie - Morgan i Lucas pracują dobrze, bo wykonana robota sprawia im przyjemność. Jakże dziwne są machinacje Boga, który sprawia, że niektórzy mężczyźni i kobiety są tak pracowici, a inni leniwi aż do szpiku kości...”

Piłowanie zakończyło się i Ross mógł się już odezwać.

- Widzę, że ciężko pracujesz, Morgan.

Nie zadając sobie trudu, by ukryć radość, Richard odwrócił się na kłodzie, zeskoczył z niej na solidny grunt i podszedł do niego. Automatycznie wyciągnął do niego rękę, lecz prędko powstrzymał ten odruch i zsalutował.

- Majorze Ross, witam! - powiedział.

- Czy wyrzucono cię z twojej chaty?

- Jeszcze nie, panie majorze, ale spodziewam się, że to wkrótce nastąpi.

- A gdzie ty mieszkasz?
- Tam dalej, na końcu doliny.
- Pokaż mi.

Teraz już na kamiennych filarach i z dachem pokrytym gontem - nie można więc było nazywać go chatą - dom jego stał pod osłoną lasu. Ross zauważył, że był wyposażony w kamienny kominek, podobnie jak parę innych domów i chat więźniów na wybrzeżu - oznaka uznania Kinga dla Morgana, rodzaj nagrody. Poniżej domu na stoku pagórka znajdował się wychodek. Otaczał go bujny ogród warzywny, z wyjątkiem wiodącej aż pod same drzwi ścieżki z bazaltowych kamieni, a za ogrodem kołysała się trzcina cukrowa. Rosło tam parę rozłożystych bananowców, a stok wzgórza wokół wychodka obsadzony był małymi, krzaczastymi drzewkami, obsypanymi różowymi jagodami.

Wchodząc do środka, major Ross pomyślał, że wszystko tutaj wykonane było zaskakująco fachowo, jak na kogoś, kto nie jest stolarzem. Dom był wykończony. Ściany, sufit i podłoga zostały lekko wypolerowane. Ależ oczywiście! Przecież rusznikarze też pracowali przy drewnie. Na jednej ścianie stała na półce imponująca kolekcja książek, inna półka zawierała coś, co przypominało okapnik, łóżko przykryte kocami z przydziału z „Alexandra”, a na środku stał bardzo ładny stolik i dwa krzesła. Otwór okienny wyposażony był w odpowiednie okiennice.

- Stworzyłeś tu sobie prawdziwy dom - stwierdził Ross, zajmując jedno z krzesel. - Siadaj, Morgan, w przeciwnym wypadku będę się czuł niezręcznie.

Richard usiadł raczej sztywno.

- Cieszę się, że pana widzę, panie majorze.
- Zdradziła to twoja twarz. Jesteś jednym z niewielu. - No cóż, ludzie nie lubią zmian.
- Zwłaszcza jeśli tym zmianom na imię Robert Ross. Nie, nie Morgan, nie ma potrzeby się chmurzyć. Jesteś skazańcem, ale nie przestępcą. A to różnica. Na przykład Lucasa też nie uważam za przestępcę A za co go skazano, wiesz może? Zbieram dowody na pewną teorię którą sobie stworzyłem.

- Lucas mieszkał w londyńskim pensjonacie, w pokoju, którego nie miał prawa zamykać, był bowiem zobowiązany dzielić go bez zapowiedzi z kimś innym. Razem z nim zamieszkali ojciec z córką. Ojciec znalazł ubrania należące do córki pod materacem Lucasa - jakieś tam muślinowe fartuchy i tym podobne rzeczy. Nic takiego, co ukradłby zboczeniec. Lucas zaprzeczył temu, że je tam włożył, lecz dziewczyna z ojcem zaskarżyli go.

- Jak sądzisz, jak było naprawdę? - zapytał zainteresowany major.
- Tej dziewczynie zależało na Lucasie. Kiedy zrozumiała, że nie uda jej się go zdobyć,

zaplanowała zemstę. Rozprawa trwała zaledwie dziesięć minut, a jego majster zaniedbał sprawę i nie pojawił się w sądzie, żeby zaświadczyć o jego dobrym charakterze. Rozumiem jednak, że londyńskie sądy są tak przeciążone pracą i panuje tam takie zamieszanie, że majster mógł tam nawet przyjść, ale albo się zgubił, albo odmówiono mu wejścia. Sędzia przesłuchał Lucasa, a on zaprzeczył oskarżeniom, ale było to tylko jego słowo przeciwko temu, co mówiło tych dwoje. Dostał siedem lat.

- Jeszcze jedno potwierdzenie mojej teorii - powiedział Ross, przechylając się do tyłu na krześle, aż jego przednie nogi uniosły się z podłogi. - Takie opowieści są powszechne. Choć niektórzy z was niewątpliwie są łajdakami, to zauważyłem, że większość trzyma się z dala od tarapatów. Tylko nieliczni przysparzają wszystkim problemów. Na każdego wychłostanego skazańca jest trzech czy czterech, którzy nigdy nie dostają batów, a ci, których wychłostało się raz, są chłostani ponownie, i to wielokrotnie. Jeszcze inni spośród was nie są ani porządni, ani nie są łajdakami - to ci, co mają awersję do ciężkiej pracy. Angielska rozprawa sprowadza się do czyjegoś oświadczenia przeciwko oświadczeniu kogoś innego. Rzadko kiedy przedstawia się dowody.

- A wielu dopuszcza się swych przestępstw, kiedy są kompletnie pijani.

- Czy tak było w twoim przypadku?

- Niezupełnie, choć rum pomógł. Oszustwo akcyzowe opierało się na moim zaświadczeniu, toteż wygodniej było, abym nie mógł o niczym zaświadczyć. Doszło do tego w Bristolu, mnie jednak przeniesiono na rozprawę do Gloucester, gdzie nikogo nie znałem. - Richard zaczerpnął powietrza. - Ale prawdę mówiąc, panie majorze, winię za to tylko siebie.

Ross zauważył, że Richard ma wygląd Walijszczyka - ciemne włosy, ciemna skóra, jasne oczy, przystojna twarz. Wzrost musiał odziedziczyć po swoich angielskich przodkach, a umięśniona sylwetka była efektem ciężkiej pracy. Tracze, kamieniarze, drwale, którzy pracowali z poświęceniem, zawsze mieli wspaniałe ciała. Pod warunkiem, że dostawali dostateczną ilość jedzenia, a tym na wyspie Norfolk najwyraźniej niczego nie brakowało. Ale czy będzie tak w przyszłości, nie było wcale pewne.

- Wyglądasz jak uosobienie zdrowia - zauważył Ross. - Ale z drugiej strony, ty nigdy nie chorowałeś, co?

- Zdołałem zachować zdrowie głównie dzięki mojemu okapnikowi. - Richard wskazał nań ręką. - Miałem też szczęście, panie majorze. Okresy, kiedy brakowało mi pożywienia, były albo bardzo krótkie, albo na tyle bezczynne, że nie doprowadziły do poważniejszych chorób. Kto wie, co by się stało, gdybym pozostał w Port Jackson? Pan jednak wysłał mnie tutaj szesnaście miesięcy temu. - Zawilgotniały mu oczy. - Lubię ryby, a jest tu wielu, którzy

ich nie lubią, dlatego mam więcej niż własny przydział mięsa.

MacTavish wskoczył przez otwarte drzwi i wpadł Richardowi w biegu na kolana, ciężko dysząc.

- Wielki Boże! Czy to Wallace? To przecież nie jest MacGregor.

- Nie, panie majorze. To jest wnuk Wallace'a, po rządowej spanielce Delphinii. Nazywa się MacTavish i zjada szczury.

Ross powstał.

- Gratuluję ci domu, Morgan. Jest bardzo wygodny, chłodny w lecie dzięki tym drzwiom i ciepły w zimie, dzięki kominkowi.

- Jest do pańskiej dyspozycji, panie majorze - powiedział Richard z szacunkiem.

- Gdyby był bliżej cywilizacji, Morgan, tobym go zajął, nie łudź się. Twój spryt godny jest człowieka z północnej granicy, żeby tak budować na końcu osady. Żadnemu z moich oficerów nie odpowiadałby taki spacer, może z wyjątkiem porucznika Clarka, a tego muszę mieć pod ręką. - „Jest zbyt odizolowany, żeby mógł służyć za bezpieczną oficerską kwaterę” - pomyślał Ross. - „Kto wie, co wymyśliłby skurczybyk, który by tu zamieszkał?” - Jednakże - dodał, podchodząc do drzwi - w odpowiednim czasie zobowiązę cię do dzielenia go z kimś.

Richard odprowadził majora aż po dół tracki, w którym Sam Hussey i Harry Humphreys mocowali się z następną kłodą.

- Jestem nadzorcą traczy, panie majorze, a zatem gdy tylko będzie pan miał czas, chciałbym przedyskutować z panem cięcie drewna - powiedział.

- Nigdy nie będzie odpowiedniejszej chwili niż obecna, Morgan. Mów teraz.

Odwiedzili kolejno każdy z dołów, a Richard wyjaśnił mu swój system - opłacalność zatrudniania kobiet do ostrzenia pił i odzierania kory z drzew; wybór miejsca, w których można by wykopać dodatkowe doły; ludzie, których potrzebował do cięcia; celowość zezwalania traczom na cięcie drewna na własne domy w wolnym czasie oraz potrzebę zamiany niektórych pił wzdłużnych na poprzeczne.

- To jednak - zakończył, kiedy stanęli na skraju dołu na plaży - jest praca, której nie powierzyłbym nikomu innemu. Chyba że przywiózł pan tu Williama Edmunda? - zapytał, mając pewność, że major Ross zna wszystkie nazwiska, tak ludzi wolnych, jak i przestępców.

- Aha. Znajdziesz go gdzieś w tłumie. Jest twój.

„I oto - pomyślał z wielkim zadowoleniem Richard - wszystko gładko poszło. Jakże majorowi Rossowi musi brakować przyjaciół, skoro rozmawia ze skazańcem tak jak z towarzyszem. Czy to dlatego zabezpieczył mnie tutaj?”

W piątek dziewiętnastego marca, przy spokojnym morzu i ładnej pogodzie, „Sirius” stanął w zatoce Sydney gotowy do rozładunku. Stał pod osłoną wyspy Nepean i przygotowywał się do opuszczenia łodzi na wodę, lecz gdy dowodzący zorientowali się, że okręt zaczął dryfować niebezpiecznie blisko skał przy cyplu Point Hunter, dali rozkaz rozwinięcia żagli i odpłynięcia nieco dalej, nie trafili jednak na sztagi i okręt pozostał na wodzie bezruchu. Sternik Keltie postanowił wówczas obrócić statek za pomocą lawirowania, mając wiatr od strony rufy, ale rozpoczął manewr akurat w momencie, gdy lekki wietrzyk przeobraził się w sztormowy powiew. „Sirius” ponownie nie trafił na sztagi. Dokładnie w chwili, kiedy zaczął bić południowy dzwonek, fala porwała go z głębiny i rzuciła burtą na rafę. Chwyciwszy za siekiery, marynarze zaczęli ścinać maszty statku na wysokości pokładu, dziurawiąc i pokrywając cały okręt kłębówiskiem omasztowania i płócien. Z plaży, jak również ze stojącego na redzie „Supply”, ruszyły z pomocą łodzie, lecz nie było szans na dotarcie do statku - zdradziecka przybrzeżna fala nagle stała się tak wysoka, że przewaliła się nad bukszprytem i kawałkiem dębowego bloku w miejscu, w którym łuk dziobnicy statku łączył się z prostym nadburciem. Podczas gdy marynarze pracowali gorączkowo, aby oczyścić pokład z połamanego omasztowania, przyholowano na brzeg cumę o szerokości siedmiu cali i umieszczono ją wysoko na jedynej sośnie, która tam ocalała po burzy - ludzi, którzy nie byli na pokładzie niezbędni, wyciągnięto na brzeg z wzbierających fal południowego przypływu, uczeponych cumy. Lina ugięła się akurat w miejscu, gdzie rozbijała się przybrzeżna fala, więc kapitan John Hunter, pierwszy z ludzi wyciągniętych na brzeg, przybył tam tak posiniaczony, potłuczony i podrapany, że już samo to przekonało majora Rossa o skuteczności jego przekleństw. Huntera czekało jeszcze coś o wiele gorszego, za utratę statku będzie musiał bowiem odpowiadać w Anglii przed sądem.

Pozostali oficerowie pośpieszyli za kapitanem, zanim ktoś pomyślał, aby przyczepić do liny suwnicę i kawałek okratowania, na które ludzie mogliby się wdrapać i osłonić nogi i siedzenia przed uderzeniami o rafę koralową. Dopiero kiedy fale opadną, trzeba będzie podłożyć trójnog pod cumę; teraz było to niemożliwe.

Niektórzy członkowie załogi „Sirusa”, będący na lądowej przepustce, pływali tam i z powrotem do wraku statku, podobnie jak czynił to Stephen Donovan - zły, że nikt nie zapytał go o miejscowe prądy i wiatry. „O Chryste, to duży okręt i ktoś z dowództwa powinien zdawać sobie sprawę z tego, że wyspa Nepean wyczyniała przedziwne rzeczy z wiatrem! Dlaczego Hunter nie posłużył się Davidem Blackburnem czy Harrym Ballem, jeśli jest zbyt dumny na to, by zwrócić się o pomoc do zwykłego marynarza floty handlowej?

Jak to zazwyczaj bywa w przypadku złych wiadomości, nowina ta prędko dotarła do

dołów trackich. Richard obszedł wszystkie doły i zakazał swym pracownikom przerywania pracy, chyba że nadejdą rozkazy stwierdzające, że są potrzebni. Trzeba było zakwaterować kilkaset osób, zwłaszcza że teraz załoga „Siriusa” została wyrzucona również na ląd, a więc było dodatkowo sto osób. Jeśli „Sirius” nie może odpłynąć do Cathay, będzie musiał zastąpić go „Supply”, a to oznaczało wiele miesięcy bez niczyjej pomocy. Tak przynajmniej rozumował Richard i - jak się później okazało - właściwie.

Sobotni poranek ukazał „Siriusa” nadal nietkniętego - miał złamany grzbiet tylnicy, lecz rufa zwisała z rafy, na której leżał pod kątem Warunki do lądowania na brzegu były bardzo trudne. Wiatry nasiliły się aż do rozmiarów małej burzy, a chmury groziły deszczem, lecz mimo to opróżnianie ładowni trwało jeszcze przez cały dzień. Około czwartej po południu ostatni z mężczyzn wyszedł na brzeg opróżniwszy ładownię „Siriusa” i złożony ładunek na pokładzie statku, skąd łatwiej było go zabrać.

O dziewiątej tego sobotniego ranka King, ulegając majorowi Rossowi, zwołał zebranie wszystkich mianowanych oficerów „Siriusa” oraz oficerów marynarki wojennej. Przewodniczył mu Ross.

- Porucznik King formalnie przekazał mi dowództwo jako zastępcy gubernatora, co jest zrozumiałe w tych wyjątkowych okolicznościach - oświadczył Ross, którego jasne oczy połyskiwały stalowo niczym jeziora w szkockich górach. - Zaistniała konieczność podjęcia decyzji, które zapewnią spokój, porządek i dobry zarząd na tej wyspie. Zostałem poinformowany, że „Supply” będzie mógł zabrać około dwudziestu członków załogi „Siriusa” oraz pana Kinga, jego panią i dziecko, a „Supply” musi odpłynąć do Port Jackson jak najprędzej. Trzeba natychmiast poinformować jego ekscelencję o tym nieszczęściu.

- To nie była moja wina! - wyrzucił z siebie Hunter, z pociętą twarzą i tak blady, że zdawało się, iż za chwilę zemdleje. - Po prostu nie mogliśmy utrzymać go w sztagach. To było niemożliwe! Gdy tylko wiatry się zmieniły, wydeły żagle - to wszystko stało się tak szybko, tak szybko!

- Nie zwołałem tego zebrania, aby przypisywać komukolwiek winę, kapitanie Hunter - odezwał się Ross szorstko. To on tu teraz zarządzał i wreszcie Królewska Marynarka Wojenna będzie się musiała pokłonić przedstawicielowi armii, która nie miała prawa nazywać się „królewską”. - Zebraliśmy się tu po to, by przedyskutować fakt, że ta osada, która jeszcze sześć dni temu liczyła sto czterdzieści dziewięć osób, teraz będzie musiała pomieścić ich ponad pięćset, włącznie z ponad trzema setkami więźniów i około osiemdziesięcioma ludźmi z „Siriusa”. Ci ostatni, jako marynarze, nie będą przydatni ani do pilnowania więźniów, ani do uprawy roli. Panie King, czy sądzi pan, że gubernator Phillip przyśle tu „Supply” z

powrotem z Port Jackson?

Twarz Kinga wyrażała wzburzenie i dezorientację, jednak zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, majorze Ross. Nie może pan liczyć na powrót „Supply”.

O ile dobrze rozumiem, Port Jackson głoduje i jego ekscelencja obawia się, że Anglia - nikt nie wie, z jakiego powodu - o nas zapomniała. Wraz z utratą „Siriusa”, „Supply” jest jedynym naszym łącznikiem z resztą świata. Będzie musiał udać się albo do Kapsztadu, albo też do Batawii, byłby to bowiem łatwiejszy rejs dla takiego starego, nadającego się jedynie do żeglugi w trakcie dobrej pogody statku. Teraz gubernator jest zainteresowany głównie tym, aby ktoś dotarł do kraju i przypomniał Koronie, że warunki w obu osadach są krańcowo trudne. Chyba że dotrze tu jakiś okręt zaopatrzeniowy. To jednak, panowie, wydaje się raczej mniej niż bardziej prawdopodobne.

- Musimy zatem przygotować się na najgorsze, panie King, nie będziemy łudzić się nadzieją na przybycie statku zaopatrzeniowego. W spichlerzu jest jeszcze kukurydza i pszenica, lecz do siewu pozostały co najmniej dwa miesiące, a do zbiorów osiem lub dziewięć. Jeśli zdołamy ściągnąć prowizję z „Siriusa”, zanim zatonie - tu zignorował minę Huntera - przypuszczam, że zdołamy wykarmić wszystkich najwyżej przez trzy miesiące. Połów ryb będzie musiał odbywać się nieustannie, należy też polować na wszystkie nadające się do jedzenia ptaki, jakie tylko zdołamy znaleźć.

King, rozpromieniwszy się, wtrącił skwapliwie.

- Mówiłem panu o tym letnim ptaku, który pojełkuje niczym duch, ale jest tu jeszcze zimowe ptactwo. To tłuste i smaczne morskie ptaki, które przylatują około kwietnia i pozostają aż do sierpnia. Występują w górach i dlatego też nigdy nie jedliśmy ich w większych ilościach - bez ścieżek droga tam jest długa i niebezpieczna. Są one na tyle oswojone, że człowiek może do nich podejść i złapać. Jest ich tu tysiące. Przez cały dzień łowią w morzu ryby, a potem o zmierzchu wracają do swoich nor, podobnie jak letnie ptaki duchy. Jeśli sytuacja stanie się rozpaczliwa, mogą być źródłem mięsa. Potrzeba jedynie wyciąć ścieżki.

- Dziękuję za tę informację, panie King. - Ross odchrząknął. - Tak czy inaczej, najbardziej martwi mnie możliwość buntu. - Spojrzał groźnie po swoich oficerach. - Nie mam tu na myśli wyłącznie buntu pośród więźniów. Wielu z moich zaciężnych żołnierzy to łotry, którym trzeba dawać rum. Mówiąc, że mamy zapasy, które wystarczą najwyżej na trzy miesiące, w oszacowanie to włączyłem również rum. Muszę zachować odpowiednią ilość rumu dla moich oficerów, co ograniczy przydział dla poborowych. Nie mówiąc już o tym, że

żeglarze kapitana Huntera również będą domagali się rumu, nieprawdaż, kapitanie?

Hunter przełknął ślinę.

- Tak, majorze Ross, obawiam się, że tak.

- A zatem - stwierdził Ross - istnieje tylko jedno wyjście. Prawo wojenne. Kradzież czegokolwiek dokonana przez kogokolwiek - człowieka wolnego czy więźnia - będzie karana śmiercią bez procesu. I, moi panowie, wprowadzę to w życie, nie miejcie co do tego wątpliwości.

Oświadczenie to zostało powitane głęboką ciszą. Przez ściany rezydencji gubernatorskiej przenikały odgłosy tych, którzy pracowali na zewnątrz, aby wydostać ludzi i ładunek z „Siriusa”, przypominając o panującym tam chaosie.

- W poniedziałek - oświadczył Ross - wszyscy, którzy są na tej ziemi, zbiorą się o ósmej rano pod brytyjską flagą, gdzie poinformuję ich o nowej sytuacji. Do tego czasu rozkazuję trzymać usta zamknięte niczym rybi odbyt. Nie żartuję. Jeśli wiadomość o prawie wojennym przeniknie przed poniedziałkiem, każę wychłostać winnego bez względu na jego rangę. Możecie odejść.

Własność prywatna i zaopatrzenie nadal przychodziły z „Siriusa”. Żywy inwentarz - świnię i kozy - zostały po prostu wyrzucone za burtę i zagonione przez łodzie i pływaków w kierunku plaży, z zadziwiająco znikomą liczbą ofiar. Choć jego grzbiet został uszkodzony, okręt nie groził przełamaniami się czy zatonięciem. Beczki, baryłki, beczułki i worki już przewieziono na brzeg. Rufa wraku wysuwała się chwilami poza rafę, ciągle jednak statek zahaczony był śródookręciem i niemiłosiernie tłuczony przez wzburzone sztormem morze, a mimo to z każdym mijającym dniem wcale nie wyglądał gorzej.

W poniedziałek o ósmej rano wszystkich co do jednego zebrano pod brytyjską flagą - żołnierze i marynarze ustawili się po prawej stronie, więźniowie po lewej, a oficerowie pośrodku, tuż pod flagą.

- Jako komendant tej angielskiej kolonii, niniejszym oświadczam, że od tego momentu wprowadzone zostaje prawo wojenne! - krzyczał major Ross, a jego tubalny głos wspomagał wiatr, wiejący na zachód od południowego zachodu. - Dopóty, dopóki Bóg i Jego Brytyjska Wysokość nie ześlą nam pomocy, jesteśmy zdani wyłącznie na siebie samych. Jeśli mamy przeżyć, każdy mężczyzna, kobieta i dziecko będą musieli pracować, mając na uwadze dwa cele - aby wybudować odpowiednie schronienia przed żywiołami i produkować żywność. Według moich obliczeń, mamy tu pięćset cztery osoby, które pozostaną po odpłynięciu „Supply” - ponad trzykrotnie więcej niż było tu tydzień temu! Nie mam zamiaru ukrywać

faktu, że głód zagląda nam w oczy, mogę was jednak zapewnić co do jednej rzeczy - nikt z tu obecnych - nikt! - nie dostanie ani kęsa więcej niż inni. Bóg doświadcza nas tak, jak doświadczał Izraelitów na pustyni, nie możemy jednak rościć sobie pretensji do cnót tego starożytnego i godnego podziwu narodu. To, co się z nami stanie, zależy wyłącznie od naszej zaradności - ochoty do ciężkiej pracy, postępowania z myślą o interesach ogółu, z wolą przeżycia w obliczu tych wszystkich przeciwności.

Przerwał i ci stojący bliżej mogli dostrzec wyraz goryczy na jego twarzy.

- Nie jesteście Izraelitami, powtarzam to wam. Są pośród was największe szumowiny, społeczne męty i będę postępował z wami stosownie do tego, co sobą reprezentujecie. Ci, którzy znoszą swój los z godnością i pracują dla dobra ogółu, zostaną nagrodzeni. Dla tych, którzy będą kraść jedzenie z ust innych, karą będzie śmierć. Tych, którzy będą kradli, aby handlować dla zapewnienia sobie większego komfortu, żeby się upić lub z jakiegokolwiek innego powodu, każę chłostać dopóty, dopóki nie ukażą im się kości od szyi po kostki u nóg! Mężczyzna czy kobieta - bez różnicy. Dzieciom też to płazem nie ujdzie. Prawo wojenne ma określone zasady, co oznacza, że jestem waszym sędzią, przysięgłym i katem. Nic mnie nie obchodzi, czy cudzołożycie czy pracujecie trochę więcej w wolnym czasie, żeby coś wyhodować czy wybudować sobie dom - ale nie zamierzam tolerować najmniejszego pogwałcenia ogólnego publicznego dobra! Przez pierwsze sześć tygodni wszystkie zbiory mają być przekazywane do magazynów rządowych i oczekuję, że wszyscy mężczyźni i kobiety zaczną od tej chwili uprawiać jarzyny i owoce w celu powiększenia zasobów rządowych. Oznacza to, że pod koniec tych sześciu tygodni wszyscy z wydajnymi ogrodami oddadzą do magazynów rządowych jedynie dwie trzecie tego, co wyhodowali. Moim mottem jest produktywność przez pracę i dotyczy to zarówno ludzi wolnych, jak i skazańców.

Warga jego uniosła się, gdy warknął opryskliwie.

- Jestem majorem Robertem Rossem i moja reputacja mnie tu wyprzedza! Jestem zastępcą gubernatora na wyspie Norfolk i to, co mówię, stanowi obowiązujące prawo, tak jakby słowa te wyszły z ust samego króla! A teraz proszę o owacje na cześć Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego - i to gromko! Hip, hip!

- Hura! - zagrmiali wszyscy i powtórzyli dwukrotnie. - A teraz trzy wiwaty na cześć porucznika Kinga, który osiągnął tu cuda! Panie King, oddaję panu honory i życzę panu szczęśliwej podróży. Hip, hip!

Wiwaty dla Kinga okazały się o wiele głośniejsze od tych dla króla i King stał oszołomiony, rozpromieniony i bardzo zadowolony. Przez moment miał nawet wrażenie, że kocha tego majora Rossa.

- A teraz żądam, aby każdy co do jednego przeszedł pod sztandarem i skłonił głowę na znak potwierdzenia waszej przysięgi lojalności.

Tłum przemaszerował pod masztem, strachem zmuszony do tego uroczystego obrzędu.

Choć Richard stał na czele traczy i bliżej sztandaru aniżeli nowo przybyli więźniowie, dostrzegł pośród nich wiele znajomych twarzy - niektóre powitał z radością - Willa Connelly'ego, Neddy'ego Perrotta, Taffy'ego Edmunda, Tommy'ego Kindera, Aarona Davisa, Mikeya Dennisona, Steve'a Martina, George'a Guesta wraz z jego wesołym towarzyszem, Eda Risby'ego i George'a Whitacre'a. Pomiędzy nowymi żołnierzami dostrzegł swego byłego ucznia rusznikarskiego, Daniela Stanfielda, oraz dwóch szeregowców z czasów „Alexandra”

- Eliasa Bishopa i Joe McCaldrena. Bez wątpienia więźniowie rzucą się go powitać - jak im wytłumaczyć, że major Ross mówił poważnie i nie podobałoby mu się, gdyby jego naczelny tracz marnował czas na pogawędki ze starymi przyjaciółmi? Wówczas major Ross sam rozwiązał ten dylemat, wykrzykując jego nazwisko.

- Słucham, panie majorze - odpowiedział, gdy rozszedł się tłum.

- Wyślę szeregowca Stanfielda, żeby odnalazł Edmunda. Czy będziesz przy trzecim dole?

- Tak jest, panie majorze.

- Wysyłam ci Johna Lawrella, żeby z tobą zamieszkał i robił wszystko, co mu każesz. To dobry człowiek, choć powolny. Niech uprawia twój ogród. Przez pierwsze sześć tygodni Tom Crowder zbierze wszystko, co dojrzeje, a potem już tylko dwie trzecie.

- Tak jest, panie majorze - odparł Richard, zasalutował i odszedł pośpiesznie. John Lawrell... Był na wyspie Norfolk od roku i Richard znał go trochę - miłego usposobienia, powłóczący nogami Kornwalijszczyk z okrętów więziennych „Dunkirk” i „Scarborough”, należący do ogólnej siły roboczej nadzorowanej przez Stephena. Do czego major Ross zmierzał? W rzeczy samej przydzielił Richardowi służącego, aby uprawiał jego nieoficjalną działkę.

Zanim dotarł do trzeciego dołu, gdzie zastał już Sama Husseya i Harry'ego Humphreysa przy robocie, zrozumiał powody majora - przy tak dużej liczbie nowych ludzi na wyspie starzy mieszkańcy, którzy posiadali już dobre ogrody warzywne, narażeni byli na utratę swych produktów - niezależnie od prawa wojennego. Ross dał mu strażnika, aby się upewnić, że jego plony nie zostaną skradzione, i zrobi tak ze wszystkimi, którzy posiadają przyzwoite ogrody. Można zaufać Rossowi, że wybierze odpowiednich strażników spośród

czeszy nie sprawiających kłopotów przygłupów. Stłumiwszy westchnienie, Richard zaprzysiął sobie, że w czasie wolnym od pracy będzie ciął deski, aby wybudować Lawrellowi osobną chatę. Myśl o dzieleniu z kimś domu wydawała mu się o wiele bardziej przerażająca od konieczności ograniczenia żywności.

- Idę dopilnować nowych dołów, Billy - powiedział do szeregowca Wigfalla, którego uważał za przyjaciela. Mrugnął do niego i roześmiał się. - Upewnij się, żebyśmy nie dostali żadnych cholernych nowych Williamów za traczy. - Pomyślał o czymś innym. - Jeśli zamelduje się tu Walińczyk Taffy Edmunds, posadź go gdzieś w cieniu - tylko nie z kobietami! - i niech poczeka, aż wróce. Będzie naszym mistrzem szlifierzem. Szkoda, że nie lubi kobiet, ale będzie się musiał nauczyć z nimi pracować.

Trzy spośród nowych dołów leżały poza granicami miasta Sydney, po wschodniej stronie, gdzie pagórki nadal były gęsto zalesione. Jakimś cudem Ross już znalazł czas, aby zastanowić się nad tym, co zamierza przedsięwziąć, i wydał instrukcje, by ścinano drzewa pasmem szerokości dwudziestu stóp, począwszy od Turtle Bay aż po Bali Bay jako zaczątek nowej drogi. Sosny ze stoków prowadzących do Turtle Bay zostaną powalone wzdłuż i zsunięte na dół, kiedy zaś nachylenie skręci w kierunku Turtle Bay, w Bali Bay wykopie się następny dół, aby na miejscu zająć się tym drewnem. Jeden człowiek nie będzie mógł dopilnować dołów rozrzuconych na takiej przestrzeni, co oznaczało, że trzeba wybrać dla każdego dołu takiego głównego tracza, który nie będzie zmniejszał tempa pracy tylko dlatego, że nadzorca jest gdzie indziej. Nie miała to być bynajmniej jedyna droga. W kierunku Kaskad również miał zostać wycięty pas o szerokości dwudziestu stóp, a trzeci, najdłuższy - na zachód do Anson Bay. Doły trackie i jeszcze raz doły trackie - tak brzmiały rozkazy majora.

W drodze powrotnej Richard obszedł dookoła bezimienną jeszcze Plażę, która zdawała się służyć za sieć wylapującą wszystkie sosny, które osunęły się ze stoków. Leżały usypane w stos, podczas gdy morze spychało je na ląd, tworząc tratwy z kłód tak starych, że zaczęły zamieniać się w swego rodzaju kamień. I tam właśnie, porywany to w jedną, to w drugą stronę przez wodę - wiatr uderzał za bardzo z zachodu, aby wywołać wysoką falę przybrzeżną - leżał poskręcany brezentowy żagiel z „Siriusa”. „Może się jeszcze przydać” - zrozumiał natychmiast Richard i przyśpieszył kroku. Przyptyw właśnie nadchodził, więc mało prawdopodobne było, aby żagiel został zmyty z powrotem do morza, uważał jednak, że znalezisko jest zbyt ważne, aby ryzykować jego utratę przez mitrężenie czasu.

Pierwszym człowiekiem z grona dowódców, jakiego ujrzał, był Stephen, który w tych dniach został odesłany do kamieniołomów. Rozpromieniony uśmiechem Stephen prędko opuścił swoich pracowników.

- A niech szlag trafi tę ludzką plagę! Prawie przez tydzień cię nie widziałem! - Nagle jego wyraz twarzy się zmienił. - Och, Richardzie, cóż to za wstyd! - wykrzyknął. - Ażeby tak utracić „Siriusa”. Co za złe moce knują ciągle przeciwko nam?

- Tego nie wiem ani też nawet nie bardzo chcę wiedzieć.

- Co cię tu sprowadza?

- Nowe doły trackie, a cóż by innego? Z majorem Rossem jako komendantem przechodzimy od idealizmu Marka Aureliusza do pragmatyzmu Augusta. Nie mówię, że major pozostawi wyspę Norfolk całą w marmurach, gdyż całej z cegieł jej nie zastał, ale z pewnością da jej drogi. Jestem pewien, że zamierza wysłać ludzi poza obręb miasta Sydney. - Robił wrażenie, że mu się śpieszy. - Masz trochę czasu i ludzi?

- Jeśli będzie ku temu odpowiedni powód. A o co chodzi?

- Tym razem nic takiego - uśmiechnął się Richard. - W rzeczy samej przynoszę dobre wiadomości. Na tej odległej plaży leży duży szmat żagla z „Siriusa” i więcej fragmentów statków może się pojawić w tym miejscu wraz z nadejściem przyływu. Może posłużyć za baldachim dla tych, którzy nie znaleźli schronienia pod namiotami. A kiedy wszyscy zostaną już porządnie zakwaterowani, można będzie pociąć go na hamaki, prześcieradła na oficerskie łóżka i tysiące innych rzeczy. Przypuszczam, że sporo rzeczy będących własnością oficerów zostanie podwędzonych przez takich jak Francis i Peck.

- Niech cię Bóg błogosławi, Richardzie! - Stephen pobiegł spieszenie, krzycząc i zwołując swoich ludzi.

Tego wieczoru - uzbrojony w pochodnię z sosnowej gałęzi, aby odnaleźć w ciemnościach drogę z powrotem do doliny, gdyż obowiązywał nakaz gaszenia ogni o ósmej wieczorem - Richard udał się do miasteczka Sydney w poszukiwaniu znajomych twarzy, które zobaczył pośród zebranych. Namioty rozbito na plaży za rzędem chat, lecz wielu więźniów skazanych było na spanie pod gołym niebem, załoga „Siriusa” miała bowiem pierwszeństwo do namiotów. Miał nadzieję, że nazajutrz żagle „Siriusa” dadzą im wszystkim dach nad głową.

Ogromne ognisko z odpadków sosen płonęło w miejscu, gdzie bezdomni mieli później złożyć swe głowy do snu. Choć Richard przebywał na wyspie już od szesnastu miesięcy, nadal zdumiewała go gwałtowność, z jaką powietrze oziębiało się po zachodzie słońca, bez względu na to, jak gorąco było w ciągu dnia. Tylko przy spadku wilgotności nie dochodziło do takiego ochłodzenia, a jak dotąd rok 1790 był bardzo parny. Pomyślał, że jest to oznaka, że pogoda tego roku będzie o wiele suchsza, choć nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób doszedł do takiego wniosku. Czyżby był to instynkt odziedziczony po którymś z jego druidycznych

przodków?

Około stu osób siedziało tam stłoczonych wokół ognia z porozrzucanym dookoła dobytkiem. W przeciwieństwie do żołnierzy i ich oficerów, skazańcy zostali wysłani na ląd ze wszystkim, co posiadali, włącznie z ich cennymi kocami i kubłami. Stopy mieli na ogół bosc - buty zdarły się im już wiele miesięcy temu, a na wyspie Norfolk też ich brakowało. Richard modlił się, aby ta noc była sucha - na wyspie padało najczęściej w nocy, i to z nieba, które parę chwil wcześniej wyglądało na zupełnie bezchmurne. Więźniów wysadzono na ląd w trakcie ulewy i nie mieli jeszcze na tyle dobrej pogody, aby zdążyć się dobrze osuszyć. Na pewno znacznie się epidemia gorączek i dreszczy, być może nawet dojdzie do pobicia rekordu wyspy - od czasu, gdy porucznik King i jego pierwotna grupa dwudziestu trzech towarzyszy przybyła na brzeg ponad dwa lata temu, ani jedna osoba nie zmarła tu z przyczyn naturalnych ani z powodu choroby. Cokolwiek można byłoby powiedzieć o wyspie Norfolk, jej klimat sprzyjał wyśmienitemu zdrowiu.

Rozbity „Sirius” leżał na rafie, przedstawiając żałosny widok. Do Richarda dotarły już plotki, że Willy Dring i James Branagan - tego ostatniego nie znał - zgłosili się na ochotnika, aby podплыnąć do wraku, wyrzucić za burtę pozostały tam drób, koty i psy oraz spuścić spławne beczki i beczułki na wodę. Dring nie nadawał się do tej roboty.

Mieszkaniec Yorkshire i jego kumpel, Joe Robinson, niegdyś niezawodni, teraz zeszedli na manowce.

Wyśledził Willa Connelly'ego i Neddy'ego Perrotta siedzących z kobietami, które musiały należeć do nich - to już był dobry znak, i zaczął przeciskać się przez tłum.

- Richard! Och, kochany Richardzie!

Lizzie Lock rzuciła się na niego, oplótła go rękami za szyję i pokryła mu twarz pocałunkami pośród jęków, płaczu i mamrotów.

Zareagował całkowicie instynktownie, zakończył sprawę, zanim zdążył pomyśleć, żeby się pohamować, poczekać, aż będą na osobności, aby jej powiedzieć, że nie zamierza dzielić z nią żadnej części siebie, choć jest jego żoną. Nikt nie powiedział mu, że przyjechała, i nie pomyślał o niej od tego magicznego dnia, kiedy William Henry, mała Mary i Peg powrócili, aby zamieszkać ponownie w jego duszy. Zanim zdążył powstrzymać swoje ręce, uniosły się, aby zacisnąć się na jej rękach i oderwać ją od siebie.

Patrzył na Lizzie z cierpnącą skórą i zjeżonymi włosami, tak jakby była zjawą z piekła rodem.

- Nie dotykaj mnie! - wykrzyknął pobladły na twarzy. - Nie dotykaj mnie!

A ona, biedne stworzenie, zatoczyła się jak uderzona obuchem, od ekstatycznej

radości do przerażenia, do oszołomienia i bólu tak ogromnego, że chwyciła się za swe niewielkie piersi i wpatrywała w niego oczami ślepyimi na wszystko poza jego obrzydzeniem, z zapartym tchem, otwierając i zamykając bezgłośnie usta, aż bezsilna osunęła się na kolana.

W momencie gdy wykrzyknęła jego imię, cała grupa odwróciła się i ci, którzy go znali i ze zniecierpliwieniem czekali na to spotkanie, gapili się z rozdziawionymi ustami, mamrocząc coś zaskoczeni.

- Jestem twoją żoną! - krzyknęła przenikliwie, nie podnosząc się z kolan. - Richardzie, jestem twoją żoną!

Oprzytomniał już na tyle, że był w stanie objąć wzrokiem jej postać u swoich stóp, rosnący gniew i oburzenie na twarzach swoich przyjaciół oraz złośliwy uśmiezek tych, których to nie dotyczyło, a którzy pragnęli pochłonąć z tego przedstawienia tyle, ile jego uczestnicy mieli ochotę przed nimi odegrać. Co miał teraz zrobić? Co powinien powiedzieć? Jego świadomość równocześnie usiłowała znaleźć odpowiedź na te pytania, gdy druga jej część rejestrowała reakcje obserwatorów, a jeszcze inna wzdrygnęła się w przerażeniu - ona chciała go dotknąć! I ta cząstka wygrała - cofnął się poza zasięg rąk Lizzie.

Kości zostały rzucone. Lepiej zatem zakończyć to w ten sam sposób, w jaki się zaczęło, przy oślepiającym świetle publicznego ogniska, pośród tłumu ludzi, którzy - i słusznie - potępiają go jako pozbawionego serca łajdaka zasługującego na chłostę.

- Bardzo mi przykro, Lizzie - zdołał z siebie wykrztusić - ale ja nie potrafię. - Uniósł ręce i opuścił je. - Nie chcę żadnej żony, ja...

Nie umiał tego wyjaśnić i ponieważ nie miał nic więcej do powiedzenia, odwrócił się i odszedł.

Następnego dnia, we wtorek, spotkał się jak zwykle ze Stephenem przy Point Hunter, aby obserwować zachód słońca. Był to jeden z tych bezchmurnych wieczorów, kiedy ogromny czerwony krąg zsuwa się do morza, co - jak się zawsze wydawało Richardowi - powinno nastąpić przy skwierczeniu wrzątku. Kiedy światło na niebie zamarło, a sklepienie pociemniało i zamieniło się w błękit w odcieniu indygo, zanikające słońce zdawało się naginać z powrotem swe promienie przez ogromne głębie wody, nadając jej jasną, mleczno - niebieską poświatę, o wiele jaśniejszą od poświaty niebios.

- To cudowne miejsce - stwierdził Stephen, który z całą pewnością musiał słyszeć o tym, o czym rozmawiała cała osada, ale postanowił na razie o tym nie wspominać. - To tutaj musiał być ten rajski ogród, jestem tego pewien. To miejsce zachwyca mnie i kusi niczym syrena. Nie wiem dlaczego, ale mam wrażenie, że jest to miejsce niezemskie. Nigdzie nie ma

swego odpowiednika. Teraz jednak, kiedy przybyli tu ludzie, zrujną ją. To człowiek zrujnował raj.

- Nie, będą tylko usiłovali je zrujnować, biorąc je omylnie za pozostałą resztę ziemi, którą już zniszczyli. To miejsce samo dba o siebie, jest bowiem umiłowane przez Boga.

- Wiesz, że są tu duchy? - zapytał mimochodem Stephen. - Widziałem jednego tak wyraźnie jak słońce. W rzeczy samej było to w ciągu dnia. Ogromny facet z olbrzymimi łydkami, o złotej skórze i nagi, z wyjątkiem kawałka jakby papierowej przepaski z brązowymi znakami na biodrach. Twarz miał surowej piękności, patrycjuszowską, a uda pokryte tatuażami z krętych pasków. Był to człowiek, jakiego nigdy nie widziałem i nie mogłem wyobrazić sobie w snach. Podszedł do mnie od strony plaży, a potem, kiedy nieomal go dotknąłem, odwrócił się i przeszedł prosto przez ścianę domu Lucasa. Olivia zaczęła się drzeć wniebogłosy. - Cieszę się zatem, że mieszkam wyżej w dolinie. Choć Billy Wigfall powiedział mi ostatnio, że widział Johna Bryanta na zboczu wzgórza, w miejscu, gdzie zabiło go drzewo. W jednym momencie tam stał, a w drugim już go nie było. Tak jakby, powiedział Billy, przestraszył się, że ktoś go tam odnalazł.

Fale tłukły o brzeg, a „Supply” odpłynął z redy i zdążył w kierunku Kaskad. Wejście na pokład nie będzie proste dla brzemiennej damy pana Kinga, zmuszonej do skakania ze skały do rozkołysanego barkasu.

- Czy to prawda, że Dring i Branagan dobierali się wczoraj do rumu zostawionego na „Siriusie” i podpalili wrak? - zapytał Richard.

- Aha. Szeregowiec John Escott, służący Rossa, po zapadnięciu ciemności zauważył z rezydencji gubernatorskiej płomienie i zaproponował, że tam popłynie. Ross zgodził się, gdyż człowiek ten jest dobrym pływakiem. Escott znalazł Dringa i Branagana nieomal nieprzytomnych od nadużycia rumu, rozgrzewających się przy ogniu. Wrzucił ich do wody, ugasił pożar - pokład, na którym stały armaty, był już przepalony - i pozostał na „Siriusie” aż do rana, kiedy go stamtąd ściągnięto wraz z rumem. Dring i Branagan zostali zakuci w kajdany i wrzuceni do nowego więzienia porucznika Kinga. Major jest wściekły, bo pozostawiając rum na „Siriusie”, myślał, że będzie tam bezpieczniejszy aniżeli na brzegu. Podejrzewam jednak, że gdy tylko stary komendant odpłynie na „Supply”, nowy zacznie wymierzać albo karę śmierci, albo po pięćset batów. Nie może sobie pozwolić na zignorowanie tego pierwszego wykroczenia przeciwko wojennemu prawu.

Oczy Stephena, ciemne w nikałym świetle, zwróciły się na Richarda siedzącego w napięciu niczym dociśnięta sprężyna.

- Słyszałem, że miałeś dziś rano gościa w postaci majora? Richard uśmiechnął się

oschle.

- Major Ross ma uszy niczym nietoperz. Nie potrafię dociec, w jaki sposób lub też od kogo usłyszał o tym, co zaszło ubiegłej nocy przy ognisku. No cóż, znasz go. Począł, aż wrócić do domu na śniadanie, wszedł do środka, usiadł i patrzył na mnie tak, jakby przyglądał się nowemu gatunkowi robaka. „Słyszałem, że publicznie wyparłeś się swojej żony” - powiedział. Odparłem, że to prawda. A on odchrząknął tylko i rzekł tak: „Nie spodziewałbym się tego po tobie, Morgan, lecz przypuszczam, że masz ku temu powody - zazwyczaj je masz”.

Stephen zachichotał.

- On rzeczywiście nie przebiera w słowach.

- A potem zapytał mnie, czy według mnie moja żona nadawałaby się na gospodynię dla oficera! Powiedziałem mu zatem, że jest czysta, schludna, że świetnie ceruje i łąta ubrania i jest dobrą kucharką oraz że, o ile mi wiadomo, nadal pozostała dziewicą. Na co on trzepnął dłońmi w kolana i powstał: „Czy ona lubi dzieci?” - zapytał. Powiedziałem mu, że chyba tak, sądząc po jej stosunku do dzieci w więzieniu w Gloucester. „A masz pewność, że nie jest uwodzicielką?” - zapytał. Odparłem, że tego jestem absolutnie pewien. „No to będzie mi odpowiadać” - stwierdził i odmaszerował, zadowolony jak kot, który dobrał się do śmietanki.

Stephen zwijał się ze śmiechu.

- Przysięgam ci, Richardzie - powiedział, kiedy już się uspokoił - że przy majorze Rossie nie możesz źle postawić stopy. Z jakiegoś powodu, którego nie mogę odgadnąć, bardzo cię lubi.

- Lubi mnie - odparł Richard - ponieważ wcale się go nie boję i mówię mu prawdę, a nie to, co według mnie chciałby usłyszeć. Z tego powodu nigdy nie będzie tak cenił Tommy'ego Crowdera jak King. Kiedy stawiałem czoło Kingowi, o mało nie kazał mnie wychłostać, podczas gdy majorowi Rossowi nigdy nie musiałem się stawiać.

- King jest takim typowym angielskim królem - stwierdził Stephen. - Nie irlandzkim. Tkwiący w nim Celt jest czystej krwi Kornwalijszym, o wiele bardziej pokrewnym Walijszycowi. A to oznacza, że łatwo się obraża i ulega humorom. A poza tym jest do szpiku kości marynarzem królewskiej floty. Ross natomiast jest klasycznym Szkotem, zdolnym jedynie do jednego - surowości. Jego korzenie tkwią w zimnej, ponurej ziemi, która albo czyni z kogoś człowieka, albo go niszczy. - Podniósł się i wyciągnął rękę w stronę Richarda, aby pomóc mu wstać. - Cieszę się jednak, że pomógł ci rozwiązać problem tego, co zrobić z twoją odrzuconą małżonką.

- No cóż, radziłeś mi, żebym się z nianie żenił - powiedział Richard, wzdychając. -

Gdybym wiedział, że tu jest, przygotowałbym się na to, ale było to dla mnie jak grom z jasnego nieba. Oczy miałem utkwione w Willu Connellym, kiedy nagle uwiesiła mi się na szyi i zaczęła mnie obcałowywać mokrymi ustami. Poczułem... poczułem jej zapach i jej dotyk, Stephen. Była o wiele za blisko, żeby ją zobaczyć. Od momentu, kiedy ją poznałem, kojarzyła mi się z innymi zapachami - żaden z nich nie był przyjemny. Port Jackson śmierdział podobnie jak ten stary zamek. Lecz ten ohydny zapach kobiety w moich nozdrzach, cóż, za długo byłem sam. A z dala od dołów trackich i miasta Sydney wszystko pachnie tu bardzo słodko. Nie chodzi o to, że ona śmierdzi, tak wcale nie jest. Tylko o to, że nie mogłem znieść jej kobiecego zapachu. Moje powody nie mają sensu, wiem o tym, i Bóg mi świadkiem, że nie jestem dumny z tego, co zrobiłem. W tym momencie czułem jedynie obrzydzenie, tak jakbym po ciemku wszedł prosto w pajęczynę. Wszystkie moje wnętrzości zareagowały i uderzyłem na oślep, po omacku. A potem było już za późno na naprawę mostów, więc zerwałem je doszczętnie.

- Potrafię cię zrozumieć - powiedział cicho Stephen. - To, czego nie pojmuję, to fakt, jakim cudem zapomniałeś, że istnieje pewne prawdopodobieństwo, że przybędzie tu razem z innymi.

- Ja też tego nie pojmuję, patrząc na to wstecz.

- To również moja wina. Powinienem cię o tym uprzedzić.

- Zbyt byłeś zajęty „Siriusem” i konsekwencjami jego wypadku. Ale jest jeszcze jedna sprawa, która mnie dręczy. Była na łodzi przez parę dni i wiedziała, że tu jestem, dlaczego więc zwlekała?

Dotarli do domu Stephena, który wszedł do środka bez odpowiedzi, a potem patrzył, jak pochodnia Richarda oddala się w stronę doliny, aż w końcu zniknęła z pola widzenia. „Dlaczego zwlekała, Richardzie? Ponieważ w głębi duszy wiedziała, że gdyby podeszła do ciebie na osobności, zrobiłbyś to, co i tak w końcu zrobiłeś - odepchnąłbyś ją. Albo też jako kobieta pragnęła, abyś to ty ją odszukał i stamtąd zabrał. Biedna Lizzie Lock... Przez sześć miesięcy był zupełnie sam w tej swojej pustelni, mając jedynie psa do towarzystwa, i bardzo mu to odpowiada. Nie wiem, co się dzieje w jego umyśle, poza tym, że do niedawna pozwolił swym uczuciom spać niczym niedźwiedziami w zimie. Jego małżeństwo z Lizzie było czymś, czego dokonał w tym śnie, z którego - jak mi się wydaje - nie miał nadziei się obudzić. Nagle jednak ocknął się, widziałem to”.

Robiło się późno. Stephen spojrzął na zegarek i zacisnął usta, zastanawiając się, czy jest na tyle głodny, aby opłacało mu się podgrzać zupę, czy też raczej zadowoli się chlebem na kolację. Kapitan John Hunter mieszkał w rezydencji gubernatorskiej, a Johnny... no cóż...

„Lepiej podgrzej zupę, Stephen, jest już na tyle chłodno, że przyda się ogień”.

- Chcę tylko - powiedział Richard, wpadając do pokoju, gdy Stephen dmuchał na niechętnie płomienie - żeby mnie zostawiono w spokoju z moimi książkami i psem! Żeby dano mi w nagrodę prawo do samotności!

- No to co ty tutaj robisz? - zapytał Stephen, siadając na piętach. - Nagroda samotności jest tam w dolinie.

- Owszem, ale... ale... - powiedział Richard i przerwał.

- Dlaczego po prostu nie przyznasz się, Richardzie - powiedział Stephen, nie mając nastroju na znoszenie cudzych kaprysów - że trawi cię poczucie winy za to, co zrobiłeś, no dobrze, za to, co musiałeś zrobić z Lizzie Lock? W rzeczy samej nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś z takimi normami moralnymi jak twoje. Z ciebie jest taki popierdolony protestancki męczennik.

- Och, przestań do cholery prawić mi kazania! - odwarknął Richard. - Twój problem polega na tym, że nie jesteś pewien, czy być katolikiem, czy też jakimś protestantem, nie mówiąc już o męczenniku. Dlaczego nie przyznasz się, że usychasz z miłości do Johnny'ego i masz ochotę sprać Huntera?

Niebieskie oczy zapalały gniewem, wpatrzone w te szare przez całą minutę, gdy żadnemu z mężczyzn nawet nie zadrgał mięsień. A potem w tym samym momencie zaczęły im drżeć usta i obaj ryknęli śmiechem.

- To oczyszcza atmosferę - stwierdził Stephen, ocierając twarz szmatą.

- Owszem - przyznał Richard, pożyczając ją od niego.

- Skoro już tu jesteś, zjedz porcję zupy Johnny'ego. Dlaczego wróciłeś?

- Chyba dlatego, że nie odpowiedziałeś na pytanie, na które nie potrzeba mi już odpowiedzi. Masz rację, Stephen. Lizzie jest kimś, kogo zawsze będę miał na sumieniu i przez kogo nie lubię samego siebie.

John Lawrell sprowadził się i wyprowadził tak szybko, że biednemu człowiekowi aż zakręciło się w głowie. W ciągu miesiąca Richard wznosił dla niego wygodną chatę na drugim końcu swego małego poletka, z drzwiami i otworami okiennymi wychodzącymi po przeciwnej stronie jego domu. Jeśli Lawrell zacznie chrapać, Richard będzie za daleko, aby to słyszeć. Jeśli zaś chodziło o jego obowiązki, okazał się doskonałym pomocnikiem, ale miał jedną wadę - uwielbiał grać w karty i trzeba było go powstrzymywać od przegrywania swych skąpych racji żywnościowych.

Miasto Sydney rozrastało się jak grzyby po deszczu, powstawały prawdziwe ulice

małych, drewnianych chat, zbijanych przez Nata Lucasa i jego stolarzy tak szybko, jak tylko pozwalały im na to doły trackie, dostarczające desek i belek. Nie mając ani czasu, ani stosownych narzędzi, aby połączyć deski na czopy czy jaskółczy ogon, luki uszczelniano cienkimi listwami - który to styl byłby całkiem atrakcyjny gdyby drewno, tak jak wnętrze domu Richarda, zostało wypolerowane do lekkiego połysku. Rezydencja gubernatorska, powiększona przez Kinga do rozmiarów pozwalających mu na podejmowanie pół tuzina gości w lepszych czasach, mogła się w końcu - dzięki uprzejmości gubernatora Phillipa - poszczycić szklanymi płytkami w swych małych zakratowanych oknach. Inne rezydencje - włącznie z tymi na tyle obszernymi, by przypadły do gustu zarówno oficerom marynarki, jak i wojska - musiały się zadowolić jedynie okiennicami lub zwykłymi otworami. Jeden z dołów trackich został przeznaczony do cięcia desek mających służyć za gonty, wszystkie dachy miały być bowiem ostatecznie pokryte gontami, drewno to jednak trzeba było najpierw moczyć przez sześć tygodni w słonej wodzie, zanim dało się je rozszcepić. Kładziono więc tymczasowe strzechy z lnu, a zadanie poszukiwania ich w głębi wyspy powierzono marynarzom z „Sinusa”, którym Ross odmówił pozwolenia na beczynność.

Skoro zostali tymczasowo zwolnieni z konieczności dostarczania wapna do Port Jackson, złoża kalcytu używano do budowy fundamentów i kominów. Znalazłszy dobre, twarde miejscowe drewno, które cięto w dole przygotowującym drewno na gonty, czterech miejscowych bednarzy, jakich posiadała wyspa, zaczęło produkować beczki. Ross kazał kobietom mieć ręcznymi żarnami pszenicę Kinga, uważając, że łatwiej zabezpieczyć przed szczurami mąkę w beczkach aniżeli luźne ziarno. Aaron Davis, który pracował jako piekarz w Port Jackson, został teraz mianowany piekarzem osady. Nie oznaczało to bynajmniej, że codziennie jadali chleb - w niedziele i środy był chleb, w poniedziałki i czwartki - ryż, w soboty - groch, a we wtorki i piątki - owsianka z kukurydzy zmieszanej z owsem.

Ponieważ świnie doskonale się tu rozmnażały, Ross kazał wybudować małe palenisko wraz z piecem i zaczął produkować sól. Części zwierząt, które nie nadawały się do zasolenia, były mielone i przetwarzane na kiełbaski, wpychane w jelita.

- Jeśli chodzi o świnie, jej największym atutem jest to, że jedyną niejadalną część stanowi ogon - miał powiedzieć kiedyś major. A ponieważ wiedziano, że nie miał ani krzty poczucia humoru, wszyscy przyjęli, że mówił poważnie.

„Sirius”, który nadal leżał przechylony na burcie w poprzek rafy, został stopniowo ogołocony z wszelkich przedmiotów nadających się do ocalenia, począwszy od sześciofuntowych dział, po ostatnią z licznych beczek wypełnionych gwoździami, jakie jego ekscelencja wysłał ze swojej osady, która coraz bardziej przeobrażała się w ceglana i

kamienną, do tej wiecznie drewnianej kolonii. Największą stratą był żelazny złom, który „Sirius” przywiózł dla kuźni na wyspie Norfolk, leżący nadal w ładowni, jego wydobycie byłoby jednak zbyt ryzykowne. Nieomal wszystkie żagle, pod którymi płynął, zostały wyrzucone na brzeg, zaplątane w liny i inne części omasztowania, jego kuter i wiosła zachowały się nieomal nietknięte, ale ścinanie masztów zniszczyło wszystkie pozostałe łodzie, jakie posiadał.

Pośród ostatnich rzeczy, jakie wyciągnięto na ląd, były beczki z tytoniem i kilka skrzynek taniego bristolskiego mydła. I choć mydło znalazło się w końcu w rządowych magazynach z przeznaczeniem do ogólnej dystrybucji, tytoń nigdy nie ujrzał wnętrza fajek - ku powszechnemu oburzeniu marynarzy, którzy uważali pykanie za odrobinę gorsze od pociągania z butelki rumu. Pochodzący ze wsi George Guest i Henry Hatheway udali się do majora Rossa i poinformowali go, że w ogrodach w Gloucester ich żony radziły sobie ze ślimakami, gąsienicami i robakami przez podkradanie mężom tytoniu. Moczyły liście we wrzącej wodzie, a następnie wlewały do tego mydliny i spryskiwały tym płynem swoje jarzyny. Pierwszy deszcz zmywał to wszystko, lecz zanim spadł, wszelkie pełzające szkodniki kręciły nosem i rezygnowały z jedzenia tak obrzydliwie smakujących roślin.

Od tego momentu nikomu nie pozwalano marnować choćby kropli wody z mydlinami. Niewielkiej grupie kobiet kazano parzyć tytoń, który - jak wykazało doświadczenie - zachowywał swą moc przez kilka naparów. Jeśli zaś chodziło o mydło, można było je wytwarzać tak samo, jak czyniono we wszystkich biednych gospodarstwach i chatkach od jednego krańca brytyjskich wysp po drugi - z tłuszczu i ługu. Smalec uzyskiwano ze świń i było go w osadzie sporo. Otrzymywanie ługu było zaś bardzo proste - należało namoczyć spalony popiół po resztkach ziemniaków, marchwi, rzepy i liściach buraczanych, zagotować tę mieszaninę i precedzić. Pozostały po niej płyn był ługiem. Brakowało konewek, lecz kobieta uzbrojona w wiadro roztworu mydlin i naparu tytoniu oraz podziurawiony od spodu czerpak mogła skutecznie skropić wschodzące jarzyny i plony zbóż. Przygotowując się na następną falę szkodników, trucizny składano w pustych beczkach po rumie.

W takich praktycznych sprawach komendant sprawdzał się najlepiej. Umysł jego - po opanowaniu produkcji soli, kiełbas i trucizny na szkodniki - skupił się na tym, czy nie dałoby się zastosować części trocin w wędzarniach zamiast zakopywania ich wszystkich w ziemi. To, czego nie można było zasolić, może dałoby się uwędzić, włącznie z rybami. Dysponując liczną siłą roboczą, Ross stanowczo nie pozwalał, aby ktokolwiek siedział bezczynnie. Pierwszym zadaniem było wyprodukowanie jak najwięcej żywności, drugim zaś doprowadzenie do tego, aby jego podopieczni mogli się utrzymać bez konsumowania

rządowej żywności. To ostatnie zadanie było najwyraźniej jedynym usprawiedliwieniem całego tego doświadczenia z zatoką Botany - w przeciwnym bowiem razie po cóż było wysyłać tysiące więźniów i ich strażników na drugi koniec świata, jeśli rząd musiał w nieskończoność ich karmić?

I w tym momencie, dwa tygodnie po odpłynięciu „Supply” z bardzo złymi wieściami dla jego ekscelencji, na górze Pitt, na wysokości tysiąca stóp, w północno - zachodniej części wyspy pojawiły się ptaki. Jedynie przez parę dni - jak stwierdzał raport Kinga na temat tych dużych petreli - wracały o zmierzchu po całym dniu łowienia ryb i wędrowały kołyszącym się krokiem do swoich nor. Były tak głupiutkie i tak nieświadome zwyczajów człowieka, że bez żadnego oporu pozwalały się łapać, nawet nie próbując ucieczki.

Na zboczach góry powycinano ścieżki poprzez kępy winorośli - zwane, ze względu na ich ogromny obwód, ścięgami Samsona - począwszy od nowej drogi do Kaskad, i pracę zakończono akurat na czas, aby wyposażeni w worki łowcy ptaków mogli wybrać się tam już pierwszego dnia, gdy było jeszcze widno. Przydziały solonego mięsa ograniczono zaledwie do trzech funtów, a ilości chleba, ryżu, grochu i owsa zostały obcięte o połowę. Ptactwo z góry Pitt musiało uzupełnić braki w racjach żywnościowych.

Rum został zredukowany do ćwiartki kwarty bardzo wodnistej grogu na dzień nawet dla oficerów, co w najmniejszym stopniu nie martwiło porucznika Ralpha Clarka, który nadal zamieniał swój przydział na cieszące się ogromnym popytem koszule, bieliznę, pończochy i tym podobne rzeczy. Niewiele z jego dobytku ocalało z „Siriusa”, choć widział niektóre ze swoich ubrań na grzbietach więźniów. Major Ross również nie odzyskał swojego dobytku z „Siriusa”, lecz pogodził się ze swoją stratą, nie narzekając tak jak Clark, który był urodzonym malkontentem.

Ziemiaki wydawano zaraz po wykopaniu, po parę sztuk na dwunastoosobową grupę, a zebrane warzywa dzielono sprawiedliwie. Być może dlatego, że zielone warzywa były stosunkowo lekkie, a zwłaszcza dlatego, że skorbut tam nie występował, zawsze było ich więcej, niż potrzebowano do obdzielenia wszystkich. Ludzie woleli jeść co innego - poza rybami - niż ogromna miska szpinaku czy fasolki szparagowej.

Istniało niebezpieczeństwo, że sytuacja ta potrwa długo i stanie się rozpaczliwa. Major wiedział, że „Supply” już nie wróci. Trzydziestoczteroletni statek zaopatrzeniowy, przeznaczony do pływania po wodach Kanału, będzie musiał udać się do Indii Wschodnich po żywność, w przeciwnym bowiem razie ludzie w Port Jackson zagłodzą się na śmierć. Ci przebywający na wyspie Norfolk może przetrwają, ale będą zmuszeni do bardzo prymitywnej

egzystencji. A wówczas ów wielki eksperyment zakończy się fiaskiem.

Robert Ross wierzył równie żarliwie jak Arthur Phillip, że bez względu na niebezpieczeństwa i niedostatki, jakie niosła przyszłość, ludziom pod jego pieczęcią nie można było pozwolić na upadek poniżej chrześcijańskich standardów obowiązujących w innych brytyjskich społecznościach. W jakiś sposób trzeba było zachować moralność, przyzwoite obyczaje, umiejętność pisania i czytania, technokrację i wiele innych cnót właściwych europejskiej cywilizacji. Jeśli tak się nie stanie, ci, którym jak dotąd udało się przeżyć, będą niczym. Ross różnił się jednak od Phillipa pod względem podejścia do bardziej atrakcyjnych cnót optymizmu i wiary. Phillip zdecydował, że eksperyment ten powiedzie się. Ross wiedział po prostu, że wszystko - czas, pieniądze, mienie i cały ten ból - zostanie całkowicie zmarnowane, wessane w przepaść hańby, nie pozostawiając po sobie ani śladu. Przekonanie to jednak, chociaż głęboko zakorzenione, nie przeszkadzało mu dokładać wszelkich starań w rozwiązywanie tych problemów, których te pozerskie dumie w Londynie w ogóle nie wzięły pod uwagę, słuchając sir Josepha Banksa i pana Jamesa Marii Matry i układając ten wspaniały rządowy plan. Jak łatwo przerzucało się ludzkie pionki na globalnej szachownicy, siedząc na wygodnym krześle z pełnym żołądkiem, przy ciepłym ogniu w kominku i karafce porto, która zdawała się bezdenna.

Nikt nie protestował z powodu diety opartej na mięsie ptaków z góry Pitt. Ich mięso było ciemne i lekko zalatywało - ale nie za bardzo - zapachem ryby, wydzielalo się z niego bardzo niewiele tłuszczu, kiedy sieje nadziewało na rozen lub dusiło, a na początku tego zimowego okresu lęgowego każda samica nosiła w sobie jajko. Po usunięciu piór - dających się łatwo oskubać - ciało nie było zbyt duże i jeden ptak wystarczał, aby nakarmić dziecko, dwa - kobietę, trzy - dorosłego mężczyznę, a cztery lub pięć - prawdziwego żarłoka. Wyznaczonym łowcom polecono przynosić tak dużo ptaków, aby wystarczało również na wędzenie. Z początku Ross usiłował ograniczyć zarówno liczbę ptaków, jak i liczbę ludzi, którym pozwolono wspinać się po nie na górę. Ale kiedy ani wojenne prawo, ani widok Dringa i Branagana po otrzymaniu pięciuset batów - wymierzanych na raty - nie powstrzymały ludzi od wypraw po tę fantastyczną namiastkę solonego mięsa, ryb i jarzyn, Ross wzruszył ramionami i przestał narzucać ograniczenia dotyczące łapania ptaków. Porucznik Ralph Clark, kierownik rządowych magazynów, zaczął zapisywać liczby na tyle wiernie, jak dalece było to możliwe - wzrastały one od stu czterdziestu siedmiu ptaków na początku kwietnia do tysiąca ośmiuset dziewięćdziesięciu dziennie miesiąc później. Część z nich została uwędzona, jednak ogromną większość wyrzucano nie zjedzoną, gdyż wszyscy

łowcy chcieli jeść tylko i wyłącznie jajka. Sam Clark był miłośnikiem owych jajek i łowcą ptaków.

Jeśli zaś chodzi o Richarda, który co drugi dzień udawał się na ten pięciomilowy spacer w obie strony i któremu bardzo smakował drób z góry Pitt, przybycie ptactwa doprowadziło do czasowej utraty strażnika jego ogrodu. John Lawrell został bowiem przyłapany po godzinie policyjnej przez wojskowy patrol prawa wojennego na dźwiganiu worka. Kiedy kazano mu się zatrzymać, próbował uciec, dostał kolbą muszkietu w głowę i został wtrącony do więzienia. Tydzień później, po otrzymaniu tuzina razów średniej wielkości batem, wypuszczono go, nadal leczącego ranę na swej obolałej głowie.

- Cóż cię na litość boską napadło, John? - Richard domagał się wyjaśnień w Turtle Bay, dokąd odprowadził pojękującego Lawrella zaraz po zakończeniu pracy w dołach trackich. - Sześćdziesiąt osiem ptaków! - Rzucił bezlitośnie czerpak morskiej wody na plecy Lawrella. - Stój spokojnie, do cholery! Nie musiałbym tego robić, gdybyś miał dość oleju w głowie, aby wejść głębiej do wody i się zanurzyć.

- Karty! - zachnął się Lawrell, szczękając zębami. Południowy wiatr był bardzo zimny.

- Karty. - Richard wyprowadził go z wody i osuszył pręgi kawałkiem szmaty. - Przeżyjesz - powiedział potem. - Jimmy Richardson nie przyłożył ci zbyt mocno, nie krwawisz za wiele. Gdybyś był kobietą, nie przeszłoby ci to tak gładko. A co karty miały z tym wspólnego?

- Przegrałem - odpowiedział po prostu Lawrell, podążając za Richardem wzdłuż najdalej wysuniętego rzędu domów. - Musiałem jakoś zapłacić. Josh Peck powiedział, że mógłbym zaoszczędzić im spaceru i przynieść ptaki. Nie wiedziałem jednak, że ten worek będzie taki ciężki, i wróciłem za późno, już po godzinie policyjnej.

- A zatem niech to będzie dla ciebie nauką, John. Proszę cię. Jeśli już musisz grać w te karty, graj z porządnymi ludźmi, nie z takimi oszustami i kłamcami jak oni. A teraz idź do łóżka.

Po kilku przenosinach Stephen Donovan posiadał teraz bardzo porządny dom na wschód od drogi do Kaskad, a Nat Lucas równie dobry na kawałku płaskiego gruntu tuż za nim. Bagno nie sięgało tego terenu, niemniej major Ross usiłował osuszyć grzęzawisko, przekopując odpływ do Turtle Bay. Płaska ziemia nadawała się do uprawy, a wszystkie małe strumyczki, które spływały do strumienia w Dolinie Arthura, nie mogły dostarczyć na tyle dużo wody, aby wymusić ujście do morza - bagno było więc końcowym punktem pochłaniającym ziemię uprawną.

- Wejdz! - zawołał Stephen, kiedy Richard zapukał.

- Właśnie wysłałem mego zbłąkanego stróża do łóżka - powiedział Richard, siadając z westchnieniem. - Peck i reszta podliczyli jego karciane długi, zmuszając do przyniesienia im ptaków. Och, ale z niego głupiec!

- Ale jest użyteczny. Proszę, zjedz ze mną rybę. Łódź wypłynęła dzisiaj, a Johnny nadal nadskakuje Hunterowi, więc mam jego porcję. Miłe urozmaicenie po tym drobiu z góry Pitt.

- Wolę jeść rybę, choćby i codziennie - powiedział Richard, zabierając się do jedzenia.
- I nie mogę pojąć, skąd ta nagła moda na jaja. Odwdzięczę ci się za tę uprzejmość, jak tylko wykopię jutro parę ziemniaków. Udały mi się nieźle i oto jeden z powodów, dla których cieszę się, że Lawrell jest znowu na służbie, skoro mam prawo do zachowywania jednej trzeciej plonów dla siebie.

- Czy już z tobą rozmawiają? - zapytał Stephen, kiedy skończyli posiłek, posprząтали naczynia i ustawili szachownicę.

- Ci, którzy wzięli stronę mojej żony - nie. Connelly, Perrott i paru innych z czasów „Ceresa” i „Alexandra”. To dziwne, ale ci, którzy znali ją z więzienia w Gloucester, zanim się tam dostałem - Guest, Risby i Hatheway - stanęli po mojej stronie. - Zdawał się rozgoryczony. - Tak jakby można tu było wybierać strony. To bezsensowne. Lizzie jest zadowolona ze swego losu na wysokościach gubernatorskiej rezydencji, cmokając i nadskakując Małemu Johnowi, choć nie próbuje tego robić z majorem.

- Ona cię kocha, Richardzie, i czuje się odrzucona - powiedział Stephen, uważając, że upłynęło już wystarczająco dużo czasu, by można było podjąć ten temat.

Richard popatrzył na niego w osłupieniu.

- Bzdura! Pomiędzy nami nigdy nie było miłości. Pamiętam, jak łudziłeś się, że małżeństwo z nią być może do miłości doprowadzi, lecz tak się nie stało.

- Ona cię kocha.

Richard zmartwiony nie odezwał się przez chwilę ani słowem, zrobił ruch, stracił pionka i wystawił skoczka. Jeśli Lizzie go kochała, zranił ją o wiele bardziej, niż sądził. Przypominając sobie, co mu mówiła o „Lady Penrhyn” i pozbawianiu kobiet dumy i honoru, widział w tym swoją największą zbrodnię - publiczne upokorzenie, zupełnie niewybaczalne. Nigdy nie powiedziała mu, że go kocha, nigdy nie zdradziła tego słowem czy spojrzeniem... Stracił skoczka.

- Jak się układają stosunki pomiędzy wojskiem a marynarką? - zapytał.

- Bardzo drażliwie. Hunter nigdy nie lubił majora Rossa, lecz to jego zesłanie tutaj

jeszcze spotęgowało tę nienawiść. Do tej pory zdołali uniknąć kłótni, ale wszystko ku temu zmierza. Skazany na kuter z „Siriusa”, nie może organizować długich morskich wycieczek, więc spędza większość czasu na wiosłowaniu dookoła swojej Nemezys, wyspy Nepean, w poszukiwaniu - jak podejrzewam - nawigacyjnych dowodów dla poparcia swojej obrony, kiedy w końcu dojdzie do jego rozprawy w sądzie wojskowym w Anglii. Kiedy już przebada każdy cal dna i zbierze dane do sporządzenia mapy morskiej, zacznie robić to samo wokół całego wybrzeża.

- Jeśli nie uważasz tego za wtykanie nosa w nie swoje sprawy, powiedz mi, dlaczego Johnny jakby do niego wrócił?

Wzruszając ramionami, Stephen opuścił kąciki ust.

- Owszem, odpowiem ci. Bardzo trudno jest marynarzowi oprzeć się autorytetowi kapitana, chyba że ma buntowniczą naturę, której Johnny'emu brakuje. Johnny jest członkiem królewskiej floty i Hunter jest dla niego pierwszym po Bogu.

- Słyszałem też, że porucznik William Bradley z królewskiej floty opuścił kwatery oficerów marynarki i przeprowadził się na drogę wiodącą do Bali Bay.

- Bez wątplenia dowiedziałeś się tego, kiedy musiałeś ciąć drewno na jego nowy dom. Owszem, wyprowadził się i nikt z tego powodu nie rozpacza. Ten Bradley to bardzo dziwny człowiek, gada do siebie samego i dlatego też nie potrzebuje niczyjego towarzystwa. Z tego, co wiem, major kazał mu zrobić ogólne pomiary i obserwacje w głębi wyspy. Było to wielką obrazą dla Huntera, który obstaje przy tym, że członek floty o jakiegokolwiek randze nie powinien mieć nic wspólnego z pracą na lądzie.

Haniebnie pobity, Richard podniósł się, aby zapalić w kominku Stephena pochodnię.

- Chętnie zostałbym na rewanż, ale jeśli nie wyjdę teraz, złapią mnie po godzinie policyjnej. Miałbyś ochotę przejść się ze mną jutro na górę po następną porcję ptaków?

- Chętnie, skoro zjedliśmy całą rybę.

Kiedy skierował się ku dolinie, Stephen pomachał mu na pożegnanie, usiłując wyobrazić sobie wyraz twarzy Richarda, gdy wejdzie do domu. Żagiel z „Siriusa” przestał już służyć jako zadaszanie i został podzielony pomiędzy ludzi wolnych, aby przerobić go na materace i hamaki. Dzięki plonom pszenicy Kinga oraz temu, że w osadzie nie posiadano ani koni, ani bydła, było tam wystarczająco dużo słomy na wy ściółkę. Stephen, oficjalnie uznany za znalazcę żagla, dostał z niego tyle, ile chciał, wziął więc wystarczająco dużo, aby wystarczyło na jego własne potrzeby i dla Richarda. Długie wietrzenie i kilka przepierek w słodkiej, pełnej mydlin wodzie zmiękczyło brezent na tyle, aby można było przerobić go na prześcieradła, nie mówiąc już o mocnych spodniach. Grupy kobiet zręcznych w operowaniu

igłą szyły nieustannie nowe spodnie dla żołnierzy i marynarzy, którzy z kolei w zamian zobowiązani byli do oddania więźniom starej pary. Nikt nie zdawał sobie sprawy z wielkości żagli, jakie były na statku takim jak „Sirius”, dopóki nie przeznaczono ich na inne potrzeby.

- Nie wiem, jak mam ci podziękować za to płótno - powiedział Richard, kiedy spotkali się nazajutrz o zachodzie słońca na drodze do Kaskad. Używanie koców zamiast prześcieradła bardzo szybko je niszczy.

Brezent będzie służył całymi latami.

- Podejrzewam też, że będzie musiał.

Wdrapali się na najdalej położoną ścieżkę, najmniej uczęszczaną ze względu na to, że zmuszała do długiego spaceru, i zebrali po pół tuzina ptaków wysoko na górze, gdzie stworzenia te nadal tłoczyły się w nieprzeliczonych stadach. Wystarczyło jedynie schylić się i pochwycić jedno, prędko ukręcić mu szyję i wrzucić do worka. Jajka zostały już zniesione, ale liczba łapanych ptaków nie zmniejszała się. Wykaz Clarka sięgał już wielu tysięcy, a obejmował jedynie ptaki oddane do magazynów rządowych oraz te, które zebrał on sam wraz ze swymi towarzyszami.

W drodze powrotnej minęli ogromną wycinkę drzew, na której sosny leżały już ścięte; wiele akrów ziemi na szczytach najbardziej płaskich pagórków, które dzieliły kierunek strumieni na te spływające na północ od Zatoki Kaskad oraz płynące na wschód od Bali Bay i te, które płynęły na południe do bagna lub tego, co zaczęto nazywać strumieniem Phillimore, za zakrętem do odległej plaży. Tutaj, na tej wycince - jakie były zamiary majora Rossa? - można było przyjrzeć się górze od północy.

Zapadły bezchmurne ciemności, a gwiazdy były tak liczne i jasne, że mogło się wydawać, że za ciemnością nieba musi ukrywać się jakaś intensywnie jaśniejąca biała powierzchnia i Bóg przedziurawił niebiosy, aby część z tego srebrnego sklepienia mogła przez nie przeświecać. W miejscu, gdzie zarys góry powinien rysować się jako czarny cień, w ciemnościach migotało coś niczym wstęgi miotających się świetlików, jaśniejące i błyszczące rzeki płomieni - pochodnie setek ludzi schodzących po stokach.

- Przepięknie! - szepnął Richard oszołomiony.

- Jakże może się komuś znudzić to miejsce?

Zatrzymali się, wpatrzeni w to widowisko. Patrzyli dotąd, aż zanikły światła, i wówczas zaczęli schodzić pośród tuzinów zasapanych drapieźników z pełnymi workami, otoczonych zewsząd pochodniami.

Nadeszła zima o wiele bardziej sucha i zimna niż zeszłoroczna. Zasio no pszenicę i

kukurydzę na większej przestrzeni aniżeli pierwotnych jednaście akrów Kinga, ale wschodziły wolno, dopóki po sztormowych deszczach nie nastał słoneczny dzień, kiedy to dolina i wzgórza przeobraziły się magicznie z krwistoczerwonej gleby w soczystą zieloną murawę.

Oficjalnie liczba ptaków z góry Pitt wzrosła do ponad stu siedemdziesięciu tysięcy, co stanowiło średnio trzysta czterdzieści ptaków na osobę w ciągu stu dni. Na wyspie nadal obowiązywało prawo wojenne i major Ross wyeliminował solone mięso z racji żywnościowych wszystkich mieszkańców wyspy, zdając sobie sprawę z tego, że owe tysiące petreli, które pozostały na górze, odlecą, gdy tylko pisklęta wystarczająco się wzmocnią. Wymierzano sporo kar cielesnych, które wykonywał Jim Richardson, zatrudniany niegdyś przez Richarda jako tracz, dopóki nie złamał nogi. Posługiwanie się różnego rodzaju biczami, jakimi dysponował, nie wywierało wielkiego wpływu na jego schorowaną nogę, a on bardzo lubił to swoje wyjątkowe zajęcie. Nienawiść, jaką odczuwali w stosunku do niego nieomal wszyscy jego towarzysze, zarówno wolni, jak i skazańcy, nie martwiła go w najmniejszym stopniu.

Było też parę wyroków śmierci przez powieszenie - nie pośród więźniów, lecz marynarzy. Służący kapitana Huntera, z pomocą służącego Rossa, szlachetnego Escotta znanego dzięki wyprawie na „Siriusa”, zrabowali niewielkie zapasy rumu majora i część z nich wypili, a resztę sprzedali. W swej roli sędziego, przysięgłego i kata zastępca gubernatora powiesił trzech winowajców, choć nie było wśród nich Escotta ani głównego pacholka Huntera, Elliotta. Dodatkową karą Escotta było pozbawienie go honorowego tytułu, jaki otrzymał na „Sinusie” - Ross oficjalnie przyznał zasługę podpłynięcia do wraku skazańcowi o nazwisku John Arscott. Escotta i Elliotta odprawiono z karą pięciuset uderzeń najcięższym biczem, która to kara - zgodnie z obietnicą majora w jego publicznym przemówieniu wprowadzającym prawo wojenne - obnażyła im kości od szyi po kostki. Całość wymierzana była w pięciu dawkach po sto batów, które uważano za maksymalną liczbę, jaką większość ludzi mogła jednorazowo wytrzymać. Oprawca zaczynał od ramion i przesuwiał się wolno wzdłuż ciała po plecach, pośladkach i udach, aby zakończyć na łydkach. Pośród marynarzy zaczęły się pomruki niezadowolenia i buntu, jednak w obliczu tej okropnej zbrodni wobec wolnej i lubiącej popijać rum społeczności kapitan Hunter nie mógł wstawić się za swymi ludźmi, tym bardziej że rozwścieczeni żołnierze z radością wystrzeliliby do tłumu zbuntowanych marynarzy. Dzięki szeregowcowi Danielowi Stanfieldowi muszkiety znajdowały się w doskonałym stanie, a naboje trzymano w suchym miejscu. Ćwiczenia w strzelaniu z muszkietów pod nadzorem Stephena i Richarda nadal odbywały się w sobotnie

poranki.

Major Ross przybył do domu Richarda po aferze z kradzieżą rumu, z twarzą o wiele bardziej ponurą niż zwykle.

„To zadanie go zabije” - pomyślał Richard, podprowadzając majora do krzesła. - „Od czasu przybycia tu postarzał się o dziesięć lat”.

- Pan Donovan - zaczął Ross - udzielił mi o tobie interesujących informacji, Morgan. Twierdzi, że potrafisz destylować rum.

- Owszem, panie majorze, jeśli dostanę sprzęt i składniki. Choć nie mogę obiecać, że alkohol ten będzie smakował lepiej aniżeli to paskudztwo w Rio de Janeiro, z tego, co na ten temat słyszałem. Tak jak wszelki alkohol, rum powinien przed wypiciem leżakować w beczkach, lecz jeśli zależy panu na tym, co, jak sądzę, ma pan na myśli, nie ma na to czasu. Efekty będą cierpkie i wstrętne.

- Żebracy nie mogą sobie pozwolić na wybrzydzenie. - Ross strzelił palcami na psa, który podbiegł pośpiesznie, żeby dać się pogłaskać. - Jak się masz, MacTavish?

MacTavish pomierdał swym nie obcięty ogonem i wyglądał cudownie.

- Między innymi zajęciami byłem karczmarzem w Bristolu, panie majorze - powiedział Richard, wrzucając kłodę do ognia. - Więc rozumiem lepiej niż inni powagę tego wyboru. Mężczyźni, którzy przyzwyczajeni są do picia codziennie rumu czy jałowcówki, nie potrafią żyć bez niej szczęśliwie. To może równie dobrze dotyczyć kobiet. Jedyne prawo wojenne i brak sprzętu przeszkodziły w konstrukcji kotła destylacyjnego. Chętnie wybuduję panu kolumny destylacyjne i będę je obsługiwał, lecz...

Wyciągnąwszy ręce w stronę ognia, Ross jęknął.

- Wiem, co masz na myśli. Gdy tylko ludzie dowiedzą się o istnieniu gorzelnii, znajdą się tacy, którym kwaterka nie wystarczy, i inni, którzy zobaczą w tym zysk.

- No właśnie, panie majorze.

- Masz niezłe plony trzciny cukrowej, podobnie jak rząd. Richard uśmiechnął się.

- Myślałem, że może się to kiedyś przydać.

- A czy sam pijesz teraz, Morgan?

- Nie. I mogę dać na to panu moje słowo honoru, panie majorze Ross.

- Mam jednego oficera abstynenta, porucznika Clarka, więc jemu powierzę nadzór nad tym przedsięwzięciem. I przetrzępię szeregi wojska w poszukiwaniu odpowiednich szeregowców. Stanfieldowi, Hayesowi i Jamesowi Redmanowi mogę zaufać, że nie będą ani pić, ani tego sprzedawać, a kapitan Hunter - tu twarz wykrzywiła mu się, ale się powstrzymał - poleca swego kanoniera, Drummonda, i zastępcę bosmana, Mitchella, oraz marynarza

Hibbsa. To daje ci w sumie sześciu ludzi i jednego oficera.

- Nie może pan tego umieścić w dolinie, panie majorze.

- Zgadzam się. Masz jakąś propozycję?

- Nie, panie majorze. Ja chadzam tylko do moich dołów.

- Niech się nad tym zastanowię, Morgan - powiedział Ross, wstając. - A tymczasem każ Lawrellowi ściąć trzcinę cukrową.

- Tak jest, panie majorze. Powiem mu jednak, że kazał pan rafinować cukier do słodzenia oficerskiej herbaty.

Major Ross odmaszerował, skinąwszy głową z zadowoleniem, aby nadzorować instalację koła młyńskiego. Kiedy zboże dojrzeje, ręczne żarna nie wystarczą. A zatem duże koło młyńskie będzie poruszane jedyną siłą, jaką dysponował - ludźmi. Użyteczny dodatek do chłosty, którą Ross tolerował, lecz w skrytości serca kara ta mierzyła go, choć nie tyle z powodu skrupułów, ile raczej dlatego, że chłosta odstraszała od zbrodni jedynie wtedy, gdy wymierzano ją w dużych dozach, a te czyniły z ofiar kaleki. Zakucie człowieka do koła młyńskiego na tydzień czy miesiąc i zmuszanie do pchania go niczym marynarza obracającego kabestan cumowniczy było dobrą karą - okropną, ale nie zgubną.

Drogi do Bali Bay i Kaskad zostały ukończone. Z początkiem czerwca rozpoczęto wycinkę drogi na zachód, w kierunku Anson Bay, co przyniosło wspaniałą niespodziankę - około setki akrów falujących wzgórz i dolin w połowie drogi pomiędzy miastem Sydney i Anson Bay okazały się nie porośnięte sosnowym lasem - z jakiego powodu, nikt nie wiedział. Przyjąwszy to za podarunek podobny do manny w postaci ptaków z góry Pitt, major Ross natychmiast postanowił założyć tam nową osadę. Ziemię, którą wykarczował pośrodku drogi do Kaskad, przeznaczył na miejsce wygnania dla marynarzy z „Siriusa”. Phillipburgh, znajdujące się na drugim końcu drogi, nadal pracowało nad zamianą lnu na płótno.

Osada w kierunku Anson Bay została nazwana na cześć Jej Wysokości Królowej Charlotte - Charlotte Field. Dlaczego nie zdziwiło Richarda, że to właśnie porucznika Clarka oddelegowano do założenia Charlotte Field? I to w towarzystwie Stanfielda, Hayesa i Jamesa Redmana? Był pewien, że gorzelnia zostanie ukryta gdzieś na drodze pomiędzy Charlotte Field a miastem Sydney.

I tak też się stało. Wkrótce wezwano go, aby poszedł w tamtym kierunku w celu poszukania odpowiedniego miejsca na nowy dół tracki dla Charlotte Field. Ładne miejsce. Pozbawioną sosen ziemię pokrywała gęstwina pnączy, które, zdaniem Clarka, przypominały trochę ich rodzime angielskie, dające się łatwo usunąć i użyteczne do budowy płotów, kiedy splatało się z gałęziami krzewów mających dwucalowe ciernie. Takich płotów nie

ośmieliłaby się zaatakować żadna świnka, choćby nie wiadomo jak była sprytna.

Major Ross wybrał miejsce na gorzelnię przy drodze wiodącej od drogi do Anson Bay przed Charlotte Field. Ze źródła poniżej grani brał początek strumień i spływał w dół, łącząc się z innymi dopływami, aby wpaść do odnogi rzeki wpadającej do Sydney Bay niedaleko od jej zachodniego cypla, Point Ross. Za dodatkową zapłatą trzech marynarzy i żołnierzy zabralo się do karczowania terenu pod mały, drewniany budynek i zbierania stosu belek z białego dębu. Rosło tu to samo miejscowe drzewo, które zaopatrywało w paliwo zarówno warzelnię soli, jak i wapienny piec, spalało się bowiem na miazgi popiołu. Kamienne bloki mające służyć za palenisko i piec zostały przyciągnięte przez więźniów z Sydney, rzekomo z przeznaczeniem dla Charlotte Field. Richard wraz z sześcioma swoimi ludźmi zabrał je potem po zapadnięciu zmroku z drogi do gorzelni. Musieli również wznieść szopę. Ross dostarczył im miedziane kociołki, parę kurków i zaworów oraz miedziane rurki i cysterny wykonane z przeciętych na pół beczek. Richard sam zajął się spawaniem i montażem. Ku jego zdziwieniu, udało im się zachować tajemnicę - ścięta trzcina cukrowa oraz parę kaczanów kukurydzy zniknęło po prostu w wyłaczarce i ręcznych żarnach gorzelni.

Cztery tygodnie później mógł zaprezentować swój pierwszy destylat. Zastępca gubernatora popijał go ostrożnie małymi łydkami, wykrzywił się, skosztował jeszcze jeden łyk, po czym dopił resztę ze swojej szklancicy. Lubił rum tak samo jak inni.

- Smakuje potwornie, Morgan, ale wywiera pożądaną skuteczną - powiedział, uśmiechając się. - Być może uratowałeś nas od buntu i morderstwa. Gdyby trochę poleżakował, byłby o wiele łagodniejszy, ale to w przyszłości. Kto wie? Może jeszcze będziemy zaopatrywać Port Jackson w rum na równi z wapnem i drewnem.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, panie majorze, chciałbym wrócić do moich dołów - powiedział Richard, któremu widok gorzelni kojarzył się z niemiłymi wspomnieniami. - Konieczne jest dostarczanie tej samej ilości zaciera i ognia, nie mówiąc już o wodzie, nie widzę jednak potrzeby, żebym sam musiał być tu obecny. Stanfield może wziąć jedną zmianę, a Drummond drugą. Jeśli ma pan kropelkę dobrego rumu na składzie, to można by zmieszać w dębowej beczce trochę czystego destylatu z odrobiną porządnego produktu i zobaczyć, co z tego wyniknie.

- Możesz dzielić zadanie nadzoru z porucznikiem Clarkiem, Morgan, ale trzymanie cię tu jedynie po to, żebyś kontrolował piec i aparaturę, jest marnowaniem twoich talentów, to pewne. - Przeszedł się kilka kroków, mlaskając, najwidoczniej przepełniony poczuciem błogości. - Odprowadź mnie do Sydney. - Potem przypomniał sobie o reszcie zespołu i zatrzymał się, aby klepnąć każdego z mężczyzn po ramieniu. - Strzeżcie i pilnujcie tego

dobrze, chłopcy - powiedział z zaskakującą uprzejmością, nadal się uśmiechając. - Przyniesie to każdemu z was ze dwadzieścia dodatkowych funtów rocznie.

Droga pośród sosen biegła wzdłuż grani góry George, skąd rozciągały się przepiękne widoki - na ocean, na całe miasto Sydney wraz z jego lagunami, na przybrzeżne fale, na Wyspy Phillipa i Nepean. Zatrzymawszy się dla podziwiania widoku, major Ross odezwał się.

- Zastanawiam się, Morgan, nad tym, żeby uczynić cię wolnym - powiedział. - Nie mogę dać ci absolutnego ułaskawienia, ale na razie warunkowe, dopóki czas i lepsze warunki nie umożliwią mi napisania petycji o pełne ułaskawienie do jego ekscelencji w Port Jackson. Wydaje mi się, że zasłużyłeś sobie na lepszy status wolnego człowieka aniżeli zwykłe zwolnienie po zakończeniu wyroku, który, o ile pamiętam, upływa w marcu dziewięćdziesiątego drugiego roku?

Gardło Richarda zacisnęło się konwulsyjnie, z oczu popłynęły łzy, próbował coś powiedzieć, lecz nie mógł słowa z siebie wydusić, skinął więc głową, ocierając dłonią strumienie łez. Wolny. Wolny.

Major patrzył na Wyspę Phillipa.

- Są i inni, których również zamierzam ułaskawić - Lucasa, Phillimore'a, Rice'a, starszego Mortimera i tak dalej. Wszyscy powinniście mieć szansę na otrzymanie kawałka ziemi i dorobienie się czegoś, bo odkąd sięgam pamięcią, wszyscy zachowywaliście się jak porządni ludzie. To dzięki takim jak ty wyspa Norfolk przetrwała, a ja mogłem nią zarządzać, nie mówiąc już o poruczniku Kingu przede mną. A zatem od tego momentu, Morgan, jesteś wolnym człowiekiem, co oznacza, że jako nadzorca traczy będziesz dostawał wynagrodzenie wynoszące dwadzieścia pięć funtów rocznie. Zapłacę ci również honorarium za nadzór nad gorzelnią, w wysokości pięciu funtów rocznie oraz dwadzieścia funtów za jej wybudowanie. Żadna z tych sum nie może być wypłacona w monetach Królestwa, których rząd Jego Królewskiej Mości nam nie dał. Wydam ci je w kwitach, które zostaną odpowiednio zapisane w rządowych rachunkach. Możesz się nimi posługiwać w transakcjach z magazynami rządowymi lub prywatnymi handlowcami. Na temat gorzelni żądam kompletnego milczenia i ostrzegam cię, że mogę ją zamknąć. To jest tylko eksperyment, którego się podjąłem jedynie dlatego, że nie chcę, aby któryś z marynarzy zajął się gorzelnianą produkcją. Sumienie mnie jednak gryzie i dręczą mnie wątpliwości - zakończył, pochmurniejąc. - Porucznikowi Clarkowi mogę zaufać, że nie piśnie na ten temat ani słowa nawet w swoim dzienniku. Jego zawartość, o czym dobrze wie, musi odzwierciedlać nie tylko jego własne cnoty, lecz również moje. Odwiódłem go od pragnienia opublikowania go, lecz niekiedy pamiętniki wpadają w

niepowołane ręce.

Przemówienie to było na tyle długie, że pozwoliło Richardowi odzyskać równowagę.

- Jestem do pańskiej dyspozycji, majorze Ross. Tylko w ten sposób mogę panu podziękować za liczne pańskie uprzejmości. - Uśmiech zajaśniał mu w oczach, sprawiając, że stały się ciemnoniebieskie. - Mam jednak pewną prośbę. Czy pozwoli pan, aby moim pierwszym czynem jako wolnego człowieka był zaszczyt uściśnięcia panu ręki?

Ross ochoczo wyciągnął dłoń.

- Ja idę w stronę miasta - powiedział. - Obawiam się jednak, Morgan, że ty będziesz musiał wrócić do gorzelnii i przynieść mi tyle tej obrzydliwej gorzały, abym mógł nią rozcieńczać to, co mi zostało z dobrego trunku, dziś wieczorem do obiadu. - Skrzywił się. - Mam już dosyć tego ptactwa z góry Pitt tak samo jak inni, wątpię jednak, aby były jakieś narzekania, jeśli będzie do popicia dzban alkoholu.

Wolny! Był wolny! I to ułaskawiony - tak wiele to znaczyło. Wszyscy ludzie stawali się wolni po upływie wyroku, lecz to oznaczało, że byli tylko byłymi więźniami, zwolnionymi po odbyciu kary. Człowiek ułaskawiony posiadał referencje. Został oczyszczony.

Czwartego sierpnia dostrzeżono z miasta Sydney żagiel i cała osada zapomniała o pracy, dyscyplinie, chorobach i zdrowym rozsądku. Porucznik Clark i kapitan George Johnston zeszli z góry George i potwierdzili, że żagiel był prawdziwy, lecz statek minął ich, płynąc dalej naprzód. Ze względu na południową nawałnicę wylądowanie w Sydney Bay było niemożliwe, a więc kapitan Johnston i kapitan Hunter podeszli do Kaskad, spodziewając się lądowania w tamtym miejscu, gdzie woda była spokojna jak na stawku. Statek jednak minął ich i o zmierzchu zniknął na północnym krańcu horyzontu. Tej nocy nastrój w mieście, dolinie, nawet w Charlotte Field i Phillipburgh był rozpaczliwy. Żeby zobaczyć statek i zostać przezeń zignorowanym! Jakie gorsze rozczarowanie mogłoby ich spotkać?

Nazajutrz major Ross wysłał oddział na szczyt góry Pitt w celach obserwacyjnych, lecz nadaremnie. Okręt po prostu ich minął.

A potem, siódmego sierpnia, ludzi w mieście Sydney obudziły okrzyki, że na południowym horyzoncie dostrzeżono statek.

Dął przeciwny wiatr i do późnego popołudnia okręt niewiele zbliżył się do nich, lecz za to dołączyły do niego następne żagle. Tym razem było to rzeczywiste, tym razem nie zostaną zignorowani!

Ponieważ nie mógł skontaktować się z pierwszym z dwóch dostrzeżonych okrętów,

porucznik Clark udał się łodzią rybacką w kierunku drugiego ze statków i zdołał wejść na jego pokład. Był to „Surprize”, któremu dowodził Nicholas Anstis z Londynu, będący wcześniej pierwszym oficerem na „Lady Penrhyn” i mający udziały w niewolniczym interesie. „Surprize”, jak poinformował Clarka, miał na pokładzie dwustu czterech więźniów, lecz za to bardzo niewiele towarów zaopatrzeniowych dla wyspy Norfolk. Zanim Clark dostał ataku hysterii, Anstis dodał, że tym drugim statkiem był „Justinian”, na którym nie było więźniów, lecz za to dużo zaopatrzenia. Port Jackson nie będzie więc już głodował, podobnie jak wyspa Norfolk, na której zapasów solonego mięsa i mąki pozostało jeszcze zaledwie na trzy tygodnie.

- Który statek zignorował nasze sygnały? - domagał się odpowiedzi Clark.

- „Lady Juliana”. Miała na pokładzie więźniarki mające wylądować w Port Jackson, lecz przeciekała tak bardzo, że pusta popłynęła prosto do Wampoa. Ma stamtąd zabrać ładunek herbaty, ale najpierw trzeba ją wprowadzić do suchego doku - wyjaśnił Anstis. - Gdy tylko rozładujemy tu nasz towar, „Justinian” i ja też udajemy się do Wampoa.

Nawet ludzie pokroju Lena Dyera i Williama Francisa pracowali energicznie, aby naładować łodzie „Surprize” i „Justiniana” jarzynami dla spragnionej zieleniny załogi, gdyż żaden z okrętów nie mógł wysłać na ląd swego towaru, ludzkiego czy też żywności. Dostarczono za to listy z Anglii i z Port Jackson wraz z kilkoma oficerami pragnącymi rozprostować kości. Rozładunek będzie musiał poczekać i jeśli zajdzie taka konieczność, odbędzie się przy Kaskadach. Uradowany porucznik Clark otrzymał aż cztery obszerne epistoły od swojej ukochanej Betsy. Dowiedział się, że zarówno ona, jak i chłopczyk Ralphie mieli się bardzo dobrze, i od razu poczuł się spokojniejszy.

Gubernator Phillip wyjaśnił majorowi Rossowi w liście, że „Supply” został wysłany do Batawii, aby zabrać stamtąd tyle żywności, ile tylko zdołają pomieścić jego niewielkie ładownie i - jeśli to możliwe - zatrudnić holenderską jednostkę, aby popłynęła z nim do Port Jackson z dodatkowym ładunkiem żywności oraz zabrała porucznika Philipa Gidleya Kinga. Jego ekscelencja miał nadzieję, że King w trakcie swej długiej podróży z petycją do Londynu będzie mógł udać się z Batawii na pokładzie okrętu należącego do Holenderskiej Floty Wschodnioindyjskiej przynajmniej aż do Kapsztadu. Gdy tylko „Supply” powróci do Port Jackson i będzie przysposobiony do ponownej podróży morskiej, zostanie odesłany na wyspę Norfolk, aby zabrać kapitana Johna Huntera i jego marynarzy z „Siriusa”, czego Phillip nie spodziewał się wcześniej niż w połowie 1791 roku. Jednak teraz, stwierdził Phillip stanowczo, kiedy przybyło wystarczające zaopatrzenie, major Ross nie miał powodu kontynuować prawa wojennego. Prawo to powinno być odwołane natychmiast. „Niech cię

wszyscy diabli porwą, King!” - pomyślał z wściekłością major. - „To twoja robota, nikogo innego! Jakże mam zmusić marynarzy Huntera do pracy, jeśli nie mogę zagrozić im powieszeniem?”

Były i inne złe wieści z Port Jackson. Statek aprowizacyjny „Guardian” w drodze z Anglii, z zaopatrzeniem, zakupił w Kapsztadzie wszelkie bydło, jakie miano tam na zbyciu, i ruszył w drogę, aby pokonać ostatni odcinek dzielący go od zatoki Botany. W wigilię Bożego Narodzenia 1789 roku statek znajdował się w odległości tysiąca mil od Kapsztadu i płynął przez całkiem spokojne morze, kiedy nagle natrafił na letni lodowiec. Kapitan źle wyliczył, ile wody potrzebowało codziennie do wypicia bydło, i wobec tego postanowił skorzystać z nadarzającej się sposobności i wysłał parę łodzi do rozłupania kilku bloków lodu i uzupełnienia w ten sposób zapasów wody. Uczyniono to pośpiesznie i „Guardian” odpłynął od lodowej wyspy. Kapitan Riou, szczęśliwy człowiek, sam upewnił się, że „Guardian” znajduje się daleko od lodowca, po czym zszedł na dół na swój smaczny obiad. Piętnaście minut później statek uderzony został w rufę, wyrwało mu ster i wybiło dziury w spoinach. Okręt zaczął nabierać wody na tyle wolno, że kapitan Riou myślał, że ma jeszcze szansę na zabranie go z powrotem do Kapsztadu. Wszystkie zwierzęta co do jednego wyrzucono za burtę, na wodę spuszczone pięć łodzi z większością załogi i paroma rzemieślnikami wybranymi spośród więźniów. Jednak marynarze nażłopali się rumu z przedziurawionej beczki dla złagodzenia bólu umierania w morzu tak zimnym, że utrzymywał się w nim lód. Pięć rozkołysanych łodzi, naładowanych aż po okrężnice pijanymi mężczyznami, odbiło od burty. Tylko jedna z nich dotarła do lądu. Kulejący „Guardian” również dobił do brzegu, ale dopiero po tygodniach bezcelowego kręcenia się w kółko po południowych krańcach Oceanu Indyjskiego. Wylądowali na mieliźnie niedaleko Kapsztadu i niewiele z jego ładunku ocalało. To, co dało się uratować, zostało złożone na pokładzie „Lady Juliany”, będącej pierwszym statkiem zmierzającym do zatoki Botany, jaki dotarł do Kapsztadu po tej katastrofie. Jednak parę dni później Kapsztad nie mógł sprzedać „Justinianowi” żadnych zwierząt, wszystkie bowiem znalazły się na „Guardianie”. Podobnie zresztą jak prywatny majątek gubernatora Phillipa, majora Rossa, kapitana Davida Collinsa i innych starszych oficerów marynarki. Ross nigdy nie otrzymał odszkodowania za straty poniesione w wyniku wypadku „Guardiana”, który wiozł zwierzęta zakupione przez majora na własny użytek oraz do dalszej hodowli.

Dobłą nowiną było może to, że widmo głodu zostało na razie odsunięte, lecz zniesienie stanu wojennego i wiadomości o losie „Guardiana” sprawiły, że major zaczął żałować, że nie był człowiekiem częściej zagląającym do kieliszka.

W ciągu następnych paru dni rozładowano część towarów z „Justiniana” i „Surprise”, lecz nie wypuszczono nikogo spośród więźniów - czterdziestu siedmiu mężczyzn i stu pięćdziesięciu siedmiu kobiet. Wszystkie kobiety były na „Lady Julianie”. Był to pierwszy okręt, który zawitał do Port Jackson w czerwcu tego roku. Oczywiście Phillip spodziewał się, że jest to statek zaopatrzeniowy. Wiadomość, że nie zawierał niczego użytecznego poza kobietami i ubraniami, była szokiem. Potem do portu zawitał zaopatrzeniowiec „Justinian”, a pod koniec miesiąca pojawił się za nim „Surprise”, „Neptune” oraz - o dziwo - „Scarborough” w swojej drugiej wyprawie do Nowej Południowej Walii.

- Jakie to było wstrząsające - mówił lekarz okrętowy Murray z „Justiniana” do zebranych żołnierzy i uwięzionych na wyspie oficerów marynarki. Twarz pobladła mu na samo wspomnienie i zaczerpnął głęboko powietrza. - „Surprise”, „Neptune” i „Scarborough” wiozły do Port Jackson tysiąc nowych więźniów, ale dwustu sześćdziesięciu siedmiu z nich zmarło po drodze. Wylądowało zaledwie siedmiuset pięćdziesięciu dziewięciu, z których prawie pięciuset jest poważnie chorych. Było to... Myślałem, że jego ekscelencja zemdleje i nikt mu się nie dziwił. Nie macie pojęcia, nie macie pojęcia... - Murrayowi zabrakło słów. - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zmieniło kontrahentów, więc zaopatrzeniowcem na trzech okrętach została firma zajmująca się przewozem niewolników, której zapłacono z góry za każdego więźnia, niezależnie od tego, czy zostaną dowiezieni na miejsce żywi i cali, czy też nie. W rzeczy samej kontrahentom było nawet na rękę, jeśli więźniowie umierali już na początku podróży. A zatem ci nieszczęśnicy nawet nie byli karmieni. I przez całą podróż trzymano ich zakutych w starego typu niewolnicze kajdany - no wiecie, w taki długi na jedną stopę, sztywny żelazny pręt, przyspawany do oków na kostkach. Nawet gdyby pozwolono im wchodzić na pokład, czego nie było im wolno robić, nie wdrapaliby się tam. Po prostu nie mogli chodzić. Było to już wystarczająco trudne do zniesienia dla czarnych w trakcie sześćcio - czy ośmiotygodniowego rejsu, ale czy możecie sobie wyobrazić, co takie łańcuchy zrobiły z ludźmi zamkniętymi pod pokładem nieomal przez cały rok?

- Śmiem twierdzić - powiedział Stephen przez zaciśnięte zęby - że umierali w potwornej nędzy i cierpieniach. Niech Bóg przeklnie tych wszystkich handlarzy niewolnikami!

Kiedy nikt więcej nie zaproponował komentarza, Murray ciągnął dalej.

- Najgorszy był „Neptune”, choć „Scarborough” mu dorównywał. Więziono na nim prawie sześćdziesięciu ludzi więcej na mniejszej powierzchni niż podczas pierwszego przejazdu. „Surprise” był najlepszy spośród tej całej trójki. Stracił zaledwie trzydziestu

sześciu ze swoich dwustu pięćdziesięciu czterech skazańców, których miał początkowo. Prawdę mówiąc, kiedy nie wymiotowaliśmy, to płakaliśmy. To były żywe szkielety, wszyscy, i umierali, kiedy wyciągano ich z ładowni. Cóż to za smród! Umierali na pokładzie, kiedy znoszono ich do łodzi i wyprowadzano na brzeg. Tych, którzy jeszcze trzymali się przy życiu, trzeba było odrobaczać przed wejściem do szpitala, roiły się na nich bowiem tysiące wszy. Nie, wcale nie przesadzam, prawda, panie Wentworth?

- Ani odrobinę - potwierdził drugi gość w kantine oficerskiej, wysoki, jasnowłosy, przystojny mężczyzna o nazwisku D'arcy Wentworth. Został oddelegowany na wyspę Norfolk w charakterze zastępcy głównego lekarza. - „Neptune” był statkiem z piekła rodem. Płynąłem na nim jako okrętowy lekarz z Portsmouth, lecz ani razu nie poproszono mnie, żebym zszedł na dół podczas rejsu, wręcz zabraniano mi dostępu do więzienia. Odór dochodzący stamtąd pozostawał w naszych nozdrzach przez całą podróż, kiedy jednak zszedłem na dolny pokład w Port Jackson, żeby tam pomóc... O Chryste! Brak słów, żeby to wszystko opisać. Morze robactwa, gnijących ciał, karaluchów, szczurów, pcheł, much i wszy, ale niektórzy spośród tych ludzi ciągle jeszcze żyli, możecie to sobie wyobrazić? My, lekarze, uważamy, że każdy, kto przeżyje coś takiego, dostanie obłądu.

Znając więcej ludzi pośród floty handlowej aniżeli w marynarce, Stephen zapytał:

- A kto był kapitanem na „Neptunie”?

- Bestia, która nazywa się Donald Trail - odparł Wentworth. - Nie rozumiał, o co ta cała awantura, co sprawiło, że zaczęliśmy się zastanawiać, ilu żywych niewolników dowozi na Jamajkę. Interesowało go tylko - podobnie jak Anstisa - żeby sprzedać towar w Port Jackson po tak wygórowanych cenach, że kupiono od niego jedynie rum.

- Słyszałem o tym Trailu - powiedział Stephen, sprawiając wrażenie, że mu niedobrze. - Czarnych utrzymuje przy życiu, bo wie, że będzie mógł ich sprzedać jedynie żywych. Oddanie mu tego kontraktu było cichym przyzwoleniem na morderstwo - bo to było morderstwo. Niech Bóg przeklnie całe to Ministerstwo Spraw Wewnętrznych!

- Nie traktował dobrze nawet swych wolnych i płacących za przejazd pasażerów, i to jest już całkiem niezrozumiałe - powiedział Wentworth, potrząsając głową. - Myślelibyście, że powinien przynajmniej bać się o własną skórę i przypochlebiać się im choć trochę, ale gdzie tam! „Neptun” miał na pokładzie paru oficerów i ludzi z oddziału wojskowego zwerbowanego wyłącznie do służby w Nowej Południowej Walii. Kapitan John MacArthur z Korpusu Nowej Południowej Walii, jego żona z malutkim dzieckiem, ich syn i służba zostali wciśnięci do małej kabiny i zabroniono im wchodzić do kajuty kapitańskiej lub na górny pokład, chyba że przez zapełnione kobietami przejście, zanieczyszczone wylewającymi się z

wiader odchodami. Niemowlę zmarło, MacArthur pokłócił się wściekle z Trailem i jego zastępcą i przeniósł się w Cape Town na „Scarborough”, ale zanim do tego doszło, ta nędza zdołała doprowadzić go do poważnej choroby. Słyszałem, że i jego syn nie ma się za dobrze.

- A jak pan to przetrwał, panie Wentworth? - zapytał major Ross, który przysłuchiwał się temu bez słowa. - Nie było to przyjemne, ale przynajmniej mogłem wychodzić na pokład. Po przeprowadzce MacArthura przenieśliśmy moją kobietę do ich kabiny, co było dla niej ogromną poprawą warunków. - Nagle na jego twarzy pojawił się nieprzyjemny wyraz. - Mam w Anglii wysoko postawionych krewnych i napisałem do nich, aby Trail odpowiedział za swoje zbrodnie, kiedy „Neptun” wróci do domu.

- Niech pan nie żywi na to wielkich nadziei - odparł kapitan George Johnston. - Lord Penrhyn i cała ta banda handlarzy niewolnikami mają większe wpływy w parlamencie niż tuzin jakichś tam hrabiów i lordów.

- Niech mi pan powie, co się stało z tymi nieszczęśnikami w Port Jackson, panie Murray? - wtrącił major Ross.

- Jego ekscelencja gubernator rozkazał wykopać daleko za miastem ogromny dół - ciągnął Murray - i tam złożono zmarłych, aby pan Johnson mógł odprawić nabożeństwo żałobne za ich dusze. To taki poczciwy człowiek, ten pan Johnson. Był bardzo dobry dla tych, którzy jeszcze żyli, dzielny, bo schodził na dół pod pokład „Neptuna”, aby pomagać wnosić stamtąd ludzi. I był bardzo delikatny w odprawianiu ostatniej posługi. Ale dołu nie można było zamknąć. Ciało przykryto glazami, żeby zabezpieczyć je przed psami tubylców, które dobierają się do wszystkiego, i gdy „Surprise” odpływał już na wyspę Norfolk, nadal grzebano zwłoki, gdyż ludzie nadal masowo umierali. Gubernator Phillip odchodził od zmysłów ze smutku i złości. Wieziemy list od niego do lorda Sydneya, obawiam się jednak, że nie dotrze on do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przed wysłaniem następnego transportu więźniów przez tych samych kontrahentów od przewozu niewolników i na tych samych warunkach - płatnych z góry za przywiezienie do Port Jackson trupów.

- Trail chciał, żeby wszyscy szybko zmarli - powiedział Wentworth. - „Neptune” stracił również żołnierzy.

- Rozumiem, że większość ludzi na pokładzie „Neptune’a”, „Surprise” i „Scarborough” to byli więźniowie? - zapytał Ross.

- Owszem, „Neptune” wiozł na tym ohydnie brudnym korytarzu zaledwie garstkę więźniarek. Kobiety zostały wysłane wcześniej na „Lady Julianie”.

- A jaki był ich los? - zapytał ponuro Ross, widząc oczyma wyobraźni sto pięćdziesiąt siedem chodzących szkieletów wyciąganych na ląd przy niebezpiecznych Kaskadach.

- O - powiedział lekarz Murray, rozpogadzając się nieco - powiodło im się bardzo dobrze! Pan Richards, ten kontrahent pańskiej floty, był zaopatrzeniowcem „Lady Juliany”. Najgorsze, co można powiedzieć o tym statku, to że załoga - a nie było na nim wojska - tak się dobrze bawiła, jak w gorzelni rumu. Ładunek kobiet? Nic dziwnego, że ich rejs trwał tak długo.

- Wydaje się zatem, że powinniśmy być wdzięczni za tę łaskawość losu - zauważył Ross. - Bez wątpienia nasze położone będą wkrótce miały pełne ręce roboty.

- Owszem, niektóre są brzemiennie. Inne już urodziły.

- A co z tymi czterdziestoma siedmioma mężczyznami? Czy to starzy skazańcy z Port Jackson, czy też ci z tych okrętów z piekła rodem?

- Nowy nabytek, najlepsi spośród nich. Ale to o niczym nie świadczy. Żaden z nich nie postradał jeszcze zmysłów i wszyscy mogą utrzymać jedzenie w żołądku.

Miejscowy rum był już w użyciu, lecz sprytny Robert Ross od samego początku ukrywał jego istnienie, mieszając go z lepszym trunkiem i nazywając „rumem z Rio”. Składował również produkcję Richarda w dębowych beczkach z domieszką dobrego bristolskiego rumu z „Justiniana”, aby się przekonać, co z tego wyniknie, kiedy trunek trochę poleżakuje. Zapasy te ukrył wraz z porucznikiem Clarkiem i Richardem w suchym miejscu, gdzie nikt ich nie mógł odnaleźć. Destylator miał pracować, dopóki nie wyprodukuje dwóch tysięcy galonów, a do tego czasu, jak obliczył major, zarówno dostawa trzciny cukrowej, jak i beczki zostaną wyczerpane. Wówczas każe zdemontować aparat destylacyjny i odda go do ukrycia Morganowi. Uspokoiwszy sumienie, postanowił w myślach, że zużyje tę niewielką ilość jęczmienia, którą udało się wyhodować na wyspie, do produkcji cienkusa. Pośród swoich zasobów „Justinian” przywiózł trochę chmielu. W ten sposób nawet więźniowie będą mogli od czasu do czasu napić się czegoś lepszego od wody.

Jezu Chryste, a cóż to za handel skazanymi mężczyznami i kobietami? Oddanymi przez rząd króla na pastwę robaków i węży. Wieszal ludzi i skazywał na chłostę, ale też ich karmił i dbał o nich. Czy Arthur Phillip zdaje sobie sprawę z tego, że przewrotność handlarzy niewolnikami powtórnie uratowała go od głodu w ciągu zaledwie dwunastu miesięcy? Co by się stało, gdyby wszyscy z tego tysiąca dwustu więźniów, którzy przybyli tu w czerwcu, wylądowali w tak dobrym stanie jak ci z naszej floty? Pominąwszy już „Guardiana”, żywność, którą przywiózł „Justinian”, wystarczyłaby zaledwie na parę tygodni. Bóg uchronił Nową Południową Walię za pośrednictwem bezdusznych handlarzy niewolnikami. Komu jednak, gdy Bóg każe się rozliczać, przyjdzie za to zapłacić?

Rankiem dziesiątego sierpnia, zanim którykolwiek z więźniów z „Surprise” został odesłany na ląd, major Ross zebrał wszystkich członków swojej społeczności pod narodową flagą i przemówił do nich.

- Dzięki przybyciu wystarczających dostaw, które pozwolą nam przetrwać jakiś czas, nasza krytyczna sytuacja uległa poprawie - zaczął. - Ogłaszam zatem, że prawo wojenne zostaje zniesione. Co nie oznacza wcale, że daję wam tym samym pozwolenie na ataki szału! Być może nie będę już was wieszać, ale nadal mogę wymierzać chłostę, która ledwo pozwoli wam ujść z życiem, i nie łudźcie się nawet - będę to robił. Nasza populacja na tej wyspie ma wkrótce wzrosnąć do siedmiuset osiemnastu osób i bynajmniej nie jest to perspektywa, którą należy przyjąć ze spokojem ducha! Zwłaszcza że nowi więźniowie to głównie kobiety, a tych paru mężczyzn pośród nich jest chorych. A zatem nowe gęby, które musimy wyżywić, nie należą do ludzi, którzy będą ciężko pracować. Każdy dom i chata będzie musiała przyjąć jedną dodatkową osobę, nie mam bowiem zamiaru budować baraków dla kobiet. Tylko ci, którzy będą pełnić funkcję nadzorcą nad więźniami, panowie Donovan i Wentworth, są z tego zwolnieni. Czy to marynarze, czy żołnierze mieszkający poza barakami, ułaskawieni więźniowie czy też więźniowie nadal odpracowujący swe kary - wszyscy mają wziąć pod opiekę przynajmniej jedną kobietę. Oficerowie mogą w tym uczestniczyć lub nie, według własnego wyboru. Ostrzegam was jednak i dobrze słuchajcie tego, co powiem! Nie dopuszczę, aby któraś z tych kobiet była bita lub hańbiona, stając się zabawką dla iluś tam mężczyzn. Nie mogę zapobiec cudzołóstwu, ale nie będę tolerował zachowania, które uczyni z was dzikusów. Gwałt i inne formy fizycznego znęcania się nad tymi kobietami kosztować was będą pięćset batów jednym z najgorszych biczów Richardsona i dotyczy to zarówno żołnierzy, jak i marynarzy i więźniów.

Przerwał, aby spojrzeć groźnie na milczące szeregi, zatrzymując wzrok na postaci zadowolonego kapitana Johna Huntera, który w pełni rozumiał, że zniesienie przez jego ekscelencję prawa wojennego dawało mu o wiele więcej swobody oraz umożliwiało okazywanie oporu i nieposłuszeństwa.

- Z wyjątkiem tych osób z marynarki, które nie chcą tu pozostać i osiedlić się, kiedy tylko przybędzie „Supply”, aby zabrać ich z wyspy, zamierzam przerzedzić miasto Sydney, przenosząc tylu z was, ilu tylko zdołam, na jednoakrowe działki, pod warunkiem że będziecie utrzymywać jednego mężczyznę czy kobietę. Nie dostaniecie z tego tytułu żadnych rządowych dodatków, lecz raczej będzie służyło to obniżeniu waszego uzależnienia od zapasów żywnościowych w magazynach rządowych. Macie jednak prawo do sprzedawania magazynom rządowym wszelkich nadwyżek i będziecie za ten nadwyżki wynagradzani, bez

względu na to, czy jesteście ludźmi wolnymi czy skazańcami. Ci spośród więźniów, którzy będą ciężko pracować, uprawiać swoje działki i sprzedawać produkty rządowi, zostaną ułaskawieni tak szybko, jak tylko zdołają dowieść swej wartości - tak jak już uwolniłem niektórych spośród was za dobrą pracę. Rząd wyposaży każdego użytkownika akrowej działki w hodowlaną maciorę i zapewni usługi knura. Nie da się zrobić tego samego z drobiem, lecz tym spośród was, którzy zakupią indyki, kury czy kaczki, będzie wolno to uczynić, gdy tylko pozwoli na to liczba drobiu.

Wśród tłumu rozległy się ciche pomruki. Niektóre twarze rozpromieniły się, inne znów spochmurniały. Nie wszystkim podobała się perspektywa ciężkiej pracy, nawet we własnym interesie.

Major ciągnął dalej.

- Richardzie Phillimorze, możesz wziąć sobie jeden akr ziemi, który ci się spodoba tam za rogiem, po wschodniej stronie. Nathanielu Lucasie, możesz uważać ten akr ziemi za Sydney, gdzie obecnie mieszkasz, za swój. Johnie Risie, możesz wziąć sobie jeden akr powyżej ziemi Lucasa, graniczący ze strumieniem, który przepływa pomiędzy barakami żołnierzy a wewnętrznym szeregiem domów. Johnie Mortimerze i Thomasie Crowderze - wy udacie się na to samo miejsce co Rice. Richardzie Morganie - zostaniesz na tym obecnym kawałku w dolinie. Innych poinformuję, jak tylko pan Bradley przedstawi mi swój plan. Załoga „Siriusa” przeniesie się na tę dużą wycinkę w połowie drogi do Kaskad. Ludzie pracujący przy lnie - włącznie z tymi, co moczą len, i tkaczami, którzy, o ile mi wiadomo, przybyli na „Surprise” - osiedlą się w Phillipburgh i założą tam fabrykę płótna.

Wyczerpawszy już wszystko, co miał do powiedzenia, zamilkł, po czym zakończył słowami:

- No, idźcie już!

Richard powrócił do swego dołu trackiego w dolinie, w nastroju na poły radosnym i na poły ponurym. Ross oddał mu na własność ten akr ziemi, na którym stał jego dom. To wielkie dobrodziejstwo, jako że miejsce to było już wykarczowane i rodziło plony. Nat Lucas i Richard Phillimore zostali podobnie wynagrodzeni, podczas gdy Crowder, Rice i Mortimer będą musieli ścinać drzewa. Przyczyną jego przygnębienia była kwestia samotności, która, zdaniem Rossa, powinna się definitywnie zakończyć. Lawrell mógł zajmować własną chatę, lecz Richard wiedział, że nie mógł w podobny sposób wygnać kobiety, podobnie jak nie mógł oddać jej Lawrellowi. Lawrell był porządnym facetem, ale z pewnością oczekiwałby, że będzie mógł korzystać z rozkoszy jej ciała bez względu na to, czy ona sobie tego życzyła, czy też nie. Nie, to nieszczęsne stworzenie będzie musiało zamieszkać w jego domu, w jednym

dużym pokoju. Przekreśliło to jego plany na nadchodzący weekend, które obejmowały łowienie ryb na linkę ze skałek na zachód od miejsca lądowania oraz spacer ze Stephenem. Zamiast tego będzie musiał dobudować dla tej kobiety dodatkowe pomieszczenie do swego domu. Johnny Livingstone - mądry na tyle, że nie pytał, po co mu były potrzebne - skonstruował mu sanie na gładkich płozach, do których mógł się przywiązać za pomocą brezentowego chomąta i ciągnąć je niczym koń. Potrzebne mu były do przewożenia składników na słońce do gorzelni, gdyż uważał, że tylko on powinien wykonywać to zajęcie pod osłoną ciemności. Miały pojemność równą dobremu taczkom i okazały się nieocenione. Teraz będzie się musiał nimi posłużyć do przywiezienia kamieni z kamieniołomu na dodatkowe słupy pod fundamenty. Niech diabli wezmą te wszystkie baby.

Ponieważ trwała zima, starsi rangą oficerowie jadali główny, gorący posiłek o pierwszej i czynili to z majorem Rossem w jadalni rezydencji gubernatorskiej. Pani Morgan - jak Lizzie Lock upierała się, żeby nadal ją tak nazywano - była wyśmienitą kucharką, skoro teraz dysponowała wieloma składnikami. Tego dnia podawała pieczoną wieprzowinę na cześć przybycia „Surprize” i „Justiniana”, choć żaden z oficerów na tamtych statkach nie został na nią zaproszony, podobnie zresztą jak panowie Donovan, Wentworth i Murray. Porucznik Clark również był nieobecny, bo zabrał Małego Johna na obiad z panami Donovanem, Wentworthem i Murray em. Jego stół służył ze skromności i było tak już od wyjazdu z Anglii. Kiedy musiał wydawać własne pieniądze, Clark, który znajdował się w trudnej sytuacji finansowej, był wyjątkowo oszczędny. Brakowało też porucznika Roberta Kellowa, który nadal pozostawał w Coventry po absurdalnym pojedynku z porucznikiem Faddym.

Major poczęstował wszystkich przed obiadem „rumem z Rio”, zarezerwowawszy butelkę porto, jaką otrzymał od kapitana Maitlanda z „Justiniana”, na poobiedni deser. Posiłek był nieco spóźniony, więc major nalał drugiego przedobiedniego drinka. A kiedy w końcu zasiedli do stołu, aby oddać sprawiedliwość wieprzowemu udźcowi pani Morgan, którego wypieczona skórka była cudownie chrupka i nasączona mięsny sosem, pięciu mężczyznom już trochę za bardzo kręciło się w głowie, aby jedzenie zdołało temu zapobiec. Sytuacji tej bynajmniej nie pomogło i to, że rum towarzyszył także ucztę.

- Widzę, że zastąpił pan Clarka jako kierownika magazynów rządowych - zauważył Hunter, kończąc swój pieczony pudding ryżowy, pływający w melasie.

- Porucznik Clark ma coś lepszego do roboty aniżeli podliczanie sum na palcach - odparł Ross z błyszczącym od tłuszczu podbródkiem. - Jego ekscelencja wysłał mi Freemana do pomocy i w ten sposób go wykorzystam. Clark potrzebny mi jest do nadzoru rozbudowy

Charlotte Field.

Hunter zeszywniał.

- Co przypomniało mi - powiedział opanowanym głosem - że w trakcie pańskiego niezapomnianego przemówienia dziś rano dał pan do zrozumienia, że moi marynarze mają się wyprowadzić z Sydney na drogę do Kaskad, o ile się nie mylę.

- Owszem. - Ross wytarł podbródek jedną z serwetek, które nieoceniona pani Morgan zrobiła ze starego Inianego obrusa. Cóż za klejnot z tej kobiety! Co też napadło tego Richarda Morgana, żeby ją porzucić, Ross nie mógł odgadnąć, ale podejrzewał, że musiało to być związane z łóżkiem, Morgan bowiem miał rację - ona z całą pewnością nie była uwodzicielką. Nałożywszy serwetkę, Ross spojrzął na Huntera siedzącego na przeciwnym krańcu stołu.

- No i co z tego? - zapytał.

- Przestał pan już być Najwyższym Oprawcą, Ross. Co zatem daje panu prawo do podejmowania decyzji dotyczących mojej załogi?

- Wydaje mi się, że nadal jestem zastępcą gubernatora. A zatem mam prawo do przesuwania ludzi tam i z powrotem, a Królewską Marynarkę Wojenną na drogę do Kaskad. Ze stu pięćdziesięcioma kobietami, które mają tu wylądować, nie chcę, aby miasto Sydney roilo się od łotrów, którym nie chce się pracować, a oczekują, że się ich będzie karmić.

Hunter energicznie odsunął na bok talerzyk z deserem, przewracając swój pusty kufel po rumie, i pochylił się do przodu, zaparłszy się dłońmi na skraju stołu.

- Mam już tego dosyć! - wykrzyknął, podniósł jedną pięść i uderzył nią w stół. - Jesteś perfidnym dyktatorem, Ross, i zamierzam poinformować o tym gubernatora, jak tylko powrócę do Port Jackson! Wieszaleś moich ludzi, chłostałeś ich i przeklinam cię za to! Kazałeś marynarzom królewskiej floty pracować przy robocie, której nie dałbym Judaszowi Iskariocie do wykonania. Zbierali len, ryzykowali życie przy przenoszeniu gładów na rafie. - Podniósł się i spojrzął na Rossa, obnażając z wściekłością zęby. - Co więcej, rozkoszowałeś się każdą minutą tego wojennego stanu!

- Owszem, masz pan rację - przyznał Ross ze zdradziecką uprzejmością. - Dobrze mi to robiło na wątrobę i płuca, kiedy tak patrzyłem, jak dla odmiany flota pracuje.

- Mówię to panu już teraz, majorze Ross, że nie przepędzi pan stąd moich ludzi!

- Do cholery! - Ross podniósł się z płonąącym wzrokiem. - Przez pięć miesięcy musiałem znosić pański widok i pańskich uprzywilejowanych hultajów, a z tego, co widzę, będę musiał ścierpieć to jeszcze przez następne sześć miesięcy! No cóż, nie za blisko! Wam, bękartom z królewskiej floty wydaje się, że jesteście panami wszelkiego stworzenia, ale tak

nie jest! A przynajmniej nie tutaj! Jesteście zgrają pijawek ssących krew z innych ludzi. Tutaj jednak dowodzi wojskowy, ten oto wojskowy! Zrobi pan to, co panu kazano, Hunter, i na tym koniec! Jest mi obojętne, czy pierdoli pan do nieprzytomności wszystkich okrętowych chłopców czy też nie, ale nie będzie pan tego robił na tyle blisko, żebym musiał wachać smród pańskich pierdnieć! Niech się pan babra w gównie na drodze do Kaskad!

- Pozwę pana do sądu wojskowego, Ross! Sprawię, że zostanie pan karnie odwołany do Port Jackson i wysłany pierwszym statkiem do domu!

- Niech pan spróbuje, ty patetyczny stary pedale! Pamiętaj pan jednak, że to nie ja utraciłem swój statek. A jeśli wypędzi mnie pan do Anglii pod sąd wojskowy, zaświadczę, że zignorował pan tych obecnych na wyspie, którzy mogliby panu powiedzieć, co zrobić, aby nie stracić statku! - wrzasnął Ross. - Prawdą jest bowiem, Hunter, że nie potrafiłby pan nawigować barką pomiędzy Woolwich a Tilbury, nawet gdyby pana holowano!

Purpurowy na twarzy, Hunter wyssał z sykiem krople piany z kącików ust.

- Pistolety - warknął. - Jutro o świcie. Major Ross parsknął śmiechem.

- Pocałuj mnie pan w dupę! - powiedział. - Nie mam zamiaru poniżyć w ten sposób Korpusu Piechoty Morskiej. Staczać pojedynek z babcią Molly, która już i tak jedną nogą jest w grobie! Odpierdol się! Odpierdol się pan i nie pokazuj tu swej gęby, dopóki ja jestem zastępcą gubernatora na wyspie Norfolk!

Kapitan Hunter odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Trzej świadkowie spojrzeli po sobie przez stół, a Faddy'ego aż świerbiło, żeby przeprosić i polecieć opowiedzieć o tym Ralphowi Clarkowi. John Johnstone miał wrażenie, że mu się zbiera na mdłości, a zachłannego George'a Johnstona ogarnęło cudowne uczucie błogości nie wynikające bynajmniej jedynie z rumu i dobrego jedzenia pani Morgan! Ale dogadali flocie! Z całego serca zgadzał się z opinią majora Rossa o załodze „Siriusa”, a poza tym to na jego barkach, jako jedynego kapitana, spoczywał obowiązek niedopuszczenia do tego, aby wojsko rzuciło się kiedyś marynarzom do gardeł. Co wcale nie było łatwym zadaniem. I jakie to sprytnie ze strony majora, żeby przesunąć część swego problemu poza obręb miasta Sydney przed przybyciem tych stu pięćdziesięciu siedmiu kobiet.

- Faddy - powiedział major, siadając z głęboką satysfakcją. - Trzymaj dupę na krześle. Nie mogę ci nakazać, żebyś się zamknął, bo nawet Bóg nie jest w stanie tego zrobić, chyba że sprawi, abys zaniemówił. George, bądź łaskaw nalać nam porto. Nie pozwolę, aby ten pamiętny obiad zakończył się, zanim wypijemy lojalny toast za zdrowie Jego Królewskiej Mości i Korpusu Piechoty Morskiej, który pewnego dnia zostanie również mianowany królewskim. A wówczas będziemy równi flocie.

W piątek trzynastego, w dniu tak złowróżbnym, że wszyscy w osadzie trzęśli się z przesadnego strachu, zaczęto wysadzać na ląd więźniarki z „Surprise” przy Kaskadach, wiatr bowiem uparcie wiał z południa.

Choć miał już w tym czasie dziesięć pracujących dołów trackich, a Ralph Clark chciał urządzić jeszcze jeden w Charlotte Field wraz z całym zespołem stolarzy, Rossowi nadal zależało na założeniu i uruchomieniu tam osady, aby mieć więcej ziemi pod uprawę zboża. Richard nadal osobiście ciął drewno i ciągle jeszcze z szeregowcem Billym Wigfallem. Jednak w piątek rano owego trzynastego musiał zameldować majorowi Rossowi, że nie mógł namówić nawet jednego mężczyzny do cięcia drewna w tak pechowym dniu. - Chodzi o to, panie majorze, że nawet gdybym wezwał Richardsona z tym jego biczem, to pewnie pracowaliby, lecz z takim niepokojem, że doszłoby może do wypadku. Nie mogę ryzykować niezdolności do pracy wynikłej z obrażeń, gdy musimy ciąć drewno na tyle nowych domów - wyjaśnił Richard.

- Są rzeczy, którym nie można się oprzeć - powiedział Ross, sam odrobinę obawiający się złych omenów. - Dam dziś wszystkim wolne. Ale za to będą musieli pracować jutro. Nawiasem mówiąc, zabroniłem wszystkim więźniom chodzenia dziś do Kaskad w poszukiwaniu odpowiednich kobiet. - Uśmiechnął się z przymusem. - Powiedziałem im również, że jeśli mnie nie posłuchają i mimo to będą próbować, zmuszę ich do wyboru tych najbrzydszych w piątek trzynastego. Ale tym bezużytecznym stworzeniom trzeba będzie pomóc wyjść na ląd i wdrapać się na szczyt tego urwiska, a ponieważ kazałem i moim wojskowym trzymać się z dala od tego miejsca, pozostawiliśmy to zadanie jedynie marynarzom z „Sinusa”. - To rozjaśniło mu uśmiech prawdziwym rozbawieniem. - Potrzebny mi tam jednak ktoś, kto zda mi potem raport z zachowania marynarzy z „Sinusa”, z których większość znalazła się na tym świecie bez pośrednictwa matki ani ojca. Możesz towarzyszyć panu Donovanowi i Wentworthowi, Morgan.

Trzej mężczyźni wyruszyli zatem o ósmej rano, w najlepszych humorach pomimo tej daty. Stephen i D’arcy Wentworth przypadli sobie nawzajem do serca. Podobnie jak Richard, Wentworth był zbyt rozsądnym mężczyzną, aby skreślać kogoś tylko dlatego, że był „panną Molly”. Obu łączyły również pewne cechy charakteru, a zwłaszcza upodobanie do nieznanymi miejsc i przygód, i obaj byli bardzo odcytani. Morze stanowiło dla Stephena okazję do spełnienia jego pragnienia działania, podczas gdy Wentworth uległ powabom gościńca i był wielokrotnie łapany i sądzony za rabunek na drogach. Jedynie wysoko postawieni krewni sprawili, że uszło mu to na sucho, ale nawet rodzinna cierpliwość w końcu

się wyczerpała. Powiedziano Wentworthowi, parającemu się trochę medycyną, żeby zabrał się do Nowej Południowej Walii i nigdy stamtąd nie wracał. Przynętą miała być mała pensyjka, wypłacana jedynie w Nowej Południowej Walii.

Stephen nadal nosił swe czarne włosy zaczesane w długich, bujnych lokach, lecz Wentworth zdecydował się na fryzurę, która, jak powiedział, wchodziła w modę - nosił przystrzyżone włosy, podobnie jak Richard, tyle tylko, że jego nie były aż tak krótkie. Wszyscy trzej, idąc drogą ramię w ramię, wyglądali imponująco; przystojni, wysocy, sprawni, z Wentworthem - najwyższym i jedynym blondynem - pośrodku dwóch ciemnowłosych.

Zeszli ze stromego urwiska, które wznosiło się sto jardów nad miejscem lądowania, zastając „Surprize” niedaleko od brzegu i spokojne morze. Przyływ zamieniał się teraz w powodziową falę, a dwa dni temu kapitan Anstis został poinstruowany przez pana Donovana, w jaki sposób zorganizować bezpieczny przewóz ludzi na suchą ziemię. Kapitan jednostki handlowej był na tyle rozsądny, że zastosował się do tych porad.

- Anstis jest potwornym człowiekiem - stwierdził Stephen, siadając na skale. - Powiedziano mi, że w Port Jackson sprzedawał papier po pensie za kartkę, atrament po funcie za małą buteleczkę i tani, nie farbowany perkal po dziesięć szylingów za łokieć. Doktor Murray twierdzi, że nie miał tylu klientów, ilu się spodziewał, więc zobaczymy, jak mu się powiedzie, kiedy ustawi swój stragan tutaj.

Przypomniawszy sobie Lizzie Lock - Morgan, Richardowi Morgan! - i to, co mu powiedziała o braku szmat na „Lady Penrhyn” dla krwawiących kobiet, Richard postanowił, że chociaż nie znosi wzbogacać ludzi, którzy głodzili innych dla zysku, stawi się przy tym straganie, aby zakupić parę łokci zwykłego perkalu dla tej kobiety, której, zgodnie z planem Rossa, będzie musiał zapewnić schronienie pod swoim dachem. Być może kontyngent więźniarek na „Lady Julianie” został zaopatrzony w szmaty, lecz wątpił w to. Sądząc po zachowaniu seksualnie zaspokojonych marynarzy z „Lady Penrhyn”, marynarze nie okazałyby im żadnego zrozumienia, bez względu na to, ile z tych kobiet by zdobyli. Z pewnością będzie musiał zapewnić jej jakieś łóżko, co wiązało się również z zakupem materaca, poduszki, pościeli, a być może także koca oraz ubrania. Johnny Livingstone obiecał mu zrobić łóżko oraz parę dodatkowych krzeseł, lecz ten niepożądany gość okazywał się bardzo drogi. Na szczęście Richard miał jeszcze swoje złote monety w skrzyni i w obcasach butów Ike’a Rogersa. Ciekawe, co ten Nicholas Anstis będzie miał na sprzedaż. Pył szmerglowy? Miał nadzieję, bo jego zapasy były już na wykończeniu. Papier ścierny sam produkował z piasku z Turtle Bay, klej rybi z odpadków ryb, lecz pyłu szmerglowego nie potrafił odtworzyć.

Zaraz po dziesiątej pierwszy z barkasów odbił od statku w kierunku brzegu przy

wiwatujących okrzykach pięćdziesięciu marynarzy z „Siriusa”, oczekujących z ożywieniem. Inne barkasy stojące przy „Surprise” napełniły się kolejnymi kobietami. Nie było ani tak mokro, ani wietrznie jak wtedy, kiedy major Ross wychodził z „Siriusa” na ląd. Gdy pierwsza z łodzi zbliżyła się do skały służącej za punkt wyjścia na ląd, wiosłarze gotowi byli w każdej chwili odbić od brzegu, na wypadek gdyby któraś z fal okazała się większa od pozostałych, kobiety jednak zaczęły krzyczeć, wrywać się i odmówiły skakania z łodzi. Jeden z marynarzy „Siriusa” podszedł na skraj skalnego występu i wyciągnął ręce, a kiedy łódź zbliżyła się do urwiska po raz wtóry, dwóch marynarzy wyrzuciło z niej w jego kierunku wrzeszczącą kobietę, a za nią całą resztę. Żadna z nich nie wpadła do wody, a tobołki z osobistym dobytkiem wylądowały bezpiecznie za nimi. Druga łódź zajęła pozycję pierwszej i procedurę tę powtórzono. Wkrótce na całej przestrzeni, na której dało się ustać wokół miejsca lądowania, zaroilo się od marynarzy z „Siriusa” i kobiet. Nie pozwalano sobie jednak na żadne nieodpowiednie zachowanie, a większość kobiet została odprowadzona przez mężczyzn, którym najwidoczniej wpadły w oko, do miejsca, gdzie miały się wspiąć na szczyt urwiska dwieście stóp powyżej.

- Poczekaj tylko - powiedział Stephen - jak dojdą do miasta wieści, że ci z „Siriusa” dostali najlepsze kobiety. Trzeba będzie powiązać żołnierzy, bo Ross zabronił im tu przychodzić.

- Czy on to zrobił specjalnie? - zapytał z ciekawością Wentworth.

- Aha, ale nie z tych powodów, o których myślisz - odpowiedział Richard. - Co gorsze? Pozwolić żołnierzom, którzy nie są na służbie, wybierać sobie co lepsze kąski czy też tym z „Siriusa”? Skoro musi dojść do kłótni, major woli raczej, aby spór rozgorzał między marynarzami i flotą, a nie między członkami piechoty morskiej.

- W każdym razie - uśmiechnął się Stephen - nie przebierali za wiele. Wyobrażam sobie, że po tak długim czasie spodobałaby im się nawet sama Meduza. Doliczyłem się zaledwie pięćdziesięciu trzech kobiet, co oznacza, moi drodzy przyjaciele, że będziemy musieli sami ruszyć tyłki i zejść na dół na skały. Wszyscy pomocnicy z „Siriusa” zniknęli.

Kiedy we troje zajęli pozycję na skalnym pomoście, zachęcając przerażone stworzenia do skakania na brzeg, D'arcy'ego Wentwortha, podobnie jak Stephena Donovana i Richarda Morgana, zupełnie nie kusiło szukanie dla siebie kobiety pośród tych, które wychodziły na ląd, choć z zupełnie innego powodu. Obiecano mu, że jego kochanka, piękna rudowłosa dziewczyna o imieniu Catherine Crowley, nie zostanie wysłana na ląd przy Kaskadach. Miała poczekać wraz z ich maleńkim synkiem, Williamem Charlesem, aż Sydney Bay nieco się uspokoi. Wentworth zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia i prowokująco przeniósł ją

z tego ohydneho korytarza na „Neptunie” do kajuty po państwu MacArthur. Catherine urodziła dziecko na krótko przed zawinięciem do Port Jackson. Było to dla niego zarówno radością, jak i powodem głębokiego smutku. Mały William Charles, który odziedziczył po matce miedziane loczki i obietnicę postury po ojcu, miał poważnego zęza i nigdy nie będzie zbyt dobrze widział.

Wysławszy na ląd nieomal siedemdziesiąt więźniarek i wszystkich więźniów, „Surprise” zasygnalizował w połowie przyływu, że nikogo więcej nie będzie już wysyłał. Kobiety przedstawiały żalony widok. Choć być może traktowano je dobrze na „Lady Julianie”, podróż na wyspę Norfolk odbyła się na „mokrym” statku, wilgotnym i przeciekającym, na pokładzie, który w czasie tej długiej podróży zajmowali mężczyźni i który nadal pokrywał brud, zgnilizna i odchody.

Ale tych czterdziestu siedmiu mężczyzn, których wysłano na ląd, znajdowało się w przerażającym stanie. Czyżby byli to najsilniejsi spośród tych, którzy wylądowali w Port Jackson? Wentworth musiał wskakiwać do każdej łodzi - marynarze z „Siriusa” nie byli już tym zainteresowani - podnosić tych nieszczęśników i rzucać ich do rąk Richarda i Stephena, bo nie mieli sił przeskoczyć nawet cała. Ciało ich było potwornie wychudzone, oczy zapadnięte głęboko w oczodołach niczym zasuszony agrest w papierowych obrączkach; byli bezzębni, pozbawieni włosów, z przegnitymi paznokciami, cierpiący na szkorbut i dyzenterię, oblepieni wszami. Richard, najszybszy z nich, pobiegł do Sydney domagać się posiłków wojska lub więźniów. Kiedy wracał biegiem z sierżantem Tomem Smythem ponaglającym z tyłu swoich rekrutów, ostatnie z kobiet, do których nie zgłaszali pretensji marynarze z „Siriusa”, podążały drogą w kierunku Sydney, opóźnione jedynie przez ciężar swych tobołków. Niewielu mężczyzn było tak mocnych jak naczelną tracz, mimo że wkrótce kończył czterdziesty drugi rok życia. Ani on, ani Smyth nie zauważyli, jak jeden z ochotników, Tom Jones Drugi, wymknął się ukradkiem, zanim grupa dotarła do Kaskad. Było tam jeszcze parę kobiet idących w stronę miasta Sydney.

Do zapadnięcia zmierzchu zdołano uporać się z całą robotą. Wszyscy więźniowie, którzy wylądowali na brzegu, dotarli już bezpiecznie do Sydney, gdzie dokonano selekcji kobiet, a najciężej chorych mężczyzn wysłano do małego szpitala i naprędce przysposobionej do tego celu szopy. Olivia Lucas, Eliza Anderson, wdowa po Johnie Bryancie i gospodyni komendanta, pani Richardowa Morgan opiekowały się chorymi, zastanawiając się, czy kiedykolwiek powrócą do zdrowia. I to mieli być ci najlepsi spośród owego tysiąca mężczyzn? O tym też nikt nie mógł przestać myśleć.

Ponieważ następnego dnia „Surprise” nadal stał przy Kaskadach, Stephen, D’arcy

Wentworth i Richard powrócili, aby tam pomagać, wyszorowawszy się dobrze poprzedniej nocy, usiłując usunąć z siebie brud i robactwo, którego nabawili się przy dotykaniu więźniów. Nagle zerwał się wiatr i „Surprise” zasygnalizował, że na tym koniec. Stephen i D’arcy zajęli się ostatnią grupą kobiet i żartowali z nimi, pokazując, jak należy dźwigać tobołki, aby było im łatwiej, biorąc od nich to, czego nie mogły udźwignąć, i zapewniając te przerażone stworzenia, że życie na wyspie Norfolk spodoba im się, miejsce to było bowiem o wiele lepsze od Port Jackson.

Wysłany, aby się upewnić, że „Surprise” nie zmienił nagle zdania i nie wysłał kolejnego barkasu, Richard opuścił Kaskady parę minut później. Na szczycie wzgórza obejrzał się, aby spojrzeć na wybrzeże i mniej znajomy mu widok aniżeli fantastyczna rafa zatoki Sydney, laguna, plaża i leżące w oddali wyspy. „Lecz niemniej urzekająco piękny” - pomyślał Richard. - „Z tymi wodospadami, wystającymi z wody skałami i ogromnym otworem skalnym na północy, z którego tryskały strumienie piany w miarę przyływu. Jakże interesujące były tutejsze sosny! Te, które usunięto przy budowie drogi, zostały ścięte piłą poprzeczną równo przy ziemi i już się rozsypywały, znikając pod powierzchnią. Za dwa lata, po zasypaniu kraterów niewielką ilością żwiru, nikt się nawet nie domyśli, że kiedyś sosny te zajmowały każdy cal tej ziemi”. Zorientowawszy się, że słońce było już niżej, aniżeli przypuszczał, przyspieszył kroku, przechodząc przez obszar wycinki wokół Phillipburgh - gdzie Ross bohatercko brnął w ślady Kinga, usiłując stworzyć przemysł lniany - po czym udał się w zalesioną część prowadzącą do względnie płaskiego szczytu wzniesienia, na które zastępca gubernatora wyprawił marynarzy z „Siriusa”. Kapitan Hunter odmówił przyłączenia się do nich i postanowił przeprowadzić się do porucznika Williama Bradleya, do miejsca, które zaczęto nazywać Phillimore Run, od rwącego nurtu strumienia, który przepływał przez ziemię Dicka Phillimore’a.

No cóż, jeszcze raz mu się udało. Żadnej kobiecie nie wpadł w oko, żadnej nie brakowało chętnych do wzięcia, choć wszystkim najbardziej podobał się Stephen, ten szatan. „Jeśli wszystko dobrze pójdzie - pomyślał Richard, idąc przed siebie - może uda mi się wykręcić od opiekowania się innymi z wyjątkiem Johna Lawrella, nawet jeśli będzie to oznaczało, że nie dostanę maciory”.

Coś zamiauczało. Richard zatrzymał się, marszcząc brwi. Osadnicy przywieźli ze sobą parę kotów na „Siriusie”, lecz były bardzo cenione jako domowe pieszczochy i łowcy szcurków, toteż nie musiały wędrować aż tak daleko w poszukiwaniu pożywienia. Załoga „Siriusa” również posiadała koty, ale kochano je, więc nie mógł należeć do któregoś z marynarzy. Chyba że gdzieś się zgubił, wdrapał na drzewo i nie mógł zejść na dół.

- Kici, kici, kici! - zawołał, nad słuchując odpowiedzi. Kolejne miauknięcie, ale nie kocie. Poczując ciarki na skórze, zszedł z drogi i wkroczył do królestwa porośniętych winoroślą i sosnami skarp. Kiedy minął wykarczowaną ziemię, zrobiło się zupełnie ciemno. Zatrzymał się na dłuższą chwilę, aby pozwolić oczom przyzwyczać się do mroku, po czym ruszył przed siebie ponownie, mając nagle pewność, że był to ludzki głos. Jaka szkoda. Miał nadzieję, że to kot, którego już chciał dać w prezencie Stephenowi w zamian za Rodneya, który jako kot okrętowy pozostał na „Alexandrze”, kiedy Stephen przeniósł się na „Siriusa” i w ramiona Johna Livingstone’a.

- Gdzie jesteś? - zapytał normalnym głosem, tyle że głośno. - Odezwij się, żebym mógł cię odnaleźć.

Z wyjątkiem skrzywienia sosen wysoko w gałęziach, łopotu skrzydeł ptaków oraz szumu wiatru, dookoła panowała cisza.

- Nie bój się, chcę ci pomóc! Odezwij się!

Słabe miauknięcie nieco dalej. Richard obejrzał się, aby zapamiętać znaki w terenie, a potem ruszył w stronę owego głosu.

- Odezwij się! - powiedział normalnym tonem. - Pozwól mi cię odnaleźć!

- Pomóż mi!

Potem odnalezienie jej przykucniętej w dziupli, którą czas i wiecznie gryzące żuki wyłobiły w pniu potężnej sosny, nie sprawiło mu już żadnego kłopotu. Uchodźca z pewnością mógłby znaleźć w niej schronienie, co pozwalało wierzyć w historie o więźniach, którzy niekiedy uciekali w puszcze, ale po paru tygodniach pojawiali się w Sydney z powodu głodu.

Mała dziewczynka, a przynajmniej tak mu się zdawało. Potem jednak zauważył kobiecą pierś w rozdarciu sukienki. Przykucnął, uśmiechnął się i wyciągnął rękę.

- Chodź, nie bój się. Nie skrzywdzę cię. Musimy stąd odejść, zanim będzie za ciemno, żeby trafić z powrotem na drogę. Chodź, złap mnie za rękę.

Położyła palce na jego dłoni, pozwalając mu się wyciągnąć, cała drżąca ze strachu i zimna.

- Gdzie są twoje rzeczy? - zapytał, uważając, żeby nigdzie jej nie dotknąć.

- Ten mężczyzna mi je zabrał - szepnęła. Zaciskając usta, wyprowadził ją na drogę, aby przyjrzeć się jej w nienającym świetle. Nie wyższa od jego ramienia, bardzo wychudzona, o włosach być może jasnych, ale teraz zbyt brudnych, aby dało się to stwierdzić z całą pewnością. Oczy jednakże były... były... zaparło mu dech w piersiach. Nie, to tylko słoneczne światło zadawało im kłam, to niemożliwe! Oczy Williama Henry’ego należały wyłącznie do

niego, nie było im podobnych w żadnej twarzy na świecie.

- Czy jesteś w stanie iść? - zapytał, pragnąc jej dać swoją koszulę, lecz bojąc się, że to ją przerazi i zacznie uciekać do lasu.

- Myślę, że tak.

- Przy następnym wyrębie zdobędę pochodnię. Wtedy nie będziemy musieli tak się śpieszyć.

Cofnęła się i wzdygnęła.

- Nie, nic się nie bój! Do domu mamy jeszcze trzy mile i będziemy musieli oświetlić sobie drogę. - Przytrzymał ją mocniej za rękę i ruszył przed siebie. - Nazywam się Richard Morgan i jestem wolnym człowiekiem. - „Jakże to cudowne, że może tak mówić!” - Jestem nadzorcą traczy.

Choć nic mu na to nie odpowiedziała, szła przy nim nieco pewniej, aż dotarli do osady „Siriusa”. Marynarze mieszkali w namiotach, dopóki cieśle nie wzniosą im odpowiednich baraków i chat, i w oddali widać było paru mężczyzn. Przy drodze płonęło ogromne ognisko, nikt jednak przy nim nie siedział. Prawdopodobnie wszyscy spili się rumem. Nikt zatem nie spostrzegł, jak chwycił pochodnię i zapalił ją, ani też nie dostrzegł uczepionego do niego jak do ostatniej deski ratunku rozbitka.

- Jak ci na imię? - zapytał, kiedy ruszyli znowu w stronę sosen bardziej wysuniętych na południe i zaczynających teraz huczeć, gdy wiatr uderzał w nie pełną siłą niczym młot w miedzianą osłonę - bum, bum, bum.

- Catherine Clark.

- Kitty - powiedział natychmiast. - Kitty. Podskoczyła.

- Skąd pan to wiedział?

- Nie wiedziałem - odparł zdziwiony. - Tyle tylko, że kiedy usłyszałem cię po raz pierwszy, myślałem, że był to kot. Jesteś z „Lady Juliany”?

- Tak.

Czuł, że opadała z sił, lecz bał się ją pochwycić na rękę, żeby jej nie przerazić. „Cóż to za kundel ją zaatakował?”

- Nie będziemy tracić ani czasu, ani oddechu na rozmowy, Kitty. Najważniejsze, żeby zabrać cię teraz do domu.

Dom. Najpiękniejsze słowo na świecie. Powiedział je tak, jakby ono rzeczywiście coś dla niego znaczyło, tak jakby obiecywał jej wszystkie te rzeczy, których od tak dawna nie zaznała. Od czasów przed skazaniem jej i wysłaniem na krótko do londyńskiego Newgate, a

potem na „Lady Julianę” na Tamizie, aby oczekiwać tam samotnie całymi miesiącami na wyruszenie statku do zatoki Botany. Samotność nie była taka straszna, żaden z marynarzy bowiem nie pożądał jej. Mogąc wybierać spośród dwustu czterech kobiet, dlaczego trzydziesto mężczyzn nie miałyby gustować jedynie w mocnych dziewczynach o szerokich biodrach, okrągłych piersiach i brzuchach? Paru mężczyzn miało skłonności do poszukiwania coraz to nowych zdobyczy i nie zadowalało się pojedynczym zwycięstwem, lecz pan Nicol nie dopuszczał, aby gwałcono dziewczyny. Większość załogi zachowywała się jak potencjalni nabywcy koni na jarmarku i uczepliali się tylko jednej żony, jak je nazywali. Podobnie jak sto innych kobiet na pokładzie, Catherine Clark nigdy nie zwróciła na siebie uwagi mężczyzn. W Port Jackson nie wysłano ich na ląd i pozostała na „Lady Julianie”, dopóki na chybił trafił nie wybrano stu pięćdziesięciu siedmiu spośród nich do przeniesienia na wyspę Norfolk, do miejsca, o którym nigdy przedtem nie słyszała. O Port Jackson również wcześniej nie wiedziała, słyszała jedynie o zatoce Botany - tym przerażającym miejscu.

„Surprise” był o wiele gorszym statkiem od „Lady Juliany”. Zapadłszy na chorobę morską już na Tamizie, cierpiąc nieomal w trakcie całego powolnego rejsu „Lady Juliany”, Catherine runęła w ten koszmar, który zdołała wytrzymać, nie popadając w szaleństwo, jedynie dzięki tej potwornej chorobie morskiej. Miejsce, w którym je zamknięto, roiło się od robactwa, chlupotał w nim ohydny płyn, którego pochodzenia nikt nawet nie śmiał się domyślać, a cuchnęło tak potwornie, że jej nos nigdy się do tego nie przyzwyczał. Nie miały też dostępu do świeżego powietrza i przywileju wychodzenia na główny pokład.

Przeraził ją sposób, w jaki odtransportowano ją na brzeg i wyrzucono nań niczym lalkę na skałę, lecz złapał ją tam przystojny mężczyzna o cudownym uśmiechu i tak niezwykle niebieskich oczach, uspokoił, popchnął lekko i zapytał, czy da radę wspiąć się na to okropne urwisko. Pragnąc mu się przypodobać, skinęła głową i ruszyła przed siebie, podpierając się w czasie tej wspinaczki swym tobołkiem i zwiniętą pościelą. Przez dziwny zbieg okoliczności nie zauważyła tam Richarda Morgana, który zszedł na bardziej stromą ścieżkę w momencie, gdy wczołgiwała się do rozpadliny. Zatrzymała się na szczycie dla zaczerpnięcia oddechu, a potem ruszyła dalej drogą, zrozumiałwszy nagle, że ta choroba morską i niewielkie racje żywnościowe w ciągu ponad roku nie przysposobiły jej do takiej wędrówki bez względu na to, jaka by była długa i dokąd by wiodła. Minęła ją biegiem grupa mężczyzn.

Ledwo zdołała wejść do lasu, poczuła, że ugięły się pod nią nogi i nie miała sił iść dalej. Usiadła na swoim tobołku, złożyła obok swą pościel na ziemi i oparłszy głowę na zajętych kolanach, dyszała ciężko.

- A cóż my tu robimy? - zapytał nieopodal jakiś głos.

Podniosła głowę i ujrzała wpatzonego w nią mężczyznę o włosach koloru złotej pszenicy, ubranego tylko w obszarpane brezentowe spodnie. Potem uśmiechnął się do niej, ukazując tym samym jakby podwójne usta - brakowało mu dwóch zębów z przodu w górnej i dolnej szczęce, co tworzyło groźną, czarną dziurę. Była jednak bardzo zmęczona, więc kiedy wyciągnął do niej rękę, chwyciła ją, myśląc, że chciał jej pomóc wstać. Zamiast tego jednak pociągnął ją ku sobie, złapał w ramiona i usiłował zakryć jej usta tą potworną dziurą w swojej twarzy. Szarpiąc się, z trudem próbowała mu się oprzeć, i poczuła, jak jej prosta więzienna sukienka rozerwała się, kiedy złapał ją okrutnie za piersi.

Ktoś odezwał się w oddali. Uścisk jego rozluźnił się natychmiast, wyrwała mu się i pobięła w las. Przez chwilę stał w miejscu, najwyraźniej zastanawiając się, czy za nią pobiec, lecz odezwało się jeszcze parę innych głosów. Wzruszył więc ramionami, pochwycił jej tobolek i pościel i pobięł w kierunku, który jej wskazano. Odgłosy rozmowy stawały się coraz głośniejsze. Wpadła w panikę i pobięła głębiej w las, aż straciła rozeznanie, gdzie jest i gdzie znajduje się droga. Coś uderzyło ją w twarz, lecz nawet nie krzyknęła. Zemdlała, uderzając głową o korzeń.

Kiedy przysła do siebie, jęcząc i wymiotując, zapadły już ciemności. Szmery, ostre przejmujące okrzyki, potężne pojękiwania ogromnych sosen kołyszących się miarowo i noc tak czarna, że nie mogła niczego dojrzeć. Podczołgała się do dziupli w drzewie tak ogromnym, że nie mogła poza nie wyjrzeć, i przycupnęła tam skulona, dopóki blade światło poranka nie pozwoli jej zobaczyć, gdzie się znalazła. Otoczona tymi olbrzymimi drzewami, została zamknięta w tym więzieniu przez pnącza tak grube jak jej talia.

Przez cały dzień słyszała w oddali głosy ludzi, lecz nie krzyczała, bojąc się, że ten mężczyzna o „podwójnych ustach” gdzieś tam na nią czyhał. Nie miała pojęcia, dlaczego nagle postanowiła krzyknąć w zapadającym zmroku. Wiedziała tylko, że to zrobiła i że ktoś zawołał do niej - „kici, kici, chodź tutaj”. Ktoś zawołał japo imieniu i pomyślała sobie o tym cudownym mężczyźnie, który pomógł jej wejść na brzeg.

Jej wybawiciel był do niego bardzo podobny, ale to nie był on - włosy miał krótko ścięte i bardziej szare oczy. Uśmiech również miał bardzo piękny, zęby białe jak śnieg i nie brakowało mu ani jednego. Było zbyt ciemno, aby zobaczyć coś więcej, lecz kiedy wyciągnął rękę, ujęła ją i przytrzymała, kojarząc go z tym, który wyciągnął ją na brzeg i którego miała nadal żywo w pamięci. Kiedy znaleźli się na drodze, jej oczy przyzwyczyły się już na tyle, aby mogła dostrzec, że był starszy od jej bohatera ze skały, miał brązową skórę i ciemne włosy i właściwie mogliby uchodzić za braci. Dlatego właśnie mu zaufała i poszła z nim.

- **Zimno ci** - powiedział. - Proszę, pozwól, że dam ci swoją koszulę. Nie chcę cię obrazić, ale muszę cię dotknąć, aby ją na ciebie włożyć, Kitty.

Nawet gdyby chciał ją obrazić, była już zbyt wyczerpana, żeby móc się temu oprzeć. Stała więc pokornie, podczas gdy on zdjął z siebie koszulę i naciągnął rękawy na jej ramiona, pozwalając jej potem zawiązać oba końce koszuli w pasie na supeł.

- Ciepłej ci?

- Tak.

Zdołała jakoś zmusić nogi do poruszania się i tak doszli do ostatniego odcinka drogi, który opadał w dół ku ciemnościom rozjaśnionym punkcikami płomieni, a dalej białawym migotaniem. Potknęła się i upadła.

- Wystarczy - powiedział Richard, rzucając pochodnię. Pochwycił ją, zarzucił sobie na ramiona, przytrzymując jedną ręką jej nadgarstki, a drugą nogi, i ruszył przed siebie krokiem tak pewnym, jakby maszerował w biały dzień. Nieomal na samym dole stał jakiś dom. Podeszedł do niego i uderzył mocno w drzwi.

- Stephen! - zawołał.

- O Chryste, Richard, zabrałeś się do uprowadzania kobiet? - zapytał ten mężczyzna ze skały, z oczyma, w których migotała pozbawiona złościwości kpina.

- To biedne dziecko spędziło zeszłą noc w lesie przy Kaskadach. Jakiś drań napadł na nią i ukradł jej rzeczy. Oświeć mi, proszę, drogę do domu.

- Pozwól, że ja ją poniosę - odparł Stephen. - Ty musisz być już wyczerpany.

„O tak, proszę cię, weź mnie na ręce!” - krzychała bezgłośnie, lecz Richard Morgan potrząsnął głową.

- Nie. Niosłem ją jedynie tu z górki. Ma wszy. Odprowadź mnie tylko do domu.

- Co tam wszy. Wnieś ją tutaj - rozkazał Stephen, otwierając drzwi na oścież. - Nie masz w domu nawet rozpalonego ognia, a ponieważ miałeś dziś jeść ze mną, nie przygotowałeś sobie żadnego posiłku. Wnieś ją tu, bracie. Przez ostatnie dwa dni napatrzyłem się już na sporo robactwa. - Serce ścisnęło mu się na widok twarzy Richarda. „Kto wie, dlaczego człowiek się zakochuje albo w kim? Przeszedł przez pokład do swego przeznaczenia, podobnie jak ja to zrobiłem na „Alexandrze”. - Mam zupę rybną. Będzie można ją tym nakarmić.

- Najpierw trzeba się pozbyć wszy, bo inaczej się pochoruje. Najbardziej potrzebna jest jej kąpiel i czyste ubranie. Masz wystarczająco dużo gorącej wody na kominku? A zimnej? Idę do Olivii Lucas, żeby coś od niej pożyczyć.

- Wody wystarczy, ale nie mam wanny ani grzebienia do wyczesywania wszy. Zobacz, czy Olivia byłaby tak uprzejma.

Richard wyszedł, pozostawiając Stephena samego z tym obszarpańcem, który na tyle doszedł do siebie, by wpatrywać się w niego pełnymi uwielbienia oczyma - najniezwyklejszymi, jakie kiedykolwiek w życiu widział, koloru piwa, nakrapianymi ciemnobrązowymi plamkami, obrzeżonymi gęstymi rzęsami tak jasnymi, że jedynie kryształowy połysk w świetle świec zdradzał ich obecność. Prawdopodobnie o wiele szczuplejsza aniżeli powinna być w zamierzeniach Boga, posiadała owalną twarz i nie mogła poszczycić się niczym poza tymi oczyma; miała duży, typowo angielski nos i wydatny angielski podbródek. Postawił krzesło na środku pokoju i usiadł na nim.

- Jestem Stephen Donovan - powiedział, nabierając chochłłą trochę zupy z wierzchu i odstawiając w misce na bok do ostygnięcia. - A ty, jak się nazywasz?

- Catherine Clark. Kitty - odpowiedziała, uśmiechając się i ukazując ślady dołeczków na lewym policzku i równe, odbarwione zęby. „To oznaka - pomyślał doświadczony marynarz - przewlekłej choroby morskiej i niedożywienia”.

- To pan pomógł mi wejść na skałę - stwierdziła.

- Owszem, pomogłem, podobnie jak i pięćdziesięciu innym kobietom. A teraz opowiedz mi o tym mężczyźnie i twojej nocy w lesie, Kitty.

Wyjaśniła mu więc. Z upływem każdej minuty wracało jej opanowanie, gdy przyglądała się temu pokoikowi z kuchnią i znajdującym się tam stołem, kilkoma ładnymi krzesłami, kuchenną ławą, kolejnym stołem, który najwyraźniej służył mu za biurko i wypolerowanym ścianom ozdobionym trzema zestawami ogromnych, pełnych zębów szczęk. Szachownica z ustawionymi pionkami spoczywała na biurku wraz z kałamarzem, gęsimi piórami i papierem, a stół był zastawiony na dwoje.

- Był to mężczyzna o żółtych włosach i brakowało mu z przodu czterech zębów.

- Tak.

- To Tom Jones Drugi, z całą pewnością. - Podał jej miskę. - Wypij to.

Kiedy sączyła ostrożnie wywar, jej twarz nabrała wyrazu całkowitej błogości. Wypiła go łączywie do dna i nadstawiła pustą miskę.

- Czy mogłabym poprosić o więcej, panie Donovan?

- Na imię mi Stephen. Dostaniesz jeszcze trochę, ale za chwilę, Kitty. Niech to się najpierw dobrze uleży w żołądku. Czy często zapadałaś na chorobę morską?

- Bez przerwy - odparła po prostu.

- A zatem, poczynając od jutra, zacznij szorować zęby popiołem z ogniska. Jeśli nie

będziesz tego robiła, stracisz je. Wymiotowanie żółcią przez całe miesiące doszczętnie je niszczy.

- Przykro mi, że wniosłam panu wszy do domu - powiedziała. - Cicho sza, dziecko. Richard przyniesie ci nowe ubranie, a to spalimy. Myślę jednak, że powinnaś obciąć włosy. Nie do skóry, tylko na krótko.

Skrzywiła się, ale skinęła posłusznie głową.

Richard powrócił, niosąc ze sobą małą cynową wanienkę, a w niej jakieś ubrania.

- Ta Olivia Lucas to prawdziwy skarb - powiedział, kładąc na ziemi wannę i wyjmując jej zawartość. - Czy Kitty powiedziała ci, co się stało?

- Aha. Napastnikiem był Tom Jones Drugi. Nie ma co do tego wątpliwości.

Obaj mężczyźni napełnili dziecinną wanienkę mieszaniną gorącej i zimnej wody, pracując razem, jak myślała oszołomiona Kitty, jakby byli rzeczywiście braćmi.

- Jesteś przyzwyczajona do kąpieli, Kitty? - Był to najbardziej delikatny sposób, jaki przyszedł mu do głowy, aby zadać to pytanie. Sądząc po jej wyglądzie, być może nigdy w życiu się nie kąpała.

- Owszem, jestem. Nie wiem, jak panu dziękować, panie Morgan. Nie mogłam umyć się porządnie od czasu opuszczenia „Lady Juliany”. Na jej pokładzie zdołaliśmy jakoś utrzymywać czystość i uchować się od wszy. Jeśli da mi pan nożyczki, obetnę sobie włosy - stwierdziła grzecznie, z lekko londyńskim akcentem, być może z Surrey lub hrabstwa Kent.

Richard zdawał się przerażony.

- Jeszcze nie ścinajmy jej włosów! Mam gęsty grzebień i będziemy go używać, dopóki nie uwolnimy ci włosów nawet od gnid. Jestem Richard, a nie pan Morgan. Skąd pochodzisz, Kitty?

- Z Faversham w Kent. A potem z przytułku dla dziewcząt w Canterbury, a następnie z dworu w St. Paul Deptford, gdzie byłam podkuchenną. Sądono mnie w Maidstone i skazano na siedem lat zesłania - wyrecytowała pokornie. - Ukradłam muślin ze sklepu. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Ile masz lat? - zapytał Stephen.

- Dwadzieścia, ukończonych w zeszłym miesiącu.

- Czas na kąpiel. - Richard pochylił się i podniósł wanienkę, tak jakby ważyła piórko.

- Możesz skorzystać z sypialni i ze świeczki i porządnie się wyszoruj. Daj mi te buty, a brudne ubranie wyrzuć przez okno na ziemię. Stephen, weź jej rzeczy, mydło i szczotkę, przydaj się na coś! Wymyj sobie włosy, dziecko, dobrze wyszoruj sobie czaszkę, a potem wyczesz włosy tak, jakby od tego zależało twoje życie. - Zaśmiał się cicho. - Z całą

pewnością od tego zależy los twoich włosów.

- A teraz co do tego Toma Jonesa Drugiego - powiedział Richard, kiedy pozostawili ją samą. - Jak to załatwić?

- Zostaw to mnie. - Stephen zapalił świeczkę od ognia w kominku, następnie nalał po chochli rybnej zupy do dwóch dużych misek i połamał bochenek chleba na kawałki. - Nie sądzę, aby to było polityczne zawracać głowę majorowi, skoro pani Morgan jest jego gospodynią. Wiadomość, że wzięłaś sobie przybłędę, i tak szybko do niej dotrze.

- Jakie to szczęście, że ma na nazwisko Clark! Pójdę do naszego kochanego porucznika Ralphie i opowiem mu o tym, podkreślając, że ta dziewczyna nie jest jedną z „przeklętych dziwek”. Ze względu na nazwisko będzie skłonny mi uwierzyć. A poza tym on nie cierpi Toma Jonesa Drugiego, w czym wykazuje się doskonałym gustem. Obawiam się jednak, że nigdy nie ujrzymy ani jej koców, ani też dobytku. Jones z pewnością ofiarował jej już jakiejś dziwce w zamian za jej względy.

Podniósłszy jej buty, Richard wymienił spojrzenia ze Stephenem i skrzywił się.

- Śmierdzą gorzej od ścieków na „Alexandrze” - powiedział, wrzucając je do ognia. Umył dokładnie ręce przy ławie Stephena. - Zobacz, czy uda ci się oczarować naszego kochanego porucznika Ralphie, żeby ofiarował jej nową parę butów, skoro pojawiły się w magazynach. - Usiadł, aby łąpczywie zjeść chleb z zupą. - Myślałem, że to był kot - odezwał się ni stąd, ni zowąd.

- Co takiego?

- Zamiauczała w lesie. Myślałem, że to kot. Wszedłem w głąb lasu, mając nadzieję, że znajdę ci nowego Rodneya.

Twarz Stephena złagodniała, kiedy popatrzył na niego przez stół. „Jakże to było do niego podobne! Czyż on nigdy nie myślał najpierw o sobie? A teraz ta nieszczęsna dziewczyna, będąca taką samą kryminalistką jak Dziewica Maryja. Biedna mała wieśniaczka z przytułku. Co go napadło, żeby się w niej zakochać? Złapał się na haczyk, biedaczyna. Ale dlaczego w niej? Pomógł tuzinom wdrapać się na brzeg - dziewczynom i kobietom wielkiej urody; niektóre z nich były najwyraźniej wykształcone, błyskotliwe, dowcipne, nawet można by powiedzieć, że wytworne. Nie wszystkie więźniarki były przeklętymi kurwami. Dlaczego zatem akurat Catherine Clark? Znękana i niewykształcona, prosta i głupiutka. Niczym się nie wyróżniała, pozbawiona czaru, inteligencji czy piękna”. - Dzięki ci za troskę - odparł Stephen. - Olivia obiecała mi jedno ze swoich kociąt, pomarańczowego samca bez żadnych białych plamek. Już ma imię - Tobias. - Skończywszy posiłek, powstał, aby się upewnić, czy w kotle było jeszcze dość zupy, żeby mogli sobie więcej dolać i jeszcze trochę zostawić dla

Kitty.

- Widziałeś kiedyś takie oczy? - zapytał, podchodząc do Richarda. Stał odwrócony tyłem, dlatego nie zauważył skurczu na twarzy przyjaciela. Kiedy się odwrócił, ból już mijał, choć to, co po nim pozostało, przeraziło go.

- Owszem - odpowiedział Richard spokojnie. - Widziałem. U mojego syna, Williama Henry'ego.

- Miałeś tylko jednego syna, Richardzie?

- Tylko Williama Henry'ego. Jego siostra zmarła na ospę, zanim się urodził. Matka ich zmarła, jakby powalona obuchem, kiedy miał osiem lat. A on... on zginął na krótko przed swoimi dziesiątymi urodzinami. Ludzie myśleli, że utonął w Avonie, choć ja tak nie sądziłem. Albo raczej uczciwiej będzie, jeśli powiem, że nie chciałem w to uwierzyć. Był z nauczycielem ze szkoły Colston. Nauczyciel ten zastrzelił się i zostawił notatkę wyjaśniającą, że to on był przyczyną śmierci Williama Henry'ego, co wprowadziło jeszcze większe zamieszanie. Cały Bristol szukał go przez tydzień, ale nigdy nie znaleziono ciała. Prowadziłem dalsze poszukiwania. Najgorszą udręką była niepewność. Jeśli nie żył, to jak doszło do jego śmierci? Jedyne człowiek, który mógłby mi to powiedzieć, zginął z własnej ręki.

„To cud - pomyślał Stephen - że uznał mnie za brata, mnie, bezwstydnego pedała, pannę Molly. Nauczyciel, cóż to za wspaniały zawód dla molestujących dzieci! Musiał coś zrobić. Mógłbym się założyć o własne życie i Richard też to wie. A mimo to ani razu nie utożsamił mnie z tamtym człowiekiem za to, kim jestem”.

- Mów dalej, Richardzie - poprosił cicho.

- Potem życie stało mi się obojętne. Wspominałem ci kiedyś o tym oszustwie akcyzowym i oszustach, którzy pozbyli się mnie, wysyłając na rozprawę do Gloucester. - Przechylił głowę i spojrzał na blat stołu ze spuszczonej oczyma, z zamyśloną i gładką twarzą. - Teraz wiem już, że William Henry nie żyje. Jej oczy są dla mnie przesłaniem od Boga. Odpowiedziały mi na wiele pytań.

Stephen płakał. Po części z żalu nad stratą Richarda, a po trosze i nad własną, bo choć nigdy nie miał nadziei i po prostu usługiwał mu niczym ksiądz nowicjusz, czekając na rozpoczęcie boskiej komunii, myślał, że mimo braku miłości mógł przynajmniej znaleźć pocieszenie w tym, że Richard nie należał do nikogo. Ale przecież należał - do swej zmarłej rodziny, a przede wszystkim do Williama Henry'ego, którego utracił. Bóg zesłał mu Catherine Kitty Clark, aby spojrzała na niego oczyma jego syna. Błogosławieństwo. I tak właśnie się to dzieje. Spojrzenie, uśmiech, jedno słowo, gest, dla innych bez znaczenia, bo

leżą w strefie absolutnie unikatowej i osobistej. Czas i udręka.

- Będę szczęśliwy, jeśli ci się ułoży - powiedział Stephen.

Otworzyły się drzwi do wewnętrznego pomieszczenia. Richardowi wydawała się piękna. Wyszorowana do czysta, od dziecięco jedwabistych włosów począwszy, po perłowe paznokcie u nóg, uśmiechając się z takim poczuciem ważności, jak dziecko po spełnieniu swego pierwszego samodzielnego zadania. Czarująca. I taka miła. Jego własna, maleńka Kitty, którą będzie się opiekował aż do śmierci.

Stephenowi wydawała się po prostu przyjemniejsza aniżeli wówczas, kiedy była brudna - znękana, niewykształcona, prosta i głupiutka. Uśmiech? Przeciętny, a nawet odrobinę sentymentalny. Och, jakże dziwne są te intrygi przeznaczenia! Ażeby spośród wszystkich istniejących możliwości na świecie podsunąć Richardowi Morganowi taką prostą dziewczynę!

- Będziesz potrzebował koszuli, zanim odważymy się wyjść na ten sierpniowy wiatr - powiedział Stephen, rzucając Richardowi ubranie. - Kitty, twoje buty były tak obrzydliwie brudne, że musieliśmy je spalić. Jak tylko będę mógł, zdobędę dla ciebie nowe, ale będziesz musiała pozwolić nam zanieść cię do domu Richarda na siodełku.

- A nie mogłabym zostać tutaj? - spytała.

- W domu, w którym nie ma niczego oprócz hamaków? A poza tym być może będę miał później gościa. Gotowa?

Na zewnątrz Kitty usadowiła się na ich złączonych rękach, objąwszy jedną ręką za szyję Richarda, a drugą Stephena. Każdy z nich trzymał pochodnię w wolnej ręce i tak obaj mężczyźni zanieśli ją do doliny, za zaporę Kinga i staw, tam, gdzie na skraju lasu stał dom Richarda.

Ogień był zapalony, drewno złożone z boku. Stephen zsalutował Richardowi, skłonił się zamaszyście Kitty i zostawił ich samych. Miał robotę we własnym domu, a praca z więźniami zaczynała się o świcie. O nie. Jutro, jak sobie przypomniał, była przecież niedziela.

Richard zaniósł ją do swojego wychodka, bojąc się, że jej delikatne stopy poranią się na kamiennej ścieżce, po czym odniósł ją z powrotem do domu. - Jeśli będziesz potrzebowała wstać w nocy, obudź mnie - powiedział, otulając ją w swoim puchowym łóżku.

- A gdzie ty będziesz spał? - spytała.

- Na podłodze.

Chciała coś powiedzieć, lecz sen powalił ją ze słowami zamartwymi na ustach i Richard wiedział, że żaden hałas czy ruch jej nie obudzą. Zdjął zatem ubranie, włożył je do wiadra i wyniósł na zewnątrz, zanim wszedł do swego stawku i umył się, aby się upewnić, że nie ma

na sobie żadnych wszy. Trzęsąc się z zimna, wrócił do domu, aby ogrzać się przy ogniu. Włożył stare spodnie, wymościł sobie na podłodze posłanie z brezentu z „Siriusa” i w pełni usatysfakcjonowany położył się. Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Obudził się z pianiem koguta Johna Lawrella. Ogień już tylko się żarzył, ale dało się go podsycić, dołożył więc do niego drewna i zrobił przegląd swojej spiżarni, wcale nie lepiej zaopatrzonej od innych na wyspie Norfolk. Większość zaopatrzenia jeszcze nie została wyładowana na brzeg. Jak zwykle najpierw na brzeg dotarły m m i ubrania, najmniej użyteczne, jego zdaniem. Miał jednak bochenek kukurydzianego chleba Aarona Davisa, upieczonego akurat z taką domieszką pszenicznej mąki, że nadawał się do zjedzenia, a w ogrodzie było pełno smacznych warzyw - kapusty, kalafiorów, rzeżuchy nad strumieniem, fasolki, pietruszki i sałaty, które rosły przez cały rok.

Nastał brzask i wkrótce weszło słońce. Podeszedł do łóżka, by spojrzeć na Kitty, która spała, zdawałoby się, bez ruchu. Leżała na plecach w przerobionej męskiej koszuli, którą podarowała mu Olivia Lucas, z odkrytymi ramionami i klatką piersiową. Teraz, kiedy spała, mógł się jej przyjrzeć bardziej obiektywnie aniżeli wtedy, gdy patrzyła na niego oczyma Williama Henry’ego. Jasne, cienkie, proste włosy, o których nie można było powiedzieć, że są koloru złota czy też lnu, jasne brwi i rzęsy, biała skóra lekko zaróżowiona, co pozwoliło przypuszczać, że nie wychodziła za często na górny pokład, raczej duży i krzywy nos, słodkie, różowe usta, które przypominały mu Mary, wydatny podbródek nad długą, cienką szyją i ładne ręce o zwężających się paznokciach.

Major Ross odprawiał nabożeństwo o ósmej i podobnie jak King - który wstawał o wiele później - nie tolerował nieobecności. Richard będzie musiał na nie iść, jej jednak, skoro nie została jeszcze wpisana do rejestru wyspy, nie zauważą. Narazić ją nie przygotowaną na spotkanie z Lizzie Lock? Nigdy! A zatem poszedł nad strumień się wykapać, włożył jedyne starannie przechowywane spodnie i pończochy, surdut, płaszcz, trójgromiasty kapelusz i jedną z dwóch pozostałych mu par butów. Ona zaś spała nadal. Zastanawiał się, czy zostawić jej notatkę, lecz doszedł do wniosku, że prawdopodobnie i tak nie umiała ani pisać, ani czytać. Wobec tego wyszedł w końcu, mając nadzieję, że nie obudzi się, dopóki on nie wróci za półtorej godziny.

- Jak się czuje Kitty? - zapytał Stephen, podchodząc do niego po nabożeństwie.

- Śpi jeszcze.

- Johnny przyniesie ci drugie łóżko dziś po południu, obawiam się jednak, że będziesz musiał wypchać materac i poduszkę sianem.

- Jesteś dla mnie bardzo dobry. - Zagwizdał na MacTavisha, który pogodził się z

obecnością obcej osoby w domu, wycofując się na zewnątrz, zanim go zobaczyła.

- Spróbuję załatwić ci dodatkowe zapasy, ale chyba będzie to musiało poczekać aż do jutra. Kochany Ralphie nie ma już kluczy do składów, a Freeman to twardy łajdak i dla nikogo nie ma zwyczaju zadawać sobie trudu.

- Aż nadto dobrze o tym wiem. Muszę już iść. Stephen poklepał go po ramieniu.

- Richard, kokosisz się jak stara kwoka.

- Bo mam teraz kurczaka - uśmiechnął się Richard. - MacTavish, chodź!

Poranek najwidoczniej odmienił serce psa, który wbiegł przez drzwi i wskoczył na łóżko Richarda, żeby polizać ramię Kitty obejmujące poduszkę. Obudziła się przerażona, spojrzała na wąsatą mordę psa i uśmiechnęła się.

- To - powiedział Richard, zdejmując kapelusz - jest MacTavish. Dobrze się czujesz, Kitty?

- Świetnie - powiedziała, próbując usiąść. - Czy jest już tak późno? Już byłeś poza domem.

- Nabożeństwo - wyjaśnił. - Wstań, zabiorę cię do mojej łaźni. Ziemia tam jest względnie miękka, więc nie poranisz sobie stóp. Jutro prawdopodobnie dostaniesz buty.

Poszła do wychodka, a następnie podreptała za nim do małego stawku w lesie, przy którym zostawił mydło i szmaciany ręcznik.

- Woda jest zimna, ale przyjemna, jak już się do niej wejdzie. Taka na wzór rzymski - wystarczająco głęboka, aby móc się w niej zanurzyć, ale nie na tyle, aby można było się w niej utopić. Jak skończysz, wróć do domu. Dam ci śniadanie, takie jakie mam. Pani Lucas przyjdzie tu później, aby zobaczyć, czego potrzebujesz, choć obawiam się, że nie będziesz miała niczego do ubrania poza więziennymi koszulami i okropnymi butami, bez obcasów i bez klamerek. Czy miałaś coś ładnego w swoim zawiniątku?

- Nie, tylko więzienne ubranie. - Zawahała się. - Kąpałam się wczoraj wieczorem. Czy muszę robić to i dziś rano?

Nadszedł czas, żeby uzgodnić pewne zasady. Richard zrobił groźną minę.

- Tutejszy klimat nie jest taki jak w Anglii i to też nie jest Anglia. Będziesz musiała pracować w ogrodzie, opiekować się świnią, wyszukiwać dla niej paszę z siekierą lub nosić kolby kukurydzy ze spichlerza. Będziesz się pocić, tak jak i ja się pocę. A zatem musisz się kąpać codziennie wieczorem po pracy. Dzisiaj powinnaś się umyć dwukrotnie, bo za jednym razem nie zmyjesz pozostałości po „Surprise”, zwłaszcza z włosów. Jeśli masz dzielić ze mną mój dom, wymagam, abyś była tak czysta jak mój dom i ja sam.

Pobladła.

- Ależ to jest na otwartym powietrzu! Ktoś może mnie zobaczyć!

- Nikt nie zakrada się na mój teren, a ta ziemia należy do mnie. Nie jestem człowiekiem, z którym inni chcieliby zadzierać.

I zostawił ją, żałując, że był w stosunku do niej taki ostry, ale zdecydował, że musiała poznać reguły.

Stawek skonstruowany był w szczególny sposób. Ze strumienia wiódł do niego kanał zamykany przez drewniane stawidło, a drugi, podobnie zabezpieczony, prowadził na dół do warzywnego ogrodu. Nie rozumiała przyczyn takiego rozwiązania, - nie tyle z powodu niedostatecznie wnikliwego umysłu, aby je zgłębić, ile raczej dlatego, że jak dotąd nie miała okazji zobaczyć zbyt wiele świata.

Poznawszy reguły zachowania i rozumiejąc, że Richard nie był osobą, której można nie słuchać, zdjęła koszulę i wskoczyła do wody, zanim jakikolwiek mężczyzna, który mógłby ją podglądać z zarośli, zdążyłby cokolwiek zobaczyć. Chłód wody zaparł jej dech w piersiach, lecz wkrótce uczucie to minęło, a takie zanurzenie się po szyję w wodzie okazało się bardzo przyjemne. Mogła swobodnie spłukać mydło z włosów, wyszorować porządnie skórę głowy, umyć się pod pachami i w pachwinach. Kiedy płacząc z bólu, przeczesła się gęstym grzebieniem, okazał się on nieomal czysty.

Wyjście z wody nie było trudne, bo na dnie stawku znajdował się kamienny blok służący za stopień. Ziemia wokoło porośnięta była rzeżuchą, pozwalając na utrzymanie nóg w czystości, dopóki nie wyschły, a szmata okazała się na tyle duża, że zakryła się nią, dopóki nie obeschła na tyle, by móc nałożyć bieliznę i sukienkę z więziennego przydziału, подарowaną jej przez panią Lucas, która razem z tymi wszystkimi ludźmi była na tym końcu świata już ponad dwa i pół roku.

Teraz, kiedy sama znalazła się na końcu świata, nie miała pojęcia, gdzie właściwie te krańce były. Wiedziała jedynie, że dopłynięcie do nich trwało nieomal cały rok, a statek zawijał po drodze do różnych portów, których prawie nie widziała. Kitty była jedną z tych dziewcząt, które się ukrywały, nie wychodziły na główny pokład i unikały zwracania na siebie uwagi członków załogi „Lady Juliany”. Przeżycia nie złamały jej serca tak jak tej biednej małej dziewczynie ze Szkocji, która zmarła ze wstydu, jeszcze zanim statek opuścił zacisze Tamizy. Kitty nie miała rodziców, których mogłaby zasmucić czy pohańbić, co - jak wywnioskowała z losów tej szkockiej dziewczyny - było miłosierdziem. Choroba również ją odizolowała. Żadnemu marynarzowi nie chciało się zadawać z dziewczyną, której ciągle

zbierało się na wymioty, nawet jeśli spodobałyby mu się jej oczy, które, jak dobrze wiedziała, były jej jedyną pretensją do urody.

Ubrana już i spokojna, że dom Richarda znajdował się w zasięgu głosu, rozglądała się wokół siebie ze zdziwieniem. Wyspa Norfolk w niczym nie przypominała ani Kent, ani też Port Jackson.

Kiedy „Lady Juliana” zawitała do Port Jackson, była tak przepełniona i powolna, że musiano ją od cyplów holować przez barkasy i zakotwiczo ją w sporej odległości od brzegu. Bardzo dziwne miejsce i jakże przerażające! Do burty statku podpłynęli w czólnie z kory jacyś nadzy, czarni ludzie i bełkotali coś, wymachując rękami i potrząsając dzidami akurat w momencie, gdy zdobyła się na odwagę, by wyjść na pokład. Uciekła więc z powrotem pod pokład i więcej stamtąd nie wychodziła. Niektóre z więźniarek - och, jakże je podziwiała! - wystroili się jak lalki w ubrania, które kapitan Aitken przechował im na czas podróży, i paradowały po pokładzie, wdzięcząc się, pewne swego przyjęcia po wylądowaniu na brzegu. Jaką one miały odwagę! Nie można było spędzić między nimi osiemnastu miesięcy, niezależnie od tego, jak się było zastraszonym czy chorym, bez zrozumienia, że każda z tych dwustu czterech kobiet na pokładzie była tak inna jak niebo i ziemia i że nawet najbardziej zatwardziałe prostytutki miały swoją godność i ambicję. O wiele większą od jej własnej.

Wyspa Norfolk też wzbudziła w niej przerażenie, które pewnie będzie już ostatnim, jeśli w niczym nie obrazi Richarda Morgana i Stephena Donovana. Przypominali jej trochę pana Nicola, stewarda na „Lady Julianie”, który miał dobre serce. Richard, jak zdołała już się zorientować, był silniejszy od Stephena. Obaj powiedzieli, że są wolnymi ludźmi, i obaj byli nadzorcami, jednak Richard ją onieśmielał, a Stephen pociągał. I choć nie potrafiła odgadnąć, jaki był jej los, w jaki sposób funkcjonowała ta osada i kto tym wszystkim kierował, wyczuwała, że decyzje, które jej dotyczyły, spoczywały raczej w gestii Richarda, a nie Stephena.

Była oszołomiona widokiem drzew, ale nie dostrzegła w nich piękna. Westchnąwszy głęboko, poszła bosą w stronę domu ścieżką wysypaną ogonkami sosen, które sprawiały wrażenie szorstkich i były bardziej niewygodne aniżeli kłujące. Kiedy wyszła zza sosen, ujrzała Richarda pracującego przy budowie czegoś po drugiej stronie ogrodu, z psem brykającym wokół niego, odzianego jedynie w brezentowe portki i cementującego rząd kamieni w ziemi. Jego ramiona i barki były potężne, a gładka brązowa skóra na plecach poruszała się niczym rzeka. Jej doświadczenie z na wpół ubranymi mężczyznami było raczej niewielkie. Kapitan Aitken domagał się, aby jego marynarze nosili koszule, bez względu na

to, jak było gorąco czy jak spokojne były wiatry. Aitken był bogobożnym człowiekiem, który dbał o swoje więźniarki z chrześcijańską bezstronnością, lecz również na tyle rozsądnym, że nie zabraniał załodze, ani też samemu sobie, dostępu do swego towaru. Przysłuchując się bardziej zuchwałym i sprośnym kobietom, poznała męską anatomię, z radością opowiadały bowiem o atrybutach i miłosnych talentach swoich kochanków i pogardały dziewczynami podobnymi do Catherine Clark i Annie Bryants, uważając je za pensjonarki. Londyńskie więzienie Newgate wymazała z pamięci. Jej hańba była wówczas zbyt świeża, aby mogła pozbyć się szoku i strachu. Siedziała skulona z ukrytą twarzą, w kącie, i jadła tylko dlatego, że Betty Riley przynosiła jej jedzenie i wodę. W Port Jackson po raz pierwszy zobaczyła mężczyzn rozebranych do pasa, a niektórzy spośród nich mieli bardzo poranione plecy. I choć Richard Morgan był poprzedniej nocy bez koszuli, zapatrzona w Stephena nawet tego nie zauważyła.

Teraz widok Richarda wzbudził w niej strach, nie wywołując żadnej czułości czy kobiecych pragnień. To, co zobaczyła, upewniło ją jedynie w przekonaniu, że był mężczyzną, którego należało szanować i słuchać. Był również stary. Nie pomarszczony, tylko po prostu stary. Raczej od wewnątrz, aniżeli z wyglądu. Wydawał jej się jednak bardzo silny, przystojny i pełen wdzięku. Stephena Donovaną zobaczyła jednak wcześniej i poza nim niczego już nie widziała.

Stephen. Był jak marzenie - również silny, przystojny, pełen wdzięku, a do tego bardzo młody, beztroski, o promiennym spojrzeniu i uśmiechu. Kiedy pomagał jej wyjść na ląd, przekomarzał się zuchwale z niektórymi śmiałymi kobietami, ale odpowiadając na ich docinki i zaczepki, nie obrażał ich. Kitty nie przyszło nawet do głowy, że te bardziej znające się na rzeczy kobiety raz tylko spojrzawszy na niego, wiedziały, z kim mają do czynienia, nie miała bowiem pojęcia, że niektórzy wolą własną płęć. W anglikańskim przytułku w Canterbury, kolebce Kościoła anglikańskiego, raczej nie uczono o życiu. Woleli tam zadreć dzieci i wpajać im zwyczaj dobrej pracy - co udawało się najskuteczniej, kiedy jeszcze były małe - a następnie wysyłać w świat, aby pracowały na życie jako nędznie zarabiające służące, przekonane o swoim całkowitym braku wartości i zupełnie nieświadome tego, co działo się w otaczającym je świecie. Niepiśmienne, nie umiejące liczyć, nieistotne. Oczywiście Kitty słyszała w obu więzieniach określenia takie jak pedał czy „panna Molly”, lecz nie rozumiała ich znaczenia i przelatywały jej mimo uszu. Fakt, że niektóre spośród kobiet przebywających obok niej na „Lady Julianie” również należały do ludzi, którzy wolą własną płęć, także do niej nie docierał.

Stephen, Stephen, Stephen... Och, dlaczego to nie on ją odnalazł? Czemu to nie jego

dom stał się jej schronieniem? I czego chciał od niej ten Richard?

Richard wyprostował się i nałożył koszulę.

- Czy kąpiel była taka zła?

- Nie, proszę pana, była bardzo przyjemna.

- Richard. Mów do mnie po prostu Richard.

- To wbrew naturze - odparła. - Jest pan w takim wieku, że mógłby mi pan być ojcem.

Po raz pierwszy odkryła w Richardzie cechę, którą potem odnajdywała w nim nieustannie - żadnej zmiany w wyrazie twarzy, brak jakiegokolwiek ruchu rąk czy ciała, żadnej zmiany w oczach, a jednak coś się z nim działo, następowała jakaś tajemnicza, niewidoczna reakcja.

- Owszem, mam już tyle lat, że mógłbym być twoim ojcem, lecz mimo to jestem dla ciebie po prostu Richardem. Nie dbamy tu o pozory, mamy ważniejsze sprawy na głowie. Nie jestem jednym z twoich dozorców, Kitty. Owszem, jestem wolnym człowiekiem, ale do niedawna byłem skazańcem, tak jak i ty. Jedynie dzięki dobrej pracy i odrobinie szczęścia zostałem ulaskawiony. - Posadził ją przy stole i dał chleb kukurydziany z rzeżuchą i sałatą.

- Czy Stephen również był skazańcem? - wymamrotała, głodna jak wilk.

- Nie, nigdy. Stephen jest oficerem w marynarce.

- Czy długo jesteście przyjaciółmi?

- Przynajmniej przez całą wieczność. - Wetknąwszy koszulę w spodnie, usiadł i nerwowo przebiegł palcami po swych krótko przystrzyżonych włosach. - Wiesz może, dlaczego cię tu wysłano?

- A cóż tu można wiedzieć? - zapytała zdziwiona. - Kazali mi pracować, dopóki nie odsiedzę mojego wyroku. Tak przynajmniej stwierdził sędzia na mojej rozprawie. Od tego czasu nikt o tym nie wspominał.

- Czy nigdy nie zastanawiałaś się, dlaczego wsadzono cię na pokład statku wraz z dwustoma innymi kobietami i wysłano na odległość siedemnastu tysięcy mil od domu, abyś odpracowała tam swój wyrok? Czy nie wydaje ci się to dziwne, że wysłano cię do miejsca, w którym nie ma przytułków i fabryk?

Gdy sięgała po następny kawałek chleba, ręka opadła jej bezwładnie na kolana. Oczy otworzyły się teraz szerzej i okazało się, że tylko częściowo przypominają oczy Williama Henry'ego - jego osadzone były umazany w sadzy kciukiem, jej kryształowo czystym.

- Oczywiście - odparła powoli. - Oczywiście. Och, jaka ze mnie idiotka! Tylko że byłam taka chora, a przedtem tak przerażona i zagubiona. Na krańcach świata nie ma przecież przytułków i fabryk. Nie ma do haftowania kamizelek dla jaśnie panów. Tym właśnie

zajmowałam się w przytułku w Canterbury. Czy chcesz przez to powiedzieć, że wysłano nas tutaj, abyśmy zostały żonami skazańców?

Zacisnął usta.

- Uczciwiej będzie powiedzieć, że zostałyście tu wysłane z wyrachowania. Nie będę udawał, że znam oficjalne przyczyny, dla których zdecydowano się na ten eksperyment, poza tym, że usunięto z Anglii sporą liczbę ludzi, którzy w przeciwnym razie mogliby stanowić siłę, z jaką należałoby się liczyć. Dochodziło do buntów, ludzie nie mający nic do stracenia uciekali, jednak mało kogo w Anglii obchodzi, czy tu, na końcu świata, ludzie buntują się i uciekają. Oni nie zagrażają Anglii.

Jedynymi ludźmi, których należy tu chronić, są więzienni strażnicy, ich żony i dzieci.

- Przerwał i utkwiał w niej wzrok. - Mężczyźni bez kobiet staczają się do poziomu bestii. A zatem kobiety są częścią tego wielkiego eksperymentu, co z kolei oznacza zamienianie krańców świata w jedno ogromne angielskie więzienie. Przynajmniej ja doszedłem do takiego wniosku.

Zmarszczywszy czoło, słuchała tego, co mówił, próbując to zrozumieć. Mówił, że jedynym powodem, dla którego ją tu przywieziono, było zaspokajanie mężczyzn.

- Jesteśmy więc waszymi kurwami - stwierdziła. - Czy to dlatego załoga na „Lady Julianie” tak nas nazywała? Zawsze się zastanawiałam, czy oni myślą, że wszystkie zostałyśmy skazane za prostytutkę, i dziwiło mnie to. Większość z nas sądzono za kradzież lub posiadanie skradzionych dóbr lub zaatakowanie kogoś nożem. To żadna zbrodnia być prostytutką, jak utrzymywały niektóre kobiety. Wściekały się jednak, kiedy tak je nazywano. Ale załozie chodziło o to, że dopiero później miałyśmy nimi zostać. Czyż nie tak?

Spojrzał na sufit i westchnął.

- No cóż - uśmiechnął się do niej z przymusem. - Gdyby żyła moja córka, byłaby mniej więcej w twoim wieku. I byłaby równie naiwna, gdyż jako dobry ojciec dopilnowałbym, aby tak było. Jaka jest twoja sytuacja, Kitty? Kim są twoi rodzice?

- Mój ojciec był dzierżawcą w Faversham - odpowiedziała z dumą, unosząc podbródek. - Moja matka zmarła, kiedy miałam dwa lata, i ojciec zatrudnił gospodynię, żeby się mną opiekowała. Umarł, kiedy miałam pięć lat. Farma wróciła do majątku, ponieważ ojciec nie miał dziedzica. Mnie oddano do parafii, a parafia wysłała mnie do Canterbury.

- Byłaś jedynym dzieckiem?

- Tak. Gdyby papa nie zmarł, nauczyłby mnie pisać i czytać i wychowałby mnie tak, abym mogła zostać żoną farmera.

- Zamiast tego wysłano cię do przytułku, gdzie nigdy nie nauczono cię pisać i czytać -

powiedział cicho Richard.

- No właśnie. Mam sprawne ręce i dobre oczy, więc zatrudniono mnie do wyszywania. Ale to nie trwa wiecznie. Jest to za drobna robota dla dorosłych rąk. Trzymano mnie tam, dopóki nie skończyłam siedemnastu lat, kiedy nagle wyrosłam. Wysłali mnie wobec tego do majątku w St. Paul Deptford w charakterze pomocnicy kucharki. Dopóki... dopóki mnie nie zaaresztowano. Trzy miesiące. - A w jaki sposób doszło do twego aresztowania?

- Na dworze były cztery służące pracujące na dole - Betty, Annie, Mary i ja. Mary i ja byłyśmy w tym samym wieku. Annie miała szesnaście lat, a Betty dwadzieścia pięć. Pan i pani zostali nagle wezwani do Londynu, a pan i pani Hobs upili się porto. Kucharka zamknęła się na poddaszu. Betty miała wtedy urodziny i powiedziała, że powinnyśmy przejść się po sklepach. Nigdy przedtem nie chodziłam do sklepów.

„Och, to było okropne! Siedział tu niczym kierownik przytułku, uosobienie wieku i autorytetu, słuchając tej głupiej historii z pozbawioną wyrazu twarzą. To była przecież taka głupia historia, zbyt głupia, żeby można było opowiedzieć ją na rozprawie sądu objazdowego w Kent, gdyby ktokolwiek kazał jej wtedy ją opowiedzieć. Ale nikt jej nie kazał”.

- Czy nigdy nie wychodziłaś poza przytułek, Kitty?

- Nie, nigdy.

- Ale musiałaś przecież od czasu do czasu mieć jakieś wolne dni, kiedy pracowałaś w St. Paul Deptford.

- Raz w tygodniu dawano mi pół dnia wolnego, ale nigdy razem z którąś z pozostałych dziewczyn, więc zazwyczaj wychodziłam na spacer po polach. W dniu urodzin Betty też wolałam iść na pola, ale ona wyśmiała mnie, nazywając wieśniaczką, bo jeszcze nigdy nie byłam w sklepie, więc poszłam z nimi.

- I coś cię w sklepie skusiło? Czy tak? Tak do tego doszło?

- Przypuszczam, że tak właśnie musiało być - powiedziała niepewnie. - Betty wzięła ze sobą butelkę jałowcówki i piłyśmy ją po drodze. Nie pamiętam tych sklepów ani też kiedy do nich weszłyśmy. Pamiętam tylko krzyk mężczyzn i aresztujących nas komorników.

- A co takiego ukradłaś?

- W jednym sklepie muślin, jak powiedzieli na rozprawie, i płótno w kratkę w drugim. Nie wiem nawet, dlaczego to ukradłyśmy. Sukienki, które miałyśmy na sobie, były z tego samego materiału. Cztery szylingi i sześć pensów za dziesięć jardów muślinu, jak orzekł sędzia, choć właściciel sklepu wrzeszczał, że warty był trzy gwinee. O kradzieży lnu nas nie oskarżyli.

- Czy miałaś zwyczaj popijać jałowcówkę?

- Nie. Nigdy wcześniej nawet jej nie kosztowałam. Mary i Annie też nie. -
Wzdrygnęła się. - Teraz wiem już na pewno, że nigdy więcej nie będę tego pić.

- Czy wszystkie zostałyście skazane na zesłanie?

- Tak, na siedem lat. Wszystkie znalazłyśmy się na „Lady Julianie” zaraz po zakończeniu sesji sądu objazdowego. Przypuszczam, że one też gdzieś tu są. Ciągłe jednak chorowałam na chorobę morską. Każdy traci do mnie cierpliwość, więc nawet na mnie nie czekali. A na „Surprise” było ciemno.

Wstał nagle i obszedł stół dookoła, położył jej rękę na ramieniu i lekko poklepał.

- W porządku, Kitty, nie będziemy już więcej o tym mówić. Jesteś dzieckiem, bo tylko angielska parafialna organizacja charytatywna potrafi uczynić z młodej kobiety dziecko.

MacTavish wskoczył do środka, pożywiwszy się na śniadanie dwoma tłustymi, młodymi szczurami. Poklepawszy ją, Richard uczynił to samo z psem i znowu usiadł.

- Nadszedł czas, żebyś dorosła, Catherine Clark. Nie w celu utraty swej niewinności, ale po to, żeby ją zachować. Nie ma tu żadnych dworów ani przytułków, wiesz już o tym. Gdybyś została w Port Jackson, odesłano by cię do obozu dla kobiet, lecz komendant na wyspie Norfolk, major Ross, nie chce oddzielać kobiet od reszty. I ma rację, prowadzi to bowiem do jeszcze większych problemów. Każda z was, która przybyła tu na „Surprise”, ma być zabrana przez mężczyzn, którzy mają dom lub chatę, choć niektóre pójdą do domów takich jak ten należący do pani Lucas, aby tam pomóc w obowiązkach domowych i przy dzieciach, inne jako służące i do towarzystwa oficerów i żołnierzy, a jeszcze inne zostaną oddane załodze „Siriusa”.

Pobladała.

- A ja jestem twoja - stwierdziła. Uśmiech jego był bardzo pocieszający.

- Nie jestem gwałcicielem, Kitty. Nie zamierzam też narzucać ci się w żaden sposób. Zostaniesz moją służącą. Gdy tylko będzie to możliwe, dobuduję do tego domu pokój, aby każdemu z nas dać możliwość odosobnienia. W zamian proszę jedynie, abyś wykonywała wszystkie prace, które potrafisz. Wznoszę tam chlew dla świni, którą podaruje mi major Ross, i jednym z twoich obowiązków będzie zajmowanie się nią. Jak również domem, kurami - kiedy je dostaniemy - i ogrodem warzywnym. Mam człowieka, Johna Lawrella, który pilnuje mojego zboża i wykonuje cięższą pracę. Tutejsza społeczność będzie uważała, że należysz do mnie, co zapewni ci dostateczną ochronę.

- Czy nie mam żadnego wyboru? - spytała. - A gdybyś miała, to gdzie byś wolała być?

- Wolałabym być służącą Stephena - odparła po prostu. Żadna zmiana nie pojawiła się ani na jego twarzy, ani w oczach, choć wiedziała, że w środku coś się z nim stało. Powiedział

zwyczajnym tonem:

- To niemożliwe, Kitty. Niech ci się nie marzy Stephen.

Reszta dnia szybko minęła, gdy pani Lucas przyszła z wizytą nieco zadyszana.

- Wpadam - oznajmiła, opadając na krzesło - gdy tylko mój Nat powiesi spodnie na kołku. Jak dotąd dwójka i trzecie jest już w drodze.

- Czy ta dwójka to chłopcy czy dziewczynki? - spytała Kitty, preferująca raczej takie rozmowy aniżeli na poważne tematy, które wybrał Richard.

- Bliźniaczki mają już rok, to Mary i Sarah. To noszę inaczej, więc spodziewam się, że będzie chłopiec - zaczęła wachlować się domowej roboty kapeluszem. - Richard mówi, że wspomniałaś mu o młodej dziewczynie, zwanej Annie, która gdzieś tu jest lub też ma tu wylądować. Chcę wziąć ją do pomocy, jeśli zdołam się do niej pierwsza dostać. To znaczy, jeśli, tak jak sądzisz, byłaby szczęśliwsza raczej na łonie rodziny aniżeli z mężczyzną.

- O, tego jestem pewna, pani Lucas. Annie jest podobna do mnie. Duże, brązowe oczy zwęziły się. „A zatem, Richardzie, to tak się rzeczy mają, co? Stephen powiedział mi, że zakochałeś się po uszy, i myślałam, że dzisiaj zobaczę cię w końcu szczęśliwego. Jaka kobieta mogłaby być na tyle głupia, żeby odtrącić takiego mężczyznę jak ty? Lecz oto ona, nawet nie kobieta, głupiutka dziewczyna i do tego dziewica. Myślałbyś, że więzienie i transport sprawią, że szybko dorosną, ale widziałam już takie jak Kitty. Jakoś udaje im się uniknąć zepsucia, głównie dlatego, że zachowują się jak myszy. W Port Jackson umierały pierwsze, lecz na wyspie Norfolk udaje im się przetrwać, aby w końcu pojąć to, czego nie nauczyło ich ani więzienie, ani rok na statku - że każda więźniarka może liczyć najwyżej na to, że trafi na dobrego, porządnego mężczyznę. Takiego jak ten mój Nat. I takiego jak Richard Morgan”.

Odsunąwszy od siebie te myśli, Olivia Lucas zaczęła pouczać Kitty w kobiecych sprawach oraz o tym, jak się powinna zachowywać w tym miejscu, w którym było zbyt wielu mężczyzn.

Rozmowę przerwało im przybycie Stephena i Johnny'ego Livingstone'a, którzy przynieśli łożko. Olivia rzuciła jakąś wymówkę i pospieszyła z powrotem do domu, pozostawiając trzech mężczyzn i Kitty przy wspólnym niedzielnym obiedzie, przygotowanym naprędce ze wspólnych zasobów - gotowanego na kawałku solonej wołowiny grochu, dania z ryżu i cebuli, kukurydzianego chleba i deseru z bananów z drzew Richarda, z których parę miało ten dziwny zwyczaj rodzenia wczesnie różnorakiego kształtu owoców.

Kitty siedziała i przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, zdając sobie nagle sprawę z tego, że w całym swym życiu nie miała sposobności być świadkiem męskich rozmów. Pół

godziny wystarczyło, aby poczuła się nikim, tak niewielką posiadała wiedzę! No cóż, słuchanie i zapamiętywanie było formą uczenia się, a ona zdecydowanie postanowiła się uczyć. Nie plotkowali tak jak kobiety, choć śmiali się serdecznie z jakiejś historii, którą Johnny - jaki on był piękny! - opowiadał o majorze Rossie i kapitanie Hunterze, najwyraźniej poważnie skłóconych. Większość rozmowy dotyczyła problemów związanych z konstrukcją, dyscypliną, drewnem, kamieniami, wapnem, robactwem, narzędziami i uprawą zboża.

Stephen, jak zauważyła, lubił kontakt fizyczny. Kiedy przechodził obok Richarda lub Johnny'ego, kładł im rękę na ramionach lub plecach, a raz dla żartu zmierzwił Richardowi jego krótkie włosy dokładnie w ten sam sposób, w jaki czochrał sierść MacTavisha. Jej samej jednak unikał, obchodził szerokim łukiem jej krzesło i nigdy nie próbował wciągać jej do rozmowy. Zresztą tamci dwaj również.

„Wydaje mi się, że o mnie zapomniano. Żaden z nich nie patrzy na mnie tak, jak chciałabym, żeby patrzył na mnie Stephen, z czułą miłością. Nawet jeśli już na mnie spojrzą, pośpiesznie odwracają wzrok. Dlaczego?”

Stephen zawsze podtrzymywał rozmowę, nie pozwalając, aby zapadła cisza. Richard, jak jej się zdawało, zazwyczaj brał większy udział w dyskusji aniżeli tego dnia. Dzisiaj odzywał się tylko wtedy, kiedy do niego mówiono, ale odpowiadał z roztargnieniem. Kiedy wstali, aby obejrzeć nowy chlew, Kitty zaczęła zbierać ze stołu te parę naczyń i porządkować to, co według niej mogła przesunąć, nie narażając się na kłopoty. Wówczas zrozumiała, że to jej obecność ich hamowała, a szczególnie krępowała Richarda.

„Nakaz komendanta, nalegającego, aby każda z nas została przyjęta przez mężczyznę będącego w posiadaniu domu czy chaty, pokrzyżował Richardowi szyki, a - prawdopodobnie również Stephenowi, skoro są takimi dobrymi przyjaciółmi. Ja się tu nie liczę. Jestem tylko zawadą. W przyszłości powinnam szukać wymówek, aby zostawiać ich samych”.

Tej nocy Richard miał już łóżko, skonstruowane w taki sam sposób jak jej, z drewnianą ramą połączoną plecioną siecią z lin. Kiedy kazał jej iść spać wkrótce po zapadnięciu zmroku, zabrał świeczkę i zaniósł do stołu, którego używał jako biurka, oparł książkę o pulpit i zaczął czytać. „Jakakolwiek zbrodnię popełnił - myślała sennie - to skończył szkołę i został wychowany na dżentelmena. Właściciel dworu St. Paul Deptford nie miał takich pięknych manier”.

W poniedziałek rano prawie nie widziała Richarda, który wkrótce po wschodzie słońca udał się do pracy w dołach trackich, przyszedł do domu na pośpieszny obiad z czegoś zimnego i przyniósł jej parę butów. Większość swej obiadowej przerwy spędził na budowie

chlewika, która postępowała bardzo szybko. Miał około dwudziestu stóp po obu stronach i zbudowany był z drewnianych pali, umieszczonych na warstwie kamieni.

- Świnie lubią ryć - wyjaśnił Richard w trakcie pracy - więc nie można ich zamykać tak jak owce czy bydło za zwykłym ogrodzeniem. I trzeba je osłaniać przed słońcem, mogą bowiem przegrzać się i zdechnąć. Ich odchody śmierdzą, lecz są to czyste stworzenia i obierają sobie tylko jeden kąt chlewu na wychodek. To ułatwia zbieranie gnoju, który jest bardzo dobrym nawozem.

- Czy będę musiała zbierać ten nawóz? - spytała.

- Owszem. - Podniósł głowę i uśmiechnął się. - A wtedy przekonasz się, że kąpiele są konieczne.

Wieczorem nie wrócił do domu. Z przypadającymi jej żywnościowymi racjami mogła robić, co chciała, powiedział jej. Był przyzwyczajony do dbania o siebie i zazwyczaj jadał ze Stephenem, który był zagorzałym kawalerem i nie chciał u siebie w domu kobiet. Grywali razem w szachy, a zatem po zapadnięciu zmroku miała iść do łóżka, nie czekając na niego i nie spodziewając się, że go zobaczy. Choć była taka naiwna, wydawało jej się to dziwne. Stephen wcale nie zachowywał się jak kawaler. Choć, prawdę mówiąc, nie miała pojęcia, jak zachowywali się zagorzali kawalerowie. Ten niedzielny obiad nauczył ją jednak, że mężczyźni lubili towarzystwo mężczyzn i obecność kobiet ich krępowała. We wtorek pojawił się żołnierz piechoty morskiej z wezwaniem, by stawiała się w Sydney, gdzie miała zidentyfikować mężczyznę, który ją molestował i ograbił. Widok z domu Richarda był ograniczony, więc rozpościerająca się przed nią szeroko Dolina Arthura zaskoczyła ją. Po obu stronach zielone zboże i kukurydza rosły na zboczach wzgórz oraz w samej dolinie, gdzieś na jej skraju znajdowały się nieliczne domy, kilka stodół i komórek oraz stawek, na którym pływały kaczki. A potem nagle weszła pomiędzy duże zgrupowanie drewnianych domów i chat, rozmieszczonych wzdłuż porządných, pozbawionych drzew ulic. Ciemnozielone bagno dzieliło je od większych budynków u stóp wzgórz. Przeszła obok domu Stephena Donovana, nawet go nie rozpoznając.

Dwóch wojskowych oficerów - nie rozróżniała marynarzy od piechoty morskiej - czekało na nią przed dużym dwupiętrowym budynkiem, który, jak się później dowiedziała, był wojskowym barakiem. Pstrokata grupa więźniów zebrała się nieopodal w szeregu, a oficerowie byli porządnie umundurowani aż po peruki i kapelusze. Wszyscy więźniowie mieli na sobie koszule.

- Panna Clark? - zapytał starszy oficer, przesywając ją na wskroś jasnoszarymi oczami.

- Tak, proszę pana - szepnęła w odpowiedzi.
- Trzynastego sierpnia zaczepił cię mężczyzna na drodze z Kaskad?
- Tak, proszę pana.
- Narzucił ci się i rozdarł ci sukienkę?
- Tak, proszę pana.
- Uciekłaś potem do lasu?
- Tak, proszę pana.
- A co potem ten mężczyzna zrobił?

Z płonącymi policzkami i szeroko otwartymi oczami powiedziała:

- Z początku myślał, żeby mnie gonić, ale potem usłyszał jakieś głosy. Zabrał mój tobołek i pościel i odszedł.
- Spędziłaś noc w lesie?
- Tak, proszę pana.

Major Ross zwrócił się do porucznika Ralpha Clarka, który usłyszawszy tę historię od Stephena Donovana i zweryfikowawszy ją potem z Richardem Morganem, ciekawy był, jak wyglądała ta jego imienniczka. Nie była kurwą, stwierdził z ulgą. Tak łagodna i dobrze ułożona jak panna Mary Branham, która wykorzystana przez jednego z marynarzy na „Lady Penrhyn”, urodziła w Port Jackson syna. Została wysłana wraz z dzieckiem do pracy w oficerskiej kantynie. Cudownie piękna, bardzo podobna do jego ukochanej Betsy. Teraz, kiedy wiedział już, że Betsy i mały Ralph byli bezpieczni w Anglii, a on miał już własny wygodny dom, łatwiej byłoby Mary zajmować się tylko jednym oficerem i jednym domem. Jej mały chłopczyk chodził już i rozrabiał co niemiara. Tak, zabierając Mary Branham do siebie, zrobi jej przysługę. Oczywiście nie wspomni o tym w swoim dzienniku, który pisany był dla oczu kochanej Betsy i nie mógł zawierać nic takiego, co mogłoby ją zaszokować lub zaniepokoić. Lekceważące uwagi na temat przeklętych prostytutek były dozwolone, ale aprobata jakiegokolwiek więźniarki zdecydowanie niedopuszczalna.

Dobrze, dobrze! Podjąwszy decyzję co do przyszłości swojej i Mary Branham, spojrzał pytająco na majora.

- Poruczniku Clark, niech pan poprowadzi pannę Clark wzdłuż tego szeregu, żeby zobaczyła, czy jest w nim przestępca - powiedział Ross, zebrawszy wszystkich więźniów, których kiedykolwiek karał.

Rozmawiając z nią uprzejmie, porucznik Clark poprowadził Kitty wzdłuż szeregu ponurych mężczyzn, a potem zabrał ją do swego zwierzchnika.

- Czy on tam jest? - warknął Ross.

- Tak, proszę pana.

- Gdzie?

Wskazała na mężczyznę o „podwójnych ustach”. Obaj oficerowie skinęli głowami.

- Dziękuję, panno Clark. Szeregowiec odprowadzi cię do domu. I to było wszystko.

Kitty uciekła.

- To Tom Jones Drugi - odparł szeregowiec.

- Pan Donovan powiedział, że będzie to właśnie on.

- Nie ma tu takiego, którego pan Donovan by nie znał.

- To bardzo miły człowiek.

- Aha, niezły, jak na pannę Molly. I to niejeden z tych pięknych polnych kwiatków.

Widziałem kiedyś, jak rozszarpał człowieka gołymi rękami, i to o wiele od siebie potężniejszego. Ten Donovan bywa naprawdę niebezpieczny, gdy się zdenerwuje.

- No właśnie - przyznała spokojnie.

I tak wróciła z szeregowcem do domu, zapomniawszy o Tomie Jonesie Drugim.

Richard nadal był nieobecny wieczorami - nie zawsze, jak się dowiedziała, dlatego, że grywał ze Stephenem w szachy. Przyjaźnił się też z Lucasem i kimś, kto nazywał się George Guest, z szeregowcem piechoty morskiej Danielem Stanfieldem i innymi. Kitty najbardziej bolało to, że żaden z jego przyjaciół nie prosił, aby mu towarzyszyła, co było potwierdzeniem jego słów, że została jego służącą. Miło byłoby mieć jedną czy dwie przyjaciółki, lecz o Betty i Mary nic nie wiedziała, a Annie rzeczywiście poszła do Lucasów. Spotkanie z pomocnikiem Richarda, Johnem Lawrellem, było ciężką próbą. Utkwił w niej z wściekłością wzrok i powiedział, żeby się nie wtrącała do jego drobiu czy poletka zboża.

A zatem, kiedy zauważyła kobiecą postać biegnącą żwawo ścieżką między jarzynami, Kitty była gotowa przywitać swego gościa najpromienniejszym z uśmiechów i najbardziej uprzejmym z ukłonów. Na „Lady Julianie” kobietę tę uznano by za dziwaczkę, była bowiem wytworna w wulgarny sposób. Miała czerwono - czarną suknię w paski, czerwony szal z długimi frędzlami przypominający jedwab, buty na wysokich obcasach i z błyszczącymi kłamrami oraz okropny czarny kapelusz, na którym kiwały się czerwone strusie pióra.

- Dzień dobry pani - odezwała się Kitty.

- I dzień dobry pani, panno Clark, bo o ile mi wiadomo, tak się pani nazywa - odparł gość, wchodząc zamasyżać do środka. Rozejrzała się tam trochę lękliwie. - On dobrze zna się na swojej pracy, co? - spytała. - I jeszcze więcej książek. Tylko czyta i czyta. To cały Richard.

- Niech pani usiądzie - zaprosiła Kitty, wskazując na krzesło.

- Równie porządne jak te, które ma major - stwierdziła ta czerwono - czarna osoba. - Zawsze zadziwia mnie, ile szczęścia ma ten Richard. Jest jak kot, który za każdym razem spada na cztery łapy. - Jej małe, czarne oczka zmierzyły Kitty od stóp do głów, a proste, gęste, czarne brwi skrzywiły się jej nad nosem. - Nigdy nie łudziłam się, że jestem kimś, na kogo warto popatrzeć - stwierdziła, zakończywszy inspekcję. - Ale przynajmniej potrafię się ubrać. A ty jesteś tak brzydka jak drzewce od dzidy, moja droga.

Kitty wpatrywała się w nią z otwartymi ustami.

- Słucham?

- Słyszałaś. Brzydka jak drzewce od dzidy.

- Kim pani jest?

- Ja jestem panią Richardową Morgan i co o tym sądzisz?

- Nic specjalnego - odparła Kitty, kiedy odzyskała oddech. - Miło mi panią poznać, pani Morgan.

- O Chryste! - wykrzyknęła pani Morgan. - O Jezu! Co ten Richard zamierza zrobić?

Kitty nie miała pojęcia, co też on zamierzał zrobić, toteż milczała.

- Nie jesteś jego kochanką?

- Och! Och... ależ oczywiście! - Kitty pokręciła głową z niepokojem. - Jaka ja jestem głupia. Nigdy nie pomyślałam...

- No właśnie, głupia to właściwe określenie. Więc nie jesteś jego kochanką?

Kitty wystawiła podbródek.

- Jestem jego służącą.

- Oho, ho!

- Jeśli pani jest panią Richardową Morgan - odparła Kitty, zbierając się na odwagę wobec drwin gościa - to dlaczego nie mieszka pani w jego domu? Gdyby tu pani mieszkała, niepotrzebna byłaby mu służąca.

- Nie mieszkam tu, bo nie chcę tu mieszkać - odparła pani Richardową Morgan wyniośle. - Jestem gospodynią majora Rossa.

- W takim razie nie powinnam pani zatrzymywać. Jestem pewna, że ma pani mnóstwo roboty.

Gość podniósł się natychmiast.

- Brzydka jak drzewce od dzidy! - powtórzyła, kierując się drobnymi kroczkami do drzwi.

- Być może jestem brzydka, pani Morgan, ale przynajmniej ciągle jeszcze pierwszej młodości! Chyba że pani jest również kochanką majora?

- Przeklęta suka!

I odeszła ścieżką, kołysząc piórami na kapeluszu.

Kiedy minął szok, wywołany raczej jej własną zuchwałością aniżeli zachowaniem i słowami pani Morgan, Kitty przeanalizowała to spotkanie bardziej obiektywnie. No cóż, dobrze po trzydziestce, a pod tym skandalicznym strojem tak brzydka jak to sama stwierdziła. I jeśli dobrze oceniła majora Rossa w trakcie swego jedyne z nim spotkania, kobieta ta nie była jego kochanką. Był bardzo wybrednym mężczyzną. Dlaczego zatem pani Morgan w ogóle tu przyszła? Zamykając oczy, Kitty przywołała w pamięci jej obraz i dostrzegła to, co przysłoniło jej zwykle zaskoczenie. Sporo bólu, gniewu i smutku. Świadoma swego patetycznego wyglądu, pani Morgan przedstawiła się uzurpatorce swego miejsca z wielkim pokazem wyniosłej agresji, która przysłańiała smutek i porzucenie. „Skąd ja to wiem? W każdym razie wiem, wiem na pewno. To nie ona go rzuciła. To on porzucił ją. Nie ma tu innego wyjaśnienia. Biedna kobieta”.

Dumna ze swoich detektywistycznych umiejętności, usiadła na łóżku w więziennej sukience i przy dogasającym ogniu w kominku czekała na powrót Richarda. Gdzież on chodził?

Dwie godziny po zapadnięciu zmroku ukazało się migocące światło jego pochodni. Tak jak zwykle wieczorami, zjadł coś naprędce w dole trackim i śpieszył do gorzelni, aby się upewnić, że wszystko było w porządku, osobiście zmierzyć ilość rumu i zapisać ją w swoich książkach. Wkrótce nadejdzie czas, żeby ją zamknąć. Liczba beczek i cukru malała. Instalacja powinna jednak wyprodukować około pięciu tysięcy galonów.

- Dlaczego jeszcze nie śpisz? - zapytał, zamykając drzwi i wrzucając kłodę do kominka. - I dlaczego drzwi były otwarte?

- Miałam dziś gościa - odpowiedziała znaczącym tonem.

- Czyżby?

Nie miał zamiaru pytać, kto nim był, co raczej psuło całą sprawę.

- Panią Richardową Morgan - odpowiedziała z miną niegrzecznego dziecka.

- Zastanawiałem się, kiedy się tu pokaże. - To wszystko, co powiedział.

- Czy nie jesteś ciekawy, co się potem stało?

- Nie. A teraz połóż się do łóżka i zaśnij.

Osunęła się na łóżko, zgaszona i zmęczona tak bardzo, że już sama pozycja horyzontalna wywołała natychmiastową senność.

- Wiem, że ją porzuciłeś - wymamrotała sennym głosem. - Biedna, biedna kobieta.

Richard poczekał, dopóki się nie upewnił, że zasnęła, a następnie przebrał się w

koszulę, którą miał na zmianę. Stos drewna na jej pokój rósł i w sobotę zacznie zwozić na swoich saniach głązy na jego podmurówkę. Za miesiąc będzie mógł się jej pozbyć przynajmniej z pokoju, w którym spał. Zrobi jej własne drzwi na zewnątrz i wyłodzi rygiel od Freemana, aby założyć go po swojej stronie przechodnich drzwi między pokojami. Wtedy będzie mógł wrócić do spania nago i odzyska poczucie, że jest właścicielem choć części samego siebie. Kitty. Urodzona w 1770 roku, w tym samym roku co mała Mary. „Jestem starym głupcem, a ona młodym”. Przyznając się do tego, zanim zmęczenie zamieniło się w sen, spojrzał jeszcze na wybrzuszenie, jakie jej postać czyniła na jego łóżku, cicha i nieruchoma. Kitty nie chrapała.

- Co to jest panna Molly? - zapytała nazajutrz, kiedy wrócił do domu na gorący południowy posiłek. Przetykał właśnie kawałek chleba, kiedy nagle zakrztusił się, zakaszłał i trzeba było poklepać go po plecach i podać mu wodę.

- Przepraszam - powiedział ze łzawiącymi oczyma. - Zapytaj jeszcze raz.

- Co to jest panna Molly?

- Nie mam zielonego pojęcia. Dlaczego pytasz? Czy to Lizzie coś ci powiedziała?

Tak? - Wyraz twarzy miał złowieszczy.

- Lizzie Lock?

- Pani Richardowa Morgan.

- To ona tak się nazywa? Jaka to dziwna kombinacja. Lizzie Lock. To ty ją porzuciłeś, prawda?

- Przede wszystkim należy zacząć od tego, że nigdy z nią nie byłem - odparł, odwracając jej uwagę od panien Molly.

Oczy jej błyszczały i iskrzyły, zdradzając zaciekawienie.

- Ale się z nią ożeniłeś.

- Owszem, w Port Jackson. Był to szlachetny impuls, którego gorzko od tego czasu żałuję.

- Rozumiem - odparła w taki sposób, jakby faktycznie rozumiała. - Wydaje mi się, że cierpisz na szlachetne impulsy, których potem żałujesz. Takie jak ja.

- Dlaczego miałabyś myśleć, że żałuję, że tu jesteś, Kitty?

- Wprowadziłam zamieszanie do twojego życia - odpowiedziała szczerze. - Nie wierzę, żeby naprawdę potrzebna była ci służąca, lecz major Ross zmusił cię do wzięcia jednej z nas. Nadarzyłam ci się, więc mnie zabrałeś. - Coś w jego oczach sprawiło, że zamilkła na chwilę, przechyliła głowę i przyjrzała mu się w zamyśleniu. - W twoim domu niczego nie brakowało - ciągnęła dalej drżącym głosem. - W twoim życiu też niczego nie

brakowało przed moim przybyciem.

W odpowiedzi powstał, aby odłożyć miszkę i łyżkę na ławę obok kominka.

- Nie - odpowiedział, odwracając się z uśmiechem, który chwycił ją za serce. - Życie też nie jest kompletne, dopóki nie umrzemy. Nie mam zwyczaju odmawiać przyjęcia podarunków od Boga, jeśli mi je daje.

- Kiedy wrócisz do domu? - zawołała za nim, gdy odchodził.

- Wcześniej. I ze Stephenem - odkrzyknął. - Wykop więc kartofle.

I takie było jej życie. Składało się z kopania kartofli.

Kitty kochała ogród i zajmowała się nim, gdy tylko ta nieszczęsna maciora dawała jej odrobinę wolnego czasu. Augusta przybyła już brzemienna za sprawą rządowego knura i miała nieokiełznany apetyt. Gdyby Kitty miała dość rozumu, aby się zastanowić, na czym polegało odpracowanie jej wyroku, zanim Richard ją na ten temat oświecił - ale ona nie była na tyle rozumna - nigdy by się nie domyśliła, że będzie musiała usługiwać takiemu złośliwemu czworonożnemu żarłokowi jak Augusta. Jako że Richard zawsze był nieobecny, sama musiała nauczyć się posługiwania siekierą i ścinania kapuścianych palm i drzewiastych paproci, odzierania ich ze skórki i karmienia Augusty mięszem, który ta natychmiast pożerała. Zwoziła kosze kukurydzy ze spichlerza, recytując zaklęcia farmerów z Kent nad ich własną kukurydzą, która bardzo ładnie wschodziła. Jeśli Augusta była taka nienażarta już teraz, to co będzie, kiedy zaczniesz karmić tuzin prosiąt?

Te trzy miesiące, w których pomagała w kuchni na dworze w St. Paul Deptford, okazały się nieocenione, bo choć nie pozwalano jej samej niczego gotować, jednak Kitty przyglądała się wszystkiemu z zainteresowaniem i przekonała się, że potrafi przygotować proste pożywienie z tego, co dostarczała wyspa Norfolk. Mleka nie było, wobec braku krów i tak niewielkiej liczby kóz, że wystarczało tylko dla dzieci i niemowląt. Świeże mięso należało teraz do rzadkości, bo nie było już ptaków z góry Pitt - choć Kitty zaledwie o nich słyszała, przyjechała bowiem za późno, żeby móc ich skosztować - była jednak różnorodność jarzyn, począwszy od zielonej fasolki w zimie, po kapustę i kalafiory. Richard zebrał niezłe plony włoskiego grochu, a wraz z przybyciem „Justiniana” codziennie był jakiś chleb. To, czego brakowało jej najbardziej, to filiżanki herbaty. Na „Lady Julianie” więźniarkom wydzielano zarówno cukier, jak i herbatę, choć niektóre z nich wołały wyłudzać od marynarzy rum. Większość jednak bardziej lubiła słodzoną herbatę. Była to nieomal jedyna rzecz, którą cierpiąca na chorobę morską Kitty mogła utrzymać w żołądku, i teraz bardzo jej tego brakowało.

Kiedy przyszedł Richard ze Stephenem, posiłek z gotowanych ziemniaków i solonej

wołowiny wraz z bochenkiem zaprawianego pszenicą chleba był już gotowy.

Weszli do domu objuczeni garnkami i pudełkami.

- Kapitan Anstis wystawił dzisiaj stragan na plaży - wyjaśnił Richard. - I było tam wszystko, co chciałem kupić. Otwarte kociołki, czajnik do gotowania wody, patelnie, małe garnuszki, cynowe naczynia i miski, cynowe talerze, kubki, noże i widelce, nie farbowany perkal, a nawet, kiedy o to zapytałem, szmerglowy piasek. Spójrz tylko, Kitty, kupiłem funt pieprzu Malabar oraz móżdziej do tłuczenia go. - Rzucił wysokie na jedną stopę pudło na ławę. - A tu masz puszkę zielonej herbaty, specjalnie dla ciebie.

Chwyciwszy się za policzki, patrzyła na niego ze łzami.

- Och, to ty pomyślałeś i o mnie?

- A dlaczego nie? - zapytał zdziwiony. - Wiedziałem, że brakuje ci tej filiżanki herbaty. Kupiłem też imbryk. Słodzenie jej nie będzie trudne. Utnę łądygę trzciny cukrowej i poszatkuje na małe kawałki. Będziesz musiała tylko rozgnieść je młotkiem, zagotować i zrobić z tego syrop.

- Ależ to wszystko musiało sporo kosztować! - wykrzyknęła przerażona.

- Richard jest bogaty, dziewczyno! - powiedział Stephen, odbierając Richardowi różne przedmioty, w miarę jak ściągał je z sań. - Muszę przyznać, że zadziwiająco ci się udało, mój przyjacielu, biorąc pod uwagę, z kim miałeś do czynienia. Nick Anstis jest realistą.

- Rzuciłem złotą monetą o stół - powiedział Richard, wchodząc do środka. - Anstis musi czekać na pieniądze, kiedy płacą mu w wekslach, a złoto to złoto. Nie miał nic przeciwko obniżeniu cen do jednej czwartej za monety królestwa.

- A ile ty właściwie masz tego złota?

- Wystarczająco dużo - odparł Richard spokojnie. - No bo widzisz, odziedziczyłem też po Ike'u Rogersie.

Stephen spojrział na niego z zaskoczeniem, jakby rażony piorunem.

- Czy to dlatego Richardson nie wysmagał Joeya Longa, kiedy porucznik King skazał go na sto batów za to, że zgubił jego najlepszą parę butów, należących do umundurowania królewskiej floty? O Chryste, ale ty jesteś tajemniczy, Richardzie! Musiałeś zapłacić Jamisonowi, aby utrzymywał, że stan umysłowy Joeya był za słaby, aby mógł wytrzymać całą chłostę. - O Chryste!

- Joey opiekował się Ikiem. A teraz ja czuwam nad Joeyem. Zasedli do stołu, by oddać sprawiedliwość posiłkowi. Cała trójka była za bardzo zmęczona, aby pogardzać tym banalnym jedzeniem, powtarzającym się nieustannie.

- Rozumiem, że byłeś przez cały dzień w Charlotte Field, więc może nie słyszałeś, co

się stało z napastnikiem Kitty - zwrócił się Stephen do Richarda, kiedy skończyli, a Kitty stała, szczęśliwa, myjąc ich miski i łyżki w nowej cynowej miednicy. Wreszcie koniec z wiadrem!

- Masz rację, nie słyszałem. Więc mi powiedz.

- Tommy'emu Drugiemu nie podobało się ani trochę, że go zaprzęgnięto do młyńskiego koła, więc zeszłej nocy dobrał się do kłódek w swoich łańcuchach i uciekł do lasu, bez wątplenia po to, żeby się przyłączyć do Graya.

- Umrą tam z głodu, teraz, kiedy nie ma już ptaków.

- Aha, też tak myślę. Skończy się na tym, że wrócą do młyńskiego koła.

Richard wstał, podobnie jak Stephen, położył ramię na plecach przyjaciela i prowadził go w stronę drzwi, poza zasięg słuchu.

- Mógłbyś poinformować majora, że przypuszczalnie zanoszą się na małą konspirację. Dyer, Francis, Peck i Pickett hodują gdzieś z dala od głównego traktu skradzioną trzcinę cukrową i cała czwórka węszy obok straganu Anstisa, wypytując o takie rzeczy jak miedziane kociołki i rurki.

- Dlaczego sam tego nie powiesz majorowi? To przecież ty jesteś zaangażowany w tego rodzaju działalność.

- Właśnie dlatego nie chcę być tym, który powiadomi majora. W takich sprawach jestem bardzo ostrożny. Gdybym to ja o tym powiedział, major mógłby - gdyby wśród więźniów i żołnierzy pojawił się nielegalny alkohol - pomyśleć, że wysłałem tę opowieść z palca, aby ukryć własną winę.

„O czym oni tak szepczą ze sobą?” - zastanawiała się Kitty, wycierając miski i łyżki szmatą i stawiając je na półce, zanim zabrała się do mycia nowych cynowych talerzy, kubków i sztućców. „O mój Boże, ja im rzeczywiście zawadzam!”

Choć jej świat nadal ograniczał się do działki Richarda, Kitty zbyt była zajęta, aby myśleć o zapuszczaniu się gdzieś dalej. Jedyne jej wycieczki do Sydney, poza uczestnictwem w nabożeństwach, to ta w związku z koniecznością identyfikacji swego napastnika. Nie było więc jak dotąd okazji rozejrzeć się po okolicy. Ale miała farmerską krew i tylko czekała na możliwość wykazania się. Richard nie mógł wybrać sobie lepszej kobiety od Kitty do takiego życia, jakie przyszło im wieść.

Ciągle słyszała rozmowy na temat robactwa i osiemnastego października pierwszy raz je zobaczyła. Zboże na działce Richarda miało już kłosa i rosło świetnie, lecz zboże rządowe, uprawiane na bardziej otwartych terenach doliny, smagały silne słońce wiatry i pokryło się

rdzą, choć z pewnością nie wszystkie plony zostały zniszczone. Był to suchy rok i ratowały ich jedynie sporadyczne obfite nocne deszcze, których ślady znikwały nad ranem. Być może dlatego robactwo nie pojawiło się tej zimy. A potem, ni stąd, ni zowąd, wydawało się, że wszystko, co tylko rosło, pokryło się ruchomym zielonym kocem - gąsienice te były jaskrawozielone, cienkie i długości około cala. I znowu Richard miał szczęście, gdyż Kitty nie bała się robactwa i tego, co wilo się i pełzało. Zbierała te stworzenia, nie czując obrzydzenia, choć roztwór tytoniu z mydłem był bardziej skuteczny. Wszystkie kobiety na wyspie, z wyjątkiem tych, które zajmowały się żołnierzami i obsługiwały doły trackie, zostały zatrudnione do zbierania i spryskiwania robactwa. Po trzech tygodniach robaki zniknęły. Wkrótce rozpoczną się zbiory kukurydzy, a wcześniej w grudniu nadejdzie czas na zboże. Choć zgodnie z nowym planem majora Rossa, wszystko, co ułaskawiony Richard hodował, należało teraz do niego, jednak bardzo skrupulatnie wysyłał wszelkie nadwyżki do magazynów, za co otrzymywał coraz więcej weksli. To, co zatrzymywał, było albo zjadane przez ludzi, albo przez Augustę, albo też przechowywane na nasiona.

Pogoda na wyspie Norfolk - rozmyślała niekiedy, motycząc lub opadając na kolana i wrywając chwasty rękami - była rzeczywiście rozkoszna. Kojąca, ciepła i nigdy za gorąca, jeśli nie przebywało się na słońcu. I właśnie kiedy wszystko zaczynało już więdnąć z powodu braku wody, nadchodził jeden z tych całonocnych deszczów, których ślady znikwały o świcie. Ziemia, krwistoczerwona i bardzo sypka, rodziła wszystko. Nie, wyspa Norfolk nie mogła konkurować w jej uczuciach z Kent, niemniej miała swoje magiczne cechy. Deszczowe noce, słoneczne dni, jak w bajce.

Niektóre z kobiet, które znała z „Lady Juliany”, przypadły w udziale przyjacielom Richarda. Aaron Davis, piekarz kolonii, przygarnął Mary Walker wraz z jej dzieckiem. George Guest wziął do siebie osiemnastoletnią Mary Bateman, którą Kitty znała bardzo dobrze i nawet lubiła, lecz wyczuwała w niej coś dziwnego, jakby zapowiedź przyszłego szaleństwa. Edward Risby i Ann Gibson byli już razem bardzo szczęśliwi i planowali się pobrać, gdy tylko osoba upoważniona do udzielania ślubów odwiedzi wyspę. Kobiety te wraz z Olivia Lucas odwiedziły ją - jak miło było jej, że mogła poczęstować je kubkiem herbaty z cukrem! Mary Bateman i Ann Gibson były w ciąży; Mary Walker, z której dzieckiem spacerowała Sarah Lee, również spodziewała się swego pierwszego dziecka z Aaronem Davisem. Jedynie Kitty była bezpłodna.

Ryb w ogóle nie było. Kuter z „Siriusa”, który mógłby wypłynąć poza obręb laguny na połów ryb, roztrzaskał się na kawałki, wysadzając na ląd sześć więźniarek z „Surprize”, w tym jedną z dzieckiem. Wioślarz zatonął, podobnie jak mężczyzna pływający im na pomoc.

Jedną z trzech kobiet, które przeżyły, była matka dziecka, które utonęło. A zatem owe sporadyczne połowy ryb, które rzadko udawały się łodzi rybackiej, były przeznaczane w całości dla oficerów i wojska, i ani marynarze z „Siriusa”, ani wyzwoleni więźniowie nie otrzymywali przypadających im przydziałów. „Justinian” przywiózł jednak rośliny, między innymi bambus, i Richardowi dano z niego mały kawałek, z którego miał wyhodować sobie kępkę roślin na przyszłe wędki na ryby. Linkami bez wędziska niczego nie dało się złapać ze skał.

W Charlotte Field wybuchła panika. W miejscu, gdzie wybiegi dla zwierząt otaczały płoty splecione z zeschniętych pnączy i gałązek ciernistych krzewów, jeden z płotów zapalił się przypadkowo i ogień objął dojrzałą kukurydzę. Z początku do Sydney dotarły wieści, że cała kukurydza poszła z dymem, lecz porucznik Clark, który pośpieszył tam biegiem, zdał raport szalejącemu majorowi, że dzięki ogromnemu wysiłkowi więźniarek, które stłumiły ogień, spłonęły tylko dwa akry. Porucznik Clark tak był wdzięczny tym przeklętym kurwom z Charlotte Field, że dał każdej z nich po parze nowych butów z rządowych magazynów.

D’arcy Wentworth miał się przenieść do Charlotte Field wraz ze swą kochanką, Catherine Crowley, i małym Williamem Charlesem, gdy tylko ukończona zostanie budowa jego domu. Miał zostać tam nadzorcą więźniów oraz lekarzem dla ludności Charlotte Field. Obowiązki związane z tym drugim stanowiskiem były różnorodne - od położnictwa po decydowanie o tym, kiedy chłostany więźniów nie wytrzyma więcej batów. Jeśli winowajcą była kobieta, Wentworth okazywał się zazwyczaj bardziej pobłażliwy, podczas gdy porucznik Clark, który pogardzał kobietami z Charlotte Field, specjalnie kazał Richardsonowi jeszcze mocniej przykładać im najgorszym z biczów.

Ku ogromnej radości Kitty zwiększyła się różnorodność jedzenia. Miała teraz doskonały kąt do gotowania, Richard umocował bowiem żelazną półkę wzdłuż trzech czwartych długości ogromnego kominka oraz ustawił rożen nad płomieniem wzdłuż pozostałej jednej trzeciej. Dostała przykrywane rondle do duszenia, otwarte do gotowania i podsmażania, patelnie do smażenia, a czajnik z dzióbkiem trzymała bez przerwy kipiący z tyłu na półce, tak aby móc w każdej chwili zrobić sobie i swoim gościom herbatę i dodać odrobinę wrzątku do miednicy do zmywania naczyń. Richard zrobił nawet coś, co służyło do oszczędzania mydła; był to druciany koszyczek umocowany na drucianej rączce, do którego mogła wkładać kawałek mydła i mieszać nim w wodzie bez obawy zgubienia go.

Richard powiedział ostro Johnowi Lawrellowi, że musi oddać kilka swoich kur i kaczek i w ten sposób Kitty powiększyła liczbę swoich podopiecznych i od czasu do czasu na specjalne okazje mogła dodać do jadłospisu jajka. Augusta urodziła dwanaście prosiąt i tylko

dwukrotnie przewróciła się na nie, przyduszając je. Była na tyle rozważna, że pozostawiła wszystkie sześć samiczek przy życiu, jak również dwa samce, które Richard przeznaczył na pieczeń na Boże Narodzenie. Produkcja świń należała wyłącznie do nich. Jeśli któryś z hodowców zamierzał sprzedać wieprzowinę do magazynów, on lub ona - Ross nie czynił tu żadnych płciowych różnic - otrzymywał za to zapłatę. Jeśli zaś ktoś pragnął wieprzowinę zasolić, otrzymywał do tego celu sól i beczkę. Zamiarem Rossa, zgodnie z tym, co powiedział na samym początku, było uniezależnienie się więźniów od magazynów rządowych. Ludzie tacy jak Aaron Davis, Dick Phillimore, Nat Lucas, George Guest, John Mortimer, Ed Risby i Richard Morgan udowodnili, że plan Rossa mógł się zakończyć sukcesem.

Główne problemy majora wiązały się z żołnierzami i marynarzami z „Siriusa”, którzy odmówili brudzenia sobie rąk hodowlą jarzyn i innych świeżych produktów, domagając się wszystkiego z magazynów. Jeśli magazyny nie zaspokajały ich potrzeb, skłonni byli do kradzieży jarzyn, melonów i drobiu więźniów, które to wykroczenie Ross karał równie surowo, jak gdyby kradzieży dopuszczali się ci ostatni. Niezadowolenie tych wolnych ludzi wzrastało i coraz częściej rzucali w stronę skazańców ponure spojrzenia, wszyscy bowiem byli absolutnie przekonani, że żadnemu z nich nie powinno się pozwolić na zachowanie owoców pracy, że każdy kęs, który więźniowie wyhodowali, należał się im samym i ich przede wszystkim powinien wyżywić, a nie resztę skazańców. Dlaczegoż mieliby się trudzić, skoro tylu więźniów hodowało wystarczająco dużo żywności, by móc ich wszystkich wyżywić? Skazańcy byli w końcu własnością Jego Wysokości Króla, bez praw do posiadania czy zatrzymywania czegokolwiek. Więźniowie nie mieli żadnych praw, a zatem co major Ross sobie wyobrażał? Fakt, że zastępca gubernatora ściągał dwie trzecie z wyprodukowanych przez więźniów płodów na rzecz magazynów, był wygodnie pomijany. Tylko ludzie ułaskawieni mogli zachować wszystko dla siebie.

Dzień Bożego Narodzenia, wypadający w sobotę, zaświtał piękny i pogodny, choć silnie wiało z południa i wzburzone morze z hukiem wlewało się do zatoki Sydney. Richard zabił swoje dwa młodziotkie knury, Nat Lucas dwie gęsi, George Guest trzy tłuste kaczki, Ed Risby cztery kurczaki, a Aaron Davis upiekł pszenney chleb z mąki zmielonej z ziarna stanowiącego nadwyżkę, którą wyhodowali ponad rządowe wymogi. Zorganizowali sobie piknik w cieniu, pod osłoną sosen, nieopodal cypla Point Hunter, wraz ze Stephenem Donovanem, Johnnym Livingstone'em oraz D'arcym Wentworthem i jego rodziną. Wieprzowina i drób obracały się na rożnie, które D'arcy zarekwirował z kuźni. Stephen i Johnny dołożyli dziesięć butelek porto, tak aby wszyscy mężczyźni i kobiety mogli uraczyć

się półkwatrką trunku na osobę.

Major oficjalnie oświadczył, że z wyjątkiem cienkusza, miały to być suche święta dla skazańców, a żołnierzom kazano pić swoje pół kwarty nie na oczach więźniów. King z różnych uroczystych okazji zawsze dawał więźniom rum, Ross jednak nie miał zamiaru postępować tak samo, zwłaszcza po odkryciu, co Dyer, Francis i ich towarzysze planowali zrobić ze swoją trzcina cukrową.

Dla Kitty był to najszczęśliwszy dzień od czasu śmierci jej ojca. Rozłożono brezent z „Siriusa” dla kobiet, żeby sobie usiadły, wraz z poduszkami dla złagodzenia niewygody ciężarnych. Sosny nieco osłaniały ich przed wiatrem, a ojcowie zabrali swoje małe pociechy do Turtle Bay, aby tam się chlapały i budowały zamki z piasku, matki zaś swobodnie plotkowały. Kitty przyniosła swój czajnik, pragnąc poczęstować herbatą przyjaciółki, i postawiła go na osobnym ogniu. Mężczyźni, po zakończeniu zabaw nad wodą, odsunęli się nieco dalej i przykucnęli, aby coś przedyskutować, w czasie gdy kobiety zajmowały się pilnowaniem różni, krojeniem do miski sałaty, selera, surowych cebul i fasoli oraz zagrzebywaniem ziemniaków w popiele. Około drugiej po południu zasiedli do uczyty, a mężczyźni przyłączyli się do kobiet, wznosząc toast za Jego Brytyjską Wysokość. Później rozłożyli się do poobiedniej drzemki, z dziećmi tulącymi się do nich.

„Wszyscy zachowują się tu tak swobodnie” - pomyślała Kitty. „To tylko dzięki temu, co wspólnie przeżyli, i tym wszystkim trudnościom”. Dojrzała już na tyle, aby to zrozumieć. „Jesteśmy nowym rodzajem Anglików i na to, co ze sobą zrobimy, zawsze będzie miał wpływ fakt, że zostaliśmy tu wysłani jako niechciani przez tych, którzy uważali się za lepszych od nas. Lepszych, którzy wcale od nas lepszymi nie byli, lecz raczej widzieli tylko czubek własnego nosa”. Ni stąd, ni zowąd przyszło jej na myśl, że żaden z tych skazańców nie wróci już do Anglii. Stracili do Anglii szacunek. To miejsce stało się ich domem.

A co będzie z nią? Nigdy przedtem nie była na żadnym wybrzeżu, a teraz siedziała, obejmując ramionami kolana, podparwszy na nich podbródek i przyglądała się rafie, niewidocznej pod spienionymi bałwanami i wodnym pyłem. Choć to widowiskowe piękno nie uszło jej uwagi, jednak nie pociągało jej tak bardzo. W głębi duszy uważała, że prawdziwe piękno pozostało w Faversham, w porządnym kamiennym domu o wystających, kwatrowych oknach i kaskadach różowych i białych róż, lwipyszczków, lewkonii, bratków, orlików, naparstnic, przebiśniegów i żonkili - w jabłkowych sadach, jesionach, dębach, w zielonych łąkach, w puszystych owcach, brzożach i bukach. Och, ten zapach kwiatów w ogrodzie ojca! Ten spokojny, marzycielski charakter, który cechował wszelką ludzką działalność i dążenia. Typowe dla wyspy Norfolk piękno było zbyt obce, zbyt nieokiełznane,

co sprawiało, że ludzie byli tu tacy pokorni i przytłoczeni. Podczas gdy tam, w ojczyźnie, wszyscy byli ważni i wartościowi.

Podniosła wzrok i widząc utkwione w sobie oczy Stephena, spłonęła rumieńcem. Najwidoczniej zaskoczony, przeniósł spojrzenie na rafę. „Och, Stephenie! Dlaczego nie możesz mnie pokochać? Gdybyś mnie kochał, Richard pozwoliłby mi odejść - wiem, że by mi pozwolił. Nie jestem w centrum jego życia. Dał mi własny pokój i zamyka drzwi między nami na skobel, nie dlatego, że wodzę go na pokuszenie, bo wówczas zasuwa byłaby po mojej stronie drzwi. To dlatego, żeby odsunąć mnie od swojego domu, aby udawać, że mnie tam nie ma. Stephen, dlaczego ty mnie nie kochasz, skoro ja tak jestem w tobie zakochana? Chcę pokryć całą twą twarz pocałunkami, wziąć ją w dłonie i uśmiechnąć ci się w oczy, zobaczyć miłość płonącą w ich błękitach niczym słońce nad wyspą Norfolk. Dlaczego nie chcesz mnie pokochać?”

Gdy słońce przestało grzać, a dzieci były już tak zmęczone, że zaczęły marudzić, wszyscy postanowili się pakować. W drodze do domu kolejne rodziny powoli odchodziły. Richard i Kitty wracali, niosąc przypadające im resztki, a Nat i Olivia Lucas byli ostatnią parą, która najdłużej im towarzyszyła. Malutki synek Olivii, William, urodził się dopiero niedawno i jej dwie córeczki bliźniaczki były bardzo z niego dumne. Jacy to przemili ludzie!

- Podobały ci się te pierwsze święta na antypodach?

- Gdzie? Ależ tak, podobały mi się, naprawdę.

- Na antypodach. To właściwa nazwa określająca koniec świata - antypody. Pochodzi z greckiego i oznacza coś w rodzaju „stóp po przeciwnej stronie”.

Słońce zniknęło za wzgórzami na zachodzie i działka Richarda pograżyła się w głębokim, zimnym cieniu.

- Chcesz, żebym rozpałił ogień?

- Nie, wkrótce pójdę do łóżka - powiedziała ze smutkiem, rozmyślając o Stephenie, o tym, w jaki sposób odwrócił się od niej, odrzucając ją. Oczywiście wiedziała dlaczego - była brzydka niczym tyczka od dzidy, mimo że ku swojej ogromnej radości przybrała na wadze i miała wrażenie, że jej piersi stały się teraz równie ładne jak u większości kobiet; talię miała nadal wąską, a biodra odpowiednio szerokie.

- Zamknij oczy i nadstaw rękę, Kitty.

Posłuchawszy go, poczuła, jak kładzie na jej rękę coś małego i prostokątnego, i otworzyła oczy. Pudełeczko. Drżącymi palcami podważyła wieczko i zobaczyła, że zawiera złoty wisiołek.

- Richardzie!

- Wesołych świąt! - powiedział, uśmiechając się. Zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła policzek do jego policzka, a potem w ekstazie wdzięczności i przyjemności pocałowała go w usta. Przez moment stał nieruchomo, a potem objął ją w pasie rękami i odwzajemnił pocałunek, który zamienił to podziękowanie w coś zupełnie innego. Zbyt inteligentny na to, aby pomylić jej reakcję z czymś innym, niż była w rzeczywistości, zadowolił się delectowaniem się jej rozkosznie miękkimi ustami. Nie próbowała uciekać ani też nie protestowała; wręcz przeciwnie, przytuliła się do niego i pozwalała, aby pocałunek ten trwał dalej. Poczowała rozpalające się w niej drżące ciepło, zapomniała o Stephenie, by podążać w ślad za jego ustami, myśląc o tym - jeśli w takiej sytuacji można jeszcze myśleć - że ten jej pierwszy prawdziwy pocałunek jest bardzo egzotycznym i cudownym doznaniem i że Richard Morgan jest o wiele bardziej interesującym mężczyzną, aniżeli uprzednio myślała.

Nagle wypuścił ją i wyszedł na zewnątrz. Po chwili dobiegł ją dźwięk uderzeń siekiery. Kitty stała w miejscu, jakby zanurzona w poświacie, a potem przypomniała sobie o Stephenie i ogarnęło ją poczucie winy.

Jakże pocałunek Richarda mógł sprawić jej taką przyjemność, skoro kochała Stephena? Z oczyma pełnymi łez wycofała się do swego pokoju i usiadła na skraju łóżka, płacząc cicho.

Pudełko ze złotym wisiorkiem nadal trzymała w ręce... Kiedy obeschły jej łzy, wyciągnęła go i zapięła na szyi, postanowiwszy, że następnym razem przed kąpielą przyjrzy się swemu odbiciu w stawie. Jak to miło z jego strony! I czemu jakaś jej cząstka wołała, żeby Richard jej nie wypuścił?

Dnia szóstego lutego 1791 roku przybył w końcu na redę zaopatrzeniowiec „Supply”, przywożąc ze sobą list od gubernatora Phillipa, nakazujący całej załodze „Siriusa” wejść na jego pokład i powrócić do Port Jackson, lecz obiecujący tym, którzy chcieli wziąć ziemię i osiaść na wyspie Norfolk, że dostaną po sześćdziesiąt akrów na osobę i będą mogli powrócić tam następnym rejsiem „Supply”. Jedenaście miesięcy wygnania kapitana Huntera dobiegało końca, i to w samą porę. Zaczął bowiem pałać nienawiścią do wyspy Norfolk, której wspomnienie nigdy go nie opuściło i na której pobyt wpłynął na jego postępowanie w dalszej karierze. Nienawidził też majora Rossa i wszystkich cholernych żołnierzy. Wziął pod swoje skrzydła natomiast Johnny’ego Livingstone’a.

„Gorgon”, statek dostawczy z Anglii, którego spodziewano się już od kilku miesięcy, w ogóle nie przybył. Nie dopłynął tam też żaden inny okręt poza „Supply”, który dotarł dziewiętnastego listopada z Batawii, z niewielkimi zapasami mąki i ogromną ilością najmniej

lubianego przez wszystkich ryżu. Wynajęty statek „Waaksamheid” przyplłynął w ślad za nim z Batawii, docierając do Port Jackson siedemnastego grudnia, załadowany dodatkowymi tonami ryżu, a do tego herbatą, cukrem i holenderską jałowcówką dla oficerów; solone mięso, które przywiózł, okazało się gnijącą masą, składającą się głównie z kości.

Według porucznika Harry’ego Balia z „Supply”, jego ekscelencja zamierzał wynająć „Waaksamheida” do przewiezienia kapitana Huntera i załogi „Siriusa” do Anglii. Pragnąc pośpiesznie wrócić do Port Jackson, „Supply” odpłynął jedenastego lutego. Pośród tych, którzy byli na jego pokładzie, ale zamierzali powrócić jako osadnicy, było trzech ludzi z „Siriusa”, którzy pomagali strzec i prowadzić gorzelnię majora Rossa, obecnie zamkniętą. Zawartość beczulek leżakowała spokojnie w bezpiecznym miejscu. John Drummond zakochał się w Ann Read z „Lady Penrhyn”. Żyła ona z Neddym Perrottem i choć rozumiał, że nie może jej mieć, nie chciał wracać do Anglii. William Mitchell związał się z Susannah Hunt z „Lady Juliany” i oboje zamierzali pozostać w tej części świata. Peter Hibbs wpadł w sieci kolejnej dziewczyny z „Lady Juliany”, Mary Pardoe, która była „żoną” jednego z marynarzy i urodziła mu dziewczynkę pod koniec podróży, po czym łajdak porzucił ją i pozwolił, żeby odtransportowano ją na wyspę Norfolk.

Piętnastego kwietnia „Supply” powrócił. Pierwszym jego ładunkiem wysłanym na brzeg był oddział Korpusu Nowej Południowej Walii, specjalnie oddelegowany z Londynu do pilnowania tego wielkiego eksperymentu i zwolnienia żołnierzy, którzy chcieli powrócić do domu - choć każdy, kto kończył trzy lata służby mógł ponownie zaciągnąć się do korpusu, zamiast wracać do domu. Kapitan William Hill, porucznik Abbott, chorąży Prentice i dwudziestu jeden żołnierzy miało zastąpić tę samą liczbę wojskowych, tyle że bez czterech oficerów - trzech zamierzało odejść z własnej woli, a czwarty zmuszony przykrą koniecznością. Kapitan George Johnston zabierał swą kochankę Esther Abrahams i ich syna George’a do Port Jackson; uprzejmy porucznik Cresswell, odkrywca pozbawionego sosen Charlotte Field, wyjechał tak, jak przyjechał - sam; porucznik Kellow, tak ohydny i obmierzły w stosunku do swoich towarzyszy oficerów - wyjechał ze swoją kochanką, więźniarką Catherine Hart i jej dwoma synami, z których młodszy był również jego dzieckiem, a porucznik John Johnstone został wniesiony na pokład rozpaczliwie chory. Ze starej brygady pozostali jedynie major Ross, pierwszy oficer Clark i drugi oficer Faddy. No i oczywiście drugi oficer Mały John Ross.

„Supply” przywiózł także dwóch lekarzy - Thomasa Jamisona po urlopie w Port Jackson i Jamesa Callama z „Siriusa”. Ponieważ D’arcy Wentworth i Denis Conisden byli już na wyspie, zwiększyło to kontyngent medyczny do czterech osób - do leczenia populacji

zmniejszonej niemal o siedemdziesiąt osób.

- Oznacza to - oznajmił major Ross ponuro Richardowi Morganowi - że gdy tylko przybędą następne transporty więźniów z Anglii, wielu z nich przyślą tutaj. Jego ekscelencja dał mi do zrozumienia, że zamierza wysłać tu część swoich wielokrotnych przestępców. Mówi, że w Port Jackson uciekają, zabijają tubylców, plądrują odosobnione osiedla i gwałcą pozostawione tam kobiety. Uważa, że tutaj, na niewielkiej wyspie, łatwiej będzie ich kontrolować. Muszę zatem wybudować nowe więzienie, większe i lepsze aniżeli ta stara stróżówka, i trzeba zacząć od zaraz. Nikt nie wie, kiedy przybędą następne transporty, poza tym że z całą pewnością tak się stanie. Wygląda na to, że władzom w Londynie bardziej zależy na pozbyciu się więźniów aniżeli na tym, czy oni tu przeżyją, czy też nie. A zatem tnijcie drewno, Morgan, tak szybko, jak się tylko da, i niech ci się nawet nie śni, żeby zamykać któryś z dołów.

- Jak pan ocenia ludzi z Korpusu Nowej Południowej Walii? - zapytał Richard.

- Nie widzę większej różnicy pomiędzy ich żołnierzami a moimi własnymi - kupa łajdaków, której przez przypadek udało się uniknąć zwrócenia na siebie uwagi angielskich sądów. Oficerowie są od nich nieco lepsi, ale nie mam bynajmniej ochoty wychwalać ich umiejętności. Czegóż bym nie oddał za porządnego mierniczego! Mam tu przyznać sześćdziesięcioakrowe darowizny takim ludziom z „Siriusa” jak Drummond i Hibbs oraz niektórym z moich żołnierzy, którzy zakończyli swą służbę, a nie mam mierniczego. Bradley był patetyczny, Atree jeszcze gorszy. - Zaświeciły mu się oczy. - Nie sądzę, Morgan, aby pośród twoich licznych talentów kryło się również miernictwo?

Richard roześmiał się.

- Nie, panie majorze.

Plony kukurydzy z Charlotte Field były ogromne, zatrudniono tuziny więźniarek do obierania kolb z ziaren, a plony pszenicy okazały się o wiele większe, aniżeli można było się spodziewać po ataku niszczących wiatrów i żarłocznego robactwa. Port Jackson powrócił do dwóch trzecich racji żywnościowych, a więc na wyspie Norfolk rozkazano uczynić podobnie. Na szczęście, kiedy „Supply” odpłynął dziewiątego maja, tak był przepełniony wyjeżdżającymi ludźmi, że nie zostało już miejsca na ładunek zboża. To, co było w posiadaniu wyspy Norfolk, miało na niej pozostać, przynajmniej na razie. W Charlotte Field wybudowano z młodych pni sosnowych obszerny dom dla D’arcy’ego Wentwortha i jego rodziny, których odejście przyjęto w Sydney ze smutkiem. Przestano jednak nazywać tę zachodnią wioskę Charlotte Field. W sobotę trzydziestego kwietnia major Ross oficjalnie

ogłosił, że odtąd miała się nazywać Queensborough oraz że Phillipburgh został przemianowany na Phillipsburgh, co było właściwą formą dopełniacza.

Upłynęło tak dużo czasu od przybycia „Surprise”, że owych siedmiuset ludzi na wyspie Norfolk zdążyło się zapoznać. Cała wyspa szumiała od plotek - porucznik Ralph Clark ściął pierwsze kiście winogron, jakie uformowały się na antypodach, lecz winorośl plotek była o wiele dłuższa i mocniejsza od prawdziwej rośliny i rodziła większe owoce. Pani Richardowa Morgan nie miała nic przeciwko szerzeniu Interesujących kąsków zebranych w rezydencji zastępcy gubernatora, pani Mary Branham z domu porucznika Ralpha Clarka też dorzucała do tego swoje trzy grosze. Od wyżyn po niziny społeczne wszystko, co ktokolwiek robił, było obserwowane, omawiane i osądzone. Jeśli któryś z więźniów zostawił jakąś kobietę z „Lady Penrhyn” dla innej, młodszej dziewczyny z „Lady Juliany”, wszyscy zaraz o tym wiedzieli. Jeśli jakiś żołnierz po kryjomu flirtował z żoną któregoś z więźniów, to i o tym plotkowano. Jeśli szeregowcy Escott, Mee, Bailey i Fishbourn warzyli piwo z jęczmienia i chmielu przywiezionego na „Justinianie”, również o tym wiedziano; i jeśli Mały John Ross źle wyglądał, też się o tym rozniosło; podobnie jak wszyscy wiedzieli, kim był trzeci mężczyzna spośród tych, którzy włamali się do magazynów i próbowali ukraść nadające się do sprzedaży przedmioty. Służący pana Freemana, John Gault, oraz więzień Charles Strong zostali skazani na trzysta batów każdy, najgorszym biczem. Pierwsze sto otrzymali jeszcze w Sydney, potem, po dojściu do siebie na następne sto w Queensborough i wreszcie po ozdrowieniu - ostatnie sto w Phillipsburghu. Nawet mimo tak srogiej kary - która okaleczała ich częściowo na całe życie - nie zdradzili nazwiska tego trzeciego człowieka. Wszyscy jednak wiedzieli, kto nim był.

Pomimo wzajemnych powiązań między strażnikami a tymi, którzy pracowali pod strażą, obozy były podzielone, gdy dochodziło do podsumowywania skarg i zażaleń. W związku z tym, kiedy zmniejszano racje żywnościowe, a żołnierze byli na skraju buntu, major Ross nie obawiał się, że więźniowie wykorzystają tę niebezpieczną sytuację. Jak zwykle pod przywództwem takich ludzi jak Mee, Plyer i Fishbourn, żołnierze odmówili pobierania przysługujących im racji z magazynów, narzekając, że ich dostawy mąki były już i tak uszczuplone, musieli bowiem wymieniać ją na świeże produkty żywnościowe od więźniów. Powstanie było równie krótkie jak bezowocne. Major Ross wezwał ich do siebie i powiedział, że są cholernie leniwą bandą pierdolonych mętów społecznych, dla której nie miał ani czasu, ani litości. Jeśli chcieli zatrzymać nienaruszone racje mąki, powinni uprawiać własne warzywa. Mieli więcej ryb i wolnego czasu aniżeli więźniowie, a zatem co stało na przeszkodzie? Były służący Rossa, Escott, wraz z grupą innych szeregowców załamali się i

groźba buntu minęła. Wkrótce zaczęto znowu wydzielać kufle dobrego rumu. Jeśli nic innego nie zdołało ich uspokoić, rum z pewnością tego dokona. „Jak mógłbym pozbawiać połowę mych żołnierzy muszkietów?” - pytał Ross samego siebie. Faktem było, że nie mógł. A zatem trzeba ich trzymać w zamroczeniu i do diabła z sumieniem.

Oczywiście zauważono wyjazd Johnny'ego Livingstone'a. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na Stephena Donovana, zainteresowane, kto zostanie jego następcą. Pewnie nikt z tych, którzy są tu na stałe, i nikt spośród więźniów, lecz skoro Donovan nadal nadzorował swoje grupy z tą samą radosną bezwzględnością, uznano, że Johnny pewnie niewiele znaczył.

Następnym interesującym tematem rozmów była sytuacja między Richardem Morganem i jego służącą Kitty Clark, która została wyrzucona z łóżka tego dziwnego mężczyzny i zamknięta na kłódkę. Zamknięta na kłódkę!

- To nawet do niego pasuje - mruknęła pani Richardowa Morgan, której panięskie nazwisko oznaczało kłódkę.

Przyjaźń Richarda ze Stephenem Donovanem była słynna, lecz ci, którzy znali go jeszcze z czasów „Ceresu” i „Alexandra”, przysięgali, że nie miał homoseksualnych skłonności, i choć Will Connelly i Neddy Perrott nadal go unikali, nie mogli przyznać, że zaglądał Donovanowi pod spódnicę. Jeśli kiedykolwiek ktoś zaglądał po kryjomu przez pozbawione okiennic okna Donovana, to ten ciekawski osobnik zapewne widział ich pochylonych nad szachownicą lub gawędzących przy kominku czy też jedzących przy stole. I nigdy nie było tam Kitty Clark. Zostawała w domu, strzeżona przez Lawrella i MacTavisha.

Stephen znalazł się w kłopotliwym położeniu od momentu, kiedy zobaczył rumieniącą się Kitty w dniu Bożego Narodzenia owego 1790 roku. Zorientował się wówczas, że zawsze zwracała uwagę głównie na niego, choć jej stosunek do Richarda uległ subtelnej zmianie. Przed tym piknikiem zdawał się całkowicie onieśmielać - była z natury cicha jak mysz i do tego nie bardzo bystra. Bardzo słodka, pokorna i nudna. Gdyby nie to, że miała oczy Williama Henry'ego, Stephen był pewien, że Richard ominąłby ją, nawet nie rzuciwszy na nią powtórnie okiem. Dlatego też siła Richarda, inteligencja i powściągliwa natura sprawiły, że w jej oczach stał się kimś w rodzaju Boga Ojca, kimś starym i o wielkim autorytecie. Należało się go bać i być mu posłusznym. Po tym pikniku, jak przypuszczał, Kitty z całą pewnością przestała się go tak bardzo obawiać, dzięki temu złotemu wisiorowi - och, jakże kobiety lubiły te błyskotki! Może dlatego, że tyle kosztowały, a przez to wskazywały na czyjąś wartość? Lecz Stephen nadal był obiektem jej miłosnych marzeń. To

było oczywiste. Nie miał pojęcia dlaczego, choć był przyzwyczajony do tego, że zwracał uwagę kobiet. „Być może - myślał - emanuję nieosiągalnością - kobiety zawsze chcą tego, czego nie mogą mieć. Kitty nie przyszło nawet do głowy, że mogła mieć Richarda na każde swoje kiwnięcie palca, a zatem musiało coś w tym być.

Co można zrobić, żeby sytuacja jak najlepiej się ułożyła? Jak nakierować jej uczucia w stronę Richarda i jednocześnie odsunąć od siebie?”

Tobias, zwinięty w kłębek na jego kolanach, podniósł się, przeciągnął i usadowił w wygodniejszej pozycji. Maleńka, ryżawa drobina o ogromnych łapach, które zdawały się zapowiedzią tego, że pewnego dnia zamieni się w lwa. Jakże wspaniałego kota podarowała mu Olivia! Niezwykle sprytny, chytry, wytrzymały, uparty i czarujący, jeśli zależało mu na tym, żeby go uwielbiano i rozpieszczano. A jakie mógłby kiedyś spłodzić kocięta! Stephen jednak, pragnąc raczej mieć zwierzę, które spałoby obok niego w hamaku, a nie wałęsało się po pokładzie w poszukiwaniu obiektów seksualnych podbojów, wykastrował go bez żadnych skrupułów czy cienia żalu.

Kiedy „Supply” odpłynął w maju do Sydney, rozwiązanie problemu Richarda nie przyszło mu jeszcze do głowy. A więc był już maj 1791 roku! Kiedy upłynęły te lata? Cztery lata temu poznał Morgana.

Ponieważ znał podstawy tej sztuki, zatrudniono Stephena do miernictwa. Ci, którzy wrócili na „Supply”, aby przejąć ziemię, chcieli zrobić to jak najprędzej, a major Ross również chciał jak najszybciej pozbyć się ich z miasta. Marynarze z „Siriusa” prawdopodobnie pogodzą się z takim oddaleniem, lecz żołnierze nie byli do tego entuzjastycznie nastawieni. Ludzie tacy jak Elias Bishop i Joseph McCaldren - niepoprawni intryganci w swoim czasie - byli zainteresowani otrzymaniem tytułu własności ziemi, a następnie sprzedaż jej. Zabrawszy z wyspy Norfolk, co się da, powrócą do Port Jackson, aby i tam starać się o przydział ziemi, a później ją sprzedać. Zależało im jedynie na twardej walucie, a nie na ciężkiej pracy. A tymczasem wałkonili się po Sydney, rozrabiając z tymi żołnierzami, którzy jeszcze nie zakończyli okresu swej służby. Biedny major Ross, ileż problemów ważono dla niego w Port Jackson i w Anglii. Z takimi oszczercami jak George Johnston i John Hunter - nie mówiąc już o tym psychicznie chorym Bradleyu, szepczącym nieustannie do chętnego ucha gubernatora Phillipa - Ross nie może się spodziewać specjalnych podziękowań za swój wysiłek.

Stephen szanował go, podobnie jak Richard, i to z takich samych powodów. Wobec nieomal niemożliwych do rozwiązania problemów Ross działał śmiało i bezstronnie. Co było zawsze niebezpieczne.

- Problem w tym - zwrócił się Stephen do Richarda przy kolacji złożonej ze smażonego mięsa i ryżu, które Kitty wspaniale przyprawiła szalwią i cebulą z własnego ogrodu oraz pieprzem utartym w móżdżerze - że aby dokonać pomiarów, potrzebna jest wyraźnie widoczna linia, a wyspę Norfolk porasta gęsty las, w którym wszystkie drzewa wyglądają tak samo. Potrafię dokonać pomiarów wszędzie tam, gdzie jest już wykarczowana ziemia, lecz wiele z tych sześćdziesięcioakrowych działek nie będzie leżało na wykarczowanej glebie. Zdołam umieścić Eliasa Bishopa w Queensborough, lecz Joe McCaldren nie chce odejść tak daleko za Sydney, a Peter Hibbs i James Proctor żądają przylegających do siebie kawałków ziemi w samym środku wyspy. Danny Stanfield i John Drummond chcą być w pobliżu Phillipsburgha. Jak się już z tym wszystkim uporam, przysięgam, że trzeba mnie będzie zapiąć w kaftan bezpieczeństwa i przymocować gdzieś w cieniu łańcuchem do działka. Nadzór nad takimi jak Dyer jest urlopem w porównaniu z tym.

- A zatem Danny Stanfield tu wraca?

- Owszem. Pojechał ożenić się z Alice Harmsworth. To dobry człowiek.

- Najlepszy ze wszystkich żołnierzy.

- To prawda, razem z Junonem Haynesem i Jemem Redmanem - przyznał Stephen.

Kitty przerwała im.

- Czy smakuje wam kolacja? - spytała lękliwie.

- Wspaniała! - odparł Stephen, mając ochotę raczej utrzczyć jej nosa, aniżeli udzielić jakiegokolwiek poparcia, lecz był na to za bardzo sprawiedliwy. - W końcu jakaś odmiana po tym ptactwie z góry Pitt. Przyznaję, że dzięki niemu możemy oszczędzać solone mięso, i zgadzam się, że pesymizm majora związany z tym, ile gęb przyjdzie nam w przyszłości nakarmić, jest uzasadniony. Kiedy jednak usłyszałem, że ptaki znowu przyleciały tu się gnieździć w tak licznych stadach jak poprzednio, zrobiło mi się słabo. Ale Tobias - przyznał ironicznie - bynajmniej nie stroni od ptaków z góry Pitt.

- O Boże, a ja myślałam, że nie wolno nimi karmić domowych zwierząt - odezwała się Kitty z widocznym przerażeniem. - Proszę cię, Stephen, nie narażaj się!

Richard przybrał pozę Boga Ojca.

- Marnowanie ptactwa z góry Pitt jest prawdziwą hańbą - powiedział poważnie. - Stephen nie musi łapać ich tylko po to, żeby karmić nimi Tobiasa, Kitty. Wystarczy, jak pozbiera trupy porzucane wzdłuż traktu. Ci zachłanni niewdzięcznicy ograbiają samice z jajek, a resztę wyrzucają.

- O tak, to prawda - pisnęła Kitty, wycofując się w popłochu.

- Richard - odezwał się Stephen, kiedy zniknęła wzburzona w drzwiach z pustym

wiadrem, wyjaśniając, że musi przynieść wodę ze strumienia. - Czasami zachowujesz się jak kompletny cymbał!

- Co takiego? - zapytał Richard zaskoczony.

- Kiedy to biedne stworzenie odważy się uczynić jakąkolwiek uwagę, ty miażdżysz ją logiką i zdrowym rozsądkiem! Przyrządziła nam smaczną kolację - i to na dodatek z tego pierdolonego ryżu! - i jak ty jej za to dziękujesz? Przywdziewając szaty Boga Ojca?

Richard siedział z otwartymi z osłupienia ustami.

- Boga Ojca?

- Tak właśnie ostatnio cię nazywam. No wiesz, tak jak Bóg Ojciec, Syn Boży i Duch Święty. Bóg Ojciec to ten, co siedzi na tronie i wymierza kary i nagrody, które uważa za stosowne, choć mnie się wydaje, że jest równie ślepym sędzią jak wszyscy inni sędziowie w chrześcijańskim świecie i poza nim. Kitty jest najbardziej nieszkodliwym spośród wszystkich jego stworzeń. Jak na zakochanego mężczyznę, Richardzie, jesteś niedorzeczny jak jakiś młokos! Skoro ci na niej zależy, to czemu, do diabła, nie zachowujesz się tak, jakby ci na niej zależało? - spytał Stephen z rozdrażnieniem spotęgowanym jego własnym kłopotliwym położeniem.

Z twarzą, której wyraz może rozśmieszyłby Stephena w innej sytuacji, Richard wysłuchał do końca tego przemówienia, a potem odpowiedział apatycznym głosem.

- Jestem już za stary. Masz rację, ona uważa mnie za ojca i trudno się temu dziwić. Moja córka byłaby teraz w jej wieku.

Stephen poczuł, jak jeszcze bardziej zawrzała mu krew w żyłach.

- No to spraw, żeby myślała o tobie inaczej, głupcze! - wykrzyknął, trzęsąc się ze złości. - Niech cię diabli porwą, Richardzie, jesteś jednym z najprzystojniejszych mężczyzn, jakich kiedykolwiek w życiu widziałem! Nie ma w tobie żadnej skazy, wiem to, bo ich szukałem! Byłem w tobie zakochany, jeszcze zanim przyszedłem na świat, i będę cię kochał długo po śmierci. Fakt, że jestem pedałem, a ty nie - nie ma tu znaczenia. Nikt nie wybiera osoby, w której się zakochuje. Tak się po prostu dzieje. W jakiś sposób obaj zdołaliśmy poradzić sobie z różnymi preferencjami i ukształtować przyjaźń na tyle mocną, że nic nie zdoła jej zniszczyć. Tak, wiem, że temu głupiutkiemu dzieciakowi wydaje się, że jest we mnie zakochana, więc zamknij gębę i przestań robić takie szlachetne miny! To nawet dobrze, że jej się tak wydaje, bo w przeciwnym razie przyszłaby do ciebie jak zupełne dziecko, a przecież żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach czegoś takiego nie chce! - przerwał, dostał czkawki i wyglądał na zupełnie wykończonego.

- Sam to jednak powiedziałeś, Stephen. Nikt nie wybiera osoby, w której się

zakochuje, to po prostu dzieje się samo. Ona wybrała ciebie, a nie mnie.

- O nie, nie. Zupełnie nie rozumiesz, o co tu chodzi. O Jezu, Richardzie, tam, gdzie chodzi o Kitty, jesteś kompletnym osłem! Ja jestem dla niej przejściem pomiędzy dzieckiem a kobietą, pierwszą dziewczęcą namiętnością, nie odwzajemnioną tak jak wszystkie tego rodzaju miłości. Chłopie, ona jest jak ta śliwka dojrzała do zjedzenia. Widziałem ją niedawno, jak szła do magazynów, wymachując pustym koszykiem. Wiatr wiał jej prosto w twarz i oblepił jej ciało tą bezkształtną więzienną bluzą - gdybym był facetem uganiającym się za kobietami, porwałbym ją natychmiast. I nie myśl, że inni mężczyźni tego nie zauważyli! Oprócz oczu, w jej twarzy nie ma nic interesującego, ale ciałem równa jest Wenus. Długie, kształtne nogi, wypukłe biodra, wiotka talia i wspaniałe piersi - istna Wenus. Jeśli nie zaczniesz rościć sobie do niej pretensji, Richardzie, zrobi to ktoś inny, bez względu na obawę, że rozerwiesz go za to na kawałki.

Stephen podniósł się.

- A teraz, zanim ona wróci, pójdę do domu, do mojego Tobiasa. Powiedz jej, że nagle przypomniałem sobie o czymś ważnym. - Podszedł do drzwi. - Jesteś za bardzo cierpliwy, Richardzie. To godna podziwu zaleta, lecz kiedy kot siedzi przycupnięty i wypatruje myszy przez godzinę, sokół może runąć z jasnego nieba i ukraść mu ją.

Kitty skuliła się w cieniu pod otwartymi okiennicami, lecz Stephen Donovan nawet nie spojrzął w prawo czy w lewo, idąc ścieżką pomiędzy jarzynami, i zniknął w ciemnościach. Zaraz potem poszła ukradkiem do strumienia.

Dlaczegoż nie był na tyle głęboki, aby można było się w nim utopić? Głos Stephena nazywającego Richarda cymbałem stłumił jej kroki i rozbudził ciekawość, toteż zapomniawszy o wszelkich przysłowiach na temat podsłuchiwania, usadowiła się pod oknem i słuchała.

Jak to możliwe? Jakże Stephen mógł twierdzić, że był zakochany w Richardzie? Zaczęło jej się kręcić w głowie i nie mogła myśleć o niczym innym. Stephen - mężczyzna - był zakochany i pożywał drugiego mężczyzny. Richarda. Nazwał jej miłość dziewczęcą namiętnością. Nazwał ją dzieckiem. Mówił o niej z czułą sympatią, w której jednak nie było ani krzty miłości. Potrafił wyliczyć zalety jej figury z tym samym chłodnym podziwem, jaki sama odczuwała w stosunku do Richarda. Który z kolei, zgodnie z tym, co twierdził Stephen, był w niej zakochany. Ale Richard był w wieku jej ojca! Sam to powiedział! Opadła na kolana, kołysząc się w tył i w przód, nie mogąc uronić ani jednej łzy. „Och, jakże chciałabym umrzeć, chciałabym umrzeć!”

Richard przykucnął przy niej.

- Słyszałaś naszą rozmowę?

- Tak.

- No cóż, lepiej, żebyś dowiedziała się w ten sposób aniżeli od mojej żony - powiedział, objął jej ramiona i podciągnął ją do góry, wstając. - Wcześniej czy później musiałaś się o tym dowiedzieć. Chodźmy, czas do łóżka. Zimno tu.

Pozwoliła się wprowadzić do środka, a potem spojrzała na niego oczyma Williama Henry'ego z tej bladej, wymizerowanej twarzy.

- Idź spać! - powiedział stanowczo, z niewzruszonym wyrazem twarzy.

Odwróciła się bez słowa i weszła do swego pokoju. Miał rację, było zimno. Cała drżąc przebrała się w nocną koszulę i wdrapała do ciepłego, miękkiego, puchowego łóżka, by leżeć w nim bezsennie, rozpamiętując wszystko, co mogła sobie przypomnieć z tej ich... Nie, to nie była rozmowa. Nie była to też kłótnia. To, co słyszała, było wymianą uczuć i wrażeń pomiędzy dwoma bardzo starymi przyjaciółmi - przyjaciółmi, którzy nie potrafili obrazić się na siebie bez względu na to, co zostało powiedziane. Z doświadczenia wiedziała, że było to rzadkie zjawisko. Skądś przyszło jej na myśl słowo „dojrzałość” i pasowało do ich sytuacji. Dlaczego byli tacy, jacy byli? Dlaczego Stephen kochał innego mężczyznę? I dlaczego był nim właśnie Richard? Dlaczego nazywał Richarda „Bogiem Ojcem”? „Och, nic o nich obu nie wiem! Absolutnie nic!” - pomyślała zrozpaczona.

Pragnienie śmierci osłabło, zniknęło. Zorientowała się, że nie załamało jej to i nie odebrało nadziei na szczęście. To, że Stephen jej nie kochał, było niewątpliwie przykre, lecz z drugiej strony nigdy się nie łudziła, że ją kocha, więc było to stare rozczarowanie. Ból złagodniał pod wpływem następnych palących pytań. „Być może mam dość rozumu, żeby się uczyć, choć nie mam pojęcia, na czym polega ta lekcja” - myślała. - „Wiem tylko tyle, że zawsze się ukrywałam i już nie mogę dłużej tak żyć. Ci, co wiecznie się kryją, zawsze pozostają niewidoczni”. I z tą śmiałą myślą zasnęła.

Kiedy obudziła się rano, Richarda już nie było. Naczynia zostały umyte, blat w kuchni uporządkowany, woda parowała w czajniku, w kominku się tliło, a na stole leżał talerz z zimnym ryżem i kurczakiem.

Zrobiła sobie herbatę w solidnym, wypalonym glinianym imbryku, grzejącym się na palenisku, i usiadła, jedząc powoli i rozmyślając o wczorajszej nocy jakby z wielkiego dystansu. Wspomnienia tego, co się stało, utkwiły jej mocno w pamięci, lecz intensywność uczuć minęła. Uczucie... Musiało przecież istnieć jakieś lepsze określenie niż to?

Richard wszedł do środka ze swym zwykłym, beztróskim uśmiechem. Tak jakby nic

się nie stało.

- Wyglądasz na bardzo zamyśloną - powiedział. Zrozumiała, że uwaga ta była sygnałem. Nie chciał dyskutować na temat zeszłej nocy.

- Nie pracujesz?

- Dzisiaj jest sobota.

- Ach tak, oczywiście. Napijesz się herbaty?

- Owszem, będzie mi miło.

Nalała mu do garnuszka i osłodziła zimnym syropem cukrowym, po czym usiadła i zaczęła ponownie mieszać jedzenie na talerzu. W końcu odłożyła z hałasem łyżkę na cynowy talerz i spojrzała na niego gniewnie.

- Jeśli z tobą nie mogę porozmawiać na ten temat - wybuchnęła - to do kogo mam się zwrócić?

- Spróbuj ze Stephenem - powiedział, popijając z przyjemnością herbatę. - On mógłby zagadać człowieka na śmierć.

- Nie rozumiem cię.

- Owszem, Kitty, rozumiesz. Ty siebie nie rozumiesz i jakże się temu dziwić? Nie przeżyłaś wiele.

Spojrzała mu prosto w oczy, na co nigdy dotąd nie miała odwagi. Były duże, koloru morza poza laguną w wietrzny dzień i na tyle głębokie, że można w nich zatonać. Zdawało się, że bez najdrobniejszego wysiłku porwał ją w siebie i rzucił w przypiływ, w przypiływ...

Zachłysnęła się i skoczyła na równe nogi z rękoma przyciśniętymi do piersi.

- Gdzie jest Stephen?

- Łowi ryby koło cypla Point Hunter, jak sędzę. Zatrzasnęła za sobą drzwi i pognała w dolinę, jakby goniły ją szatańskie psy. Zwolniła dopiero wówczas, gdy przekonała się, że za nianie pobiegł. Jak on to zrobił? Jak?

Kiedy w końcu znalazła sposób na bezpieczne chodzenie po Sydney bez eskorty - co wymagało biegania od jednej grupy kobiet do drugiej - Kitty odzyskała na tyle zimną krew, że mogła się uśmiechnąć i pomachać do Stephena, który zwinął swą wędkę i wyszedł jej na spotkanie, a następnie odprowadził ją na bok, z dala od półtuzina innych mężczyzn, również łowiących tam ryby. Wydawało się, że nie był świadomy tego, co się stało, co z kolei jej nawet nie przyszło na myśl, automatycznie przyjęła bowiem, że Richard poszedł mu o tym powiedzieć. Czyżby Richard z nikim o niczym nie dyskutował?

- Nie biorą dzisiaj - powiedział swobodnie. - Co cię tu sprowadza? A gdzie jest Richard?

- Podśledzałam waszą wczorajszą rozmowę - powiedziała i głośno przełknęła. -
Wiem, że nie powinnam tego robić, ale zrobiłam. Przepraszam!

- Niedobre z ciebie dziecko. Chodź, usiądziemy sobie na skale i popatrzymy na piękno
tamtych wysp pośrodku tego kłębowiska fal, a wiatr rozwieje nasze słowa.

- Ja rzeczywiście jestem dzieckiem - powiedziała zrozpaczona.

- Owszem, i to wydaje mi się w tym wszystkim najdziwniejsze - powiedział. -
Przeszłaś przecież przez londyńskie Newgate, „Lady Julianę” i „Surprise”, tak jakby nic z
tego nie zdołało cię dotknąć. Ale przecież musiało, Kitty.

- Tak, oczywiście, że tak. Ale były tam i inne takie jak ja. Jeśli nie pomarliśmy ze
wstydu - jedna taka biedna dziewczyna umarła - to dlatego, że stałyśmy się niewidoczne.
Pośród tylu innych nie było to takie trudne, jakby się zdawało. Tłumy bijących się, plujących,
opryskliwych i grasujących kobiet deptały po nas, jakbyśmy w ogóle nie istniały. Wszyscy
byli tak pijani lub zajęci uganiem się za kimś, aby rabować, gwałcić lub po to, żeby po
prostu kogoś pobić. A my byłyśmy chude, biedne i brzydkie. Nie było żadnego powodu, dla
którego warto było się za nami uganiać.

- A zatem zamieniłaś się w jeża zwiniętego w kłębuszek. - Jego profil na tle sosen na
wyspie Nepean był wyrazisty i pogodny. - I jedyne określenie, jakie znasz na akt miłości, to
„pierdolić się”. To jest z tego wszystkiego najsmutniejsze. Czy widziałaś pierdolących się
ludzi?

- Właściwie nie. Tylko podrygujące ubrania. Zamykałyśmy oczy, kiedy
zorientowałyśmy się, że zanosilo się na to w pobliżu.

- Jest to jeden ze sposobów na zachowanie dystansu do świata. A co z „Lady Juliana”?
Nie dokuczały wam bezczelne prostytutki?

- Pan Nicol był dla nas bardzo dobry, jak również niektóre starsze kobiety. Nie
pozwalaly tym mściwym nikczemnicom złośliwie nam dokuczać. A poza tym ciągle
cierpiałam na chorobę morską.

- To cud, że przeżyłaś. Przeszłaś jednak przez to wszystko, wylądowałaś tutaj i
złowiłaś samego Richarda Morgana. A to, panno Kitty, jest już wprost nadzwyczajne. Wątpię,
czy istnieje kobieta lub jakaś „panna Molly”, która nie próbowałaby - choć to może za mocne
określenie - która nie zastanawiałaby się, czy to przypadkiem nie byłoby możliwe. - Odwrócił
głowę w jej stronę, żeby się roześmiać.

Jakie to dziwne. Jego oczy były o wiele bardziej niebieskie aniżeli oczy Richarda, tak
niebieskie, że odbijały w sobie niebo, jakby czyniły z niego barierę. Nie wodę, która
pochłaniała człowieka, lecz ścianę, z którą się zderzał.

- Już nie jestem w tobie zakochana - powiedziała ze zdziwieniem w głosie.

- A za to zakochałaś się w Richardzie?

- Nie, nie sędzę. Jest coś między nami, ale to nie jest miłość. Wiem tylko, że to coś innego.

- O, zupełnie innego.

- Proszę cię, opowiedz mi o nim.

- Nie. Nie zrobię tego. Będziesz musiała sama z nim zostać i dowiedzieć się o nim wszystkiego. W przypadku naszego małomównego Richarda nie jest to łatwe zadanie, ale jesteś w końcu kobietą z natury ciekawską. Jestem pewien - powiedział, pomagając jej wstać - że zrobisz wszystko, co w twojej mocy. - Pochyliwszy się, przyłożył policzek do jej włosów i szepnął. - Jak tylko się czegoś dowiesz, to mi powiedz.

Łzy nabiegły jej do oczu, ale nie była pewna dlaczego, poza tym, że coś ścisnęło ją za serce.

Współczuła mu raczej, aniżeli odczuwała żal z jego powodu i bynajmniej nie dlatego, że coś mu odebrała. „Szkoda, że ten świat nie został lepiej urządony. Nie jestem w tym człowieku zakochana, ale bardzo go Kocham” - pomyślała.

- Tobias i ja - powiedział, biorąc ją za rękę i wymachując nią - będziemy wyśmienitymi wujkami.

Na skraju doliny wypuścił jej rękę i zatrzymał się.

- Dalej już z tobą nie pójdę - powiedział.

- Proszę cię, chodź ze mną.

- O nie. Sama musisz tam iść.

Dom był pusty, Richard gdzieś wyszedł, lecz kominek został wyczyszczony, ze świeżym drewnem na podpałkę ułożonym wewnątrz, wiadra były pełne wody, a cztery z sześciu krzeseł, które Richard zdołał zgromadzić, stały porządnie zasunięte za stołem. Rozczarowana i oszołomiona - no bo dlaczego nie poczekał, żeby się dowiedzieć, co jej powiedział Stephen? - chodziła bez celu po domu, aż wreszcie wyszła do ogrodu i zaczęła kopać, mając nadzieję, że nadejdzie kiedyś taki dzień dostatecznej obfitości, który pozwoli jej na marnowanie ziemi pod domem na kwiaty. Czas mijał, przyszedł John Lawrell z sześcioma ptakami z góry Pitt, które już oczyścił i oskubał z piór, co rozwiązało problem obiadu, podawanego teraz w środku dnia, w związku z nadejściem zimy.

Kiedy Richard powrócił, ptaki były już obsmażone i dusiły się w garnku pod pokrywką, nafaszerowane chlebem i ziołami, razem z cebulką i ziemniakami.

- Co to są za drzewka - zapytała, żeby coś powiedzieć - które rosną w tym nasłonecznionym miejscu obok wychodka?

- Ach, a zatem je znalazłaś.

- Już całe wieki temu, ale ciągle zapominałam, żeby cię o nie zapytać.

- To pomarańcze i cytryny wyhodowane z pestek, które zachowałem z Rio de Janeiro. Za dwa lub trzy lata będziemy mieli w zimie owoce. Wiele z moich nasion weszło, więc dałem parę roślin Natowi Lucasowi, majorowi Rossowi, parę Stephenowi i innym. Tutejszy klimat powinien być doskonały do uprawy cytrusów, bo nie ma tu przymrozków. - Uniósł figlarnie brew. - Odnalazłaś Stephena?

- Tak - odpowiedziała, nacinając nożem ziemniak, żeby sprawdzić, czy jest już ugotowany.

- I odpowiedział na wszystkie twoje pytania? Mrugnęła ze zdziwienia i przerwała.

- A wiesz, że nie miałam nawet okazji, żeby go o to wszystko zapytać? To on cały czas zadawał mi pytania.

- Jakie? - Głównie na temat więzienia i transportu. - Zaczęła wykladać kawałki mięsa, cebulki i ziemniaki na dwa talerze, polewając je łyżką sosu. - Mamy też sałatkę z sałaty, szczypiorku i pietruszki.

- Jesteś bardzo dobrą gospodynią, Kitty - powiedział, zaczynając jeść.

- Staram się. Jesteśmy nieomal samowystarczalni, Richardzie, nieprawdaż? Wszystko na naszych talerzach albo wyhodowaliśmy sami, albo znaleźliśmy.

- Owszem. Ziemia jest tu dobra i pada na tyle często, że można wszystko uprawiać. Pierwszy rok mego pobytu tutaj był bardzo mokry, lecz potem zrobiło się sucho. Strumień nigdy jednak nie wysycha, co oznacza, że musi pochodzić ze źródła. Chciałbym je odnaleźć.

- Dlaczego?

- Bo byłoby to najlepsze miejsce do wybudowania domu.

- Ale ty przecież masz dom.

- Zbyt blisko miasta Sydney - wyjaśnił, ostrożnie polewając łyżką resztkę swoich kartofli sosem.

- Chcesz więcej? - spytała, wstając.

- Jeśli jeszcze coś jest, to proszę.

- Z jednej strony, blisko stąd do Sydney - powiedziała, siadając ponownie - ale też jesteśmy *tu* bardzo odizolowani.

- Podejrzewam, że kiedy przyślą następny transport więźniów, nie będzie tu już tak spokojnie. Major Ross uważa, że jego ekscelencja zamierza zwiększyć liczebność

mieszkańców wyspy powyżej tysiąca.

- Tysiąca? A jak wiele by to było?

- Och, zapomniałem, że nie umiesz liczyć. Pamiętasz nabożeństwo w zeszłą niedzielę, Kitty?

- Oczywiście.

- Było tam obecnych siedmiuset ludzi. Podziel ten tłum na połowę, a potem dodaj tę połówkę do wszystkich tych, którzy tam byli. To będzie stanowiło powyżej tysiąca.

- Aż tyle! - wykrzyknęła ze zgrozą. - A gdzie się oni podzieją?

- Niektórzy zostaną skierowani do Queensborough, inni do Phillipsburgha, a jeszcze inni tam, gdzie stacjonowali marynarze z „Siriusa”, choć mam wrażenie, że major Ross przeniesie tam w końcu żołnierzy z Korpusu Nowej Południowej Walii.

- Oni nie zgadzają się z jego żołnierzami.

- No właśnie. Ale zaroi się od domów i po tej stronie doliny, gdzie grunt nie jest pod rządową uprawę. Wobec tego wolę się przenieść gdzieś dalej. - Przechylił się na krześle i poklepał z uśmiechem po brzuchu. Jeśli dalej będziesz mnie tak karmić, to będę musiał albo ciężiej pracować, albo zacząć tyć!

- Nie przy tyjesz, bo nie pijesz - powiedziała.

- Nikt z nas nie pije.

- Ależ to bzdury, Richardzie! Nie jestem aż tak zielona. Marynarze piją i żołnierze także, podobnie jak wielu więźniów. Jak trzeba, to robią sobie własny rum i piwo.

Uniósł brwi i uśmiechnął się.

- Powinienem wypożyczyć cię majorowi w charakterze doradcy. Jak to odkryłaś?

- W magazynach. - Wzięła puste talerze i zaniósła je na ławę koło kominka. - Słyszałam, że tobie nie zależy na towarzystwie - powiedziała, sięgając po mydelniczkę. - I w pewnym sensie to rozumiem. Ale przeprowadzka spowoduje, że będziesz musiał zacząć wszystko od początku. A to ogromny ciężar.

- Żadna praca nie jest ciężarem, jeśli oznacza to, że moje dzieci będą dzięki temu bezpieczne - odparł zimno. - Chcę, aby wzrastały nieskażone, a to nie będzie możliwe w pobliżu Sydney. Jest tu wielu porządnym ludzi, ale też sporo złych. Jak sądzisz, dlaczego major tak główkuje nad różnymi karami, które mogłyby powstrzymać gwałty, pijaństwo, rabunki i inne zło, które pojawia się, kiedy ludzie żyją za blisko siebie. Czy sądzisz, że Ross znajduje przyjemność w wysyłaniu ludzi takich jak Willy Dring na wyspę Nepean na sześć tygodni z dwutygodniowymi racjami żywności? Gdyby tak było, nie szanowałbym go, a jednak szanuję.

Pierwsza część tego długiego, jak na Richarda, przemówienia sprawiła, że zawirowało jej w głowie, zdecydowała jednak odpowiedzieć na jego ostatnie słowa.

- Być może gdybyśmy lepiej zrozumieli, co ludzie myślą, znaleźlibyśmy na to jakiś sposób. Tyle problemów wynika z pijaństwa. Popatrz tylko na mnie.

- Aha, właśnie patrzę. Dojrzałaś co niemiara.

- Dojrzałabym jeszcze bardziej, gdybym umiała czytać, pisać i liczyć.

- Nauczę cię, jeśli zechcesz.

- Naprawdę? O, Richardzie, jesteś cudowny! - Stała bez ruchu z mydelniczką w rękę, z tym samym wyrazem oczu, jaki miał William Henry po pierwszym dniu pobytu w szkole Colston. - Bóg Ojciec! Wiem już teraz, co Stephen miał na myśli. Tobie potrzebni są ludzie, którzy będą na tobie polegać, jak dzieci na ojcu. Jesteś silny i bardzo mądry. Tak jak i Stephen, ale on nie jest podświadomie ojcem. Ja zawsze będę twoim dzieckiem.

- W pewnym sensie tak. Z drugiej jednak strony, chciałem być ojcem twoich dzieci. Nie jestem Bogiem. Stephen mówił to żartem, nie bluźnił. Po prostu próbował zaszerzować mnie pod jakimś tytułem w swojej umysłowej bibliotece, co jest dla niego typowe.

- Ty już masz żonę - zauważyła. - Ja nie mogę nią być.

- Lizzie Lock jest wpisana w rejestrze wielebnego Johnsona jako moja żona, lecz nigdy nią nie była. W Anglii mógłbym się starać o unieważnienie małżeństwa, ale na drugim końcu świata nie biega się do biskupów i kościelnych sądów. Ty jesteś moją żoną, Kitty. I nie wierzę, że Bóg tego nie zrozumie. Bóg mi cię dał, byłem tego pewien, gdy tylko spojrzałem w twoje oczy. Będę cię przedstawiał ludziom jako moją żonę i nazywał cię żoną. Moim drugim ja.

Zapadła cisza, zdawałoby się, że żadne z nich nie poruszyło się przez całą wieczność. Wzrok jej utkwiony był w jego spojrzeniu - wszelkie przyzwolenie i łączność ducha, jakie były ku temu konieczne.

- I co teraz będzie? - spytała, nie mogąc złapać tchu.

- Nic, aż do pory gaszenia ogni - powiedział, szykując się do wyjścia. - Nie chcę, żeby przeszkadzali nam jacyś goście, żono. Popracuj trochę w ogrodzie, ale pamiętaj, że wiele sadzonek zostanie przeniesionych gdzie indziej. Pójdę teraz w górę strumienia poszukać jego źródła. Być może byłaś do niedawna szkieletem, ale dziewięć miesięcy na słońcu i powietrzu na Wyspie Norfolk uczyniły z ciebie nową kobietę. I to taką, że nie chcę, aby sama pielęgnowała ogród tak blisko Sydney.

Nawał pracy nie pozostawiał mu wiele czasu na chodzenie dalej, powyżej swojej

łaźni na strumieniu, ani też nie zachęcała go do tego ciekawość, dopóki nie uświadomił sobie prawdy o Kitty. Jak długo byłby tak zwlekał, gdyby Stephen nie stracił cierpliwości? Miał zamiar ją kochać, ten podarunek od Boga był jednak zbyt cenny, żeby można go zbezczęścić, zachowując się tak, jak większość mężczyzn postąpiłaby w takiej sytuacji - przez pochlebianie jej i podstępne nakłanianie do uczynienia czegoś, o czym wiedziała same najgorsze rzeczy. Więzienie w Gloucester uświadomiło mu, jak musiało wyglądać londyńskie Newgate, pełne kopulujących par. Nawet przez chwilę nie pomyślał, że padła ofiarą lubieżności któregoś z mężczyzn, musiała ją jednak widzieć, spędziwszy tam wiele dni i nocy. Na szczęście nie za długo, a jednak wystarczająco długo. Sympatia, którą czuła do Stephena, rozwiała jego nadzieje, lecz nie zniweczyła ich całkowicie - za dobrze wiedział, że Stephen był nieosiągalny. Postanowił zatem, że będzie czekał, stojąc cierpliwie z boku i opiekując się nią, aż wreszcie pogodzi się z faktem, że obiekt jej miłości nie jest zdolny odwzajemnić tych uczuć.

Nie sądził, aby go kochała, nigdy nawet o tym nie marzył. Było między nimi blisko dwadzieścia lat różnicy, a młodość domagała się młodości. Ale gdy tego ranka popatrzyła na niego przez stół, poczuł, że ciało jego drgnęło, i obnażył przed nią całą swoją duszę. Uciekła do Stephena, lecz poruszona i bynajmniej nie ze strachu. To objawienie samego siebie wywołało w niej zupełnie nowe uczucia i należące wyłącznie do niego. Fakt, że posiadał taką moc, napełnił go uniesieniem. Nie należał do mężczyzn, którzy w wolnym czasie analizowali głębię własnego jestestwa, toteż nie rozumiał, dopóki nie sprawdził tej siły na Kitty, dlaczego był tym, kim był - Bogiem Ojcem, jak to określił Stephen. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety potrzebowali kogoś takiego jak on, kogoś, kto wydawał się kimś ważniejszym - królem, premierem, naczelnikiem. Niechętnie podejmował się opieki nad innymi, traktował to nieomal jako ostateczność, był bowiem świadkiem ich nieudolności, a nie mógł patrzeć, jak toną. Powoli też ta druga skóra spokojnej siły i rozsądku stała się częścią jego samego - to, co kiedyś czynił z wewnętrznym westchnieniem rezygnacji, stało się automatyczną reakcją. Zaczątek tego zawsze musiał tkwić gdzieś w jego duchu, lecz gdyby przeżył swe dni w Bristolu, pewnie nigdy by się to w nim nie obudziło. Rodzimy się z wieloma cechami, ale o istnieniu niektórych z nich nigdy się nie dowiemy. Wszystko zależy od tego, jaki bieg wytyczy dla nas Bóg.

Po dwudziestu minutach spaceru na bosaka po bagnistym dnie strumienia doszedł do jego prawostronnego dopływu, który prowadził w dół na północny wschód. Zauroczyła go górską dolina o amfiteatralnym kształcie, lecz była położona za blisko Doliny Arthura, więc szedł dalej wzdłuż głównego traktu, który skręcał i wił się pomiędzy paprociami

drzewiastymi, bananowymi palmami i bananowcami, dopóki nie rozwidlił się ponownie u podstawy płaskowyżu, który, jak mu się wydawało, został utworzony tam przez wieki obfitych opadów. Zachodnia odnoga, którą zbadał najpierw, okazała się za krótka. Południowo - Zachodnie odgałęzienie było bez wątpienia głównym źródłem wody w Dolinie Arthura, biegło głębokim i wartkim nurtem gdzieś ze stromego urwiska. Brodząc dalej, wspiął się wyżej, aż wreszcie, nieomal na szczycie grani, odkrył źródło wytryskające pośród omszałych, pokrytych porostami skał. Rosły tu różne gatunki paproci, o których istnieniu nie miał pojęcia - w kształcie falbanek, piór, rybich ogonków i o puszystych liściach.

Mrużąc oczy w ześlizgującym się ku zachodowi słońcu, odzyskał szerszą perspektywę i wkroczył do sosnowego lasu na szczycie, który - jak się wkrótce okazało - był całkiem szeroki i płaski. Zdumiony wyszedł wkrótce na drogę prowadzącą do Queensborough, niedaleko gorzelni. Ach, to było interesujące! Richard wpadł na pewien pomysł. Powrócił do źródła i zatrzymał się, patrząc w dół rozpadliny. Na zachodnim zboczu poniżej strumienia znajdował się występ skalny, szeroki i głęboki na tyle, by pomieścić duży dom i parę owocowych drzew, ziemia poniżej mogłaby służyć za ogród warzywny.

Następnie odwiedził Stephens Donovana, który od momentu rozstania się z Kitty zabijał czas samotną grą w szachy.

- Dlaczego - zapytał, kiedy Richard stanął w drzwiach - moja prawa ręka wygrywa każdą partię?

- Może dlatego, że jesteś praworęczny? - odpowiedział pytaniem Richard, opadając na krzesło z głębokim westchnieniem.

- Wyglądasz mi bardziej na człowieka, który próbował chodzić po powierzchni wody aniżeli na kogoś, kto się kochał.

- No bo się nie kochałem, tylko próbowałem chodzić po wodzie. I wpadłem na pewien pomysł.

- Błagam zatem, żebyś mnie oświecił.

- Obaj wiemy, że Joe McCaldren chce dostać ziemię w drodze do Queensborough, lecz nie aż tak daleko. I obaj wiemy też, że tak naprawdę chce tę ziemię sprzedać, jak tylko mu ją wymierzą i uzyska akt własności. Czyż nie tak?

- Absolutnie. Napij się kieliszek porto i mów dalej.

- Czy mógłbyś uczynić mi tę przysługę i odmierzyć ziemię dla McCaldrena w następnej kolejności? Znalazłem dla niego idealny kawałek - powiedział Richard, przyjmując wino.

- Rozumiem, że chcesz przenieść Kitty gdzieś dalej, zanim przybędzie tu następny

transport więźniów. Ale czy masz dość pieniędzy, żeby kupić gotówką sześćdziesiąt akrów, Richardzie? Joe McCaldren będzie się domagał dziesięciu szylingów za akr - powiedział Stephen, marszcząc brwi.

- Mam co najmniej trzydzieści funtów w wekslach, on jednak będzie wołał monety królestwa. A poza tym nie potrzebuję i nawet nie chcę sześćdziesięciu akrów, bo to za dużo do uprawy, jak na jednego człowieka. Czy to, co mi powiedziałeś, jest prawdą - że każda sześćdziesięcioakrowa działka będzie miała dostęp do strumienia?

- Aha. Zaproponowałem to majorowi i on się na to zgodził.

- Czy major ma jakieś obiekcje co do dzielenia sześćdziesięcioakrowej działki po nadaniu komuś tytułu posiadania?

- Po przekazaniu sześćdziesięciu akrów, Richardzie, majorowi obojętne jest, czy odlecą one z ptakami z góry Pitt czy też nie. Zamierza on jednak przyznać również dziesięć - i dwunastoakrowe przydziały gruntu dla takich więźniów jak ty, którzy zostali ułaskawieni lub odbyli swą karę. Dlaczego nie zatrzymasz swoich pieniędzy i nie weźmiesz ziemi za darmo?

- Z dwóch powodów. Wolni osadnicy muszą być obsłużeni w pierwszej kolejności. To zajmie około roku, w ciągu którego, jak się spodziewamy, liczba mieszkańców wzrośnie do ponad tysiąca. Niektórzy spośród tych nowych więźniów to ci, których jego ekscelencja uznał za zbyt zdeprawowanych, aby można było bezpiecznie trzymać ich w Port Jackson. A drugim powodem jest to, że kiedy zatwierdzą nasze przydziały, będą one przyznawane jeden obok drugiego. Układ tutejszych strumieni nakazywać będzie, aby każda działka była wąska i długa, a wszystkie domy budowane w pobliżu wody, w rzędzie. Ja nie chcę tak mieszkać, Stephen. Wolałbym, aby moje dwanaście akrów otoczone było sześćdziesięcioakrowymi działkami i aby mój dom położony był przy biegu wody, do którego nikt inny nie będzie miał bezpośredniego dostępu.

- Bieg Morgana.

- Dokładnie tak. Bieg Morgana. Właśnie znalazłem takie miejsce. To główny dopływ do strumienia z Doliny Arthura, który wypływa z obfitego źródła na początku wąskiej doliny. Nad nim znajduje się płaski teren, który graniczy z gościńcem do Queensborough w tym samym rejonie, co droga do gorzelni majora. Za ledwie pół godziny drogi do Sydney - co powinno zadowolić McCaldrena - i z dostępem do dobrej wody. Chciałbym, aby pomiarów dokonano po obu stronach strumienia, bo najlepsze miejsce pod budowę znajduje się na zachodnim stoku. Jeśli weźmiesz kolejny kawałek ziemi na zachód od sześćdziesięciu akrów McCaldrena, dosięgnie on strumieni biegnących przez samo Queensborough.

Stephen przyglądał się Richardowi z podziwem.

- Wygląda na to, że rozwiązałeś wszystkie swoje problemy, co? - Wzruszył ramionami i uderzył dłońmi w kolana. - No cóż, podążam w tym kierunku, począwszy od strony Kaskad. Po tamtej stronie wymierzałem na przemian działki sześćdziesięcioakrowe i dwudziestoakrowe. Duże działki - trudna ziemia, małe działki - dobra. To, można by powiedzieć, wyrównało cenę przy sprzedaży. Obecnie jestem przy Jamesie Proctorze i Peterze Hibbsie. Nie tak daleko. A zatem dojdę do drogi w kierunku Queensborough i zacznę przesuwać się wzdłuż niej na północ, dopóki nie dotrę z powrotem do Proctora i Hibbsa. Zrobię też wszystko, aby włączyć Bieg Morgana w sześćdziesiąt akrów należnych McCaldrenowi w taki sposób, żebyś miał źródło wyłącznie dla siebie.

- Tylko dwanaście akrów, Stephen, to mi wystarczy. Na górze doliny po obu stronach i aż po gościniec do Queensborough. Nie obchodzi mnie, co McCaldren robi z pozostałymi czterdziestoma ósmioma akrami - powiedział Richard z uśmiechem. - Ale jeśli mógłbyś zrobić moją działkę bardziej kwadratową, to pozostałe części przylegałyby do strumienia dużo poniżej. Mogę zapłacić najwyżej dwadzieścia pięć funtów w złocie.

- Pozwól pożyczyć ci równowartość całych sześćdziesięciu akrów w złocie, Richardzie.

- Nie, to niemożliwe.

- Pomiędzy braćmi wszystko jest możliwe.

- Zobaczymy. - Richard mógł ustąpić jedynie na tyle. Odstawił kieliszek wina na stół i pochylił się, by podnieść Tobiasa, miauczącego u jego stóp z rozdzierającą serce żalnością. - Jesteś oszustem, Tobiasie. Żalisz się niczym najbiedniejszy sierota na świecie, ja jednak wiem, że żyjesz tu niczym król.

- Dobrej nocy! - wykrzyknął za nim Stephen, a następnie wziął kota na ręce. - Ty i ja, kociaku, spożyjemy sobie zaraz ptaszka z góry Pitt. Jak to się dzieje, że psy i koty przez całe życie mogą jeść codziennie to samo, podczas gdy my, ludzie, mamy dość i robi się nam niedobrze już po tygodniu monotonii?

Noc zakradła się do doliny, kiedy Richard wkroczył na ścieżkę, a MacTavish wybiegł mu na spotkanie w podskokach radości. Pies wolałby przebywać z Richardem, lecz pogodził się z faktem, że jego pan oczekuje, że będzie pilnował Kitty. Ona na szczęście kochała wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem tych, które nazywała „nieczystymi”. Co ciekawsze wyrazy w jej słownictwie miały swe źródła albo w Biblii, albo były efektem pobytu w więzieniu i na „Lady Julianie”.

Wszedł do domu i zastał Kitty przy ławie, najwidoczniej widząc na tyle dobrze w tym półmroku, że mogła przygotować posiłek. Chociaż jej na to pozwolił, nigdy nie używała jego cennych świeczek na własne potrzeby. Uśmiechając się, odwróciła głowę, on zaś przeszedł przez pokój, żeby pocałować ją w usta, tak jakby od dawna była jego żoną.

- Idę się wykąpać - oznajmił i znowu zniknął.

Zajął mu to sporo czasu, a kiedy wrócił, spojrzał na palenisko.

- Czy jest jeszcze gorąca woda?

- Oczywiście.

- To dobrze. Łatwiej się wtedy golić.

Przyglądała mu się z zainteresowaniem, jak szybko i zwinnie operował brzytwą o rączce z kości słoniowej. Z drugiej jednak strony, nigdy nie widziała, aby kiedykolwiek uczynił niezdarny czy niepewny ruch. Takie piękne ręce, męskie, a jednak pełne wdzięku, które wzbudzały zaufanie.

- Nie rozumiem - zauważyła - jak możesz się golić bez lustra. Nigdy się nie zacinasz.

- Lata praktyki - mruknął przez wykręcone usta. - Za pomocą ciepłej wody i kawałka mydła to proste. Na „Alexandrze” goliłem się na sucho.

Skończywszy, opłukał brzytwę, złożył ją i schował do pudełka jeszcze przed umyciem i wytarciem twarzy. Po chwili rozejrzał się bezradnie, spojrzał na ogień i zdecydował, że należało przesunąć częściowo nadpaloną głównię. Nie, nadal była niebezpieczna, więc podparł ją kolejnym kawałkiem drewna i poprawił ogień. Uniósł pokrywę czajnika widocznie rozczarowany, że nie potrzebuje więcej wody, a później podszedł do swoich książek, niemal niewidoczny.

- Richardzie - powiedziała cicho. - Jeśli rzeczywiście szukasz czegoś do roboty, możemy coś zjeść. To zajmie nam parę minut, zanim zbierzesz się na odwagę, by zacząć dawać mi dzieci.

Zaskoczony spojrzał na nią, a następnie odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się, aż oczy nabiegły mu łzami. Zniżył ton głosu do pieszczotliwego pomruku. - Nie, żono, nagle odeszła mi ochota najedzenia. Uśmiechnęła się do niego z ukosa i weszła do siebie do pokoju.

- Zamknij okiennice - powiedziała, wychodząc. Głos jej dobiegał do niego z ciemności. - I wypuść MacTavisha na noc na dwór.

„Kiedy zechcą, zawsze będą nami rządzić” - pomyślał Richard. - „Nasza siła jest jedynie iluzją. Ich moc jest tak stara jak samo stworzenie”.

Zrzuciwszy już ubranie, zatrzymał się w jej pokoju, dopóki nie zaczął odróżniać

wewnątrz cieni, niewyraźnego zarysu jej postaci na łóżku, siedzącej prosto i sztywno.

- Nie, nie tutaj, gdzie cię nie widzę. Przy ogniu i tak jak cię stworzył Bóg. Chodź - powiedział, wyciągając rękę.

Szelest nocnej koszuli, dotyk ciepłych i ufnych palców. Zabrał ją z powrotem do swojego pokoju i zostawił przy palenisku, żeby ściągnąć słomiany materac z łóżka. Następnie rzucił go na podłogę pomiędzy nimi i spojrzał na nią. Jakże była piękna! Niczym Wenus, stworzona do miłości. I od samego początku będzie to naga skóra; nie chciał, aby w czymkolwiek przypominało to konwulsyjne kopulacje w ubraniu, na posadzce londyńskiego więzienia Newgate. Święty akt dedykowany Bogu, który go umożliwił. Dla tego właśnie cierpimy, dla tej jednej boskiej iskry, która zamienia mrok piekła w słoneczny blask. Na tym właśnie polega prawdziwa nieśmiertelność. W tym właśnie akcie wzlatujemy wolni w przestworza.

Wziął ją zatem w ramiona i pozwolił rozkoszować się swoją aksamitną skórą, grą mięśni, siłą i czułością, całą miłością, dla której przez tyle lat nie znalazł ujścia. A ona w tym milczącym połączeniu wyczuła jego ponadczasowy rytm, zdawała się wiedzieć, jak i gdzie, i dlaczego. I zawsze dlaczego. Jeśli sprawił jej ból, to tylko przez chwilę, po której zdawało jej się, że nie było jutra, nic więcej poza nią, i to przez całą wieczność. „Daj upust twej miłości, Richardzie Morganie, nie zatrzymuj niczego dla siebie! Oddaj jej wszystko, czym jesteś, i nie podliczaj kosztów. To jest jedyne uzasadnienie miłości, a ona - ten mój podarunek od Boga - wie o istnieniu mego bólu, czuje i przyjmuje go”.

CZEŚĆ SIÓDMA
OD CZERWCA. 1791 ROKU
DO LUTEGO 1793 ROKU

Peg - powiedział Richard, po raz pierwszy w nastroju do zwierzenia się z własnych uczuć - była moją pierwszą miłością. Z Annemarie Latour łączył mnie wyłącznie seks. Kitty jest moją ostatnią miłością.

Z błyszczącymi oczyma Stephen przyglądał mu się, rozmyślając, jak on zdołał zamienić to, co powinno być jedynie chwilowym zaślepieniem, w coś, co niewątpliwie okaże się trwałą namiętnością. A może właśnie dlatego, że tyle czasu zajęło mu posunięcie się tak daleko, wszystko, co czuje, zostało tysiącrotnie spotęgowane?

- Jesteś żywym dowodem na to, że nie ma większego głupca ponad starego głupca. Mylisz się jednak, Richardzie, co do jednej rzeczy. Kitty jest miłością i seksem w jednym. Przynajmniej dla ciebie. Jeśli chodzi o mnie, to myślałem, że seks, no cóż, jeśli nie był najważniejszą rzeczą, to przynajmniej najbardziej nagłą potrzebą, którą musiałem zaspokoić. Ty nauczyłeś mnie jednak wielu rzeczy i jedną z nich jest sztuka życia bez seksu. - Uśmiechnął się. - To znaczy tak długo, dopóki nie nadarzy się ktoś absolutnie rozkoszny. Wówczas rozpadam się na kawałki. Ale to mija, podobnie jak i on.

- Podobnie jak każdy człowiek, potrzebujesz obu tych rzeczy.

- Mam je, tyle tylko, że nie zawinięte w jedną paczkę - co, jak się przekonałem, bardzo mi odpowiada. Z pewnością się nie uskarżam - powiedział rzeczywiście uradowany, podskakując. - Za moją harówkę na wyspie Norfolk otrzymam rangę oficera w Królewskiej Marynarce Wojennej i jestem już na to zdecydowany. Będę wtedy przechadzał się po nadbudówce cały w bieli, złocie i granacie, z lornetką pod pachą i czterdziestoma czterema działami pod moją komendą.

Przerwali na chwilę kopanie fundamentów pod nowy dom Richarda, aby napić się wody. Josephowi McCaldrenowi przyznano w końcu te jego sześćdziesiąt akrów ziemi i zadowolony rozstał się z dwunastoma najlepszymi z nich za sumę dwudziestu czterech funtów, o które bardzo się targował. A potem D'arcy Wentworth kupił pozostałe czterdzieści osiem akrów oraz część z sześćdziesięciu akrów Eliasa Bishopa w Queensborough. Major Ross chętnie podżyrował zamianę tytułów własności.

- Bardzo się cieszę, że będziesz zajmował ziemię McCaldrena - powiedział Richardowi. - W mgnieniu oka ją wykarczujesz i przygotujesz pod uprawę, a właśnie to jest na tej wyspie potrzebne. Coraz więcej zboża i kukurydzy.

Na całej wyspie Norfolk istniały jedynie cztery działki, które zajmowały obie strony strumienia. Natychmiast nadano im nazwy „biegów”, poprzedzone nazwiskiem właściciela. Dało to wyspie Norfolk kolejne punkty orientacyjne obok Sydney Town, Phillipsburgha, Kaskad i Queensborough - Bieg Drummonda, Bieg Phillimore'a, Proctora i Morgana.

Niestety, praca w dołach trackich nie pozostawiała Richardowi za wiele czasu na budowę nowego domu. W Sydney trzeba było postawić baraki i chaty dla żołnierzy z Korpusu Nowej Południowej Walii; na miejscu, które zajmowali poprzednio marynarze z „Siriusa”, należało ukończyć budowę więzienia i wznieść więcej domów dla cywilnych urzędników - lista majora Rossa zdawała się nieskończenie długa. Nat Lucas, pod którego kierownictwem pracowało ponad pięćdziesięciu stolarzy, wręcz odchodził od zmysłów.

- Nie mogę już gwarantować jakości pracy - powiedział Richardowi przy niedzielnym obiedzie w posiadłości Richarda u wejścia do doliny. - Niektóre z tych budynków są wręcz tandetne, zbite bezmyślnie i niestarannie, lecz nie mogę się rozerwać i mieć oka jednocześnie na Queensborough, Phillipsburgh i całą resztę. Wszystko biegiem za porucznikiem Clarkiem, deptającym mi po piętach i trajkoczącym o zachodniej osadzie; kapitan Hill poszturchuje mnie bezczelnie w ramię, bo chaty Korpusu Nowej Południowej Walii albo przeciekają, albo w nich ciągnie i wieje, albo... Naprawdę, Richardzie, jestem już bliski szaleństwa.

- Nie możesz pracować ponad swoje możliwości, Nat. Czy sam major też się na ciebie uskarżał?

- Nie, jest na to zbyt wielkim realistą. - Nat zdawał się zmartwiony. - Słyszałem dziś rano, że porucznik Clark został oddelegowany do odprawiania nabożeństwa, bo major nie czuje się za dobrze. Według Lizzie Lock, jest z nim bardzo źle. - Żaden z bliskich przyjaciół Richarda nie nazywał gospodyni majora Rossa „panią Richardową Morgan”.

Jedzenie było wspańiałe. Kitty zabiła dwie tłuste kaczki i upiekła je w dużym kotle razem z ziemniakami, dyniami i cebulką. Zabrała Olivie i bliźniaczki na zewnątrz, żeby zobaczyły Augustę i jej gwałtownie przybierające na wadze żeńskie potomstwo, które miało wkrótce zostać albo zabite i sprzedane do magazynów rządowych, albo też wysłane wraz z matką do innego rządowego knura. Dzięki Bogu, że Richard wybudował duży chlew!

- Gdy już zakończysz budowę fundamentów, Richardzie - powiedział Nat, zmieniając temat - to my z George'em zwołaliśmy już grupę ludzi na dwa weekendy pod rząd do złożenia twojego domu i zapewniłem sobie już pozwolenie majora na zwolnienie nas z niedzielnego nabożeństwa. W ten sposób, przy odrobinie szczęścia, będziesz mógł się stąd wyprowadzić przed przybyciem kolejnego transportu. Dom będzie nie dopracowany, ale da się w nim zamieszkać, a ty będziesz mógł potem wykończyć go sam. Masz już drewno?

- Aha. Z własnej ziemi. Zbudowałem dół tracki na moim polu i Billy Wigfall, niech go za to Bóg błogosławi, tnie ze mną. Harry Humphreys i Sam Hussey przychodzą w niektóre soboty, a Joey Long oczyszcza pnie z kory. Pomyślałem sobie, że równie dobrze mogę karczować własną ziemię, zamiast używać drzew z innych obszarów.

„Jest szczęśliwy” - pomyślał Nat. - „I cieszę się z tego. Kiedy Olivia powiedziała mi, że utrzymywał Kitty jedynie w charakterze przyjaciółki - a taki był w niej zakochany! - modliłem się, żeby ta dziewczyna zmadrzała i zrozumiała, jakie szczęście ją spotkało. Olivia twierdzi, że większość kobiet mdleje na jego widok, choć kobiety to dziwne stworzenia. Mnie on się wydaje przystojnym, a na dodatek jeszcze porządnym mężczyzną. I cieszę się, że Kitty też nie jest jakąś flirciarą”.

Kobiety weszły do środka ze śmiechem, rozmawiając z przejęciem. Kitty trzymała na ręku małego Williama i była tak rozpromieniona, że Nat aż mrugnął, zastanawiając się, jak to możliwe, że kiedyś wydawała mu się taka brzydka. Mała Mary i Sarah pozostały na zewnątrz, aby bawić się z całkowicie zdezorientowanym MacTavishem, który bez względu na to, czy patrzył na lewo czy w prawo, widział identyczne dziecko.

- Bardzo lubię wszystkich twoich przyjaciół i ich żony, ale muszę przyznać, że najbardziej lubię Lucasów - stwierdziła Kitty, kiedy wyszli. Podeszła, by stanąć za jego krzesłem i oprzeć sobie na brzuchu jego głowę. Z zamkniętymi oczyma odpoczywał tak z zadowoleniem.

Ponad jej wszelkie oczekiwania, świat otworzył się w tak wielu kierunkach. Ta pierwsza noc miłości była olśniewającym snem - nazywała ją tak, bo jej sny były zazwyczaj przyjemniejsze od życia. W snach zjawiały się rzeczy magiczne i niemożliwe, takie jak folwarczne domy w Faversham otoczone kwiatowymi ogródkami. A jednak noc ta zamieniła się w rzeczywistość, która ciągnęła się przez całą następną i wszystkie kolejne noce. Ręce, na które lubiła patrzeć, bo wyglądały tak pięknie, poruszały się po jej ciele z chłodną gładkością delikatnego aksamitu.

- Dlaczego twoje ręce nie są twarde i nie mają odcisków? - spytała w którymś momencie, przeciągając się i prężąc pod ich rytmiczną pieszczotą.

- Bo jestem z zawodu mistrzem rusznikarskim i bardzo je sobie cenię. Każdy nagniotek i blizna zmniejszają wrażliwość, bez której rusznikarz nie może dobrze pracować. Owijam je szmatami, jeśli nie mam rękawic - wyjaśnił.

I tak brzmiała odpowiedź na jedno z jej pytań. Problem w tym, że na większość z nich odmawiał odpowiedzi, na przykład na te dotyczące jego życia w Bristolu. Jakie były okoliczności jego skazania? Ile miał przedtem żon? Czy miał w Bristolu jakieś żyjące dzieci? W jaki sposób zmarła ta córka, która byłaby teraz w jej wieku? W odpowiedzi zawsze tylko się uśmiechał, po czym odmawiał wyjaśnień delikatnie, choć stanowczo. Przestała go zatem nimi prześladować. Jeśli kiedykolwiek będzie gotów, żeby jej powiedzieć, sam to zrobi. Być może nigdy nie będzie na to gotowy.

Ale jak on potrafił kochać! Choć przysłuchiwała się setkom opowieści kobiet rozprawiających o seksualnym natręctwie mężczyzn, będącym niedogodnością, którą po prostu musiały znosić, Kitty wyczekiwała swoich nocy. Były największą przyjemnością, jakiej kiedykolwiek w życiu zaznała. Gdy czuła, że sięga po nią nad ranem, odwracała się ku niemu z radością, pobudzona pocałunkiem w piersi, w usta lub szyję. I bynajmniej nie pozostawała biernym odbiorcą. Kitty uwielbiała poznawać nowe sposoby pobudzania go czy sprawiania mu przyjemności.

Nie wierzyła jednak, aby była w nim zakochana. Owszem, kochała go, to było prawdą. Jego wiek - doszła do wniosku - gwarantował jedynie to, że był delikatniejszym kochankiem i lepszym towarzyszem. Ale sam wygląd Richarda nie wzbudzał w niej pożądania, serce nie trzepotało jej w piersiach i nie traciła oddechu. Dopiero kiedy jej dotykał lub ona dotykała jego, czuła ciepło pożądania. Codziennie powtarzał jej tak naturalnie i spontanicznie jak dziecko, że ją kocha, że jest początkiem i końcem jego świata. I ona chętnie tego słuchała, pochlebiało jej bowiem, że mówił takie przyjemne rzeczy, jednak jej ciało i dusza pozostawały niewzruszone.

Ten dzień był szczególny. Przynajmniej raz sama zaczęła okazywać uczucia, tuląc do siebie jego głowę.

- Richardzie? - spytała, spoglądając na jego ciemne, przystrzyżone włosy i żałując, że nie pozwala im odrosnąć, miały bowiem tendencje do kręcenia się.

- Uhm?

- Spodziewam się dziecka.

Z początku znieruchomiał, ale potem spojrzał na nią z twarzą zmienioną radością. Skoczywszy na równe nogi, uniósł ją z ziemi i obsypał pocałunkami!

- Och, Kitty, moja miłości, mój aniele! - Kiedy uniesienie minęło, zdawał się przerażony. - Jesteś pewna?

- Olivia twierdzi, że wpadłam, ale ja już wcześniej byłam tego pewna.

- Kiedy?

- Pod koniec lutego lub na początku marca, jak sądzimy. Olivia mówi, że zapłodniłam mnie od razu, tak samo jak Nat ją. Mówi, że to znaczy, że będziemy bardzo płodni i że będziemy mieli tyle dzieci, ile tylko zechcemy.

Ujął jej rękę i ucałował ją ze czcią.

- Dobrze się czujesz?

- Bardzo dobrze, biorąc to wszystko pod uwagę. Nie miałam okresu, od czasu kiedy

mnie pojąłeś. Czasami jest mi trochę niedobrze, ale to nic w porównaniu z chorobą morską.

- Cieszysz się, Kitty? To bardzo wcześnie.

- Och, Richardzie, to jest jak marzenie! Jestem - szukała odpowiedniego słowa - jestem jak w ekstazie. Naprawdę w ekstazie! Moje własne dziecko!

W poniedziałek rano Richard dowiedział się pocztą pantoflową, że major Ross jest poważnie chory. We wtorek rano został wezwany przez szeregowca Bailey'a do natychmiastowego stawienia się przed majorem.

Ross został przeniesiony na górę, do dużego pokoju, który zazwyczaj służył mu za gabinet, górne piętro oddzielało go bowiem od natrętnych gości. Kiedy Richard podążył za panią Richardową Morgan - bardzo zatroskaną i cichą - po schodach i wkroczył do pokoju, był wstrząśnięty. Twarz majora Rossa zdawała się bardziej szara aniżeli jego oczy, zapadnięte i błyszczące w czarnych oczodołach. Leżał sztywno na desce, z ramionami złożonymi po bokach i dziwnie wyczekującymi dłońmi.

- Panie majorze?

- Morgan? Dobrze. Stań tam, gdzie będę mógł cię widzieć. Może pani odejść, pani Morgan. Lekarz Callam wkrótce tu będzie - powiedział Ross mocnym głosem.

Nagle ciało jego pochwycił atak skurczu. Wargi rozwarły się, odsłaniając zęby, i choć walczył, żeby nie wydobyć z siebie głosu, jęknął w sposób, który - jak Richard dobrze wiedział - w przypadku innego człowieka byłby krzykiem. Zniósł ten atak, jęcząc z rękoma uczezionymi desek jak szponami. Tego od niego oczekiwano, więc musiał być gotowy. Richard czekał cicho, rozumiejąc, że Ross nie życzy sobie ani współczucia, ani pomocy. W końcu ból minął, pozostawiając jego twarz mokrą od potu.

- Przez jakiś czas będzie mi lepiej - powiedział wówczas. - Callam mówi, że to kamienie nerkowe. Wentworth zgadza się z tym. Considen i Jamison nie.

- Ja zaufałbym Callamowi i Wentworthowi, panie majorze.

- No właśnie im ufam. Jamison nie umiałby nawet wykastrować kota, a Considen jest doskonały, ale w sztuce wyrywania zębów.

- Niech pan nie marnuje sił, panie majorze. Co mógłbym zrobić?

- Powinieneś wiedzieć, że mogę umrzeć. Callam daje mi coś, co według niego rozluźnia przewód pomiędzy nerkami a pęcherzem, w nadziei, że może zdołam wydalić kamień. To mój jedyny ratunek.

- Będę się za pana modlił, panie majorze - odparł Richard szczerze.

- Podejrzewam, że bardziej to pomoże aniżeli leki Callama. Nadszedł następny atak,

mężnie przetrzymany.

- Jeśli umrę, zanim przybędzie tu statek - powiedział, kiedy atak minął - wyspa znajdzie się w niebezpiecznej sytuacji. Kapitan Hill jest głupcem, a dojrzałość Ralpa Clarka jest mniej więcej taka sama, jak mego syna. Faddy jest głuptasem, i do tego dzieckiem. Wybuchnie wojna między moją piechotą morską a żołnierzami Korpusu Nowej Południowej Walii i każdy łajdak pośród skazańców, począwszy od Francisa i Pecka, przyłączy się do Hilla. Będą tu krwawe jatki i dlatego właśnie muszę wydalić z siebie ten cholerny kamień, choćby nie wiem co. Choćby nie wiem co.

- Wydali go pan, panie majorze. Nie ma takiego kamienia, który zdołałby pana złamać! - odparł Richard z uśmiechem. - Czy mógłbym w czymś pomóc?

- Owszem. Rozmawiałem już z panem Donovanem i paroma innymi i upoważniłem ich do rozdania muszkietów. Tobie też przydzielę jeden, Morgan. Dzięki tobie muszkiety piechoty morskiej strzelają. Żołnierze z Korpusu Nowej Południowej Walii nie dbają o swoją broń, a ja nie zaproponowałem Hillowi twoich usług. Bądź w kontakcie z Donovanem i nie ufaj Andrew Hume'owi, który przyłączył się do Hilla i razem dopuszczają się przestępstw. Hume jest oszustem, Morgan, ma takie pojęcie o produkcji lnu jak ja, ale siedzi jak ten pająk w Phillipsburghu i wydaje mu się, że razem z Hillem mają kontrolę nad połową wyspy.

- Niech się pan skoncentruje na wydaleniu tego kamienia, panie majorze. Nie pozwolimy, aby Hill i jego Korpus Nowej Południowej Walii przejął wyspę.

- Och, znowu nadchodzi! Idź już, Morgan. I miej się na baczności. Z zamętem w głowie Richard stał na zewnątrz na schodach, usiłując wyobrazić sobie wyspę Norfolk bez majora Rossa. Już i tak wrzało tu dzięki szeregowcowi piechoty morskiej, Henry'emu Wrightowi. Wrighta przyłapano na gwałceniu Elizabeth Gregory, dziesięcioletniej dziewczynki z Queensborough. Co gorsza, było to już drugie wykroczenie Wrighta - dwa lata wcześniej został skazany na karę śmierci w Port Jackson za zgwałcenie dziewięcioletniej dziewczynki, lecz jego ekscelencja ułaskawił go, pod warunkiem że spędzi resztę życia na wyspie Norfolk. I w ten sposób pozbył się problemu, zrzucając go na majora Rossa. Żona Wrighta i jego mała córka przybyły razem z nim, lecz po wypadku z Elizabeth Gregory żona złożyła petycję o pozwolenie na zabranie córki i powrót do Port Jackson następnym statkiem. Ross przychylił się do tej prośby. Skazał Wrighta na trzykrotny bieg pomiędzy dwoma szeregami chłuszczących żołnierzy - najpierw w Sydney, potem w Queensborough i wreszcie w Phillipsburghu. Chłosta w mieście Sydney odbyła się w tym samym dniu, w którym rozchorował się major. Rozebranemu do spodni Wrightowi kazano biec między dwoma szeregami ludzi różnych zawodów, pałających żądzą krwi i uzbrojonych w motyki,

siekiery, łańcuchy i bicze.

Gwałt dziecka popsuł reputację piechoty morskiej nawet pośród wielu przestrzegających prawa skazańców, choć stara społeczność wyspy Norfolk była równie rozgniewana skłonnościami gubernatora Phillipa do pozbywania się swoich kłopotliwych więźniów przez wysyłanie ich na wyspę Norfolk.

„Ross miał całkowitą rację” - pomyślał Richard. - „Jeśli umrze, wybuchnie tu wojna”.

Jednak będąc majorem Rossem, nie umarł. Przez tydzień jego życie wisiło na włosku i w tym czasie Richard, Stephen oraz ich kohorty patrolowały regularnie teren. Potem ból nie minął natychmiast, lecz zmniejszył się stopniowo. Dwa tygodnie po tym ataku choroby mógł już zejść na dół, a tydzień później był już tym samym dziarskim, opryskliwym, zjadliwym majorem Rossem, którego wszyscy znal' i albo kochali, albo obawiali się, albo też nienawidzili go.

Szala przewagi przechyliła się na stronę Korpusu Nowej Południowej Walii, kiedy w połowie sierpnia 1791 roku przybyła „Mary Ann” pierwszy statek od zawinięcia w kwietniu do brzegów „Supply” i pierwszy od roku transport. Przybyło na nim dodatkowo jedenastu żołnierzy należących do Korpusu Nowej Południowej Walii, z trzema żonami i dziewięciorgiem dzieci, oraz stu trzydziestu trzech więźniów, w tym jedna kobieta z dzieckiem. Kiedy rozładowano ludzki transport, liczba mieszkańców na wyspie Norfolk wzrosła do ośmiuset siedemdziesięciu pięciu osób. „Mary Ann” miała przywieźć też zapasy żywności wystarczające do wyżywienia tych, którzy na niej przybyli, przez dziewięć miesięcy, lecz - jak zwykle - ten, kto wyliczał, pomylił się. Zapasy te mogły wystarczyć najwyżej na pięć miesięcy.

W nowej grupie więźniów znalazło się trzydziestu dwóch niesfornych, którzy już od dawna zawadzali gubernatorowi Phillipowi i dziewięćdziesięciu dziewięciu chorych, na wpeł zagłodzonych nieszczęśników z innego statku, „Matildy”, który przybył do Port Jackson. „Matilda” i „Mary Ann” były pierwszymi z dziesięciu statków, które wypłynęły z Anglii mniej więcej pod koniec marca, co oznaczało, że pokonywały one trasę szybciej, nie zatrzymując się na długo w portach. „Matilda” pokonała tę trasę w cztery miesiące i pięć dni bez postoju, a „Mary Ann” nieomal równie prędko. To uratowało więźniów, których wiozły, ci sami bowiem kontrahenci przewożący niewolników zaopatrywali transporty z 1791 roku - panowie Camden, Calvert i King. Jedyne statek aprowizacyjny „Gorgon”, należący do królewskiej floty, miał być opóźniony ze względu na dłuższy pobyt w porcie - otrzymał rozkaz nabycia w Kapsztadzie tylu zwierząt, ile się tylko da. Ponieważ to „Gordon” wiozł

większość listów i paczek, starzy mieszkańcy wyspy Norfolk z westchnieniem musieli się pogodzić z koniecznością czekania przez parę następnych miesięcy na wiadomości. Och, ta frustracja wywoływana brakiem wiadomości o tym, co działo się na świecie! Na domiar złego kapitan „Mary Ann”, Mark Monroe, był takim ignorantem w sprawach wydarzeń światowych, że niczego się od niego nie dowiedzieli. Mimo to zdołał jednak rozłożyć na prostym odcinku plaży swój stragan.

- Stephen - zwrócił się do niego Richard. - Zamierzam upomnieć się o tamtą braterską obietnicę. Pożyczysz mi trochę złota? Mogę ci to oddać w wekslach z procentem.

- Chętnie pożyczę ci złoto, Richardzie, ale poczekam na spłatę, aż będziesz mógł mi oddać w złocie - odparł Stephen przebiegle. - Ile ci trzeba?

- Dwadzieścia funtów.

- Drobnostka.

- Jesteś pewien?

- Podobnie jak ty, bracie, mam duży kredyt rządowy. Dwieście czy trzysta funtów, jak sądzę - choć nigdy nie zadałem sobie trudu, aby poprosić Freedmana, o podliczenie. Moje potrzeby są proste i zazwyczaj dają się zaspokoić złotem czy weksłami. Podczas gdy ty masz żonę i rodzinę, nie mówiąc już o większym, dwupiętrowym domu. - Zamknawszy wszystkie żaluzje, sięgnął w przepaść szkieletu rekina, którego złapał jeszcze na „Alexandrze”, i manipulował w nim, aż odskoczył zatrzask, ukazując małe drzwiczki w ścianie. Sakiewka, którą stamtąd wyciągnął, była okazała.

- Dwadzieścia funtów - powiedział, wyrzucając je na dłoń Richarda. - Jak widzisz, nie ubędzie mi wiele przez tę pożyczkę.

- A co będzie, jeśli komuś spodobają się szczęki rekina?

- Uważam, że jest to ostatni przedmiot na złodziejskiej liście. - Zamknął drzwiczki i poprawił ustawienie swojego trofeum. - Chodźmy, bo inaczej jakiś inny kolekcjoner złota uprzedzi nas w najlepszych okazjach.

Richard zakupił kilka długości ozdobnego muślinu, dobrze wiedząc, że Kitty skłamała, opowiadając swoją historię, służące nosiły bowiem wełnę, a dziesięć jardów muślinu miało wartość trzech gwinei. Sędziom przysięgłym żal się pewnie zrobiło płaczących, zrozpaczonych dziewcząt. No i tak być powinno. Kupił też tani bawełniany perkal, z którego można będzie uszyć codzienne sukienki, stosowne do zajmowania się świniami i drobiem, nici do szycia, igły, nożyczki, taśmy miernicze i kielnie dla siebie oraz żelazny piec z kratą nad ogniem i zbiornikiem na popiół wmontowanym w podstawę, otoczonym żelazną obudową z płaskim szczytem i dziurą na komin. Kapitan Monroe miał

kawałki cienkich stalowych rur do pieców, jakie instalowano na statkach, które kosztowały więcej aniżeli sam piec. Pozostałe mu funty wydał na grubą bieliźnianą bawełnę, która - jak wiedział - świetnie nadawała się na pieluszki, i ciemnoczerwoną wełnianą serżę na zimowe płaszcze dla Kitty i dziecka.

- Wydałeś nieomal tyle, ile zapłaciłeś za te dwanaście akrów - zauważył Stephen, sprawdzając linę przytrzymującą towary na saniach. - Monroe to złodziej.

- Ziemia wymaga pracy i tę daję za darmo - odparł Richard. - Chcę, żeby moja żona i dzieci miały taki komfort na wyspie Norfolk, na jaki pozwala życie tutaj. Wełniane czy brezentowe ubrania nie są odpowiednie na ten klimat, a gotowe ubrania rozpadają się po pierwszym praniu. Londyn oszukuje nas na każdym kroku. Kitty szyje jeszcze lepiej, aniżeli gotuje, może więc uszyć znacznie lepsze ubrania. - Sanie ruszyły bez trudu, choć ich zawartość ważyła ponad trzysta funtów. Wsunął na ramiona uprząż i zapiął ją sobie na piersiach. - Miło nam będzie, jeśli przyjdiesz do nas dziś wieczorem na kolację, Stephen.

- Dziękuję, ale nie. Tobias i ja świętujemy dziś odlot tych pierdolonych ptaków z góry Pitt, jedząc dwie wspaniałe rybki, które złapałem rano na rafie.

- O Chryste, jeszcze postradasz tam życie.

- Na pewno nie ja. Wyczuwam nadejście wielkiej fali na milę. „Chyba rzeczywiście mówi prawdę” - pomyślał Richard. - „Ma faktycznie niesamowite wyczucie wiatru, pogody, prądów i fal i nikt nie zna lepiej od niego warunków na wyspie Norfolk”.

Pragnąc najpierw zawieźć piec na teren budowy nowego domu, Richard zaczął wspinać się po stromym zboczu góry George w drodze do Queensborough. Ta długa na milę mordęga nie była dla niego niczym nowym. Wielokrotnie ciągnął już pod tę górę sanie załadowane wapiennymi głazami. Koła utrudniałyby ciągnięcie, podczas gdy sanie poruszały się gładko w koleinach, które wyżłobiły, w czasie gdy droga była jeszcze błotnista. W tym roku, bardziej suchym niż zwykle, nie zdarzało się to często. Tylko sporadyczne noce obfitych opadów sprawiały, że zboże i kukurydza rosły wyśmienicie.

Zaczął odczuwać pokusę unikania rządowej pracy, tak jak wszyscy, którzy pragnęli karczować własną ziemię i przygotowywać ją pod uprawę. Richard był jednak na tyle rozważny, że opierał się takim pobudkom. Biedny George Guest uległ nim, zanim zakończył swój wyrok - a taki był ambitny! - i został za to wychłostany.

Chłostę wymierzano coraz częściej, w miarę jak major Ross, porucznik Clark i kapitan William Hill z Korpusu Nowej Południowej Walii mieli coraz większe problemy z utrzymaniem kontroli nad ludźmi żyjącymi bez żadnej solidarności czy zasad. Ciągnęli na różne strony w zależności od swego pochodzenia, ograniczonych doświadczeń oraz

przekonań na temat tego, na czym polegało szczęśliwe życie. A nazbyt często szczęśliwe życie utożsamiano z lenistwem. W Anglii większość z nich nie miałyby ze sobą nic wspólnego i dotyczyło to zarówno żołnierzy i piechoty morskiej, jak i skazańców. Sytuację tę pogarszał fakt, że prawie wszyscy wojskowi dowódcy byli Szkotami, a wśród skazańców lub zwerbowanych żołnierzy nie było prawie żadnych Szkotów.

„Jesteśmy rządzeni batem, groźbą zsyłki na wyspę Nepean i przykucia do koła młyńskiego, bo ani jedna żywa dusza w angielskim rządzie nie widzi innego sposobu na rządzenie niż poprzez niemiłosierne kary. Ale musi przecież istnieć jakiś inny sposób! Jaki - tego nie wiem. Jak można uczynić lepszego żołnierza z ludzi takich jak Francis Mee czy Elias Bishop? Jak można uczynić lepszego człowieka z takich jak Len Dyer czy Sam Pickett? Są leniwymi, zachłannymi łasicami, których największą rozrywką jest pieniactwo i wzniecanie chaosu. Kara nie zmienia jednak takich jak Mee, Bishop, Dyer i Pickett w ciężko pracujących i odpowiedzialnych obywateli. Ale trzeba też przyznać, że nie zrobiły tego względnie dobrodusze rządy porucznika Kinga w czasie, kiedy przebywało tu mniej niż sto osób. Jego dobroć nagrodzona została spiskami i buntami, pogardą i oporem. A kiedy jego terytorium rozrosło się do stu pięćdziesięciu dusz, porucznik King również coraz częściej uciekał się do chłosty. Chłostczą, kiedy się ich przypiera do muru. Nie ma wyjścia, lecz bardzo chciałbym, żeby jakies było! Tak, abym mógł z moją Kitty wychować nasze dzieci w czystym i lepiej zorganizowanym świecie”.

W ten oto sposób uczynił Richard zadanie wciągania sań na tę okropną górę George znośnym - plecy zatrudnił do pracy, a umysł do rozważania zagadek będących poza jego zrozumieniem.

Kiedy już znalazł się na szczycie, było mu o wiele łatwiej. Droga odtąd prowadziła pod górę i trochę z górki, lecz była znacznie mniej stroma. Dotarł do Biegu Morgana, więc skręcił z drogi na ścieżkę pomiędzy drzewami, z których w większości pozostały już tylko pieńki. Zamierzał pozostawić pas sosen szerokości pięćdziesięciu stóp naokoło swojej działki i całkowicie wykarczować jej środkową, płaską część. Tam zasieje swoje zboże, osłonięte w ten sposób od silnych, słonych wiatrów uderzających ze wszystkich stron świata. Wyspa była na tyle mała, że wszędzie docierały słone wiatry. Mniej strome zbocza i rozpadliny, skąd pochodził dopływ wody, przeznaczy na kukurydzę dla swoich ciągle mnożących się świń.

Na szczycie wzgórza rozpiął uprzęż. U dołu występu skalnego, na którym wznosił się dom, sanie pozostawiły już dobrze widoczny ślad. Pomimo swej siły wiedział, że nie utrzyma sań załadowanych tym żelazem, idąc w dół. Rozładował więc wszystko z wyjątkiem pieca, a następnie przeszedł na tył sań wraz ze swą uprzężą i zapierał się obcasami, kiedy wraz z

saniami nabierał prędkości - sanie przed nim, a on za nimi. Odległość była zbyt duża. Sanie wjechały na stromy pagórek, który usypał w charakterze hamulca, przeskoczyły go lekko i zatrzymały się z łoskotem. Zaalarmowana hałasem Kitty przybiegła pośpiesznie z ogrodu.

- Richardzie! - zapiszczała, podbiegając prędko do niego. - Ty jesteś chyba szalony!

Zbyt zasapany, aby mógł odeprzeć to oskarżenie, usiadł na ziemi i ciężko dyszał. Przyniosła mu dzbanek chłodnej wody i usiadła obok niego, bojąc się, że zrobił sobie coś złego.

- Nic ci się nie stało?

Łapczywie wypił wodę, skinął głową i uśmiechnął się.

- Mam dla ciebie, Kitty, piec z piekarnikiem.

- Kapitan Monroe otworzył stragan! - Skoczyła na równe nogi i obejrzała z ciekawością nowy nabytek. - Richardzie! Będę teraz mogła piec własny chleb! I robić ciastka, jak tylko będę miała dość okruchów i białek. I piec odpowiednio mięso! Och, to cudownie! Dziękuję ci, dziękuję!

Do jednej z belek dachu przymocowany był dźwig, więc ściągnięcie wielkiego pieca z sań nie było takie trudne jak powstrzymanie ich od zjechania z pagórka w dół, do doliny poniżej. Podszedł z Kitty na szczyt wzniesienia, gdzie znalazła wszystkie tkaniny, nici i przybory do szycia.

- Richardzie, jesteś dla mnie za dobry.

- Nie, to niemożliwe. Jesteś przecież w ciąży, nosisz moje dziecko. - Zaczął ładować sanie, przygotowując je do kolejnego zjazdu W dół stoku wraz z kominkiem, co Kitty uznała za mniej interesujące. Dostarczywszy go na miejsce, udali się z powrotem do domu, idąc drogą do Queensborough. Tym razem Richard ciągnął za sobą o wiele lżejsze sanie.

Robert Ross, stojąc przed rezydencją gubernatorską i podziwiając wspaniały zachód słońca, patrzył, jak ściągali sanie z góry George. Widział, jak parę godzin temu Richard wciągał je na ten stromy pagórek, podziwiając wytrzymałość tego człowieka. „Jakiż on sprytny! Ale przecież pochodził z Bristolu. Miasta sań. Wątpię, czy muł miałby więcej siły. Jestem zaledwie osiem lat starszy od niego, ale nawet kiedy miałem dwadzieścia lat, nie zdołałbym tego zrobić”. Dziewczyna, zadecydował, służyła mu wyłącznie do zaspokajania jego żądz. Słodkie, małe stworzenie, dziwnie dystygowane. Bękart z przytułka, jak poinformowała go pani Morgan, pociągając nosem. No ale bękarty z przytułków prowadzonych przez Kościół anglikański, takich jak ten dla dziewcząt w Canterbury - miał jej dokumenty - zazwyczaj pochodziły z wyższych sfer. Sam Morgan był wykształconym człowiekiem, pochodzącym ze średniej warstwy, więc bękart z przytułka w pewnym sensie

go upokarzał. „Ale nie tak - pomyślał major cynicznie, odwracając się - jak jego legalna żona”.

Richard i Kitty przeprowadzali się w sobotę i niedzielę dwudziestego siódmego i dwudziestego ósmego sierpnia 1791 roku. Kilka pracowitych pszczołek zamontowało belki, wsporniki i gonty na dachu oraz wycięło ścieżkę wiodącą od frontowych drzwi aż do strumienia. Na razie ukończono jedynie parter, a górą zajmą się dopiero wtedy, kiedy stanie się to konieczne. Upłynie sporo czasu, zanim jego nowy dom zacznie wyglądać równie ładnie jak stary, ale Richardowi było to obojętne.

Mieli parę stołów, kuchenną ławę, sześć porządnych krzeseł, dwa solidne łóżka - jedno nawet z puchowym materacem i puchowymi poduszkami - półki na szpargały Richarda i kamienny kominek z dużym paleniskiem. Żelazną kuchnię wmontowali w kominek, a jej stołowy komin wsunęli w otwór kominka. Odtąd nie będą mieli już otwartego kominka, co przyciemni trochę wnętrze po zapadnięciu zmroku, ale za to będzie o wiele bezpieczniej. Z okazji przeprowadzki do nowego domu dostali prezenty od ludzi, którzy nie mogli im ofiarować niczego poza roślinami lub drobiem. Richard i Kitty przyjęli je z wdzięcznością, dobrze znając ich prawdziwą wartość. Nat i Olivia Lucas ofiarowali im szylkretowego koloru kociaka, a Joey Long jeszcze jednego psa. Dwóch zamożnych ludzi z kręgu przyjaciół Morgana było bardzo hojnych - Stephen ofiarował im dębowy kredens kuchenny, który odkupił od lekarza Jamisona, a Wentworthowie sprezentowali im kołyskę. Kota nazwali Tibby, a nową suczkę Charlotte, ponieważ wyglądała jak spaniel króla Karola. MacTavish zaaprobował oba zwierzęta, był bowiem jedynym samcem.

Richard miał trudności z określeniem położenia chlewu i wychodka, dopóki nie wpadł na pomysł wytyczenia biegu podziemnego strumienia, który zasilał źródło, nic bowiem nie powinno go zanieczyszczać. Przypomniawszy sobie, co uczynił brat Peg, kiedy musiał wykopać nową studnię, Richard wyciął rozwidloną gałązkę z żywego zielonego krzewu, przytrzymał końce rozwidlenia rękami i spróbował różdżkarstwa. Miał dziwne uczucie, kiedy to zaczęło działać, tak jakby gałązka nagle ożywiła się i zaczęła mu się delikatnie opierać. A mimo to Kitty nie potrafiła sprawić, by jej czubek w ogóle się poruszył, podobnie zresztą jak Stephen.

- To przez naszą skórę - stwierdził Stephen, patrząc ponuro na swoje dłonie. - Twarda, sucha i pokryta odciskami. Twoja skóra, Richardzie, jest miękka i nawilżona. Wydaje mi się, że skóra różdżkarza zamyka obieg wody.

Cokolwiek było źródłem tej magii, Richard nie miał innego wyjścia - musiał

usytuować zarówno chlew, jak i wychodek na północ od domu, bo wszędzie na południe od niego znajdowały się podziemne strumienie.

Nikt nie przewidział najsmutniejszej konsekwencji ich przeprowadzki, choć Richard winił siebie, że o tym nie pomyślał. Tej samej niedzieli, kiedy pożegnali się bez żalu z tym akrem u wejścia do Doliny Arthura, John Lawrell został przyłapany w swojej chacie przez żonatego kaprala z piechoty morskiej na grze w karty z Williamem Robinsonem Drugim. Major Ross powiedział kapralowi, że może się przenieść z rodziną do pustego domu na ostatnie parę miesięcy jego służby i człowiek ten ruszył ochoczo, żeby go zobaczyć. Żarliwie religijny zgorszył się tym, co zobaczył, zaglądając przez drzwi do chaty Lawrella. Gra w karty w niedzielę! Lawrence i Robinson zostali skazani na sto batów chłosty, każdy za uprawianie hazardu w niedzielę.

- Ależ to okropne! - wykrzyknął Richard do Stephena. - Nie mieli przecież zamiaru skrzywdzić ani Boga, ani ludzi. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że było w tym coś złego, są przecież przyjaciółmi, którzy spędzają niedzielne popołudnie przy talii kart, nie grając na pieniądze, po prostu zabawiając się. Gdybym tak porozmawiał z majorem...

- Nie, nie możesz tego uczynić - odparł Stephen stanowczo. - Richardzie, zostaw tę sprawę. Od czasu tej jego nieomal śmiertelnej choroby major dostał bzika na punkcie religii i tego, że nie mamy tu żadnego duchownego. Jest przekonany, że wzrost przestępczości wynika z bezbożności i niewłaściwego poszanowania niedzieli. No cóż, Szkot pod wpływem bezlitosnej prezbiteriańskiej etyki. Lawrell już nie jest pod twoją ochroną. Bez względu na to, co powiesz, i tak nie zmienisz decyzji majora. W jakiś dziwny sposób świadczy to dobrze i o tobie, a przynajmniej tak widzi to major. Z chwilą twojego odejścia Lawrell zaczyna grzeszyć.

- Nie chcę żadnej aprobaty kosztem drugiego człowieka - powiedział z goryczą Richard. - Czasami nienawidzę Boga!

- To nie Boga nienawidzisz, Richardzie. Ty nienawidzisz głupców, którzy nazywają się bożymi sługami.

Szesnastego września przybył „Salamander”, przywożąc dwustu więźniów i dodatkowych żołnierzy z Korpusu Nowej Południowej Walii. Zanim statek odpłynął, liczebność ludności wyspy wzrosła do tysiąca stu piętnastu osób. Zarówno liczba zgonów, jak i chłost zwiększyła się od czasu przybycia „Mary Ann” pod koniec 1790 roku, kiedy to John Price, więzień z „Surprise”, skonał na skutek wycieńczenia po tej potwornej podróży.

Proporcja mężczyzn w stosunku do kobiet wzrosła teraz dramatycznie na korzyść

mężczyzn, lecz nie tych silnych i zdrowych. Wielu z tych nowo przybyłych było tak chorych, że wkrótce umierali mimo udzielonej im pomocy, podczas gdy ci nie tak bardzo osłabieni nieustannie okradali ogrody lub usiłovali włamywać się do magazynów w poszukiwaniu wszystkiego, co mogłoby im uprzyjemnić życie. Niesfornych więźniów od gubernatora Phillipa natychmiast przyciągał obóz Francisa, Pecka, Dyera i Picketta, do których przyłączyli się również okaleczeni i rozczarowani ludzie, tacy jak Willy Dring, którego Richard pamiętał jeszcze z czasów „Alexandra” jako dobrego młodego człowieka. Codziennie wybuchały zażarte kłótnie i więzienie nieustannie było przepełnione, a koło młyńskie pracowało na pełnej mocy. Coraz częściej widywało się mężczyzn w okowach, a niekiedy nawet zakute w łańcuchy kobiety. Sydney, Queensborough i Phillipsburgh stały się miejscami, z których najlepiej było uciekać. Nat Lucas, mieszkający najbliżej Sydney spośród przyjaciół Richarda, zaczął karczować wyższe stoki swego kawałka ziemi w Dolinie Arthura i budował tam nowy dom, najdalej jak mógł.

Richard oczywiście zabrał ze sobą sadzonki i małe pędy bambusów oraz trzciny cukrowej, wyciąwszy wystarczająco dużo wyrosniętych bambusów, aby wykonać kilka rybackich wędek. Nie chodził już w pobliże Point Hunter łowić tam ryby na linę, Stephen również zaniechał wypraw w to miejsce. Zbyt wielu ludzi się tam kręciło, a poza tym trzeba było najpierw przejść przez miasto Sydney. Wyglądało ono teraz coraz bardziej tak, jak według Richarda musiał teraz wyglądać i Port Jackson, chociaż tutejsze budynki były drewniane. Wapno z wyspy Norfolk zostało odesłane do jego ekscelencji w Port Jackson na pokładzie „Mary Ann” i „Salamandra”, aby wyprodukowano z niego cement do cegieł i bloków z piaskowca. Port Jackson, częściej już w tych czasach zwany Sydney, również się rozrastał.

Teraz, kiedy Richard mieszkał już przy Biegu Morgana, zaczął łowić ryby ze Stephenem ze skał w pobliżu małej, piaszczystej plaży pomiędzy miejscem lądowania w zatoce Sydney i jej zachodnim krańcem, Point Ross. Droga tam nie była wcale dłuższa niż do wschodniego cypla Point Hunter, a posiadanie wędek ogromnie zwiększało ich szanse na złapanie jakiejś ogromnej ryby czy innych dużych mieszkańców powierzchniowych wód.

- Co myślisz o pogłoskach na temat tej potężnej rewolucji, do której doszło we Francji? - zapytał Stephen, kiedy w cieniu występu skalnego czyścili ryby wielkości sześciu stóp.

- Wcześniej to zdarzyło się w amerykańskich koloniach, więc czemu nie tam? Żałuję jednak, że „Mary Ann” i „Salamander” nie przywozły tu żadnych gazet z Londynu. Myślę, że będziemy musieli poczekać, aż „Gorgon” przybędzie z Port Jackson, zanim dowiemy się,

co się właściwie stało. „Gorgon” przywiezie o wiele więcej rzeczy oprócz listów od żon dla ludzi takich jak Ross i nasz drogi Ralphie.

- Napisałeś już do domu, Richardzie?

- Jak dotąd nie. Chcę mieć im coś do powiedzenia, zanim to zrobię. Stephen spojrział na niego z podziwem. Coś do powiedzenia? A czym był „Alexander”? Albo i Port Jackson? Czym była wyspa Norfolk?

- Nie widzę żadnego sensu w pisaniu smutnych listów - wyjaśnił Richard. - Kiedy do nich w końcu napiszę, chcę powiedzieć mojej rodzinie i przyjaciołom w Anglii, że przeżyłem i nawet trochę mi się powiodło. Że moje życie na antypodach nie jest puste.

- Tak, rozumiem. A zatem wkrótce do nich napiszesz. To znaczy, jeśli jeszcze nie zapomniałeś tej sztuki.

- Jestem w tym równie dobry jak niegdyś. Może i nie piszę listów, ale jeśli tylko nie jestem za bardzo zmęczony, robię notatki ze wszystkiego, co czytam.

Skierowali się w stronę Biegu Morgana, idąc dłuższą trasą, aby ofiarować część okazałej ryby Olivii Lucas. Po drodze spotkali w mieście D’arcy’ego i jemu również podarowali trochę ryby, a następnie brodząc wzdłuż strumienia za starym domem Richarda, wspięli się na urwisko.

Było już trochę widać, że Kitty jest w ciąży i zdążyła też udowodnić, że będzie idealną żoną dla osadnika z wyspy Norfolk. Nauczyła się bowiem posługiwać młotkiem, dawała sobie radę z nagłymi drobnymi wypadkami, takimi jak ucieczka jednej z córek Augusty do ogrodu warzywnego, umiała równać i polerować wewnętrzne ściany, w miarę jak Richard je wznosił, ścinać całkiem pokaźne drzewa, przygotowywać drewno na opał, nosić wodę, prac, gotować, czyścić i szyć. W wolnym czasie, jak poinformowała Richarda poważnie, pruć jakieś lniane szmaty i zwijała nitki w coś, co, miała nadzieję, posłuży za knoty. Potem, kiedy Richard ubije świnie, zrobi z twardego tłuszczu lój i będzie odlewać świece. W ten sposób nie będą musieli kupować w magazynach świec, gdzie żądali po pensie za jedną.

- Za ciężko pracujesz - upominał ją Stephen, kiedy zasiedli do stołu, aby zjeść upieczoną w piecu rybę, owiniętą w liście bananowca.

- Stephen, nie zaczynaj! - powiedziała groźnie, jedząc z apetytem. - Richard ciągle się o to ze mną sprzecza. Naprawdę, czuję się dobrze, jestem zdrowa i silna. A poza tym już się przekonałam, że jestem najszczęśliwsza, kiedy coś robię. Zwłaszcza dlatego, że jest to mój dom, że byłam z Richardem jeszcze przed jego powstaniem.

- Kiedy znajdę człowieka, któremu będę mógł zaufać, Kitty, zapłacę rządowi i zatrudnię go do wykonywania prac, których nie będziesz już mogła robić, gdy staniesz się za

ciężka.

- Na tym właśnie polegał błąd George'a Guesta - powiedział Stephen. - Gdyby poczekał do zakończenia swego wyroku, a potem doszedł z majorem Rossem do jakiegoś porozumienia w związku z zatrudnianiem dwóch pracowników, ani on, ani oni nie zostaliby wychłostani.

- George jest dobrym człowiekiem, lecz za bardzo mu się śpieszy, aby się dorobić. Myślał, że taniej wyjdzie, jak bezpośrednio zatrudni dwóch żołnierzy, niż jeśli zapłaci rządowi za zatrudnienie ich w jego imieniu. Angielski rząd nie funkcjonuje jednak w ten sposób. Boleję na zasadami jego działania, ale nie popieram prób oszukiwania. Dostanę mojego człowieka za dziesięć funtów rocznie, na co mnie stać. To znaczy - powiedział z uśmiechem - jak już pospłacam długi.

- Ty też za ciężko pracujesz, Richardzie.

- Nie sądzę. Łowienie ryb na skałach w sobotnie poranki jest wspaniałym odpoczynkiem, podobnie jak uprawa ogrodu i czyszczenie chlewu po niedzielnym nabożeństwie. Na szczęście zakaz majora dotyczący niedzielnych zajęć nie obejmuje również rzeczy, które ostatecznie znajdują się w rządowych magazynach. Jego doktryna ogranicza się jedynie do picia i hazardu.

- Skoro jesteśmy przy temacie alkoholu, ludzie z Korpusu Nowej Południowej Walii zmontowali bardzo ładną gorzelnię z Francisem Meem i Eliasem Bishopem.

- No cóż, musiało do tego dojść, zwłaszcza gdy major zrobił się taki religijny. A poza tym wysłał w zeszłym roku sporo z tego, co wyprodukowaliśmy, do Port Jackson na „Supply”. To niesłychane, jak prędko rośnie ilość trunku, kiedy para nędznych kociołków pracuje dzień i noc, również w niedziele - zaśmiał się Richard.

Po wyjściu Stephena, Richard i Kitty pracowali obok siebie w ogrodzie aż do kolacji, którą zjedli tuż przed zapadnięciem zmroku. Małe cytrusowe drzewka przyjęły się w nowym miejscu, podobnie zresztą jak większość innych roślin. Rok ten był względnie wolny od robactwa i na tyle suchy, że zapowiadało się, że zboże w Dolinie Arthura i rządowa kukurydza w Queensborough osiągną rekordowe plony. Oczywiście było sporo słonych deszczów, lecz na szczęście większości towarzyszyły burze, które zmniejszały negatywne skutki. Opadów było tyle, aby umożliwić wzejście zboża. Nawet przy tysiącu stu piętnastu mieszkańcach wyspa Norfolk prawdopodobnie zdoła wyprodukować własny chleb i dodatkową wieprzowinę do peklowania dla Port Jackson.

W mieście Sydney, Queensborough i Phillipsburghu - między pracowitymi

ogrodnikami rekrutującymi się spośród skazańców a leniwymi żołnierzami i piechotą morską - ponownie zaczęły wybuchać kłótnie. Mieli tam teraz wielu poważnie chorych więźniów, którzy naprawdę nie mogli pracować. Niektórzy z nich umierali, reszta padała ofiarą zdrowych - tak samo jak w Port Jackson - silniejsi rabowali słabszym żywność i ubrania. Ludzie obciążeni obowiązkiem karmienia ubogich, którzy nie pracowali ze względu na chorobę, buntowali się z tego powodu. Zwłaszcza jeśli nie uzyskali jeszcze ułaskawienia lub nie zakończyli swego wyroku i w związku z tym nie wolno im było zatrzymać tego, co wyhodowali, dla siebie lub odsprzedać tego do magazynów.

Głód nadal panował po stronie Phillipsburgha i Kaskad. Zaledwie trzy mile drogi, lecz równie dobrze mogłoby to być i w Port Jackson, tak odizolowana była ta część wyspy. W Phillipsburghu hodowano o wiele mniej jadalnych roślin na rzecz uprawy lnu, a import jarzyn z południa wyspy należał do obowiązków pana Andrew Hume'a, kontrolera. Prowadził on energiczny handel, skupując więzienne koszule, i nieustannie narażał się na gniew majora Rossa, obcinając racje swoich robotników, aby odsprzedać je żołnierzom z Korpusu Nowej Południowej Walii, mieszkającym w połowie drogi do Kaskad. Ponieważ prawie wszystkie oddziały zastępcy gubernatora wchodziły w skład Korpusu Nowej Południowej Walii, Ross nie miał możliwości nadzorować Phillipsburgha i kontrolować przymierza pomiędzy Hume'em a kapitanem Hillem. Jeden głodny robotnik pracujący przy lnie zjadł jakąś roślinę w lesie, którą pomylił z kapustą, i umarł, lecz Hume i tak kontynuował swoje malwersacje i oszustwa, przy poparciu Hilla i jego żołnierzy.

Źródłem zła stała się sama hodowla żywności i antagonizmy pomiędzy tymi, którzy hodowali dużo i jedli dobrze, a tymi, którzy nie hodowali nic, rosły z każdym dniem przy dźwięku gwizdków i coraz częstszym krzyku chłostanych ludzi. Wymagano teraz, aby lekarz nadzorował stosowanie bata, więc Callum, Wentworth, Considen i Jamison przystąpili do konspiracji. Jeśli któryś z nich został odesłany do asystowania przy wymierzaniu kary, zalecał przerwanie chłosty po piętnastu do pięćdziesięciu batach z całości, a następnie upewniał się, aby dalsza część nie była wymierzana przed całkowitym zagojeniem się ran. W ten sposób wymierzenie więźniowi dwustu batów mogło potrwać bardzo długo i zazwyczaj major Ross darował przestępcy pozostałą część kary, zanim zdołano wyrządzić mu zbyt wielką krzywdę.

W miarę jak różnice w opiniach i urazy wynikające z rangi czy pozycji zaczęły dopiekać do żywego zranionym żołnierskim uczuciom, rzeczywistym - czy też - nazbyt często - urojonym, wzrosła również liczba sądów wojskowych. Większość żołnierzy i członków piechoty morskiej, włącznie z oficerami, była ludźmi niewykształconymi, ograniczonymi, łatwo ulegającymi wpływom innych, wybuchowymi, niedojrzałymi i skłonny do wierzenia

we wszystko, co się im powie. Urojone lekceważenie rozdmuchiwano do rozmiarów niewybaczalnej obrazy, zanim plotki o niej zdołały dotrzeć do wszystkich za pośrednictwem poczty pantoflowej, działającej równie sprawnie i powszechnie pośród ludzi wolnych, jak i między skazańcami.

Niezmordowany porucznik Ralph Clark zdobył jeszcze większe uznanie majora Rossa dzięki wykryciu - wtykając nos w nie swoje sprawy - listu od urzędnika majora, Francisa Folksa, do prokuratora generalnego w Port Jackson, kapitana Davida Collinsa. Dokument ten oskarżał Rossa o wyjątkowe okrucieństwo, ucisk, pozbawianie ludzi wolnych i skazańców racji żywnościowych, i tak dalej. Załączono do tego różne dokumenty potwierdzające te fakty oraz wiele opinii na temat tego, jak zastępca gubernatora zarządzał wyspą Norfolk, które przedstawiały go jako kogoś pomiędzy Iwanem Groźnym a Torquemadą. W odpowiedzi na to Ross zakął Folksa w kajdany, skonfiskował list, dokumenty i opinie jako dowody i rozkazał, aby Folks został osądzony w Port Jackson przez adresata listu, Collinsa. Ten z kolei, choć sam był oficerem piechoty morskiej, zarliwie nienawidził Roberta Rossa. Major od początku dobrze wiedział, komu Collins uwierzy. To jednak nie miało znaczenia. Protokoły były wyraźne, a prawo wojenne należało już do przeszłości. Niestety.

Drugiego listopada przybył „Atlantic” z wieściami, które we wszystkich, z wyjątkiem majora Rossa, uderzyły jak grom z jasnego nieba. Dostarczył pocztę i paczki, które przywiózł z Portsmouth „Gorgon”, bo i on w końcu dotarł do Port Jackson. „Atlantic” przywiózł również nowego zastępcę gubernatora dla wyspy Norfolk, komendanta Philipa Gidleya Kinga, który powrócił z Anglii na „Gorgonie” ze swoją młodą żoną, Anną Josepha. Kiedy zeszli z „Atlantica” na wyspę Norfolk, była w ostatnim stadium ciąży, rozpieszczana przez młodego Williama Neate’a Chapmana, protegowanego Kinga i oficjalnie jego mierniczego. Społeczności przyzwyczajonej już do rządów majora Rossa trudno było zdecydować, które z tych dwojga - Anna Josepha czy Willy Chapman - było bardziej głupie. Wołali do siebie „bracie” i „siostró”, chichotali nieustannie, spoglądali na siebie figlarnie i wszyscy zwracali uwagę na podobieństwo ich rysów twarzy. Dwaj chłopcy Kinga zrodzeni z Ann Innet nie przyjechali z nim, choć krążyły plotki, że Norfolk, ten starszy, był w Anglii pod opieką rodziców pani Philipowej Gidley King. Rodzice samego Kinga byli bardziej surowi, co doprowadziło do spekulacji, iż rodzina Anny Josephy była bardziej przyzwyczajona do bękartów, więc być może Anna Josepha i Willy Chapman też byli...

Na „Atlanticu” przybył również kapitan William Paterson z Korpusu Nowej Południowej Walii z żoną - oczywiście również Szkotką - oraz wielebny Richard Johnson,

aby pobłogosławić, udzielić ślubów oraz ochrzcić trzydzieści jeden narodzonych na wyspie Norfolk dzieci. Niektórzy z gości mieli pozostać jedynie na krótko. „Queen”, nowo przybyły do Port Jackson okręt, miał przywieźć jeszcze więcej skazańców, tym razem samych Irlandczyków, których zabrano z Cork.

Wszystko to wskazywało na rychłe odejście piechoty morskiej. Major Ross i porucznicy Clark, Faddy oraz Ross Junior, a także resztki zwerbowanych członków piechoty morskiej mieli opuścić wyspę na „Queen”. Zaplanowano, że spędzą jakiś czas w Port Jackson, czekając na powrót „Gorgony” z wyprawy po żywność do bengalskiej Kalkuty, gdzie hodowano silną i wytrzymałą rasę bydła. Mijały lata, lecz po tym rządowym stadzie, które niegdyś uciekło, nadal nie było ani śladu.

Było to takie powikłane! Takie irytujące! Wydawało się, że wszystko wydarzyło się w mgnieniu oka - statki i komendanci przyплыли i odpłynęli, a do tego przybyło jeszcze więcej gąb do wykarmienia. Starsi mieszkańcy wyspy chodzili oszołomieni, zastanawiając się, jak się to wszystko zakończy.

Komendant King był przerażony tym, co zobaczył na swej ukochanej wyspie Norfolk. Do diabła, to miejsce stało się drewnianą wersją tej spelunki bezceństwa, jaką był Port Jackson! A jeśli już chodzi o samą rezydencję gubernatorską... Jak on mógł zaproponować swojej młodej żonie, aby zamieszkała w takiej zaniedbanej, walącej się i ciasnej rezydencji? I do tego z taką wulgarną ulicznicą jak ta pani Richardowa Morgan, która wystroiła się, w co tylko miała, aby go powitać i oprowadzić po całym budynku. Będzie musiała odejść, a im szybciej, tym lepiej.

Na humor Kinga bynajmniej nie wpływała korzystnie świadomość, że duża dostawa bydła, które zakupił z własnej inicjatywy w Kapsztadzie, nie przetrwała podróży na „Gorgonie” i jedynie niewielkie resztki przybyły z nim na „Atlanticu” - parę schorowanych owiec, kóz i indyków - ale ani jedna krowa nie pozostała przy życiu.

Och, miejsce to było takie zniszczone i niechlujne! Jakże major Ross mógł pozwolić, aby ten klejnot oceanu stoczył się do takiego poziomu? Ale czegoż można się było spodziewać po takim gburowatym Szkocie z piechoty morskiej? King stał się teraz nieco za bardzo zarozumiały i zaczęła górować celtycka strona jego charakteru. Aż świerzbila go ręka, aby dokonywać wielkich czynów, kiedy tak rozpaczał, że wyspa Norfolk nie stwarzała warunków, by mógł się wykazać.

Wieczny romantyk rzeczywiście spodziewał się, że osada licząca ponad tysiąc trzysta mieszkańców będzie wyglądała dokładnie tak samo jak w czasach, gdy było tu sto

czterdzieści dziewięć osób. Jedynym pocieszającym faktem, oprócz jego kochanej małej Anny Josephy, były jego nieprzebrane zapasy porto.

Skazani na swoje towarzystwo King i Ross spoglądali na siebie podejrzliwie spod okamiczymi dwa psy zastanawiające się, który z nich wygra ewentualną walkę. Z charakterystyczną dla siebie otwartością major Ross nie zdobył się na żadne przeprosiny ani wyjaśnienia dotyczące tak złego stanu wyspy. Ograniczył się zaledwie do skróconych podsumowań tego, co omawiały szerzej jego papiery i kroniki. To, co w tak przeludnionej rezydencji rządowej mogłoby rozwinąć się przy obiedzie w burdę, rozwiewało się dzięki taktowi wielebnego Johnsona, obecności bliźniaczo do siebie podobnych Anny Josephy i Willy'ego Chapmana, smakowitemu jedzeniu serwowanemu przez panią Richardową Morgan oraz paru butelkom porto.

Kapitan William Hill z Korpusu Nowej Południowej Walii zrobił, co mógł, aby zrujnować reputację wyjeżdżającego majora Rossa, wybierając więźniów, których przesłuchiwał pod przysięgą przed wielebnym Johnsonem i panem Williamem Balmainem, lekarzem, który przybył na miejsce Denisa Considera. Hill i Andrew Hume obrzucili go błotem, lecz major walczył dzielnie, ustalając bez specjalnego wysiłku, że więźniowie ci byli krzywoprzysięzcami i łajdakami, a Hill i Hume niewiele się od nich różnili. Bitwa ta toczyć się będzie z pewnością dalej w Port Jackson, lecz na razie uczestnicy ogłosili przerwanie działań wojennych i zajęli się pakowaniem lub rozpakowywaniem kufrów i toreb.

Richard trzymał się przezornie z daleka, bardzo żałując, że major Ross odjeżdża i nie będąc pewien, czy chciał widzieć porucznika - to znaczy - komendanta Kinga na miejscu majora. Cokolwiek dobrego lub złego można by o Rossie powiedzieć, to przede wszystkim był realistą.

Oficjalna zmiana nastąpiła w niedzielę trzynastego listopada, po odprawieniu nabożeństwa przez wielebnego Johnsona. Wszyscy mieszkańcy wyspy zgromadzili się przed rezydencją rządową, gdzie odczytano akt mianowania komendanta Kinga. „Atlantic” szykował się do drogi, a „Queen” wycofał się już w stronę Kaskad. Oba okręty miały odpłynąć nad ranem. Major Ross zwrócił się do nowego zastępcy gubernatora, aby przebaczył wszystkim skazańcom zamkniętym w więzieniu lub skazanym na odbycie kary, a komendant King przystał na to łaskawie.

- Zrobiliśmy, co należało, i tylko nie pocałowaliśmy się na pożegnanie - powiedział major Ross Richardowi, kiedy tłum już się rozszedł. - Przejdź się ze mną kawałek, Morgan, ale wyślij swoją żonę z Longiem do domu.

„Moje szczęście nadal mnie nie opuszcza” - pomyślał Richard, dając Kitty skinieniem głowy do zrozumienia, że powinna wraz Joeyem wracać bez niego. Jego transakcja z Rossem o zagwarantowanie usług Josepha Longa, owego czternastoletniego mężczyzny, w charakterze robotnika i ogólnej pomocy za sumę dziesięciu funtów rocznie została podpisana niedawno. Zastanowiwszy się bowiem nad możliwością wyboru kilku innych mężczyzn, zdecydował, że głupi, wierny Joey Long będzie najlepszy. A ponieważ pośród przybyłych ostatnio więźniów było kilku szewców, major Ross zgodził się na odejście Joeya. Ta zmiana zatrudnienia była korzystna także dla Joeya, bo komendant King z pewnością nie zapomniał utraty swojej najlepszej pary butów.

- Cieszę się, że mam sposobność życzyć panu powodzenia, panie majorze - powiedział Richard, ociągając się. - Będzie mi pana bardzo brakowało.

- Nie mogę zwrócić ci komplementu w ten sam sposób, Morgan. Mogę powiedzieć tylko tyle, że nigdy nie przeszkadzał mi widok twojej twarzy i nie miałem nic przeciwko słowom, które padały z twoich ust. Nienawidzę tego miejsca równie mocno, jak nienawidziłem Port Jackson czy Sydney, czy jakkolwiek ono się teraz nazywa. Nie cierpię piechoty morskiej. I nie cierpię tej pierdolonej królewskiej floty. Jestem ci zobowiązany za usługi twojej żony, która okazała się - tak jak powiedziałaś - doskonałą gospodynią, ale nie kokietką. Jestem ci zobowiązany zarówno za drewno, jak i rum. - Przerwał na chwilę, żeby się nad czymś zastanowić i dodał: - Nie cierpię też tego pierdolonego Korpusu Nowej Południowej Walii. Nie łudź się, jeszcze dojdzie do rozliczenia. Ci idealistyczni głupcy z floty wypuszczą tu stado wilków w tym kącie globu ziemskiego, wilków przebranych za żołnierzy Korpusu Nowej Południowej Walii, do których wilki z piechoty morskiej, takie jak ten cholerny George Johnston, zamierzają się przyłączyć. Zależy im na więźniach i tych koloniach karnych tyle co i mnie, ja jednak powrócę do Anglii jako ubogi człowiek, podczas gdy oni powrócą o wiele tłuszczej dzięki każdemu ścierwu, w którym zdołają zatopić swoje kły. Rum odegra w tym znaczącą rolę, zapamiętaj sobie moje słowa. Wzbogacanie się kosztem obowiązku, honoru, króla i kraju. Morgan! Jeszcze tak będzie.

- Nie mam co do tego wątpliwości, panie majorze.

- Widzę, że twoja żona spodziewa się dziecka.

- Tak jest, panie majorze.

- Lepiej ci będzie z dala, poza Doliną Arthura, ale sam byłeś już na tyle przezorny, że wcześniej o tym pomyślałeś. Z panem Kingiem nie będziesz miał żadnych kłopotów. On nie ma wyjścia i musi uhonorować transakcje, które ja zawarłem jako legalnie mianowany zastępca gubernatora Jego Królewskiej Mości. Oczywiście twoje ułaskawienie ostatecznie

spoczywa w rękach jego ekscelencji, ale twoja kara i tak kończy się za parę miesięcy, więc nie widzę powodu, dla którego nie miałbyś uzyskać całkowitego ułaskawienia. - Ross przerwał. - Jeśli ta barbarzyńska wyspa kiedykolwiek osiągnie powodzenie, to stanie się to tylko dzięki ludziom takim jak ty i Nat Lucas. - Wyciągnął rękę. - Do widzenia, Morgan.

Powstrzymując łzy, Richard ujął jego dłoń i mocno uściskał.

- Do widzenia, majorze Ross. Życzę panu wszystkiego najlepszego. „A to jest tylko połowa zadania” - pomyślał Richard, śpiesząc za Kitty i Joeyem. - „Pozostała mi jeszcze do załatwienia ta druga część”.

Doszło do tego, kiedy „Queen” rozładował swoje zapasy i wysadził skazańców przy Kaskadach, a potem w zatoce Sydney. Richard ciął wówczas z nowym człowiekiem, gdyż Billy Wigfall już odjeżdżał, więc był zbyt zajęty wykrzykiwaniem instrukcji do swego partnera na dole, aby móc się rozglądać. Po zakończeniu cięcia zauważył jakąś postać w mundurze królewskiej floty, błyszczącą od złotych obszyć. Odwinął szmaty z rąk i podszedł powitać komendanta Kinga.

- Czy nadzorca traczy też powinien pracować? - zapytał King, patrząc na piersi i ramiona Richarda z niejakim lękiem.

- Chciałbym mieć w tym swój udział, proszę pana, a dzięki temu moi ludzie wiedzą, że nadal jestem lepszy od nich. W tej chwili wszystkie doły trackie pracują dobrze i każdym z nich kieruje dobry nadzorca. Ten - pański trzeci, pamięta pan? - jest tym, w którym sam pracuję.

- Przysięgam, że lepiej wyglądasz teraz, Morgan, aniżeli gdy wyjeżdżałem. Rozumiem, że jesteś wolnym człowiekiem dzięki ułaskawieniu?

- Tak, proszę pana.

Wydawszy usta, King z pewną irytacją stukał palcami po swoich odzianych w olśniewającą biel udach.

- Ośmielam się stwierdzić, że nie mogę obwiniać trackich dołów za złe budownictwo - powiedział.

Ukazała się przepaść, lecz trzeba było ją przeskoczyć. Richard zacisnął szczęki i spojrzał prosto w oczy Kinga, obecnie o wiele bardziej świadomy tego, że posiada pewną moc. „Dziękuję ci, Kitty”.

- Mam nadzieję, proszę pana, że nie zamierza pan winić za to Nata Lucasa.

King podskoczył z przerażeniem.

- Ależ nie, nie, Morgan! Naturalnie, że nie! Obwiniać za to mojego naczelnego stolarza? Nie podejrzewaj mnie nawet o taki brak rozsądku. Nie, to majora Rossa za to winię.

- Jego również nie może pan za to winić - odpowiedział twardo Richard. - Opuścił pan to miejsce dwadzieścia miesięcy temu. Tydzień czy dwa tygodnie później liczba mieszkańców wzrosła ze stu czterdziestu dziewięciu osób do ponad pięciuset. W czasie, kiedy pana tu nie było, tutejsza ludność osiągnęła liczebność ponad tysiąca trzystu osób. A po przyjeździe „Queen” wzrosła jeszcze bardziej, a do tego to sami Irlandczycy. Oni nawet nie mówią po angielsku, przynajmniej większość z nich. To po prostu nie jest już to samo miejsce, które pan opuścił, komendancie King. Wówczas cieszyliśmy się dobrym zdrowiem. Żyło nam się ciężko, ale dawaliśmy sobie radę. Teraz przynajmniej jedna trzecia z tych, których trzeba wykarmić, jest chora, a do tego mamy wyrzutków z Port Jackson, nie mówiąc już o skończonych łajdakach. Jestem pewien - ciągnął dalej, ignorując narastające oburzenie i zniecierpliwienie Kinga - że kiedy był pan w Port Jackson, dyskutował pan z jego ekscelencją na temat kłopotów, z którymi boryka się gubernator. No cóż, tutaj jest tak samo. W ciągu ostatnich dwudziestu miesięcy moje doły wyprodukowały tysiące stóp drewna. Większość z tego powinna być suszona o wiele dłużej, ale nieustannie przybywali nowi ludzie. Może pan powiedzieć, że major Ross, Nat Lucas, ja i wielu innych znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Ale nie było w tym niczyjej winy. A przynajmniej nikogo po tej stronie globu.

Czekał cierpliwie, z oczyma utkwionymi przez cały czas w Kingu. Żadnej uniżoności, ale też ani śladu bezczelności czy arogancji. „Jeśli ten człowiek ma tu przeżyć - pomyślał - musi wziąć pod uwagę to, co powiedziałem. W przeciwnym razie poniesie porażkę i skończy się na tym, że wyspą Norfolk będzie rządził Korpus Nowej Południowej Walii”.

Sprytny Celt mocował się z flegmatycznym Anglikiem dobrą minutę, po czym ramiona Kinga opadły.

- Słuchałem uważnie tego, co mówiłeś. Chciałem jednak przez to powiedzieć, że tak dalej nie może być. Żądam, aby to, co się buduje, było odpowiednio konstruowane, nawet jeśli niektórzy będą musieli mieszkać pod brezentem nie wiadomo jak długo. - Humor mu się poprawił. - Major Ross mówił mi, że plony udają się wspaniale, zarówno tutaj, jak i w Queensborough. Wiele akrów i nic nie zmarnowane. Przyznaję, że to jest osiągnięcie. Ale ciągle musimy posługiwać się ludźmi do pchania koła młyńskiego. - Spojrzał na swoją tamę, ciągle jeszcze trzymającą się dobrze. - Potrzebne nam będzie koło młyńskie i Nat Lucas twierdzi, że może je skonstruować.

- Jestem tego pewien. Jedyńm jego wrogiem jest czas i brak materiałów. Dać mu tylko to ostatnie, a on już znajdzie to pierwsze.

- Ja też tak sądzę. - Twarz jego przybrała konspiracyjny wyraz, kiedy odsunął się, tak aby nikt nie mógł ich usłyszeć. - Major Ross powiedział mi również, że destylowałeś dla

niego rum w czasie kryzysu. Pomiędzy marcem a sierpniem tego roku, kiedy zabrakło rumu i nie było okrętów, rum ten ocalał od buntu także Port Jackson.

- Owszem, destylowałem, panie komendancie.

- Czy masz aparat?

- Tak, panie komendancie. Dobrze ukryty. Nie należy do mnie, jest własnością rządową. To, że jestem jego stróżem, wynika z faktu, że major Ross mi ufał.

- Szkoda, że ci beznadziejni kapitanowie okrętów nie mieli nic przeciwko sprzedawaniu aparatów destylacyjnych prywatnym osobom. Słyszę, że niektórzy z Korpusu Nowej Południowej Walii oraz najgorsi więźniowie sami pędzą alkohol. Przynajmniej w Port Jackson nie da się hodować trzciny cukrowej, tutaj natomiast rośnie ona niczym chwast. Wyspa Norfolk jest zatem potencjalnym źródłem rumu. Gubernator Nowej Południowej Walii musi zdecydować, czy importować rum ogromnym kosztem z odległości tysięcy mil, czy też zacząć go destylować tutaj.

- Wątpię, aby gubernator Phillip się na to zgodził.

- Owszem, ale on wiecznie gubernatorem nie będzie. - King zdawał się bardzo zatroskany. - Podupada na zdrowiu.

- Panie komendancie, nie ma sensu zamartwiać się sprawami, które dotyczą odległej przyszłości - stwierdził Richard, oddychając z ulgą. Przeskoczył przepaść, sprawy pomiędzy nim a Kingiem będą się układały pomyślnie.

- To prawda, prawda - przyznał nowy zastępca gubernatora i wycofał się, aby spędzić godzinkę czy dwie w swoim gabinecie, być może z odrobinką porto dla złagodzenia monotonii.

- **Jest dla ciebie** skrzynia w magazynach - powiedział Stephen wkrótce po tym spotkaniu. - Co się stało, Richardzie? Jak na kogoś, dla kogo rozłupanie tuzina gigantycznych belek jest pestką, wyglądasz na wyprutego.

- Właśnie odbyłem szczerą rozmowę z komendantem Kingiem.

- A... No cóż, jesteś już wolnym człowiekiem, więc nie może kazać cię wychłostać bez rozprawy i wyroku skazującego.

- O, jakoś to przeżyłem. Zawsze mi się udaje.

- Nie wódź losu na pokuszenie! Richard pochylił się i postukał w drewno.

- A w każdym razie tym razem - poprawił się. - Ma dość rozsądku, aby zrozumieć, że mówiłem jedynie prawdę.

- A zatem ma jakieś szanse. Czy słyszałeś, co ci najpierw powiedziałem, Richardzie?

- Nie, o co chodzi?

- W magazynach mają dla ciebie skrzynkę. Przyszła na „Queen”. Za ciężka, żeby ją przynieść, więc weź swoje sanki.

- A może zjedlibyśmy razem obiad dziś wieczorem? A potem pomógłbyś mi zbadać zawartość skrzynki.

- Będę u was.

W południe Richard wziął swoje sanie. Skrzynię wskazał mu Tom Crowder, natychmiast wzięty pod patronat pana Kinga. Ktoś już się do niej włamał, zdecydował, ale nikt tutaj w magazynach. To na „Queen” albo w Port Jackson. Ktokolwiek przeglądał jej zawartość, miał na tyle dobre maniery, że zabił z powrotem gwoździami wieko. Popychając ciężkie pudło, stwierdził, że niewiele z niego skonfiskowano. Wywnioskował więc, że sądząc po jego ciężarze, musiało zawierać książki. Sporo książek, jeśli było większe od metalowej skrzyni do przewozu herbaty i wykonane z mocniejszego drewna. Kiedy pochylił się, aby je podnieść i załadować na sanie, Crowder pisnął.

- Nie dasz rady podnieść tego sam, Richardzie! Znajdę ci kogoś do pomocy.

- Poradzę sobie, Tommy, lecz dzięki za ofertę.

RICHARD MORGAN - SKAZANIEC Z „ALEXANDRA” - wypisane było na każdej stronie skrzyni, brakowało jednak nazwiska nadawcy.

Po południu zaciągnął ją do domu. Pozostało jeszcze parę godzin do zachodu słońca, ale doły zamykano przed zakończeniem innych robót. A poza tym był już wolnym człowiekiem, który miał prawo od czasu do czasu iść wcześniej do domu.

- Za każdym razem, kiedy cię widzę, żono, rozkwitasz i stajesz się coraz to piękniejsza - powiedział Kitty, kiedy zbiegła ze schodów, żeby go powitać.

Pocałowali się, nie mogąc się od siebie oderwać, a jej usta obiecywały miłość tej nocy. Wiedział, że fizycznie była nim oczarowana. Obawiając się, że wyrządzi krzywdę dziecku, chciał przestać, lecz ona zdawała się zdumiona.

- Jakże coś tak cudownego mogłoby zaszkodzić naszemu dziecku? - spytała z prawdziwym zaskoczeniem. - Nie jesteś przecież aż tak piekielnie jurnym wałem, Richardzie.

Rozchylił usta w uśmiechu, słysząc to określenie. Czasami używała języka z pokładu „Lady Juliany”.

- Co jest w środku? - spytała, kiedy ściągnął skrzynię z sań.

- Nie wiem, ponieważ jeszcze jej nie otworzyłem.

- No to otwórz, proszę cię! Umieram z ciekawości!

- Przyszła z Port Jackson na „Queen”, nie na „Atlantyc”, a wcześniej na „Gorgonie” z

Anglii. Ta zwłoka w Port Jackson jest tajemnicą. Może ktoś chciał poznać nazwisko nadawcy. - Richard posłużył się młotkiem do wyciągania gwoździ, ale wieko ustąpiło zbyt łatwo. Bez wątpienia pudło zostało otwarte, a jego zawartość sprawdzona.

Tak jak podejrzewał, były to książki, pozbawione tego, co je wcześniej osłaniało - prawdopodobnie ubrań. Na ich wierzchu leżało pudło na kapelusze. Jem Thistlethwaite. Rozwiązał sznurki i wyjął kapelusz nad kapelusze z pokrytej szkarłatnym jedwabiem słomki, z ogromnym wygiętym rondem i masą czarnych, białych i szkarłatnych strusich piór umocowanych pod śmieszoną, sztywną kokardą i w czarno - białe paski. Wiązało się go pod brodą podobnymi satynowymi, pasiastymi wstążkami.

- O! - wykrzyknęła Kitty, unosząc go wysoko z wykrzywionymi ustami.

- Niestety, żono, to nie dla ciebie - powiedział, zanim zdążyła wpaść na jakiś pomysł. - To jest dla pani Richardowej Morgan.

- Tak się cieszę! Jest wspaniały, aleja nie mam ani wzrostu, ani twarzy, ani nawet ubrań, żeby móc go nosić. A poza tym - przyznała - pani King i pani Paterson będą uważały, że jest wulgarny.

- Kocham cię, Kitty. Naprawdę, bardzo, bardzo kocham. Nic na to nie odpowiedziała. Nigdy nie odpowiadała. Stłumiwszy westchnienie, Richard odkrył, że skrzynia zawierała również parę małych przedmiotów owiniętych w kawałki papieru, które zostały rozwinięte i zapakowane z powrotem. Jakie to dziwne! Kto otworzył tę skrzynię i dlaczego? Kapelusz ten mógłby zagwarantować najmniej atrakcyjnemu mężczyźnie w Port Jackson cały rok z najlepszą miejscową prostytutką, a jednak nikt go sobie nie przywłaszczył. Ani też tych przedmiotów owiniętych w papier. Rozwinąwszy jeden z nich, znalazł mosiężną pieczęć, przyczepioną do krótkiego drewnianego uchwytu. Kiedy odtworzył sobie w myślach jej wizerunek, zrozumiał, że przedstawiała inicjały R.M., z pewnością wplecione w łańcuchy i okowy. Pozostałe sześć papierków zawierało laski czerwonego wosku do pieczęci. To była aluzja.

Na dnie pudła na kapelusze leżał gruby list. Widniały na nim inicjały J. T. i pieczęć z gęsim piórem z całą pewnością nie złamana, choć ślady palców na zewnątrz wskazywały na to, że dokładnie go obmacano i wyściskano. I w tym momencie zrozumiał, dlaczego otwarto jego skrzynię i kto to zrobił. Stało się to w magazynach rządowych w Port Jackson i był to wysokiej rangi urzędnik poszukujący złotych monet. Gdyby jakąś znaleziono, trafiłaby do rządowego skarbcza, w którym brakowało złota. Richard wiedział, że skrzynia zawiera złoto, choć wątpił, sądząc po jej stanie, że je znaleziono. Wysocy urzędnicy rządowi byli pozbawieni wyobraźni.

Znalazł w niej książkę Jethra Tulla na temat ogrodnictwa oraz zestaw drugiego wydania *Encyklopedii Britanniki*, tuziny trzypięciotomowych noweli, całą kolekcję Felixa Farleya *Dziennika Bristolskiego* oraz kilka londyńskich gazet, utwory Johna Donne'a, Roberta Herricka, Alexandra Pope'a, Richarda Drydena, Olivera Goldsmitha i następne arcydzieła Edwarda Gibbona na temat Rzymu, jakieś raporty parlamentarne, zwój najlepszego papieru, parę dodatkowych stalowych piór, butelek atramentu, laudanum, środki wzmacniające, nalewki, środki na rozwolnienie i wymiotne, parę butelek maści i balsamów oraz tuzin porządnych form do świec.

Kitty przestępowała z nogi na nogę, trochę rozczarowana, że skrzynia zawierała książki, a nie zastawę stołową Josiaha Wedgwooda, lecz zadowolona, bo Richard się cieszył.

- Od kogo to jest?

- Od starego przyjaciela, Jema Thistlethwaite'a. Wraz z załącznikiem od mojej rodziny w Bristolu - odparł Richard, z listem w ręku. - A teraz wybac mi, Kitty, ale usiądę na progu i przeczytam list od Jema. Stephen przychodzi dziś na obiad, wtedy podzielę się z wami tymi nowinami.

Kitty zaplanowała tego dnia jedynie sałatę z chlebem na kolację, lecz stanęła na wysokości zadania i zrobiła duszoną, soloną wieprzowinę z pieprzonymi knedelkami. Mięso było wyśmienite i świeże, pochodziło bowiem z ich własnej hodowli.

Ujrawszy kapelusz, Stephen ryknął śmiechem, nalegając, aby Kitty go przymierzyła.

- Obawiam się - powiedział, ciągle jeszcze chichocząc - że to kapelusz nosi ciebie, a nie ty jego.

- Zdaję sobie z tego sprawę - odpowiedziała wyniośle.

- A zatem jak się ma twoja rodzina? - zapytał potem Stephen, odkładając na bok kapelusz.

- Wszyscy są zdrowi, z wyjątkiem kuzyna Jamesa aptekarza - odpowiedział ze smutkiem Richard. - Nieomal stracił wzrok, więc jego synowie przejęli interesy, a on przeniósł się do bardzo ładnej posiadłości w pobliżu Bath z żoną i dwiema niezamężnymi córkami. Mój ojciec przeniósł się do karczmy „Pod Dzwonem” za rogiem, bo władze miejskie, w kolejnej budowlanej euforii, zburzyły tawernę „Pod Bednarzem”. Jest z nimi najstarszy syn mego brata, co stanowi dla mnie wielką pociechę. Kuzyn James, ten duchowny, został nagrodzony godnością kanonika w katedrze, ku jego ogromnej radości. Moim siostrom również dobrze się wiedzie. - Cień przebiegł mu po twarzy. - Pośród tych, których znałem, umarł jedynie John Trevillian Ceely Trevillian z powodu przedawkowania, ale jakiego, pozostaje tajemnicą.

- Najprawdopodobniej z nadmiernego używania środków nasennych i pobudzających - powiedział Stephen, który znał już całą tę historię. Cieszę się.

- Jest tu sporo ogólnych wiadomości i parę plotek dodających im smaku. We Francji rzeczywiście była rewolucja i obalono tam monarchię, choć król z królową nadal żyją. Ku ogromnemu zdziwieniu Jema, Stany Zjednoczone Ameryki nadal istnieją jako jednostka polityczna, przygotowują szkic radykalnej konstytucji i szybko odzyskują pieniądze. - Richard uśmiechnął się. - Według Jema, jedynym powodem buntu Francuzów była futrzana czapka Benjamina Franklina. Co on tam jeszcze pisze? - Richard przerzucił kartki. - Aha! „W przeciwieństwie do Amerykanów, którzy mają naukowo skalowany system parlamentarnej kontroli i politycznej równowagi, Francuzi postanowili nie ustanawiać niczego. Siłą rzeczy logika będzie musiała dokonać tego, na co prawo nie pozwala. A ponieważ Francuzi nie są logiczni, wobec tego wróżę, że republikański rząd we Francji się nie utrzyma”.

- Co do tego ma rację.

Kitty siedziała, przyglądając się to jednemu, to drugiemu, nie rozumiejąc z tego za wiele, lecz zachwycona tym, że Richarda i Stephena tak absorbowały te sprawy na drugim końcu świata.

- Król był bardzo chory w 1788 roku i niektóre kręgi próbowały wprowadzić księcia Walii jako regenta. Jednakże król powrócił do zdrowia i wobec tego nasz Georgy - Porgy nie zdołał wygrzebać się ze swojego bagna długów. Nadal nie chce się odpowiednio ożenić i katoliczka, pani Maria Fitzherbert, jest ciągle jego wielką miłością.

- Religia i różnice religijne - westchnął Stephen - są największym przekleństwem ludzkości. Dlaczego nie potrafimy sami żyć i pozwolić spokojnie żyć innym? Popatrz tylko na Johnsona. Upierał się, żeby więźniowie się poženili, lecz nie dał im możliwości poznania się najpierw, bo cudzołóstwo jest częścią poznania. Och! - Powstrzymał się od wybuchu i zmienił temat. - A co dzieje się w Anglii?

- Pan Pitt rządzi tam niepodzielnie. Podatki są niebotycznie wysokie. Istnieją nawet podatki na nową pościel, gazety, a ci, którzy się w nich ogłaszają, muszą płacić podatek wynoszący dwa szylingi i sześć pensów, niezależnie od wielkości reklamy. Jem twierdzi, że to zmusza małe sklepy i warsztaty do zaprzestania reklamowania się, pozostawiając pole do popisu dużym rybom.

- A czy Jem ma coś do dodania na temat tego, że pierwszy oficer i załoga na „Bounty” zbuntowała się i wrzuciła kapitana Bligha do barkasu? To o tym buncie na „Bounty” wszyscy teraz mówią, a nie o francuskiej rewolucji - dopytywał się Stephen.

- O, sądzę, że zainteresowanie statkiem „Bounty” wynika z tego, że jego załoga

wolała smakowite dziewczęta z Otaheite od owoców drzewka chlebowego.

- Bez wątplenia. Ale co o tym mówi Jem? To podobno wielki skandal, który wzbudza w Anglii wiele kontrowersji. Mówią, że Bligh bynajmniej nie był bez winy.

- Najciekawsze w tym wszystkim jest to, że powodem jego wyprawy do Otaheite było przywiezienie drzewka chlebowego, które - o ile dobrze rozumiem - miało posłużyć jako tania żywność dla zachodnioindyjskich czarnych niewolników - odpowiedział Richard, znowu przeszukując kartki. - O, tutaj... Styl Jema jest niezrównany, więc lepiej będzie usłyszeć to od niego: „Porucznik marynarki o nazwisku William Bligh, żonaty z mieszkanką wyspy Manx, której wujem jest Duncan Campbell, właściciel statków więziennych. Jest to bardzo zawikłane, ale prawdopodobnie właśnie przez pana Campbella Bligh został przedstawiony sir Josephowi Banksowi, zainteresowanemu ową sporną wyprawą do Otaheite po drzewo chlebowe. Najbardziej zafascynował mnie kazirodczy charakter ostatecznego rezultatu tego ekspedycyjnego małżeństwa pomiędzy Królewską Marynarką Wojenną a Towarzystwem Królewskim. Campbell sprzedał jeden ze swoich statków, »Bethee«, flocie. Flota zamieniła jej nazwę na »Bounty« i wyznaczyła męża siostrzenicy Campbella, Bligha, na dowódcę i płatnika na »Bounty«. Z Blighem popłynął niejaki Fletcher Christian z rodziny Manx, spowinowacony z żoną Bligha i siostrzenicą Campbella. Christian był zastępcą dowódcy, lecz nie posiadał patentu oficerskiego. Już wcześniej pływali razem i byli sobie tak bliscy jak para pańienek Molly”. Już nic więcej nie mów, Jem!

- A to - powiedział Stephen, kiedy zdołał powstrzymać śmiech - podsumowuje już całą Anglię. Króluje w niej nepotyzm, włącznie z kazirodztwem.

- A co to jest kazirodztwo? - spytała Kitty, która już dobrze wiedziała, kim były panny Molly.

- Seksulane związki pomiędzy ludźmi blisko ze sobą spokrewnionymi - odparł Richard. - Zazwyczaj pomiędzy rodzicami i dziećmi, siostrami i braćmi, wujkami lub ciotkami oraz ich siostrzeńcami i siostrzenicami.

- Och! - wykrzyknęła Kitty i wzdrygnęła się. - Nie rozumiem jednak, jak się to ma do buntu na „Bounty”.

- To taki chwyt literacki, zwany ironią, Kitty - wyjaśnił Stephen. - Co jeszcze pisze Jem?

- Możesz wziąć ten list i przeczytać go sobie spokojnie w wolnej chwili - odparł Richard. - Choć jest w nim jeszcze jedna myśl godna przewietrzenia. Jem uważa, że pan Pitt i parlament bardzo się boją, że po amerykańskiej i francuskiej rewolucji może dojść do angielskiej, toteż uważają teraz zatokę Botany za konieczność i ochronę Królestwa. W

Irlandii aż wrze i zarówno Szkoci, jak i Walijczycy są niezadowoleni. Pitt może zatem dodać do swojej transportowej listy buntowników i demagogów.

Nie wspomniał jednak o osobistych wiadomościach od pana Thistlethwaite'a, które były znakomite. Twórca trzy tomowych noweli dla wykształconych dam stał się tak biegły w swojej sztuce, że pisał aż dwie rocznie. W związku z tym pieniądze spływały mu do kieszeni tak obficie, że kupił sobie duży dom na Wimpole Street, miał dwunastu służących, powóz ciągnięty przez cztery dobrane maścią konie i hrabinę za kochankę.

Kiedy Stephen wyszedł z listem od pana Thistlethwaite'a i naczynia zostały umyte, Kitty odważyła się na jeszcze jedną uwagę. Nie przerażało jej to już tak bardzo, gdyż Richard hamował swoje skłonności do zachowywania się niczym Bóg Ojciec.

- Ten Jem musi być bardzo ważny - powiedziała.

- Jem? Ważny? - Richard roześmiał się na to, przypominając sobie tę krzepką, potężną postać z zaczerwienionymi jasnoniebieskimi oczami i pistoletami wystającymi z kieszeni płaszcza. - Nie, Kitty, Jem jest bardzo przyziemny. Lubi sobie popić, za bristolskich czasów był jednym z najwierniejszych klientów mego ojca. Teraz mieszka w Londynie i dorobił się fortuny. Kiedy byłem na pokładzie „Ceresu”, pomagał mi i dzięki niemu zachowałem zarówno zdrowie fizyczne, jak i psychiczne. Będę go za to kochał do końca życia.

- W takim razie ja również. Gdyby nie ty, Richardzie, byłabym w o wiele gorszym położeniu - powiedziała, chcąc zrobić mu przyjemność.

Wykrzywiła mu się twarz.

- Czy ty mnie nigdy nie pokochasz?

Oczy, które się ku niemu zwróciły, zdawały się patrzeć na niego z żarliwością. Już nie przypominały mu oczu Williama Henry'ego, lecz wydawały się jej własnymi - i równie - nie, jeszcze bardziej kochanymi.

- Czy ty nie możesz mnie pokochać, Kitty? - zapytał.

- Kocham cię, Richardzie. Zawsze cię kochałam. Ale wydaje mi się, że to nie jest ta prawdziwa miłość.

- Chodzi o to, że nie jestem początkiem i końcem twojej egzystencji?

- Jesteś, o tyle, jaka ta moja egzystencja jest. - Jej elokwencja wyrażała się w gestach, wyrazie twarzy, spojrzeniu. Słowa, niestety, doбираła nieskładnie, nie umiała znaleźć odpowiednich określeń do wyrażenia tego, co działo się w jej umyśle. - To brzmi bardzo niewdzięcznie, wiem, ale tak nie jest, naprawdę. Tylko że czasami zastanawiam się, co by się stało, gdybym nie została skazana i wysłana do tego miejsca z dala od domu. I zastanawiam

się, czy tam, w Anglii, nie było kogoś, kto był mi przeznaczony, kogoś, kto jest moją prawdziwą miłością. - Na widok jego twarzy przyspieszyła zmieszana. - Jestem bardzo szczęśliwa i lubię pracować w ogrodzie i w domu. To wielka radość spodziewać się dziecka. Ale... Och, jakżebym chciała wiedzieć, co mnie ominęło!

Jak na coś takiego odpowiedzieć?

- Już nie wzdychasz do Stephena?

- Nie - odparła z przekonaniem. - On miał rację. To była tylko dziewczęca namiętność.

Patrzę teraz na niego i dziwię się sama sobie.

- A gdy patrzysz na mnie, to co widzisz?

Ciało jej skuliło się i skręcała się niczym małe, psotne dziecko. Znał te oznaki i żałował, że ją o to zapytał, zmuszając tym samym do kłamstwa. Tak jakby potrafił odgadnąć jej myśli, wiedział, że krążyły teraz, próbując znaleźć odpowiedź, która mogłaby go zadowolić, a jednocześnie nie skompromitowałaby jej. Czekał więc odrobinę rozbawiony, co z tego wyniknie. Oczywiście to była właśnie prawdziwa miłość. Rozumieć, że ukochana osoba ma wady, nie jest doskonałością, a mimo to kochać ją z takim oddaniem. Jej pojęcie prawdziwej miłości było duchem, rycerzem w lśniącej zbroi, który miał odjechać razem z nią na koniu. Czy ona kiedykolwiek na tyle dojrzeje, aby zrozumieć miłość taką, jaka ona jest? Wątpił w to, a potem zadecydował, że lepiej będzie, jeśli nigdy do tego nie dojdzie. Dwoje siwowłosych mędrców w jednej rodzinie to za dużo. Miał w sobie dość miłości, aby wystarczyło jej dla nich dwojga.

Odpowiedziała szczerze.

- Ja naprawdę nie wiem, Richardzie. Ani trochę nie przypominasz mego ojca, więc nie jest to kazi... kazirodztwo... Zawsze jestem szczęśliwa, kiedy cię widzę... Nie posiadam się z radości, że noszę pod sercem twoje dziecko, bo będziesz cudownym ojcem.

Nagle zorientował się, że nigdy nie zadał jej jednego pytania.

- Chciałabyś dziewczynkę czy chłopca?

- Chłopca - odpowiedziała bez wahania. - Żadna kobieta nie chce dziewczynki.

- A co będzie, jeśli okaże się, że to dziewczynka?

- Będę ją bardzo kochała, ale nie będę miała wielkich dla niej nadziei.

- Chcesz przez to powiedzieć, że ten świat należy do mężczyzn?

- Owszem, tak sędzę.

- Ale nie będziesz zbyt rozczarowana, jeśli to będzie dziewczynka?

- Nie! Będziemy mieli więcej dzieci i niektóre z nich będą chłopcami.

- Powiem ci pewien sekret - szepnął. Pochyliła się ku niemu.

- A jaki?

- To lepiej, jeśli pierwsze dziecko jest dziewczynką. Dziewczynki dorastają o wiele szybciej od chłopców, więc kiedy pojawi się pierwszy mały mężczyzna, będzie miał co najmniej dwie matki - jedną na tyle bliską mu wiekiem, że zdoła złapać go za ucho, zaprowadzić w ciche miejsce i tam złoić mu skórę. Jego prawdziwa matka nie będzie taka bezwzględna.

Zachichotała.

- Wydaje mi się, że mówisz z doświadczenia.

- Owszem. Mam dwie starsze siostry. - Przeciągnął się jak kot, rozluźniając wszystkie mięśnie. - Bardzo się cieszę, że wszyscy w Bristolu mają się dobrze, choć martwi mnie wzrok mojego kuzyna. Podobnie jak Jem Thistlethwaite, był moim zbawieniem. Nigdy nie cierpiałem na choroby, na które zapadała większość skazańców, zwłaszcza w więzieniu czy na pokładzie okrętu transportowego. To dzięki niemu w wieku czterdziestu trzech lat mogę pracować jak o wiele młodszy mężczyzna. I kochać cię jak o wiele młodszy mężczyzna. Zachowałem zdrowie i wigor.

- Ale głodowałeś przecież tak samo jak i inni.

- Owszem, lecz głód nikomu nie zaszkodzi, chyba że bezpowrotnie strawi komuś mięśnie, a przypuszczam, że moje były większe od innych. A poza tym głód nigdy nie trwał tak długo. W Rio mieliśmy pomarańcze i świeże mięso, posiłki na bagrownicy na Tamizie, od czasu do czasu zupę rybną. Niejaki Stephen Donovan dokarmił mnie świeżymi bułeczkami z rzeżuchą kapitana Huntera. To było szczęście, Kitty - powiedział Richard, uśmiechając się z przymkniętymi oczami. Wyglądało na to, że był to dzień wspomnień.

- Nie zgadzam się z tobą - odpowiedziała. - Powiedziałabym raczej, że to pewna cecha, której wielu mężczyzn nie posiada, ale tyją masz. Podobnie jak Stephen. I zawsze wydawało mi się, że major Ross też ją ma, z tego, co słyszałam, jak rozmawiałeś ze Stephenem. Posiadają ją też Nat i Olivia Lucas, aleja nie. I dlatego cieszę się, że to ty jesteś ojcem moich dzieci. Mają szansę odziedziczyć więcej niż ja.

Ujął jej dłoń i pocałował.

- To bardzo piękny komplement, żono. Być może kochasz mnie choć troszeczkę.

Westchnęła z rozdrażnieniem i odwróciła się, spoglądając na stoły i krzesła usłane książkami. Na jednym z nich leżało pudełko na kapelusze.

- Kiedy zaniesiesz Lizzie ten kapelusz?

- Uważam, że to ty powinnaś go zanieść i załagodzić sytuację.

- Ależ ja nie mogę tego zrobić!

- Ja tego nie zrobię.

Sprawa kapelusza pozostała nie rozstrzygnięta. Kiedy udali się do łóżka, Kitty była tak zmęczona, że zasnęła, zanim zdołała ujawnić jakiegokolwiek miłosne zamiary.

Richard zdrzemnął się przez dwie godziny, widząc w półśnie paradę znajomych twarzy, zmienionych i zniekształconych przez czas. Potem obudził się i wyslizgnął z łóżka, nałożył spodnie i cicho wyszedł na zewnątrz. Do Tibby'ego przyłączyła się Fatima, a do Charlotte Flora - szczenięta i kocięta zaczęły się poruszać, aż Richard je uciszył. Leżały razem, zwinięte wewnątrz wydrążonego pnia sosny, który wydawał się Richardowi idealną budą. Gdyby więcej psów i kotów biegało po domu, zniechęciłoby je to do polowania na szczury. MacTavish sam sobie był panem, za późno już było na to, żeby zmienić jego przyzwyczajenia. I nadal był jedynym samcem, władcą całego zwierzyńca.

Była pełnia księżyca i jego tarcza widniała na wschodnim niebie, zdmuchując blask płomiennych gwiazd, w miarę jak zimna, biała jego jasność unosiła się coraz wyżej. Mając go nad głową, można by przy niej z łatwością czytać. Na niebie nie było żadnej chmurki, a jedynym odgłosem mącącem ciszę był pomruk i bulgotanie źródła ściekającej w dół wzgórza wody, szum sosen i skrzeczenie pary białych rybołówek, których czarne sylwetki rysowały się na tle srebrzystego nieba. Richard uniósł głowę i nabrał w płuca czyste powietrze, czerpiąc otuchę z ich samotności, oddalenia i całkowitego spokoju.

W niedzielę po nabożeństwie napisze do ojca, do obu kuzynów Jamesów i Jema Thistlethwaite'a, aby im powiedzieć, że pośród tego południowego bezkresu zdołał stworzyć sobie dom. Za pomocą złota, za które musiał im podziękować, wyciosał sobie niszę. Ale dzięki temu złotu czy bez niego, wyrabiał ją własnymi rękami i siłą własnej woli. Wyspa Norfolk stała się jego domem.

A tymczasem trzeba było przyjrzeć się tej skrzyni, zanim Kitty lub Joeyowi przyjdzie do głowy, żeby porąbać ją na podpałkę, lub też zanim przeznaczają do przechowywania mierzwy ogrodowej. Zamiast wspinać się na szczyt urwiska, zszedł niżej. Mały domek Joeya znajdował się tuż za drogą do Queensborough, w granicach Biegu Morgana, na skraju ścieżki wiodącej do głównego budynku. Joey i MacGregor stanowili jego służbę wartowniczą, jego pierwszą linię obrony na wypadek grabieży. Teraz nie obawiał się zagrożenia, lecz kto wie, ilu i jakich skazańców jego eksceleńcja wyśle tutaj, gdy jego zadanie w Nowej Południowej Walii stanie się bardzo trudne?

Znalazłszy w poświęcie księżyca wykarczowany skrawek ziemi, zaczął cicho ostukiwać skrzynię dłutem i małym młotkiem. Gdy usunął grube obramowanie, ukazała się przestrzeń pomiędzy zewnętrznymi a wewnętrznymi ściankami, wypchana białą watoliną z

szarpi. Parę minut później skrzynka została rozbita na kawałki, a on zebrał sto funtów w złocie. Zdjąwszy spodnie, złożył monety pośrodku, zebrał kawałki drewna, położył na nich spodnie i wrócił do domu. Kitty powiedziała, że to nie było szczęście. Jeśli zaś chodziło o niego, nigdy nie był pewien, czy było to szczęście, czy po prostu łaska boża. Ale czy była w tym jakaś różnica?

Budując dom, pomyślał o takiej ewentualności. Z tyłu, przy zachodnim stoku, wybrał na chybił trafił jeden z kamiennych filarów i zbudował go z pustym wnętrzem. Nikt nie wiedział i nikt się o tym nie dowie. Zatrzymawszy dwadzieścia monet, włożył pozostałe osiemdziesiąt do swojej skrytki, a potem poczłapał cicho do środka i położył się do łóżka. Kitty mruknęła coś półgłosem, ogon MacTavisha uderzył głucho w koc. Richard poklepał psa, przyłgął do pleców Kitty, pogłaskał jej pośladki i zamknął oczy.

Pudło na kapelusze nadal leżało na krześle, kiedy Richard poszedł rano do pracy, robiąc Kitty wyrzuty, kiedy krzątała się po pokoju, odkurzając, zmywając, porządkując książki i przygotowując produkty do obiadu na zimno. Było zbyt gorąco, aby jeść główny posiłek w upale dnia, więc być może, jeśli weźmie Joeya i pójdzie do Sydney, znajdzie Stephena i zdoła go namówić, aby przyłączył się do nich na gorącą kolację.

Och, jakże troskliwy był ten jej Richard - fragmenty skrzynki leżały złożone na stosie drewna na podpałkę pod frontowymi drzwiami, akurat takiej wielkości, że nadawały się do rozniecania ognia w piecu. Teraz jednak było za gorąco, aby palić w piecu, więc poczeka aż do popołudnia i dopiero wtedy upiecze chleb. Ten typowy dowód jego uprzejmości sprawił, że zatrzymała się na chwilę. Stojąc już na zewnątrz, odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Wtedy zobaczyła pudło na kapelusze. Westchnąwszy, wróciła po nie i poszła w stronę drogi do Queensborough. Joey ścinał sosny, bo Richard postanowił, że wykarczuje na tyle duży obszar wzdłuż Biegu Morgana, aby móc w czerwcu obsiać kilka akrów zbożem i kukurydzą, i choć Joey nie potrafił ciąć desek, to zupełnie fachowo ścinał drzewa. MacGregor ostrzegł go ojej nadejściu. Z MacGregorem na służbie nie było mowy o spuszczeniu drzewa w niewłaściwym kierunku!

- Joey, czy masz coś przeciwko odprowadzeniu mnie do Sydney? Sapiąc ze zmęczenia, ten prostoduszny człowiek spojrzał na nią z uwielbieniem i pokręcił w milczeniu głową. Złapał za koszulę wiszącą na pobliskiej gałęzi i włożył ją na siebie, a następnie oboje udali się w kierunku góry George z MacGregorem i MacTavishem brykającymi wokół nich.

- Mam coś do załatwienia w rezydencji rządowej - powiedziała: - A ty, Joey, idź tymczasem poszukać pana Donovana i poproś go, żeby przyszedł dziś wieczór na kolację.

Spotkamy się tutaj. Tylko się nie ociągaj!

Rezydencja rządowa była właśnie remontowana i przebudowywana. Wszędzie roilo się od ludzi, Nat Lucas wykrzykiwał instrukcje i polecenia, a reszta prędko je spełniała. Tylko głupi więźniowie marudzili z robotą, pracując dla samego komendanta, a rzeczywiście głupich więźniów było zaskakująco niewiele. Renowacje te były czasowe. Komendant King nadal nie powziął decyzji co do tego, czy rezydencja rządowa powinna pozostać na obecnym pagórku, czy też należy ją przenieść w miejsce, gdzie znajdowały się kiedyś pierwotne ogrody. Nigdy przedtem nie będąc w rezydencji rządowej, Kitty nie wiedziała, czy jako więźniarka powinna szukać tylnych drzwi, czy też wszelki ruch odbywał się poprzez drzwi frontowe, od strony morza.

- Kogo szukasz, Kit - kat? - zapytał Nat Lucas.

- Pani Richardowej Morgan.

- Jest w domu kuchennym. To za tym rogiem - powiedział, wskazując dłonią i mrugając do niej.

Przeszła pod ścianą głównego budynku do osobnego domu, w którym mieściła się kuchnia.

- Pani Morgan?

Sztywna, ubrana na czarno i krzątająca się przy piecu postać odwróciła się. Czarne oczy rozwarły się szerzej, a młoda więźniarka obierająca przy stole kartofle odłożyła nóż i gapiła się z rozwartymi ustami. Zataczając się nieco, co wydało się Kitty dziwne, Lizzie podeszła do stołu i dała dziewczynie kuksańca.

- Weź to na zewnątrz i tam dokończ! - warknęła. A potem zwróciła się do Kitty: - Czego pani sobie życzy?

- Przyniosłam pani kapelusz.

- Kapelusz?

- Tak. Czy chciałaby go pani zobaczyć? Jest wspaniały.

Kitty wyglądała kwitnąco, z wystającym nieco brzuchem, jasną skórą osłoniętą szerokim kapeluszem z miejscowej trawy - wśród więźniów było więcej modystek niż farmerów - z jasnymi pasemkami włosów wymykającymi się spod jego ronda, z jasnymi rzęsami i brwiami nadającymi jej twarzy nieco mdły wygląd, który jednak wcale jej nie szpecił. Była prosta, lecz z całą pewnością nie brzydka. Do Lizzie dotarły już plotki o tym, że Kitty Clark nabrała ostatnio pięknych kształtów i daleko już jej do tego chudego zdechlaka, którym była, gdy pani Richardowa Morgan udała się do niej przez warzywną ścieżkę. No cóż, teraz sama mogła to stwierdzić, co bynajmniej nie było żadnym pocieszeniem. Nie był nim

też ten jej wystający brzuch. Ogarnęła ją fala smutku i rozczarowania. Gdzież się podziała ta jej butelka z lekarstwem?

- Siadaj! - powiedziała Lizzie krótko, po czym napiła się ukradkiem z butelki po lekarstwie, której zawartość sprawiła, że zaparło jej dech w piersiach.

Kitty podsunęła jej pudło z kapeluszem, uśmiechając się z powagą.

- Proszę, niech pani to weźmie.

Wziąwszy go od niej, Lizzie usiadła na krześle, rozwiązała wstążki i uniosła wieczko.

- Och! - westchnęła dokładnie tak samo jak Kitty. - Och! - Wyjęła kapelusz, aby mu się dobrze przyjrzeć, potrzymać go i pooglądać z zachwytem. A potem, tak niespodziewanie, że Kitty aż podskoczyła, Lizzie Lock wybuchnęła głośnym płaczem.

Uspokojenie jej zajęło trochę czasu. W dziwny sposób przypominała Kitty Betty Riley, ową upartą służącą, która sprowadziła nieszczęście na całą ich czwórkę.

- W porządku, Lizzie, w porządku - mówiła do niej cicho, głaszcząc ją i poklepując.

Na kominie stał mały czajnik z dzióbkiem, a na stole porcelanowy imbryk do parzenia herbaty. Herbata. Tego właśnie potrzeba było Lizzie, herbaty. Poszperawszy trochę, znalazła paczuszkę herbaty i słoik zawierający dużą bryłę cukru wraz z młoteczką do rozłupywania jej. Kitty przygotowała herbatę i parzyła ją przez jakiś czas, rozłukła cukier, a potem naląła gorący napój do filiżanki ze spodkiem. Jak świetnie wyposażona była kuchnia w rezydencji rządowej! Porcelanowe filiżanki i spodeczki! Kitty nie widziała filiżanek i spodków od czasu, kiedy została aresztowana, a tutaj, w zwykłej kuchni, stały dwie filiżanki i dwa - pasujące do nich! - spodeczki! Jakież to skarby musiała zawierać rezydencja rządowa! Ile służby mieli pan i pani King? Czy podawano tam herbatę na każde zawołanie, bez obawy o wyczerpanie zapasów, czy były tam również porcelanowe talerze i miski oraz wazy na zupę? Obrazki na ścianach? Nocniki?

- Zostałam zwolniona - zdołała wydusić z siebie Lizzie pomiędzy czkawką a łzami. - Pan King właśnie mi o tym powiedział.

- Proszę, niech się pani napije herbaty. Dobrze pani robi, naprawdę - zachęcała Kitty, głaszcząc ją po czarnych włosach.

Lizzie otarła oczy fartuchem i popatrzyła ponuro na swoją Nemezys.

- Jesteś rzeczywiście dobrą dziewczyną - powiedziała, gdy herbata zaczęła rozgrzewać jej żołądek.

- Mam nadzieję, że jestem - odparła Kitty, popijając napój małymi łydkami. Och, czemu herbata smakowała tak cudownie, kiedy się ją piło z porcelanowych filiżanek? - Czy podoba się pani ten kapelusz?

- Tak jak powiedziałaś, to wspaniały kapelusz. Major Ross zagwizdałby i powiedział, że wyglądam w nim jak królowa, ale pani King będzie zaledwie próbowała okazać mi grzeczność. Jest bardzo miłą osobą o doskonałych manierach, więc nie mogę jej winić za moje zwolnienie. To komendant King jest za to odpowiedzialny. I ten facet Chapman, ten sprytny cymbał. Już ma oko na wszystko. Już knuje, jak by na tym miejscu zarobić. Ma najgorszy wpływ na panią King i zaręczam ci, że komendant wreszcie zaczyna to zauważać. Przypuszczam, że wkrótce Willy Chapman będzie musiał pakować manatki i wynosić się stąd do Queensborough lub Phillipsburgha. Komendant King mnie nie lubi, Kitty, i nic nie mogę na to poradzić. Jak on to określił? Jestem zbyt wulgarna dla takich jak pani King. Wulgarna! Ja? On nawet nie wie, co to znaczy! Powiedział, że nie chce, aby jego dzieci mnie słyszały. Czasami się zapominam i wyrywa mi się jakieś tam pierdalone słówko. Ale nigdy nie wyklinam od cip, Kitty, nigdy, przysięgam! To nie moja wina, to wpływ więzienia. Nigdy przedtem nie klęłam i nie przeklinałam.

- Doskonale to rozumiem - odparła Kitty z zapałem.

- W każdym razie nie mogą mnie tak zwyczajnie wyrzucić, będzie musiał ze mną godziwie postąpić - warknęła Lizzie, wysuwając do przodu podbródek. - Jestem wolną kobietą, a nie więźniarką. A wiesz, kogo on zamierza wziąć na moje miejsce? - zapytała z wściekłością.

- Nie, kogo?

- Mary Rolt. Mary Rolt! Zapewniam cię, że ona przeklina od cip i pierdolenia. Uff! A wszystko to dlatego, że ona się rżnie z Samem Kingiem, tym z piechoty morskiej, który ma zamiar się tu osiedlić. King. Widzisz, to samo nazwisko. W oczach komendanta czyni go to już lepszym od innych. Uff! - Popiła trochę herbaty i spojrzała na kapelusz.

- Szkoda, że nie mam lustra.

- Pani King na pewno ma jakieś.

- O tak, duże, w swojej sypialni.

- To niech ją pani zapyta, czy mogłaby się pani w nim przejrzeć. Jeśli ma takie doskonałe maniery i jest uprzejma, to pani nie odmówi.

- To rzeczywiście wspaniały kapelusz, nieprawdaż?

- Najwspanialszy, jaki kiedykolwiek w życiu widziałam. Pan Thistlethwaite pisał w liście, że to ostatni krzyk mody, że księżne i inne wysoko urodzone damy takie noszą. Twierdzi, że nie da się już w tych czasach odróżnić dobrze urodzonych kobiet od prostytutek.

- Przerwała, przerażona tym, gdzie zawiódł ją język, lecz Lizzie utkwiała wzrok w butelce na lekarstwa. - Być może - dodała Kitty pośpiesznie - państwo King zatrzymają panią w

charakterze kucharki? Richard powiedział mi, że major Ross uważał pani jedzenie za najlepsze, jakiego kiedykolwiek w życiu próbował.

- Ja jednak - powiedziała Lizzie wyniośle - mam inne plany.

Serce Kitty zadrżało, po części dlatego, że została poruszona do żywego, po części z powodu szoku. Lizzie Lock wracała już po tym wszystkim do siebie. „Ależ naturalnie, że tak. Tak jak wszystkie kobiety więźniarki. Nie przybyłybyśmy tak daleko i nie przetrwałybyśmy tego wszystkiego, gdybyśmy nie potrafiły odzyskać równowagi. Lizzie jest wytrwała. Nie twarda, tylko wytrwała. Musiała taka być. Bez wątpienia wszyscy ludzie wolni będą wychwalali panią King za jej odwagę, że zgodziła się przybyć tak daleko, nie zważając na niedogodności, lecz pani King nigdy nie była więźniarką i nigdy nie będzie tak godna podziwu jak Lizzie Lock. Lub Mary Rolt. Albo Kitty Clark. A zatem, pani King! - myślała sobie Kitty. - Może sobie pani popijać herbatę z tych swoich filiżanek z porządnej porcelany, jak ją pani przyrządzi, zaparzy i poda któraś z pani służących więźniarek. Niechże sobie pani zakłada podpaski, kiedy któraś ze służących spierze z nich pani krew i wywiesi na zewnątrz, żeby wyschły! Być może jest pani tym, kim powinna być żona więziennego komendanta, ale nie jest nam pani równa”.

- A cóż to za pomysł? - spytała.

- Przestałam cię już nienawidzić za to, że ukradłaś mi Richarda - powiedziała Lizzie, wstając, żeby ponownie napełnić czajnik, odłupać kawałek cukru i nalać sobie jeszcze herbaty.

- Ależ ja naprawdę go nie ukradłam!

- Wiem, to raczej on cię ukradł. Jacy oni dziwni, nieprawdaż? To znaczy ci mężczyźni. Większość z nich dba jedynie o to, by dobrze nakarmić brzuchy i to, co zwisa pod nimi, i już są szczęśliwi. Richard jednak zawsze był inny. Od początku, gdy tylko wkroczył do więzienia Gloucester niczym jakiś księżę z krwi i kości - wiesz, o co mi chodzi - chłodny, królewski i milczący. Nigdy nie musiał podnosić głosu. No ale on jest potężnym mężczyzną, ha, ha, ha! Nieprawdaż, Kitty? Czyż nie tak?

- Owszem - przyznała Kitty, rumieniąc się.

- Postawił się Ike'owi Rogersowi, jeszcze potężniejszemu facetowi, i nawet nie mrugnął. Zignorował go. Jestem w nim zakochana, ale on mnie nigdy nie kochał. Nie miałam żadnej szansy. Żadnej nadziei.

- Z drżącym od łez głosem pani Morgan wstała, by dolać sobie płynu z buteleczki z lekarstwem do herbaty. - No właśnie! To doda jej trochę ognia! Chcesz trochę?

- Nie, dziękuję. Jakie masz teraz plany, Lizzie? - Kitty zorientowała się, że to, co

Lizzie dodała do herbaty, najprawdopodobniej popijała sobie już od pewnego czasu, przypuszczalnie od momentu wyjścia pana Kinga po złożeniu jej wypowiedzenia.

- Myślę o Thomasie Sculleju, żołnierzu z piechoty morskiej, który właśnie tu wrócił, żeby wziąć kawałek ziemi. Niedaleko Biegu Morgana. Spokojny człowiek, trochę podobny do Richarda. Nie chce żadnych dzieci. Nie ma kobiety i uczynił mi propozycję po skosztowaniu moich smażonych bananów w rumie. Odrzuciłam go, lecz teraz, skoro komendant mówi, że muszę odejść, równie dobrze mogę wprowadzić się do Sculleja.

- Miło mi będzie mieć cię za sąsiadkę - powiedziała Kitty, szykując się do odejścia.

- Kiedy spodziewasz się dziecka?

- Pozostało mi jeszcze jakieś dwa i pół miesiąca.

- Dziękuję ci, że przyniosłaś mi ten kapelusz. Mówiłaś, że to od pana Thistlethwaite'a?

- Tak, pana Jamesa Thistlethwaite'a.

O wiele spokojniejsza, Kitty poczłapała z powrotem i znalazła Joeya, czekającego na nią wraz z psami u stóp góry George.

- Miałaś rację, upierając się, żebym zaniósła jej ten kapelusz - powiedziała do Richarda, krojąc ich własną soloną wieprzowinę na cienkie plastry, oblewając ją sosem z dużą ilością duszonej cebuli oraz nakładając ziemniaki i świeżą fasolkę na cynowe talerze. - Lizzie i ja zostaniemy przyjaciółkami - zachichotała. - Dwie panie Richardowe Morgan. - Postawiła talerz przed Stephenem, drugi przed Richardem, a potem przyniosła swój i usiadła przy stole. - Komendant King dał dziś rano tej biedaczce wypowiedzenie.

- Obawiałem się tego - powiedział Stephen, zajęty krojeniem, tak aby dało się to wszystko nabierać łyżką. Gdyby tak mieli do dyspozycji widelce! - King jest dobrym mężem, chce osłonić żonę przed wszelkimi niedogodnościami i plugastwem, a Lizzie Lock z pewnością teraz tam zawadza. A szkoda. Pani King jest wysokim, niezdarnym stworzeniem i raczej nie sprawia wrażenia pruderyjnej, zwłaszcza w towarzystwie Willy'ego Neate'a Chapmana. Urodzonej pijawki.

- Mają tam porcelanowe filiżanki i spodki - oświadczyła Kitty zajęta jedzeniem za dwóch. - I napiłam się tam herbaty w jednej z nich. A skoro porcelanowe filiżanki i spodki są tam nawet w kuchni, to myślę, że pani King musi pochodzić z bardzo dobrej rodziny.

- Z przyjemnością ofiarowałbym ci porcelanowe filiżanki i spodki, Kitty. Ale to nie jest tylko kwestia pieniędzy - powiedział Richard.

Stephen podniósł wzrok zaintrygowany.

- No właśnie - przyznał. - Podejrzewam, że jeszcze długo najbardziej zbliżoną do

sklepu rzeczą na wyspie Norfolk będzie stragan ustawiony na plaży przez kapitana któregoś z okrętów. Niestety, na podobnych straganach nie można kupić takich błahostek jak porcelanowe zestawy do herbaty czy srebrne widelce. Zawsze jest to samo - czajniki, piece, perkale, tani papier i atrament.

- Bardziej nam tu potrzeba czajników, pieców i perkali niż takich błahostek - odparł Richard, wpadając znowu w bogoojcowski ton. - Niekiedy zdarzają się jakieś ubrania.

- Owszem, ale zauważyłem, że nie podobają się kobietom - sprzeciwił się Stephen.

- A to dlatego, że wybierają je mężczyźni - odparła z uśmiechem Kitty. - Zawsze im się wydaje, że kobiety wolą raczej kupować łażki aniżeli porcelanę czy firanki, a i wtedy wybierają niewłaściwe ubrania.

- To ty wolałabyś mieć raczej firanki do okien? - zapytał Stephen, zastanawiając się, dlaczego Kitty najwidoczniej nie przejmowała się faktem, że nie mogła poślubić Richarda. „Dwie panie Morgan” zostało rzucone zupełnie spokojnie.

- O tak. - Kitty odłożyła łyżkę i rozejrzała się po pokoju, który powoli wykańczali.

Wszystkie wewnętrzne ściany już postawiono i większość z nich została wypolerowana, zawiesili też kilka pótek na książki, jedna pod drugą, i znalazła nawet jakąś kwitnącą roślinę, którą włożyła do nadtłuczonego kubka. - Najbardziej jednak lubię mój dom. Dywany i firanki byłyby rzeczywiście cudowne, jak również wazon-y i obrazki na ściany. Gdybym miała jedwab do wyszywania, mogłabym zrobić haftowane poduszki na krzesła i bieżniki na ścianę.

- Przyjdzie czas - obiecał Richard. - I na to przyjdzie czas. Musimy mieć nadzieję, że jakiś przedsiębiorczy kapitan statku przybędzie tu, żeby sprzedać lampy i oliwę, jedwabie do wyszywania, porcelanowe zastawy do herbaty i wazon-y. W magazynach rządowych nie mają za dużej wyobraźni. Według nich, wystarczą więzienne bluzy, buty, drewniane miski, cynowe łyżki, kubki, koce, chochle i łojowe świece.

Po zakończeniu posiłku mężczyźni usiedli, aby podyskutować na temat tego, co pisano w gazetach i ulotkach, a potem przeszli do innych, ważniejszych tematów, takich jak zboże, wycinka drzew, cięcie tarcic, wapno i zmiany, które wprowadzał komendant King.

- Mimo całej tej gadki nie może ograniczyć kar cielesnych - stwierdził Richard. - Osiemset batów, na miłość boską! Bardziej miłosierne byłoby powieszenie tego człowieka. Najcięższą karą wymierzoną kiedykolwiek przez majora Rossa było pięćset, a i z tego większość anulowano, a zauważyłem, że lekarze nie mogą już tak łatwo interweniować jak kiedyś.

- Bądź sprawiedliwy, Richardzie. Winę za to ponosi Korpus Nowej Południowej

Walii, składający się z brutalnych bydła, którymi dowodzą bydła. Szkoda, że upodobali sobie Irlandczyków, ale taka jest prawda.

- No cóż, ci Irlandczycy pochodzą spoza Pale i niewielu z nich mówi po angielsku. Żołnierze upierają się, że mówią, tylko nie chcą się do tego przyznać. Jakże oni mogą pracować, skoro nie rozumieją dawanych im instrukcji? Znalazłem pośród nich jednego człowieka, z którym cięcie tarcic jest prawdziwą przyjemnością. Jest moim najlepszym partnerem od czasu Billy'ego Wigfalla. Wesoły, chętny do pomocy, choć nie rozumie ani słowa z tego, co do niego mówię, ani ja z tego, co on mówi. Ale połów tylko między nami piłę, a będziemy w całkowitej łączności duchowej.

- Jak on się nazywa?

- Nie mam pojęcia. Równie dobrze może to być Flippety O'Flapety. Nazywam go Paddy i daję mu porządny obiad z chleba i jarzyn w dole tarcicznym. I zimne mięso też. Człowiek nie ma sił do cięcia bez odpowiedniej ilości jedzenia. Będę musiał to uświadomić panu Kingowi.

Nagle Kitty roześmiała się i klasnęła w rękę.

- Och, Richardzie, przestań już mówić o tych swoich dołach trackich! Stephen ma ci coś ważnego do zakomunikowania!

Richard spojrział ze zdziwieniem.

- Rzeczywiście? No to nam powiedz.

- King wezwał mnie dziś rano i powiadomił, że zostanę oficjalnym pilotem dla wyspy Norfolk. Wydaje mi się, że musiał rozmawiać z majorem Rossem na temat liczby szalup, barkasów i kutrów, które rozbiły się, próbując przepłynąć przez rafę wbrew rozkazom i sygnałom zabraniającym lądowania. Albo też sprzeciwiając się radom niepowracania do swoich statków po wylądowaniu na plaży. Od dziś tylko ja mogę to nakazać, bez względu na to, co kapitan danego statku ma na ten temat do powiedzenia. Moje słowo jest prawem. I dotyczy to także statków na redzie. Kiedy będą mogły tu wpłynąć albo kiedy będą musiały udać się do Kaskad lub zatoki Bali. Jestem pilotem! Gdybym był pilotem wtedy, kiedy przypląnął „Sirius”, nigdy by nie skończył na rafie.

- Stephen, to rzeczywiście wspaniale! - wykrzyknęła z błyszczącymi oczyma Kitty.

Richard uściśnął mu rękę. - Ale to nie wszystko, prawda?

- Owszem, przyznaję, to nie wszystko. - Wydawało się, że promienieje od wewnątrz. Przystojny mężczyzna po trzydziestce, przed którym otwierał się cały nowy świat. - Zostałem przyjęty do królewskiej floty. Na razie tymczasowo, w charakterze aspiranta, lecz kiedy tylko komendant King dostanie pozwolenie od jego ekscelencji, zostanę mianowany oficerem,

prawdopodobnie na jakimś statku na stałe stacjonującym w Portsmouth. Nie panikujcie jednak, bo na razie tu zostaję. Ale jeśli nadarzy się prawdziwa okazja na porucznikostwo, obawiam się, że będę musiał odpłynąć. Nie zanosi się, aby wkrótce do tego doszło. Tymczasem jestem pilotem, niedługo będziecie jednak musieli zwracać się do mnie jako do porucznika Donovana, a przy okazji zostałem dowódcą ludzi ścinających las na górze George, więc jestem już zwolniony z tych nieszczęsnych kamieniołomów.

- Trzeba to jakoś uczcić - powiedział Richard, wstając, aby poszperać za biblioteczką. Ukazała się butelka. - To mój własny rum, specjalna mieszanka Morgana. Major Ross dał mi spory zapas tego, kiedy wyjeżdżał, lecz jeszcze nie kosztowałem. A zatem przekonasz się teraz ze mną, jak smakuje miejscowy rum, kiedy poleży trochę w beczce i dla poprawienia smaku zostanie zmieszany z porządnym alkoholem z Bristolu.

- Twoje zdrowie, Richardzie. - Stephen podniósł swój kubek i pociągnął z niego mały łyk, spodziewając się, że się po nim wzdrygnie lub przynajmniej skrzywi. Na twarzy odmalowało mu się jednak zdziwienie i po chwili nabrał pełne usta trunku.

- Richardzie, jest naprawdę niezły! - Unieśli kubki w stronę Kitty. - A teraz za Kitty i dziecko, którego ojcem chrzestnym domagam się zostać. Niechże to będzie dziewczynka i nazwijcie ją Kate.

- Ale dlaczego Kate? - spytała Kitty.

- Bo w tej części świata lepiej być złośnicą aniżeli myszką - uśmiechnął się Stephen. - I nie obawiaj się, młoda matko, znajdzie się mężczyzna, który ją poskromi!

- A co będzie, jeśli się okaże, że to chłopiec? - spytała młoda matka.

Odpowiedział jej Richard.

- Mój pierwszy chłopiec będzie się nazywał William Henry i zawsze będzie się do niego zwracało pełnym imieniem. William Henry.

- William Henry... Podoba mi się - stwierdziła Kitty z zadowoleniem.

Z głową pochyloną nad kubkiem, Stephen ukrył westchnienie. „A zatem ona o niczym nie wiedziała. Czy kiedykolwiek się dowie? Richardzie, powiedz jej! Uznaj ją za równą sobie, błagam cię!”

- Ja również mam dobrą wiadomość, poruczniku, i obyś został kiedyś admirałem w niebieskim mundurze - powiedział Richard, wznosząc toast na cześć Stephena. - Tommy Crowder dostał rozkaz od pana Kinga, aby zacząć sporządzać rejestr ziemi i właścicieli ziemskich. Mam zostać w nim wpisany jako Richard Morgan, człowiek wolny, właściciel dwunastu akrów z własnego tytułu i nie nadanych przez Koronę. Mam również otrzymać dziesięć akrów w Queensborough na części tego nie zalesionego terenu. Będę zatem uprawiał

zboże na Biegu Morgana, a kukurydzę do karmienia świń w Queensborough. - Uniósł kubek.
- Wznoszę ten drugi toast na twoją cześć, poruczniku Donovane, za twoją uprzejmość przez te wszystkie lata. Obyś dowodził stu działami w wielkiej morskiej bitwie przeciwko Francuzom, zanim zostaniesz mianowany admirałem floty. Kitty, odwróć się i nie podglądaj.

Dwadzieścia złotych monet zostało wrzuconych Stephenowi na dłoń. Uniósł brwi, a potem schował je do kieszeni swojej płóciennej marynarki. Kiedy pozwolono Kitty popatrzeć, śmiali się obaj, choć nie wiedziała, z jakiego powodu.

Rok 1792 rozpoczął się suszą, choć w czasie świąt Bożego Narodzenia padał zwykły w tym okresie deszcz, na szczęście tuż po zakończeniu zbiorów. Kitty stawiała się coraz cięższa, choć nie należała do tych kobiet, które wyglądały tak, jakby miały za chwilę pęknąć. Nie roztyła się i mogła pracować bez zbytniego wysiłku.

- Wiesz, Richardzie, to ty powinieneś nosić to biedne dziecko! - powiedziała mu, wyprowadzona w końcu z równowagi. - Tak się tym denerwujesz i tak gdaczesz!

- Uważam, że powinnaś zostać przy Olivii Lucas - odparł zaniepokojony. - Bieg Morgana jest na takim odludziu!

- Nie zamierzam mieszkać u Olivii Lucas!

- A co będzie, jeśli dziecko urodzi się wcześniej, aniżeli się spodziewasz?

- Richardzie, odbyłam długą rozmowę z Olivia i wiem już wszystko na ten temat! Uwierz mi, będę miała wystarczająco dużo czasu, aby poinformować o tym Joeya, ciebie i Olivie. To jest pierwsze dziecko. One nie rodzą się tak szybko - powiedziała stanowczo. - Jesteś pewna?

- Tak - powiedziała głosem konającego męczennika, podeszła lekko do krzesła, usiadła bez żadnego trudu i spojrzała na niego bardzo poważnie. - Mam do ciebie parę pytań, Richardzie. I domagam się na nie odpowiedzi - rzekła.

Wyglądała tak władczo, że zafascynowany Richard nie mógł oderwać od niej oczu.

- No to pytaj - powiedział, siadając tak, aby mogła widzieć jego twarz. - Proszę, pytaj.

- Richardzie, wkrótce będę miała twoje dziecko, lecz nadal nic nie wiem o twoim życiu. A to, co wiem, zawdzięczam Lizzie Lock. To, co mi powiedziała, jest jak główka od szpilki, a sądzę, że mam prawo wiedzieć więcej niż Lizzie Lock. Powiedz mi coś o tej córce, która byłaby teraz w moim wieku.

- Miała na imię Mary i została pochowana obok swojej matki na cmentarzu kościoła St. James's w Bristolu. Zmarła na ospę, kiedy miała trzy latka. To jeden z powodów, dla których wolałbym, aby moje dzieci wychowywały się tutaj. Tu musimy się martwić najwyżej

o dyzenterię.

- Czy miałaś jeszcze jakieś inne dzieci?

- Syna. Williama Henry'ego. Utopił się. Twarz jej skurczyła się.

- Och, Richardzie!

- Nie zamartwiaj się tym, Kitty. To było bardzo dawno temu i w innym kraju. Tutaj nie ma takich zagrożeń.

- Tutaj też istnieją niebezpieczeństwa i groźba utonięcia należy do najbardziej powszechnych.

- Uwierz mi, że sposób, w jaki utopił się mój syn, nie byłby tutaj możliwy. Śmierć taka jak jego zdarza się w miastach, a nie na małych wysepkach, gdzie wszyscy się znają. Tu też są źli ludzie i my się z nimi nie zadajemy, lecz kiedy zorganizujemy tu szkołę, to my, rodzice, będziemy wiedzieli o nauczycielach o wiele więcej, aniżeli wiedzą o nich bristolscy rodzice. William Henry umarł z winy nauczyciela. - Skłoniwszy na bok głowę, zapytał figlarnie. - Masz jeszcze jakieś pytania?

- Jak zmarła twoja bristolka żona?

- Na apopleksję, na szczęście przed Williamem Henrym. W ogóle nie cierpiała.

- Och, Richardzie!

- Nie ma potrzeby się smucić, kochanie. To ty jesteś przyczyną, dla której to się stało, jestem tego pewien. Nie było mi pisane zaznać radości posiadania prawdziwej rodziny w Bristolu, gdzie nigdy nie mieszkałem we własnym domu. Proszę cię tylko, żebyś zatrzymała dla mnie, jako ojca twoich dzieci, mały kącik w swoim sercu. To i dzieci mi wystarczą.

Usta jej rozchyliły się i nieomal powiedziała mu, że zachowała dla niego więcej niż mały kącik w sercu, lecz zamknęła je, nie wypowiedziawszy ani słowa. Powiedzenie tego byłoby czymś w rodzaju obietnicy, zobowiązania, a nie była pewna, czy zdoła go dotrzymać. Bardzo go lubiła i uważała, że dawanie mu do zrozumienia, iż jest czymś więcej, było nieprzyzwoite. Nie usłyszała żadnej muzyki w sercu, nie czuła, że ma skrzydła u duszy. Gdyby dzięki niemu to poczuła, może byłoby inaczej. Wtedy mogłaby go nazwać swoją miłością.

Luty był wietrzny i niespokojny, pełen atakujących zewsząd huraganów. Przynajmniej zboże zostało już zebrane i było złożone w stodołach. Plony okazały się na tyle duże, że wystarczą na wyżywienie wszystkich na wyspie Norfolk, lecz dla Nowej Południowej Walii nie pozostawało już nic. Tylko sporo wapna i trochę drewna.

Piętnastego lutego Richard pośpieszył do domu, spóźniony i wielce zatroskany, bo

zastępca gubernatora zatrzymał go, zadając mu więcej pytań, aniżeli Kitty zdołałaby wymyślić w ciągu całego tygodnia. Nie nadszedł wprawdzie jeszcze czas rozwiązania, lecz jak powiedziała Olivia Lucas, główka dziecka ustawiła się już we właściwej pozycji, a trudno było uważać Joeya Longa za idealną akuszerkę. Pocieszony zapewnieniami Olivii i Kitty, że pierwsze dzieci nie przychodzą na świat w pośpiechu, skierował się ścieżką w stronę domu. Z wysokiego, kamiennego komina nie unosiła się nawet smuga dymu, więc przyspieszył kroku. Mimo że była już w dziewiątym miesiącu ciąży, nadal upierała się, że będzie piekła własny chleb.

Wszędzie cisza.

- Kitty! - zawołał, przeskakując trzy stopnie do wejściowych drzwi.

- Tutaj jestem! - dobiegł go cichy głos.

Richard wpadł do środka z bijącym sercem, obrzucając pokój jednym spojrzeniem. Ani śladu. W sypialni.

- O Chryste! Już się zaczęło!

Siedziała na łóżku podparta dwiema poduszkami, z twarzą zwróconą ku niemu w promiennym uśmiechu. - Richardzie, przedstawiam ci twoją córkę - powiedziała. - Powiedz Kate dobry wieczór.

Ugięły się pod nim kolana, lecz zdołał jakoś dotrzeć do łóżka i usiąść ciężko na jego skraju.

- Kitty!

- Spójrz na nią, Richardzie. Czyż nie jest piękna?

Para zniszczonych pracą rąk ofiarowała mu zawiniątko. Och, to niesprawiedliwe, aby jego ręce były bardziej zadbane niż jej! Wziął zawiniątko i delikatnie odsunął pieluszkę z maleńkiej, pomarszczonej twarzyczki, o ustach złożonych w doskonałe „O”, zamkniętych, opuchniętych powiekach i skórze zbyt ciemnej, aby można ją było nazwać czerwoną, otoczoną czupryną gęstych, czarnych włosów. Otworzył się przed nim i pochłoniął go do szczytu ocean miłości i znowu utonął, nie buntując się, w owej magicznej krainie. Pochylił się, by pocałować to maleńkie stworzonko w czółko, i poczuł nabiegające mu do oczu łzy.

- Nic z tego nie rozumiem! Tak dobrze się czułaś, kiedy wychodziłem dziś po południu. Nic mi nie powiedziałaś.

- Bo nie było o czym mówić. Naprawdę dobrze się czułam. Wszystko było takie zagmatwane, nie miałam żadnego ostrzeżenia. Odeszły mi wody, poczułam silny ból, a potem wyczułam jej główkę. Rozścieliłam więc na podłodze czyste prześcieradło, przykucnęłam i urodziłam ją. Wszystko nie trwało nawet kwadransa. Jak tylko wyszło łóżysko, poszukałam

nitki, zawiązałam pępowinę i odciąłam nożyczkami. Krzyczała, och, cóż to był za głos! Obmyłam ją, pozmywałam podłogę, namoczyłam prześcieradło i wykąpałam się. - Rozpierała ją duma i promieniała zadowoleniem. - Nie wiem doprawdy, o co tyle zamieszania. - Odsunęła na bok połę perkalowej sukni, obnażając swą wydatną pierś, której ciemnoczerwony sutek zdawał się perliście zroszony.

- Mam już mleko, choć Olivia mówiła, żeby trochę poczekać z daniem jej jeść. Czyż nie jestem bystra, Richardzie?

Ostrożnie, żeby nie przygnieść zawiniątka, Richard pochylił się, żeby ze czcią pocałować ją w usta. Wielbiąc ją oczyma, otarł łzy z twarzy i uśmiechnął się rozdygotany.

- Bardzo, bardzo, bardzo bystra, żono. Zachowałam się tak, jakbyś robiła to już ze dwadzieścia razy.

- Nie mam wagi, więc nie mogę określić jej ciężaru, lecz wydaje mi się, że waży wystarczająco i jest całkiem duża. Wygląda na Morgana, nie Clarka.

Przymrużył oczy, wpatrując się w twarzyczkę Kate, aby to potwierdzić, lecz nie był w stanie.

- Jest bardzo piękna, żono. Tylko tyle mogę powiedzieć. - Po czym przyjrzał się uważniej Kitty. Zdawała się zmęczona, lecz promieniała taką radością, że nie wierzył, aby groziło jej jakiegokolwiek niebezpieczeństwo.

- Dobrze się czujesz? Naprawdę?

- Naprawdę. Jestem tylko zmęczona. Wyślizgnęła się tak łatwo, że nawet nie czuję urażeń. Olivia poradziła mi, żebym przykucnęła. To naturalna pozycja, twierdziła. - Kitty wzięła Kate z powrotem, żeby znowu jej się przyjrzeć. - Richardzie! - wykrzyknęła z wyrzutem w głosie. - Ona jest twoim odbiciem, jakże ty możesz tego nie widzieć?

- Czy nie masz nic przeciwko nazywaniu jej twoim imieniem, Catherine?

- Nie. Dwie Catherine - jedna Kitty, a druga Kate. Następną dziewczynkę nazwiemy Mary.

Nic nie mógł na to poradzić. Rozplakał się, a Kitty odłożyła dziecko i wzięła go w ramiona.

- Kocham cię Kitty. Kocham cię bardziej niż własne życie.

I znowu usta jej rozchyliły się, by coś powiedzieć i ofiarować mu siebie. Lecz wtedy Kate nagle zaczęła krzyczeć. Zapytała więc zamiast tego:

- Słyszałeś coś podobnego? Myślę, że Stephen ma rację, mamy do wychowania złośnicę. To przesądza całą sprawę. Pozwolę jej ssać. Wysunęła ramiona z sukienki i pozwoliła, by osunęła jej się do pasa. Następnie odwinęła maleńkie stworzonko z pieluszek i

przyłożyła nagą do własnej skóry ze zmysłową rozkoszą, która sparaliżowała Richarda. Maleńkie „O” usteczek uczepliło się podanego jej sutka, a Kitty westchnęła z przyjemnością.

- Och, Kate, teraz jesteś już naprawdę moja!

Kitty nigdy nie wątpiła w jedno - w to, że Richard będzie wspaniałym ojcem. Zdziwiło ją jednak to całkowite oddanie się ojcostwu. Tyle pośród jej przyjaciółek i znajomych narzekało, że ich mężczyźni bali się, że zostaną uznani za pozbawionych męskości, jeśli będą mieli coś wspólnego z dziećmi lub domowymi pracami. Niesienie zmęczonego dziecka było dozwolone, całowanie i mienie maleństwa również, byle nie w nadmiarze. Richard natomiast nie przejmował się tym, co inni mężczyźni o nim myśleli. Jeśli któryś z nich go odwiedzał, wesoło zmieniał brudne pieluszki Kate i nie zwracał uwagi na to, jeśli zastano go na ich praniu czy przy wieszaniu. I najwidoczniej jego męskość w niczym nie ucierpiała w ich oczach. A nawet jeśli tak było, on tego nie zauważał. A jeśli zauważył, to nie sądził, aby takie opinie były warte uwagi. W pewnym sensie miał rację, nie wyglądał na ofermę. Gdyby tak było, być może zachowywałby się inaczej.

Pracował nader ciężko, usiłował bowiem zmieścić wszystko w krótkim czasie, zawsze chętny do powrotu do domu i zobaczenia Kitty i Kate. Kiedy Kitty zaproponowała mu nieśmiało, że być może powinien mniej zajmować się cięciem tarcic, a więcej rolnictwem, zdawał się przerażony. O nie! Praca w charakterze nadzorcy traczy jest dobrze płatna, a każdy weksel, który złożył w księgach rządowych, stanowił zabezpieczenie na przyszłość jego dzieci. On poradzi sobie i z cięciem drewna, i z uprawą roli, w końcu trupem jeszcze nie jest.

Kate miała już sześć miesięcy, gdy Tommy Crowder przyszedł do drugiego dołu trackiego, szukając Richarda, aby się dowiedzieć, kiedy zamierza wpisać małą Kate na liście magazynów rządowych.

- Potrafię utrzymać żonę i dziecko bez pomocy magazynów - odparł Richard z godnością.

- Komendant King upiera się, żeby były na liście magazynów. Chodź do mojego biura, załatwimy to od razu. - I Crowder odszedł, nie oglądając się nawet, czy Richard idzie za nim czy nie.

- Nie widzę powodu, dla którego moja żona i dziecko powinny być na liście magazynów - powtórzył uparcie Richard w małym biurze Crowdera. - To ja jestem głową rodziny.

- Właśnie o to chodzi, Richardzie. Nie jesteś głową rodziny. Kitty jest więźniarką i do

tego panną. Dlatego też jest nadal na liście w magazynach i jej dziecko również musi na niej być. Po prostu jesteś mi tu potrzebny jako świadek - wyjaśnił Crowder.

Oczy Richarda stały się zupełnie szare i pociemniały.

- Kitty jest moją żoną. Kate jest moją córką.

- Catherine Clark, panna. O, tutaj - Crowder mamrotał dalej, szukając odpowiedniej linijki na właściwej stronie w swoim ogromnym rejestrze. Chwytał gęsie pióro, zamoczył je w atramencie. Mówił głośno w trakcie pisania: - Catherine Clark, dziecko. - Uniósł wzrok rozpromieniony. - No właśnie. Zrobione, a ty byłeś świadkiem, jak to pisałem. Dziękuję ci, Richardzie. - Odłożył pióro.

- Dziecko to nazywa się Catherine Morgan. Uznaję ją za córkę.

- Nie, ona jest Clark.

- Morgan.

Tommy Crowder nie był specjalnie spostrzegawczym człowiekiem, za bardzo chciał się przypodobać ludziom, którzy mogliby mu pomóc w dalszej karierze. Nagle jednak spojrzawszy w oczy tak gniewne jak zatoka Sydney podczas sztormu, poczuł, że krew odpłynęła mu z twarzy.

- Nie obwiniaj mnie za to, Richardzie - wyjąkał. - Nie jestem twoim sędzią, lecz urzędnikiem na wyspie Norfolk. Komendant King chce, aby wszystko było - uśmiechnął się z przymusem - zapięte po bristolsku na ostatni guzik. Jako bristolczyka, powinno cię to cieszyć - paplał teraz i nie mógł się powstrzymać. - Muszę wpisać to dziecko na listę i musiałem cię poprosić, żebyś był świadkiem, że to zrobiłem. Jej nazwisko brzmi Clark.

- To niesprawiedliwe! - zwierzył się Richard Stephenowi z zaciśniętymi pięściami. - Ta tresowana małpa na usługach rządu zapisała moją córkę w tym swoim cholernym rejestrze jako Catherine Clark. I jeszcze wybrała mi w tym nos, każąc na to patrzeć.

Stephen spoglądał na prężące się pod skórą ramion Richarda mięśnie i wzdrygnął się mimowolnie.

- Na litość boską, Richardzie, pohamuj się. To nie jest wina ani Crowdera, ani Kinga. Zgadzam się, że to niesprawiedliwe, ale nic nie możesz na to poradzić. Kitty nie jest twoją żoną. Ona nie może zostać twoją żoną. Pozostało jej jeszcze parę lat do odpracowania kary, co oznacza, że rząd ma prawo robić z nią, co zechce. A oficjalnie nazwisko Kate brzmi Clark.

- Jest coś, co mógłbym zrobić - powiedział Richard przez zaciśnięte zęby. - Mógłbym jeszcze zamordować Lizzie Lock.

- Nie jesteś do tego zdolny, więc przestań gadać, jakbyś mógł to zrobić.

- Tak długo, jak żyje Lizzie, moja córka jest bękartem. I wszystkie inne dzieci, jakie

spłodzę z Kitty, też będą bękartami.

- Popatrz na to w ten sposób - przekonywał go Stephen. - Lizzie Lock jest dobrze ustawiona z Tomem Scullym, ale Tom szybko przekonuje się, że nie nadaje się na farmera, dlatego rezygnuje z uprawy zboża na rzecz hodowli drobiu. Prędzej czy później sprzeda to wszystko i opuści wyspę. Z plotek między byłymi żołnierzami, którzy są teraz wolnymi osadnikami, wynika, że on chce odwiedzić Cathay i Bengal, zanim się zestarzeje. Czy wydaje ci się, że on popłynie na wschód bez Lizzie Lock uczeptionej jego ramienia? Zamknąwszy oczy, Richard popadł w przygnębienie.

- Próbuję patrzeć na to tak, jak ty. Chodzi ci o to, że kiedy Lizzie wyjedzie na wschód, będę mógł trochę odczekać, a potem udawać, że jestem nieżonatym człowiekiem.

- Dokładnie tak. A jeśli będzie to konieczne, zapłacę fałszerzowi z londyńskiego zaułka, aby posłużył się w sekrecie adresem jakiegoś kupca w Wampoa i napisał wzruszający list do panów szeryfów w Gloucester. Wyjaśni w nim, że pani Richardowa Morgan, z domu Elizabeth Lock, zmarła w Macao, i zapyta, czy nie znają jakichś jej krewnych. To dowiodłoby tego, że już nie żyje, po czym mógłbyś poślubić Kitty.

- Czasami, Stephen, potrafisz być przykry. - Podstęp jednak się udał. Richard otworzył oczy i nawet zdołał się roześmiać. - Czy to piękne, pocieszające przemówienie, zawierające wzmianki o londyńskich zaułkach ma oznaczać, że wkrótce nas opuścisz?

- Nie poinformowano mnie jeszcze o niczym innym poza uzyskaniem rangi porucznika, ale wkrótce to nastąpi.

- Będzie mi ciebie bardzo brakowało.

- A mnie ciebie. - Stephen objął Richarda ramieniem i lekko popchnął go w stronę domu. „To dobrze, że minęła mu ta wściekłość. Przynajmniej powierzchownie. Niech Bóg przeklnie tego wielbego Johnsona!”

- On się tym o wiele bardziej przejmuje aniżeli ja - stwierdziła Kitty, kiedy Stephen powiedział jej o ich rozmowie. Richard udał się do stawku zmyć z siebie pozostałości po dołach trackich i Thomasie Restellu Crowderze. - Przykro mi, że nazwisko Kate nie brzmi Morgan, lecz ktoś mógłby zaprzeczyć, że ona jest Morgana? A poza tym czymże jest małżeństwo? Co najmniej połowa z nas, więźniarek, nie jest oficjalnie zameżna, lecz to wcale nie oznacza, że w jakimś sensie nie jesteśmy żonami. Ja się na to nie uskarżam, Stephen, naprawdę.

- Richard wierzy w Boga i chodzi do kościoła, Kitty. I w związku z tym trudno mu się pogodzić z faktem, że w oczach Kościoła anglikańskiego jego dzieci będą bękartami.

- Kiedy Lizzie umrze, nie będą bękartami, a ona jest już stara - odparła swobodnie

Kitty.

Jakże jej wytłumaczyć, że nawet późniejsze małżeństwo nigdy nie zatrze tej zrazy? Stephen postanowił nawet nie próbować. Zamiast tego pochwyił Kate.

- Jak się masz, moja ty truskaweczko? Mój kochany mały aniołku!

- Kate nie jest żadnym tam aniołkiem, Stephen. Jest dokładnie tym, czym powiedziałaś, złośnicą. A jaka jest uparta! O mój Boże, Stephen, ma zaledwie sześć miesięcy, a już nami rządzi, i to żelaznym prętem.

- Nie - powiedział Stephen, odpowiadając roześmianym wzrokiem na poważne spojrzenie maleństwa, a następnie całując ją w oba pulchne policzki. - Ona nie potrzebuje żelaznych prętów do rządzenia Richardem. Wystarczy kawałek nitki lub piórko, nieprawdaż, Kate? Ciekaw jestem, gdzie jest twój Petruccio? W jakim przebraniu się ukáže? - Oddał Kate z powrotem.

- Petruccio?

- To szekspirowski dżentelmen, który poskromił złośnicę Kate. Nie zwracaj na to uwagi, to takie moje fanaberie.

Zapadła cisza, Stephen zadowolili się obserwowaniem tej madonny z wyspy Norfolk, studium w perkalowych łachmanach. Bez względu na to, jak potoczy się jej życie, Kitty zawsze będzie najlepsza w matkowaniu dzieciom. Oto silne niemowlę, które normalnie wpadałoby w ataki wściekłości, przy matce takiej jak Kitty było truskaweczką, aniołkiem. Dobre kotki rodzą dobre kocięta. A z tej naszej Kitty to dobra kotka.

Jaka jeszcze była? Niewykształcona, ale w żadnym wypadku nie głupia. Myszka, która schowała się w lesie, już dawno gdzieś zniknęła. Przez te dwa lata, które przeżyła z Richardem Morganem, zmieniła się w kwitnącą, fantastycznie ponętą kobietę o brzydkiej twarzy. Problem w tym, czy ona kochała Richarda? Stephen nigdy nie był tego pewien, gdyż wydawało mu się, że ona sama tego nie wie. To, co czuła w stosunku do Richarda, było seksualnym oczarowaniem. To ją do niego przywiązuje, podobnie jak dzieci, lecz... Ona nie widzi w nim żadnego powabu, a dlaczego, tego się nigdy nie dowie. Czy chodzi o jego wiek? Z pewnością nie. Dźwiga go bez żadnego wysiłku tak samo, jak tnie drewno.

- Czy ty kochasz Richarda? - zapytał.

Te piwne i posypane pieprzem oczy zdawały się zasmucone.

- Nie wiem, Stephen. Chciałabym to wiedzieć, ale nie wiem. Nie jestem na tyle wykształcona, aby dokonywać tego rodzaju osądów. No bo skąd wiesz, że go kochasz?

- Po prostu wiem. On wypełnia moje oczy i umysł.

- W moim przypadku tak nie jest.

- Nie skrzywdź go, Kitty, proszę.

- Nie skrzywdzę go - odparła, bawiąc się z Kate, podskakującą na jej kolanach jak na koniku, a potem uśmiechnęła się i poklepała go po ręce. - Zostanę z Richardem na dobre i na złe, Stephenie. Jestem mu to winna, a mam zwyczaj spłacać długi. Tego powinno nas nauczyć to zesłanie, a ja wyuczyłam się swoich lekcji. Tyle tylko, że jakoś nigdy nie mam czasu na czytanie i pisanie. Dom i dzieci są na pierwszym miejscu.

Kiedy Kitty oznajmiła mu, że znowu jest w ciąży, Richard był przerażony.

- To niemożliwe! To za wcześnie!

- Niezupełnie. Będzie pomiędzy nimi czternaście miesięcy - powiedziała spokojnie. - Dzieci w podobnym wieku lepiej się chowają.

- Ależ ta praca, Kitty! Zestarzejesz się przedwcześnie. To ją rozśmieszyło.

- Do licha, Richardzie, dobrze się czuję, jestem młoda i czekam na przybycie Williama Henry'ego.

- Kitty, ja nie miałem nic przeciwko czekaniu, naprawdę. O, niech diabli wezmą to słowo, zacznam go za często używać.

- Nie gniewaj się - błagała. - Olivia mówiła, że nie wpadnę tak długo, jak długo karmię piersią Kate.

- Bajki starych bab. Powinienem poczekać.

- Ale dlaczego?

- Bo drugie dziecko będzie dla ciebie za dużym obciążeniem.

- A ja ci mówię, że nie! - podała Kate Richardowi i chwyciła za puste wiadro. - Idę po wodę do domu.

- Pozwól, że ja ją przyniosę.

Ukazały się jej zęby, a oczy błysnęły gniewnie..

- Mówię ci to już po raz setny, Richardzie Morganie, czy ty wreszcie nie przestaniesz robić tyle szumu i tak się kokosić? Dlaczego nigdy nie chcesz docenić mnie tak, jak na to zasługuję? To ja noszę w łonie dzieci i ja decyduję, kiedy ma to nastąpić. To ja siedzę w domu przez te wszystkie dni i noce! Ja rozstrzygam, co jest dla mnie za dużo, a co nie! Zostaw mnie w spokoju! Przystań za mnie decydować. Pozwól mi robić to, co chcę, bez nieustannego zadręczania mnie to za dużo, to za mało, dlaczego nie powiedziałaś mi, żebym to za ciebie zrobił, mam już tego dosyć! Już nie jestem sierotą, jestem już na tyle dorosła, żeby mieć własne dzieci! I jeśli chcę mieć jeszcze jedno, to będę je miała! Nie jesteś moim panem i władcą - Jego Królewska Mość nim jest! - I wymaszerowała z wiadrem z domu,

emanując wściekłością.

Richard usiadł na górnym stopniu z Kate na kolanach, oboje milczący.

- Wydaje mi się, córko, że właśnie pokazano mi moje miejsce.

Kate siedziała prosto bez podtrzymywania i spojrzała na ojca tymi nakrapianymi oczyma nie należącymi już ani do Williama Henry'ego, ani do Kitty. Jej oczy były płowoszare i zdawały się ukrywać obecność ciemnych kropeczek, które je pstrzyły. Ci, którzy je w nich znajdowali, musieli się im dobrze przyglądać. Uroda jej stawała się już widoczna, choć być może była to po prostu uroda dzieciństwa, lecz - tak jak w przypadku zmarłych dzieci Richarda - była niezwykła. Burza czarnych loków, pięknie zarysowane, czarne brwi, gęste czarne rzęsy wokół tych szeroko otwartych, sztormowej barwy oczu, pełne czerwone usta i nieskazitelna brązowa skóra. Kitty miała rację, ona zdecydowanie była z Morganów. Była Morganówną o nazwisku Clark.

Skrzywił się i przeklął samego siebie już chyba z milion razy. Wszystkie jego dzieci urodzą się bękartami. Lizzie Lock nie zamierza mu się przysłużyć, umierając przedwcześnie. Oczywiście nie mógł jej zamordować, lecz nikt z wyjątkiem samego Boga nie miał prawa powiedzieć, że nie wolno mu życzyć jej śmierci.

„Dlaczegoż zawsze płaczemy nici naszego żywota? Nie zastanawiałem się nad tym, wchodząc w związek małżeński z Lizzie Lock. Lub raczej nie myślałem o sobie ani o przyszłości. Żal mi jej było i wydawało mi się, że jestem jej coś dłużny. Rozumowałem jak przewodnik i nadal tak myślę. Przypominam sobie, że Stephen mnie ostrzegwał, ale go nie usłuchałem. Ludzie, którym wyrządziłem największą krzywdę, to moje własne dzieci. A ta najdroższa dusza, która jest żoną mego serca, traktowana jest pogardliwie jako moja „kobieta”. Nigdy nie zwracają się do niej, używając słowa „pani”. Określają ją tylko słowem „kobieta”, które sugeruje, że nie ma tożsamości, absolutnie żadnego statusu. Jest zwykłym udogodnieniem. Mogę, tak jak niektórzy mężczyźni już to robią, odsunąć ją od siebie, nie płacąc jej żadnej rekompensaty. Wyroki już się kończą i ci, którzy nagromadzili odpowiednio dużo złota, wykupują przejazdy powrotne do Anglii lub Cathay czy gdziekolwiek im się spodoba. Dobrze znane twarze, takie jak Joe Robinson, znikają. Jednakże tyłu z nich zostawia tu swoje kobiety na pastwę losu. To dobrze, że podobnie jak major Ross, komendant King zamierza przyznać samotnym kobietom ziemię na równi z samotnymi mężczyznami. Te smutne, porzucone stworzenia nie muszą oferować swoich usług pomiędzy barakami żołnierzy z Korpusu Nowej Południowej Walii. To, co my wyprawiamy z kobietami, jest niewybaczalne. One nie są prostytutkami z natury, to myje do tego zmuszamy”.

Kate zaczęła gaworzyć i uśmiechnęła się, pokazując przy tym, że zaczął jej się

wyrzynać ząbek. „Moja pierworodna, moja córka. Mój bękart”. Tuląc ją do siebie, Richard przyłożył usta do niezwykle gładkiej skóry, wdychając jej świeży, czysty zapach, mając świadomość, że Kate uwielbiała, jak się ją tak kochało.

- Kate - zwrócił się do niej, odwracając ją w rękach tak, że zwrócona do niego twarzą mogła mu rzucać uwodzicielskie spojrzenia, co odziedziczyła po matce, a on mógł do niej mówić tak, jakby go rozumiała. - Moja Kate, co cię czeka w życiu? Co mógłbym zrobić, aby się upewnić, że nigdy nie będziesz zmuszona wieść życia, na jakie Bóg skazał twoją matkę? Jak mógłbym zamienić cię z bękartem zrodzonego z rodziców skazańców w dobrze wykształconą młodą damę, która mogłaby wybierać sobie młodzieńców w każdej części świata? - Pocałował jej małą rączkę i poczuł paluszki zaciskające się na jednym z jego palców. A potem przytulił ją do piersi, wsunął jej główkę pod brodę i spojrzał w dal, rozmyślając nad jej losem.

Przyniesienie wiadra niepotrzebnej jej do niczego wody zajęło Kitty sporo czasu. Najpierw usiadła przy strumieniu i kipiała złością jeszcze przez chwilę, a potem postawiła wiadro pod główny wodospad, żeby je napełnić. Później postawiła je na ziemi i ponownie usiadła.

Wybuch ten zaskoczył ją, nie zdawała sobie sprawy, że zbyt była zajęta, aby pozwolić sobie na luksus autoanalizy. Powód, dla którego jej uczucia wylały się dzisiaj tak gwałtownie - Richard nie chciał drugiego dziecka tak prędko, jeśli w ogóle je chciał. Ale nie były to rzeczy zależne od niego! Bóg stworzył ją, aby rodziła dzieci, a ona lubiła to robić. Słowa kazań z czasów pobytu w przytułku, powtarzanych w czasie, gdy ręce zajęte były haftowaniem, nabrały teraz znaczenia. Adam może i był pierwszą osobą na ziemi, lecz dopóki nie pojawiła się Ewa, był jedynie... eksponatem! Ewa była ważniejsza od Adama. Ewa rodziła dzieci i zmieniała dom w ognisko domowe.

Richard nie mógł się domagać, by wszystko było tak, jak chciał, tylko dlatego, że on zdobywał chleb. Przecież to ona go piekła! A w przyszłości, przysięgała sobie, podnosząc się gwałtownie i z łatwością podrywając dwudziestofuntowe wiadro, będzie musiał brać pod uwagę i jej życzenia. Nie jestem jakąś myszką czy patykiem do zeskrobywania błota z butów. Jestem ważną osobą.

Musiła przyznać, że obraz, jaki zobaczyła, wracając ścieżką pośród warzywnego ogrodu, był bardzo tkliwy, rzeczywiście kojący serce. Nie zauważona, stała w bezruchu, patrząc na Richarda z dzieckiem, jak odwrócił córkę ku sobie, jak przemawiał do niej poważnymi słowami, całował jej rączkę i patrzył na nią z twarzą przepelnioną miłością i

oczarowaniem. Sposób, w jaki ją tulił. Sposób, w jaki spoglądał ponad jej główką w nicłość.

Richardzie, porusz się! Porusz się! Kitty stała, nakłaniając go w myślach do poruszenia, lecz bezskutecznie. Słońce zachodziło za domem i jego frontowa część pogrążona była w cieniu, a mimo to światło było absolutnie wyraźne i padało na ojca i dziecko tak, jakby oboje skamienieli, znieruchomieli jak głązy. Powróciło stare wspomnienie, w którym kierownik przytułka, prowadzący niedzielne nabożeństwo, siedział na swym tronie wpatrzony w nicłość, podczas gdy kapelan wygłaszał kazanie na temat grzechów ciała, którego nikt z jego słuchaczy nie rozumiał. Kiedy kapelan skończył, kierownik nadal wpatrywał się pustym wzrokiem przed siebie. Słuchające go sieroty pozostały w bezruchu, nauczycielki, sztywne i zgorzkniałe stare panny, przeszukiwały wzrokiem szeregi dziewcząt, aby się upewnić, że żadna z nich nie miała niegodnego kościoła wyrazu na twarzy, a kierownik nadal siedział wpatrzony w przestrzeń, tak jakby widział w niej jakąś wizję, która nie była ani przykra, ani miła. Dopiero gdy kapelan ujął go nieśmiało za ramię, kierownik poruszył się. Poruszył się, spadając z krzesła na posadzkę kaplicy i leżał na niej bezkształtny niczym skarpetki wypełnione na poły piaskiem, którymi bito wychowanków przytułka, tak aby później nie było widać śladów.

Porusz się, Richardzie, porusz się! Ale on nie poruszył się, a czas mijał i dziecko w jego ramionach usnęło, niepomne niczego. Nagle nabrała pewności, że nie żył. Dotarło to do niej w jednym momencie i powaliło ją na kolana, wiadro wypadło jej z rąk, wylewając kaskady wody, a świat dookoła całkowicie ucichł. Ale on nawet i wtedy się nie poruszył. On nie żył! Nie żył!

- Richard! - wrzasnęła, zrywając się na nogi i biegnąc ku niemu.

Jej krzyk wyrwał go z głębokiego zamyślenia, ale nie na tyle prędko, aby zdołał ją złapać. Rzuciła się na niego w tym samym momencie, płacząc i lamentując, szarpiąc rękoma jego ramiona i piersi.

- Kitty! Co ci się stało, kochanie? Co się stało? Wyprowadzona z równowagi jęczała i zawodziła, a łzy ściekały jej strumieniami po twarzy. Gdy Kate przyłączyła się do wrzasku matki, krzycząc w swojej własnej tonacji, Richard, któremu aż zakręciło się w głowie, podniósł się na nogi z dwoma obłąkanymi kobietami czepiającymi się go niczym liny ratowniczej. Bezceremonialnie wsadził Kate do kołyski, gdzie wrzeszczała z oburzenia, że się jej tak niefrasobliwie pozbyto, Kitty natomiast usiadła w fotelu przy piecu, gdzie szlochała tak, jakby jej serce pękło. Richard wyciągnął rum i nadskakując i próbując jej dogodzić, zmusił Kitty do wypicia trunku.

- Och, Richardzie, myślałam, że umarłeś! - jęczała zdławionym od łkania głosem,

spoglądając na niego mokrymi oczyma i z ciekącym nosem. - Myślałam, że nie żyjesz! Myślałam, że umarłeś. - Objęła go za biodra i wtuliła w niego twarz, znowu zanosząc się płaczem.

- Kitty, ja nie umarłem - odciągnął jej rękę, podniósł ją z krzesła i sam na nim usiadł, biorąc ją na kolana. Brzeg jej perkalowej sukienki był jedyną szmatą pod ręką, więc wziął go i wytarł nim jej oczy i nos, policzki, brodę i szyję. Ten potok łez przemoczył nawet karczek jej sukienki. - Najdroższa moja, ja nie umarłem. Widzisz? - zapytał, uśmiechając się czule. - Trupy nie mogą zajmować się takimi rzeczami. Choć to miło wiedzieć - dodał z sercem przepełnionym czułością - że zostałem tak rozpaczliwie opłakany. Napij się jeszcze trochę rumu.

Napad wściekłości Kate pozostawionej w sypialni przybrał na sile, lecz wiedząc, że dojdzie do siebie prędzej aniżeli Kitty po doznanym szoku, odwrócił głowę i krzyknął groźnie.

- Kate, przestań! Powinnaś już spać! - Ku swemu zdumieniu stwierdził, że szloch jego córki ustał i zapadła błogosławiona cisza.

- Och, Richardzie, myślałam, że umarłeś, tak jak ten nasz kierownik, i nie mogłam tego znieść! Nie żyłeś - a tak mnie kochałeś - a ja nigdy nie mogłam tego zrozumieć. A ja ciebie raniłam i odrzucałam cię, i potem było już za późno, aby ci powiedzieć, że cię Kocham. Kocham cię tak jak i ty mnie, bardziej niż samo życie. Myślałam, że nie żyjesz, i nie wiedziałam, jak żyć na tym świecie, na którym nie było ciebie. Kocham cię, Richardzie, Kocham cię, Richardzie, Kocham cię!

Odsunął włosy z jej twarzy i jeszcze raz otarł łzy rąbkiem jej sukni.

- Wszystkie moje Boże Narodzenia nadeszły jednocześnie - powiedział. - Wiem, że polało się tu sporo łez, ale dlaczego jesteś taka mokra?

- Zdaje się, że wylałam całe wiadro wody. Pocałuj mnie, Richardzie. Och, pocałuj mnie z miłością i pozwól mi pocałować cię z miłością.

Obydwoje odkryli, że miłość odwzajemniona zamieniała usta w najcieńszą osłonę, jaka istniała pomiędzy ciałem a duchem. „Od tej chwili - pomyślał Richard - niepotrzebne są żadne sekrety. Będę mógł jej wszystko powiedzieć. Kitty знаła już rozkosz posiadania muzyki w sercu i skrzydeł u duszy. Miłość była tu od początku”.

Stephen przyszedł odwiedzić ich w pierwszą rocznicę urodzin Kate, piętnastego lutego 1793 roku, przynosząc zaskakujący prezent.

Ale to nie ten prezent sprawił, że Richard, Kitty i Kate wytrzeszczyli ze zdumienia

oczy. Porucznik Donovan wystąpił w pełnej gali oficera królewskiej floty - miał na sobie czarne buty, białe pończochy, białe spodnie i kamizelkę, koszulę z żabotem oraz marynarski żakiet z parą złotych sznurków i szablą u pasa oraz perukę na głowie i kapelusz wciśnięty pod pachę. Był nie tylko uderzająco przystojny, lecz również robił ogromne wrażenie.

- Wyjeżdżasz! - wykrzyknęła Kitty, a oczy jej napełniły się łzami.

- Jak ty się prezentujesz! - wykrzyknął Richard, ukrywając smutek.

- Mundur pochodzi z Port Jackson, nawet nieźle dopasowany - wyjaśnił Stephen, wdzięcząc się. - Ale żakiet wymaga poprawek w ramionach. W ramionach jestem za szeroki.

- Szeroki na tyle, by przyjąć dowództwo. Gratuluję! - Richard wyciągnął rękę. - Wiedziałem, że w nazwie tego statku, który tu właśnie przybył, kryło się jakieś znaczenie.

- Aha. „Kitty”. Ubrałem mundur na cześć małej Kate. Nie odpływam od razu. „Kitty” nie wyruszy stąd jeszcze przynajmniej przez tydzień, mamy więc trochę czasu. - Ściągnął perukę, pokazując, że na wzór Richarda przystrzygł sobie włosy. - O Chryste, jak w tym gorąco! To dobre na Kanał Angielski, lecz nie na wyspę Norfolk podczas parnego lutego.

- Stephen, twoje piękne włosy! - wykrzyknęła Kitty i wydawało się, że za chwilę się rozplacze. - Och, tak mi się podobały! Usiłuję namówić Richarda, żeby zapuścił swoje, on jednak twierdzi, że to tylko kłopot.

- I ma całkowitą rację. Od kiedy ściałem swoje, czuję się wolny jak ptak, z wyjątkiem momentów, kiedy muszę nakładać perukę. - Podeszedł do Kate, siedzącej na wysokim krześle, które sporządził dla niej Richard, i położył paczuszkę na jego tacy. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, moja ty najdroższa chrześniaczko. - Taa - odparła, uśmiechając się i sięgając, by dotknąć jego twarzy. - Stevie. - Spojrzała za nim na Richarda i rozpromieniła się. - Tata!

Stephen pocałował ją, a następnie zabrał jej paczkę, co w najmniejszym stopniu jej nie rozżłościło - tak długo, jak jej ojciec przebywał w tym samym pokoju, niewiele poza nim ją interesowało.

- Odłóż to dla niej - powiedział Stephen, oddając paczkę Kitty. - Upłynie jeszcze parę lat, zanim rzeczywiście będzie mogła to docenić.

Ciekawa Kitty odwinęła opakowanie i patrzyła z zachwytem.

- Och, Stephen, jakie to piękne!

- Odkupiłem to od kapitana „Kitty”. Nazywa się Stephanie. Była to lalka o delikatnie pomalowanej, porcelanowej twarzy, oczach mających odpowiednio cętkowane tęczęwki, drobiazgowo wymalowane rzęsy i bujną czuprynę złotych włosów wykonanych z pasemek jedwabiu. Ubrana była jak dama sprzed trzydziestu lat, w jedwabną, różową suknię z turniurą.

- Sądę zatem, że wracasz do Port Jackson na „Kitty” - odezwał się Richard.

- Owszem, a potem w czerwcu do Portsmouth.

Zjedli pieczoną wieprzowinę, a następnie lekki niczym piórko urodzinowy tort, który Kitty upiekła, wykorzystując białka jajek zamiast środków spulchniających. Ubiła je w miedzianej misce trzepaczką, którą Richard zrobił jej z miedzianego drutu. Miał sprawne ręce i potrafił zrobić wszystko, o co go prosiła.

Sporadycznie przyplływające statki dostarczały im herbaty, prawdziwego cukru i różnych drobnych luksusów, takich jak delikatny porcelanowy serwis do herbaty, który był dumą i radością Kitty. W nie oszklonych oknach fruwały bengalskie firanki, lecz obrazków i widelców nadal nie udało się kupić. Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. William Henry przyjdzie na świat dopiero za jakieś trzy miesiące - wiedziała już, że był to William Henry. Mary będzie musiała poczekać, nie tak długo, jakby Richard sobie tego życzył, ale nie szkodzi. Mogła mu ofiarować jedynie dzieci. I nigdy nie będzie ich za wiele. Wyspa Norfolk też miała swoje niebezpieczeństwa. W zeszłym roku biedny Nat Lucas, ścinając jedną z sosen, patrzył z przerażeniem, jak spadła z potwornym rykiem na Olivie, małego Williama w jej objęciach i dwie bliźniaczki, uczone jej spódnicy. Olivii i Williamowi udało się z tego wyjść nieomal bez szwanku, lecz Sarah i Mary zginęły na miejscu. Tak, musiało się tu rodzić wiele dzieci... Rozpaczało się nad ich śmiercią, lecz dzięki Bogu za te, które przeżyły.

Była szczęśliwa, ponieważ kochała i była kochana, jej córka tryskała zdrowiem, a rosnący w niej syn doprowadzał ją do szaleństwa kopaniem. Och, jakże będzie jej brakowało Stephena! Choć wiedziała, że nawet w jednej dziesiątej nie tak bardzo jak Richardowi. No cóż, tak już musiało być. Nic nigdy nie pozostaje takie samo, wszystko zmierza gdzie indziej, co pozostaje tajemnicą, dopóki nie pojawi się u nas na progu.

Stephen odpływał na „niej” do Anglii i to wiele znaczyło. „Kitty” bezpiecznie go zachowa, „Kitty” będzie śmigać po falach niczym petrel.

- Czy możemy zatrzymać Tobiasa? - spytała. Ruchliwe brwi uniosły się, a żywe niebieskie oczy zamigotały.

- Rozstać się z Tobiasem? To mało prawdopodobne, Kitty. Tobias jest kotem należącym do floty, będzie ze mną pływał, gdziekolwiek mnie wiatry poniosą. Uważa mnie za swój dom, tego go nauczyłem.

- Czy odwiedzisz majora Rossa?

- Z pewnością.

Richard zaczekał z najpoważniejszym pytaniem aż do momentu, kiedy odprowadził Stephena do urwiska przy drodze wiodącej do Queensborough.

- Stephen, czy mógłbyś oddać mi pewną przysługę?

- Wiesz przecież, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Chcesz, żebym zobaczył się z twoim ojcem i kuzynem Jamesem aptekarzem?

- Jeśli będziesz miał czas, w przeciwnym razie nie. Chciałbym natomiast, żebyś zabrał list do Jema Thistlethwaite'a mieszkającego przy Wimpole Street w Londynie, i oddał mu go osobiście. Już nigdy go nie zobaczę, chciałbym jednak, aby ktoś, kto zna tego Richarda Morgana, za niego poświadczył.

- Da się zrobić. - Przy białym granicznym głazie Stephen wyciągnął perukę i nacisnął ją sobie na głowę, spoglądając ponuro na uśmiechającego się Richarda. - Masz tydzień na napisanie tego listu. „Kitty” stoi na redzie, dopóki nie wydam rozkazu.

Od przybycia wielbnego Baina, który został kapelanem na wyspie Norfolk, nie zwracano już takiej uwagi na uczestnictwo w nabożeństwie. Komendant King nalegał, aby wszyscy skazańcy byli obecni, więc jeśli wszyscy ludzie wolni również się tam pojawiali, powstawał straszny tłok. Uważano, że skazańcy bardziej potrzebowali bożej uwagi aniżeli ludzie wolni.

Wiedząc zatem, że jeśli opuści jutrzejsze nabożeństwo, nie zauważą braku jego twarzy, Richard uprzedził Kitty, że będzie siedział w sobotę do późna w nocy, pisząc list do pana Thistlethwaite'a, i pójdzie spać dopiero nad ranem. Uradowana tym, że Richard zyska parę dodatkowych godzin odpoczynku - pisanie listu różniło się w końcu od cięcia drewna - Kitty położyła się sama.

Richard ostrożnie podniósł z półki lampę oliwną. Została zakupiona na tym samym straganie co serwis do herbaty i sporo kosztowała, gdyż towarzyszyła jej pięćdziesięciogalonowa beczka wielorybiego tłuszczu. Rzadko jej używał, bo zmęczenie nie pozwalało mu na nocne czytanie, lecz dzięki niej mógł teraz przeglądać ów kufer skarbów, pełen książek, które wysłał mu pan Thistlethwaite. To była jedyna rozrywka, która nie sprawiała, że czuł się zdrajcą rodziny. Kitty, jak już zrozumiał, nigdy nie nauczy się pisać i czytać, ponieważ nie było to dla niej ważne. On był jedynym źródłem wiedzy w ich domu, więc musiał czytać.

Z papierem skąpanym w złotej smudze światła z dwuknotowej lampy, zamoczył jedno ze swoich stalowych piór w kałamarzu i zaczął pisać bez zbytniego wahania. To, co chciał przekazać, powtarzał już w myślach wielokrotnie.

Jem, list ten doręczył Ci najlepszy człowiek, jakiego kiedykolwiek znałem, i tracąc go,

pocieszam się jedynie tym, że Ty go poznasz i pokochasz. Dziwnym trafem przeszliśmy tę samą drogę przez wszystkie lata, od czasów gdy „Alexander” stał zakotwiczony na Tamizie, ze statku na statek, z jednego miejsca na drugie. On - człowiek wolny, a ja - skazaniec. I zawsze byliśmy przyjaciółmi. Gdybym nie miał Kitty i dzieci, jego utrata byłaby śmiertelnym ciosem.

To, co piszę na tych stronach, różni się od listu, jaki wysłałem Ci po nadejściu paczki od Ciebie. Tamten poszedł oficjalną drogą i zdany był na łaskę wścibskich oczu i dociekliwych umysłów. To cud, że nasze listy w ogóle docierają do celu, lecz ten strumień odpowiedzi na nie, jaki napłynął w 1792 roku (oraz, jak dotąd, na „Bellonie” i „Kitty” w tym roku) świadczy o tym, że ci, którzy zawożą nasze listy do Anglii, współczują nam na tyle, by dotrzymać danych nam obietnic. Jednak niektórzy nigdy nie otrzymują ani słowa z miejsca, które większość z nas nazywa „domem”. Nie jestem pewien, czy to przypadkowe, czy też celowe. Ten list będzie jednak pod pieczęcią Stephena. Mogę więc powiedzieć wszystko, a znając Stephena, wiem, że będzie siedział w milczeniu, aby pozwolić Ci to przeczytać, zanim się odezwie, a to również daje mi pewną swobodę.

W tym roku, 1793, ukończę czterdziesty piąty rok życia. Jak wyglądam i jak fizycznie przetrwałem ten okres, Stephen zdoła Ci zrelacjonować lepiej ode mnie, gdyż na wyspie Norfolk nie mamy luster. Zachowałem zdrowie i prawdopodobnie jestem zdolny pracować ciężiej i dłużej, aniżeli potrafiłem jako młody człowiek w Anglii.

Kiedy tak siedzę tu w środku nocy, jedyne odgłosy, jakie dochodzą do moich uszu, to szum potężnych drzew w przybierającym na sile wietrze. A jedyne zapachy, jakie napastują moje nozdrza, to woń słodkiej żywicy, pozostała po deszczu, który padał tu parę godzin temu i zmoczył ziemię.

Nigdy już nie wrócę do Anglii, której nie uważam i nie nazywam „domem”. Mój dom jest teraz tutaj, na wyspie Norfolk, i zawsze tu będzie. Prawda jest taka, Jem, że nie chcę mieć nic wspólnego z krajem, który wysłał mnie do zatoki Botany na zatłoczonym statku niewolniczym w przeszło dwunastomiesięczną podróż, w nędzy i cierpieniach, które nadal straszą mnie w snach.

Bywały też dobre czasy i momenty, żadnego z nich jednak nie zawdzięczaliśmy tym, którzy nas tu wysłali - chciwym kontrahentom, obojętnym urzędnikom przerzucającym papiery, pijącym łąpczywie porto baronom i admirałom. A jeszcze my - z pierwszej floty, która została wysłana do zatoki Botany - cieszyliśmy się komfortem w porównaniu z potwornościami, które znosić muszą skazańcy, którzy przybywają tu po nas. Poproś Stephena, żeby Ci powiedział, co znaleziono na pokładzie „Neptuna”, kiedy zakotwiczył w Port

Jackson.

To, że znalazłem się pośród pierwszych zesłańców do zatoki Botany, było jednocześnie dobre i złe. Jem, nikt nie wiedział, co robić, nawet ten żalony i doprowadzony do rozpaczki mały gubernator Phillip. Wszystko to nie było ani dobrze zaplanowane, ani też nie wyposażono nas odpowiednio. Nikt w Whitehall nie przygotował planu działań, a kontrahenci oszukiwali zarówno na jakości, jak i na liczbie ubrań, narzędzi i innych wysłanych z nami niezbędnych rzeczy. Ciągłe próbuję sobie wyobrazić wyraz twarzy Juliusza Cezara, gdyby wiedział o tych jatkach.

A mimo to jakoś przetrwaliśmy te pierwsze pięć lat nie przemyślanego, wypaczonego eksperymentowania życiem kobiet i mężczyzn. Nie jestem pewien, jak to się stało, poza tym, że jest to chyba dowód wytrwałości i wytrzymałości tych ludzi. Twierdzenie, że Anglia ofiarowała nam tu drugą szansę, jest nieprawdą. Nie dano nam tu żadnej szansy, ani pierwszej, ani ostatniej. Zachowaliśmy się raczej zgodnie z naszym charakterem. Niektórzy z nas po prostu przysięgali sobie, że przeżyją, i wrócili pośpiesznie do „domu” lub ciągle jeszcze tu się obijają. Inni postanowili zacząć od początku, od tego, co mieliśmy. Zaliczam się do tej drugiej grupy i mogę o niej powiedzieć tyle, że kiedy byliśmy więźniami, pracowaliśmy ciężko, nie ściągaliśmy na siebie urzędowego gniewu, nie bito nas i nie zakuwano w kajdany; w niektórych sytuacjach usuwaliśmy się w cień, w innych staraliśmy się być użyteczni. Po uwolnieniu czy to przez ułaskawienie, czy odpracowanie wyroku, wzięliśmy ziemię i zabraliśmy się do obcego nam zajęcia - uprawy roli.

Ileż z Anglii sama Anglia zmarnowała! Ile inteligencji, pomysłowości, zaradności i wytrwałości! Lista cennych wartości, która mogłaby mi zająć wiele stron. A ich posiadacze siedzieli w angielskich więzieniach i na karnych statkach, skazani na zatracenie. Co się z tą Anglią dzieje, że na tyle oślepla, aby wyrzucać takie skarby jak bezużyteczne śmieci?

Prawdą jest, że bardzo niewielu z nas miało jakiegokolwiek pojęcie o samych sobie. Ja wiem, że nie miałem. Stary, spokojny i cierpliwy Richard Morgan, który nie przejął się utratą trzech tysięcy funtów, umarł, Jem. Był biernym, zadowolonym z siebie, mało ambitnym i małym człowiekiem. Smutki jego były smutkami wszystkich ludzi - utrata tego, co kochał. Wady jego były wadami wszystkich - zasklepienie w samym sobie i pobbżanie samemu sobie. Radości jego były radościami typowymi dla wszystkich - radowanie się tym, co kochał. Cnoty jego również były cnotami innych - wiara w Boga i ojczyznę.

Pośród tego morza cierpienia Richard Morgan zmartwychwstał i zrozumiał, że ból innych jest trudniejszy do zniesienia niż własny. Niczego nie jest już pewien, wypowiada się wtedy, gdy to konieczne, a jeśli zajdzie potrzeba, broni tych, których kocha i swego majątku z

narażeniem własnego życia, nie ufa nikomu i polega jedynie na samym sobie.

Tragedią tego przedsięwzięcia jest to, Jem, że chociaż zaczęliśmy tu wszystko od początku, przyciągnęliśmy z Anglii to, co w niej najgorsze - zimną arogancję tych, którzy nami rządzą lub mają nad nami władzę, niepisane prawa, które czynią z niektórych ludzi lepszych od innych dzięki ich stanowisku lub bogactwie, piętno ubóstwa i podłego pochodzenia, błędne przekonanie, że Korona i Kościół nie mogą się mylić, sromotę bękarcstwa.

Boję się zatem o swoje dzieci, które będą musiały dźwigać ciężar moich grzechów oprócz swoich własnych. Wiążę z nimi nadzieje, których nigdy nie mógłbym mieć dla moich bristolskich dzieci. Tu jest miejsce, Jem, by mogły rozwinąć skrzydła. Jest szansa, że będą coś znaczyć. A w ostatecznym rozrachunku o cóż jeszcze mógłbym Boga prosić?

Myślałem, żeby napisać znacznie więcej, ale doszedłem do wniosku, że przekazałem już to, co chciałem. Dbaj o siebie i zaopiekuj się Stephenem, który przywozi Ci moje pozdrowienia. Odpisz prędko. Statki z Anglii pokonują tę drogę już zaledwie w ciągu sześciu miesięcy, a wyspa Norfolk jest miejscem zaopatrującym w wodę okręty zmierzające do Cathay, Cieśniny Nootka i Otaheite. Przy odrobinie szczęścia odpiszę Ci, zanim urodzi mi się za dużo dzieci. Nie potrafię wyperswadować Kitty zachodzenia w ciążę, a sam jestem za słaby, aby się sprzeciwić, kiedy ona zarzuci na mnie nogę.

Dzięki łasce Boga i uprzejmości innych odbyłem dobry bieg.

Podpisał się, złożył kartkę tak, że rogi jej spotkały się pośrodku, roztopił wosk i przyłożył swoją pieczęć. Inicjały R.M. w okowach. A następnie, pozostawiwszy list na stole, pochylił się, by zdmuchnąć płomień w lampie, i poszedł do Kitty.

Finis

POSŁOWIE OD AUTORA

Saga o Richardzie Morganie na tym się bynajmniej nie kończy. Żył jeszcze przez wiele lat i doświadczył wielu przygód, nieszczęść i wstrząsów. Mam nadzieję, że uda mi się opisać dalszą historię jego rodziny.

Amerykańska wojna o niepodległość wstrząsnęła europejskim status quo, a współcześnie żyjący nie byli świadomi jej konsekwencji. Do tej pory konstytucja danego narodu była uważana za coś wynikającego z jego praw, do tego momentu koncepcja narodu istniejącego bez monarchy na szczycie piramidy społecznej była wręcz nie do pomyślenia, do tego też czasu prawa jednostek pochodzących ze sfer średnich lub najniższych nie były uznawane za równe uprawnieniom tych, którzy szczycili się rangą, majątkiem czy bogactwem.

Jednym z mniej znanych skutków amerykańskiej niepodległości było założenie brytyjskiej kolonii w Nowej Południowej Walii oraz nieomal równocześnie jej odgałęzienia, jakim była wyspa Norfolk. Istnieją znaczne różnice zdań pośród współczesnych historyków co do powodów, dla których Korona Brytyjska zdecydowała się skolonizować tę prawie nie znaną część świata, nie mając pojęcia o jej geofizycznych rozmiarach. Niektórzy specjaliści w tej dziedzinie uważają, że pomysł Nowej Południowej Walii powstał i został zrealizowany wyłącznie po to, aby pozbywać się nieszczęsnych ofiar systemu karnego, który był niewątpliwie najostrzejszy w całej zachodniej Europie. Inni natomiast utrzymują, że w grę wchodziły również wyższe ideały i filozofie.

Nie zamierzam udawać, że posiadam wystarczającą erudycję, aby ten problem rozstrzygnąć. Mogę jedynie powiedzieć, że wraz z zamknięciem trzynastu amerykańskich kolonii, dla których wywożono skazańców w charakterze służby, Korona Brytyjska wiedziała, że musi znaleźć jakieś miejsce, gdzie mogłaby zsyłać skazanych przestępców, oraz że miejsce to powinna oddzielać od kraju przynajmniej szerokość oceanu. Wybuch Wielkiej Rewolucji Francuskiej i wzrastający niepokój nie tylko w Irlandii, ale również w Szkocji i Walii, dostarczały dodatkowych powodów do dołożenia wszelkich starań, aby ten karny eksperyment na odległych krańcach ziemi zakończył się powodzeniem. Historia pierwszych dziesięcioleci Nowej Południowej Walii i wyspy Norfolk nie opisuje wielu przykładów prawdziwego bogactwa czy choćby zaczątków dodatniego przychodu narodowego, stanowi natomiast dowód, że bez względu na to, jakie były owe wyższe filozofie i ideały Korony, miejsce to nadawało się na kwarantannę dla skazańców, buntowników, politycznych

demagogów i wolnych ptaków, którym nigdy dobrze się nie wiodło. Mogli się tam utrzymać przy życiu, nie stanowiąc żadnego zagrożenia dla kraju.

Według mnie, najciekawszymi aspektami tego wielkiego doświadczenia było, po pierwsze, radosne przeświadczenie Korony, że już samo przeprowadzenie eksperymentu wystarczy, a po drugie, charakter owych królików doświadczalnych biorących w tym udział - a więc skazańców. To, że doświadczenie się powiodło, związane jest o wiele bardziej z ich charakterem aniżeli z czymkolwiek innym. Dlatego też postanowiłam napisać tę powieść o genezie późniejszej Wspólnoty Australijskiej (1901) właśnie z perspektywy skazańca.

Za co właściwie ludzie ci byli skazywani? Jakie były okoliczności ich zbrodni? Na jakich zasadach funkcjonował angielski system sprawiedliwości? Jakie prawa miał oskarżony przestępca? Skąd pochodzili? Jakie panowały pomiędzy nimi stosunki? Jak to się stało, że po wylądowaniu na tej całkowicie obcej im ziemi, pozbawionej i mleka, i miodu, zdołali w ogóle przeżyć? I dlaczego po odpracowaniu swoich wyroków i w wielu przypadkach zarobiwszy na tyle dużo, że mogli wykupić sobie bilet powrotny do domu, tak niewielu z nich zdecydowało się powrócić do kraju? Czego się trzymali, aby nie upaść na duchu? Jak dawali sobie radę z brutalnym, bezdusznym reżimem tego okresu? I jak patrzyli na wolność, kiedy wreszcie nadeszła, i co myśleli o Anglii?

W końcowej części powieści akcja rozgrywa się na wyspie Norfolk, a nie w Nowej Południowej Walii. Ten okruch pośród bezmiarów Oceanu Spokojnego posiada swoją własną, bogatą i skomplikowaną historię.

Korona Brytyjska dwukrotnie usiłowała skolonizować tę wyspę, ale pierwsza próba została przerwana i ludność wyspy przesiedlona - była to tak zwana Pierwsza i Druga Osada. Mówiąc o bezwzględnym okrucieństwie, ludzie mają na myśli raczej tę Drugą Osadę (1825 - 1855). Pierwsza Osada (1788 - 1813), pomimo swoich potworności, była o wiele łagodniejsza.

Trzecią próbę stanowił kolejny transportowy eksperyment. Wszyscy potomkowie uczestników buntu na „Bounty” wraz z ich taitańskimi kobietami zostali w 1856 roku przeniesieni z wyspy Pitcairn na o wiele większą i żyźniejszą wyspę Norfolk, która miała być ich nową ojczyzną. Niektórzy z mieszkańców Pitcairn, rozczarowani nie dotrzymanymi obietnicami, powrócili po 1856 roku na rodzimą wyspę, a ich potomkowie tworzą obecnie maleńką Drugą Osadę na wyspie Pitcairn.

Tak zwana Trzecia Osada zakończyła się sukcesem chyba dlatego, że mieszkańcy Pitcairn byli już wyspiarzami w pełnym znaczeniu tego słowa. Wyspiarze potrafią sobie

radzić z wyjątkowo małym obszarem ziemi, co wymaga zupełnie innego stosunku do życia i innego stylu zarządzania aniżeli w przypadku ogromnych połaci ziemskich. I chociaż od 1979 roku wyspa Norfolk cieszy się ograniczoną autonomią, wchodząc w skład sił federalnych - co samo w sobie jest dziwnym układem odzwierciedlającym brak pewności siebie Australii - to jednak dalej pozostaje na łasce kolonialnego zwierzchnika zza morza. W 1914 roku wyspa przestała należeć do terytorium podległego Koronie Brytyjskiej i stała się częścią Wspólnoty Australijskiej. Kolejne australijskie rządy oraz ich niewybieralni urzędnicy państwowi okazywali dokładnie taką samą arogancję i brak zrozumienia specyficznego charakteru wyspy Norfolk i jej ludności z Pitcairn, jak Korona Brytyjska. A zatem można się jedynie zastanawiać, czego zdołała nauczyć się Australia - będąca przecież ofiarą kolonializmu - o samym tym zjawisku, skoro mieszkańcy innych, równie oddalonych podległych jej terytoriów na Oceanie Indyjskim cierpią jeszcze bardziej od wygadanej i buntowniczej wyspy Norfolk.

Teksty źródłowe są niezwykle bogate, lecz często - tak jak w przypadku Państwowego Biura Archiwalnego w Kew, w Londynie - są rażąco niesystematyczne i pomieszane, ze względu na niewybaczalny brak funduszy. Podobnie jak w przypadku moich rzymskich badań, zazwyczaj opieram się bardziej na materiałach oryginalnych aniżeli na współczesnych rozprawach i pracach naukowych. Każdy badacz jakiegokolwiek okresu historycznego powinien uciekać się do materiałów źródłowych w celu sformułowania własnych opinii, wniosków i teorii.

Nie zamieściłam tu żadnej bibliografii z tego prostego powodu, że obejmowałyby zbyt wiele stron i zawierałyby równie dużo dokumentów, jak i książek. Jeśli ktoś byłby zainteresowany uzyskaniem bibliografii opublikowanych materiałów, proszę napisać do mnie na adres wydawców.

W tym miejscu muszę podziękować wielu ludziom za pomoc i informacje.

Pomiędzy nimi na pierwszym miejscu jest moja umiłowana pasierbica, Melinda, która udała się do Kew, by stawić czoło tamtejszemu archiwum, do Bristolu, Gloucester, Portsmouth oraz wielu innych angielskich miejscowości, jak również przetrząsnęła zbiory materiałów historycznych w Sydney, Hobart i w Canberze. Materiały, które ze sobą przywiozła, okazały się nieocenione.

Pragnę też specjalnie podziękować Hellen Reddy, kolejnej prawniczce Richarda Morgana. Kiedy nie śpiewała i nie grała na scenie, śledziła karierę Richarda Morgana aż do jej fatalnego zwrotu i dostarczyła mi wspaniałej dokumentacji.

Moje serdeczne podziękowania należą się panu Lesowi Brownowi, który jest wybitnym znawcą historii wyspy Norfolk, bez względu na to, które etapy osadnictwa kogoś interesują. Les był dla mnie owym cichym bohaterem, teraz jednak głośno wyśpiewuję pochwały na jego cześć, tak aby wszyscy je słyszeli. Jakaż to biblioteka i jakie dokumenty!

I wreszcie, jakże mogłabym zapomnieć o moim zawsze lojalnym i oddanym zespole? O pani Crisp, mojej osobistej asystentce, Kaye Pendleton i Karen Quintal pracujących w biurze, wszechobecnym i znającym się na wszystkim Joe Nobbsie, Rii Howell i Franie Johnston, pracujących w domu, o Daliasie Crispsie, Philu Billmanie i Louise Donald, pracujących poza domem. Tylko dzięki ich wyteżonym wysiłkom mogłam pisać w takim tempie. Dziękuję również mojej teściowej May, która opiekuje się kotem Poindexterem w czasie naszych wszystkich wyjazdów. Janowi Nobbsowi, bratu Johnowi i Gregowi Quintalowi dziękuję za opisy ścinania sosen Norfolk starym sposobem, za pomocą piły wzdłużnej.

Mój mąż, Ric, jest dla mnie nie tylko źródłem siły, ale i moim najlepszym przyjacielem. Jest prawnukiem w piątym pokoleniu zarówno Richarda Morgana, skazańca, jak i buntownika Fletchera Christiana ze statku „Bounty”. Jakże dziwne bywają powikłania losu, w których jedna linia krwi spotkała się z drugą w 1860 roku na tej okruszynie wielkości trzech mil na pięć, rzuconej pośród oceanu, by dowiedzieć się, że od strony Richarda Morgana związek z wyspą Norfolk sięga praprababki (Kate), urodzonej tam w 1792 roku. Tak jest również w przypadku Joe Nobbsa.

Kończąc, nie zapomniałam bynajmniej, że pozostały mi jeszcze do napisania dwa tomy z serii „Władców Rzymu”. I, da Bóg, zostaną one ukończone, lecz trzeba trochę odpocząć od Rzymu, a nie udawać się na kolejne rzymskie wakacje.